

**John Fowles**

# **Mag**

**(Przełożyła: Ewa Fiszer)**

## PRZEDMOWA

Nie jest to wprawdzie w sensie tematycznym czy narracyjnym nowa wersja *Maga*, stanowi jednak coś więcej niż tylko przeróbkę stylistyczną. Wiele scen napisałem prawie w całości od nowa, jedną czy dwie dodałem. Obrąłem taką dość niezwykłą drogę wcale nie dlatego — jeżeli listy mogą być jakimkolwiek sprawdzianem — że książka ta wzbudziła większe zainteresowanie od poprzednich. Dawno już nauczyłem się godzić z faktem, że powieść, która mnie jako pisarzowi podobała się najmniej (niezadowolone takie wyrażało również wielu pierwszych recenzentów), nadal podoba się najbardziej większości moich czytelników.

*Mag* ukazał się w 1965 roku jako trzecia moja książka, ale pominąwszy datę publikacji jest właściwie pierwszą moją powieścią. Zacząłem ją pisać w początku lat pięćdziesiątych i zarówno narracja, jak i nastrój uległy licznym przemianom. W pierwotnej wersji maszynopisu występował czynnik zdecydowanie ponadnaturalny — próbowałem stworzyć coś w rodzaju arcydzieła Henry Jamesa *W kleszczach lęku*. Nie miałem jednak wówczas żadnego spójnego poglądu na to, do czego zmierzam zarówno w życiu, jak i w tej książce. Bardziej obiektywna strona mojej natury nie pozwalała mi wierzyć, że kiedykolwiek będą mnie wydawać, subiektywizm nie pozwalał porzucić mitu, który tak niezręcznie i pracowicie próbowałem stworzyć; z owego okresu najlepiej zapamiętałem to, że stale musiałem rezygnować z kolejnych wersji z powodu nieumiejętności wyrażenia tego, co chciałem napisać. Zarówno niedostatki techniki, jak i ta dziwna cecha wyobraźni, która wydaje się raczej niezdolnością zapamiętania tego, co istnieje, a nie tym, czym jest w rzeczywistości, czyli niemożliwością wywołania nie istniejącego — w przykry sposób hamowały postępy pracy. Sukces *Kolekcjonera* w 1963 roku dodał mi jednak trochę wiary we własne siły i naturalnie pracę nad tym tekstem, bez końca torturowanym i przerabianym, uznałem za znacznie pilniejszą niż dokończenie wielu innych powieści zaczętych w latach pięćdziesiątych, choć podejrzewam, że przynajmniej dwie z nich bardziej nadawały się do publikacji i mogłyby znacznie lepiej przysłużyć się mojej reputacji literackiej, w każdym razie w Anglii.

W 1964 roku zabrałem się do pracy, zestawilem i poprawilem wszystkie wcześniejsze szkice. Mimo to *Mag* pozostawał ciągle powieścią nowicjusza, spod warstwy fabularnej wyzierał notatnik z wyprawy na nieznaną ląd, często zabląkanej i

źle zaplanowanej. Nawet w ostatecznej, opublikowanej formie książka ta była dziełem przypadku i naiwnej intuicji w stopniu znacznie większym, niż mogą to sobie wyobrazić bardziej wyrafinowani czytelnicy; najcięższym zarzutem, jaki spotkał mnie ze strony krytyki, było potępienie powieści jako wykalkulowanego na zimno ćwiczenia, jako gry intelektualnej. A przecież jedną z (nieuleczalnych) wad tekstu była próba ukrycia nieustannych zmian, jakim ulegał w trakcie pisania.

Poza oczywistym wpływem Junga, którego teorie bardzo mnie w tym okresie interesowały, dużą rolę w procesie pisania odegrały trzy inne książki. Byłem do tego stopnia świadom zapożyczeń z *Mojego przyjaciela Meaulnes* Alaina Fourniera, że w czasie przygotowywania nowej wersji tekstu usunąłem kilka zbyt wyraźnych odniesień. Może badaczowi podchodzącemu formalnie do sprawy nie narzucają się te paralele, ale *Mag* byłby zupełnie inną książką, gdyby nie istniała jego francuska poprzedniczka. Mocą oddziaływania *Mojego przyjaciela Meaulnes* na sferę pozaliterackich doświadczeń (przynajmniej niektórych z nas) chciałem nasycić także własną książkę. Inny błąd *Maga*, na który również nie mogę już nic poradzić, płynie z mojej niezdolności zauważenia, że wyraża on charakterystyczną tęsknotę wieku dojrzewania. Przynajmniej dojrzewanie bohatera Alaina Fourniera jest wyraźne i określone.

Może się wydać dziwne, że kolejną książką, która wywarła na mnie wpływ, był niewątpliwie *Bevis* Richarda Jefferiesa, silnie oddziałujący na mą dziecięcą wyobraźnię. Jestem przekonany, że powieściopisarz, świadomie bądź nieświadomie, zostaje ukształtowany w bardzo młodym wieku, a *Bevis* ma jedną cechę wspólną z *Moim przyjacielem Meaulnes* — jest projekcją świata zupełnie odmiennego niż ten, jaki widzi dziecko zamożnych rodziców, za które musiałem wówczas uchodzić. Przytaczam to jako przypomnienie, że wpływy tego rodzaju lektur działają na nas jeszcze długo po tym, kiedy wyraźnie już z nich wyrosliśmy.

Początkowo nie zdawałem sobie sprawy, że u podstaw *Maga* leży jeszcze jedna książka; uświadomiła mi to pewna spostrzegawcza studentka z Uniwersytetu w Reading, która w wiele lat po jego wydaniu napisała do mnie, wskazując na liczne podobieństwa z *Wielkimi nadziejami*. Moja korespondentka nie mogła wiedzieć o tym, że jest to jedyna powieść Dickensa, którą zawsze bezkrytycznie podziwiałem i lubiłem (i dzięki której wybaczam mu tak wiele innych niedociągnięć); że kiedy zacząłem pisać własną powieść, *Wielkie nadzieje* były tematem wykładów, w których z ogromną przyjemnością przedstawiałem je jako książkę wzorcową; że przez długi czas

nosiłem się z zamiarem uczynienia Conchisa kobietą i że pomysł ten przetrwał w postaci pani de Seitas. W obecnej nowej wersji książki dodałem jeden niewielki ustęp, składając hołd temu nie dostrzeżonemu wcześniej wpływowi.

Krótkiego wyjaśnienia wymagają dwie nieco większe zmiany. W dwu scenach motyw erotyczny został znacznie wzmocniony. Traktuję to po prostu jako skorygowanie wcześniejszego braku odwagi. Inna zmiana dotyczy zakończenia. Choć jego ogólny zamysł nigdy nie wydawał mi się tak niejasny jak niektórym czytelnikom (może dlatego, że nie przywiązywali należytej wagi do dwuwiersza z *Pervigilium Veneris*, który zamyka książkę), przyznaję, że mogłem mniej dwuznacznie oznajmić pożądane następstwa... więc zrobiłem to teraz.

Żaden pisarz nie wyjawia chętnie głębszych biograficznych uwarunkowań swojego dzieła, którymi rzadko są konkretne fakty i zajęcia; ja również nie stanowią pod tym względem wyjątku. Ale moją wyspą Phraxos („ogrodzoną” wyspą) była prawdziwa grecka wyspa Spetsai, gdzie w latach 1951–1952 uczyłem w prywatnej szkole z internatem, która jednak nie bardzo przypominała wtedy, szkołę opisaną w książce. Gdybym próbował odmalować prawdziwy obraz tej szkoły, musiałbym napisać powieść komiczną.\*

Dobrze znany milioner grecki, który teraz objął w posiadanie część wyspy Spetsai, nie jest w żaden sposób powiązany z moim fikcyjnym milionerem; zresztą pan Niarchos przybył na wyspę znacznie później. Również ówczesny właściciel willi na „Bourani”, której wygląd zewnętrzny i cudowne położenie opisałem w książce, nie był bynajmniej pierwowzorem dla mojej postaci, chociaż podobno staje się to teraz jeszcze jedną miejscową legendą. Widziałem tego pana, który jest przyjacielem starszego Venizelosa, jedynie dwa razy, i to przelotnie. Zapamiętałem natomiast jego dom.

Nigdy już nie wróciłem na wyspę Spetsai, ale z tego, co słyszę, dziś trudno byłoby ją sobie wyobrazić taką, jaka była wtedy. Wówczas żyło się tam w skrajnym osamotnieniu, chociaż w szkole było zawsze dwóch nauczycieli Anglików, nie jeden jak w książce. Miałem szczęście, że moim przypadkowym kolegą, dziś już starym przyjacielem, okazał się Denys Sharrocks. Był wyjątkowo odczytany i znacznie więcej

---

\* Istnieje inna, niezwykła powieść o tej szkole: Kennetha Matthews'a *Aleko* (Peter Davies, 1934). Francuski pisarz Michel Dèon opublikował autobiograficzny *La balcon de Spetsai*. (Gallimard, 1961).

ode mnie wiedział o Grekach. On pierwszy zaprowadził mnie do willi. Niedługo przedtem postanowił zrezygnować z własnych ambicji literackich. Oświadczył z wymuszonym uśmiechem, że podczas poprzedniej wizyty w „Bourani” napisał ostatni wiersz w swoim życiu. W jakiś szczególny sposób rozpałiło to moją imaginację, ta dziwnie odosobniona willa, jej wspaniałe otoczenie, kres złudzeń przyjaciela. Kiedy po raz pierwszy zbliżaliśmy się do owej willi usytuowanej na przylądku, usłyszeliśmy dźwięki naprawdę niezwykle w tym klasycznym pejzażu... nie dostojny klawesyn z mojej książki, ale dźwięki absurdalnie przywołujące na pamięć walijską kaplicę. Mam nadzieję, że ta fisharmonia jeszcze tam jest. Ona również dała czemuś początek.

Obce twarze na wyspie — nawet twarze greckie — należały wówczas do rzadkości. Pamiętam, jak pewnego dnia do Denysa i do mnie podbiegł chłopiec, by oznajmić, że z parowca płynącego z Aten wysiadł Anglik, i jak puściliśmy się obaj na podobieństwo dwóch Livingstone'ów, aby powitać tego niesłychanego przybysza na naszej opuszczonej wyspie. Innym razem spieszyliśmy pokłonić się kolosowi z Maroussi Henry Millera, Katsimbalisowi. Było wtedy w Grecji coś z wzruszającej atmosfery jednej wioski.

Spetsai, poza granicami jej zamieszkałej części, była naprawdę, nawiedzona, tyle że przez duchy subtelniejsze i piękniejsze od tych, które ja stworzyłem. Cisza lasów piniowych miała charakter niezwykle, podobna wiecznie białej stronicy czekającej na nutę czy słowo; nie doświadczyłem podobnej ciszy w żadnym miejscu. Dawała dziwne poczucie nieistnienia czasu i uczestnictwa w narodzinach mitu. Wydawało się nieprawdopodobne, by w takim miejscu mogło się coś wydarzyć, a jednak przez cały czas zapowiedź wydarzeń zdawała się unosić w powietrzu. *Genius loci* bardzo przypominał najwspanialsze wiersze Mallarmégo o niewidzialnym wzlocie, o słowach bezradnych wobec tego, co nie da się wyrazić. Trudno mi ocenić znaczenie tego doświadczenia dla mnie jako pisarza. Przepełniło i naznaczyło mnie ono o wiele głębiej niż jakiegokolwiek towarzyskie czy fizyczne przeżycia i doznania z wyspy. Wiedziałem już wtedy, że jestem pod wieloma względami permanentnym wygnańcem z angielskiego społeczeństwa, ale powieściopisarz musi osiągnąć jeszcze głębsze stadia wygnania.

Zewnętrznie było to na pozór doświadczenie przygnębiające, o czym przekonało się wielu młodych kandydatów na pisarzy i malarzy, którzy udali się do Grecji w poszukiwaniu natchnienia. Płynące stąd poczucie nieudolności i duchowego ośpienia zwykliśmy nazywać „egejską chandrą”. Trzeba być bardzo dojrzałym

artystą, by stworzyć wartościowe dzieła w otoczeniu najczystszych i najbardziej harmonijnych pejzaży tej planety, zwłaszcza jeśli się wie, że ich jedyny ludzki odpowiednik przypada na czasy, do których nie ma powrotu. Grecja wysp to ciągle jeszcze Circe i jeśli artysta-podróżnik troszczy się o swoją duszę, nie powinien tam przebywać za długo.

Jednak poza tym podczas mojego pobytu na Spetsai nie wydarzyło się nic, co miałoby związek z powieścią. Wszelkie powiązania wydarzeń fikcyjnych z rzeczywistością ujawniły się po moim powrocie do Anglii. Wymknąłem się Circe, ale następstwa tej ucieczki były poważne. Wówczas nie zdawałem sobie sprawy, że utrata jest dla powieściopisarza sprawą zasadniczej wagi, niezwykle owocną dla jego twórczości, choćby była nie wiem jak bolesna dla niego samego. To nieokreślone poczucie braku, utraconej okazji pozwoliło mi przeszczepić pewne dylematy mojej sytuacji w Anglii na grunt wspomnień o wyspie i panującej tam samotności. Wyspa stawała się dla mnie coraz wyraźniej utraconym Edenem, *domaine sans nom* Alaina Fourniera, a nawet być może farmą Bevisa. Stopniowo mój bohater Nicholas przybrał, jeśli nie prawdziwie reprezentatywną twarz współczesnego szarego człowieka, to przynajmniej szarego człowieka mojej klasy i środowiska. Z nazwiskiem, jakie mu nadałem, wiąże się rodzinny kalambur. Jako dziecko wymawiałem *th* jak *f*, toteż Urfe w istocie zastępuje Ziemię (Earth), a pomysł ten znacznie poprzedza wygodne powiązania z Honoré d'Urfé i *Astreq*.

Mam nadzieję, że to, co napisałem powyżej, uwolni mnie od konieczności wyjaśniania, co ta fabuła „znaczy”. Powieści, nawet skonstruowane znacznie klarowniej niż ta, nie mają nic wspólnego z krzyżówkami, gdzie hasłom odpowiada jeden tylko zestaw poprawnych odpowiedzi. Czasami powątpiewam, czy uda mi się kiedykolwiek wykorzystać tę analogię („Szanowny Panie Fowles, proszę wytłumaczyć prawdziwe znaczenie...”) z umysłów współczesnych studentów. Jeżeli *Mag* w ogóle ma jakieś „prawdziwe znaczenie”, nie jest ono większe od znaczenia testu Rorschacha w psychologii. To znaczenie polega na reakcji, jaką wywołuje u czytelnika, a moim zdaniem nie może tu być mowy o określonej „poprawnej” reakcji.

Powiniennem dodać, że przerabiając tekst nie próbowałem odeprzeć wielu uzasadnionych zarzutów przesady, zbytniego skomplikowania, sztuczności i temu podobnych, jakie postawili książce bardziej surowi dorośli krytycy po ukazaniu się pierwotnej wersji. Teraz wiem, dla jakiego pokolenia ta książka jest najbardziej

ciągnąca; wiem również, że musi na zawsze pozostać powieścią o dojrzewaniu napisaną przez kogoś, u kogo proces dojrzewania przebiegał z opóźnieniem. Usprawiedliwia mnie jedynie to, że wszyscy artyści muszą swobodnie obejmować pełny zasięg własnych życiowych doświadczeń. Reszta świata może cenzurować i pogrzebać prywatną przeszłość artystów. My tego zrobić nie możemy i dlatego aż do dnia śmierci musimy pozostać niedojrzali... tą niedojrzałością świeżej zieleni, w nadziei, że stanie się ona zielenią urodzajną. Nie milknący żal w tej najbardziej odkrywczej ze współczesnych powieści o powieściopisarzach, w ostatnim bolesnym utworze Thomasa Hardy'ego *The Well-Beloved*, wypływa stąd, że młodszy ciągle rządzi rzekomo „dojrzałymi” i zaawansowanymi w latach artystami. Można odrzucić tę tyranie, jak zrobił to sam Hardy, ale przypląca się to utratą zdolności pisania. *Mag* był także (choć całkiem nieświadomie) spontaniczną celebracją oddania się w to jarzmo.

Jeżeli pod tą (bardziej irlandzką niż grecką) mieszaniną domysłów na temat istoty natury ludzkiego bytu i fikcji krył się jakiś centralny zamysł, wyrażał się on może w alternatywnym tytule *Godgame*; jeszcze dziś żałuję czasami, że z niego zrezygnowałem. Zgodnie z moim zamiarem Conchis miał zaprezentować szereg masek przedstawiających ludzkie wyobrażenia o Bogu, od nadnaturalnego do żargonowo-naukowego, to znaczy szereg ludzkich złudzeń na temat czegoś, co naprawdę nie istnieje — absolutnej wiedzy i absolutnej władzy. Rozwianie takich iluzji wydaje mi się nadal najbardziej humanistycznym celem: chciałbym, by jakiś super-Conchis przepuścił Arabów i Żydów, ulsterskich katolików i protestantów przez taki sam heurystyczny młyn, przez jaki przeszedł Nicholas.

Nie bronię decyzji Conchisa w chwili egzekucji, bronię realności dylematu. Bóg i wolność to pojęcia całkowicie niezgodne, a ludzie najczęściej wierzą w swoich wymagowanych bogów, ponieważ boją się wierzyć w wolność. Jestem na tyle dorosły, by już zdawać sobie sprawę, że robią to czasami ze słusznych pobudek. Ale trzymam się generalnej zasady, i to właśnie chciałem umieścić w centrum mojej historii, że prawdziwa wolność leży zawsze pomiędzy każdą parą, nigdy w samej jednostce, toteż nigdy nie może być wolnością absolutną. Wszelka wolność, nawet najbardziej względna, może być fikcją, jednak po dzień dzisiejszy wolę opowiadać się za tą drugą hipotezą.

# Część I

Un debauché de profession est rarement un homme pitoyable

De Sade, *Les infortunes de la vertu*

Zawodowy rozpustnik rzadko zasługuje na litość

De Sade, *Niedole cnoty*



Urodziłem się w 1927 roku, jako jedyne dziecko mieszczańskich rodziców; oboje byli Anglikami wychowanymi w groteskowo wydłużonym cieniu tego potwornego króla, królowej Wiktorii, i nigdy nie udało im się na tyle wznieść ponad historię, by się z tego cienia wydostać. Posłano mnie do internatu ekskluzywnej prywatnej szkoły, zmarnowałem dwa lata służąc w wojsku, wstąpiłem na uniwersytet w Oksfordzie i tam zacząłem rozumieć, że wcale nie jestem taki, jakim chciałbym być.

Już dużo wcześniej doszedłem do wniosku, że przydaliby mi się zupełnie inni rodzice i przodkowie. Ojciec mój został generałem, nie tyle z powodu jakichś specjalnych talentów, lecz po prostu dlatego, że w odpowiednim czasie był w odpowiednim wieku, a matka stanowiła żywy wzór tego, jaka powinna być małżonka generała. Nigdy, w żadnej sprawie nie miała odmiennego zdania niż mąż i zawsze, nawet wówczas, gdy znajdował się on o tysiące mil od domu, zachowywała się tak, jakby z sąsiedniego pokoju przysłuchiwał się jej słowom. W czasie wojny rzadko widywałem ojca i w trakcie tych jego długotrwałych nieobecności idealizowałem go sobie, a on zazwyczaj w ciągu pierwszych czterdziestu ośmiu godzin urlopu burzył całkowicie to moje o nim wyobrażenie.

Tak jak wszyscy ludzie, którzy nie całkiem dorastają do swego stanowiska, czepiał się pozorów i drobiazgów i zamiast posługiwać się intelektem sprawił sobie pancerz z wielkich słów, a wymawiał je tak, jakby zaczynały się wielką literą: Dyscyplina, Tradycja, Poczucie Odpowiedzialności. Jeśli czasem — z rzadka — ośmieliłem się mu sprzeciwić, zaraz sięgał po jedno z tych magicznych słów i walił mnie nim po głowie; niewątpliwie tak samo traktował w podobnych okolicznościach swych podwładnych. Jeżeli człowiek zaraz nie zamilkł i nie poddał się, wpadał w gniew czy też raczej pozwalał sobie wpaść w gniew. A gniew miał zawsze pod ręką.

W naszej rodzinie przechowywała się tradycja — a właściwie były to pobożne życzenia — że pochodzimy z Francji, z której nasi przodkowie uciekli po odwołaniu edyktu nantejskiego, i że byli oni hugonotami ze szlacheckiej rodziny spowinowaconej z Honore d'Urfé, autorem siedemnastowiecznego bestsellera *Astreo*. Co prawda — jeśli wykluczyć równie niepewne pokrewieństwo z Tomem Durfeyem, przyjacielem Karola II, który niewątpliwie posługiwał się piórem — to nikt z moich przodków nie wykazał nigdy najmniejszych skłonności artystycznych: z pokolenia na pokolenie byli

to wojskowi, marynarze, drobni posiadacze ziemscy i kapłani, a odznaczali się jedynie brakiem indywidualności oraz zamiłowaniem do hazardu, przyprawiającym ich o nieustanne straty. Dziadek mój miał czterech synów, dwóch zginęło podczas pierwszej wojny, trzeci wybrał dość niesmaczny sposób pozbycia się obciążeń atawistycznych i nie spłaciwszy długów karcianych uciekł do Ameryki. Mój ojciec, syn najmłodszy, który posiadał te wszystkie cechy charakteru, jakich oczekuje się od syna najstarszego, nigdy o bracie nie wspominał i nie mam najmniejszego pojęcia, czy on jeszcze żyje, ani czy mamy w Ameryce jakichś nieznanych kuzynów.

W ciągu ostatnich lat w szkole zrozumiałem, że mogę oczekiwać od rodziców tylko pogardy dla tego rodzaju życia, jakie pragnąłbym prowadzić; i że to jest właśnie w nich najgorsze. Byłem „mocny” w angielskim, w szkolnym pisemku drukowałem pod pseudonimem wiersze i uważałem D. H. Lawrence'a za największego człowieka stulecia; moi rodzice nigdy Lawrence'a nie czytali, a jeśli w ogóle o nim słyszeli to tylko w związku z *Kochankiem lady Chatterley*. Pewne cechy moich rodziców, łagodna uczuciowość matki i sporadyczne wybuchy wesołości ojca, mogłyby mi ich przybliżyć, ale zawsze lubiłem ich właśnie za to, do czego oni nie przykładali żadnej wagi. Kiedy skończyłem osiemnaście lat, a zbiegło się to ze śmiercią Hitlera, rodzice stali się już dla mnie tylko ludźmi, którzy dostarczają mi środków utrzymania, więc zasługują wprawdzie na moją wdzięczność, ale nie są w stanie wzbudzić we mnie innych uczuć.

Prowadziłem podwójne życie. W szkole zdobywałem sobie reputację cynika i estety czasu wojny. Ale musiałem wstąpić do wojska — żądały tego Tradycja i Ofiarność. Tyle że ubłagałem, i na szczęście poparł mnie w tym dyrektor mojej szkoły, aby potem wolno mi było wstąpić na uniwersytet. W armii nadal prowadziłem podwójne życie, publicznie odgrywając rolę syna generała Urfe, czyli „Blezera”, a prywatnie pożerając setki tomików wierszy i *New Writing* w seriach Pingwina. I gdy tylko stało się to możliwe, wystąpiłem z wojska.

Do Oksfordu przyjechałem w 1948 roku. Na drugim roku studiów, wkrótce po wakacjach, podczas których nader rzadko widywałem mych rodziców, ojciec musiał polecieć do Indii. Zabrał ze sobą matkę. Ich samolot rozbił się podczas burzy jakieś czterdzieści mil od Karaczi, wysoki oktanowy stos pogrzebowy. Kiedy już minął pierwszy szok, ogarnęło mnie uczucie ulgi. Pozostał mi tylko jeden bliski krewny, brat matki, który miał farmę w Rodezji, zatem nie groziło mi już stłamszenie przez rodzinę

tego, co uważałem za moje prawdziwe ja. Uczucia rodzinne nie były widać moją mocną stroną, ale za to byłem obkuty w modnych prądach intelektualnych.

A przynajmniej wraz z całą grupą bratnich dziwaków z college'u Magdalen za takiego się uważałem. Założyliśmy maleńki klub, który nazwaliśmy Les Hommes Revoltés\*, piliśmy bardzo wytrawne sherry i w proteście przeciwko rozchełstaniu końca lat czterdziestych wkładaliśmy na zebrania ciemne garnitury i czarne krawaty. Podczas zebrań dyskutowaliśmy o bycie i nicości, a pewien rodzaj niekonsekwentnego zachowania nazywaliśmy egzystencjalistycznym. Ludzie mniej wtajemniczeni uznaliby je za kapryśne lub wręcz samolubne, ale my nie rozumieliśmy, że bohaterowie, a raczej antybohaterowie czytanych przez nas francuskich powieści egzystencjalistycznych nie mają nic wspólnego z realizmem. Staraliśmy się ich naśladować, mylnie uważając, że metaforyczny opis złożonych stanów duchowych stanowi gotową receptę postępowania. I oddawaliśmy się kolejno wszelkim modnym niepokojom. Większość z nas, zgodnie z tradycyjnym oksfordzkim dandyzmem, chciała się po prostu różnić od innych ludzi. Naszemu klubowi to się udało.

Nabrałem kosztownych przyzwyczajęń i afektowanych manier. Z trudem uzyskałem marny dyplom i bez trudu uległem miłym złudzeniom: zacząłem się uważać za poetę. Choć trudno by było znaleźć coś mniej poetycznego niż moje nic-mnie-już-nie-jest-w-stanie-zadziwić znużenie życiem w ogóle, a w szczególności tym, że na to życie trzeba jednak jakoś zarobić. Wchłonałem jednak pewną dawkę Sokratesowej rzetelności – na tym właśnie polega wkład Oksfordu do cywilizacji. I dzięki temu od czasu do czasu w przebłysku zdrowego rozsądku zdawałem sobie sprawę, że nie wystarczy buntować się przeciwko własnej przeszłości. Kiedyś w gronie przyjaciół wygłosiłem gwałtowną filipikę przeciwko armii; gdy wróciłem do domu, zrozumiałem nagle, że choć bezkarnie wypowiedziałem głośno wiele rzeczy, od których mój zmarły ojciec przewraca się chyba w grobie, to i tak jestem nadal, pod jego wpływem. Nie byłem cynikiem z natury, stałem się nim z potrzeby buntu. Udało mi się uciec od tego, czego nienawidziłem, ale nie odnalazłem jeszcze tego, co mógłbym kochać, udawałem więc przed samym sobą, że nic nie jest godne miłości.

Wkroczyłem w życie szczerze wyposażony we wszystko, co powinno skazać mnie na niepowodzenia. Ojciec w swoim arsenale wielkich słów nie przechowywał Przewrotności Finansowej; płacił zawsze śmiesznie wysokie rachunki u Ladbroke'a, a także w kasynie oficerskim, dbał bowiem o popularność, a z braku osobistego wdzięku

musiał się uciekać do alkoholu. Po zapłaceniu podatku spadkowego i adwokatów pozostało mi z jego pieniędzy o wiele za mało, by mogło wystarczyć na utrzymanie. Zacząłem rozglądać się za pracą, ale ani dyplomacja i służba państwowa, ani też banki, handel i agencje reklamowe nie pociągały mnie zbyt. Odbyłem wprawdzie wiele wstępnych rozmów, ponieważ jednak nie uważałem za stosowne okazywać entuzjazmu, którego oczekuje się od młodego urzędnika, wszystkie te rozmowy spełzły na niczym.

W końcu postąpiłem tak samo, jak wielu, wielu absolwentów Oksfordu: odpowiedziałem na ogłoszenie umieszczone w „Dodatku Oświatowym Timesa”. Pojechałem do drugorzędnej szkoły prywatnej we Wschodniej Anglii, zostałem pobieżnie przesłuchany, po czym ofiarowano mi pracę. Dowiedziałem się później, że prócz mnie zgłosiło się tylko dwóch kandydatów, obaj z niezbyt szacownych uczelni, a następny semestr zaczynał się za trzy tygodnie.

Chłopcy, których musiałem uczyć, masowy produkt średnich klas społecznych, nie mieli w sobie nic, co mogłoby wzbudzić moje zainteresowanie; koszarne miasteczko mogło przyprawić o klaustrofobię, ale naprawdę nie do zniesienia był pokój nauczycielski. Ulgą stawał się powrót do klasy. Nuda i monotonia zawisły nad gronem nauczycielskim jak czarna chmura. Prawdziwa nuda, nie moja modna *ennui*. To z niej rodziły się frazesy, hipokryzja i bezsilny gniew starszych nauczycieli, którzy zdawali sobie sprawę ze swego bankructwa, i młodszych, którzy czuli, że są na nie skazani. Starsi nauczyciele przywodzili na myśl kazania pod szubienicą; patrząc na nich odczuwało się coś w rodzaju zawrotu głowy, zupełnie jakby człowiek zajrzał do bezdennej studni jałowości ludzkich wysiłków — ja przynajmniej tak to zacząłem odbierać w ciągu drugiego semestru w szkole.

Nie widziałem powodu, by spędzić życie na tej Saharze i im lepiej zdawałem sobie z tego sprawę, tym bardziej czułem, że ta skostniała, zadowolona z siebie szkoła jest miniaturowym modelem całego kraju i że nie da się uciec od niej nie uciekając także i od niego. A poza tym miałem już dość dziewczyny, z którą ostatnio byłem.

Moje wymówienie — oczywiście po zakończeniu roku szkolnego — zostało przyjęte z rezygnacją. Wspomniałem coś niewyraźnie o gnającym mnie niepokojem i dyrektor chyżo wyciągnął z tego wniosek, że wybieram się do Ameryki lub do dominiów.

— Nie, panie dyrektorze, nie mam jeszcze konkretnych planów.

---

\* Ludzie zbuntowani, od tytułu książki Camusa *L'Homme revolté*.

— Cóż, Urfe, osobiście uważam, że mógłby być z pana zupełnie niezły nauczyciel. I że pan także odkryłby z czasem nasze dobre strony. Ale teraz już za późno.

— Chyba tak.

— Nie jestem pewien, czy pochwalam to wałęsanie się po zagranicach. Osobiście radziłbym panu nie wyjeżdżać. Cóż... *vous l'avez voulu, Georges Danton\**. *Vous l'avez voulu.*

Bardzo typowe było to błędne przytoczenie cytatu.

W dniu mego wyjazdu lał deszcz. Mnie jednak przepelniało uczucie podniecenia, dziwne, wspaniałe uczucie, że zrywam się do lotu. Nie wiedziałem, dokąd trafię, ale wiedziałem, czego mi trzeba. Trzeba mi było innego kraju, innego życia, innego języka i, choć wtedy nie potrafiłbym tak tego sformułować, potrzebna mi była nowa tajemnica.

## 2

Dowiedziałem się, że British Council szuka pracowników, zatem w początku sierpnia wybrałem się na Davies Street, gdzie wzięła mnie na spytki ochocza, opętana „kulturą” dama o głosie i słownictwie z Roedean. Strasznie jest ważne, oznajmiła takim tonem, jakby się zwierzała, żeby reprezentowali „nas” za granicą właściwi ludzie, ale, głupia sprawa, ogłoszono już wszystkie wakaty i po przeprowadzeniu rozmów wybrano odpowiednich kandydatów, zresztą i tak aktualnie zmniejsza się ilość personelu za granicą. Wreszcie doszła do sedna sprawy: może mi zaoferować tylko nauczanie angielskiego w zagranicznych szkołach — pewnie uważam to za straszne?

Uważałem.

Pod koniec sierpnia dałem pół żartem ogłoszenie. Na moją zwięzłą ofertę, że jestem gotów wyjechać dokądkolwiek i robić cokolwiek, otrzymałem parę odpowiedzi. Oprócz broszurek, które miały mi przypomnieć, że znajduję się w ręku Boga, nadeszły trzy czarujące listy od zawsze czujnych, a za to gołych hochsztaplerów. I list, który proponował niecodzienną i zyskowną posadę w Tangerze — czy aby mówię po włosku? — ale moja odpowiedź pozostała bez echa.

Na horyzoncie zaczął majaczyć wrzesień: poczułem się bliski rozpaczy. Widziałem już, jak przyparty do muru sięgam do „Dodatku Oświatowego” i studiuję nie kończącą się szarą listę szarych propozycji. Zatem któregoś poranku zdecydowałem się powrócić na Davies Street.

Zapytałem, czy nie ma przypadkiem wolnych miejsc nauczycielskich w okolicach Morza Śródziemnego, i ta nadużywająca słów straszna kobieta poszła po akta. Usiadłem w poczekalni pod brunatnopomidorowym Mathew Smithem i zacząłem wyobrażać sobie samego siebie w Madrycie, Rzymie, Marsylii, Barcelonie... nawet w Lizbonie. Za granicą wszystko będzie inaczej, nie grozi mi pokój nauczycielski i będę pisał wiersze. Kobieta wróciła. Strasznie jej przykro, ale wszystkie lepsze miejsca zostały już zajęte. Oto czym dysponuje. I wręczyła mi arkusik zawierający dane o szkole w Mediolanie. Pokręciłem przecząco głową. Zgodziła się ze mną.

— Więc pozostaje już tylko to. Właśnie daliśmy ogłoszenie. — I podała mi wycinek z gazety.

Szkoła im. lorda Byrona, Phraxos

*Szkoła im. lorda Byrona, Phraxos, Grecja poszukuje nauczyciela języka angielskiego. Rok szkolny rozpoczyna się w październiku. Kandydaci winni być kawalerami i mieć dyplom z języka angielskiego. Znajomość współczesnej greki niekonieczna. Pensja wynosi równowartość 600 funtów rocznie w walucie wymiennej. Kontrakt dwuletni z możliwością przedłużenia. Zwrot kosztów podróży.*

Kobieta wręczyła mi prospekt uzupełniający ogłoszenie. Phraxos była to wyspa na Morzu Egejskim, około stu trzydziestu kilometrów od Aten. Szkoła im. lorda Byrona jest „jedną z najsłynniejszych greckich szkół z internatem, prowadzoną na wzór ekskluzywnych szkół angielskich” — stąd nazwa. Wyposażona była ponoć we wszystko, co taka szkoła mieć powinna. Nauczyciela obowiązywało maksimum pięć lekcji dziennie.

— Tę szkołę strasznie wychwalają. A wyspa jest wręcz czarowna.

— Była tam pani?

---

\* Cytat powinien brzmieć: *vous l'avez voulu, Georges Dandin*

Kobieta miała koło trzydziestki, urodzona stara panna, do tego stopnia pozbawiona seksu, że szykowny ubiór i zbyt staranny makijaż nadawały jej żaloszny wygląd; przypominała pozbawioną powodzenia gejszę. Nie, nie była tam, ale wszyscy tak mówią. Jeszcze raz przeczytałem ogłoszenie.

— Dlaczego tak z tym zwlekali?

— O ile nam wiadomo, mieli jakiegoś kandydata. Ale nie od nas. I w ostatniej chwili coś nie wyszło. — Zajrzałem do prospektu. — Nigdy dotąd nie szukaliśmy im kandydatów. Teraz też robimy to tylko przez uprzejmość. — Obdarzyła mnie wyrozumiałym uśmiechem, jej przednie zęby były o wiele za duże. Moim najbardziej oksfordzkim głosem zapytałem, czy mogę ją zaprosić na lunch.

Wróciwszy do domu wypełniłem kwestionariusz, który mi przyniosła do restauracji i zaraz znów wyszedłem, by go wysłać. Tego samego wieczoru dziwnym zrzędzeniem losu poznałem Alison.

### 3

Według norm tamtych czasów, które nie były jeszcze czasami łatwego seksu, miałem chyba jak na mój wiek dość duże doświadczenie. Dziewczyny — a w każdym razie pewien rodzaj dziewczyn — lubiły mnie, miałem auto, wówczas nie było to wśród studentów takie częste, i miałem także sporo pieniędzy. Nie byłem brzydki, i co ważniejsze miałem moją samotność, a jak każdy podrywacz wie, jest to broń niezawodna. Moja „technika” polegała na zachowywaniu się cynicznie, obojętnie i w sposób niemożliwy do przewidzenia. I nagle, jak prestidigitator wyciąga białego królika, ja wyciągałem z zanadrza samotne serce.

Nie kolekcjonowałem podbojów, ale gdy opuszczałem Oksford tuzin dziewcząt dzielił mnie od utraty dziewictwa. W równym stopniu sprawiały mi przyjemność seksualne sukcesy, co wyraźnie efemeryczny charakter miłości. Tak jakbym gardząc golfem, uprawiał go i to z powodzeniem. W ten sposób człowiek jest zawsze zabezpieczony, czy wygrywa, czy nie. Większość moich miłostek przypadała na okres wakacji, z dala od Oksfordu, w ten sposób na początku semestru opuszczałem bezkonfliktowo miejsce zbrodni. Czasem następowało parę nudnych tygodni wymiany listów, ale wkrótce odkładałem na bok samotne serce, gdyż z kolei „nie wolno mi było zanied-

bywać kształcenia swej osobowości” i przybierałem pozę lorda Chesterfielda. Stałem się ekspertem nie tylko od nawiązywania, ale i od zrywania miłostek.

Brzmi to jak zimna kalkulacja, bo tak zresztą pewnie było, ale wynikało to nie tyle z prawdziwej oziębłości serca, ile z narcystycznej wiary w znaczenie stylu życia. Uczucie ulgi, jakie sprawiało mi porzucenie dziewczyny, uważałem mylnie za umiłowanie wolności. Jedno tylko mogę chyba powiedzieć na swoją korzyść: rzadko kłamałem i zawsze starałem się, aby aktualna ofiara wiedziała, zanim zdejmie sukienkę, jaka jest różnica między pójściem do łóżka a małżeństwem.

Ale wtedy, we Wschodniej Anglii, sprawy się skomplikowały. Zacząłem chodzić z córką jednego ze starszych nauczycieli. Była ładna w konwencjonalny angielski sposób, tak samo jak ja nienawidziła prowincji i robiła wrażenie namiętnej; wkrótce jednak zrozumiałem, że namiętność ta nie jest bezinteresowna: dziewczyna chce się za mnie wydać. Robiło mi się niedobrze na myśl, że to, co było tylko zaspokojeniem czysto fizycznej potrzeby, może mi zwichnąć życie. Był nawet taki wieczór, a może dwa, kiedy o mało nie uległem Janet, choć wiedziałem, że jest idiotką, że jej nie kocham i nigdy nie będę w stanie pokochać. Długo nękało mnie wspomnienie pożegnalnej sceny w aucie nad brzegiem morza, całonocne gorzkie wymówki i szloch. Na szczęście wiedziałem, i ona wiedziała, że wiem, iż nie jest w ciąży. Pojechałem do Londynu z mocnym postanowieniem trzymania się przez jakiś czas z dala od kobiet.

Mieszkanie pod moim, wynajętym przy Russell Square, przez niemal cały sierpień stało puste, ale któreś niedzieli usłyszałem ruch, trzaskanie drzwiami, muzykę. W poniedziałek minąłem na schodach dwie nieciekawie wyglądające dziewczyny i usłyszałem, jak rozmawiają splaszając samogłoski. Australijki. Nadszedł wieczór owego dnia, kiedy jadłem lunch z panną Spencer-Haig, a był to piątek.

Około szóstej usłyszałem stukanie do drzwi, w progu stała tęższa ze spotkanych przeze mnie dziewczyn.

— Hej! Jestem Margaret. Z dołu. — Uścisnąłem wyciągniętą dłoń. — Miło mi pana poznać. Urządzamy składkowy bankiecik. Zajrzy pan?

— Hm. Nie wiem, akurat...

— Będzie głośno.



Zwykła sprawa: zapraszają sąsiadów, żeby uniknąć skarg. Zawahałem się, potem wzruszyłem ramionami:

— Dobra. Dziękuję.

— Fajnie. Koło ósmej, tak? — Już zaczęła schodzić, ale jeszcze zawołała ze schodów: — Ma pan dziewczynę, którą chciałby pan przyprowadzić?

— Nie, akurat nie.

— Zajmiemy się tym. Hej!

I już jej nie było. A ja zacząłem żałować, że przyjąłem zaproszenie.

Zszedłem na dół, gdy usłyszałem, że przyszło już wiele osób. Miałem nadzieję, że brzydkie dziewczyny — brzydkie dziewczyny zawsze przychodzą pierwsze — znalazły już partnerów. Drzwi stały otworem. Przeszedłem przez maleńki przedpokój i stanąłem na progu trzymając w ręku butelkę algierskiego burgunda. Rozejrzałem się po zatłoczonym pokoju, próbując odszukać wzrokiem którąś ze znanych mi dziewczyn. Głośne australijskie głosy, mężczyzna w szkockiej spódniczce i paru przedstawicieli Zachodnich Indii. Nie, to nie dla mnie, pomyślałem, i już miałem zamiar się wycofać. Tymczasem ktoś wszedł i stanął w przedpokoju, tuż za mną.

Była to dziewczyna mniej więcej w moim wieku, w ręku miała ciężką walizkę, na ramionach mały plecak. Była ubrana w białawy płaszcz nieprzemakalny, pomięty, noszący ślady podróży, a jej opalenizna była opalenizną kogoś, kto spędził wiele tygodni na prawdziwym słońcu. Długie włosy dziewczyny tak pojaśniały od tego słońca, że mogła uchodzić za blondynkę. Włosy te wyglądały dziwnie, ówczesna moda bowiem nakazywała obcinać włosy krótko na sierotkę i upodobniała dziewczyny do chłopców. Dziewczyna miała w sobie coś germańskiego, może Dunka? wyglądała dziecinnie, ale i zarazem perwersyjnie. Cofnęła się i przywołała mnie skinieniem głowy. Uśmiechnęła się przelotnie, blado i nieszczerze.

— Czy mógłby pan odszukać Maggie i poprosić ją, żeby tu przyszła?

— Margaret?

Skinęła głową. Przecisnąłem się przez zatłoczony pokój do kuchni, gdzie dojrzałem Margaret.

— Hej! Przyszedł pan!

— Ktoś pani szuka. Jakaś dziewczyna z walizką.

— Ach nie! — Odwróciła się do stojącej za nią kobiety. Poczulem, że coś jest nie w porządku. Wahala się przez chwilę, ale odstawiła butelkę piwa, którą właśnie otwierała. Poszedłem za nią.

— Alison! Miałaś przyjechać w przyszłym tygodniu.

— Wydałam całą forszę. — Nowo przybyła zrobiła minę zabłąkanego dziecka i obrzuciła starszą koleżankę wzrokiem, w którym kryły się i przeprosiny, i wyzwanie:  
— Czy Pete wrócił?

— Nie. — Margaret zniżyła głos, który zabrzmiał ostrzegawczo: — Ale Charlie i Bill już są.

— *Merde!* — Nieznajoma oburzyła się. — Muszę się wykapać.

— Charlie wstawił do wanny piwo, żeby się ostudziło.

Pod opaloną dziewczyną ugięły się kolana. Wtrąciłem się do rozmowy.

— Proszę skorzystać z mojej łazienki. Mieszkam piętro wyżej.

— Pozwoli pan? Alison, to jest...

— Nicholas.

— Naprawdę? Przed chwilą przyjechałam z Paryża.

Zauważyłem, że mówi dwoma różnymi głosami, jeden brzmiał niemal po australijsku, drugi niemal po angielsku.

— Jasne. Zaraz panią zaprowadzę.

— Muszę zabrać ekwipunek.

Weszła do pokoju i rozległ się wrzask:

— Hej, Allie! Gdzieś ty się, dziewczyno, podziewała?

Otoczyło ją kilku Australijczyków. Kolejno ich ucałowała. Po chwili Margaret, jedna z tych tłustych dziewczyn, które lubią matkować dziewczynom chudym, odepchnęła ich. Alison podeszła do mnie, niosąc w ręku jakieś szmatki, i poszliśmy na górę.

— Chryste Panie! — powiedziała. — Ci Australijczycy!

— Gdzie pani była?

— Wszędzie. We Francji. W Hiszpanii.

Weszliśmy do mojego mieszkania.

— Oczyszczę tylko wannę z pajaków. Może się pani czegoś napije? Tu jest barek.

Kiedy wróciłem, stała ze szklanką whisky w ręku. Znów się uśmiechnęła, ale było widać, że przyszło jej to z trudem, uśmiech natychmiast zgasł. Pomogłem jej zdjąć płaszcz. Była tak mocno uperfumowana, że narzucało to myśl o jakimś odkażającym środku, a jej żółta spódniczka była okropnie brudna.

— Mieszka pani na dole?

– Aha. Mieszkamy wszystkie razem.

Podniosła w milczącym toaście szklanę. Miała niewinne szare oczy, jedyny niewinny szczegół twarzy, na której malowało się zepsucie: jak gdyby tylko okoliczności zmusiły ją do przybrania maski twardości. Widać było, że potrafi sobie dawać radę, a mimo to odnosiło się wrażenie, że potrzeba jej obrony. A jej głos z lekkim, bardzo lekkim australijskim akcentem, jednak nie całkiem angielski, brzmiał raz nosowo i szorstko, to znów sprawiał wrażenie pikantnej bezpośredniości. Dziwaczna dziewczyna, wcielenie sprzeczności.

– Jest pan sam? To znaczy na tym bankiecie?

– Tak.

– Spędzi pan ze mną wieczór?

– Jasne.

– Niech pan wróci po mnie za dwadzieścia minut.

– Zaczekam na panią.

– Wolałabym, żeby pan wyszedł.

Wymieniliśmy ostrożne uśmiechy. Zszedłem na dół. Podeszła do mnie Margaret. Odniosłem wrażenie, że na mnie czeka.

– Nicholas, jedna z moich angielskich przyjaciółek marzy, żeby pana poznać.

– Bardzo mi przykro, ale już się spóźniła.

Margaret spojrzała na mnie bacznie, rozejrzała się dokoła, potem skinęła, żebym wyszedł za nią do przedpokoju.

– Widzi pan, trochę mi niezręcznie powiedzieć, ale...

Alison jest zaręczona z moim bratem. A dziś wieczór jest tu paru jego przyjaciół.

– No to co?

– Z nią są zawsze jakieś kłopoty.

– Dalej nie rozumiem.

– Nie chcę tu żadnej awantury. Już raz do tego doszło. — Patrzyłem na nią z głupią miną. — Niektórzy ludzie robią sceny zazdrości w czyimś imieniu.

– Będę uważał.

Ktoś zawołał ją do środka. Zawahała się, ale widać zdecydowała, że niczego więcej nie może się po mnie spodziewać: — W porządku. Ale czy mnie pan dobrze zrozumiał?

– Jeszcze jak!

Spojrzała na mnie wzrokiem starego weterana, niezbyt zadowolona skinęła głową i znikła. Spędziłem dwadzieścia minut w pobliżu drzwi, dyskretnie wyszedłem, wróciłem do własnego mieszkania. Zadzwoiłem. Długa cisza, wreszcie za drzwiami rozległ się głos.

— Kto tam?

— Dwadzieścia minut upłynęło.

Drzwi otworzyły się. Alison upięła włosy i owiązała się ręcznikiem, bardzo brązowe ramiona, bardzo brązowe nogi. Szybko wycofała się do łazienki. Zabulgotała wypuszczana z wanny woda. Zawołałem przez drzwi.

— Ostrzeżono mnie przed panią.

— Maggie?

— Powiedziała, że nie życzy sobie awantur.

— Głupia krowa. Moja przyszła szwagierka.

— Wiem.

— Studiuję socjologię. Na londyńskim uniwersytecie. — Nastąpiła pauza. — Czy to nie głupie? Człowiek wyjeżdża i myśli wracając, że ludzie się zmienili, a tymczasem są zupełnie tacy sami.

— Co pani chce przez to powiedzieć?

— Sekundę.

Czekałem dobrych parę minut. Wreszcie drzwi się otworzyły i weszła do pokoju. Miała na sobie prościutką białą sukienkę i znów rozpuściła włosy. Nie była wcale umalowana i wyglądała o wiele ładniej.

Wykrzywiła usta w uśmiechu: — No co, ujdę w tłumie?

— Będzie pani królową balu. — Patrzyła tak bezpośrednim wzrokiem, że to zbijało z tropu. — Schodzimy na dół?

— Jeszcze kropelkę.

Nalałem jej więcej niż kropelkę. Patrząc jak whisky leje się do szklanki, zauważyła: — Nie wiem, czemu jestem taka wystraszona. Czemu jestem wystraszona?

— Czego się pani boi?

— Sama nie wiem. Maggie. Chłopców. Tych moich kochanych starych ziomków!

— Awantury?

— Boże! Była to zupełnie kretyńska historia. Też podczas bankietu. Bo całowałam się z takim miłym młodym Izraelczykiem. I to wszystko. Ale Charlie

doniósł Pete'owi i razem rzucili się na tamtego chłopaka i... Boże! Sam pan wie, jak to jest z tymi „prawdziwymi mężczyznami”.

Na dole znikła mi na chwilę z oczu. Otoczono ją. Poszedłem po coś do picia i podałem jej nad czyimś ramieniem. Rozmawiali o Cannes, o Collioure, o Walencji. W drugim pokoju zaczął się jazz i stanąłem w drzwiach, by posłuchać. Za ciemnoskórymi tancerzami widziałem przez okno bladobursztynowe niebo, mroczne drzewa. Poczulem się nagle obcy. Z drugiej strony pokoju uśmiechnęła się do mnie dziewczyna w okularach, krótkowzroczne oczy w miękkiej banalnej buzi, najwyraźniej jedna z tych posiadających duszę intelektualistek, które rodzą się po to, by wykorzystywali je i eksploatowali naciągacze. Stała samotnie i domyśliłem się, że to ona jest zaprzyjaźnioną „miłą Angielką”, którą zaprosiła dla mnie Margaret. Używała zbyt czerwonej szminki do ust i miałem wrażenie, że znam ją na wylot. Odwróciłem się od niej, jakbym uciekał znad brzegu przepaści, i usiadłem na podłodze koło półki z książkami. Zacząłem udawać, że czytam.

Uklęknęła koło mnie Alison. — Wstawiłam się. To ta whisky. Hej, chce pan się tego napić? — Podała mi gin. Przysiadła bokiem. Pokręciłem przecząco głową. Pomyślałem o tamtej Angieleczce z białą buzią, z rozmazanymi czerwonymi ustami. Ta dziewczyna była przynajmniej żywa, nieucywilizowana, ale żywa.

— Cieszę się, że pani dziś wróciła.

Wypiła łyżeczek ginu i spojrzała na mnie badawczo. Spróbowałem jeszcze raz:

— Czytała to pani?

— Dajmy sobie spokój z konwersacją. Do diabła z literaturą. Pan jest mądry, a ja jestem piękna. I porozmawiajmy o tym, jacy naprawdę jesteśmy.

W jej szarych oczach kryła się kpina, a może wyzwanie.

— A Pete?

— Jest pilotem. — Wymieniła słynną lotniczą Unię. — Śpimy z sobą. Od czasu do czasu. I tyle.

— Aha.

— Obecnie się przekwalifikowuje. Jest w Stanach. — Wpatrzyła się w podłogę, przez chwilę wyglądała zupełnie inaczej, poważniej. — Zareczyny wymyśliła Maggie. My nie jesteśmy tacy — spojrzała na mnie spod oka. — Wolni ludzie.

Nie było jasne, czy mówi o narzeczonym, czy też o mnie i o sobie, czy ta gadka o wolności to poza, czy też naprawdę tak myśli.

— Co pani robi?

— To i owo. Najczęściej pracuję jako recepcjonistka.

— W hotelach?

— Gdzie się da. — Zmarszczyła nosek. — Staram się o inną pracę. Chcę być stewardesą. Dlatego pojechałam na parę tygodni poćwiczyć się we francuskim i hiszpańskim.

— Czy mogę panią jutro gdzieś zaprosić?

Pojawił się masywny Australijczyk i stanął opierając się o framugę drzwi. — Charlie — zawołała przez pokój — on tylko pozwolił mi się wykapać w swojej wannie. To wszystko.

Charlie wolno pokiwał głową, po czym pełnym przestrogi gestem wyciągnął gruby paluch. Wyprostował się i odszedł niezbyt pewnym krokiem.

— Czarujący.

Odwróciła głowę i zaczęła się przyglądać własnej ręce.

— Czy spędził pan dwa i pół roku w japońskiej niewoli?

— Nie. Dlaczego?

— Bo Charlie spędził.

— Biedny Charlie.

Nastąpiło milczenie.

— Australijczycy są prostytutkami, ale za to Anglicy to tępi zarozumialcy.

— Jeśli pani...

— Ja sobie z niego pokpiwam, bo jest we mnie zakochany, a on te moje kpinki lubi. Ale nikt inny nie będzie kpił z niego w mojej obecności.

Nastąpiło znów milczenie.

— Przepraszam.

— W porządku.

— W sprawie jutra?

— Nie. W sprawie Charliego.

Choć czułem się urażony lekcją, którą mi dała, abym się nie puszył i nie zniżał łaskawie do czyjśgo rzekomo niższego poziomu, Alison udało się mnie zmusić bym jej o sobie opowiedział. Zadawała mi bezceremonialne pytania i nie przyjmowała do wiadomości wymijających odpowiedzi. Opowiedziałem jej, że jestem synem generała, opowiedziałem o swym osamotnieniu, tym razem jednak nie chciałem przydać sobie blasku, ale wytłumaczyć, jaki jestem. Zauważyłem w Alison dwie rzeczy: za jej szorstkością krył się wielki talent wprowadzania mężczyzn w dobry humor, umiała z

nimi postępować, była wielką dyplomatką w sprawach seksu, a jej atrakcyjność polegała zarówno na jej bezpośredniości, jak i na tym, że dobrze wiedziała, iż ma piękne ciało i interesującą twarz. Zupełnie nie po angielsku potrafiła nagle zabłysnąć wypowiedzeniem jakiejś prostej prawdy, umiała być poważna, umiała okazać zainteresowanie. Zamilkłem. Widziałem, że mnie obserwuje. Po chwili spojrzałem na nią. Miała zamyślony, nieśmiały wyraz twarzy – zupełnie nowa osobowość.

– Alison, bardzo panią lubię.

– Ja chyba też pana lubię. Ma pan sympatyczne usta. Jak na tępego zarozumialca.

– Jest pani pierwszą Australijką w moim życiu.

– Biedny Angielczyk.

Dawno już zgaszono wszystkie światła, oprócz jednej przyćmionej lampki, i wszędzie, na wszystkich meblach, na każdym skrawku podłogi pełno było czułych par. Bankiecik rozpadł się na parki. Maggie gdzieś znikła, a Charlie spał na podłodze w sypialni. Tańczyłem z Alison, na początku trzymaliśmy się blisko siebie, potem jeszcze bliżej. Całowałem jej włosy, szyję, ona ścisnęła moją rękę i jeszcze bardziej przysunęła się do mnie.

– Idziemy na górę?

– Idź. Przyjdę za chwilę. – Zniknęła, a ja poszedłem do siebie. Minęło dziesięć minut i stanęła w drzwiach uśmiechając się lękliwie. Stała tak w tej swojej białej sukience, malutka, niewinna i zepsuta, szorstka i wrażliwa, doświadczona nowicjuszka.

Weszła. Zamknąłem drzwi i od razu zaczęliśmy się całować, oparci w ciemnościach o drzwi, trwało to minutę, dwie, trzy. Nagle usłyszeliśmy kroki i ktoś zapukał. Alison zasłoniła mi ręką usta. Znowu ktoś dwukrotnie zastukał, po chwili znowu. Wahaliśmy się, biły nam serca. Kroki oddaliły się.

– Chodź – powiedziała. – Chodź, chodź.

Obudziłem się dopiero późnym rankiem. Ona jeszcze spała odwróciwszy się do mnie brunatnymi plecami. Poszedłem zaparzyć kawę i przyniosłem ją do sypialni. Alison już się obudziła i wpatrywała się we mnie z pościeli. Było to długie, pozbawione wyrazu spojrzenie, nie przyjmujące do wiadomości mego uśmiechu. Odwróciła się nagle i naciągnęła na głowę prześcieradło. Usiadłem obok niej i niezręcznie próbowałem dowiedzieć się, co się stało, ale ona dalej chowała głowę pod prześcieradło, więc po chwili przestałem ją głaskać i zagadywać, i zabrałem się do kawy. Po jakimś czasie usiadła i poprosiła o papierosa. Spytała, czy nie mógłbym pożyczyć jej koszuli. Nie chciała mi spojrzeć w oczy. Naciągnęła koszulę, poszła do łazienki, a wróciwszy potrząsnęła ostrzegawczo głową i weszła z powrotem do łóżka. Usiadłem w nogach i patrzyłem, jak pije kawę.

— Co się stało?

— Czy wiesz, z iloma mężczyznami spałam w ciągu dwóch miesięcy?

— Z pięćdziesięcioma?

Nie uśmiechnęła się.

— Gdybym spała z pięćdziesięcioma, byłabym uczciwą profesjonalistką.

— Napij się jeszcze kawy.

— Wczoraj, w pół godziny potem, jak cię poznałam, pomyślałam, że gdybym była naprawdę zepsuta, tobym poszła z tobą do łóżka.

— Dziękuję ci.

— Poznałam się na tobie. Po twoim sposobie mówienia.

— To znaczy?

— Że jesteś facetem typu *affaire de peau*.

— Nie bądź śmieszna.

— Byłam wykończona — oznajmiła. — Strasznie byłam zmęczona. — Obrzuciła mnie długim spojrzeniem, potem pokręciła głową i zamknęła oczy. — Przepraszam. Jesteś miły. Jesteś bardzo miły w łóżku. Tylko co teraz?

— Skąd ja mam wiedzieć?

— A ja muszę.

— Przecież to nie zbrodnia. Po prostu udowodniłaś samej sobie, że nie możesz wyjść za mąż za tamtego faceta.

— Mam dwadzieścia trzy lata. A ty?

— Dwadzieścia pięć.

— Czy nie zaczynasz się domyślać, jaki właściwie jesteś? I jakim zostaniesz? Bo



ja tak. Na zawsze pozostanę głupią australijską pindą.

— Daj spokój!

— Powiem ci, co teraz robi Pete. Wiesz, że pisze do mnie tak: W zeszły wtorek przygadałem babkę i urządziliśmy sobie maleńkie wuzzamaru.

— Co to znaczy?

— To znaczy „ty też możesz się przespać, z kim chcesz”. — Wyjrzała przez okno. — Całą wiosnę przemieszkaliśmy razem. Wiesz, łatwo nam się z sobą dogadać, a kiedy wychodzimy z łóżka czujemy się jak rodzeństwo. — Spojrzała na mnie z ukosa, przez dym. — Nie wiesz, co to znaczy, kiedy dziewczyna budzi się w łóżku faceta, którego poprzedniego dnia o tej porze nie widziała nigdy na oczy. Coś się traci. Nie tylko to, co wszystkie dziewczyny muszą stracić.

— Albo zyskuje.

— Co my, na Boga, możemy zyskać? Powiedz!

— Doświadczenie. Rozkosz.

— Czy mówiłam ci już, że uwielbiam twoje usta.

— Wiele razy.

Zgasła papierosa i znów usiadła.

— Czy wiesz, dlaczego przed chwilą byłam bliska płaczu? Bo wyjdę za niego za mąż. Jak tylko wróci. Wyjdę za niego za mąż. Na nic innego nie zasługuję.

Oparła się o ścianę, siedziała w zbyt obszernej koszuli, jak podobny do kobiety chłopaczek ze smutną miną. Wpatrywała się we mnie, wpatrywała w narzutę na łóżku, wpatrywała w nasze milczenie.

— Przejdzie ci to. Każdy czasem czuje się nieszczęśliwy.

— Kiedy tylko zaczynam myśleć, zaraz czuję się nieszczęśliwa. Kiedy budzę się i widzę, jaka jestem.

— Zdarza się to tysiącom dziewczyn.

— Nie jestem tysiącami dziewczyn. Jestem mną. — Zdjęła przez głowę koszulę i schowała się w pościeli. — Jak się nazywasz? Chodzi mi o nazwisko.

— Urfe, U, R, F, E.

— Ja Kelly. Czy twój tata był naprawdę generałem?

— Tak.

Drwiąco, a zarazem nieśmiało zasalutowała, potem wyciągnęła w moją stronę brunatne ramię. Przynąłem się do niej.

— Nie uważasz mnie za dziwkę?

Wtedy, patrząc na nią z tak bliska, miałem jeszcze chyba możliwość wyboru. Mogłem powiedzieć, co myślę. — Tak, jesteś włóczącą się dziwką, a co gorsza usiłujesz to swoje włóczenie się wykorzystać, żałuję, że nie poszedłem za radą twojej przyszłej szwagierki. — Może gdybym był od niej dalej, gdybym siedział z drugiej strony pokoju, mógł uciec od jej wzroku, potrafiłbym się zdobyć na brutalność. Ale te szare, przenikliwe, niewinne oczy, które prosiły mnie, bym wyznał prawdę, zmusiły mnie do kłamstwa.

— Lubię cię. Bardzo cię lubię.

— Wróć do łóżka i obejmij mnie. Nic więcej. Tylko obejmij.

Wróciłem do łóżka i objąłem ją. I po raz pierwszy to życiu kochałem się z zapłakaną kobietą.

W ciągu tej pierwszej soboty płakała jeszcze nie raz. Koło piątej zeszła na dół zobaczyć się z Maggie i wróciła z czerwonymi oczyma. Maggie kazała jej się wynosić. W pół godziny później przysłała na górę współmieszkanka Maggie, Ann, jedna z tych nieszczęsnych dziewczyn, których profil od nosa aż do brody stanowi prostą linię. Maggie wyszła i prosi, aby Alison zabrała swoje rzeczy. Więc poszliśmy po te rzeczy na dół. Uciałem rozmówkę z Ann. Na swój sposób, choć nie brakowało jej pruderii, okazała Alison więcej sympatii, niż się mogłem spodziewać; Maggie wyraźnie, wręcz demonstracyjnie przymykała oczy na wszystkie wady brata.

Przez ariele dni Alison wychodziła z domu tylko nocą ze strachu przed Maggie, która z jakichś nieznanых powodów wydawała jej się znienawidzonym, ale potężnym monolitem australijskich cnót na wypalanej łące dekadencji angielskiej. To ja chodziłem kupić coś do zjedzenia, rozmawialiśmy, spaliśmy, kochaliśmy się, tańczyliśmy i gotowaliśmy o rozmaitych porach dnia i nocy, *sous les toits*; zwykły czas się nie liczył, był równie odległy, jak ponury londyński świat za oknem.

Alison nigdy nie traciła swej kobiecości, nigdy, w przeciwieństwie do większości dziewcząt angielskich, nie zdradziła swej płci. Nie była piękna, często nie była nawet ładna. Ale miała modną chłopięcą sylwetkę, umiała się świetnie, nowocześnie ubrać, umiała się poruszać, toteż całość wyglądała znacznie lepiej niż poszczególne elementy jej powierzchowności. Często siedziałem w aucie i przyglądałem się, jak idzie w moją stronę, zatrzymuje się, przechodzi przez jezdnię; wyglądała cudownie. Ale kiedy była tuż koło mnie, chwilami w jej wyglądzie uderzało

mnie coś płytkiego, miała w sobie coś z rozgrymaszonego dziecka. Jednak nawet kiedy była blisko, przeważnie nie mogłem się w jej urodzie połapać. Przez chwilę była brzydka, a potem wystarczył jeden ruch, zmiana wyrazu twarzy i wszelka brzydota wydawała się czymś nie do pomyślenia.

Kiedy miała wyjść, malowała sobie oczy, co pasowało do wykrzywionych często w podkówkę ust, nadających jej charakterystyczny wygląd skrzywdzonego dziecka, który sprawiał, że miało się ochotę skrzywdzić ją jeszcze bardziej. Na ulicy, w restauracjach, w pubach nie było mężczyzny, który nie zwróciłby na nią uwagi, i ona o tym dobrze wiedziała. Często obserwowałem, jak mężczyźni wodzą wzrokiem za przechodzącą Alison. Była jedną z tych nielicznych, nawet wśród ładnych niewiast, które rodzą się otoczone zmysłową aurą; w życiu takich kobiet najważniejsze będą zawsze ich stosunki z mężczyznami i to, jak mężczyźni na nie reagują. A mężczyźni, nawet ci najbardziej niemęscy, czują to.

Bez tuszu na rzęsach i cieni na powiekach Alison była zwyczajniejsza. W ciągu pierwszych dwunastu godzin nie zachowywała się w sposób typowy dla siebie, ale zawsze było w niej coś przewrotnego, trudno było przewidzieć, co zrobi. Nigdy nie było wiadomo, kiedy pojawi się ta druga Alison, bardziej wyrafinowana, skrzywdzona, a równocześnie twardsza. Oddawała się namiętnie, ale potrafiła ziewnąć w najbardziej nieodpowiednim momencie. Potrafiła spędzić cały dzień na sprzątaniu, gotowaniu, prasowaniu, a potem przez trzy, cztery dni wylegiwała się na podłodze przed kominkiem czytając Króla Leara, kobiece pisma ilustrowane, jakiś kryminał i Hemingwaya — nie naraz, ale kolejno, po kawałeczku, wszystko w ciągu jednego popołudnia. Robiła, co jej przyszło do głowy, i dopiero potem szukała motywacji takiego czy innego postępowania.

Któregoś dnia wróciła do domu z kosztownym wiecznym piórem.

— To dla pana, *monsieur*.

— Co ty wyprawiasz!

— Wszystko w porządku. Ukradłam je.

— Ukradłaś?

— Stale coś kradnę. Nie zauważyłeś?

— Stale?

— Nigdy nie kradnę w małych sklepach. Tylko w domach towarowych. Same o to proszą. Nie rób takiej zgorszonej miny.

— Nie robię. — Ale byłem zgorszony. Stałem trzymając ostrożnie pióro.

Roześmiała się.

— To moje hobby.

— Po sześciu miesiącach w Holloway przestaniesz się śmiać.

Nalała sobie whisky. — *Santé!* Nienawidzę domów towarowych. Ohydni kapitaliści. I to w dodatku, angielscy. Jedna kradzież i trafiam dwa ptaki. No, bracie, uśmiechnij się. — Wsunęła mi pióro do kieszeni. — Masz, jesteś współnikiem zbrodni!

— Muszę się napić.

Wziąwszy do ręki butelkę przypomniałem sobie, że to ona ją „kupiła”. Spojrzałem na nią. Skinęła potakująco głową.

Kiedy nalewałem whisky, stanęła tuż koło mnie: — Nicholas, wiesz dlaczego bierzesz wszystko tak poważnie? Bo zbyt serio traktujesz samego siebie. — Uśmiechnęła się do mnie na wpół czule, na wpół drwiąco i wyszła obrać kartofle. A ja poczułem, że w jakiś tajemniczy sposób obraziłem i ją, i samego siebie.

Którejś nocy usłyszałem, że wypowiada przez sen czyjeś imię.

— Kto to jest Michel? — spytałem następnego dnia rano.

— Ktoś, o kim chcę zapomnieć.

Ale poza tym opowiadała mi o wszystkim, o swojej matce, która była Angielką z dobrej rodziny i starała się rządzić mężem, o ojcu, który był zawiadowcą stacji i przed czterema laty zmarł na raka.

— To dlatego mam taki idiotyczny głos. Za każdym razem kiedy otwieram usta, mama i tata zaczynają we mnie walczyć. To pewnie dlatego nienawidzę Australii i kocham ją, i nigdy nie będę tam mogła być szczęśliwa, a równocześnie ciągle tęsknię do domu. Czy ty coś z tego rozumiesz?

Stale pytała mnie, czy coś rozumiem.

— Pojechałam do Walii odwiedzić rodzinę. Brata mamy. Jezu. Nawet kangur by się rozplakał.

Uważała, że jestem bardzo angielski i bardzo czarujący. Częściowo dlatego, że byłem taki „kulturalny”, często posługiwała się tym słowem. Pete wymyślał jej, ile razy poszła na wystawę lub na koncert. Świetnie go naśladowała: — No, mała, czy nie lepiej się urząnąć?

Któregoś dnia oznajmiła: — Ty wcale nie wiesz, jaki Pete jest fajny. Poza tym, że to skurwiel. Zawsze wiem, czego sobie życzy, wiem, co myśli, i kiedy coś mówi,

wiem, o co mu chodzi. A z tobą sama nie wiem, czego się trzymać. Urażam cię i wcale nie wiem czym. Podobam ci się i też nie wiem dlaczego. Bo jesteś taki angielski. Nie możesz nawet tego zrozumieć.

Skończyła szkołę w Australii i przez rok studiowała języki na uniwersytecie w Sydney. Ale potem poznała Pete'a i „wszystko się pokomplikowało”. Musiała zrobić skrobankę i wyjechała do Anglii.

— On cię na tę skrobankę namówił?

Siedziała na moich kolanach.

— Wcale o tym nie wiedział.

— Nie wiedział!

— Nie byłam pewna, czy to jego dziecko.

— Biedactwo!

— Wiedziałam, że jeśliby to miało być jego dziecko, to go nie będzie chciał. A jeśli nie jego, to trudno, żeby je miał. I tyle.

— Nie było ci...

— Nie chciałam mieć dziecka. Co ja bym z nim zrobiła? — i dodała ciszej: — Tak było.

— A teraz?

Zamilkła. Lekko wzruszyła ramionami.

— Czasem.

Nie widziałem jej twarzy. Siedzieliśmy milcząc, czuliśmy ciepło i bliskość, oboje o tym wiedzieliśmy, i wiedzieliśmy, że jesteśmy oboje zakłopotani implikacjami tej rozmowy o dzieciach. W naszych czasach nie odczuwa się strachu przed seksem, lecz przed miłością.

Któregoś wieczoru wybraliśmy się na stary film Carného *Ludzie za mgłą*. Kiedy wyszliśmy, Alison płakała; po raz drugi rozplakała się w łóżku. Wyczuła moją dezaprobatę.

— Nie jesteś mną. Nie możesz czuć tego, co ja czuję.

— Mówisz tak, jakbym był wyprany z wszelkich uczuć.

— Bo jesteś. Postanawiasz sobie, że nie będziesz się wzruszał, czy coś w tym

rodzaju, i wszystko jest od razu wspaniałe.

— Wcale nie wspaniałe. Po prostu nie takie straszne.

— Ten film wywołał we mnie uczucie, które mnie co chwila nawiedza. Że wszystko, co robimy, nie ma znaczenia. Człowiek ciągle na nowo próbuje być szczęśliwy i nagle zdarza się coś zupełnie przypadkowego i wszystko bierze w łeb. To dlatego, że nie wierzymy w życie pośmiertne.

— Nie dlatego, że nie wierzymy. Że nie możemy wierzyć.

— Za każdym razem, kiedy wychodzisz beze mnie, boję się, że możesz umrzeć. Co dzień myślę o śmierci. Za każdym razem, kiedy jesteś we mnie, myślę sobie, że jest to policzek dla śmierci. To takie uczucie, jakby się miało kupę forsy i świadomość, że za godzinę zamkną sklepy. Idiotyzm, ale człowiek leci wydawać. Czy ty to rozumiesz?

— Jasne. Chodzi ci o bombę?

Leżała paląc papierosa.

— Nie o bombę. O nas.

Nie dała się nabrać na samotne serce, szóstym zmysłem wyczuwała każdą próbę uczuciowego szantażu. Uważała, że bardzo miło jest być zupełnie samemu na świecie i nie mieć żadnych rodzinnych więzów. Kiedy któregoś dnia zacząłem się w aucie rozwodzić nad tym, że nie mam bliskich przyjaciół i użyłem swojej ulubionej metafory: szklany klosz oddziela mnie od świata, ona się po prostu roześmiała.. — Lubisz to — powiedziała — mówisz, że jesteś osamotniony, ale tak naprawdę, stary, to uważasz się za innego od wszystkich. — A kiedy milczałem urażony, dorzuciła, tyle że trochę za późno: — I jesteś inny.

— I osamotniony.

Wzruszyła ramionami.

— Ożeń się z kimś. Ożeń się ze mną.

Powiedziała to takim tonem, jakby proponowała mi aspirynę na ból głowy. Nie odrywałem oczu od jezdni.

— Przecież ty masz wyjść za mąż za Pete'a.

— A ty i tak byś się ze mną nie ożenił, bo jestem dziwką, i to w dodatku z kolonii.

— Wolałbym, żebyś nie używała takich słów.

— I dlatego, że wolałbyś, abym nie używała takich słów.

Stale wycofywaliśmy się znad brzegu przyszłości. Owszem, używaliśmy czasu przeszłego, mówiliśmy, jak to będziemy mieszkać w chacie na wsi, jak ja tam będę pisał, albo kupimy dżipa i przemierzmy całą Australię. Powiedzenie „Kiedy będziemy w Alice Springs” stało się żartem, oznaczało kraj nigdy-nigdy.

Dni mijały, jeden roztapiał się w drugim. Wiedziałem, że obecny romans różni się od moich poprzednich miłostek. Niezależnie od wszystkiego byłem znacznie szczęśliwszy w łóżku. Poza łóżkiem czułem, że uczę ją wielu rzeczy, że wyzbywa się przy mnie swojej prowincjonalności, nieokrzesań, poprawia swój akcent, w łóżku za to ja zamieniałem się w ucznia. Oboje wiedzieliśmy o tym, ale nie potrafiliśmy o tym mówić, może dlatego, że oboje byliśmy jedynakami. Każde z nas mogło coś zyskać, każde z nas miało coś do ofiarowania, a równocześnie z czysto fizycznego punktu widzenia mieliśmy te same gusty, te same apetyty, taki sam brak kompleksów. Zresztą ona, oprócz sztuki miłości, nauczyła mnie także wielu innych rzeczy, ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałem.

Pamiętam dzień, kiedy byliśmy w galerii Tate i zatrzymaliśmy się w jednej z sal. Alison lekko się o mnie opierała, trzymała mnie za rękę i patrzyła na Renoira wzrokiem dziecka, które ssie cukierek. Poczulem nagle, że jesteśmy jednym ciałem, jedną osobą, że gdyby teraz zniknęła, to byłoby tak, jakbym utracił połowę samego siebie. Przerazające uczucie podobne śmierci. Każdy, kto nie starałby się wszystkiego na zimno analizować, kto nie byłby tak pochłonięty sobą jak ja wówczas, zrozumiałby od razu, że to miłość. A ja uznałem to za pożądanie. Zabrałem ją prosto do domu i zdarłem z niej sukienkę.

Innego dnia spotkaliśmy na Jermyn Street Billy White'a, absolwenta Eton, z którym zżyłem się w Oksfordzie, należał do naszej grupy *Hommes Revoltés*. Był to miły chłopak, wcale nie snob, ale — choć sam sobie tego prawdopodobnie nie uświadamiał — każdym ruchem, uśmiechem, sposobem ubierania się i doborem słów manifestował swą przynależność do najwyższych sfer. Weszliśmy do rybnej restauracyjki, właśnie słyszał, że pojawiły się pierwsze ostrygi sezonu. Alison mówiła niewiele, ale i tak czułem się zażenowany jej zachowaniem i akcentem; jakże różniła się od siedzących nie opodal panienek z arystokracji. Kiedy Billy rozlewał resztę Muscadeta, Alison na chwilę znikła.

— Pyszna babka, stary.

Wzruszyłem ramionami.

— Ma kolosalny wdzięk.

– Tyle że lepsza niż termofor.

– Cóż, oczywiście.

Ale wiedziałem, co myśli.

Kiedy się z nim rozstaliśmy, Alison zaczęła nad czymś rozmyślać. Jechaliśmy do Hampstead na jakiś film. Spojrzałem na jej zasepioną twarz.

– Co ci jest?

– Chwilami trudno wytrzymać z takim jak ty wyspiarzem z wyższych sfer.

– Nie należę do wyższych sfer. Jestem typowym przedstawicielem warstw średnich.

– Wyższe, średnie, kogo to na Boga Ojca obchodzi?

Przejechaliśmy dobry kawałek drogi, nim znów się odezwała.

– Zachowywałeś się tak, jakbyś nie miał ze mną nic wspólnego.

– Jesteś niemądra.

– Jakbym była prymitywną dzikuską.

– Co za bzdura?

– Na wszelki wypadek odcinałeś się ode mnie, mogłyby mi na przykład opaść majtki czy coś w tym guście.

– Jak ja ci to mam wytłumaczyć?

– O nie, bracie, nie ma tu nic do tłumaczenia.

Któregoś dnia oznajmiła: – Mam na jutro wyznaczone spotkanie w sprawie pracy.

– Chcesz pójść?

– A ty chcesz, żebym poszła?

– Cóż, takie spotkanie do niczego jeszcze nie zobowiązuje. Nie musisz od razu podejmować decyzji.

– Dobrze mi zrobi, jeśli będą chcieli mnie przyjąć. Taka świadomość dobrze mi zrobi.

Zmieniła temat, mogłem się na tę zmianę tematu nie zgodzić. Ale się zgodziłem.

I zaraz następnego dnia ja także otrzymałem list wzywający mnie na rozmowę. Rozmowa Alison już się odbyła, Alison wydawało się, że przebiegła pomyślnie. W trzy dni później otrzymała list, że za dziesięć dni ma się zgłosić na szkolenie.



Zostałem przeegzaminowany przez komisję składającą się z samych fisz. Potem spotkałem się z Alison na mieście i poszliśmy do włoskiej restauracyjki. Był to dziwny lunch, zachowywaliśmy się tak, jakbyśmy się wcale nie znali. Alison miała zmęczoną, poszarzałą buzię, policzki lekko obwisłe. Zapytałem, co robiła, gdy mnie nie było.

— Napisałam list.

— Do nich?

— Tak.

— Co napisałaś?

— Jak myślisz?

— Że przyjmujesz propozycję.

Nastąpiła przykra chwila milczenia. Wiedziałem, co chciała ode mnie usłyszeć, ale nie mogłem tego wykrztusić. Czułem się jak lunatyk, który budzi się na krawędzi dachu. Nie dojrzałem jeszcze do małżeństwa, do ustatkowania się. Nie czułem się jej dostatecznie bliski psychicznie, rozdzielało nas coś, czego nie potrafiłbym zdefiniować, ale to tajemnicze coś emanowało z niej, nie ze mnie.

— Moja kompania lotnicza ma linię prowadzącą przez Ateny. Jeśli pojedziesz do Grecji, to cię tam odwiedzę. A zresztą zostaniesz może w Londynie. Jakoś to będzie.

Zaczęliśmy snuć plany, jak będzie wyglądało nasze życie, jeśli nie dostanę pracy w Grecji.

Ale dostałem. Nadszedł list oznajmiający, że moje nazwisko zostało przesłane do komisji edukacyjnej w Atenach, „czysta formalność”. W początku października powinienem już być w Grecji.

Ledwie wbiegłem po schodach, pokazałem Alison list i przyglądałem się jej, kiedy go czytała. Oczekiwałem, że się zmartwi, ale nie okazała zmartwienia. Ucałowała mnie.

— Mówiłam ci.

— Tak.

— Musimy to uczcić. Pojedźmy na wieś.

Uległem jej. Starła się potraktować sprawę lekko, a ja byłem zbyt wielkim tchórzem, żeby zacząć się zastanawiać, czemu czuję się potajemnie dotknięty tą jej pogodą. Pojechaliśmy zatem na wieś, po powrocie poszliśmy do kina, a potem

potaćzyć do Soho i przez cały czas Alison nie chciała potraktować sprawy serio. Ale kiedy znaleźliśmy się w łóżku, po miłości nie mogliśmy zasnąć i musieliśmy porozmawiać poważnie.

— Alison, co ja mam im jutro odpowiedzieć?

— Przyjąć propozycję.

— Chcesz, żebym ją przyjął?

— O nie, nie zaczynajmy wszystkiego od nowa.

Leżeliśmy na wznak, wiedziałem, że ma szeroko otwarte oczy. Liście drzewa rosnącego na dole koło latarni rzucały na nasz sufit drżące cienie.

— Gdybym potrafił powiedzieć, co do ciebie czuję, to...

— Wiem, co czujesz.

Nastąpiła nabrzmiała oskarżeniem cisza.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej nagiego brzucha. Odsunęła moją dłoń, ale zatrzymała ją w swojej. — Ty czujesz, ja czuję, no i co z tego. Chodzi o to, co my czujemy. To, co ty czujesz, czuję także ja. Jestem kobietą.

Znów ogarnął mnie lęk i przemyślnie sformułowałem pytanie:

— Czy wyszłabyś za mnie, gdybym cię o to poprosił?

— Dziwnie to ująłeś.

— Ożeniłbym się z tobą już jutro, gdybym czuł, że naprawdę mnie potrzebujesz.

Że mnie chcesz.

— Och, Nicko, Nicko. — W szyby uderzył deszcz. Parokrotnie potrząsnęła moją ręką. Nastąpiło milczenie.

— Muszę wyjechać z tego kraju.

Nie odpowiedziała, znów nastąpiło milczenie, wreszcie odezwała się:

— W przyszłym tygodniu wraca do Londynu Pete.

— Co on zrobi?

— Nie martw się. Wie o wszystkim.

— Skąd wiesz, że wie?

— Napisałam do niego.

— Odpisał ci?

Szepnęła: — Że każdy robi, co chce.

— Chcesz do niego wrócić?

Oparła się na łokciu i przysunęła do siebie moją głowę, tak że nasze twarze niemal się dotykały.

— Poproś mnie o rękę.

— Wyjdiesz za mnie?

— Nie. — I odwróciła się.

— Po co ci to było?

— Żebyśmy to już mieli z głowy. Ja zostanę stewardesą, a ty pojedziesz do Grecji. Jesteś wolny!

— Ty także jesteś wolna.

— Jeśli ma ci to zrobić przyjemność... tak, ja też jestem wolna.

W okna i dach zaczęły nagle siec strumienie deszczu; była to wiosenna ulewa nie pasująca do obecnej pory roku. W sypialni zrobiło się duszno od niewypowiedzianych słów, niesformułowanych oskarżeń, zaległa zła cisza, taka jak przed zawaleniem się mostu. Leżeliśmy obok siebie, nie dotykając się, dwa posągi na łóżku, które zamieniło się w nagrobek, ogarnięci obrzydliwym strachem, żeby nie powiedzieć tego, co naprawdę myśleliśmy. Wreszcie Alison odezwała się, próbowała mówić najnormalniejszym tonem, ale jej głos zabrzmiał szorstko.

— Nie chciałabym ci zadać bólu, a im bardziej ciebie... chcę, tym bardziej mogę cię zranić. I nie chcę przez ciebie cierpieć, a im bardziej nie będziesz mnie chciał, tym bardziej będę cierpiała. — Na chwilę wyszła z łóżka. Kiedy wróciła, spytała: — Decyzja zapadła, co?

— Chyba tak.

Nie rozmawialiśmy więcej. Alison szybko usnęła, uznałem nawet, że zbyt szybko.

Rano była wesola. Zadzwoiłem do British Council. I poszedłem tam, by wysłuchać dobrych rad oraz gratulacji panny Spencer-Haig. Zabrałem ją zresztą jeszcze raz na lunch, modląc się w duchu, aby był to raz ostatni.

## 5

Alison nie mogła wiedzieć — bo ja sam sobie tego wówczas nie uświadamiałem — że w ciągu ostatnich tygodni września zdradzałem ją z inną kobietą. Kobietą tą była Grecja. Gdyby komisja odrzuciła moją kandydaturę, i tak pojechałbym do Grecji. W

szkole nie uczyłem się greckiego, a moja znajomość historii nowoczesnej Grecji zaczynała się i kończyła na śmierci Byrona w Missolongi. Ale tamtego ranka w British Council na sam dźwięk słowa Grecja obudziła się we mnie dziwna tęsknota. Tak jakby ktoś w momencie, kiedy wszystko wydawało się stracone, wymyślił genialne wyjście z sytuacji. Grecja – czemu wcześniej nie przyszło mi to na myśl? Jak to dobrze brzmi: „jadę do Grecji”. Nie znałem nikogo, kto odwiedziłby Grecję – było to jeszcze, nim zaczęła się nowa inwazja turystów. Rzuciłem się na książki, czytałem wszystko, co udało mi się znaleźć o tym kraju. Byłem zaskoczony, jak niewiele o nim wiem. Czytałem i czytałem; niczym średniowieczny król, zakochałem się w portrecie na długo przed obejrzeniem rzeczywistości.

Przed wyjazdem niemal już zapomniałem, że chodziło mi o ucieczkę z Anglii. O Alison myślałem tylko w związku z moim wyjazdem do Grecji. Kiedy kochaliśmy się, widziałem ją w Grecji u swego boku, kiedy indziej widziałem w Grecji tylko siebie. Alison nie miała wielkich szans.

Otrzymałem telegram od dyrekcji szkoły zatwierdzający moją nominację, potem nadszedł napisany potworną angielszczyzną uprzejmy list od mojego nowego dyrektora i umowa, którą miałem podpisać. Panna Spencer-Haig podała mi nazwisko i adres faceta w Northumberland, który pracował w tej szkole w poprzednim roku. To nie British Council wysunęło jego kandydaturę, nic zatem nie potrafiła mi o nim powiedzieć. Napisałem do niego, ale nie otrzymałem odpowiedzi. Do wyjazdu pozostało mi jeszcze dziesięć dni.

Z Alison wszystko stało się dosyć skomplikowane. Musiałem opuścić mieszkanie na Russell Square i straciliśmy trzy dni szukając dla niej nowego lokum. Wreszcie znaleźliśmy duży pokój niedaleko Baker Street. Pakowanie i przeprowadzka dały się nam obojgu we znaki. Ja miałem wyjechać dopiero drugiego października, ale Alison zaczęła już chodzić do pracy i nie bardzo umieliśmy się pogodzić z wczesnym wstawaniem i zorganizowanym trybem życia. Dwukrotnie pokłóciliśmy się. Pierwszą kłótnię rozpoczęła ona i podsycala ją, jak mogła, aż wreszcie dała upust swej pogardzie dla mężczyzn w ogóle, a dla mnie w szczególności. Byłem snobem, pedantem, donżuanem dla ubogich itd., itd. Następnego dnia przy śniadaniu zachowała lodowate milczenie, a kiedy wieczorem poszedłem po nią, nie stawiała się w umówionym miejscu. Czekałem godzinę i wróciłem do domu. W domu jej także nie było. Zadzwoiłem na lotnisko i dowiedziałem się, że nie ma już tam żadnej praktykantki. Czekałem coraz bardziej wściekły, a Alison wróciła dopiero o jedenastej.

Poszła do łazienki, zdjęła płaszcz, nastawiła mleko, które zawsze piła przed snem, i nie odezwała się ani słowem.

— Gdzieś ty, u diabła, była?

— Nie mam zamiaru odpowiadać na żadne pytania.

Stała nad maszynką w kuchennej wnęce. Uparła się wynająć tani pokój. Nie cierpiałem tego spania, gotowania, mieszkania w jednym i tym samym pokoju, nie cierpiałem wspólnej łazienki i konieczności porozumiewania się szeptem.

— Wiem, gdzie byłaś.

— Co ty powiesz!

— Byłaś z Petem.

— Niech ci będzie. Byłam z Petem. — Spojrzała na mnie z wściekłością. — No i co?

— Mogłaś poczekać do czwartku.

— Dlaczego miałam czekać?

Wtedy wpadłem we wściekłość. Zacząłem wyciągać z pamięci wszystko, czym mogłem ją zranić. Nie powiedziała nic, rozebrała się i położyła do łóżka, twarzą do ściany. Zaczęła płakać. Z ogromną ulgą powtarzałem sobie, że wkrótce już będę od tego wszystkiego uwolniony. Nie, żebym wierzył we własne oskarżenia, ale nienawidziłem jej za to, że doprowadziła mnie do ich sformułowania. Wreszcie usiadłem na łóżku i patrzyłem, jak z jej zapuchniętych oczu lecą łzy.

— Czekałem na ciebie tyle godzin.

— Poszłam do kina. Wcale nie widziałam się z Petem.

— Dlaczego skłamałaś?

— Bo mi nie ufasz. Jakbym mogła coś takiego zrobić!

— Dlaczego na sam koniec musimy się tak parszywie zachowywać?

— Dziś wieczorem miałam ochotę się zabić. Gdybym miała dość odwagi, rzuciłabym się pod pociąg. Stałam na peronie i nie mogłam się oprzeć tej myśli.

— Należę ci whisky. — Przyniosłem jej szklaneczkę. — Boże, jakbym chciał, żebyś nie mieszkała sama. Czy nie ma jakiejś stewardesy, z którą mogłabyś...

— Nigdy już nie zamieszkać z żadną dziewczyną.

— Czy masz zamiar wrócić do Pete'a?

Spojrzała na mnie gniewnie.

— Czy próbujesz mnie od tego powstrzymać?

— Nie.

Opadła na poduszki i zaczęła wpatrywać się w ścianę. Lekko się uśmiechnęła. Whisky zaczęła działać. — Jak na obrazach Hogartha. Miłość *à la mode*. Pięć tygodni później.

— Jesteśmy przyjaciółmi?

— Nigdy już nie będziemy przyjaciółmi.

— Gdybyś to nie była ty, tobym dziś wieczór wyszedł i nie wrócił.

— Gdybyś to nie był ty, tobym dziś wieczór nie wróciła.

Wyciągnęła w moją stronę pustą szklanę. Pocałowałem wyciągniętą dłoń i poszedłem po whisky.

— Czy wiesz, o czym dziś myślałam? — zawołała przez pokój.

— O czym?

— Że gdybym się zabiła, byłbyś zadowolony. Chodziłbyś i opowiadał: ona się przeze mnie zabiła. I to powstrzyma mnie od samobójstwa. Nie dopuszczę, żeby jakiś parszywy buc miał się przechwalać.

— Cios poniżej pasa.

— Potem pomyślałam, że mogłabym to zrobić, gdybym napisała, dlaczego to zrobiłam. — Dalej patrzyła na mnie, bynajmniej nie ułagodzona. — Zajrzyj do mojej torebki. Jest tam bloczek do stenografii. — Wyjąłem go. — Zajrzyj na koniec.

Zobaczyłem dwie strony zapisane dużymi literami.

— Kiedy to napisałaś?

— Przeczytaj.

*Nie mam ochoty dłużej żyć. Niemal nigdy nie miałam ochoty żyć. Szczęśliwa jestem tylko tutaj, gdzie się uczę i muszę o tym myśleć; albo kiedy czytam; albo w kinie. No i w łóżku. Jestem szczęśliwa tylko wtedy, kiedy zapominam, że żyję. Kiedy istnieją tylko moje oczy, albo uszy, albo skóra. Nie pamiętam, abym od dwóch czy trzech lat była szczęśliwa. Od tamtej skrobanki. Tylko czasem zmuszałam się, by wyglądać na szczęśliwą, żebym spojrzawszy w lustro mogła się oszukiwać, że przez chwilę jestem szczęśliwa.*

Dalej były jeszcze dwa zdania, ale grubo przekreślone. Spojrzałem jej w oczy.

— Przecież wcale tak nie myślisz.

— Napisałam to dzisiaj podczas przerwy. Gdybym wiedziała, jak można się zabić w stołówce, zrobiłabym to.

— Brzmi to histerycznie.

— Jestem histeryczką! — niemal krzyknęła.

— I komediantką. Pisałaś po to, żebym ja przeczytał.

Dłuższa chwila milczenia. Alison nie otworzyła oczu.

— Tak. Ale nie tylko po to.

I znów się rozplakała, ale tym razem płakała już w moich ramionach. Próbowałem przemówić jej do rozsądku. Obiecywałem, że odłożę podróż do Grecji, że w ogóle nie przyjmę tej posady, obiecywałem jej sto rzeczy, których nie zamierzałem dotrzymać i ona o tym dobrze wiedziała, ale udało mi się ją uspokoić.

Rano namówiłem ją, żeby zadzwoniła i powiedziała, że źle się czuje, i cały dzień spędziliśmy na wsi.

Następnego dnia rano, a było to na dwa dni przed moim wyjazdem, nadeszła kartka pocztowa ze stemplem z Northumberland. Od Mitforda, tego faceta, który był na Phraxos. Pisał, że jeśli chcę się z nim zobaczyć to przez parę dni będzie w Londynie.

Zadzwoniłem do niego w środę do Klubu Armii i Floty i zaprosiłem na drinka. Był ode mnie o dwa, trzy lata starszy, mocno opalony, miał wąską głowę i błękitne oczy, nieruchomy wzrok. Co chwila dotykał ciemnych, przystrzyżonych po oficersku wąsików, miał na sobie granatowy blezer i pułkowy krawat. Wyglądał jak przebrany i od razu rozpoczęliśmy podjazdową wojnę prestiżów i antyprestiżów. W czasie niemieckiej okupacji był w Grecji jako skoczek spadochronowy i usta mu się nie zamykały na temat Xanów i Paddy'ch i innych znanych *condottieri* tamtych czasów, o których mówił po imieniu. Bardzo się starał objawić trójjedyną osobowość modnego filhellena — pokazać, że jest zarazem dżentelmenem, człowiekiem wykształconym i łotrzykiem — ale mówił nieautentycznym akcentem, urywanymi zdaniem i używał szkolnego żargonu z nie najlepszej jednak szkoły. Był dogmatyczny, zasadniczy, wyczuwało się, że poza polem bitwy nie bardzo potrafi się znaleźć. Piliśmy różowy gin i udawało mi się dobrze odegrać swoją rolę: oznajmiłem mu, że dla mnie wojna oznaczała tylko dwa lata marzeń o najszybszej demobilizacji. Wszystko to było absurdalne. Chodziło mi przecież o informacje, a nie o to, by wzbudzić jego antypatię, przyznałem się więc w końcu, że jestem synem wojskowego i zapytałem, jak wygląda ta wyspa.

Wskazał na stojące na barze dania. — Ma pan tu wyspę. — Papierosem pokazał

jeden z półmisków. — Czyli pasztet. Chodzi o kształt. W środku grzbiet. W tym kąciku ma pan szkołę i wieś. A cała reszta północnego brzegu i południe to jedna wielka pustka.

— A szkoła?

— Pierwsza klasa! Najlepsza w Grecji.

— Dyscyplina?

Wyciągnął dłoń, sztywną jak do ciosu karate.

— Jakież specjalne problemy z nauczaniem?

— Zwykły gips — przyglądał wążki, wpatrując się w zawieszony nad barem lustro i wymienił tytuły paru książek.

Zapytał go o życie poza szkołą.

— Nie ma życia. Wyspa jest całkiem fajna, jeśli pan lubi takie rzeczy. Ptaszki, pszczołki i takie tam.

— A wieś?

Uśmiechnął się złowieszczo. — Stary, grecka wieś to nie jest wieś angielska. Towarzystwo zero. Żony nauczycieli. Paru drobnych urzędników. Czasem uczniów odwiedzają ich starzy. — Podniósł głowę, jakby uwierał go kołnierzyk. Był to tik mający mu dodawać autorytetu. — Parę willi. Ale przez dziesięć miesięcy w roku świecą pustką.

— Maluje pan przede mną niezbyt zachęcający obraz.

— Nie da się ukryć, że to zadupie. Cholerne zadupie. A ci faceci z willi to nudziarze. Poza jednym, ale tego pan pewnie nie spotka.

— Tak?

— Pokłóciliśmy się i wygarnąłem mu prosto z mostu, co o nim myślę.

— Dlaczego?

— Drań kolaborował w czasie wojny. I o to właściwie poszło — wypuścił kłęb dymu. — Nie, jeśli zbierze się panu na pogawędkę, będzie pan miał tylko innych belfrów.

— Mówią po angielsku?

— Większość zaszuwa po francowatemu. No i jest ten Grek, który będzie z panem uczył angielskiego. Zadufany buc. Raz podbiłem mu oko.

— Nie da się zaprzeczyć, że niezłe przygotował pan dla mnie grunt.

Zaśmiał się. — Wie pan, ich trzeba trzymać za mordę. — Poczł, że ześlizgnęła mu się maska. — Ale grecki wieśniak, szczególnie z Krety, to sama sól ziemi.



Wspaniałe chłopaki. Może mi pan wierzyć. Dobrze ich poznałem.

Spytałem, czemu stamtąd wyjechał.

— Piszę książkę. Wojenne wspomnienia i takie tam. Chodziło o kontakt z wydawcą. Pan rozumie.

Było w nim coś desperackiego. Mogłem go sobie świetnie wyobrazić, jak pomyka chyżo niczym ogarnięty żądzą zniszczenia harcerzyk przebrany w jakiś fantastyczny mundur, wysadzając w powietrze mosty; a tu musiał żyć w tym nudnym, powojennym, społeczeństwie dobrobytu jak zabłąkany ichtiozaur. Śpiesznie ciągnął:

— Będzie pan wył z tęsknoty za Anglią. Panu będzie jeszcze trudniej. Nie zna pan greki. Jedyne pociecha to upić się. Będzie pan pił. Wszyscy to robią. Muszą. — Zaczął opowiadać o zaletach *retsiny* i *aretsinato*, *raki* i *ouzo*, a potem przeszedł na kobiety. — Dziewczynki w Atenach są nie do użytku. Chyba że chce pan złapać syfa.

— A na wyspie?

— Nic. Najbrzydsze kobiety nad całym Morzem Egejskim. Poza tym niebezpiecznie z nimi zaczynać. Honor wsi. Nie radzę. Miałem tego próbkę w innym podobnym miejscu. — Wykrzywił usta w grymasie i spojrzał na mnie porozumiewawczo spod oka.

Odwiozłem go do jego klubu. Było mgliste popołudnie, już się ściemniało, ludzie, auta, wszystko zasnute było rybią szarością. Zapytałem, czemu nie został w wojsku.

— W wojsku panuje cholerna ortodoksja. Szczególnie podczas pokoju.

Domyśliłem się, że nie chciano go na zawodowca. Pod pokrywką manier z kasyna oficerskiego było w nim coś niezrównoważonego, gwałtownego.

Dojechaliśmy tam, gdzie chciał wysiąść.

— Myśli pan, że dam sobie radę?

Spojrzał na mnie z powątpiewaniem. — Niech ich pan ostro trzyma. Jedyne sposoby. Nie wolno im się dać. Tego faceta, co był przede mną, wykończyli. Nigdy go nie spotkałem, ale ponoć zwyczajnie znikował. Nie umiał sobie poradzić z uczniami.

Wysiadł z auta.

— No, wszystkiego — uśmiechnął się. — Jedna dobra rada — trzymał rękę na klamce drzwiczek. — Niech się pan wystrzega poczekalni.

Zatrzasnął drzwiczki, wyglądało na to, że obmyślił sobie tę scenę. Szybko otworzyłem okno i wychyliłem się: — Czego mam się strzec?

Odwrócił się, ale tylko skinął mi ręką. Pochłonął go tłum na Trafalgar Square.

Nie mogłem przestać myśleć o jego uśmiechu. Był taki tajemniczy. I to ostatnie dziwne zdanie. Poczekalnia, poczekalnia, poczekalnia, przez cały wieczór słowo to nie przestawało mi krążyć po głowie.

## 6

Zabrałem Alison i pojechaliśmy do garażu, który miał się zająć sprzedażą mego wozu. Chciałem zostawić samochód Alison, ale odmówiła.

— Musiałabym stale o tobie myśleć.

— To dobrze.

— Nie chcę o tobie myśleć. I nie mogłabym znieść, żeby ktoś siedział na twoim miejscu.

— To weź forszę, którą za niego dostanę. Nie będzie tego dużo.

— Chcesz mi zapłacić?

— Nie bądź niemądra.

— Niczego nie chcę.

Ale ja wiedziałem, że ma ochotę na skuter. I postanowiłem zostawić jej czek wraz z kartką „Na skuter”. Miałem nadzieję, że po moim wyjeździe to przyjmie.

Ostatni wieczór był dziwnie spokojny, tak jakbym już wyjechał i rozmawiał z sobą nasze dwa duchy. Omawialiśmy następny dzień. Nie chciała mnie odprowadzić na stację Victoria — jechałem pociągiem — zjemy więc zwyczajnie śniadanie, potem ona wyjdzie do pracy, tak będzie najlepiej. Mówiliśmy też o przyszłości. Jak tylko się da, postara się latać do Aten. Jeżeli nie, to ja na Gwiazdkę przylecę do Anglii. A może spotkamy się gdzieś w pół drogi — Rzym, Szwajcaria?

— Alice Springs — powiedziała.

W nocy leżeliśmy nie śpiąc, oboje wiedzieliśmy, że nie śpimy, ale baliśmy się rozmawiać. Wreszcie Alison oświadczyła:

— A gdybym ci powiedziała, że będę czekać? — Milczałem. — To znaczy... myślę, że mogłabym na ciebie czekać.

— Wiem.

— Zawsze odpowiadasz: „wiem”. Ale to żadna odpowiedź.

— Wiem. — Uszczypliła mnie w rękę. — A gdybym powiedział, tak, czekaj, za rok będę wiedział. I ty byś czekała i czekała.

– Nie szkodzi.

– Zwariowałaś. Co byś powiedziała o człowieku, który posłałby dziewczynę do klasztoru, żeby czekała, aż będzie gotów się z nią ożenić, a potem oświadczył jej, że się rozmyślił? To by było to samo. Musimy być wolni. Nie mamy wyboru.

– Nie wściekaj się. Proszę cię, tylko się nie wściekaj.

– Musimy spojrzeć prawdzie w oczy.

Nastąpiło milczenie.

– Pomyślałam sobie, jak to będzie, kiedy jutro wieczorem tu wrócę. To dlatego.

– Będę co dzień pisał.

– Tak.

– To będzie coś w rodzaju próby. Zobaczymy, czy bardzo będziemy za sobą tęsknić.

– Wiem, jak to jest, kiedy ktoś odjeżdża. Tydzień piekła, potem przez tydzień przykro, potem zaczyna się zapominać, potem wydaje się, że to się nigdy nie zdarzyło, że zdarzyło się komuś innemu i człowiek wzrusza ramionami. I mówi sobie, takie jest życie, tak to już musi być. Mówi same głupie rzeczy. Jakby czegoś na zawsze nie utracił.

– Nie zapomnę. Nigdy nie zapomnę.

– Zapomnisz. I ja także.

– Musimy tylko dalej żyć. Choćby to było nie wiem jak smutne.

Po dłuższej chwili Alison zauważyła: – Wydaje się, że ty nie wiesz, co to smutek.

Rano zaspaliśmy. Umyślnie nastawiłem budzik na zbyt późną godzinę, żeby się trzeba było śpieszyć, żeby nie było czasu na łyzy. Alison zjadła śniadanie na stojąco. Rozmawialiśmy o bzdurach, o tym, że musi zamówić mniejszą ilość mleka, i o tym, gdzie może być zapodziata przeze mnie karta wstępu do biblioteki. Potem Alison odstawiła filiżankę i znaleźliśmy się przy drzwiach. Widziałem jej twarz, jakby jeszcze nie było na wszystko za późno, wszystko działo się jak w złym śnie, jej szare oczy szukały mego spojrzenia. W jej oczach stanęły łyzy, otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć. Ale tylko nachyliła się niezdarnie, rozpaczliwie, pocałowała mnie tak szybko, że zaledwie poczułem dotyk jej ust i znikła. Mignął mi tylko na schodach jej płaszcz z wielbłądziej wełny. Nie obejrzała się. Podszedłem do okna i zobaczyłem, jak

przechodzi szybko przez ulicę, jasny płaszcz i niemal tak samo jasne włosy, zobaczyłem, jak sięga do torebki, wyciera nos. Ani razu się nie obejrzała. Zaczęła biec. Otworzyłem okno, wychyliłem się i obserwowałem, jak na rogu ulicy skręca w Marylebone Road. I nawet wtedy, w tym ostatnim momencie nie obejrzała się za siebie.

Wróciłem do pokoju, zmyłem naczynia po śniadaniu, posłałem łóżko, a potem usiadłem przy stole, wypisałem czek na pięćdziesiąt funtów, napisałem liścik:

*Alison, kochanie, proszę, wierz mi, gdybym miał być z kimś, to tylko z tobą. Nie mogłem okazać, jak mi jest smutno, bo byśmy oboje oszaleli. Proszę, noś te kolczyki. Proszę, weź te pieniądze, kup sobie skuter i pojedź tam, gdzieśmy jeździli – albo kup sobie coś innego, co chcesz. Proszę, dbaj o siebie. Boże drogi, jakżebym chciał być wart tego, żeby na mnie czekać...*

Nicholas

List miał brzmieć spontanicznie, ale obmyślałem go przez wiele dni. Włożyłem czek i kartkę do koperty, położyłem ją na kominku wraz z pudełeczkiem z dżetowymi kolczykami, które kiedyś zobaczyliśmy na wystawie zamkniętego wówczas antykwariatu. Potem ogoliłem się i poszedłem po taksówkę.

Kiedy taksówka skręciła na najbliższym rogu, czułem przede wszystkim ulgę, że udało mi się uciec, nieco mniej wyraźne, ale bardziej obrzydliwe było przekonanie, że Alison kocha mnie bardziej niż ja ją, a zatem w jakiś nieokreślony sposób odniosłem zwycięstwo. Tak więc oprócz podniecenia podróżą w nieznaną i radością, że znów rozwijam skrzydła, miałem przyjemną świadomość triumfu. Było to uczucie oschłe, ale ja cenilem oschłość. Zdązałem w stronę Victorii, jak zgłodniały człowiek zdąża na dobry obiad po paru szklaneczkach Mananzilli. Zacząłem nucić pod nosem, bynajmniej nie dlatego, aby dzielnie ukryć żal, po prostu miałem ochotę uczić chwilę odzyskania wolności.

Cztery dni później stałem na Hymecie, patrząc w dół na wielki zespół Aten i Pireusu, na miasta i przedmieścia, na domki rozrzucone jak tysiąc kości po attyckiej

równinie. Na południu rozciągało się czyste, błękitne, letnie morze, na nim blade wyspy koloru pumeksu, a dalej nad horyzontem sterczały pogodne góry Peloponezu. Pogodne, wspaniałe, majestatyczne: szukałem jakichś mniej zużytych przymiotników, ale każdy wydawał się zbyt ubogi. Wzrok mój sięgał co najmniej osiemdziesiąt mil w dal, wszystko było przejrzyste, wspaniałe, przeświecione, ogromne, takie jak przed wiekami.

Poczułem się, jakbym odbywał podróż w kosmos. Stałem na Marsie, po kolana w tymianku, pod niebem, które zdawało się nie znać kurzu ani chmur. Spojrzałem na moje blade, londyńskie ręce. Nawet one wydawały się zmienione, były mi obrzydliwie obce, były czymś, od czego już dawno powinienem się był odżegnać.

Kiedy to śródziemnomorskie światło opadło na otaczający mnie świat, zobaczyłem, że jest ono wspaniałe piękne, ale kiedy mnie dotknęło, poczułem jego wrogość. Wydawało się, że nie oczyszcza tego, na co pada, lecz zżera. Czuję się tak, jakby za chwilę w świetle reflektorów miało się rozpocząć przesłuchanie, wydawało mi się, że przez otwarte drzwi widzę stół, do którego przymocowane są rzemienie, moje dawne ja wiedziało, że tego nie wytrzyma. Częściowo był to strach, elementarny strach przed miłością, bo od momentu przyjazdu poczułem się zakochany, na zawsze zakochany w greckim pejzażu. Ale wraz z miłością pojawiło się rozdrażnienie, poczucie niemożności, poczucie niższości, jakby Grecja była kobietą tak pociągającą fizycznie, że musiałem się w niej rozpaczliwie zakochać, a równocześnie miała w sobie tak arystokratyczny spokój, że nie czułem się na siłach, by próbować ją zdobyć.

Żadna z przeczytanych przeze mnie książek nie wyjaśniała, na czym polega ta złowieszcza fascynacja, jaką wywołuje Grecja, ten jej aspekt Circe, to coś, co sprawia, że jest jedyna i niezastąpiona. W Anglii przyroda, a właściwie to, co z niej pozostało, jest oswojone i żyjemy w spokojnej symbiozie z pejzażem i miękkim północnym światłem; w Grecji światło jest tak cudowne, tak wszechobecne, tak intensywne i gwałtowne, że wzbudza natychmiast namiętność, miłość połączoną z nienawiścią. Wiele miesięcy trwało, nim to zrozumiałem, a pogodziłem się z tym dopiero po wielu latach.

Nieco później tego dnia stałem przy oknie pokoju hotelowego; do hotelu tego skierował mnie młody znudzony urzędnik British Council. Przed chwilą skończyłem list do Alison, ale wydawała mi się już czymś bardzo odległym, nie w przestrzeni, nie w czasie, ale w innym wymiarze, który nie ma nazwy. Może po prostu w rzeczywistości. Patrzyłem na Plac Konstytucji, miejsce spotkań całych Aten,

przyglądałem się gromadkom spacerowiczów, białe koszule, ciemne okulary, nagie opalone ramiona. Syczący szmer unosił się znad stolików kawiarnianych tarasów. Panował upał, taki jak w Anglii w lipcu, a niebo było dalej doskonale czyste. Wychyliwszy się z okna i spojrzawszy na wschód mogłem dojrzeć Hymet, na którego wierzchołku stałem rano, jego zachodnie zbocze lilaróżowe jak cyklamen. Z drugiej strony nad chaosem dachów wznosiła się masywna czarna sylwetka Akropolu. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak sobie wyobrażałem, więc aż nierzeczywiście. I poczułem się tak samo radośnie zdezorientowany, tak samo szczęśliwy z pełnej wyczekiwania samotności jak Alicja w krainie czarów.

Phraxos oddalona była od Aten o osiem olśniewających godzin na małym parowcu, sześć mil od Peloponezu, pośród krajobrazu, który równie głęboko zapadał w pamięć jak sama wyspa: na pomoc i na zachód sięgało ramię gór, a Phraxos leżała w jego wygięciu; na wschodzie w dali majaczyły łagodne wzgórza archipelagu, na południe miękka błękitna pustynia Morza Egejskiego ciągnęła się aż po Krete. Phraxos była piękna. Nie można było użyć innego przymiotnika, nie można było jej nazwać malowniczą, czarującą, ładną — była po prostu i bez wysiłku piękna. Kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem, zapało mi dech, unosiła się na wodzie jak majestatyczny czarny wieloryb na tle ametystowego wieczornego morza, tuż nad nią świeciła Wenus; do dziś zapiera mi dech, gdy zamykam oczy i wyobrażam ją sobie. Nawet na Morzu Egejskim jej uroda była czymś wyjątkowym, gdyż na wzgórzach rosły pinie, śródziemnomorskie pinie o kiściach igieł tak lekkich jak pióra dzwońca. Dziewięć dziesiątych wyspy stanowiła nie zamieszкана, nie uprawiana ziemia: pinie, zatoczki, cisza, morze. W północno-zachodni kąt wciśnięta była malownicza miejscowość; śnieżnobiałe domki wokół dwóch niewielkich portów.

Ale na długo przed przybiciem do lądu rzucały się w oczy dwa szkaradzieństwa. Obok większego portu wznosił się opasły hotel w stylu edwardiańskim, równie tu nie pasujący jak taksówka do doryckiej świątyni. Drugi budynek, równie nie przystosowany do krajobrazu, stał na skraju wsi i sprawiał, że otaczające go chaty robiły wrażenie skarłowaciałych: odstrasząco długi, wielopiętrowy i mimo korynckiej fasady wyglądający na fabrykę — jak odkryłem później, podobieństwo było nie tylko zewnętrzne.

Ale pomijając szkołę im. lorda Byrona, hotel „Filadelfię” i wioskę, wyspa —

trzydzieści mil kwadratowych wyspy — była to ziemia dziewicza. Na stromych zboczach północnego brzegu znajdowało się kilka tarasów uprawnej ziemi i parę oliwkowych sadów, ale cała reszta pokryta była piniowym lasem. Żadnych wykopalisk, starożytni Grecy nie lubili smaku wody z cysterny.

Brak strumieni sprawił też, że na wyspie nie było żadnych dzikich zwierząt i bardzo mało ptactwa. Cechę charakterystyczną stanowiła panująca poza wsią cisza. Na wzgórzach zdarzało się spotkać pasterza i jego zimowe (w lecie trawa wysychała doszczętnie) stadko kóz z zawieszonymi na szyjach dzwoneczkami, zgięta, w pół pod wiązką chrustu wieśniaczkę albo zbieraczy żywicy, zdarzało się to jednak rzadko. Świat sprzed ery maszyn, niemal sprzed ery człowieka i najmniejsze wydarzenie — przelot srokosza, odkrycie nowej ścieżki, płynący w oddali żaglowiec — nabierało niewytłumaczalnego znaczenia. Była to najmniej metafizyczna, najbardziej nienordycka samotność na świecie. Tej wyspy nigdy nie nawiedził strach. Jeśli ktoś ją nawiedzał, to nie potwory, lecz nimfy.

Często chodziłem na spacer, aby uciec od przyprawiającej o klaustrofobię atmosfery szkoły. Z początku było coś zabawnie absurdalnego w wykładaniu w szkole (zorganizowanej na wzór Eton-Harrow) oddalonej tylko o spojrzenie od miejsca, gdzie Klitemnestra zabiła Agamemnona. Nauczyciele, choć padali ofiarą tego, że w kraju ich istniały tylko dwa uniwersytety, byli niewątpliwie na dużo wyższym poziomie, niż to sugerował Mitford, a chłopcy byli tacy sami jak wszędzie, ani lepsi, ani gorsi. Do nauki angielskiego podchodzili z bezlitosną praktycznością. Nic ich nie obchodziła literatura, interesowali się wyłącznie techniką. Kiedy próbowałem czytać z nimi wiersze, ziewali, ale gdy uczyłem ich angielskich nazw części samochodowych, nie mogłem się ich pozbyć z klasy po lekcji. Często przychodzili do mnie z amerykańskimi podręcznikami pełnymi terminów, które były dla mnie czystą greką i prosili o wytłumaczenie.

I uczniowie, i nauczyciele nie cierpieli wyspy i traktowali ją jak dobrowolne więzienie, na które się człowiek decyduje, żeby w nim pracować, pracować, pracować. Wyobrażałem sobie, że atmosfera będzie tu bardziej ospała niż w przeciętnej szkole angielskiej, a tymczasem uczniowie wkuwali co najmniej w dwójnasób. Szczytem ironii było, że całą tę obsesyjną pracowitość i krecią ślepotę na przyrodę uważano za coś typowo angielskiego. Może dla Greków, zblazowanych oglądaniem najpiękniejszych krajobrazów świata, nie było nic rażącego w tym zamykaniu się w kopcu termitów, ale mnie doprowadzało ono do furii.

Paru nauczycieli mówiło trochę po angielsku, większość po francusku, ale odkryłem, że niewiele mam z nimi wspólnego. Niezłe wytrzymałem tylko towarzystwo De-metriadesa, który też uczył angielskiego, a to chyba tylko dzięki temu, że lepiej niż inni mówił i rozumiał po angielsku. Więc mogłem z nim rozmawiać nie tylko na najprostsze tematy.

Oprowadził mnie po *kaphenaia* i tawernach wsi i zasmakowałem w greckiej kuchni i greckiej muzyce ludowej. Ale w dzień wieś wyglądała posepnie. Większość willi było zabitych deskami, na ulicach pojawiało się niewiele osób, jeść chodziło się zawsze do jednej z dwóch „lepszych” tawern i widywało się tam stale te same starcze twarze, stęchlą prowincjonalną, lewentyńską społeczność, Balzaca w fezie, przywodzącą na myśl raczej cesarstwo otomańskie niż lata pięćdziesiąte. Musiałem przyznać Mitfordowi rację: beznadziejna monotonia. Próbowałem zaglądać do rybackich winiarni. Tam było weselej, czułem jednak, że rybakom przeszkadza moja obecność, a moja greka i tak nie wystarczała, by cokolwiek zrozumieć z miejscowego dialektu.

Zacząłem wypytywać o faceta, z którym Mitford miał scysję, ale nikt o tej awanturze ani o tym facecie nie słyszał, tak zresztą jak i o „poczekalni”. Mitford najwyraźniej spędzał większość wolnego czasu na wsi, a naraził się nie tylko Demetriadesowi, ale i innym nauczycielom. Musiałem też ponosić konsekwencje ostrej anglofobii, powiększonej jeszcze przez aktualną sytuację polityczną.

Wkrótce zacząłem uciekać na wzgórza. Żaden z nauczycieli nie ruszał się ani o cal dalej, niż to było konieczne, uczniom nie wolno było wychodzić poza *chevaux de frise* ogrodzonych szkolnych terenów; tylko w niedzielę mogli opuszczać szkołę, a i to także tylko drogą prowadzącą wzdłuż wybrzeża do oddalonej o pół mili wsi. Wzgórza były upajająco czyste, jasne i odległe. Zdany na towarzystwo własnej nudy po raz pierwszy w życiu spojrzałem na przyrodę nowym okiem i pożałowałem, że znam jej język równie słabo jak grecki. Zacząłem w zupełnie inny sposób uprzytamniać sobie istnienie kamieni, ptaków, kwiatów, a spacer, pływanie, wspinały klimat — tak na ziemi, jak w powietrzu jaki istniał na wyspach, z braku dróg bowiem nie było tu ani jednego auta, a samolot pojawiał się na niebie co najwyżej raz w miesiącu — sprawiły, że poczułem się po raz pierwszy w życiu naprawdę zdrowy. I wydawało mi się, że mój umysł zaczyna być w harmonii z moim ciałem. Okazało się to jednak złudzeniem.

Kiedy przyjechałem do szkoły, czekał na mnie list od Alison. Był krótki. Musiała go napisać w pracy tego samego dnia, gdy wyjechałem z Londynu.



*Kocham cię, a ponieważ ty nigdy nie kochałeś nikogo poza sobą, nie wiesz nawet, co to słowo znaczy. Przez cały ostatni tydzień usiłowałam ci to uprzytomnić. Teraz chcę ci tylko powiedzieć, żebyś — kiedy się zakochasz — przypomnieli sobie dzisiejszy dzień. Żebyś przypomnieli sobie, jak pocałowałam cię i wyszłam z pokoju. A idąc ulicą ani razu się nie odwróciłam. Wiedziałam, że na mnie patrzysz. Przypomnij sobie, że to wszystko zrobiłam kochając cię. Nawet jeśli niczego już o mnie nie będziesz pamiętał, proszę cię, tego nie zapomnij. Szłam ulicą i ani razu się nie odwróciłam, choć cię kocham. Kocham cię. Kocham cię tak bardzo, że nigdy nie przestanę nienawidzić cię za dzisiejszy dzień.*

Następnego dnia znów przyszedł list. W kopercie był tylko przedarty na pół czek, na którym nagryzmoliła: „Nie, dziękuję”. A w dwa dni potem trzeci list, w którym rozpyłyła się nad jakimś filmem, list niemal gawędziarski. Ale zakończyła go słowami: „Proszę cię, zapomnij o moim pierwszym liście. Byłam wytrącona z równowagi. Teraz już wszystko minęło. Więcej się tak po staroświecku nie zachowam.”

Rzecz prosta, ja też pisałem do niej, jeśli nie co dzień, to przynajmniej dwa, trzy razy w tygodniu, pisałem długie listy pełne usprawiedliwień i tłumaczeń, aż wreszcie któregoś dnia odpisała:

*Proszę cię, przestań już tak bez końca omawiać siebie i mnie. Pisz mi o tym, co robisz, o wyspie, o szkole. Wiem, jaki jesteś. Więc bądź taki, jaki jesteś. Kiedy piszesz o tym, co cię otacza, mogę sobie wyobrazić, że jestem z tobą, oglądam to wszystko razem z tobą. I nie obrażaj się. Przebaczycie to zapomnieć.*

Niepostrzeżenie informacje zastąpiły w naszych listach uczucia. Alison pisała mi o swojej pracy, o dziewczynie, z którą się zaprzyjaźniła, o drobnych sprawach domowych, o filmach, książkach. Ja pisałem, tak jak prosiła, o szkole i o wyspie. Któregoś dnia przysłała mi swoją fotografię w mundurku stewardesy. Obcięła krótko włosy i schowała je pod czapkę. Uśmiechała się, ale ten uśmiech w połączeniu z mundurkiem nadawał jej sztuczny, oficjalny wygląd, fotografia była wyraźnym ostrzeżeniem, że stała się kimś innym niż Alison, którą lubiłem wspominać, nie była już tą jedynie moją, prywatną Alison. A potem listy zaczęły przychodzić już tylko raz

na tydzień. Fizyczna tęsknota, jaka nękała mnie przez cały pierwszy miesiąc, zaczęła znikać, choć od czasu do czasu bardzo pragnąłem Alison i dałbym wszystko, żeby znalazła się koło mnie w łóżku. Ale były to chwile zmysłowej frustracji, nie tęsknoty za miłością. Pewnego dnia pomyślałem: gdyby nie to, że jestem na tej wyspie, tobym z nią zerwał. Pisanie listów przestało być przyjemnością, zamieniło się w obowiązek, i już nie zrywałem się po kolacji, by jak najprędzej wrócić do swego pokoju i zasiąść do listu; teraz pisałem listy najczęściej podczas lekcji i wysyłałem któregoś z uczniów, aby w ostatniej chwili pobiegł do bramy i złapał listonosza.

Podczas przerwy semestralnej wybrałem się z Demetriadesem do Aten. Zapropował mi wspólną wyprawę do swego ulubionego burdelu na przedmieściu. Zapewnił, że tam dziewczynki są zdrowe. Wahalem się – ale czyż moralnym obowiązkiem poety, nie mówiąc już o cyniku, nie jest niemoralność? Więc się z nim wybrałem. Kiedy wyszliśmy z burdelu, padał deszcz, a światło z otwartych drzwi padło na trzepoczące mokre listki eukaliptusa przypominając mi naszą sypialnię na Russell Square. Ale Alison i Londyn wydawały mi się martwą przeszłością, poza nawiasem mojego obecnego życia. Postanowiłem napisać w nocy list do Alison, by z nią zerwać. Ale kiedy wróciłem do hotelu, byłem zbyt pijany, a zresztą gdybym wziął pióro, nie wiem, co bym napisał. Może napisałbym, że nie ma już wątpliwości: dowiodłem, iż nie jestem wart, by na mnie czekać; może napisałbym jej, że mi się znudziła, a może mówiłbym o tym, jak się czuję samotny i że tej samotności pragnę. Ale wysłałem tylko nic nie znaczącą kartkę i ostatniego dnia pobytu wybrałem się jeszcze raz, już sam, do tego burdelu na przedmieściu. Jednakże libańska nimfetka, która wzbudziła moją pożądlivość, była zajęta, a inne dziewczynki nie podobały mi się.

Nadszedł grudzień i nadal wymienialiśmy z Alison listy. Wiedziałem, że coś przede mną ukrywa. Opisywała mi swoje życie, ale nie mogło być aż tak ubogie i pozbawione wszelkich kontaktów z mężczyznami. Nie byłem więc zdziwiony, kiedy nadszedł jej ostatni list. Nie oczekiwałem jednak, że poczuje się aż tak rozgoryczony i zdradzony. Nie była to tylko zmysłowa zazdrość o tamtego mężczyznę, lecz ogromne pragnienie Alison; chwile czułości, chwile, kiedy czuliśmy się jedną osobą, kiedy zniknęło poczucie tego, że to drugie jest kimś innym, przez wiele dni nie opuszczały moich myśli jak sekwencje jakiegoś marnego, romantycznego filmu, którego wcale nie chciałem pamiętać, ale którego nie mogłem wybić sobie z głowy i coraz to od nowa odczytywałem jej list, nie mogąc uwierzyć, że dwieście byle jakich, zużytych słów może temu wszystkiemu położyć kres.

*Kochany Nicholas!*

*To nie może dłużej trwać. Nie chciałabym Cię zranić. Uwierz, że jest mi strasznie przykro, i nie gniewaj się na mnie, że wiem, że poczujesz się zraniony. Słyszę już, jak mówisz: wcale nie czuję się zraniony.*

*Byłam tak okropnie sama i zrozpaczona. Nie mówiłam Ci, do jakiego stopnia, teraz też nie potrafię tego opisać. Przez pierwsze dni w pracy udawałam dzielną, a potem w domu następowało załamanie.*

*Znów sypiam z Petem, gdy przyjeżdża do Londynu. Zaczęło się to dwa tygodnie temu. Proszę, proszę, uwierz mi, nie zrobiłabym tego, gdybym sądziła... sam zresztą wiesz. Wiem, że wiesz. Nie czuję już do niego tego, co kiedyś, i nie zaczęłam czuć tego, co do Ciebie, nie musisz być zazdrosny.*

*Ale on jest taki nieskomplikowany, przy nim przestaję myśleć, przestaję się czuć taka samotna. Znów jestem Australijką wśród Australijczyków w Londynie. Może się pobierzemy. Jeszcze nie wiem.*

*Wszystko to jest okropne. Chciałabym, żebyś do mnie dalej pisał i ja będę do Ciebie pisać. Wszystko pamiętam.*

*Do widzenia*

*Alison*

*Ty pozostaniesz dla mnie zawsze sobą. Zawsze. Ten pierwszy list, który napisałam do Ciebie w dzień twego wyjazdu. Gdybyś tylko potrafił go zrozumieć.*

W odpowiedzi napisałem, że oczekiwałem tego listu i że jest oczywiście zupełnie wolna. Ale potem podarłem kartkę. Wiedziałem, że najbardziej zaboli ją moje milczenie, a naprawdę chciałem ją zranić.

## 8

Przez ostatnie parę dni przed Bożym Narodzeniem czułem się beznadziejnie nieszczęśliwy. Nagle, bez logicznego powodu zaczęła mnie niepomrotnie drażnić szkoła. I tym, jak funkcjonowała, i tym, że tkwiła tu, ślepa, podobna więzieniu, w samym środku tego boskiego pejzażu. Kiedy przestały nadchodzić listy Alison, poczułem się jeszcze bardziej osamotniony. Cały zewnętrzny świat, Anglia, Londyn

stały się absurdalnie i chwilami przerażająco nierealne. Paru oksfordzkich przyjaciół, z którymi nieregularnie wymieniałem listy, przestało dawać znaki życia. Od czasu do czasu słuchałem audycji BBC dla krajów zamorskich, ale wiadomości brzmiały dla mnie tak, jakby nadchodziły z Księżyca; dotyczyły spraw i społeczeństwa, do którego przestałem należeć, a kiedy z rzadka wpadały mi w rękę angielskie gazety, wydawały mi się podobne do rubryki „Przed stu laty”... Cała wyspa zdawała się odczuwać to wygnanie ze współczesności. Na molu w porcie tłok zaczynał się co dzień na wiele godzin przedtem, nim na horyzoncie pojawiał się parowiec z Aten, choć wszyscy dobrze wiedzieli, że zatrzyma się tu zaledwie na pięć minut, że wysiądzie z niego co najwyżej pięciu pasażerów i nie więcej wsiądzie. Należało jednak na to patrzeć. Tak jakbyśmy wszyscy byli więźniami, którzy nie utracili jeszcze nadziei na amnestię.

A przecież wyspa była piękna. Koło Gwiazdki zrobiło się zimno i wietrznie. Ogromne granatowe morze huczało na przybrzeżnych kamieniach koło szkoły. Wzgórza stały się jeszcze bardziej puste, bardziej milczące. Często wychodziłem na spacer po prostu z nudów, a potem odkrywałem jakąś nową samotność, nowy widok. Ale ten nieskalany świat natury zaczął mnie w końcu przerażać. Czułem, że nie ma w nim dla mnie miejsca, jest mi do niczego nieprzydatny, a ja się do niego nie nadaję. Byłem człowiekiem miasta, i to pozbawionym korzeni. Odrzuciłem moje stulecie, ale nie potrafiłem zanurzyć się w innym. Przypadł mi zatem los Skirona.

Nadeszły wakacje gwiazdkowe. Wyruszyłem w podróż po Peloponezie. Musiałem być sam, musiałem uciec od szkoły. Gdyby Alison była wolna, poleciałbym do niej do Anglii. Przychodziło mi na myśl, żeby podać się do dymisji, ale równocześnie czułem, że byłby to odwrót, jeszcze jedna klęska, i powtarzałem sobie, że z wiosną wszystko obróci się na lepsze. Gwiazdkę spędziłem samotnie w Sparcie, a Nowy Rok, także samotnie, w Pyrgos. Wracałem przez Ateny, miałem tam wsiąść na statek, ale zatrzymałem się na cały dzień, by znów pójść do burdelu. Rzadko myślałem o Alison, ale cały czas czułem jej obecność; usiłowałem o niej zapomnieć i to mi się nie udawało. Zdarzały się dni, kiedy sądziłem, że resztę życia spędzę w celibacie — dni klasztorne i dni, kiedy niemal boleśnie pragnąłem obecności dziewczyny, z którą dałoby się porozmawiać. Kobiety na wyspie były pochodzenia albańskiego, miały żółtą skórę, wydawały się równie posępne i mało pociągające co kongregacja sekty Niezależnego Kościoła. Bardziej już ponętni byli niektórzy chłopcy, oliwkowa cera, wdzięk i mocno zaznaczone indywidualności, zupełnie inni niż stereotypowi uczniowie angielskich szkół prywatnych — umundurowane różowe mrówki, prosto z

wylęgarni samego Arnolda\*. Zdarzały się chwile *à la Gide*, nie spotykały się jednak z odzewem, nigdzie bowiem pederastia nie budzi takiego wstrętu jak w mieszczańskiej Grecji, pod tym względem Arnold czułby się tutaj jak w domu. Zresztą nie byłem homoseksualistą; tyle że zrozumiałem (i w ten sposób odkryłem zakłamanie własnego wychowania), w jaki sposób się nim zostaje. Przyczyniło się do tego nie tylko moje osamotnienie, ale także Grecja. Konwencjonalne angielskie pojęcia o tym, co jest moralne, a co nie, wydawały się tu wręcz śmieszne; czy przekroczyć jakieś tabu, czy nie, było tylko kwestią chęci, tak jakbym miał się zdecydować, czy spróbować nowego gatunku papierosów, z punktu widzenia moralności wydawało się to równie mało ważne. Dobro od piękna można było oddzielać w krajach północnych, ale nie w Grecji. Między skórą a skórą było tu tylko światło.

Miałem jeszcze moją poezję. Zacząłem pisać wiersze o wyspie, o Grecji; wydawały mi się one głębokie filozoficznie i interesujące formalnie. Coraz bardziej marzyłem o literackich sukcesach. Całymi godzinami wpatrywałem się w ścianę mego pokoju, wyobrażając sobie krytyki, listy, jakie otrzymuję od słynnych poetów, pochwały, sławę coraz to większą. Nie znałem jeszcze wówczas tej wspaniałej definicji Emily Dickinson: „Poeta nie powinien zaprzętać sobie głowy sprawą publikacji”, ważne jest, czy się jest poetą, a nie, czy jest się znanym jako poeta. Stworzony przeze mnie onanistyczny literacki obraz własnego „ja” zdominował moje rzeczywiste życie. Szkoła stała się wygodnym kozłem ofiarnym — czy człowiek może pisać nieskazitelne poematy będąc poddany tak wyjaławiającej rutynie?

Ale nagle, pewnej ponurej marcowej niedzieli łuski spadły mi z oczu. Przeczytałem moje greckie wiersze i zobaczyłem je takimi, jakimi były: studenckie próbki, pozbawione rytmu i poetyckiej struktury, pełne soczystej retoryki, pod którą krył się banał. Przerażony sięgnąłem po wiersze, napisane w Oksfordzie i we wschodniej Anglii. Nie były lepsze, były jeszcze gorsze. Prawda runęła na mnie jak lawina. Nie byłem poetą.

Ta świadomość nie przyniosła ulgi, tylko wściekłość, że prawa ewolucji mogły wyposażyć jeden i ten sam umysł w taką wrażliwość i taką nieudolność. W jednym i tym samym ego, moim ego, które wrzeszczało jak zajęc schwyty w pułapkę. Wziąłem wszystkie swoje wiersze i darłem je, kartka po kartce, w drobne strzępy, aż rozboleły mnie palce.

Potem wybrałem się na włóczęgę po wzgórzach, choć było bardzo zimno i

---

\* Dr Arnold Matthew – twórca ekskluzywnych szkół angielskich.

zaczął padać deszcz. Cały świat sprzysiął się przeciwko mnie. Tego całkowitego potępienia nie można już było zbyć wzruszeniem ramion. W moich najgorszych doświadczeniach znajdowałem pociechę w tym, że są one paliwem, rudą żelazną, że nie pójdą na marne, że potrafię je wykorzystać. Poezja była dla mnie czymś, do czego zawsze w razie potrzeby mogę się uciec, zapasowym wyjściem, kołem ratunkowym, miała mi dostarczyć możliwości usprawiedliwienia się. Teraz znalazłem się na morzu, a koło ratunkowe tonęło jak ołów. Z trudem powstrzymałem się od łez litości nad samym sobą. Moja twarz zamieniła się w maskę maskarona podtrzymującego kolumnę. Przez wiele godzin włoczyłem się przeżywając piekło.

Pewnego typu ludzie należą do społeczeństwa nawet nie zdając sobie z tego sprawy, zaangażowanie innych objawia się chęcią wpływania na jego losy. Pierwsi to kółka w maszynie, drudzy to inżynierowie. Ale ktoś, kto ustawił się poza społeczeństwem, może tylko starać się wyrazić swoją niezależność, jedynie od tego zależy jego byt lub niebyt. Nie *cogito*, ale *scribo, pingo ergo sum*. Przez wiele dni czułem się przepelniony nicością, było to znacznie gorsze niż poprzednia samotność – metafizyczny odpowiednik bezludnej wyspy. Uczucie niemal dotykalne, jak gruźlica lub rak.

Wreszcie któregoś dnia, niecały tydzień później, stało się całkowicie dotykalne: zbudziłem się i odkryłem na moim ciele dwie ranki. Właściwie mnie to nie zaskoczyło. Pod koniec lutego znów byłem w Atenach i odwiedziłem ten sam dom publiczny w Kephissia. Wiedziałem, że podejmuję ryzyko. Ale wówczas wydawało mi się to bez znaczenia.

Przez jeden dzień byłem zbyt wstrząśnięty, aby zacząć działać. We wsi mieszkało dwóch lekarzy: jeden, czynny zawodowo, zajmował się między innymi szkołą, a drugi, milczący stary Rumun, choć już nie prowadził praktyki, od czasu do czasu przyjmował jakiegoś pacjenta. Szkolny lekarz stale zaglądał do pokoju nauczycielskiego. Nie mogłem się zdecydować, by się do niego zwrócić. Wybrałem się więc do doktora Patarescu.

Przyjrzał się rankom, potem mnie i wzruszył ramionami.

— *Felicitations* — powiedział.

— *C'est...*

— *On va voir à Athènes. Je vous donnerai une adresse. C'est bien à Athènes, que vous l'avez attrapé, oui?* — skinąłem głową. — *Les poules là-bas, Infectes.*

*Seulement les fous qui s'y laissent prendre\**.

Stara, żółkła twarz, binokle, złośliwy uśmiech. Moje pytania rozbawiły go. Tak, są wszelkie szanse, że wyzdrowieję; choroba ta nie jest zaraźliwa pod warunkiem unikania stosunku, mógłby mnie leczyć, gdyby miał odpowiednie lekarstwo, penicylinę z benzatininą, ale nie wie, gdzie je dostać. Słyszał, że ma je pewna prywatna klinika w Atenach, ale zedrą tam ze mnie skórę; dopiero po ośmiu tygodniach będzie wiadomo, czy kuracja poskutkowała. Odpowiadał mi oschle; osobiście mógłby mi tylko zaaplikować starą kurację arsenikową, ale tak czy owak muszę najpierw zrobić analizy. Już dawno wyszło w nim wszelkie współczucie i gdy kładłem na biurku honorarium, przyglądał mi się obojętnym żółwym wzrokiem.

Stałem w drzwiach, próbując jak idiota wzbudzić w nim współczucie.

— *Je suis maudit.*

Wzruszył ramionami i odprawił mnie z całkowitą obojętnością.

Groza. Do końca semestru został jeszcze tydzień, przyszło mi na myśl, żeby wszystko rzucić i wracać do Anglii. Ale nie mogłem znieść myśli o Londynie, przynajmniej tu w Grecji, jeśli nawet nie na wyspie, byłem kimś w pełni anonimowym. Nie miałem pełnego zaufania do doktora Patarescu, był w przyjaźni z paroma starymi nauczycielami i wiedziałem, że spotykają się często na partyjce wista. W każdym skierowanym do mnie słowie, w każdym uśmiechu doszukiwałem się aluzji do tego, co zaszło, i wydawało mi się, że zaraz następnego dnia dostrzegłem w oczach niektórych kolegów ukryte rozbawienie. Któregoś dnia podczas przerwy dyrektor zawołał: „Głowa do góry, *kyrios* Urfe, bo pomyślimy, że piękności Grecji przyparowały pana o smutek!” Wydawało mi się to bezpośrednią aluzją, w każdym razie moi koledzy uśmiechnęli się szerzej, niż na to zasługiwała ta uwaga. W ciągu trzech dni, które upłynęły od mojej wizyty u lekarza, doszedłem do wniosku, że o mojej chorobie wiedzą wszyscy, łącznie z uczniami. Za każdym razem, kiedy zaczynali między sobą szeptać, słyszałem słowo „syfilis”.

W ciągu tego potwornego tygodnia zawitała do nas grecka wiosna. Wystarczyły zaledwie dwa dni, a przynajmniej tak mi się zdawało, by ziemia pokryła się anemonami, storczykami, złotogłowiem i dzikimi mietczykami, pojawiły się wędrowne ptaki. Falujące sznury bocianów klekotały nad głową, niebo było błękitne i czyste, uczniowie śpiewali, a na twarzach najsurowszych nawet nauczycieli pojawił się

---

\* Trzeba to będzie sprawdzić w Atenach. Podam panu adres. Złapał to pan w Atenach, prawda? Ach, tamtejsze kurwy. Wszystkie są chore. Trzeba być wariatem, żeby się tak dać nabrać.

uśmiech. Cały świat wokół mnie rozwijał skrzydła, a ja byłem przykuty do miejsca, Katullus pozbawiony talentu, zmuszony do życia na ziemi — bezlitosnej Lesbii. Spędziłem kilka potwornych nocy. Podczas jednej z nich napisałem długi list do Alison, próbując jej wyjaśnić, co się ze mną stało, że pamiętam dobrze jej pierwszy list, i że teraz potrafię już jej uwierzyć, i że nienawidzę samego siebie. Ale nawet w tym liście brzmiał ton pretensji, zaczynałem bowiem widzieć, że rozstanie z nią było ostatnim i najgorszym z moich nieudanych posunięć. Mogłem się z nią ożenić, w ten sposób uniknąłbym przynajmniej samotności na tej pustyni.

Nie wysłałem tego listu, ale znów zacząłem co noc rozmyślać o samobójstwie. Uznałem, że śmierć upodobała sobie moją rodzinę, dwóch wujów, których nie zdążyłem poznać, zginęło na wojnie, jeden pod Ypres, drugi pod Passchendaele, potem rodzice... Nagłe, bezsensowne śmierci. Było ze mną gorzej niż z Alison, ona nienawidziła życia, ja samego siebie. Niczego nie dokonałem. Należałem do nicości, do *néant*, i wydało mi się, że mogę stać się twórcą przynajmniej jednej rzeczy — własnej śmierci, ale przypuszczałem, nawet wówczas ciągle jeszcze przypuszczałem, że będzie ona oskarżeniem każdego, kto się kiedykolwiek ze mną zetknął. Że uzasadni mój cynizm, uprawomocni mój egoizm, stanie się ostatecznym ponurym zwycięstwem i tak przetrwa w pamięci ludzkiej.

Na dzień przed końcem semestru myśl o śmierci przeważyła. Portier szkolny miał starą strzelbę i kiedyś zaproponował, że jeśli miałbym ochotę zapolować na wzgórzach, chętnie mi ją pożyczy. Zrobił to z przyjemnością i załadował mi całą kieszeń nabojami; w piniowym lesie pełno było przelotnych przepiórek.

Poszedłem w górę wąwozem za szkołą, wdrapałem się na przełęcz i wszedłem między pinie. Wkrótce znalazłem się w cieniu. Żółtą ziemię z drugiej strony wody, na północy, oświetlało jeszcze słońce. Powietrze było lekkie, ciepłe, niebo intensywnie i świetliście błękitne. Gdzieś daleko w górze brzęczały dzwoneczki kóz, które na noc zapędzano z powrotem do wsi. Szedłem dłuższy czas. Zupełnie, jakbym szukał miejsca, gdzie mógłbym się wypróżnić, chciałem być pewny, że nikt mnie nie dojrzy. Wreszcie znalazłem skalistą kotlinkę.

Nabiłem strzelbę i usiadłem na ziemi, opierając się o pień pinii. Poprzez pokrywające grunt igły przebijały się kwiaty muscari. Odwróciłem strzelbę i zajrzałem do lufy, do czarnego kółka mojego nieistnienia. Obliczałem, pod jakim kątem powinienem ją przyłożyć do głowy. Przystawiłem lufę do prawego oka i odwróciłem głowę tak, by strzał jak czarna błyskawica przeszył mózg i rozsadził tylną ściankę



mojej czaszki. Sięgnąłem w stronę cyngla — ciągle jeszcze było to stadium przygotowań, prób — i stwierdziłem, że sprawa nie jest taka prosta. Nachylając się naprzód mogę w ostatniej chwili przekreślić głowę i spartaczyć robotę. Zacząłem więc szukać i znalazłem suchy patyk, aby go zatknąć między bezpiecznik i cyngiel. Wyjąłem nabój, założyłem patyk i usiadłem ze strzelbą między kolanami, opierając podeszwy na patyku, z prawą lufą o cal od mego oka. Usłyszałem szczęk cyngla. Tak, to było proste. Naładowałem dubeltówkę.

Ze wzgórz za mną dobiegł głos dziewczyny. Pewnie zaganiała kozy i śpiewała na cały głos, trudno było rozpoznać melodię, przypominało to muzułmańskie śpiewy Turków. Głos był odcielesniony, jakby śpiewało wzgórze. Przypomniałem sobie, że już kiedyś słyszałem podobny głos, może to ta sama dziewczyna wyśpiewywała wówczas na wzgórzu za szkołą. Śpiew dotarł do klasy, uczniowie zaczęli chichotać. Ale teraz głos brzmiał tajemniczo, przebijał z niego ból i takie osamotnienie, że moje cierpienia wydały się czymś drobnym i nieważnym. Siedziałem z dubeltówką między kolanami i póki ten głos unosił się w wieczornym powietrzu, nie byłem w stanie drgnąć. Nie wiem, jak długo śpiewała, ale niebo pociemniało, morze zbladło, nabrało perłowego odcienia szarości. Nad górami unosiły się różowe pasma chmur w ostrym jeszcze blasku zachodzącego słońca. I ziemia, i morze zatrzymywały światło, tak jakby było ciepłem i nie musiało zniknąć wraz ze zniknięciem jego źródła. Głos oddalał się w stronę wsi, a wreszcie zamilkł.

Znów podniosłem strzelbę celując sobie w oko. Patyk sterczał, czekając, aż go nadepnę. W powietrzu unosiła się cisza. Z odległości wielu mil dobiegł dźwięk syren ateńskiego statku zbliżającego się do wyspy. Ale brzmiało to jak coś spoza próżni. Rzeczywistością była śmierć.

Nie wykonałem żadnego ruchu. Czekałem. Na niebie, nad morzem gór na zachodzie pojawił się poblask najpierw blado, bladożółty, potem świetlistozielony, potem witrażo-woszafirowy. Czekałem, czekałem, usłyszałem znów syrenę statku, tym razem bliżej, czekałem, aż przyjdzie czarna chwila, która zmusi moją nogę, by kopnęła patyk, ale ciągle nie mogłem tego zrobić. Cały czas czułem się tak, jakby mnie obserwowano, jakbym nie był sam, jakbym odgrywał przed kimś jakąś rolę, a chodziło przecież o to, aby mój czyn był spontaniczny, czysty i moralny. Bo wraz z chłodem wiosennej nocy wkradła mi się do głowy wątpliwość, czy mój czyn wypływa z pobudek moralnych, a nie tylko czysto estetycznych; że może chcę zakończyć życie w sposób sensacyjny i znaczący. Że szukam nie prawdziwej śmierci, lecz śmierci Merkutia,

śmierci, którą by zapamiętano, nie prawdziwej śmierci, prawdziwego samobójstwa, śmierci, która wymazuje człowieka.

Ten głos, światło, niebo.

Zaczęło się ściemniać, zajęczała syrena oddalającego się statku z Aten, a ja dalej siedziałem, paląc papierosa, odłożywszy na bok dubeltówkę. Musiałem spojrzeć na siebie nowymi oczami. Zdałem sobie sprawę, że odtąd zasługuję już tylko na lekceważenie i wzdarcę. Bywałem i będę kimś rozpaczliwie przygnębionym, ale był we mnie i zawsze pozostanie fałsz; żeby użyć terminu egzystencjalistycznego, byłem kimś nieautentycznym. Zrozumiałem, że nigdy się nie zabiję, zrozumiałem, że choćbym był nie wiem jak pustym, nieszczerym i skazonym człowiekiem, będę zawsze mógł siebie wytrzymać i z sobą żyć.

Podniosłem dubeltówkę i wystrzeliłem z niej, nie patrząc, gdzieś w niebo. Huk wstrząsnął mną. Rozległo się echo, na ziemię spadło parę gałązek. A potem ciężka studnia ciszy.

— Czy pan coś upolował? — spytał przy bramie stary portier.

— Raz tylko wystrzeliłem — odpowiedziałem. — I chybiłem.

## 9

W wiele lat później zobaczyłem w Piazeny *gabbie*: zawieszoną wysoko na wieży czarną, chropawą klatkę na kanarki, w której ongi zostawiano więźniów, by umierali z głodu na oczach miasta. I zobaczywszy ją przypomniałem sobie tę zimę w Grecji, tę *gabbie*, którą sam dla siebie zbudowałem ze światła, samotności i urojeń na własny temat. Próby pisania i próba samobójstwa, na pozór tak sprzeczne, były w gruncie rzeczy jednym i tym samym: usiłowaniem ucieczki. I pod koniec tego przekłętego semestru moje uczucia były uczuciami człowieka, który wie, że oczekuje śmierci, siedząc w klatce wystawionej na drwiny wszystkich swych dawnych ambicji.

Pojechałem do Aten, udałem się pod adres podany mi przez wiejskiego lekarza. Zrobiono mi analizę Kahna i potwierdzono diagnozę doktora Patarescu. Dziesięciodniowa kuracja była bardzo kosztowna, większość lekarstw pochodziła z kradzieży lub została do Grecji przeschmuglowana, znalazłem się w sytuacji odbiorcy siatki Trzeciego Człowieka. Gładki, młody, wyszkolony w Ameryce lekarz oświadczył mi, że nie mam się czym przejmować, wszystko zapowiada się jak najlepiej. Kiedy

skończyła się wielkanocna przerwa i wróciłem na wyspę, zastałem w szkole kartkę od Alison. Krzykliwie kolorową z kangurem, z którego pyska wydobywał się obłoczek ze słowami: „Myślisz, że nie pamiętam?” Rocznicą moich urodzin przypadła na mój pobyt w Atenach, skończyłem dwadzieścia sześć lat. Ze stempla pocztowego wynikało, że kartkę wrzucono w Amsterdamie. Na odwrocie nie było ani słowa. Tylko podpis: Alison. Wrzuciłem kartkę do kosza. Ale wieczorem wyjąłem ją z powrotem.

Żeby przeczekać jakoś ten niespokojny okres, póki nie uzyskam pewności, że nie pojawi się następne stadium choroby, oddałem się całej wyspie. Pływałem i pływałem, włóczyłem się i włóczyłem, co dzień wychodziłem ze szkoły. Nagle nastąpił upał i po południu cała szkoła spała. A ja udawałem się do piniowego lasu. Przechodziłem przez grzbiet gór na południową stronę wyspy, żeby znaleźć się z dala od wsi i szkoły. Tam czekało na mnie uczucie całkowitej izolacji: trzy ukryte chatki nad małą zatoczką, parę kapliczek zagubionych wśród pinii i pustych, o ile nie przypadła dzień stojącego w nich świętego, i jedna niemal niewidoczna, a zresztą nie zamieszкана willa. Cała reszta była podniosłym spokojem, wszystko, tak jak czyste płótno, nasuwało myśl o nieograniczonych możliwościach, miejsce stworzone dla mitów. Jakby wyspa pękła, dzieląc się na ciemność i światło; toteż program lekcji, który poza weekendami lub wczesnymi godzinami rannymi (lekcje zaczynały się o pół do ósmej) uniemożliwiał zbytnie oddalanie się od szkoły, zaczął mi dokuczać, niczym zbyt krótki łańcuch.

Nie myślałem o przyszłości. Mimo oświadczenia lekarza z kliniki, nie wierzyłem w skuteczność kuracji. Czekał mnie los człowieka spadającego coraz niżej i niżej.

Ale w tym momencie rozpoczęła się seria tajemniczych wydarzeń.

## Część II

Irrités de ce premier crime, les monstres ne s'en tinrent pas là ils l'étendirent ensuite nue, à plat ventre sur une grande table, ils placèrent l'image de notre sauveur à sa tête et osèrent consommer sur les reins de cette malheureuse le plus redoutable de nos mystères.

De Sade, *Les infortunes de la vertu*

Podniecone pierwszą zbrodnią potwory nie poprzestały na tym; nagą ułożyły na brzuchu na stole, zapaliły świece, ustawiły u jej wezłowia wizerunek naszego Zbawiciela i ośmieliły się dopełnić na łonie owej nieczęścownicy najstraszliwszego z naszych misteriów.

De Sade, *Niedole cnoty*



Było to w niebieską jak skrzydło ptaka niedzielę, pod sam koniec maja. Ścieżką wydeptaną przez kozy wdrapałem się na grzbiet, z którego staczała się zielona piana koron pinii aż na oddalony o dwie mile brzeg morza. Morze jak jedwabny dywan sięgało aż po majaczącą na lądzie ścianę gór, a ściana ta cofała się na południe, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt mil gór na horyzoncie pod rozległą kopułą empirejskiego nieba. Lazurowy świat, zadziwiająco czysty. Za każdym razem, kiedy tak patrzyłem z grzbietu wyspy, zapominałem o wszystkich moich zmartwieniach. Szedłem tym grzbietem na zachód między dwoma rozległymi widokami na północ i na południe. Po pniach sosen krążyły jaszczurki jak żywe szmaragdowe naszyjniki. Pachniał tymianek, rozmaryn, inne zioła; krzewy zanurzały w niebie kwiaty podobne do naszych mniszków, błyszcząco, oszalały szafir.

Po jakimś czasie doszedłem do punktu, w którym grzbiet opadał na południe spadzistym, niemal urwistym zboczem. W tym miejscu przysiadłem zwykle na skraju urwiska, by zapalić papierosa i nasycić oczy ogromem morza i gór. Tej niedzieli, ledwie usiadłem, zauważyłem, że widok się zmienił. Tuż pode mną, w połowie południowego brzegu wyspy, znajdowała się zatoczka, a nad nią trzy chatki. Od tej zatoczki brzeg biegł na zachód krętą linią maleńkich przylądków i ukrytych zatoczek. Zaraz za zatoką z chatami wyrastała stromo skalna ściana sięgając paręset jardów w głąb wyspy, czerwonawa, porysowana szczelinami ściana, wyglądająca jak mury obronne samotnej willi z tyłu. O willi tej wiedziałem tylko tyle, że należy do zamożnego — jak należało przypuszczać — Ateńczyka, który przyjeżdża tu jedynie latem. Z grzbietu gór widać było tylko płaski dach, bo dom zasłaniało porośnięte piniami wzgórze.

Ale dziś ponad dachem unosił się kłęb bladego dymu. Zatem dom nie był już pusty. Poczulem przede wszystkim urazę Robinsona Crusoe, znikła bowiem samotność południowej części wyspy, którą nauczyłem się traktować jak prywatną własność. Było to moje ukryte królestwo, moje i niczyje inne — godziłem się z obecnością ubogich rybaków z trzech chat — ale nikt, kto wzniósł się ponad stan wieśniaczy, nie miał prawa się tu pojawiać. Niemniej opanowała mnie ciekawość i poszedłem ścieżką, prowadzącą do zatoczki z drugiej strony Bourani, bo tak nazywał się przylądek, na którym stała willa.

Przez pinie zaczęło przeświecać niebo i wybielone słońcem nadbrzeżne kamienie. Podeszedłem do skraju lasu. Była to dość duża otwarta zatoczka, pas nadmorskich kamyków i między dwoma występami lądu morze przejrzyste jak szkło. Na lewym, bardziej stromym, wschodnim przylądku Bourani stała willa, ukryta w drzewach, rosnących tu gęściej niż gdziekolwiek na wyspie. Na plaży obok byłem już parokrotnie i zawsze miałem wrażenie, tak zresztą jak na wielu innych plażach wyspy, że jestem pierwszym człowiekiem, który tu trafił, który to miejsce ogląda, czyli pierwszym człowiekiem na ziemi. Nie dojrzałem żadnych śladów mieszkańców willi. Zainstalowałem się na zachodnim krańcu plaży, wszedłem do morza, by popływać, zjadłem drugie śniadanie, składające się z chleba, oliwek i *zonzoukakia*, aromatycznych zimnych kulek mięsa, i nadal nikt się nie pojawiał.

Po jakimś czasie, ale było to ciągle wczesne popołudnie, poszedłem po rozpalonych kamykach na drugi, bliższy willi brzeg zatoczki. Wśród drzew stała maleńka pobielana kapliczka. Przez szparę w drzwiach dojrzałem przewrócone krzesło, pusty świecznik i rząd naiwnych ikon. Do drzwi przyczepiony był zmatowiały krzyż ze złożonego papieru. Z tyłu kapliczki ktoś wypisał: Agios Demetrios — Święty Jakub. Wróciłem na plażę. Kończyła się stromo wznoszącymi się skałami, nad którymi widniała gęstwina krzewów i drzew. Po raz pierwszy zauważyłem, że o dwadzieścia czy trzydzieści stóp przechodzi kolczasty drut. Nawet staruszka mogłaby się bez trudu przecisnąć między zardzewiałymi zwojami, ale po raz pierwszy zobaczyłem na tej wyspie kolczasty drut i zrobiło to na mnie odstręczające wrażenie. Była to zniewaga dla samotności.

Wpatrywałem się w porośle drzewami strome zbocze i nagle poczułem, że nie jestem sam. Ktoś na mnie patrzył. Przeszukałem najbliższy skrawek lasu. Nic nie zobaczyłem. Podeszedłem do skał, nad którymi przebiegał wśród krzaków kolczasty drut.

Zaskoczenie. Zaraz za pierwszą skałą coś zabłysło. Była to błękitna gumowa płetwa. Za nią, w cieniu następnej skały, leżała druga płetwa i ręcznik. Rozejrzałem się jeszcze raz dokoła i stopą odsunąłem ręcznik. Pod nim leżała książka. Na pierwszy rzut oka rozpoznałem ją po okładce: wydanie kieszonkowe jednej z najpopularniejszych antologii poezji angielskiej, takie samo, jakie miałem w swoim pokoju w szkole. Było to tak nieoczekiwane, że przez chwilę wpatrywałem się w książkę jak idiota, podejrzewając, że jest to mój, ukradziony, egzemplarz.

Nie był to mój egzemplarz. Właściciel czy też właścicielka nie wpisali na

tytułowej karcie swego nazwiska, ale w wielu miejscach tkwiły zakładki z porządnie przyciętego białego papieru. Pierwsza wskazywała stronę, gdzie ktoś czerwonym atramentem podkreślił kilka linijek z „Little Gidding”.

*Nie ustaniemy w poszukiwaniu  
A kresem naszych poszukiwań wszelkich  
Będzie ta chwila gdy do punktu wyjścia  
Dojdziemy i poznamy to miejsce nareszcie  
Po raz pierwszy.*

Trzy ostatnie linijki były dodatkowo zakreślane pionową kreską. Zanim przewróciłem kartki, by znaleźć następną zakładkę, spojrzałem na gęsty szpaler drzew. Następną zakładką, wszystkie zakładki wskazywały wiersze, w których była mowa o morzu lub wyspach. Zakładek było blisko tuzin. Tego samego wieczoru odnalazłem te fragmenty we własnym egzemplarzu antologii.

*Każdy we własnym łóżeczku poczętym z różnych wysp....  
Gdzie miłość była niewinna, bo z dala, z dala od miast.*

Te dwie linijki wiersza Audena były podkreślone, a dwie, które je rozdzielały — nie. Tu i ówdzie podkreślono linijki wierszy Ezry Pounda:

*Chodź, bo odpłynie gwiezdna fala,  
Rusz na wschód, aby wrócić przed chwilą, gdy zaniknie.  
Już! Igła drząc zagłębia się w mojej duszy...  
Nie kpij z powodzi gwiazd, wszystko się może stać.*

A potem:

*On nawet i po śmierci nie stracił sprawności myśli!  
W ciemności rozległ się głos,  
Musisz iść drogą  
do piekieł.  
Aby w sadybie córki Ceres, czyli Prozerpiny,*



*Wśród nawisłych ciemności Tyrezjasza zobaczyć  
Pozbawionego wzroku, cień samego piekła,  
Ale tak wiedzy pełnego, że żaden  
Z najbardziej krzepkich mężczyzn nie mógł mu dorównać.  
Tutaj jest kres twojej drogi.  
Wiedza jest cieniem cienia,  
Ale musisz popłynąć wiedzy tej szukając,  
Choć mniej wiesz niż najtępszy zwierz wyzbyty myśli.*

Słoneczny wiatr, bryza, która w lecie niemal co dzień pojawia się nad Morzem Egejskim ochlapywała kamyki plaży drobnymi falami, wijącymi się jak leniwe bicze. Nie pokazało się nic, wszystko było oczekiwaniem. I po raz drugi poczułem się jak Robinson Crusoe.

Włożyłem książkę z powrotem pod ręcznik i odwróciłem się z zakłopotaniem w stronę wzgórza, przekonany, że jestem pod obserwacją. Potem schyliłem się, podniosłem książkę i ręcznik i wraz z płetwami położyłem na skale, gdzie łatwiej będzie je zauważyć komuś, kto będzie ich szukał. Nie z uprzejmości, ale aby usprawiedliwić przed ukrytym świadkiem swoją ciekawość. Ręcznik pachniał leciutko kobiecymi perfumami, olejkiem do opalania.

Powróciłem na miejsce, gdzie leżało moje własne ubranie i spod oka obserwowałem plażę. Po jakimś czasie wycofałem się w cień pinii. Biała plama na skale błyszczała w słońcu. Położyłem się i zasnąłem. Chyba niedługo spałem. Ale kiedy się obudziłem i spojrzałem na plażę, skałka była pusta. Ta dziewczyna, bo zdecydowałem, że musi to być dziewczyna, zabrała widać swe rzeczy podczas mego snu. Ubrałem się i poszedłem w stronę skałek.

Ścieżka, którą zwykle wracałem do szkoły, zaczynała się w połowie zatoki. Ale stąd zobaczyłem inną wąziutką ścieżkę tam, gdzie zakręcały druty. Była stroma, a roślinność za drutami tak gęsta, że zasłaniała wszystko. Z cienia wyłaniały się różowe główki dzikich mieczyków, a gajówka-pokrzewka śpiewała dźwięcznym urywanym głosem. Musiała znajdować się w gąszczu, zaledwie parę stóp ode mnie, jej głos lkał jak głos słowika, tyle że śpiew częściej się urywał. Wabiła czy ostrzegała? Nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie, choć trudno było nie doszukać się w jej głosie ukrytego znaczenia. Głos ten beształ, brzmiał jak flet, zgrzytał, trelował, uwodził.

Nagle gdzieś za gęstwiną krzewów zabrzmiał dzwon. Ptak przestał śpiewać, a ja

zaczęłam wdrapywać się pod górę. Dzwon odezwał się trzykrotnie. Pewnie wzywał kogoś na podwieczorek, a może bawiło się nim jakieś dziecko. Po chwili skończyło się strome zbocze i drzewa się przerzedziły, choć krzaki rosły wciąż równie gęsto.

Zobaczyłem bramę, zamkniętą na łańcuch i pomalowaną. Ale farba obłaziła, łańcuch był zardzewiały, a z prawej strony bramy ktoś utorował sobie przejście przez druty. Szeroka, porośnięta trawą droga prowadziła w głąb przylądka, schodząc lekko w dół. Kręciła między drzewami, nie widać było domu. Przez chwilę nasłuchiwałem, ale nie dobiegły mnie żadne głosy. Na zboczu wzgórze znów zaczął śpiewać ptak.

I wtedy to zobaczyłem. Przeszedłem przez dziurę. Dwa, może trzy drzewa dalej, do pnia pinii przybita była tablica, trudna do odczytania, choć wisiała w takim miejscu, w jakim w Anglii wywieszono by ostrzeżenie: *Obcym wstęp wzbroniony*. Ale na tej tablicy czerwonymi literami na białym tle widniał napis *Salle d'attente*. Wyglądała tak, jakby ktoś zabrał ją przed laty z jakiejś francuskiej stacyjki; zwykły studencki dowcip. Złaziła z niej emalia, tu i ówdzie pojawiła się rdza. Dziury wyglądały na ślady kul. Przypomniało mi się ostrzeżenie Mitforda: miej się na baczności przed poczekalnią.

Stałem na zarośniętej trawą drodze bijąc się z myślami: pójść czy nie pójść w stronę willi. Walczyła we mnie ciekawość i obawa, że zostaną potraktowani góry. Domyśliłem się od razu, że musi to być willa tego kolaboracyjisty, z którym pokłócił się Mitford, ale dotychczas wyobrażałem sobie, że kolaboracjonista ów jest chytrym greckim Lavalem o szczurzej twarzy, a nie kimś na tyle kulturalnym, żeby czytać lub mieć gości, którzy czytają w oryginale Eliota i Audena. Stałem tak długo, aż zdenerwował mnie własny brak decyzji i nakazałem sobie odwrót. Przeszedłem z powrotem przez dziurę i zacząłem wspinać się na centralny grzbiet. Drożka zamieniła się wkrótce w kozią ścieżkę, ale wyraźnie ktoś nią chodził, bo tu i ówdzie spod przewróconego kamienia wзираła czerwona ziemia, kontrastując z wypaloną słońcem szarością. Znalazszy się na grzbiecie, obejrzałem się. Stąd nie było już widać willi, ale wiedziałem, w którym punkcie się znajduje. Morze i góry unosiły się w łagodnym blasku zachodzącego słońca. Wszystko tu było wcielonym spokojem, żywość i pustka, wyłoczone powietrze i niema błękitna dal, toteż kiedy zacząłem schodzić stromą ścieżką prowadzącą w stronę szkoły, północna strona wyspy wydawała mi się prawem kontrastu banalna i smutna.

Następnego dnia po śniadaniu podszedłem do stolika Demetriadesa. Poprzedniego wieczoru był we wsi i nie chciało mi się czekać na jego powrót. Demetriades był niskim, pulchnym człowieczkiem o żabiej twarzy, pochodził z Korfu i we wręcz patologiczny sposób nie cierpiał słońca i przyrody. Stale zrządził na „ohydę” prowincjonalnego życia, do którego zmuszał nas pobyt na wyspie. W Atenach wychodził tylko nocą, oddając się swoim dwóm namiętnościom – żarciu i porubstwu. Poświęcał na to wszystkie zarobki, na to i na ubranie; powinien wyglądać obleśnie i szaro, jak człowiek zdeprawowany, a tymczasem był różowy i miał niewinny wyraz twarzy. Za największego bohatera w historii uważał Casanovę. Brak mu było boswellowskiego czaru, nie mówiąc już o geniuszu Włocha, ale i tak jego towarzystwo, choć łatwo przechodził od rozbawienia do posepności, było znacznie bardziej atrakcyjne, niż dawał do zrozumienia Mitford. No, i nie był hipokrytą. Miał wdzięk człowieka, który bez zastrzeżeń akceptuje samego siebie, wdzięk oportunisty.

Zabrałem go do ogrodu. Nazywano go Méli, co oznaczało miód. Bo jak dziecko uwielbiał słodczyce.

– Méli, co pan wie o tym facecie, który mieszka w Bourani?

– Pan go poznał?

– Nie.

– *Ai!* – wrzasnął na chłopca, który wypisywał coś scyzorykiem na pniu migdałowca. Osobowość Casanovy zachowywał wyłącznie w życiu prywatnym, w szkole był rygorystycznym służbistą.

– Wie pan, jak on się nazywa?

– Conchis – *ch* wymówił twardo.

– Mitford opowiadał, że miał z nim jakieś zajście. Że się pokłócili.

– Kłamał. Mitford stale kłamał.

– Możliwe. Ale chyba musiał go gdzieś spotkać.

– *Po po.* – *Po po* znaczy po grecku: opowiedz to swojej ciotce. – Tamten facet z nikim się nie widuje. Z nikim. Może się pan spytać innych nauczycieli.

– Dlaczego?

– Hm... – wzruszył ramionami. – W swoim czasie dużo się na ten temat mówiło. Nie wiem.

– Bardzo pana proszę.

– Nic ciekawego.

Szliśmy wybrukowaną ścieżką. Méli nie znosił milczenia i po chwili zaczął mi opowiadać wszystko, co wiedział o Conchisie.

– Podczas wojny współpracował z Niemcami. Nigdy nie przychodzi do wsi. Wieśniacy by go ukamienowali. Ja także, gdyby mi się nawinał na oczy.

Uśmiechnąłem się: – Dlaczego?

– Dlatego, że jest bogaty, a mieszka na tym zadupiu, choć mógłby sobie pozwolić na Paryż... – Różową rączką nakreślił w powietrzu parę kółek, był to jego ulubiony gest. Sam najbardziej na świecie marzył o mieszkaniu nad Sekwaną, w którym byłby pokój pozbawiony okien, za to pełen dość szczególnych przyrządów.

– Czy on zna angielski?

– Chyba zna. Ale czemu on tak pana interesuje?

– Niespecjalnie. Tyle że wczoraj zobaczyłem tę willę.

Rozległ się dzwonek wzywający na drugą lekcję. Przed powrotem do klasy zaprosiłem Méliego, żeby następnego dnia zjadł ze mną obiad we wsi.

Pierwszy *estiatoras* wsi, wyglądający jak mors wielki mężczyzna nazwiskiem Sarantopoulos, wiedział o Conchisie znacznie więcej. Podszedł do naszego stolika, gdy zajadaliśmy ugotowany przez niego posiłek, by wypić z nami szklankę wina. Prawdą było, że Conchis jest pustelnikiem i nigdy nie zagląda do wsi, ale nieprawdą, że kolaborował. Podczas okupacji Niemcy mianowali go wójtem i robił, co mógł, by dopomóc mieszkańcom wyspy. Jeśli obecnie nie cieszy się popularnością, to tylko dlatego, że niemal wszystko sprowadza z Aten, mało co kupuje we wsi. Sarantopoulos wdał się w długą opowieść. Tutejszy dialekt nawet rodowitym Grekom sprawia niejakie trudności, ja zaś nie rozumiałem z niego ani słowa. Demetriades wyglądał na znudzonego i tylko od czasu do czasu łaskawie kiwał głową.

– Co on mówi, Méli?

– Nic ważnego. Opowiada o wojnie. Nic ważnego.

Nagle Sarantopoulos spostrzegł kogoś za naszymi plecami. Powiedział coś do Demetriadesa i wstał. Odwróciłem się. W drzwiach stał wysoki, posepnie wyglądający wieśniak. Podszedł do stolika stojącego w najdalszym kącie długiej pustej sali, był to kąt przeznaczony dla „miejsowych”. Zobaczyłem, że Sarantopoulos kładzie mu rękę na ramieniu. Mężczyzna przyjrzał się nam z powątpiewaniem, ale pozwolił się

przyprowadzić do naszego stolika.

— On jest *agogiati* pana Conchisa.

— Czym?

— Ma osła. Wozi do Bourani pocztę i jedzenie.

— Jak się nazywa? — Nazywał się Hermes. Przywykłem już do tego, że niczym nie wyróżniający się chłopcy nosili imiona Sokrates lub Arystoteles, a moja stara i nieobdarzona urodą sprzątaczką to Afrodyta, nie musiałem więc powstrzymywać uśmiechu. Właściciel osła usiadł i dość niechętnie zgodził się wypić szklankę retsiny. Miętosił w palcach swoje *koumbologi* — bursztynowe paciorki. Jedno oko miał nieruchome, przysłonięte bielmem. Méliemu, którego i tak znacznie bardziej interesował konsumowany właśnie homar, nie udało się uzyskać od niego wielu informacji.

— Co robi pan Conchis? Mieszka sam — tak, sam z gospodynią i uprawia swój ogródek. Czyta. Ma mnóstwo książek. Ma fortepian. Mówi wieloma językami. Jakimi *agogiati* nie wie, pewnie wszystkimi. Dokąd jeździ zimą? Do Aten, do obcych krajów. Do jakich? Mężczyzna nie wiedział. Nie wiedział także o wizytach Mitforda w Bourani. Nikt nigdy nie odwiedza Bourani.

— Proszę go spytać, czy mógłbym odwiedzić pana Conchisa.

Nie, to było niemożliwe.

Nasza ciekawość nie była w Grecji niczym nadzwyczajnym, dziwić mogła raczej jego rezerwa. Może wybrano go właśnie dlatego, że był milczkiem? Wstał, zbierając się do odejścia.

— Jesteście pewni, że pan Conchis nie ukrywa u siebie haremu pięknych dziewczyn? — spytał Méli.

*Agogiati* oczyma i niebieskawym podbródkiem zaprzeczył i odwrócił się z pogardą.

— Co za prostak! — Méli szepnąwszy po grecku najgorsze z istniejących wyzwisk, wyciągnął wilgotną rękę i położył ją na mojej dłoni: — Czy już opowiadałem panu, w jaki sposób uprawiało miłość dwóch mężczyzn i dwie panie, których kiedyś spotkałem na Mykonas?

— Tak. Ale to nic nie szkodzi.

Czułem się dziwnie rozczarowany. I nie tylko dlatego, że już trzeci raz musiałem wysłuchać szczegółowej opowieści o wszystkich osiągnięciach tego akrobatycznego kwartetu.

W ciągu następnych dni udało mi się nieco więcej dowiedzieć w szkole. Tylko dwóch nauczycieli mieszkało tu w czasie wojny. Obaj spotkali wówczas parę razy Conchisa, ale odkąd w 1949 roku szkoła znów zaczęła funkcjonować, więcej go już nie zobaczyli. Jeden twierdził, że Conchis był niegdyś muzykiem. Drugi uważał go za cynika, ateistę. Ale obaj zgadzali się, że Conchis pilnie strzeże swojej samotności. Podczas wojny Niemcy zmusili go do zamieszkania we wsi. Kiedyś złapali kilku *andarte* – partyzantów – z ładu i rozkazali mu przeprowadzić egzekucję. Odmówił i wraz z paroma innymi mieszkańcami wsi stanął przed plutonem egzekucyjnym. Cudem nie zginął i potem udało się go ocalić. Prawdopodobnie tę właśnie historię opowiedział nam Sarantopoulos. Wielu wieśniaków i oczywiście wszyscy ci, których krewni zostali w odwecie zmasakrowani przez Niemców, uważali, że powinien był wykonać rozkaz. Wszystko to jednak należało do przeszłości. Nawet jeśli postąpił niesłusznie, to dla honoru Grecji. Niemniej od tej pory nigdy już nie pojawił się we wsi.

Potem odkryłem coś, co samo przez się było drobiazgiem, ale mnie zadziwiło. Demetriades pracował w tej szkole dopiero od roku, ale wypytywałem też innych nauczycieli, czy Leverrier, poprzednik Mitforda, lub sam Mitford wspomnieli kiedyś o spotkaniu z Conchisem. Odpowiedź brzmiała zawsze: nie. W przypadku Leverriera było to dość zrozumiałe, gdyż był człowiekiem zamkniętym w sobie, „zbyt poważnym”, jak to określił jeden z nauczycieli, stukając się w czoło. Przypadkowo ostatnim, którego zacząłem wypytywać, pijąc u niego kawę, był nauczyciel biologii, Karazoglou. I Karazoglou tym swoim łamanym, ale soczystym francuskim oznajmił, że Leverrier na pewno nigdy nie był u Conchisa, bo z pewnością by o tym wspomniał. Znał Leverriera lepiej niż reszta nauczycieli, łączyły ich wspólne zainteresowania, pasjonowali się botaniką. Zaczął szperać w komodzie i wyciągnął z szuflady pudło, w którym między kartkami papieru leżały zasuszone i opisane przez Leverriera kwiaty. Każdy kwiat opatrzony był długą notatką, wypisaną zadziwiająco czytelnym charakterem pisma, pełną wysoce naukowych słów, gdzieniegdzie dołączone były szkice piórkiem lub akwarele. Kiedy bez specjalnego zainteresowania grzebałem w pudle, upuściłem kartkę, do której przypięty był arkusik z dodatkowymi informacjami. Na drugiej stronie tego arkusika widniał początek listu, przekreślony, ale dający się odczytać. Opatrzony był datą: 6 czerwca 1951 r., czyli pochodził sprzed dwóch lat. „Drogi Panie Conchis! Niestety, od chwili tego. niezwykłego...”, i na tym koniec.

Nie powiedziałem o tym Karazoglou, który niczego nie zauważył, ale w tym właśnie momencie postanowiłem złożyć panu Conchisowi wizytę.

Nie potrafię powiedzieć, dlaczego mnie tak nagle zaintrygował. Częściowo wynikało to może z tego, że na wyspie nie bardzo się było czym interesować, częściowo sprawiło to owo tajemnicze ostrzeżenie Mitforda i fakt, że Leverrier znał Conchisa i nigdy o tym nie wspominał, ale najbardziej chyba dość szczególne uczucie, że mam prawo do takiej wizyty. Moich dwóch poprzedników poznało tego nie spotykającego się z nikim człowieka — i nie chciało o tym mówić. Więc teraz przyszła moja kolej.

W ciągu tego tygodnia zrobiłem jeszcze jedno: napisałem list do Alison. Wysłałem go w kopercie zaadresowanej do Ann, która mieszkała pode mną na Russell Square, prosząc ją, by go przekazała Alison. List był krótki: często o niej myślę, wiem już, co to „poczekalnia”, ucieszę się, jeśli napisze, ale niech to zrobi tylko wówczas, jeśli będzie miała ochotę, ja zrozumieję jej milczenie.

Wiedziałem, że na wyspie człowiek łatwo poddaje się wspomnieniom przeszłości. Było tu tyle przestrzeni, tyle ciszy, tak rzadko się kogoś spotykało, że łatwo traciło się z oczu teraźniejszość, a przeszłość wydawała się stokroć bliższa. Prawdopodobnie Alison od dawna nawet o mnie nie pomyślała i miała przez ten czas wiele nowych romansów. Więc wrzuciłem list do skrzynki tak, jak rozbitek wrzuca do morza butelkę.

## 12

Brak zwykle niezawodnego wietrzyku sprawił, że następnej soboty panował przykry żar. Zaczęły się już odzywać cykady. Jazgotały chrapliwie nie znajdując wspólnego rytmu, grając na nerwach, ale wkrótce człowiek tak się do tej muzyki przyzwyczaił, że kiedy pewnego dnia podczas przelotnego deszczu zamilkły, cisza ta wydała się wybuchem. Dzięki nim zmienił się zupełnie charakter piniowego lasu. Stał się on czymś żywym, zamieszkanym, siedzibą niewidocznego, lecz słyszalnego ulla energii, zniknęła oczyszczająca samotność, bo powietrze aż pulsowało, jęczało, bzyczało; unosiły się w nim nie tylko *tzitzikias*, ale także pasikoniki o karminowych

skrzydełkach, szarańcza, wielkie szerszenie, pszczoły, bąki i tysiące innych anonimowych owadów. Tu i ówdzie wpadałem w całą chmurę natrętnych much, przemykałem się więc wśród drzew jak nowy Orestes, oganiając się i przeklinając.

Wreszcie wdrapałem się na grzbiet wzgórza. Morze mieniło się turkusowo, zastygłe w nieruchomym upale, odległe góry były popielatobłękitne. Widziałem migoczącą zieloną koronę pinii wokół Bourani. Kiedy zszedłem lasem na kamienisty brzeg koło kapliczki, zbliżało się południe. Brzeg był pusty. Zacząłem przeszukiwać skały, ale nic nie dostrzegłem i nie czułem na sobie niczyjego wzroku. Popływałem, zjadłem lunch, czarny chleb z sałatą i smażoną kałamarnicą. Gdzieś w dali, na południu, opasy żaglowiec holował sześć barek; wyglądał jak kaczka z kaczkami. Rozchodząca się fala pokryła ciemnymi zmarszczkami błękitną powierzchnię morza i kiedy statki znikły za zachodnim przyładkiem, zmarszczki te stały się jedynym śladem cywilizacji. Przezroczysta woda chlupotała niemal niesłyszalnie na nadbrzeżnych kamieniach, drzewa trwały w oczekiwaniu, roje owadów buczały jak dynamo, a dalej ciągnął się ogromny pejzaż ciszy. Zasnąłem w wątłym cieniu pinii, w samym sercu pozbawionej wieku, pustynnej Grecji.

Słońce przesunęło się, padł na mnie jego blask i obudził we mnie erotyzm. Zacząłem myśleć o Alison, o tym, jak mi z nią było. Zapragnąłem, aby leżała tu koło mnie, naga. Kochalibyśmy się na tych sosnowych igłach, potem popływalibyśmy, potem byśmy się znów kochali. Ogarnął mnie jałowy smutek, składała się nań pamięć i świadomość; pamięć tego, co istniało i co mogło być istnieć, i świadomość, że należy to do przeszłości, choć równocześnie wiedziałem, zaczynałem wiedzieć, że do przeszłości należy szczęśliwie także i parę innych rzeczy — kilka moich złudzeń co do samego siebie, no i syfilis, bo nic nie wskazywało na jego nawrót. Fizycznie byłem w dobrej formie. Nie bardzo wiedziałem, czego pragnę ani jak ma wyglądać moje przyszłe życie, ale tego dnia, kiedy leżałem nad morzem, niezbyt mnie to obchodziło. Wystarczało mi, że żyję. Żyłem w zawieszeniu, bez obawy czekałem, by zdarzyło się coś, co stanie się impulsem do działania. Przewróciłem się na brzuch i oddałem stosunkowi miłosnemu ze wspomnieniem Alison, jak zwierzę, nie czując najmniejszego wstydu. Potem, po rozpalonych kamykach, pobiegłem w stronę morza.

Wspiąłem się ścieżką, obok drutów i krzewów, minąłem zdewastowaną bramę i znów zatrzymałem przed tą tajemniczą tablicą. Zarośnięta ścieżka biegła po równym gruncie, lekko skręcając i znów wynurzając się spośród drzew. Olśniewająco biały w popołudniowym słońcu dom stał do mnie tyłem. Wybudowany został od strony morza



obok istniejącej już przedtem chaty. Był kwadratowy, miał płaski dach, od południa i wschodu otaczała go zwiewna kolumnada. Nad nią znajdował się taras. Widziałem wychodzące nań balkonowe okna. Na tyłach domu rosły rzędami jakieś rośliny o liściach w kształcie szpady i niewielkie kępy krzewów o szkarłatnych i żółtych kwiatach. Od frontu znajdował się wyźwirowany placyk, a potem urwisty brzeg morza. Z obu stron placyku rosły palmy w kręgach pobielanych kamieni. Przerzedzono piniowy las, by otworzyć widok.

Dom rozczarował mnie. Był za mało grecki, za bardzo przypominał Lazurowe Wybrzeże. Stał sobie biały i bogaty, niczym szwajcarski śnieg, i jego widok sprawił, że poczułem się niezgrabiaszem, zaczęły mi się lepić ręce.

Przebyłem kilka schodków i znalazłem się pod krytą czerwoną dachówką kolumnadą. Zobaczyłem zamknięte drzwi, w które należało zapukać żelazną kołatką w kształcie delfina. Zakołatałem do drzwi, echo odbiło się szczękiem od kamiennych posadzek. Ale nikt się nie pojawił. I dom, i ja czekaliśmy milcząco wśród bzyku owadów. Poszedłem wzdłuż kolumnady do narożnika frontu willi. Tu kolumnada była szersza, a smukłe łuki bardziej otwarte; stojąc w głębokim cieniu spojrzałem ponad wierzchołkami drzew i morzem na ospałe liliowe góry... ogarnęło mnie uczucie *deja vu*, jakbym już kiedyś stał w tym miejscu, pod sklepieniem tych właśnie łuków, w cieniu równie ostro kontrastującym z rozpalanym krajobrazem — sam nie wiedziałem, co o tym myśleć.

W samym środku arkad zobaczyłem dwa stare trzcinowe krzeselka i stół nakryty biało-niebieskim płóciennym ludowym obrusem, a na nim dwie filiżanki na spodeczkach i dwa duże talerze okryte gazą. Pod ścianą dojrzałem wyplataną kanapkę pełną poduszek, z otwartych balkonowych drzwi zwiślał mały wypolerowany dzwonek z wypłowiałą brązową wstęgą.

Nie mogłem nie zauważyć, że stół przygotowany był do podwieczorku na dwie osoby, stałem więc zakłopotany w kącie, opanowany typową dla Anglika chęcią wycofania się. I nagle w drzwiach ktoś się pojawił.

Był to Conchis.

Już w pierwszej sekundzie zorientowałem się, że mnie oczekiwał. Na jego

twarzą nie odmalowało się najmniejsze zdziwienie, uśmiechał się.

Był niemal całkiem łysy, brunatny jak stara skóra, niski i drobny, z trudem przyszloby mi określić jego wiek, mógł mieć równie dobrze sześćdziesiąt co siedemdziesiąt lat, miał na sobie granatową koszulę, sięgające kolan szorty i poplamione słoną wodą tenisówki. Najbardziej uderzały w nim oczy, ich intensywne spojrzenie; były brunatne, przenikliwe jak u małpy, podobieństwo to podkreślały wyjątkowo białe białka, oczy te nie robiły wrażenia oczu ludzkich.

Milczącym gestem powitania podniósł rękę, potem nie zostawiwszy mi czasu na wypowiedzenie przygotowanych słów, podszedł do narożnika arkad i zawołał w stronę chaty:

— Maria!

Niewyraźnie dobiegły mnie słowa odpowiedzi.

Kiedy odwrócił się z powrotem w moją stronę, wybąkałem:

— Nazywam się...

Ale on znów podniósł lewą rękę, tym razem, by mnie uciszyć, wziął mnie pod ramię i poprowadził na skraj kolumnady. Miał w sobie tyle autorytetu, zdecydowania, że zupełnie mnie zaskoczył. Spojrzał na krajobraz, potem na mnie. Ogarnął nas słodki zapach rosnących w dole kwiatów.

— Nieźle wybrałem, prawda?

Mówił po angielsku bezbłędnie.

— Wspaniale. Proszę, niech pan mi pozwoli...

I znów jego brunatne żylaste ramię wskazało milcząco na morze, góry, południe, tak jakbym nie docenił tego widoku. Spojrzałem na niego kątem oka. Był chyba człowiekiem, który rzadko się uśmiecha. Jego twarz była tak wyzbyta wszelkich emocji, że robiła wrażenie maski. Od nosa po kąciki ust biegły głębokie bruzdy, nasuwała się myśl o doświadczeniu, rozkazach, braku cierpliwości wobec głupców. Facet musiał być z lekka stuknięty, nie, niegroźnie, ale na pewno stuknięty. Przyszło mi na myśl, że bierze mnie za kogoś innego. Wpatrywał się we mnie tymi swoimi małpimi oczami. To milczenie i ten wzrok były niepokojące i z lekka komiczne, trochę jakby próbował zahipnotyzować ptaka.

Nagle potrząsnął leciutko głową; dziwaczny gest, pytający, owszem, ale było to pytanie retoryczne, nie wymagające odpowiedzi. Potem zmienił sposób bycia jakby to, co dotychczas między nami zaszło, było żartem, przygotowanym z góry i przeprowadzonym zgodnie z planem, któremu należało już położyć kres. A ja znów

poczułem się całkiem zbity z tropu. Nie, on jednak nie był stuknięty. Uśmiechnął się i jego małe oczy zamieniły się w oczy wiewiórki.

Podszedł do stołu. — Napijmy się herbaty.

— Zaszedłem tu, żeby poprosić o szklanę wody. Nie chciałbym...

— Przyszedł pan tu, żeby mnie poznać. Proszę. Życie jest krótkie.

Usiadłem. Zatem to drugie nakrycie było dla mnie. Weszła stara kobieta w czarnej, wyszarzałej już od noszenia sukni, twarz miała pomarszczoną jak indiańska *squaw*. Niosła tacę, na której stał wykwintny srebrny czajniczek, imbryk, cukiernica i talerzyk z plasterkami cytryny.

— To moja gospodyni, Maria.

Powiedział coś do niej po grecku, usłyszałem własne nazwisko i nazwę szkoły. Stara kobieta ze wzrokiem wbitym w ziemię skłoniła się bez uśmiechu w moją stronę i zaczęła zdejmować z tacy zastawę. Conchis ruchem prestidigitatora zerwał z jednego z talerzy gazę. Zobaczyłem kanapki z ogórkiem. Nalał herbatę, wskazał na cytrynę.

— Skąd pan wie, panie Conchis, kim jestem?

— Proszę wymawiać moje nazwisko z angielska. Wolę *cz* niż *ch*. — Wypił łyk herbaty. — Kiedy ktoś wypytuje Hermesa, Zeus musi się o tym dowiedzieć.

— Obawiam się, że mój kolega nie zachował się zbyt taktownie.

— Przypuszczam, że dowiedział się pan o mnie wszystkiego.

— Nie, dowiedziałem się niewiele. Toteż pana uprzejmość tym bardziej mnie zaskakuje.

Spojrzał na morze. — Istnieje wiersz z czasów dynastii T'ang. — Zaznaczył głosem apostrof. — „Tu na granicy spadają liście. Lecz choć barbarzyńcami są moi sąsiedzi, a ty jesteś o tysiąc mil stąd, na moim stole zawsze stoją dwie filizanki.”

Uśmiechnąłem się: — Zawsze?

— Widziałem pana w zeszłą niedzielę.

— Zatem to pana rzeczy leżały na skałkach?

Skinął głową. — I widziałem pana dziś po południu.

— Mam nadzieję, że nie wypłoszyłem pana z pańskiej plaży.

— Ależ skąd. Moja prywatna plaża jest tutaj. — Wskazał na urwisko za wyżwirowanym placykiem. — Ale lubię być na plaży sam. Więc sądziłem, że pan także. A teraz proszę spróbować kanapek.

Nalał mi jeszcze herbaty. Pływały w niej duże poszarpane listki, a w powietrzu unosił się aromat chińskiej herbaty. Na drugim półmisku leżały *kourabièdes*,

stożkowe ciasteczka oblane lukrem. Zdążyłem już zapomnieć, jak rozkosznym posiłkiem może być podwieczorek i ogarnęła mnie zazdrość człowieka skazanego na posiłki w instytucji, na życie w instytucji, wobec kogoś bogatego i niezależnego. Przypomniałem sobie podwieczorek u jednego z moich nauczycieli z college'u Magdalen, kiedy tak samo zazdrościłem mu jego mieszkania, książek, spokoju i stabilizacji. Spróbowałem *kourabiè* i z aprobatą skinąłem głową.

— Nie jest pan pierwszym Anglikiem, który zachwyca się smakołykami przyrządzonymi przez Marię.

— Mitford był tu? — Conchis znów wpatrywał się we mnie. — Poznałem Mitforda w Londynie.

Conchis dolał mi herbaty. — Jak się panu podobał kapitan Mitford?

— Nie jest to człowiek w moim guście.

— Wspominał o mnie?

— Nie. To znaczy... — Conchis nie spuszczał ze mnie wzroku. — Powiedział tylko, że doszło między panami do wymiany zdań.

— Przez kapitana Mitforda zacząłem się wstydzić, że w moich żyłach płynie także i angielska krew.

Do tego momentu wydawało mi się, że już wiem, jaki on jest. Przede wszystkim jego angielszczyzna, choć bezbłędna, była nieco staroświecka, czy też raczej była angielszczyzną kogoś, kto od wielu lat nie był w Anglii, a w dodatku wyglądał bardzo po cudzoziemsku. Przypominał Picassa, było to niemal rodzinne podobieństwo, coś z małpy, coś z jaszczura, wiele dziesiątków lat spędzonych na słońcu, kwintesencja człowieka śródziemnomorskiego, który odrzucił wszystko, co nie zgadzało się z jego witalnością. Małpie hormony, pszczele mleczko, energia wypływająca nie tylko z natury, podtrzymywana ćwiczeniami i siłą woli. Sądząc z ubrania, człowiek ten nie był dandysem, niemniej była w nim pewna narcyzowość.

— Nie przypuszczałem, że jest pan Anglikiem.

— Pierwsze dziewiętnaście lat życia spędziłem w Anglii. Teraz jestem obywatelem greckim i noszę nazwisko matki. Moja matka była Greczynką.

— Jeździ pan do Anglii?

— Niemal nigdy. — Zręcznie zmienił temat: — Jak się panu podoba mój dom? Sam go zaprojektowałem i zbudowałem.

Rozejrzałem się jeszcze raz: — Zazdroszczę panu.

— A ja panu. Ma pan jedyną rzecz, która się liczy. Ma pan jeszcze wszystko

przed sobą.

Na jego twarzy nie pojawił się uśmiech, który zwykle towarzyszy podobnie wyświechtanym stwierdzeniom, spojrzał na mnie tak intensywnym wzrokiem, że zrozumiałem, iż nie wypowiedział konwencjonalnego banału.

— Tak. Pozwolę sobie opuścić pana na parę minut. Potem pokażę panu dom. — Wstałem wraz z nim, ale ruchem ręki nakazał, żebym usiadł z powrotem. — Bardzo proszę, niech pan skończy te ciastka. Maria będzie zachwycona.

Wyszedł spod arkad na słońce, wyciągnął ramiona poruszając palcami i zachęcając mnie, bym dalej zajadał, wszedł do pokoju. Z mego miejsca widziałem obitą kretonem kanapę i stół, a na nim czarkę z mlecznobiałymi kwiatami. Od sufitu do podłogi ścianę zasłaniały półki na książki. Wziąłem następne *kourabiè*. Słońce zaczęło opadać na góry i morze pobłyskiwało leniwie u stóp ich popielatego cienia. Czekał mnie nagły szok — rozległ się dźwięk niecodziennego instrumentu, szybkie arpeggio, zbyt obecne, aby mogło pochodzić z radia lub płyty. Przestałem jeść zastanawiałem się, jaka mnie znów czeka niespodzianka.

Nastąpiła chwila ciszy, pewnie po to, by utrzymać mnie w niepewności. I ten przejmujący, spokojny głos klawesynu. Po chwili wahania doszedłem do wniosku, że i ja mogę się zabawić w niezależność. Conchis grał szybko, potem wolniej, parę razy zatrzymał się i powtórzył frazę. Stara kobieta weszła i cichutko sprzątnęła ze stołu, nie spojrzawszy na mnie nawet wówczas, gdy wskazałem na pozostałe ciasteczka i pochwaliłem je moją nieporadną greką; pan-pustelnik lubił widać milczącą służbę. Muzyka dobiegała z pokoju, spowijała mnie swymi falami i wypływała przez arkady na światło. Conchis urwał, zagrał jeszcze raz ostatni pasaż i przestał grać równie nagle, jak zaczął. Drzwi zamknęły się, nastąpiła cisza. Minęło pięć, potem dziesięć minut. Przypełzło do mnie słońce.

Poczułem, że powinienem był wejść do domu wcześniej, że Conchis mógł się poczuć urażony. Ale w tym momencie stanął w drzwiach i powiedział:

— Nie uciekł pan?

— Tego by jeszcze brakowało. Czy to był Bach?

— Telemann.

— Pan świetnie gra.

— Kiedyś naprawdę umiałem grać. Nie ma o czym mówić. Niech pan pozwoli. — Jego ruchliwość robiła chorobliwe wrażenie, jakby chciał prześcignąć nie tylko mnie, ale także i czas.

Wstałem. — Mam nadzieję, że będę jeszcze miał okazję pana usłyszeć. — Skłonił się lekko, jakby nie chcąc przyjąć do wiadomości zaproszenia do zaprosin.

— Człowiek staje się tu głodny muzyki.

— Tylko muzyki? — I ciągnął, nie dając mi czasu na odpowiedź: — Niech pan pozwoli. Prospero pokaże panu swą posiadłość.

Kiedy schodziliśmy po stopniach na wyżwirowany placyk, zauważyłem: — Prospero miał córkę.

— Prospero miał wiele rzeczy. — Spojrzał na mnie oschle: — I nie wszystko co miał, było młode i piękne.

Uśmiechnąłem się taktownie, sądząc, że jest to aluzja do wspomnień wojennych, i nastąpiło krótkie milczenie.

— Mieszka pan sam?

— Można to tak określić. A można inaczej.

Wypowiedział te słowa dość pogardliwym tonem, patrząc przed siebie. I nie potrafiłbym powiedzieć, czy po to, aby mnie dalej mistyfikować, czy też po prostu nie chciał dopuścić do konfidencji.

Szedł szybko, co chwila coś mi pokazując. Oprowadził mnie po malutkim warzywnym ogródku na tarasie: ogórki, drzewa migdałowe, drzewka *eriobotrya japonica*, pistacje. Z rogu tarasu zobaczyłem w dole miejsce na brzegu, gdzie leżałem przed paroma godzinami.

— Moutsa.

— Nigdy nie słyszałem tego słowa.

— To po albańsku. — Poklepał się po nosie. — Ryj. Z powodu tego skalnego występu.

— Niezbyt poetycka nazwa dla równie pięknego brzegu.

— Albańczycy byli piratami, nie poetami. Przylądek ten nazwali Bourani. Przed dwustu laty było to slangowe wyrażenie oznaczające tykwę. A także czaszkę. — Ruszył naprzód. — Śmierć i woda.

Idąc za nim zauważyłem: — Zastanawiałem się, co oznacza tablica przy bramie. *Salle d'attente*.

— Zawiesili ją tam niemieccy żołnierze. W czasie wojny zarekwirowali Bourani.

— Ale po co im była tablica?

— Chyba przedtem stacjonowali we Francji. Tu musiało im się nudzić. — Odwrócił się i zobaczył mój uśmiech. — No właśnie. Człowiek powinien radować się

najdrobniejszymi przejawami poczucia humoru u Niemców. Nie chciałbym dźwigać odpowiedzialności za zniszczenie tak niezwykle rzadkiej rośliny.

— Zna pan Niemcy?

— Nie można znać Niemiec. Można je tylko znosić.

— A Bach? Chyba znosi się go bez trudności?

Conchis zatrzymał się. — Nie wydaję opinii o krajach na podstawie geniuszów, którzy tam się urodzili. Ale na podstawie typowych cech narodowych. Starożytni Grecy umieli się z siebie śmiać. A Rzymianie nie. I dlatego właśnie Francja jest cywilizowanym krajem, a Hiszpania nie. I dlatego wybaczam Anglosasom i Żydom ich niezliczone wady. I dlatego, gdybym wierzył w Boga, to bym mu stale dziękował, że nie mam w sobie niemieckiej krwi.

Doszliśmy do altanki stojącej ukośnie w rogu warzywnego tarasu, obrośniętej bougainvilleą i pnącym wilcem. Zaprosił mnie gestem, bym wszedł do środka. W cieniu przed wybrzuszeniem skały stał cokół. A na nim manekin z groteskowo ogromnym, sterczącym phallusem. Manekin wyciągał przed siebie ręce, tak jakby chciał przerazić dzieci, a na jego twarzy malował się maniacki grymas satyra. Posążek miał nie więcej niż osiemnaście cali, ale mimo to wzbudzał strach.

— Wie pan kto to? — Conchis stał tuż za mną.

— Bożek Pan?

— Priap. W starożytności posążek Priapa znajdował się w każdym ogrodzie i sadzie. Aby odstraszać złodziei i przynosić płodność.

— Gdzie go pan znalazł?

— Kazałem go zrobić. Proszę za mną. — To „proszę” przypominało dźgnięcie, jakim Grecy popędzają swe osiołki; brzmiało trochę tak — ale przyszło mi to dopiero później na myśl — jakbym był kimś, kogo ma u siebie zatrudnić, więc z konieczności pokazuje mu posiadłość.

Poszliśmy z powrotem w stronę domu. Od środka kolumnady wąska ścieżka prowadziła stromymi zygzakami na sam brzeg morza. Była tam mała zatoczka, najwyżej pięćdziesiąt jardów. Na jej końcu Conchis zbudował miniaturowe molo, do mola przywiązana była niewielka zielono-różową łódź, zwykła otwarta rybacka łódź, w której zainstalowano motor. W skałach nadbrzeżnych zobaczyłem pieczarę pełną kanistrów z benzyną. I stała tam niewielka pompa, do której prowadziła rura.

— Ma pan ochotę popływać?

Staliśmy na molo.

— Zostawiłem w domu kąpielówki.

— Tu nie potrzeba kostiumu. — Spojrzał na mnie wzrokiem szachisty, któremu udał się gambit. Przypomniałem sobie żart Demetriadesa o angielskich tyłkach, przypomniałem sobie Priapa. Może tu kryło się wyjaśnienie: Conchis był starą ciotą.

— Nie, dziękuję.

— Jak pan sobie życzy.

Wróciliśmy na kamienisty brzeg i usiedliśmy na stercie wydobytego z wody drewna.

Zapaliłem papierosa i spojrzałem na Conchisa: próbowałem wyrobić sobie o nim zdanie. Znajdowałem się w stanie lekkiego szoku. Nie, nie chodziło tylko o to, że ten starzec, który tak płynnie mówił po angielsku, który był niewątpliwie człowiekiem kulturalnym, kosmopolitą, pojawił się nagle na „mojej” bezludnej wyspie, tak jakby w ciągu jednej nocy na gołej ziemi wyrosło niespodziewanie dziwaczne drzewo. I że był tak zupełnie inny, niż go sobie wyobrażałem. Ale czułem, że poprzedniego roku zaszło coś, co jest dla mnie tajemnicą, coś, co Mitford umyślnie przede mną zataił. W powietrzu wisiała jakaś zagadka, coś niedopowiedzianego i nieoczekiwanego.

— Jak to się stało, panie Conchis, że pan tutaj trafił?

— Czy wybaczy mi pan, jeśli poproszę o niezadawanie mi pytań?

— Ależ oczywiście.

— W porządku.

No, tak. Przygryzłem wargi. Gdybyśmy nie byli sami, nie potrafiłbym opanować śmiechu.

Pinie rosnące z drugiej strony zatoczki zaczęły rzucać cień na szeroką prostopadłą skałę po naszej prawej ręce i bezbrzeżny spokój ogarnął nagle cały świat, ustało bzyczenie owadów, woda wyglądała jak lustro. Conchis siedział milcząc, złożył na kolanach ręce, jakby oddawał się ćwiczeniom oddechowym. Nie tylko jego wiek trudno było odgadnąć, w ogóle nie było wiadomo, co o nim myśleć. Pozornie mało się mną interesował, a jednak przyglądał mi się bacznie, nawet patrząc w inną stronę obserwował mnie spod oka i czekał. Tak było od samego początku: traktował mnie obojętnie, ale równocześnie obserwował mnie i czekał. Siedzieliśmy więc w milczeniu, jakbyśmy się dobrze znali i nie odczuwali potrzeby rozmowy; prawdę mówiąc pasowało to do spokoju dnia. Nasze milczenie było nienaturalne, ale nie było kłopotliwe.

Nagle Conchis poruszył się. Spojrzał na szczyt stromej skały z lewej strony.



Obejrzałem się. Nic tam nie zobaczyłem. Spojrzałem więc na niego.

— Coś tam było?

— Ptak.

Milczenie.

Obserwowałem jego profil. Czyżby był obłąkany? Czy kpił sobie ze mnie w żywe oczy? Spróbowałem jeszcze raz nawiązać rozmowę.

— Podobno znał pan obu moich poprzedników? — Jego głowa zwróciła się w moją stronę z szybkością węża, ale nic nie powiedział. Brnąłem dalej: — Leverriera także?

— Kto to panu powiedział?

Z jakiegoś powodu robił wrażenie przestraszonego tym, co mogłem o nim słyszeć. Opowiedziałem mu o kartce papieru wśród rycin i odprężył się.

— Nie czuł się tu dobrze. Myślę o Phraxos.

— Mówił mi o tym Mitford.

— Mitford? — Znow spjrzał na mnie podejrzliwie i oskarżająco.

— Pewnie nasłuchiwał się o tym w szkole.

Conchis poszukał mego wzroku, a potem bez przekonania skinął głową. Uśmiechnąłem się do niego i na jego ustach pojawił się cień ostrożnego uśmiechu. Znow ta zagadkowa psychologiczna partia szachów. Tym razem przewagę uzyskałem ja, ale nie miałem pojęcia, na czym ona polega.

Z niewidocznego domu dobiegł dźwięk dzwonu. Zadzwoił dwukrotnie, po chwili trzykrotnie i znow dwukrotnie. Miało to niewątpliwie coś oznaczać, trochę tak, jakby w głosie tym znalazło ujście napięcie, jakie wyczuwałem w domu i w jego właścicielu, napięcie jakże nie pasujące do spokoju przyrody. Conchis natychmiast wstał.

— Muszę wracać. A i pan ma przed sobą długą drogę.

Wdrapywaliśmy się ścieżką po skałach, w pół drogi ścieżka rozszerzała się i w tym miejscu ustawiono niewielką żelazną ławkę. Conchis, który nadał marszowi szybkie tempo, opadł na ławkę z widoczną ulgą. Ciężko dyszał, ja zresztą także. Wskazał na serce. Przybrałem zatroskany wyraz twarzy, ale on wzruszył ramionami.

— Starość. Zwiastowanie na opak — uśmiechnął się kpiąco. — Że wkrótce człowieka już nie będzie.

Siedzieliśmy w milczeniu, aby odzyskać oddech. Przez okienka między gałęziami pinii widziałem zółknące niebo. Na zachodzie niebo było zamglone. Parę

nieznacznych kosmyków chmur zwijało się wysoko na niebie zachwycając się ciszą świata.

I znów ni stąd, ni zowąd Conchis spytał: — Czy jest pan wybrańcem?

— Wybrańcem?

— Czy czuje się pan powołany?

— Powołany?

— John Leverrier uważał się za wybrańca Boga.

— Nie wierzę w Boga. I stanowczo nie czuję się wybrańcem.

— A mnie się wydaje, że pan nim jest.

Uśmiechnąłem się powątpiewająco: — Dziękuję panu.

— To nie komplement. Wybrańcem staje się człowiek dzięki ślepego trafowi.

Nie ma na to żadnego wpływu.

— Co mnie zatem wybrało?

— Los ma niejedno oblicze.

Conchis wstał, ale na chwilę oparł mi na ramieniu dłoń, jakby pragnąc mnie uspokoić i dać do zrozumienia, że to nieważne. Znów zaczęliśmy się wdrapywać. Wreszcie znaleźliśmy się na żwirze przed boczną kolumnadą, Conchis przystanął.

— Jesteśmy.

— Bardzo panu za wszystko dziękuję. — Chciałem, żeby odwzajemnił się uśmiechem, przyznał, że sobie ze mnie zażartował, ale jego ponura, zamyślona twarz wyprana była z poczucia humoru.

— Poproszę pana o dwie rzeczy. Po pierwsze, żeby pan nikomu nie mówił o naszym spotkaniu. A to z powodu pewnych rzeczy, które zdarzyły się w czasie wojny.

— Słyszałem już o tym.

— Co pan słyszał?

— Całą historię.

— Istnieją dwie wersje tej samej historii. Ale to nieważne. Dla mieszkańców tej wyspy jestem odludkiem. Nikt mnie nigdy nie widuje. Rozumie pan?

— Oczywiście. Nic nikomu nie powiem.

Wiedziałem, jaka będzie druga prośba: żebym go więcej nie odwiedzał.

— A po drugie, żeby pan przyszedł podczas najbliższego weekendu. I spędził tu sobotnią i niedzielą noc. Jeżeli nie przeraża pana wczesny spacer w poniedziałek rano.

— Bardzo panu dziękuję. Dziękuję. Z przyjemnością.

– Wydaje mi się, że czeka nas niejedno odkrycie.

– „Nie ustaniemy w poszukiwaniach.”

– Przeczytał pan to w antologii na plaży?

– Czyż nie zostawił jej pan po to, bym to przeczytał?

– Skąd mogłem wiedzieć, że pan przyjdzie?

– Cały czas miałem uczucie, że ktoś mnie obserwuje.

Jego brunatne rozżarzone oczy wpatrywały się we mnie, przez dłuższą chwilę nie odpowiadał, a na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– Czy teraz także czuje się pan obserwowany?

I popatrzył tak, jakby za moimi plecami w gąszczu drzew było coś do zobaczenia. Odwróciłem się. Nikt nie ukrywał się wśród pinii. Spojrzałem na niebo, czyżby to miał być żart?

On dalej się uśmiechał, oschłym przykrym uśmieszkiem.

– A jestem?

– Spytałem ze zwykłej ciekawości, panie Urfe. — Wyciągnął rękę. — Jeśli coś panu przeszkodzi, proszę zostawić Hermesowi wiadomość u Sarantopoulosa. Otrzymam ją następnego dnia.

Kiedy podawałem mu rękę, na mojej twarzy musiała malować się podejrzliwość, którą chciał we mnie wzbudzić. Dłużej, niż tego wymagała uprzejmość, przetrzymał moją dłoń w swojej. Ścisnął ją mocno i patrzył na mnie trochę kpiąco, trochę badawczo.

– Niech pan nie zapomni. Przypadek.

– Skoro pan tak twierdzi...

– Proszę już iść.

Musiałem się uśmiechnąć. Było to w końcu śmieszne — najpierw te zaprosiny, a potem krótka odprawa, jakby stracił nagle do mnie cierpliwość. Ale on nie zareagował, nie ustąpił, więc w końcu skłoniłem się lekko i podziękowałem za podwieczorek. Odpowiedział mi takim samym skinieniem głowy. Nie pozostało mi nic innego, niż odejść.

Przeszedłszy jakieś pięćdziesiąt jardów odwróciłem się. Conchis nawet nie drgnął, stał w miejscu, pan swoich włości. Pokiwałem ręką, a on kapłańskim, cudzoziemskim gestem podniósł do góry ramiona, tak jakby mnie błogosławił. Kiedy wchodząc między drzewa obejrzałem się po raz wtóry, zniknął.

Kimkolwiek był, nie przypominał nikogo ze znanych mi ludzi. W jego płonących oczach uderzało coś więcej niż samotność, starcza podstępność i starcze urojenia, coś więcej kryło się za tym dziwnym sposobem prowadzenia rozmowy, w której nagle wprowadzał jakiś temat i nagle go porzucał, za tajemniczymi spojrzeniami. Nie mogłem przypuścić, że nie dalej niż sto jardów stąd czeka na mnie rozwiązanie zagadki.

## 14

Byłem jeszcze daleko od bramy, gdy zobaczyłem coś białego w dziurze w drutach. Z początku myślałem, że to chusteczka, ale kiedy się po nią schyliłem, stwierdziłem, że jest to kremowa rękawiczka, długa rękawiczka damska. Wewnątrz na poźółklej metce błękitnym jedwabiem wyhaftowane były słowa *Mireille, Gantière*. I rękawiczka, i metka wyglądały nedorzecznie staroświecko, jakby pochodziły z kufra prababki. Powąchałem rękawiczkę, pachniała tak samo jak tydzień temu ręcznik — korzenny, staroświecki zapach, przypominający sandałowe drzewo. Kiedy Conchis oznajmił mi, że to on był w zeszłym tygodniu na Moutsa, nie bardzo wiedziałem, co myśleć, nie pasowały mi do niego te słodkawe kobiece perfumy.

Teraz zacząłem podejrzewać, czemu nie życzył sobie nieoczekiwanych wizyt, plotek. Nie rozumiałem tylko, dlaczego naraża się na to, że ja za tydzień mogę poznać jego sekret, że chce go przede mną zdradzić, nie rozumiałem, czemu ta dama wychodziła tędy w rękawiczkach pasujących raczej do Ascot, no i nie mogłem się domyślić, kim by mogła być. Tak, mogła być kochanką, ale równie dobrze córką, żoną lub siostrą — może była to osoba niezupełnie normalna, a może po prostu bardzo stara. Przyszło mi na myśl, że wolno jej było opuszczać teren Bourani i schodzić na Moutsę tylko pod warunkiem, że nie dojrzy jej niczyje oko. Widziała mnie przed tygodniem, a tym razem usłyszała, że nadchodzę, i usiłowała znów mi się przyjrzeć — to wyjaśniałoby, czemu ten stary pan ciągle się ukradkowo rozglądał, wyjaśniałoby jego dziwaczną nerwowość. Wiedział, że lada chwila ta kobieta może się pojawić, oto dlaczego stół był nakryty na dwie osoby, dlaczego tak tajemniczo odezwał się dzwon.

Odwrociłem się, podświadomie oczekując, że usłyszę chichot, bezmyślny chichot, a patrząc na gęste zarośla koło bramy przypomniałem sobie ponurą aluzję do Prospera i pomyślałem, że istnieje jeszcze inna, bardziej przykra ewentualność. Nie

choroba umysłowa, ale jakaś potworna ułomność. „Nie tylko piękni i młodzi, panie Urfe.” Po raz pierwszy, odkąd byłem na wyspie, ogarnął mnie dreszczyk zgrozy.

Słońce było już nisko, a noc w Grecji zapada z niemal tropikalną szybkością. Nie miałem ochoty wspinać się stromymi ścieżkami w zupełnych ciemnościach. Zawiesiłem więc rękawiczkę na środku bramy i szybko ruszyłem w drogę. W pół godziny później przyszła mi na myśl rozkoszna hipoteza, że Conchis jest trawestytą. I po chwili, po raz pierwszy od wielu miesięcy, zacząłem coś nucić.

Nikommu, nawet Méliemu, nie opowiedziałem o wizycie u Conchisa, ale wiele godzin spędziłem zastanawiając się, kim jest ta tajemnicza trzecia mieszkanka Bourani. Doszedłem do wniosku, że najprawdopodobniej jest to niezupełnie normalna żona i stąd odosobnienie willi oraz milczenie służby.

Zastanawiałem się także nad samym Conchisem. Wcale nie byłem pewny, czy nie jest po prostu homoseksualistą, wyjaśniałoby to, choć w niezbyt pochlebny dla mnie sposób, tajemnicze ostrzeżenie Mitforda. Nerwowość starego pana, to jego bieganie z miejsca na miejsce, przerzucanie się z tematu na temat, jego zamaszysty krok, jego tajemniczość i aluzje, to dziwaczne podniesienie ramion, gdy mnie żegnał — całe jego zachowanie sugerowało, było obliczane na to, by zasugerować, że chce wydawać się młodszym i żywotniejszym, niż naprawdę jest.

Ale nie tłumaczyło to tej osobliwej historii z książką, którą niewątpliwie naszykował po to, by dać mi do myślenia. Owej pierwszej niedzieli bardzo długo pływałem, wypłynąłem daleko w morze, zatem gdy ja byłem w wodzie, on z łatwością mógł podrzucić te wszystkie przedmioty na skałki koło Bourani. Ale wydawało mi się to dość okrężnym sposobem przedstawienia się. I co miałyby oznaczać zdanie, że jestem „wybrany”, że mamy „wiele rzeczy do odkrycia”? Mogły to być puste słowa, mogły też oznaczać, że jest po prostu wariatem. A to: „Można by powiedzieć, że mieszkam sam”; dobrze zapamiętałem niemal nieukrywaną pogardę, z jaką wypowiedział owe słowa.

W szkolnej bibliotece znalazłem szczegółową mapę wyspy. Były tam zaznaczone granice posiadłości Bourani. Zorientowałem się, że jest znacznie większa, niż mi się wydawało: sześć do siedmiu hektarów, dobre piętnaście akrów. Ten samotny przylądek wciąż stawał mi przed oczyma w ciągu nużących godzin spędzanych w czyścicu, czyli nad *Podręcznikiem do angielskiego* Eckersleya. Lubilem lekcje konwersacji i lubilem moje wykłady z literatury w klasie szóstej, filologicznej; uczęszczało na nie kilku osiemnastoletnich bęcwałów, studiujących języki tylko

dlatego, że nie potrafiliby sobie dać rady z przedmiotami ścisłymi, ale wbijanie w głowę tępaków początków języka nudziło mnie śmiertelnie. *Co ja robię? Ja podnoszę do góry moją rękę. Co ty robisz? Ty podnosisz do góry twoją rękę. Co on robi? On podnosi do góry swoją rękę. Czy on podniósł swoją rękę? Tak, podniósł.*

Czułem się zupełnie tak, jakbym będąc mistrzem tenisa musiał grać z pataluchami i w dodatku wyciągać z siatki ich piłki. Wyglądałem przez okno, patrzyłem na błękitne niebo, na cyprysy i na morze i marzyłem, żeby dzień dobiegł końca, żebym mógł wrócić do skrzydła nauczycielskiego, wyciągnąć się na łóżku i popijać *ouzo*. Bourani wydało mi się nagle bardzo odległe, jakby znajdowało się na zielonym krańcu świata, choć było przecież tuż; a jego drobne tajemnice, które w miarę upływu dni wydawały mi się jeszcze mniejsze, dodawały tylko smaku oczekiwanej przyjemności weekendu w towarzystwie inteligentnego, cywilizowanego pana.

## 15

Tym razem Conchis czekał na mnie przy stole. Ustawiłem moją torbę pod ścianą, a on zawołał Marię, by przyniosła herbatę. Zachowywał się znacznie mniej ekscentrycznie, może dlatego, że wyraźnie postanowił mnie wypytać. Rozmawialiśmy o szkole, o Oksfordzie, o mojej rodzinie, o tym, jak się uczy cudzoziemców angielskiego, o tym, dlaczego przyjechałem do Grecji. Choć bez przerwy zadawał pytania, nie czułem, by się interesował tym, co mówię. Jakby chodziło mu tylko o przekonanie się, do jakiej kategorii ludzi należę. Nie interesowałem go jako ja, chciał wiedzieć, co sobą przedstawiam. Parę razy próbowałem odwrócić nasze role, ale on jeszcze raz jasno postawił sprawę: nie życzy sobie rozmowy na swój temat. Nie wspomniałem o rękawiczce.

Tylko raz okazał zdziwienie. Zapytał mnie, skąd mam takie nietypowe nazwisko.

— To nazwisko francuskie. Moi przodkowie byli hugonotami.

— Ach, tak?

— Istnieje pisarz nazwiskiem Honore d'Urfe...

Conchis obrzucił mnie baczny wzrokiem:

— To pana przodek?

— Tak mówi rodzinna tradycja. Nikt tego nigdy nie usiłował sprawdzić. Przynajmniej mnie nic o tym nie wiadomo.

Biedny, stary d'Urfe, już nieraz powoływałem się na niego, by dać do zrozumienia, że moja krew od paru stuleci jest krwią wysoce cywilizowanych ludzi. Conchis uśmiechnął się ciepło, niemal promiennie, odpowiedziałem mu więc uśmiechem:

— Czyżby miało to jakieś znaczenie?

— Po prostu miło usłyszeć.

— Pewnie były to tylko pobożne życzenia mojej rodziny.

— Nie, nie. Ja w to wierzę. Czytał pan *Astreę*?

— Tak, jako karę za moje grzechy. Potwornie nudne.

— *Oui, un peu fade. Mais pas tout à fait sans charme* — mówił nieskazitelnym akcentem i nie przestawał się uśmiechać. — Zatem zna pan francuski?

— Nie za dobrze.

— Oto przy moim stole zasiada potomek *le grand siècle* w prostej linii.

— Nie w prostej.

Ale było mi przyjemnie, że tak uważa, pochlebiała mi jego nagła łaskawość. Wstał.

— Dobrze. Dziś zagram Rameau. Na pana cześć.

Zaprowadził mnie do pokoju, który zajmował całą szerokość domu. Trzy ściany były wytapetowane książkami. Na czwartej znajdował się pokryty zieloną glazurą kominek, na jego gzymsie stały dwa nowoczesne posążki brązowe. A nad nimi wisiała reprodukcja Modiglianiego, piękny portret posępnej kobiety w czerni na zielonkawoniebieskim tle.

Conchis posadził mnie w fotelu, zaczął przeglądać nuty, znalazł te, o które mu chodziło, i zaczął grać. Krótkie świergoczące utwory, a potem wypracowane, ozdobne pas-sacaglia. Niezbyt mi się to podobało, ale zdałem sobie sprawę, że gra po mistrzowsku. Zachowywał się często pretensjonalnie, ale gdy siadał do klawesynu nie było w nim ani źdźbła pozy. Przerwał niespodziewanie w pół nuty, tak jakby nagle wysiadły korki, znów zaczęła się ta dziwna minoderia.

— *Voilà*.

— Śliczne. — Nie miałem zamiaru dopuścić do tego, żeby francuski zagarnął nas jak epidemia. — Zachwycałem się tym obrazem — wskazałem na reprodukcję.

— Tak?

Podeszliśmy do kominka.

— To moja matka.

Przez chwilę myślałem, że żartuje.

— Pańska matka?

— Oficjalnie. Bo naprawdę to jego matka. Wszystkie malowane przez niego portrety są portretami jego matki.

Spojrzałem na oczy kobiety, nie miały tej rybiej bladości oczu kobiet Modiglianiego. Patrzyły, obserwowały, były przenikliwe jak oczy małp. Potem przyjrzałem się fakturze. I dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że nie jest to reprodukcja.

— Święty Boże! To musi być warte majątek.

— Niewątpliwie — powiedział nie patrząc na mnie Conchis. — Niech pan nie sądzi, że żyję tu tak skromnie, bo jestem człowiekiem ubogim. Jestem bardzo bogaty. — Powiedział to tak, jakby „bogaty” oznaczało narodowość, zresztą może i oznacza. Znow wpatrzyłem się w portret. — A ten portret nic mnie, praktycznie biorąc, nie kosztował. Zamówiłem go z litości. Chciałbym móc twierdzić, że poznałem się na geniuszu Modiglianiego. Ale to nieprawda. Nikt się nie poznał. Nawet ten spryciarz, pan Zborowski.

— Pan go znał?

— Modiglianiego? Spotykałem go. Wielokrotnie. Znałem Maxa Jacoba, który był jego przyjacielem. W ostatnim okresie jego życia. Był słynną postacią Montparnasse'u. Chodziło się tam, by go obejrzeć.

Spojrzałem ukradkiem na Conchisa, który wpatrywał się w obraz; ze zwykłego snobizmu nabrałem dla tego starszego pana szacunku i zaczął mi się wydawać już nie tak ekscentryczny i upozowany; przestałem także być pewien własnej lepszej znajomości życia.

— Pewnie żałuje pan, że nie kupił pan więcej jego płócien?

— Ależ kupiłem.

— Ma pan je nadal?

— Oczywiście. Tylko bankruci sprzedają piękne obrazy. Tamte płótna wiszą w innych moich domach. — Szybko zanotowałem sobie w pamięci tę liczbę mnogą, kiedyś opowiem to komuś przedrzeźniając Conchisa.

— Gdzie są te pańskie domy?



— A to się panu podoba? — dotknął posążku chłopca z brązu, który stał pod Modiglianin. — To model Rodina. Moje domy? Jeden jest we Francji. Jeden w Libanie. Jeden w Ameryce. Interesy wymagają mojej obecności w wielu krajach. — Dotknął drugiej brązowej statuetki. — A oto Giacometti.

— Tu na Phraxos! Jestem wręcz oszołomiony.

— Czemu nie?

— A złodzieje?

— Kiedy ma się tyle wartościowych obrazów, potem pokażę panu jeszcze dwa na górze, człowiek musi się zdecydować, jak ma je traktować. Czy uważać je za to, czym są, zamalowanym płótnem, czy też strzec jak sztabek złota. Zakratować okna i nocami budzić się ze strachu, żeby ktoś się do nich nie dobrał. Proszę — wskazał na posążki. — Może je pan ukraść. Zawiadomię policję, ale ma pan szansę, że pana nie złapią. Nie uda się panu jednak sprawić, żebym się nad nimi trząśł.

— Z mojej strony nic im nie grozi.

— Na greckich wyspach nie ma złodziei.. Oczywiście wolę, aby obecność tych skarbów tutaj nie była zbyt szeroko znana.

— To jasne.

— Ten obraz jest interesujący. Nie ma o nim wzmianki w jedynym znanym mi *catalogue raisonné* prac Modiglianiego. I jest niepodpisany. Ale nietrudno udowodnić jego autentyczność. Zaraz panu pokażę. Niech pan go weźmie za róg.

Odsunął na bok Rodina i zdjęliśmy obraz. Wyjął go z ramy. Z tyłu było parę kresek szkicu do innego portretu, a potem kilka nabazgranych słów, przy każdym jakaś cyfra, które później zostały do siebie dodane.

— Jego długi. „Toto” to ten Algierczyk, od którego kupował haszysz. — Pokazał następne słowo: — „Zbo” to Zborowski.

Patrzyłem na te niedbałe pijackie gryzmoły i nagle człowiek ten stał mi się bliski, poczułem jak potworna, jak niezbędna przepaść oddziela geniusza od tego, co nazywamy normalnością. Ten człowiek naciągał, kogo się dało, na dziesięć franków, a potem wracał do domu i malował coś, co miało uzyskać wartość dziesięciu milionów. Conchis obserwował mnie.

— Tej strony obrazu nie ogląda pan w muzeach.

— Biedaczysko.

— On powiedziałby to samo o nas. I to on miałby rację.

Pomogłem Conchisowi zawiesić z powrotem obraz.

Potem kazał mi obejrzyć okna. Były niewielkie, wąskie, łukowate, dwuskrzydłowe, każdy pilaster był uwieńczony rzeźbionym w marmurze nadokiennikiem.

— To okna z Monemvasii. Ktoś wstawił je do chaty. Kupiłem więc tę chatę.

— Zupełnie jak Amerykanie.

Nie uśmiechnął się. — Są to weneckie okna. Z piętnastego stulecia.

Podszedł do półek z książkami i wyjął album: — Proszę. — Zajrzałem mu przez ramię i zobaczyłem słynne *Zwiastowanie* Fra Angelico. Od razu zrozumiałem, dlaczego kolumnada wokół willi wydała mi się tak znajoma. Nawet obramowana białą posadzką z czerwonych płytek wyglądała zupełnie tak samo jak na reprodukcji.

— Cóż jeszcze mogę panu pokazać? Mój klawesyn należy już do rzadkości. Jeden z pierwszych klawesynów Pleyela. Teraz wyszły z mody. Ale jest piękny. — Pogłaskał błyszczące czarne wieko, tak jakby głaskał kota. Pod ścianą stał pulpit na nuty. Po co komuś pulpit do klawesynu?

— Gra pan także na jakimś innym instrumencie?

Spojrzał na pulpit i pokręcił głową. — Nie. Ten pulpit ma dla mnie wartość uczuciowej pamiątki. — Ale powiedział to zupełnie obojętnym tonem.

— Tak. Teraz pana na chwilę zostawię. Muszę załatwić korespondencję. Tu ma pan — pokazał gestem — pisma i gazety. No i książki, proszę sobie wybrać, na co ma pan ochotę. Pan mi wybaczy? A może chce pan pójść do swego pokoju, jest na górze...

— Nie, dziękuję. Tu będzie mi świetnie.

Conchis wyszedł, a ja znów wpatrywałem się w Modiglianiego, pogłaskałem Rodina, obszedłem dookoła pokój. Czuję się jak ktoś, kto zapukał do drzwi chaty, a znalazł się w pałacu; było mi niewyraźnie. Wziąłem plik francuskich i amerykańskich czasopism leżących na stoliku w rogu i wyszedłem pod arkady. A po chwili zrobiłem coś, co nie zdarzyło mi się już od wielu miesięcy, zacząłem pisać wiersz.

*Złotymi korzeniami ze skały w kształcie czaszki  
Wyrastają zdarzenia, wizerunki rosną,  
Człowiek w masce pociąga za sznurki, a ja błaznem  
Jestem, co pada bez przerwy; nauczyć się nie umie  
Patrzeć. Ikar na wieki wieków skazany na zgubę...*

Conchis zaproponował, żebyśmy zwiedzili resztę domu.

Drzwi prowadziły do brzydkiego pustego holu. Z północnej strony znajdowała się jadalnia, której Conchis nie używał, i pokój wyglądający jak mały antykwariat; wszędzie książki, półki pełne książek, sterty książek na ziemi, stosy czasopism i gazet, a na biurku pod oknem duża, jeszcze nie otwarta paka, która widać dopiero co nadeszła.

Conchis podszedł do mnie trzymając w ręku cyrkiel.

— Interesuję się antropologią. Pozwoli pan, że zmierzę panu czaszkę? — Jego ton nie przewidywał odmowy; schyliłem się. On, delikatnie mierząc moją głowę, spytał: — Lubi pan książki?

Jakby zapomniał, a przecież na pewno nie zapomniał, że w Oksfordzie studiowałem angielską literaturę.

— Tak.

— Co pan czytuje? — W małym notesiku zapisał sobie wymiary mojej czaszki.

— Cóż... głównie powieści. Wiersze. Eseje.

— Nie znajdzie pan tutaj żadnej powieści.

— Nie?

— Powieść przestała już być formą sztuki.

Uśmiechnąłem się.

— Czemu się pan uśmiecha?

— Za moich oksfordzkich czasów był to znany żarcik. Kiedy nie wiedziało się, co powiedzieć na jakimś bankiecie, zadawało się takie pytanie.

— Jakie?

— „Czy uważa pan, że powieść przeżyła się już jako forma sztuki?” I nikt nie oczekiwał poważnej odpowiedzi.

— Rozumiem. Nikt nie traktował tego serio.

— No właśnie. — Spojrzałem na notes. — Czy wymiary mojej czaszki są interesujące?

— Nie. — Nie zgodził się na zmianę tematu. — Ja mówiłem poważnie. Powieść należy do przeszłości. Tak jak alchemia. Zrozumiałem to już dawno, jeszcze przed wojną. I wie pan, co zrobiłem? Spaliłem wszystkie powieści. Dickensa, Cervantesa, Dostojewskiego, Flauberta. Wielkich autorów tak samo jak byle jakich. Spaliłem nawet książkę, którą napisałem sam, kiedy byłem jeszcze młody i głupi. Spaliłem je tu na dziedzińcu. Zajęło mi to cały dzień. Dym trafił do nieba, popiół do ziemi. Pełna dezynfekcja. Odtąd byłem zdrowszy i szczęśliwszy.

Przypomniałem sobie, jak niszczyłem własne wiersze, i pomyślałem, że wielkie gesty mają w sobie coś imponującego, ale że człowieka musi być na nie stać. Conchis wyjął jakąś książkę i otrząsnął ją z kurzu. — Po co mam przedzierać się przez setki stron fikcji, aby poznać co najwyżej pół tuzina prawd?

— Dla przyjemności?

— Przyjemności! — powtórzył pogardliwie. — Słowa powinny służyć prawdzie. Faktom, a nie fikcji.

— Rozumiem.

— Temu! — wyciągnął biografię Franklina Roosevelta. — Temu! — było to popularne francuskie wydanie książki o astrofizyce. — Temu! Niech pan spojrzy! — Wziąłem do ręki starą broszurę. *Dzwonek alarmowy dla grzeszników, czyli ostatnie słowa mordercy, Roberta Foulkesa, 167.9 rok.* — Niech pan to przeczyta podczas weekendu. Znajdzie pan tam więcej prawdy niż we wszystkich powieściach historycznych!

Sypialnia Conchisa zajmowała niemal całą szerokość domu od strony morza, tak jak na dole pokój muzyczny. W jednym końcu stało łóżko — zauważyłem, że jest to szerokie łóżko francuskie — i wielka szafa na ubrania, w ścianie naprzeciwko były drzwi prowadzące do pokoju, który musiał być bardzo niewielki, pewnie ubieralnia. Koło drzwi stał dziwnie wyglądający stół, którego wieko Conchis podniósł. Był to (musiał mi to powiedzieć) klawi-kord. Pokój urządzone trochę jak gabinet, trochę jak salon. Także tu stał kaflowy kominek, a obok biurko zasłane papierami, nad którymi widać przed chwilą śleczął, i dwa fotele obite jasnobrązowym materiałem tak, że pasowały do szezlongu. W kącie stała serwantka pełna jasnobłękitnej i zielonkawej ceramiki. W łagodnym wieczornym świetle pokój ten robił przytulniejsze wrażenie niż pokój na dole i prawem kontrastu radował w nim oko brak książek.

Ale ton nadawały mu przede wszystkim dwa obrazy: dwa akty dziewcząt w nasyconych słońcem wnętrzach, na których barwę składała się czerwień, róż, zieleń, miód, i bursztyn, wszystko było światłem, ciepłem, płonęło jak żółty ogień pełen życia, człowieczeństwa, domowego zacisza, seksu, śródziemnomorskości.

— Poznaje go pan? — Potrząsnąłem przecząco głową — Bonnard. Oba te obrazy namalował na pięć czy sześć lat przed śmiercią.

Podszedłem do obrazów. A Conchis zauważył zza moich pleców: — Za te obrazy zapłaciłem.

— Były tego warte.

— Słońce. Naga dziewczyna. Krzesło. Ręcznik, bidet. Podłoga z płytek. Piesek. I nagle całe życie nabiera sensu.

Wpatrywałem się w obraz z lewej strony, nie w ten, który on inwentaryzował. Koło pełnego słońca okna stała odwrócona plecami dziewczyna i przeglądając się w lustrze wycierała biodra. Przypomniałem sobie, jak Alison kręciła się nago po mieszkaniu podśpiewując jak dziecko. Tego obrazu nie można było zapomnieć, otoczył złotą aureolą jeden z najbanalniejszych momentów i moment ten i wszystkie podobne mu momenty na zawsze straciły swą banalność.

Conchis wyszedł na taras, poszedłem za nim. Na zachód od balkonowych drzwi stał mały mauretański stoliczek inkrustowany kością słoniową. A na nim bukiet kwiatów przed fotografią.

Była to duża fotografia w srebrnej staroświeckiej ramce. Dziewczyna w edwardiańskiej sukni stała obok korynckiego postumentu, w który można było uwierzyć, tylko gdy się go zobaczyło, a na postumencie znajdował się wazon z różami. W tle namalowane były opadające liście. Była to jedna z tych starych brunatnokremowych fotografii, pochodziła z czasów, gdy dziewczyny nie miały piersi, tylko łono. Dziewczyna na zdjęciu miała bujne, wysoko upięte włosy, ostro wciętą talię, miękką pulchną twarz o trochę ciężkich rysach, była to uroda gibsonowska\*; która w tamtych czasach cieszyła się takim wzięciem.

Conchis zauważył, że się przyglądam zdjęciu: — Była moją narzeczoną.

Jeszcze raz spojrziałem na zdjęcie. Nazwisko fotografa wyciśnięte było ozdobnymi złotymi literami w dolnym rogu, londyński adres.

— Nie ożenił się pan z nią?

— Umarła.

— Wygląda na Angielkę.

— Tak — przerwał i uważnie przyjrzał się zdjęciu.

Dziewczyna, stojąca obok tego pompatycznego wazonu na tle wymalowanego, wyblakłego gaiku, wyglądała jak część zamierzchłej historii. — Tak. Była Angielką.

Spojrziałem na niego. — Jak brzmi pańskie angielskie nazwisko panie Conchis?

Uśmiechnął się tym swoim rzadko pojawiającym się uśmiechem; jakby małpa wysunęła nagle przez kraty klatki łapę. — Zapomniałem już.

— I nigdy się pan nie ożenił?

Przez chwilę jeszcze wpatrywał się w fotografię, potem z wolna pokręcił głową.

— Proszę za mną.

W południowo-wschodnim rogu tarasu w kształcie litery L stał obok balustrady stół. Był już nakryty obrusem, prawdopodobnie na kolację. Patrzyliśmy ponad drzewami na cudowny widok, na ogromną kopułę światła nad ziemią i morzem. Góry Peloponezu przybrały fioletowy odcień, a Wenus wisiała na bladozielonym niebie jak biała lampa, błyszcząca miękkim światłem gazowej latarni. Fotografia naprzeciwko drzwi umieszczona była tak, jak dzieci ustawiają w oknie lalki, aby mogły sobie wyjrzeć.

Conchis usiadł na balustradzie tyłem do widoku.

— A pan? Nie jest pan zaręczony?

— Z kolei Ja pokręciłem głową. — Musi się pan czuć tutaj bardzo samotny.

— Byłem na to przygotowany.

— Przystojny młody człowiek w pańskim wieku...

— Cóż, była pewna dziewczyna, ale...

— Ale?

— Nie potrafię tego panu wyjaśnić.

— Angielka?

Pomyślałem o Bonnardzie; to w Bonnardzie tkwiła prawda, to takie właśnie momenty, a nie słowa były prawdą. Uśmiechnąłem się.

— Czy mogę pana prosić o to samo, o co pan mnie prosił w zeszłym tygodniu?

O niezadawanie pytań?

— Oczywiście.

I siedzieliśmy milcząc tym samym szczególnym milczeniem, które Conchis narzucił mi poprzedniej soboty na plaży. Wreszcie odwrócił się w stronę morza i powiedział:

— Grecja przypomina lustro. Każde cierpieć. A potem człowiek się czegoś dowiaduje.

— Jak żyć w samotności?

— Jak żyć. Takim, jakim się jest. Pewien Szwajcar przyjechał spędzić ostatnie lata życia, było to już dawno temu, w zrujnowanej samotnej chacie na krańcu wyspy. O tam, pod Aquilą. Miał tyle lat co ja obecnie. Całe życie, siedział nad zegarkami i czytał o Grecji. Nauczył się nawet starogreckiego. Sam odbudował chatę, oczyścił cysterne, zrobił kilka tarasów. Nigdy by pan nie zgadł, co stało się jego namiętnością:

---

\* Gibson (1867—1944) — rysownik amerykański, który stworzył amerykański ideał urody kobiecej.

kozy. Najpierw miał jedną kożę, potem dwie. Wreszcie całe stado. Spały w tym samym pokoju co on. Wyglądały zawsze wręcz wykwintnie. Wyczesane, wyszczotkowane, nie na darmo człowiek ten był Szwajcarem. Wiosną zaglądał tu czasem i tylko z najwyższym trudem udawało nam się nie wpuszczać do domu jego seraju. Nauczył się robić wyśmienite sery, sprzedawał je bardzo drogo, aż do Aten. Był zupełnie sam. Nikt nigdy do niego nie pisał. Nikt go nie odwiedzał. Był całkowicie samotny. I święcie wierzę, że nigdy nie spotkałem szczęśliwszego człowieka.

— Co się z nim stało?

— Umarł w 1937 roku. Wylew. Znalezione go dopiero po dwóch tygodniach. Jego kozy też już nie żyły. Stało się to zimą i drzwi były zamknięte.

Patrząc mi prosto w oczy Conchis wykrzywił usta w uśmiechu, jakby śmierć wydawała mu się dowcipnym żartownisiem. Jego skóra ciasno opinała czaszkę. Żywy był tylko wzrok. Odniosłem dziwaczne wrażenie, że chce uchodzić w moich oczach za śmierć, że za chwilę jego wygarbowana stara skóra i oczy rozpadną się, i okaże się, że jestem gościem szkieletu.

Po jakimś czasie wróciliśmy do domu. Na pierwszym piętrze od północnej strony znajdowały się jeszcze trzy pokoje. Na jeden pozwolił mi tylko rzucić okiem. Była to rupieciarnia. Zobaczyłem ustawione jedna na drugiej skrzynie i kilka mebli w pokrowcach. Dalej była łazienka, a obok niej malutka sypialnia, łóżko było posłane, a na nim leżała moja torba. Byłem stuprocentowo pewny, że zobaczę jakieś zamknięte drzwi pokoju damy z rękawiczką. Potem pomyślałem, że mieszka ona pewnie w chacie i opiekuje się nią Maria albo też mieszka normalnie w tym pokoju, który ja zajmę na weekend.

Conchis podał mi siedemnastowieczną broszurę, którą zostawiłem na stoliku na podeście.

— Za jakieś pół godziny będę jak zwykle pił aperitif. Zejdzie pan na dół?

— Chętnie.

— Muszę panu coś powiedzieć.

— Tak?

— Czy słyszał pan o mnie jakieś nieprzyjemne opowieści?

— Opowiedziano mi o panu tylko jedną historię, która raczej przynosi panu zaszczyt.

— O egzekucji?

— Już to panu przecież mówiłem.

— Odnoszę wrażenie, że pan coś jeszcze o mnie słyszał. Może od kapitana Mitforda?

— Zapewniam pana, że ani słowa.

Stał w drzwiach, bacznie się we mnie wpatrując. Wyglądało tak, jakby zbierał siły, jakby z trudem podejmował decyzję, czy odkryć przede mną tajemnicę. Wreszcie odezwał się:

— Widzi pan, jestem świetnym medium.

Dom wydał się napełniony ciszą, jakby ta chwila stała się kulminacją wszystkiego, co zdarzyło się dotąd.

— Ja niestety nie. W najmniejszym stopniu.

Tonęliśmy w zmierzchu, dwóch wpatrujących się w siebie mężczyzn. Słyszałem dobiegające z jego sypialni tykanie zegara.

— Nic nie szkodzi. Za pół godziny?

— Dlaczego mi pan to powiedział?

Podszedł do stoliczka koło drzwi i zapalił zapałką naftową lampkę, potem starannie uregulował płomień, każąc mi czekać na odpowiedź. Wreszcie wyprostował się i uśmiechnął:

— Bo jestem jasnowidzem.

Wyszedł na korytarz i udał się do własnej sypialni. Usłyszałem, jak zamykają się drzwi, i znów napłynęła cisza.

## 16

Łóżko było tanim, żelaznym łóżkiem. Prócz dwóch stolików, fotela i dywanu w pokoju znajdował się tylko stary zamknięty na kłódkę *cassone*, taki sam jak we wszystkich chatkach wyspy. Trudno było sobie wyobrazić, że jest to gościnny pokój w domu milionera. Ściany były nagie, wisiała tylko jedna fotografia kilku wieśniaków stojących przed domem, przed tym właśnie domem. Rozpoznałem młodego Conchisa, stał w środku w słomianym kapeluszu i szortach obok kobiety, wieśniaczki, ale nie Marii, była bowiem w obecnym wieku Marii, a zdjęcie pochodziło wyraźnie sprzed dwudziestu, a nawet trzydziestu lat. Podniosłem do góry lampkę i zdjąłem fotografię, by zobaczyć, czy na odwrocie nie ma jakiegoś napisu. Ale zobaczyłem tylko jaszczurkę,



która przywarła do ściany i wpatrywała się we mnie zamglonymi oczkami. Jaszczurki lubią nie zamieszkane pokoje.

Na nocnym stoliku stała płaska muszla służąca za popielniczkę, leżały trzy książki: antologia opowieści o duchach, stara Biblia i duży cienki album zatytułowany *Piękno natury*. Opowieści o duchach były ponoć prawdziwe, każdą z nich potwierdzało dwóch godnych zaufania świadków. Spis treści: „Plebania w Barley”, „Wyspa Człowieka-Tchórza”, „Ulica Dennington nr 18”, „Człowiek, który kulał” — przypomniał mi choroby podczas pobytu w internacie. Otworzyłem *Piękno natury*. Natura okazała się kobietą, a piękno dotyczyło wyłącznie piersi. Nieskończona ilość zdjęć piersi, fotografowanych ze wszystkich stron, na tle najrozmaitszych rzeczy i w coraz większym zbliżeniu, tak że na ostatnim zdjęciu widać już było tylko jedną pierś, z samego środka błyszczącej strony wyzierała ciemna brodawka ponadnaturalnej wielkości. Było w tym za dużo obsesji, żeby wzbudzić jakieś erotyczne odczucia.

Wziąłem lampę i poszedłem do łazienki. Była dobrze wyekwipowana, ze świetnie zaopatrzoną apteczką. Rozejrzałem się, poszukując śladu kobiety, ale nic nie znalazłem. W łazience była woda bieżąca, ale zimna i słona, nadawała się tylko dla mężczyzn.

Wróciłem do mego pokoju i wyciągnąłem się na łóżku. Niebo za otwartym oknem było bladogranatowe, nad drzewami mrugało parę pierwszych słabiotkich północnych gwiazdek. Na zewnątrz monotonnie ćwierkały świerszcze, z godnym Weberna brakiem wewnętrznej logiki, ale precyzyjnie trzymając się rytmu. Z chaty, która stała pod moim oknem, dobiegały niewyraźne hałasy i kuchenne zapachy. W domu panowała wielka cisza.

Conchis coraz bardziej mnie intrygował. Chwilami wyrażał się z taką pedanterią, że miałem ochotę się śmiać, okazać pełną wyższości wzgardę, jaką zwykle okazują moi współobywatele wobec mieszkańców kontynentu, jednym słowem czułem skłonność do ksenofobii; kiedy indziej znów robił na mnie — choć bardzo się przed tym bronilem — duże wrażenie. I bynajmniej nie polegało to tylko na tym, że był bogaczem, który posiada godne zazdrości dzieła sztuki. Teraz zaś przeraził mnie. Odczułem irracjonalny strach przed nadprzyrodzonymi zjawiskami, choć zwykle wykpiwałem to u innych. Ale od początku czułem, że nie zostałem tu zaproszony ze zwykłej gościnności, że zaprosił mnie z jakichś ukrytych powodów. Byłem mu do czegoś potrzebny. Podejrzenie o homoseksualizm odrzuciłem; miał już okazję, by się z

nim zdradzić. Przeczyły temu także obrazy Bonnard, narzeczona, album poświęcony urodzie kobiecych piersi.

Musiało chodzić o coś innego. „Czy należy pan do wybrańców?”... „Jestem jasnowidzem”... wszystko to wskazywało raczej na spirytualizm, latające stoliki. Niewykluczone, że owa dama z rękawiczką była jego medium. Co prawda, Conchis nie miał w sobie nic z drobnomieszczańskich pseudowykwintnych manier ani nie używał mętnych słów, które kojarzyły mi się z miłośnikami spirytystycznych seansów, ale na pewno nie był normalny.

Zapaliłem papierosa i po chwili uśmiechnąłem się. Co z tego, że miałem lekkiego pietra, w tym pustym pokoiku przestało to nagle mieć znaczenie. Prawda była inna: to ja znajdowałem się w stanie nienormalnego podniecenia. Conchis był tylko przypadkowym czynnikiem, zjawił się we właściwym momencie; tak jak kiedyś w Oksfordzie po semestrze spędzonym w celibacie nawiązałem romans z pierwszą spotkaną dziewczyną, tak teraz wzbudził moje zainteresowanie Conchis. Wiązało się to jakoś z moim pragnieniem, by znów zobaczyć Alison. Po prostu znów miałem ochotę żyć.

W domu panowała śmiertelna cisza jak we wnętrzu czaszki, ale był przecież rok 1953, a ja byłem ateistą i nie wierzyłem w spirytyzm, w duchy ani fetysyzm. Leżałem czekając, aby upłynęło pół godziny, a cisza domu była jednak tego dnia raczej ciszą spokoju niż trwogi.

Kiedy zszedłem na dół, w pokoju muzycznym paliły się już lampy, ale nie było nikogo. Na stoliku przed kominkiem stała taca, a na niej butelka *ouzo*, dzban wody, szklanki i miska z dużymi granatowoczarnymi oliwkami. Nalałem sobie trochę *ouzo* i dodałem wody, żeby napój stał się mleczny i nieprzejrzysty. A potem ze szklanką w rękę zacząłem chodzić wokół bibliotecznych półek. Książki były ustawione według tematów. Dwa regały zawierały tylko dzieła z zakresu medycyny, głównie po francusku, w tym wiele książek dotyczących psychiatrii, co niezbyt pasowało do spirytyzmu, a dwa następne — naukowe dzieła z innych dziedzin, parę półek prac filo-

zoficznych, wiele książek angielskich i niemieckich poświęconych botanice i ornitologii, ale przede wszystkim biografie i autobiografii. Chyba tysiące. Zbierane bez wyboru: Wordsworth, Mae West, Saint-Simon, geniusze, zbrodniarze, święci, zera. Księgozbiór ten był równie nieosobiście eklektyczny jak przeciętna biblioteka publiczna.

Pod oknem, za klawesynem, stała niska szklana gablotka, a w niej kilka antycznych dzieł sztuki. Leżał tam ryton w kształcie ludzkiej głowy, z jednej strony stał ozdobiony czarnym ornamentem kyliks, a z drugiej – mała amfora z czerwonym wzorem. Na wierzchu gablotki stały także trzy przedmioty: fotografia, osiemnastowieczny zegar i pokryta białą emalią tabakierka. Wszedłem za pulpit, aby z bliska przyrzeć się greckiej ceramice. Na widok malowidła na dnie płaskiej miseczki kyliksu doznałem szoku. Było naprawdę sprośne: kobieta w ramionach dwóch satyrów. Także i rysunku na amforze nie ośmieliłoby się pokazać żadne muzeum.

Z kolei przyjrzałem się zegarowi. Był ze złotawego stopu miedzi i cyny, miał pokryty emalią cyferblat. W środku widniał maleńki nagi różowy kupidynek, wskazówka wystawała z jego łędźwi, a jej zaokrąglony koniuszek nie pozwalał żywić złudzeń, co miała wyobrażać. Wokół tarczy zegara nie było cyfr, cała prawa połowa była czarna z jednym tylko białym słowem: *Sen*. Na białej emalii pokrywającej lewą połowę czarnymi, trochę zatartymi, ale dającymi się odczytać literami wypisano następujące słowa: tam gdzie powinna być godzina szósta – *Spotkanie*, tam gdzie ósna – *Zachwyty*, tam gdzie dziesiąta – *Erekcja*, tam gdzie dwunasta – *Rozkosz*. Zegar stał, kupidynek uśmiechał się, a jego męskość zwiśla ukosem wskazując ósmą. Otworzyłem niewinnie wyglądającą białą tabakierkę. Na wewnętrznej stronie wieczka widniała namalowana w stylu osiemnastowiecznym ta sama scena, którą jakiś Grek namalował na kyliksie przed dwoma tysiącami lat.

To między tymi dwoma *objets* Conchis uznał za stosowne postawić drugą fotografię edwardiańskiej dziewczyny, swojej zmarłej narzeczonej; zastanawiałem się bezskutecznie, czy było to wynikiem złego smaku, czy perwersji.

Dziewczyna wyglądała z owalnej srebrnej ramki, jej czujne oczy uśmiechały się. Cudowną białość skóry i wdzięczną szyję podkreślał kwadratowy *décolletage*, zwoje śnieżnej koronki związane były nad piersiami czymś, co wyglądało jak białe sznurowadło. Pod pachą zwiśla czarna kokarda. Dziewczyna wyglądała młodziutko, zupełnie jakby miała na sobie pierwszą wieczorową sukienkę; na tym zdjęciu twarz jej

nie miała poprzedniej ciężkości, było w niej coś swawolnego, a nawet pikantnego, coś w rodzaju ostrożnego delectowania się swoją rolą królowej gablotki z kuriozami.

Usłyszałem, że na górze zamykają się drzwi i odwróciłem się. Wydało mi się, że oczy kobiety Modiglianiego spojrzały na mnie srogo, uciekłem więc pod arkady, gdzie po minucie zjawił się także Conchis. Przebrał się w jasne spodnie i ciemną bawełnianą marynarkę. Jego czarna sylwetka odcinała się ostro od napływającego z pokoju miękkiego światła. Milcząco wznosił toast. Mroczne i czarne góry, przypominające trochę sterty węgla, ledwie już majaczyły na tle nieba, z którego nie odpłynął jeszcze poblask słońca, mimo że ono już zaszło. Ale ponad moją głowę — stałem na stopniach prowadzących na wyzwirowany plac — pojawiły się gwiazdy. Mniej płomienne niż gwiazdy w Anglii, świeciły spokojnym blaskiem, jakby zanurzone w przejrzystym oleju.

— Dziękuję panu za lekturę na noc.

— Jeśli znajdzie pan w bibliotece coś, co pana bardziej zainteresuje, to proszę sobie wziąć.

Z ciemnych drzew rosnących na wschód od domu dobiegło dziwaczne nawoływanie. Słyszałem je już wielokrotnie w szkole i z początku myślałem, że jest to krzyk wiejskiego idioty. Utrzymany w wysokiej tonacji powtarzał się w regularnych odstępach: Kiu. Kiu. Kiu. Brzmiał jak głos melancholijnego konduktora londyńskiego autobusu.

— Oto moja przyjaciółka — oświadczył Conchis. Przez sekundę poczułem się absurdalnie zaalarmowany, pomyślałem, że mówi o damie z rękawiczką. I wyobraziłem sobie, jak w tych swoich rękawiczkach z Ascot biegnie między drzewami wyspy szukając beznadziejnie ogrodów Kew. Znów dobiegło nas to niesamowite, pozbawione sensu nawoływanie wydobywające się z nocy. Conchis wolno policzył do pięciu, podniósł rękę i znów usłyszeliśmy: kiu. Jeszcze raz policzył do pięciu i jeszcze raz odezwał się krzyk.

— Co to?

— *Otus scops*. Sówka. Jest maleńka. Nie ma nawet dwudziestu centymetrów. O, taka.

— Widziałem, że ma pan wiele książek o ptakach.

— Interesuję się ornitologią.

— I studiował pan medycynę.

— Studiowałem. Przed wielu laty.

– I nigdy pan nie leczył?

– Tylko samego siebie.

Daleko na morzu zobaczyłem jasne światła statku z Aten. W sobotę wieczór płynął on na południe, na Kithirę. Ale jego obecność podkreślała tylko odosobnienie, tajemniczość Bourani, nie stanowiła łącznika z resztą świata. Zebrałem się na odwagę:

– Co pan miał na myśli mówiąc, że jest pan jasnowidzem?

– A jak pan myśli?

– Spirytyzm?

– Spirytyzm to dziecinada.

– Zgadzam się.

– No pewnie.

W padającym z drzwi świetle z trudem rozróżniałem jego rysy. On widział mnie lepiej, bo w trakcie ostatniej wymiany zdań odwróciłem się w jego stronę.

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

– Pańska pierwsza reakcja była typowa dla przedstawiciela pańskiego niedowierzającego stulecia: dezaprobata, niechęć. Dobrze widać, co kryje się pod pańską uprzejmością. Przypomina pan jeżozwierza. Kiedy nastroszy kolce, nie może jeść. Ktoś, kto nie je, umiera z głodu. Jego kolce umierają wraz z całym ciałem.

Pokręciłem szklanką z resztką *ouzo*.

– Przecież to jest także i pańskie stulecie.

– Ja wiele czasu spędziłem w innych stuleciach.

– Dzięki książkom?

– Nie. W rzeczywistości.

Sówka znów zaczęła nawoływać w regularnych odstępach czasu. Wpatrywałem się w ciemność pinii.

– Myśli pan o reinkarnacji?

– To bzdura.

– W takim razie... — wzruszyłem ramionami.

– Nie mogę wymknąć się ograniczeniom mego ludzkiego żywota. Zatem istnieje tylko jedna możliwość przebywania w innych stuleciach.

Chwilę milczałem. — Poddaję się.

– Niech się pan nie poddaje. Tylko spojrzysz w górę. Co pan widzi?

– Gwiazdy. Przestrzeń.

— I co jeszcze? Jest jeszcze coś, o czym pan wie, że istnieje. Choć pan tego nie widzi.

— Inne światy?

Odwróciłem się, by na niego spojrzeć. Siedział jak czarny cień. Po plecach przebiegł mi dreszcz. Conchis wypowiedział głośno to, co ja pomyślałem.

— Więc jestem obłąkany?

— Raczej jest pan w błędzie.

— Nie. Ani nie jestem szaleńcem, ani się nie mylę.

— Pan... odbywa pan podróże do tych innych światów?

— Tak. Odbywam podróże do innych światów.

Postawiłem szklankę i wyciągnąłem papierosa, zapaliłem go i dopiero potem się odezwałem.

— Pan, czyli pańskie ciało?

— Na to pytanie odpowiem panu, dopiero gdy wyjaśni mi pan, gdzie kończy się ciało, a zaczyna umysł.

— Hm... ma pan na to jakieś dowody?

— Liczne dowody — chwilę milczał. — Dla ludzi, którzy są na tyle inteligentni, żeby móc się na nich poznać.

— To o tym pan myślał, mówiąc o wybranych i o jasnowidztwie?

— Częściowo.

Milczałem zastanawiając się, jak powinienem się zachować. Czuję wrogość, która niepostrzeżenie zrodziła się z tego, co między nami zaszło, podświadomy opór, jaki woda stawia oliwie. Wydawało mi się, że najlepiej będzie okazać uprzejmy sceptycyzm.

— Te podróże odbywa pan... jak by to powiedzieć... dzięki telepatii?

Ale nim Conchis zdążył odpowiedzieć, zza kolumnady usłyszeliśmy miękkie człapanie kroków. Pojawiła się Maria i schyliła w ukłonie.

— *Sas efcharistoume, Maria.* Kolacja stoi na stole — oznajmił Conchis.

Wstaliśmy i weszliśmy do sali muzycznej. Kiedy stawialiśmy na tacy szklanki, zauważył: — Istnieje wiele rzeczy, których nie da się wytłumaczyć słowami.

Spojrzałem na niego z góry. — W Oksfordzie nauczono nas zakładać, że jeśli czegoś nie da się wytłumaczyć słowami, wyjaśnienie po prostu nie istnieje.

— Hm, tak. — Uśmiechnął się: — Czy mogę mówić do pana po imieniu?

— Oczywiście. Bardzo proszę.

Wlał do naszych szklanek po kropli *ouzo*. Stuknęliśmy się.

— *Eis ygeia sas, Nicholas.*

— *Sygeia.*

Ale także i w tym momencie czułem, że choć pozornie toast ten wzniesiony został za moje zdrowie, w gruncie rzeczy chodzi tu o coś zupełnie innego.

Ustawiony w rogu tarasu stolik aż błyszczał, niespodziewanie ceremonialna wysepka srebra i kryształów. Ciemność rozświetlała tylko jedna wysoka lampa w abażurze, światło płynęło w dół, odbijało się od białości obrusa i oświetlało dziwacznie nasze twarze jak na obrazach Caravaggia.

Kolacja była wyborna. Jedliśmy jakieś małe rybki ugotowane w winie, przesmacznego kurczaka, ziołowy ser i ciasto z twarożku z miodem, przyrządzone — jak twierdził Conchis — według średniowiecznego tureckiego przepisu. Wino miało leciutki posmak żywicy, jakby winnica znajdowała się obok sosnowego lasu, ale w niczym nie przypominało cierpkiego palącego wińska o smaku terpentyny, które czasami popijałem na wsi. Jedliśmy niemal w całkowitym milczeniu. Conchis wyraźnie sobie tego życzył. Wymieniliśmy tylko kilka uwag na temat dań. Conchis jadł wolno i niewiele, ale ja zmiotłem wszystko do ostatniego okruszka.

Kiedy skończyliśmy, Maria przyniosła miedziany rondel z kawą po turecku i zabrała lampę, której światło przynęciło zbyt wiele insektów. Na jej miejscu postawiła świecę, co chwila jakiś natarczywy owad zaczynał krążyć wokół płomienia, wpadał weń, znów zaczynał krążyć i odlatywał. Zapaliłem papierosa i usiadłem, tak jak Conchis, twarzą do morza. On nie miał ochoty na rozmowę, a ja chętnie na to przystałem.

Nagle usłyszałem, że ktoś idzie po żwirze. Kroki oddalały się od domu, zmierzały w stronę morza. Pomyślałem, że to Maria, choć zdziwiłem się, czemu o tej porze schodzi na plażę. Ale już po sekundzie wiedziałem, że nie mogą to być jej kroki, a w każdym razie jest to równie nieprawdopodobne, jak to, że tamta rękawiczka stanowiła jej własność.

Kroki były lekkie, szybkie, cichutkie; temu komuś zależało najwyraźniej, żeby nie zwrócić na siebie uwagi. Mogły to być kroki dziecka. Siedziałem z daleka od balustrady i nie mogłem wyjrzeć. Spojrzałem na Conchisa. Wpatrywał się w ciemność, nie zwracając uwagi na odgłos kroków, jakby były czymś zupełnie naturalnym.

Najdyskretniej jak mogłem przysunąłem się do balustrady. Ale kroki oddaliły się. Umilkły. Wielka ćma z zadziwiającą szybkością zapamiętała rzuciła się na świecę, rzucała się na nią raz po raz jakby przywiązana gumką. Conchis nachylił się i zgasił płomień.

— Nie ma pan nic przeciw temu, żeby posiedzieć w ciemnościach?

— Nie.

Przyszło mi na myśl, że rzeczywiście mogło to być jakieś dziecko z jednej z chat nad wschodnią zatoką, które przyszło pomóc Marii.

— Muszę panu opowiedzieć, jak to się stało, że tu zamieszkałem.

— Znalazł pan cudowne miejsce.

— Tak. Ale nie mówię o architekturze. — Przerwał, jakby szukając słów. — Przyjechałem na Phraxos chcąc wynająć dom. Na lato. Nie podobała mi się wieś. Nie lubię północnych wybrzeży. Ostatniego dnia poprosiłem jednego z rybaków, żeby obwiał mnie wokół wyspy. Dla przyjemności. Przypadek zrzucił, że przybił do Moutsy, żebym mógł sobie chwilę popływać. Przypadek też chciał, że wspomniał o stojącej obok starej chacie. I przypadek tylko sprawił, że wspiąłem się na wzgórze. Z chaty pozostały jedynie rozwalone ściany, kupa kamieni zarosłych ciernistym bluszczem. Był upalny dzień, czwarta po południu osiemnastego kwietnia 1928 roku.

Znów przerwał, jakby zatrzymało go wspomnienie owego roku, może zresztą chciał mnie przygotować, że zobaczę go z innej strony, a może był to po prostu następny fortel.

— Wtedy rosło tu znacznie więcej drzew. Nie widać było morza. Stałem na małej polance obok zburzonych murów chaty. I poczułem się jak oczekiwany gość. Coś czekało tu na mnie przez całe moje życie. Zrozumiałem nagle, kto mnie tu oczekiwał, kto się tu mnie spodziewał. Ja sam. To ja tu byłem, i ten dom, i pan, i ja, i dzisiejszy wieczór, wszystko to czekało tutaj od zawsze jak odbicie w lustrze mego nadejścia. To było jak sen. Szedłem w stronę zamkniętych drzwi i nagle, dzięki czarom, drewno zamieniło się w szkło i zobaczyłem samego siebie, jak nadchodzę z drugiej strony, z przyszłości. Oczywiście, mówią alegorycznie. Pan mnie rozumie?

Skinąłem niechętnie głową, wcale nie starając się zrozumieć, gdyż nagle uderzyła mnie pewna teatralność wszystkich jego czynów i słów, jakby wszystko zostało z góry zaplanowane i wyreżyserowane. O tym swoim odkryciu Bourani nie opowiadał tak, jak się opowiada coś, co akurat przyszło do głowy, przypominało to raczej scenę dramatu potrzebną autorowi do rozwoju dalszej akcji. Conchis ciągnął:



— Od razu wiedziałem, że muszę tutaj zamieszkać. Nie mogłem przejść obok. Tylko tutaj moja przeszłość mogła się złączyć z przyszłością. Zostałem więc. I jestem tu dzisiaj wieczorem. I pan także jest tu ze mną dziś wieczorem.

Mimo ciemności dostrzegłem, że mnie ukradkiem obserwuje. Przez chwilę nie odzywałem się, wydawało mi się, że ostatnie słowa wymówił ze szczególnym naciskiem.

— Czy to miał pan na myśli mówiąc o jasnowidztwie?

— To miałem na myśli mówiąc o przypadku. W życiu każdego człowieka istnieje punkt zwrotny. Jest to chwila, kiedy człowiek musi sam siebie zaakceptować. Już nie chodzi o to, jakim się ma stać. Chodzi o to, jaki jest i jakim pozostanie. Jest pan zbyt młody, by znać to z własnego doświadczenia. Pan znajduje się jeszcze w stadium stawania się, nie bycia.

— Może.

— Żadne może. Na pewno.

— A co się dzieje, jeśli człowiek nie rozpozna tego swojego... zwrotnego punktu? — spytałem, choć wiedziałem, że mam go już za sobą; cisza drzew, syrena statku z Aten, czarna czeluść lufy dubeltówki.

— Wtedy staje się takim jak większość ludzi. Bardzo nieliczni rozpoznają ten moment. I wyciągają z niego konsekwencje.

— Wybrani?

— Wybrani. Wybrani przez przypadek. — Usłyszałem skrzypienie krzesła. — Niech pan spojrzy w tamtą stronę. Rybacy z lampami. — W najgłębszym cieniu u stóp odległych gór unosił się mialki pył rubinowych światełek. Nie wiedziałem, czy Conchis chce, żebym to zwyczajnie sobie obejrzał, czy też lampy mają w jakiś sposób symbolizować wybrańców.

— Chwilami, panie Conchis, bawi się pan dręcząc mnie zagadkami.

— Mam zamiar już niedługo przestać pana dręczyć.

— Ufam, że tak się stanie.

Znów zamilkł.

— Przypuśćmy, że to, co panu powiem, wpłynie na pana życie, że nie będzie pan już tylko biernym słuchaczem?

— Bardzo bym tego pragnął.

Następna pauza.

— Nie życzę sobie uprzejmości. Uprzejmość zawsze zawiera odmowę spojrzenia na rzeczywistość z innego punktu widzenia. Zamierzam powiedzieć o panu coś, co może pana oburzyć. Wiem o panu coś, czego pan sam o sobie nie wie. — Znów zamilkł, jakby chciał mi dać czas do przygotowania się na szok. — Nicholas, pan także obdarzony jest darem jasnowidzenia. Wiem, że pan tak nie uważa. Wiem.

— Cóż, naprawdę nie jestem. — Chwilę czekałem, by się odezwał i wreszcie dorzuciłem: — Ale bardzo chciałbym wiedzieć, czemu pan tak uważa?

— Mam na to dowody.

— Jakie?

— Nie chciałbym ich wymieniać.

— Bardzo pana proszę. Przecież ja nawet nie bardzo wiem, co pan przez to słowo rozumie. Jeśli chodzi panu tylko o coś w rodzaju inteligentnej intuicji, to chętnie się na to jasnowidztwo piszę. Ale wydawało mi się, że chodzi panu o coś innego.

Conchis milczał, jakby chciał, abym zauważył ostry ton własnego głosu.

— Pan to traktuje tak, jakbym oskarżał pana o jakąś zbrodnię. Albo słabość.

— Bardzo mi przykro. Ale naprawdę nigdy w życiu nie miałem żadnych telepatycznych doświadczeń. — I naiwnie dodałem: — Zresztą jestem ateistą.

Jego głos zabrzmiał cicho i oschle: — Człowiek inteligentny jest, rzecz jasna, albo agnastykiem, albo ateistą. I tchórzem. Myślę o braku odwagi fizycznej. Na tym polega definicja wyższej inteligencji. Ale ja nie mówiłem o Bogu. Mówiłem o nauce. — Nic nie odpowiedziałem. Jego głos zabrzmiał jeszcze oschlej. — W porządku. Przyjmuję do wiadomości, że wierzy pan w to, iż nie ma pan uzdolnień telepatycznych.

— Nie może mi pan odmówić wyjaśnień. Obiecał pan.

— Chciałem tylko pana ostrzec.

— Ostrzegł pan.

— Przepraszam na minutkę.

Zniknął w sypialni. Wstałem i podszedłem do rogu tarasu, skąd miałem widok na trzy strony świata. Dom otaczały milczące pinie, niewyraźnie majaczące w świetle gwiazd. Całkowity spokój. Z północy dobiegł mnie warkot samolotu, podczas całego mego pobytu na wyspie zaledwie trzy, może cztery razy słyszałem nocą przelatujący samolot. Pomyślałem o Alison, wyobraziłem sobie, jak pchając przed sobą wózek z napojami, idzie przejściem między fotelami. Ten słaby szum samolotu, tak samo jak poprzednio widok statku, podkreślał tylko odludność Bourani. Odczułem dotkliwie

brak Alison, zaboląła mnie jej utrata; wyobrażałem sobie, jak by to było, gdyby stała tu koło mnie z ręką w mojej dłoni; to ona reprezentowała ludzkie ciepło, normalność, wskazywała drogę, której należałoby się trzymać. Zawsze dotąd uważałem się za jej potencjalnego opiekuna i po raz pierwszy tego właśnie wieczoru w Bourani zrozumiałem, że to ona opiekowała się mną, to ona mogłaby się mną opiekować.

W parę sekund później wrócił Conchis, Podszedł do balustrady i głęboko odetchnął. Mieliśmy przed sobą pół świata: niebo, morze i gwiazdy. Słyszałem jeszcze szum samolotu, ale już ledwie, ledwie. Zapaliłem papierosa, tak właśnie w podobnej chwili postąpiłaby Alison.

## 18

— Będzie nam wygodniej na szeszlonych.

Pomogłem mu przysunąć z drugiego końca tarasu dwa wiklinowe szeszlony. Potem obaj rozparliśmy się na nich wygodnie z nogami do góry. Na przywiązanej do oparcia poduszce poczułem ten sam ulotny staroświecki zapach co przedtem na ręczniku i na rękawiczce. Byłem pewien, że nie są to perfumy Conchisa ani starej Marii, zauważyłbym, gdyby ich używali. Nie, były to perfumy jakiejś kobiety, a kobieta owa musiała często przesiadywać na tym szeszlony.

— Niełatwo mi przyjdzie wytłumaczyć panu, co miałem na myśli. Będę musiał opowiedzieć panu historię całego mego życia.

— Ostatnie siedem miesięcy spędziłem wśród ludzi, którzy posiadają zaledwie elementarną znajomość angielskiego.

— Po francusku mówię obecnie lepiej niż po angielsku. Ale to nieważne. *Comprendre c'est tout.*

— „Aby tylko nawiązać łączność.”

— Kto tak powiedział?

— Pewien angielski prozaik.

— Dziwne. Fikcja to najmniej odpowiednia forma nawiązywania łączności.

Uśmiechnąłem się, korzystając z ciemności. Nastąpiła cisza. Gwiazdy dawały nam znaki. Conchis zaczął:

— Mówiłem już panu, że mój ojciec był Anglikiem. Ale ze względu na swoje interesy — zajmował się importem tytoniu i rodzyneków — przebywał głównie w

Lewancie. Jednym z jego konkurentów był mieszkający w Londynie Grek. W 1892 roku Grek ów otrzymał tragiczną wiadomość. Jego starszy brat z żoną zginęli podczas trzęsienia ziemi z tamtej strony gór Peloponezu. Ocalało troje dzieci. Dwoje młodszych – byli to chłopcy – wysłano do trzeciego brata mieszkającego w Ameryce Łacińskiej. A najstarsza, siedemnastoletnia wówczas dziewczyna przyjechała do Londynu, by zająć się domem wuja, który był od dawna wdowcem. Odznaczała się dużą urodą, charakterystyczną dla tych Greczynek, które mają w sobie włoską krew. Ojciec poznał ją. Był od niej dużo starszy, ale był chyba przystojny i mówił trochę po grecku. Obu panom na rękę było połączenie firm. Krótko mówiąc odbył się ślub... i ja pojawiłem się na świecie.

– Najdawniejszym moim wspomnieniem jest śpiew matki. Śpiewała stale, niezależnie od tego, czy była szczęśliwa, czy smutna. Grała na pianinie i znakomicie śpiewała arie, ale ja najlepiej pamiętam greckie pieśni ludowe. Śpiewała je, gdy było jej smutno. Pamiętam, jak opowiedziała mi – było to, oczywiście, znacznie później – że zwykła stawać na odludnym wzgórzu i patrzeć, jak żółty pył unosi się z wolna w lazur nieba. Kiedy dowiedziała się o śmierci rodziców, gwałtownie znenawidziła Grecję. Chciała stamtąd wyjechać i nigdy już nie wrócić. Jak wielu Greków. I tak samo jak tamci, nigdy nie przyzwyczała się do wygnania. Ciężko się płaci za to, że urodziło się w najpiękniejszym i najokrutniejszym kraju świata.

– Matka śpiewała i, odkąd pamiętam, muzyka była najważniejszą rzeczą w moim życiu. Stałem się czymś w rodzaju cudownego dziecka. Mój pierwszy koncert odbył się, kiedy miałem dziewięć lat, i został dobrze przyjęty. Ale w szkole byłem złym uczniem ze wszystkich innych przedmiotów. Nie byłem głupi, ale bardzo leniwy. Za swój obowiązek uważałem tylko jedno: dobrze grać na fortepianie. A zwykle się uważało za obowiązek udawanie, że ważny jest każdy najgłupszy przedmiot, ja się tego nigdy nie nauczyłem.

– Miałem szczęście. Mój profesor muzyki, Charles-Victor Bruneau, był świetnym nauczycielem. Nie pozbawionym zresztą wad typowych dla ludzi wykonujących ten zawód. Był próżny na punkcie swoich metod nauczania i swoich uczniów. Jeśli ktoś nie miał talentu, czekało go piekło sarkazmu, choć wobec utalentowanych uczniów Bruneau zachowywał się jak pełen poświęcenia anioł. W każdym razie był człowiekiem niezwykle wykształconym muzycznie. W owych czasach *rarissima avis*. Większość pianistów myślała wtedy tylko o tym, jak znaleźć oryginalny wyraz artystyczny. I w rezultacie osiągnięcia ich polegały na niezwyklej

szybkości i zręcznych rubato. Dziś nikt tak nie gra. Nawet gdyby ktoś chciał, to by nie potrafił. Godowscy i Rosenthale znikli na zawsze. Ale Bruneau wyprzedzał swoje czasy i do dziś pamiętam jego interpretację sonat Haydna i Mozarta.

— Największą jednak jego zaletą było to — a wówczas, przed 1914 rokiem niemal się to nie zdarzało — że był równie świetnym klawesynistą jak pianistą. Trafiłem do niego w tym właśnie momencie, gdy porzucał fortepian dla klawesynu. Klawesyn wymaga zupełnie innej techniki palców. Wcale nie tak łatwo się przestawić. Bruneau marzył o szkole dla klawesynistów, gdzie od początku przyuczano by do gry na klawesynie. Bo tak, powiadał, klawesytniści są tylko pianistami *en costume de bal masqué*.

— Mając piętnaście lat załamałem się nerwowo, a przynajmniej tak by to dziś nazwano. Bruneau zanadto mnie poganiał. Sport nie interesował mnie. W szkole byłem dochodzącym uczniem i pozwalano mi koncentrować się na muzyce. Nie miałem przyjaciół. Może dlatego, że uważano mnie za Żyda. Lekarz oznajmił, że po wyzdrowieniu będę musiał mniej grać, a częściej wychodzić. Skrzywiłem się. Któregoś dnia ojciec przyniósł mi wspaniałą album ptaków. Nigdy dotąd nie interesowałem się ptakami, z trudem rozpoznawałem wróbla. Ojca coś natchnęło. Leżąc w łóżku oglądałem zastygłe w bezruchu ptaki i zapragnąłem zobaczyć, jak wyglądają w rzeczywistości — a jedyna rzeczywistość docierała do mnie przez okno, skąd dolatywał świergot. I to on przybliżył mi ptaki. Nagle nawet ćwierkanie wróbli wydało mi się czymś tajemniczym. A śpiewu kosów i drozdów z naszego londyńskiego ogródka słuchałem tak, jakbym go słyszał po raz pierwszy, nie tysięczny. Dużo później — *ça sera pour un autre jour* — miałem dzięki ptakom dość niezwykle przeżycie.

— Więc ma pan pełny obraz dziecka, jakim byłem. Leniwego i samotnego, tak, bardzo samotnego. Uciekło mi właściwe słowo... Tak, maminsynka. Uzdolnionego do muzyki i do niczego innego. W dodatku byłem jedynakiem, rozpuszczonym przez rodziców. Kiedy skończyłem piętnaście lat, stało się jasne, że nie spełnię pokładanych we mnie nadziei. Najpierw zauważył to Bruneau, potem ja sam. Choć milcząco postanowiliśmy nie wspominać o tym moim rodzicom, trudno mi się było z tym pogodzić. Szesnasty rok życia to bardzo zły moment na to, by dowiedzieć się, że nie ma się zadatków na geniusza. Na szczęście zakochałem się.

— Pierwszy raz zobaczyłem Lily, gdy miała czternaście lat, a ja byłem o rok starszy. Było to wkrótce po mojej depresji. Mieszkaliśmy w St John's Wood. W jednym z tych małych białych pałacyków przeznaczonych dla zamożnych kupców. Wie

pan, co mam na myśli? Podjazd. Portyk. Z tyłu długi ogród z sadem na końcu, kilka zbyt rozrośniętych gruszy i jabłoni. Niezbyt dobrze utrzymany, ale pełen zieleni. Miałem własny „domek” pod starą lipą. Pewnego czerwcowego, dnia, a dzień ten był błękitny, upalny i przejrzysty tak jak tu w Grecji — siedziałem tam czytając biografię Szopena. Dokładnie to pamiętam. Nie wiem, czy pan wie, że w moim wieku człowiek znacznie lepiej przypomina sobie to, co działo się w ciągu pierwszych dwudziestu lat życia niż w następnych. Czytałem więc, niewątpliwie czułem się Szopenem, a koło mnie leżał mój album ptaków. Było to w 1910 roku.

— Nagle usłyszałem jakiś szelest za murem z cegły, który odgradzał nasz ogród od ogrodu sąsiadów. Ale w tamtym domu nikt nie mieszkał, więc się zdziwiłem. I nagle nad murem ukazała się czyjaś głowa. Ostrożnie. Jak łepok myszy. Była to główka dziewczynki. Mnie zakrywała częściowo altanka, w której siedziałem, miałem więc czas przyjrzeć się tej dziewczynce, nim jeszcze mnie zauważyła. Jej główka znajdowała się w słońcu, na ramiona opadała grzywa jasnych włosów. Blask słoneczny padał z południa, ugrzązł więc w jej włosach chmurą światła. Widziałem w cieniu jej buzię, ciemne oczy, maleńkie, półotwarte zaciekawione usteczka. Była poważna, onieśmiona, ale wyraźnie zdecydowała się okazać zuchwałość. Zobaczyła mnie. Przez chwilę się we mnie wpatrywała. Wyprostowała się jak ptaszek. Stałem w drzwiach, mojej altanki, znajdującej się jeszcze w cieniu. Nie odezwaliśmy się, nie uśmiechnęliśmy. W powietrzu drżały wszystkie niewypowiedziane tajemnice wieku dojrzewania. Sam nie wiedziałem, dlaczego nie mogę wydobyć z siebie głosu... I nagle usłyszałem, że ktoś woła ją po imieniu.

— Czar prysł. I rozpadła się cała moja przeszłość. Seferis napisał gdzieś: „Pęknięty granat pełen jest gwiazd.” Coś podobnego zdarzyło się w owej chwili. Ona znikła, ja znów usiadłem, ale nie mogłem już czytać. Podeszedłem do muru koło domu i usłyszałem głosy, głos jakiegoś mężczyzny i srebrne głosiki kobiet.”

— Byłem w ponurym nastroju. Ale to pierwsze spotkanie, to tajemnicze... jak by je tu nazwać, orędzie, które z jej światła przeniknęło w mój cień, towarzyszyło mi w ciągu wielu tygodni.

— Jej rodzice wprowadzili się do sąsiedniego domu. Poznałem Lily. I od razu zaistniała między nami pewna więź. Nie wyimaginowałem sobie tego, coś emanowało z niej w moją stronę, tak samo jak ze mnie, zupełnie jakby łączyła nas duchowa pępowina, rzecz jasna, nie ośmielaliśmy się o tym mówić, ale oboje wiedzieliśmy, że to istnieje.

– Była do mnie do pewnego stopnia podobna. I ona nie miała w Londynie wielu przyjaciół. I żeby wszystko wyglądało już zupełnie baśniowo, Lily także była muzykalna. Nie miała dużego talentu, ale była muzykalna. Jej ojciec był dość niezwykłym człowiekiem, zamożny Irlandczyk, uwielbiający namiętnie muzykę. Dobrze grał na flecie. Poznał u nas w domu Bruneau, a przez niego Dolmetscha, który wzbudził w nim zainteresowanie rekorderem. Jeszcze jeden zapomniany instrument. Pamiętam, jak Lily zagrała swoje pierwsze solo na rekorderze, który zrobił Dolmetsch, a ojciec Lily kupił go dla córki.

– Nasze dwie rodziny bardzo się z sobą zbliżyły. Akompaniowałem Lily, czasem graliśmy duety, czasem towarzyszył nam jej ojciec, czasem śpiewały matki. Odkryliśmy nowy, nieznany kontynent muzyki. Fitzwilliam, Arbeau, Frescobaldi, Froberger – wtedy właśnie zauważono, że muzyka istniała już przed 1700 rokiem.

Umilkł. Miałem ochotę zapalić, ale bardziej zależało mi na tym, żeby nie przerwał opowieści, żeby kontynuował tę swoją podróż w czasie. Więc trzymałem papierosa w ręku i czekałem.

– Jej uroda... tak, to był Botticelli, długie jasne włosy, szarofiołkowe oczy. Ale jeśli określa się ją w ten sposób, to można by pomyśleć, że była bladą, prerafaelicką dziewczyną. A tymczasem miała w sobie coś, co obecnie znikło, co kobiety utraciły. Słodycz pozbawioną sentymentalizmu, niewinność pozbawioną naiwności. Łatwo było ją zranić, łatwo z niej podkpiwać. A jej kpiny były pieszczotą. Boję się, że odmalowuję ją w zbyt mdłych barwach. Cóż, w tamtych czasach młodzi ludzie rozglądali się raczej za duszą niż za ciałem. Lily była bardzo ładną dziewczyną. Ale to jej dusza była *sans pareil*.

– Nikt nie stawiał naszej przyjaźni przeszkód poza tymi, których wymagała obyczajowość epoki. Przed chwilą powiedziałem, że mieliśmy podobne gusty i upodobania. Ale zupełnie inne usposobienia. Lily była cierpliwa, uczynna, bardzo opanowana. A ja wybuchowy i kapryśny. I wielce samolubny. Nigdy nie widziałem, żeby Lily zrobiła komuś przykrość. A ja, kiedy czegoś pragnąłem, musiałem to natychmiast zdobyć. Dzięki Lily często wstydzilem się swego zachowania. I winięm za nie swoją grecką krew. Uważałem, że jest to czarna krew. Myślałem o niej tak jak o krwi murzyńskiej.

– Wkrótce do mojej miłości dołączyło się pożądanie. A ona kochała mnie, a w każdym razie traktowała jak brata. Oczywiście, wiedzieliśmy, że się kiedyś pobierzemy, obiecaliśmy to sobie, gdy Lily skończyła szesnaście lat. Ale bardzo rzadko

pozwalala mi na pocałunek. Dziś trudno to sobie wyobrazić. To, czego pragnąłem, było stosunkowo niewinne. Zostałem wychowany w poszanowaniu czystości. Ale nie byłem stuprocentowym Anglikiem.

— W moim życiu istniał także o *Pappous*, mój dziadek, a w gruncie rzeczy wuj mojej matki. Naturalizował się, stał się Anglikiem, ale w swojej miłości do Anglii nie posunął się tak daleko, żeby wpaść w purytanizm czy choćby zachowywać się obyczajnie. Ale nie był, jak sądzę, szczególnie zepsutym człowiekiem. Demoralizująco wpłynęło na mnie nie tyle to, co o nim wiedziałem, lecz to, co sobie wyobrażałem. Bo rozmawiałem z nim zawsze po grecku, a grecki, jak pan to już prawdopodobnie zauważył, jest językiem zmysłowym i dosadnym. Potajemnie czytywałem książki z biblioteki dziadka. Znalazłem tam *La Vie Parisienne*. Któregoś dnia trafiłem na teczkę pełną starych rycin. I zacząłem miewać erotyczne marzenia. Skromniutka Lily w tym swoim słomkowym kapeluszu, który jeszcze dziś mogę opisać tak, jakbym go miał przed oczyma, kapeluszu opasanym bladym tiulem koloru lekkiej mgiełki... w bluzce w biało-różowe pasy, z długimi rękawami, ze stojącym kołnierzykiem... w granatowej, wąziutkiej, pętającej nogi spódnicy, w której małymi kroczkami szła u mego boku przez Regent's Park tej wiosny 1914 roku. Ta dziewczyna w zachwyconym transie, za którą stałem w czerwcu na galerii Covent Garden, by posłuchać Szaliapina w *Księżu Igorze*, niemal mdlejąca z upału, bo takie było lato 1914 roku — ta delikatna Lily w nocy zamieniała się w mych snach w bezwstydną hurysę. Uważałem się za zboczeńca. Znów zacząłem się wstydzić swej greckiej krwi. Ale jej ulegałem. Oskarżałem ją o wszystko i przyprawiałem o cierpienie matkę. Biedaczka. Doznała już wielu upokorzeń od rodziny ojca, a teraz dołączał się do tego jej własny syn.

— Wstydziłem się mojej greckiej krwi. Dziś jestem dumny, że w moich żyłach płynie krew grecka, i włoska, i angielska, a nawet celtycka. Bo jedna z babek ojca była Szkotką. Jestem Europejczykiem. I tylko to ma dla mnie znaczenie. Ale w 1914 roku chciałem być wyłącznie Anglikiem, aby móc zachować niewinność dla Lily.

— Jak pan wie, w młodzieńczej wyobraźni dwudziestowiecznej Europy zrodziło się coś znacznie potworniejszego niż moje arabskie noce. Skończyłem właśnie osiemnaście lat. Zaczęła się wojna. Pierwsze dni wydawały się nierzeczywiste. Od tak dawna już panował pokój i dobrobyt. Być może podświadomość społeczna pragnęła zmiany, oczyszczenia. Zagłady. Ale nam, nie zajmującym się polityką obywatelom, wojna wydawała się tylko sprawą pychy, wojskowej pychy. Czymś, z czym poradzi sobie regularna armia i niezwalczona Marynarka Wojenna Jego Królewskiej Mości.



Nikogo nie powoływano do wojska, a w moim świecie nikt nie widział potrzeby, by zgłaszać się na ochotnika. Nawet mi na myśl nie przyszło, że któregoś dnia mógłbym wziąć udział w wojnie. Moltke, Bülow, Foch, Haig, French — wszystkie te nazwiska nic mi nie mówiły. Ale potem nastąpił ponury *coup d'archet* pod Mons i Le Cateau. Było to czymś zupełnie nieoczekiwanym. Sprawność militarna Niemców, okrucieństwo pruskiej gwardii, gwałty w Belgii, przerażające spisy poległych. Kitchener. Milionowa armia. I wreszcie we wrześniu bitwa nad Marną — to już było niehonorowe. Osiemset tysięcy zabitych — niech pan sobie wyobrazi, że stoją tu szeregami na morzu — osiemset tysięcy świeczek zdmuchniętych jednym oddechem.

— Nadszedł grudzień. Znikły panienki i kawalerowie. Któregoś wieczoru ojciec oświadczył mi, że ani on, ani moja matka nie wezmą mi za złe, jeśli nie pójdę na wojnę. Zaczęłam chodzić do muzycznego Royal College, z początku wszyscy byli tam przeciwnikami wstępowania do wojska na ochotnika. Wojna nie dotyczy sztuki i artystów. Pamiętam, że kiedyś moi rodzice i rodzice Lily dyskutowali na temat wojny. Zgodzili się, że jest ona czymś nieludzkim. Ale w moich stosunkach z ojcem pojawiło się pewne napięcie. Został on członkiem miejscowego komitetu obywatelskiego. Wkrótce potem zginął na polu bitwy syn dyrektora firmy ojca. Ojciec oznajmił nam to po spożytej w milczeniu kolacji i wstał od stołu pozostawiając nas samych, matkę i mnie. Nic nie zostało powiedziane, wszystko było jasne. Parę dni później przystanęliśmy z Lily patrząc na maszerujące ulicą oddziały. Błyszczała mokra od deszczu jezdnia. Oddziały te miały wyruszyć do Francji, ktoś stojący za nami powiedział, że to ochotnicy. W żółtym świetle gazowej latarni widziałem rozśpiewane twarze. Tłum wiwatował. Czuję zapach mokrej szarszy. I ci, co szli, i ci, co patrzyli, wyglądali na upojonych, byli rozegzaltowani, na twarzach ich malował się pewien siebie uśmiech. Średniowieczne przekonanie o własnej słuszności. Nie znałem jeszcze wówczas owego słynnego zdania. Ale było to właśnie to: *le consentement frémissant à la guerre*.

— „To szaleńcy” — powiedziałem do Lily. A ona zachowała się tak, jakby mnie nie usłyszała. Ale gdy oddziały przemaszerowały, odwróciła się do mnie i oświadczyła: „I ja zachowywałabym się jak szalona, gdybym miała nazajutrz umrzeć.” Odebrało mi głos. Wracaliśmy do domu w milczeniu. A ona całą drogę nuciła — dziś wiem, że nie było w tym cienia złości, ale wtedy nie mogłem w to uwierzyć — ówczesny przebój dnia.

Umilkł i po chwili zaśpiewał:

*„Będziemy cię kochać i będziemy szlochać  
Ale musisz, musisz iść...”*

— Czuję się przy niej jak smarkacz. Znowu winięm tę moją nieszczęsną grecką krew. To przez nią byłem nie tylko wszetecznikiem, ale i tchórzem. Kiedy dziś patrzę wstecz, widzę, że naprawdę tak było. Byłem nie tyle prawdziwym, wyrachowanym tchórzem, co kimś tak naiwnym, tak greckim, że nie bardzo wiedziałem, czemu miałbym mieć coś wspólnego z wojną. Poczucie odpowiedzialności społecznej nie należało nigdy do greckich cech narodowych.

— Kiedy znaleźliśmy się przed naszymi domami, Lily pocałowała mnie w policzek i wbiegła do środka. Zrozumiałem. Nie mogła się wycofać ze swego zdania, ale mogła jeszcze okazać mi współczucie. Całą noc i dzień, i znowu noc męczyłem się jak potępieniec. Następnego dnia poszedłem do Lily i powiedziałem, że się zaciągnę. Krew odpłynęła z jej policzków. Potem wybuchnęła płaczem i rzuciła mi się na szyję. Tak samo zachowała się moja matka. Ale matka okazała w ten sposób tylko ból.

— Uznano mnie za zdatnego do służby wojskowej. Byłem bohaterem. Ojciec Lily ofiarował mi stary rewolwer. Mój ojciec otworzył butelkę szampana. Kiedy wróciłem do swego pokoju i usiadłem na łóżku z rewolwerem w ręku, rozplakałem się. Nie ze strachu — rozczuliła mnie własna szlachetność. Po raz pierwszy poczułem w sobie ducha obywatelskiego. I sądziłem, że zwyciężyłem w sobie Greka. Że nareszcie jestem w pełni Anglikiem.

— Wzięto mnie do Trzynastego Pułku Londyńskiego, Pułku Kensingtonskiego Księżniczki Luizy. I od razu poczułem wewnętrzne rozdwojenie, byłem równocześnie kimś, kto obserwuje, i kimś, kto próbuje zapomnieć, że jest obserwowany. Szkolono nas nie tyle po to, żebyśmy umieli zabijać, ile po to, byśmy umieli ginąć. Uczono nas biec do ataku w odstępach dwóch kroków w ogniu karabinów maszynowych, które strzelały z szybkością dwustu pięćdziesięciu kul na minutę. Tak samo robili Niemcy i Francuzi. Gdybyśmy brali na serio swój możliwy udział w bitwie, powinniśmy chyba protestować. Ale panowało wówczas powszechne przekonanie, że ochotnicy będą służyć tylko w jednostkach wartowniczych i komunikacyjnych. Że do oddziałów bojowych bierze się zawodową armię i rezerwistów. No i co tydzień słyszeliśmy, że wojna jest dla obu stron tak kosztowna, iż nie może potrwać dłużej niż miesiąc.

Usłyszałem, że Conchis porusza się na swym szezlongu. Nastąpiło milczenie, a ja pragnąłem nade wszystko, żeby nie przerywał opowieści. On jednak milczał. Gwiazdy migotały wśród przejrzystych, błyszczących chmurek, taras wyglądał jak scena.

— Masz ochotę na kieliszek koniaku?

— Wolałbym słuchać dalej.

— Napijemy się.

Wstał i zapalił świeczkę. Potem zniknął.

Leżałem na szezlongu i wpatrywałem się w gwiazdy. Rok 1914 od roku 1953 oddzielała cała wieczność; rok 1914 znajdował się na planecie krążącej wokół jednej z najdalszych, ledwo widocznych gwiazd.

I oto znów usłyszałem kroki. Tym razem zbliżały się. Ktoś szedł bardzo szybko. A przecież było zbyt gorąco, by tak pędzić. Ktoś starał się jak najprędzej znaleźć w domu, nie chciał, by go zobaczono. Szybko podszedłem do balustrady.

Zdażyłem jedynie dojrzeć błądy kształt postaci, która na drugim końcu domu wbiegała po schodach i znikwała pod arkadami. Źle widziałem, przeszkadzało mi światło świeczki. Ale to nie była Maria, ta białość, powiewna białość, długi płaszcz, może szlafrok, widziałem ją tylko przez sekundę, ale wiedziałem, że jest to kobieta, i to kobieta niestara. A równocześnie doszedłem do wniosku, że chciano, bym ją zobaczył. Bo jeśli ktoś pragnąłby się dostać do domu niepostrzeżenie, nie przechodziłby przez żwir, wszedłby od tyłu.

Z sypialni dobiegł hałas i w oświetlonych drzwiach pojawił się Conchis niosąc tacę z butelką i dwoma kieliszkami. Poczekalem, aż postawi ją obok świeczki.

— Czy wie pan, że ktoś wszedł przed chwilą do domu?

Nie okazał zdziwienia. Otworzył butelkę i ostrożnie rozlał koniak. — Mężczyzna czy kobieta?

— Kobieta.

— Aha — podał mi mój kieliszek. — Koniak ten pochodzi z klasztoru na Krecie.

— Zdmuchnął świeczkę i podszedł do swego szezlonga. Ja dalej stałem.

— Mówił pan, że mieszka pan sam?

— Mówiłem, że pragnę, aby wieśniacy uważali, że mieszkam sam.

Oschłość tonu przekonała mnie o własnej naiwności. Ta kobieta musiała być jego kochanką, a on z jakichś względów nie chciał mnie z nią poznać, może zresztą to ona nie życzyła sobie mnie widzieć. Podszedłem i usiadłem na szezlongu.

- Jestem nietaktowny. Przepraszam.
- Nietaktowny? Nie. Może nieco pozbawiony wyobraźni.
- Wydawało mi się, że chce pan, żebym coś zauważył, no i pomyliłem się.
- Zauważanie, Nicholas, nie jest sprawą wyboru. A wyjaśnianie, tak.
- Oczywiście.
- Cierpliwości.
- Przepraszam.
- Smakuje ci koniak?
- Ogromnie.
- Przypomina Armagnac. Hm... Mam mówić dalej?

On wrócił do swej opowieści, a ja zaczerpnąłem pełną piersią powietrze nocy, czułem pod stopami beton, dotknąłem trzymanego w kieszeni kawałka kredy. Ale podnosząc nogi i kładąc się z powrotem na szeslongu, nie mogłem pozbyć się uczucia, że coś usiłuje się wślizgnąć między mnie i rzeczywistość.

## 19

– We Francji znalazłem się w sześć tygodni po zaciągnięciu się do wojska. Niezbyt zręcznie obchodziłem się z karabinem. Nie potrafiłem nawet w przekonujący sposób pokłuć bagnetem kukły kajzera Billa. Ale uznano, że jestem „bystry”, i zauważono, że umiem szybko biegać. Zostałem zatem gońcem naszej kompanii, co oznaczało, że jestem równocześnie czymś w rodzaju służącego, zapomniałem, jak się go nazywa...

– Ordynans.

– O, to to. Dowódcą mojej szkoleniowej kompanii był zawodowy wojskowy, mniej więcej trzydziestoletni. Kapitan Montague. Niedawno złamał nogę i nie nadawał się do czynnej służby. Jego blada twarz niejako fosforyzowała elegancją. Okazały, acz cienki wąs. Był to jeden z najgłupszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem. Wiele się od niego nauczyłem.

– Jeszcze nim nasze przeszkolenie dobiegło końca, Montague został wysłany do Francji. Tego samego dnia oznajmił mi takim tonem, jakby wręczał mi cudowny

upominek, że wykorzysta wszystkie swoje koneksje, żeby zabrać mnie ze sobą. Tylko taki tępak jak on mógł nie zauważyć mego braku entuzjazmu. Niestety, bardzo się do mnie przywiązał.

— Nie był zdolny myśleć o dwóch rzeczach naraz. A wtedy był cały pochłonięty myślą o *offensive à outrance*, o frontalnym ataku. Pomysł Focha. Wątpliwa przysługa dla ludzkości. „Siła uderzenia zależy od ilości ludzi — powtarzał Montague. — Siłą ludzi jest ich duch bojowy. Duch bojowy zależy od ich morale. Wysokie morale, silny duch bojowy, mocne uderzenie — zwycięstwo!” — walił w stół: „Zwycięstwo!” Kazał nam się tego nauczyć na pamięć. Podczas ćwiczeń z bagnetami. Zwy-cię-stwo! Biedny głupiec.

— Ostatnie dwa dni spędziłem z rodzicami i z Lily. Przysięgliśmy sobie dozogonną miłość. Lily uległa idei bohaterskiej ofiary, tak jak uległ jej mój ojciec. Matka milczała, przypominała mi tylko stare greckie przysłowie: „Nieżywi nie bywają odważni.” Później nieraz o tym myślałem.

— Wyruszyliśmy prosto na front. Jeden z dowódców kompanii umarł na zapalenie płuc i Montague'a mianowano na jego miejsce. Było to na początku 1915 roku. Bez przerwy padał deszcz albo, dla odmiany, deszcz ze śniegiem. Wiele godzin spędziliśmy w pociągach stojących na kolejowych bocznicach. Szare miasta pod bardziej jeszcze szarym niebem. Poznałem oddziały, które były już w akcji. Ci, którzy śpiewali idąc na śmierć, rekruci, byli ofiarami wiary w romantyzm wojny. Ale weterani byli ofiarami rzeczywistości wojennej, tego ostatecznego *Totentanz*. Tak samo jak te stare kobiety i starzy mężczyźni, których nie brak w żadnym kasynie na świecie. Choć wiedzą, że w końcu musi zawsze wygrać koło krupiera, nie potrafią się jednak stamtąd wyrwać.

— Parę dni trwały manewry. A potem Montague wygłosił do kompanii krótkie przemówienie. Rozpocznie się bitwa, nowy rodzaj bitwy, która zapewni nam zwycięstwo. Za miesiąc będziemy w Berlinie. Nocą załadowano nas do wagonów. Pociąg zatrzymał się na środku wielkiej równiny i pomaszzerowaliśmy na wschód. Ciemność, groble i wierzby. Mżawka. Wśród szeregów rozeszła się wiadomość, że mamy zaatakować wieś o nazwie Neuve Chapelle. I że pokażemy Niemcom! Nowe olbrzymie działa. Masowe bombardowanie z naszych samolotów.

— Po jakimś czasie, weszliśmy na błotniste pole i ruszyliśmy w stronę gospodarskich budynków. Dwie godziny odpoczynku, nim ruszymy do ataku. Nikt nie mógł spać. Było bardzo zimno, zabroniono rozpalania ognisk. Moja prawdziwa natura

dała o sobie znać, poczułem przerażenie. Ale starałem się przekonać siebie, że gdybym naprawdę miał skłonność do strachu, to bym już o tym wiedział. Starałem się wzbudzić w sobie odwagę. Oto deprawacja wojny. Wyzwała w nas fałszywą dumę.

— Przed świtem, powołutku, często przystając, obsadziliśmy stanowiska wyjściowe. Podśluchałem rozmowę Montague'a z oficerem sztabowym. Cała Pierwsza Armia, armia Haiga, miała ruszyć do ataku, wspierana przez Drugą. Podtrzymało mnie to na duchu, tak jakby ta ilość ludzi zapewniała mi osobiste bezpieczeństwo. Ale tymczasem weszliśmy do okopów. Do tych potwornych, cuchnących uryną okopów. Tuż obok upadły pierwsze pociski. Byłem tak naiwny, że mimo naszego tak zwanego przeszkolenia, mimo całej propagandy, nie byłem w stanie uwierzyć, że komuś może zależeć na zabiciu mnie. Otrzymaliśmy rozkaz, by stanąć pod ścianami okopów. Pociski gwizdały, wyły, wybuchały. Potem cisza. I huk obsuwających się brył ziemi. Cały drżący obudziłem się z mojego długiego snu.

— Chyba pierwszą rzeczą, która mnie, uderzyła, było osamotnienie każdego z nas. To nie wojna izoluje ludzi. Jak wiadomo, wojna ludzi zbliża. Ale inaczej jest na polu bitwy. Bo tu objawia się prawdziwy wróg — śmierć. Już nie rozkoszowałem się naszą liczebnością. Widziałem w niej tylko Tanatosa, moją śmierć. W mych kolegach, w Montague, tak samo jak w niewidocznych Niemcach.

— Ach, Nicholas, co to był za obłęd. W pewien marcowy poranek tysiące ludzi, Anglicy, Szkoci, Hindusi, Francuzi, Niemcy, stały w wygrzebanych w ziemi dziurach — i po co? Jeśli istnieje piekło, to na tym właśnie polega. Piekło to nie płomienie i widły diabłów. To miejsce, gdzie człowiek czuje się poza granicami rozsądku, tak jak owego dnia w Neuve Chapelle.

— Na wschodnią część nieba zaczęło opornie wypełzać światło. Deszczyk ustał. Spoza okopu dobiegł śpiew ptaka. Rozpoznałem pokrzywnicę, ostatni głos z innego świata. Ruszyliśmy naprzód, doszliśmy jakoś do okopów, z których miał wyjść atak. Okopy niemieckie znajdowały się o niecałe dwieście jardów, a zaledwie o sto od naszego frontowego okopu. Montague spojrział na zegarek. Podniósł rękę. Panowała całkowita cisza. Dziesięć sekund ciszy. A potem z tyłu odezwało się coś w rodzaju bębnienia, werbel tysiąca bębnow. Pauza. I nagle tuż przed nami świat wybuchnął. Przycupnęliśmy. Zatrzęsła się ziemia i niebiosa, nasze umysły, wszystko. Nie potrafisz sobie wyobrazić, jak wyglądało tych parę pierwszych minut bombardowania. Był to pierwszy i najbardziej masowy ogień artyleryjski tej wojny.

— Z frontowego okopu przybiegł łącznik. Miał zakrwawioną twarz i mundur. Montague spytał, czy nie jest ranny. Odpowiedział, że we frontowym okopie wszyscy są pochłapani krwią z okopów niemieckich. Były przecież tak blisko. Gdyby można było zapomnieć jak blisko...

— Po pół godzinie ogień artyleryjski przeniósł się poza wieś. Montague patrząc przez lornetę zawołał: „Wstają!” A potem: „Już po boszach!” Wskoczył na nasyp i zaczął nam dawać znaki, byśmy wyjrżeli z okopu. Sto jardów przed nami ludzie długimi szeregami kuszykali z wolna przez poraną ziemię w stronę rozwalonych domów i potrzaskanych drzew. Rozległo się parę pojedynczych strzałów. Ktoś upadł. Potem wstał i pobiegł dalej. Widać tylko się potknął. Kiedy szeregi dotarły do pierwszych zabudowań, otaczający mnie żołnierze zaczęli wiwatować, tamci im odpowiedzieli. Czerwone światelko wzbilo się do góry i my z kolei ruszyliśmy naprzód. Szliśmy z trudem, potykając się. Strach ustępował grozie. Nikt do nas nie strzelał. Ale trudno było znieść potworność widoku. Białe, różowe, czerwone, nie nadające się do zidentyfikowania szczątki ciał, okryte błotem i strzępami mundurów szarych albo khaki. Minęliśmy nasz pierwszy okop i weszliśmy na teren ziemi niczyjej. Kiedy doszliśmy do okopów niemieckich, nic tam nie było do zobaczenia. Wszystko albo wyleciało w powietrze, albo zostało zagrzebane w ziemi. Zatrzymaliśmy się na chwilę, odpoczywając w lejach ogarnięci nagłym spokojem. Z północy dobiegała ostra strzelanina. Kameruńczycy wpadli na kolczasty drut. W ciągu dwudziestu minut stracili wszystkich oficerów poza jednym. I zginęło cztery piąte żołnierzy.

— Przed rozwalonymi chatami pojawiły się czarne sylwetki z rękami do góry. Niektórych podtrzymywali koledzy. Byli to pierwsi jeńcy. Wielu było żółtych od lydditu. Żółci ludzie wyłaniający się z białej kurtyny światła. Jeden z nich szedł prosto na mnie, kołysząc się, z przekrzywioną głową, jakby szedł we śnie, i wpadł prosto do głębokiego leja. Po chwili znów się ukazał, wyczołgał się przez krawędź, z wolna stanął na nogi. I nieco się kołysząc ruszył naprzód. Inni jeńcy nadchodzili płacząc. Jeden z nich tuż przed nami zaczął wymiotować krwią i runął na ziemię.

— Potem zaczęliśmy biec w stronę wsi. Znaleźliśmy się w miejscu, które kiedyś musiało być ulicą. Całkowite spustoszenie. Rumowisko, gruz, połamane krokwie, wszędzie żółte kałuże lydditu. Znów zaczęła się mżawka, krople deszczu błyszczały na kamieniach i skórze trupów. Wielu Niemców pojmano w domach. W ciągu dziesięciu minut zapoznałem się z całą rzeźnią wojny. Krew, dziury wyszarpane w ciałach, sterczące kości, smród rozerwanych wnętrzności — opowiadam to tylko dlatego, że

wywołało to we mnie, chłopcu, który dotąd nie widział nawet zmarłego śmiercią naturalną nieboszczyka, coś dosyć dziwaczne. Nie mdłości i przerażenie. Wokół mnie wielu żołnierzy rzygało. Ja nie. We mnie zrodziło się przekonanie, że dla tego piekła nie istnieje żadne usprawiedliwienie. Byłoby już tysiąc razy lepiej, żeby Anglia została kolonią Prus. Czyta się, że podobne sceny wzbudzają w rekrucie ślepą żądzę mord. Ale ja odczułem coś wręcz przeciwnego. Ślepe pragnienie, żeby nie zostać zabitym.

Wstał.

— Chcę poddać cię pewnemu testowi.

— Testowi?

Poszedł do swej sypialni i zaraz wrócił niosąc naftową lampę, która stała na stole, gdy jedliśmy kolację. W białej plamie rzucanego przez nią światła położył przyniesione przedmioty. Kości, kubek do ich wyrzucania, spodek i pudełeczko z pigułkami. Spojrzałem na niego poprzez stół, zobaczyłem jego surowy wzrok.

— Chcę ci wytłumaczyć, czemu wyruszyliśmy na wojnę. Czemu ludzie zawsze idą na wojnę. Nie z powodów społecznych lub politycznych. To nie kraje wyruszają na wojnę, lecz ludzie. Wojna jest jak sól. Kiedy ktoś raz był na wojnie, przez resztą życia nie odczuwa już braku soli.

— Tak.

— W mojej idealnej republice rozwiązałbym to prościej. Wszystkich młodych ludzi kończących dwadzieścia lat poddawano by pewnej próbie. Zabierano by ich do szpitala i każdy musiałby rzucić kostką. Jeden z sześciu numerów oznaczałby śmierć. Ten, kto by go wyrzucił, umierałby w sposób bezbolesny. Żadnego okrucieństwa. Rzezi. Zagłady niewinnych widzów. Jeden rzut kostką.

— Cóż, byłoby to pewnie lepsze od wojny.

— Tak uważasz?

— Owszem.

— Jesteś tego pewien?

— Gdyby to było możliwe...

— Mówiłeś, że podczas ostatniej wojny nie brałeś udziału w żadnej bitwie?

— Zgadza się.

Wziął pudełeczko z pigułkami i wytrząsnął z niego sześć masywnych zębów trzonowych, były żółtawe, w paru widać było plomby.



— Te zęby w ciągu ostatniej wojny wręczano szpiegom obu stron, na wypadek gdyby ich złapano i zaczęto przesłuchiwać. — Jeden z zębów położył na spodeczku i rozgniół, ząb okazał się kruchy jak czekoladka z likierem. Ale bezbarwny płyn w środku pachniał migdałami, gorzko i przerażająco. Niosąc spodek w wyciągniętej ręce odstawił go na drugi koniec tarasu, po czym wrócił.

— Pigułki umożliwiające samobójstwo?

— Tak. Cyjanek potasu. — Podniósł kostkę i pokazał mi ją ze wszystkich stron. Uśmiechnąłem się: — Chce pan, żebym nią rzucił?

— W ciągu jednej sekundy przeżyjesz całą wojnę.

— A może wcale tego sobie nie życzę?

— Zastanów się. Za minutę będziesz mógł powiedzieć; ryzykowałem śmierć. Zagrałem o życie i wygrałem. To wspaniałe uczucie. Przeżyć.

— Czy mój ewentualny trup nie sprawi panu kłopotu? — dalej uśmiechałem się, ale już bez przekonania.

— Bynajmniej. Łatwo mi przyjdzie udowodnić, że popełniłeś samobójstwo. — Wpatrywał się we mnie, jego oczy przeszywały mnie jak harpun rybę. Wobec dziewięćdziesięciu osób na sto byłbym pewien, że to bluff, ale on był inny, i nie mogłem się oprzeć ogarniającemu mnie zdenerwowaniu.

— Rosyjska ruletka?

— Mniej zawodna. Te pigułki zabijają w sekundę.

— Nie mam ochoty zagrać.

— Zatem, przyjacielu, jesteś tchórzem — odchylił się w tył i obserwował mnie bacznie.

— Wydawało mi się, że ludzi odważnych uważa pan za głupców.

— Bo oni upierają się, żeby ciągle od nowa rzucać kości. Ale młody człowiek, który ani razu nie chce ryzykować swego życia, jest i głupcem, i tchórzem.

— Czy wypróbował pan w ten sposób moich poprzedników?

— John Leverrier nie był ani głupcem, ani tchórzem. Tchórzem nie był nawet Mitford.

Tu mnie złapał. Było to absurdem, ale nie mogłem dopuścić, żeby złapał mnie na bluffie. Sięgnąłem po kubek.

— Chwileczkę. — Nachylił się do przodu i wziął mnie za przegub ręki. Potem położył obok mnie ząb. — Proszę nie uważać tego za zabawę. Musisz mi przysiąc, że

jeśli wyrzucisz szóstkę, zjesz tę pigułkę. — Na jego twarzy malowała się śmiertelna powaga. Miałem ochotę przełknąć ślinę.

— Przysięgam.

— Na wszystko, co jest dla ciebie święte.

Zawahałem się, wzruszyłem ramionami i powiedziałem: — Na wszystko, co jest dla mnie święte.

Podał mi kostkę i włożył ją do kubka. Potrząsnąłem nim szybko i wyrzuciłem kostkę. Potoczyła się po obrusie, odbiła o mosiężną podstawę lampy, upadła.

Była to szóstka.

Conchis nawet nie drgnął i nie spuszczał ze mnie oczu. Od razu wiedziałem, że nigdy, za nic na świecie, nie sięgnę po pigułkę. Nie mogłem na niego spojrzeć. Upłynęło może piętnaście sekund. Potem uśmiechnąłem się, spojrzałem na Conchisa i potrząsnąłem przecząco głową.

On nie spuszczać ze mnie wzroku sięgnął po leżący obok mnie ząb, włożył go do ust, rozgryzł i połknął płyn. Zaczerwieniłem się. On, dalej mnie obserwując, wziął kostkę, włożył do wyrzutnika, potrząsnął nim. Szóstka. Jeszcze raz. I znów była to szóstka. Wypluł pusty ząb.

— Podjąłeś tę samą decyzję co ja tamtego poranka przed czterdziestu laty w Neuve Chapelle. Zachowałeś się tak, jak powinien się zachować każdy inteligentny człowiek. Gratuluję.

— Więc o co panu przedtem chodziło? Z tą idealną republiką?

— Każda idealna republika to idealna bzdura. Nie ma straszniejszej perwersji niż chęć ryzykowania życiem. Wychodzimy z nocy, wracamy w noc. Czemu więc mamy także żyć w nocy?

— Ależ ta kostka została specjalnie sfabrykowana.

— A czymże innym niż sfabrykowanymi kośćmi jest patriotyzm, propaganda, honor zawodowy, *esprit de corps*? Istnieje, mój drogi Nicholas, tylko jedna niewielka różnica. Zęby na tamtym stole są autentyczne. To nie ratafia w odpowiednio zabarwionym plastyku.

— A tamci dwaj, jak oni zareagowali?

— Uśmiechnął się. — Społeczeństwo, żeby zabezpieczyć się przed przypadkiem, żeby uniemożliwić swym niewolnikom możliwość wyboru, używa różnych środków, na przykład wmawia im, że przeszłość jest ważniejsza od terażniejszości. John Leverrier to katolik. I jest mądrzejszy od ciebie. Oparł się nawet pokusie.

— A Mitford?

— Nie marnuję czasu na uczenie ślepców.

Przez chwilę patrzył mi w oczy, jakby chciał się upewnić, że dotarł do mnie ten bezpośredni komplement, a potem, aby zakończyć sprawę, zgasił lampę. Znalazłem się, dosłownie i przenośnie, w ciemnościach. Prysłły ostatnie pozory, że jestem tu jako zwykły gość. Conchis urządził mi przedstawienie. Kiedy mówił o Neuve Chapelle, wiała z tego autentyczna groza, teraz wiedziałem już, że to powtórka, i opowieść wydała mi się sztuczna. Jej realizm stał się teatralny. Miałem takie uczucie, jakby handlarz przekonywał mnie, że zachwalany przez niego przedmiot pochodzi prosto z fabryki, a równocześnie — i to umyślnie — dawał mi do zrozumienia, że był już używany; przeczyło to wszelkiej logice. Miałem nie ufać pozorom — ale dlaczego? Dlaczego?

Zastanawiałem się, on znowu zaczął tkać tę swoją pajęczą sieć, a ja znów pośpieszyłem, by w niej ugrzęznąć.

## 20

— Sześć godzin trwało oczekiwanie. Niemcy niemal nas nie ostrzeliwali. Musieli być zasypani pociskami. Wydawało się oczywiste, że należałoby natychmiast rozpocząć natarcie. Ale trzeba genialnego generała, Napoleona, żeby umiał zdać sobie sprawę z rzeczywistości.

— Około trzeciej dołączyli do nas Gurkhowie i oznajmiono nam, że ruszymy do ataku na Aubers. Mielśmy iść w pierwszej linii. Tuż przed pół do czwartej nałożyliśmy na karabiny bagnety. Jak zwykle stałem koło kapitana Montague'a. Myślę, że wiedział o sobie tylko jedno. Że nie zna strachu i że w każdej chwili gotów jest połknąć cyjanek. Bez przerwy lustrował szeregi. Wzgardził peryskopem i wysunął głowę z okopów. Wyglądało na to, że Niemcy nie przyszli jeszcze do siebie.

— Ruszyliśmy. Montague i główny sierżant kompanii bez przerwy wydawali rozkazy, pilnując, by szeregi były równe. Mielśmy przejść przez porwane wyrwami pole do rzędu topól, a potem przez następne niewielkie pólko, za którym znajdował się most będący celem naszego ataku. Chyba w pół drogi zaczęliśmy biec, a wielu żołnierzy zaczęło wznosić okrzyki. Niemcy przerwali niemal zupełnie ostrzał. Montague triumfalnie zawołał: „Naprzód, chłopcy! Zwycięstwo!”

— Były to jego ostatnie słowa. Niemcy przygotowali pułapkę. Kilka karabinów maszynowych kosило nas jak trawę. Montague zawirował w miejscu i upadł mi pod nogi. Leżał na plecach i wpatrywał się we mnie jednym okiem, drugie znikło. Nie było już powietrza, były kule. Wcisnąłem twarz w błoto, oddałem mocz, pewien, że za chwilę zginę. Ktoś pojawił się tuż koło mnie. Był to sierżant. Kilku żołnierzy ostrzeliwało się, ale strzelali na oślep. Nigdy nie będę wiedział, dlaczego sierżant zaczął wlec ciało Montague'a. Próbowałem mu pomóc. Wpadliśmy do leja. Tył głowy Montague'a przestał istnieć, ale na jego twarzy dalej widniał idiotyczny grymas, jakby śmiał się przez sen, z szeroko otwartymi ustami. Nigdy nie zapomnę tego wyrazu twarzy. Ostatni uśmiech pewnego stadium ewolucji.

— Ostrzał ustał. I wszyscy ci, co przeżyli, zaczęli biec z powrotem w stronę wsi, jak stado przerażonych owiec. Ja także. Przestałem czegokolwiek chcieć, przestałem nawet chcieć być tchórzem. Wielu żołnierzy zginęło od postrzału w plecy, byłem jednym z nielicznych, którzy żywi dobiegli do okopów, skąd wyruszyliśmy, nie odniosłem nawet żadnej rany. Ledwieśmy się tam znaleźli, znów zaczął się ostrzał artyleryjski. Tym razem były to pociski naszej artylerii. Artyleria z powodu złych warunków atmosferycznych strzelała na ślepo. A może zgodnie z planem ustalonym parę dni wcześniej. Ironia tego nie jest na wojnie czymś wyjątkowym. Przeciwnie. Jest czymś najtypowszym.

— Dowództwo objął ranny porucznik. Stał skurczony obok mnie z policzkiem rozoranym szrapnelem. Oczy płonęły mu posepnie. Przestał być sztywnym i uprzejmym młodym Anglikiem, zamienił się w neolityczną bestię. Rozjuszona, przypartą do muru, niczego nie rozumiejąca. Prawdopodobnie wszyscy wyglądaliśmy podobnie. Im dłużej pozostawało się przy życiu, tym bardziej wszystko stawało się nierealne.

— Nadeszły nowe oddziały, pojawił się jakiś pułkownik. Za wszelką ceną należy zdobyć Aubers. Przed zapadnięciem nocy most musi się znaleźć w naszych rękach. Ale ja zdążyłem już to przemyśleć.

— Zrozumiałem, że kataklizm ten musi być pokutą za jakąś barbarzyńską zbrodnię cywilizacji, potwornym kłamstwem ludzkości. Wtedy zbyt słabo znałem jeszcze historię i naukę, aby wiedzieć, na czym polegało to kłamstwo. Teraz wiem, że była nim nasza wiara, że wypełniamy jakiś plan, że dążymy do celu sądząc, że wszystko musi się dobrze skończyć, bo służy czemuś wielkiemu. Nie widzieliśmy

rzeczywistości. Nic nie zostało zaplanowane. Wszystko jest przypadkiem. I nikt o nas nie zadba, jeżeli nie zrobimy tego my sami.

Zamilkł; z trudem rozróżniałem rysy jego twarzy, patrzył w morze, jakby widział tam Neuve Chapelle, błoto i piekło.

— Znow ruszyliśmy do ataku. Miałem ochotę nie posłuchać rozkazu i zostać w okopach. Ale tchórzy traktowano tak samo jak dezertersów: rozstrzeliwano. Zatem, gdy padł rozkaz, zacząłem się gramolić razem z resztą żołnierzy. Sierżant krzychał, że mamy biec. Powtórzyła się ta sama historia, co wcześniej tego popołudnia. Niemcy strzelali rzadko, tylko tyle, by nas zwabić w pułapkę. Ale ja wiedziałem, że każdy nasz ruch śledzi pół tuzina karabinów maszynowych. Moją jedyną nadzieją było, że Niemcy zachowają się po niemiecku. Że z wrodzoną sobie pedanterią otworzą ogień w tym samym momencie co przedtem, gdy znajdziemy się na środku pola.

— Dzielilo nas od niego jeszcze jakieś pięćdziesiąt jardów. Parę kul, odbiwszy się rykoszetem, zaświstało tuż koło mnie. Wypuściłem z rąk karabin, chwyciłem się za serce, zachwiałem na nogach. Tuż przede mną znajdował się ogromny lej. Potknąłem się, upadłem i stoczyłem na jego dno. Usłyszałem okrzyki: „Naprzód! Naprzód!” Leżałem z nogami w kałuży i czekałem. W parę sekund później, tak jak oczekiwałem, rozpętała się śmierć. Ktoś wpadł do leja z drugiej strony. Musiał to być katolik, bo bełkocząc odmawiał Zdrowaś Maria. Potem coś zaszamotało się i usłyszałem plusk spadających brył błota. Wyciągnąłem z kałuży nogi. Ale oczy otworzyłem dopiero, gdy ustał ogień.

— W leju nie byłem sam. Koło mnie, częściowo zanurzona w wodzie, leżała jakaś szara masa. Rozkładające się ciało Niemca, dobrze nadjedzone przez szczury. Otwarty brzuch; trup ten przypominał kobietę, z leżącym obok martwym noworodkiem. Trup cuchnął... możesz sobie wyobrazić, jak cuchnął.

— W leju spędziłem całą noc. Przyzwyczailem się do smrodliwego fetoru. Zrobiło się zimno, chwilami wydawało mi się, że mam gorączkę. Ale byłem zdecydowany doczekać tu końca bitwy.. Wyzbyłem się wstydu. Miałem nawet nadzieję, że Niemcy zajmą nasze pozycje i będę mógł dostać się do niewoli.

— Gorączka. Nie, to, co uważałem za gorączkę, było ogniem życia, chęcią istnienia.- Dziś wiem. *Delirium vivens*. Nie próbuję się bronić. Wszystkie deliria są mniej lub bardziej antyspołeczne. Nocy owej ogarnęły mnie wspomnienia wszystkich fizycznych doznań. I nawet najprostsze, smak wody, zapach smażonego boczku, wydawały mi się co najmniej równie ważne, jeśli nie ważniejsze od sztuki, muzyki, a

nawet czułości Lily. Doświadczyłem czegoś wręcz przeciwnego od tego, co francuscy i niemieccy metafizycy naszego stulecia głosili jako prawdę: że jednostka odczuwa wrogość do wszystkiego, co jest inne, obce. Mnie wszystko co inne wydało się nagle niezwykle pociągające. Nawet ten trup, nawet kwiczące szczury. Cudownie było doznawać czegokolwiek, choćby nawet głodu, chłodu i mdłości. Proszę sobie wyobrazić, że któregoś dnia odkrywasz w sobie szósty zmysł, którego nawet nie mogłeś sobie wyobrazić, bo nie ma nic wspólnego ze wzrokiem, dotykiem, z żadnym z naszych przyrodzonych pięciu zmysłów. Zmysł głębszy, źródło, z którego wypływają tamte. Jakby słowo „istniał” przestało być opisem, stało się działaniem, niemal rozkazem.

— Zanim jeszcze noc dobiegła końca, wiedziałem, że przeżyłem coś, co ludzie religijni nazwaliby nawróceniem. Niewątpliwie oświecało mnie światło niebios, bo bez przerwy spadały gwiazdy-pociski. Ale nie poczułem obecności Boga. Czułem się tak, jakbym w ciągu jednej nocy przeskoczył całą długość mego życia.

Przez chwilę milczał. Ogarnęło mnie pragnienie, aby mieć koło siebie kogoś, Alison, jakiegoś przyjaciela, kto wraz ze mną smakowałby żywą ciemność, gwiazdy, głos. Ale ten ktoś musiałby być ze mną już przedtem, przez te wszystkie ostatnie miesiące. Pasja życia: wybaczyłem sobie, że nie potrafiłem umrzeć.

— Próbuję opisać, co się ze mną stało, kim się stałem. Nie, kim powinienem być. Nie zajmuję się zaletami, i wadami przeciwstawiania się wojnie. Proszę, byś o tym nie zapomniał.

— Przed świtem nastąpiło następne niemieckie bombardowanie. O świcie atak. Generałowie niemieccy popełnili ten sam błąd co poprzedniego dnia nasi. Siły niemieckie odniosły jeszcze cięższe straty. Niemcy minęli mój lej, doszli do okopów i zostali odparci. Ja słyszałem tylko hałas. I widziałem stopę niemieckiego żołnierza. Strzelając stanął na moim ramieniu.

— Znów zapadła noc. Gdzieś na południu huczała wojna, ale na naszym odcinku panował spokój. Było już po bitwie. Po naszej stronie zginęło trzynaście tysięcy. Przestało istnieć trzynaście tysięcy umysłów, pamięci, miłości, doznań, światów, wszechświatów — bo umysł ludzki bardziej jest wszechświatem niż sam wszechświat — a wszystko to dla paruset jardów nieużytecznego błota.

— O północy doczołgałem się na brzuchu do wsi. Bałem się, że strzeli do mnie zaskoczony wartownik. Ale cała wieś zasłana była trupami, znalazłem się na środku pustyni śmierci. Odszukałem okop. I tu także zastałem tylko ciszę i ciała. Ale trochę

dalej usłyszałem rozmowę po angielsku i zawołałem. Byli to sanitariusze z noszami sprawdzający, czy wśród martwych nie zaplątał się jakiś ranny. Powiedziałem, że znokautował mnie podmuch pocisku.

— Uwierzyli mi bez trudu. Zdarzało się dużo dziwniejszych rzeczy. Dowiedziałem się od nich, gdzie znajduje się resztkę mojego pułku. Nie miałem żadnych planów, tylko instynktownie, jak dziecko, chciałem wrócić do domu. Ale, jak powiadają Hiszpanie, tonący szybko uczy się pływać. Zrozumiałem, że muszę zostać uznany za poległego. Wówczas nie będę podczas mej ucieczki ścigany. O świcie byłem już na tyłach, uszedłem z dziesięć mil. Miałem przy sobie trochę pieniędzy, a francuski był zawsze w naszym domu *lingua franca*. Jacyś chłopci udzielili mi schronienia i nakarmili. Następną noc ruszyłem przez pola, na zachód, w stronę Boulogne.

— Doszedłem tam po tygodniu, idąc nocami jak emigranci z 1790 roku. W Boulogne pełno było wojska i wojskowej żandarmerii. Wpadłem w rozpacz. Nie można było wsiąść na okręt bez papierów. Przyszło mi na myśl, żeby zgłosić się do władz portowych i oznajmić, że zostałem okradziony... zabrakło mi jednak śmiałości. Wreszcie pewnego dnia los okazał się dla mnie łaskawy. Zesłał mi okazję okradzenia kogoś. Spotkałem pijanego żołnierza z Brygady Strzelców i upiłem go jeszcze bardziej. Wsiadłem na odpływający okręt, kiedy on, biedaczysko, chrapał jeszcze w najlepsze w pokoiku nad *estaminet* koło dworca.

— I wtedy zaczęły się moje prawdziwe kłopoty. Ale na dzisiaj dosyć.

## 21

Nastąpiła cisza. Ówierkały świerszcze. Gdzieś wysoko wśród gwiazd zakrakał jakiś nocny ptak.

— I co było, kiedy wrócił pan do domu!

— Już późno.

— Ależ...

— Jutro.

Znów zapalił lampę. Uregulował płomień i prostując się spojrział na mnie.

— Czy nie wstydzisz się być gościem człowieka, który zdradził swój kraj?

— Nie uważam pana za zdrajcę ludzkości.

Podeszliśmy pod okna sypialni.

— Nie chodzi o ludzkość. Nie wolno dopuścić się zdrady wobec samego siebie.

— Nie sędzę, aby można twierdzić, że na przykład Hitler dopuścił się zdrady wobec siebie.

Odwrócił się.

— Masz rację. On nie. Ale miliony Niemców. Na tym polega tragedia. Nie na tym, że jeden człowiek miał odwagę wybrać zło. Ale że miliony nie odważyły się wybrać dobra.

Odprowadził mnie do mojego pokoiku i zapalił mi lampę

— Dobranoc, Nicholas.

— Dobranoc. I...

Uniósł rękę, by uciszyć mnie, uciszyć moje podziękowania. I wyszedł.

Wróciwszy z łazienki spojrzałem na zegarek. Była za kwadrans pierwsza. Rozebrałem się i zgasilem lampę, potem stałem chwilę przy otwartym oknie. W nieruchomym powietrzu unosił się lekki smród ścieków, szamba. Położyłem się i leżałem rozmyślając o Conchisie, starając się go zrozumieć.

Czy też raczej przestając go rozumieć, każdy bowiem wątek urywał się paradoksalnie. Choć w pewien sposób Conchis wydawał mi się teraz bardziej normalny, bardziej po ludzku omylny, przeszkadzała mi świadomość, iż jego opowieść została starannie przygotowana. Szczerłość płynąca z wyrachowania należy do innego gatunku niż szczerłość spontaniczna; obiektywizm Conchisa nadawał opowiadaniu zupełnie inny wymiar, był raczej obiektywizmem pisarza wobec swego bohatera niż starego człowieka wobec samego siebie za młodych lat. Opowieść robiła wrażenie raczej biografii niż autobiografii, nie wyznania, lecz ukrytej lekcji. Co nie oznacza, abym był tak ślepy, żeby nie wiedzieć, ile się z niej mogę nauczyć. Ale czemu tak mało o mnie wiedząc uważał, że zasługuję na naukę? Dlaczego miało mu na tym zależeć?

A poza tym te kroki, cała ta plątanina pozornie pozbawionych związku obrazów i wydarzeń, fotografia na szafce z kuriozami, te ukradkowe spojrzenia, Alison, dziewczynka imieniem Lily z głową w słońcu...

Byłem już bliski zapadnięcia w sen.

I wtedy zaczęło się; z początku myślałem, że to halucynacja, dźwięk był tak słaby, trudno go było określić. Pomyślałem, że może to dźwięki gramofonu dobiegają przez ściany z sypialni Conchisa. Usiadłem, przyłożyłem ucho do ściany, zacząłem nadśłuchiwać. Potem wyskoczyłem z łóżka i podszedłem do okna. Tak, dźwięk



dochodzi z zewnątrz, z północy, ze wzgórz. Nie było widać światła, wyraźnie słychać było tylko świerszcze w ogrodzie. „Ale ci-chusieńko, tak cichusieńko, że można by to przypisać wyobraźni, dolatywał szmer śpiewu mężczyzn. Pomyślałem: rybacy. Ale co by robili na wzgórzach? Zatem pasterze. Ale pasterze są samotnikami.

Śpiew dobiegł nieco wyraźniej, jakby niósł go podmuch wiatru — ale wiatru nie było — a potem znów ścichł. Przez sekundę wydawało mi się — ale nie wierzyłem sam sobie — że śpiew ten jest mi znajomy,, było to jednak niemożliwe. I znów oddalił się, stał się niemal ciszą.

I nagle — trudno sobie wyobrazić, jakie to było dziwne, jakim stało się dla mnie szokiem — śpiew znów się spotęgował i nie mogłem już mieć wątpliwości, co to za melodia. Było to *Tipperary*. Nie potrafiłbym powiedzieć, czy sprawiła to odległość, czy też płyta, bo musiała to być płyta, została umyślnie wolno puszczone, ale pieśń dobiegała w tak nierzeczywistym rytmie, tak niewyraźnie, jakby śpiewały ją gwiazdy i musiała, aby do mnie dotrzeć, przebyć nieskończoną przestrzeń i noc.

Podszedłem do drzwi pokoju i otworzyłem je. Przyszło mi na myśl, że gramofon musi znajdować się w pokoju Conchisa. I że został podłączony do głośnika lub głośników na wzgórzach — może właśnie w ubieralni znajdował się generator, przewody. Ale w domu panowała całkowita cisza. Zamknąłem drzwi i oparłem się o nie. Głosy i pieśń napływały z nocy przez piniowy las, otaczały dom i spływały do morza. Nagle cała absurdalność i wzruszająca poetyckość tego wszystkiego wywołały mój uśmiech. Musiał to być żart Conchisa, starannie przygotowany na mój wyłącznie benefis, próba dla mojego poczucia humoru, taktu, inteligencji. Nie było powodu biec i szukać, jak to zostało zmontowane. Dowiem się rano. A tymczasem mam się tym rozkoszować. Wróciłem do okna.

Śpiew przycichł, stał się ledwo dosłyszalny. Za to silniej cuchnęło szambem. Smród, który wpadał przez okno, mdlący smród rozkładającego się mięsa i ekskrementów był tak odrażający, że musiałem zatkać nos i oddychać przez usta.

Pod moim pokojem był wąski pasaż łączący dom z chatą. Wyjrzałem, bo wydawało mi się, że źródło smrodu musi znajdować się tuż. Stało się dla mnie jasne, że odór ten ma coś wspólnego ze śpiewem. Przypomniałem sobie trupa w leju po pocisku. Ale nie dostrzegłem nic nienormalnego, żadnego ruchu.

Śpiew umilkł. Po paru minutach osłabł smród. Jeszcze z dziesięć, piętnaście minut stałem w oknie wytężając wzrok i słuch. Nic nie drgnęło. W domu też panowała kompletna cisza. Nie trzeszczały schody, nie zamykały się drzwi, nic. Cykały

świerszcze, mrugały gwiazdy, doświadczenie nie pozostawiło żadnych śladów. Zacząłem węszyć. Za oknem coś jeszcze lekko cuchnęło, ale nie zabijało już zapachu pinii i morza.

Wkrótce nic już nie wskazywało, że wszystko to nie było tylko grą mojej wyobraźni. Przez dobrą godzinę nie mogłem usnąć. Nic się już więcej nie zdarzyło, a żadna hipoteza nie miała sensu.

## 22

Ktoś zapukał do drzwi. Za otwartym oknem, za ocienionym powietrzem płonęło niebo. Po ścianie nad łóżkiem łaziła mucha. Spojrzałem na zegarek. Było pół do jedenastej. Podeszedłem do drzwi i usłyszałem człapanie schodzącej po schodach Marii.

W jaskrawym świetle dnia, wśród cykad, wydarzenia poprzedniej nocy wydawały się urojeniem; może po jakimś narkotyku? Ale nie, obudziłem się z jasną głową. Ubrałem się, ogoliłem i zszedłem pod kolumnadę na śniadanie. Pojawiła się milcząca Maria z kawą.

— *O Kyrios?* — spytałem.

— *Ephage. Eine epano.* — Zjadł, jest na górze. Tak samo jak tutejsi wieśniacy nie starała się w rozmowie z cudzoziemcem wymawiać słów wyraźniej, zgłoski zlewały się w nie bardzo zrozumiały bełkot.

Zjadłem śniadanie i boczną kolumnadą odniosłem po schodkach tacę pod otwarte drzwi chaty. Frontowy pokój został urządzonej jako kuchnia. Kuchnia ta, pełna starych kalendarzy, kolorowych świętych obrazków, pęków ziół i czosnku, ze zwisającym z sufitu, pomalowanym na niebiesko schowkiem na mięso, wyglądała tak jak kuchnie we wszystkich chatach na Phraxos. Tylko przybory kuchenne były bardziej skomplikowane i piec był większy. Wszedłem do środka i postawiłem tacę na stole.

Maria wyjrzała z pokoiku za kuchnią. Dojrzałem szerokie mosiężne łóżko, święte obrazy, fotografie. Na jej ustach pojawił się cień uśmiechu, ale był to uśmiech okolicznościowy, nie mający nic wspólnego z prawdziwym. Nawet po angielsku, trudno byłoby mi ją wypytywać, nie okazując wścibstwa, mój grecki uniemożliwiał to

całkowicie. Chwilę się zawahałem, potem zobaczyłem jej twarz, równie pozbawioną wyrazu jak drzwi, przed którymi stała, i zrezygnowałem.

Pasażem łączącym dom z chatą poszedłem w stronę warzywnego ogródka. Po zachodniej stronie domu zobaczyłem zasłonięte żaluzją okno, które musiało być oknem pokoiku za sypialnią Conchisa. Zatem nie była to tylko komórka służąca za szafę ścienną. Potem spojrzałem na północną fasadę domu, na mój pokój. Łatwo byłoby się schować za murem chaty, ale na twardym gruncie nie pozostał żaden ślad. Poszedłem z wolna w stronę altanki. Mały Priap wysuwał przed siebie ramiona, jego pogański uśmiech szydził z mojej angielskiej twarzy.

Wstęp wzbroniony.

W dziesięć minut później byłem już na prywatnej plaży Conchisa. Woda, błękitnozielone szkło, przez chwilę wydawała mi się zimna, a potem rozkosznie chłodna i wypłynąłem spośród stromych skał na otwarte morze. Po jakichś stu jardach miałem już widok na cały skalisty przylądek i dom. Zobaczyłem nawet Conchisa, siedział na tarasie, w tym samym miejscu, gdzie siedzieliśmy wczoraj wieczorem, i coś czytał. Po chwili wstał, a ja pomachałem mu ręką. On podniósł jak kapłan ramiona, wiedziałem obecnie, że nie jest to gest przypadkowy, lecz symboliczny. Ciemna postać na białym tarasie; poseł słońca, twarzą do słońca zwrócony, najdawniejsza królewska władza. Wyglądał, chciał tak wyglądać, jakby błogosławił, rozkazywał; *dominus* i jego włości. Znów pomyślałem o Prosperze, nawet gdyby Conchis o nim nie wspomniał, przyszedłby mi on teraz na myśl. Dałem nurka, ale sól zaczęła mnie szczypać w oczy i wypłynąłem na powierzchnię. Conchis odwrócił się, żeby porozmawiać z Arielem, który nastawiał płyty, albo z Kalibanem, który przyniósł wiadro rozkładających się wnętrzności, a może z... przewróciłem się na plecy. To śmieszne, żeby tyle sobie obiecywać po odgłosie szybkich kroków, po mignięciu białego kształtu.

Kiedy w dziesięć minut później wróciłem na brzeg, Conchis siedział na belce. Wyszedłem z wody, a on wstał i powiedział: „Weźmiemy łódź i popłyniemy na Petrocaravi”. Petrocaravi, „kamienny okręt”, była to mała pustynna wysepka o pół mili na zachód od Phraxos. Conchis miał na sobie długie kąpielówki i jaskrawą, białoczerwoną czapkę gracza w waterpolo, w rękę trzymał niebieskie gumowe płetwy, dwie podwodne maski i rurki do oddychania. Poszedłem za nim po gorących kamieniach z wzrokiem utkwionym w spalonych słońcem starych plecach.

— Petrocaravi warto obejrzeć pod wodą. Zobaczysz.

— Tak jak zobaczyłem, że Bourani warto obejrzeć nad wodą — dogoniłem go. — Słyszałem dziś w nocy głosy.

— Głosy? — ale nie okazał zdziwienia.

— Z płyty. Nigdy jeszcze czegoś podobnego nie przeżyłem. Niezwykły pomysł. — Nie odpowiedział, tylko wszedł do łodzi i otworzył budkę z motorem. Odwiązałem cumkę od wbitego w beton żelaznego kółka, potem przykucnąłem na molo i przyglądałem się, jak Conchis grzebie w luku. — Umieścił pan chyba na drzewach głośniki?

— Niczego nie słyszałem.

Bawiąc się cumką uśmiechnąłem się. — Ale wiedział pan, że ja słyszę.

Spojrzał na mnie: — Ponieważ mi to mówisz.

— Ale nie spytał pan: co za głosy? jakie głosy? I wcale się pan nie zdziwił. A taka byłaby przecież normalna reakcja. — Okrągłym gestem dał mi znak, abym wszedł do łodzi. Zrobiłem to i usiadłem naprzeciwko niego na ławie. — Chciałem podziękować panu za zorganizowanie mi tego niezwykłego przeżycia.

— Niczego nie zorganizowałem.

— Trudno mi w to uwierzyć.

Patrzyliśmy na siebie. Biało-czerwona mycka nad małpimi oczyma nadawała mu wygląd występującego w cyrku szympansa. Świeciło słońce, otaczał nas świat jednoznacznych przedmiotów, łódź, morze. Dalej uśmiechałem się, ale on nie odpowiedział mi uśmiechem. Zachowywał się tak, jakbym wspominając o nocnych śpiewach popełnił, jakieś *faux pas*. Nachylił się, by umocować rozrusznik.

— Niech pan pozwoli — wyjąłem mu rozrusznik z ręki. — Proszę mi wierzyć, że nie chciałem pana urazić. Więcej o tym nie wspomnę.

Schyliłem się nad silnikiem. Nagle poczułem na ramieniu jego rękę. — Nie, Nicholas, nie jestem urażony. I nie proszę, byś mi uwierzył. Ale proszę, żebyś udawał, że wierzysz. Tak będzie łatwiej.

Dziwne. Tym jednym gestem, zmianą tonu i wyrazem twarzy rozładował istniejące między nami napięcie. Wiedziałem, że igra sobie ze mną, jak przedtem ze sfabrykowaną kostką. Ale z drugiej strony czułem, że mnie na swój sposób polubił. Pomyślałem sobie, że jeśli mu tak na tym zależy, to mogę udawać naiwniaczka, ale nim nie będę.

Wyłynęliśmy z zatoczki. Warkot motoru utrudniał rozmowę, wpatrywałem się więc w wodę, miała jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt stóp głębokości, na dnie

widziałem blade plamy skał ugwieżdżonych czarnymi jeżowcami. Na lewym boku Conchisa zobaczyłem dwie pomarszczone blizny. Z tyłu i z przodu wyraźnie ślad kuli, inna stara blizna przecinała jego prawe ramię. Domyśliłem się, że są to ślady po egzekucji, którą przeżył w czasie drugiej wojny. Kiedy tak siedział sterując, wyglądał jak asceta, przypominał Gandhiego, ale gdy zbliżyliśmy się do Petrocaravi i wstał, zręcznie przytrzymując brązowym udem ster, zamienił się w sportowca. Tak jak rybacy spalony był słońcem na kolor ciemnego mahoniu.

Skały były gigantycznymi głazami konglomeratowymi, przerażającymi w swojej dziwnej nagości; nigdy nie przypuszczałem patrząc na nie z Phraxos, że są aż tak wielkie. Zarzuciliśmy kotwicę o jakieś pięćdziesiąt stóp od wysepki. Conchis podał mi maskę i rurkę do oddychania. W owym czasie były one w Grecji nie do dostania i nigdy dotąd się nimi nie posługiwałem.

Poszedłem za Conchisem, stąpał wolno i ostrożnie po skamieniałym krajobrazie ogromnych skalnych bloków, między którymi kręciły się ławice ryb. Ryby płaskie, posrebrzane, pełne godności; ryby wydłużone, prujące wodę jak oszczep, ryby owalne, które jak obłąkane wypływały ze szczelin skalnych, małeńkie zrównoważone niebieskie rybki i płoszące się łatwo czerwono-czarne, i przemykające chyłkiem ryby błękitno-zielone. Conchis pokazał mi podwodną grootę, wspartą na słupach światła nawę błękitnych cieni, gdzie ogromny wargacz unosił się w wodzie, jakby był w transie. Z drugiej strony wysepki skały zanurzały się w mesmeryzującym indygo. Conchis wysunął z wody głowę.

— Wracam po łódź. Proszę tu na mnie zaczekać.

Popłynąłem. A za mną ławica wielu setek złoto-zielonych ryb. Zawróciłem, one zawróciły także. Popłynąłem dalej, one za mną, bardzo greckie w tej swojej niespożytej ciekawości. Potem położyłem się na płaskiej skale, na której płytka woda nagrzała się jak w wannie. Padł na mnie cień łodzi. Conchis zaprowadził mnie do głębokiej szczeliny między dwoma głazami i zawiesił tam na lince białą szmatkę. Jak ptak unosiłem się w wodzie nad podmorskimi skałami wypatrując ośmiornicy, którą usiłowałem zwabić. Wkrótce kręta ssawka wysunęła się i zaczęła obmacywać przynętę, potem wysunęły się następne, a Conchis niezwykle zręcznie starał się zmusić ośmiornicę, by się wynurzyła. Kiedyś sam tego próbowałem i wiedziałem, że nie jest to takie łatwe, jak się sądzi obserwując wiejskich chłopców. Ośmiornica wyłaniała się opornie, wirując z wolna, obzarta ciałami utopionych marynarzy, wyciągała te swoje

ssawki w poszukiwaniu łupu. Conchis wbił ją nagle na harpun i wciągnął do łodzi, rozciął torbiel nożem i wyrócił na drugą stronę. Wydźwignąłem się do łodzi.

— Schwytałem tu już tysiące ośmiornic. Jutro w tej dziurze zamieszka następna. I da się równie łatwo schwytać.

— Biedulka.

— Jak widzisz nikomu nie jest potrzebna rzeczywistość. Nawet ośmiornica jest wyznawczynią idealizmu. — U stóp Conchisa leżało stare białe prześcieradło, z którego odciął kawałek na „przynętę”. Przypomniałem sobie, że jest to poranek niedzielny, bardzo odpowiednia pora na kazania i przypowieści. Spojrzał na mnie sponad kałuży sepii.

— Jak ci się spodobał ten podwodny świat?

— Coś fantastycznego! Jak ze snu.

— Świat taki sam jak ludzki. Ale w słowach sprzed milionów lat.

Rzucił ośmiornicę pod ławę.

— Czy sądzi pan, że czeka ją życie pozagrobowe?

Spojrzałem na lepką masę i zobaczyłem jego drwiący uśmieszek. Białoczerwona mycka na jego głowie lekko się przekrzywiła. Teraz wyglądał jak Picasso udający Gandhiego, który z kolei udawałby korsarza. Pociągnął rozrusznik i odpłynęliśmy. Pomyślałem o bitwie nad Marną, o Neuve Chapelle i pokręciłem głową. On zaś skinął głową i podniósł do góry białe prześcieradło. Jego równe zęby zabłysły sztucznie w jaskrawym blasku słońca. Głupota sprowadza śmierć, zdawał się mówić: proszę spojrzeć na mnie, ja przeżyłem.

## 23

Zjedliśmy pod kolumnadą lunch, najprostszy grecki lunch, na który składał się kozi ser i sałatka z zielonej papryki z jajkami. Cykady chrapliwie pokrzykiwały wśród otaczających nas pinii, w chłód arkad wciskał się upał. Kiedy wracaliśmy, dokonałem jeszcze jednej próby wyjaśnienia sytuacji zacząwszy niby to przypadkowo mówić o Leverrierze. Conchis zawahał się i spojrział na mnie z powagą, pod którą czaił się uśmiech.

— To tego teraz uczą w Oksfordzie? Kto to widział, żeby czytać ostatni rozdział, nim przeczytało się pierwsze.

Więc musiałem się także uśmiechnąć i dać spokój. Choć jego odpowiedź nie zaspokoila w najmniejszym stopniu mojej ciekawości, przynajmniej położyła koniec udawaniu, posunęliśmy się krok naprzód. W pewien tajemniczy sposób — wkrótce miałem się do tego przyzwyczać — pochlebiła mi: byłem zbyt inteligentny, żeby nie połapać się w regułach gry. Na nic mi się jednak nie przydała wiedza, że od początków czasu starsi ludzie oszukiwali w ten sposób młodych. Dałem się na to łatwo nabrać, tak jak człowiek w odpowiednim momencie daje się nabrać na najstarsze chwytły literackie.

Przez cały lunch rozmawialiśmy o podwodnym świecie. Dla Conchisa stanowił on gigantyczny akrostych, coś w rodzaju pracowni alchemika, gdzie każdy przedmiot ma tajemniczą wartość, której trzeba się doszukać, którą trzeba odgadnąć. Historia naturalna w jego ustach stawała się czymś najważniejszym i pełnym poezji, nie miała nic wspólnego z tym, czym zajmują się harcmistrze, przestawała być tematem dowcipów „Puncha”.

Skończyliśmy jeść i Conchis wstał. Poszedł na górę odbyć sjęstę. Mieliśmy się znów spotkać przy podwieczorku.

— Co zamierzasz zrobić?

Otworzyłem stary numer czasopisma „Time”. W środku schowałem starannie tamtą siedemnastowieczną broszurę.

— Jeszcze tego nie przeczytałeś? — Conchis robił wrażenie zdumionego.

— Zamierzam to zrobić teraz.

— Słusznie. To coś zupełnie wyjątkowego.

Podniósł do góry rękę i wszedł do domu. Ja przeszedłem przez wyżwirowany placyk i leniwym krokiem ruszyłem na wschód. Grunt zaczął się lekko podnosić, potem znów opadał, po jakichś stu jardach skały zasłoniły dom. Przedemną otwierał się głęboki parów zarośnięty oleandrami i jakimiś kolczastymi krzewami, który stromo schodził w dół na prywatną plażę Conchisa. Usiadłem opierając się o pień pini i pogrążyłem w czytaniu. Broszurka zawierała przedśmiertne wyznania oraz listy i modlitwy Roberta Foulkesa, proboszcza z Stanton Lacy w Shropshire. Był uczonym, miał żonę i dwóch synów, lecz w 1677 roku zrobił młodej dziewczynie dziecko, a potem to dziecko zamordował, za co został skazany na śmierć.

Pisał wspaniałym, mięsistym językiem sprzed Drydena. Oto „wspiął się na szczyt bezbożności”, choć wiedział, że „ksiądz jest zwierciadłem ludu”. „Zmiażdżcie bazyliuszka”, jęczał w swej celi śmierci. „Jestem już wobec prawa nieboszczykiem” —

przeczył jednak, „że siłą wziął dziewczynę w jej dziesiątym roku”, bo „klnę się słowem umierającego człowieka, że i oczy jej widziały, i ręce uczestniczyły w tym, co się stało”.

Broszura liczyła koło czterdziestu stron i przeczytałem ją w pół godziny. Opuściłem modlitwy, ale tak jak Conchis powiedział, była bardziej realna od każdej powieści historycznej, bardziej poruszająca, bardziej ludzka i więcej mówiąca. Położyłem się na wznak i przez plątaninę gałęzi patrzyłem w niebo. Wydało mi się dziwne, że koło mnie leży ta broszura, ułamek przeszłości Anglii, który trafił na tę grecką wyspę, pod pinie, na tę pogańską ziemię. Zamknąłem oczy i wpatrywałem się „w intensywne kolorowe plamy, krążące pod powiekami. Potem zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, nie podnosząc głowy spojrzałem na zegarek. Minęło pół godziny. Jeszcze chwilę drzemałem, potem usiadłem.

W ciemnym zielonym cieniu gęstego drzewa świętojańskiego rosnącego z drugiej strony parowu o jakieś siedemdziesiąt, osiemdziesiąt jardów ode mnie, stał On. Zerwałem się na nogi nie wiedząc, czy wołać, klaskać, bać się czy śmiać; zbyt zdumiony, aby się ruszyć, stanąłem jak wryty i zamieniłem się we wzrok. Człowiek ten był cały w czerni, cylinder, płaszcz, czarna suknia, czarne pończochy. Miał długie włosy, koronkowy kołnierz i dwie białe wstęgi. Czarne pantofle z metalowymi klamerkami. Stał w cieniu, pewny siebie, postać z obrazów Rembrandta, niepokojąco autentyczny, a równocześnie tak bardzo nie na swoim miejscu — uroczysty, ciężkawy mężczyzna o czerwonej twarzy. Robert Foulkes.

Rozejrzałem się wkoło sądząc, że zobaczę gdzieś Conchisa. Ale nie zobaczyłem nikogo. Znów spojrzałem na tę postać, która trwała w bezruchu patrząc w moją stronę. I nagle spoza świętojańskiego drzewa wynurzyła się dziewczyna. Czternastoletnia może dziewczynka, o białej twarzy, w długiej ciemnobrązowej sukni. Na tyle głowy miała ciasno przylegającą czerwoną czapeczkę. Długie włosy. Stała obok mężczyzny i też zaczęła mi się przyglądać. Była dużo niższa, sięgała mu mniej więcej po żebra. Staliśmy tak chyba z pół minuty, wpatrując się w siebie. Potem z uśmiechem podniosłem rękę. Żadnej odpowiedzi. Zbliżyłem się o jakieś dziesięć jardów, wyszedłem na słońce i znalazłem się na samym brzegu parowu.

— Dzień dobry! — zawołałem po grecku. — Co tu robicie? — i powtórzyłem: — *Ti kanete?*

Ale oni nie odpowiedzieli. Stali i wpatrywali się we mnie, mężczyzna jakby z gniewem, dziewczynka bez wyrazu. Zerwał się podmuch słonecznego wiatru i zza jej pleców wysunęła się brunatna wstążka.



Pomyślałem sobie: ta scena została żywcem wzięta z Henry Jamesa. Conchis odkrył, że może jeszcze przykręcić śrubę. Ta jego zapierająca dech bezczelność. Przypomniałem sobie naszą rozmowę o powieści: „Słowa mają służyć faktom. Nie fikcji”.

Spojrzałem w stronę domu: Conchis powinien się teraz pokazać. Ale nie. Z jednej strony stałem ja z przyklejonym do twarzy, coraz bardziej głupkowskim uśmiechem, z drugiej w zielonym cieniu tamta para. Dziewczynka podeszła bliżej do mężczyzny, a on ciężko, patriarchalnie położył rękę na jej ramieniu. Wydawali się czekać na jakiś mój gest. Słowa nie zdały się na nic. Muszę się więc do nich zbliżyć. Spojrzałem na parów. Tu nie można było go przebyć, ale o jakieś sto jardów dalej mój brzeg zaczynał łagodnie opadać. Pokazałem gestem, o co chodzi, i zacząłem schodzić. Co chwila oglądałem się na stojącą pod drzewem milczącą parę; odwrócili się i obserwowali mnie, aż zakryło ich przed moim wzrokiem wzniesienie po ich stronie parowu.

Wreszcie udało mi się przebyć parów, choć z tamtej strony trudno mi było się wdrapywać przez niemiłe koleczaste zarośla. Potem znów puściłem się pędem. Zobaczyłem świętojańskie drzewo. Nikogo tam nie było. Po paru sekundach — od chwili gdy widziałem ich po raz ostatni upłynęła najwyżej minuta — stałem pod drzewem na dywanie pokurczonych strąków. Spojrzałem na miejsce, gdzie się zdrzemnąłem, na posłaniu z igieł leżał szary prostokąt broszury i obramowany czerwono prostokąt „Time'u”. Minąłem drzewo świętojańskie i doszedłem do biegnących między drzewami drutów, do wschodniego krańca Bourani, dalej grunt opadał ostro w dół. Tam, w oliwnym gaiku stały sobie spokojnie trzy chaty. Ogarnięty czymś w rodzaju paniki cofnąłem się pod drzewo świętojańskie i poszedłem wschodnim brzegiem parowu na szczyt wzgórza, skąd mogłem dojrzeć prywatną plażę Conchisa. Było tu więcej zarośli, ale żeby się w nich ukryć, trzeba by się położyć płasko na ziemi. I nie mogłem sobie wyobrazić, żeby ten wyglądający na choleryka mężczyzna mógł tam leżeć w ukryciu.

Z domu dobiegł dźwięk dzwonu. Trzy uderzenia. Spojrzałem na zegarek — pora na herbatę. Dzwon zadzwonił znowu, dwa szybkie uderzenia, jedno zwolnione, i zrozumiałem, że wzywa mnie po imieniu.

Powinienem chyba być przerażony. Ale nie byłem. Niezależnie od wszystkiego czułem się zbyt zaintrygowany i oszołomiony. I mężczyzna, i dziewczyna o białej jak ser twarzy wyglądali na Anglików, jednakże bez względu na to, jakiej byli

narodowości, wiedziałem, że nie są to mieszkańcy wyspy. Stąd nasuwało się przypuszczenie, iż przywieziono ich tu specjalnie, że ukrywali się gdzieś, czekając, aż przeczytam tę broszurkę Foulkesa. Ułatwiłem im zadanie zasypiając, i to na brzegu parowu. Ale był to przypadek. Skąd Conchis wziął tych ludzi? Gdzie znikli?

Przez parę sekund pozwoliłem memu umysłowi zanurzyć się w ciemnościach, błąkać po świecie, który nie miał nic wspólnego z tym, czego nauczyło mnie doświadczenie, po świecie, w którym istniały duchy. Ale we wszystkich tych pozornie „ponadnaturalnych” zjawiskach było coś aż nazbyt „przyziemnego”. No i w świetle dnia były one mniej przekonujące. Tak jakby chciano, abym zdał sobie sprawę, że nie są one naprawdę ponadnaturalne; no i ta tajemnicza, siejąca zwątpienie rada Conchisa, że łatwiej mi będzie, jeśli przynajmniej udam, że wierzę. Dlaczego łatwiej? Uprzejmiej, bardziej wyrafinowanie, tak, ale „łatwiej” oznaczało, że czeka mnie ciężka próba.

Stałem wśród drzew na próżno łamiąc sobie głowę. Nagle uśmiechnąłem się. Wylądowałem w samym środku wytworów bujnej wyobraźni tego niezwykłego starszego pana. To było jasne. Ale skąd się wzięły te jego fantazje, czemu je w tak dziwny sposób realizował, a przede wszystkim czemu jako jedyne widza wybrał właśnie mnie? Byłem jednak przekonany, że uczestniczą w czymś zbyt wyjątkowym, żeby z braku cierpliwości lub poczucia humoru to popsuć.

Przebyłem parów, zabrałem „Time” i broszurę. A obejrzawszy się na tajemnicze, ciemne drzewo świętojańskie poczułem lekki strach. Ale był to strach przed nieznanym i niewytłumaczonym, nie przed nadprzyrodzonym.

Idąc po żwirze zobaczyłem Conchisa, który już siedział pod kolumnadą, tyłem do mnie, i nagle wiedziałem, jak się zachowam, czy też raczej, jak zareaguję.

Conchis odwrócił się. — Jak się udała sjesta?

— Dziękuję.

— Przeczytałeś tę broszurę?

— Miał pan rację. Jest znacznie bardziej fascynująca od wszystkich historycznych powieści. — Twarz Conchisa nie zareagowała na mój z lekka ironiczny ton. — Bardzo panu dziękuję.

Położyłem broszurę na stole. I zamilkłem, a on nalał mi spokojnie herbaty.

Conchis zjadł już podwieczorek i teraz poszedł pograć na klawesynie. Grał dwadzieścia minut. Słuchając go rozmyślałem. Wszystkie dziwne wydarzenia wydawały się służyć złudzie zmysłów. Wczorajsza noc zajęła się powonieniem i słuchem, dzisiejsze popołudnie wzrokiem. Smak można było chyba pominąć, ale dotyk... jak u diabła może Conchis oczekiwać, że uznam, iż to, czego dotykam, nie należy do zjawisk naturalnych. I co wspólnego mają te wszystkie sztuczki z „podróżami do innych światów”? Jedno było jasne; zrozumiałem, czemu się tak niepokoił na myśl o tym, że mogłem się zbyt wiele dowiedzieć od Leverriera i Mitforda. Widać wypróbował na nich działanie swego iluzjonizmu i kazał im zaprzysiąc sekret.

Wyszedłszy z domu zabrał mnie na podlewanie warzywnego ogródka. Wodę brało się z jednej z długoszych cystern stojących za chatą, a gdy skończyliśmy i usiedliśmy obok altanki Priapa, otaczał nas niezwykle w Grecji latem zapach wilgotnej zieleni. Conchis wykonał kilka ćwiczeń oddechowych; widać, należały one, tak jak wiele innych rzeczy, do rytuału jego życia, potem uśmiechnął się i cofnął o dwadzieścia cztery godziny wstecz.

— Opowiesz mi o tej dziewczynie. — Nie było to pytanie, lecz rozkaz, nie przyjmujący do wiadomości, że mógłbym jeszcze raz odmówić.

— Nie bardzo jest co opowiadać.

— Odtrąciła cię?

— Nie. W każdym razie nie na początku. To ja ją odtrąciłem.

— A teraz chciałbyś?...

— Teraz już za późno.

— Przemawiasz jak Adonis. Przeszył cię róg?

Milczałem. Wreszcie zdecydowałem się, myślałem o tym od chwili, gdy dowiedziałem się, że studiował medycynę, a zresztą chciałem go zaszokować, żeby przestał kpić z mego rzekomego fatalizmu.

— Prawdę mówiąc, tak.

Spojrzał na mnie badawczo.

— Syfilis. Złapałem go na początku roku w Atenach.

Nie spuszczał ze mnie wzroku.

— Teraz już wszystko w porządku. Wydaje mi się, że kuracja poskutkowałą.

— Kto postawił diagnozę?

— Tutejszy lekarz. Patarescu.

— Powiedz mi, jakie były symptomy.

— Diagnozę potwierdziła klinika w Atenach.

— Niewątpliwie. — Powiedział to takim tonem, że od razu zrozumiałem, iż wcale tak nie uważa. — No, proszę o symptomy.

Wyznałem mu wszystko z najdrobniejszymi szczegółami.

— Jest tak, jak myślałem. Miałeś francie miękką.

— France?

— Szankier. *Ulcus molle*. Choroba Morza Śródziemnego. Nieprzyjemne, ale zupełnie niegroźne. Najlepszym lekarstwem jest mydło i woda.

— To czemu u diabła...

Potarł palcem wskazującym o kciuk, typowy grecki gest oznaczający pieniądze, pieniądze i korupcję.

— Dużo zapłaciłeś?

— Tak. Za tę specjalną penicylinę.

— Nic już teraz na to nie poradzisz.

— Mógłbym wytoczyć klinice proces!

— Nie masz żadnych dowodów na to, że to nie był syfilis.

— Sądzi pan, że Patarescu...

— Nic nie sądzę. Z punktu widzenia medycznego Patarescu nie da się nic zarzucić. W takich wypadkach należy zawsze zrobić odpowiednie analizy. — Brzmiało to niemal tak, jakby brał stronę lekarzy. Wzruszył lekko ramionami: oto jak toczy się świat.

— Mógł mnie ostrzec.

— Pewnie uważał za ważniejsze, żebyś wystrzegał się chorób wenerycznych niż wyzysku przez lekarzy.

— Chryste Panie!

Uzucie ulgi walczyło we mnie z gniewem, że dałem się nabrać. Po chwili Conchis znów się odezwał.

— Nawet gdyby to był syfilis, czemu nie miałbyś wrócić do dziewczyny, którą kochasz?

— Wie pan... nie, to zbyt skomplikowane.

— Czyli wcale nie niezwykle. Wręcz przeciwnie.

Po trochu, beładnie — on nie przestawał zadawać mi pytań — opowiedziałem mu co nieco o Alison. Jego wczorajsza szczerota zmusiła mnie z kolei do szczerota.

Choć nie czułem z jego strony żadnej sympatii, tylko tę niewyjaśnioną, wręcz obsesyjną ciekawość. Opowiedziałem mu, że niedawno wysłałem do Alison list.

— A jeśli nie odpowie?

Wzruszyłem ramionami: — To nie odpowie.

— Myślisz o niej, pragniesz ją zobaczyć... nie, nie możesz tak tego zostawić. — Uśmiechnąłem się. — Chcesz się zdać na los szczęścia. Nie musimy zdawać się na los szczęścia, tak jak nie musimy utonąć w morzu. — Chwycił mnie za ramię: — Popłyn!

— Nie chodzi o to, żeby płynąć. Tylko żeby wiedzieć, w jakim kierunku.

— W stronę dziewczyny. Mówiłeś, że przejrzała cię na wylot, że cię rozumie. To bardzo ważne.

Milczałem. Żółto-czarny motyl krążył nad bougainvilleą obrastającą altankę Priapa, nie znalazł miodu i zniknął między gałęziami drzew. Kopnąłem żwir. W gruncie rzeczy wcale nie wiem, co to takiego miłość. Chyba że po prostu seks. A zresztą nic mnie to nie obchodzi.

— Ależ mój drogi chłopcze. Strasznie jest z tobą trudno. Ten pesymizm. To poczucie klęski.

W swoim czasie byłem dosyć ambitny. Szkoda, że nie byłem także ślepy. Wówczas nie doznałbym pewnie klęski. — Spojrzałem na Conchisa. — Myślę nie tylko o sobie. Wszyscy tak uważamy. Całe moje pokolenie.

— W najbardziej oświeconym stuleciu historii ludzkiej? Mimo że w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat więcej zrobiło się dla zwalczania ciemności niż przedtem przez pięć milionów?

— W Neuve Chapelle? W Hiroszynie?

— Chodzi o ciebie i o mnie. Żyjemy. Jesteśmy tymi wspaniałymi czasami. My nie zostaliśmy zniszczeni. I nie braliśmy udziału w niszczeniu.

— Żaden człowiek nie jest wyspą.

— Pff... Bzdura. Każdy z nas jest wyspą. Gdyby tak nie było, od razu byśmy oszaleli. Między wyspami krążą statki, samoloty, istnieją telefony i telegraf — co sobie życzysz. Ale wszyscy pozostajemy wyspami, które mogą zostać zatopione, zniknąć. Jesteś wysepką, która nie została zatopiona. Więc nie masz prawa być aż takim pesymistą. To niemożliwe.

— Mnie wydaje się możliwe.

— Proszę za mną. — Wstał, tak jakby liczyła się każda minuta. — Pokażę ci najgłębszą tajemnicę życia. Proszę za mną. — Szybkim krokiem ruszył w stronę kolumnady. Poszedłem za nim na górę. Wypchnął mnie na taras,

— Proszę usiąść przy stole. Tyłem do słońca.

Po minucie pojawił się niosąc jakiś ciężki przedmiot owinięty w biały ręcznik. Ustawił go uważnie na środku stołu. Chwilę stał tak, upewnił się, czy patrzę i zdjął zasłonę. Była to kamienna głowa, trudno powiedzieć, mężczyzny czy kobiety. Nie miała nosa. Włosy były w siatce. Ale siła wyrazu polegała na uśmiechu. Triumfalnym uśmiechu, który mógłby się wydać wyrazem zadowolenia z siebie, gdyby nie był tak pełny najczystszej metafizycznej pogody ducha. Oczy były z lekka orientalne, długie, i kiedy Conchis zakrył ręką usta, widać było, że i te oczy się uśmiechają. Usta były pięknie wykrojone, bezkreśnie mądre i bezkreśnie uśmiechnięte.

— W tym tkwi prawda. Nie w sierpie i w młocie. Nie w gwiazdach i paskach. Nie w krzyżu. Ani w słońcu. Ani w złocie. Nie w *yin i yang*. Ale w tym uśmiechu.

— Wykopalisko z Cyklad?

— Nieważne skąd. Patrz na nią. Spójrz jej w oczy. Miał rację. W oświetlonej słońcem rzeźbie tkwiła *numen*; nie, może nie tyle tkwiła w niej boskość, co bliski z nią kontakt. Znała boskość. I był w niej spokój i bezbrzeżna pewność. Ale w miarę jak patrzyłem, uderzyło mnie także i coś innego.

— W tym uśmiechu jest coś nieubłaganego.

— Nieubłaganego? — Conchis stanął za moim krzesłem i patrzył ponad moją głowę. — Prawda. Prawda jest nieubłagana. Ale nie znaczenie prawdy.

— Gdzie została znaleziona?

— W Didymie, w Azji Mniejszej.

— Z jakich czasów pochodzi?

— Z szóstego lub siódmego stulecia przed narodzeniem Chrystusa.

— Czy mogłaby się tak uśmiechać, gdyby wiedziała o Belsen?

— To dlatego, że oni umarli, *my* wiemy, że żyjemy. Wiemy, że ten świat istnieje, gdyż przy wybuchu gwiazdy giną tysiące takich światów. To oznacza ten uśmiech: że istnieje coś, co mogłoby nie istnieć. — Potem dodał: — Kiedy będę umierał, chciałbym, aby ta głowa stała obok mojego łóża. Chciałbym, aby była ostatnią ludzką twarzą, na którą spojrzę.

Mała głowa, przyglądała się nam łagodnie, pewna swego i niemal złośliwie nieprzenikniona. Przyszło mi nagle na myśl, że podobny uśmiech widziałem

parokrotnie na twarzy Conchisa; czyżby siadywał przed tą głową i uczył się tak uśmiechać? I równocześnie zdałem sobie sprawę, co mnie w tym uśmiechu odstręcza. Był to przede wszystkim lekko drwiący uśmiech wyższego wtajemniczenia. Spojrzałem na twarz Conchisa i wiedziałem, że mam rację.

## 24

Gwiazdzista ciemność nad domem, lasem, morzem; nakrycia sprzątnięte ze stołu, zgaszona lampa. Ułożyłem się na szezlongu. Conchis poczekał, aż zagarnie nas noc, a czas odpłynie, i dopiero wtedy zabrał mnie w wędrówkę po przeszłości.

— Kwiecień 1915 roku. Do Anglii wróciłem bez kłopotów. Nie myślałem, co się ze mną stanie. Wiedziałem tylko, że muszę znaleźć dla siebie jakieś usprawiedliwienie. Kiedy ma się dziewiętnaście lat, nie wystarczy coś zrobić, trzeba jeszcze umieć to usprawiedliwić. Matka na mój widok zemdląła. Po raz pierwszy i ostatni w życiu zobaczyłem łzy ojca. Do chwili gdy stanąłem z nimi twarzą w twarz, byłem zdecydowany wyznać im prawdę. Myślałem, że nie potrafię ich oszukiwać. Ale gdy ich zobaczyłem... może było to zwykłe tchórzostwo, nie mnie sądzić... Chyba jednak istnieją prawdy zbyt okrutne, żeby można je było wypowiedzieć prosto w twarz. Oznajmiłem zatem, że udało mi się wylosować urlop i że teraz, kiedy Montague zginął, mam wrócić do swego poprzedniego pułku. Ogarnęła mnie gorączka kłamstwa. Kłamałem z rozmachem. Bitwa pod Neuve Chapelle zamieniła się w moich ustach w zupełnie inną bitwę, tak jakby prawdziwa nie była wystarczająco straszna. W kłamstwach posunąłem się tak daleko, że twierdziłem, iż obiecano mi awans.

— Z początku dopisywało mi szczęście. W dwa dni po moim powrocie nadeszła oficjalna wiadomość: zginął, prawdopodobnie poległ. Takie pomyłki zdarzały się dostatecznie często, by nie wzbudzić podejrzeń rodziców. List został radośnie podarty.

— A Lily. Niewykluczone, że to, co się stało, pozwoliło jej zdać sobie lepiej sprawę z uczucia, jakie do mnie żywiła. W każdym razie nie mogłem się już uskarżać, że traktuje ranie raczej jak brata niż jak kochanka. Wiesz chyba, Nicholas, że wielka wojna niezależnie od wszystkich nieszczęść, które przyniosła, uzdrowiła stosunki między mężczyznami i kobietami. Po raz pierwszy od stu lat kobiety zauważyły, że mężczyźni żądają od nich nie tylko zakonnej czystości i *bien pensant* idealizmu. Nie chcę przez to powiedzieć, że Lily wyzbyła się nagle i całkowicie swej rezerwy. Lub że

mi się oddała. Ale ofiarowała mi z siebie tyle, ile mogła. Ach, te godziny spędzane z nią sam na sam... w czasie tych godzin nabierałem sił, by dalej kontynuować grana przez siebie komedię. A równocześnie sprawiały one, że owa komedia wydawała mi się czymś jeszcze straszliwszym. Coraz to ogarniało mnie pragnienie, aby wyznać Lily wszystko, nim dopadnie mnie ręka sprawiedliwości. Za każdym powrotem do domu drżałem, czy nie zastanę tam policji, nie zobaczę rozgniewanej twarzy ojca. A najgorszy ze wszystkiego będzie wzrok, jakim spojrzy na mnie Lily. Nigdy, będąc z nią, nie zgadzałem się rozmawiać o wojnie. Ona rozumiała to opacznie. Wzruszało ją to i wyzwało całą jej dobroć i delikatność. I ciepło. Opijałem się jej miłością jak pijawka. Bardzo zmysłowa pijawka. Lily stała się piękną kobietą.

— Któregoś dnia wybraliśmy się na spacer do lasów położonych na północ od Londynu — było to chyba koło Barnet, nie mogę sobie przypomnieć nazwy tej miejscowości, ale w owych czasach był tam piękny, pusty las jak na to, że było to tak blisko miasta.

— Leżeliśmy na ziemi i całowaliśmy się. Pewnie się uśmiechniesz. Że leżeliśmy i tylko się całowaliśmy. Obecnie wy, młodzi, rozporządzacie swymi ciałami, bawicie się nimi, z nami było inaczej. Ale pamiętaj, że płacicie za to pewną cenę: obca jest wam cała strefa doznań. Wymierają nie tylko gatunki zwierząt, wymierają także całe gatunki uczuć. I jeśli jesteś mądry, nie będziesz się litował nad przeszłością, że czegoś tara nie wiedziała i nie znała, lecz nad sobą, że to wiesz.

— Tego popołudnia Lily oświadczyła, że chce wyjść za mnie za męża. Nawet bez zgody rodziców, jeśli zajdzie potrzeba, abyśmy przed moim odjazdem mogli należeć do siebie ciałem, tak jak już należeliśmy, nie śmiem powiedzieć duchem, ale w każdym razie myślami. Marzyłem o tym, żeby z nią spać, żeby być z nią naprawdę razem. Ale mój potworny sekret oddzielał nas niczym miecz leżący między Tristanem i Izoldą. Zatem fałszywie, jakże fałszywie, musiałem wśród niewinnych kwiatów, drzew i ptactwa udawać szlachetność uczuć. Bo czyż pod innym pretekstem mogłem jej odmówić, niż oświadczając, że nie wolno mi przyjąć jej poświęcenia, skoro niemal nieuchronnie grozi mi śmierć. Starła się mnie przekonać. Płakała. Jakże pięknie wyglądało to moje wahanie, ta moja odmowa... Pod koniec popołudnia, kiedy mieliśmy wyjść z lasu, oświadczyła uroczyście, szczerze i z tak kompletnym oddaniem, że nie potrafię go opisać, bo takie obietnice należą już do tamtego nie istniejącego dziś świata: „Cokolwiek się stanie, jeśli nie poślubię ciebie, nie poślubię nikogo.”



Na chwilę przerwał opowieść jak człowiek, który znalazł się nagle nad brzegiem przepaści; może zresztą była to przemyślana pauza, ale sprawiła, że gwiazdy i noc wydawały się także czekać, jakby ta opowieść należała do biegu świata, jakby cały kosmos istniał dla owej historii, a nie ona dla kosmosu.

— Mój rzekomy dwutygodniowy urlop dobiegał końca. Nie miałem żadnego planu, a raczej miałem ich sto, co jest znacznie gorsze. Chwilami myślałem o powrocie do Francji. Ale wtedy znów zaczynałem widzieć te upiorne żółte twarze wyłaniające się z muru dymu... Widziałem wojnę i świat, i powody, dla których żyję na świecie. Usiłowałem zamknąć oczy, ale to mi się nie udawało.

— Nałożyłem mundur i pozwoliłem ojcu, matce i Lily odprowadzić się na dworzec Victoria. Sądziłem, iż udaję się do obozu pod Dover. Pociąg pełen był żołnierzy. Znów poczułem, jak unosi mnie prąd wojny, ta ogólnoeuropejska żądza śmierci. Kiedy pociąg zatrzymał się w jednym z miast Kentu, wysiadłem. Przez dwa czy trzy dni mieszkałem w hotelu dla komiwojażerów. Było to beznadziejne. I bezcelowe. Wojnie nie można było umknąć. Słyszało się i widziało tylko wojnę. W końcu wróciłem do Londynu, do jedynej osoby w Anglii, u której, jak sądziłem, mogłem szukać schronienia: do mojego dziadka, a właściwie stryjecznego dziadka. Wiedziałem, że jest Grekiem, że mnie kocha, bo jestem dzieckiem mojej matki, i wiedziałem, że dla Greków rodzina stoi na pierwszym miejscu. Wysłuchał mnie. Potem wstał i podszedł do mnie. Wiedziałem, co zamierza zrobić. Uderzył mnie w twarz, mocno, tak mocno, że jeszcze dziś czuję to uderzenie. I powiedział: „Żebyś wiedział, co o tobie myślę.”

— Zrozumiałem, że powiedział to, dając mi do zrozumienia: „oto co myślę, choć udzielę ci pomocy”. Był na mnie wściekły, obrzucił mnie wszystkimi wyzwiskami istniejącymi w języku greckim. Ale ukrył mnie. Może dlatego, iż oświadczyłem mu, że nawet gdybym wrócił do Francji, zostałbym tam rozstrzelany za dezercję. Następnego dnia poszedł do mojej matki. Sądzę, że jej pozostawił wybór. Czy chce spełnić swój obowiązek obywatelski, czy obowiązek matki. Matka przyszła, nie usłyszałem od niej słowa wymówki i było to dla mnie znacznie gorsze niż wszystkie przekleństwa o *Pappousa*. Wiedziałem, ile będzie musiała wycierpieć, gdy ojciec dowie się prawdy. To ona wraz z o *Pappousem* podjęli decyzję. Przesznuje się mnie z Anglii do rodziny w Argentynie. Na szczęście o *Pappous* miał i pieniądze, i wielu przyjaciół w żeglarskim świecie. Wszystko zostało przygotowane. Wyznaczono datę.

— Przez trzy tygodnie nie wychyliłem nosa z domu, pogrążony w takich mękach, strachu i obrzydzenia do samego siebie, że nieraz chciałem się już oddać w ręce władz. Najgorsza była myśl o Lily. Obiecałem, że będę do niej co dzień pisał. Rzecz prosta, nie pisałem. Nie dbałem, co pomyśli sobie o mnie reszta świata. Ale rozpaczliwie pragnąłem przekonać Lily, że to świat oszalał, a ja zachowałem resztkę zdrowego rozsądku. Miało to chyba coś wspólnego z inteligencją, na pewno nie ze stopniem wiedzy — chcę powiedzieć, że istnieją ludzie, którzy mają niezawodny instynkt moralny, nie muszą się oddawać długim rozważaniom, żeby wydać właściwy osąd, tak jak chłopci hinduscy potrafią niekiedy w ciągu paru sekund dokonać matematycznych obliczeń. Do takich ludzi należała Lily. A ja gorąco pożądałem jej aprobaty.

— Któregoś wieczoru nie mogłem dłużej wytrzymać. Wymknąłem się z mojej kryjówki i pojechałem do St. John's Wood. Wiedziałem, że tego dnia Lily uczęszcza do pobliskiej salki parafialnej na cotygodniowe zebrania patriotyczne koła kobiet poświęcane robótkom. Czekałem na uliczce, którą powinna przechodzić. Był ciepły majowy wieczór. Miałem szczęście. Szła sama. Wysunąłem się, z bramy, w której czekałem, i zastąpiłem jej drogę. Zaskoczona zbladła. Od razu zobaczyła, że musiało się stać coś strasznego, mówił o tym mój wyraz twarzy, moje cywilne ubranie. Na jej widok oszołomiła mnie miłość i uciekło mi z głowy przygotowane przemówienie. Nie pamiętam, co powiedziałem. Pamiętam tylko, że w zmierzchającym świetle dnia poszliśmy w stronę Regent's Parku, bo oboje szukaliśmy ciemności i odosobnienia. Lily nie dyskutowała ze mną, w ogóle nie chciała nic powiedzieć i przez dłuższy czas nie chciała nawet na mnie spojrzeć. Doszliśmy nad ponury kanał, który przecina północną część parku. Usiedliśmy. Lily zaczęła płakać. Nie pozwoliła się pocieszać. Oszukałem ją. Tego nie mogła wybaczyć. Nie dezercji. Ale oszustwa. Przez dłuższy czas nie patrzyła na mnie, patrzyła na czarny kanał. Potem przerwała potok moich słów, kładąc mi na ramieniu rękę. Wreszcie objęła mnie, ale ciągle milczała. A ja poczułem się tak, jakby we mnie skupiło się całe europejskie zło i znalazło w ramionach tego, co dobre.

— Ale nadal nie rozumieliśmy się. Można, jest to nawet normalne, czuć, że ma się rację wobec historii, a nie ma wobec tych, których się kocha. Po paru minutach Lily zaczęła mówić i okazało się, że nie dotarło do niej nic z tego, co powiedziałem o wojnie. Że nie zamierzała, tak jak o tym marzyłem, stać się aniołem wybaczenia, widziała się w roli anioła zbawienia. Błagała mnie, abym wrócił na front. Uważała, że

jeśli nie wrócę, skażę się na duchową śmierć. Wielokrotnie powtarzała, że muszę „zmartwychwstać”. A ja bez przerwy pytałem, co będzie z nami. I wreszcie oświadczyła, a był to bezapelacyjny wyrok, że ceną, jaką muszę zapłacić za jej miłość, będzie powrót na front — że muszę to zrobić nie dla niej, tylko dla samego siebie. Żeby siebie odnaleźć. A jej miłość jest dalej rzeczywista, taka jak wtedy w lecie: cokolwiek się zdarzy nigdy nie wyjdzie za mąż za nikogo innego.

— W końcu zamilkliśmy. Musisz to zrozumieć. Miłość dwojga ludzi, będąc jedną z największych zagadek życia, w najmniejszym stopniu nie wpływa na ich utożsamienie. Znajdowaliśmy się na przeciwległych biegunach. Lily reprezentowała ludzkość w okowach obowiązku, niezdolną do wyboru, zdaną na łaskę ideałów wyznawanych przez społeczeństwo. Ludzkość ukrzyżowaną i zdążającą w stronę krzyża. A ja byłem wolny, byłem Piotrem, który trzykrotnie wyparł się Chrystusa, aby za wszelką cenę przeżyć. Jeszcze dziś widzę jej twarz. Twarz wpatrzoną w ciemność, twarz usiłującą zobaczyć tamten świat. Jakby zamknięto nas w sali tortur. Zakochani przykuci do dwóch przeciwległych ścian, przez całą wieczność mieliśmy na siebie patrzeć i przez całą wieczność nie mogliśmy siebie dotknąć.

— Oczywiście, jak to mężczyzna, usiłowałem uzyskać od niej cień nadziei. Że na mnie zaczeka, że nie powinna sądzić mnie zbyt pochopnie... zwykłe banały. Umilkłem pod wpływem jej wzroku. Nigdy nie zapomnę tego spojrzenia, było w nim coś z nienawiści, a nienawiść na jej twarzy była czymś przeciwnym naturze, jakby Najświętsza Paniienka nagle splunęła.

— Odprowadziłem ją milcząc. Pożegnaliśmy się pod uliczną latarnią. Obok pełnego bzów ogrodu. Nie dotknęliśmy się. Nie powiedzieliśmy ani słowa. Staliśmy twarzą w twarz, dwie młode, nagle postarzałe twarze. Była to jedna z tych chwil, które są samym bólem, kiedy wszystko, co człowieka otacza, przedmioty, dźwięki, przestaje istnieć. Dwie blade twarze. Zapach bzu. I bezdenna ciemność.

Umilkł. Jego głos nie zdradzał żadnej emocji, a ja pomyślałem o Alison, o jej ostatnim spojrzeniu.

— I to było wszystko. W cztery dni później znalazłem się pod pokładem stojącego w porcie w Liverpoolu greckiego frachtowca i spędziłem tam w skurczonej pozycji bardzo niemiłe dwanaście godzin.

Znów umilkł.

— Czy ją pan jeszcze kiedyś zobaczył?

Nad naszymi głowami pisnął nietoperz.

– Umarła – powiedział.

Ale ja wypytywałem go dalej.

– Kiedy? Wkrótce?

– Dziewiętnastego lutego 1916 roku. Nad ranem.

Próbowałem spojrzeć mu w twarz, ale było zbyt ciemno.

– Epidemia tyfusu. Lily pracowała w szpitalu.

– Biedaczka.

– Wszystko to już przeszłość.

– Sprawił pan, że wydaje się terazniejszością. — Pochylił głowę. — Czuję zapach bzów.

– Sentymalizm starca. Proszę mi wybaczyć.

Wpatrywał się w noc. Nietoperz leciał tak nisko, że przez chwilę, gdy znajdował się na tle Mlecznej Drogi, mogłem mu się dokładnie przyjrzeć.

– To dlatego się pan nie ożenił?

– Umarli żyją.

Czerń drzew. Nadśluchiwałem odgłosu kroków. Nie. Chwila zawieszenia.

– Jak to żyją?

Znów to milczenie, jakby uważał, że odpowie ono na moje pytanie lepiej niż on sam, ale kiedy już straciłem nadzieję, że się odezwie, oznajmił:

– Dzięki miłości.

Powiedział to tak, jakby mówił nie tyle do mnie, co do otaczającego nas świata, tak jakby to ona stała tam w cieniu koło drzew, jakby ta opowieść o przeszłości przypomniawszy mu coś ważnego, co nagle na świeżo zobaczył. Poczulem wzruszenie i tym razem pozwoliłem ciszy trwać.

W minutę później Conchis zwrócił się w moją stronę.

– Chętnie bym cię tu znów za tydzień zobaczył. Jeżeli obowiązki ci na to pozwolą.

– Skoro mnie pan zaprasza, nic nie będzie w stanie mi przeszkodzić.

– Dobrze. Bardzo się cieszę. — Ale zabrzmiało to chłodno i zaledwie uprzejmie.

Znów wzięła górę jego autorytatywność. Wstał: — Czas do łóżka. Zrobiło się późno.

Poszedłem za nim do mojej sypialenki. Nachylił się, by zapalić lampę.

— Nie życzyłbym sobie, aby w szkole zaczęły się dyskusje na temat mojego życia.

— Oczywiście.

Wyprostował się i spojrzał mi w twarz.

— Tak. Zatem zobaczę cię w przyszłą sobotę?

Uśmiechnąłem się. — Przecież świetnie pan wie, jaką mam na to ochotę. Nigdy nie zapomnę tych dwóch dni. Choć dalej nie wiem, czemu zostałem wybrany. Czemu należę do wybrańców.

— Może powodem jest właśnie ta twoja ignorancja.

— Chciałbym tylko, żeby pan nie wątpił, iż uważam to za wielki zaszczyt.

Zajrzał mi w oczy, potem zrobił coś dziwnego: tak jak przedtem w łodzi wyciągnął rękę i po ojcowsku dotknął mego ramienia. Wyglądało na to, że przeszedłem zwycięsko jakąś próbę.

— Dobrze. Maria przygotowuje jutro śniadanie. Do zobaczenia za tydzień.

I zniknął. Poszedłem do łazienki, wróciłem, zamknąłem drzwi, zgasilem lampę. Ale nie rozebrałem się. Stałem przy oknie i czekałem.

## 25

Przez co najmniej dwadzieścia minut panowała cisza. Potem Conchis poszedł do łazienki i wrócił do swojej sypialni. Znow cisza. Trwała tak długo, że wreszcie się rozebrałem i poddałem ogarniającej mnie senności. Ale cisza przysła. Drzwi od sypialni Conchisa otworzyły się i zamknęły, cichutko, ale nie było w tym nic ukradkowego, i usłyszałem, jak Conchis schodzi po schodach. Minęła minuta, dwie, wstałem.

Znow muzyka, ale tym razem były to dochodzące z dołu dźwięki klawesynu. Przez chwilę czułem się rozczarowany. Wszystko wskazywało na to, że Conchis nie mogąc zasnąć, zszedł, aby sobie pograć. Nagle jednak usłyszałem dźwięk, który sprawił, że podbiegłem do drzwi. Otworzyłem je ostrożnie. Drzwi na dole musiały być także otwarte, bo dobiegał mnie brzęk klawesynu. Ale jeszcze wyraźniej usłyszałem dźwięk, od którego dreszcz przebiegł mi po plecach, natrętny, cienki pisk rekordera. Nie był to gramofon, ktoś naprawdę grał na rekorderze. Muzyka umilkła i znow rozpoczęła się w szybszym rytmie na sześć ósmych. Klawesynowi uroczyście

towarzyszył rekorder, nagle fałsz, potem drugi, choć ten, kto grał, był wyraźnie dobrze przeszkolony: tryle brzmiały tak, jakby wykonywał je zawodowy muzyk.

Wyszedłem nago na schody i wyjrzałem przez poręcz. Na podłogę przed drzwiami sali muzycznej padał słaby odbłask światła. Conchis chciał pewnie, żebym słuchał, ale nie schodził. Było to jednak ponad moje siły. Wciągnąłem sweter i spodnie, i boso, skradając się, zszedłem po schodach. Rekorder umilkł. Usłyszałem szelest obracanej kartki – aha, muzyczny pulpit. Klawesyn rozpoczął nowy pasaż, szeleszczący jak deszcz harmonią tajemniczych dźwięków wypełnił cały dom. Potem, z powolnością adagia włączył się rekorder, na chwilę wypadł z tonacji, zaraz się poprawił. Na palcach podszedłem do otwartych drzwi sali muzycznej, coś mnie jednak powstrzymało, czułem się jak dziecko, które położono spać, a ono zaczyna dokazywać. Drzwi były szeroko otwarte, widziałem klawesyn, ale jedna z półek z książkami zasłaniała mi dalszy widok.

Muzyka umilkła. Zaszurało odsuwane krzesło, podskoczyło mi serce, usłyszałem, że Conchis coś po cichu mówi. Przywarłem do ściany. Rozległ się szmer. Ktoś stanął w drzwiach.

Była to szczupła dziewczyna mojego wzrostu, mogła mieć niewiele więcej niż dwadzieścia lat. W jednej ręce trzymała rekorder, w drugiej małą purpurową okrągłą szczoteczkę. Miała na sobie sukienkę bez rękawów w biało-niebieskie paski, ozdobioną dużym kołnierzem. Nad łokciem szeroka bransoleta, a zwężająca się ku dołowi suknia sięgała kostek. Zachwycająco piękna twarz, całkowicie pozbawiona opalenizny, nie umalowana: wszystko w tej dziewczynie, i jej sylwetka, i prosty sposób trzymania się, pochodziło sprzed czterdziestu lat.

Wiedziałem, że mam tą dziewczynę uważać za Lily. Niewątpliwie była to ta sama twarz co na fotografiach, twarz ze zdjęcia stojącego na gablotce z kuriozami. Twarz z Botticellego, wielkie szarofiołkowe oczy. Szczególnie te oczy były piękne, ogromne, lekko zwężone, migdałowe, oczy sarny dodające tajemniczości twarzy o rysach tak regularnych, że niemal doskonałych.

Od razu mnie zobaczyła. Stałem jak przykuty do kamiennej posadzki. Przez chwilę wyglądała na równie zdziwioną jak ja. Potem obejrzała się ukradkiem za siebie, pewnie na Conchisa siedzącego przy klawesynie, i znów spojrzała na mnie. Podniosła do ust szczoteczkę i potrząsnęła nią, zabraniając mi się ruszyć i odezwać; potem uśmiechnęła się. Był to rodzajowy obrazek pod tytułem „Sekret”. Albo „Przestroga”. Tylko uśmiech był dziwny; jakby ten sekret dotyczył jedynie nas dwojga, nie miał nic

wspólnego z tamtym starym człowiekiem, tajemniczy i zarazem demaskujący tajemnicę, jakby udawała coś, a równocześnie przyznawała, że udaje. Jeszcze raz ukradkiem obejrzała się na Conchisa, potem nachyliła się w moją stronę i leciutko dotknęła mnie szczoteczką, jakby mówiąc „zmykaj”!

Wszystko to razem trwało najwyżej pięć sekund. Drzwi zamknęły się, zostałem w ciemnościach, czując zapach sandałowego drzewa. Sądzę, że mniej bym się zdziwił, gdybym zobaczył ducha, gdyby dziewczyna była przezroczystą albo pozbawioną głowy zjawą. A tymczasem ona dała mi jasno do zrozumienia, że wszystko to jest maskaradą, ale Conchis nie powinien nic o tym wiedzieć, że przebrała się w kostium dla niego, nie dla mnie.

Szybko przeszedłem przez hol do frontowych drzwi i odsunąłem zasuwę. Cichutko wysunąłem się pod kolumnadę. Zajrzałem przez jedno z wąskich ostrołukowych okien i zobaczyłem Conchisa. Znów zaczął grać. Poszukałem wzrokiem dziewczyny. Byłem pewien, że nikt nie mógł w tym czasie przejść przez wyżwirowany placyk. Ale, dziewczyny w sali nie było. Pomyślałem, że musiała wyjść pod kolumnadę z drugiej strony i ostrożnie wyjrzałem zza rogu. Nikogo. Tylko dźwięki muzyki. Stałem, nie wiedząc, co myśleć. Widać przebiegła z drugiej strony pod kolumnadą i obiegła dom. Schylając się pod oknami i przekradając się koło otwartych drzwi dotarłem na taras z warzywnym ogródkiem i obszedłem go dookoła. Byłem pewien, że tędy się wymknęła. Ale nic nie zobaczyłem, nic nie usłyszałem. Czekałem parę minut, Conchis przestał grać. Lampa zgasła. Wróciłem i usiadłem w ciemnościach na jednym ze stojących pod kolumnadą szezlongów. Panowała głęboka cisza. Tylko cykanie świerszczy jak krople wody uderzające o dno ogromnej studni. Rozmaite przypuszczenia przelatywały mi przez głowę. Ludzie, których widziałem, dźwięki, które słyszałem, a także ten ohydny smród, wszystko to było rzeczywiste, nie miało w sobie nic nadprzyrodzonego, nierealny wydawał się tylko brak umożliwiającej to maszynerii — żadnych ukrytych pokojów, żadnych skrytek — no, i brak motywów. A teraz nowego wymiaru przydała temu wszystkiemu sugestia, że „widziadła” Były przeznaczone nie tylko dla mnie, ale i dla Conchisa: to najbardziej zbijało mnie z tropu.

Siedziałem w ciemnościach z odrobiną nadziei, że ktoś, najlepiej „Lily”, pojawi się i udzieli mi wyjaśnień. Znów poczułem się jak dziecko, które weszło do pokoju i zorientowało się, że wszyscy obecni wiedzą o nim coś, czego ono samo nie wie. Czuję się także oszukany przez Conchisa tym jego rzekomym smutkiem. „Umarli żyją dzięki miłości”, a tu okazuje się, że także dzięki temu, iż ktoś odgrywa ich rolę.

Ale przede wszystkim czekałem na dziewczynę, która grała rolę Lily. Chciałem za wszelką cenę poznać tę osobę o inteligentnej, rozbawionej, oszałamiająco ślicznej pół-nocnoeuropejskiej buzi. I dowiedzieć się, co robi tu na Phraxos, skąd pochodzi, poznać rzeczywistość ukrytą za woalem tajemnicy.

Czekałem blisko godzinę, na próżno. Nikt się nie pojawił, niczego nie usłyszałem. Na koniec cichusieńko wróciłem do mojej sypialni. Kiedy o pół do szóstej Maria zapukała do drzwi, obudziłem się z uczuciem strasznego kaca.

Niemniej droga powrotna do szkoły sprawiła mi dużo radości. Chłodne powietrze, różowawe niebo, które najpierw się rozzłościło, a potem stało błękitne; uśpione jeszcze, szare i niematerialne morze; rozległe zbocza porośnięte milczącymi piniami. W jakimś sensie spacer ten przywrócił mi poczucie rzeczywistości. Wydarzenia weekendu zmalowały, mogłem odsunąć je na bok, jakby mi się to tylko śniło. Jednak w którymś momencie nawiedziło mnie dość dziwne uczucie, wywołane pewnie wczesną godziną, absolutną samotnością i niedawnymi wydarzeniami: czułem, fizycznie czułem, jak to jest być równocześnie kimś młodym i odwiecznym, czułem się jak Ulisses w drodze do Circe, jak Tezeusz udający się na Kretę, jak Edyp szukający swego przeznaczenia. Nie potrafię tego opisać. Uczucie to nie miało nic wspólnego z literaturą, składały się na nie podniecenie, egzaltacja, świadomość, że wszystko może się zdarzyć. Jakby w ciągu tych ostatnich trzech dni świat powstał na nowo i to wyłącznie dla mnie.

## 26

Nadszedł list. Przywiózł go niedzielny statek.

*Drogi Nicholas!*

*Myślałam, że umarłeś. Jestem znowu sama. Mniej lub bardziej. Długo namyślałam się, czy mam jeszcze ochotę cię zobaczyć. Bo mogłabym. Latam obecnie przez Ateny. Ale ciągle jeszcze boję się, że może naprawdę jest z ciebie prawdziwy łajdak i szaleństwem byłoby znów się wplątać w jakąś sprawę z tobą. Nie mogę cię zapomnieć, nawet kiedy jestem z chłopakami, którzy są bardziej fajni, niż ty kiedykolwiek będziesz. Nicko, jestem wstawiona, zresztą pewnie i tak podrę ten list.*



*Cóż, może jeśli uda mi się wyrwać parę dni w Atenach, wyślę telegram. Nie będę więcej pisać, bo straciłbyś ochotę zobaczenia się ze mną. Zresztą pewnie i tak już jej nie masz. Kiedy dostałam twój list, od razu wiedziałam, że napisałeś go, bo się tam strasznie nudzisz. Czy to nie okropne, że wciąż jeszcze, by napisać do Ciebie muszę się przedtem upić. Pada deszcz, jest tak cholernie zimno, że musiałam rozpaść ogień. Jest ciemno, szaro, jest cholernie źle. Tapeta jest fioletowa w zielone śliwki, może zresztą pisze się fioletowa. Piekło. Wyrzygałbyś się.*

*Pisz na adres Ann.*

Jej list przyszedł w możliwie najgorszym momencie. Uświadomił mi, że nie mam ochoty dzielić z nikim Bourani. Kiedy je pierwszy raz zobaczyłem, kiedy poznałem tam Conchisa, a nawet jeszcze i po ukazaniu się Foulkesa, marzyłem, by o tym porozmawiać — i to z Alison. Teraz cieszyłem się, że tak się nie stało, a także podświadomie cieszyłem się, że pisząc do niej nie straciłem głowy.

Nie można się zakochać w pięć sekund, ale pięć sekund może wystarczyć, żeby człowiek zaczął marzyć o zakochaniu się, szczególnie jeśli żyje w społeczności tak nielitościwie męskiej jak szkoła im. lorda Byrona. Im dłużej myślałem o tej ujrzanej o północy twarzy, tym bardziej wydawała mi się czarująca i rasowa, dopatrywałem się w niej delikatności, wykwintu, mądrości, a wszystko to przyciągało mnie równie nieodparcie jak latarenki rybaków wabią ryby w bezksiężycowe noce. Powtarzałem sobie, że jeśli Conchis jest na tyle bogaty, by posiadać Modiglianich i Bonnardów, stać go także na kochankę w najlepszym gatunku. Byłbym naiwny sądząc, że z dziewczyną nie łączy go seks, ale równocześnie w jej spojrzeniu na niego było raczej coś z uczuć córki, raczej tkliwa opiekuńczość niż erotyzm.

Tego poniedziałku z dziesięć razy przeczytałem list Alison, zastanawiając się, jak postąpić. Wiedziałem, że muszę odpowiedzieć, ale doszedłem do wniosku, że im dłużej będę zwlekał, tym lepiej. Aby mnie jego widok nie dręczył, wepchnąłem go do najniższej szuflady biurka i położyłem się, rozmyślając o Bourani, oddając się fantastycznym urojeniom na wpół romantycznym, na wpół erotycznym, których bohaterką była owa tajemnicza dziewczyna, i mimo zmęczenia wybiłem się całkowicie ze snu. Syfilis, który wydawał mi się czymś w rodzaju przestępstwa, całkowicie wypędził mi z głowy myśl o seksie — teraz okazała się, że jestem niewinny — pół godziny nad podręcznikiem pożyczonym mi przez Conchisa całkowicie mnie o tym

przekonało — i znów odczułem pożądanie. W erotycznych marzeniach przerzuciłem się na Alison, zacząłem sobie wyobrażać, jak będziemy się kochać w czasie weekendu w którymś z ateńskich hotelików, powtarzałem sobie, że wróbel w ręku lepszy jest od gołębia na dachu, trochę przyzwoitszą pobudką była myśl o jej osamotnieniu, o tym jej wiecznym osamotnieniu, które tak źle znosiła. Jedno tylko zdanie podobało mi się w jej niezbyt wykwintnym, niedelikatnym liście; było to zdanie ostatnie „pisz na adres Ann”. Zdanie to przeczyło urazie, która przebijiała z całej epistoły.

Wylazłem z łóżka i w spodniach od pizamy usiadłem przy biurku. Napisałem list, długi list i odczytawszy go, natychmiast podarłem. Druga próba udała się lepiej, list był krótszy i zachowywał właściwą, według mnie, równowagę między pełną ubolewania praktycznością a przywiązaniem i pociąganiem ku niej, które sprawiały, że bylebym miał okazję, to zaciągnę ją do łóżka.

Pisałem, że podczas większości weekendów jestem uwiązany w szkole, ale że za dwa tygodnie szkoła ma krótką międzysemestralną przerwę i może — choć nie jestem tego jeszcze pewny — uda mi się przyjechać do Aten. Ale jeśli mi się to uda, to fajnie będzie się z nią zobaczyć.

Możliwie najszybciej postarałem się znaleźć z Mélim sam na sam. Zdecydowałem, że potrzebny mi jest w szkole ktoś zaufany. Jeżeli nie miało się dyżuru, nie musiało się w ciągu weekendu jadać wraz z uczniami, a jedynym nauczycielem, który mógłby zauważyć moją nieobecność, był Méli: przypadek zrzucił jednak, że był akurat w Atenach. W poniedziałek po lunchu usiedliśmy w jego pokoju, a raczej on zasiadł ciężko przy biurku i, zgodnie ze swym przewiskiem, zaczął wyjadać ze słoika miód z Hymetu i opowiadać mi o dupach ateńskich, a ja położyłem się na łóżku i nieuważnie go słuchałem.

— A ty, Nicholas, spędziłeś miły weekend?

— Poznałem pana Conchisa.

— Poznałeś... nie, żartujesz.

— Ale nikomu nie mów.

Podniósł rękę na znak protestu: — Jasne, ale w jaki sposób... Nie, nie mogę w to uwierzyć.

Poczęstowałem go mocno ocenioną wersją mojej pierwszej wizyty sprzed tygodnia, starając się, żeby i Bourani, i Conchis wypadli jak najnudniej...

— Wygląda na to, że jest on tak głupi, jak myślałem. Nie było żadnych pańienek?

— Śladu. Ani nawet chłopaczków.

— Ani kozy?

Cisnąłem w niego pudełkiem zapalek. Trochę z wrodzonych skłonności, trochę dla wygłupu uważał, że świat może dostarczać tylko dwóch rozrywek: żarcia i kopulacji. Jego żabie wargi wydeły się w uśmiechu i znów sięgnął do słoika z miodem.

— Zaprosił mnie znów za tydzień. Prawdę mówiąc, Méli, zastanawiałem się właśnie, czy zgodziłbyś się zastąpić mnie w niedzielę między drugą a szóstą, jeśli dwa razy w tym tygodniu dyżurowałbym za ciebie przy odrabianiu lekcji?

Dyżur niedzielny był bardzo nieuciąźliwy. Wystarczyło nie opuszczać szkoły i parę razy przejść się po całym terenie.

— Hm. Tak. Zobaczę. — Z rozkoszą ssał łyżkę.

— I poradź mi, co powiedzieć, jeśli mnie ktoś spyta, dokąd jadę. Nie chcą, żeby wiedzieli o Conchisie.

Zastanowił się chwilę, machnął łyżką i oznajmił: — Powiedz, że się wybierasz na Hydrę.

Na Hydrze zatrzymywał się statek płynący do Aten, ale często kursowały tam także żaglowce. Znajdowało się tam coś w rodzaju maleńkiej kolonii artystów, było to właśnie takie miejsce, do którego mógłbym się wybrać.

— W porządku. Nie powiesz nikomu?

Przeżegnał się: — Będę milczał jak... jak co?

— Jak grób, Méli. Jak grób, w którym już powinieneś leżeć.

W ciągu tego tygodnia wielokrotnie zaglądałem do wsi, żeby sprawdzić, czy nie zobaczę tam jakichś obcych twarzy. Ani śladu trzech poszukiwanych przeze mnie osób, choć istotnie spotkałem kilku nieznajomych: kilka pań z małymi dziećmi, wysłanych przez mężów z Aten na wilegiaturę i dwie starsze pary, wysuszeni *rentiers*, którzy drżącym kroczkiem przemierzali tam i z powrotem ponury hol hotelu „Philadelphia”.

Któregoś wieczoru ogarnął mnie niepokój i wybrałem się do portu. Znalazłem się tam koło jedenastej wieczorem i placyk, na którym stała szerniała stara armata z 1821 roku i rosło kilka tulipanowców, był już niemal pusty, Wypiwszy w *kapheneion*

kawę po turecku i kieliszek koniaku, wyruszyłem z powrotem. Trochę za hotelem, o paręset jardów od betonowej „promenady”, spotkałem wysokiego starca, który stał na środku drogi i schylał się, wyraźnie czegoś szukając. Kiedy zbliżyłem się, podniósł głowę — był naprawdę zadziwiająco wysoki i jak na Phraxos uderzająco dobrze ubrany. Musiał to być jeden z letnich gości. Miał na sobie jasnorudawy garnitur, w butonierce białą gardenię, na głowie staroświecką białą panamę z czarną wstążką, jego twarz zdobiła mała kozia bródka. Trzymał laskę z gałką z morskiej pianki i wyglądał na strapionego, co nie ujmowało mu naturalnej powagi.

Zapytałem po grecku, czy coś zgubił.

— *Ah, pardon... est-ce que vous parlez français, monsieur?*

Odpowiedziałem, że tak, mówię trochę po francusku. Okazało się, że zgubił skuwkę laski. Usłyszał, jak spadła i gdzieś się potoczyła. Zapaliłem kolejno kilka zapalek, zacząłem się rozglądać i po chwili znalazłem małą mosiężną skuwkę.

— *Ah, très bien. Mille mercis, monsieur...*

Wyjął portfel i przez chwilę obawiałem się, że gotów mi dać napiwek. Jego twarz była tak ponura jak twarze z obrazów El Greco; nieznośnie znudzona, ślady dziesiątków lat nudy, pomyślałem sobie, że nie tylko musiał się nudzić sam, ale także zanudzać innych. Nie dał mi pieniędzy, tylko troskliwie umieścił skuwkę w jednej z przegródek portfela, a potem uprzejmie zapytał mnie, kim jestem, i uroczyście pogratulował, że dobrze mówię po francusku. Wymieniliśmy parę zdań. Przyjechał tu tylko na dzień, dwa. Nie jest Francuzem, oznajmił, jest Belgiem. Uważał, że Phraxos jest *pittoresque, mais moins belle que Délos*.

Po paru chwilach banalnej pogawędki i wymianie ukłonów rozstaliśmy się. Wyraził nadzieję, że spotkamy się jeszcze w ciągu dwóch dni jego pobytu i porozmawiamy dłużej. Postarałem się, żeby to nie nastąpiło.

Wreszcie nadeszła sobota. Żeby mieć czas w niedzielę, odpracowałem w ciągu tygodnia dwa dodatkowe popołudnia i miałem już całkowicie dość szkoły. Ledwie skończyły się poranne lekcje, przełknąłem pospiesznie lunch i wyruszyłem z torbą w stronę wsi. Tak, oznajmiłem staremu portierowi przy bramie — najpewniejszy sposób, żeby wszyscy się dowiedzieli — wyjeżdżam na weekend. Na Hydrę. Kiedy pewien już byłem, że ze szkoły nie można mnie zobaczyć, skręciłem w opłotki i okrążywszy szkołę

znalazłem się na ścieżce prowadzącej do Bourani. Ale nie poszedłem tam prostą drogą.

Przez cały tydzień głowiłem się nad Conchisem; bez końca i bez skutku. Wydawało mi się, że w jego „grze” rozróżniam dwa elementy: dydaktyczny i estetyczny. Ale dalej nie wiedziałem, czy te jego starannie zainscenizowane fantazje kryją w sobie mądrość czy szaleństwo. Podejrzywałem go o to ostatnie. Zdrowy rozsądek mówił mi, że musi to być jakaś mania.

Rozmyślałem także coraz częściej o tych chatkach nad Agia Varvara, zatoczką na wschodzie Bourani. Była tam duża połać kamyków nadmorskich, a na jej końcu rosły rzędem *athanatos*, czyli agawy, których dziwaczne, wysokie na dwanaście stóp kandelabry kwiatów spoglądały na morze. Cichutko przemknąłem między drzewami i położyłem się na porośniętym tymiankiem zboczu nad zatoką, wypatrując wśród chat jakichś oznak niezwykłego życia. Jediną osobą, którą zobaczyłem, była kobieta w czerni. Nie, nie było to miejsce, gdzie mogliby się ukrywać pomocnicy Conchisa. Tu wszystko stało otworem, nic nie obawiało się ludzkiego wzroku. Po chwili krętą ścieżką wszedłem między chaty. Stojące w progu dziecko dojrzało mnie wśród oliwek, zawołało coś i pojawili się wszyscy mieszkańcy tej maleńkiej osady — cztery kobiety i pół tuzina dzieci, wszyscy „tutejsi”. Ze zwykłą gościnnością greckich wieśniaków poczęstowano mnie spodeczkiem konfitur z pigwy i kieliszkiem raki, a także szklanką wody, o którą poprosiłem. Mężczyźni wypłynęli na połów. Oznajmiłem, że idę do o *kyrios* Conchisa i zdziwienie ich było na pewno nieudawane. Czy Conchis nigdy tu nie zachodzi? Kobiety nachyliły się ku sobie, jakby sama myśl o tym była czymś niesłychanym. Jeszcze raz musiałem wysłuchać opowieści o egzekucji, to znaczy najstarsza kobieta zaczęła wyrzucać z siebie mnóstwo niezrozumiałych dla mnie wyrazów, wśród których powtarzało się słowo „wójt” i słowo „Niemcy”, a dzieci zaczęły udawać, że strzelają.

A Maria? Widują chyba Marię? Nie, nigdy. Ona nie jest stąd, zauważyła jedna z kobiet. Słyszały chyba w nocy muzykę, pieśni? Spojrzały na siebie. Jakie pieśni? Zbyttno mnie to nie zdziwiło. Prawdopodobnie kładą się spać razem ze słońcem, a rano wraz ze słońcem wstają.

— A pan — spytała babka — pan jest jego krewnym? — Uważali go wyraźnie za cudzoziemca.

Odparłem, że jestem przyjacielem. On tu nie ma przyjaciół, oświadczyła starsuszka i z odcieniem wrogości w głosie dodała, że źli ludzie przynoszą nieszczęście.

Powiedziałem, że Conchis ma kilku gości — dziewczynę o jasnych włosach, wysokiego mężczyznę i dziewczynkę. Pewnie ich widziały? Nie. Tylko babka była raz w Bourani, i to na długo przed wojną. A potem one zaczęły mi zadawać pytania, były to zawsze te same, naiwne, ale nie pozbawione wdzięku pytania o to, kim jestem, jak wygląda Londyn, jak wygląda Anglia.

Wreszcie udało mi się uwolnić i obdarowany pękiem bazylii poszedłem wzdłuż skał, aż znalazłem miejsce, gdzie dało się wdrapać na grzbiet, którym doszedłem do Bourani. Troje bosych dzieci odprowadziło mnie kawałek. Staaliśmy na zarośniętym piniami grzbiecie i zobaczyliśmy w dole płaski dach. Dzieci zatrzymały się, jakby ten widok oznaczał, że nie wolno im iść dalej. Po chwili odwróciłem się i zobaczyłem, że wciąż jeszcze stoją, patrząc na mnie smutnymi oczkami. Pokiwałem im ręką, ale nie odpowiedziały.

## 27

Poszedłem za Conchisem do sali muzycznej, usiadłem i zacząłem słuchać, jak gra Suitę Angielską d-moll. Przez cały podwieczorek oczekiwałem na jakiś znak świadczący o tym, że wie o moim spotkaniu z dziewczyną — musiał o tym wiedzieć, po to przecież urządził ten nocny koncert, by zaanonsować mi jej obecność. Ja jednak zamierzałem zachować się tak samo jak poprzednio i nic nie mówić, póki on nie poruszy tego tematu. Ale podczas całego podwieczorku nie padła żadna aluzja.

Nie byłem znawcą, ale wydawało mi się, że Conchis gra tak, jakby nie oddzielała go od muzyki żadna bariera: nie próbował „interpretować”, podobać się słuchaczom, zadowalać własnej próżności. Wyobrażałem sobie, że tak grałby sam Bach — wolniej niż większość współczesnych pianistów i klawesynistów, jednak nie gubiąc rytmu ani muzycznego kształtu. Siedziałem w chłodnej, ciemnej sali i obserwowałem lekko schyloną łysą głowę za czarnym błyszczącym klawesynem. Wsłuchiwałem się w porywającą prostotę Bacha. Po raz pierwszy słyszałem, jak Conchis gra wielką muzykę i czułem się poruszony tak jak przedtem widokiem Bonnardów, chociaż był to inny rodzaj wzruszenia. Zdałem sobie nagle sprawę, że za nic na świecie nie chciałbym w tym momencie być gdzie indziej, że to, co w tej chwili czułem, wynagradzało mnie za wszystkie przejścia, usprawiedliwiało je, bo to dzięki nim znajdowałem się tutaj. Conchis opowiadał mi, jak znalazłszy się po raz pierwszy

w Bourani, zobaczył swoją przyszłość, zrozumiał, że znalazł się w zwrotnym punkcie życia. Teraz doświadczyłem tego na własnej skórze; zrozumiałem, że muszę samego siebie akceptować, muszę pogodzić się z tym, iż jestem tym właśnie ciałem i umysłem, pogodzić się z moimi wadami i zaletami, przyjąć do wiadomości brak wyboru. Było to równocześnie uświadomieniem sobie własnych możliwości, ale w nowym, zupełnie innym sensie tego słowa; przedtem łudziłem się, myślałem o zaspokojeniu ambicji. Tak, sfuszerowałem moje życie, ale i moje samolubstwo, i wszystkie fałszywe posunięcia, i zdrady mogły stać się elementem konstruktywnym, nie źródłem chaosu właśnie dlatego, że nie miałem innego wyboru. Nie był to w żadnym razie moment jakiegś moralnej odnowy czy czegoś w tym rodzaju. Zaakceptowanie siebie takim, jakim się jest, nie oznacza wcale, że jest się takim, jakim się być powinno; niemniej czułem się tak, jakbym zrobił duży krok naprzód — i w górę.

Conchis przestał grać i obserwował mnie.

— Sprawił pan, że słowa wydają się zbędne.

— To nie ja, Bach.

— I Bach. I pan.

Skrzywił się, ale widziałem, że nie jest niezadowolony, choć próbował to ukryć zabierając mnie na wieczorne podlewanie warzywnego ogródka.

W godzinę później znów znalazłem się w swojej sypialence. Zobaczyłem, że na nocnym stoliku leżą nowe książki. Cieniutka, oprawna, francuska broszura anonimowego autora, wydana prywatnym sumptem w Paryżu w 1932 roku, *De la communication intermondiale*. Album: *Przyroda Skandynawii*. Jak przed tygodniem *Piękno natury*, tak teraz *Przyroda* okazała się wyłącznie kobieca — rozliczne kobiety o nordyckim wyglądzie leżały, stały, biegały, obejmowały się w jodłowych lasach lub nad fiordami. Miało to lesbijski posmaczek, który niezbyt mi się podobał, może dlatego, że zaczął mnie już drażnić ten aspekt skomplikowanej osobowości Conchisa: jego rozsmakowanie w „kuriozalnych” dziełach sztuki i literatury. Nie byłem purytaninem, a w każdym razie powtarzałem sobie, że nim nie jestem. Byłem zbyt młody, aby wiedzieć, że skoro muszę to sobie powtarzać, to widocznie tak nie jest, i że brak zahamowań we własnym życiu seksualnym nie oznacza, że się człowiek nie gorszy. Byłem Anglikiem, *ergo* byłem purytaninem.

Dwukrotnie obejrzałem zdjęcia, dziwnie nie pasowały do dźwięczącego wciąż w uszach Bacha.

Znalazłem jeszcze jedną francuską książkę, kosztowne wydanie w ograniczonym nakładzie: *Le Masque Français au Dixhuitième Siecle*. W książce tkwiła biała zakładka. Przypomniawszy sobie leżącą na plaży antologię, zajrzałem w oznaczone miejsce i zobaczyłem zakreślony akapit.

*Aux visiteurs qui pénétraient dans l'enceinte des murs altièrs de Saint-Martin s'offrait la vue délectable des bergers et bergères qui, sur les verts gazons et parmi les bosquets, dansaient et chantaient entourés de leurs blancs troupeaux. Ils ne portaient pas toujours les costumes de l'époque. Quelquefois ils étaient vêtus à la romaine ou à la grecque, et ainsi réalisait-on des odes de Théocrite, des bucoliques de Virgile. On parlait même d'évocations plus scandaleuses, de charmantes nymphes qui les nuits d'été fuyaient au clair de lune, poursuivies par d'étranges silhouettes, moitié homme, moitié chèvre.\**

Nareszcie rozjaśniło mi się w głowie. Wszystko, co zdarzyło się w Bourani, miało charakter prywatnej maskarady i akapit ten był delikatnym napomnieniem, żebym nie pchał nosa za kulisy, bo to i niegrzeczne, i może pomniejszyć mą przyjemność. Zawstydyłem się pytań, które zadawałem w Agia Varvara.

Umyłem się i, szanując chęć Conchisa do nadania wieczorom pewnej ceremonialności, włożyłem białą koszulę i letni garnitur. Kiedy wyszedłem z pokoju, żeby zejść na dół, drzwi od jego sypialni stały otworem. Zawołał mnie.

— Dziś tu napijemy się *ouzo*.

Siedział przy biurku czytając napisany przed chwilą list. Potem adresował kopertę, a ja stałem za nim patrząc na Bonnardy. Drzwi od pokoiku za jego sypialnią były uchylone. Zobaczyłem ubrania, szafę. Była to zatem po prostu ubieralnia. Ze stolika za tymi uchylonymi drzwiami patrzyła na mnie fotografia Lily.

Wyszliśmy na taras. Stały tam dwa stoliki, na jednym zobaczyłem *ouzo* i szklanki, drugi był nakryty do kolacji. Rzuciły mi się w oczy trzy krzesła i Conchis od razu to zauważył.

— Po kolacji będziemy mieli gości.

---

\* Gościom, którzy trafili za wysokie mury Saint-Martin ukazywał się rozkoszny widok; na zielonych murawach, wśród kęp krzewów pasły się białe stada owieczek, a wokoło tańczyli i śpiewali pasterze i pasterki. Nie zawsze mieli na sobie osiemnastowieczne stroje. Często ubrani byli w szaty greckie lub rzymskie, aby ożywić ody Teokryta i bukoliki Wergiliusza. Mówiono nawet, że zdarzały się mniej niewinne maskarady — w letnie księżycowe noce czarujące nimfy uciekały przed dziwnymi postaciami, których kształt do połowy przypominał człowieka, a niżej kozła...



— Ze wsi? — Ale uśmiechałem się i on kręcąc przecząco głową odpowiedział mi uśmiechem. Był cudowny wieczór, ta typowa dla Grecji nieskończoność nieba roztopiona w zmierzchającym świetle. Góry były szare jak perski kot, a niebo wyglądało jak ogromny nieoszlifowany żółty diament. Przypomniałem sobie podobny zachód słońca we wsi, kiedy to wszyscy siedzący przed tawernami mężczyźni odwrócili głowy w stronę zachodu, zupełnie jakby siedzieli w kinie, a to wymowne niebo było ekranem.

— Przeczytałem fragment, który pan zakreślił w *Le Masque Français*.

— To przenośnia. Ale może panu pomóc. Nalał mi *ouzo*. Podnieśliśmy do góry szklanki.

Podano kawę i odstawiono lampę na stojący za mną stolik, tak że światło padało na twarz Conchisa. Obaj czekaliśmy.

— Mam nadzieję, że nie ominie mnie dalszy ciąg pańskich przygód.

Podniósł głowę, co po grecku oznacza: nie. Zdradzał pewne napięcie i co chwilę spoglądał na znajdujące się za moimi plecami drzwi do sypialni. Przypomniała mi się moja pierwsza wizyta. Obejrzałem się, ale nikogo tam nie było.

Wreszcie Conchis odezwał się: — Wiesz, kto ma przyjść?

— W zeszłym tygodniu nie wiedziałem nawet, czy mam wejść do środka, czy nie.

— Masz postępować tak, jak masz ochotę.

— Bylebym tylko nie zadawał pytań?

— Bylebyś tylko nie zadawał pytań. — Wykrzywił usta w pseudouśmiechu. — Czy przeczytałeś już broszurę?

— Jeszcze nie.

— Czytaj ją uważnie. — Oczywiście. Z góry się na nią cieszę.

— Być może jutro wieczorem uda nam się dokonać pewnego eksperymentu.

— Skomunikowania się z którymś z innych światów? — Nie starałem się ukryć sceptycznego tonu.

— Tak. Z tym. — Wskazał na rozgwieżdżone niebo. — Albo z tym — spojrzal w dół, na czarną linię gór.

Zaryzykowałem żarcik: — Czy tam mówi się po grecku, czy po angielsku?

Nie uśmiechnął się i przez dobrych piętnaście sekund nie odpowiadał mi.

— Tam mówi się językiem uczuć.  
— Nie jest on nazbyt precyzyjny.  
— Przeciwnie. Najprecyzyjniejszy. Jeżeli ktoś potrafi go się nauczyć. —  
Odwrócił się i spojrzał mi w twarz. — Precyzja tego typu, jaką miałeś na myśli, jest przydatna w nauce. Ale nie w...

Nigdy nie dowiedziałem się gdzie.

Obaj usłyszeliśmy kroki, te same lekkie kroki, które już kiedyś słyszałem siedząc na tarasie. Conchis szybko na mnie spojrzał.

— Nie wolno zadawać pytań. To bardzo ważne.

Uśmiechnąłem się: — Jak pan sobie życzy.

— Proszę się do niej odnosić tak jak do kogoś, kto cierpi na amnezję.

— Niestety, nigdy nie spotkałem się z kimś, kto cierpi na amnezję.

— Ona żyje wyłącznie teraźniejszością. Nie pamięta własnej przeszłości, nie ma przyszłości. Jeśli zaczniesz ją wypytywać, spłoszy się. Jest bardzo wrażliwa. I nie zechce się już nigdy z tobą zobaczyć.

Miałem ochotę oświadczyć: podoba mi się pańska maskarada, za nic nie chciałbym jej popsuć. Ale powiedziałem: — Dalej nie rozumiem dlaczego, ale zaczynam rozumieć jak.

Potrząsnął głową. — Zaczynasz rozumieć dlaczego. Nie jak.

Chwilę wpatrywał się we mnie, jakby pragnął wbić mi to zdanie do głowy, potem obejrzał się na drzwi. Ja też się odwróciłem.

Zrozumiałem, że lampa została ustawiona tak, aby oświetlić jej wejście, a było to wejście, które zapierało dech w piersiach.

Była ubrana w wieczorowy strój, ostatni krzyk mody 1915 roku; jedwabne wieczorowe okrycie koloru indygo na sukni barwy kości słoniowej, uszytej z jakiegoś mieniącego się materiału, suknia ta zwężała się i sięgała niemal do kostek. Wąziutka spódnica utrudniała chód nadając mu wdzięku, dziewczyna idąc ku nam kołysała się lekko, tak jakby przy każdym kroku wahała się przez sekundę i dopiero potem płynęła naprzód. Włosy miała upięte na modłę rzymską. Uśmiechała się i patrzyła na Conchisa, ale gdy wstałem i mnie także obdarzyła krótkim spojrzeniem chłodnego zainteresowania. Conchis zerwał się pierwszy. Wyglądała tak niezwykle elegancko, była tak pewna siebie — lekka nerwowość robiła wrażenie udanej — jakby wyszła prosto z *cabine* Diora. To była moja pierwsza myśl. Ona jest zawodową modelką. A potem: a to stary łobuz.

Stary łobuz ucałował jej dłoń i rozpoczął prezentację.

— Lily. Pozwolisz, że przedstawię ci pana Urfe. Panna Montgomery.

Ująłem wyciągniętą ku mnie rękę. Była to chłodna dłoń, która nie oddała mi uścisku. Dotknąłem ducha. Nasze oczy spotkały się, ale jej wzrok niczego nie wyrażał. Powiedziałem: Halo. Ale ona odpowiedziała tylko lekkim skinieniem głowy i odwróciła się, by Conchis zdjął jej okrycie, które zawiesił na własnym krześle.

Miała nagie ręce i nagie ramiona, ciężką złotą bransoletę, nieprawdopodobnie długi naszyjnik z kamieni, które wyglądały jak szmaragdy, ale mogły być przecież najwyżej ultramarynami, jeśli nie imitacją. Uznałem, że może mieć dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata. Zachowywała się jednak tak, jakby była dużo starsza, dziesięć lat starsza, pewien chłód — nie obojętność czy oziębłość, raczej powściągliwość; o takim chłodzie marzy się w gorące letnie dni.

Usiadła, złożyła ręce i lekko się do mnie uśmiechnęła.

— Mamy dziś ciepły wieczór.

Angielski głos. Sam nie wiem, czemu oczekiwałem cudzoziemskiego akcentu, tymczasem akcent jej był mi jak najbardziej znany. Taki sam jak mój, produkt ekskluzywnej szkoły, uniwersytetu, akcent nazwany przez jednego z socjologów akcentem dominujących stu tysięcy.

Odpowiedziałem: — Prawda?

Conchis oznajmił: — Pan Urfe jest tym młodym nauczycielem, o którym wspominałem. — W jego głosie pojawił się nowy ton, było w nim coś z szacunku.

— Tak. Widzieliśmy się w zeszłym tygodniu. Czy też raczej rzuciliśmy na siebie okiem. — I znów uśmiechnęła się do mnie lekko, ale nie był to porozumiewawczy uśmiech i zaraz spuściła oczy.

Zobaczyłem w jej twarzy ciepło i wielkoduszność, do których przygotował mnie Conchis. Ale tkwiła w niej także przekora, wyraz twarzy, szczególnie ust, zdradzał inteligencję. Patrzyła na mnie z ukosa, tak jakby wiedziała coś, czego ja nie wiem — nie w związku z odgrywaną przez siebie rolą, ale o życiu w ogóle — jakby i ona także pobierała lekcje od kamiennej głowy. A ja oczekiwałem — pewnie dlatego, że poprzedniego tygodnia pokazała mi się jako ktoś swojski, domowy — osoby mniej skomplikowanej i znacznie mniej pewnej siebie.

Otworzyła trzymany w ręku, mieniący się, niebieski wachlarz i zaczęła się wachlować. Miała bielutką skórę. Widać było, że się nigdy nie opala. Nastąpiła dziwna, króciutka, niezręczna pauza, jakby żadne z nas nie wiedziało, co powiedzieć.

Przerwała milczenie, ale tak jak to robi pani domu, z poczucia obowiązku ośmielająca zakłopotanego gościa.

— Nauczanie musi być chyba bardzo interesujące.

— Mnie ono raczej nudzi.

— Wszystkie szlachetne i pożyteczne prace bywają monotonne. Ale ktoś musi je wykonywać.

— Moja praca w szkole przyniosła mi tylko jedno: że dzisiejszego wieczoru tu jestem.

Spojrzała na Conchisa, a ten leciutko skłonił się w moją stronę. Odgrywał rolę Talleyranda, stary, szarmancki lis.

— Maurice wspominał mi już, że niezbyt jest pan zadowolony ze swojej pracy.

— Maurice wymówiła z francuska.

— Nie wiem, czy wie pani coś o szkole, ale... — przerwałem, by dać jej możliwość odpowiedzi. Ona jednak pokręciła tylko z uśmiechem głową. — Widzi pani, ja uważam, że chłopców przemęcza się nauką, a nic na to nie mogę poradzić. Dosyć to przykre.

— Nie mógłby pan złożyć skargi? — spojrzała na mnie z powagą, piękną przekonywającą powagą. Pomyślałem sobie, że musi być aktorką. Nie modelką.

— Widzi pani...

I takeśmy sobie rozmawiali. Chyba przez piętnaście minut rozmowa nie schodziła z koturnów. Ona pytała, a ja odpowiadałem. Conchis niemal się nie odzywał. Złapałem się na używaniu wyszukanych zwrotów, tak jakbym ja również udawał, że znajduję się w salonie sprzed czterdziestu lat. Ostatecznie była to maskarada i po krótkiej chwili zapragnąłem odegrać w niej jakąś rolę. Zauważyłem, że traktuje mnie trochę z góry, i uznałem, że chce mnie „zgasić”, może zresztą po prostu wypróbowywała, czy wart jestem zostać jej partnerem. Raz czy dwa wydało mi się, że we wzroku Conchisa zabłysła ironia, ale nie byłem tego pewien. W każdym razie tak zachwyciłem się jej urodą, że mało mnie to obchodziło. Uważałem się za znawcę urody dziewcząt i uznałem, że ta dziewczyna mogłaby służyć za wzór.

Nastąpiła chwila milczenia i zabrał głos Conchis.

— Czy mam opowiedzieć, co zaszło po moim wyjeździe z Anglii?

— Jeżeli to nie znudzi... panny Montgomery.

— Ależ nie. Proszę. Uwielbiam słuchać Maurice'a.

Conchis, nie zwracając na nią uwagi, bacznie mi się przyglądał.

— Lily zawsze robi to, czego sobie życzę.

Spojrzałem na nią: — Ma pan szczęście.

Nie spuszczał ze mnie oczu. Ciężko osiadł na bruzdach z dwóch stron jego nosa, pogłębił je.

— To nie jest prawdziwa Lily.

Tym nagłym zaniechaniem udawania, zbił mnie z tropu, dobrze wiedząc, co robi.

— Cóż... oczywiście. — Wzruszyłem ramionami i uśmiechnąłem się. Ona wpatrywała się w swój wachlarz.

— Ani nie gra jej roli.

— Panie Conchis... nie rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć.

— Że nie powinieneś zbyt pochopnie wyciągać wniosków. — I obdarzył mnie jednym z tych swoich rzadkich prawdziwych uśmiechów. — Tak. Na czym stanąłem? Ale przede wszystkim muszę uprzedzić, że dziś wieczór nie zamierzam opowiadać moich dalszych dziejów, odmaluję natomiast czyjś portret psychologiczny.

Spojrzałem na Lily. Robiła wrażenie urażonej, ale ledwie przemknęło mi przez myśl następne dziwne przypuszczenie, że naprawdę cierpi na amnezję, że jest piękną cierpiącą na amnezję dziewczyną, którą Conchis dosłownie i przenośnie sobie przywłaszczył. Lily spojrzała na mnie nagle zupełnie współczesnym, nie pasującym do jej roli wzrokiem — szybkie pytające spojrzenie przez sekundę spoczęło na mojej twarzy, potem na twarzy Conchisa, znów na mnie. Od razu pomyślałem, że jesteśmy parą aktorów mających te same wątpliwości co do osoby reżysera.

## 28

— Buenos Aires. Mieszkałem tam blisko cztery lata, aż do wiosny 1919 roku. Pokłóciłem się z moim wujem Anastasiosem, uczyłem angielskiego, uczyłem gry na pianinie. I stale czułem się na wygnaniu. Mój ojciec nigdy się już do mnie nie odezwał ani nie napisał, ale po jakimś czasie zacząłem otrzymywać wiadomości od matki.

Spojrzałem na Lily, ale ona wróciła znów do swojej roli i z uprzejmie zainteresowanym wyrazem twarzy słuchała Conchisa. Bardzo korzystnie wyglądała w świetle naftowej lampy.

— W Argentynie zdarzyła mi się tylko jedna ważna rzecz. Któregoś lata jeden z przyjaciół zabrał mnie na wycieczkę po Andach. Zobaczyłem potworny wyzysk tamtejszych peonów i gauchos. Gwałtownie zapragnąłem poświęcić swe życie ludziom, których upośledził los. Wiele rzeczy wpłynęło na to, że postanowiłem zostać lekarzem. Ale okazało się to niełatwe. Nie zostałem przyjęty na wydział medyczny w Buenos Aires i musiałem przez cały rok harować dniem i nocą, wbijając sobie do głowy wiadomości potrzebne do egzaminu.

— Tymczasem skończyła się wojna. Wkrótce potem umarł ojciec. Choć nigdy nie wybaczył ani mnie, ani mojej matce, że to z jej pomocą pojawiłem się w jego świecie i z jej pomocą z niego uciekłem, był jednak moim ojcem i nie chciał wywoływać wilka z lasu. O ile wiem, władze nigdy nie odkryły, że zdezerterowałem. Matka odziedziczyła spory kapitał. W rezultacie wróciłem do Europy i zamieszkałem z nią w Paryżu. W ogromnym starym mieszkaniu naprzeciwko Panteonu. Zacząłem na serio studiować medycynę. Wśród studentów na naszym wydziale powstało stowarzyszenie. Traktowaliśmy medycynę jak religię i nazwaliśmy się Towarzystwem Krzewienia Rozumu. Widzieliśmy już, jak lekarze całego świata jednoczą się, tworząc naukową i moralną elitę. Będziemy obecni w każdym kraju, w każdym rządzie, nadludzie moralności, którzy położą kres wszelkiej demagogii, wszelkiemu samolubstwu polityków, zacofaniu, szowinizmowi. Wydaliśmy manifest. Urządziliśmy otwarty wiec w kinie w Neuilly. Ale usłyszeli o tym komuniści. Nazwali nas faszystami i zdemolowali kino. Próbowaliśmy urządzać wiec gdzie indziej. Ten wiec rozpędziła grupa, która nazwała się Milicją Chrześcijańskiej Młodzieży — katolicy ultrasi. Twarze były inne, ale zachowanie identyczne z zachowaniem komunistów. Tylko że komunistami w ich oczach byliśmy my. Zatem nasz wielki plan utopijnego uszczęśliwienia świata zniszczyły doszczętnie te dwie utarczki. I pokaźne sumy, które przyszło nam zapłacić za koszty zniszczeń. Byłem sekretarzem Towarzystwa Krzewienia Rozumu. Trudno sobie wyobrazić coś mniej rozumnego od zachowania moich kolegów, kiedy przyszło do płacenia rachunków. Bez wątpienia zasługiwaliśmy na to, co nas spotkało. Każdy głupek potrafi ułożyć plan racjonalnego urzędzenia świata. W dziesięć minut. Albo nawet w pięć. Ale oczekiwać, że ludzie zaczną żyć zgodnie z rozumem, równa się żądaniu, aby żyli samym opium. — Zwrócił się do mnie: — Nicholas, masz ochotę przeczytać nasz manifest?

— Wielką.

— Zaraz go poszukam. I przyniosę koniak.

I w ten sposób, szybciej niż myślałem, znalazłem się sam na sam z Lily. Ale nim udało mi się sformułować odpowiednie zdanie, które dałoby jej do zrozumienia, że nie widzę powodu, aby podczas nieobecności Conchisa dalej odgrywała swą rolę, ona wstała.

— Przejdziemy się?

Szedłem koło niej. Była ode mnie zaledwie o cal, może dwa, niższa, szła powoli, drobnymi kroczkami, spoglądając z pewnym zakłopotaniem na morze, unikając mego wzroku, jakby ogarnęła ją nieśmiałość. Conchis nie mógł nas usłyszeć.

— Od dawna pani tu jest?

— Nigdzie nie jestem od dawna.

Jej spojrzenie złagodził uśmiech. Przeszliśmy na taras z drugiej strony domu, w cień rzucany przez ścianę.

— Wspaniałe odbicie piłki, panno Montgomery.

— Skoro zależy panu na grze w tenisa, muszę się do tego dostosować.

— Musi pani?

— Maurice na pewno mówił panu, aby pan mnie o nic nie wypytywał.

— Niechże pani da spokój! W jego obecności, proszę bardzo. Ale przecież, na Boga Ojca, jesteśmy oboje Anglikami:

— Zatem możemy być dla siebie niegrzeczni?

— Zatem możemy dojść do porozumienia.

— Czy nie przychodzi panu na myśl, że nie każde z nas ma ochotę... dojść do porozumienia. — Spojrzała w noc. Net.

— Gra pani czarująco. Ale o co właściwie chodzi?

— Bardzo pana proszę. — Jej głos nabral ostrego tonu. — Mam tego doprawdy dosyć. — Zrozumiałem, dlaczego zaprowadziła mnie w cień. Nie mogłem dojrzeć wyrazu jej twarzy.

— Czego?

Odwróciła się; spojrzała na mnie i powiedziała spokojnie, dzieląc słowa na sylaby: — Panie Urfe.

Osadziła mnie na miejscu.

Odeszła i stanęła przy balustradzie patrząc na grzbiet wyspy. Poczuliśmy leciutki podmuch znad morza.

— Czy byłby pan tak uprzejmy i przyniósł mi moją etolę.

— Etolę?

– Moje okrycie.

Zawahalem się, potem poszedłem po to niebieskie okrycie. Conchis nie opuścił jeszcze domu. Wróciłem i zarzuciłem jej szal na ramiona. Niespodziewanie wyciągnęła rękę, ujęła moją dłoń i uściśnęła ją, jakby pragnąc mi dodać odwagi, a może po to, bym zobaczył w niej tę prawdziwą, dobrą Lily. Dalej patrzyła przed siebie przez lukę w drzewach.

– Dlaczego to pani zrobiła?

– Nie chciałam, żeby panu było przykro.

Sparodiowałem jej ceremonialny sposób mówienia: – Czy wolno mi panią spytać, czy byłaby pani tak uprzejma i powiedziała mi, gdzie pani tu mieszka?

Odwróciła się, oparła o balustradę, tak że patrzyliśmy teraz każde w inną stronę i nagle podjęła decyzję.

– Tam – wskazała przed siebie wachlarzem.

– Tam jest morze. Chyba że ma pani na myśli powietrze.

– Zapewniam pana, że tam właśnie mieszkam.

Nagle zrozumiałem. – Na jachcie?

– Nie. Na ładzie.

– Ciekawe. Nigdy nie widziałem tam domu.

– Widocznie pana wzrok nie sięga zbyt daleko.

Z trudem udało mi się dostrzec jej uśmiezek. Staliśmy blisko siebie, otaczał nas zapach jej perfum.

– Pani się ze mną droczy.

– A może to pan droczy się sam z sobą?

– Nie cierpię tego.

Kpiąco skłoniła głowę. Miała piękną szyję, szyję Neferetiti. Na zdjęciu w sypialni Conchisa dolna połowa jej twarzy wyglądała nieco przyciężko, ale nie było tak w rzeczywistości.

– Zatem będę się z panem nadal droczyć.

Nastąpiło milczenie. Nieobecność Conchisa trwała zbyt długo, by można było uwierzyć w podany przez niego pretekst. Spojrzała na mnie niepewnie, ale ja nie odezwałem się i ona znów się odwróciła. Bardzo wolno, tak jakby chodziło o dzikie zwierzątko, wyciągnąłem rękę i odwróciłem jej głowę w swoją stronę. Pozwoliła, aby moje palce dotknęły chłodnej skóry jej policzków, ale coś w jej wzroku zadeklarowało nieprzystępność i musiałem cofnąć rękę. Przez chwilę jeszcze patrzyliśmy sobie w



oczy, w jej oczach widziałem równocześnie ostrzeżenie i wskazówkę. Delikatnością można mnie zdobyć. Siłą nigdy.

Znów odwróciła się w stronę morza:

— Lubi pan Maurice'a?

— Widzę go dopiero trzeci raz. — Czekala, abym mówił dalej. — Jestem mu bardzo wdzięczny, że mnie zaprosił. Szczególnie teraz...

Przerwała zamierzony komplement. — My wszyscy bardzo go kochamy.

— Jacy my?

— Ja i inni jego goście. — Usłyszałem cudzysłów przy słowie goście.

— Dziwne określenie: goście.

— Maurycy nie lubi słowa „duchy”.

Uśmiechnąłem się. — A aktorzy?

Jej twarz nie zdradzała chęci do ustępstw, dziewczyna nie zamierzała wypaść z roli.

— Wszyscy jesteśmy aktorami, panie Urfe. Nie wyłączając pana.

— Oczywiście. Na scenie świata.

Uśmiechnęła się i spojrzała na mnie. — Niech się pan uzbroi w cierpliwość.

— Nie mogę sobie wyobrazić, żebym wobec kogoś mógł być bardziej cierpliwy.

I łatwowierny.

Patrzyła w morze. Nagle, wypadając z roli powiedziała cicho, a w głosie jej brzmiała szczerłość.

— Nie chodzi o mnie. Chodzi o Maurice'a.

— Zatem także wobec Maurice'a.

— W swoim czasie zrozumie pan.

— Czy to obietnica?

— To przepowiednia.

Usłyszeliśmy kroki koło stołu. Obejrzała się, potem spojrzała mi w oczy. Z tym samym wyrazem twarzy co w drzwiach sali muzycznej: rozbawionym, lekko konspiracyjnym, a obecnie także i błagalnym.

— Proszę, niech pan udaje.

— Dobra. Ale tylko w jego obecności.

Oparła się na moim ramieniu i wróciliśmy do Conchisa. Zrobił pytający ruch głową.

— Pan Urfe okazuje pełne zrozumienie.

– Bardzo się cieszę.

– Wszystko będzie dobrze.

Uśmiechnęła się do mnie, usiadła i chwilę siedziała w zamyśleniu oparłszy brodę na rękę. Conchis nalał jej maleńki kieliszek *crème de menthe* i zaczęła go powoli sączyć. Wskazał na kopertę, którą położył na moim miejscu.

– Oto manifest. Długo nie mogłem go znaleźć. Niech pan to później przeczyta.

## 29

– Nadal uwielbiałem muzykę, a w każdym razie nie przestałem grać. W naszym paryskim mieszkaniu stał ten klawesyn, który teraz jest tutaj. Pewnego ciepłego wiosennego dnia, było to chyba w 1920 roku, grałem przy otwartych oknach i nagle rozległ się dzwonek u drzwi. Weszła służąca, mówiąc, że jakiś dżentelmen pragnie ze mną rozmawiać. Dżentelmen ów stał już za jej plecami. I poprawił ją – nie chce ze mną rozmawiać, tylko mnie słuchać. Wyglądał tak niezwykle, że nie zwróciłem niemal uwagi na niezwykłość sytuacji. Miał około sześćdziesiątki, był wyjątkowo wysoki, nieskazitelnie ubrany, z gardenią w butonierce...

Spojrzałem bystro na Conchisa. Jak to miał w zwyczaju, mówiąc spoglądał na morze, Lily szybko, ukradkiem, podniosła palec do ust.

– ...i na pierwszy rzut oka wyglądał niemal żalobnie. Pod książeczą godnością kryła się straszna ponurość. Tak jak u Jouveta, ale bez jouvetowskiej ironii. Później miałem odkryć, że był znacznie mniej nieszczęśliwy, niż się wydawał. Niemal bez słowa usiadł na fotelu i zaczął przysłuchiwać się mojej grze. A kiedy skończyłem, niemal bez słowa wziął kapelusz i laskę z bursztynową gałką...

Uśmiechnąłem się. Lily dostrzegła mój uśmiech, ale spuściła oczy i nie przyjęła go do wiadomości, było w tym coś z milczącego potępienia.

– ...i wręczył mi swoją wizytówkę prosząc, bym go w następnym tygodniu odwiedził. Wizytówka pouczyła mnie, że nazywa się Alphonse de Deukans. Był hrabią. W umówiony dzień poszedłem do jego mieszkania. Był to ogromny apartament umeblowany z surową elegancją. Lokaj wprowadził mnie do salonu. De Deukans wstał na moje powitanie. I zaraz, niemal się nie odzywając, zaprowadził mnie do sąsiedniej sali. Stało tam z pięć klawesynów, starych, cudownych klawesynów, były to okazy muzealne, zarówno jako instrumenty muzyczne, jak i dzieła sztuki. Poprosił,

żebym je wypróbował, potem zagrał sam. Nie grał tak dobrze jak ja w owych czasach. Ale zupełnie nieźle. Później zaprosił mnie na posiłek i siedząc na krzesłach Boularda, przelykaliśmy poważnie *marennnes* i popijaliśmy białe Moselle, które pochodziło, jak mi oznajmił, z jego własnej winnicy. I tak zaczęła się najniezwyklejsza przyjaźń mego życia.

— Choć widywałem go często, przez długie miesiące niewiele się o nim dowiedziałem. Nigdy nie mówił o sobie ani o swojej przeszłości. Nie zachęcał też do zadawania pytań. Wreszcie odkryłem, że jego rodzina pochodzi z Belgii. Że jest bogaczem. Że ma niewielu przyjaciół i żadnych krewnych. I nie będąc homoseksualistą jest wrogiem kobiet. Miał tylko męską służbę, a o kobietach wspominał rzadko i z niesmakiem.

— De Deukans mieszkał najczęściej nie w Paryżu, lecz w wielkim pałacu w południowej Francji. Pałac ów został zbudowany przez jakiegoś nieuczciwego nadzrądcę pod koniec siedemnastego stulecia i otoczony parkiem większym od tej wyspy. Z odległości wielu mil widać było kryte niebieskim łupkiem wieżyczki i białe mury. Pamiętam, że podczas mojej pierwszej wizyty, która nastąpiła w parę miesięcy po naszym spotkaniu, czułem się bardzo onieśmielony. Było to w październiku, z pół Szampanii sprzątnięto już dawno zboże. Wszystko spowite było w błękitną mgiełką, dym jesieni. Przybyłem do Givray-le-Duc w wysłanym po mnie samochodzie, zaprowadzono mnie wspinałymi schodami do mego pokoju, a właściwie apartamentu, a potem zaproszono do parku, gdzie czekał na mnie de Deukans. Wszyscy służący przypominali swego pana — byli milczący i poważni. W jego otoczeniu nikt się nigdy nie śmiał. Nikt nie ośmieliłby się biec. Żadnych hałasów, żadnego podniecenia. Cisza i porządek.

— Lokaj poprowadził mnie przez ogromny francuski park za pałacem. Szliśmy po świeżo zagrabionych, posypanych żwirem alejkach, obok przystrzyżonych szpalerów z bukszpanu i posągów. Potem przez szkółkę drzewną doszliśmy nad jezioro. Kiedy znaleźliśmy się na brzegu, zobaczyłem za gładką taflą wody wschodnią herbaciarnię. Lokaj skłonił się, dalej poszedłem sam. Wokół jeziora prowadziła ścieżka. Nie było wiatru. Mgła, cisza i piękny, melancholijny spokój.

— Do herbaciarni dochodziło się po trawie, zatem de Deukans nie mógł usłyszeć mego nadejścia. Siedział na macie wpatrując się w jezioro. W zarosła wierzbami wysepkę. W dekoracyjne gęsi, które płynęły po wodzie jak na malowidłach

na jedwabiu. Tylko głowa de Deukansa zdradzała, że jest Europejczykiem, strój był japoński, nigdy tej chwili nie zapomnę. Całej tej, jak ją nazwać — *mise en paysage*.

— W parku pełno było rozmaitych tego typu dekoracji. Mała klasyczna świątynia. Angielski ogród. Ogród mauretański. Ale ja zawsze będę widział Deukansa siedzącego w luźnym kimonie na tej swojej *tatami*. W szaro-błękitnawym kimonie koloru mgły. Było w tym dużo sztuczności, zgoda. Ale każda ekscentryczność, każda elegancja robi sztuczne wrażenie w świecie zdominowanym rozpacziwą walką o byt.

— W ciągu tej pierwszej wizyty czułem się nieustannie — jako socjalista *in spe* — zgorszony. A jako *homme sensuel* zachwyciłem się. Givray-le-Duc było ni mniej, ni więcej tylko wspaniałym muzeum. Niezliczone galerie malarstwa, porcelany, rozmaitego rodzaju *objets d'art*. Cudowna biblioteka. Niezrównana kolekcja wczesnych instrumentów muzycznych z klawiaturą. Klawikordy, szpinety, wirginały, lutnie, gitary. Człowiek nigdy nie wiedział, co go za chwilę czeka. Sala renesansowych brązów. Gablotka z Breguetami.\* Cała ściana półek z przepięknymi fajansami z Rouen i Nevers. Zbrojownia. Szafka pełna greckich i rzymskich monet. Mógłbym wymieniać całą noc, on bowiem poświęcił całe życie na zebranie tych kolekcji. Bouleów i Riesenerów wystarczyłoby na umeblowanie sześciu mniejszych pałacyków. Myślę, że mogłaby z nim rywalizować tylko kolekcja Hertforda. I kiedy ta została wystawiona na sprzedaż, de Deukans kupił najpiękniejsze okazy. Seligmann przyznał mu prawo pierwokupu. Był, rzecz jasna, kolekcjonerem dla samej przyjemności kolekcjonowania. Sztuka wówczas nie zamieniła się jeszcze w rodzaj giełdy.

— Podczas jednej z późniejszych wizyt zaprowadził mnie do galerii zamkniętej na klucz. Tam przechowywał swą kolekcję automatów — lalek niemal ludzkiej wielkości, które wyglądały tak, jakby wyszły, czy też raczej wyrwały się, prosto z opowieści Hoffmanna. Mężczyzna dyrygujący niewidzialną orkiestrą. Dwóch żołnierzy staczających pojedynek. Primadonna, z której ust płynie aria z *La Serva Padrona*. Dziewczyna, która dyga przed kłaniającym się mężczyzną i tańczy razem upiornego menueta. Ale clou kolekcji stanowiła Mirabelle. Mechaniczna kochanka. Umalowana naga kobieta o jedwabistej skórze, która wprawiona w ruch — kładła się na swoim francuskim łóżku, rozkładała nogi i wyciągała ramiona. A kiedy jej pan kładł się na niej, obejmowała go. De Deukans cenił ją przede wszystkim za to, że była wyposażona w urządzenie, które uniemożliwiałoby jej zdradzenie swego właściciela. Jeżeli nie podniosło się lewarka umieszczonego z tyłu głowy, ramiona jej zaciskały się

coraz silniej i silniej, niczym imadło. A umieszczony na sprężynie sztylet przeszywał lędźwie cudzołożnika. Tą potworną atrapę wykonano we Włoszech, gdzieś z początkiem dziewiętnastego wieku. Na zamówienie sułtana tureckiego. Kiedy de Deukans demonstrował jej „wierność”, zwrócił się do mnie i oświadczył: *C'est ce qui en elle est le plus vraisemblable*. — Właśnie to jest w niej najbardziej prawdziwe.

Spojrzałem ukradkiem na Lily. Wpatrywała się w swoje ręce.

— Madame Mirabelle rezydowała za zamkniętymi drzwiami. Ale w jego prywatnej kapliczce znajdowało się coś w moim pojęciu jeszcze bardziej nieprzyzwoitego. We wspaniałym średniowiecznym relikwiarzu. Wyglądało jak zeschnięta strzykwa. De Deukans nazywał to, bynajmniej nie kpiąco, świętym członkiem. Wiedział oczywiście, że chrząstka nie mogła tak długo przetrwać. W Europie było wówczas co najmniej szesnaście świętych członków. Większość odcięto mumiom, wszystkie uznano za nieautentyczne. W de Deukansie wyzwały jednak instynkt kolekcjonerski i ślepy był na bluźnierczy — z punktu widzenia religii, a nawet ze zwykłego, ludzkiego — aspekt sprawy. To się często zdarza. Kolekcjonerstwo zabija zmysł moralny. Kończy się na tym, że ten, kto posiada, znajduje się we władzy posiadanych przedmiotów.

— Nigdy nie rozmawialiśmy o religii ani o polityce. Chodził na mszę. Ale chyba tylko dlatego, iż obserwowanie ceremoniału jest formą kultywowania piękna. Pod pewnymi względami, prawdopodobnie na skutek otaczającego go od urodzenia bogactwa, był wyjątkowo naiwny. Samozaparcie, wyrzeczenie były dla niego czymś niezrozumiałym, chyba że należały do jakiejś estetyki. Kiedyś stałem obok niego, obserwując chłopów pracujących na polu rzepy. Był to widok żywcem wzięty z Milleta. A on zauważył tylko: „Jakie to piękne, że oni to oni, a my to my.” Nawet najdrastyczniejsze kontrasty i konfrontacje społeczne, które wzbudzały wyrzuty sumienia u najpospolitszych nuworyszy, na nim nie robiły najmniejszego wrażenia. Traktował je jak winietki, jak interesujące dysonanse, jak zabawne przykłady.

— Altruistyczne zachowanie, które nazywał *le diable en puritain*, wywoływało w nim głębokie przygnębienie. Ja na przykład od osiemnastego roku życia nie chciałem jadać pod żadną postacią dzikiego ptactwa. Zjadanie przepiórki czy dzikiej kaczki wydawało mi się równe jedzeniu ludzkiego mięsa. De Deukansa mierziło to niczym źle napisana nuta w rękopisie muzycznym. Nie mógł w to nigdy uwierzyć. I

---

\* Louis Breguet (1747—1823) — znany zegarmistrz i astronom.

oto widział mnie, czarno na białym, jak odmawiam jedzenia jego *pâté d'alouettes* i słonki z truflami.

— Ale jego życie nie ograniczało się do kontaktu z nieboszczykami. Na dachu swego *château* miał obserwatorium astronomiczne, a na dole świetnie wyposażone laboratorium biologiczne. Nigdy nie wychodził do parku bez małego etui z probówkami. Na pająki. Dopiero po roku dowiedziałem się, że nie jest to tylko kolejna ekscentryczność. Że jest jednym z najbardziej cenionych współczesnych entomologów. Że pewien gatunek pająka nosi nawet jego nazwisko: *Theridion Deukansii*. Był zachwycony, gdy dowiedział się o moim zainteresowaniu ornitologią. I namawiał mnie, bym wyspecjalizowałem się w tym, co żartem nazywał ornitosemantyką — w odczytywaniu znaczeń ćwierkania ptaków.

— Był najbardziej odbiegającym od normy człowiekiem, jakiego w życiu spotkałem. I najuprzejmiejszym. Najbardziej powściągliwym. I najbardziej pozbawionym poczucia odpowiedzialności społecznej. Miałem wtedy dwadzieścia pięć lat, byłem w twoim wieku, Nicholas, i to chyba najlepiej wyjaśni ci, do jakiego stopnia nie byłem przygotowany do tego, by móc go ocenić. Myślę, że jest to najtrudniejszy i najbardziej irytujący wiek. I dla właściciela, i dla otoczenia. Jest się inteligentnym i pod każdym względem traktują nas jak kogoś dorosłego. Niemniej wobec pewnych ludzi czujemy swoją niedojrzałość, brak nam bowiem doświadczenia, które pomogłoby ich zrozumieć i skorzystać z tego kontaktu. I tak osobowość de Deukansa bardziej niż jego argumentacja kazała mi zwątpić w moją filozofię. Wątpliwości te zresztą, jak to ci jeszcze opowiem, sam później sformułował w paru najprostszych słowach.

— Surowo osądziłem jego sposób życia, lecz równocześnie wzbudzał on mój zachwyt. Czyli uniemożliwiał racjonalne zachowanie. Zapomniałem powiedzieć, że miał wiele rękopiśmiennych nut nigdy nie opublikowanej muzyki siedemnastego i osiemnastego wieku. Kiedy człowiek siedział przy jednym z tych jego cudownych starych klawesynów w sali muzycznej — długiej, rokokowej galerii o wyblakłych złoceniach, zawsze pełnej słońca i spokojnej jak sad — cóż to było za wspaniałe doświadczenie, jakie uczucie szczęścia; takie chwile doprowadzają zawsze do zwątpienia w naturę zła. Dlaczegoż taka rozkosz miałaby być czymś złym? Dlaczegoż miałbym uważać, że de Deukans reprezentuje zło. Odpowiesz: „Bo dzieci umierały z głodu, kiedy pan grał sobie na klawesynie w blasku słońca”. Czyż zatem nigdy nie wolno człowiekowi mieszkać w pałacu, cieszyć się wyrafinowanym smakiem, za-

spokajając pragnień swej wyobraźni? Nawet państwa marksistowskie muszą stawiać sobie wyższe cele, starać się wprowadzić społeczeństwo na wyższy stopień rozwoju, czyli myśleć o tym, jak każdej jednostce zapewnić bardziej urozmaicony rodzaj szczęścia.

— I po trochu zacząłem rozumieć egoizm tego samotnika. Coraz bardziej rzucało mi się w oczy, że jego ślepotą jest pozą, a poza — naiwnością. Był po prostu człowiekiem z innego, doskonalszego świata, zagubionym w tym, jakże dalekim od doskonałości. Człowiekiem opanowanym tragiczną, acz może nie aż tak absurdalną jak u Don Kichota, monomanią podtrzymywania tejże doskonałości. Któregoś dnia...

Conchis nigdy nie dokończył tego zdania. Ciemności rozdarł nagle przeszywający dźwięk rogu. Przyszły mi na myśl angielskie rogi do polowania, ale ten brzmiał i chrapliwiej, i archaiczniej. Kołyszący się wachlarz Lily zastygł w bezruchu, a ona wlepiła wzrok w Conchisa. Ten zaś nie odrywał oczu od morza, zupełnie jakby pod wpływem tego grania zamienił się w kamień. Kiedy spojrzałem na niego, przymknął oczy, jakby się cicho modlił. Choć trudno sobie wyobrazić coś bardziej obcego modlitwie niż jego twarz.

Dźwięk rogu po raz wtóry przerwał napięcie nocy. Trzy nuty, najwyższa środkowa. Słabym echem odbiły się o strome zbocza przylądka, ten pierwotny ryk wydawał się budzić pejzaż i noc, wzywał do przerywania snu ewolucji.

— Co to? — spytałem Lily.

Przez chwilę patrzyła mi w oczy, trochę podejrzliwie, jakby przypuszczała, że świetnie wiem.

— Apollo.

— Apollo?!

Róg odezwał się znowu, była to wyższa nuta i dużo bliżej, zbyt blisko domu, bym mógł cokolwiek zobaczyć za balustradą, nawet gdyby to nie była noc. Conchis nadal nie zmieniał wyrazu twarzy. Lily wstała i wyciągnęła rękę.

— Proszę za mną.

Dałem się zaprowadzić na wschodni taras, tam gdzie staliśmy przedtem. Ona wpatrywała się w drzewa, a ja w jej profil.

— Komuś się pomieszały chyba metafory.

Nie udało jej się powstrzymać uśmiechu. Leciutko uścisnęła moją dłoń.

— Niech pan będzie grzeczny. I pilnie patrzy.

Żwir, polanka, drzewa; nic niezwykłego.

— Mówię tylko, że chciałbym mieć program spektaklu.

— Strasznie pan jest nudny, panie Urfe.

— Proszę mówić do mnie Nicholas!

Nie wiem, co by odpowiedziała, bo nie miała już na odpowiedź czasu. Pojawiła się skądś smuga światła. Niezbyt mocna, pewnie zwykła elektryczna latarka. I wydobyła z mroku postać podobną do marmurowego posągu stojącą o jakieś sześćdziesiąt jardów od nas, na skraju piniowego lasu. Nowym wstrząsem było dla mnie odkrycie, że jest to całkowicie nagi mężczyzna. Stał na tyle blisko, że mogłem dojrzeć czarne owłosienie i blady zarys seksu: był to wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, stworzony do roli Apollina. Oczy wydawały się przesadnie duże, jakby podmalowane. Na głowie coś złościście pobłyskiwało, wieniec laurowy. Stał nieruchomo, zwrócony twarzą w naszą stronę, na wysokości pasa trzymał w ręku róg długości jarda, wąski półksiężyc z błyszczącym końcem. Dopiero po paru sekundach uderzyło mnie, że jego skóra jest nienaturalnie biała, w tym bladym świetle niemalże fosforyzowała, czyżby miał umalowane całe ciało, nie tylko twarz?

Obejrzałem się, Conchis nie zmienił pozycji; spojrzałem na Lily, wyraz jej twarzy nic nie mówił, ale czuło się, że jest pochłonięta spektaklem, tak jakby widziała próbę i była ciekawa, jak wypadnie przedstawienie. Straciłem ochotę do żartów. Byłem wstrząśnięty nie tyle żywym obrazem, ile faktem, że nie jestem jedynym młodym mężczyzną na Bourani. Od razu zdałem sobie z tego sprawę.

— Kto to?

— Mój brat.

— Myślałem, że jest pani jedynaczką.

Apollo podniósł róg i zadał, inna zupełnie nuta, długo wytrzymana i nawołująca, tak jakby wzywał rozbiegłe psy.

Lily, nie spuszczać z niego oczu, powiedziała przeciągając słowa: — Mój brat z innego świata. — I nim zdążyłem to zakwestionować, wskazała w lewo, na chatę. Za chatą, tam gdzie z drzew wyłaniała się wiodąca ku domowi alejka, pojawił się jasny kształt. Strumień światła ruszył na jego spotkanie: była to dziewczyna, także naga, jeśli nie liczyć antycznych sznurowanych do kolan sandałów; nie, może jednak nie całkiem naga, albo wygolono jej wzgórek łonowy, albo miała na sobie *cache-sexe*. Włosy upięte w klasyczny węzeł, twarz i ciało tak samo jak u Apollina nienaturalnie białe. Biegła zbyt szybko, bym mógł dojrzeć jej rysy. Zbliżała się ku nam oglądając się za siebie, tak jakby była ścigana. Przebiegła między nami i Apollinem, i znalazła się na



brzegu morza. Wtedy ukazała się następna postać. Był to mężczyzna, który także wybiegł spomiędzy drzew, przebrany za satyra, bufiaste owłosione rajtuzy, udające kozie udźce i charakterystyczna głowa z bródką i dwoma różkami. Obnażony tors był ciemny, niemal czarny. Kiedy doganiając dziewczynę podbiegł pod taras, doznałem następnego szoku. Z lędźwi mężczyzny sterczał ogromny phallus. Miał chyba z osiemnaście cali, był zbyt imponujący, by sprawiać wrażenie realistyczne, ale za to celowo sprośny. Poczulem się zbity z tropu, niepewny siebie i znacznie naiwniejszy i mniej wyrafinowany, niż mi się dotąd wydawało. Zerknąłem na stojącą obok dziewczynę. Dostrzegłem uśmiezek, coś w rodzaju podniecenia okrucieństwem, choć było ono tylko grą; to mi się nie spodobało, było bardzo odległe od tego edwardiańskiego „innego świata”, w którym rzekomo, jak to mówił jej strój, przebywała.

Znów spojrzałem na nimfę, na jej białe plecy, rozwiane włosy i uginające się ze zmęczenia nogi. Wbiegła między schodzące ku morzu drzewa i znikła. Nagle nastąpiło *coup de théâtre*, spod tarasu padł mocniejszy snop światła. Tam, gdzie przed chwilą znikła nimfa, na niewielkim wzniesieniu stała teraz nowa, najbardziej uderzająca postać; kobieta w długim szafranowym chitonie. Czerwony jak krew obrębek sięgał kolan. Na nogach miała kontrastujące z nagimi ramionami czarne koturny ze srebrnymi nagolennikami, które nadawały jej ponury wygląd gladiatora, jej skóra także była nienaturalnie biała, oczy wydłużone czarnym tuszem, włosy upięte w równie wydłużony kok, wyglądający klasycznie, a zarazem złowróźnie. Miała przewieszony przez ramię srebrny kołczan, a w ręku srebrny łuk. W jej postawie, w jej wykrzywionej twarzy było coś naprawdę przerażającego.

Stała tak parę chwil, znieważona, zimna, zagradzając złowieszczą drogę. Wolną ręką sięgnęła w tył i z jadowitą szybkością wyciągnęła z kołczana strzałę. Ale nim napięła łuk, strumień światła odszukał satyra. Stał efektownie przerażony z wyciągniętymi w tył ramionami, z odwróconą głową, z nadal wyprężonym phallosem — teraz w lepszym oświetleniu widziałem, że ów sztuczny phallus jest czarny jak węgiel. Ta pozbawiona realizmu poza była jednak nieopisanie dramatyczna. Snop światła wrócił do bogini. Łuk był już napięty, wyleciała strzała. Widziałem ją, nim znikła w ciemnościach. W sekundę później zobaczyliśmy znów satyra. Strzałę tę — w każdym razie jakąś strzałę — przyciskał do serca. Powoli osunął się na kolana, zakołysał i upadł bokiem na kamienie i kępy tymianku. Mocny strumień światła zatrzymał się na nim chwilę, jakby pragnąc podkreślić fakt śmierci, potem zgasł. Z tyłu, w słabszej smudze światła stał obojętnie Apollo, blady marmurowy pień,

doglądający porządku niczym sędzia ringowy. Bogini ruszyła z miejsca zamaszystymi krokami łowczyni, wyciągając w jego stronę rękę z łukiem. Przez chwilę stali oboje naprzeciw nas, po czym podnieśli wolne ręce, dłońią do góry, pozdrawiali nas z powagą, był to ostatni obraz. Jeszcze jeden efektowny gest. Pełen prawdziwej godności, pożegnanie nieśmiertelnych. Pozostała smuga światła znikła. Z trudem rozróżniałem jeszcze te dwa blade cienie; odwróciły się z jakże doczesnym pośpiechem aktorów, którym spieszo po wygaszeniu świateł zejść ze sceny.

Lily poruszyła się, jakby pragnąc mnie oderwać od tego prozaicznego widoku.

— Na chwilę pana przepraszam.

Podeszła do Conchisa, nachyliła się nad nim i coś szepnęła. Ja znów spojrzałem na wschód. Czarny kształt zbliżał się ku drzewom: satyr. Spod kolumnady na dole dobiegł hałas, ktoś wpadł na krzesło i krzesło zaskrzypiało. Czworo aktorów, dwie osoby zajmujące się oświetleniem... cała maszyna inscenizacji wydała mi się czymś równie niesamowitym jak ewentualna nadprzyrodzoność. Staralem się domyślić, jaki związek miał ten spotkany koło hotelu starszy pan ze sceną, której byłem przed chwilą świadkiem. W ciągu opowieści Conchisa sądziłem, że zrozumiałem puentę *caractère* de Deukansa. Conchis mówił o sobie i o mnie — paralela była zbyt wyraźna, by mogło chodzić o coś innego. „Nie lubił pytań...”, „byłem zbyt młody, żeby móc to ocenić”, „miał niewielu przyjaciół i żadnych krewnych”... ale co to miało wspólnego z ostatnią sceną?

Był to wyraźnie przykład „mniej niewinnej maskarady”, wspomnianej w *Le Masque Français*. Z tego, tak jak z telepatycznych (nonsensów, mogłem się śmiać. Ale coraz bardziej uderzała mnie pewna plugawość *divertimenti* Conchisa. Ten phallus, ta nagość, ta dziewczyna... Przyszło mi na myśl, że prędzej czy później zostanę poproszony o udział w występach, że wszystko to jest rodzajem wtajemniczenia, że chodzi o jakiś kult, jakieś sekretne stowarzyszenie, w którym nieważna będzie Miranda, w którym zapanuje Kaliban, i poczułem, że nie jestem przygotowany na tak czarną przygodę. Równocześnie ogarnęła mnie dość irracjonalna zazdrość o tych wszystkich ludzi, którzy pojawili się nie wiedzieć skąd, by kłusować na „moich” terenach, którzy brali udział w konspiracji przeciwko mnie, należeli do wtajemniczonych. Mogłem oczywiście próbować być zadowolonym widzem, pozwolić, aby te coraz bardziej niesamowite wydarzenia przesuwwały się przed moimi oczyma jak film w kinie. Ale już w chwili gdy to pomyślałem, wiedziałem, że nie jest to trafna

analogia. Nikt nie buduje kina dla jednego widza, chyba że widz ten jest do czegoś konkretnego potrzebny.

Lily, która nachylona nad Conchisem coś mu cichym głosem tłumaczyła, nareszcie się wyprostowała. Wróciła do mnie. W oczach jej migotały porozumiewawcze isierki: była wyraźnie ciekawa, jak zareagowałem na najświeższy rozwój wydarzeń. Uśmiechnąłem się i leciutko pokręciłem głową: tak, zrobiło to na mnie wrażenie, ale nie dałem się nabrać... zależało mi przede wszystkim, by nie okazać zgorzienia. Uśmiechnęła się.

— Muszę już iść, panie Urfe.

— Proszę pogratulować swym przyjaciołom udanego spektaklu.

Udała zaskoczenie, ale jej powieki drgnęły, jakby wiedziała, że się z nią przekomarzam.

— Chyba nie uważa pan tego za zwykły spektakl?

— Niech pani skończy z tym udawaniem — zaproponowałem cichym głosem.

Ale nie otrzymałem odpowiedzi. W jej oczach pojawił się cień uśmiechu, leciutko zagryzła wargi i ujawniła rąbek sukienki zamarkowała ukłon.

— Kiedy znów panią zobaczę?

Szybko, ukradkiem, nie poruszając głową spojrzała na Conchisa. Jakby znów dawała mi do zrozumienia, że jesteśmy w znowie.

— Zależy to wyłącznie od tego, kiedy znów zostanę przebudzona ze snu.

— Mam nadzieję, że wkrótce.

Podniosła do ust wachlarz, tak jak przedtem szczoteczkę, i wskazała ukradkiem na Conchisa. Wpatrywałem się w nią, póki nie zniknęła w domu, po czym podszedłem do Conchisa i stanąłem z drugiej strony stołu. Wyglądało na to, że trans minął. Jego oczy patrzyły jeszcze intensywniej niż zwykle, wyglądały jak czarny fosfor, jak pijawki; jego wzrok był nie tyle wzrokiem gospodarza, szukającego aprobaty gościa, któremu dostarczył rozrywki, ile wzrokiem naukowca sprawdzającego rezultaty eksperymentu, przyglądającego się królikowi doświadczalnemu. Patrzyłem na niego ze sceptycznym uśmiechem, który wypróbowałem na Lily, ale zdawałem sobie sprawę, że wie, jak bardzo jestem skonfundowany. Wiedziałem zarazem, że nie oczekuje już ode mnie, bym wierzył w to, co mi do wierzenia proponowano. Usiadłem, a on dalej patrzył, zmuszając mnie do zabrania głosu.

— Gdybym wiedział, co to wszystko znaczy, odczuwałbym znacznie żywszą przyjemność.

To mu się spodobało. Oparł się o krzesło i uśmiechnął.

— Mój drogi Nicholas, w ciągu ostatnich dziesięciu tysięcy lat ludzie nie ustawiali w powtarzaniu tych właśnie słów. I jedyną wspólną cechą bogów, do których się zwracali, było to, że żaden nie udzielił im odpowiedzi.

— Bogowie nie istnieją. A pan istnieje.

— Nie zamierzam ingerować w coś, wobec czego nawet bogowie okazali się bezsilni. Widać uważasz, że znam wszystkie odpowiedzi. To nieprawda.

Popatrzyłem na jego złagodniałą twarz i spytałem cicho: — Dlaczego ja?

— A dlaczego w ogóle ktoś? Albo coś?

Wskazałem na wschód: — I to wszystko tylko po to, by udzielić mi lekcji teologii?

On wskazał na niebo. — Sądzę, że obaj zgodzimy się, iż bogowi, który stworzyłby to wszystko tylko po to, by udzielić nam lekcji teologii, brakowałoby i poczucia humoru, i wyobraźni. — Zrobił znaczącą pauzę. — Jeśli sobie życzysz, możesz w każdej chwili wracać do swojej szkoły. Może tak byłoby mądrzej.

Uśmiechnąłem się i pokręciłem przecząco głową. — Tym razem wezmę do ust ząb.

— Tym razem może się to okazać rzeczywistością.

— Wiem już przynajmniej, że wszystkie pana kości są kośćmi specjalnie sfabrykowanymi.

— Zatem nie możesz wygrać. — I szybko, jakby zdał sobie sprawę, że posunął się za daleko, ciągnął: — Powiem ci jedno. Na twoje pytanie istnieje tylko jedna odpowiedź. I udzieliłem ci jej podczas pierwszej wizyty. Powodem dlaczego coś istnieje, ty, ja, bogowie, jest przypadek. Nic innego tylko czysty przypadek.

Spojrzałem mu w oczy i nareszcie znalazłem w nich coś, czemu mogłem uwierzyć i pojąłem, że moja ignorancja, moja osobowość, moje przymioty i wady były mu do jego maskarady potrzebne. Wstał i sięgnął po koniak stojący na sąsiednim stole tuż koło lampy. Nalał mi kieliszek, nalał zdziebełko sobie i nadał stojąc wzniosł toast.

— Wypijmy, Nicholas, za to, żebyśmy się nawzajem lepiej poznali.

— Jestem za. — Wypiłem i uśmiechnąłem się ostrożnie: — Nie skończył pan swojej opowieści. — Dziwne. Speszył się, zupełnie jakby o tym zapomniał lub sądził, że musiało mnie to przestać interesować. Zawahał się i z powrotem usiadł.

— Dobrze. Co prawda chciałem... no, nic nie szkodzi. — Na chwilę zamilkł. — Przejdziemy od razu do punktu kulminacyjnego. Do momentu, gdy bogowie, w których żaden z nas nie wierzy, stracili cierpliwość widząc ludzką pychę.

Oparł się, znów zaczął patrzeć w morze.

— Ilekroć widzę rojące się masy chińskich wieśniaków albo defiladę wojskową, ilekroć widzę gazetę zapchaną reklamami masowo produkowanej tandety... Albo tandetę w domach towarowych, ilekroć oglądam ohydy *Pax Americana*, ohydy cywilizacji skazanych z powodu przeludnienia i niedokszałcenia na stulecia miernoty, zawsze przychodzi mi na myśl de Deukans. Myślę o nim, ilekroć widzę ciasnotę i brzydotę. Kiedyś, za wiele tysięcy lat powstanie może świat, w którym będą istnieć tylko tacy mężczyźni i kobiety jak on, i takie *châteaux* jak jego. Tylko zamiast wyrastać jak grzyby z gnijącego kompostu nierówności i wyzysku, pojawią się w wyniku ewolucji równie uporządkowanej jak maleńki świat de Deukansa w Givray-le-Duc. Znów zapanuje Apollo. A Dionizos wróci w mrok, z którego wyszedł.

Ach, więc to tak? Ja tę scenę z Apollinem odczytałem zupełnie inaczej. Conchis zachowywał się jak niektórzy nowocześni poeci, jeden i ten sam symbol miał służyć dziesięciu znaczeniom.

— Któregoś dnia jeden z lokajów wprowadził potajemnie do pałacu dziewczynę. De Deukans usłyszał śmiech kobiety. Nie wiem, w jaki sposób... może przez otwarte okno, może dziewczyna za wiele wypła. Kazał odszukać tego, kto ośmielił się wprowadzić w jego świat rzeczywistą kochankę. Był to jeden z szoferów. Należący do ery maszyn. Został zwolniony. Wkrótce potem de Deukans wyjechał na jakiś czas do Włoch.

— Pewnej nocy majordom Givray-le-Duc poczuł zapach spalenizny. Zaczął szukać. Całe jedno skrzydło i część środkowa *château* stały w ogniu. Podczas nieobecności pana większość służby przebywała w swych domach w sąsiednich wioskach. Nieliczni, którzy spali w pałacu, próbowali wiadrami wody zwalczyć to morze ognia. Próbowano dzwonić po *pompiers*, ale przewody telefoniczne zostały przecięte. Kiedy straż ogniowa wreszcie przybyła, było już za późno. Wszystkie obrazy zwinęły się w skurczu, wszystkie książki zamieniły w popiół, cała porcelana szerniała i popękała, wszystkie monety stopiły się, wszystkie instrumenty, meble, wszystkie automaty, łącznie z Mirabelle, zwęgliły, przestały istnieć. Została tylko część murów nie nadająca się do odbudowy.

— Ja także byłem wówczas za granicą. De Deukansa obudzono przed świtem w hotelu we Florencji i zawiadomiono, co zaszło. Od razu pojechał do domu. Ale podobno zawrócił, nim stanął nad dymiącymi wciąż zgliszczami. Zawrócił, gdy znajdował się dostatecznie blisko, by stwierdzić, jakiego spustoszenia dokonał pożar. W dwa dni później znaleziono go martwego w paryskim mieszkaniu. Zażył ogromną dawkę środków nasennych. Jego kamerdyner opowiedział mi, że na twarzy nieboszczyka malował się szyderczy grymas. Kamerdyner był wstrząśnięty i zgorzszony.

— Wróciłem do Francji w miesiąc po pogrzebie. Matka moja przebywała akurat w Południowej Ameryce i dopiero po powrocie dowiedziałem się, co zaszło. Któregoś dnia wezwali mnie jego prawnicy. Pomyślałem, że zapisał mi w testamencie klawesyn. Tak też było. Wszystkie ocalałe klawesyny. A prócz tego... ale pewnie się sam domyśliłeś.

Urwał, jakby czekając, co powiem, ale ja nie powiedziałem nic.

— Nie, nie zostawił mi całej swej fortuny, ale tyle, że stanowiło to majątek dla młodego człowieka, uzależnionego całkowicie od matki. Z początku trudno mi było w to uwierzyć. Wiedziałem, że mnie lubił, że traktował mnie jak przyszywanego siostrzeńca. Ale tyle pieniędzy. I to na skutek tylu zbiegów okoliczności. Przypadek chciał, że grałem przy otwartych oknach. Przypadek chciał, że jakaś wieśniaczka roześmiała się zbyt głośno... — Conchis chwilę siedział w milczeniu.

— Ale obiecałem powtórzyć słowa, które de Deukans pozostawił mi w spadku wraz z pieniędzmi i wspomnieniem o sobie. Nie był to list. Króciutki cytat łaciński. Nigdy nie udało mi się dociec, skąd pochodzi. Brzmi z grecka. Myślę, że jest to tekst joński lub aleksandryjski; *Utram bibis? Aquam an undam?* Co pijesz? Wodę czy falę?

— On pił falę?

— Wszyscy pijemy, i jedno, i drugie. Ale chodziło mu o to, że należy sobie zadawać owo pytanie. Nie miało to być przykazanie. Miało to być lustro, w które należy zaglądać.

Zastanowiłem się; nie, nie potrafiłbym odpowiedzieć, co piję.

— Co stało się z człowiekiem, który podpalił zamek?

— Poniósł zemstę z rąk prawa.

— A pan dalej pozostał w Paryżu?

— Do dziś zachowałem jego mieszkanie. A instrumenty muzyczne, które mi pozostawił, znajdują się obecnie w moim *château* w Owernii.

– Odkrył pan, skąd pochodziła fortuna de Deukansa?

– Miał ogromne posiadłości w Belgii. Inwestował kapitały we Francji i w Niemczech. Ale większość pieniędzy pochodziła z przedsiębiorstw w Kongo. Givray-le-Duc, tak samo jak Partenon, narodziło się z jądra ciemności.

– Bourani też?

– Czy jeśli odpowiem twierdząco, to je natychmiast opuścisz?

– Nie.

– Zatem nie masz prawa pytać.

Uśmiechnął się, abym nie wziął tego nazbyt serio i wstał, jakby nie chcąc dopuścić do dyskusji. – Nie zapomnij koperty.

Zaprowadził mnie do mego pokoiku, zapalił lampę i życzył dobrej nocy. Ale doszedłszy do własnych drzwi, odwrócił się i spojrzał w moją stronę. Po raz pierwszy z jego twarzy dało się wyczytać niepewność, jakby na chwilę w coś zwątpił.

– Wodę czy falę?

I znikł.

## 30

Czekałem. Podszedłem do okna. Usiadłem na łóżku. Położyłem się. Znowu podszedłem do okna. W końcu zabrałem się do czytania tekstów. Oba były po francusku. Pierwszy musiał być kiedyś przybity do ściany; świadczyły o tym ślady pinesek i rdzy.

### *Towarzystwo Krzewienia Rozumu*

*My, lekarze i studenci medycyny we Francji, wyrażamy hasze najgłębsze przekonanie, że:*

1) *Postęp możliwy jest tylko dzięki rozumowi człowieka.*

2) *Pierwszym obowiązkiem nauki jest tępienie wszelkich form głupoty, wszelkich jej przejawów w życiu publicznym i międzynarodowym.*

3) *Wierność rozumowi ważniejsza jest od wierności swej rodzinie, warstwie społecznej, krajowi, rasie i religii.*

4) *Jedyną granicą rozumu jest granica człowieczeństwa, wszystkie inne są oznakami bezrozumności.*

5) Świat nie może być lepszy niż składające się na niego kraje, kraje nie mogą być lepsze niż składające się na nie jednostki.

6) Obowiązkiem wszystkich tych, którzy zgadzają się z powyższymi twierdzeniami, jest wstąpienie do Towarzystwa Krzewienia Rozumu.

Członkiem Towarzystwa zostaje się po podpisaniu następującego oświadczenia:

1) Obiecuję przekazywać na cele Towarzystwa jedną dziesiątą moich rocznych dochodów.

2) Obiecuję w każdym momencie życia kierować się Rozumem.

3) Bez względu na konsekwencje nigdy nie podporządkuję się bezsensowi, nigdy spotkawszy się z nim nie zachowam się biernie.

4) Uznaję lekarzy za czołówkę ludzkości. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby zrozumieć fizjologię mego ciała i psychologię mego umysłu, i będę się tą znajomością kierował w każdym momencie życia.

5) Uroczycie oświadczam, że za najważniejszy obowiązek będę zawsze uważał obowiązek wobec Rozumu. Bracia i siostry, zwracamy się do was o pomoc w walce z bezsenssem, który w ciągu ostatniego dziesiątka lat doprowadził świat do oblędu, wywołał przelew krwi. Pomóżcie i nam, aby nasze Towarzystwo okrzepło w siły i potrafiło się przeciwstawić knowaniom polityków i księży. Nadejdzie dzień, kiedy nasze Towarzystwo zostanie uznane za najważniejsze osiągnięcie w historii ludzkiej rasy. Wstąpcie do niego dziś. Znajdziecie się między pierwszymi, którzy zobaczyli i zrozumieli.

Na ostatnim akapicie ktoś dawno temu nabazgrał wielkimi literami: *merde*.

I ów tekst, i komentarz, w świetle tego, co zdarzyło się po 1920 roku zrobiły na mnie żalosne wrażenie, zupełnie jakbym zobaczył dwóch chłopców, staczających bójkę w chwili atomowego wybuchu. W połowie stulecia mieliśmy dość i zimnego rozsądku, i bluźnierczej zapalczowości, wyrafinowania intelektualnego i przyziemnej cielesności, czuliśmy, że jeśli istnieje wyjście, musi do niego prowadzić inna zupełnie droga. Słowa straciły swoją moc, nie mogły prowadzić ani ku dobru, ani ku złu; wisiały nadal jak mgła nad rzeczywistością, zniekształcając ją, wprowadzając w błąd, kastrując, ale od czasu Hitlera i Hiroszimy zaczęto przynajmniej zdawać sobie sprawę, że są tylko mgłą, wątłą superstrukturą.



Wsluchałem się w dom i w noc. Cisza. Wziąłem więc do ręki drugi tekst: była to oprawna broszurka. Pożółkły papier, staromodny wykrój czcionek wskazywały, że jest to autentyczny przedwojenny zabytek.

*O sposobach, porozumiewania się z innymi światami*

*Aby dotrzeć do najbliższej gwiazdy, człowiek musiałby podróżować miliony lat świetlnych. Nawet gdybyśmy potrafili podróżować z prędkością światła, nie udałooby się nam w ciągu życia dotrzeć do żadnego zamieszkanego zakątka kosmosu; nie możemy się z nim także porozumieć za pomocą radionadajników czy gigantycznych heliografów. Jesteśmy zatem, a przynajmniej tak się nam wydaje, na zawsze odizolowani w naszej maleńkiej bańce czasu.*

*Jakże jałowy okazał się nasz zachwyty nad aeroplanami! Jak niemądra cała ta fantastyczna literatura pisarzy takich jak Wells i Verne, którzy opisywali dziwaczne postacie zamieszkujące inne planety!*

*Nie ma jednak wątpliwości, że wokół innych gwiazd istnieją inne planety, że życie wszędzie podlega tym samym prawom, że w kosmosie istnieją rozumne istoty, które przeszły taką samą ewolucję jak my, i mają takie same aspiracje. Czyż naprawdę skazani jesteśmy na to, by nigdy nie nawiązać z nimi kontaktu?*

*Tylko jedna metoda nawiązania łączności jest uniezależniona od czasu. Są tacy, którzy kwestionują jej istnienie. Ale doświadczenia przeprowadzane w obecności godnych zaufania uczonych wykazały możliwość przekazywania myśli na odległość w tej samej sekundzie, w której powstaje. W niektórych pierwotnych cywilizacjach, takich jak na przykład lapońska, zjawisko to jest tak częste, że Lapończycy posługują się nim na co dzień tak jak my telefonem czy telegrafem. Nie odkryto jeszcze wszystkich możliwości wykorzystania tego fenomenu, pewnych rzeczy trzeba się od nowa uczyć.*

*Ale jest to jedyna metoda, która pozwoli nam na kontakt z ludźmi innych światów. Sic itur ad astra.*

*Uświadomienie sobie czyichś myśli funkcjonuje podobnie do pantografu. Ręka rysuje — powstaje kopia.*

*Autor tego tekstu nie jest spirytualistą i w spirytualizm nie wierzy. Przez wiele lat studiował telepatię i pokrewne jej zjawiska z pogranicza oficjalnej medycyny. Interesuje się wyłącznie naukową stroną zagadnienia. Jeszcze raz*

powtarza, że nie wierzy w „siły nadprzyrodzone”, różokrzyżowców, alchemię i tym podobne zabobony.

*Utrzymuje, że już obecnie światy, znajdujące się na wyższym stopniu rozwoju niż my, usiłują nawiązać z nami kontakt i że całe kategorie ludzkiej myśli, takie jak artystyczny czy naukowy geniusz oraz zmysł moralny pochodzą z inspiracji innych światów, których telepatyczne informacje tylko częściowo są przez nas odbierane. Wierzy, że Muzy nie są poetycką fikcją, lecz dowodem na to, że już w czasach starożytności ludziom udało się intuicyjnie wnikać w inną rzeczywistość, którą my, współcześni, powinniśmy zacząć naukowo studiować.*

*Wzywa zatem państwo do przekazania funduszy na studia nad telepatią i pokrewnymi jej zjawiskami, a przede wszystkim wzywa uczonych do zainteresowania się tą dziedziną.*

*Wkrótce opublikujemy dowody możliwości nawiązania kontaktów z innymi światami. Ogłosimy je w prasie paryskiej.*

Nigdy w życiu nie miałem żadnych telepatycznych doświadczeń i wątpiłem, żeby pod wpływem Conchisa mogło to ulec zmianie; a jeżeli jacyś uczynni panowie z innych światów usiłowali mnie natchnąć dobrocią i geniuszem artystycznym, niezbyt im się to powiodło, nie tylko w stosunku do mnie, ale do całego mego stulecia. Zacząłem jednak rozumieć, dlaczego Conchis oświadczył mi, że nadaję się na medium. Chodziło o „rozmiękczenie” mnie, o przygotowanie do maskarady, której następna scena będzie pewno czymś jeszcze dziwniejszym... do wspomnianego „eksperymentu”.

Maskarada. Maskarada fascynowała mnie i drażniła zarazem niczym niezrozumiały wiersz — nawet bardziej, bo niezrozumiałość była podwójna, skoro równocześnie nie znało się powodów jej inscenizacji. Tego wieczoru ukulem nową teorię: Conchis stara się odtworzyć własny zgubiony świat i z nieznanых powodów obsadził mnie w roli *jeune premier*, w roli samego siebie z lat młodzieńczych. Czułem, że nasze stosunki uległy znów zmianie, a w każdym razie uległa jej moja pozycja; przedtem z gościa stałem się uczniem, teraz miałem niewyraźne uczucie, że usiłuje się mnie wmanewrować na pozycje ofiarnego kozła. Conchis wyraźnie nie zamierzał ułatwić mi zrozumienia dwóch kontrastujących z sobą stron swego charakteru. Wiare w jego humanistyczne uczucia, objawiające się w sposobie gry Bacha i w pewnych aspektach opowieści, nawet jeśli została upiększona, podkopywała perwersyjność i

złośliwość, które skądinąd przejawiał. Musiał o tym wiedzieć, zatem widocznie pragnął utrzymywać mnie w stanie niepewności, a te kurioza i specyficzne albumy, Lily i mityczne, zachowujące się dwuznacznie postacie stanowiły przynętę — i nie mogę udawać, że ta przynęta nie podziałała. Ale im dłużej o tym myślałem, tym bardziej wątpiłem w autentyczność belgijskiego hrabiego... a w każdym razie pewien byłem, że jeśli nawet istniał, to nie przypominał postaci, którą opisał mi Conchis. Ta postać stanowiła *alter ego* samego Conchisa. I jeżeli w sylwetce de Deukansa tkwiło coś z prawdy, nie była to prawda dosłowna.

Tymczasem maskarada sprawiła mi zawód. Wciąż panowała cisza. Spojrzałem na zegarek. Minęło blisko pół godziny. Nie mogłem spać. Po chwili wahania zbiegłem na palcach po schodach, przeszedłem przez salę muzyczną, znalazłem się pod kolumnadą. Udałem się w stronę drzew, gdzie znikli „bóg” i „bogini”; potem zawróciłem i zszedłem na brzeg. Morze chlupotało leniwie na przybrzeżnych kamyczkach, które poruszały się ze szmerem, choć nie było śladu wiatru. Skały, drzewa i łódź kąpały się w świetle gwiazd, w milionach nie dających się odczytać myśli innych światów. Świetliste, tajemnicze, południowe morze zdawało się czekać, równocześnie pełne życia i puste. Zapaliłem papierosa, po czym wkradłem się z powrotem do tego pełnego ukrytych znaczeń domu.

### 31

Śniadanie znów jadłem sam. Dzień był wietrzny, niebo jak zwykle błękitne, ale znad morza nadciągała hałaśliwa bryza wirując wśród liści dwóch palm, które stały jak strażnicy z dwóch stron domu. Na południu, za przylądkiem Matapan, zaczął się *meltemi*, letni sztorm, który zerwał się koło Wysp Jońskich.

Zszedłem na plażę. Nie było tam łodzi. Potwierdziło to moją na wpół tylko sformułowaną teorię, że „goście” mieszkali na jachcie ukrytym w którejś pustej zatoczce na zachodzie lub południu wyspy czy też zakotwiczonym u brzegu jednej z bezludnych wysepek znajdujących się o pięć mil na wschód. Wypłynąłem na morze, by zobaczyć, czy na tarasie siedzi Conchis. Ale taras był pusty. Położyłem się na plecach i pozwoliłem unosić falom: moja spalona słońcem twarz rozkoszowała się ich chłodnym dotykiem, a ja rozmyślałem o Lily.

Potem spojrzałem w stronę lądu.

Lily stała na pokrytym solą szarym żwirze na tle zieleni drzew i ochry skał. Jak najszybciej mogłem, popłynąłem w stronę brzegu. Przeszła parę kroków między skałami, przystanęła i zaczęła mi się przyglądać. Wreszcie wylazłem z morza, stanąłem zdyszany i ociekający wodą, nie mogąc oderwać od niej wzroku. Znajdowała się o jakieś dziesięć jardów ode mnie, miała na sobie wykwintną i śliczną letnią sukienkę z czasów pierwszej wojny światowej. Sukienka była w szarobłękitne, białe i różowe paski i z tego samego materiału zrobiono parasolkę z frędzelkami, którą Lily trzymała w rękę. Cały czas palce wiatru igrały z jej długimi jedwabistymi jasnymi włosami, owijając je wokół szyi, pakując do ust.

Lily wykrzywiła buzię, było w tym trochę kpiny z samej siebie, a trochę ze mnie, stojącego po kolana w wodzie. Nie wiem, czemu coś nakazało nam milczenie i przez chwilę nasze spojrzenia zwały się, nabierając dziwnej powagi. W moim musiała dojrzeć nieukrywane podniecenie. Wyglądała młodziutko, pełna była nieśmiałej zuchwałości. Uśmiechnęła się z zakłopotaniem a równocześnie figlarnie, tak jakby pojawiła się tu bez pozwolenia, tak jakby jej pojawienie się było czymś niewłaściwym.

— Czyżby Neptun obciążł panu język?

— Wygląda pani zachwycająco. Jak z obrazu Renoira.

Odsunęła się i zaczęła bawić parasolką. Włożyłem plażowe pantofle i dogoniłem ją wycierając równocześnie plecy ręcznikiem. W jej uśmiechu pojawiła się naiwna przebiegłość, usiadła na płaskiej skale w cieniu samotnej pinii, tuż obok parowu stromo opadającego w stronę kamienistego brzegu. Zamknęła parasolkę i wskazała nią na leżący obok kamień, to tam miałem usiąść. Ale ja rozpostarłem ręcznik na skale i przysiadłem tuż koło niej. Wilgotne usta, puszek na nagich ramionach, nad lewym nadgarstkiem blizna, rozpuszczone włosy — poważna młoda dama z poprzedniej nocy znikła bez śladu.

— Jest pani najczarowniejszym duchem, jakiego znam.

— Tak?

Naprawdę tak myślałem, ale równocześnie chciałem wprowadzić ją w zakłopotanie. Ale ona się tylko szerzej uśmiechnęła.

— Kim są tamte dziewczyny?

— Jakie dziewczyny?

— Niech pani da spokój. Dosyć tych żartów.

— Niech pan ich nie psuje.

— No, przynajmniej przyznaje pani, że to żarty.

– Niczego nie przyznaję.

Unikała moich oczu i zagryzła wargi. Głęboko odetchnąłem. Tak, wyraźnie przygotowywała się do odparowania następnego ciosu. Czubkiem pantofelka pchnęła kamyczek. Pantofelek był z popielatej kozłej skóry, bardzo elegancki, zapięty na guziki, nad pantofelkiem widać było białą pończoszkę ze strzałką nad kostką. Przez strzałkę, która zniknęła o jakieś cztery cale wyżej pod rąbkiem sukienki widać było nagą skórę. Odniosłem wrażenie, że nóżka została umyślnie wystawiona na pokaz, aby nie umknął mi ten czarujący szczegół. Wiatr zsunął jej włosy na twarz. Miałem ochotę odgarnąć je, albo też potrząsnąć nią mocno, trudno mi powiedzieć, czego pragnąłem bardziej. Wreszcie spojrzałem na morze, był to gest Ulissesa przywiązującego się do masztu.

– Daje mi pani do zrozumienia, że odgrywa pani swą rolę po to, by sprawić przyjemność panu Conchisowi. Jeśli chce pani, żebym się włączył do zabawy, lepiej byłoby wyjaśnić mi jej powody. I dlaczego mam uważać, że pan Conchis sam nie wie dokładnie, co jest grane.

Lily zawahała się i przez moment sądziłem, że udało mi się zwalczyć jej opór.

– Niech mi pan poda rękę. Powróżę panu. Może pan usiąść bliżej, tylko proszę uważać, żeby mi pan nie zmoczył sukienki.

Znów nie wiedziałem, co myśleć, ale podałem jej rękę. Może w ten określony sposób chciała mi coś wyznać. Wzięła mnie leciutko za przegub ręki i paluszkami przesunęła po liniach dłoni. W wycięciu sukni widziałem zarys jej piersi, bardzo białą skórę i kuszącą okrągłość. Udało jej się zrobić taką minę, jakby ten wyświechtany gambit był ryzykownym posunięciem. Jej paluszek, niewinnie i sugestywnie zarazem, sunął po mojej dłoni. Zaczęła mówić.

– Będzie pan długo żył. Będzie pan miał troje dzieci. Koło czterdziestki zagrozi panu śmierć. Pana mocną stroną jest umysł, nie serce. I umysł zdradza serce. Tu... tak, widzę w pańskim życiu wiele zdrad. Czasem zdradza pan samego siebie, a czasem tych, którzy pana kochają.

– Proszę odpowiedzieć na moje poprzednie pytanie.

– Ręka mówi o tym, co będzie. A nie dlaczego.

– Czy mogę powróżyć z kolei pani?

– Jeszcze nie skończyłam. Nigdy nie zdobędzie pan bogactw. Powinien się pan wystrzegać czarnych psów, mocnego alkoholu i starych kobiet. Będzie pan miał wiele romansów, ale naprawdę będzie pan kochał tylko jedną dziewczynę, ożeni się pan z

nią i będzie bardzo szczęśliwy.

— Mimo że koło czterdziestki będę bliski śmierci?

— Może właśnie dlatego, że koło czterdziestki będzie pan bliski śmierci. O, to w tym miejscu grozi panu śmierć. I potem linia szczęścia jest dużo wyraźniej zaznaczona.

Puściła moją dłoń i skromnie złożyła rączki na kolanach.

— A teraz mogę pani powróżyć?

— A czy teraz mógłbym pani powróżyć?

Udzielwszy mi tej lekcji poprawnego mówienia przez chwilę drożyła się, ale nagle wyciągnęła rękę. Udawałem, że wróżę, wodziłem palcem po liniach dłoni i próbowałem mówić poważnym tonem naśladując Sherlocka Holmesa. Ale nawet ten wielki mistrz, przed którym nie ukryła się żadna irlandzka służąca z Brixton, uwielbiana ciążutką i wiosłowanie, tu dałby za wygraną. Ręce Lily były niczym nie naznaczone i gładziutkie, kimkolwiek była, na pewno nie była służącą.

— Długo się pan namyśla, panie Urfe.

— Mam na imię Nicholas.

— Dobrze, Nicholas, możesz do mnie mówić Lily. Ale nie możesz całymi godzinami ścisnąć mnie za rękę.

— Tylko jedną rzecz widzę naprawdę wyraźnie.

— Co?

— Że jesteś znacznie inteligentniejsza, niż to obecnie okazujesz.

Wyrwała mi dłoń i patrzyła w nią wydymając śmiesznie wargi. Ale nie należała do dziewczyn, które się dąsają. Pasma włosów znów opadło jej na policzek, wiatr wydymał jej sukienkę, dodając kokieterii, a nawet pewnej lubieżności, pomagał jej w odgrywaniu roli dziewczyny młodszej, niż była w rzeczywistości. Przypomniałem sobie, co Conchis opowiadał mi o prawdziwej Lily. Siedząca koło mnie dziewczyna starała się, jak mogła — może zresztą została obsadzona w tej roli, nim ja usłyszałem ową opowieść. Roli tej jednak nie udźwignąłby największy talent aktorski świata. Znów pokazała mi dłoń.

— A co ze śmiercią?

— Wypadasz z roli. Przecież już dawno nie żyjesz.

Założyła rękę i wpatrzyła się w fale.

— A może nie mam wyboru.

Zupełna zmiana kursu. Wydało mi się, że dostrzegam w jej głosie nutę żalu,

buntu, że zrzuca kostium na rzecz teraźniejszości... Zajrzałem jej w twarz.

— To znaczy?

— On słyszy wszystko, co mówimy. Wszystko wie.

— Musisz mu wszystko powtarzać? — spytałem z niedowierzaniem. Ona pokręciła głową i zrozumiałem, że bynajmniej nie przestała grać. — Nie musisz mi mówić. Telepatia?

— Telepatia i... — spuściła oczy.

— I co?

— Nie mogę powiedzieć nic więcej.

Wzięła parasolkę i otworzyła ją, tak jakby zamierzała odejść. Brzeg parasolki obsyty był maleńkimi frędzelkami.

— Czy jesteś jego kochanką? — Spojrzała na mnie tak zgorszonym wzrokiem, że pomyślałem, iż nareszcie udało mi się wytrącić ją z roli. — To ten wczorajszy striptiz — oświadczyłem. I dorzuciłem: — Po prostu chcę wiedzieć, co jest grane.

Wstała i miękkim krokiem poszła po zwirze w stronę prowadzącej do domu ścieżki. Pobiegłem za nią i zastąpiłem jej drogę. Przystanęła ze spuszczonej oczyma, po czym podniosła je i spojrzała na mnie z mieszaniną opryskliwości i wyrzutu. W głosie jej zabrzmiała pasja.

— Dlaczego zawsze musisz wszystko wiedzieć? Nigdy nie słyszałeś o wyobraźni?

— Celny strzał. Ale nic z tego.

Chłodnym wzrokiem skwitowała mój uśmiech, potem znów opuściła oczy.

— Teraz rozumiem, dlaczego nie umiesz pisać wierszy.

Z kolei ja się oburzyłem. W ciągu pierwszego weekendu opowiedziałem Conchisowi o moich nieudanych aspiracjach literackich.

— Jaka szkoda, że nie jestem kaleką. Też byłby powód do śmiechu.

Obrzuciła mnie spojrzeniem, które było chyba jej własne... potem odwróciła głowę.

— Nie powinnam była tego powiedzieć. Przepraszam.

— Dziękuję.

— Nie jestem jego kochanką.

— Ani, mam nadzieję, niczyją.

Odwróciła się do mnie tyłem i popatrzyła na morze.

— To była wielka impertynencja.

— Znacznie większą impertynencją jest oczekiwać, że przełknę te wszystkie blagi.

Trzymała parasolkę tak, aby zasłaniała jej twarz, ale udało mi się na nią zerknąć: wyraz twarzy Lily przeczył wypowiedzianym przez nią słowom. Nie potrafiła ukryć rozbawienia. Pozwoliła mi spojrzeć sobie w oczy, potem wskazała na molo.

— Przejdziemy się?

— Jeśli tak nakazuje scenariusz.

Znów zwróciła się w moją stronę i pogroziła mi palcem. — Ponieważ okazało się, że nie potrafimy znaleźć wspólnego języka, będziemy tylko spacerować.

Uśmiechnąłem się i wzruszyłem ramionami. Dobrze, rozejm...

Na molo silniej wiał wiatr i Lily miała kłopoty z włosami, był to czarujący widok. Włosy jej unosiły się w blasku słonecznym jak jedwabiste skrzydła światła. Na koniec ja wziąłem parasolkę, a ona usiłowała ujarzmić niesforne kosmyki. Znów wpadła w inny nastrój. Śmiała się, aż jej białe ząbki pobłyskiwały w słońcu, i podskakiwała, gdy fala rozpryskując się uderzała o molo. Parę razy oparła się o moje ramię, udając jednak całkowite zaangażowanie zabawą z wiatrem i morzem... Śliczna, trochę płochliwa uczennica w barwnej sukience.

Przyjrzałem się ukradkiem parasolce. Była nowa. Oczywiście pojawiający się dzisiaj duch z 1915 roku mógł mieć nową parasolkę, ale choć nie byłoby to logiczne, bardziej przekonująca byłaby stara, wypłowiała.

W domu odezwał się dzwon. Tak jak tydzień temu dzwonił w rytmie mojego imienia. Lily przystanęła i zaczęła nadśluchiwać. Dzwon zabrzmiał po raz któryś, jego dźwięk zniekształcony był wiatrem.

— Ni-cho-las! — Przez powagę, z jaką Lily wymieniła te trzy sylaby, przebijała lekka kpina. — Tobie bije dzwon.

Spojrzałem w górę.

— Po co?

— Musisz iść do domu.

— Pójdiesz ze mną? — Pokręciła przecząco głową. — Dlaczego?

— Bo nie mnie wzywa.

— Uważam, że powinniśmy uczcić nasze pojednanie.

Lily stała tuż koło mnie, przytrzymując włosy, żeby nie opadły jej na twarz. Spojrzała na mnie srogo.

— Panie Urfe! — powiedziała to tym samym chłodnym tonem, co poprzedniego



wieczoru, dobitnie podkreślając każdą sylabę. — Czy żąda pan, abym popełniła pocałunek?

Było to świetnie zagrane: figlarna dziewczyna z 1915 roku, która podkpiwa sobie z wiktoriańskiego żarciku; wyglądała absurdalnie i rozkosznie. Zamknęła oczy i podała mi policzek, ale ledwie zdążyłem dotknąć go wargami, już się cofnęła. Wstałem i spojrzałem na jej schyloną główkę.

— Wróce, jak będę mógł najszybciej.

Wręczyłem jej z powrotem parasolkę i obrzuciłem ją wzrokiem, który miał, jak to sobie wyobrażałem, wyrażać równocześnie zachwyt i stwierdzenie, że nie dałem się wystrychnąć na dudka, a potem ruszyłem w drogę. Wdrapywałem się krętą ścieżką. Dwukrotnie pokiwała mi z mola ręką. Pokonałem ostatni stromy odcinek i poszedłem wśród przeredzonych tu drzew w stronę domu. Zobaczyłem Marię stojącą pod dzwonem koło drzwi prowadzących do sali muzycznej. Ale zaledwie zrobiłem parę kroków po żwirze, świat rozpękł się na pół. A przynajmniej tak to odczułem.

Bo na tarasie, który znajdował się najwyżej pięćdziesiąt stóp ode mnie, pojawiła się kobieca sylwetka. Była to Lily. Nie mogła to być ona, ale była. Te same rozwiane wiatrem włosy; sukienka, parasolka, twarz, figura, wszystko było identyczne. Wpatrywała się ponad moją głową w morze nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi.

Był to potworny szok, wszystko stało się nierealne. Ale już po paru sekundach byłem pewien, że choć wyraźnie chcą mi to wmówić, nie może to być ta sama dziewczyna, którą przed chwilą pożegnałem na molo. Była tak podobna, że istniała tylko jedna możliwość — bliźniaczka. Zatem były dwie Lily, dwie lilie polne. Nie miałem czasu się zastanawiać. Na tarasie pojawiła się druga postać.

Nie mógł to być Conchis, był zbyt wysoki. I tylko ze względu na wzrost przypuszczałem, że jest to mężczyzna; może „Apollo”, może „Robert Foulkes”, a nawet „de Deukans”. Trudno było powiedzieć, bo ta spowita w czerń postać, miała na głowie najbardziej przerażającą maskę, jaką kiedykolwiek widziałem: ogromny łeb czarnego sza-kala, z długim pyskiem i sterczącymi spiczastymi uszami. Stali tak obok siebie, opętana i ten, kto ją opętał, wątpiła dziewczyna i groźna śmierć. Po pierwszym szoku było w tym coś groteskowego, przesadna makabryczność ilustracji z komiksu grozy.

I tym razem nie przyszło mi na myśl, że mogą w tym brać udział jakieś nadprzyrodzone siły, uznałem to za następną, znowu sprośną scenę maskarady, karykaturę tego, co było na plaży. Nie oznacza to, bym się nie przeraził, przeraziłem

się, bardzo się przeraziłem, ale mój strach zrodził się ze świadomości, że wszystko może się zdarzyć. Ta maskarada nie podlegała żadnym przepisom, nie ograniczały jej żadne konwencje.

Przez jakieś dziesięć sekund stałem jak zmrożony. Potem Maria ruszyła w moją stronę, a te dwie postacie cofnęły się, jakby nie chciały, aby je zobaczyła. Czarna ręka spoczęła na ramieniu *Doppelgängera* Lily i pociągnęła ją w tył. W ostatnim momencie dziewczyna spojrzała w dół na mnie, ale jej twarz nie zmieniła wyrazu.

*Strzeż się czarnych psów.*

Zacząłem biec ścieżką. Po chwili obejrzałem się. Na tarasie nikogo już nie było. Dobiłem do zakrętu, z którego miałem widok w dół; to stąd pół minuty temu obserwowałem Lily. Molo było puste, cała zatoczka była pusta. Zbiegłem jeszcze niżej, tam gdzie stała ławka. Stąd miałem widok na cały niemal brzeg i na ścieżkę. Na próżno czekałem, by ukazała się na niej jasna sukienka. Pomyślałem, że Lily musiała się ukryć w jakiejś pieczarze albo wśród skałek. Ale nie powinienem się zachować tak, jak tego po mnie oczekiwano. Zawróciłem i zacząłem się wdrapywać w stronę domu.

Maria czekała na mnie pod kolumnadą. Obok niej stał jakiś mężczyzna. Poznałem Hermesa, milczącego posłańca z osiołkiem. Mógłby być tym człowiekiem w czerni, ale miał zbyt obojętną minę, minę przypadkowego widza. Szybko powiedziałem po grecku: *Mia stigmi* — chwileczkę i minąwszy ich wszedłem do środka. Maria trzymała w ręku kopertę, ale nie zwróciłem na to uwagi. Wbiegłem po schodach do pokoju Conchisa. Zapukałem do drzwi. Cisza. Zapukałem po raz drugi. Potem wziąłem za klamkę. Drzwi były zamknięte.

Zszedłem na dół i zatrzymałem się w sali muzycznej, by zapalić papierosa i zapanować nad sobą.

— Gdzie jest pan Conchis?

— *Then eine mesa*. Nie ma go w domu. — Maria znów wyciągnęła kopertę, a ja nadal tego nie zauważyłem.

— Gdzie jest?

— *Ephyge me ti varca*. Popłynął łodzią.

— Dokąd?

Maria nie wiedziała. Wziąłem kopertę. Na kopercie widniało moje imię: Nicholas. W środku dwie złożone kartki.

Liścik od Conchisa.

*Mój drogi Nicholas. Zostałem nieoczekiwanie wezwany do Nauplii. Bardzo przepraszam, wrócę wieczorem*

*M.C.*

Drugą kartką był telegram. Na wyspie nie było telefonu ani telegrafu, ale nadbrzeżna straż miała radiostację.

Telegram został poprzedniego wieczoru wysłany z Aten. Myślałem, że znajdę w nim powód nieobecności Conchisa. Tymczasem po raz trzeci doznałem szoku. Zobaczyłem podpis. Telegram brzmiał:

*Wrócę piątek stop wolne trzy dni stop lotnisko szósta wieczór stop proszę przyjeźdź*

*Alison*

Telegram został wysłany w sobotę po południu. Spojrzałem na Marię i Hermesa. Przyglądali mi się z obojętnym wyrazem twarzy.

— Kiedy to przyniosłeś?

Hermes odpowiedział: *Proi, proi*, Dziś rano.

— Kto ci to dał?

— Jakiś profesor. Wczoraj wieczorem u Sarantopoulosa.

— Dlaczego zaraz mi nie oddałeś?

Hermes wzruszył ramionami i spojrzał na Marię, ona też wzruszyła ramionami. Dali mi do zrozumienia, że telegram został wręczony Conchisowi. Że to jego wina. Przeczytałem telegram powtórnie.

Hermes spytał, czy chcę wysłać odpowiedź, zaraz wraca do wsi. Odpowiedziałem, że nie.

Przyjrzałem się Hermesowi. Jego wyraz twarzy niczego dobrego nie wróżył. Ale spytałem: — Czy widziałeś tu dziś rano dwie młode damy?

Hermes spojrzał na Marię. A ona spytała: — Jakie młode damy?

Zwróciłem się do Hermesa: — Ciebie pytałem.

— *Ochi* — i zaprzeczył ruchem głowy.

Wróciłem na plażę. Cały czas wpatrywałem się w wylot ścieżki. Znalazłszy się na brzegu, pobiegłem do jaskini. Ani śladu Lily. W ciągu paru minut upewniłem się, że nie ukrywa się na brzegu. Spojrzałem na skałę. Cóż, ostatecznie można się było na

nią wdrapać i zniknąć we wschodniej części wyspy, ale trudno mi było w to uwierzyć. Wdrapałem się jednak, żeby sprawdzić, czy Lily nie siedzi skulona za jakimś kamieniem. Ale nikogo nie było.

## 32

Siedząc pod niewysoką pinią wpatrywałem się w morze i usiłowałem wziąć się w garść. Jedna z bliźniaczek podchodziła do mnie i ze mną rozmawiała. Na lewym nadgarstku miała bliznę. Druga zabawiała się w *Doppelgängera*. Będę ją widywał na tarasie, w świetle gwiazd, ale zawsze z daleka. Bliźniaczki — było to dość niezwykle, ale wiedziałem już o Conchisie dostatecznie wiele, by uznać, że można było coś podobnego przewidzieć. Kiedy ktoś jest tak bogaty, dlaczego nie ma mieć rzeczy najrzadszych? Najdziwniejszych i najrzadszych.

Skoncentrowałem uwagę na Lily, którą znałem, Lily z blizną. Dziś rano, a nawet wczoraj wieczorem starała się mnie skokietować. Jeżeli rzeczywiście była kochanką Conchisa, to trudno pojąć, dlaczego przystawał na to i umyślnie zostawiał nas samych, chyba że jego perwersja sięgała głębiej, niż byłem skłonny podejrzewać. Lily wyraźnie igrała ze mną, ale widać było, że ją to bawi, że nie odgrywa tylko roli wyznaczonej przez Conchisa. A każda gra między kobietą i mężczyzną ma seksualny podtekst; na plaży Lily otwarcie starała się mnie oczarować. Na pewno zalecił jej to ten stary, niemniej za jej figlarnością i zalotnością kryło się coś autentycznego, nie pasującego do zwykłej wynajętej aktorki. Jej „występy” były raczej pełną polotu amatorszczyzną niż zawodową grą. Wyglądało na to, że jest to dziewczyna z tego samego świata, z tego samego środowiska co ja: dziewczyna z wrodzonym poczuciem przyzwoitości i wrodzonym angielskim poczuciem humoru. Mimo wyszukanej inscenizacji wszystko to robiło raczej wrażenie szarady, odgrywanej w gronie rodzinnym, prawdziwy teatr wprowadza bowiem w świat całkowitej iluzji; a każde spojrzenie i uśmiech Lily dawały mi do zrozumienia, że mnie nabiera. Zresztą wiedziałem, że niezależnie od jej urody właśnie to mnie pociąga. Jej kokieteria była właściwie zbędna. Od chwili gdy przed tygodniem zobaczyłem jej zagadkowy przewrotny uśmieszek, byłem gotów. Krótko mówiąc, jeśli jej rola miała polegać na uwiedzeniu mnie, musiałem zostać uwiedziony. Nie byłbym w stanie się oprzeć. Byłem poszukiwaczem przygód, człowiekiem zmysłowym i choć poetą byłem

nieudanym, to dalej szukałem zmartwychwstania już nie w wierszach, lecz w wydarzeniach. Kiedy ofiarowano mi falę, musiałem ją wypić.

Rozważania te doprowadziły mnie do Alison. Jej radiogram odebrałem jak sypnięcie piaskiem w oczy w chwili, gdy człowiekowi szczególnie zależy na tym, by widzieć dokładnie. Łatwo mi było zgadnąć, jak do tego doszło. Mój poniedziałkowy list dotarł pewnie do Londynu w piątek lub w sobotę; Alison, tego dnia leciała właśnie do Grecji, była pewnie w złym nastroju, w Ellenikon miała trochę wolnego czasu, z którym nie wiedziała, co zrobić — stąd ten radiogram. Odebrałem go jak natręctwo, przywołał mnie do rzeczywistości w chwili rozkoszy, zobowiązywał do czegoś, na co już nie miałem ochoty. Nie, nie mogłem opuścić wyspy. Nie mogłem zmarnować całych trzech dni na pobyt w Atenach. Jeszcze raz przeczytałem te nieszczęsne parę słów. Conchis też je na pewno czytał — nie było koperty. Rozerwał ją prawdopodobnie Demetriades, kiedy dostarczono telegram do szkoły.

Zatem Conchis wiedział, że zostałem wezwany do Aten, i na pewno domyślił się, że chodzi o dziewczynę, o której mu opowiadałem, do której „powiniennem popłynąć”. Może dlatego wyjechał. Żeby anulować to, co przygotował dla mnie na następny weekend. Bo z góry przyjąłem, że znów mnie zaprosi, że spędzę u niego całe te cztery dni przerwy półsemestralnej, że Alison nie skorzysta z mojej niezbyt zachęcającej oferty.

Powziąłem decyzję. Nie chciałem, aby Alison pojawiła się na wyspie, nie, to było nie do pomyślenia. Jeśli już mam się z nią zobaczyć, musi to nastąpić w Atenach. Jeśli Conchis zaprosi mnie, nie pojedę do Aten, znajdę jakąś wymówkę. Jeśli nie zaprosi, będę miał w odwodzie Alison. Byłem zabezpieczony na wszystkich frontach.

Znów wezwał mnie dzwon. Pora lunchu. Zebrałem manatki i opity słońcem ciężkim krokiem wdrapałem się, po ścieżce. Ale ukradkiem rozglądałem się na wszystkie strony, moja uwaga wyostrzona była oczekiwaniem na następną odsłonę maskarady. Idąc wśród drzew w stronę domu zastanawiałem się, jaki mnie czeka widok — może zobaczę obie bliźniaczki razem, kto wie. Nie miałem racji. Nie zobaczyłem nic. Stół był nakryty na jedną osobę. Maria nie pokazała się. Pod gazą znajdowała się *torama-salata*, jajka na twardo i miseczka z *loquatami*.

Zjadłem lunch pod kolumnadą sam na sam z wiatrem, wyгнаłem z głowy myśl o Alison i gotów byłem na wszystko, co zechce mi zaproponować Conchis. Żeby mu to ułatwić, poszedłem wśród pinii w to samo miejsce, gdzie w zesłą niedzielę czytałem Roberta Foulkesa. Nie wziąłem z sobą książki, tylko położyłem się na plecach i

zamknąłem oczy.

### 33

Nie zdążyłem się zdrzemnąć. Nie upłynęło jeszcze pięć minut, gdy usłyszałem szelest i poczułem zapach sandałowego drzewa. Udawałem, że śpię. Szelest zbliżył się. Zaskrzypiały zeschnięte igły. Stopy Lily stały tuż koło mojej głowy. Głośniejszy szelest, Lily usiadła obok mnie. Myślałem, że rzuci we mnie szyszką albo połaskocze w nos. Tymczasem zaczęła recytować Szekspira. Mówiła niemal szeptem.

*Nie bój się; wyspa pełna jest rozgłosów  
I słodkich pieśni nigdy nie szkodzących,  
Czasami tysiąc dźwięcznych instrumentów  
Brzmi nad mym uchem; czasami brzmią głosy,  
Co, gdym się ze snu długiego obudził,  
Znów mnie uśpiły, a wtedy w marzeniu,  
Zda się, że chmury otwarte widziałem,  
I wielkie skarby spaść na mnie gotowe,  
Tak że zbudzony marzyć znów pragnąłem.\**

Cały czas milczałem i nie otwierałem oczu. Bawiła się słowami, nadając im podwójne znaczenie. Ten jej słodki głos, ten wiatr wśród gałęzi pinii... Skończyła, a ja nadal nie otwierałem oczu.

Szepnąłem: — Mów dalej.

— To duch jego przybywa, by poddać cię torturom.

Otworzyłem oczy. Spoglądała na mnie szatańska zielonoczarna twarz z wyłupiastymi purpurowymi oczyma. Usiadłem, Lily trzymała w lewej ręce chińską maskę na kijku. Zobaczyłem bliznę. Dziewczyna przebrała się w białą bluzkę z długimi rękawami i długą szarą spódnicę, a włosy związała czarną aksamitną wstążką. Odsunąłem maskę.

— Marny z ciebie Kaliban.

— Może ty go zagrasz?

— Myślałem raczej o roli Ferdynanda.

Znów uniosła maskę i ponad nią przyglądała mi się kpiąco i dosyć oschle. Dalej toczyła się gra, utrzymana już jednak w innym tonie, bardziej szczerza.

— Jesteś pewien, że masz dosyć talentu, by ją zagrać?

— Nadrobię uczuciem.

W oczach jej dalej błyszczały kpiące iskierki.

— To zabronione.

— Przez Prospera?

— Kto wie?

— Tak samo się zaczęło u Szekspira. Zakazem. — Spuściła oczy. — Tyle że jego Miranda była naiwniejsza i bardziej niewinna.

— Ferdynand także.

— Tylko że ja mówię ci prawdę. A ty zasypujesz mnie kłamstwami.

Nie podniosła oczu, ale zagryzła wargi. — Powiedziałam ci także parę prawdziwych rzeczy.

— Tak jak o tym czarnym psie, przed którym byłaś uprzejma mnie ostrzec? — i szybko dorzuciłem: — Tylko na litość boską nie pytaj mnie, o jakiego psa chodzi.

Objęła rękami kolana, przechyliła się w tył i wpatrzyła w korony drzew. Na nogach miała absurdalne, czarne sznurowane trzewiczki. Powiało atmosferą wiejskiej szkoły sprzed półwiecza, przypominała się pani Pankhurst, pierwsze nieśmiałe próby kobiecej emancypacji. Dłuższą chwilę Lily milczała.

— Jaki czarny pies?

— Ten, koło którego stała dziś rano twoja bliźniacza siostra.

— Nie mam siostry.

— Nie opowiadaj bzdur. — Oparłem się na łokciu i uśmiechnąłem. — Gdzie się schowałaś?

— Wróciłam do domu.

Nic się nie dało zrobić, nie chciała zdjąć maski. Przyjrzałem się jej twarzy, która nic nie wyrażała, i sięgnąłem po papierosa. Lily patrzyła, jak się zaciągam, i niespodziewanie wyciągnęła rękę. Podałem jej papierosa. Wysunęła wargi typowym ruchem początkującego palacza, zaciągnęła się raz, potem drugi i zaczęła kasłać. Ukryła twarz na kolanach oddając mi papierosa, znów zaczęła kasłać. Patrzyłem na jej kark, na wątle ramiona i przypomniałem sobie nagą nimfę z poprzedniego wieczoru,

---

\* Kaliban w *Burzy*, przekład Leona Ulricha.

była tego samego wzrostu, tak samo krucha, miała tak samo drobne piersi.

— Gdzie się uczyłaś?

— Uczyłam?

— W której szkole teatralnej? W RADA.\* — Nie otrzymałem odpowiedzi. Spróbowałem zaatakować z innej strony. — Starasz się, zresztą z dużym powodzeniem, oczarować mnie. Dlaczego?

Tym razem nie udawała obrazy. Jeśli robiłem postępy, należało je mierzyć chwilami, kiedy przestawała udawać. Podniosła głowę i przechyliła się w tył, opierając się na jednej ręce. Potem wzięła maskę i znów się nią zasłoniła jak parawanem.

— Jestem Astarte, matka tajemnicy.

Złośliwe fiołkowe oczy rozszerzyły się, a ja uśmiechnąłem się dość niechętnie. Chciałem, żeby zrozumiała, że jej improwizacje niedługo zaczną mnie nudzić.

— Bardzo mi przykro, ale jestem ateistą.

Położyła maskę.

— Zatem będę cię musiała nauczyć wiary.

— W mistyfikacje?

— Także i w mistyfikacje.

Usłyszałem dobiegający z morza warkot motoru. Ona także musiała go usłyszeć, ale nie okazała tego.

— Bardzo chciałbym spotkać się z tobą poza Bouraini.

Spojrzała poprzez drzewa w stronę południa. Zaczęła mówić bardziej współczesnym tonem.

— Może podczas przyszłego weekendu?

Od razu domyśliłem się, że wie o Alison, ale i ja też mogłem udawać fałszywą ignorancję.

— Czemu nie?

— Maurice nigdy się na to nie zgodzi.

— Jesteś już w tym wieku, że nie musisz prosić o pozwolenie.

— O ile wiem, masz jechać do Aten.

Chwilę milczałem. — Muszę powiedzieć, że jeden z aspektów tej zabawy niezbyt mi się podoba.

Teraz ona także oparła się na łokciu, odwracając do mnie plecami. Kiedy wreszcie odezwała się, mówiła szeptem.



— Nie tylko tobie.

Poczułem podniecenie, to był naprawdę postęp. Usiadłem, żeby móc widzieć chociaż jej profil. Miała dość niechętny wyraz twarzy, ale przynajmniej nie robiło to wrażenia gry.

— Zatem przyznajesz, że to wszystko zostało zainscenizowane?

— Częściowo.

— Jeśli naprawdę dzielisz moje uczucia, powiedz mi, o co tu chodzi. Dlaczego się mnie szpieguje?

Potrząsnęła głową. — Nikt cię nie szpieguje. Po prostu była o tym mowa. Przypadkiem.

— Nie wybieram się do Aten. Między nami wszystko się już skończyło. Częściowo dlatego właśnie tu przyjechałem. Do Grecji. Żeby uciec od czegoś, co się okropnie pogmatwało... Ona jest Australijką. Stewardesą.

— A ty już...

— Co już?

— Przestałeś ją kochać?

— O miłości nie było mowy. — Ona znów przemilczała moje słowa, wzięła szyszkę i zaczęła się nią bawić, jakby chcąc ukryć zakłopotanie. Teraz jej nieśmiałość robiła wrażenie szczerzej, nie zagranej, wyczuwałem w niej także podejrzliwość, nie wiedziała, czy ma mi wierzyć. — Nie wiem, co ci ten stary naopowiadał?

— Tylko tyle, że ona chce się znów z tobą zobaczyć.

— Jesteśmy już tylko przyjaciółmi. Oboje wiedzieliśmy, że sprawa nie ma przyszłości. Od czasu do czasu pisujemy do siebie. Chyba wiesz, jacy są Australijczycy — dorzuciłem. Ona pokręciła głową. — Niezbyt cywilizowani. I nie bardzo wiedzą, kim są, gdzie jest ich miejsce. Jej z jednej strony trochę brak... jakby to nazwać... oglądy... I jest nastawiona antyangielsko. A z drugiej strony... w gruncie rzeczy było mi chyba przede wszystkim jej żal.

— Mieszkaliście razem... jak mąż z żoną?

— Jeśli chcesz to tak dziwacznie nazwać. Przez parę tygodni. — Skinęła poważnie głową, jakby dziękując za tę poufną informację. — Ale bardzo chciałbym wiedzieć, czemu cię to tak interesuje.

Przechyliła na bok głowę, jakby chcąc dać do zrozumienia, iż nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, ta prostota była jednak lepszą odpowiedzią niż jakiegokolwiek

---

\* Royal Academy of Dramatic Arts.

słowa. Nie wiedziała, czemu ją to interesuje. Ciągnąłem dalej:

— Na Phraxos nie czułem się zbyt szczęśliwy. Aż do chwili kiedy trafiłem tutaj. Byłem dosyć osamotniony. Wiedziałem, że tej dziewczyny... nie kocham. Ale była jedyną osobą w moim życiu. I to wszystko.

— Może ona też uważa ciebie za jedyną osobę w swoim życiu.

Parsknąłem śmiechem. — W jej życiu jest pełno mężczyzn. Daję ci słowo. Od chwili, gdy wyjechałem z Anglii, było co najmniej trzech. — Jakaś skrzętna mrówka biegła zygzakiem po białej bluzce, sięgnąłem więc i strząsnąłem mrówkę. Lily musiała to poczuć, ale nie odwróciła się w moją stronę. — I bardzo chciałbym, żebyś przestała się zgrywać. Ty też musiałaś mieć pełno takich spraw, myślę o twoim prawdziwym życiu.

— Nie. — Znów potrząsnęła głową.

— Ale przyznajesz, że masz prawdziwe życie. To absurd udawać, że jesteś zgorzozona.

— Nie chciałam być wścibska.

— Świetnie wiesz, że przejrzałem już twoją rolę. To wszystko zaczyna być kretyńskie.

Chwilę milczała, potem usiadła i spojrzała mi prosto w twarz. Najpierw rozejrzała się naokoło, a potem spojrzała mi w oczy, patrzyła niepewnym, pytającym wzrokiem, który przynajmniej częściowo potwierdził moje słowa. Tymczasem niewidzialna motorówka zaczęła się zbliżać. Wyraźnie kierowała się w stronę zatoki.

— Jesteśmy obserwowani?

Leciuteńko wzruszyła ramionami. — Tu wszystko znajduje się pod obserwacją.

Rozejrzałem się, ale niczego nie dostrzegłem. Znów wlepiłem w nią wzrok. — Możliwe. Ale nie uwierz, że ktoś słyszy wszystko, co mówimy.

Oparła łokcie o kolana, brodę o dłonie i spojrzała w przestrzeń za moimi plecami.

— To tak jak z zabawą w chowanego, Nicholas. Trzeba się upewnić, że ten, kto ma szukać, chce brać udział w zabawie. A ten, kto się chowa, musi zostać w kryjówce. Inaczej nie ma zabawy.

— Zabawy nie ma także, kiedy nie chcesz przyznać, że cię znaleziono, kiedy cię już znaleziono — oświadczyłem. — Nie jesteś Lily Montgomery. Jeśli ona kiedykolwiek istniała.

Spojrzała na mnie z oburzeniem: — Istniała.

— Ale nawet starszy pan przyznaje, że ty nią nie jesteś. I skąd jesteś tego taka pewna?

— Ponieważ ja istnieję.

— Aha, teraz twierdzisz, że jesteś jej córką?

— Jestem.

— I ty, i twoja bliźniacza siostra.

— Jestem jedynaczką.

Tego już było za wiele. Nie zdążyła się nawet poruszyć, gdy ja ukląknęłam, popchnąłem ją tak, że upadła na plecy, chwyciłem za ramiona i spojrzałem prosto w oczy. Dojrzałem w nich przerażenie i postanowiłem to wykorzystać.

— Teraz słuchaj mnie uważnie. Wszystko to jest bardzo zabawne. Ale ty masz bliźniaczkę i świetnie o tym wiesz. Udają ci się te numery ze znikaniem i wspaniale opanowałaś sztukę prowadzenia rozmowy w stylu początków stulecia, i tak dalej. Ale paru rzeczy nie potrafiłaś ukryć. Jesteś inteligentna. I tak samo rzeczywista jak ja. — Ścisnąłem ją mocniej za ramiona i skrzywiła się. — Nie wiem, czy robisz to wszystko z miłości dla tego starszego pana. Czy za pieniądze. Czy dla zabawy. Nie wiem, gdzie się ukrywacie, ty, twoja siostra i twoi przyjaciele. I mało mnie to obchodzi, bo uważam, że to wspaniały pomysł, bo lubię ciebie, lubię Maurice'a i wobec niego zgadzam się grać każdą wyznaczoną mi rolę... tylko nie traktujmy tego tak cholernie serio. Graj sobie, kogo chcesz. Ale na litość boską nie wysilaj się na próżno. Dobra?

Wpatrywałem się w jej oczy i widziałem, że wygrałem. Wyczytałem w nich już nie strach, lecz zgodę.

Powiedziała: — Odczep się. Coś mnie gniecie. Kamyk czy co.

Zwycięstwo. Zaczęła używać współczesnego słownictwa.

— No, chwała Bogu.

Ukląknąłem, potem wstałem i zapaliłem papierosa. Ona usiadła, wyprostowała się i zaczęła masować sobie plecy. Zobaczyłem, że rzeczywiście na ziemi leży szyszka. Lily ukryła twarz na kolanach, które podciągnęła do góry. Spojrzałem na nią i pomyślałem, że już dawno powinienem był wpaść na pomysł użycia siły. Milczała i nie zmieniała pozycji. Z opóźnieniem zdałem sobie sprawę, że udaje płacz.

— To też nie chwyci.

Przez parę sekund nie odpowiadała, potem podniosła głowę i żałośnie na mnie spojrzała. Łzy były prawdziwe. Spojrzała w bok, jakby wstydząc się własnej głupoty i otarła łzy wierzchem dłoni. Przykucnąłem obok niej i podałem jej swojego papierosa:

wzięła go.

— Dziękuję.

— Nie chciałem ci zrobić przykrości.

Zaciągnęła się dymem jak prawdziwy palacz, nie nowicjusz.

— Tak się starałam.

— Byłaś cudowna... nie masz pojęcia, jakie to było dla mnie dziwne doświadczenie. Piękne i dziwne. Tylko, widzisz, nie można się wyzbyć poczucia rzeczywistości. To jak z prawem ciąży. Ciężeniu też nie można się opierać zbyt długo.

Uśmiechnęła się nieśmiało i dziwnie ponuro.

— Sam nie wiesz, jak dobrze rozumiem, co masz na myśli.

Otworzyła się przede mną nowa perspektywa: może ona także grała swoją rolę pod przymusem.

— Zamieniam się w słuch.

Znów spojrzała w dal.

— Rano mówiłeś o scenariuszu. Mam cię zaprowadzić i coś ci pokazać. Posąg.

— Dobra. Prowadź. — Wstałem. Ona odwróciła się i starannie zgasła niedopałek o ziemię, potem spojrzała na mnie akcentując uległość.

— Czy możesz na pięć minut przestać mnie dręczyć? Chciałabym wrócić do siebie.

Spojrzałem na zegarek: — Nawet na sześć. Ale ani sekundy dłużej. — Wyciągnęła rękę i pomogłem jej wstać, ale nie wypuściłem jej dłoni. — I nie mów, że chęć lepszego poznania kogoś, kto jest tak wyjątkowo atrakcyjny, to dręczenie.

Spuściła oczy. — Ten ktoś nie musi grać roli kogoś... dużo mniej doświadczonego niż ty.

— To nie odbiera mu atrakcyjności.

— Chodź. To niedaleko. Na wzgórzu.

Zaczęliśmy wdrapywać się po zboczu, trzymając się za ręce. Po chwili uścisnąłem jej dłoń, odpowiedziała mi leciutkim uściskiem. Nie miało to nic wspólnego ze zmysłowością, było raczej obietnicą przyjaźni, tak przynajmniej to odczytałem, gdyż uwierzyłem w to, co o sobie powiedziała. Trochę ze względu na jej wygląd; miała wyjątkowo subtelne rysy, co zwykle idzie w parze z nieśmiałością, niechęcią do fizycznego kontaktu. Czułem, że za powierzchowną kokieterijną zuchwałością, wynikającą z odgrywanej roli, ukrywa się duch niewinności, może

nawet dziewictwa, i uważałem, że mam szczególne przygotowanie, by przy pierwszej okazji poddać go egzorcyzmom. Znow nawiedziło mnie uczucie ze starożytnych baśni: oto wchodzę do legendarnego labiryntu, poczułem się niezwykle uprzywilejowany. Teraz, kiedy znalazłem i trzymałem za rękę moją Ariadnę, nie zamieniłbym się z nikim na świecie. Miałem wrażenie, że w tej chwili znajduje usprawiedliwienie mój samolubny, łajdacki stosunek do dziewczyn, a nawet to, że przed chwilą pomniejszyłem znaczenie Alison, odsyłając ją w daleką przeszłość. Bo czekałem na ten właśnie moment, jakaś cząstka mnie samego wiedziała, że on nadejdzie.

### 34

Lily poprowadziła mnie wśród pinii wyżej, niż dotarłem tydzień temu, nim zszedłem do parowu. Tu przez parów prowadziła ścieżka z wyrąbanymi w skale stopniami. Z drugiej strony parowu, po pokonaniu niewielkiego wzniesienia, znaleźliśmy się w maleńkiej dolince, która — jak miniaturowy amfiteatr — spoglądała ku morzu. Na samym środku dolinki, na cokole z nieobrobionej skały stał posąg. Była to kopia słynnego posągu Posejdona, wyłowionego z morza gdzieś koło Eubei na początku naszego stulecia. W moim pokoju w szkole zawiesiłem pocztówkę z jego fotografią. Stał wspaniały, na rozstawionych nogach, wyciągając w stronę morza majestatyczne ramię, żaden wytwór ludzkiej ręki nie był tak niezgłębienie królewski, tak niemiłosiernie boski; nowoczesność Henry Moore'a i odwieczność skały, na której stał. Zdziwiłem się, że Conchis nie pokazał mi go wcześniej, taka kopia musiała kosztować majątek — a ustawiono ją na uboczu, niemal ukryto, i w ogóle o niej nie wspomniano... Znow musiałem pomyśleć o de Deukansie i o teatralnym talencie dozowania niespodziewanych wrażeń.

Staliśmy przyglądając się posągowi. Lily uśmiechnęła się na widok wyrazu mojej twarzy i podeszła do drewnianej ławeczki stojącej w cieniu migdałowca na wzgórzu za posągiem. Ponad drzewami widać było morze, ale z morza posąg był niewidoczny. Lily usiadła naturalnie, bez wyszukanej elegancji, przyznając milcząco, że suknia jej jest tylko teatralnym kostiumem. Było to trochę tak, jakby go z siebie zrzuciła. Usiadłem o trzy stopy od niej, musiała zauważyć, że bacznie się jej przyglądam. „Rozejm” się skończył. Ale ona unikała mego wzroku i nie odzywała się.

— Powiedz mi, jak się naprawdę nazywasz.

— Nie podoba ci się Lily?

— Pyszne imię dla wiktoriańskiej szynkareczki.

Uśmiechnęła się, był to dość niewymuszony uśmiech. — Moje prawdziwe imię wcale mi się bardziej nie podoba. Na chrzcie otrzymałam imię Julia, ale potem nazywano mnie zawsze Julie.

— Julie, a dalej?

— Holmes — szepnęła — ale nigdy nie mieszkałam na Baker Street.

— A jak ma na imię twoja siostra?

Zawahała się: — Jesteś dziwnie pewny, że ona istnieje.

— Czyżby nie istniała?

Znów zawahała się, wreszcie podjęła decyzję. — Urodziłyśmy się w lecie. Rodzice poszli po drodze najmniejszego oporu. — Wzruszyła ramionami, jakby chcąc okazać, że uważa to za absurd. — Ona ma na imię June.\*

— June i Julie.

— Nie mów Maurice'owi, że ci o tym powiedziałam.

— Od dawna go znasz?

Pokręciła przecząco głową. — Ale wydaje mi się, że dawno.

— To znaczy?

Spuściła oczy. — Czuję się jak zdrażczyni.

— Przecież wiesz, że cię nie wydam.

Znów spojrzała na mnie niepewnie i pytająco, z wymówką, że nie przestaję nalegać, ale zobaczyła, że tym razem nie ustąpię. Schyliła się lekko, wpatrując się w ziemię.

— Zostałyśmy tu sprowadzone pod fałszywymi pozorami. Parę tygodni temu. Właściwie to aż dziwne, żeśmy od razu nie uciekły.

Zawahałem się; przyszedł mi na myśl Leverrier i Mitford. Ale postanowiłem zachować tę kartę na później.

— Nigdy tu przedtem nie byłaś?

Jej zdziwienie robiło wrażenie autentycznego. — Skąd ci to przyszło do głowy?

— Tak się tylko zastanawiałem.

— Ale spytałeś...

— Bo myślałem, że to samo odbywało się w zeszłym roku.

Podejrzliwie szukała mego wzroku.

— Coś słyszałeś...?

— Nie, nie. — Uśmiechnąłem się. — Przyszło mi to po prostu nagle na myśl...  
Co to były za fałszywe pozory?

Przypominało to trochę poszturchiwanie opornego muła, czarującego muła, który jednak wydawał się bać każdego kroku. Wpatrywała się w ziemię szukając słów.

— Chciałam powiedzieć, że mimo wszystko jesteśmy tu z własnej woli. Choć nie jesteśmy zupełnie pewne, co się kryje za... za tym wszystkim, co się tu dzieje, chwilami czujemy wobec Conchisa wdzięczność, i właściwie mu ufamy. — Umilkła, otworzyłam usta, ale uciszyła mnie błagalnym spojrzeniem. — Proszę, pozwól mi skończyć. — Przyłożyła ręce do policzków. — Strasznie to trudno wytłumaczyć. Ale obie czujemy się wobec niego bardzo zobowiązane. A poza tym wydaje mi się, że jeśli odpowiem na wszystkie pytania, które chcesz mi zadać, a świetnie wiem, że chcesz, to będzie trochę tak, jakbym ci opowiedziała treść kryminalnego filmu na parę minut przed pójściem do kina.

— Ale chyba możesz mi powiedzieć, jak to się stało, że bierzesz w tym filmie udział?

— Nie bardzo. Stanowi to część intrygi.

Znów mi umykała. Ogromny, brązowy chrząszcz buczał wśród gałęzi migdałowca. Stojący poniżej nas w pełnym słońcu posąg rozkazywał wiatrom i morzu. Obserwowałam jej twarz, malowała się na niej niepewność.

— Dostajesz za to forszę?

Zawahała się. — Tak, ale...

— Ale co?

— Nie chodzi o pieniądze.

— Przed chwilą wcale nie byłaś taka pewna, że ci się podoba to, co on ci każe robić.

— To dlatego, że nigdy nie wiemy, do jakiego stopnia wierzyć w to, co nam mówi. Bo nie myśl, że tylko ty nie wiesz nic, a my wiemy wszystko. Oczywiście, opowiedział nam dużo więcej o tym, czego chce. Ale nie wiemy, czy to prawda. — Wzruszyła ramionami. — Tylko tyle, że w tym labiryncie zrobiliśmy parę kroków więcej niż ty. Ale to nie oznacza, że jesteśmy bliżej środka.

Chwilę pomilczałam. — Występowałaś na scenie w kraju?

— Tak. Ale nie zawodowo.

— Na uniwerku?

Uśmiechnęła się kwaśno. — Jeszcze jedno nas niepokoi... Mamy uczucie, że on słyszy każde nasze słowo. Nie potrafię ci powiedzieć, w jaki sposób, ale przypuszczam, że w ciągu dzisiejszego dnia zrozumiesz, co mam na myśli. — Nie dopuściła, bym wyraził mój sceptycyzm. — Nie ma to nic wspólnego z telepatią. Telepatia to tylko pretekst. Coś w rodzaju metafory.

— A zatem?

— Jeślibym ci powiedziała, wszystko bym popsowała. Jedno ci powiem. To niezwykle doświadczenie. Nie z tego świata. Dosłownie.

— Przeszłaś przez nie?

— Tak. To jeden z powodów, dla których obie z June postanowiłyśmy mu zaufać. Bo nie może to być twór wypaczonego umysłu.

— Ciągle nie rozumiem, w jaki sposób mógłby usłyszeć, co mówimy?

Wpatrywała się w pusty obszar morza. — Nie wyjaśniam ci tego także i z tej przyczyny, że wcale nie mogę być pewna, iż nie usłyszy tego z twoich ust.

— Na Boga Ojca, przecież ci już mówiłem, że nie przyszłoby mi nawet na myśl wydać cię.

Spojrzała na mnie przelotnie i znów utkwiała wzrok w morzu. Zniżyła głos. — Skąd możemy być pewne, że jesteś tym, za kogo się podajesz? Wiemy to tylko od ciebie i od Maurice'a.

— Chyba oszalałaś.

— Próbuję ci tylko wytłumaczyć, że nie tylko ty nie wiesz, co myśleć. Może wbrew pozorom coś przed nami ukrywasz.

— Wystarczy, żebyś przespacerowała się przez wyspę. Do szkoły. I spytała pierwszą spotkaną tam osobę... A co z resztą aktorów tej maskarady? — dorzuciłem.

— To nie Anglicy. I są całkowicie pod wpływem Maurice'a. Zresztą rzadko ich widzimy. Dopiero przyjechali.

— Więc podejrzewasz, że wynajęto mnie po to, żebym ciebie nabierał?

— Nie możemy tego wykluczyć.

— Chryste Panie! — Wpatrywałem się w nią, usiłując zmusić, aby przyznała, że to śmieszne, ale ona zachowywała pełną powagę. — No wiesz. Kto by to potrafił zagrać?

Udało mi się wywołać jej uśmiech. — To mi też przyszło na myśl.

— Przecież możesz stąd wyjść, zabiorę cię do szkoły.



- Zabronił mi.
- Odplacę mu tylko pięknym za nadobne.
- Ironia polega na tym, że ja... — potrząsnęła głową.
- Julie, naprawdę możesz mi ufać.

Zaczerpnęła powietrza. — Ironia polega na tym, że wcale nie jestem pewna, czy nie oczekuje ode mnie właśnie tego. Żebym się wyłamala. To najdziwniejszy człowiek pod słońcem. Zabawa w chowanego... Nie, raczej w ślepa babkę. Obracają cię tyle razy w kółko, że tracisz poczucie kierunku. I zaczynasz doszukiwać się podwójnego, potrójnego znaczenia we wszystkim, co on myśli i mówi.

- No to wyłam się. Żeby zobaczyć, co się stanie.

Znów zawahała się, po czym obdarzyła mnie uśmiechem. Dawała do zrozumienia, że chce mi zaufać, ale muszę uzbroić się w cierpliwość.

- Czy życzyłybyś sobie, żeby to się urwało? Żeby już jutro było po wszystkim?
- Nie.

– Widzisz, przecież wszyscy jesteśmy niejako na jego łasce. Parę razy usiłowałam dać ci to do zrozumienia.

– Owszem, to jest bardzo nieuchwytnie. Jak pajęcza sieć. Intelktualnie, czy, jeśli wolisz, teatralnie. Mam uczucie, że nasze nieostrożne zachowanie mogłoby wszystko popsuć. — Znów na mnie spojrzała. — Mówię poważnie.

- Czy groził, że odwoła przedstawienie?

– Nie musiał grozić. Jeśli sami nie będziemy przeświadczeni, że uczestniczymy w najważniejszym doświadczeniu naszego życia... Wiem, że chwilami może się on wydawać śmieszny... I doprowadzać do szału. Robić wrażenie starego kaboty. Ale równocześnie czuję, że naprawdę znalazł klucz do czegoś, co... — znów nie dokończyła zdania.

- A mnie nie wolno wiedzieć do czego?

– Do czegoś, czego popsucia nie darowalibyśmy sobie nigdy w życiu. Ja sama widzę to jeszcze bardzo mgliście. Nie potrafiłabym tego sensownie wyrazić, nawet gdybym...

Nastąpiło milczenie.

– Cóż, jedno widzę, że nie brak mu daru przekonywania. Wczoraj wieczorem to była twoja siostra?

- Zgorszyłeś się?
- Dopiero teraz dowiaduję się, kim była ta dziewczyna,

Lily szepnęła: — Cóż, nawet bliźniacze siostry nie zawsze zapatrują się na wszystko w identyczny sposób. — Po chwili dodała: — Zgaduję, co sobie pomyślałeś. Ale on nigdy nie wzbudził w nas najłżejszych podejrzeń, że chciałby... W przeciwnym razie dawno by nas już tu nie było. Co prawda, June była zawsze w tych sprawach dużo mniej pruderyjna ode mnie. O mały włos, a wyleciałaby...

Przerwała, ale było już za późno. Zrobiła błagalny gest, jakby prosząc kogoś niewidzialnego o wybaczenie. Uśmiechnąłem się widząc, jak nagle spowaźniała.

— Gdybyście studiowały w Oksfordzie, tobym was znał. Więc za co o mały włos wyrzucono by ją z Cambridge?

— Straszna ze mnie idiotka. — Spojrzała na mnie z prośbą: — Nie powiesz mu?

— Przysięgam.

— W gruncie rzeczy nic takiego nie zaszło. Raz, dla żartu, pozowała nago. I to się rozniosło...

— Co studiowałyście?

Uśmiechnęła się: — Opowiem ci kiedy indziej.

— Ale byliście w Cambridge? — Niechętnie skinęła głową. — Szczęśliwe Cambridge!

Nastąpiła krótka chwila milczenia. Potem Julie wyznała ściszym głosem: — Wiesz, Nicholas, on jest wyjątkowo przenikliwym człowiekiem. Jeśli opowiem ci coś, czego nie powinnam ci mówić, on to natychmiast odkryje.

— Przecież chyba nie oczekuje, że uwierzę w reinkarnację. Lily?

— Nie. Nie musisz udawać, że wierzysz.

— Zatem wszystko to jest częścią innej intrygi?

— Tak. Na swój sposób. — Zaczepnęła powietrza. — Wkrótce twoja łatwowierność zostanie wystawiona na jeszcze większą próbę.

— Kiedy?

— Jeśli go dobrze znam, to za godzinę nie będziesz już wcale pewny, czy powiedziałam ci prawdę.

— To on był w łodzi?

Skinęła głową. — I teraz na pewno nas obserwuje. Czekając na swój moment.

Spojrzałem spod oka na drzewa zasłaniające dom i miałem wielką ochotę się odwrócić. Oczywiście, niczego nie dostrzegłem.

— Ile jeszcze mamy czasu?

— Nie martw się. W dużym stopniu zależy to ode mnie.

Wstała, z rosnącego opodal krzaczka zerwała gałązkę lebiodki i podniosła ją do nosa. Wpatrywałem się w rosnące w dole drzewa, próbując dostrzec jakąś kolorową plamę, czyjś ruch, ale lasek dobrze strzegł swoich tajemnic. Julie z góry uniemożliwiła mi zadawanie pytań, ale i tak wiele się o niej dowiedziałem, i choć nie poznałem żadnych faktów, byłem już w stanie stworzyć sobie jej psychologiczny portret. A zatem była mimo wielkiej urody trochę sawantką, przykładła więcej uwagi do duchowej niż czysto fizycznej strony życia, ale równocześnie drzemało w niej coś głęboko zmysłowego, czekając na przebudzenie, coś, co znajdowało w swoim czasie ujście w uniwersyteckim zespole teatralnym. Wiedziałem, że nie przestała grać roli, ale że jest to obecnie rodzajem samoobrony, że stara się ukryć to, co wobec mnie czuje.

— Wydaje mi się, że pewna część intrygi wymaga od nas współpracy. Próby.

— To znaczy?

— To, co dotyczy ciebie i mnie.

Wyglądziła spódniczkę na kolanie założonej nogi.

— Ty nie jesteś jedyną osobą, która doznała dziś szoku. Ja dopiero przed dwiema godzinami po raz pierwszy usłyszałam o tej twojej australijskiej przyjaciółce.

— Powiedziałem ci całą prawdę. Tak jak się sprawy mają.

— Przepraszam, że wyglądało to na śledztwo. Ale...

— Ale co?

— Zwykła podejrzliwość. Myślałam, że chcesz mnie wprowadzić w błąd.

— Jeśli zostanę zaproszony tutaj, żadna siła nie zaciągnie mnie do Aten. — Ona nie odpowiedziała. — Czy to jest w planie?

— O ile wiem... — wzruszyła ramionami. — Ale zależy to od Maurice'a. — Spojrzała mi w oczy. — My także jesteśmy tylko muszkami w jego pajęczej sieci. — Uśmiechnęła się. — Powiem ci prawdę. Zamierzał cię zaprosić. Ale przy lunchu ostrzegł nas, że pewnie ulegnie to zmianie.

— Myślałem, że pojechał do Nauplii.

— Nie pojechał. Cały dzień spędził na wyspie.

Bawiła się gałązką lebiodki, a ja nie spuszczałem z niej oczu. — Ale wracając do tematu. W pierwszym akcie sztuki twoja rola polegała na tym, żeby mnie zafascynować. A w każdym razie taki był jej efekt. Może i ty także jesteś muszką w sieci pajęczej, ale występowałaś jako przynęta na haczyku.

— Sztuczna muszka.

— Czasem na takie właśnie muszki najłatwiej złowić rybę.

Siedziała ze spuszczoneymi oczyma i milczała. — Masz mi za złe, że o tym mówię?

— Nie... Ja... masz zupełną rację.

— Jeśli była to narzucona rola, to powinnaś mnie uprzedzić.

— Nie potrafię ci dać jednoznacznej odpowiedzi. Jeśli powiem: tak, to nie będzie prawda, i jeśli powiem nie, to także nie będzie prawda.

— To jak się teraz będziemy zachowywać?

— Zwyczajnie. Tak jakbyśmy się poznali gdzie indziej i w normalny sposób.

— Czyli?

Zaczęła obrywać listeczki z trzymanej w ręku gałązki lebidki, jakby tylko to ją interesowało. Wyraźnie się wahała. — Chyba po prostu cieszę się, że cię lepiej poznam.

Przypomniałem sobie rolę odegraną przez nią na plaży, ale wiedziałem, co myśli: teraz, w swoim prawdziwym wcieleniu, nie chciała się zbyt pospiesznie angażować. I wiedziałem, że muszę jej okazać, iż to rozumiem. Nachyliłem się do przodu opierając łokcie o kolana.

— To mi wystarczy.

— Cóż — powiedziała kładąc nacisk na każde słowo. — Oczywiście, ja miałam być tym powodem, dla którego będziesz miał ochotę tu jak najczęściej przychodzić.

— I tak się stało.

Ona odezwała się nieśmiało:

— Martwiłam się tym, zresztą nie tylko tym. I skoro zaczęliśmy o tym mówić, nie chcę cię dłużej wprowadzać w błąd.

Nic więcej nie dodała, a ja wyciągnąłem z tego zupełnie fałszywy wniosek: — To znaczy, że w twoim życiu ktoś jest?

— Nie. Wyraźnie oświadczyłam Maurice'owi, że będę dla niego grała różne role, ale że nie posunę się w żadnej dalej niż dzisiaj rano i że...

— Jesteś przecież panią samej siebie.

— Tak.

— Czy sugerował?...

— Nie. Cały czas powtarza, że jeśli nie mamy ochoty czegoś robić, to nie musimy.

— Chciałbym, żebyś mi szepnęła, co się za tym wszystkim kryje.

— Niczego się nie domyślasz?

— Mam wrażenie, że jestem królikiem doświadczalnym. Ale Pan Bóg raczej wie, dlaczego. Wszystko to jest zupełnie obłąkane. Przypadkowo zaszedłem tu przed trzema tygodniami, żeby poprosić o szklanekę wody.

— Nie przypadkowo. To znaczy... chcę powiedzieć, że gdybyś nie trafił tu przypadkiem, on znalazłby sposób, żeby tak się stało. Uprzedził nas, że się pojawisz. Zaraz potem, jak okazało się, że sprowadził nas tu pod fałszywym pretekstem.

— Przecież musiał wam powiedzieć coś więcej, żeby namówić was do odgrywania tych ról.

— Owszem. — Spojrzała przepraszająco, kładąc ramię na oparciu ławki: — Nicholas, nie mogę ci dzisiaj nic więcej powiedzieć. Niezależnie od wszystkiego muszę już zmykać. Ale owszem, powiedział nam więcej. I nie jesteś królikiem doświadczalnym. Czymś dużo ważniejszym. Chodzi o coś dużo ważniejszego. I dlatego zostaliśmy tutaj. Choć trudno ci to na razie zauważyć. — Spojrzała na morze. — I jeszcze jedno. Ta ostatnia godzina sprawiła mi wielką ulgę. Cieszę się, że zmusiłeś mnie do tej rozmowy. — I wyszeptala: — Może jednak ludzimy się co do Maurice'a. A w takim razie przyda się nam błędny rycerz.

— Wyostrzę szpadę.

Przyjrzała mi się z lekkim niedowierzaniem, ale w końcu uśmiechnęła się. Potem wstała.

— Podejmiemy do posągu. I tam powiemy sobie do widzenia. Ty wrócisz do willi.

Nie ruszyłem się z miejsca: — Czy zobaczę cię później?

— Kazał mi być w pogotowiu. Ale nie wiem.

— Czuję się jak syfon wody sodowej. Aż syczą we mnie bąbelki pytań.

— Uzbrój się w cierpliwość. — Wyciągnęła rękę, żeby namówić mnie do wstania.

Kiedy schodziliśmy zboczem, zauważyłem: — Swoją drogą, przeszarżowałaś. Z tym udawaniem, że Lily Montgomery jest twoją matką. — Uśmiechnęła się. — Czy ona w ogóle istniała?

— Tyle wiem co i ty. A może nawet ty potrafisz więcej zgadnąć.

— Cieszę się, że tak uważasz.

— Musiałeś chyba dostrzec, że jesteś w rękach kogoś obdarzonego niezwykle umiejętnościami aranżowania rzeczywistości.

Podeszliśmy do posągu.

— Zastanawiam się nad dzisiejszym wieczorem.

— Nic się nie bój. W pewien sposób będzie to jakby... poza maskaradą. Choć z drugiej strony w tym właśnie tkwi sedno... — Sekundę milczała, potem zwróciła się w moją stronę: — Pora na ciebie.

Wziąłem ją za ramię. — Chciałbym cię pocałować...

Spuściła oczy, znów zachowywała się jak w roli Lily.

— Wolalabym nie.

— Nie chcesz?

— Znajdujemy się pod obserwacją.

— Nie o to pytałem.

Nie odpowiedziała, ale nie cofnęła ręk. Objąłem ją i przytuliłem. Przez chwilę odwracała głowę, potem udało mi się dotknąć jej ust. Usta pozostały zamknięte, nie poddały się moim, zadrżały tylko leciutko na moment przed tym, nim mnie odepchnęła. Wedle norm moich doświadczeń pocałunek ten trudno było nazwać erotycznym, ale w jej oczach pojawił się na parę sekund dziwny, zakłopotany wyraz, jakby ten pocałunek znaczył dla niej więcej niż dla mnie, jak gdyby zdarzyło się coś, do czego postanowiła nie dopuścić. Uśmiechnąłem się, by ją uspokoić, taki pocałunek nie jest przecież występkiem, może mi dalej ufać; ona patrzyła trochę nieprzytomnie i zaraz spuściła oczy. Zbiło mnie to zupełnie z tropu, bez powodu znikła nagle racjonalność ostatniej godziny. Przyszło mi na myśl, że Julie znów zaczęła grać rolę ze względu na Conchisa lub innego obserwatora. Ale ona spojrzała na mnie i nabrałem pewności, że to, co wyczytałem w jej oczach, było przeznaczone wyłącznie dla mnie.

— Jeśli się okaże, że mnie okłamałeś, zaraz się wycofam.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, odwróciła się i odeszła szybkim, niemal pospiesznym krokiem. Obserwowałem ją przez chwilę, potem spojrzałem w drugą stronę, na parów. Nie mogłem się zdecydować, czy pójść za nią, zmierzała w stronę morza. Wreszcie zapaliłem papierosa, jeszcze raz przyjrzałem się wspaniałemu, lecz zagadkowemu Posejdonowi i ruszyłem w stronę willi. Dochodząc do parowu, obejrzałem się. Wśród liści majaczyła jeszcze biała plama i zaraz znikła. Ale nie groziła mi samotność. Ledwie wdrapałem się na drugą stronę parowu, zobaczyłem Conchisa.

Stał do mnie tyłem, znajdował się o jakieś czterdzieści jardów ode mnie i pozornie pogrążony był przyglądaniu się przez lornetkę jakiemuś ptakowi. Kiedy podszedłem do niego, opuścił lornetkę i udał, że dopiero teraz mnie spostrzegł.

Niezbyt dobrze to zagrał, ale potem zrozumiałem, że cały swój talent chował na następną scenę.

## 35

Conchis był tego dnia ubrany staranniejsz niż zwykle, miał na sobie ciemnogrnatowe spodnie i jeszcze bardziej granatową koszulkę polo. Idąc w jego stronę po dywanie z sosnowych igieł, obiecywałem sobie mieć się przed nim na baczności; słuszność tego postanowienia zdawał się potwierdzać jego kpiący wzrok. Byłem niemal pewny, że aktorka grająca w jego sztuce główną rolę nie okłamała mnie, a w każdym razie wierzyłem, że szczerą była jej admiracja dla niego i wiara, iż nie jest złym człowiekiem. Choć równocześnie czułem, że ukrywa przede mną jakieś wątpliwości, a nawet strach. Mówiła o Conchisie tak, jakby chciała przekonać nie tylko mnie, ale i siebie. Teraz, gdy go zobaczyłem, zrozumiałem, że najbardziej przejąłem się tymi właśnie nie wypowiedzianymi wątpliwościami.

– Hallo.

– Dzień dobry, Nicholas. Muszę cię przeprosić za moją nieobecność. Drobną paniką na Wall Street.

Wall Street wydawała mi się w tej chwili położona na drugim krańcu już nie świata, lecz wszechświata. Usiłowałem przybrać zainteresowany wyraz twarzy.

– Tak?

– Jak idiota przystąpiłem przed dwoma laty do pewnego finansowego konsorcjum zajmującego się dostarczaniem kapitałów. Czy możesz sobie wyobrazić, żeby w Wersalu panował nie jeden Roi Soleil, lecz pięciu?

– Dostarczaniem kapitałów komu?

– Och, tym i owym... – szybko zmienił temat. – Musiałem popłynąć do Nauplii i zadzwonić do Genewy.

– Mam nadzieję, że pan nie zbankrutował?

– Tylko głupcy bankrutują. A właściwie od urodzenia są bankrutami. Spędziłeś dzień z Lily?

– Tak.

– To dobrze.

Ruszyliśmy w stronę domu. Jeszcze raz przyjrzałem mu się bacznie i

oświadczyłem: — Poznałem też bliźniaczą siostrę Lily.

Dotknął zawieszoną na piersiach lornetki. — Przed chwilą zdawało mi się, że słyszę głos podalpejskiej gajówki. A powinny już stąd dawno odlecieć.

Nie, nie miał zamiaru zachować się grubiańsko, była to raczej sztuczka prestidigitatora: niewygodny temat powinien zniknąć.

— Powinienem może powiedzieć, że widziałem jej bliźniaczkę.

Parą kroków przeszedł w milczeniu, wydawało mi się, że intensywnie nad czymś myśli.

— Lily nie miała siostry. Zatem i teraz nie ma siostry.

— Chciałem tylko powiedzieć, że w czasie pańskiej nieobecności nie brakowało mi rozrywek.

Nie uśmiechnął się, ale skinął głową. Nic więcej nie powiedzieliśmy. Miałem takie uczucie, jakbym znalazł się w towarzystwie mistrza szachowego, który stara się wymyślić następne posunięcie. Raz się nawet ku mnie zwrócił, ale zmienił zamiar.

Znaleźliśmy się na wyzwirowanym placyku.

— Podobał ci się mój Posejdon?

— Cudowny. Chciałem właśnie...

Przerwał mi, kładąc rękę na ramieniu i spuścił wzrok, jakby mu zabrakło słów.

— Należy jej się rozrywka. Tak, potrzeba jej rozrywki. Ale nie powinna się niczym przejmować. Chyba już sam wiesz, dlaczego. Przepraszam za te wszystkie mistyfikacje. — Ucisnął moje ramię i ruszył dalej.

— Amnezja?

Znow przystanął, doszliśmy właśnie do schodków.

— Tylko to cię uderzyło?

— Nie tylko to.

— Ale nic patologicznego?

— Nie.

Podniósł leciutko brwi, jakby chcąc dać wyraz swemu zdziwieniu, wszedł po schodach, położył lornetkę na starym trzciniowym szezlongu i podszedł do stołu już nakrytego do podwieczorku. Stałem przy swoim krześle i naśladując jego gest przechyliłem pytająco głowę.

— Ta obsesyjna potrzeba odgrywania coraz to innej roli. Szukanie fałszywych motywacji. To cię nie uderzyło?

Zagryzłem wargi, ale on z najniewinniejszym wyrazem twarzy zdejmował



właśnie gazę z półmisków.

— Sądziłem, że tego się po niej oczekuje.

— Oczekuje? — Sprawiał wrażenie jakby nie rozumiał, o co mi chodzi, i nagle  
pojął: — Aha, uważasz, że schizofrenia tak się objawia?

— Schizofrenia?

— Nie o to ci chodziło? — Gestem wskazał mi krzesło. — Rozumiem. Nie znasz  
psychiatrycznej terminologii.

— Owszem, znam. Ale...

— Schizofrenia to rozdwojenie osobowości.

— Wiem, na czym polega schizofrenia. Ale przecież mówił pan, że ona  
zachowuje się... tak, jak pan sobie tego życzy.

— Oczywiście. Dziecku mówi się, co ma zrobić. Zachęcając do posłuszeństwa.

— Ależ ona nie jest dzieckiem.

— Mówiłem w przerośni. Tak jak wczoraj wieczorem.

— Ależ ona jest bardzo inteligentna.

Spojrzał na mnie wzrokiem fachowca. — Zbieżność wyjątkowej inteligencji i  
schizofrenii jest ogólnie znana.

Zjadłem kanapkę i uśmiechnąłem się.

— Z każdym dniem bardziej gubię się w gąszczu malin.

Zrobił zdziwioną, trochę nawet zirytowaną minę. — Uważasz, że cię nabieram?  
Daleki jestem od tego.

— Chyba nie. Ale to nie ma znaczenia.

Odsunął krzesło od stołu i przycisnął ręce do skroni, jakby zdał sobie sprawę,  
że popełnił okropny błąd. Gest ten wyjątkowo do niego nie pasował, więc od razu  
zrozumiałem, że gra.

— A byłem tak pewien, że sam już wszystko zrozumiałeś.

— Wydaje mi się, że zrozumiałem.

Spojrzał na mnie przenikliwym wzrokiem, w którego wymowę miałem  
uwierzyć, ale nie uwierzyłem.

— Z paru osobistych powodów, których nie chcę teraz wymieniać, czuję się  
zobowiązany — choć nie żywię dla niej ojcowskich uczuć — czuwać nad tym  
nieszczęsnym stworzeniem, z którym spędziłeś dzisiejszy dzień. — Nalał gorącej wody  
do srebrnego imbryczka. — To ze względu na tę dziewczynę, przede wszystkim ze  
względu na nią, przyjeżdżam do Bourani, szukam tu odosobnienia. Sądziłem, że

miałeś już dosyć czasu, żeby to zrozumieć.

— Oczywiście, zrozumiałem... częściowo.

— Tylko tutaj to biedne dziecko może się trochę wyżyć, znaleźć upust dla swoich urojeń.

— Czy chce pan powiedzieć, że ona jest wariatką?

— Wariatka to słowo pozbawione medycznego znaczenia. Lily jest schizofreniczką.

— I wierzy, że jest pana zmarłą przed laty narzeczoną?

— Podsunąłem jej tę rolę. A nawet narzuciłem. Bawi ją to i nie może jej wyrzucić krzywdy. W przeciwieństwie do innych ról, które wymyśla sobie sama.

— Ról?

— Proszę chwilkę poczekać. — Wszedł do domu i niemal natychmiast wrócił z książką w ręku. — Oto podstawowy podręcznik psychiatrii. — Chwilę szukał. — Chcę ci przeczytać pewien fragment: „Jednym z najbardziej charakterystycznych symptomów schizofrenii bywają urojenia, które czasem są precyzyjnie skonstruowane i systematyczne, a czasem dziwaczne i niekonsekwentne”. — Spojrzał na mnie. — Lily należy do tej pierwszej kategorii. — Czytał dalej: „Urojenia te dotyczą zawsze osoby samego pacjenta, sprowadzają się najczęściej albo do manii wielkości i albo do manii prześladowczej. Chora może na przykład, uwierzyć, że jest Kleopatram, i będzie żądała od swego otoczenia, by ją odpowiednio traktowało; inna wmawia sobie, że jej własna rodzina pragnie ją zamordować i nawet najniewinniejsze, najserdeczniejsze zachowanie będzie ją w tym urojeniu utwierdzać”. A dalej: „Urojenia nie atakują całego obszaru świadomości. Na wszelkie inne tematy pacjent może rozumować logicznie i nie do uwierzenia rozsądnie”.

Wyjął z kieszeni złoty ołówek, zakreślił przeczytany akapit i podał mi przez stół otwartą książkę. Spojrzałem na książkę i, nie przestając się uśmiechać, spojrzałem mu w oczy.

— A jej siostra?

— Może jeszcze kawałek ciasta?

— Nie, dziękuję. — Położyłem książkę na stole. — Panie Conchis, co z jej siostrą?

Uśmiechnął się. — Tak, oczywiście to jej siostra.

— A zatem...

— Tak, tak, i ona, i inni. Nicholas, tu Lily jest królową. Przez miesiąc albo i dwa

wszyscy podporządkowujemy się urojeniom jej nieszczęsnego życia.

Powiedział to z rzadką u niego łagodnością i troską, którą okazywał wyłącznie w stosunku do Lily. Zdałem sobie sprawę, że przestałem się uśmiechać, i wcale nie byłem już taki pewny, czy chodzi mu tylko o przygotowanie następnej sceny maskarady. Znow się jednak uśmiechnąłem.

— A na czym polega moja rola?

— Czy dzieci w Anglii bawią się jeszcze w... — zakrył oczy ręką, jakby starając przypomnieć sobie to zapomniane słowo... — w *cache-cache*.

Odetchnąłem głęboko, zbyt wyraźnie przypomniałem sobie temat ostatniej rozmowy, w której wystąpiło to samo porównanie, i pomyślałem, że ta sprytna dziewczucha i stary szczwany lis rzucają mną jak piłką. To dziwne ostatnie spojrzenie, cała rozmowa o tym, żebym jej nie zdradził, i mnóstwo innych rzeczy; poczułem się upokorzony i zafascynowany równocześnie.

— W chowanego? Oczywiście.

— Ten, kto się chowa, musi mieć kogoś, kto go szuka. Na tym polega zabawa. A ten, kto szuka, nie powinien być zbyt bezwzględny. Ani zbyt spostrzegawczy.

— Odniosłem raczej wrażenie, że to ja stanowią ośrodek uwagi.

— Bardzo chcę, drogi przyjacielu, wciągnąć cię do tej gry. Wiele na tym możesz zyskać. Nie, nie mam zamiaru obrażać cię propozycją pieniędzy. Ale spodziewam się, że zostaniesz hojnie wynagrodzony.

— Wynagrodzenie mnie nie interesuje. Ale chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o moim chlebodawcy.

— Mówiłem ci już chyba, że nie miałem praktyki lekarskiej. Nie jest to całkowitą prawdą. W latach dwudziestych studiowałem u Junga. Zresztą nie jestem dziś jego wyznawcą. Ale psychiatria pozostała moim głównym zainteresowaniem. Przed wojną praktykowałem w Paryżu. Wspecjalizowałem się w schizofrenii. — Oparł ręce o brzeg stołu. — Chcesz dowodów? Mogę ci pokazać artykuły, które publikowałem w medycznych czasopismach.

— Chętnie je przeczytam. Ale nie teraz.

Usiadł z powrotem. — Dobrze. Powiem ci coś, czego w żadnych okolicznościach nie wolno ci wyjawiać. — Popatrzył mi poważnie w oczy. — Lily naprawdę nazywa się Julie Holmes. Przed czterema czy pięcioma laty wypadek jej wzbudził ogromne zainteresowanie w kołach psychiatrycznych. Jest to jeden z najlepiej udokumentowanych przypadków schizofrenii. Nawet gdyby sam w sobie nie był

niezwykły, stałby się czymś zupełnie wyjątkowym, chora bowiem ma bliźniaczą siostrę, całkowicie zdrową psychicznie, która według terminologii naukowej przedstawia kontrolny sprawdzian. Neuropatolodzy i psychiatrzy od dawna nie mogą dojść do porozumienia na temat etiologii schizofrenii. Czy jest ona wynikiem genetycznego obciążenia, a zatem jest chorobą fizyczną, czy też psychiczną. Julie i jej siostra stanowiłyby dowód na rzecz tej drugiej hipotezy. Stąd zainteresowanie tym przypadkiem.

— Czy ma pan całą tę dokumentację?

— Kiedyś dam ci ją do przeczytania. Ale chwilowo nie byłoby to wskazane. Julie powinna wierzyć, że nie wiesz, kim ona naprawdę jest. Gdybyś znał historię choroby, byłoby ci trudno nie wypaść z roli. Prawda?

— Chyba tak.

— Istniało niebezpieczeństwo, że Julie, jak wiele wzbudzających zainteresowanie przypadków, stanie się potworem demonstrowanym na rzekomo psychiatrycznych pokazach. Przed tym właśnie próbuję ją uchronić.

Zacząłem się znów wahać — nie należało zapominać ostrzeżenia Julie, że moja łatwowierność znów zostanie wystawiona na próbę. Nie mogłem uwierzyć, że dziewczyna, z którą się przed chwilą rozstałem, jest ofiarą tak poważnej deformacji psychicznej. Kłamała, owszem, ale czy ma to od razu oznaczać, że nie jest normalna?

— Czy wolno zapytać, jak to się stało, że pan aż tak się nią zainteresował?

— Z najprostszego, całkowicie pozamedycznego powodu. Jej rodzice są moimi starymi przyjaciółmi. Julie jest nie tylko moją pacjentką. Jest moją chrzestną córką.

— Sądziłem, że od dawna stracił pan wszelki kontakt z Anglią.

— Oni nie mieszkają w Anglii, lecz w Szwajcarii. I tam właśnie Julie spędza większą część roku. W prywatnej klinice. Niestety, nie mogę poświęcić jej całego życia.

Niemal wyczuwałem jego pragnienie, abym uwierzył. Spuściłem oczy i po chwili spojrzałem na niego z uśmiechem: — Zanim pan mi to powiedział, chciałem pogratulować panu wyboru niezwykle utalentowanej aktorki.

Spojrzał na mnie niespodziewanie ostro, czujnym wzrokiem.

— Czyżby ona ci to podsunęła?

— Nie. Skądże.

Oczywiście, nie uwierzył mi, i od razu zdałem sobie sprawę, że nie miał po temu żadnego powodu. Skłonił głowę, wstał, podszedł do kolumnady i wyjrzał. Dopiero potem odpowiedział mi uśmiechem. Było to niemal ustępstwo.

— Widzę, że nie dotrzymuję kroku wydarzeniom. Ona zaczęła odgrywać nową rolę. Prawda?

— Nic mi o tym nie powiedziała.

Wpatrywał się we mnie badawczo, a ja zachowywałem nieprzenikniony wyraz twarzy. Klasnął w dłonie, jakby wyrzucając sobie własną głupotę. Potem wrócił do swego krzesła i usiadł.

— Na swój sposób, Nicholas, masz rację. Oczywiście, nie zaangażowałem jej, jak to określiłeś. Ale rzeczywiście jest zdolną aktorką. Niech mi wolno będzie przypomnieć, że kilku najslynniejszych oszustów w historii zbrodni było schizofrenikami. — Nachylił się nad stołem, opierając się na łokciach. — Nie wolno jej przypierać do muru. Bo wtedy zaczyna kłamać, wpada z jednego kłamstwa w drugie, aż zaczyna się człowiekowi kręcić w głowie. Jesteś normalny, więc to wytrzymasz, ale dla niej to groźne. Może nastąpić nawrót choroby. I całe lata pracy pójdą na marne.

— Czy nie powinien pan zatem ostrzec mnie na samym początku?

Przez chwilę wpatrywał się we mnie, wreszcie spuścił oczy.

— Tak. Masz rację. Powinienem był cię ostrzec. Widzę, że się przeliczyłem.

— Jak to?

— Bałem się, że wyznanie prawdy mogłoby popsuć nasz, może skromny, ale bez wątplenia medycznie owocny, program. — Chwilę się zawahał i ciągnął dalej — Niektórzy psychiatrzy od dawna sądzą, że w metodach leczenia stosowanych w wypadkach paranoi tkwi pewien absurd. Nasi pacjenci są stale obserwowani, wypytywani, pilnowani... i tak dalej. Oczywiście, można twierdzić, że dzieje się to dla ich dobra. Ale w gruncie rzeczy robi się to dla własnej wygody. Dla wygody społeczeństwa. Jakże często taka szpitalna kuracja powiększa jeszcze i uzasadnia początkową manię prześladowczą. Zatem próbuję wytworzyć tu taką atmosferę, aby Julie mogło się wydawać, że panuje nad wydarzeniami. Żeby nie czuła się prześladowana, wyrzucona za nawias. Wszyscy się do tego przykładamy. A ja udaję, że pozwalam się wyprowadzać w pole, że daję się wodzić za nos.

Jego ton dawał mi do zrozumienia, że nie jestem zbyt bystry, skoro sam się tego nie domyśliłem. Ale, jak zwykle podczas rozmów w Bourani, nie byłem pewny, czego się powinienem domyślać: czy tego, że Julie jest rzeczywiście schizofreniczką, czy że jej „schizofrenia” jest po prostu następną fazą maskarady.

— Bardzo mi przykro.

Conchis podniósł rękę, dobry gospodarz, który nie pozwala gościom się

usprawiedliwiać.

— Dlatego nie wolno jej opuszczać Bourani?

— Oczywiście.

— Nie mogłaby stąd wyjść nawet... — spojrzałem na koniuszek mego papierosa — nawet pod opieką?

— Według prawa powinna zostać zamknięta w zakładzie. Ale ja podjąłem się opieki nad nią. Żeby się w takim zakładzie nie znalazła.

— Przecież zostawia jej pan pełną swobodę ruchów. W każdej chwili może się wymknąć.

Zaprotestował ruchem głowy. — Nie. Pielęgniarsz nie spuszcza jej z oczu.

— Pielęgniarsz?

— Jest bardzo dyskretny. Jego stała obecność źle na nią wpływa, toteż stara się nigdy nie pokazywać. Ale na pewno go zobaczysz.

Z tym łbem szakala na głowie. Nie, to nie było przekonywające, ale co dziwniejsze nie mogłem się oprzeć myśli, że Conchis doskonale wie, że to nie chwyciło. Od lat już nie grałem w szachy, ale pamiętałem, że im lepiej się gra, tym chętniej zastawia się pułapki, celowo poświęcając jakąś figurę. Conchis nie wypróbował mojej łatwowierności, wypróbował mój sceptycyzm.

— Dlatego umieścił ją pan na jachcie?

— Na jachcie?

— Jest to po prostu mój domysł.

— Gdzie mieszka, to jej sekret. Proszę jej pozwolić go zachować.

— Przywozi ją tu pan co roku?

— Tak.

Jedno z nich kłamało i coraz bardziej skłaniałem się do myśli, że kłamie on, nie dziewczyna, o której powinienem teraz myśleć jako o Julie.

Uśmiechnąłem się. — Więc dlatego zaglądali tu moi dwaj poprzednicy. I nic o tym nie mówili.

— Z Johna był doskonały... poszukiwacz. W przeciwieństwie do Mitforda. Widzisz, Nicholas, Mitford dał się Julie kompletnie zwieść. Spotkał ją, gdy akurat znów uległa okresowo swej manii prześladowczej. No i oczywiście, jako prześladowcę wybrała sobie mnie, człowieka, który poświęca jej swoje wakacje. Pewnej nocy Mitford — jak najprymitywniej i w sposób mogący wyrządzić niepowetowane szkody — próbował ją „wyzwolić”. Oczywiście, nie dopuścił do tego jej pielęgniarsz. Nastąpiło

bardzo nieprzyjemne *fracas*. Wszystko to bardzo jej zaszkodziło. Jeśli chwilami wydają ci się poirytowany, to dlatego że niepokoję się, aby nie powtórzył się zeszły rok. — Podniósł rękę. — Ach nie, nie ze względu na ciebie. Ty jesteś dżentelmenem i bardzo inteligentnym człowiekiem, czego nie dałoby się powiedzieć o Mitfordzie.

Potarłem nos. Pomyślałem o paru niewygodnych pytaniach, jakie chciałbym mu zadać, i postanowiłem tego nie robić. To stałe odwoływanie się do mojej inteligencji wywołało we mnie najgorsze podejrzenia. Tak zwani ludzie inteligentni dzielą się na trzy kategorie. Do pierwszej należą osobnicy naprawdę wybitni, zatem kiedy się ich nazywa inteligentnymi, nie jest to niczym więcej niż stwierdzeniem faktu; do drugiej — ludzie wystarczająco inteligentni, żeby wiedzieć, iż się im schlebia; do trzeciej ci, co są na tyle niemądrzy, że dają się nabrać na każdy komplement. Ja należałem do drugiej grupy. Nie mogłem oczywiście całkowicie odrzucić tego, co mówi Conchis; istniała niewielka możliwość, że mówi prawdę. Na pewno zdarzało się, że rodziny niektórych bogatych psychopatów, rozczulając się nad ich losem, nie dopuszczały do ich zamknięcia w zakładzie. Ale Conchis nie wyglądał na człowieka, który się łatwo rozczula, wręcz przeciwnie. Nie, to nie pasowało, zupełnie nie pasowało. W zachowaniu Julie wiele rzeczy — jej ukradkowe spojrzenia, częste *non sequitur*, nagle łzy — zdawało się potwierdzać jego opowieść. Ale to niczego nie dowodziło, mogło zostać z góry zaplanowane...

— No co — spytał — wierzysz mi?

— Chyba to widać...

— Pozory mylą.

— Nie powinien mi pan być proponować tamtej samobójczej pigułki.

— Sądzisz może, że w ogóle nie mam cyjanku, tylko ratafię?

— Tego nie powiedziałem. Panie Conchis, jestem pańskim gościem. Nie wolno mi wątpić w pańskie słowa.

Przez sekundę wydawało się, że z naszych twarzy opadły maski; ja widziałem kogoś całkowicie pozbawionego poczucia humoru, on człowieka bez krzty wspaniałomyślności. Ujawniła się wreszcie wrogość, byliśmy przeciwnikami. Obaj uśmiechaliśmy się i obaj wiedzieliśmy, że uśmiechamy się, by ukryć podstawową prawdę, iż nie mamy do siebie zaufania.

— Nicholas, muszę ci jeszcze powiedzieć dwie rzeczy. Nie ma specjalnego znaczenia, czy mi uwierzyłeś, czy nie. Ale musisz uwierzyć w jedno. Dla Julie wiele rzeczy jest bardzo groźnych, a i ona jest potencjalnie groźna dla otoczenia. Jest jak

cieniutkie ostrze, które łatwo złamać, ale które głęboko rani. My wszyscy nauczyliśmy się, zostaliśmy do tego zmuszeni, żeby w zachowaniu wobec niej nie powodować się naszymi emocjami. Bo jeśli nie zdusimy w sobie uczuć, przy najmniejszej okazji ona potrafi to wykorzystać.

Wpatrywałem się w brzeg obrusa, przypominając sobie jej nieśmiałość, dziewiczość, i przyszło mi na myśl, że mogą one być wynikiem choroby... ta jej fizyczna niewinność, obawa przed seksem, przed mężczyznami. Nie, bzdura. Ale nie mogłem całkowicie odrzucić jego słów.

— A druga sprawa?

— Bardzo to dla mnie przykre, ale musi zostać powiedziane. Jedną z tragedii Julie to to, że jest normalną zmysłową młodą kobietą, która nie może znaleźć ujścia dla swoich popędów. Jako przystojny młody mężczyzna stanowisz naturalne ujście dla jej uczuć — samo w sobie jest to dla niej korzystne. Żeby postawić kropkę nad i, flirt jest dla niej bardzo wskazany... dobrze jest, żeby widziała, iż ktoś ulega jej czarowi. Mam wrażenie, że osiągnęła już pewien sukces...

— Widział pan przed chwilą, że ją pocałowałem. Ale ponieważ nie ostrzegłem pan...

Przerwał mi podnosząc do góry rękę. — Nie masz sobie nic do wyrzucenia. Jeśli ładna dziewczyna zachęca do pocałunku... jasne. Ale teraz, kiedy znasz fakty, twoja rola będzie i trudna, i delikatna. Nie chciałbym, żebyś odrzucał wszystkie awanse Julie, unikał wszelkiego fizycznego kontaktu, ale pewnych granic nie wolno ci będzie przekroczyć. Do tego z punktu widzenia lekarskiego nie wolno mi dopuścić. Jeśli — mówię oczywiście całkiem hipotetycznie — zdarzy się taka sytuacja, że nie potrafisz się oprzeć pokusie, będę musiał interweniować. W zeszłym roku udało jej się przekonać Mitforda, że jeśli ją stąd zabierze i się z nią ożeni, stanie się normalną młodą kobietą... to nawet nie był podstęp. Julie wierzyła w to, co mówi. Dlatego właśnie jej kłamstwa są takie przekonujące.

Miałem ochotę się uśmiechnąć. Nawet jeśli wszystko poza tym było prawdą, nie mogłem uwierzyć, by Julie mogła poczuć sympatię do tego idioty Mitforda. Ale w oczach starszego pana malowała się taka powaga i przekonanie, że zbrakło mi odwagi, by mu zaprzeczyć.

— Szkoda, że nie wiedziałem o tym wcześniej.

— To po części twoja wina. Nie oczekiwałem, że aż tak szybko wzbudzisz zainteresowanie mojej pacjentki. Uśmiechnął się i oparł o krzesło. — Jeszcze jedna



uwaga.; Na pewno nie rozpocząłbym tego doświadczenia nie mając pewności, że nie jesteś uczuciowo zaangażowany w kims innym. Ale z tego, co mówiłeś...

— To skończona sprawa. Jeśli ma pan na myśli ten radiogram... nie wybieram się do Aten.

Spuścił oczy, pokręcił głową. — Nie powinienem się wtrącać. Ale to, co mówiłeś o tej młodej damie, o twoich dla niej uczuciach, zrobiło na mnie głębokie wrażenie. I wydaje mi się, że postąpisz niemądrze odrzucając jej propozycję nawiązania zerwanej przyjaźni.

— Nie chciałbym pana obrazić, ale to naprawdę moja prywatna sprawa.

— Bardzo by mi było przykro, gdyby na twoją decyzję miało wpływ to, co tu zaszło.

— Nie ma wpływu.

— W każdym razie uważam, że teraz, gdy wiesz, o co naprawdę chodzi, powinieneś się zastanowić, czy masz ochotę na dalsze wizyty tutaj. Świetnie zrozumieć, jeśli zechcesz się tu więcej nie pokazać. — Nie pozwolił mi dojść do słowa. — Tak czy owak uważam, że mojej nieszczęsnej chrześniaczce dobrze zrobi chwila wytchnienia. Zamierzam ją stąd zabrać na jakieś dziesięć dni. — Spojrzał na mnie tak, jakby konsultował się z kolegą psychiatrą. — Zbyt wiele stymulantów może wywołać ujemne skutki.

Poczułem się rozczarowany i przeklinałem w myśli Alison i ten jej cały radiogram. Ale nie zamierzałem tego okazać.

— Nie muszę się zastanawiać. Oczywiście, że chcę tu przychodzić.

Przyjrzał mi się i skinął głową — stary chytrus zachowywał się tak, jakby to on sprawdzał moją prawdomówność. — Niemniej radzę ci jeszcze nad tym pomyśleć i radzę spędzić miły weekend w Atenach z kobietą, która na podstawie twoich opowiadań wydała mi się czarująca. — Wciągnąłem głęboko powietrze, ale on dalej nie dawał mi dojść do słowa. — Jestem lekarzem, Nicholas. Proszę mi pozwolić na szczerłość. Młodzi ludzie nie są stworzeni do życia w celibacie.

— Zapłaciłem już za to odkrycie.

— Wiem. I uważam to za dodatkowy powód.

— A co z następnym weekendem?

— Zobaczmy. Chwilowo nic nie ustalajmy. — Nagle wstał i podał mi rękę: — Świetnie. Znakomicie. Bardzo się cieszę, że wyjaśniliśmy wszystkie nieporozumienia..— Oparł ręce o biodra. — Cóż. Masz ochotę popracować?

– Nie bardzo. Ale pójdę z panem.

Zaprowadził mnie w róg warzywnego ogródka. Część muru podtrzymującego taras rozwalila się i chciał go odbudować. Udzielił mi instrukcji. Należało motyką rozbić zeschnięte grudy ziemi, podnieść i ułożyć kamienie umacniając je mokrą gliną. Kiedy zabrałem się do roboty, zniknął. Wiała jeszcze bryza, choć zwykle o tej porze dnia już opadała i było nieco chłodniej niż normalnie, ale i tak po paru minutach spościłem się jak ruda mysz. Domyślałem się, czemu zostałem zatrudniony jako robotnik: należało usunąć mnie z drogi, by Conchis miał czas odszukać Julie i dowiedzieć się od niej, co między nami naprawdę zaszło... albo po prostu pogratulować jej, że tak świetnie wywiązała się ze swojej nowej roli.

Po jakichś czterdziestu minutach zrobiłem sobie przerwę na papierosa. Na tarasie pokazał się nagle Conchis, ja siedziałem opierając rozbolące plecy o pień sosny, a on stał tuż nade mną. Spojrzał na mnie ironicznie.

– Praca najszczytniejszą chlubą człowieka.

– Nie tego człowieka.

– Zacytowałem Marksa.

Pokazałem dłonie. Rękojeść była chropowata.

– Ja mogę zacytować pęcherze.

– Nie masz się czym przejmować.

Patrzył na mnie nie ukrywając zadowolenia; niewykluczone, że po podwieczorku dowiedział się o mnie czegoś, co wprawiło go w dobry humor, spodobało mu się na tej samej zasadzie, na jakiej błazen podoba się czasem filozofowi. Zadałem mu przygotowane uprzednio pytanie.

– Zatem mam nie wierzyć w nic, co Julie opowiada. A czy mam wierzyć w to, co pan opowiadał o swojej przeszłości?

Pomyślałem, że może się obrazić, ale on się tylko szerzej uśmiechnął.

– Prawda jest zawsze skomplikowana.

Odpowiedziałem mu ostrożnym uśmiechem. – Nie jestem zupełnie pewny, czy istnieje jakaś różnica między tym, co pan tu robi, a tym, czego pan tak nienawidzi, czyli fikcją.

– Nie mam nic przeciwko zasadom fikcji. Ale w książkach pozostają one tylko zasadami. Pozwól, Nicholas, że wygłoszę pewien aksjomat o gatunku, do którego należymy: nigdy nie należy brać dosłownie tego, co ktoś o sobie mówi. Nawet wówczas, kiedy ten ktoś jest tak niewykształcony, że nie wie, co to znaczy:

„dosłownie”.

— Nie ma obawy. W każdym razie nie tutaj.

Znów spuścił wzrok, a potem spojrzął mi prosto w oczy. — Stosuję nową metodę psychiatrycznej terapii. Ostatnio wynalezioną w Ameryce. Nazywają ją terapią sytuacyjną.

— Mam wielką ochotę przeczytać te pańskie artykuły.

— Dobrze, żeś mi przypomniał. Przed chwilą ich szukałem. Ale gdzieś mi się zapodziały.

Zabrzmiało to jak umyślne, bezwstydnego kłamstwo; wyraźnie chciał, abym dalej trwał w niepewności.

— Szkoda.

Założył ręce. — Przyszło mi coś na myśl... ta twoja przyjaciółka. Pewnie wiesz, że domek we wsi, w którym mieszka Hermes, jest moją własnością. Hermes zajmuje tylko parter. Może miałbyś ochotę przywieźć tę dziewczynę na jakiś czas na Phraxos. Całe pierwsze piętro jest do jej dyspozycji. Trochę tam prymitywnie. Ale meble są. I dużo miejsca.

Poczułem się zaskoczony, trudno mi było uważać to za uprzejmość, raczej za kolosalną bezczelność... zadał sobie tyle trudu, by mnie omotać, a teraz na wszelkie sposoby daje mi możliwość wycofania się. Widać jest bardzo pewny siebie. Przez chwilę miałem ochotę przyjąć jego ofertę, nie dlatego, żebym chciał zobaczyć Alison w pobliżu wyspy, ale żeby zrobić mu na złość.

— W ten sposób utraci pan moją pomoc,

— Może oboje potraficie mi dopomóc.

— Ona nie rzuci swojej pracy. A ja naprawdę nie chcę się z nią na nowo wiązać.

— Ale dorzuciłem: — W każdym razie bardzo panu dziękuję.

— W porządku. Ale proszę o tej propozycji nie zapominać.

Odwrócił się szybko, jakby poczuł się urażony. Ja z powrotem zabrałem się do roboty, znajdując w niej ujście dla wzrastającego zniechęcenia. Po czterdziestu minutach mur zaczął się przyzwocić prezentować. Zaniósłem narzędzia do szopy za chatą, a potem wróciłem do willi. Conchis siedział pod kolumnadą spokojnie czytając jakąś grecką gazetę.

— Skończyłeś? Dziękuję.

Spróbowałem jeszcze raz: — Panie Conchis, pan mnie źle zrozumiał. Mówię o tamtej dziewczynie. Był to zwykły romans. I należy już do historii.

— Ale ona chce się znów z tobą zobaczyć?

— Głównie z ciekawości. Wie pan, jakie są kobiety. I prawdopodobnie dlatego, że mężczyzna, z którym teraz jest, wyjechał na parę dni z Londynu.

— Proszę mi wybaczyć. Nie będę się więcej wtrącał. Oczywiście, musisz postąpić według własnego uznania.

Odwróciłem się, żalując, że się w ogóle odezwałem i Conchis zawołał mnie po imieniu. Stojąc w drzwiach sali muzycznej obejrzałem się. Obdarzył mnie ojcowskim spojrzeniem i powiedział, a brzmiało to jak rozkaz:

— Jedź do Aten, przyjacielu. — Spojrzał na wschód. — *Guai a chi la tocca.*

Bardzo słabo znałem włoski, ale zrozumiałem, o co mu chodzi. Poszedłem do mego pokoju, rozebrałem się, wziąłem w łazience prysznic ze słonej wody. Intuicyjnie wiedziałem, co naprawdę chciał mi powiedzieć. Julie nie była dla mnie; nie dlatego, że była duchem, czy schizofreniczką, czy też jakąś inną postacią maskarady, zwyczajnie nie była dla mnie. Było to ostateczne ostrzeżenie, ale nie da się ostrzec człowieka, który odziedziczył skłonność do hazardu.

Po prysznicu położyłem się nago na łóżku i wpatrywałem w sufit, usiłując wywołać obraz twarzy Julie, jej wywinięte rzęsy, dotyk jej ręki i ust, dotyk jej ciała, jakże krótki, kiedy się całowaliśmy, a potem obraz ciała jej siostry, które widziałem poprzedniego dnia wieczorem. Wyobrażałem sobie, że Julie podchodzi do mnie, tu w mojej sypialni, a może w piniowym lasku, ciemność, pustka, gwałt, ale gwałt z przyzwoleniem ofiary... Przez chwilę byłem satyrem, ale przypomniawszy sobie, jaki go spotkał los, zrozumiałem ukryty sens tej opartej na klasycznych motywach pantomimy i zdecydowałem, że rozsądniej będzie dać spokój i ubrać się. Ja także zaczynałem uczyć się czekać.

## 36

Kolacja nie była najmiłsza. Ledwie się pojawiłem, Conchis jeszcze raz zbił mnie z tropu podając mi książkę.

— Moje artykuły. Leżały na innej półce.

Była to cienka książeczka bez tytułu, oprawiona niedbale w zielone płótno. Otworzyłem ją; stronicę różniły się formatem i czcionką; były to wyraźnie wycinki z rozmaitych pism francuskich. Zobaczyłem datę: 1936 rok. Parę tytułów: *Wczesne*

*rokowania łagodnej schizofrenii. Wpływ zawodu na syndromy paranoi. Eksperyment psychiatryczny w stosowaniu stramonium. Spojrzałem na Conchisa.*

— Co to jest stramonium?

— *Datura*. Wywołuje halucynacje.

Położyłem książkę. — Bardzo się na tę lekturę cieszę.

Zresztą okazało się, że jako dowód przestała mi być potrzebna. Pod koniec kolacji byłem przekonany, że Conchis wie o psychiatrii znacznie więcej, niż mógłby wiedzieć interesujący się nią amator, i że znał Junga. Oczywiście nie oznaczało to, że muszę mu wierzyć w sprawie Julie. Próbowałem sprowadzić rozmowę na jej temat, ale on był stanowczy — im mniej będę wiedział o jej przypadku, tym lepiej — obiecał jednak, że z końcem lata dowiem się wszystkiego. Chciałem protestować, ale zaudał się mojej wzrastającej niechęci ku niemu, bałem się tego rodzaju konfrontacji, w której mógłbym stracić wszystko, usłyszeć, że nie mam tu po co wracać. Czuję zresztą, że jeśli zacznę nalegać, to jeszcze bardziej zaciemni wszystko; ma na pewno przygotowanych wiele kłamstw. Za najlepszą strategię uznałem odpowiadanie tajemniczością na tajemniczość, pocieszało mnie, że i on także unika dalszej rozmowy na temat Aten i Alison, bojąc się, by nie doszło do spięcia.

Tak minęła kolacja, pozornie przysłuchiwałem się mądrym wywodom starego lekarza, a naprawdę odgrywałem rolę myszy, z którą igra kot. Cały czas siedziałem jak na rozżarzonych węglach marząc o pojawieniu się Julie i ciekaw oczekującej mnie tego wieczoru próby. Lekki powiew *meltemi* kołysał płomieniem lampy, który chwilami drżał i niemal gasł, co wydawało się powiększać nastrój niepokoju. Ale Conchis zachowywał całkowity spokój i swobodę.

Kiedy sprzątnięto ze stołu, nalał mi kieliszek jakiegoś jasnego płynu z małej pękatej butelki.

— Co to?

— *Raki*. Z Chios. To bardzo mocny alkohol. Chcę, żeby ci zaszumiało w głowie. Przez całą kolację namawiał mnie do picia ciężkiego wina *rosé* z Antykythery.

— Żebym utracił krytycyzm?

— Żebyś stał się bardziej podatny.

— Przeczytałem pańską broszurę.

— I uznałeś, że to nonsens?

— W każdym razie trudno by to było zweryfikować.

— Jedyne naukowe kryterium rzeczywistości jest jej sprawdzalność. Ale nie

oznacza to, że nie może istnieć rzeczywistość nie nadająca się do zweryfikowania.

— Czy pańska broszura znalazła oddźwięk?

— Napisało do mnie wiele osób. Oczywiście nie te, o które mi chodziło. Nędznicy, którzy jak sępy żerują na ludzkim pragnieniu rozwiązania ostatecznych tajemnic. Spirytyści, jasnowidzowie, aportyści, kosmopatycy — cała ta *galère*. — Spojrzał na mnie ponuro: — Tak, oni do mnie napisali.

— A naukowcy nie?

— Nie.

Pociągnąłem łyk *raki*; żywy ogień, był to niemal czysty spirytus.

— Mówił pan, że ma pan dowody.

— Miałem. Ale niełatwe do przekazania. A potem doszedłem do wniosku, że może to i lepiej, iż można je przekazać tylko niewielu ludziom.

— Wybrany przez pana.

— Wybrany przeze mnie. W tajemnicy mieści się pewien ładunek energii. Ktokolwiek szuka, z tej energii korzysta. Wyjaśniając tajemnicę pozbawia się jedynie innych szukających... — podkreślił specjalne znaczenie, jakie miało dla mnie to słowo — ważnego źródła energii.

— Zatem nie chodzi o postęp nauki?

— Oczywiście, że chodzi. Ale problemy techniczne zawsze się w końcu da rozwiązać. A ja mówię o zdrowiu psychicznym gatunku ludzkiego. Ludziom potrzeba zagadek. A nie ich rozwiązania.

Wypiłem do końca moje *raki*. — To fantastyczne!

Uśmiechnął się, jakby użyty przeze mnie przymiotnik wydał mu się trafniejszy, niż myślałem, i wziął do ręki butelkę.

— Jeszcze kieliszeczek. I na tym koniec. *La dive bouteille* może się stać trucizną.

— I zaczniemy doświadczenie?

— I zacznie się doświadczenie. Chciałbym, żebyś wziął kieliszek i wyciągnął się na szezlongu. O tu. — Wskazał za siebie. Ustawiłem tam szezlong. — Połóż się. Nie ma pośpiechu. Chcę, żebyś się wpatrzył w pewną gwiazdę. Wiesz, gdzie jest Cygnus? Łabędź? Ta konstelacja nad nami w kształcie krzyża?

Zdałem sobie sprawę, że nie zamierza usiąść na drugim szezlongu, i nagle zrozumiałem.

— Chce mnie pan zahipnotyzować?

— Tak, Nicholas. Ale nie ma powodów do alarmu.

Ostrzeżenie Julie: „Dziś wieczorem zrozumiesz”. Po chwili wahania położyłem się.

— Zgoda. Ale nie jestem podatny na hipnozę. Próbowano już mnie hipnotyzować.

— Zobaczymy. Wszystko zależy od harmonijnego zestrojenia myśli. Po prostu słuchaj moich wskazówek. — Przynajmniej nie kazał mi patrzeć w te swoje magnetyzujące oczy. Nie mogłem się już wycofać, ale człowiek ostrzeżony jest człowiekiem uzbrojonym. — Widzisz Łabędzia?

— Tak.

— Na lewo od niego znajduje się bardzo jasna gwiazda, jeden z wierzchołków trójkąta.

— Tak. — Jednym łykiem przełknąłem resztkę *raki*, niemal się zakrztusiłem, a potem poczułem rozlewające się w żołądku ciepło.

— Ta gwiazda to alfa Liry. Za chwilę poproszę, abyś się w nią wpatrzył. — Białobłękitna gwiazda lśniła na oczyszczonym wiatrem niebie. Spojrzałem na Conchisa, nadal siedział przy stole, ale już nie patrzył w morze, tylko na mnie. Uśmiechnąłem się w ciemności.

— Czuję się tak, jakbym leżał na kanapce w gabinecie lekarskim.

— Dobrze. Proszę się wygodnie wyciągnąć. Naprężyć mięśnie i rozluźnić. Dlatego kazałem ci wypić *raki*. Będzie ci łatwiej. Julie się dziś wieczór nie pojawi. Więc proszę o niej nie myśleć. Ani o tamtej dziewczynie. Proszę nie myśleć o swoich strapieniach i tęsknotach. Nie myśleć o niczym. Nie zrobię ci nic złego. Przynoszę ci spokój.

— O strapieniach? To nie będzie takie łatwe. — Conchis milczał. — Dobrze, spróbuję.

— Łatwiej będzie, jeśli się wpatrzysz w tę gwiazdę. Nie odrywaj od niej wzroku. I nie ruszaj się. Zacząłem wpatrywać się w gwiazdę i zmieniłem pozycję na wygodniejszą. Dotknąłem palcami płótna marynarki. Zmęczyłem się naprawiając mur, zrozumiałem, że o to właśnie chodziło, teraz przyjemnie mi było leżeć, patrzeć w niebo i czekać. Przez parę minut trwało milczenie. Na chwilę zamknąłem oczy, potem znów je otworzyłem. Zdawało mi się, że gwiazda kołysze się na własnym maleńkim morzu przestrzeni, wyglądała jak mikroskopijne białe słońce. Czułem wypity alkohol, ale byłem w pełni świadom wszystkiego, co mnie otacza; nie, nie pójdzie ze mną tak

łatwo.

Miałem pełną świadomość, że jestem na tarasie, że leżę na tarasie domu położonego na greckiej wyspie, że wieje wiatr, że na nadbrzeżnych kamieniach Moutsy szumią fale.

Conchis zaczął mówić.

— Proszę wpatrywać się w gwiazdę, proszę rozluźnić mięśnie. Musisz rozluźnić wszystkie mięśnie, to bardzo ważne. Teraz proszę je z powrotem napiąć. I rozluźnić. Napiąć... rozluźnić. Proszę patrzeć w gwiazdę. Gwiazda ta to alfa Liry.

Pomyślałem: święty Boże, on naprawdę próbuje mnie zahipnotyzować, dobra, niech próbuje, będę leżał jak trup i udawał, że się poddaję.

— Rozluźniłeś się? tak, rozluźniłeś się — teraz mówił już monotonicznie, bez żadnych przystanków. — Jesteś zmęczony, musisz odpocząć rozluźniłeś się rozluźniłeś rozluźniłeś patrzysz w gwiazdę nie przestajesz wpatrywać się w gwiazdę... — Powtarzał każde zdanie, pamiętałem to z Oksfordu. Na jednym z bankietów zabrał się do mnie jakiś zwariowany Walińczyk z college'u Jezus. Ale wtedy skończyło się na wzajemnym wpatrywaniu w oczy, by zobaczyć, czyj wzrok zwycięży.

— Powtarzam; patrzysz w gwiazdę w gwiazdę nie przestajesz patrzeć w gwiazdę to piękna ładna biała gwiazda dobra gwiazda...

— Mówił i mówił, zupełnie innym tonem i innymi zdaniami niż zwykle; zwykle bowiem ton był szorstki, a zdania rwały się co chwila. I nagle przestałem być świadomy jego głosu, szmeru morza, dotyku wiatru i szorstkości marynarki. Tak, leżałem na tarasie i patrzyłem w gwiazdę, tak, tylko to jedno zostało się w mojej świadomości.

Nagle ogarnęło mnie dziwne uczucie, że nie patrzę w górę, ale w przestrzeń, w dół, jakbym zaglądał do studni.

Potem przestałem być sobą, istniała tylko gwiazda, nie zbliżyła się, ale robiła wrażenie oglądanej przez teleskop, widziałem ją nie jako jedną z gwiazd, ale jedyną, unoszącą się na błękitnoczarnym skrawku przestrzeni, w pustce. Dokładnie pamiętam to uczucie, ten zupełnie nowy obraz gwiazdy — kulki białego światła, wytwarzającej wokół pustkę, potrzebującej pustki, miałem równocześnie uczucie, że ja jako ja istnieję zawieszony właśnie w tej czarnej pustce. Ja patrzyłem na gwiazdę, a gwiazda patrzyła na mnie. Jakbyśmy się oboje znajdowali na dwóch szalach wagi i ciężar żadnego z nas — o ile może być mowa o ciężarze — nie przeważał w żadną stronę. Trwało to i trwało, sam nie wiem, jak długo, dwie odrębne jednostki zawieszony w



пустце, pozbawione uczuć i myśli. Przestały dla mnie istnieć piękno, moralność, boskość, wiedza; jedynym doznaniem była obecność gwiazdy i pustki. Doznaniem wręcz zwierzęcym.

Potem poczułem wzmagające się napięcie. Oczekiwałem czegoś. Czegoś konkretnego. Nie wiedziałem, czy mam to usłyszeć, czy zobaczyć. Ale próbowało się zbliżyć, a ja próbowałem to zauważyć. Przestałem widzieć gwiazdę. Być może Conchis zmusił mnie do zamknięcia oczu. Istniała tylko pustka. I dwa słowa, które pewnie wypowiedział Conchis: błyszczeć i nadśłuchiwać. Błyszcząca i nadśłuchująca pustka; ciemność i oczekiwanie. Znienacka poczułem na twarzy podmuch wiatru, było to doznanie czysto fizyczne. Nadstawiłem twarz, wiatr był świeży i ciepły, zadziwiające było tylko to, że wiatr ogarnął mnie nagle ze wszystkich stron. Podniosłem rękę, by lepiej zdać sobie z tego sprawę. Ciemny wiatr ze wszystkich stron jak powiew tysiąca niewidzialnych wachlarzy. I znów uczucie, że trwa to całą wieczność.

Aż wreszcie coś się zmieniło. Wiatr stał się światłem. Nie wydaje mi się, żebym zdał sobie z tego sprawę dzięki własnym zmysłom, po prostu wiedziałem i nawet mnie to nie zdziwiło, że wiatr stał się światłem (może powiedział mi o tym Conchis), a światło to przyniosło mi ogromną ulgę i radość, tak jakbym po długiej ponurej zimie skąpał się duchem w słońcu, rozkoszne uczucie, że oto widzę światło, że je ku sobie przyciągam. I że mam nad nim władzę.

W następnym stadium narodziła się myśl, że jakaś głęboka prawda tkwi w tym, że to ja przyciągam światło. Jakby odkryła się przede mną jakaś ważka strona życia; miałem pełną świadomość, że egzystuję, i ta świadomość nabierała coraz większego znaczenia, tak jak przedtem światło w porównaniu do wiatru. Czułem, że się zmieniam, tak jak pod wpływem podmuchu wiatru zmienia kształt struga fontanny. Wiatr i światło stały się czymś nieistotnym, jedynie wprowadzeniem w mój obecny stan, w świat pozbawiony wymiarów i zmysłowych doznań; wszystko zastąpiła intensywna świadomość istnienia. A może po prostu świadomość.

Trwało to jakiś czas, a potem uległo zmianie, tak jak wszystkie poprzednie stany. Obecny stan został mi narzucony z zewnątrz, to wiedziałem. Wiedziałem, że choć nie ogarnął mnie przypluwając z daleka jak wiatr i słońce, to jednak przypluł, aczkolwiek słowo to nie jest może najtrafniejsze. Bo nie ma słowa, które potrafiłoby określić coś, co spadło na mnie, co wtargnęło we mnie z zewnątrz. Nie był to stan immanentny, był narzucony, ofiarowany. Stałem się biernym odbiorcą. I znów to dziwne uczucie, że nadajniki znajdują się obok, otaczają mnie. Że napływa to ze

wszystkich stron, chociaż słowo strona jest zbyt fizyczne. Tego, co odczuwałem, nie da się nazwać w języku konkretów, w języku opartym na konkretnych przedmiotach, konkretnych uczuciach. Wydaje mi się, że uświadamiałem sobie metaforyczność mych doznań. Wiedziałem, że słowa stanowią kajdany, które nie pozwalają mi ruszyć z miejsca, przypominają mury, ale mury nie pozbawione otworów. Przez nie docierała do mnie rzeczywistość, ale ja nie mogłem przedostać się przez mur, aby w niej w pełni zaistnieć. Ale jest to już późniejsza interpretacja uczuć, które starałem się zapamiętać; nie należy bowiem zapominać, że sam fakt opisu fałszuje opis.

Miałem wrażenie, że właśnie ta rzeczywistość jest rzeczywistością najistotniejszą i że mi to sama oznajmia językiem uniwersalizmu; żadnych złudzeń, że obcuje z boskością, że staję się częścią wielkiej braterskiej społeczności ludzi, nic z tego, czego oczekiwałem przed poddaniem się hipnozie. Nic z panteizmu, nic z humanizmu. Coś znacznie większego i znacznie bardziej skomplikowanego. Uczucie, że rzeczywistość jest nie kończącym się wzajemnym oddziaływaniem. Nie ma dobra i zła, piękna i brzydoty. Sympatii i niechęci. Tylko wzajemne oddziaływanie. Bezczesna samotność jednostki, jej całkowite odosobnienie wydawały się tym samym, co wzajemne oddziaływanie wszystkiego i wszystkich na wszystko i wszystkich. Przeciwności wydawały się jednością, tak bardzo były sobie nawzajem potrzebne. Wszystko było zarazem i nieważne, i niezbędne. Zrozumiałem nagle, tak jakby zrozumienie to nastąpiło za pomocą nie znanego mi dotąd zmysłu, że naprawdę istnieje inność.

Wiedza, mądrość, dobroć, wykształcenie, wrażliwość, zmysłowość, wszystko to wydało się nagle czymś pozbawionym znaczenia, powierzchownym. Nie pragnąłem niczego analizować ani definiować. Chciałem tylko być — nie, nie chciałem, pozbawiony woli stałem się częścią całości. Przestało istnieć znaczenie. Liczyło się tylko istnienie.

Nagle wszystko zawirowało. Z początku wydawało mi się, że to powrót do stadium czarnego, nacierającego na mnie ze wszystkich stron wiatru, tyle że wiatru nie było, wiatr był jedynie przenośnią, pojawiły się miliony, tryliony świadomości istnienia, niezliczone jądra nadziei, jak zawieszony w roztworze przypadku, potok nie fotonów, lecz noónów, świadomych istnienia drobin. Przyprawiające o zawrót głowy poczucie niezliczonego wszechświata, nie-zliczonego, której przemijalność i niezmiennność wydawały się nie przeczyć sobie nawzajem, były jej istotą. Czuję się jak zalążek, który trafił do gleby, jak pierwszy mikrob penicyliny w odpowiadającym

mu całkowicie środowisku, które nie tylko dostarczało mu pokarmu, ale wydawało się nieskończenie znaczące. Uczucie żywej rozkoszy, fizycznej i intelektualnej. Byłem kimś doskonale przystosowanym, przynależałem tu. Kwintesencja spełnienia. Symbiozy. Stawanie się i byt zamieniły się w jedno.

Wydaje mi się, że znów przez chwilę widziałem gwiazdę, gwiazdę taką, jaka naprawdę widniała na firmamencie nad moją głową, ale teraz i była, i stawała się zarazem. Zupełnie jakbym wyszedł jakimiś drzwiami, okrążył dookoła świat i znów wrócił drzwiami – tymi samymi, ale równocześnie innymi.

Potem nastąpiła ciemność. Nic więcej nie pamiętam.

I znów światło.

### 37

Ktoś zapukał do drzwi. Wpatrywałem się w ścianę. Ubrany w piżamę leżałem na łóżku, moje ubranie ktoś złożył i powiesił na krześle. Było już jasno, świt, pierwsze promienie słońca padały na wierzchołki rosnących za oknami pinii. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła szósta.

Usiadłem na brzegu łóżka. Ogarnęła mnie czarna fala wstydu, upokorzenia: przez parę godzin znajdowałem się we władzy Conchisa, obnażyłem się przed nim, kto wie, czy nie obnażyłem się także przed innymi, przed Julie. Wyobrażałem sobie, jak leżę, a oni siedzą wokół i uśmiechają się szyderczo słysząc moje bezbronne odpowiedzi na pytania Conchisa. Julie... ją także prawdopodobnie hipnotyzował, dlatego nie potrafiła niczego przed nim ukryć.

Svengali i Trilby\*.

Całe mistyczne doświadczenie stanęło mi przed oczyma równie żywo i wyraźnie, jak świeżo wyuczona lekcja, jak niedawna podróż do nie znanego dotąd kraju. Och, wiedziałem, jak się to musiało stać. W *raki* podano mi jakiś narkotyk, jakiś środek wywołujący halucynacje – pewnie stramonium, o którym Conchis pisał. A potem podsunął mi, zasugerował to wszystko, co przeżyłem, wszystkie te kolejne etapy poznania. Rozejrzałem się za oprawionym na zielono tomem z medycznymi artykułami Conchisa. Ale tomu nie było. Pozbawiono mnie także i tego klucza.

Bogactwo zapamiętanych przeżyć, przerażenie na myśl o tym, czego sobie

przypomnieć nie mogę, wspaniałość tego wszystkiego, podłość tego wszystkiego sprawiły, że przez dobrych parę chwil siedziałem z głową ukrytą w dłoniach, miotany na przemian uczuciami wdzięczności i gniewu.

Poszedłem się umyć, przez chwilę wpatrywałem się we własną twarz w lustrze, zszedłem na dół na kawę, którą podała mi milcząca Maria. Wiedziałem, że Conchis się nie pokaże, Maria się nie odezwie. Nic nie zostanie wyjaśnione, wszystko zaplanowano tak, aby trzymać mnie w napięciu aż do mojej następnej wizyty.

Wracając do szkoły próbowałem wytworzyć sobie jasny obraz tego, co przeżyłem; zrozumieć, czemu to doświadczenie, tak piękne, tak dojmująco rzeczywiste wydawało się zarazem tak złowieszcze i ponure. W porannym świetle, wśród cudownego pejzażu, trudno było wyobrazić sobie, że cokolwiek na tej ziemi może być ponure, ale to dziwne uczucie nie opuszczało mnie i nie chodziło tu tylko o upokorzenie. Czuję się tak, jakby zaczęło mi zagrażać nowe niebezpieczeństwo, jakbym wdał się w ciemne sprawy, których należało unikać. Obawa Julie przed Conchisem wydała mi się znacznie bardziej przekonująca niż jego pseudomedyczna litość w stosunku do niej; ona była lub nie była schizofreniczką, on zaś udowodnił, że jest hipnotyzerem. O ile oczywiście nie byli w zмовie i nie próbowali wspólnie wywieść mnie w pole... Zacząłem sobie gorączkowo przypominać wszystkie moje spotkania z Conchisem, by upewnić się, czy nigdy przedtem nie miał okazji poddania mnie hipnozie. Z goryczą przypominałem sobie, iż nie dalej niż poprzedniego popołudnia oświadczyłem Julie, że moje poczucie rzeczywistości przypomina siłę przyciągania. Przez chwilę czułem się jak człowiek w kosmosie wirujący w szaleństwie. Przypominałem sobie, że podczas sceny z Apollinem Conchis zachowywał się tak, jakby wpadł w trans. Czyżby zahipnotyzował mnie, i ja sobie to wszystko wyobraziłem? Czy uśpił mnie owego popołudnia nad parowem w miejscu wyznaczonym na ukazanie się Foulkesa? Czy kiedykolwiek stanęła tam naprawdę ta dziwaczna para: mężczyzna i młodziutka dziewczynka? A Julie... nie, czułem jeszcze dotyk jej skóry, jej stawiających opór ust. Wróciłem na ziemię. Ale nie odzyskałem równowagi.

Nie tylko uległem hipnozie Conchisa; czułem się także zahipnotyzowany przez tę dziewczynę. Uważałem zawsze, i nie był to tylko cynizm, że kobieta i mężczyzna po

---

\* Svengali — zbrodniczy hipnotyzer w powieści Trilby (1894) George du Maurier.

dziesięciu minutach wiedzą już doskonale, czy chcą pójść z sobą do łóżka, i że wszelka zwłoka jest czymś w rodzaju podatku, który warto zapłacić, jeżeli pożądanym przedmiotem wygląda dostatecznie atrakcyjnie, ale w dziewięciu wypadkach na dziesięć jest czymś zupełnie zbędnym. Nie chodziło tylko o przewidywanie, że rachunek Julie będzie dosyć wygórowany, ale Julie podważyła całą moją teorię. Otaczały ją opary uległości, wydawało się, że wystarczy pchnąć drzwi, aby się natychmiast otworzyły, powstrzymywała mnie jednak kryjąca się za tymi drzwiami ciemność. Może była to częściowo tęsknota za wymarłym typem kobiety Lawrence'a, pod każdym względem niższej od mężczyzny, obdarzonej jedynie siłą kobiecej tajemniczości i urody; świetny, męski samiec i mroczna, omdlewająca samica. Granice między płciami do tego stopnia zatarły się w tym hermafrodytycznym dwudziestym stuleciu, że powrót do sytuacji, w której kobieta była naprawdę kobietą, zmuszającą do wykazania się męskością, miał w sobie coś z fascynacji wejścia do starego dworu po długim pobycie w ciasnym nowoczesnym mieszkaniu. Dość często zdarzało mi się być na tyle oczarowanym, by marzyć o seksie, ale nigdy dotąd nie pragnąłem miłości.

Cały ranek spędziłem w klasie, prowadziłem lekcje tak, jakbym był dalej w stanie hipnozy, jak we śnie rozpatrywałem najróżniejsze hipotezy. Conchis wydawał mi się albo psychiatrą-romansopisarzem, który pisząc swe powieści posługuje się nie słowami, lecz ludźmi, albo niewątpliwie skomplikowanym, ale perwersyjnym starcem; raz jawił mi się jako Svengali, raz jako genialny żartowniś. Jednak w każdej roli fascynował mnie, a myśl o Julie jako Lily, w tym pierwszym momencie kiedy z rozpuszczonymi włosami, z zapłakaną buzią wyglądała w świetle lampy jak figurka z kości słoniowej... Nie próbowałem udawać przed sobą, że nie uległem magii Bourani. Czuję się tak, jakby magnes wyciągnął mnie przez otwarte okna klasy na grzbiet wyspy i dalej, w dół, gdzie z całego serca chciałem się znajdować. Rzędy oliwkowych twarzy, nachylone czarne główki, zapach kredy, czarny atramentowy kleks na mojej katedrze wyglądający jak test Rorschacha — wszystko to, choć jak najbardziej realne, wydawało się nierzeczywiste, zanurzało w mgłę, przeszkadzało zstąpić w otchłań.

Po lunchu Demetriades zajrzał do mojego pokoju, by wypytać mnie o Alison, a kiedy odmówiłem zeznań, zaczął wygłaszać sprośne żarciki, stereotypowe greckie *facetiae* o pomidorach i ogórkach. Wrzasnąłem, żeby się zamknął, i musiałem go siłą wyrzucić za drzwi. Obraził się i resztę tygodnia ostentacyjnie mnie unikał. Byłem z tego rad.

Odbyszy ostatnią lekcję nie mogłem się oprzeć chęci wizyty w Bourani.

Musiałem tam powrócić. Nie miałem żadnych określonych projektów, ale za wszelką cenę chciałem się tam znaleźć. Kiedy tylko dojrzałem Bourani poprzez wierzchołki pinii – ul tajemnic w resztce słonecznego blasku, poczułem głęboką ulgę, jakbym się bał, że zniknęło. Im byłem bliżej, tym podłej się czułem. A przecież chciałem tylko zobaczyć, sprawdzić, czy oni. istnieją, czy na mnie czekają.

Doszedłem tam o zmierzchu, prześliznąłem się między drutami i ostrożnie zszedłem na dół koło posągu Posejdona, przebyłem parów i doszedłem lasem do punktu, z którego widać było dom. Wszystkie boczne okna miały zamknięte okiennice. Nad chatą Marii nie unosił się dym. Obszedłem dom, dokoła, żeby zobaczyć front. Okiennice balkonowych okien pod kolumnadą też były zamknięte. A także wychodzących na taras okien sypialni Conchisa. Stało się jasne, że dom opustoszał. Wracalem w ciemności, przygnębiony i coraz bardziej wściekły, że Conchis potajemnie pozbawił mnie swego świata, jak gruboskórny lekarz pozbawia pacjenta narkotyku.

Następnego dnia napisałem list do Mitforda, oznajmiając, że byłem w Bourani, poznałem Conchisa i bardzo proszę, aby zdradził mi, co tam przeżył. List wysłałem na adres w Northumberland.

Zobaczyłem się także z Karazoglou i usiłowałem wydobyć z niego jakieś dodatkowe informacje. Był całkowicie pewien, że Leverrier nie znał Conchisa. Oznajmił to, o czym już wiedziałem, a mianowicie, że Leverrier był „religijny”; będąc w Atenach zwykł chodzić na mszę. I Karazoglou powtórzył niemal to samo co Conchis: *Il avait toujours l'air un peu triste, il ne s'est jamais habitué à la vie ici.*\* Ale Conchis mówił także, że był kimś, kto umie „szukać”.

W kancelarii szkoły odszukałem adres Leverriera, ale w końcu nie zdecydowałem się do niego napisać i tylko na wszelki wypadek przepisałem adres do notesu.

Zajrzałem także do encyklopedii. Artemida była siostrą Apollina, opiekunką dziewic i patronką myśliwych. Klasyczna poezja przyodziewała ją w szafranową suknię, koturny i wkładała do ręki srebrny łuk (księżyc w nowiu). Choć istotnie strzelała bez namysłu do zakochanych młodzieńców, nigdzie nie znalazłem wzmianki,

jakoby miał jej w tym dopomagać brat. Utożsamiano ją z boginią księżycy otaczaną kultem za czasów matriarchatu. Poprzedniczkami jej były także Astarte w Syrii i Izyda w Egipcie. Zauważyłem, że Izydzie towarzyszył często bóg Anubis z łbem szakala, Izydzie strażnik Hadesu, który później stał się Cerberem.

We wtorek i w środę musiałem cały dzień siedzieć w szkole pilnując odrabiania lekcji. W czwartek znów wybrałem się do Bourani. Nic się nie zmieniło. Posiadłość tak samo jak w poniedziałek świeciła pustką.

Obszedłem dookoła dom, sprawdziłem, że wszystkie okiennice są szczelnie zamknięte, zszedłem na prywatną plażę, z której zniknęła motorówka. Potem przez pół godziny siedziałem pod kolumnadą snując ponure rozmyślenia. Czuję się wykorzystany, wyrzucony poza nawias. Byłem równie wściekły na nich, jak na samego siebie. Musiałem oszaleć, żeby się w to wszystko wdać, co gorsza chciałem, aby to trwało, mimo że przejmowało mnie lękiem. Co dzień zmieniałem zdanie, coraz bardziej prawdopodobna wydawała mi się schizofrenia Julie. Nie widziałem innego powodu, dla którego Conchis miałby przerwać maskaradę. Przecież gdyby była tylko rozrywką...

Sądzę, że w moich uczuciach dużą rolę odgrywała także zawiść; rozmyślałem o nierozwadze — a może była to buta — Conchisa, który w pustym domu zostawiał Modiglia-niego i Bonnardy... Bonnardy nasunęły mi znów myśli o Alison. Tego właśnie dnia specjalny statek miał zabrać o północy do Aten tych nauczycieli i uczniów, którzy zamierzali tam spędzić krótkie wakacje w połowie semestru. Oznaczało to noc w fotelu zaniedbanego saloniku pierwszej klasy, ale za to już w piątek rano było się w Atenach. Sam nie jestem pewien dlaczego — z gniewu, na złość, żeby się zemścić? — wsiadłem na statek. Na pewno nie ze względu na samą Alison, poza tym, że bardzo chciało mi się z kimś pogadać. Może był to zwyczajnie ostatni zryw mojej egzystencjalistycznej osobowości: uleganie kaprysom stanowi dowód wewnętrznej wolności.

W minutę później biegłem już w stronę bramy. Jeszcze wówczas obejrzałem się w ostatnim momencie z iską nadziei, że ktoś przywoła mnie ruchem ręki.

Ale nikogo nie było. Więc pobiegłem do portu.

---

\* Był zawsze smutny, nie mógł się przyzwycząić do tutejszego życia.

W Atenach czekał na mnie upał i kurz, ochra i szarzyzna. Nawet palmy wydawały się znużone. Całe człowieczeństwo ludzi schowało się pod ich ciemnymi skórąmi i jeszcze ciemniejszymi okularami, o drugiej po południu ulice pustoszały pozostawione gnuśnemu gorącu. Leżałem otępiały na łóżku w hoteliku w Pireusie i aż do zapadnięcia zmroku niespokojnie drzemałem. Miasto wydawało mi się tym bardziej nie do zniesienia, że po Bourani trudno było się pogodzić z rykiem aut, z gorączkową atmosferą.

Apatycznie wlokły się popołudniowe godziny. Im bliżej było do spotkania z Alison, tym wyraźniej zdawałem sobie sprawę, jak podejrzane były moje pobudki. Wiedziałem, że jestem w Atenach tylko po to, żeby nie poddać się w grze z Conchisem. Dwadzieścia cztery godziny temu, gdy siedziałem pod kolumnadą, Alison wydała mi się pionkiem, którym mogłem go zaszachować. Ale teraz, na dwie godziny przed spotkaniem... nie, nie było mowy, abym mógł pójść z nią do łóżka. Ani opowiedzieć jej o Bourani. Przestałem wiedzieć, czemu tu w ogóle przyjechałem. Kusilo mnie, żeby ukradkiem wrócić na wyspę. Nie chciałem oszukiwać Alison, nie chciałem też wyznać jej prawdy. Niemniej coś mnie tu jednak zatrzymywało, ślad zainteresowania tym, co się z nią dzieje, odrobina współczucia, wspomnienie tego, co kiedyś do niej czułem. Spotkanie z nią wydawało mi się czymś w rodzaju testu moich uczuć do Julie i moich na ten temat wątpliwości. Alison reprezentowała dawną i obecną rzeczywistość zewnętrznego świata; chciałem doprowadzić do spotkania na ringu między nią a tą moją „duchową przygodą”. A w ciągu tej długiej nocy na statku wymyśliłem sobie, w jaki sposób zapewnię sobie antyseptyczność spotkania — jak równocześnie utrzymam dystans i wzbudzę w niej współczucie.

O piątej wstałem, wziąłem prysznic i złapałem taksówkę na lotnisko. Usiadłem na ławce naprzeciwko długiego kontuaru recepcji, potem wstałem i odszedłem; z irytacją stwierdziłem, że czuję się zdenerwowany. Minęło mnie kilka stewardes — schludnych, surowych, bezosobowo urodziwych, nierzeczywistych. Wyglądały niczym postacie z powieści science-fiction.

Szósta, szósta piętnaście. Zmusiłem się do podejścia do recepcji. Siedziała tam Greczynka w odpowiednim mundurku, miała błyszczące białe zęby i ciemne oczy o spojrzeniu pełnym aluzji, które wydawało się częścią szczodrego makijażu.

— Miałem się tu spotkać z jedną z waszych pracownic. Z Alison Kelly.

— Allie? Jej lot już tu jest. Pewno się przebiera. — Wzięła słuchawkę, nakręciła



numer, błysnęła w moją stronę zębami. Mówiła nieskazitelnym amerykańskim akcentem. — Allie? Twój absztyfikant czeka. Jeśli się nie pośpieszysz, to ja z nim pójdę. — Podała mi słuchawkę: — Allie chce z panem mówić.

— Niech jej pani powie, żeby się nie spieszyła. Poczekam.

— On nie śmie się odezwać. — Alison musiała coś powiedzieć, bo dziewczyna roześmiała się, nim odłożyła słuchawkę.

— Zaraz tu będzie.

— Co powiedziała?

— Że pan nie jest nieśmiały, tylko wypracował pan sobie taką technikę.

— Hm.

Spojrzała na mnie znacząco mrużąc oczy o długich czarnych rzęsach, po czym odwróciła się, by zająć się dwiema kobietami, które szczęśliwie pojawiły się przy kontuarze. Wycofałem się i stanąłem obok wyjścia. Na początku mego pobytu na wyspie, Ateny, miejskie życie, wydawały mi się czymś normalnym, czymś ponętym i zarazem dobrze znanym. Teraz poczułem się przerażony, zrozumiałem, że tego wszystkiego wręcz nie cierpię. Przybywałem z innej planety. W parę minut później w drzwiach pokazała się Alison. Miała krótko, zbyt krótko obcięte włosy, ubrana była w białą sukienkę i to od razu źle mnie do niej usposobiło, wiedziałem bowiem, że ta suknia miała mi przypomnieć o naszym pierwszym spotkaniu. Cera Alison była jaśniejsza, niż zapamiętałem. Zobaczywszy mnie zdjęła ciemne okulary i spostrzegłem, że jest zmęczona, miała wymiętą buzię. Dosyć ładne ciało, dosyć ładna sukienka, niezłe ruchy, ta sama bezbronna twarz i pytający wzrok. Alison wyzwałała we mnie siłę dziesięciu koni mechanicznych, ale Julie tysiąca. Alison podeszła i wymieniliśmy uśmiechy.

— Hej!

— Halo, Alison.

— Przepraszam. Jak zwykle się spóźniłam.

Zachowywała się tak, jakbyśmy się widzieli przed tygodniem. Ale nic z tego. Dziewięć miesięcy tkwiło między nami jak sito, przez które przedostawały się słowa, ale nie przedostawały uczucia.

— Ruszamy?

Wziąłem jej torbę lotniczą i zaprowadziłem do taksówki. Usiedliśmy każde w swoim kąciku i zaczęliśmy się sobie przyglądać. Uśmiechnęła się.

— Myślałam, że nie przyjdiesz.

— Nie wiedziałem, gdzie cię szukać, żeby ci o tym dać znać.

— Mądrze to wymyśliłam.

Wyjrzała przez okno i pokiwała jakimś mężczyźnie w mundurze lotnika. Wydawała się starsza, bardziej obyta, znów trzeba by było wiele ją nauczyć, ale ja nie miałem na to energii.

— Mam dla ciebie pokój z widokiem na port.

— Pysznie.

— Te greckie hotele są potwornie staromodne. Zresztą sama wiesz.

— *Toujours* to, co wypada. — Spojrzała na mnie ironicznie i zaraz się wycofała.

— Ale heca! *Vive savoir vivre!* — Już miałem przystąpić do wygłoszenia przygotowanego przemówienia, ale rozwścieczyło mnie jej przekonanie, że się nie zmieniłem, że nadal przestrzegam niewolniczo wszystkich angielskich konwenansów, a jeszcze bardziej, że usiłowała to potem ukryć. Wyciągnęła rękę, ująłem ją i uściśnłem. Potem sięgnęła i zdjęła mi ciemne okulary.

— Wyglądasz zabójczo. Wiesz o tym? Jesteś czarny! Cały wysuszony na słońcu, wkrótce zaczną się zmarszczki! Chryste, jak ty będziesz wyglądał, jak skończysz czterdzie-staka.

Uśmiechnąłem się, ale wypuściłem jej dłoń ze swoich i sięgnąłem po papierosa. Wiedziałem, co oznacza jej pochlebstwo: było to zaproszenie.

— Alison, wpakowałem się w głupią historię.

Jej udana wesołość natychmiast pierzchła. Spojrzała przed siebie.

— Masz inną dziewczynę?

— Nie. — Obdarzyła mnie niepewnym spojrzeniem. — Ale się zmieniłem. Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć.

— I życysz sobie z całego serca, żebym się trzymała z dala.

— Nie... Cieszę się, że jesteś... — Spojrzała na mnie podejrzliwie. — Naprawdę. Chwilę milczała. Wjechaliśmy na szosę prowadzącą brzegiem morza.

— Skończyłam z Petem.

— Pisałaś mi.

— Zapomniałam — szepnęła.

Ale ja wiedziałem, że to nieprawda.

— I z tymi wszystkimi, którzy pojawili się po nim. — Dalej wyglądała przez okno. — Przepraszam. Nie powinnam zaczynać od błahych rozmówek.

— Ależ nie... to znaczy, wiesz...

Spojrzała na mnie ukradkiem, w spojrzeniu tym malował się ból, który usiłowała ukryć. Powiedziała z wysiłkiem: — Znów mieszkam z Ann. Od zeszłego tygodnia. W tym samym mieszkaniu. Maggie pojechała do domu.

— Lubilem Ann.

— Tak, Ann jest fajna.

W milczeniu przejechaliśmy obok Phaleronu. Alison wyglądała przez okno, po chwili sięgnęła do białej torebki i wyjęła ciemne okulary. Wiedziałem, dlaczego to zrobiła, miała wilgotne oczy. Nie wziąłem jej za rękę, tylko zacząłem opowiadać, jak ogromnie Pireus różni się od Aten, jest bardziej malowniczy, bardziej grecki i na pewno będzie jej się lepiej podobał. Prawdę mówiąc, wybrałem Pireus z zupełnie innych powodów: tu istniała niewielka, lecz przerażająca możliwość spotkania Conchisa i Julie. Na samą myśl, że Julie przechodząc spojrzy na mnie chłodnym, rozbawionym wzrokiem, poczułem ciarki na plecach. W zachowaniu i wyglądzie Alison było coś, co nasuwało myśl, że towarzyszący jej mężczyzna towarzyszy jej także w łóżku. Plotłem, co mi ślina przyniosła na język, i zastanawiałem się, jak uda się nam przeżyć te następne trzy dni.

Dałem boyowi napiwek i wyszedł z pokoju. Alison podeszła do okna, wyjrzała na szerokie białe nadbrzeże, wolno spacerujący wieczorny tłum, ruchliwy port. Stałem za nią. Po sekundzie wahania objąłem ją ramieniem, a ona się od razu o mnie oparła.

— Nienawidzę miast. Nienawidzę samolotów. Chciałabym mieszkać w chatce w Irlandii.

— Dlaczego w Irlandii?

— Gdzieś, gdzie nigdy dotąd nie byłam.

Czułem jej ciepło, jej ciało zdradzało chęć poddania się. Lada moment podniesie ku mnie twarz i będę musiał ją pocałować.

— Alison... sam nie wiem, jak ci to wyznać... — cofnąłem ramię i przysunąłem się do okna, żeby nie mogła zobaczyć mojej twarzy. — Parę miesięcy temu zaraziłem się... Syfilis. — Spojrzałem na nią, a w jej wzroku malował się niepokój, szok i niedowierzanie. — Niby już wszystko w porządku, ale nie śmiałybym...

— Byłeś w... — Skinąłem głową. Niedowierzanie znikło. Spuściła oczy.

— Masz swoją zemstę.

Podeszła i objęła mnie ramionami. — Och, Nicko, Nicko.

Patrząc ponad jej głową oświadczyłem: — Jeszcze przez miesiąc nie wolno mi z

nikim być... Nie wiem sam, co robić. Nie powinienem był do ciebie pisać. Nie miało to żadnego sensu.

Wpuściła mnie z ramion i usiadła na łóżku. Pomyślałem, że zastawiłem sam na siebie nową pułapką, ona uważa, że to tłumaczy w pełni moje dziwaczne zachowanie. Obdarzyła mnie serdecznym uśmiechem.

— Opowiedz mi wszystko.

Chodząc po pokoju opowiedziałem jej o Patarescu i klinice, o moich, wierszach, o nieudanej próbie samobójstwa, o wszystkim poza Bourani. Leżała na łóżku paląc papierosa i zupełnie nieoczekiwanie uradowała mnie własna dwulicowość; wyobraziłem sobie, że taką samą radość odczuwał Conchis igrając ze mną jak z myszką. Wreszcie przysiadłem w nogach łóżka. Alison wpatrywała się w sufit.

— Mam ci teraz opowiedzieć o Petem?

— Tak.

Odgrywając swoją rolę, tylko połowicznie jej słuchałem, i nagle poczułem, że jest mi dobrze; nie chodziło tu tylko o Alison, cieszyło mnie, że jestem w hotelowym pokoju, że słyszę szum gwarne go tłumu, wycie syren, że dolatuje mnie zapach zmęczonego Morza Egejskiego. Do Alison nie czułem ani pociągu, ani czułości; nie, nie interesowało mnie jej zerwanie z tym nudnym australijskim pilotem, wzruszał mnie tylko przewrotny smutek ciemniejącego pokoju. Światło odpłynęło z nieba, zapadł zmierzch. Zdradzieckość nowoczesnych miłości wydawała mi się czymś pięknym, a moja wielka tajemnica spoczywała bezpiecznie pod kluczem. Znów zwiódła mnie Grecja, aleksandryjska Grecja Kawafisa: ważne stały się tylko doznania estetyczne i dekadentkie piękno. Moralność wydawała się wymysłem północnej Europy.

Nastąpiło długie milczenie.

Alison spytała: — Więc jak jest z nami, Nicko?

— Co masz na myśli?

Opierała się na łokciu wpatrując się we mnie, ale ja nie odpowiedziałem jej spojrzeniem.

— Cóż, wiem... oczywiście... — wzruszyła ramionami. — Ale ja nie przyjechałam tu jako twój stary koleżka.

Schowałem twarz w dłoniach.

— Alison, mam po uszy kobiet, po uszy miłości, po uszy seksu i w ogóle wszystkiego. Sam nie wiem, czego chcę. Nie powinienem był prosić cię o przyjazd. —

Spuściła oczy, jakby się z tym zgadzając. — Faktem jest, że odczuwałem coś w rodzaju tęsknoty za siostrą. Jeśli powiesz: do diabła z tym, zrozumieć. Nie mam prawa nie rozumieć.

— W porządku. Siostra. — Podniosła oczy. — Siostra. Ale wkrótce zostaniesz wyleczony.

— Nie wiem. Po prostu sam nie wiem. — Staralem się zrobić wrażenie człowieka pogrążonego w głębokiej rozterce. — Widzisz, jeśli chcesz, to odejź, przeklnij mnie, zrób, co chcesz, ale ja jestem w środku martwy. — Podszedłem do okna. — To wszystko moja wina. Nie wolno mi było prosić cię, byś spędziła trzy dni z martwym człowiekiem.

— Z martwym człowiekiem, którego kiedyś kochałam.

Wśliznęła się między nas cisza. Potem Alison zerwała się, a ja poszedłem zapalić światło. Przyczesalem włosy. Ona wyjęła dżetowe kolczyki, które zostawiłem jej wyjeżdżając z Londynu, założyła je, a potem umalowała usta. Pomyślałem o Julie, o ustach, które nie znały szminki, o jej tajemniczości, chłodzie, wykwincie. Cudownie było tak zupełnie nie odczuwać żądz, nareszcie uda mi się chociaż raz bez wysiłku dochować wierności.

Ironia losu sprawiła, że aby dojść do wybranej przeze mnie restauracji musieliśmy minąć „rozrywkową” dzielnicę Pireusu. Bary, różnokolorowe neony, fotografie striptizerek i tancerek wykonujących taniec brzucha, szukający przygód marynarze, lautrekowskie wnętrza za kurtynami z paciorków. Ulice pełne były kurw i alfonsów oraz chłopców z wózkami sprzedających ziarnka słonecznika, orzeszki pistacji, kasztany, ciastka i bilety na loterię. Portierzy zapraszali nas do środka, sprzedawcy proponowali ukradkiem zegarki, kartony cameli, jakieś podejrzone pamiątki. I co dziesięć jardów ktoś gwizdał na widok Alison.

Szliśmy w milczeniu. Wyobraziłem sobie „Lily” idącą tą ulicą: wszyscy by się uciszeli, umilkli, jej widok nie wyzwalałby ukrytej w nich wulgarności, nie prowokował. Twarz Alison stężała. Staraliśmy się jak najszybciej stąd wydostać, niemniej wydawało mi się, że w jej ruchach było tak jak przedtem coś amoralnie zmysłowego, Coś, co musiało działać na każdego przechodzącego mężczyznę.

Kiedy weszliśmy do restauracji Spiro, Alison spytała nieco zbyt ożywionym tonem: — No, bracie Nicholas, co zamierzasz ze mną zrobić?

— Czy chcesz, żebyśmy sobie dali z tym spokój?

— A ty?

— Ja zapytałem pierwszy.

— Nie. A ty?

— Moglibyśmy się jutro gdzieś wybrać. Zobaczyć coś, czego jeszcze nie znasz. — Ku mojej wielkiej uldze już po drodze dowiedziałem się, że spędziła raz dzień w Atenach i zwiedziła zabytki.

— Nie mam ochoty na zwykły turystyczny wypad. Wymyśl coś, czego się zwykle nie ogląda. Jedźmy gdzieś, gdzie moglibyśmy być sami. — I dodała szybko: — Mam po uszy ludzi.

— Jak z chodzeniem po górach?

— Uwielbiam. Dokąd pójdziemy?

— Cóż, może na Parnas. Podobno nietrudno się tam wdrapać. To raczej długi spacer. Moglibyśmy wynająć samochód. I potem pojechać do Delf.

— Parnas? — zmarszczyła czoło, nie potrafiąc go usytuować.

— Góra. Na której harują muzy.

— Och, Nicholas! — Na sekundę pojawiła się dawna entuzjastyczna Alison.

Przyniesiono nam naszą *barbounię* i zabraliśmy się do jedzenia. Alison ożywiła się, trochę zanadto podekscytowana pomysłem zdobycia Parnasu, i piła wraz ze mną *retsinę*, szklanka po szklance; robiła to wszystko, czego Julie nigdy by nie zrobiła, po czym w charakterystyczny dla siebie sposób przyznała się do bluffu.

— Zanadto się staram, co? Ale to twoja wina.

— Jeżeli...

— Nicko.

— Alison, jeśli ty...

— Nicko, posłuchaj mnie. Tydzień temu zamieszkałam w moim dawnym pokoiku. I w nocy usłyszałam na górze kroki. I rozplakałam się. Tak jak dziś w taksówce. I jak mogłabym się zaraz rozplakać, ale tego nie zrobię.

Uśmiechnęła się, był to półuśmiech, półgrymas. — Chętnie rozplakałabym się na myśl, że zwracamy się do siebie po imieniu.

— Co w tym złego?

— Nigdy tak nie mówiliśmy. Nie musieliśmy, byliśmy sobie zbyt bliscy. Trudno. Ale teraz próbuję ci powiedzieć, że... w porządku. Tylko bądź dla mnie miły. I nie siedź z taką miną, jakbyś bez przerwy osądzał to, co mówię i co robię. — Zmusiła mnie

wzrokiem, bym spojrział jej prosto w oczy. — Nic na to nie poradzę, że jestem taka, jaka jestem. — Skinąłem głową, zrobiłem zmartwioną minę i chcąc ją ułagodzić wziąłem za rękę. Nade wszystko bałem się awantury, rozpętania emocji, powrotu w przeszłość.

Po chwili zagryzła usta, wymieniliśmy uśmiechy, i był to pierwszy uczciwy uśmiech od chwili, gdyśmy się spotkali.

Powiedziałem jej dobranoc na progu pokoju. Pocałowała mnie w policzek, a ja objąłem ją z taką miną, jakby żadna kobieta nie była w stanie docenić szlachetności mego postępowania.

## 38

O pół do dziesiątej byliśmy już w drodze. Dojechaliśmy do Teb, gdzie Alison kupiła sobie mocne buty i dżinsy; świeciło słońce, wiał wiatr, szosa była pusta, a wynajęty przeze mnie poprzedniego wieczoru stary pontiac jeszcze pełen animuszu. Alison interesowało wszystko, architektura, krajobraz, informacje w moim bedekerze z 1909 roku o miejscowościach, przez które przejeżdżaliśmy. Jej entuzjazm podszyty ignorancją przestał mnie nagle irytować. Wydawał się częstką jej energii, otwartości i koleżeńskiej towarzyskości. Ale podświadomie chciałem być zirytowany, wobec tego uczepiłem się jej pogody, jej umiejętności wypływania na powierzchnię po najgorszym rozczarowaniu. Uważałem, że powinna być bardziej przybita, smutniejsza.

W którymś momencie zapytała mnie, czy dowiedziałem się czegoś więcej o poczekalni; nie odrywając oczu od drogi odpowiedziałem, że nie, że była to po prostu tablica przed willą. Że dalej nie wiem, co Mitford chciał przez to powiedzieć. I zaraz zmieniłem temat rozmowy.

Jechaliśmy szybko szeroką doliną między Tebami i Livadią, wśród pól zboża i plantacji melonów. Ale tuż przed Livadią na szosę wyszło wielkie stado owiec i musiałem przystanąć. Wysiedliśmy z auta, by przyjrzeć się owcom. Pojawił się czternastoletni chłopak, miał mocno złachane ubranie i groteskowo wielkie wojskowe buty. Wraz z nim szła jego siostra, ciemnooka sześć- może siedmioletnia dziewczynka. Alison wyciągnęła cukierki. Ale dziewczynka była nieśmiała i ukryła się

za plecami brata. Alison w tej swojej zielonej sukience bez rękawów ukucnęła i wyciągnęła cukierek w kierunku stojącej o jakieś dziesięć jardów małej. Wokół nas dźwięczały dzwonki owiec, dziewczynka wpatrywała się w Alison, a ja zacząłem się niecierpliwić.

— Jak jej powiedzieć, żeby wzięła cukierek?

Przemówiłem do dziewczynki po grecku. Nie zrozumiała mnie, ale jej brat uznał, że można nam zaufać, i popchnął ją w naszym kierunku.

— Czego ona się tak boi?

— Zwykła ignorancja.

— Jest słodka.

Alison włożyła cukierek do ust, a drugi wyciągnęła w kierunku dziecka, które z wolna podeszło. Kiedy nieśmiało sięgnęło po cukierek, Alison chwyciła je za rączkę i usadowiła koło siebie. Zdjęła z cukierka papierek. Starszy brat podszedł i ukląkł obok, namawiając małą, aby nam podziękowała. Ale ona siedziała nieruchomo, z poważną miną ssąc cukierek. Alison objęła ją ramieniem i pogłaskała po policzku.

— Tego bym nie robił. Mała ma na pewno wszy.

— Wiem, że ma na pewno wszy.

Alison nie spojrzała nawet na mnie i nie przestała pieścić dziecka. Ale w sekundę później dziewczynka skrzywiła się. Alison nachyliła się nad nią. — Och, zobacz! Proszę cię, spójrz! — Na ramionku małej widać było zaogniony, rozdrapany wrzód. — Podaj mi moją torbę. — Przyniosłem ją i patrzyłem, jak Alison odsuwa rękaw sukienki małej, naciera obolałe miejsce kremem, a potem znienacka kładzie trochę kremu na czubku nosa dziecka. Mała rozmazała ten krem brudnym paluszkiem i nagle spojrzała na Alison i roześmiała się, było to tak nieoczekiwane jak pojawienie się krokusa na zamrzniętej powierzchni ziemi.

— Nie moglibyśmy dać im trochę pieniędzy?

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo nie są żebrakami. Zresztą i tak nie przyjmą.

Pogrzebała w torebce, wyciągnęła z niej drobny banknot, podała chłopcu, wskazując równocześnie na niego i na dziewczynkę. Żeby się podzielili. Chłopiec zawahał się, ale wziął.

— Zrób nam zdjęcie.



Niechętnie podszedłem do auta, wyjąłem aparat i zrobiłem zdjęcie. Chłopiec nalegał, abym zanotował jego adres, prosił, żeby mu przysłać fotografię, chciał mieć pamiątkę.

Ruszyliśmy w stronę auta, dziewczynka poszła z nami. Teraz nie przestawała się uśmiechać — promiennym uśmiechem wszystkich greckich wiejskich dzieci ukrytym zwykle za powagą nieśmiałości. Alison nachyliła się, ucałowała małą, a kiedy odjeżdżaliśmy, odwróciła się i zaczęła machać ręką. Machała i machała. Kącikiem oka dostrzegłem, jak zwraca ku mnie rozpromienioną buzię. Zobaczyła mój wyraz twarzy i cofnęła się.

— Przepraszam. Nie wiedziałam, że się spieszymy.

Wzruszyłem ramionami i nie podjąłem dyskusji.

Dokładnie wiedziałem, co próbowała mi powiedzieć. Może nie wszystko w jej zachowaniu było przeznaczone dla mnie, ale część na pewno. Ze dwie mile jechaliśmy w milczeniu. Aż do Livadii. Alison nie odezwała się. Tam musieliśmy zacząć rozmawiać o zakupie prowiantu na wycieczkę.

Wszystko to powinno było rzucić cień na naszą wycieczkę. Ale tak się nie stało, pewnie dlatego, że dzień był wyjątkowo piękny, a pejzaż należał do najwspanialszych na świecie: błękitny cień Parnasu zamajaczył na horyzoncie, to, co robiliśmy, i to, co nas otaczało, ważniejsze było od tego, jacy jesteśmy.

Wijącą się drogą jechaliśmy wąskimi dolinami wśród wysokich wzgórz, lunch zjedliśmy na łące gęsto zarośniętej koniczyną i żarnowcem i pełnej dzikich pszczół. Potem minęliśmy rozstaje, na których Edyp zabił ponoć ojca. Zatrzymaliśmy się i stanęliśmy wśród zeschniętych ostów przy ułożonym z kamieni murze; anonimowy zakątek, którego osamotnienie odpędzało wszystkie złe duchy. Całą drogę do Arachovej Alison wypytywała o mego ojca i po raz pierwszy w życiu mówiłem o nim bez goryczy, o nic go nie obwiniając, trochę tak jak Conchis opowiadał o sobie. I nagle, spojrzawszy na Alison, która siedziała oparta o drzwiczki i zwrócona ku mnie twarzą, pomyślałem, że jest ona jedyną osobą na świecie, z którą mogę tak rozmawiać, że niepostrzeżenie wróciliśmy do naszych dawnych stosunków... zbyt bliskich, abyśmy musieli zwracając się do siebie używać imion. Spojrzałem z powrotem na drogę, ale Alison patrzyła na mnie i wiedziałem, że muszę się odezwać.

— Grosik za twoje myśli.

- Jak świetnie wyglądasz.
- Wcale mnie nie słuchałaś.
- Owszem, słuchałam.
- Wpatrywałaś się we mnie. To mi działa na nerwy.
- Czyżby siostrze nie wolno było patrzeć na brata?
- Nie w sposób kazirodczy.

Usiadła grzecznie na fotelu i zaczęła wyciągać szyję, żeby dobrze przyjrzeć się olbrzymim szarym ścianom skalnym, obok których przejeżdżaliśmy.

- Zwykły spacer!
- Tak, też o tym pomyślałem i zacząłem mieć wątpliwości.
- Co do siebie czy co do mnie?
- Głównie niepokoję się o ciebie.
- Zobaczymy, kto ustanie pierwszy!

Arachova była niedużą wioską wysoko, wysoko nad doliną Delf; romantyczny grzbiet górski, obrośnięty różowymi i żółtymi domkami. Zacząłem pytać o drogę i odesłano mnie do stojącej obok kościoła chatki. W drzwiach pojawiła się staruszka, w cieniu izby stał warsztat tkacki, a na nim do połowy utkany czerwony kilim. Po paru minutach rozmowy stało się jasne, że góra nie kłamie.

Alison spojrzała na mnie badawczo: – Co ona powiedziała?

- Że idzie się cały czas stromo pod górę. Że musi to zająć sześć godzin.
- No i dobrze. To samo mówi twój bedeker. Na szczyt należy dojść o zachodzie słońca. – Spojrzałem na to gigantyczne szare zbocze. Staruszka zdjęła wiszącą za drzwiami klucz. – Co ona mówi?
- Że stoi tam chata.
- No to czym się martwimy?
- Mówi, że jest tam przeraźliwie zimno. – Ale w żarze południa trudno było w to uwierzyć. Alison oparła ręce na biodrach.

– Obiecałeś mi przygodę. Proszę o przygodę.

Spojrzałem na staruszkę, potem znów na Alison. Zdjęła ciemne okulary i patrzyła na mnie surowo i groźnie, a chociaż żartowała, zobaczyłem w jej wzroku podejrzliwość. Gdyby odgadła, że zależy mi na tym, by nie spędzić z nią nocy w tym samym pokoju, z mojej aureoli zostałby tylko pył.

Akurat przechodził jakiś mężczyzna z mułem i staruszka go zawołała. Szedł po chrust w pobliże schroniska, Alison mogłaby więc pojechać na mule.

— Spytaj, czy mogę wejść do chaty i przebrać się w dzinsy.  
Widać było nam to przeznaczone.

## 40

Ścieżka zygzakiem wspiwała się po ścianie góry; niedługo znaleźliśmy się na wyższej części Parnasu. Wiosennie chłodny wiatr wiał nad paroma milami łąki. A dalej ponure czarne jodły i szare urwiska skał wspiwały się i nikły w puszystych białych obłokach. Alison zsiadła z muła i razem szliśmy po darni. Mulnik miał około czterdziestki, pod złamanym nosem jeżyły się zamaszyste wąsy, biła od niego niezależność. Opowiedział nam o życiu pasterzy, życiu pełnym słonecznych godzin, liczenia i dojenia owiec, pełnym odległych gwiazd, chłodnych wiatrów, nieskończonej ciszy przerywanej tylko dźwiękiem dzwoneczków i nagłym pojawieniem się wilka czy orła; o życiu, które od sześciu tysięcy lat nie uległo najmniejszej zmianie. Tłumaczyłem jego słowa Alison. Od razu nabrała do niego sympatii i mimo bariery języka nawiązała z nim na pół seksualny, na pół filantropijny kontakt.

Opowiadał, że przez jakiś czas pracował w Atenach, ale *then hyparchi esychia*, nie było tam ciszy, spokoju, Alison spodobało się słowo: *esychia*. *Esychia, esychia*, powtarzała. On śmiał się i poprawiał jej wymowę; zatrzymywał ją ruchem ręki w pół słowa i dyrygował nią jak orkiestrą. Spoglądał na mnie, spod oka, lecz wyzywająco, jakby chciał sprawdzić, czy nie razi mnie zachowanie Alison. Udawałem obojętność, ale nie mogłem się oprzeć sympatii do tego mężczyzny; był on typowym wieśniakiem greckim, a wieśniacy greccy jak wiadomo są najbardziej niezależni i najmiłsi ze wszystkich wieśniaków Europy; nie mogłem też się oprzeć sympatii do Alison za to, że go tak od razu polubiła.

Z drugiej strony łąki stały obok potoku dwie *kalyvia*, dwie chatki z nieciosanych kamieni. Stąd nasz mulnik musiał pójść inną ścieżką. Alison impulsywnie sięgnęła do przewieszanej przez ramię czerwonej greckiej torby i wyjęła z niej dwie paczki papierosów. — *Esychia* — powiedział pasterz. Bez końca ściskali sobie ręce, a ja ich sfotografowałem.

— *Esychia, esychia*. Powiedz mu, że wiem, co to znaczy.

— Wie, że wiesz. Za to cię właśnie lubi. Wreszcie ruszyliśmy ścieżką wśród jodeł.

– Uważasz mnie za sentymentalną idiotkę.

– Nie. Ale wystarczyłaby jedna paczka.

– Nie wystarczyła. Polubiłam go tak, że i dwie paczki to mało.

Potem zauważyła: – Jakie to piękne słowo.

– Skazane na zagładę.

Chwilę wspinaliśmy się. – Posłuchaj tylko.

Zatrzymaliśmy się na kamienistej ścieżce i zaczęliśmy nadśluchiwać, ale wokół była tylko cisza, *esychia* i lekki szum gałęzi jodeł. Alison wzięła mnie za rękę i poszliśmy dalej.

Ścieżka wspinała się wśród drzew polankami rojnymi od motyli, a potem skalną powierzchnią, na której często gubiliśmy jej ślad. Im byliśmy wyżej, tym robiło się chłodniej i szczyt góry, szary, wilgotny, polarny zniknął w chmurze. Rzadko się odzywaliśmy, brakło nam tchu. Ale wysiłek fizyczny, uczucie osamotnienia, fakt, że co chwila musiałem podawać Alison rękę, bo ścieżka zamieniła się w kamieniste wysokie schody – wszystko to przełamało naszą rezerwę, wprowadziło atmosferę aseksualnego koleżeństwa.

Do schroniska doszliśmy około szóstej. Schowane było tuż nad linią lasów, maleńka pozbawiona okien kamienna chatka, nad beczkowo sklepionym dachem sterczał komin. Drzwi były żelazne, zardzewiałe, podziurawione kulami pewnie jakiejś potyczki z komunistycznymi *andarte* podczas wojny domowej. W środku stały cztery prycze, leżał stos starych czerwonych koców, znajdował się piecyk, lampa, piła i siekiera, a nawet nafty. Ale wszystko wyglądało tak, jakby od wielu lat nikt tu nie spędził nocy.

– Jestem za tym, żeby tu zostać. – Alison nawet nie odpowiedziała, tylko włożyła sweter.

Nad nami pojawił się baldachim chmur, zaczęła się mżawka, a kiedy weszliśmy na grzbiet góry, wiatr zaciął jak w Anglii w styczniu. Nagle otoczyły nas ze wszystkich stron chmury, wirująca mgła i widoczność ograniczyła się najwyżej do trzydziestu jardów. Odwróciłem się, by spojrzeć na Alison. Zaczerwienił się jej nos i wyglądała na kompletnie przemarznątą. Wskazała na następne pokryte gładzami zbocze.

Kiedy doszliśmy do przełęczy, nastąpił cud i niebo zaczęło się przejaśniać, jakby mgła i zimno wystawiły nas tylko na próbę. Cienką już teraz warstwę chmur oblał ukośnie padający blask słońca, nagle chmury pękły i pojawiły się wśród nich wielkie jeziora błękitu. Wkrótce znów szliśmy w słońcu. Przed nami rozciągała się

szeroka zielona kotlina otoczona szczytami, w szczelinach skalnych bardziej stromych zboczy widniały girlandy śniegu. Pełno kwiatów — gencjany, dzwonki, amarantowe alpejskie bodziszki, skalnice. Wyrastały z każdej szczeliny skalnej, zabarwiały każdy skrawek łąki. Zupełnie jakbyśmy się cofnęli o całą porę roku. Alison biegła przed siebie, potem odwracała się z wyciągniętymi ramionami jak ptak, który za chwilę ma się oderwać od ziemi i znów biegła, cała błękitnodżinsowa, podskakując jak dziecko.

Spykeri, najwyższy szczyt, był tak stromy, że trzeba się było wspinać powoli. Gramoliliśmy się podpierając się co chwila na rękach, często odpoczywając. Tuż przed szczytem zobaczyliśmy całe pole alpejskich fiołków, ogromnych cyklamenowych kwiatów o delikatnym zapachu.

Trzymając się za ręce przebyliśmy ostatnią parę jardów i stanęliśmy na maleńkiej platformie otoczonej skałami.

Alison szepnęła: — O mój Boże.

Przed nami była przepaść, dwa tysiące stóp cienistego powietrza. Słońce na zachodzie zbliżało się do linii horyzontu, ale chmury znikły. Niebo było blade, całkowicie przejrzyste, ani odrobiny kurzu, czysty lazur. W pobliżu nie było żadnych gór, które zasłaniałyby dal. Staliśmy nieskończenie wysoko, w punkcie, w którym wszelka materia osiągnęła swój zenit, z dala od miast, od społeczeństwa, ułomni, zalani przestrzenią. Oczyszczeni.

O sto mil od nas widniały w dole inne góry, doliny, wyspy morza; Attyka, Beocja, Argolis, Achaje, Locris, Etolia, serce odwiecznej Grecji. Zachodzące słońce wzbogacało, zmiękczało i wysubtelniało wszystkie barwy. Na wschodzie granatowy cień, na zachodzie liliowe zbocza gór, blade-miedziano-zielone doliny, ziemia koloru tanagry, a odległe morze senne, dymiące, mleczne, spokojne jak błękitne szkiełko ze starej gablotki. Z wspaniałą klasyczną prostotą ktoś ułożył z kamyków słowo  $\Phi\Omega\Sigma$  — światło. Miał rację. Szczyt sięgał świata, który i dosłownie, i w przenośni był światłem. Nie wzruszał; był zbyt rozległy, zbyt nieludzki, zbyt spokojny i nieruchomy. Nagle uderzyło mnie — i do radości czysto fizycznej dołączyła się radość intelektualna — że miejsce to wygląda równie pięknie i idealnie, jak je sobie wyśnili poeci.

Zrobiliśmy sobie zdjęcia na tle widoku, potem usiedliśmy na papierosa pod głazem zasłaniającym nas od wiatru i siedzieliśmy przytuleni do siebie. Nad naszymi głowami skrzeczały orły; wiatr był zimny jak lód, pałący. Przypomniała mi się podróż, którą odbyłem zahipnotyzowany przez Conchisa. Ale teraz było piękniej, bardziej rzeczywiście.

Spojrzałem ukradkiem na Alison, miała zupełnie czerwony nos. Ale nie mogłem jej nie podziwiać, przecież gdyby nie ona, gdyby nie jej upór, nie siedzielibyśmy tutaj z uczuciem triumfu, mając pod stopami świat, nie nastąpiłaby ta cudowna krystalizacja wszystkich moich uczuć wobec Grecji.

— Ty to masz na co dzień.

— Nie. Nigdy jeszcze czegoś tak cudownego nie widziałem. Nawet w przybliżeniu.

W parę minut później Alison zauważyła: — To pierwsza fajna rzecz, która zdarzyła mi się od wielu miesięcy. Ten dzisiejszy dzień. I to wszystko. — I po krótkim wahaniu dorzuciła: — I ty.

— Nie mów tak. Ja się nadaję tylko na szmelc. Zupełna degrengolada.

— Ale i tak wolę tu być z tobą niż z kimkolwiek innym. — Patrzyła w stronę Eubei; zmięta, ale nareszcie uspokojona buzia. Odwróciła się i spojrzała na mnie: — A ty?

— Żadna ze znanych mi dziewczyn nigdy by tu nie doszła.

Przemyślała to i znów na mnie spojrzała: — Co za wymijająca odpowiedź.

— Cieszę się, że tu jesteśmy. Równy z ciebie kumpel, Kelly.

— Aż ciebie, Urfe, drań.

Ale widziałem, że się nie obraziła.

## 41

W powrotnej drodze niemal od razu poczuliśmy zmęczenie. Nowy but obtarł Alison lewą piętę. Zmarnowaliśmy dziesięć minut szybko zamierającego światła, aby założyć jakiś zaimprovizowany opatrunek i zaraz potem, jak kurtyna, zapadła noc. Wraz z nią pojawił się wiatr. Niebo pozostało czyste, gwiazdy płonęły, jednak sam nie wiem, jak się to stało, że zaczęliśmy schodzić innym zboczem i nie znaleźliśmy schroniska tam, gdzie według mnie powinno się było znajdować. Niełatwo było widzieć, gdzie się stąpa, coraz trudniej skupić myśli. Bez sensu szliśmy przed siebie, trafiliśmy na obszerną nieckę, nagi księżycowy krajobraz, naznaczone śniegiem skały, wycie wiatru. Wilki przestały być żartobliwym ozdobnikiem rozmowy, stały się czymś jak najbardziej rzeczywistym.

Alison była chyba i bardziej przerażona i bardziej przemarznięta ode mnie. Kiedy doszliśmy na środek niecki i stało się jasne, że musimy się cofnąć, usiedliśmy pod wielkim głazem, żeby chwilę odpocząć. Przytuliłem do siebie Alison, chciałem ją ogrzać. Leżała z twarzą ukrytą w moim swetrze, był to całkowicie aseksualny uścisk; obejmując ją i drżąc z zimna wśród tego niezwykłego pejzażu, o milion lat, o milion mil od dusznej nocy Aten, poczułem... nie, to nie znaczyło nic, nie mogło nic znaczyć. Byłem pewien, że czułbym to samo wobec każdej innej ludzkiej istoty, która znalazłaby się tu wraz ze mną. Spojrzałem na ponury pejzaż, wierną podobiznę mego życia, przypomniałem sobie, co mówił pasterz; wilki nigdy nie polują w pojedynkę, zawsze w stadzie. Samotny wilk należy do mitów.

Siłą podniosłem Alison i potykając się ruszyliśmy tą samą drogą, którą przyszliśmy. Za zachodnim grzbietem rozpoczynała się przełęcz, opadająca w stronę czarnego odległego morza lasu. Wreszcie zobaczyliśmy na tle nieba spiczastą skałę, którą zapamiętałem z poprzedniej wspinaczki. Schronisko znajdowało się z drugiej strony. Alison było już wszystko jedno, musiałem ciągnąć ją za rękę. Krzyczeć na nią, błagać, prosić, żeby tylko nie ustawała. Po jakichś dwudziestu minutach dostrzeżliśmy w dolince przykucniętą ciemną kostkę schroniska.

Spojrzałem na zegarek. Na szczyt wspinaliśmy się półtorej godziny, schodziliśmy trzy.

Po omacku wszedłem do środka i posadziłem Alison na pryczy. Potem zapaliłem zapałkę i znalazłem lampę, ale okazało się, że nie ma w niej ani knota, ani nafty. Podszedłem do piecyka. Dzięki Bogu leżały tam suche szczapy drewna. Zacząłem drzeć papier, wszystko, co mogłem znaleźć: jakąś powieść w kieszonkowym wydaniu, którą miała z sobą Alison, opakowania prowiantów, w które zaopatrzyliśmy się w Atenach; rozpałem ogień i zacząłem się modlić w duchu. Papier płonął pykając, potem poczułem przepojony żywicą dym, szczapy zajęły się. Po paru minutach chatka pełna była migocących czerwonych blasków, sepiowych cieni i błogosławionego ciepła. Wziąłem do ręki wiadro. Alison podniosła głowę.

- Idę po wodę.
- Dobra — uśmiechnęła się blado.
- Włóż pod koce. — Skinęła głową.

Ale kiedy w pięć minut później wróciłem z nad strumienia, Alison ładowała do piecyka następne polana drzewa. Stała boso na czerwonym kocu, który rozpostarła na ziemi między piecykiem i pryczami. Na niższej pryczy ułożyła wszystkie nasze wiktuały: chleb, czekoladę, sardynki, *paximadia*, pomarańcze. Znalazła nawet jakiś stary rondel.

— Kelly, kazałem ci się położyć.

— Przypomniałam sobie, że jestem stewardesą. I w momencie katastrofy do mnie należy troska o ciała i umysły pasażerów! — Wzięła wiadro i zaczęła myć rondel. Kiedy przykucnęła, zobaczyłem jej obdarte ze skóry pięty. — Czy żałujesz, że byliśmy na szczycie?

— Nie.

Spojrzała na mnie: — Tylko tyle?

— Jestem szczęśliwy, że byliśmy.

Usatysfakcjonowana zajęła się rondlem, napełniła go wodą i zaczęła wrzucać do środka pokruszoną czekoladę. Usiadłem na brzegu pryczy, zdjąłem buty i skarpetki. Chciałem zachowywać się naturalnie, ale nie potrafiłem, ona też nie. Ciepło, mała izdebka i nas dwoje otoczonych zimną pustką.

— Przepraszam za to moje babskie zachowanie.

Wyczułem w jej głosie ironię, ale nie widziałem jej twarzy. Zaczęła mieszać czekoladę w stojącym na piecyku garnku.

— Nie bądź niemądra.

Podmuch wiatru załomotał o żelazny dach i otworzyły się z jękiem drzwi. Alison powiedziała:

— Ocaleni od burzy.

Podparłem drzwi nartami i spojrzałem na nią. Mieszała patykiem w garnku i przyglądała mi się. Jej buzia była zarumieniona od ognia, w którymś momencie Alison skrzywiła się i rozejrzała po brudnych ścianach:

— Nie ma co, romantycznie.

— Zawsze to schronienie od wiatru. — Uśmiechnęła się tajemniczo i zajrzała do rondla. — Czemu się uśmiechasz?

— Ponieważ naprawdę jest romantycznie.

Usiadłem z powrotem na pryczy. Zdjęła sweter i potrząsnęła głową. Przywołałem obraz Julie, ale dziwnie tu nie pasował. Spróbowałem swobodnego tonu:

— Wspaniale wyglądasz. Jesteś w swoim żywiole.



— Nic dziwnego. Większość życia spędzam harując na galerze o powierzchni dwa na cztery. — Stała wzięwszy się pod boki, chwila milczenia, przed oczyma pojawiły mi się zapomniane obrazy dawnego życia na Russell Square. — Jak się nazywała ta sztuka Sartre'a, na której kiedyś byliśmy?

— *Przy drzwiach zamkniętych.*

— Tutaj drzwi są jeszcze bardziej zamknięte.

— Dlaczego?

Stała dalej tyłem. — Kiedy jestem zmęczona, mam zaraz ochotę na seks. — Wciągnąłem głośno powietrze. Ona szepnęła: — Jedno ryzyko więcej, jedno mniej...

— To, że ostatnio miałem już negatywne wyniki, nie oznacza jeszcze...

Wyjęła z rondla patyk oblepiony czarnobrunatną masą. — Wydaje mi się, że smakowite *consommé à la reine* nadaje się już do spożycia. — Podeszła i nachyliła się nade mną z tym specjalnym spojrzeniem i mechanicznym uśmiechem stewardesy. — Napije się pan czegoś przed obiadem, sir?

Kpiącym ruchem podsunęła mi pod nos rondel, wyszczerzyłem zęby, ale ona odpowiedziała mi pełnym czułości uśmiechem. Wziąłem rondel. Alison podeszła do pryczy z drugiej strony izdebki i zaczęła rozpinać bluzkę.

— Co ty robisz?

— Rozbieram się.

Przestałem na nią patrzeć. W parę sekund później stała już koło mnie w kocu nałożonym jak sarong; szybko usiadła na ziemi na drugim kocu o dobre dwie stopy ode mnie. Kiedy sięgnęła po leżące z tyłu wiktuały, koc na kolanach rozsunał się. Poprawiła go zaraz, ale gdzieś w zakamarkach mego umysłu mały Priap wyciągnął ramiona, i nie tylko ramiona, i lubieżnie łypał okiem.

Zabraliśmy się do jedzenia. *Paximadia*, smażone na oliwie grzanki, były jak zawsze pozbawione smaku, gorąca czekolada zanadto wodnista, a sardynki zupełnie do tego nie pasowały, ale my byliśmy zbyt głodni, żeby się przejmować. Potem oboje, bo ja także usiadłem na podłodze, już nasyceni, oparliśmy się o pryczę i zapaliliśmy. Milczeliśmy wyczekująco. Czułem się jak chłopak ze swoją pierwszą dziewczyną w chwili, kiedy albo trzeba się rozstać, albo doprowadzić rzecz do końca. Bałem się ruszyć. Jej obnażone ramiona były drobne, kruche i krągłe. Koc rozluźnił się i widziałem górną część piersi.

Milczenie zaczynało być kłopotliwe, w każdym razie ja je tak odczuwałem, stało się czymś w rodzaju testu na wytrzymałość, kto z nas pierwszy nie potrafi go znieść.

Jej ręka leżała między nami na kocu, pewnie po to, żebym po nią sięgnął. Miałem uczucie, że Alison zręcznie wykorzystała całą tę sytuację, urządziła wszystko tak, abym znalazł się w kłopotliwym położeniu, było jasne, iż to ona jest górą, było jasne, iż jej pragnę, czy raczej nie tyle jej, Alison, ile dziewczyny, którą była, tak jak pragnąłbym każdej dziewczyny, jaka by się tu ze mną znalazła. Na koniec wrzuciłem papierosa do piecyka, oparłem się o pryczę i zamknąłem oczy, jakbym był bardzo zmęczony, jakbym chciał tylko jednego: zasnąć, i rzeczywiście, gdyby nie Alison, tego bym tylko pragnął. Nagle ona wstała; otworzyłem oczy. Zrzuciła koc, była naga.

— Alison, nie. — Ale ona ukłękła i zaczęła mnie rozbierać.

— Biedny chłopczyk.

Przysiadła na moich nogach, rozpięła mi koszulę i ściągnęła ją ze mnie. Przymknąłem oczy i pozwoliłem obnażyć się do pasa.

— To nieszlachetnie.

— Jakiś ty brązowy.

Zaczęła głaskać moją pierś, ramiona, szyję, usta; dotykała mnie jak dziecko dotyka nowej zabawki. Ukłękła i pocałowała mnie w szyję, koniuszkami piersi muskając moją skórę.

Powiedziałem: — Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby...

— Nic nie mów. I nie ruszaj się.

Rozebrała mnie do końca, potem wzięła moje dłonie i przesunęła nimi po swoim ciele, żebym mógł zawrzeć z nim z powrotem znajomość, delikatna skóra, szczupłość, niewielkie krągłości, ta cała jakże naturalna nagość. Jej ręce. Kiedy pieściła mnie, pomyślałem sobie, że przypomina to seans z prostytutką, jej palce były równie biegłe jak palce prostytutki, chodzi tylko o rozkosz... i oddałem się rozkoszy. Po chwili położyła się na mnie z głową na mojej piersi. Długie milczenie. Ogień trzaskał, parzył nam stopy. Gładziłem ją po plecach, po włosach, po kruchej szyi, całkowicie podporządkowany koniuszkom nerwów mego ciała. Próbowałem wyobrazić sobie, że leżę w tej samej pozycji z Julie, byłem pewien, iż byłoby to czymś niewysłowienie poruszającym, nieskończenie bardziej namiętym; byłaby to rozzarzona do białości, przemożna, tajemnicza pasja, nie to swojskie uczucie znużenia, ciepła, potu, nasuwające na myśl jedno wyświechtane słowo: seks.

Alison szepnęła coś, poruszyła się, ugryzła mnie i zakołysała się nade mną w pieścizocie, którą nazywała pieścizotą paszy, wiedziała, że ją lubię, że lubią ją wszyscy mężczyźni; była zarazem moją panią i moją niewolnicą.

Dobrze pamiętam, jak rzuciliśmy się ha pryczę, szorstki siennik, szorstkie koce, trzymała mnie chwilę w ramionach, pocałowała w usta, nim zdążyłem się odsunąć, potem odwróciła się do mnie tyłem, położyłem rękę na jej mokrych piersiach, przytrzymała ją swoją dłonią, gładki, wklęsły brzuch, słaby zapach pachnących deszczem włosów; w parę sekund, nim zdążyłem cokolwiek przemyśleć, zapadłem w sen.

Obudziłem się w nocy i wstałem napić się wody z wiadra. Przez dziury od kul przedostawały się cienkie ołówki księżycowej poświaty. Podszedłem z powrotem do pryczy i nachyliłem się nad Alison. Odkryła się częściowo, a żar z paleniska rzucał na jej skórę czerwony odblask; widziałem jedną obnażoną, z lekka opadłą pierś. Alison miała otwarte usta i cichutko pochrapywała. Niewinna i zdeprawowana, młodziutka i odwieczna, po prostu kobieta.

Ogarnęła mnie czułość i serdeczność, zdecydowałem nagle, tak jak często podejmuje się jakąś decyzję po przebudzeniu z głębokiego snu, że nazajutrz muszę jej wyznać prawdę, nie na zasadzie spowiedzi, ale po to, by zrozumiała, jak się sprawy naprawdę mają, że moją chorobą nie jest uleczalny syfilis, ale znacznie banalniejszy i obrzydliwszy zarazem głód seksualnej swobody. Stałem nad Alison, niemal jej dotykając, bliski tego, by zerwać z niej koc, zanurzyć się w niej, kochać ją tak jak tego pragnęła. Ale nie, delikatnie okryłem nagą pierś, a potem wziąłem kilka kocy i położyłem się na sąsiedniej pryczy.

## 42

Obudziło nas stukanie do drzwi, ktoś je uchylił. Wtargnęło przez nie słońce. Nieznajomy cofnął się, zobaczywszy, że leżymy jeszcze na pryczach. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Naciągnąłem ubranie i wyszedłem. Przed chatą stał pasterz. Z oddali dobiegły mnie dzwonki jego stada. Pasterską laską zdzielił dwa ogromne psy, które szczerzyły na mnie zęby, i z kieszeni swej kapoty wyjął owinięty w liście szczawiu ser, który przyniósł nam na śniadanie. Po paru minutach pojawiła się Alison, wtykając koszulę w dzinsy i mrużąc oczy od słońca. Podzieliliśmy się z pasterzem resztką sucharów i pomarańczy, zrobiliśmy ostatnich parę zdjęć. Cieszyłem się z jego obecności. W oczach Alison wyczytałem pewność, że wróciliśmy do naszych dawnych stosunków. Ona przełamała lody, ja powinienem wskoczyć do przerębli.

Pasterz wstał, uścisnął nam ręce i odszedł z tymi swoimi złymi psami. Alison wyciągnęła się w słońcu na wielkim płaskim głazie, który służył nam za stół. Dzień był znacznie mniej wietrzny, kwietniowa pogoda, oślepiająco błękitne niebo. W oddali dźwięczały dzwoneczki owiec, gdzieś wysoko nad nami śpiewał jakiś ptak głosem przypominającym skowronka.

— Chciałabym, żebyśmy mogli zostać tu na zawsze.

— Muszę oddać do garażu auto.

— Mówię tylko, czego bym chciała... — spojrzała na mnie: — Usiądź koło mnie — poklepała skałę obok. Wpatrywała się we mnie tymi swoimi szarymi oczyma, które wyglądały tak niewinnie. — Wybaczyles mi?

Nachyliłem się i pocałowałem ją w policzek, a ona objęła mnie ramionami tak, że niemal na niej leżałem i w tej pozycji odbyliśmy rozmowę szepcząc sobie do ucha.

— Powiedz, że chciałeś tego.

— Chciałem.

— Powiedz, że mnie jeszcze trochę kochasz.

— Jeszcze cię trochę Kocham. — Uszczypnęła mnie. — Bardzo trochę.

— I wyzdrowiejesz.

— Mmm...

— I nigdy już nie będziesz się zadawał z tymi ohydnyimi dziwkami.

— Nigdy.

— To idiotyzm, skoro możesz mieć to darmo. Plus miłość.

— Wiem.

Wpatrywałem się w jej włosy na tle skały, były o cal od moich oczu i starałem się zmusić do wyznania. Ale nagle wydało mi się ono czymś w rodzaju nadeptania na kwiat tylko dlatego, że człowiekowi nie chce się go ominąć. Chciałem wstać, ale ona przytrzymała mnie za ramiona i musiałem spojrzeć jej w oczy. Przez chwilę wytrzymywałem jej wzrok, potem odwróciłem się i usiadłem tyłem do niej.

— Co się stało?

— Nic. Zastanawiam się tylko, jaki to podstępny bóg sprawił, że takie miłe dziecko jak ty, widzi coś w takim draniu jak ja.

— Coś mi się przypominało. Hasło krzyżówki. Natknęłam się na nie parę miesięcy temu. Jesteś gotów? — Skinąłem głową. — „Lepsza cząstka Nicholas. Nie po kolei”... sześć liter.

Zastanowiłem się chwilę, nim wpadłem na trop, i uśmiechnąłem się do niej. — Czy hasło kończyło się kropką, czy znakiem zapytania?

— Moimi łzami. Jak zwykle.

W ciszy zaśpiewał nad nami ptak.

Ruszyliśmy w dół. Im było niżej, tym goręcej. Wychodziło nam na spotkanie lato.

Alison szła pierwsza, nie widziała więc mojej twarzy. Usiłowałem dojść do ładu z moimi uczuciami. Nadal irytowało mnie, że Alison przykłada tyle wagi do spraw ciała, do naszego wspólnego orgazmu. Że mylnie uważa to za miłość, że nie widzi, iż miłość jest czymś innym... tajemniczością, rezerwą, wycofywaniem się, usuwaniem w ostatniej chwili, ust. Właśnie na Parnasie przyszło mi na myśl, że brak delikatności Alison, jej nieumiejętność ukrywania się za metaforą powinny mnie właściwie drażnić i nudzić, tak jak nudziły mnie zwykle zbyt prostoduszne wiersze. Jednakże potrafiła ona w bliżej nieokreślony sposób, zawsze potrafiła wyminąć przeszkody, które między nami ustawiałem, zupełnie jakby rzeczywiście była moją siostrą; umiała zatem odwołać się do czegoś, co nas łączyło i upodabniało, co sprawiało, że wszystkie różnice naszych gustów i sposobu odczuwania przestawały być ważne, a w każdym razie przestawały wydawać się ważne.

Zaczęła opowiadać o swojej pracy stewardesy, o sobie.

— Cała ta niby wielka przygoda. Trwa to zaledwie parę pierwszych lotów. Nowe twarze, nowe miasta, nowe romanse z przystojnymi pilotami. Większość pilotów uważa, że stanowimy część ich uposażenia. I że tylko czekamy, żeby pobłogosławili nas swymi zasłużonymi w bitwie o Anglię ptaszkami.

Roześmiałem się.

— Nicko, to wcale nie jest zabawne. Człowiek się rozkłada. Ta cholerna blaszana fajka. I ta niby swoboda, ta cała przestrzeń dokoła. Chwilami mam ochotę pociągnąć za rączkę zapasowego wyjścia i niech mnie ta przestrzeń wessie. Mam ochotę spadać, cudowna minuta pozbawionego pasażerów upadku.

— Nie mówisz tego serio...

— Bardziej niż myślisz. Nazywamy to depresją wdzięczenia się. Człowiek się tyle musi nawdzięczyć, że traci swoje człowieczeństwo. Jakby ci to powiedzieć... czasem po starcie mamy tyle roboty, że nie wiemy, jak wysoko już jesteśmy, i kiedy nagle wyjrzymy przez okno, następuje szok... i tak samo nagle uzmysławiamy sobie,

do jakiego stopnia jesteście inni od tego, jacy naprawdę jesteście. Czy byliście...  
Bardzo ci to źle tłumaczę...

— Przeciwnie. Świetnie.

— Nagle ma się uczucie, że już się nigdzie nie przynależy. A ja — jak wiesz — już przedtem miałam z tym problemy. Anglia jest doprawdy niemożliwa, z każdym dniem jest bardziej *honi soit qui smelly pants*<sup>\*</sup>, po prostu cmentarzysko. A Australia... Australia. Święty Boże, jakże ja nienawidzę tego mojego kraju. Głupi, ślepy, podły... — dała za wygraną.

Przeszliśmy kawałek drogi, nim się znów odezwała: — Cóż, jakoś nigdzie nie zapuściłam korzeni, nigdzie nie przynależę. Są jedynie miejsca, do których latam. A nad innymi miejscami przelatuję. Mam tylko ludzi, których lubię. Albo Kocham. To oni są jedyną ojczyzną, jaka mi pozostała.

Obejrzała się nieśmiało, jakby prosząc o zachowanie w tajemnicy tej prawdy o jej bezdomności, która — jak wiedziała — jest także prawdą o mnie.

— Przynajmniej pozbyliśmy się paru zbytecznych iluzji.

— Bardzo to z naszej strony sprytne.

Zamilkła i musiałam przełknąć ten jej wyrzut. Mimo powierzchownej niezależności, potrzebowała oparcia. Przez całe życie próbowała sobie udowodnić, że tak nie jest, i w ten sposób udowadniała, że jest. Była niczym ukwiał — wystarczyło dotknąć, aby przyłgnęła do tego, co jej dotykało.

Przystanąła. Oboje równocześnie usłyszeliśmy w dole szmer wody, huk wody.

— Chętnie bym obmyła nogi. Może zejdziemy?

Zaczęliśmy się przedzierać wśród drzew, aż zobaczyliśmy ślad ścieżki. Zeszliśmy nią na polankę. Na jej końcu był wodospad, woda spadała z wysokości mniej więcej dziesięciu stóp. I tworzyła przejrzyste jeziorko. Polanka pełna była kwiatów i motyli, maleńka niecka zielonożłocistej bujności wśród ciemnego lasu. Nad polanką sterczała skała z płytką pieczarą, przed którą jakiś pasterz splótł szalę z gałęzi jodły. Na podłodze ze zbitej ziemi leżały owcze bobki, zaschnięte i stare. Wyraźnie od początku lata nie stanęła tu żadna ludzka stopa.

— Popływajmy.

— Woda będzie lodowata.

— Aha.

---

<sup>\*</sup> Trawestacja *hony soit qui mal y pense*.

Alison ściągnęła przez głowę koszulę i rozpięła stanik szczerząc do mnie zęby w usianym plamkami słońca cieniu szałasu.

— Na pewno pełno tam węży.

— Zupełnie jak w rajskim ogrodzie.

Zdjęła dzinsy i białe majteczki. Zerwała z gałęzi jodły zeschniętą szyszczkę i podała mi ją z ukłonem. Patrzyłem, jak biegnie naga wśród wysokiej trawy, zanurza stopę w jeziorzku i wydaje z siebie jęk. I z krzykiem rzuca się do wody. Woda była zielona jak jaspis, zimna jak rozpuszczony śnieg i kiedy zanurzyłem się w niej, czułem, że przystało mi serce. Ale było cudownie, cień drzew, polanka w słonecznym blasku, huk spadającej wody, jej lodowatość, śmiech, nagość, nas dwoje z dala od całego świata, jedna z tych chwil, których nie zapomni się aż do śmierci.

Usiedliśmy na trawie koło szałasów, by wyschnąć na słońcu i wietrze, i zjedliśmy resztkę czekolady. Potem Alison wyciągnęła się na plecach, rozkładając szeroko ramiona, rozsuwając lekko nogi, oddając się słońcu — no i, wiedziałem o tym, mnie. Przez chwilę leżałem tak jak ona, z zamkniętymi oczyma.

Nagle oznajmiła: — Jestem królową maja...

Siedziała zwrócona w moją stronę, oparta na ręku. Uwiła sobie wianek z rosnących opodal złocieni i dzikich goździków. Nasadziła go krzywo na potargane włosy i uśmiechała się, a uśmiech ten pełen był wzruszającej niewinności. Nie wiedziała, że stanowi dla mnie obraz czysto literacki. Dokładnie wiedziałem, gdzie go umieścić: *Helikon* Anglii. Zapomniałem, że nie wszystkie przerośnięte są sobie równe i że najwspanialsze wiersze pozbawione są metafizyki i mają najwięcej bezpośredniości. Nagle zrozumiałem, że Alison jest właśnie takim wierszem i ogarnęła mnie fala pożądania. Więcej niż pożądania; nie tylko dlatego, że wyglądała niepokojąco ładnie — szczupła z drobnymi piersiami, opierała się jedną ręką o trawę, uśmiechała się i poważniała na przemian niczym szesnastoletnie dziecko nie dwudziestoczteroletnia kobieta — ale dlatego, że przez nawarstwione pokłady nowoczesnej prozaicznej brzydoty dojrzałem jej prawdziwe ja, równie nagie jak jej ciało; zza dziesięciu tysięcy pokoleń wyjrzała ku mnie Ewa.

Nawiedziło mnie nagle olśnienie, to było zupełnie proste, kochałem ją, chciałem, żeby pozostała w moim życiu, choć chciałem równocześnie zachować, a właściwie odnaleźć — Julie. Nie znaczyło to, że bym jednej z nich pragnął bardziej, chciałem obu, musiałem mieć obie, nie było w tym żadnej uczuciowej nieuczciwości. Jedyną nieuczciwością było to, że czułem się nieuczciwie, że zatajałem prawdę. To

naprawdę miłość zmusiła mnie w końcu do spowiedzi, nie okrucieństwo, nie chęć odzyskania swobody, nie gruboskórność, zwyczajnie miłość. I myślę, że Alison to widziała. Musiała dostrzec na mojej twarzy smutek i niepewność, bo łagodnie spytała:

— Co ci jest?

— Nie miałem syfilisu. Wszystko to kłamstwa.

— Och, Nicholas!

— Chcę ci wszystko opowiedzieć.

— Nie teraz. Proszę, nie teraz. Cokolwiek zaszło, chodź, Kochaj mnie.

I kochaliśmy się, nie był to seks, lecz miłość, o ile mądrzej by było, gdyby to był jednak tylko seks.

Leżąc koło niej próbowałem opowiedzieć wszystko, co zdarzyło się w Bourani. Starożytni Grecy powiadali, że kto spędził na Parnasie noc albo zostawał obdarowany natchnieniem, albo tracił zmysły, i nie ulega wątpliwości, co stało się moim udziałem. Ledwie zacząłem mówić, zrozumiałem, że mądrzej byłoby milczeć albo wymyślić cokolwiek... cóż, miłość pragnie się zawsze obnażyć. Wybrałem możliwie najgorszy moment na szczerość i tak jak ludzie zachowujący przez większą część dorosłego życia uczuciową nieuczciwość, kiedy wreszcie zdecydowałem się być szczerzy i uczciwy, za bardzo liczyłem na sympatię, jaką to powinno wzbudzić... znów ta miłość, która żąda dla siebie zrozumienia. Wina spadała także na Parnas za tę jego greckość; w tym miejscu wszystko, co nie było szczerą prawdą, stanowiło obrazę dla umysłu.

Oczywiście Alison chciała przede wszystkim dowiedzieć się, dlaczego wymyśliłem tak dziwny pretekst, a ja próbowałem wyjaśnić jej moją fascynację Bourani, nim wspomnę o tym, co stanowiło jego największą atrakcję. Opowiadając o Conchisie nie przemilczałem wprawdzie niczego, pozostawiłem jednak pewne luki.

— Nie chcę przez to powiedzieć, że uwierzyłem we wszystko, co mi do wierzenia podawał. Chociaż muszę przyznać, że od chwili hipnozy nie jestem już tego taki pewien. I w jego obecności jestem zawsze pod wrażeniem dziwnej siły. Nie, nie okultystycznej. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

— Wszystko to musi polegać na jakimś triku.

— Oczywiście. Ale dlaczego zadaje sobie tyle trudu dla mnie? I skąd wiedział, że się tam w ogóle pojawię? Nic go nie obchodzi, wyraźnie nie ma o mnie wysokiego zdania. Stale sobie ze mnie pokpiwa.



— Dalej nie rozumiem... — i nagle zrozumiała. Spojrzała na mnie. — Kto tam jeszcze jest?

— Alison, kochanie, na litość boską, spróbuj zrozumieć. Widzisz...

— Widzę — odwróciła głowę.

I opowiedziałem jej wszystko. Przedstawiłem sprawę jako coś całkowicie aseksualnego, fascynację czysto intelektualną.

— Nie mów, że ona nie pociąga cię także fizycznie.

— Allie, nie potrafię wyrazić, jak strasznie nienawidziłem siebie w czasie tego weekendu. Sto razy próbowałem ci to wszystko opowiedzieć. Nie chcę, żeby mnie ta dziewczyna pociągała. W żaden sposób. Miesiąc temu, jeszcze trzy tygodnie temu nigdy bym nie uwierzył, że coś takiego jest możliwe. Sam nie wiem, co w niej takiego jest... Słowo daję. Wiem tylko, że jestem opętany całym Bourani. Nie chodzi tylko o nią. Dzieje się tam coś dziwnego. I czuję się w to wplątany. — Na Alison cały ten wywód nie zrobił najmniejszego wrażenia. — I tak muszę wrócić na wyspę. Z powodu pracy. Nie mam żadnej swobody ruchów.

— Ale ta dziewczyna... — Alison wpatrywała się w ziemię wydłubując nasionka ze ździebeł trawy.

— To nie o nią chodzi. Przysięgam. Ona stanowi tylko małą cząstkę tajemnicy.

— No to po co urządził to całe przedstawienie?

— Nic nie rozumiesz. Czuję się rozdarty.

— Czy ona jest ładna?

— Gdyby mi na tobie w gruncie rzeczy tak piekielnie nie zależało, wszystko byłoby dużo prostsze.

— Czy jest ładna?

— Tak.

— Bardzo ładna?

Nie odpowiedziałem. Alison ukryła twarz w dłoniach. Pogładziłem ją po ciepłym ramieniu.

— Ona jest zupełnie inna niż ty. Nie przypomina żadnej współczesnej dziewczyny. Nie potrafię ci tego wyjaśnić. — Odwróciła głowę. — Alison!

— Wysłałam na... — nie dokończyła zdania.

— Nie bądź śmieszna.

— Czyżby?

Nastąpiło pełne napięcia milczenie.

— Słuchaj, po raz pierwszy w życiu staram się zachować uczciwie. Nie mam nic na swoje wytłumaczenie. W porządku, gdybym spotkał tę dziewczynę jutro, mógłbym powiedzieć: Kocham Alison, Alison kocha mnie, nic z tego. Ale spotkałem ją dwa tygodnie temu. I jeszcze spotkam.

— I nie kochasz Alison. — Odwróciła głowę. — Czy raczej kochasz mnie tylko dopóty, dopóki nie zobaczysz lepszej dupy.

— Nie bądź wulgarna.

— Jestem wulgarna, mówię wulgarnie, myślę wulgarnie! — uklękła i zaczerpnęła głęboko oddech. — No to co teraz? Kłaniam się pięknie i znikam?

— Naprawdę wolalbym być mniej skomplikowany...

— Skomplikowany! — Alison parsknęła śmiechem.

— Nie być takim egoistą.

— To już bliższe prawdy.

Zamilkliśmy. Obok nas przeleciała, opadając co chwila, para złączonych z sobą żółtych motyli.

— Opowiedziałem ci to, bo chciałem, żebyś wiedziała, jaki jestem.

— Wiem, jaki jesteś.

— Gdybyś wiedziała od początku, wcale byś mnie nie chciała znać.

— Wiem, jaki jesteś.

Wpatrzyła się we mnie chłodno wielkimi szarymi oczyma, a ja spuściłem wzrok. Wtedy wstała i poszła się umyć. Wszystko wyglądało beznadziejnie. Nie potrafiłem jej niczego wytłumaczyć, ona nie była w stanie niczego zrozumieć. Ubrałem się i odwróciłem tyłem, kiedy ona zaczęła w milczeniu naciągać na siebie swoje szatki.

Kiedy już była gotowa, powiedziała: — Tylko już, na litość boską, nic więcej nie mów. Bo tego nie wytrzymam.

Okolo piątej doszliśmy do wioski Arachova i ruszyliśmy autem do Aten. Dwukrotnie próbowałem przedyskutować z Alison sytuację, ale nie dopuściła do tego. Uważała, że powiedzieliśmy wszystko, co było do powiedzenia, i siedziała ponuro, pogrążona w myślach.

Przez przełącz w Daphni przejechaliśmy koło pół do dziewiątej, nad różowym i bursztynowym miastem unosiła się jeszcze resztką słonecznego blasku, na Syntagma i Omonia zapaliły się pierwsze neony, wyglądające z oddali jak klejnoty. Pomyślałem o wczorajszym wieczorze i spojrzałem na Alison. Malowała usta. Może mimo wszystko

istniało rozwiązanie: zawieźć ją do hotelu, wziąć do łóżka i udowodnić jej, że ją kocham i — czemu nie — że warto dla mnie pocierpieć; było warto, bardzo warto. Zacząłem opowiadać coś o Atenach, Alison odpowiadała tak zwięźle i niechętnie, że opowieść ta w moich własnych ustach zabrzmiała zupełnie idiotycznie, więc zamilkłem. Różowość zamieniła się w fiolet i wkrótce zapadła noc. Dojechaliśmy do hotelu w Pireusie, zarezerwowałem te same pokoje. Alison weszła na górę, a ja odwiozłem do garażu auto. Wracając zobaczyłem kwiaciarkę i kupiłem tuzin goździków. Poszedłem prosto do pokoju Alison i zapukałem do drzwi. Musiałem pukać trzykrotnie, nim otworzyła. Płakała.

— Przyniosłem ci parę kwiatków.

— Nie chcę tych twoich cholernych kwiatów!

— Alison, nie zachowuj się, jakby nastąpił koniec świata.

— Tylko koniec miłości.

Przerwałem milczenie: — Nie wpuścisz mnie?

— Po co bym cię u diabła miała wpuszczać!

Stała przytrzymując drzwi, w pokoju za nią było ciemno. Wyglądała okropnie, miała obrzękłą, nieprzejednaną twarz, pełną nieukrywanego bólu.

— Pozwól mi wejść. Muszę z tobą pomówić.

— Nie.

— Proszę cię.

— Wynoś się.

Wszedłem siłą i zamknąłem drzwi. Alison oparła się o ścianę i patrzyła na mnie. Z ulicy wpadało światło i widziałem wyraz jej oczu. Podąłem jej kwiaty. Wyrwała mi je, podeszła do okna i wyrzuciła w noc. I pozostała tam, odwrócona do mnie plecami.

— Nie mogę się wyrzec tego doświadczenia. To tak jak z przeczytaną do połowy książką. Nie da się jej wyrzucić do kosza.

— Wolisz wyrzucić mnie.

Podszedłem do niej, próbując położyć jej na ramionach ręce, ale ona wyrwała się z gniewem.

— Spieprzaj stąd. Ale już!

Usiadłem na łóżku i zapaliłem papierosa. Z jakiejś kawiarenki dolatywały dźwięki monotonnej ludowej melodii macedońskiej, ale my i tak znajdowaliśmy się z dala od świata, zamknięci w dziwacznym kokonie.

— Przyjechałem do Aten wiedząc, że nie powinienem się z tobą zobaczyć. Przez cały pierwszy wieczór, a także wczoraj robiłem, co mogłem, żeby wmówić sobie, że nic już do ciebie nie czuję. Ale mi się nie udało. I dlatego musiałem ci to wszystko opowiedzieć. Tak niezręcznie. I w tak nieodpowiedniej chwili. — Alison zachowywała się tak, jakby mnie nie słyszała; odwołałem się do tego, co uważałem za mój największy atut: — Opowiedziałem ci wszystko, choć mogłem milczeć. Dalej cię oszukiwać.

— Nie mnie oszukujesz.

— Słuchaj...

— I co u diabła ma znaczyć to: nic do ciebie nie czuję? — Milczałem. — Chryste Panie, ty boisz się nie tylko uczucia miłości. Boisz się nawet tego słowa.

— Nie wiem, co to jest miłość.

Odwróciła się. — No to ci powiem. Miłość to nie tylko to, o czym ci napisałam. Że człowiek nie odwraca się. Z miłości udaje się, że idzie się do pracy, a naprawdę jedzie się na dworzec. Żeby sprawić ci niespodziankę, obdarzyć ostatnim pocałunkiem, ostatnim... zresztą wszystko jedno. Zobaczyłam, jak kupujesz pisma. Tego dnia nikt na świecie nie wywołałby mojego uśmiechu. A ty śmiałeś się. Stałeś sobie obok bagażowego i śmiałeś się z czegoś. Wtedy zrozumiałam, co to jest miłość. Kiedy widzi się, że jedyna osoba na świecie, z którą chce się być, jest szczęśliwa, że się ciebie pozbyła.

— Ale dlaczegoś nie...

— Wiesz, co zrobiłam? Uciekłam. I cały ten cholerny dzień spędziłam skulona w naszym łóżku. Nie dlatego, że cię kochałam. Dlatego, że byłam bliska obłędu z wściekłości i wstydu, że cię kocham.

— Skąd mogłem wiedzieć.

Odwróciła się. — Skąd mogłem wiedzieć! Chryste Panie! — Powietrze naładowane było elektrycznością. — I jeszcze jedno. Ty uważasz, że miłość to seks. Pozwól sobie powiedzieć, że gdyby mi chodziło tylko o to, tobym cię zostawiła po pierwszej nocy.

— Najmocniej przepraszam.

Spojrzała na mnie, zaczerpnęła oddech i uśmiechnęła się z goryczą. — Obraził się! Czy nie rozumiesz, co mówię? Że pokochałam cię dla ciebie, a nie dla tego twojego cholernego kutasa! — Znów wyjrzała przez okno. — Nie chcę przez to powiedzieć, że nie jesteś w łóżku fajny. Ale nie... — zamilkła.

— Ale nie dorównuję innym.

— Jakby to miało jakieś znaczenie. — Podeszła do łóżka, oparła się o poręcz i spojrzała na mnie z góry. — Jesteś tak ślepy, że sam pewnie nie wiesz, że mnie nie kochasz, że jesteś samolubnym draniem, który nie potrafi, tak jakby to była impotencja, nie potrafi nawet myśleć o niczym oprócz siebie. Ciebie, Nicko, nic nie jest w stanie zranić. Tak się ustawileś, że nic nie może cię dotknąć. I cokolwiek zrobisz, uważasz, że tak być musiało, że to nie twoja wina. Nie możesz przegrać. Zawsze sobie znajdziesz nową przygodę. Nową miłośćkę.

— Zawsze wszystko przekręcasz.

— Przekręcam! Kto to mówi! Ty, który nie potrafisz uczciwie opowiedzieć najprostszego faktu.

Spojrzałem na nią: — Co masz na myśli?

— Te wszystkie tajemnicze zjawiska... Myślisz, że się dam na to nabrać? Na twojej wyspie jest dziewczyna, z którą chcesz się przespać. I tyle. Ale to brzmi wulgarnie i pryntywnie. Więc musisz to upiększyć. Jak zwykle musisz wszystko przekręcić na swoją korzyść. Zawsze chcesz zjeść ciastko i chcesz je równocześnie mieć. Zawsze...

— Przysięgam ci... — Ale uciszyła mnie niecierpliwym ruchem głowy. Zaczęła spacerować po pokoju. Uciekłem się do następnego argumentu: — To, że nie chcę się z tobą ożenić — z nikim nie chciałbym się ożenić — nie oznacza, że cię nie kocham.

— To mi przypomina to dziecko. Myślisz, że nie widziałam. Ta dziewczynka z czyrakiem. Wściekałeś się. Że Alison chce się popisać, jak świetnie umie się obchodzić z dziećmi. Chce się popisać matczynymi uczuciami. Wiesz, co ci powiem? Tak, to były matczyne uczucia. Przez sekundę, kiedy mała się uśmiechnęła, pomyślałam sobie, że chciałabym mieć twoje dziecko i trzymać je w ramionach i czuć, że jesteś obok. Czyż to nie ohydne? Że spotkała mnie ta potworna, odrażająca rzecz zwana miłością... Lepszy już byłby syfilis... A w dodatku jestem tak zepsuta, zdegenerowana i prowincjonalna, że ośmielałam się ci to okazać...

— Alison.

Wciągnęła głęboko powietrze, była bliska łez.

—Zrozumiałam to już w piątek, kiedyśmy się tylko spotkali. Że dla ciebie pozostanę na zawsze tą Alison, która chętnie przesypia się z chłopakami. Tą dziewczyną z Australii, która zrobiła sobie skrobankę. Żywym bumerangiem, który można rzucić, a on zawsze pojawi się z powrotem na następny weekend obłapki.

— To cios poniżej pasa.

Zapaliła papierosa. Podeszedłem do okna, a ona mówiła dalej stojąc z drugiej strony pokoju, koło drzwi. — Zeszłej jesieni, przez cały czas... Wtedy nie wiedziałam. Nie wiedziałam, że możesz zatęsknić... Myślałam, że będziesz coraz twardszy. I Pan Bóg raczy wiedzieć, czemu wydawałeś mi się bliższy niż inni mężczyźni. Mimo tych twoich przemądrzałych póż typowego Angielczyka. I tych twoich przesądów klasowych. Więc nie mogłam się pogodzić z twoim zniknięciem. Próbowałam być z Petem, potem jeszcze z kimś, ale nic z tego nie wyszło. Nie mogłam się wyrzec tych moich idiotycznych żalonych marzeń o tobie. I nagle napisałeś... zupełnie oszalałam i zaczęłam organizować sobie te trzy dni w Grecji. Liczyłam na nie, ;ak nie wiem na co. I od razu zobaczyłam, że ty się zwyczajnie nudzisz.

— To nieprawda. Nie nudziłem się.

— Tylko myślałeś o tej dziwce z Phraxos.

— Ja także tęskniłem. Przez pierwsze miesiące piekielnie mi ciebie brakowało.

Nagle zapaliła światło.

— Odwróć się i spójrz na mnie.

Odwróciłem się. Stała obok drzwi, w tych samych dżinsach, tej samej granatowej bluzce, jej twarz wyglądała jak białoszara maska.

— Oszczędziłam trochę forsy. Tobie też nie grozi bankructwo. Powiedz słówko i jutro rzucę pracę. Przyjadę na twoją wyspę i zamieszkamy razem. Mówiłam o chatce w Irlandii, równie dobrze może to być chatka na Phraxos. Możesz wziąć na siebie tę straszliwą odpowiedzialność mieszkania z kimś, kto cię kocha.

Było to z mojej strony obrzydliwe, ale moją pierwszą reakcją, kiedy powiedziała o chatce na Phraxos, była ulga, że nie wspomniałem jej o ofercie Conchisa.

— Bo inaczej?

— Możesz powiedzieć nie.

— Ultimatum?

— Bez wykrętów. Tak czy nie?

— Alison, gdybyś ty...

— Tak czy nie?

— Nie można tak stawiać sprawy...

Jej głos przybrał ostry ton: — Tak czy nie?

Patrzyłem na nią bez słowa. Wykrzywiła usta w czymś, co trudno by nazwać uśmiechem, i odpowiedziała za mnie.

– Nie.

– Tylko dlatego, że...

Podeszła do drzwi i otworzyła je. Poczulem gniew, że tak brutalnie żąda się ode mnie jakichś zobowiązań, poczułem się schwytany w pułapkę; co to za pomysł, żeby kazać mi wybierać. Obszedłem wokoło łóżko, wyrwałem jej drzwi i zatrzasnąłem je, potem schwyciłem ją w ramiona i próbowałem pocałować, starając się równocześnie zgasić światło. W pokoju zapanowała z powrotem ciemność, ale Alison wrywała się siłą, kręcąc głową. Popchnąłem ją w stronę łóżka i upadliśmy na nie, strącając z nocnego stolika lampę i popielniczkę. Myślałem, że mi ulegnie, pewien byłem, że ulegnie, ale ona wrzasnęła nagle tak głośno, że musiał to usłyszeć cały hotel, że echo musiało dobiec aż do parku.

– Puść mnie!

Usiadłem cofnąwszy się lekko, a ona zaczęła mnie walić zaciśniętymi pięściami. Chwyciłem ją za przeguby rąk.

– Alison, na litość boską.

– Nienawidzę cię!

– Uspokój się.

Przewróciłem ją na bok. W sąsiednim pokoju ktoś zaczął walić w ścianę. Następny rozdzierający krzyk.

– Nienawidzę cię!

Uderzyłem ją w twarz. Zaczęła gwałtownie szlochać, skurczona w nogach łóżka, od czasu do czasu łapała oddech i z jej gardła wydobywały się strzępy zdań.

– Daj mi spokój... daj mi spokój... ty gnojku... ty wstrętny, samolubny... — Szlochała rozpaczliwie, trzęsły jej się ramiona. Wstałem i podszedłem do okna.

Zaczęła pięściami walić w poręcz łóżka, tak jakby wyczerpała już zapas słów. Poczulem do niej nienawiść za ten brak panowania nad sobą, za tę histerię. Przypomniałem sobie, że mam w pokoju butelkę whisky, którą przywiozła mi w upominku.

– Przestań płakać. Pójdę przynieść coś do wypicia.

Przebiegłem przez nią. Ona, jakby tego nie zauważając, dalej waliła pięściami w łóżko. Podszedłem do drzwi, po chwili wahania obejrzałem się i otworzyłem je. Troje Greków, mężczyzna, kobieta i drugi starszy mężczyzna, stało na korytarzu w otwartych drzwiach o dwa pokoje ode mnie. Spojrzeli na mnie, jakbym był mordercą. Zszedłem na dół, otworzyłem butelkę, pociągnąłem łyk i wróciłem.

Drzwi były zamknięte. Trójka widzów wpatrywała się we mnie, obserwowała, jak próbuję otworzyć drzwi, pukam, znów próbuję, pukam, wreszcie wołam Alison po imieniu.

Starszy człowiek podszedł do mnie.

— Czy się coś stało?

Odpowiedziałem mu grymasem: — Upał.

Powtórzył to, zupełnie niepotrzebnie, tamtej parze. Aha, upał, powtórzyła kobieta takim tonem, jakby to wszystko wyjaśniało. Nie ruszyli się z miejsca.

Jeszcze raz spróbowałem, jeszcze raz zawołałem: Alison. Nie usłyszałem odpowiedzi. Ze względu na Greków wzruszyłem ramionami i zszedłem na dół. Wróciłem po dziesięciu minutach; w ciągu następnej godziny wracałem parokrotnie i za każdym razem z utajoną ulgą zastawałem zamknięte drzwi.

Prosiłem, żeby obudzono mnie o ósmej, i tak się stało; ubrałem się w mgnieniu oka i poszedłem do pokoju Alison. Zapukałem — żadnej odpowiedzi. Nacisnąłem klamkę i drzwi się, otworzyły. Na łóżku leżała rozgrzebana pościel, ale w pokoju nie było ani Alison, ani jej rzeczy. Zbiegłem do recepcji. Siedział tam przypominający królika staruszek w okularach, ojciec właściciela hotelu. Był w Ameryce i niezłe mówił po angielsku.

— Czy ta dziewczyna, z którą byłem wczoraj wieczorem, wyszła już z hotelu?

— Tak. Wyszła.

— Kiedy?

Spojrzał na zegar. — Chyba godzinę term. Zostawiła to. Prosiła panu dać.

Koperta. Na kopercie nagryzmolone nazwisko: N. Urfe.

— Nie powiedziała dokąd idzie?

— Zapłaciła tylko rachunek i poszła. — Po sposobie, w jaki mi się przyglądał, łatwo było poznać, że słyszał wczorajsze krzyki, a w każdym razie został o nich poinformowany.

— Przecież prosiłem o rachunek na moje nazwisko.

— Powiedziałem pani. Ona zapłaciła.

— Psiakrew!

Kiedy odwróciłem się, by odejść, zawołał: — Hej, wie pan, jak mówią w Ameryce? W morzu jest wiele ryb. Zna pan to? W morzu jest wiele ryb.



Wróciłem do swego pokoju i otworzyłem list. Parę nabazgranych linijek, widać w ostatniej chwili zdecydowała się nie odchodzić bez słowa.

*Wyobraź sobie, jak to będzie, kiedy wrócisz na swoją wyspę i nie zastaniesz już tam ani tego starca, ani dziewczyny. Żadnych rozkosznych tajemnic. Wszystko zamknięte na klucz. Z nami koniec, koniec, koniec.*

Około dziesiątej zadzwoniłem na lotnisko. Alison nie wróciła, oczekiwano jej dopiero koło piątej, wtedy miał odlecieć do Londynu jej samolot. Spróbowałem jeszcze raz koło pół do dwunastej, tuż przed odjazdem mego statku — ta sama odpowiedź. Kiedy statek naładowany powracającymi uczniami odbijał od nadbrzeża, wpatrywałem się w tłum rodziców, krewnych i zwykłych gapiów. Miałem cichą nadzieję, że stoi wśród tego tłumu, ale jeśli nawet stała, to nie udało mi się jej dojrzeć.

Brzydki, przemysłowy brzeg Pireusu cofnął się i statek skierował się na południe ku wysmukłemu błękitnemu szczytowi Eginy. Poszedłem do baru i zamówiłem podwójne *ouzo*; bar był jedynym miejscem, gdzie uczniowie nie mieli wstępu. Wypiłem duży łyk wznosząc w myśli gorzki toast. Wybrałem oto własną drogę, trudną, ryzykowną, poetycką; postawiłem wszystko na jedną kartę. Ale nawet w tej chwili wydało mi się, że słyszę gorzki komentarz Alison.

Ktoś usiadł na sąsiednim stołku. Był to Demetriades. Kłaśnięciem w ręce przywołał barmana.

— Postaw mi coś do wypicia, ty zepsuty Angliku. A ja opowiem ci, jak spędziłem rozkoszny weekend.

## 43

*Wyobraź sobie, jak to będzie, kiedy wrócisz na wyspę i...* Przez cały wtorek było to jedynym tematem moich rozmyślań; musiałem spojrzeć na siebie oczyma Alison. Wieczorem napisałem do niej długi list, właściwie kilka listów, ale w żadnym nie udało mi się wyrazić tego, co chciałem powiedzieć: że nienawidzę siebie za moje wobec niej zachowanie, ale że nie mogłem postąpić inaczej. Byłem podobny żeglarzom Ulissesa; zamieniony w świnie musiałem się zachowywać zgodnie z moją

nową osobowością. Podarłem kartki. Prawdą było co innego: uległem czarom, choć było to absurdalne, chciałem zachować swobodę, aby móc im dalej ulegać.

Choć raz konieczność prowadzenia lekcji przyniosła mi ulgę, pomogła przetrwać dzień. W środę wieczorem, kiedy po lekcjach wróciłem do pokoju, znalazłem na biurku liścik. Od razu rozpoznałem charakter pisma. List mówił: Cieszymy się, że zobaczymy cię w sobotę. Jeśli nie dasz znać, będą cię oczekiwać o zwykłej porze. Maurice Conchis. U góry widniała data: środa rano. Poczułem ogromną ulgę; ogarnęła mnie fala podniecenia i nagle wszystko, co zdarzyło się w ciągu weekendu, wydało mi się może nie tyle usprawiedliwione, co wręcz konieczne.

Miałem poprawiać wypracowania, ale nie mogłem usiedzieć w domu. Poszedłem na grzbiet wzgórz stanowiący mój zwykły punkt obserwacyjny. Widziałem dach Bourani, południe wyspy, morze, góry, całą tę rzeczywistą stronę nierzeczywistości. Ale nie czułem, tak jak w poprzednim tygodniu, nieodpartej potrzeby zejścia na dół na przeszpiegi, przepelniało mnie uczucie pogodnego wyczekiwania. Należałem do nich, a oni do mnie.

Kiedy wracałem uszczęśliwiony do szkoły, z bliżej nie znanych powodów przyszła mi znów na myśl Alison, tak jakbym nagle poczuł dla niej litość, że nie zna swego prawdziwego rywala. I impulsywnie, nim jeszcze zabrałem się do wypracowań, nabazgrałem do niej liścik.

*Allie, kochanie, nie można powiedzieć, komuś „postanawiam, że będę cię kochał”. Mam tysiąc powodów, dla których powinienem cię kochać, zresztą (jak próbowałem ci to wytłumaczyć) na swój sposób, niewątpliwie skurwysyński, kocham cię. Na Parnasie było cudownie, proszę cię, nie uważaj, że był to dla mnie tylko seks, że kiedykolwiek będę w stanie o tym zapomnieć. Na litość boską, nie dajmy sobie tego wspomnienia odebrać. Rozumiem, że to koniec. Ale parę chwil nad tym jeziorkiem, żebyśmy mieli w życiu nie wiem ile przygód, pozostanie na zawsze czymś żywym.*

Liścik ten ulżył trochę memu sumieniu i wysłałem go nazajutrz rano. I tylko w ostatnim zdaniu dopuściłem się pewnej przesady.

W sobotę już za dziesięć czwarta byłem przy bramie Bourani i zobaczyłem, że naprzeciwko mnie zmierza ścieżką Conchis. Miał na sobie czarną koszulę, długie szorty khaki, ciemnobrązowe buty i zielone wypłowiałe skarpety. Szedł takim

krokiem, jakby się dokądś śpieszył, jakby chciał zniknąć z domu, nim nadejdę. Ale zobaczywszy mnie, uniósł do góry ramię. Obaj przystanęliśmy o jakieś sześć stóp od siebie.

— O, Nicholas.

— Halo,

Skinął leciutko głową.

— Miałeś miłe wakacje?

— Nieszczególnie.

— Byłeś w Atenach?

Z góry postanowiłem, co na to odpowiem. Mógł przecież dowiedzieć się od Hektora lub od Patarescu, że wyjechałem na weekend.

— Mojej przyjaciółce nie udało się przyjechać. Linia lotnicza wyznaczyła jej w ostatniej chwili inną trasę.

— Aha. Bardzo przykre.

Wzruszyłem ramionami i spojrzałem na niego.

— Większość czasu spędziłem zastanawiając się, czy powinienem tu wrócić. Nigdy dotąd nie byłem hipnotyzowany.

Uśmiechnął się, zrozumiał, o co mi naprawdę chodzi.

— Tylko od ciebie zależy, czy przyjmiesz moje sugestie, czy też je odrzucisz.

Uśmiechając się blado w odpowiedzi przypominałem sobie, że znów jestem w świecie, gdzie każde słowo ma bardzo wiele znaczeń.

— Od tej strony jestem spokojny.

— Nie ma innej. — Niezbyt życzliwie przyjął mój sceptyczny wzrok i dorzucił dość szorstko: — Jestem lekarzem i obowiązuje mnie przysięga Hipokratesa. Gdybym zamierzał wypytywać cię o coś, kiedy znajdujesz się w stanie hipnozy, poprosiłbym cię najpierw o pozwolenie. Niezależnie od wszystkiego miałyby się to z celem. Wielokrotnie już udowodniano, że pacjenci w stanie hipnozy kłamią jak najęci.

— Wszystkie te ponure historie o hipnotyzerach, którzy zmuszają człowieka...

— Hipnotyzer może zmusić każdego do jakichś niedorzecznych uczynków. Ale nie może wpłynąć na superego pacjenta. Zapewniam cię o tym najsolennie.

Parę sekund milczałem.

— Wychodzi pan?

— Cały dzień pisałem. Muszę się przejść. Ale miałem nadzieję, że cię spotkam.

Ktoś czeka na ciebie z herbatą.

— Jak mam się zachowywać?

Obejrzał się w stronę niewidocznego domu, wziął mnie pod ramię i poprowadził z powrotem w stronę bramy.

— Nasza pacjentka nie umie w tej chwili ukryć mieszanych uczuć. Podniecenia, że cię znów zobaczy. I zawodu, że znam waszą tajemnicę.

— Jaka?

Spojrzał na mnie spod oka: — Badanie jej pod hipnozą stanowi część mojej kuracji.

— Czy uzyskał pan na to jej zgodę?

— Jej rodziców.

— Rozumiem.

— Obecnie udaje, że jest aktorką. I wiem dlaczego. Po to, by ci zrobić przyjemność.

— Żeby mnie zrobić przyjemność?

— O ile dobrze zrozumiałem, oskarżyłeś ją, że odgrywa przed tobą rolę. I chętnie przyjęła tę sugestię. — Uścisnął mnie za łokieć. — Postawiłem ją przed nowym problemem. Powiedziałem, że wiem o tym. Ale nie wspomniałem o hipnozie. Powiedziałem, że wiem od ciebie.

— Wobec tego straciła do mnie zaufanie.

— Nigdy go nie miała. W trakcie seansu hipnotycznego wyznała, że od początku podejrzewała cię o to, że jesteś lekarzem i moim współpracownikiem.

Przypomniałem sobie, jak Julie opowiadała, że czuje się tak, jakby ktoś okręcał ją w kółko podczas zabawy w ślepą babkę.

— I jej podejrzewania okazują się słuszne, teraz gdy powiedział mi pan... prawdę.

Podniósł z lubością palec: — Właśnie. — Zabrzmiało to tak, jakby chwalił zdolnego ucznia i nie widział, ani trochę nie widział, zupełnie tak jak jedna z królowych Lewisa Carrolla w stosunku do Alicji, mego wyraźnego oszołomienia. — Zatem twoje zadanie polega obecnie na pozyskaniu jej zaufania. Jeśli zdradzi się z podejrzliwością wobec moich pobudek, przyznaj jej rację. Podtrzymuj ją w tym mniemaniu. Ale bądź ostrożny. Żebyś nie wpadł w pułapkę. Jeśli jej podejrzliwość zacznie sięgać zbyt daleko, wysuń jakieś obiekcje. Nie zapominaj, że jedna część jej rozszczerzonej osobowości zdolna jest do jak najbardziej logicznego rozumowania i ma wielką wprawę w wystawianiu na dudka lekarzy, których metodą było schlebianie

jej *ad infinitum*. Jestem pewien, że zdradzi się z manią prześladowczą. I będzie próbowała szukać w tobie oparcia. Przeciwno mnie.

Musiałem zagryźć usta, w każdym razie zrobiłem to w myśli.

— Ale skoro teraz wszyscy zgadzamy się, że ona nie może być Lily?...

— Zrzuciła już tę myśl. Obecnie jestem ekscentrycznym milionerem. A ona i jej siostra parą młodych aktorek, które tu sprowadziłem. Wymyśli na pewno jakiś dziwaczny pretekst, w bliżej nieznanym, ale na pewno podejrzanym celu. Może seksualnym? Zażądasz dowodów, wypytasz o poszlaki... — machnął ręką, jakby uważał, że moja rola jest zupełnie jasna i nie wymaga tłumaczenia.

— Co mam zrobić, jeśli będzie próbowała tak jak w zeszłym roku prosić o pomoc w ucieczce?

Spojrzał na mnie ostrzegawczo: — Musisz mi natychmiast dać znać. Nie sądzę jednak, żeby tak się miało stać. Dostała przy Mitfordzie dobrą nauczkę. I pamiętaj, choćby wszystko wskazywało, że ci ufa, nie wierz w to. Będziesz oczywiście twierdził, że nie opowiedziałeś mi ani słowa o tym, co zaszło w ciągu twojej ostatniej wizyty.

Uśmiechnąłem się: — Oczywiście.

— Mam nadzieję, że rozumiesz, o co mi chodzi. Pragnę, aby to biedne dziecko samo zrozumiało, na czym polega jej problem, i w tym celu zmuszam ją, by przede wszystkim zdała sobie sprawę ze sztuczności sytuacji, w której ją tutaj stawiamy. Jej pierwszym krokiem w stronę normalności będzie oznajmienie: To nie jest rzeczywisty świat. To nie są rzeczywiste stosunki międzyludzkie.

— Jakie są szanse, że wyzdrowieje?

— Niewielkie. Ale istnieją. Szczególnie, jeśli dobrze odegrasz swoją rolę. Nie ufa ci. Ale ją pociągasz.

— Zrobię, co będę mógł.

— Dziękuję ci, Nicholas. Mam do ciebie pełne zaufanie. — Wyciągnął rękę. — Bardzo się cieszę, że jesteś z powrotem.

Rozstaliśmy się i po paru krokach odwróciłem się, by sprawdzić, dokąd idzie. Szedł w dół, w stronę Moutsy. Nie wierzyłem, że chodzi o przechadzkę dla zdrowia. Szedł z miną człowieka, który ma coś do załatwienia. Znów poczułem się oszołomiony. Po wielu godzinach bezpłodnych rozmyślań przybyłem do Bourami zdecydowany nie ufać ani Conchisowi, ani Julie. A teraz zrozumiałem, że to ją głównie będę śledził jastrzębim okiem. Starszy pan znał się na psychiatrii, umiał hipnotyzować — to były fakty, a nic z tego, co mówiła ona nie zostało poparte żadnymi dowodami. Istniała

także coraz bardziej prawdopodobna możliwość, że działają w zмовie, a w takim razie Julie Holmes, tak jak przedtem Lily Montgomery, była tylko wymyślona postacią.

Podchodząc do willi nie zobaczyłem żywego ducha. Wbiegłem po stopniach i cicho okrążyłem dom, aż znalazłem się pod frontową kolumnadą.

Julie stała pod jedną z arkad na wprost morza, pół w cieniu, pół w słońcu, i choć mogłem się tego spodziewać, doznałem jednak szoku, bo miała na sobie strój jak najbardziej współczesny. Granatowa bluzeczka z krótkimi rękawami, białe spodnie z czerwonym paskiem; była boso, miała rozpuszczone włosy, ot, dziewczyna, która stanowiłaby ozdobę tarasu każdego eleganckiego śródziemnomorskiego hotelu. Jedno było pewne, ubrana współcześnie była równie ponętna jak w kostiumie, była zwracającą uwagę piękną kobietą, nie mniej pociągającą teraz, kiedy była mniej sztuczna.

Odwróciła się słysząc, że nadchodzę, i nastąpiło dziwne milczenie, nasze oczy spotkały się i spotkały się nasze wątpliwości. Wyglądała na lekko zdziwioną, zupełnie jakby przypuszczała, że nie przyjdę; była zadowolona, ale równocześnie starała się zachować dystans. Miała taką minę, jakbym ją przyłapał bez kostiumu i nie była pewna jak zareaguję na ten nowy dla mnie widok — zachowywała się jak kobieta, pokazująca nową suknię mężczyźnie, który ma za nią zapłacić. Spuściła oczy. U mego boku unosił się duch Alison, tego, co zaszło na Parnasie, przez sekundę poczułem się winny zdrady. Staliśmy tak dobrych parę chwil. Potem ona znów spojrzała na mnie, stałem od niej o jakieś dwadzieścia stóp, trzymałem w ręku torbę. Zauważyłem jeszcze jedną nowość, była już lekko opalona, jej skóra nabrała miodowej barwy. Próbowałem spojrzeć na nią oczyma psychologa, psychiatry — i szybko dałem za wygraną.

Powiedziałem: — Do twarzy ci w tych współczesnych szatkach.

Ona dalej wyglądała tak, jakby sobie nad czymś łamała głowę, jak gdyby dni, które spędziliśmy osobno, kazały się jej nad czymś zastanowić.

— Czy go widziałeś?

— Kogo? — Ta odpowiedź była błędna, w jej wzroku pojawiło się zniecierpliwienie. — Starszego pana? Tak. Właśnie wychodził na spacer.

Nie rozwiało to jej podejrzliwości, przez chwilę wpatrywała się we mnie badawczym wzrokiem. Potem, obojętnym tonem, spytała: — Napijesz się herbaty?

— Z przyjemnością.

Bezszelestnie podeszła do stołu. Koło drzwi prowadzących do sali muzycznej zobaczyłem parę czerwonych pantofelków. Przyglądałem się, jak zapala maszynkę spirytusową i stawia na niej imbryk z wodą. Unikała mego wzroku bawiąc się gazą, którą był okryty przygotowany dla mnie podwieczorek, wyraźnie widziałem sporą bliznę na przegubie jej ręki. Miała niemal posępną minę. Oparłem torbę o ścianę i podszedłem do niej bliżej.

— Co się stało?

— Nic.

— Nie wiem, co on ci powiedział. Ale wierz mi, że cię nie zdradziłem.

Spojrzała na mnie przelotnie i znów wpatrzyła się w stół. Spróbowałem zacząć zwykłą rozmowę towarzyską: — Gdzie byliście?

— Na jachcie.

— Gdzie?

— Odbyliśmy rejs na Cyklady.

— Bardzo mi ciebie brakowało.

Nie odpowiedziała. Nie spojrzała na mnie. Na rozmaite sposoby wyobrażałem sobie nasze spotkanie, ale nie przewidziałem jednego: że wyraźnie wolałaby, abym się nie pojawił. Wzbudziło to we mnie lekki dreszczyk trwogi — wyglądała na zagubioną, nieobecną; była tak śliczna, że brak innych mężczyzn w jej życiu przypisać mogłem tylko jednej przyczynie, w którą bardzo nie chciałem wierzyć.

— Zatem koniec z Lily.

Odpowiedziała zwracając się do stołu: — Nie wyglądasz na zdziwionego.

— Nic mnie już tutaj nie zdziwi. — Westchnęła; znów udzieliłem niewłaściwej odpowiedzi. — Jaką masz obecnie grać rolę?

— Usiadła. Woda w imbryku musiała się już przed chwilą gotować, bo imbryk zaczął gwizdać. Nagle Julie spojrzała wprost na mnie. I oskarżającym tonem zapytała:

— Dobrze się bawiłeś w Atenach?

— Nie. I nie spotkałem się z moją przyjaciółką.

— Maurice mówił nam, że tak.

Przekląłem go w myśli i nawiedził mnie na sekundą koszmar kłamcy: że jego kłamstwa zostały odkryte. — To dziwne. Przed pięciu minutami nic jeszcze nie wiedział. Pytał mnie, czy się z nią widziałem.

Spuściła oczy: — Dlaczego się z nią nie spotkałeś?

— Już ci mówiłem. Bo to sprawa dawno skończona.

Wlała do czajniczka odrobinę gorącej wody, potem wyszła za kolumnadę, by ją wylać. Kiedy wróciła, dodałem:

— A także dlatego, że wiedziałem, że mam się zobaczyć z tobą.

Usiadła i wsypała do czajniczka parę łyżeczek herbaty.

— Zabieraj się do jedzenia. Jeżeli, oczywiście, jesteś głodny.

— Znacznie bardziej niż głodny, jestem spragniony informacji, czemu zachowujesz się tak, jak byśmy byli sobie obcy.

— Bo jesteśmy.

— Dlaczego nie chcesz odpowiedzieć na pytanie o twoją nową rolę?

— Bo znasz odpowiedź.

Popatrzyła na mnie tymi swoimi hiacyntowymi oczyma, w których malowała się szczerłość. Woda w imbryku zagotowała się, Julie zalała herbatę w czajniczku. Gasząc maszynkę i odstawiając na nią imbryk powiedziała: — Nie będę miała żalu, jeśli uznasz mnie za wariatkę. Sama się chwilami zastanawiam, czy tak nie jest. — Jej głos zabrzmiał jeszcze bardziej oschle: — Bardzo przepraszam, że popsułam ci przygotowaną scenę. — Uśmiechnęła się blado. — Czy nalać ci tego ohydneho koziego mleka, czy wolisz cytrynę?

— Wolę cytrynę.

Odczułem wielką ulgę. Gdyby starszy pan mówił prawdę, nie zachowałyby się nigdy w ten akurat sposób, chyba że byłaby nienormalnie przebiegła czy tak przebiegle nienormalna, by pobić go jego własną bronią. Przypomniałem sobie maksymę: jeśli coś można wytłumaczyć na wiele sposobów, wybierz wytłumaczenie najprostsze. Dalej jednak miałem się na ostrożności.

— Dlaczego miałbym uznać cię za wariatkę?

— Dlaczego miałabym uważać, że nie jesteś tym, za kogo się podajesz?

— No właśnie, dlaczego?

— Bo pytanie, jakie zadałeś, dowodzi, że nie jesteś. — Podsunęła mi filiżankę.

— Oto twoja herbata.



Spojrzałem na filizankę, potem na nią. — W porządku. Nie wierzę, że jesteś słynną schizofreniczką.

Dalej patrzyła na mnie z nieufnością. — Nie miałby pan ochoty na kanapkę, panie Urfe?

Nie uśmiechnąłem się i chwilę milczałem.

— Julie, zachowujemy się niemądrze. Wpadamy w każdą zastawioną przez niego pułapkę. Myślałem, że ostatnim razem doszliśmy wreszcie do porozumienia. I że wspólnie postanowiliśmy nie kłamać, kiedy jego nie ma.

Julie nieoczekiwanie wstała i poszła z wolna na koniec kolumnady, skąd prowadziły stopnie w dół na taras z warzywnym ogródkiem. Oparła się o ścianę domu, stała odwrócona do mnie plecami wpatrując się w odległe góry Peloponezu. Po chwili wstałem i stanąłem tuż za nią. Nie obejrzała się.

— Nie mogę mieć do ciebie żalu. Jeśli opowiedział ci tyle kłamstw o mnie, ile mnie o tobie... — Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej ramienia. — No, przestań. Przecież już zaczęliśmy sobie ufać. — Nie zareagowała na dotyk mojej dłoni, cofnąłem ją.

— Pewnie chcesz mnie znowu pocałować?

Zaskoczyła mnie tą naiwną obcesowością.

— Czy to zbrodnia?

Nagle założyła ręce, oparła się plecami o ścianę i spojrzała na mnie z napięciem.

— I chcesz, żebym poszła z tobą do łóżka?

— Tylko wówczas, jeśli sama będziesz miała na to ochotę.

Spojrzała mi badawczo w oczy, potem opuściła wzrok.

— A jeśli nie?

— Cóż, trudno.

— Nie wiem zatem, czy warto ci się dalej starać.

— Zdaje się, że chcesz mnie obrazić.

Wypowiedziałem to z takim przekonaniem, że zamilkła. Spuściła głowę, dalej miała założone ręce. Powiedziałem łagodniej:

— Co on ci naopowiadał?

Nastąpiło dłuższe milczenie, potem szepnęła: — Gdybym ja wiedziała, w co mam wierzyć...

— Zaufaj swojej intuicji.

— Straciłam ją tutaj: — Znów nastąpiło milczenie, potem lekko pokręciła schyloną główką. Jej głos stracił oskarżycielską nutę. — Po twojej ostatniej wizycie powiedział mi coś ohydneho. Że ty... że chodzisz do burdeli, że greckie burdele są bardzo niebezpieczne i nie powinnam pozwalać, żebyś mnie całował.

— Aha, i sądzisz, że byłem teraz w burdelu?

— Nie wiem przecież, gdzie byłeś.

— Zatem uwierzyłaś mu? — Nie odpowiedziała. Byłem wściekły na Conchisa; bezczelność, z jaką mówił o przysiędze Hipokratesa. Spojrzałem na pochyloną głowę i oświadczyłem: — Mam tego dość. Zwijam manatki.

W gruncie rzeczy nie zamierzałem wcale tego zrobić, ale odwróciłem się plecami do stołu, jakbym chciał odejść. Ona zareagowała szybko: — Nie, proszę cię. — I po sekundzie milczenia: — Przecież nie powiedziałam, że mu wierzę.

Przystanąłem i spojrzałem na nią. Jej oczy nie patrzyły już na mnie z taką wrogością.

— Ale zachowujesz się tak, jakbyś wierzyła.

— Zachowuję się tak, bo nie rozumiem, czemu opowiada mi stale coś, w co nie będę mogła uwierzyć i o czym on doskonale wie.

— Gdyby to było prawdą, powinien ostrzec cię na samym początku.

— Tak, przyszło nam to na myśl.

— Mogłaś spytać, dlaczego tego nie zrobił.

— Twierdzi, że się dowiedział dopiero teraz. — I dodała niemal czułym tonem: — Proszę cię, nie odchodź.

Choć pod koniec zdania spuściła oczy, patrzyła na mnie dostatecznie długo, bym uwierzył w jej szczerłość. Stałem naprzeciw niej.

— Czy nadal jesteśmy przekonani, że jest dobrym i szlachetnym człowiekiem?

— W gruncie rzeczy jest tak. — I dodała: — Mimo wszystko.

— Poddał mnie temu telepatycznemu doświadczeniu.

— Tak, mówił nam.

— Ciebie też hipnotyzował?

— Tak, wiele razy.

— Mówi, że właśnie stąd wie o tobie wszystko.

Na chwilę ją to zaskoczyło, podniosła w górę oczy, ale zaraz zaprotestowała: — Nonsens! Nigdy bym do tego nie dopuściła. June była zawsze obecna, sam na to

nalegał. To cudowna metoda, żeby przygotować człowieka do roli. jaką ma odegrać. June powiada, że on mówi i mówi... a ja to jakoś tam w siebie wchłaniam.

— Czy Julie to też rola?

— Mogę ci pokazać mój paszport. Nie mam go przy sobie, ale pokażę ci następnym razem. Obiecuję.

— Mogłaś mnie ostrzec, że on wystąpi z taką historią o schizofrenii.

— Uprzedzałam cię, że z czymś wystąpi. Nie śmiałam powiedzieć więcej.

Znów poczułem, że ogarnia nas podejrzliwość, ale musiałem przyznać, że na swój sposób mnie ostrzegła. Teraz zachowywała się już bardziej pojednawczo, ale nadal zajmowała obronną pozycję.

— Tak... czy on rzeczywiście jest psychiatrą?

— Wiemy o tym od dość dawna.

— Zatem wszystko należy do ścisłej sfery jego zainteresowań?

Znów oszacowała mnie wzrokiem. Potem spojrziała w bok. — Dużo mówi o doświadczalnych sytuacjach. O typowych zachowaniach ludzi postawionych w sytuacji, której nie rozumieją. I o schizofrenii. — Wzruszyła ramionami. — O tym, jak w niezrozumiałej sytuacji ulega rozszczepieniu osobowość etyczna, człowieka... W bardzo rozmaity sposób. Któregoś dnia mówił coś o „nieznanym” jako ważnym czynniku motywacyjnym w całej ludzkiej egzystencji. Chodziło mu o to, że nie wierny, dlaczego przyszliśmy na świat. Dlaczego istniejemy. Dlaczego śmierć? I czy istnieje życie pośmiertne. I tak dalej.

— Ale o co mu właściwie chodzi?

Julie nie odrywając oczu od ziemi potrząsnęła głową.

— Słowo daję, wielokrotnie próbowałyśmy go wypytywać, ale on ... on stale wysuwa ten sam argument, gdybyśmy wiedziały, czego on oczekuje, wpłynęłoby to na nasze postępowanie. — Westchnęła: — Jest w tym pewna logika.

— Słyszałem tę śpiewkę. Kiedy chciałem się zapoznać z historią twojej rzekomej choroby.

Spojrziała mi w oczy. — Historia istnieje. Wymyślił ją. Musiałam się tego nauczyć na pamięć.

— Jedno jest jasne. Z jakiegoś powodu karmi nas kłamstwem po kłamstwie. Ale nie musimy ulegać jego wyobraźni. Jestem takim samym syfilitykiem jak ty schizofreniczką.

Skinęła głową. — W gruncie rzeczy wcale w to nie uwierzyłam.

– Chcę powiedzieć, że jeśli ma to stanowić cząstkę jego eksperymentu czy zabawy, nie obchodzi mnie, ile kłamstw na mój temat ci naopowiada. Ale nie chciałbym, żebyś w nie zaczęła wierzyć.

Nastąpiło milczenie. Jakby wbrew własnej woli. Julie podniosła wzrok i zajrzała mi w oczy. I w jej wzroku wyczytałem coś nie mającego związku z obecną sytuacją, w języku starszym od słów. Znikły wątpliwości, milcząco zaakceptowała moją opinią. Przez sekundę kąciki jej ust uniosły się w półuśmiechu zgody. Z powrotem spuściła oczy i schowała za sobą ręce. Jak skruszona dziewczynka nieśmiało oczekująca wybaczenia.

Tym razem oddała mi pocałunek. Miała ciepłe usta, drgnęły pod naporem moich warg, pozwoliła się przytulić, poczułem wypukłości jej ciała, jego kruchość... i nagle ogarnęła mnie rozkoszna pewność, że wszystko jest znacznie prostsze, niż na to wygląda. Julie pragnęła mego pocałunku. Nasze języki spotkały się, uścisk stał się namiętny. Nagle jednak oderwała usta od moich i przytulając się do mnie ukryła głowę na moim ramieniu. Ucałowałem jej włosy.

– O mało nie oszalałem myśląc o tobie.

Ona szepnęła: – Umarłabym, gdybyś dziś nie przyszedł.

– Choćby wszystko było nierzeczywiste, to jest.

– I właśnie to mnie przeraża.

– Dlaczego?

– Bo chciałabym być pewna. A nie jestem.

Objąłem ją mocniej. – Czy nie moglibyśmy się spotkać dziś wieczorem? Gdzieś, gdzie bylibyśmy sami? – Milczała, więc szybko dodałem: – Na litość boską, zaufaj mi... Za nic na świecie nie chciałbym cię skrzywdzić.

Odsunęła się łagodnym ruchem i nie podnosząc głowy wzięła mnie za rękę. – Nie o to chodzi. Ale tu jest więcej osób, niż przypuszczasz.

– Gdzie sypiacie?

– W... mamy taką kryjówkę. – I szybko dodała: – Pokażę ci ją. Przysięgam.

– Czy na dziś wieczór coś zostało przewidziane?

– On ma nam opowiedzieć następny epizod swego rzekomego życia. Mam się do was przyłączyć po kolacji. – Uśmiechnęła się. – I uczciwie nie wiem, co opowie.

– No to potem moglibyśmy się spotkać.

– Spróbuję przyjść. Ale nie mogę ci...

– Może o północy? Koło posągu?

— Jeśli mi się uda. — Spojrzała na stół i uściśnęła mi rękę. — Patrz, wystygła herbata.

Podeszliśmy do stołu, usiadłem. Nie pozwoliłem jej parzyć świeżej herbaty, wypiliśmy letnią. Zjadłem parę kanapek, ona zapaliła papierosa i rozmawialiśmy. Julie i jej siostra tak samo jak ja nie mogły zrozumieć, dlaczego starszy pan z taką determinacją usiłuje nas wciągnąć do swojej gry, choć równocześnie skłonny jest w każdej chwili ją przerwać.

— Ilekroć okazujemy skrupuły, ofiarowuje się odesłać nas do Anglii. Któregoś wieczoru, podczas rejsu, natarliśmy na niego, o co mu właściwie chodzi, prosimy o wytłumaczenie... i tak dalej. Pod koniec był zupełnie przybity. Następnego dnia musiałyśmy go niemal błagać o wybaczenie. Za nasze wścibstwo.

— Ta sama metoda co wobec mnie.

— Stale powtarza, że nie powinnam ci pozwolić na poufałość. I stara się zdyskredytować cię w moich oczach.

Strząsnęła popiół na posadzkę i uśmiechnęła się: — Przepraszał nawet, że okazałeś się taki tępy. Uznałam to za dość komiczne, zważywszy, że ani na chwilę nie dałeś się nabrać na tę historię z Lily.

— Nie próbował ci wmówić, że jestem jego asystentem, psychiatrą?

Zauważyłem, że się zdziwiła i zaniepokoiła zarazem. — Nie. Ale przyszło nam to na myśl... Jesteś?

Uśmiechnąłem się. — Powiedział mi, że to podejrzewasz, że wydobyl to z ciebie podczas hipnozy. Musimy być ostrożni, Julie. Chce, żebyśmy stracili grunt pod nogami.

Zgasila papierosa. — I żebyśmy o tym wiedzieli?

— Jednego na pewno nie chce: nie chce nas rozdzielić.

— Tak, my też doszliśmy do tego wniosku.

— Pozostaje dowiedzieć się, dlaczego. — Skinęła głową. — A ja chciałbym wiedzieć, czemu masz jeszcze jakieś wątpliwości na mój temat.

— Na pewno nie większe niż ty na mój.

— Sama powiedziałaś zeszłym razem, że powinniśmy się zachowywać tak, jakbyśmy się spotkali gdzie indziej, i w bardziej naturalny sposób. Im więcej się o sobie nawzajem dowiemy, tym będziemy bezpieczniejsi. I bardziej pewni siebie. — Uśmiechnąłem się do niej. — Najtrudniej mi zrozumieć, w jaki sposób udało ci się ukończyć Cambridge i nie wyjść za mąż.

Spuściła oczy: — Mało brakowało.

— Ale to już przeszłość?

— Tak. Odległa przeszłość.

— Jest tyle rzeczy, których chciałbym się dowiedzieć o tobie prawdziwej.

— Moja wymyślona postać jest znacznie bardziej interesująca.

— Gdzie mieszkasz w Anglii?

— W Dorset. To znaczy mieszka tam moja matka. Ojciec nie żyje.

— Kim był twój ojciec?

Ale na to pytanie nie otrzymałem odpowiedzi. Z przerażeniem wpatrzyła się w coś za moimi plecami. Odwróciłem się. Stał tam Conchis. Musiał podejść do nas na czubkach palców, nie słyszałem bowiem najmniejszego szmeru. W ręku trzymał dużą siekierę i wyglądał tak, jakby zastanawiał się, czy nie podnieść jej i nie rąbnąć mnie w głowę. Usłyszałem przenikliwy głos Julie.

— Maurice! To wcale nie jest śmieszne.

Zignorował ją całkowicie i dalej wpatrywał się we mnie.

— Zjadłeś podwieczorek?

— Tak.

— Znalazłem suchą pinię. Trzeba ją ściąć.

Mówił śmiesznie szorstkim i rozkazującym tonem. Obejrzałem się na Julie. Zerwała się i z wściekłością patrzyła na starszego pana. Poczułem, że coś jest nie w porządku. Julie zachowywała się tak, jakbym przestał istnieć. Conchis oświadczył pozornie bez związku, za to z dziwaczną powagą:

— Marii potrzeba szczap.

Julie zaczęła niemal histerycznie krzyknąć:

— Przeraziłeś mnie! Jak śmiałeś!

Znów na nią spojrzałem. Miała rozszerzone źrenice, wyglądała jak zahipnotyzowana. Niemal pluła:

— Nienawidzę cię!

— Moja droga, idź odpocząć. Niepotrzebnie się tak podniecasz,

— Nie!

— Nalegam na to.

— Nienawidzę cię.

Wypowiedziała to tonem pełnym jadu i rozpaczony zarazem, tak że moja z trudem zdobyta ufność rozpękła się na drobne kawałeczki. W panice przenosiłem

wzrok z jednej -twarzy na drugą próbując doszukać się zmywy. Conchis opuścił siekiere.

— Julie, bardzo cię proszę.

Nad moją głową odbyła się krótka walka, czyja wola zwycięży. Julie nagle odeszła i włożyła pantofelki stojące pod drzwiami sali muzycznej. Kiedy wracając przechodziła koło stołu, przez cały czas ani razu na mnie nie sporzała, chwyciła nagle stojącą przede mną filiżankę i chlusnęła mi herbatą w twarz. Na dnie była już zaledwie odrobina chłodnego płynu, gest ten był gestem dziecka, które chce zrobić na złość. Zaskoczyła mnie całkowicie. I zaczęła uciekać. Conchis zawołał ostro:

— Julie!

Przystanąła na skraju kolumnady, ale nie odwróciła się w naszą stronę.

— Zachowujesz się jak rozpieszczone dziecko. To niewybaczalne. — Ani drgnęła. Podeszedł do niej i oznajmił szeptem, który świetnie słyszałem: — Aktorka ma prawo okazywać temperament. Ale nie wyładowywać go na niewinnych, przygodnych widzach. Bądź tak dobra przeprosić naszego gościa.

Zadrżała, potem odwróciła się i podeszła do mnie. Miała zarumienione policzki i unikała mego wzroku. Zatrzymała się tuż przede mną i buntowniczo wlepiała oczy w ziemię. Przyjrzałem się badawczo jej twarzy i spuszczonej oczom i z rozpaczą zwróciłem się do Conchisa:

— Przeraził nas pan!

Stojąc za jej plecami podniósł do góry rękę dając mi znak, bym zamilkł, i znów powtórzył:

— Julie, czekamy na twoje przeprosiny.

Nagle podniosła oczy:

— Ciebie też nienawidzę!

Jej głos brzmiał opryskliwie, mówiła tonem rozpieszczonego dziecka. Ale równocześnie nastąpił cud — mrugnęła prawym okiem i wiedziałem, że nie powinienem wierzyć ani jednemu słowu odgrywanej komedii. Z trudem zapanowałem nad swoim wyrazem twarzy. Ona odwróciła się i znów przeszła koło starszego pana. Wyciągnął rękę, by ją zatrzymać, ale ona odepchnęła go gniewnie, zbiegła po schodkach, przebiegła przez placyk, zatrzymała się dopiero po jakichś dwudziestu jardach, wzięła się za głowę, tak jakby miotała nią rozterka, i ruszyła dalej szybkim krokiem. Conchis odwrócił się w moją stronę i uśmiechnął widząc moją skonsternowaną minę.

— Nie przejmuj się tak tym wybuchem złego humoru. Ona stale znajduje się na skraju regresji. I trochę zresztą przesadzała.

— Ja bym się na to dał nabrać.

— Miała nadzieję, że udowodni ci, jakim jestem tyranem.

— Nie wiem czy tyranem, ale plotkarzem. Nie mam nic przeciwko oblaniu paroma kroplami herbaty. Wolałbym jednak, żeby mnie nie uważano za syfilityka. Szczególnie, że właśnie pan najlepiej zna fakty.

Uśmiechnął się. — Nie zgadłeś jeszcze, dlaczego jej to opowiedziałem?

— Nie, jeszcze nie.

— Powiedziałem jej także, że w zeszłym tygodniu spotkałeś się ze swoją przyjaciółką. To ci nic nie wyjaśniło? — Po moim wyrazie twarzy poznał, że nie. Zawahał się, po czym wręczył mi siekiere. — Chodź. Wszystko ci wytłumaczę.

Wstałem, wziąłem siekiere i ruszyliśmy w stronę bramy.

— Przecież przyjdzie tego lata moment, kiedy to wszystko będzie się musiało skończyć. Więc muszę już teraz myśleć o tym, żeby ów koniec nie przysporzył Julie zbyt wielu cierpień. A każda z tych fałszywych informacji na twój temat otwiera inne drzwi. Julie dowiaduje się, że w twoim życiu istnieje już ktoś inny. I że nie jesteś aż tak godny pożądania, jakby się to na pierwszy rzut oka mogło wydawać. Poza tym, jak sam widziałeś, schizofrenicy są emocjonalnie dość niezrównoważeni. Wiem, że mogę ci ufać, że nie uwiedzisz chorej dziewczyny. Ale chciałem ci ułatwić sytuację, zaszczipiając w jej umyśle przekonanie o dodatkowych przeszkodach.

Miałem ochotę mruzczyć z zadowolenia. Mrugnięcie Julie odebrało jego kłamstwom wszelką siłę przekonywającą, a mnie z kolei umożliwiło próbę kłamstwa.

— Tak... teraz rozumiem.

— To dlatego właśnie przerwałem wasze *tête-à-tête*. Muszę na jej drodze stawiać przeszkody. Ktoś, kto miał złamaną rękę, musi potem tę rękę ćwiczyć. No, Nicholas, jak się odbyło wasze spotkanie?

— Potraktowała mnie bardzo podejrzliwie. Tak jak pan zapowiedział.

— Ale udało ci się ją przekonać?

— Byłem na najlepszej drodze.

— Dobra. Jutro zniknę. A przynajmniej ona będzie tak myślała. Spędzisz z nią cały dzień, pozornie sam na sam. Zobaczymy, jak to na nią podziała.

— Cieszę się, że aż tak mi pan ufa.



Dotknął mego ramienia. — Muszę ci wyznać, że umyślnie sprowokowałem ten jej wybuch. Ze względu na ciebie. Żebyś mógł się wyzbyć resztek wątpliwości co do jej choroby.

— Nie mam już żadnych wątpliwości.

Skinął głową, a ja w myśli uśmiechnąłem się szyderczo. Doszliśmy do zwałonego drzewa. Chciał, żebym porąbał je na polana, które dałoby się przenieść. Transportem miał się zająć Hermes. Ledwie zacząłem machać siekierą, Conchis zniknęła. Tym razem praca fizyczna dostarczyła mi więcej radości. Mniejsze gałęzie były tak suche, że odrąbywałem je jednym uderzeniem, każdy cios wydawał mi się symboliczny. Układając gałęzie czułem, że porządkuję równocześnie moje spostrzeżenia dotyczące zagadki Bourani i Conchisa. Niezadługo dowiem się wszystkiego o Julie, wiem już to, co najważniejsze: Julie jest po mojej stronie. Conchis posługiwał się naszymi osobami, by upersonifikować swój ironiczny stosunek do życia, używał nas do swych badań nad sprzecznością uczuć. W jego świetle każda prawda miała w sobie coś z kłamstwa, a każde kłamstwo coś z prawdy. Tak jak Julie zacząłem, mimo wszystkich pułapek, forteli i ich pozornej złośliwości, wierzyć w jego życzliwość. Przypomniałem sobie tę uśmiechniętą kamienną głowę, którą mi pokazał: to ona wyrażała jego prawdę.

W każdym razie Conchis był zbyt inteligentnym człowiekiem, żeby nie zdawać sobie sprawy, iż musieliśmy przejrzeć jego grę; chyba nawet potajemnie tego pragnął... a jakie były głębsze powody, ukryte znaczenie maskarady, cóż, obecnie mogłem spokojnie czekać, aż się tego dowiem.

Wymachując siekierą w południowym słońcu, czułem radość fizycznego wysiłku, czułem się znów pewny siebie, myślałem o tym, co będzie o północy, a co jutro; zapomniawszy o Alison rozmyślałem o Julie, o jej pocałunku, i gotów byłem czekać całe lato.

## 44

Julie pojawiła się w kręgu światła naftowej lampy i podeszła do naszego stolika ustawionego w południowo-wschodnim rogu górnego tarasu. Jej pojawienie różniło się diametralnie od tamtego momentu, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy jako Lily. Była ubrana niemal tak samo jak po południu, tyle że do białych spodni włożyła białą

bluzkę z lekko rozszerzonymi rękawami, jedyna drobna koncesja na rzecz wieczorowego stroju. Na szyi sznurek koralu, poza tym czerwony pasek i czerwone espadryle, leciutko podmalowane oczy, leciutko umalowane usta. Conchis i ja podnieśliśmy się z krzeseł. Chwilę wahała się stając przede mną, potem spojrzała na mnie skruszonym, niemal zrozpaczonym wzrokiem.

— Strasznie mi wstyd za to dzisiejsze popołudnie. Przepraszam.

— Nie ma o czym mówić. Zapomnij o tym.

Julie spojrzała na Conchisa, jakby szukała jego aprobaty. Uśmiechnął się i wskazał jej stojące między nami krzesło. Ale ona sięgnęła za dekolt bluzki i wyjęła gałązkę jaśminu.

— Gałązka pokoju.

— Jesteś słodka.

Usiadła. Conchis nalał jej kawy, a ja podałem i zapaliłem papierosa. Zachowywała się powściągliwie i po tym pierwszym spojrzeniu starannie unikała mego wzroku.

Conchis oznajmił: — Rozmawialiśmy o religii.

Była to prawda. Przyniósł do stołu Biblię, założoną w dwóch miejscach, i zaczęliśmy dyskutować na temat istnienia Boga.

— Och! — Wpatrzyła się w swoją filiżankę, potem podniosła ją do ust i wypila łyżeczek kawy, ale w tej samej chwili poczułem, że pod długim obrusem dotyka nogą mojej stopy.

— Nicholas uważa się za agnostyka. I twierdzi, że mało go ta sprawa obchodzi.

Spojrzała na mnie uprzejmie: — Tak?

— Jest wiele ważniejszych spraw.

Dotknęła łyżeczką spodka: — Mnie się wydaje, że nie istnieje nic ważniejszego.

— Niż stosunek do czegoś, czego się nigdy nie dowiemy na pewno? Ja uważam to za stratę czasu. — Poszukałem jej stopy, ale umknęła mi. Nachyliła się, wzięła pozostawione przeze mnie na stole pudełko zapalek i wysypała na biały obrus.

— Może po prostu boisz się myśleć o Bogu?

Zachowywała się nienaturalnie i zrozumiałem, że ta scena musiała zostać przygotowana... że Julie mówi to, co kazał jej powiedzieć Conchis.

— Człowiek nie może myśleć o czymś, czego nie zna.

— Nigdy nie myślisz o tym, co będzie jutro? Co będzie w przyszłym roku?

— Jasne, że myślę. Bo mam wiele racjonalnych przesłanek, żeby móc to

przewidzieć.

Bawiła się zapalkami układając je w rozmaite wzory. Wpatrywałem się w jej usta, marzyłem, żeby przerwać ten nienaturalny dialog.

— Ja mam wiele racjonalnych przesłanek, żeby myśleć o Bogu.

— Na przykład?

— Bóg jest mądry.

— Skąd wiesz?

— Bo Go nie rozumiem. Dlaczego istnieje, kim jest, jaki jest. Maurice uważa, że nie jestem głupia. Czyli Bóg musi być bardzo mądry, skoro jest o tyle mądrzejszy ode mnie.

Skoro nie dostarcza mi żadnych poszlak swego istnienia. — Spojrzała na mnie znad zapalek, w jej wzroku malowało się to samo bezinteresowne zaciekawienie, z którym spotykałem się u Conchisa.

— Zatem jest mądry? A może po prostu bardzo nieżyczliwy?

— Bardzo mądry. Gdybym się modliła, błagałabym Boga, żeby mi się nigdy nie objawił. Bo wtedy musiałabym go uznać nie za Boga, lecz za kłamcę.

Spojrzała na Conchisa, który wpatrywał się w morze czekając, a przynajmniej mnie się tak wydawało, żeby skończyła swoją kwestię. Nagle zauważyłem, że Julie dwukrotnie stuknęła leciutko palcem w stół. Ukradkiem spojrzała na Conchisa i znów na mnie. Skrzyżowała dwie zapalki, a dwie następne ułożyła równolegle: XII. W moim wzroku pojawiło się zrozumienie, ona szybko odwróciła oczy, odchyliła się w tył, wycofując się z kręgu rzucanego przez lampę światła i zwróciła do Conchisa: — Dlaczego milczysz, Maurice? Czyż nie mam racji?

— Rozumiem cię, Nicholas — Conchis uśmiechnął się do mnie. — Nawet będąc już dużo starszy i bardziej doświadczony od ciebie, myślałem tak samo jak ty. Cóż, trudno nas winić, brak nam kobiecej intuicji. — Nie był to komplement, zwykłe stwierdzenie faktu. Julie unikała mego wzroku. Jej twarz nadal znajdowała się w cieniu. — Ale późniejsze przeżycia umożliwiły mi zrozumienie tego, o czym przed chwilą mówiła Julie. Pochlebiała nam co prawda mówiąc o Bogu — on. Przypuszczam jednak, że tak jak każda prawdziwa kobieta wie, iż Boga można definiować jedynie jako matkę. Kogoś, kto obdarowuje. Czasem najdziwniejszymi darami. Instynkt religijny to w gruncie rzeczy instynkt umożliwiający zdefiniowanie tego, co przynosi każda sytuacja.

Conchis oparł się o krzesło.

— Chyba już wam wspominałem, że wówczas kiedy współczesna historia — bo według mnie szofer symbolizował demokrację, równość i postęp — dopadła de Deukansa, znajdowałem się za granicą. Na dalekiej północy Norwegii, w pogoni za ptakami, czy — mówiąc ściślej — za ptasimi głosami. Nie wiem, czy wiecie, że wiele najrzadszych ptaków lęgnie się w arktycznych tundrach. Mam szczęście. Umiem wychwycić każdy ton. Opublikowałem już wówczas parę artykułów o dokładnym zapisie szczebiotu i śpiewu ptaków. Korespondowałem też na ten temat z tak wybitnymi specjalistami, jak dr Van Oort z Lejdy, A. A. Sanders ze Stanów i Alexander z Anglii. I tak latem 1922 roku wyjechałem z Paryża, by spędzić trzy miesiące na Arktyce.

Julie poruszyła się lekko i znów poczułem miękki dotyk nagiej stopy. Nie spuszczać oczu z Conchisa ściągnąłem jeden sandał, po chwili bosa stopa przesunęła się delikatnie po mojej nodze. Podwiniętymi palcami Julie muskała moją stopę. Niewinna, ale naładowana erotyzmem pieśczoła. Spróbowałem postawić stopę na jej stopie, ale spotkałem się z oporem. Mieliśmy czuć nawzajem swoją obecność i na tym koniec. Tymczasem Conchis ciągnął opowieść.

— Po drodze na północ zatrzymałem się w Oslo i profesor tamtejszego uniwersytetu opowiedział mi o wykształconym farmerze, który mieszka w samym sercu jodłowych lasów, ciągnących się przez Finlandię aż do Rosji. I ponoć interesuje się ptakami. Profesor nigdy go nie widział, ale otrzymywał od niego zapiski dotyczące wędrówek ptaków. Lasy jodłowe zamieszkuje wiele rzadkich gatunkach ptaków, których głos chciałem utrwalić, postanowiłem więc złożyć temu farmerowi wizytę. Wyczerpawszy ornitologiczne możliwości tundry dalekiej północy, przepłynąłem Varangerfjord i udałem się do miasteczka zwanego Kirkenes. Stamtąd zaś, uzbrojony w list polecający, wyruszyłem do Seidevarre.

— Potrzebowałem aż czterech dni, żeby przebyć dziewięćdziesiąt mil. Pierwsze dwadzieścia jechałem drogą wśród lasów, potem zaś musiałem płynąć łodzią od farmy do farmy rzeką Pasvik. Nie kończący się las. Ogromne ciemne jodły mila za milą. Rzeka była szeroka i cicha jak jezioro z bajki. Wyglądała jak lustro, do którego nikt od zarania dziejów nie zaglądał.

— Czwartego dnia dwóch mężczyzn wiosłowało od rana do wieczora, ale nie dostrzeżliśmy ani jednej farmy, żadnego śladu obecności człowieka. Tylko

błękitnosrebrny blask nie kończącej się rzeki wśród nie kończących się drzew. Pod wieczór zobaczyliśmy polanę i dom. Dwie małe łączki wysłane dywanem jaskrów, podobnych płytkom złota. Dotarliśmy do Seidevarre.

— Stały tam trzy budynki. Tuż nad wodą mały drewniany dom, niemal schowany w gajku srebrnych brzoź. Długa stodoła kryta darnią. I spichrz zbudowany na palach, żeby uniemożliwić dostęp szczurom. Tuż koło domu przycumowana była łódź i schły sieci.

— Farmer był niewysokim człowiekiem o żywych brązowych oczach, mógł mieć koło pięćdziesiątki. Wskoczyłem na brzeg i podałem mu list. Z domu wyszła o parę lat młodsza kobieta i stanęła tuż za nim. Miała surową, ale interesującą twarz i choć nie rozumiałem ani słowa z ich rozmowy, wiedziałem, że nie życzy sobie, bym pozostał. Zauważyłem, że kobieta nie zwróciła najmniejszej uwagi na moich dwóch wioślarzy. A oni przyglądali się jej ciekawie, jakby widzieli ją po raz pierwszy. Wkrótce zresztą wycofała się do domu. A farmer życzliwie mnie powitał. Zgodnie z tym, co słyszałem, mówił po angielsku niezbyt płynnie, ale zupełnie niezłe. Opowiedział mi, że za młodu przez rok studiował weterynarię w Londynie. Spojrzałem na niego z nowym zainteresowaniem. Jak to się stało, że osiedlił się w najodleglejszym krańcu Europy?

— Kobieta wbrew moim przypuszczeniom nie była jego żoną, lecz bratową. Miała dwoje dorastających dzieci. Ani one, ani ich matka nie mówiły po angielsku, ale choć nie była nieuprzejma, potrafiła dać mi milcząco do zrozumienia, że znajduję się tu wbrew jej woli. Ale Gustav Nygaard i ja polubiliśmy się od razu. Pokazał mi swoje notatki o ptakach. Był entuzjastą. Tak samo jak ja.

— Oczywiście, jednym z pierwszych pytań, jakie mu zadałem, było pytanie o brata. Nygaard robił wrażenie zakłopotanego. Oznajmił, że brat wyjechał. I jakby chcąc wyjaśnić wszystko i powstrzymać dalsze pytania dorzucił: „Wiele lat temu”.

— Dom mieszkalny był niewielki, wyprzątnięto dla mnie strych na siano w stodole i tam ustawiono mi składane łóżko. Jadałem razem z nimi. Nygaard rozmawiał tylko ze mną. Jego bratowa milczała. Tak samo jak jej anemiczna córka. Wydaje mi się, że chłopiec chętnie wtrąciłby się do rozmowy, ale stryjowi nie bardzo się chciało tłumaczyć rodzinie tego, co mówiłem. Przez pierwszych parę dni nie zwracałem uwagi na domową sytuację, oszołomiony urodą krajobrazu i niezwykle bogactwem ptasiego życia. Całe dni spędzałem na obserwacji i przysłuchiwaniu się rzadkim gatunkom dzikich kaczek, gęsi i łabędzi, które zamieszkiwały laguny i zalewy. Przyroda triumfowała tu nad człowiekiem, choć nie miała nic z tropikalnej

gwałtowności. Triumfował jej spokojny majestat. To sentymentalizm twierdzić, że krajobraz ma duszę, ale ten krajobraz miał więcej charakteru niż jakikolwiek inny. Całkowicie ignorował człowieka. Człowiek tu nie istniał. To znaczy mógłby istnieć, gdyż w rzece pływało pełno łososi i innych ryb, a lato było dostatecznie długie i ciepłe, żeby zaopatrzyć się na zimę w kartofle i siano, ale nie mógłby ani podbić, ani ugłaskać przyrody. Obawiam się, że przedstawiam ją teraz w zbyt odstręczających barwach. A przecież, choć w chwili przybycia na farmę poraziło mnie uczucie osamotnienia, po dwóch, trzech dniach zakochałem się w tym pejzażu. W jego ciszy. W wieczorach. Jakież spokój. Plusk, z jakim siada na wodzie kaczka, czy wrzask rybołowa dochodziły z odległości paru mil z niewiarygodną wręcz wyrazistością, która jak krzyk w pustyni domu pogłębiała ciszę. Dźwięki nie naruszały ciszy, podkreślały ją.

— Tajemnicę rodziny odkryłem chyba trzeciego dnia. Pierwszego Nygaard pokazał mi długi zalesiony język lądu wchodzący w rzekę o jakieś pół mili na południe od farmy i prosił mnie, abym go omijał. Oświadczył, że zawiesił tam wiele ptasich domków, że zamieszkały w nich szlacharki i podgorzałki krzykliwe i nie chciałyby zakłócać im spokoju. Oczywiście chętnie się zgodziłem, choć pomyślałem sobie, iż nawet w tej szerokości geograficznej jest to dość dziwne, żeby o tej porze roku kaczki wysiadywały jeszcze jajka.

— Potem zauważyłem, że nigdy nie zasiadamy do kolacji wszyscy razem. Pierwszego wieczoru nie było dziewczyny. Drugiego chłopiec pojawił się dopiero, gdy kończyliśmy jeść — choć widziałem, jak siedział dość ponury na brzegu rzeki na parę minut przedtem, nim Nygaard zawołał mnie na kolację. Trzeciego dnia sam się spóźniłem. Wracając zobaczyłem w gąszczu jodeł jakiegoś ptaka i zacząłem go obserwować. Nie starałem się ukryć, ale tak się złożyło, że przypadkowo stałem w ukryciu.

Conchis zamilkł na chwilę i przypomniałem sobie, jak stał dwa tygodnie temu, kiedy żegnałem się z Julie; była to jakby zapowiedź tej sytuacji.

— Nagle poprzez drzewa dostrzegłem dziewczynę zmierzającą dokądś brzegiem rzeki. W jednej ręce niosła okryty szmatą garniec, w drugiej bańkę z mlekiem. Stałem za drzewem i przyglądałem się. Ku memu zdziwieniu weszła na zakazany teren. Obserwowałem ją przez lornetkę, póki nie znikła mi z oczu.

— Nygaard nie lubił, gdy jego krewni asystowali przy naszych rozmowach. Bo gniewało go ich pełne dezaprobaty milczenie. Zatem zaczął zaglądać do mojej „sypialni” w stodole, by wypalić fajkę i pogadać. Opowiedziałem mu więc wieczorem,

że widziałem, jak jego siostrzenica niosła na przylądek jedzenie i mleko. Zapytałem, kto tam mieszka. Nie próbował ukrywać prawdy. Mieszkał tam jego brat. Był nienormalny.

Spojrzałem na Conchisa, potem na Julie i znów na Conchisa, ale żadne z nich nawet nie drgnęło, tak jakby zupełnie nie uderzyła ich zbieżność przeszłości z rzekomą terażniejszością. Dotknąłem stopy Julii. Odwzajemniła się, ale zaraz cofnęła nogę. Opowieść porwała ją, nie chciała rozpraszać uwagi.

— Spytałem, czy widział go jakiś lekarz. Nygaard pokręcił przecząco głową, jakby nie dowierzał zbyt łatwo lekarzom, a zwłaszcza w tym wypadku. Przypomniałem mu, że sam jestem lekarzem. Chwilę milczał i zauważył: „Wydaje mi się, że my wszyscy staliśmy się nienormalni”. Po czym wstał i wyszedł. Ale po paru minutach wrócił. Przyniósł niewielki woreczek. Wysypał jego zawartość na moje połowe łóżko. Zobaczyłem całą kolekcję krzemieni i obrobionych kamyków, gliniane skorupy prymitywnych naczyń, ozdobionych rytowanymi wzorami, i wiedziałem, że to wszystko musi pochodzić z ery kamiennej. Spytałem, gdzie to znalazł. Odparł, że w Seidevarre. A potem wyjaśnił, że farma wzięła swe imię od przylądka. Że Seidevarre to lapońskie słowo oznaczające „wzgórze ze świętego kamienia”, dolmen. Przylądek był kiedyś świętym miejscem Lapończyków, rybaków i hodowców renów. Ale oni kontynuowali tylko tradycje wcześniejszych kultur.

— Z początku farma ta była letnią daczą, zbudowaną przez ojca Nygarda. Przyjeżdżał tam jedynie polować i łowić ryby. Był to dość ekscentryczny duchowny, który dzięki małżeństwu zdobył fortunę wystarczającą na to, by mógł oddawać się swoim rozmaitym hobby. Równocześnie jednak pozostał surowym luterańskim pastorem. Ale rozkochanym w tradycjach norweskiego wiejskiego życia. Był przyrodnikiem, jako uczoney zdobył sobie nawet pewną renomę. Był także fanatycznym miłośnikiem polowania, rybołówstwa i powrotu do natury. Obaj jego synowie przeżyli w młodości bunt przeciwko religii. Starszy, Henrik, został mechanikiem, wyruszył na morze. Gustav skończył weterynarię. Ojciec umarł i niemal wszystkie pieniądze zapisał kościołowi. Henrik, odwiedziwszy Gustava, który zaczął praktykować w Trondheim, poznał Ragnę i ożenił się z nią. Wrócił jeszcze na morze, ale wkrótce potem załamał się nerwowo, rzucił pracę i zamieszkał w Seidevarre.

— Przez parę lat wszystko układało się pomyślnie, ale potem Henrik zaczął się coraz dziwniej zachowywać. Wreszcie Ragna napisała do Gustava list. Gustav po przeczytaniu go wsiadł na najbliższy statek płynący na północ. Stwierdził, że już od

dziewięciu miesięcy Ragna sama wykonuje całą pracę na farmie, choć równocześnie musi się zajmować dwojgiem nieletnich dzieci. Wrócił na krótko do Trondheim, aby zlikwidować swoje sprawy, a potem, zamieszkał na farmie przyjmując pełną odpowiedzialność za brata i jego rodzinę.

— Powiedział: „Nie miałem wyboru.” Już przedtem domyśliłem się tego czując panujące między nimi napięcie. Gustav był ongi, a może i obecnie, bardzo zakochany w Ragnie. I oto teraz sytuacja połączyła ich tak, jak nigdy nie mogłaby połączyć miłość — skazani zostali na przebywanie razem, on skazany na brak wzajemności, a ona na dochowanie mężowi całkowitej wierności.

— Zainteresowałem się, jaką formę przybrał obłęd Henrika. Z początku Henrik często wybierał się do Seidevarre, aby oddawać się „medytacjom”. Wreszcie doszedł do przekonania, że któregoś dnia zstąpi tam Bóg. I od dwunastu lat żyje jak pustelnik czekając na te odwiedziny.

— Nigdy nie zagląda na farmę. W ciągu ostatnich lat bracia nie zamienili więcej niż sto słów. Ragna ani razu nie wybrała się na przylądek. Rzecz jasna, Henrik jest od nich całkowicie uzależniony. Szczególnie teraz, kiedy *par surcroît de malheur* niemal oślepl. Zdaniem Gustava jego brat już od dawna nie zdaje sobie sprawy, że to dzięki nim ma co jeść, ma się w co ubrać. Że przyjmuje wszystko tak, jakby to była manna z nieba, nie dziwiąc się, ani nie okazując wdzięczności. Zapytałem Gustava, kiedy po raz ostatni rozmawiał z bratem; przypominam, że działo się to w sierpniu. A Gustav wzruszając ramionami odpowiedział:

„W maju”.

— Od tej chwili bardziej niż ptakami zacząłem interesować się czwórką ludzi z farmy. Przyjrzałem się jeszcze raz Ragnie i wydała mi się postacią tragiczną. Miała piękne oczy, oczy prosto z Eurypidesa, ciemne i twarde jak z obsydianu. Zrobiło mi się żal dzieci. Chowano je jak bakterie w sterylnej tubce na pożywcze strindbergowskiej melancholii. Żadnych możliwości ucieczki. Najbliżsi sąsiedzi mieszkali o dwadzieścia mil. Najbliższa wieś znajdowała się w odległości pięćdziesięciu. Zrozumiałem, dlaczego Gustav ucieszył się z mojego przyjazdu. Na swój sposób zachował jeszcze zdrowe zmysły, poczucie proporcji. Jego obłęd polegał tylko na tej beznadziejnej miłości do bratowej.

— Jak wszyscy młodzi ludzie uznałem, że powinienem stać się katalizatorem, pomóc wyjaśnić sytuację. W dodatku miałem za sobą medyczne studia, znajomość prac wówczas jeszcze nie tak powszechnie znanego dżentelmena z Wiednia. Od razu



postawiłem diagnozę przypadku Henrika — typowy przykład z podręcznika. Zafiksowanie fazy analnej. Plus obsesyjne utożsamianie się z ojcem. Było to dla mnie równie jasne, jak zachowanie obserwowanych co dzień ptaków. Teraz, kiedy nie zachodziła już potrzeba utrzymania tajemnicy, Gustav chętnie mówił na ten temat. Następnego wieczoru opowiedział mi dalsze szczegóły, które utwierdziły mnie w słuszności mojej diagnozy.

— Henrik od dzieciństwa kochał morze. Dlatego został mechanikiem. Ale stopniowo zdał sobie sprawę, że nie lubi maszyn i nie lubi towarzystwa ludzi. Zaczęło się od niechęci do maszyn. Mizantropia przyszła później, małżeństwo było prawdopodobnie próbą jej uniknięcia. Henrik zawsze lubił otwartą przestrzeń, samotność. To dlatego pokochał morze, dlatego znienawidził ciasnotę, brud i huk maszynowni. Gdybyż mógł płynąć po morzu samotnie, na żaglowcu... Zamiast tego zamieszkał w Seidevarre, gdzie ziemia przypominała rozległe morze. Urodziły się dzieci. I zaczął szwankować wzrok. Strącał ze stołu szklanki, potykał się o korzenie drzew. Rozpoczęła się jego mania.

— Henrik był jansenistą, wierzył w Boga okrutnego. Uważał się za wybrańca; Bóg wybrał go, by karać i nękać. Całą młodość harował na drugorzędnych statkach w paskudnym klimacie tylko po to, żeby jego nagroda — raj — została mu odebrana, ledwie zaczął się nią rozkoszować. Nie mógł pogodzić się z tą obiektywną prawdą, że losem rządzi przypadek, że nic wbrew pozorom nie jest umyślną niesprawiedliwością. I nurtowała go ta rzekoma niesprawiedliwość Boga. Nie zgodził się wyjechać do szpitala, by leczyć oczy. Z braku oliwy obiektywności rozżarzona dusza wypalała samą siebie i wypalała jego. Nie zamieszkał w Seidevarre po to, by oddawać się medytacjom, lecz po to, by nienawidzić.

— Nie muszę mówić, że ogromnie chciałem zobaczyć tego religijnego maniaka. I nie tylko z ciekawości lekarskiej. Bo przez ten czas bardzo polubiłem Gustava. Próbowałem mu nawet wyjaśnić, na czym polega psychiatria, ale on nie chciał mnie słuchać. Takim sprawom lepiej dać spokój, oznajmił. Więc obiecałem mu nadal omijać przylądek. I na tym stanęło.

— Wkrótce potem, pewnego wietrznego dnia, kiedy maszerowałem wzdłuż rzeki, o jakieś trzy mile na południe od farmy, usłyszałem, że ktoś mnie woła. Był to Gustav. Podpłynął do mnie łodzią. Myślałem, że wybrał się na połów lipieni, ale okazało się, że mnie szukał. W końcu chciał, bym zajął się jego bratem. Zaproponował, abyśmy obserwowali go z ukrycia, tak jak ptaka. Wyjaśnił, że dziś jest

odpowiedni dzień. Tak jak u wielu tracących wzrok ludzi słuch Henrika niezwykle się wyostrzył. Zatem należało wykorzystać wiatr.

— Wsiadłem do łodzi i popłynęliśmy na małą plażę, tam gdzie zaczynał się przylądek. Gustav na chwilę zniknął. Oświadczył, że Henrik siedzi koło *seide*, lapońskiego dolmenu. Więc bezpiecznie możemy obejrzeć jego chatę. Między drzewami na niewielkim wzgórzu, tam gdzie rosły najgęściej, stała w zapadlinie dziwna chata. Z ziemi wystawał tylko kryty słomą dach. Z trzech stron. Dopiero z czwartej widać było drzwi i okienko. Obok chatki leżał stos polan. Ale nie widać było śladu jakichkolwiek robót.

— Gustav kazał mi wejść do środka, sam pozostał na straży. W izbie było bardzo ciemno. Wyglądała jak klasztorna cela. Niska prycza. Stół z nieheblowanego drewna. Puszka ze świecą. Jedyne ustępstwo na rzecz luksusu: piec. Ani dywanu, ani zasłon. Środek izby był zamieciony. Ale po kątach walało się pełno śmiecia. Zeschłe liście, pajęczyny. Smród przepoconego ubrania. Na stole pod okienkiem leżała jedna jedyna książka. Wielka czarna Biblia. Ogromny druk. Obok szkło powiększające. I zaschnięta na stole stearyna.

— Zapaliłem świeczkę, by przyjrzeć się powale. Belki podtrzymujące dach były oheblowane i wryto na nich dwa teksty z Pisma Świętego, barwiąc litery na brązowo. Oczywiście, po norwesku, ale wynotowałem sobie nazwy rozdziałów. A na belce naprzeciwko drzwi wryte było jeszcze jakieś zdanie.

— Wyszedłszy z chaty zapytałem Gustava, co to zdanie oznacza. „Henrik Nygaard wyklęty przez Boga napisał te słowa własną krwią w 1912 roku”. A więc przed dziesięcioma laty. Teraz przeczytam wam tamte teksty z Biblii.

Conchis otworzył leżącą przed nim księgę.

— Pierwszy pochodzi z Księgi Wyjścia — „...i rozbili obóz w Etam, na skraju pustyni. A Jahwe szedł przed nimi podczas dnia jako słup obłoku, by ich dobrze prowadzić drogą, podczas nocy zaś jako słup ognia, aby im świecić, żeby mogli podróżować zarówno we dnie, jak i w nocy.” Drugi z apokryficznych ksiąg Ezdrasza: „Dałem wam światło słupa ognistego, a wy zapomnieliście o mnie, powiedział Pan”.

— Teksty te nasunęły mi myśl o Montaigne'u. Wiecie pewnie, że na belkach sufitu w swoim gabinecie wypisał czterdzieści dwa przysłowia i cytaty. Ale Henrik nie miał ani krzty montaignowskiej trzeźwości sądu. Pod tym względem przypominał raczej Pascala, te dwie krytyczne godziny jego życia, które potem umiał określić tylko jednym jedynym słowem: *feu*. Czasem pokoje nasiąkają duchem tych, którzy je

zamieszkują — przypomnijcie sobie celę Savonaroli we Florencji. Tak samo było z tą izdebką. Nawet gdybym nic o jej mieszkańcu nie wiedział, odczułbym jego mękę i obłąd, były one niemal dotykalne.

— Wyszedłem z chatki i ostrożnie ruszyliśmy w stronę *seide*. Stał wśród drzew. Nie był to prawdziwy dolmen, ale zwykły wysoki głaz, któremu wiatry i mrozy nadały malowniczy kształt. Gustav wyciągnął wskazującą rękę. O jakieś pięćdziesiąt jardów z drugiej strony kępy brzoź, z dala od *seide* stał mężczyzna. Nastawiłem lornetkę. Był to wyższy od Gustava, chudy mężczyzna ze strzechą siwych włosów, ze źle przyszyzoną brodą, z orlim nosem. Akurat odwrócił się w naszą stronę i mogłem przyjrzeć się jego wychudzonej twarzy. Zdziwiła mnie malująca się na tej twarzy dzikość. Niemal okrutna surowość. Nigdy nie widziałem twarzy tak zdeterminowanej, tak fanatycznie niezdolnej do kompromisu. Nigdy się nie uśmiechającej. A te oczy! Lekko wytrzeszczone, zaskakująco zimne, błękitne oczy. Oczy szaleńca. Widać to było nawet z odległości pięćdziesięciu jardów. Miał na sobie stary lapoński granatowy kitel obszyty wypłowiałymi czerwonymi taśmami. Ciemne spodnie i ciężkie spiczaste lapońskie buty. W rękę trzymał kij.

— Przez jakiś czas obserwowałem ten niezwykły okaz ludzkiego rodzaju. Spodziewałem się zobaczyć człowieka, który ukradkiem będzie się przemykał wśród drzew mamrocząc pod nosem. Nie byłem przygotowany na widok zawziętego dumnego orła. Gustav trącił mnie w ramię. Koło *seide* pojawił się jego bratanek z wiadrem i bańką mleka. Postawił je, wziął puste wiadro, które musiał tam ustawić Henrik, rozejrzał się dokoła i zawołał coś po norwesku. Niezbyt głośno. Wiedział widać, gdzie ukrywa się jego ojciec, zwracał się bowiem w stronę kępy brzoź. Potem zniknął wśród drzew. Po pięciu minutach Henrik ruszył w stronę *seide*. Szedł pewnym krokiem, wymacał jednak drogę końcem kija. Wziął wiadro i bańkę, i potem znając sobie dobrze ścieżkę wrócił do chaty. Ścieżka prowadziła o jakieś dwadzieścia jardów od brzeziny, w której się schowaliśmy. Kiedy nas mijał, usłyszałem wysoko nad głową jeden z tych nadrzecznych ptasich krzyków, cudowny dźwięk podobny nawoływaniu trąb Tutenchamona. To krzyczał w locie nurek o czarnej piersi. Henrik zatrzymał się, choć dźwięk ten musiał być dla niego czymś równie znajomym co szum wiatru. Stał chwilę z uniesioną ku niebu twarzą. Nie malowało się na niej żadne gwałtowne uczucie, nie było widać rozpacz. Raczej wyczekiwanie, jakby usłyszał pierwsze tony trąb anielskich zwiastujących wielkie odwiedziny.

— Potem zniknął, a my z Gustavem wróciliśmy na farmę. Nie wiedziałem, co

powiedzieć. Nie chciałem rozczarowywać Gustava przyznając się do porażki. W grę wchodziła także moja idiotyczna duma. Ostatecznie byłem jednym z założycieli Towarzystwa Krzewienia Rozumu. Na koniec ułożyłem sobie plan. Jeszcze raz wybiorę się do Henrika, ale tym razem sam. Powiem mu, że jestem lekarzem i chcę obejrzeć jego oczy. I wykorzystam to, żeby zbadać jego psychikę.

— Przed chatką Henrika pojawiłem się następnego dnia w samo południe. Siąpił deszcz. Dzień był szary. Zapukałem do drzwi i cofnąłem się o parę kroków. Przez dłuższy czas nic. Potem Henrik pojawił się ubrany tak samo jak poprzedniego wieczoru. Teraz, kiedy stałem z nim twarzą w twarz jeszcze bardziej uderzyło mnie jego zapamiętanie. Trudno było uwierzyć, że jest ślepy, jego błękitne oczy zdawały się patrzeć. Jednak teraz z bliska dojrzałem matowość katarakty na obu oczach. Był chyba dość wstrząśnięty, ale tego nie okazywał. Zapytałem go, czy zna angielski — wiedziałem od Gustava, że zna, ale chciałem, aby to sam potwierdził. Podniósł laskę, bym się do niego nie zbliżał. Był to zresztą gest raczej ostrzegawczy niż agresywny. Uznałem więc, że bylebym do niego nie podchodził, pozwoli mi z sobą porozmawiać.

— Wyjaśniłem, że jestem lekarzem, że interesuję się ptakami i dlatego przyjechałem do Seidevarre. Mówiłem bardzo wolno, pamiętając, że przynajmniej od piętnastu lat nie słyszał języka angielskiego. Słuchał nie zmieniając wyrazu twarzy. Zacząłem opowiadać o nowoczesnych metodach leczenia katarakty. Zapewniałem go, że w szpitalu będzie mógł odzyskać wzrok. Nie odezwał się ani słowem. Wreszcie umilkłem.

— Odwrócił się i wszedł do chaty. Zostawił otwarte drzwi, więc czekałem. I nagle pokazał się. Miał w ręku to samo narzędzie, co ja dziś po południu, kiedy do was podszedłem. Topór na długiej rękojeści. Od razu zrozumiałem, że nie bardziej myśli o rąbaniu drew niż beserkier przed bitwą. Chwilę się wahał, potem rzucił się na mnie wymachując toporem. Gdyby nie był tak bliski ślepoty, zabiłby mnie. Zdążyłem w ostatniej chwili uskoczyć. Topór ugrzązł głęboko w ziemi. Zanim go wyrwał, udało mi się uciec.

— Potykając się na polance przed chatą zaczął mnie gonić. Wpadłem do lasu i przebiegłem jeszcze co najmniej trzydzieści jardów, choć on zatrzymał się przy pierwszym drzewie. Już z odległości dwudziestu stóp nie odróżniłby mnie pewnie od pnia drzewa. Stał z toporem w ręku, nad słuchując, wytężając wzrok. Wiedział pewnie, że go obserwuję, bo bez ostrzeżenia odwrócił się i cisnął toporem w najbliższą brzozę. Było to wysokie drzewo. Ale zadrżało od korzeni aż po koronę. Zrozumiałem, że jest to

jego odpowiedź. Byłem zbyt przerażony jego wściekłością, żeby się ruszyć z miejsca. Chwilę wpatrywał się w drzewa, wśród których się ukrywałem, potem odwrócił się i poszedł do chaty zostawiając topór wbity w pień brzozy.

— Wróciłem na farmę wzbogacony o nowe doświadczenie. Trudno mi było uwierzyć, że ktoś może tak gwałtownie odrzucać medycynę, naukę, zdrowy rozsądek. Ale czułem, że ten mężczyzna odrzuciłby także — gdyby o nich wiedział — całą resztę moich zainteresowań, muzykę, poszukiwanie radości życia, racjonalizm. Że chętnie wbiłby topór w czaszkę całej naszej nastawionej na przyjemności cywilizacji. W naszą naukę, w naszą psychoanalizę. Że dla niego wszystko, co nie odnosiło się bezpośrednio do wielkiego spotkania, było tym, co buddyści nazywają *lilas* — jałowym pościgiem za błahostkami. I że zajmowanie się własną ślepotą byłoby jedną z takich błahostek. Chciał być ślepy. Utwierdzało go to w przekonaniu, że któregoś dnia naprawdę przejrzy.

— W parę dni później miałem odjechać. Ostatniego wieczoru Gustav rozmawiał ze mną do późnej nocy. Nie wspominałem mu o swoich odwiedzinach u Henrika. Noc była bezwietrzna, ale w tamtych stronach sierpniowe noce są już chłodne. Gustav wrócił do domu, a ja wyszedłem ze stodoły, żeby się wysuszyć. Księżyc świecił jasno na tym północnym letnim niebie, które nawet w nocy nie traci dziennej jasności nadającej mu dziwną głębię. Podczas takich nocy wydaje się, że bierze gdzieś początek jakiś nowy świat. Usłyszałem niesiony wodą krzyk z Seidevarre. Przez chwilę myślałem, że to nawołuje ptak, ale szybko zrozumiałem, iż musi to być głos Henrika. Spojrzałem w stronę farmy. Zobaczyłem, że Gustav przystanął i nadśluchuje. Rozległ się następny krzyk. Podszedłem do Gustava. „Czy coś mu się stało?” spytałem. Gustav pokręcił przecząco głową i wpatrywał się w ciemny cień Seidevarre za srebrną od księżycy rzeką. „Co on woła?” A Gustav odpowiedział: „Czy mnie słyszysz? Jestem tu.” Krzyk znów się powtórzył i, tym razem, doleciały mnie norweskie słowa: „*Hører du mig? Jeg er her.*” Henrik wołał do Boga.

— Mówiłem wam już, jak w Seidevarre roznosiły się dźwięki. Ilekroć Henrik wołał, jego głos długo wisiał w powietrzu, nad lasem, nad wodą, wydawał się sięgać gwiazd. I powtarzało go echo. Parokrotnie odpowiedział mu przenikliwy krzyk przerażonych ptaków. Usłyszałem z tyłu szmer. Obejrzałem się i zobaczyłem jakąś białą postać w oknie farmy, nie widziałem, czy jest to Ragna, czy jej córka. Wszyscy ulegliśmy magii chwili. Żeby to przerwać, zacząłem wypytywać Gustava. Czy Henrik często tak krzyczy? Nie, nieczęsto, trzy, cztery razy do roku, kiedy podczas pełni

księżycyca zdarzy się bezwietrzna noc. Czy zawsze powtarza to samo zdanie? Gustav zastanowił się. Nie, czasem krzyczy: „Czekam”, czasem: „Oczyściłem moją duszę”, albo: „Jestem gotów”. Ale najczęściej powtarza te dwa zdania, któreśmy przed chwilą usłyszeli.

— Odwróciłem się do Gustava i spytałem, czy moglibyśmy pójść zobaczyć, co robi Henrik. Skinął głową i ruszyliśmy. Po dziesięciu, może piętnastu minutach znaleźliśmy się tam, gdzie zaczynał się cypel. Co chwila słyszeliśmy wołanie. Doszliśmy do *seide*, ale krzyk dobiegał nadal z pewnej odległości. Gustav powiedział: „On stoi na samym koniuszku cypla”. Minęliśmy chatkę i idąc możliwie najciszej doszliśmy na koniec cypla. Skończył się las.

— Dalej zaczynał się brzeg. Trzydzieści, może czterdzieści jardów kamyków. Rzeka była tu węższa i prąd uderzał, w cypelek. Nawet tak spokojnej nocy słychać było, jak fale szemrzą po kamykach. Henrik stał po kostki w wodzie. Twarzą w stronę północnego wschodu, gdzie rzeka znów się rozszerzała. Księżycowa poświata okrywała ją jedwabistym szarawym całunem. Na środku widniała długa ławica gęstej mgły. Henrik wołał: „*Hører du mig?*” Na cały głos, tak jakby zwracał się do kogoś znajdującego się bardzo daleko, na niewidocznym drugim brzegu. Długa pauza. I: „*Jeg er her!*” Spojrzałem na niego przez lornetkę. Stał na szeroko rozstawionych nogach, w ręku trzymał kij, zupełnie postać z Biblii. Nastąpiła cisza. Czarna sylwetka odcinała się od pobłyskującej powierzchni wody.

— I nagle usłyszeliśmy, że Henrik wypowiada cichym głosem jedno słowo. Takk. Po norwesku oznacza to dziękuję. Obserwowałem go. Wyszedł z wody i uklęknął na kamykach, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała. Patrzył nadal w tę samą stronę. Nie była to postawa modlitewna. Po prostu obserwował coś w pozycji klęczącej. Patrzył na coś, co znajdowało się tuż koło niego, co widział równie wyraźnie, jak ja widziałem ciemną głowę Gustava, drzewa i poświatę księżycową na liściach. Dałbym chętnie dziesięć lat życia, żeby móc spojrzeć jego oczami. Nie wiedziałem, co on widzi, ale wiedziałem, że jest to coś potężnego i niezwykłego. I nagle przeniknąłem tajemnicę Henrika, tak jakby padł na mnie odbłask jego olśnienia. Henrik nie czekał na spotkanie z Bogiem. Spotkał się z nim, prawdopodobnie już od wielu lat się z nim spotykał. Nie czekał na upewnienie się. Żył pogrążony w pewności.

— Do tego momentu mój stosunek do życia był, jak mogliście zauważyć, racjonalny i naukowy. Moje podejście do psychiki człowieka było podejściem ornitologa. Myślałem kategoriami gatunków, typowych zachowań, obserwacji. I po

raz pierwszy w życiu poczułem, że to nie wystarcza. Zobaczyłem, iż obserwowany przeze mnie człowiek przeżywa coś, czego ani rozum, ani nauka nie są w stanie wytłumaczyć. I pojąłem, że i rozum, i nauka pozostaną ułomne, póki nie potrafią wyjaśnić, co dzieje się w umyśle Henrika. Wiedziałem, że Henrik widzi nad wodą słup ognisty, wiedziałem, że tego ognistego słupa tam nie ma, istnieje on zatem tylko w umyśle Henrika.

— Ale nagle wszelkie nasze racjonalne rozumowania, wywody i formułki wydały mi się siecią o dużych okach. Ten pasywny potwór — rzeczywistość — przestał być czymś martwym, poddającym się łatwo wszelkim naszym manipulacjom. Nabrał nowego wigoru, otworzyły się nowe możliwości. Rzeczywistość wymykała się z sieci. Możliwe, że między Henrikiem i mną zaistniał telepatyczny kontakt. Nie wiem.

— To najzwyczajniejsze zdanie: nie wiem, stało się moim słupem ognistym. Bo obok świata, w którym żyłem, poczułem istnienie innego świata. I ogarnęło mnie uczucie pokory. I zobaczyłem czczość wielu z tych rzeczy, do których nasze stulecie przykłada taką wagę. Kto wie, może bym i tak doszedł później do tego przekonania. Ale tej nocy odbyło się to w mgnieniu oka, w mgnieniu oka przeskoczyłem wiele lat. Tego jestem pewien.

— Po chwili zobaczyliśmy, jak Henrik wycofuje się między drzewa. Nie widziałem jego twarzy. Ale sądzę, że ten wyraz zapamiętania, który się na niej malował w ciągu dnia, był wynikiem spotkań ze słupem ognistym. Może ten słup ognisty przestał mu wystarczać i w tym sensie nadal oczekiwał spotkania z Bogiem. Przeżywał wieczyste mistyczne oczekiwanie czegoś więcej. Ale jednej rzeczy byłem pewien. Może dalej brakowało mu Boga, ale Duch Święty już go nawiedzał.

— Następnego dnia wyjechałem. Pożegnałem się z Ragną. Jej wrogość nie zmniejszyła się. Sądzę, że w przeciwieństwie do Gustava przeniknęła tajemnicę męża i wiedziała, że każda próba uleczenia go równałaby się zabójstwu. Gustav wraz ze swym bratankiem odwieźli mnie łodzią do najbliższej farmy położonej o dwadzieścia mil na północ. Uścisnęliśmy sobie ręce, obiecaliśmy pisywać. Nie mogłem mu ofiarować żadnej pociechy, zresztą nie sądzę, by jej szukał. Istnieją sytuacje, w których każda pociecha zagraża równowadze wypracowanej przez czas. I wróciłem do Francji.

opowieści za dowód, że możemy Conchisowi zaufać. Nie miałem zamiaru przeczyć i to nie tylko dlatego, żeby jej nie robić przykrości. Podświadomie oczekiwałem, że usłyszę na Moutsie głos wołający po norwesku albo zobaczę, jak ponad drzewami unosi się genialnie sfabrykowany słup ognisty. Ale nastąpiła długa cisza przerywana tylko cykaniem świerszczy.

— Nigdy pan tam nie wrócił?

— Taki powrót byłby czymś wulgarnym.

— Przecież musiał pan być ciekawy, jak się to wszystko skończyło?

— Nie. Być może, Nicholas, przeżyjesz kiedyś coś, co będzie miało dla ciebie ogromne znaczenie. — W jego głosie nie słyszałem ironii, ale wiedziałem, że słowa te nie są jej pozbawione. — Wtedy zrozumiesz, co chcę powiedzieć twierdząc, iż pewne doświadczenia są dla nas tak ważne, że nie możemy znieść myśli, aby coś miało je zniekształcić. Seidevarre było miejscem, którego nie powinien był tknąć czas. Więc nie chcę wiedzieć, jak ono teraz wygląda. Ani co się stało z tymi ludźmi. Jeżeli tam w ogóle jeszcze są.

— Ale mówiłeś, że obiecałeś pisywać do Gustava? — spytała Julie.

— I pisywałem. On także. Przez dwa lata pisywał do mnie regularnie co parę miesięcy. Ale nie wspominał o tym, co was interesuje. Tylko od czasu do czasu powiadamiał mnie, że sytuacja nie uległa zmianie. Jego listy pełne były obserwacji ornitologicznych. Zaczęły mnie nudzić, bo opuściło mnie zainteresowanie opisowym aspektem przyrody. Coraz rzadziej wymienialiśmy listy. Ostatni raz otrzymałem od niego życzenia świąteczne na Gwiazdkę 1926 lub 1927 roku. Od tego czasu ani słowa. Teraz już pewnie nie żyje. I on. I Henrik. I Ragna.

— Co zaszło po twoim powrocie do Francji?

— Spotkanie Henrika z jego słupem ognistym zdarzyło się o północy siedemnastego sierpnia 1922 roku. Pożar w Givray-le-Duc rozpoczął się o tej samej godzinie tej samej nocy.

Julie wyraźniej niż ja okazała swoje niedowierzanie. Conchis patrzył w inną stronę i Julie wymieniła ze mną spojrzenia. Potem skrzywiła się i spuściła oczy.

— Nie chcesz przez to powiedzieć...

— Nic nie chcę przez to powiedzieć. Te dwa wydarzenia nie miały z sobą nic wspólnego. Nie mogły mieć. Poza tym, że obydwie dotyczyły właśnie mnie.

W jego głosie zabrzmiał ton niezwyklej próżności, tak jakby uważał, że spowodował te dwa wydarzenia czy też ich równoczesność. Wyczułem, że wymyślił



sobie tę zbieżność, że ma to być metafora, że mamy ją odszyfrować, bo stanowi klucz do jego osobowości. Tak jak historia de Deukansa rzucała światło na postać samego Conchisa, tak ta miała nam ułatwić zrozumienie wagi hipnozy — jak brzmiało to jego porównanie: rzeczywistość wymyka się z sieci nauki... Ja sam przeżyłem w hipnozie coś zbyt podobnego, aby móc to uznać za zwykły zbieg okoliczności.

Conchis zwrócił się ojcowskim tonem do Julie: — Myślę, moja droga, że na ciebie pora spać. — Spojrzałem na zegarek. Było parę minut po jedenastej. Julie lekko wzruszyła ramionami, jakby chcąc okazać, że pora snu nie ma najmniejszego znaczenia.

Zapytała: — Dlaczego nam to opowiedziałeś, Maurice?

— Nasza teraźniejszość znajduje się we władaniu naszej przeszłości. Bourani we władaniu Seidevarre. Cokolwiek zdarza się tutaj, zależy częściowo, nie, nie częściowo, zależy przede wszystkim od tego, co przed trzydziestu laty zdarzyło się w norweskich lasach.

Mówił do niej tym samym tonem, którym często przemawiał do mnie. Słabły pozory wskazujące na to, że Julie jest bardziej niż ja wprowadzona w jego plany. Zrozumiałem, że Conchis próbuje inaczej ustawić nasze stosunki, a w każdym razie zmienia rządzące nimi reguły gry. Teraz oboje zostaliśmy obsadzeni w rolach jego uczniów. Przypomnił mi się słynny w wiktoriańskich czasach obraz, na którym brodaty wilk morski wskazuje na morze, a dwóch chłopczków z wytrzeszczonymi oczyma słucha jego opowieści. Julie i ja znów wymieniliśmy spojrzenia. Oboje zrozumieliśmy, że wkraczamy na nowe nieznane terytorium. Znów poczułem dotyk jej stopy, niczym przelotny pocałunek.

— Cóż, chyba już pójdę. — Nastąpił nawrót ceremonialnych manier. Wszyscy wstaliśmy. — Maurice, twoja opowieść była niezwykle fascynująca.

Julie podeszła i pocałowała Maurice'a w policzek. Potem podała mi rękę. W jej oczach pojawił się cień konspiracyjnego błysku, palce zacisnęły się nieco silniej, niż wymagał tego konwencjonalny uścisk dłoni. Odwróciła się, by odejść, i nagle przystanąła.

— Przepraszam. Zapomniałam ci oddać zapałki.

— Nic nie szkodzi.

Usiedliśmy w milczeniu. Po paru chwilach usłyszałem lekkie kroki zmierzające po żwirze w stronę morza. Uśmiechnąłem się, patrząc przez stół na pozbawioną wyrazu twarz Conchisa. Jego tęczówki na tle białek wydawały się bardzo czarne —

cała twarz robiła wrażenie maski, która bacznie mnie śledzi.

— Dziś wieczorem obejdzie się bez ilustracji do tekstu?

— Czyżby tekst ich wymagał?

— Nie. Wygłosił go pan bardzo przekonująco.

Conchis wzruszył lekko ramionami, a potem szerokim ruchem ręki wskazał na dom, drzewa, morze.

— Oto ilustracje. Wszystko, co istnieje, takie, jakie istnieje. W tej mojej skromnej posiadłości.

Jeszcze dzień wcześniej wdałbym się z nim w dyskusję. W jego nie tak znów skromnej posiadłości więcej było mistyfikacji niż mistycyzmu, a w każdym razie wszystko było czymś innym, niż się wydawało. I choć nie mogłem mu odmówić mądrości, widziałem także całe jego szarlataństwo.

Zauważyłem pozornie obojętnym tonem: — Pańska pacjentka robiła dziś wieczór wrażenie zupełnie normalnej.

— Jutro może się zachowywać jeszcze normalniej. Ale nie powinieneś dać się temu zwieść.

— Nie ma obawy.

— Jak już wspominałem, jutro zniknę wam z oczu. Więc jeśli się jutro nie zobaczymy, czy podczas następnego weekendu mogę liczyć na twoją wizytę?

— Tak, przyjdę.

— Świetnie. No, cóż... — wstał, jakby już od dawna miał ten zamiar, a tylko odczekał parę chwil, aby Julie miała czas „zniknąć”.

Wstałem także i powiedziałem: — Dziękuję panu. Jeszcze raz dziękuję. Za tamto niezwykle przeżycie.

Skinął głową jak wytrawny impresario zbyt przyzwyczajony do popremierowych komplementów, by mógł traktować je poważnie. Na ścianie jego sypialni żarzyły się łagodnie oba Bonnardy. Kiedy znaleźliśmy się na podeście, podjąłem nagle decyzję.

— Wie pan, panie Conchis, nie chce mi się jeszcze spać. Pójdę się przejść. Zejdę na chwilę na Moutse.

Rzykowałem, że wybierze się ze mną i w ten sposób uniemożliwi mi pojawienie się o północy przy posągu, ale chciałem się ubezpieczyć. Jeśli ktoś nas przyłapie, będę mógł twierdzić, że spotkałem Julie przypadkiem. Że nie wymknąłem się potajemnie z domu.

– Jeśli masz ochotę...

Conchis uściskał mi rękę i przyglądał się, gdy zbiegałem po schodach. Ale nim jeszcze znalazłem się na dole, usłyszałem jak zamyka drzwi. Mógł wyjść na taras i zacząć nadśluchiwać, zatem głośno stąpałem po żwirze idąc na północ w stronę bramy. Ale za bramą nie zszedłem na Moutse, tylko wdrapałem się parędziesiąt jardów w górę i usiadłem pod drzewem, skąd mogłem obserwować bramę i ścieżkę. Noc była ciemna, bezksiężycowa, jedynie bledziutka poświata gwiazd umożliwiała rozróżnianie kształtów.

Serce biło mi mocniej niż zwykle. Częściowo na myśl o spotkaniu z Julie, częściowo dlatego, że czułem się tak, jakbym zabrnął w najdziwniejszy labirynt Europy. Teraz naprawdę byłem Tezeuszem, gdzieś w ciemnościach czekała na mnie Ariadna, kto wie, czy nie czał się Minotaur.

Siedziałem tak dobry kwadrans paląc papierosa, ale osłaniając ręką jego rozżarzony koniuszek, wyteżając wzrok i słuch. Nikt nie wyszedł z domu, nikt się do niego nie zbliżył.

Za pięć dwunasta wślizgnąłem się przez bramę i ruszyłem w stronę parowu. Szedłem wolno, co chwila przystając. Doszedłszy do parowu zatrzymałem się na moment, potem przedostałem się na jego drugi brzeg i możliwie jak najciszej zacząłem się wdrapywać ścieżką prowadzącą na polankę z posągiem. Wreszcie zobaczyłem jego majestatyczny cień. Ławka pod migdałowym drzewem była pusta. Stałem na brzegu polanki zroszonej światłem gwiazd, cały napięty, przekonany, że coś się za chwilę zdarzy, wyteżając wzrok, czy nie zobaczę kogoś wśród gęstych ciemności lasu. Bo wydawało mi się, że wyłoni się z nich mężczyzna o błękitnych oczach z toporem w ręku.

Rozległ się głośny stuk. Ktoś rzucił kamieniem w posąg. Cofnąłem się w ciemność piniowego lasu. Zobaczyłem, że coś się rusza, i po chwili następny kamień potoczył się po ziemi w moją stronę. Biały kształt ukrywał się za drzewem rosnącym nieco wyżej z mojej strony polanki. Wiedziałem, że to Julie.

Zacząłem biec stromym zboczem, potknąłem się, zatrzymałem. Julie stała za drzewem, ukryta w najgłębszym cieniu. Widziałem jej białą bluzkę i białe spodnie, jej jasne włosy; wyciągnęła do mnie obie ręce. W trzech susach znalazłem się koło niej, objęła mnie ramionami i całowaliśmy się, długi, namiętny pocałunek, który trwał i

trwał, choć parę razy musieliśmy zaczerpnąć powietrza... poczułem, że nareszcie zaczynam ją poznawać. Skończyło się udawanie, pojawiła się namiętność, Julie zachowywała się niemal żarłocznie. Całe jej ciało poddawało mi się ulegle i z pasją. Wyszepiałem kilka czułych słów, ale ona zamknęła mi usta. Schyliłem się, by ucałować jej rękę, dotknąłem jej ustami i zacząłem szukać blizny na przegubie dłoni.

W sekundę później wypuściłem ją z objęć i sięgnąłem do kieszeni po zapalniczkę. Zapaliłem jedną i ująłem lewą dłoń dziewczyny. Nie było na niej blizny. Podniosłem do góry zapalniczkę. Oczy, usta, broda były oczyma, ustami i brodą Julie. Ale nie była to Julie. W kącikach ust widniały dwie fałdki, we wzroku malowała się zbyt duża czujność, coś w rodzaju umyślnej bezczelności, no i ta opalenizna. Przez chwilę wytrzymywała moje spojrzenie, potem spuściła oczy i znów spojrzała na mnie spod rzęs.

— Psiakrew! — Wyrzuciłem zapalniczkę i zapaliłem następną. Zdmuchnęła ognieniek.

— Nicholas. — Niski, pełen wymówki, dziwny głos.

— To chyba jakieś nieporozumienie. Nicholas jest moim bliźniaczym bratem.

— Myślałam już, że nigdy nie nadejdzie północ.

— Gdzie ona jest?

Mówiłem gniewnym tonem, ale nie byłem aż tak rozgniewany, jak na to mogło wyglądać. Znalazłem się w świecie Beaumarchais, brałem udział w komedii z czasów Restauracji i wiedziałem, że rozczarowanie błązna mierzy się stopniem jego złości.

— Ona?

— Zapomniałaś o bliźnie.

— Bardzo jesteś sprytny, że zauważyłaś. Był to makijaż.

— I o głosie.

— To to nocne powietrze. — I odkaszlęła.

Wziąłem ją za rękę i zaprowadziłem na ławkę pod migdałowym drzewem.

— Mów. Gdzie ona jest?

— Nie mogła przyjść. A ty mógłbyś być uprzejmiejszy.

— Gdzie jest? — Dziewczyna milczała. Oświadczyłem: — To przestaje być zabawne.

— A mnie wydało się szalenie ekscytujące. — Usiadła i podniosła na mnie wzrok: — Tobie zresztą także.

— Bo ja myślałem, że jesteś... — ale nie skończyłem zdania. — Zatem to ty jesteś June?

– Tak. Jeśli ty jesteś Nicholasem.

Usiadłem obok niej i wyciągnąłem z kieszeni paczkę papierosów. Poczęstowałem ją i przyjrzałem się jej w świetle zapalki. Ona też obrzuciła mnie badawczym wzrokiem, jej oczy patrzyły znacznie poważniej, niż można by oczekiwać po frywolności tonu.

Jej podobieństwo do siostry przygnębiło mnie w dość nieoczekiwany sposób. Odkryłem w niej nie znane mi dotąd i niepożądane oblicze Julie. Zupełnie zbędna komplikacja. Może polegało to na jej opaleniznie, na wyglądzie osoby, która cały czas spędza na świeżym powietrzu, prowadząc dużo zdrowszy tryb życia; pomyślałem sobie, że June wygląda tak, jak w normalnych okolicznościach wyglądałaby Julie. Nachyliłem się opierając łokciami o kolana.

– Dlaczego ona nie przyszła?

– Chyba Maurice ci to już wytłumaczył.

Nie okazałem tego, ale poczułem się jak zadufany w sobie gracz w szachy, kiedy nagle widzi, że w następnym ruchu musi stracić swoją, wydawałoby się, bezpieczną królową. Jeszcze raz wróciłem myślą w przeszłość – może jednak starszy pan miał rację, gdy rozwodził się nad inteligencją niektórych schizofreników. Ta scena z rzucaniem filiżanką wydawała się niezgodna z rolą kogoś, kto udaje obłąd, ale czy ktoś naprawdę obłąkany nie mógłby być na tyle przebiegły, żeby na koniec mrugnąć porozumiewawczo, ale potem te nasze stopy pod stołem, te zapalki... może jednak Conchis był bardziej spostrzegawczy, niż nam się wydawało.

– Nie mamy ci tego za złe. Julie wprowadziła w błąd kilku najwybitniejszych ekspertów.

– Skąd wiesz, że dałem się wprowadzić w błąd?

– Bo nie całowałbyś tak dziewczyny, którą uważałbyś za nienormalną – i dodała: – a przynajmniej mam nadzieję, żebyś tego nie robił. – Nic nie odpowiedziałem. – Słowo daję, nie mamy ci tego za złe. Wiem, jak sprytnie Julie potrafi dać do zrozumienia, że to cały świat jest obłąkany, nie ona. I pozuje na uciemiężoną dziewczinę.

Ale to ostatnie zdanie wypowiedziała z lekkim wahaniem, jakby nie była pewna mojej reakcji, nie była pewna, jak daleko może się posunąć.

– Z większym powodzeniem, niż ty odgrywasz swoją rolę.

Dłuższą chwilę milczała. – Nie wierzysz mi?

– Dobrze wiesz, że ci nie wierzę. A poza tym uważam, że robi się wszystko, aby

twoja siostra nie chciała mi w pełni zaufać.

Tym razem milczała jeszcze dłużej.

— Nie mogłyśmy obie wyjść. — I dodała ciszej: — A ja chciałam się sama upewnić.

— Upewnić?

— Że jesteś tym, za kogo się podajesz.

— Powiedziałem jej prawdę.

— Ona tak twierdzi. Ale mówi o tobie ze zbyt wielkim entuzjazmem, więc doszłam do wniosku, że nie jest bezstronnym sędzią. — I dodała oschłym tonem: — Zaczynam rozumieć jej entuzjazm. Przynajmniej jeśli chodzi o twoje zalety, nazwijmy je fizycznymi,

— Łatwo przecież możecie sprawdzić, że pracuję w szkole na drugim krańcu wyspy.

— Wiemy, że ta szkoła istnieje. Może masz przy sobie dokumenty?

— Co za idiotyzm!

— Dużo bardziej idiotyczne byłoby w tej sytuacji, gdybym nie starała się sprawdzić.

Nie mogłem odmówić jej pewnej słuszności. — Nie mam przy sobie paszportu. Ale mam grecki *permis de séjour*.

— Mogłabym zobaczyć?

Wyjąłem *permis* z tylnej kieszeni spodni i zapaliłem kolejno kilka zapalek, aby mogła go dobrze obejrzeć. Na dokumencie widniało moje nazwisko, adres i zawód. Oddała mi go.

— Zadowolona?

Głos June zabrzmiał bardzo poważnie: — Przysięgasz, że dla niego nie pracujesz?

— Tylko w tym sensie, o którym już mówiłem Julie. Oświadczył mi, że wypróbujecie na Julie nową kurację dla schizofreników. W co zresztą nie uwierzyłem. A w każdym razie od chwili, kiedy znalazłem się w jej obecności.

— Nie znałeś Maurice'a, kiedy miesiąc temu pojawiłeś się tu po raz pierwszy?

— Nie.

— I nie podpisywałeś z nim żadnej umowy?

Spojrzałem na nią. — Czy chcesz powiedzieć, że wyście podpisały?

— Tak. Ale nie na to, co się tu teraz dzieje. — Zawahała się. — Julie opowie ci

jutro.

— Ja także chętnie bym obejrzał wasze dokumenty.

— W porządku. Masz prawo. — Rzuciła papierosa i zdeptała go. Następne pytanie zaskoczyło mnie. — Czy na wyspie jest posterunek policji?

— Sierżant i dwóch posterunkowych. Czemu pytasz?

— Po prostu przyszło mi to nagle na myśl.

Wciągnąłem głęboko oddech: — Postawmy sprawę jasno. Z początku byliście duchami. Potem schizofreniczkami. Teraz jesteście kandydatkami do seraju.

— Chwilami pragnęłabym, żeby o to tylko chodziło. Byłoby to znacznie prostsze. — I szybko dodała: — Nicholas, jestem znana z tego, że niczego nie traktuję poważnie, i częściowo dlatego właśnie tu jesteśmy, i nie mogę powiedzieć, żeby chwilami nie był to dobry ubaw, ale w gruncie rzeczy jesteśmy dwiema zwykłymi angielskimi dziewczynami, które nagle wypłynęły na tak głębokie wody, że... — urwała i zapanowało między nami milczenie.

— Czy tak samo jak Julie jesteś zafascynowana Maurice'em?

Przez chwilę nie odpowiadała, spojrzałem więc na nią. Uśmiechnęła się krzywo.

— Mam wrażenie, że potrafimy się świetnie porozumieć.

— Więc nie jesteś?

Spuściła oczy. — Julie jest znacznie większą intelektualistką niż ja... Ale ja mam trochę zdrowego rozsądku, którego jej brak. Jeśli czegoś nie rozumiem, to podejrzewam najgorsze. A Julie ma tendencję do marzycielstwa.

— Dlaczego pytałaś o policję?

— Bo w pewnym sensie zostałyśmy tu uwięzione. Och, więzienie jest luksusowe. Nie oszczędzono kosztów, nie ma krat. Julie mówiła ci pewnie, że Maurice stale zapewnia nas, że kiedy tylko zechcemy, odeśle nas do domu. Ale póki co, jesteśmy pod stałym nadzorem. Ktoś stale nas pilnuje i śledzi.

— Czy w tej chwili jesteśmy bezpieczni?

— Mam nadzieję. Ale niezadługo powinnam wracać.

— Jeśli sobie życzysz, to w każdej chwili mogę tu sprowadzić policję.

— Chwała Bogu.

— A jaką ty masz teorię na temat tego, co tu jest grane?

Smutno się uśmiechnęła: — Właśnie chciałam ciebie o to spytać.

— On chyba naprawdę miał do czynienia z psychiatrią.

— Po każdej twojej wizycie godzinami wypytuje Julie. Co powiedziałaś, jak się zachowywałaś, co ci nakłamała... i tak dalej. Jakby każdy szczegół przyprawiał go o zastępczy dreszcz rozkoszy.

— I hipnotyzuje ją?

— Tak, hipnotyzuje nas, to znaczy mnie zahipnotyzował tylko raz. Była to niezwykła... ciebie też hipnotyzował?

— Tak.

— Julie hipnotyzował wiele razy. Żeby pomóc jej w opanowaniu roli. Najpierw wszystkie szczegóły dotyczące Lily. A potem cały seans o tym, jak się powinna zachowywać schizofreniczka.

— Czy wypytuje ją o coś, gdy ona jest w stanie hipnozy?

— Uczciwie mówiąc, nie. Zawsze skrupulatnie przestrzega, żeby ta z nas, która nie jest hipnotyzowana, była obecna podczas seansu. Przysłuchiwałam się za każdym razem, kiedy hipnotyzował Julie.

— Ale masz dalej jakieś wątpliwości?

Znów się zawahała. — Jedna rzecz nas niepokoi. To podglądactwo. Czujemy, że cały czas śledzi, jak się zaczynacie sobą interesować. — Spojrzała na mnie. — Czy Julie opowiedziała ci o *Trzech sercach*? — Z mojego wyrazu twarzy wywnioskowała, że nie. — To ci opowie. Jutro.

— O jakich trzech sercach?

— Z początku ja miałam także wziąć udział w akcji.

— I?...

— Naprawdę wolałabym, żeby ona ci to opowiedziała. Próbowałem zgadnąć.

— Więc ty i ja mieliśmy?...

Zawahała się. — Ten pomysł upadł. Z powodu tego, co zaszło. Ale podejrzewamy, że od początku miał zamiar się go wyrzec. Więc zastanawiam się, po co tu w ogóle mnie sprowadził.

— Ależ to podłe. Nie jesteśmy przecież pionkami, które przesuwa się po szachownicy.

— On o tym dobrze wie. Ale on nie tylko siebie lubi otaczać tajemnicą. Chce, abyśmy my także zachowywali się tajemniczo. — Uśmiechnęła się i szepnęła: — Niemniej wcale nie jestem pewna, czy nie żałuję, że wyrzekł się tego swego pierwotnego pomysłu.

— Czy mogę to powtórzyć twojej siostrze?



Skrzywiła się i spuściła oczy: — Nie powinieneś niczego, co mówię, traktować serio.

— Zaczynam zdawać sobie z tego sprawę.

Chwilę milczała. — Julie miała niedawno wyjątkowo nieudany romans. I między innymi dlatego właśnie bardzo chciała wyjechać z Anglii.

— Z całego serca jej współczuję.

— Wiem. Ale ja chciałam powiedzieć, że nie życzę sobie, żeby znów miała cierpieć.

— Przeze mnie nie będzie.

June nachyliła się ku mnie. — Julie ma talent do wynajdywania sobie najbardziej nieodpowiednich mężczyzn. Ciebie jeszcze nie znam, więc proszę, nie uważaj tego za osobisty przytyk. Tyle że na skutek poprzednich doświadczeń nie mam zaufania do jej sądów. — I dorzuciła: — Pewnie staram się ją zanadto chronić.

— Nie musisz jej chronić przede mną.

— Ona nieodmiennie szuka serca, i poezji, i wielkiej namiętności, tych wszystkich romantycznych bredni. Ja mam skromniejsze wymagania.

— Zadowolasz się prozą i smacznym obiadem?

— Po prostu nie oczekuję, żeby każdy atrakcyjny mężczyzna miał piękną duszę.

Spodobał mi się ton, jakim to powiedziała, brzmiał oschle, ale wyczuwało się w nim odrobinę żalu. Spojrzałem ukradkiem na jej profil i przez chwilę wyobraziłem sobie, że rzeczywiście grają obie tę samą rolę, że mam je obie, tę jasną i tę ciemną, zamajaczyły mi renesansowe sprośne opowieści o dziewczynach, które pojawiają się nocą jedna zamiast drugiej. Wyobraziłem sobie przyszłość, tak, Julie zostanie moją żoną, ale ta równie atrakcyjna, a wyraźnie zupełnie inna szwagierka będzie nam w tym małżeństwie towarzyszyła, nawet jeśli jej rola ograniczy się do dostarczania mi jedynie doznań estetycznych.

June szepnęła: — Muszę już iść.

— Czy cię przekonałem?

— O tyle, o ile jest to możliwe.

— Czy mogę cię odprowadzić do waszej kryjówki?

— Nie możesz tam wejść.

— W porządku. Ale ja muszę się upewnić co do waszej dobrej woli.

Zawahała się: — Jeśli obiecasz, że zawrócisz wtedy, kiedy cię o to poproszę.

— Zgoda.

Wstaliśmy i zesliśmy pod posąg Posejdona, na który padała poświata gwiazd. Ledwieśmy się tam znaleźli, zobaczyliśmy, że nie jesteśmy sami. Oboje zastygliśmy. Wśród krzaków na dole polanki, oddalonych od nas o jakieś dwadzieścia pięć jardów, stała biała postać. Rozmawialiśmy zbyt cicho, żeby ktoś mógł nas podsłuchać, niemniej był to szok.

June szepnęła: — Psiakrew. Niech to wszyscy diabli...

— Kto to?

Chwyła mnie za rękę i zmusiła, żebym się odwrócił.

— Nasz ukochany cerber. Nie zwracaj na niego uwagi. Ale muszę już tu cię pożegnać.

Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem, że jest to mężczyzna w białym fartuchu, czyli rzekomy pielęgniarz, w czarnej masce na twarzy. June uściśnęła mi rękę i spojrzała w oczy równie bezpośrednio jak jej siostra.

— Ufam ci. I proszę cię, zaufaj nam.

— Co się teraz stanie?

— Nie wiem. Ale nie rób awantury. I wracaj prosto do domu.

Przyciągnęła mnie do siebie, i szybko ucałowała w policzek. Potem ruszyła w dół, w stronę białego fartucha. Kiedy była już blisko mężczyzny, poszedłem za nią. Mężczyzna stał spokojnie, usunął się, by mogła wejść w ciemność między drzewami, potem znów zagroził ścieżkę. Nagle zdałem sobie sprawę — a było to jeszcze większym szokiem niż sama jego obecność — że bynajmniej nie nosi maski. Był to Murzyn, wysoki, postawny mężczyzna o jakieś pięć lat ode mnie starszy. Patrzył na mnie nieruchomym wzrokiem. Byłem już zaledwie dziesięć stóp od niego. Wyciągnął ostrzegawczo ręce, zagradzając mi drogę. Jak na Murzyna miał stosunkowo jasną skórę, gładką twarz, a pełne napięcia oczy śledziły każdy mój ruch wzrokiem przypominającym wzrok zwierzęcia. Stał niby to spokojnie, ale czuło się w nim napięcie boksera tuż przed walką.

Zatrzymałem się i oświadczyłem: — Było panu bardziej do twarzy w masce szakala.

Nie ruszył się. Ale zza jego ramienia wyłoniła się twarz June. Niespokojna i błagalna.

— Nicholas! Wracaj do domu. Proszę cię. — Odwróciłem wzrok od jej strapionej buzi i znów spojrzałem na niego. — On ci nie odpowie. Jest niemową.

— Sądziłem, że czarni eunuchowie zniknęli razem z cesarstwem otomańskim.

Nie zmienił wyrazu twarzy i odniosłem wrażenie, że nie rozumie, co mówię. Ale po chwili założył ręce i rozstawił nogi. Pod fartuchem zobaczyłem czarną koszulkę polo. Czulem, że czeka na mój atak i miałem wielką ochotę żeby się na niego rzucić.

Postanowiłem pozostawić decyzję June. Spojrzałem na nią. — Jesteś pewna, że nie potrzeba ci mojej pomocy?

— Tak. Proszę, wracaj.

— Będę czekał przy posągu.

Skinęła głową i odwróciła się. Podeszedłem do boga morza, usiadłem na skale, na której został ustawiony, i sam nie wiem dlaczego, wyciągnąłem rękę i chwyciłem go za nogę z brązu. Murzyn stał z założonymi rękami jak znudzony woźny w muzeum, a może raczej jak janczar u wrót cesarskiego haremu. Puściłem nogę boga i zapaliłem papierosa, aby uspokoić adrenalinę we krwi. Minęła minuta, dwie. Mimo że obie siostry mówiły o kryjówce na łodzi, nadśluchiwałem dźwięku zapuszczanego motoru. Ale wokół panowała cisza. Moja męskość buntowała się z powodu zniewagi odniesionej w obecności atrakcyjnej kobiety, ale niezależnie od tego czulem się i zakłopotany, i winny. Conchis zaraz się niewątpliwie dowie o tym potajemnym spotkaniu. Może się tu pojawi. No i wyjdzie na jaw, że ani przez chwilę nie potraktowałem poważnie tych nonsensów o schizofrenii. Ale nie tego się obawiałem, obawiałem się, że zostanę odprawiony z kwitkiem za tak wyraźne nieprzestrzeganie reguł gry. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie spróbować Murzyna przekupić, albo zacząć go przekonywać i błagać. Ale on nie ruszał się z miejsca, czekał w cieniu: anonimowa, nie tylko dlatego że czarna, posępna twarz.

Gdzieś znad morza dobiegł gwizd. I naraz zdarzyło się wiele rzeczy.

Biała postać podeszła do mnie zamaszystym krokiem. Wstałem i oświadczyłem: „No to się spróbujemy!” Ale on ruszał się równie szybko jak lampart i był silny; wyższy ode mnie o dwa cale. Gniewna, wyprana z poczucia humoru twarz. Poczulem strach — w jego oczach malowała się szaleńcza furia i przyszło mi na myśl, że oto mam przed sobą czarny odpowiednik Henrika Nygaarda. Murzyn bez ostrzeżenia splunął mi prosto w twarz i pchnął mnie tak, że usiadłem na skale stanowiącej cokół posągu. Kiedy ocierałem z plwocin nos i policzki, zobaczyłem, że on spokojnie schodzi z boczem w dół. Otworzyłem usta, by coś w jego stronę krzyknąć, ale po namyśle przełknąłem cisnące mi się na język obelgi. Wyciągnąłem chusteczkę i starałem się osuszyć twarz. Była lepka i brudna. Gdyby pojawił się tu Conchis, gotów byłbym go zabić.

Wróciłem do bramy i ścieżką zszedłem na Moutse. Odczuwałem niezwalczoną pokusę opuszczenia posiadłości. Zrzuciłem ubranie i zanurzyłem się w falach, zacząłem szorować twarz słoną wodą, a potem odpłynąłem jakieś sto jardów od brzegu. Morze roiło się od fosforyzujących glonów, które wirowały wokół moich rąk i nóg. Dałem nurka i przewróciłem się na plecy wpatrując się poprzez wodę w białe, zamazane plamki gwiazd. Jedwabisty dotyk morza chłodził i koił moje genitalia. Poczulem się bezpiecznie i normalnie, tu znajdowałem się poza *jego* zasięgiem, poza *ich* zasięgiem.

Od dawna podejrzewałem, że opowieść o de Deukansie i jego galerii automatów zawiera jakiś ukryty sens. Zamierzeniem Conchisa było zrobienie z Bourani takiej właśnie galerii, w której żywi ludzie odgrywaliby rolę powolnych mu marionetek... miałem tego zupełnie dosyć. Duże wrażenie wywarł na mnie zdrowy rozsądek June. Było jasne, że jestem tu jedynym mężczyzną, któremu mogą ufać, i niezależnie od wszystkiego potrzebna im moja pomoc i moje silne ręce. Wiedziałem, że na nic się nie zda, jeśli wpadnę do domu i rozprawię się z Conchisem, dam mu tylko okazję do wygłoszenia następnych kłamstw. Należało go potraktować jak zwierzę w norze, zwabić, by wyszedł, i dopiero wtedy schwytać w sidła.

Wolniutko płynąłem stojąc pionowo w głębokiej wodzie, patrząc nad cichym morzem w stronę ciemnego zbocza Bourani i stopniowo zacząłem się uspokajać. Ostatecznie ten cerber tylko splunął, a ja przecież go przedtem obraziłem. Miałem mnóstwo wad, ale nie należał do nich rasizm... a w każdym razie tak sobie wyobrażałem. Poza tym piłka spadła teraz na kort starszego pana, jakkolwiek by zareagował, czegoś się o nim dowiemy. Trzeba tylko poczekać i okaże się, w jakim stopniu wpłynie to na scenariusz następnego dnia. I znów pojawiło się to znane mi już podniecenie, niech się dzieje, co chce, nie straszny mi nawet czarny Minotaur, byle coś się działo, byłem dotarł do środka labiryntu i zdobył upragnioną nagrodę.

Wyszedłem na brzeg i wytarłem się koszulą. Potem naciągnąłem na siebie resztę ubrania i wróciłem do willi. Panowała w niej cisza. Bynajmniej nie ukrywając się stanąłem pod drzwiami sypialni Conchisa i zacząłem nadśłuchiwać. Nie usłyszałem nawet najbliższego szmeru.

Obudziłem się bardziej jeszcze wypluty niż zwykle, normalna reakcja na grecki upał. Zbliżała się dziesiąta. Wsadziłem głowę pod strumień zimnej wody, naciągnąłem na siebie ubranie i zszedłem pod arkady. Zajrzałem pod gazę zakrywającą stół, stało tam moje śniadanie i spirytusowa maszynka do podgrzania mosiężnego *vriki* z kawą. Chwilę czekałem, ale nikt się nie pojawił. W całym domu panowała cisza, jakby był zupełnie pusty, i to mnie zdziwiło. Byłem pewien, że pojawi się Conchis i nastąpi kolejna odsłona dramatu — a tu pusta scena. Usiadłem i zjadłem śniadanie.

Potem udając usłużność odniosłem naczynia do chaty Marii, ale zastałem zamknięte drzwi. Pierwsza porażka. Poszedłem na górę i zapukałem do drzwi Conchisa, a potem nacisnąłem kłamkę — następna porażka. Przeszukałem półki z książkami w sali muzycznej pragnąc znaleźć psychiatryczne artykuły Conchisa, ale nie znalazłem. Nagle przeraziłem się, że z powodu tego, co zaszło w nocy, Conchis odwołał spektakl. Że wszyscy znikli i nigdy już nie wrócą.

Udałem się pod posąg, obszedłem wokoło całą posiadłość jak człowiek, który szuka zgubionego klucza, i znów, po niespełna godzinie, wróciłem do domu. Dom był nadal pusty. Zupełnie straciłem głowę, nie wiedziałem, co robić. Może pójść do wsi i zawiadomić policję? Na koniec zszedłem na przystań. Łodzi nie było. Wypłynąłem z zatoczki za wschodni cypel. Tu prosto z morza wznosiły się najwyższe, pewnie stustopowe ściany skalne, a wokół nich pełno było głazów i kamieni. Ściany o pół mili na wschód opadały wklęsłym łukiem, wciąż jednak sterczały na tyle wysoko, że z morza nie można było dojrzeć brzegu, na którym stały trzy chaty. Przeszukałem każdy jard skał: nie dało się z nich zejść, nie znalazłem żadnego miejsca, do którego mogłaby przybić łódka. A przecież to w tę stronę zmierzały obie siostry, gdy mówiły „muszę wracać”. W miejscu, gdzie kończył się piniowy las, rosły już tylko niskie zarośla, w których na pewno nikt nie mógłby się ukryć. Istniała jedna możliwość. Siostry szły do końca skalnym zboczem i dopiero potem, koło chat, zawracały w głąb łądu.

Wypłynąłem jeszcze dalej w morze, ale chłodny prąd zmusił mnie do powrotu. Nareszcie! Pod lasem, na szczycie skały stała dziewczyna w bladuróżowej letniej sukience, o jakieś sto jardów na wschód od punktu, w którym się znajdowałem; stała w cieniu, ale wydawało się, że bije od niej blask, tak bardzo rzucała się w oczy. Skinęła mi ręką i odpowiedziałem jej. Przeszła parę jardów na tle zielonej ściany drzew i słońce przedzierając się przez gałęzie pini pstryło złotymi cekinami różowość sukni, i nagle, ku memu największemu zdumieniu, zobaczyłem drugą różową plamę, drugą dziewczynę. Stały niedaleko siebie wyglądając zupełnie identycznie i ta, która była

bliżej, ruchem ręki wezwała mnie do powrotu na ląd. Potem obie odwróciły się i znikły, jakby miały zamiar wyjść mi na spotkanie.

W pięć, może sześć minut później, włożywszy koszulę na mokre kąpielówki dotarłem zdyszany na drugi brzeg parowu. Ale polanka z posągami świeciła pustką i na chwilę ogarnął mnie podejrzliwy gniew, że znów się ze mną droczą, że mi się je pokazuje tylko po to, aby po chwili znów odebrać. Poszedłem w stronę nadmorskich skał, mijając po drodze drzewo chlebowe. Przez pinie prześwitywało błękitne morze. Nagle zobaczyłem dwie sylwetki. Dziewczyny siedziały w cieniu na małym pagórku. Zwolniłem kroku. Dwie identyczne prościutkie sukienki z krótkimi bufiastymi rękawami, głęboko wycięte w ząbki. Obie dziewczyny miały na sobie szarobłękitne pończochy i popielate pantofelki. Emanowała z nich kobiecość, były śliczne: dwie co najwyżej dziewiętnastoletnie dziewczyny w odświętnych niedzielnych szatkach... wydawały mi się zbyt wystrojone, wyglądały zbyt po miejsku, w dodatku dość dziwaczne wrażenie robił stojący obok June koszyk z sitowia, zupełnie jakby ciągle jeszcze były studentkami w Cambridge.

Kiedy byłem już blisko, June wstała i wyszła mi na spotkanie. Miała tak samo jak siostra rozpuszczone włosy, złocistą skórę, była nawet bardziej opalona, niż mogłem to w nocy dojrzeć, jej twarz z bliska różniła się nieco od twarzy Julie, malowała się na niej szelmowska urwisowość. Julie przyglądała się bacznie naszemu spotkaniu. Siedziała bez uśmiechu, zachowując pewną rezerwę. June uśmiechnęła się.

— Poinformowałam ją, iż jest ci wszystko jedno, z którą z nas się dziś rano zobaczysz.

— Jak miło!

Wzięła mnie za rękę i zaprowadziła pod pagórek.

— Oto twój rycerz w lśniącej zbroi.

Julie spojrzała na mnie chłodno: — Hallo.

Jej siostra oświadczyła: — Ona wie o wszystkim.

Julie obrzuciła ją groźnym wzrokiem: — Wiem także, czyja to była wina.

Ale wstała i podeszła do nas. Z jej oczu zniknął wyrzut, pojawił się niepokój.

— Czy nie miałeś kłopotów z powrotem?

Opowiedziałem im, jak zostałem opluty. Siostry przestały się przekomarzać. Wpatrzyły się we mnie dwie pary zatroskanych szarobłękitnych oczu. Potem spojrzały

na siebie, jakby moja opowieść stanowiła potwierdzenie ich podejrzeń. Julie odezwała się pierwsza:

— Czy widziałeś dziś Maurice'a?

— Nie.

Znów wymieniły spojrzenia.

— My też nie — oświadczyła June.

— W całej posiadłości nie ma żywego ducha. Szukałem was po wszystkich kątach.

June spojrzała na drzewa: — Tak się może wydawać. Ale założę się, że tak nie jest.

— Co to za cholerny Murzyn?

— Maurice nazywa go swoim lokajem. Kiedy ciebie tu nie ma, podaje do stołu. I ma się nami zajmować, kiedy siedzimy w kryjówce. Ale na sam jego widok przechodzą nas ciarki.

— Czy jest naprawdę niemy?

— Kto to może wiedzieć. Podejrzewamy, że nie. Siedzi i patrzy z taką miną, jakby miał wiele do powiedzenia.

— Nigdy nie próbował...?

Julie pokręciła przecząco głową.

— Wydaje się nie zauważać, że jesteśmy kobietami.

— Musi być także ślepy.

Julie wykrzywiła się lekko. — Byłoby to wręcz obraźliwe, gdyby nie sprawiało nam takiej ulgi.

— Starszy pan wie już na pewno, co stało się wczoraj w nocy.

— Właśnie się nad tym zastanawialiśmy.

A June dorzuciła: — Zagadka psa, który nie zaszczekał nocą.

Spojrzałem na nią: — Sądziłem, że my dwoje nie mieliśmy się nigdy spotkać.

— Owszem, mieliśmy. Dziś. Bo Maurice chciał, żebym potwierdziła jego historyjkę.

— Po moim następnym występie w roli słynnej schizofreniczki.

— Ale on przecież musiał...

— Tego właśnie nią rozumiemy. Kłopot w tym, że nie opowiedział nam treści następnego rozdziału. Kim mamy zostać, kiedy ty przestaniesz wierzyć w tę historię o schizofrenii.

I June oświadczyła: — Więc postanowiłyśmy być sobą. I czekać co z tego wyniknie.

— Musicie mi wreszcie opowiedzieć wszystko, co wiecie.

Julie spojrzała ostro na siostrę. June udała zdziwienie:

— Czyżbym przypadkiem była tu *de trop*?

— Możesz się jeszcze poopalać. Niewykluczone, że poprosimy cię, abyś nam towarzyszyła przy lunchu.

June dygnęła, poszła po swój koszyk i wracając podniosła ostrzegawczo palec:

— Chciałabym być przy tym, kiedy będzie mowa o mnie.

Uśmiechnąłem się i dopiero teraz zobaczyłem, że Julie spogląda na mnie dość chłodnym wzrokiem.

— Było ciemno. Zobaczyłem twoją suknię i...

— Jestem na nią wściekła. Już i tak wszystko jest dostatecznie skomplikowane, a tu jeszcze...

— Ona jest zupełnie inna niż ty...

— Zawsze starałyśmy się o to. — I dodała łagodniejszym już tonem: — W gruncie rzeczy bardzo się kochamy.

Wzięłem ją za rękę: — Ja wolę ciebie.

Ale ona, choć nie cofnęła ręki, nie pozwoliła się przytulić.

— Znalazłam na skałach miejsce, gdzie nikt nas nie zobaczy i będziemy mogli spokojnie pogadać.

Weszliśmy między drzewa idąc w kierunku wschodnim.

— Czy naprawdę się na mnie gniewasz?

— Miło ci było ją całować?

— Tylko dlatego, że myślałem, że to ty.

— Długo to trwało?

— Parę sekund.

Spróbowała wyszarpnąć mi rękę. — Kłamczuch!

Ale uśmiechnęła się ukradkiem. Poprowadziła mnie naokoło bryły skalnej, rosła tam samotna pinia, potem zbocze stromo opadało w stronę morza. Bryła tworzyła mur zasłaniający nas od strony lądu. W wątlym cieniu wygiętej wiatrami pinii leżał ciemnozielony koczyk, a na nim stał drugi koszyk. Rozejrzałem się i wzięłem Julię w ramiona. Tym razem pozwoliła mi na krótki pocałunek, ale po sekundzie odwróciła głowę.



— Tak chciałam przyjść wczoraj na spotkanie...

— Było mi strasznie przykro.

— Musiałam pozwolić jej spotkać się z tobą. — Westchnęła. — Ona i tak się skarży, że tylko ja mam zabawę.

— Nic nie szkodzi. Mamy przed sobą cały dzień.

Pocałowała mnie w ramię, a właściwie w wilgotną koszulę. — Musimy porozmawiać.

Zrzuciła te swoje pantofelki na płaskich obcasach i usiadła podwinąwszy nogi. Szarobłękitne pończochy sięgały tylko do kolan. Suknia była w gruncie rzeczy biała, ale gęsto zahaftowana różyczkami. Głębokie wycięcie pozwalało dojrzeć zaokrąglenie piersi. Strój ten nadawał Julie równocześnie niewinny i zmysłowy wygląd, robiła wrażenie uczennicy. Wiatr rozwiewał jej włosy tak jak wtedy, gdy na plaży odgrywała rolę Lily, ale nie w jej zachowaniu nie przypominało obecnie tamtej dziewczyny. Usiadłem obok niej, a ona odwróciła się i sięgnęła po koszyk. Materiał sukienki ciaśniej opiął jej piersi. Znów zwróciła się w moją stronę i nasz wzrok spotkał się, przez chwilę mogłem wpatrywać się w te piękne, lekko skośne, hiacyntowe oczy.

— Możesz zacząć mnie wypytywać.

— Co studiowałaś w Cambridge?

— Filologię klasyczną. — Zobaczyła moje zdumienie. — Mój ojciec był łacinnikiem. Miał ten sam zawód co ty. Był nauczycielem.

— Był?

— Zmarł podczas wojny. W Indiach.

— June także studiowała filologię?

Uśmiechnęła się: — Nie, to mnie przypadła rola ofiarnego jagnięcia. June była na wydziale języków obcych.

— Kiedy skończyłyście studia?

— Rok temu. — Chciała coś dodać, ale przerwała i postawiła między nami koszyk. — Przyniosłam, co się dało. Strasznie się boję, żeby nie zauważyli. — Rozejrzałem się, ale bryła skalna chroniła nas przed ludzkim wzrokiem. Tylko ktoś stojący na niej mógłby nas zobaczyć. Julie wyjęła książkę. Była to niewielka, mocno podniszczona książeczka, oprawiona w zielony marmurkowy papier i półskórek. Zajrzałem na tytułową stronę: *Quintus Horatius Flaccus. Parisis.*

— To Didot Ainé.

— Kto? — spojrzałem na datę wydania: 1800 rok.

— Słynny francuski drukarz.

Kazała mi spojrzeć na następną stronę. Widniała na niej wypisana kaligraficznym pismem dedykacja: *Naszej drogiej Pani Nauczycielce, Julie Holmes, „od idiotek” z IV b.* I poniżej około piętnastu podpisów: *Penny O'Brien, Susan Smith, Susan Mowbray, Jane Willings, Lea Gluckstein, Jean Ann Moffat...*

— Co to była za szkoła?

— Najpierw zobacz to.

Sześć, może siedem kopert. Trzy zaadresowane do Julie i June Holmes, z listami WPana Maurice Conchisa, Bourani, Phraxos, Grecja; na wszystkich były angielskie znaczki, na stemplach pocztowych widniały niedawne daty i nazwa hrabstwa Dorset.

— Przeczytaj jeden z tych listów.

Wyjąłem z koperty kartkę listowego papieru z nadrukiem: *Ansty Cottage, Cerne Abbas, Dorset.*

*Moje maleńkie, byłam potwornie zajęta tymi bzdurnymi przygotowaniami do kiermaszu, w dodatku pojawił się pan Arnold i chce możliwie najszybciej zabrać się do malowania. I wyobraźcie sobie, że zadzwonił Roger, jest w Bovington i zapowiedział się na weekend. Bardzo był rozczarowany, że jesteście za granicą, nic o tym nie wiedział. Znacznie wymilał, przestał być taki pompatyczny. I został kapitanem!! Zupełnie nie wiedziałam, co z nim robić, więc zaprosiłam na kolację Draytonównę z bratem i dosyć sobie przypadli do gustu. Billy zrobił się strasznie tłusty, stary Tom twierdzi, że to z braku ruchu, więc spytałam Draytonówny, czy nie miałyby ochoty na nim pojeździć, chyba nie macie nic przeciwko temu, bo...*

Zajrzałem na koniec listu. Zobaczyłem podpis: Mama. Spojrzałem na Julie, a ona się wykrzywiła. — Przepraszam.

— Podała mi następne trzy listy. Jeden był od koleżanki nauczycielki — dużo szkolnych nowin. Drugi od przyjaciółki imieniem Claire. Wreszcie trzeci, zaadresowany do June, pochodził z londyńskiego banku, który zawiadamiał, że 31 maja wpłynęło na jej konto sto funtów. Postarałem się zapamiętać adres: *Barclay's Bank, Englands Lane, London NW 3.* Nazwisko dyrektora brzmiało *P. J. Fearn.*

— I patrz.

Był to jej paszport. *J. N. Holmes.*

– N?

– Neilson. Panieńskie nazwisko mojej matki.

Przeczytałem znajdujące się obok fotografii dane: *Zawód: nauczycielka. Data urodzenia: 16 I 1929 r. Miejsce urodzenia: Winchester.*

– Twój ojciec uczył w Winchesterze?

– Tak. Greki i łaciny w starszych klasach.

*Miejsce zamieszkania: Anglia. Wzrost: pięć stóp osiem cdi. Kolor oczu: szare. Włosy: blond. Znaki szczególne: blizna na lewej rauce i bliźniacza siostra.* U dołu podpis, wyraźne, zbliżone do drukowanego pismo. Spojrzałem na strony przeznaczone na wizy. Dwa pobyty we Włoszech, jeden – poprzedniego lata – we Francji. Wiza wjazdowa do Grecji wydana w kwietniu, stempel straży granicznej z 2 maja, w Atenach. Żadnych śladów innych bytności w Grecji. 2 maja – zatem już wówczas rozpoczęły się przygotowania.

– W którym college'u byłaś?

– W Girton.

– To musiałaś znać tę starą pannę Wainwright. Panią doktor Wainwright.

– W Girton?

– Specjalistkę od Chaucera. – Julie spojrzała na mnie, spuściła oczy i znów podniosła je z uśmiechem: nie dała się nabrać. – Przepraszam cię. W porządku. Byłaś w Girton. A w jakiej szkole potem uczyłaś?

Wymieniła nazwę znanego gimnazjum dla dziewcząt w północnym Londynie.

– Niezbyt to wiarygodne.

– Dlaczego?

– Szkole tej brak *cachet*.

– Nie szukałam *cachet*. Chciałam być w Londynie. – Dotknęła swojej sukienki. – W domu nie przywykłam do takich luksusów!

– Dlaczego chciałaś być w Londynie?

– I June, i ja występowałyśmy w Cambridge w uniwersyteckim teatrze. Obie dostałyśmy pracę, ale...

– Co ona robiła?

– Pracowała w agencji reklamowej. Pisała teksty. Mnie się ten jej świat niezbyt podobał. Szczególnie mężczyźni.

– Przerwałem ci.

— Chciałam powiedzieć, że żadna z nas nie była swoją pracą zachwycona. Związałyśmy się z amatorskim zespołem teatralnym, Tavistock Rep. Mieli w Londynie malutką salkę teatralną w Canonbury.

— Słyszałem o tym zespole.

Oparłem się na łokciu. Za plecami Julie szafirowe morze rozplýwało się w lazurze nieba. Wietrzyk poruszał nad naszymi głowami gałęzie pinii i pieścił skórę jak ciepła fala. Byłem zachwycony odkrywając jej prawdziwe ja, pełne powagi i prostoty, bardziej jeszcze zachwycające od poprzednich wcieleń. Wydała mi się zwyczajna, łatwiej osiągalna.

— W listopadzie wystawili *Lizystratę*.

— Powiedz mi najpierw, czy lubiłaś uczyć?

— A ty lubisz?

— Nie. A przynajmniej nie lubiłem do chwili, kiedy poznałem ciebie.

— Cóż, powiedzmy, że uczenie mnie nie porywało. Ciągłe trzeba udawać, że się jest poważną osobistością.

Uśmiechnąłem się i skinąłem głową.

— Zatem *Lizystrata*?

— Myślałam, że coś o tym czytałeś. Nie? Pomysłowy reżyser, Tony Hill obsadził nas obie w tytułowej roli. Ja stałam na proscenium i wygłaszałam tekst, a June odgrywała pantomimę. Sporo się o tym pisało i wielu ludzi teatru przyszło to przedstawienie obejrzeć. Nie ze względu na nas. Ze względu na inscenizację.

Sięgnęła do swego koszyka i wyjęła paczkę papierosów. Zapaliłem oba papierosy, a ona ciągnęła dalej.

— Któregoś dnia, gdy spektakl miał już zejść z afisza, za kulisami pojawił się jakiś pan i oświadczył, że jest agentem teatralnym i przychodzi w imieniu producenta filmowego, który chciałby nas poznać — uśmiechnęła się widząc moje podniesione brwi. — No właśnie. I tak tajemniczo o tym mówił, że wyglądało zupełnie niedwuznacznie. Ale w dwa dni później otrzymałyśmy po ogromnym bukiecie i zaproszenie na lunch w Claridge'u. Zapraszający nazywał się...

— Nie musisz mówić.

Skinęła głową. — Po naradzie zdecydowałyśmy się pójść. Dla zabawy. — Zamilkła na chwilę. — I on nas olśnił. Byłyśmy tak pewne, że zobaczymy jakiegoś straszego typa pozującego na Hollywood. A tymczasem pojawił się on... robił wrażenie kogoś zupełnie szczerego. Był niewątpliwie milionerem, opowiedział nam, że

we wszystkich krajach Europy ma ulokowane kapitały. Dał nam swoją wizytówkę z adresem w Szwajcarii, ale zaznaczył, że najczęściej przebywa we Francji i w Grecji. Opisał nam, jak wygląda wyspa i Bourani. Szczegółowo i dokładnie. I na pozór wszystko się zgadzało.

— Nie mówił nic o swojej przeszłości?

— Spytałyśmy, skąd tak dobrze zna angielski. Powiedział, że za młodu chciał być lekarzem i odbył w Anglii studia medyczne — wzruszyła ramionami. — Świetnie wiem, że masę rzeczy opowiedział nam tylko dla zamydlenia oczu, ale złożywszy do kupy rozmaite cząstki łamigłówki pewna jestem, że dużą część młodości musiał spędzić w Anglii. Niewykluczone, że był w którejś z naszych szkół z internatem, z prawdziwym sarkazmem wygłosił kiedyś filipikę przeciwko ekskluzywnym szkołom angielskim, mówił prosto z serca. — Zgasła papierosa. — Jestem także pewna, że musiał być taki moment, kiedy zbuntował się przeciwko pieniądзом. I ojcu.

— Nigdy nie dowiedziałyście się...

— Wtedy, za pierwszym razem, zapytałyśmy nieśmiało. Dokładnie pamiętam, co powiedział. Że jego ojciec był głupi jak but. Milioner z umysłowością sklepikarza. Koniec, kropka. I nigdy nie dowiedziałyśmy się niczego bliższego. Raz wspomniał, że urodził się w Aleksandrii. Maurice, nie jego ojciec. Była tam bogata kolonia grecka.

— Zatem przeciwieństwo de Deukansa?

— Podejrzewam, że to mogło w którymś momencie kusić samego Maurice'a. Żeby w ten właśnie sposób zużyć odziedziczoną fortunę.

— Ja też tak to odczytałem. Ale przerwałem ci, gdy mówiłaś o Claridge'u.

— Całe jego zachowanie potwierdzało to, co nam powiedział. Bardzo starał się sprawiać wrażenie kulturalnego kosmopolity, a nie zwykłego milionera. Spytał, co studiowałyśmy w Cambridge, i to pozwoliło mu od razu wykazać się własną erudycją. Potem była mowa o współczesnym teatrze, widać było, że świetnie się na tym znał. Wiedział, co się dzieje w całej Europie. Powiedział, że finansuje eksperymentalny teatrzyk w Paryżu. — Zaczerpnęła głęboko oddech. — No tak. Dowiódł zatem, że jest człowiekiem aż do przesady kulturalnym, zaczęłyśmy się zastanawiać, po co nas właściwie zaprosił. Wreszcie June, jak to ona, spytała go prosto z mostu. I wtedy oświadczył, że jest głównym udziałowcem spółki filmowej w Libanie. — Otworzyła szeroko oczy. — I ni stąd, ni zowąd zaraz w następnym zdaniu zaproponował nam główne role w filmie, który zamierza latem nakręcić.

— Ale przecież musiałyście...

— O mały włos zaczęłybyśmy chichotać. Takie byłyśmy pewne, że naprawdę chodzi mu o coś zupełnie innego, o to, co podejrzewałyśmy na początku. Ale wtedy on wymienił warunki. Przy podpisaniu kontraktu każda z nas miała otrzymać tysiąc funtów zaliczki. Po ukończeniu zdjęć następny tysiąc. Plus sto funtów miesięcznie, jako zwrot kosztów. A jak się potem okazało żadnych kosztów nie ponosiłyśmy.

— Chryste Panie. I zobaczyliście chociaż grosik z tej forsy?

— Tak. Otrzymałyśmy zaliczkę. I pierwsze sto funtów. Widziałeś list... — Spuściła oczy, jakby bała się, że oskarżę ją o merkantylizm. — To jeden z głównych powodów, dla których tu tkwimy. Tyle forsy. A myśmy tak niewiele zrobiły, żeby ją zarobić.

— O czym miał być ten film?

— Zdjęcia miały być kręcone w Grecji, bo... Zaraz ci wytłumaczę — spojrzała na mnie niepewnym wzrokiem. — Nie uważaj nas za całkowite kretyнки. Wcale nie od razu się zgodziłyśmy. Tylko on to tak wspaniale rozegrał. Zachowywał się niemal po ojcowsku. Oświadczyłyśmy, że trudno nam się tak od razu zdecydować, że prosimy o bliższe informacje, musimy się poradzić naszego agenta, choć wtedy wcale nie miałyśmy jeszcze agenta...

— I co dalej?

— Odwiózł nas do domu wynajętym Rollsem i prosił, żebyśmy się zastanowiły. Mieszkałyśmy w Belsize Park na mansardzie. Jak dwa Kopciuszki. On był sprytny, wcale nie nalegał. Widziałyśmy go jeszcze dwa... nie, trzy razy. Zabrał nas do opery. Do teatru. Ale zawsze razem, nigdy nie próbował zobaczyć którejś z nas z osobna. Wiele rzeczy pomijam. Ale przecież wiesz, jak on się zachowuje, kiedy pragnie kogoś oczarować. Odnosi się wrażenie, że naprawdę wie, na czym polega sens życia.

— A co o tym myśleli wasi przyjaciele? I ten producent?

— Uważali, że powinnyśmy być bardzo ostrożne. Znalazłyśmy sobie agenta. Nigdy nie słyszał o Conchisie, ani o tej spółce filmowej z Bejrutu. Ale szybko sprawdził, że ona istnieje. Produkuje czysto komercyjne filmy dla krajów arabskich. Głównie dla Iraku i Egiptu. Tak jak mówił Maurice. Wytłumaczył nam, że chce zdobyć rynek europejski. I że nasz film ma być finansowany przez tę libańską spółkę tylko ze względu na podatki.

— Jak się ta spółka nazywała?

— Polymus Films. — Przeliterowała słowo Polymus. — Jest zarejestrowana w spisie producentów filmowych. Wedle informacji naszego agenta jest to instytucja

całkiem szacowna i przynosząca niemałe zyski. Agent obejrzał także proponowany nam kontrakt i uznał go za całkiem normalny.

— Czy agent nie mógł zostać przekupiony?

Westchnęła. — Zastanawialiśmy się nad tym. Ale po co właściwie Maurice miałby go przekupywać? Kiedy każdy mógł sprawdzić, że on naprawdę ma fortunę. Wielką fortunę. A pieniądze skłaniają do zaufania. Oczywiście, wiedzieliśmy, że narażamy się na pewne ryzyko. Pewnie gdyby chodziło tylko o jedną z nas, to... Ale skoro miałyśmy być razem. — Spojrzała na mnie pytająco: — No co, wierzysz mi?

— Czy nie powinienem?

— Wiem, że źle ci to wszystko tłumaczę.

— Przeciwnie. Świetnie.

Ale ona znów spojrzała na mnie, jakby nie była pewna mojej reakcji na tę ich straszną łatwowierność.

— Był jeszcze jeden powód. Grecja. Zawsze marzyłam, żeby tu przyjechać. To była ta prawdziwa przynęta. Maurice obiecywał nam, że będziemy miały dosyć czasu, żeby wszystko zwiedzić. I dotrzymał przyrzeczenia. Właściwie, poza pobytem na wyspie, były to po prostu długie cudowne wakacje. — Znów wyglądała na zakłopotaną, jakby wstydziła się, że są w stosunku do mnie aż tak uprzywilejowane. — On ma bajeczny jacht. Żyło się nam jak księżniczkom.

— A co na to wasza matka?

— Maurice sam się tym zajął. Kiedyś, kiedy przyjechała do nas do Londynu, uparł się, że musi ją poznać. I olśnił ją swoją uprzejmością. — Uśmiechnęła się ze skruchą: — No i fortuną.

— Czy ona wie, jak to teraz wygląda?

— Napisałyśmy jej, że ciągle jeszcze mamy próby. — Skrzywiła się. — Ona i tak martwi się zawsze na zapas.

— Co to miał być za film?

— Scenariusz był oparty na greckiej powieści niejakiego Theodorotisa, może o nim słyszałeś? *Trzy serca*? — Zaprzeczyłem ruchem głowy. — Powieść wyszła na początku lat dwudziestych. Nigdy nie była tłumaczona na angielski. Mówi o dwóch Angielkach, córkach brytyjskiego ambasadora w Atenach, które podczas pierwszej wojny światowej jadą na wakacje na jakąś grecką wysepkę i...

— Jedna z nich nie nazywa się przypadkiem Lily Montgomery?

— Nie. Ale poczekaj. Na tej wyspie spotykają greckiego poetę, który umiera na gruźlicę... i on się w nich kolejno zakochuje, one też się w nim zakochują, wszyscy są potwornie nieszczęśliwi i łatwo się można domyślić, jak się wszystko kończy. W streszczeniu brzmi to idiotycznie. A naprawdę cała ta historia nie jest pozbawiona pewnego wdzięku.

— Czytałaś tę książkę?

— Jakoś sobie z nią dałam radę. Jest zresztą krótka.

Spytałem po grecku: — *Xerete kala ta nea ellenika?*

Odpowiedziała mi także po grecku — mówiła dużo lepiej i płynniej niż ja — że uczyła się współczesnej greki, choć musi stwierdzić, że znajomość starogreckiego była jej dużo mniejszą pomocą, niż to sobie ludzie wyobrażają. Zasalutowałem czołobitnie.

— Zresztą już w Londynie czytałam scenariusz.

— Po angielsku?

— Maurice mówił, że ma zamiar zrobić film od razu w dwóch wersjach: angielskiej i greckiej. Za pomocą dubbingu. — Leciutko wzruszyła ramionami: — Wyglądało to zupełnie prawdopodobnie.

— Ale w jaki sposób...

— Poczekaj. Mam dowody.

Sięgnęła do koszyka i odwróciła się tak, że teraz każde z nas zwrócone było w innym kierunku. Wyjęła portfel, z portfela dwa wycinki. Na jednym zobaczyłem zdjęcie obu sióstr, stały roześmiane na londyńskiej ulicy w płaszczach i szydełkowych kapelusikach. Gazetę poznałem po druku, ale swoją drogą do wycinka przyklepiona była etykieta agencji, a na niej „Evening Standard”, 8 stycznia 1953. Pod zdjęciem widniał podpis:

*A w dodatku są to lebskie dziewczyny!*

*Szczęśliwe bliźniaczki, June i Julie (ta z prawej) Holmes, zagrają tego lata dwie główne role w filmie nakręcanym w Grecji. Bliźniaczki mają dyplomy Cambridge, występowały tam w uniwersyteckim teatrze, razem znają osiem języków. Ostrzega się kawalerów: żadna z nich nie zamierza chwilowo wychodzić za mąż.*

— Nie myśmy to napisały.

— Tego się potrafię domyślić.



Drugi wycinek był z „Cinema Trade News”. Mniej więcej to samo, tyle że po amerykańsku.

— A przy okazji. To jest moja matka. — Podała mi wyjęte z portfela migawkowe zdjęcie, na leżaku w ogrodzie leżała pulchna kobietka o puszystych włosach, obok niej spaniel. Zobaczyłem w portfelu drugą fotografię i zmusiłem Julie, żeby mi ją pokazała; było to zdjęcie mężczyzny w sportowej koszuli, miał inteligentną, znerwicowaną twarz. Wyglądał na jakieś trzydzieści lat.

— To jest...

— Tak. — I dorzuciła: — Był.

Zabrała mi fotografię. Jej twarz przybrała nieprzystępny wyraz, więc nie nalegałem. Zaczęła szybko mówić.

— Oczywiście, teraz zdajemy sobie sprawę, że była to znakomita przykrywka dla planów Maurice'a. Skoro miałyśmy grać córki angielskiego ambasadora z 1914 roku, to oczywiście musiałyśmy się nauczyć, jak się wówczas zachowywały młode damy... No i chodzić na przymiarki kostiumów. Wszystkie suknie Lily zostały uszyte w Londynie. W maju wyjechałyśmy. Maurice wyszedł nam na spotkanie w Atenach i oznajmił, że reszta ekipy filmowej przyjedzie dopiero za dwa tygodnie. Nie zdziwiło nas to, bo już przedtem o tym wspominał. Zabrał nas w rejs. Popłynęliśmy na Kretę i na Rodos. Na „Arethusie”. Tak się nazywa jego jacht.

— Ten jacht nigdy tu nie przy pływa?

— Zwykle stoi w przystani w Nauplii.

— W Atenach mieszkaliście u niego w domu?

— Chyba nie ma tam domu. W każdym razie tak twierdzi. Mieszkaliśmy w hotelu „Grande Bretagne”.

— Nie ma w Atenach biura?

— Nie. — Skrzywiła się, był to grymas samooskarżenia. — Ale wiedziałyśmy przecież, że w Grecji będą nakręcane tylko plenery. A reszta w atelier w Bejrucie. Pokazał nam plany dekoracji. — Zawahała się.. — Widzisz, Nicholas, był to dla nas zupełnie nowy świat. Nie miałyśmy żadnych filmowych doświadczeń. I byłyśmy okropnie podekscytowane. A Maurice przedstawił nam greckiego aktora, który miał grać rolę poety. I reżysera. Także Greka. Zjedliśmy razem obiad... obaj nam się bardzo spodobali. Cały czas rozmawialiśmy o filmie.

— Nie dowiadywałyście się, co to za ludzie?

— W Atenach byliśmy zaledwie parę dni. I zaraz wyruszyliśmy z Maurice'em w rejs. Obaj panowie mieli przyjechać prosto na wyspę.

— I nie przyjechali?

— Nigdy już ich nie widziałyśmy. — Wyciągnęła nitkę z obróbka sukienki. — Szczerze mówiąc trochę nas zdziwił brak wszelkiej reklamy, ale oni mieli świetną wymówkę. Podobno w Grecji, kiedy tylko rozejdzie się pogłoska o kręceniu filmu, zaraz zgłaszają się setki statystów.

Przypadkowo wiedziałem, że to prawda. Przed trzema miesiącami jakaś grecka ekipa filmowa bawiła na Hydrze. I ze szkoły uciekło dwóch woźnych mając nadzieję, że zostaną tam zaangażowani. Przez parę dni nie mówiło się o niczym innym. Nie opowiedziałem tego Julie, ale uśmiechnąłem się znacząco.

— No i przyjechałyście tutaj.

— Po cudownym rejsie. I zaczęło się to szaleństwo. W niespełna czterdzieści osiem godzin po naszym zainstalowaniu się na wyspie. Obie zauważyłyśmy, że Maurice jakby się zmienił. Podczas rejsu bardzo się z nim zbliżyłyśmy... myślę, że do tej pory same nie wiedziałyśmy, jak bardzo brak nam ojca. Oczywiście nie mógł nam zastąpić ojca, ale było trochę tak, jakbyśmy znalazły wymarzonego wujaszka. Spędziłyśmy z nim tyle czasu sam na sam, czułyśmy, że możemy mu ufać. Wieczory na jachcie były zupełnie wspaniałe. Nie kończące się dyskusje. O życiu, miłości, literaturze, teatrze... o wszystkim. Tylko kiedy usiłowałyśmy dowiedzieć się czegoś o jego przeszłości, to jakby zapadała kurtyna. Wiesz, jak to jest. Z pewnych rzeczy człowiek zdaje sobie sprawę dopiero dużo, dużo później. Jakby to powiedzieć... na jachcie wszystko odbywało się maksymalnie kulturalnie. I nagle tutaj było tak, jakbyśmy stały się własnością Maurice'a. Jakbyśmy przestały być jego gośćmi.

Znów poszukała mego wzroku, jakby bała się, że mam jej za złe sympatię do starszego pana. Oparła się na łokciu i spuściła głos. Od czasu do czasu odsuwała z twarzy rozwiane wiatrem włosy.

— Znam to uczucie.

— Pierwszą rzeczą, która nas zaniepokoiła, było... Chciałyśmy pójść i obejrzeć wieś. Ale Maurice nie pozwolił. Oświadczył, że chce nakręcić ten film w możliwie dyskretny sposób. Wyglądało to już nazbyt dyskretnie. Nigdzie śladu reflektorów, akumulatorów, tego całego filmowego rynsztunku. Śladu ekipy technicznej. I uczucie, że Maurice nas bez przerwy śledzi. Zaczął się jakoś dziwnie uśmiechać. Jakby wiedział coś, o czym my nie wiemy. I nie musiał już tego ukrywać. .

— Wiem, o czym mówisz.

— Naszego drugiego popołudnia tutaj June — bo ja zdrzemnęłam się — próbowała pójść na spacer. Podeszła do bramy i nagle na ścieżce pojawił się jakiś ogromny milczący Murzyn, którego nigdy przedtem nie widziałyśmy. Nie pozwolił jej pójść dalej i nie odpowiedział na jej pytania. Potwornie się przelęła. Zaraz wróciła i obie zaatakowałyśmy Maurice'a. — Przez chwilę Julie patrzyła mi w oczy. — I wtedy powiedział nam. — Wbiła wzrok w kocyk. — Nie od razu. Widział, że jesteśmy wstrząśnięte. I zaczął nas przepytować niczym z katechizmu. Czy kiedykolwiek zachował się w nieodpowiedni sposób, czy nie wypełnił wszystkich finansowych zobowiązań wynikających z kontraktu, czy nasze stosunki podczas rejsu nie były... i tak dalej, sam wiesz. I potem dopiero wyskoczył z prawdą. Tak, jeśli chodzi o film, to wprowadził nas w błąd, choć też nie całkiem. Potrzebna mu była współpraca dwóch zdolnych i wyjątkowo inteligentnych — cytuję jego słowa — młodych aktorek. Musimy go wysłuchać. Przysięga, że jeżeli nas nie przekona, to...

— To odeśle was do domu.

Skinęła głową. — I popełniłyśmy ten błąd, że zaczęłyśmy słuchać. Mówił przez wiele godzin. W skrócie brzmiałoby to tak, że choć jego zainteresowanie teatrem jest jak najbardziej prawdziwe, a ta filmowa spółka w Libanie naprawdę do niego należy, to jego prawdziwą pasją, czego nam dotąd nie mówił, jest medycyna. A właściwie psychiatria. Wspomniał nawet, że studiował u Junga.

— Mnie też tym poczęstował.

— Niewiele wiem o Jungu. A ty?

— Mnie przekonał.

— Nas w końcu też. I niejako wbrew naszej woli. Mówił, że potrzebuje naszej pomocy, żeby przekroczyć granicę dzielącą nas od innego świata, świata nauki i sztuki. Że chodzi o zupełnie wyjątkowe i psychologiczne, i filozoficzne doświadczenie. O niezwykłą podróż w ludzką podświadomość. Cytuję jego zdania. Oczywiście chcieliśmy wiedzieć, co kryje się za tymi pięknymi słówkami, to znaczy, co konkretnie mamy robić. Wtedy po raz pierwszy wspomniał o tobie. Że chce stworzyć sytuację, w której my dwie zagramy role dość podobne do tych w *Trzech sercach*. A ty, nie zdając sobie z tego sprawy, zagrasz rolę greckiego poety.

— Na Boga Ojca, przecież musiałyście...

Przekrzywiła głowę szukając słów: — Nicholas, odebrało nam ze zdumienia mowę. Ale równocześnie... jakby to powiedzieć... czułyśmy się tak, jakbyśmy tego

właśnie oczekiwały. Bo wiesz, ludzie teatru poza sceną są zwykle dość niemądry i powierzchowni. A Maurice... June w którymś momencie wykrzyknęła, że czuje się znieważona. Jak on śmie sądzić, że bogactwo pozwoli mu kupować ludzi. Wtedy, jedyny raz, widziałam, że coś go poruszyło, że poczuł się zraniony. Wygłosił dłuższe przemówienie i jestem pewna, że mówił szczerze o tym, jak stale czuje się winny, że ma tyle pieniędzy. Że jego jedyną pasją jest wiedzieć i rozumieć, że marzy o tym, żeby rozszerzyć granice ludzkiego poznania... Udowodnić pewne teoretyczne założenie. Że to nie jest kaprys ani samolubstwo... Był naprawdę przekonywający. Wierzyło się w to, co mówił. Nawet June w końcu umilkła.

— Nie spytałyście o jaką teorię chodzi?

— Pytałyśmy nie raz. Ale on stale odpowiadał to samo. Że nasza wiedza zakłóciłaby przebieg eksperymentu. Znów powtarzam dosłownie. I przytoczył mnóstwo analogicznych przypadków. Mówił, że w pewnym sensie będzie to przeniesienie w inny wymiar metody Stanisławskiego. Improvizacja rzeczywistości, bardziej realnej niż rzeczywistość. Miałeś być kimś, kto idzie za tajemniczym głosem, kilkoma głosami, przez las alternatywnych możliwości — które same nie wiedzą... bo to my nimi jesteśmy... na czym polega alternatywa. I następna paralela: przedstawienie bez udziału autora i bez widzów. Sami aktorzy.

— A... czy na końcu mieliśmy się dowiedzieć, o co chodziło?

— Tak, to nam obiecał.

— Ja też?

— On chyba umiera z ciekawości, co ty naprawdę czujesz i myślisz. Przecież to ty jesteś ośrodkiem całej historii. Królikiem doświadczalnym numer jeden.

— Zatem przekonał was?

— Omawiałyśmy to przez całą noc. Chwilami byłyśmy już gotowe na wszystko, potem zmieniałyśmy zdanie. Wreszcie June wpadła na pomysł, żeby wystawić go na próbę. Rano oznajmiłyśmy, że chcemy jak najprędzej wracać do domu. Przekonywał nas i przekonywał, ale byłyśmy nieugięte. Wreszcie powiedział: w porządku, sprowadzi z Nauplii jacht i odstawi nas do Aten. Ale nie zgodziłyśmy się. Chcemy wyjechać natychmiast. Możemy przecież wsiąść na parowiec do Aten.

— I on was puścił?

— Spakowałyśmy się, a on zabrał nas razem z bagażem na motorówkę i popłynęliśmy wokół wyspy. Nie powiedział już ani słowa, milczał jak głaz. Strasznie

mi było żal tego słońca, tego krajobrazu. Nie chciało mi się nawet myśleć o tym ponurym Londyniszczu. Byliśmy już o sto jardów od parowca. Spojrzałam na June...

— I ugryzłyście jabłko. — Skinęła głową.

— Czy odwożąc was zażądał zwrotu pieniędzy?

— Nie. To też przemawiało na jego korzyść, kiedy usłyszał, że zostajemy, ucieszył się jak dziecko. I wcale nam nie wziął za złe, że urządziłyśmy tę całą hecę. — Westchnęła. — Powiedział, że to był dowód słuszności jego wyboru.

Przez cały czas czekałem na wzmiankę o przeszłości, wiedziałem przecież, że Conchis co najmniej trzecie lato poświęcał udowadnianiu tej swojej ukochanej teorii. Ale trzymałem język za zębami. Julie musiała wyczuć mój sceptycyzm.

— Ta wczorajsza opowieść. O Seidevarre. Wydaje mi się, że tkwi w niej klucz do zagadki. Chodzi o miejsce tajemnicy w życiu. Żeby niczego nie uważać za oczywiste. Świat, w którym nic nie jest pewne. I chyba taki właśnie świat próbuje tutaj stworzyć.

— Obsadziwszy siebie w roli Boga.

— Nie, z próżności. Z ciekawości intelektualnej. Jako coś w rodzaju hipotezy. Żeby obserwować nasze reakcje. I nie w roli jednego boga. Wielu bogów.

— Stale powtarza mi, że wszystkim rządzi przypadek. Ale nie można świadomie pretendować, że jest się bogiem w roli przypadku.

— On chyba chce, żebyśmy to właśnie zrozumieli. — Dorzuciła: — Czasem na ten temat żartuje. Odkąd ty się pojawiłeś, widujemy go znacznie rzadziej. Odsunął się. I mówi, że nie możemy oczekiwać, żeby Bóg pozwolił się wypytywać.

Przyglądałem się jej schylonej główce, zarysowi jej ciała i niemal słyszałem głos Conchisa, który odpowiada na moje wątpliwości w sprawie przypadku. „Dlaczego jesteś tu z tą dziewczyną?” Albo: „Czy ci nie wszystko jedno dlaczego, byleby tylko z nią być?”

— June mówiła, że on cię o mnie wypytuje.

Wzniosła oczy ku niebu. — I to jak! Zresztą nie tylko o ciebie. Także o to, co ja czuję. Czy ci wierzę... I o to, co według mnie myśli on sam. Nie możesz sobie wyobrazić!

— Przecież od razu musiałas spostrzec, że nie jestem aktorem.

— Wcale nie. Uznałam cię za genialnego aktora. Który cudownie udaje kogoś, kto nie umie grać. — Położyła się na brzuchu, zwrócona głową w moją stronę. — Szybko zorientowałyśmy się, że pierwsza rola była czymś w rodzaju atrapy. Według scenariusza miałyśmy cię zwodzić. Ale oszukując ciebie oszukiwałyśmy się same.

— Według scenariusza?

— Nazywałyśmy to żartobliwie scenariuszem. W gruncie rzeczy Maurice mówi nam tylko, kiedy mamy się pojawić, a kiedy zniknąć. I o jaką atmosferę mu chodzi. Czasem podsuwa jakąś kwestię.

— Taką jak ta teologiczna rozprawa wczoraj wieczór?

— Tak. Prosił, żebym ją wygłosiła. — Spojrzała na mnie przepaszająco: — Ja zresztą sama na wpół w to wierzę.

— Ale zwykle improwowałaś?

— On cały czas powtarza, że nic nie szkodzi, jeśli coś odbiega od pierwotnego planu; że chodzi tylko o zachowanie głównej linii. To wszystko ma coś wspólnego z tym, jaką rolę człowiek sobie narzuca. Z tym jak zachowuje się w sytuacji, której nie rozumie. Mówiłam ci już. On powiada, że to ważne.

— Jedno jest pewne. On chce wywołać w nas wrażenie, że sprzeciwia się naszemu zbliżeniu. Gromadzi przeszkody. A równocześnie umożliwia nam ich wyminięcie.

— Na początku nie było mowy o tym, że masz się we mnie zakochać, co najwyżej w jakiś taki powieściowy sposób *à la* rok 1915. Ale w następnym tygodniu namówił mnie, żebym zaczęła się zachowywać kompromisowo, trochę tak jak moje sztuczne ja z 1915 roku, a trochę tak jak ja prawdziwa z 1953. Zapytał mnie, co zrobię, jeśli zechcesz mnie pocałować. — Wzruszyła ramionami. — Cóż, na scenie całuje się mężczyzn. Więc wreszcie powiedziałam, że dobrze, jeśli to naprawdę niezbędne. Ale tej drugiej niedzieli nie byłam jeszcze tak całkiem zdecydowana. Dlatego się tak okropnie zachowałam.

— Wcale nie okropnie.

— Ta nasza pierwsza rozmowa. Miałam potworną treść. Znacznie gorszą niż kiedykolwiek w teatrze.

— Ale wreszcie zmusiłaś się, żeby pozwolić się pocałować.

— Bo uważałam, że powinnam. — Patrzyłem na jej wygięte plecy. Podniosła do góry jedną błękitną nogę i opierając brodę na rękę unikała mego wzroku. Powiedziała: — Myślę, że dla niego jest to czymś w rodzaju algebraicznego równania. Tyle że wszyscy występujemy jako  $x$  i może nas ustawić, gdzie mu się podoba. — Chwilę milczała. — Skłamałam. Chciałam, żebyś mnie pocałował.

— Mimo wrogiej propagandy?

— Och, ona zaczęła działać dopiero w niedzielę po południu. Choć prawdę mówiąc cały czas powtarzał, że nie powinnam „angażować się uczuciowo”.

Wpatrzyła się w koc. Przez chwilę nad naszymi głowami unosił się żółty motyl. Odleciał.

— Czy powiedział ci dlaczego?

— Tak. Ponieważ może się zdarzyć, że któregoś dnia będę musiała wzbudzić w tobie antypatię. — Spuściła oczy. — Bo ty będziesz musiał zainteresować się June. Patrz *Trzy serca*. Tamten poeta zmienił obiekt swych uczuć. Jedna siostra była niestała, a druga umiała to wykorzystać. — I dodała: — Bez przerwy dyskredytuje cię w naszych oczach. Zupełnie jakby przeproszał gończe psy, że dostarczył im tak lichego lisa. To idiotyzm. Szczególnie, że to ty wzięłaś na siebie rolę polującego. — Podniosła wzrok. — Czy pamiętasz tę kwestię, którą wygłosiłam jako Lily, że nie umiesz pisać wierszy? I że brak ci poczucia humoru. Jestem przekonana, że chodziło mu nie tylko o ciebie, ale i o mnie.

— Ale dlaczego miały nas ku sobie popychać?

Przez chwilę nic nie mówiła. — Nie sądzę, żeby chodziło mu o romansidło *Trzy serca*. Ale niewykluczone, że za wzór służy mu dużo słynniejszy utwór literacki. — Chwilę milczała, jakby chcąc mi zostawić czas na odgadnięcie, potem szepnęła: — Wczoraj po południu, po tym moim ataku schizofrenii... Jaki to słynny czarodziej wysłał kiedyś młodzieńca do lasu, by rąbał drzewo?

— Tak, to mi umknęło. Prospero i Ferdynand.

— Recytowałam ci przecież fragment z *Burzy*.

— On też wspomniał o niej podczas mojej pierwszej tu wizyty. Zanim jeszcze dowiedziałem się, że istniejesz. — Zauważyłem, że Julie unika mego wzroku. Nietrudno było zgadnąć czemu, zważywszy na zakończenie *Burzy*. Szepnąłem: — On nie mógł wiedzieć, że my...

— Wiem. Ale jest trochę tak... — pokręciła głową — ...jakbym była jego własnością, którą rozporządza. — I dorzuciła: — Ty nie.

— Za to jedno jest pewne: ma na usługach Kalibana.

— Tak, wiem. — Julie westchnęła.

— To mi coś przypomniało. Gdzie jest ta wasza kryjówka?

— Nicholas, nie mogę ci jej pokazać. Bo jeśli ktoś nas obserwuje, zobaczy to.

— Czyli jest gdzieś blisko?

— Tak.

— Chyba możesz mi przynajmniej powiedzieć gdzie. — Wyglądała na zakłopotaną, znów unikała mego wzroku. — A jeśli się wam coś stanie?

Uśmiechnęła się. — Gdyby był nam przeznaczony los gorszy od śmierci, to sądzę, że już by nas spotkał.

— Ale dlaczego nie chcesz mi powiedzieć? Obiecałaś.

— I dalej obiecuję. Ale nie teraz. Proszę cię. — Wyczuła w moim tonie zniecierpliwienie i sięgnęła po moją dłoń. — Przepraszam... Ale w ciągu tej ostatniej godziny nie dotrzymałam już tylu złożonych Maurice'owi przyrzeczeń, że chyba powinnam dotrzymać przynajmniej tego jednego.

— Czy to jest akurat takie ważne?

— Nie. Ale on stale powtarza, że chce cię tym któregoś dnia zaskoczyć. Nie wiem jak.

Dało mi to do myślenia, ale równocześnie uprawdopodobniło jej opowieść. Chwilę milczałem, wystawiając ją na próbę, kłamcy jak wiadomo nie wytrzymują milczenia. Ale ona wcale tego mego milczenia nie zauważyła.

— Czy rozmawiałaś z innymi „aktorami”?

— Nigdy nie miałyśmy okazji porozmawiać z nimi. Widujemy Marię, ale z nią to beznadziejna sprawa. Nic z niej nie można wydobyć tak samo jak z Joego.

— A załoga na jachcie?

— To zwykli Grecy. Nie sądzę, żeby wiedzieli, co się tu dzieje. — I nagle coś sobie przypomniała. — Czy June powiedziała ci, że naszym zdaniem w twojej szkole ktoś cię szpieguje?

— Kto?

— Maurice wspomniał kiedyś, że traktujesz innych nauczycieli z góry. Że cię nie lubią.

Od razu przyszedł mi na myśl Demetriades. Powinno mi się już dawno wydać dziwne, że taki plotkarz jak on nic nikomu nie opowiedział o moich wyprawach na Bourani. I prawdą było, że trzymałem się z dala od innych nauczycieli. Demetriades był jedynym, z którym widywałem się poza pokojem nauczycielskim. Z ulgą przypomniałem sobie, że ukryłem przed nim spotkanie z Alison, nie z podejrzliwości, zwyczajnie po to, by uniknąć jego sprośnych żarcików.

— Zgaduję, kto to może być.

— Tego właśnie nie mogę znieść u Maurice'a. Że ciągle szpieguje. Na jachcie ma kamerę filmową z teleobiektywem. Twierdzi, że to po to, by filmować ptaki.



— Jeśli kiedyś przyłapię tego starego drania na...

— Nigdy tej kamery nie widziałam na wyspie. Może to jeszcze jedna z tych pięćdziesięciu siedmiu fałszywych poszlak.

Bacznie się Julie przyglądałem. Czuję, że coś ją niepokoi, że jest niezdecydowana, że chciałaby przymilając się wydobyć ze mnie coś, co nie ma żadnego związku z naszą rozmową. Przypomniałem sobie, co poprzedniego wieczoru mówiła o niej siostra i zaryzykowałem:

— Czy mimo wszystko chcesz w to brnąć dalej?

Potrząsnęła głową. — Sama nie wiem, Nicholas. Dziś, w danej minucie, tak. A jutro może już nie. Nigdy przedtem nie zdarzyło mi się coś podobnego. Może po prostu boję się, że jeśli teraz stąd wyjedziemy, nic takiego się już nigdy nie zdarzy. Rozumiesz mnie? Nie czujesz tego?

Patrzyła mi w oczy i pomyślałem sobie, że moment jest odpowiedni. Podałem ją ostatecznej próbie.

— Nie. Bo wiem, że zdarzyło się to już co najmniej dwukrotnie.

To ją zaskoczyło, było widać, że nic nie rozumie. Spojrzała na mój uśmiezek, wciągnęła brzuch i przysiadła na piętach.

— Chcesz powiedzieć, że ty... że ty nie jesteś tu po raz pierwszy?

Była najwyraźniej zbита z tropu. Wyglądała na skrzywdzone dziecko i patrzyła na mnie oskarżającym wzrokiem.

— Nie ja. Moich dwóch poprzedników.

Dalej nic nie rozumiała: — Opowiedzieli ci, że to przeżywali? Więc od początku wiedziałeś?

— Nie. Wiedziałem tylko, że zeszłego roku zdarzyło się tu coś dziwnego. A także dwa lata temu. — Wyjaśniłem jej, jak to odkryłem, to znaczy odkryłem niewiele, ale potwierdził to sam starszy pan. Znów bacznie śledziłem jej reakcję. — Powiedział mi, że obie byłyście tu już przedtem. I spotkałyście moich poprzedników.

Spojrzała na mnie z oburzeniem: — Ależ nasza noga nigdy tu nie...

— Wiem.

Usiadła do mnie bokiem patrząc na morze. — On jest naprawdę niemożliwy. — Znów spojrzała mi w oczy. — A zatem ty cały czas sądziłeś, że my...

— Niezupełnie. Od razu wiedziałem, że przynajmniej na jeden temat minie okłamał. — Opisałem jej Mitforda i powtórzyłem opowieść starszego pana o jej

rzekomym zainteresowaniu tym strasznym facetem. Zaczęła mi zadawać pytania, chciała poznać wszystkie szczegóły.

— I nie wiesz, co im się tu przydarzyło?

— Nikomu w szkole nie opowiedzieli. Mitford zrobił tylko tę jedną aluzję. Napisałem do niego. Nie otrzymałem jeszcze odpowiedzi.

Po raz ostatni poszukała mego wzroku i szybko spuściła oczy. — To chyba dowód, że nic się nam strasznego nie stanie.

— Stale to sobie powtarzam.

— Co za niezwykła historia.

— Nic mu nie mów, że ci powiedziałem.

— Nie, oczywiście. — Po chwili uśmiechnęła się. — Czy sądzisz, że on ma całą kolekcję bliźniaczek?

— Takich jak wy nawet on z pewnością nie ma!

— Co według ciebie powinniśmy zrobić?

— Kiedy on ma wrócić? Czy też udać, że wraca?

— Dziś wieczorem. Przynajmniej tak nam wczoraj zapowiedział.

— Może to być interesujące spotkanie.

— Gotowam dostać wymówienie za brak kompetencji.

— Ja już mam dla ciebie inne zajęcie.

Chwila ciszy i, znów spojrzała mi w oczy. Wyciągnąłem rękę, a ona nie cofnęła swojej. Przyciągnąłem ją do siebie, a po chwili oboje leżeliśmy na ziemi. Zacząłem wodzić palcem po jej twarzy... oczy, które przymknęła, nos, kontur ust. Ucałowała mój palec. Przyciągnąłem ją jeszcze bliżej i pocałowałem w usta. Odpowiedziała mi pocałunkiem, ale czułem, że się ma jeszcze na baczności, niby to się zgadzała, ale równocześnie stawiała opór. Odsunęliśmy się od siebie, przyglądałem się z bliska jej buzi. Wydawało mi się, że jest to twarz, która mi się nigdy nie sprzykrzy, twarz wyzwalająca potrzebę opiekuńczości, niewyczerpane źródło pożądania; nie mogłem się dopatrzeć na niej żadnej skazy, ani zewnętrznej, ani wewnętrznej. Julie otworzyła oczy i obdarzyła mnie serdecznym, choć nadal powściągliwym uśmiechem. . — O czym myślisz?

— O tym, jaka jesteś piękna.

— Czy naprawdę nie widziałeś się w Atenach z tą twoją przyjaciółką?

— Byłabyś zazdrosna?

— Tak.

— Zatem nie widziałem się z nią.

— Założę się, że to nieprawda.

— Słowo daję. Nie udało jej się przylecieć.

— Czyli chciałeś się z nią zobaczyć?

— Bo lituję się nad zwierzętami. Chciałem jej powiedzieć, że nic z tego. Że sprzedałem duszę czarownicy.

— Jakiej to czarownicy?

Podniosłem jej rękę do ust, pocałowałem dłoń, potem bliznę.

— Skąd masz tę bliznę?

Przyjrzała się swemu nadgarstkowi. — Podczas zabawy w chowanego. Miałam wtedy dziesięć lat. — Skrzywiła się kpiąco. — Powinno mnie to być nauczyć rozumu. Schowałam się w szopie na narzędzia i strąciłam z kołka coś, co wyglądało na długi kij i wyciągnęłam rękę, żeby się zasłonić — zrobiła gest zasłaniania się. — A to była kosa.

— Moje biedactwo. — Jeszcze raz ucałowałem bliznę. Przytulilem Julie, po chwili jednak rozstałem się z jej ustami i zacząłem całować oczy, szyję, dekolt, całowałem obrąbek sukni tuż nad piersiami i znów poszukałem jej ust. Wpatrywaliśmy się sobie w oczy. W jej oczach widać było niepewność, ale po chwili coś w nich odtajało. Spuściła powieki i jej usta poszukały moich, tak jakby nagle łatwiej jej było mówić pocałunkami niż słowami. Ale kiedy pograżyliśmy się w sobie, kiedy istniały już dla nas tylko nasze połączone usta i przytulone ciała, wyrwał nas z transu dzwon. Monotonne, regularne bicie dzwonu jak na alarm. Usiedliśmy i rozejrzeliśmy się, jakbyśmy zostali schwytani na gorącym uczynku; wyglądało na to, że jesteśmy sami. Julie wzięła mnie za rękę, żeby spojrzeć na mój zegarek.

— To pewnie June. Pora na lunch.

Nachyliłem się i pocałowałem ją w czubek głowy. — Nie moglibyśmy tu zostać?

— To ona po nas przyjdzie. — Spojrzała na mnie z udaną surowością. — Na ogół mężczyźni uważają, że jest atrakcyjniejsza ode mnie.

— Co za idioci!

Dzwon umilkł. Siedzieliśmy obok siebie i Julie dalej trzymała mnie za rękaw. — Nie, może po prostu chcą tego, co łatwiej mogą uzyskać od niej niż ode mnie.

— To można uzyskać od każdej dziewczyny. — Julie wciąż przyglądała się mojej ręce, tak jakby był to jakiś nie związany ze mną przedmiot. — Czy uzyskał to od ciebie tamten mężczyzna?

— Chciałam mu to dać.

— Więc co się stało?

Pokręciła głową, jakby chcąc mi dać znać, że to skomplikowana historia. — Nie, Nicholas, nie jestem dziewicą. To nie o to chodzi.

— Boisz się, że znów zostaniesz skrzywdzona?

— Że znów ktoś mnie... wykorzysta.

— Jak on ciebie wykorzystał?

Dzwon znów zaczął bić. Julie uśmiechnęła się do mnie. — To długa opowieść. Innym razem.

Pocałowała mnie szybko, potem wstała i wzięła koszyk, a ja złożyłem koc i przewiesiłem go przez ramię. Ruszyliśmy w stronę domu. Ledwie weszliśmy między pinie, kiedy kącikiem oka zobaczyłem, że coś się rusza, o jakieś siedemdziesiąt, osiemdziesiąt jardów od nas dojrzałem jakąś czarną sylwetkę. Poznałem ruchy.

— Jesteśmy pod obserwacją. To ten Joe.

Nie zatrzymaliśmy się, tylko Julie się obejrzała. — Nic na to nie poradzimy. Możemy go najwyżej ignorować.

Ale trudno było całkowicie ignorować śledzące nas zza drzew oczy. Od tej chwili szliśmy sztywno, w pewnej od siebie odległości, zupełnie jak byśmy się czuli winni.

## 47

Kiedy zbliżaliśmy się dokolumnady, ze stopni podniosła się bosa dziewczyna w ceglastej koszuli.

— Miałam już ochotę zacząć bez was. Jestem strasznie głodna.

Koszula była rozpięta, dojrzałem pod nią granatowe bikini. Był to wówczas ostatni krzyk mody; prawdę mówiąc widywałem dotąd bikini tylko na zdjęciach w pismach ilustrowanych... i był to dla mnie szok... nagi brzuch, odsłonięty pępek, szczupłe nogi, brunatnozłocista skóra, rozbawione i badawcze oczy. Julie skrzywiła noskę na widok tej śródziemnomorskiej bogini, a ta się tylko szerzej uśmiechnęła. Kiedy szliśmy w stronę, stojącego w cieniu kolumnady stołu, przypomniałem sobie intrygę *Trzech serc*, ale szybko odepchnąłem tę myśl. June podeszła do rogu kolumnady i zawołała Marię. Potem zwróciła się w stronę siostry.

— Maria mówiła mi coś o jachcie. Ale dokładnie nie zrozumiałam.

Usiedliśmy i pojawiła się Maria. Powiedziała Julie — udało mi się wszystko zrozumieć — że o piątej przyplynie po dziewczęta jacht. I przyjdzie Hermes zabrać Marię na noc do wioski. Bo ona ma tam jutro pójść do dentysty. Dom zostanie zamknięty i „młody dżentelmen” musi wrócić do szkoły. Usłyszałem, że Julie pyta, dokąd ma je zabrać jacht. *Then xero, despoina*. Tego, panienko, nie wiem. Powtórzyła: — O piątej po południu — tak jakby tu tkwiło sedno przekazanej przez nią wiadomości, ukłoniła się i odeszła do swej chatki.

Julie przetłumaczyła June jej słowa.

Zapytałem: — Nie było tego w planie?

— Myślałam, że tu zostajemy. — Julie spojrzała na June, ta z kolei przyjrzała się mnie, a potem prosto z mostu spytała siostrę:

— Ufamy mu? I on nam?

— Tak.

June uśmiechnęła się. — Zatem witaj, Pip.

Spojrzałem na Julie szukając wytłumaczenia. — Mówiłeś przecież, że studiowałeś w Oksfordzie literaturę angielską — szepnęła Julie.

Znów zaistniał między nami cień podejrzliwości. — Miss Havisham znów udaje się na przejażdżkę!

— I Estella.

— Mówicie serio?

— To taki nasz żarcik.

Julie spojrzała na siostrę: — Twój.

June zwróciła się do mnie: — Próbowaliśmy wciągnąć doń Maurice'a. Ale bez powodzenia. — Oparła się łokciami o stół. — No, powiedz nam, czy doszedłeś do jakichś genialnych wniosków.

— Nicholas powiedział mi jedną niezwykłą rzecz.

I znów zdarzyła mi się okazja zaobserwowania reakcji, tym razem reakcji June; to już mnie ostatecznie przekonało. June była oburzona, wyraźnie nie bawił jej ten nowy dowód dwulicowości starszego pana. Kiedy znów kolejno omawialiśmy wypadki, odkryłem (mogłem zresztą wywnioskować to z ich imion), że June jest starszą z bliźniaczek. I tak się zresztą zachowywała. Traktowała opiekuńczo Julie, zrodziło się to pewnie z jej lepszej znajomości życia i mężczyzn. Do maskarady zakradł się cień rzeczywistości, jedna z siostr zupełnie normalna, druga mniej, a raczej jedna siostra pewna siebie i swoich praw, a druga nieśmiała i przewrażliwiona. Siedziałem

między nimi, twarzą do morza, rozglądając się za ukrytym obserwatorem, ale on, o ile rzeczywiście nas śledził, pozostawał dobrze ukryty. Teraz dziewczyny zaczęły mnie wypytywać o moją przeszłość i rodzinę.

Zatem rozmawialiśmy o Nicholasie: jego rodzinie, ambicjach, porażkach. Świadomie użyłem tu trzeciej osoby, ponieważ przedstawiłem im swój fikcyjny portret, odmalowałem się jako ofiara okoliczności, jako ktoś, kto przy pozorach atrakcyjnego łotrzyka jest w gruncie rzeczy niezwykle przyzwoitym człowiekiem. Tylko przelotnie wspomniałem o Alison. Obwinałem głównie przypadek, los; oczywiście pociągała mnie, ale przecież człowiek wie, że szuka czegoś więcej, zresztą naśladowując Julie dałem im do zrozumienia, że wolę o tym nie mówić. Sprawa była dawno skończona i wobec terażniejszości wydawała się czymś całkiem nieważnym.

Podczas tego długiego lunchu ogarniało mnie stopniowo dziwne uczucie; świetne jedzenie, *retsina*, nie kończące się debaty, roztrząsanie niezrozumiałych faktów, pytania zadawane mi przez dziewczęta, ich obecność, tej ubranej i tej niemal nagiej, coraz silniejsze poczucie bliskości, kiedy tak zasypywały mnie wspomnieniami o ojcu i o swoim dzieciństwie w cieniu ekskluzywnej szkoły dla chłopców z internatem, prześcigały się w opowiadaniu historyjek o naiwności matki, czułem się tak, jakbym zmarznięty po podróży wszedł do rozkosznie ciepłego pokoju, ciepło to było także ciepłem zmysłowym. Pod koniec posiłku June zrzuciła koszulę. Julie w odpowiedzi pokazała jej język, na co June zareagowała pełnym wyższości uśmiechem. Trudno mi było oderwać wzrok od jej ciała. Górna część bikini zaledwie zakrywała piersi, a dolna była na biodrach związana białymi tasiemkami, przez które przeświecała skóra. Wiedziałem, że June wodzi mnie na pokuszenie, że zachęca do flirtu — był to pewnie maleńki odwet za to, że tak długo musiała pozostawać w cieniu. Miałem ochotę mrużyć jak zadowolony kot.

Około pół do trzeciej postanowiliśmy zejść na Moutsę i popływać, powodowani także chęcią przekonania się, czy nie napotkamy przeszkód. Obiecałem, że jeśli Joe zagrozi nam drogę, nie będę się sprzeciwiał. Obie dziewczyny podzielały widać moje zdanie na temat jego siły. Poszliśmy ścieżką oczekując, że zostaniemy zatrzymani, tak jak to się już kiedyś przydarzyło June. Ale nie spotkaliśmy żywego ducha; pinie, upał, wrzask cykad. Zainstalowaliśmy się w połowie drogi na plażę, koło schowanej wśród drzew kapliczki. Rozłożyłem dwa koce w miejscu, gdzie zasłana igliwem ziemia przechodziła w nadmorskie kamyki. Julie, która przed wyjściem z domu na chwilę znikła, zdjęła skarpety i ściągnęła przez głowę sukienkę. Miała na sobie

jednocześnie biały kostium kąpielowy bez pleców i wydawała się wstydić swego braku opalenizny.

Jej siostra uśmiechnęła się złośliwie: — Szkoda, że Maurice'owi nie udało się wystraszyć siedmiu krasnoludków.

— Zamknij się. To krzyżująca niesprawiedliwość. Teraz już cię nigdy nie dogonię. — Spojrzała na mnie niemal groźnie. — Czy wiesz, że na tym jachcie cały czas musiałam siedzieć pod markizą, a ona... — Odwróciła się i porządnie złożyła sukienkę.

Obie upięły włosy i po rozpalonych kamykach poszliśmy w stronę morza, i popłynęliśmy przed siebie. Obejrzałem się na Bourani, ale nikogo tam nie zobaczyłem. Byliśmy na świecie sami, chłodna błękitna woda, trzy głowy; znów poczułem się niedorzecznie szczęśliwy, tak jakbym się unosił w powietrzu, nie wiedziałem — i nie chciałem wiedzieć — co czeka nasz świątek, całkowicie utożsamilem się z chwilą: z Grecją, z tą zagubioną wśród mórz wysepką, z tymi dwiema zupełnie rzeczywistymi nimfami. Wróciliśmy na brzeg, wytarliśmy się i położyliśmy się na kocach; ja leżałem na tym samym kocu co Julie, która zaczęła się smarować olejkami; June na drugim kocu, na brzuchu. Oparła na rękach głowę zwróconą w naszą stronę. Nie mogłem się pozbyć myśli o szkole, o zakompleksionych uczniach, stetryczających nauczycielach, o tym nieznośnym braku elementu kobiecego, braku ujścia dla naturalnej zmysłowości. Tematem naszej rozmowy znów stał się Maurice. Julie nałożyła okulary słoneczne i przewróciła się na plecy, a ja dalej leżałem wsparty na łokciu.

Wreszcie zapadła cisza, zmorzyło nas wypite przy lunchu wino i usypiające słońce. June rozpięła z tyłu stanik, zdjęła go i położyła na kamieniach, żeby wyschł. Kiedy wyciągała ręce, zobaczyłem jej nagie piersi i długie złociste plecy oddzielone od długich złocistych nóg wąskim, wypukłym granatowym pasemkiem. Cała była złocista, widać najczęściej opalała się nago. Ruch June był czymś jak najbardziej niewymuszonym i naturalnym, ale na wszelki wypadek pilnowałem się, aby nie oderwać wzroku od morza, kiedy się z powrotem kładła. Znów byłem zgorzony; nie była to tylko najnowsza moda, swobodne zachowanie June o wiele lat wyprzedzało czas. I miałem niemiłe poczucie, że June także mnie obserwuje, śledzi moją reakcję, patrzy, czy porównuję ją z siostrą. Po paru chwilach odwróciła głowę. Ja przyjrzałem się jej brunatnej sylwetce, a potem spojrzałem na Julię; ja także położyłem się na plecach i poszukałem dłoni leżącej obok mnie dziewczyny. Jej palce splotły się z moimi. Zamkną-

łem oczy. Ciemność, dwie kobiety, odwieczna frywolność Grecji.

Ale szybko zostałem za te erotyczne marzenia ukarany. W parę minut później usłyszałem narastający huk. Przez sekundę myślałem, że coś się stało w Bourani. Potem zdałem sobie sprawę, że jest to znany warkot, którego nie słyszałem od chwili przyjazdu na wyspę: nad naszymi głowami pojawił się samolot, sądząc z dźwięku był to samolot myśliwski. Julie i ja usiedliśmy. June odwróciła się do nas plecami, opierając na łokciu. Samolot leciał bardzo nisko. Pojawił się zza przylądka Bourani i jak gniewny szerszeń śmigał nad wodą w Stronę Peloponezu. Po paru sekundach zniknął, ale udało nam się dojrzeć amerykańskie znaki. Przynajmniej mnie, bo Julie robiła wrażenie dużo bardziej zainteresowanej nagimi plecami siostry.

— Co za bezczelność! — wykrzyknęła June.

— Na pewno zaraz wróci, żeby cię jeszcze raz zobaczyć w stroju Ewy.

— Nie bądź taką świętoszką!

— Nicholas świetnie wie, jakie mamy piękne ciała.

June odwróciła się w naszą stronę, zza ramienia ukazała się mała pierś. Zagryzła wargi. — Nie wiedziałam, że sprawy zaszły aż tak daleko.

Julie nie odrywała wzroku od morza. — Nie uważamy, żeby to było takie zabawne.

— Mów za siebie.

— Nie popisuj się.

— Ponieważ on i tak już miał to niewysłowione szczęście, żeby mnie oglądać...

— June!

W ciągu całej tej sprzeczki Julie nie spojrzała na mnie ani razu. Ale teraz wzrok jej wyraźnie wskazywał, po czyjej mam być stronie. Wyglądała zachwycająco: była i troszkę zakłopotana, i troszkę wściekła; nasuwało się porównanie z nagle wzburzoną cichą wodą. Patrzyła na mnie z wymówką, jakby to wszystko zdarzyło się z mojej winy.

— Chodź, pokażę ci kapliczkę.

Posłusznie wstałem i zobaczyłem, że June ironicznie wznosi oczy ku niebu. Teraz ja z kolei zagryzłem usta. Oboje z Julie weszliśmy boso między pinie, w cień. Policzki Julie były rozkosznie zaróżowione, przygryzła wargi

— Ona się tak tylko z tobą przekomarza.

— Chwilami mam ochotę wydrapać jej oczy.



— Ktoś, kto ma wykształcenie klasyczne, nie powinien się gorszyć nagością w Grecji.

— Nie jestem w tej chwili filologiem, tylko dziewczyną w niekorzystnej sytuacji.

Nachyliłem się i pocałowałem ją w czubek głowy. Odepchnęła mnie, ale bez przekonania.

Doszliśmy do pobielanej kapliczki. Myślałem, że jest zamknięta tak jak wówczas, gdy podczas mej pierwszej wizyty usiłowałem do niej wejść. Ale tym razem drewniany skobel dał się odsunąć — ktoś musiał tu ostatnio być i zapomniał zamknąć drzwi na kłódkę. Kapliczka nie miała okien, światło wpadało jedynie przez otwarte drzwi. Była pusta, żelazny świecznik z kilkoma ogryzkami świec, na końcu naiwny ikonostas, słaby zapach kadzidła. Weszliśmy i zaczęliśmy oglądać namalowane na zżartej przez korniki drewnianej ścianie postacie świętych, ale oboje byliśmy bardziej przejęci tym, że jesteśmy sami. Objąłem ją ramieniem. Po chwili przytuliła się do mnie i zaczęliśmy się całować. Potem opuściła głowę i przywarła policzkiem do mego ramienia. Spojrzałem w stronę otwartych drzwi, pociągnąłem ją w ich stronę, zamknąłem je i oparłem się o ścianę. Zacząłem całować jej szyję, ramiona, próbowałem zsunąć ramiączka kostiumu.

— Nie. Proszę cię.

Ale choć bronila się, to jej głosie zabrzmiał ten specyficzny, jakże kobiecy, ton zachęty. Zsunąłem górną część kostiumu, stała obnażona do pasa i pieściłem jej brzuch, z wolna zacząłem całować jędrne małe piersi, jeszcze trochę wilgotne od morskiej wody, ale gorące, prężne. Nachyliłem się i zacząłem zlizywać sól z sutków. Ona, gładziła moje plecy, włosy. Znow zacząłem wodzić ustami po jej brzuchu, aż po kostium. Zatrzymała moje ręce.

— Proszę cię. Nie teraz — szepnęła.

— Tak bardzo ciebie pragnę — zamknąłem jej usta pocałunkiem.

— Wiem.

— Jesteś taka piękna.

— Nie tutaj. Proszę cię.

Moje ręce zsunęły się na jej piersi.

— Nie chcesz mnie?

— Wiesz, że chcę. Ale nie teraz.

Objęła mnie za szyję i zaczęliśmy się namiętnie całować. Wsunąłem rękę pod jej kostium, objąłem krągłą pupę i przycisnąłem do siebie, by poczuła, jak jej pragnę.

Nasze języki spotkały się, Julie zaczęła się kołysać i wiedziałem, że traci panowanie nad sobą; ta nagość, ciemność, nagromadzone emocje, długo tłumiona żądza...

Nagle usłyszeliśmy szmer. Cichutki szmer niewiadomego pochodzenia. Ale nie było wątpliwości, że coś ruszyło się w głębi kapliczki. Przez sekundę znieruchomieliśmy z przerażenia. Potem Julie odwróciła głowę, usiłując przeniknąć wzrokiem ciemność, zakłóconą tylko dwiema słabymi smugami światła ze szpar z obu stron zamkniętych drzwi. Instynktownie pomogłem jej naciągnąć na ramiona kostium. Potem pociągnąłem za rękę tak, aby stanęła przy ścianie, i otworzyłem drzwi. Do wnętrza wtargnęło światło. Ikonostas, przed nim czarny żelazny świecznik. I to wszystko. Ale zobaczyłem, że ikonostas znajduje się, jak zwykle w greckich kościołkach, o jakieś trzy, cztery stopy od tylnej ściany, w której dojrzałem wąskie drzwi. Nagle Julie wysunęła się przede mnie i gwałtownie potrząsnęła głową, musiała wyczuć, że chcę się rzucić naprzód. Od razu zgadłem, kto tam stoi; ten przeklęty Murzyn. Prawdopodobnie zakradł się tu podczas naszej kąpieli nie przypuszczając, że zejdziemy z plaży.

Julie pociągnęła mnie za rękę. Zawahałem się, ale pozwoliłem jej wyprowadzić się z kapliczki. Zatrzasnąłem drzwi, potem spojrzałem na nią.

— A to drań!

— Nie mógł wiedzieć, że tam wejdziemy.

— Ale mógł wcześniej zmanifestować swoją obecność.

Mówiliśmy szeptem. Odciągnęła mnie od kapliczki. Zobaczyliśmy, że June podniosła głowę i patrzy w naszą stronę. Musiała usłyszeć jak zatrzaskiwałem drzwi.

— Teraz Maurice dowie się o wszystkim — zauważyła Julie.

— Mało mnie to obchodzi. Najwyższy czas, żeby się dowiedział.

Usłyszeliśmy głos June. — Czy coś się stało?

Julie przyłożyła palec do ust. Jej siostra usiadła, nałożyła staniczek i wyszła nam na spotkanie.

— W kapliczce ukrył się Joe.

June spojrzała na białe ściany kapliczki, potem na nasze twarze, wyglądała na przejętą.

— Zamierzam rozmówić się z Maurice'em. Albo Joe, albo my — oświadczyła Julie.

— Mówiłam to już dawno.

— Wiem.

— Czy podsłuchał waszą rozmowę?

Julie spuściła oczy. — Nie, to nie o to chodzi. — Zarumieniła się. June obdarzyła mnie porozumiewawczym uśmiechem.

— Najchętniej wszedłbym tam i...

Ale one sprzeciwiły się stanowczo. Wróciliśmy do naszego obozowiska i przez parę minut omawialiśmy sytuację, ukradkiem obserwując drzwi kapliczki. Niby wszystko było tak jak przedtem, ale nasza beztroska przysła. Niewidoczny czarny cień z kapliczki zakrył blask słońca i urodę pejzażu. A ja w dodatku przeżywałem ostrą frustrację z powodu niezaspokojonych zmysłów. Zdecydowaliśmy się wrócić do domu.

Maria siedziała spokojnie przed chatą rozmawiając z Hermesem. Oznajmiła, że podwieczorek czeka na stole. Para wieśniaków spoglądała na nas ze swoich drewnianych krzeseł, tak jak byśmy nie należeli do ich świata, jak byśmy byli obcymi stworami, z którymi niemożliwy jest wszelki kontakt. Nagle Maria wskazała na morze i powiedziała po grecku parę słów, których nie zrozumiałem. Spojrzeliśmy, ale nie zobaczyliśmy nic.

— Mówi, że nadpłynęła flotylla okrętów wojennych — przetłumaczyła Julie.

Poszliśmy na brzeg wyżwirowanego placyku i na wschodzie zobaczyliśmy rząd szarych okrętów płynących między Maleą i Skyli: transportowiec, krążownik, cztery kontrtorpedowce i jeden nie zidentyfikowany okręt, wszystkie zmierzały w stronę jakiejś nowej Troi. Wyjaśniło się, czemu ten samolot myśliwski tak brutalnie zakłócił nasz spokój.

— Może to najnowszy pomysł Maurice'a. Śmierć pod bombami — zauważyła June.

Roześmieliśmy się, choć zmroził nas widok szarych widm na błękitnym obramowaniu ziemi. Wielkie maszyny śmierci, a na nich tysiące mężczyzn żujących gumę, z kieszeniami pełnymi prezerwatyw; wydało nam się to odległe nie o trzydzieści mil, ale o trzydzieści lat, jakbyśmy spojrzeli nagle w przyszłość i zobaczyli świat, w którym nie będzie już miejsca dla Prospera, prywatnych posiadłości, poezji, fantazji, czulego pożądania... Stałem między dwiema dziewczętami i poraziła mnie nagle świadomość kruchości nie tylko tego niezwykłego przedsięwzięcia starszego pana, ale w ogóle czasu. Wiedziałem, że nigdy już nie przeżyję takiej przygody, chętnie poświęciłbym resztę moich dni, żeby tylko to popołudnie trwało, trwało nieskończenie, żebym mógł pozostać w tym zaczarowanym kręgu, żeby nie była to tylko przelotna chwila, która już nigdy nie wróci.

W czasie podwieczorku moja euforia pierzchła. Dziewczęta weszły do domu i przebrały się w sukienki, które miały na sobie przed południem. Wkrótce miał nadpłynąć jacht, nad naszą rozmową zaciążył pośpiech. Siostry zastanawiały się, co powinny zrobić, przez chwilę projektowaliśmy nawet, że pójdą ze mną do wioski; mogłyby tam zamieszkać w hotelu. Ale w końcu postanowiliśmy dać jeszcze Conchisowi szansę, zobaczyć, co przygotowuje nam na następny weekend. Byliśmy wciąż pogrążeni w dyskusji, kiedy zobaczyłem na morzu jacht.

Choć dziewczęta opowiadały mi, jak luksusowo wygląda — uważały to za jeszcze jeden dowód bogactwa starszego pana — jednak zapało mi dech. Znow weszliśmy na wyżwirowany placyk, skąd mieliśmy lepszy widok. Dwumasztowy jacht płynął powoli ze zwiniętymi żaglami, poruszany tylko turbiną. Długi biały kadłub, na całej długości statku poniżej pokładu widać było okienka kabin. Z małego masztu na rufie zwisała leniwie grecka flaga. Zobaczyłem kilka biało-granatowych postaci, prawdopodobnie członków załogi. Jacht był jeszcze zbyt daleko, abym mógł dojrzeć twarze.

— Hm — zacząłem — jak na więzienie, to...

— Szkoda, że nie możesz obejrzeć kabin. W naszej stoi na stoliku osiem gatunków francuskich perfum — powiedziała June.

Jacht niemal przestał się poruszać. Trzech mężczyzn zaczęło spuszczać szalupę. Zabrzmiała syrena. Poczulem — a było to typowo angielskie uczucie — równocześnie zazdrość i pogardę. Jacht nie miał w sobie nic wulgarnego, sam fakt posiadania jachtu wydał mi się jednak czymś wulgarnym. Ale wyobraziłem sobie, że wchodzę na jego pokład. Nigdy dotąd nie przebywałem w świecie wielkiego bogactwa, w Oksfordzie miałem wprawdzie kilku bogatych kolegów, takich jak Billy Whyte, ale nigdy nie widziałem ich domów. Pozazdrościłem dziewczynom: im było łatwiej, uroda wystarczała za paszport. Zdobywanie pieniędzy było sprawą mężczyzn, więcej, dodawało im męskości. Julie musiała coś wyczuć. W każdym razie, gdy wróciliśmy pod arkady po rzeczy, wzięła mnie za rękę i wciągnęła do domu, tak żeby June nie mogła nas widzieć ani słyszeć.

— To tylko na parę dni.

— Będzie mi się zdawało, że trwają całe lata.

— Mnie też.

— Czekałem na ciebie całe życie — oświadczyłem.

Spuściła oczy, staliśmy tuż koło siebie. — Wiem.

– Czy czujesz to samo co ja?

– Sama nie wiem, co czuję. Wiem tylko, że chcę, abyś ty czuł to, co czujesz.

– Czy po powrocie nie mogłabyś się któregoś wieczoru stąd wymknąć?

Rozejrzała się, potem zajrzała mi w oczy.

– Wierz mi, że chciałabym, ale...

– Mógłbym przyjść tu w środę. Spotkalibyśmy się koło kapliczki.

Starła się wykręcić. – Nie wiadomo przecież, czy do środy wrócimy.

– Ja w każdym razie przyjdę. Jak tylko się ściemni. I będę czekał do północy. I tak mi tu będzie przyjemniej niż w tej przeklętej szkole.

– Spróbuję. Jeśli tylko mi się uda. Jeżeli oczywiście wrócimy.

Pocałowaliśmy się, ale nie był to już prawdziwy pocałunek.

Wyszliśmy z domu. June czekała przy stole i zobaczywszy nas skinęła głową. Na prowadzącej na plażę ścieżce stał Murzyn. Miał na sobie czarne spodnie, koszulkę polo i ciemne okulary. Czekał. Znów zawyła syrena jachtu. Usłyszałem warkot zbliżającej się motorówki.

June wyciągnęła rękę, a ja życzyłem im powodzenia. Potem, nie ruszając się z miejsca patrzyłem, jak idą przez wyżwirowany placyk, różowe sukienki, błękitne skarpetki, w rękach kosmyki. Murzyn, nie czekając, aż się zbliżą, odwrócił się i ruszył ścieżką, zupełnie pewny, że pójdą za nim. Kiedy ich głowy zniknęły, podszedłem do ścieżki. Motorówka wpłynęła do zatoczki i przybiła do mola. W minutę później zobaczyłem wchodzącą na molo czarną postać, a za nią dwie różowe sylwetki dziewcząt. W motorówce siedział marynarz w białych szortach i granatowej koszulce z krótkimi rękawami, na piersiach koszulki widniał czerwony napis. Nie udało mi się go odcyfrować, ale niewątpliwie była to nazwa jachtu: „Arethusa”. Marynarz pomógł dziewczętom zejść do motorówki, potem wskoczył do niej Murzyn. Usiadł za plecami siostr na dziobie łodzi. Motorówka ruszyła. Po paru jardach dziewczęta musiały mnie zauważyć, bo zaczęły wymachiwać rękami.

Rozsłonecznione morze ciągnęło się aż po odległą o dziewięćdziesiąt mil Krete. Flota już niemal znikła. Czarny cień rosnącego nad skałami cyprysa wydłużał się na spalonej czerwonoszarej ziemi. Dzień konał. Poczułem się samotny i sfrustrowany. Nie bardzo wierzyłem, że uda nam się spotkać w ciągu tego tygodnia, ale czułem się jak gracz w pokera, który liczy na wyciągnięcie karty oznaczającej pewną wygraną.

Wróciłem do willi; Maria czekała już, by wszystko pozamykać. Nie próbowałem jej wypytać, wiedziałem, że to nic nie da, poszedłem do mojej izdebki i spakowałem

rzeczy. Kiedy zszedłem z powrotem na dół, motorówki nie było już widać, a ogromny jacht odpływał w stronę południowego Peloponezu. Miałem ochotę odprowadzić go wzrokiem, ale byłem pewien, że ja także jestem stamtąd obserwowany, i nie miałem ochoty grać roli opuszczonego, rozbitka.

W parę minut później ruszyłem w powrotną drogę na te moje karne roboty z drugiej strony zwierciadła marzeń... czułem się trochę jak Adam opuszczający raj... tyle że ja wiedziałem, iż nie ma Boga i nic nie przeszkodzi mi tu powrócić.

## 48

Podczas długiej wspinaczki nadeszła reakcja na wydarzenia dnia. Julie dała mi dosyć dowodów na to, że mogę ufać jej uczuciom, ale ciągle przychodziły mi na myśl pytania, które powinienem był jej zadać — i ciągle przypominałem sobie, jak bliski byłem, i to nie jeden raz, uwierzenia w tamtą bajkę o schizofrenii. Ale wtedy brak mi było argumentów, by ją zakwestionować, a to, co usłyszałem teraz, mogłem sprawdzić. Oczywiście, nie można było wykluczyć dwulicowości sióstr, Julie mogła czuć do mnie pociąg, a równocześnie wprowadzać mnie w błąd na temat swojego życia i projektów starszego pana. Należało się także przygotować do następnego spotkania z Conchisem; nie od rzeczy będzie zdobyć dowody na to, co usłyszałem od sióstr.

Jeszcze tego samego niedzielnego wieczoru napisałem listy do pani Holmes w Cerne Abbas, do pana P. J. Fearna z Barclay's Banku i do przełożonej gimnazjum, w którym wykładała Julie. Do pani Holmes napisałem, że poznałem jej córki podczas przygotowań do filmu, że miejscowy nauczyciel prosił mnie, żebym znalazł jakąś wiejską szkołę w Anglii, której uczniowie zechcieliby korespondować z jego uczniami, i że panny Holmes radziły mi napisać do ich matki i prosić o skontaktowanie mnie ze szkołą w Cerne Abbas — byłbym bardzo wdzięczny za szybką odpowiedź, niedługo kończy się semestr. W drugim liście zawiadamiałem dyrektora banku, że chciałbym założyć sobie konto i powoływałem się na jego dwie klientki.

W trzecim przedstawiłem się jako kierownik językowych kursów, które od jesieni mają istnieć w Atenach, i prosiłem o referencje panny Julie Holmes, która zgłosiła swą kandydaturę na nauczycielkę.

W poniedziałek przeczytałem listy, zrobiłem kilka stylistycznych poprawek i pierwsze dwa przepisałem ręcznie, a trzeci wystukałem na starej maszynie z angielskimi czcionkami, która stała w kancelarii szkoły. Wiedziałem, że trzeci list jest trochę naciągany, gwiazdy filmowe rzadko ubiegają się o pracę w szkole. Ale chodziło mi o odpowiedź, a nie o to, co pani przełożona sobie pomyśli.

Wreszcie, doszedłszy do wniosku, że nie zaszkodzi pójść na całość, napisałem jeszcze dwa listy, jeden to teatru Tavistock, drugi do college'u Girton w Cambridge.

Wysłałem tych pięć listów, a wraz z nimi jeszcze jeden do Leverriera. Miałem lekką nadzieję, że poczta przyniesie mi odpowiedź Mitforda. Ale wiedziałem, że mój list szuka go prawdopodobnie po świecie, a zresztą wcale nie byłem pewny, czy zechce mi odpowiedzieć. Do Leverriera napisałem krótko, wyjaśniłem mu, kim jestem, i dodałem:

*W gruncie rzeczy piszę do pana dlatego, że znalazłem się w Bourani w dość skomplikowanej sytuacji. O ile wiem, odwiedzał Pan pana Conchisa — przynajmniej on tak twierdzi. Bardzo potrzebuję Pańskiej rady, byłbym wdzięczny, gdyby zechciał Pan podzielić się ze mną swoimi doświadczeniami. Chodzi mi nie tylko o siebie, ale o dwie inne osoby. Mamy nadzieję, że będzie Pan tak łaskaw i nam odpowie.*

Zalepiając list myślałem, że milczenie Mitforda i Leverriera jest najlepszą przepowiednią na przyszłość. Gdyby w poprzednich latach w Bourani zaszło coś naprawdę nieprzyjemnego, na pewno by o tym opowiedzieli. Skoro milczeli, musiało to być milczenie wdzięczności. Nie zapomniałem opowieści Mitforda o kłótni z Conchisem ani też jego ostrzeżenia. Ale zacząłem mieć wątpliwości, co właściwie tę opowieść spowodowało.

Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej byłem przekonany, że to Demetriades jest szpiegiem Conchisa. Pierwszą zasadą asa kontrwywiadu jest udawać, że zostało się wyprowadzonym w pole, zatem w niedzielę po kolacji zachowywałem się wobec

niego wyjątkowo serdecznie. Przez dziesięć minut spacerowaliśmy po szkolnym molo usiłując doszukać się wietrzyku, który rozwiałyby duszny upał nocny. „Tak, dziękuję ci, Méli, spędziłem na Bourani bardzo miły weekend. Czytałem, słuchałem muzyki, pływałem.” Udawałem nawet, że się śmieję, słuchając jego sprośnych przypuszczeń, podejrzewałem obecnie, że zachowuje się tak nie bez kozery, że sprawdza na polecenie Conchisa, czy potrafię utrzymać język za zębami na temat tego, jak naprawdę spędziłem czas. Podziękowałem mu także, że nie zdradził mnie przed resztą nauczycieli.

Spacerowaliśmy wolnym krokiem, a ja patrzyłem na ciemną wodę cieśniny między wyspą a Argolidą i zastanawiałem się, co w tej chwili robią dwie siostry i po jakiej to ciemnej wodzie płyną w dal... ach, to milczące morze pełne tajemnic, niewyczerpanej cierpliwości i wcale nie wrogie. Wydawało mi się, że poznałem już jego tajemnice.

Następnego dnia po przerwie poznałem je jeszcze lepiej. Udało mi się odciągnąć na bok wicedyrektora, który wykladał grekę. Ktoś mówił mi, że powinienem przeczytać opowiadanie pisarza nazwiskiem Theodorotis... *Trzy serca*, pewnie słyszał? Słyszał. Nie mówił ani po francusku, ani po angielsku i nie wszystko z jego słów zrozumiałem. A zatem Theodorotis byłby na swój sposób greckim odpowiednikiem Maupassanta. Treść opowiadania, a w każdym razie to, co z niej zrozumiałem, potwierdzało słowa Julie. Ostatnia wątpliwość rozwiała się podczas lunchu. Wicedyrektor przysłał mi przez ucznia książkę. Była to antologia, ostatnim długim opowiadaniem były *Trzy serca*. Opowiadanie napisane było literackim językiem *katharevousa*, znacznie różniącym się od mowy potocznej i niemal dla mnie niezrozumiałym, a nie chciałem szukać pomocy u Demetriadesa. Ale kiedy ze słownikiem w ręku udało mi się przebrnąć przez początek, potwierdzał on w zupełności to, co opowiedziała mi Julie.

Środa... środa. Nie mogłem się jej doczekać. We wtorek wieczorem wdrapałem się na grzbiet centralnego pasma gór. Powtarzałem sobie, że nie mam czego oczekiwać. Ale nie miałem racji. Daleko w dole na lawendowym morzu zobaczyłem wyglądający jak zabawka jacht, podskoczyło mi serce, rozpoznałem biały kształt „Arethusy”. Starszy pan skapitulował.



Okolo pół do dziesiątej byłem już przy bramie, chwilę nadsluchiwałem, nie usłyszałem nic i ścieżką między drzewami doszedłem do miejsca, z którego mogłem dojrzeć dom. Panowała w nim cisza, czarny kształt na tle nie wygasłego jeszcze na zachodzie nieba. Tylko w sali muzycznej paliła się lampa, z chaty Marii wydobywał się pachnący żywicą dym. Gdzieś obok odezwała się sowa. Kiedy wracałem w stronę bramy, jakiś maleńki czarny stwór przeleciał mi nad głową w stronę morza; kto wie, może był to Conchis pod postacią sowy.

Szybko poszedłem w stronę Moutsy: w lesie było ciemno, morze nie błyszczało, kierowałem się cichutkim pluskiem fal. Na morzu zobaczyłem odległe o pięćset jardów czerwone światełko stojącego na kotwicy jachtu. Wyglądał jak wymarły. Skrajem piniowego lasu szybko pobiegłem do kapliczki.

Pod wschodnią ścianą czekała Julie, czarny cień na białym tle; kiedy zobaczyła, że nadchodzę, wyszła mi naprzeciw. Miała na sobie granatową marynarską koszulkę z „Arethusy” i jakąś jasną spódniczkę. Włosy zawiązała z tyłu wstążką, nadało jej to nieco surowy wygląd pani nauczycielki. Zatrzymaliśmy się o jard od siebie, nagle onieśmieleni.

— Udało ci się wymknąć?

— Wszystko w porządku, szłam. — Uśmiechnęła się. - Wszystko omówiliśmy.

— Chcesz powiedzieć, że...

— Wie o nas. Powiedziała mu. W jego sztuce mogę występować jako schizofreniczka, ale musi pamiętać, że nią nie jestem.

Uśmiechnęła się. Zrobiłem krok naprzód i znalazła się w moich ramionach. Ale kiedy całując ją usiłowałem ją do siebie przyciągnąć, lekko mnie odsunęła i schyliła głowę.

— Julie?

Podniosła do ust moją rękę.

— Musisz być dobry. Ten przekłety kalendarz. Nie wiedziałam w niedzielę, jak ci o tym powiedzieć.

Byłem przygotowany na każdą ewentualność, ale nie przewidziałem czegoś tak banalnego i zwykłego. Ucałowałem jej włosy, poczułem lekki zapach melona.

— Jaka szkoda!

— Tak chciałam, żebyś przyszedł.

— Przejdźmy się.

Wzięłam ją za rękę, minęliśmy kapliczkę i weszliśmy między drzewa. W niedzielę, ledwo znalazły się na jachcie, odbyły ze starszym panem zasadniczą rozmowę. Z początku udawał, że nie rozumie, ale June zaatakowała go ostro, mówiąc o Murzynie, o szpiegowaniu w kapliczce. Mają tego dosyć i albo on im powie, o co mu właściwie chodzi, albo one... Julie parsknęła śmiechem.

— Czy wiesz, co powiedział? Tak spokojnie, jakbyśmy prosiły go o zreperowanie kranu. — potrząsnąłem przecząco głową. — Powiedział: „Wspaniale. Na to właśnie liczyłem.” I nim zdążyłyśmy przyjść do siebie, poinformował nas, że wszystko, co działo się dotąd, było tylko generalną próbą. Szkoda, że nie widziałeś jego uśmiechu. Pełne zadowolenie. Zupełnie jakbyśmy były uczennicami, które dobrze zdały egzamin wstępny.

— Czego to miało być próbą?

— Wszystko nam wyjaśni. Podczas najbliższego weekendu. Tobie także. Teraz będziemy pracować razem, oczywiście według jego wskazówek. Wkrótce ktoś tu jeszcze przyjedzie, powiedział: przyjadą, czyli musi chodzić o parę osób, które obejmą nasze dotychczasowe role. Będą się kręcić w kółko. Ale pod naszym z kolei dyktandem.

— Kto to ma być?

— Nie chciał powiedzieć. Ani niczego wyjaśnić. Bo chciał, żebyś ty był także obecny.

— Masz uwieść następną ofiarę?

— O to się przede wszystkim spytałam. Powiedziałam, że mam już dosyć przewracania oczami do obcych mężczyzn. Szczególnie teraz.

— Opowiedziałas mu o nas?

Ucisnęła moją dłoń. — Tak. — Westchnęła. — On powiedział, że od pierwszej chwili, gdy cię zobaczył, zaczął się obawiać najgorszego.

— Najgorszego?

— Że ser w pułapce zakocha się w myszy.

— I zgodził się?

— Przysiągł mi.

— Uwierzyłaś mu?

Zawahała się: — O tyle, o ile w ogóle można mu uwierzyć. Dostałam nawet marchewkę, którą mam wymachiwać przed twoim nosem.

— Po co ci jeszcze marchewka?

Oparła głowę o moje ramię. — Uważa, że nie może oczekiwać, żebyś to wszystko robił za darmo... otrzymasz gażę. Cokolwiek to ma być, nie zacnie się przed końcem semestru. I on chce, żebyśmy wszyscy troje zamieszkali, a w każdym razie sypiali w tym jego domu we wsi. I zachowywali się tak, jakbyśmy w ogóle nie znali Maurice'a.

— Masz na to ochotę?

— Jest tylko jedno ale. On życzy sobie, żebyśmy my dwoje występowali wobec tych, co przyjadą, jako małżeństwo.

— Ja nie potrafię udawać. Nie mam takiego aktorskiego talentu jak ty.

— Przestań żartować.

— Nie żartuję. Mówię zupełnie serio. Znów przywarła głową do mojego ramienia. — No i co o tym sądzisz?

— Zobaczymy podczas weekendu. Kiedy dowiemy się, o co naprawdę chodzi.

— My też tak uważamy.

— Czy niczego nie mogliście się domyślić?

— Powiedział, że chodzi o coś z dziedziny psychiatrii. I jak to on, dorzucił od razu, że nie istnieje słowo, które mogłoby to określić. Powiedział... powiedział, że chodzi o dziedzinę nauki, którą trzeba dopiero odkryć i nazwać. Bardzo był ciekaw, jak to się stało, że ci zaufałam.

— Co mu powiedziałaś?

— Że są rzeczy... uczucia, których nikt nie potrafi udąć.

— Jak się poza tym zachowywał?

— Właściwie był czarujący. Bardziej niż kiedykolwiek. Prawił nam komplementy, jakie to byliśmy dzielne i inteligentne, i w ogóle wspaniałe.

— *Timeo Danaos...*

— Wiem. Ale postawiłyśmy sprawę jasno. Jeszcze jedna taka historia — i nas nie ma.

Spojrzałem na opuszczony jacht. — Gdzie byliście?

— Popłynęliśmy aż do Kithiry. Wróciliśmy wczoraj.

Pomyślałem o tym, jak spędziłem te trzy dni: poprawianie wypracowań, dwa dyżury przy odrabianiu lekcji, zapach kredy, chłopców... a potem zobaczyłem koniec semestru, dom na krańcu wsi, stałą obecność obu dziewcząt.

— Dostałem egzemplarz *Trzech serc*.

— Udało ci się przeczytać?

— W każdym razie na tyle, żeby wiedzieć, że historyjka się zgadza.

Chwilę milczała.

— Słyszałam, jak ktoś mówił, że trzeba zaufać swojej intuicji. Było to zaledwie trzy dni temu.

— Tak, ale... widzisz, kiedy siedzę w klasie, chwilami trudno mi uwierzyć, że ta część wyspy w ogóle istnieje. Że to wszystko nie jest snem.

— Nie otrzymałaś wiadomości od tego nauczyciela, który tu był przed tobą?

— Nie.

Znów milczenie.

— Nicholas, zrobię, co zechcesz. — Nie pozwoliła mi odpowiedzieć, wzięła za rękę i zjrzała w oczy. — Pójdziemy zaraz do domu i mu powiemy. Chcesz? Mówię poważnie.

Zawahałem się, ale teraz się uśmiechnąłem. — Przypomnę ci to, jeśli nie spodoba mi się następny rozdział.

— Dobrze.

Objęła mnie. Jej usta potwierdziły to, co mówił wzrok. Doszliśmy na brzeg zatoki wciąż przytuleni do siebie. Było duszno jak w tropikach.

— Podobają mi się tutejsze noce. Bardziej niż dni — powiedziała Julie.

— Mnie także.

— Wejdźmy do wody... .

Po nadmorskich kamykach doszliśmy na brzeg morza.

Zdjęliśmy buty. Stanęliśmy w ciepłym morzu i Julie pozwoliła mi się znów pocałować. Całowałem jej usta, szyję. Objąłem ją opiekuńczo ramieniem i szepnąłem:

— Ta przeklęta fizjologia kobieca!

Przysunęła się do mnie ruchem pełnym współczucia.

— Wiem. Tak mi przykro.

— Przez cały czas widziałem cię taką jak w kapliczce.

— Czułam się uwiedziona.

— O nie, tylko dziewice mają prawo tak się czuć.

— Ale przy tobie czuję się tak, jakby to miał być pierwszy raz.

— Przy innych mężczyznach też się tak czułaś?

— Och, najwyżej przy kilku.

— A przy nim? — Milczała. — Chciałbym, żebyś mi o nim opowiedziała.

— Nie ma o czym opowiadać.

– Chodź, usiądziemy.

Weszliśmy z powrotem między drzewa, tam gdzie zaczynało się zbocze góry. Kiedyś spadło z niej kilka głazów i usiedliśmy przy jednym z nich, oparłem się o niego plecami, a Julie oparła się o mnie. Rozwiązałem kokardę w jej włosach, włosy opadły na ramiona.

On był jednym z najmłodszych kierowników studiów w Cambridge; matematyk, starszy od niej o dziesięć lat, bardzo inteligentny, wrażliwy, czytany, bynajmniej nie zasklepiiony w swojej dziedzinie. Poznali się, gdy była na drugim roku, ale przez rok stosunki ich były „na pół platoniczne”.

– Nie wiem dlaczego, może dlatego, że niedługo miałam już ukończyć studia, ale nagle Andrew zaczął być potwornie zazdrosny, kiedy szłam gdzieś z kimś innym. Był wściekły, że razem z June pracuję w tym teatralnym zespole. Ubzdurał sobie, że powinien się we mnie zakochać. Zresztą okazywał to w miły sposób, podkpiwał z samego siebie, że niby ja sprowadziłam z prostej drogi urodzonego starego kawalera. Lubiłam jego towarzystwo, często wyjeżdżaliśmy na wieś, był szalenie hojny, obsypywał ranie kwiatami, książkami. Pod tym względem wcale nie zachowywał się jak urodzony stary kawaler. Ale nawet wtedy nie miało to nic wspólnego z szalem zmysłów. Wiesz, jak to jest, lubisz kogoś, pochlebiają ci jego względy, czułam się nawet trochę zażenowana, że emabluję mnie sam profesor... Podziwiasz tego kogoś, imponuje ci intelektem, ale...

– Starasz się o jednym nie myśleć.

– Uparł się, żebyśmy się oficjalnie zaręczyli. Było to na początku wiosennego semestru. Pracowałam jak szalona. Nie sypialiśmy z sobą, uważałam, że to bardzo delikatnie z jego strony, że na to nie nalega... mieliśmy wyjechać na wakacje do Włoch, a jesienią się pobrać.

Zamilkła.

– No i co?

– Kiedy to tak trudno opowiedzieć.

Pogłaskałam ją po włosach. – Lepiej niż dusić w sobie.

– Przez cały czas podświadomie zdawałam sobie sprawę, że jest w nim coś dziwnego... zachowywał się tak, jakby wykonywał wyuczone gesty. Całował mnie tylko dlatego, że dziewczyny należy całować. Nigdy nie czułam, że mnie naprawdę chce. W ten sposób. – Wygładziła spódniczkę na kolanach. – I we Włoszech okazało się, że jest z tym prawdziwy kłopot. Nigdy mi przedtem o tym nie mówił, ale miał w szkole

pewne doświadczenia homoseksualne. A także w Cambridge, kiedy jeszcze, tuż przed wojną, był sam studentem. — Przerwała. — Pewnie wydają ci się przerażająco naiwna.

— Nie. Zwyczajnie naiwna.

— Słowo daję, że zewnątrz nic na to nie wskazywało. Nic z tych rzeczy, po których zwykle rozpoznaje się homoseksualistów, tak rozpaczliwie chciał być normalny. Pewnie zbyt rozpaczliwie.

— Rozumiem.

— Mówiłam mu, że to nic nie szkodzi. Tłumaczyłam to także samej sobie. Zresztą czasem... I poza łóżkiem było z nim nadal strasznie miło. — Długą chwilę milczała. — Wiesz, Nicholas, zrobiłam coś okropnego. Wysłam z pensjonatu, w którym mieszkaliśmy w Sienie, i wsiadłam w pociąg do Anglii. Bez słowa uprzedzenia. Coś we mnie pękło. Nagle zrozumiałam, że ten problem między nami nigdy nie zniknie. Kiedy nam się... nie udawało, wychodziliśmy z domu, patrzyłam na włoskich chłopców i myślałam sobie... — przerwała, jakby jeszcze dziś wstydziła się tamtych myśli. — Czułam to także w kapliczce. Że wszystko może być takie proste.

— I od tamtej pory go nie widziałaś?

— Widziałam. Na tym polega cała sprawa.

— Opowiedz mi.

— Uciekłam do domu, do Dorset. Ale nie mogłam przecież opowiedzieć matce, co zaszło. Andrew wrócił do kraju, nalegał, żebyśmy się spotkali w Londynie. — Na myśl o tym wspomnieniu pokręciła głową. — Był zrozpaczony, bliski samobójstwa i na koniec uległam mu. Oszczędzę ci szczegółów. Nie zgodziłam się na małżeństwo i zaangażowałam się do tej londyńskiej szkoły głównie po to, żeby móc być z dala od Cambridge. Ale... cóż, znów próbowaliśmy ze sobą sypiać... i ciągnęło się to wiele miesięcy. Dwoje, można by przypuścić inteligentych, osób powoli rozdierało się na strzępy. Kiedy dzwonił i mówił, że nie uda mu się przyjechać na weekend do Londynu, czułam tylko ulgę. — Znów umilkła, potem zebrała się na odwagę i wyznała odwracając twarz. — Jeszcze najlepiej było wtedy, gdy grałam wobec niego rolę chłopca. Nienawidziłam tego. I on w gruncie rzeczy też. — Zaczepnęła powietrza. — Na koniec June zmusiła mnie, żebym zrobiła to, co powinnam była zrobić już dawno. On od czasu do czasu jeszcze do mnie pisuje. Ale to wszystko. — Znów milczenie. — I tak się skończyła ta smutna historyjka.

— Naprawdę smutna.

— Przysięgam, że nie jestem purytanką. Ale to wszystko...

— To nie była twoja wina.

— Pod koniec było w tym z mojej strony coś z masochizmu. Było to straszne, a ja rozkoszowałam się własną szlachetnością.

— I od tego czasu nie było w twoim życiu nikogo?

— Na początku tego roku chodziłam jakiś czas z kolegą z teatru. Ale szybko doszedł do wniosku, że niewiele ma ze mnie pożytku.

Bawiłem się jej włosami.

— Dlaczego?

— Bo nie chciałam pójść z nim do łóżka.

— Dla zasady?

— Miałam już przedtem kogoś. W Cambridge. Kiedy byłam na pierwszym roku.

— No i co się stało?

— Zupełnie odwrotna sytuacja. Był dużo miłszy w łóżku niż poza tym. — I dodała oschłym tonem: — Niestety, wiedział o tym. I któregoś dnia odkryłam, że ma nie tylko mnie.

— Co za bałwan!

— Wiem, że z mężczyznami jest inaczej. W każdym razie z takimi mężczyznami. Ale czułam się upokorzona. Jeszcze jedna zdobycz.

Ucałowałem jej włosy. — Muszę przyznać, że pochwałam jego gust w wyborze trofeów.

Znów nastąpiło krótkie milczenie. Zniżyła głos i spytała nieśmiało, niemal naiwnie:

— A ty spałeś z wieloma dziewczynami?

— Nigdy z taką jak ty. I nigdy z dwiema naraz.

Musiała zdać sobie sprawę z niezręczności swego pytania. — Nie chciałam bynajmniej... rozumiesz. — Nie był to temat, nad którym miałbym ochotę się rozwodzić, ale ja, wyraźnie interesował. — June podchodzi do tego w sposób kliniczny. Ja nie.

— Mnie też tak traktuje?

— Możesz się cieszyć. Uzyskałeś jej aprobatę. Jeżeli ma to dla ciebie jakąś wartość.

— Mogłabyś chociaż udawać, że ma ją dla ciebie.

— W niedzielę jej nienawidziałam. — Trąciła mnie łokciem. — A także ciebie za to, żeś jej też nie znienawidził.

— To było niemożliwe, pomogła mi wyobrazić sobie ciebie w tej sytuacji.

— Od tej pory bez przerwy mi dokuczają. Mówi, że jest bardziej w twoim typie niż ja.

Przytuliłem ją mocniej. Wzięła mnie za rękę i zaczęła się bawić moimi palcami.

— Przyszliśmy tu wczoraj w nocy.

— Po co?

— Było tak upalnie. Nie mogliśmy spać. Chcieliśmy popływać. June miała nadzieję, że spośród drzew wyłoni się jakiś piękny grecki pasterz.

— A ty?

— Ja myślałam o moim angielskim pastuszk.

— Szkoda, że nie mamy dziś ze sobą kostiumów.

Ona dalej bawiła się moimi palcami.

— Wczoraj też nie miałyśmy.

— Czy to propozycja?

Sekundę milczała. — June założyła się ze mną, że się nie ośmielę.

— Nie pozwolimy jej wygrać.

— Ale tylko popływamy...

— Czy to jedynie dlatego, że ty jesteś...

Czułem, że się uśmiechnęła. Potem nachyliła się i szepnęła mi do ucha: — Czemu mężczyźni stale żądają słów?

W sekundę później zerwała się i pociągnęła mnie za sobą. Zeszliśmy na brzeg morza. Czerwone światełko kołysało się na burcie białego jak duch jachtu. Od strony domu poprzez drzewa prześwitywał odblask świateł. Zatem ktoś tam jeszcze czuwał. Podniosła rękę, żeby ułatwić mi zdjęcie koszulki; potem odwróciła się plecami i rozpiąłem jej staniczek, a ona zaczęła mocować się z zamkiem błyskawicznym spódnicy. Przesunąłem rękę na jej piersi. Spódnica opadła. Przez chwilę Julie opierała się o mnie i przytuliła moje dłonie do piersi. Pocałowałem ją w kark. I zaraz pobiegła w stronę morza, szczupła sylwetka z rozpuszczonymi włosami z białym paseczkiem na biodrach; nocne echo swej siostry. Zrzuciłem z siebie ubranie. Julie nie obejrzawszy się nawet weszła w wodę aż po pas, a potem zaczęła płynąć żabką w stronę jachtu. W pół minuty później byłem już koło niej i razem popłynęliśmy w morze. Ona zatrzymała się pierwsza, wyprostowała się (woda była tu już bardzo głęboka) i uśmiechnęła się do mnie zaczepnie i filuternie, jakby udał nam się wspaniały żart.



Zaczęła coś mówić po grecku, ale nie był to znany mi współczesny język, brzmiało to archaicznie i znacznie dostojniej.

— Co to?

— Sofokles.

— Ale co?

— Nieważne. Chodzi o dźwięk. Kiedy tu przyjechałam, trudno mi było w to uwierzyć. Że te małe czarne zakrętasy nagle ożyły. Że przestały należeć do przeszłości, że zamieniły się w teraźniejszość.

— Tak, rozumiem.

— Poczulałam się jak ktoś, kto całe życie spędził na wygnaniu. Wcale o tym nie wiedząc.

— Ja też tak się czułam.

— Czy zdarza ci się tęsknić za Anglią?

— Nie.

Zobaczyłam jej uśmiech. — Musi chyba istnieć coś, o czym mamy inne zdanie.

— Nie w tym życiu.

— Położę się na wodzie. Dopiero tutaj się tego nauczyłam.

Wyciągnęła ramiona i pozwoliła unosić się falom; popisywała się jak dziecko. Podpłynąłem bliżej. Leżała z zamkniętymi oczyma, z uśmiechem na ustach, mokre włosy nadawały jej wręcz dziecinny wygląd. Morze było całkowicie spokojne jak czarna szyba.

— Wyglądasz jak Ofelia.

— Chciałbyś mnie posłać do klasztoru?

— Nigdy nie czułem się mniej podobny do Hamleta.

— Może jesteś tym błaznem, którego radził mi poślubić.

Uśmiechnąłem się w ciemnościach. — Grałaś Ofelię?

— W szkole. Tylko te sceny z Hamletem. Którym była upiornie zakompleksiona lesbijka; rozkoszowała się każdą chwilą w męskim stroju.

— Czy miała także przyczepiony do portek woreczek na jaja?

— Panie Urfe — w głosie Julie brzmiał wyrzut. — Nie podejrzewałam pana o taką wulgarność.

Podpłynąłem jeszcze bliżej i ucałowałem jej ramię, potem spróbowałem ją objąć, ale zostałem odepchnięty i Julie wymknąwszy mi się zanurzyła się po szyję w wodzie. Udało mi się ukraść jej pocałunek, ale zaraz wyrwała się i tą swoją

staromodną żabką popłynęła w stronę brzegu. Ale tak, jakby ten wysiłek ją zmęczył, zatrzymała się, kiedy byliśmy już blisko brzegu, i stanęła w sięgającej po pachy wodzie. Stanąłem obok niej, nasze ręce się spotkały, pozwoliła mi się przyciągnąć, objąć. Zarzuciła mi ręce na szyję, a potem opuściła oczy, kiedy zacząłem pieścić pod wodą jej piersi, brzuch, pachy. Przygarnąłem ją jeszcze bliżej, aż stanęła na moich stopach. Nasze ciała zwały się w uścisku, podniosła twarz, miała zamknięte oczy, jej usta szukały moich. Wsunąłem rękę pod mokry pasek materiału na jej biodrach, drugą dłonią objąłem pierś. Była chłodna, nie była to ta rozżarzona nagość, którą poznałem w kapliczce.

Domyśliłem się, co pominęła opowiadając o swoim nieszczęsnym romansie: nie wspomniała o tym, jak trudno jej pogodzić nieśmiałość fizyczną z rozbuchaną wyobraźnią... to dlatego z początku tamten mężczyzna wydawał jej się atrakcyjny, a potem kiedy okazało się to, co się okazało, stał się jej wstrętny. Tak, to ona była prawdziwą nimfą, nie jej siostra, która tak niedawno odgrywała tę rolę. To ona autentycznie uciekała przed satyrem wabiąc go równocześnie. Miała w sobie coś z dzikiego zwierzątka, które podejrzliwie śledzi każdy ruch, gotowe uciec, jeśli spotka się ze zbyt natrętną próbą oswojenia. Zastawiała pułapki, żeby sprawdzić, czy się ją rozumie; kiedy chciała, ; podchodziła, kiedy chciała, wycofywała się. Ale czułem, że któregoś dnia przestanie się wycofywać i pozwoli mi na wszystko... że stanie się to wkrótce. Już teraz czułem, jak mi ulega, jej kobiecość poddawała się mojej męskości, nasze języki splotły się, tak jak chciały się spleść nasze ciała.

Cisza, czerń wody, pobłyskujący baldachim gwiazd i to moje podniecenie erotyczne, które musiała czuć. Nagle odwróciła niemal gwałtownie głowę, choć dalej przywierała do mnie całym ciałem. Po chwili wyszeptała:

- Biedaku. To nie fair wobec ciebie.
- Przepraszam. Ale za bardzo cię pragnę.

Odsunęła się i jej ręka wśliznęła się w wodę pomiędzy nami. Pieściła delikatnie, lekko i nieśmiało, z tą samą naiwnością, z którą się już przedtem zdradziła.

- Biedny, malutki piskorz.
- Który nie ma gdzie pływać.

Jej ręka pod wodą drażniła i pieściła. Julie wyszeptała:

- Sprawia ci to przyjemność?
- Nie bądź niemądra.

Zawahała się, potem odwróciła, objęła mnie prawym ramieniem w pasie, a ja lewym otoczyłem jej plecy i przycisnąłem do siebie. Jej lewa ręka zsunęła się jeszcze niżej, pieściła moje lędźwie, potem objęła mój członek, lekko uściśniła. Palce poruszały się tak, jakby brakowało im doświadczenia, jakby się bały wyrządzić krzywdę. Wolną ręką udzieliłem im krótkiej lekcji, a potem podniosłem głowę Julie, poszukałem jej ust. I straciłem poczucie rzeczywistości otaczającego nas świata. Istniał tylko jej język, jej nagość, mokre włosy, rytmiczny ruch jej znajdującej się pod wodą ręki. Marzyłem, aby trwało to całą noc; uwodzony, czułem się tak, jakbym uwodził; co za nagła przemiana powściągliwej, wybrednej, pełnej rezerwy dziewczyny cytującej Sofoklesa w posłuszną gejszę... Rozstawiłem szerzej nogi, żeby stanąć pewniej i Julie jedną z moich nóg opłotła swoją. Miała na sobie tylko majteczki i majteczki te przywarły teraz ściśle do mego biodra. Moja ręka ześliznęła się z jej piersi usiłując dostać pod ten skrawek materiału, ale została po drodze zatrzymana i odprowadzona na miejsce.

Gdyby to mogło trwać całą noc; nie, podniecenie było zbyt wielkie. Julie instynktownie zdała sobie sprawę, że nie pragnę już, żeby była delikatna, i nagle znikła gdzieś niezręczność nowicjuszki; dopłynąłem, a ona opuściła głowę i ugryzła mnie w ramię, tak jakby i ona także doznała orgazmu.

Cofnęła rękę, zaczęła głaskać mój brzuch. Odwróciłem ją ku sobie i ucałowałem, lekko oszołomiony tym tak szybkim i całkowitym wyzbyciem się pruderii. Podejrzewałem, że częściowo zawdzięczam to kpinom jej siostry, ale chyba także i sama Julie musiała tego zawsze sekretnie pragnąć. Staliśmy przytuleni do siebie, nie czuliśmy potrzeby słów, ostatnia dzieląca nas bariera znikła. Julie miękko poddała się mojemu pocałunkowi, tkwiła w tym nie wypowiedziana słowami obietnica.

— Muszę iść, June na mnie czeka.

Ostatni pocałunek i popłynęliśmy w stronę plaży, do miejsca, gdzie przechodziła ona w ląd. Trzymając się za ręce podeszliśmy do naszych ubrań. Nie chciało się nam wycierać. Julie nałożyła spódniczkę, odwróciła się, by ją zapiąć. Ucałowałem mokre piersi, zapiąłem jej staniczek, pomogłem naciągnąć koszulkę; potem ona z kolei pomogła mi się ubrać. Obejmując się wróciliśmy nad wodą do Bourani. Olśniła mnie myśl, że to wszystko znaczyło dla niej więcej niż dla mnie... obdarzenie mnie rozkoszą, noc, upał, odwieczna magia Grecji wyzwoliły w niej drzemiącą zmysłowość. Wyraz jej twarzy nabrał miękkości, tak jakby zrzuciła maskę.

Poczułem także, i sprawiło mi to wielką radość, że teraz rozwiała się reszta podejrzeń, które tak starannie zasiał w moim sercu Conchis. Nie potrzebowałem już odpowiedzi na moje listy. To, co między nami zaszło, można by uważać za banalną przygodę seksualną, ale była ona przecież czymś głębszym, czymś upragnionym przez, nas oboje... Pragnąc się o tym upewnić przystanąłem i przyciągnąłem do siebie Julie. Zwróciła się w moją stronę i tak skwapliwie podała mi usta, jakby знаła moje myśli, dzieliła je. Wszystko między nami było jasne i proste.

Odprowadziłem ją w głąb posiadłości, do miejsca, z którego było widać dom. W sali muzycznej panowała ciemność, ale dostrzegłem światło w oknie mojej sypialenki. Widocznie wstawiono tam drugie łóżko i z wyjątkiem dni moich wizyt mieszkały tam Julie i June. Julie będzie dziś spała w „moim” łóżku, wydało mi się to niemal symbolizującym zakończeniem owej nocy. Szeptem wymieniliśmy parę zdań na temat następnego weekendu, ale już bez niepokoju. Starszy pan dotrzymał słowa, nikt nas nie śledził, nareszcie zostałem zaakceptowany jako Ferdynand tej słonowłosej, ciepłoustej, powolnej Mirandy. Cokolwiek zajdzie, mieliśmy przed sobą całe lato, całe życie.

Choć byłem zmęczony, wdrapywałem się na grzbiet szybkim krokiem, by jak najprędzej wyschło moje mokre ubranie. Nie kłopotalem się myślą o czekającym mnie dniu, o braku snu, o walce, jaką będę musiał stoczyć z samym sobą, żeby nie zasnąć w klasie. Wszystko to wydawało mi się nieważne. Julie oczarowała mnie. Jakbym natknął się na śpiącą królową, a po jej przebudzeniu odkrył, że nie tylko mnie kocha, ale jest wygłodzona zmysłowo i z rozkoszą podda się egzorcyzmom, by przepędzić z pamięci smutne doświadczenia zeszłorocznej perwersyjnej miłości. Wyobrażałem sobie Julie za jakiś czas, kiedy nabierze doświadczenia i biegłości Alison, jej namiętność jednak będzie, bogatsza, bardziej zróżnicowana; dzięki lepszemu smakowi, wyobraźni będzie przesycona poezją... Idąc uśmiechałem się do samego siebie. Cienki sierp nowego księżyca i gwiazdy oświetlały drogę przez cichy widmowy las pinii, którą znałem już na pamięć. Bawiłem myślami w przyszłości, nieskończony powab powolnego ciała, noce w wiejskiej chacie, popołudniowe sjesty... a kiedy wreszcie nastąpi nasycenie, złocista obecność June. Kochałem Julie, tak, ale każdej miłości potrzebna jest oprawa.

Znów zacząłem zastanawiać się nad tym cudownym zagadkowym zrządzeniem losu, które doprowadziło do naszego spotkania. Conchis i jego plany.. Jeśli ktoś posiada prywatną menażerię, chodzi mu przede wszystkim o to, aby zwierzęta nie opuściły ogrodzenia, nie zamierza dyktować im, co mają robić w klatkach. Conchis otoczył nas kratami, niepostrzeżenie ustawił psychiczne kraty, które nie pozwalały nam uciec z Bourani. Zachowywał się jak elżbietański dostojnik. Byliśmy jego prywatnym zespołem teatralnym, trupą hrabiego Leicester, tyle że przeprowadzając swoje „doświadczenie” wprowadził w nie element teorii Heisenberga, i nic nie było zdeterminowane ani dla niego, obserwatora-podglądacza, ani dla nas, obserwowanych atomów ludzkich. Podejrzewałem, że przynajmniej częściowo jego intencją jest unaocznienie nam skądinąd fałszywego kontrastu między przemądrą dojrzałą Europą i nieopierzoną Anglią. Mimo całej swojej piekielnej przebiegłości nie był zdolny, tak jak większość Europejczyków, do przeniknięcia złożonej, angielskiej postawy wobec życia. I mnie, i dziewczęta uważał za osoby niedojrzałe i naiwne; nie wiedział, że możemy prześcignąć go w perfidii, dlatego właśnie, iż jesteśmy Anglikami, już urodziliśmy się w maskach i od urodzenia uczono nas obłudy.

Zbliżałem się do grzbietu. Od czasu do czasu spod moich stóp usuwał się że zgrzytem jakiś kamyk, poza tym panowała cisza. Gdzieś w dole, za zmiętym zielonym aksamitem koron pinii pod rozgwieżdżonym niebem lśniło morze. Świat należał do nocy.

Drzewa przerzedziły się, zbocze wznosiło się stromo aż po skałę, sterczącą z południowej strony grzbietu. Zatrzymałem się, by złapać oddech, obejrzałem się na Bourani; spojrzałem na zegarek, minęła północ. Cała wyspa spała głębokim snem. Srebrny paznokietek księżycy wywołał we mnie pozbawione, melancholii poczucie egzystencjonalnego osamotnienia, to uczucie, że jest się samemu we wszechświecie, które nawiedza nas czasem nocą.

Nagle gdzieś z tyłu, z góry, dobiegł mnie jakiś szelest. Cichy, ale wystarczyło to, żebym zszedł szybko ze ścieżki i ukrył się w cieniu pinii. Ktoś albo coś strąciło z góry kamień. Upłynęło może piętnaście sekund i nagle znieruchomiałem tyleż z przerażenia ile z ostrożności.

Na szczycie skały stał mężczyzna, szara sylwetka na tle nieba. Potem zobaczyłem drugiego mężczyznę, potem trzeciego. Słyszałem ciche kroki, stłumiony metaliczny szcęk. Nagle, jakby za sprawą czarów, było ich już sześciu. Sześć szarych cieni na tle horyzontu. Jeden podniósł rękę i na coś wskazał, ale nie słyszałem

żadnego głosu. Mieszkańcy wyspy? Ale oni latem nigdy nie pojawiali się na grzbiecie gór, a w ogóle nigdy nie pojawiali się tu nocą. Nagle zdałem sobie sprawę, że byli to żołnierze. Widziałem niewyraźny zarys karabinów, pobłyskiwały hełmy.

Przed miesiącem na lądzie odbywały się greckie manewry wojskowe, po cieśninie krążyły na łodziach patrole. Musiały to być ćwiczenia podobnej grupy komandosów. Ale na wszelki wypadek nie ruszyłem się z miejsca.

Któryś z mężczyzn wykonał pół obrotu, inni poszli w jego ślady. Pomyślałem sobie, że wiem, o co chodzi. Idąc grzbietem nie zauważyli ścieżki, która prowadziła w dół, w stronę Bourani i Moutsy. Moje przypuszczenia potwierdził huk, który dobiegł z oddali, taki jak przy puszczaniu sztucznych ogni. I gdzieś na zachód od Bourani zobaczyłem migoczącą w górze rakietę, która parabolicznym łukiem opadała w dół. Sześciu żołnierzy miało najwidoczniej „zaatakować” jakiś obiekt z drugiej strony Moutsy.

Mimo wszystko rozejrzałem się. O dwadzieścia jardów w bok zobaczyłem kilka głazów obrośniętych krzakami. Pobiegłem, jak mogłem najciszej i nie dbając o moje czyste spodnie i koszulę schowałem się w małym zagłębieniu między dwiema skałami. Skały były jeszcze ciepłe od słońca. Wpatrywałem się w biegnącą w dół ścieżkę.

Po paru sekundach przekonałem się, że miałem rację. Żołnierze schodzili w dół. Prawdopodobnie byli to mili chłopcy z Epiru. Ale ja przywarłem do ziemi. Kiedy usłyszałem, że minęli mnie, że przeszli już co najmniej trzydzieści jardów, wyrzałem zza gałęzi.

Podskoczyło mi serce. Zobaczyłem niemieckie mundury. Przez sekundę sądziłem, że to może greccy żołnierze zostali przebrani na czas manewrów, by tym lepiej udawać „wroga”. Ale to było niemożliwe, po okropieństwach okupacji żaden grecki żołnierz pod żadnym pozorem nie włożyłby na siebie niemieckiego munduru. Zrozumiałam. Maskarada przekraczała granice Bourani, demoniczny starzec nie dał za wygraną.

Ostatni żołnierz niósł na plecach masywniejszy niż inni pakunek, z którego sterczał jakiś pręt. Doznałem olśnienia. Zrozumiałem, że w szkole szpiegował mnie prócz Deme-triadesa jeszcze jeden nauczyciel. Wyglądający z turecka Grek, krępy, milczący mężczyzna z krótko ostrzyżonymi włosami, nauczyciel nauk ścisłych. Nigdy nie przychodził do pokoju nauczycielskiego, przesiadywał w swoim laboratorium. Koledzy przewalali go o *Alchemikos* — alchemikiem. Przypomniałem sobie z goryczą, że był on jednym z najbliższych przyjaciół Patarescu. A w laboratorium, miał

nadajnik, ponieważ wielu uczniów marzyło o zawodzie radiotechnika. Uderzyłem pięścią w ziemię. Wszystko stało się jasne. Oto skąd w Bourani wiedziano zawsze, kiedy się pojawię. W szkole była tylko jedna brama, przesiadywał w niej zawsze ten sam stary odźwierny.

Żołnierze znikli. Ich buty musiały mieć gumowe podeszwy, poruszali się bezszelestnie. Ale prawdopodobnie pomieszał im szyki fakt, że całą drogę szedłem szybko, niemal biegłem. Rakieta była pewnie lekko opóźnionym sygnałem, że wyruszyłem w drogę. Przez chwilę oskarżałem w myślach Julie, ale zaraz ją uniewinnilem. Moja nieufność wobec niej byłaby teraz wyraźnie na rękę Conchisowi; nie przewidział jednak, że „przynęta” znalazła sposób, aby dowieść myszy, że jest po jej stronie. Byłem pewien, że Julie nic nie wie o tej nowej pułapce; mysz zamieniła się w lisa i nie da się już tak łatwo oszukać.

Czułem pokusę, by pójść w ślad za żołnierzami i sprawdzić, dokąd zmierzają, ale przypomniałem sobie własne doświadczenia wojskowe. Nigdy bez koniecznej potrzeby nie wyruszać na patrol podczas bezwietrznych nocy i nie zapominać, że ten, kto jest bliżej księżyca, widzi nas lepiej niż my jego. W trzydzieści sekund po przemarszu żołnierzy przestałem ich słyszeć. Stoczył się jeszcze jakiś kamień i znów nastąpiła cisza. Odczekałem jeszcze pół minuty i zacząłem, najszybciej jak mogłem, wspinać się prowadzącą w górę ścieżką.

Znalazszy się na grzbiecie, musiałem przebyć pięćdziesiąt jardów otwartej przestrzeni, nim znów mogłem zejść na ścieżkę na północnym zboczu. Grzbiet usłany był kamieniami, rosło tu zaledwie kilka krzaków. Z drugiej strony na dość dużym obszarze rosły wysokie tamaryszki. Wśród pierzastych gałęzi widziałem czarny otwór mojej ścieżki. Stałem i nadśluchiwałem. Cisza. Puściłem się galopem.

W pół drogi usłyszałem huk. O jakieś dwieście jardów w prawo wytrysnęła w niebo rakieta. Zalała światłem grzbiet. Rzuciłem się na ziemię ukrywając twarz. Jasność zgasła. W tym samym momencie byłem na nogach i pobiegłem w stronę tamaryszków, nie zważając już, czy nie zakłócę ciszy. Dopadłem zarośli i zatrzymałem się na chwilę usiłując zgadnąć, na jaką to obłąkaną próbę usiłuje mnie wystawić Conchis. Usłyszałem kroki ludzi biegnących grzbietem. Puściłem się pędem w dół.

Ścieżka wkrótce zakręciła, stała się szersza, mogłem więc przyspieszyć jeszcze kroku. I nagle, nieoczekiwanie, potknąłem się o coś i runąłem jak długi na ziemię. Usiłowałem podeprzeć się ręką i zraniłem się o ostry brzeg skały. Z całej siły wyrznąłem żebrami o głaz. Usłyszałem własne przerażone westchnienie: „O Boże!”

Przez chwilę byłem zbyt ogłuszony, żeby zrozumieć, co się stało. Zza tamaryszków dobiegły słowa cicho wymówionej komendy. Znam zaledwie parę słów po niemiecku. Ale głos zabrzmiał jak najbardziej germańsko.

Z obu stron ścieżki zbliżały się kroki. Otoczyli mnie mężczyźni ubrani w niemieckie mundury. Było ich siedmiu.

— Co to znaczy do jasnej cholery?

Ukląknęłam, usiłując oczyścić dłonie. Palce jednej ręki pokryte były krwią. Z tyłu podeszło do mnie dwóch mężczyzn i chwyciwszy pod pachy siłą podniosło. Na środku ścieżki stał inny mężczyzna. Musiał to być dowódca. Nie miał karabinu jak inni, jedynie rewolwer. Przyjrzałem się karabinowi żołnierza z lewej strony. Robił wrażenie autentycznego; to nie był rekwizyt teatralny. I nie był to karabin grecki, lecz niemiecki.

Mężczyzna z rewolwerem, pewnie podoficer, znów powiedział coś po niemiecku. Dwóch mężczyzn schyliło się z obu stron ścieżki i odczepiło zaplątany wokół pni tamaryszków drut. Mężczyzna z rewolwerem wyjął gwizdek i zagwizdał. Spojrzałem na przytrzymujących mnie żołnierzy.

— Czy panowie mówią po angielsku? *Sprechen Sie Englisch?*

Szarpnęli mnie za ręce, nakazując milczenie. Podoficer stał na ścieżce tyłem do mnie, za nim ustawilo się pozostałych czterech mężczyzn. Dwóch z nich wkrótce usiadło.

Któryś z nich spytał o coś, chyba o pozwolenie zapalenia. Podoficer wyraził zgodę.

Zapalili, w blasku zapalniczki na sekundę pojawiły się ich twarze, zaczęli cicho rozmawiać. Wyglądali na Niemców. Nie Greków, mówiących trochę po niemiecku, lecz prawdziwych Niemców. Zwróciłem się do podoficera.

— Może by się pan przestał wygłupiać i powiedział mi, na co czekamy.

— Mężczyzna odwrócił się i podszedł do mnie. Miał pewnie ze czterdzieści pięć lat i obwisłe policzki. Zatrzymał się, kiedy jego twarz znajdowała się o jakieś dwie stopy od mojej. Nie wyglądał szczególnie brutalnie, wyglądał na to, czym był. Oczekiwałem, że splunie mi w twarz, ale on tylko spytał:

— *Was sagen Sie?*

— Idź do diabła!

Stał przyglądając mi się tak, jakby nic nie rozumiał, ale po prostu chciał mi się przyjrzeć; potem bez słowa się odwrócił. Zelał uścisk przytrzymujących mnie rąk



żołnierzy. Gdybym nie był tak pokieraszowany, spróbowałbym uciec. Ale nim jeszcze zdążyłem to pomyśleć, usłyszałem zbliżające się grzbietem kroki. Po paru sekundach zobaczyłem na ścieżce tamtych sześciu widzianych uprzednio żołnierzy. Szli gęsiego. Ale nim podeszli do nas, zatrzymali się przy grupce palaczy.

Chłopak, który mnie przytrzymał z prawej strony miał najwyżej dwadzieścia lat. Zaczął coś pogwizdywać; choć przed chwilą powiedziałem, że uważam to za wygłup, spektakl wydawał mi się dość przekonujący, teraz jednak przedobrzyli, chłopiec gwizdał słynną melodię: *Lili Marlene*. A może miała to być niemądra gra słów? Chłopak był pryszczaty, miał solidną szczękę i małe, świńskie, pozbawione rzęs oczka. Wybrano go pewnie ze względu na ten bezsprzecznie teutoński wygląd. Jego zachowanie zdradzało całkowitą obojętność, nie obchodziło go to, co robię ani kim jestem, wykonywał z precyzją automatu wydane mu rozkazy.

Obliczyłem: trzynastu ludzi, z których przynajmniej połowa to, Niemcy. Żeby sprowadzić ich z Niemiec do Aten, a potem na wyspę, wyekwipować, przeszkolić, odebrać z powrotem do Niemiec, trzeba było wydać na głowę co najmniej pięćset funtów. I po co? Żeby przerazić jedną nieważną osobę czy zrobić na niej wrażenie? Opuściła mnie poprzednia, czysto fizyczna panika, poczułem, że zmieniam nastawienie i ogarnia mnie podziw dla organizacji maskarady. Jeszcze raz zaczęła działać magia poczynań Conchisa. Byłem równocześnie przerażony i zafascynowany. Znow usłyszałem kroki. Pojawiło się jeszcze dwóch mężczyzn. Jeden był szczupły i niski. Zamaszystym krokiem schodził ścieżką, za nim szedł drugi, wyższy. Obaj mieli oficerskie spiczaste czapki. Czarne orły. Żołnierze podnieśli się pospiesznie, ale oficer skinął ręką pozwalając im nadal odpoczywać. Podeszedł prosto do mnie. Aktor ten specjalizował się niewątpliwie w rolach niemieckich pułkowników; surowa twarz, wąskie usta, brakowało mu tylko okularów w stalowej oprawie.

– Hallo.

Nie odpowiedział, spojrział na mnie tak jak przedtem sierżant, który obecnie stał za nim na baczność. Drugi oficer był wyraźnie adiutantem, porucznikiem. Zauważyłem, że lekko utyka, wyglądał trochę jak Włoch, bardzo ciemne brwi, okrągła smągła twarz, przystojny.

– Gdzie jest reżyser?

„Pułkownik” wyjął z wewnętrznej kieszeni papierośnicę i wziął papierosa. „Porucznik” podał mu ogień. Widziałem, jak za nimi przechodzi ścieżką jeden z żołnierzy niosąc coś w papierze, jakieś jedzenie. Zaczęli jeść.

– Został pan wspaniale obsadzony.

Powiedział tylko jedno słowo, starannie miętosił je w ustach i wypluł jak ziarno winogrona.

– *Gut.*

Odwrócił się i powiedział coś po niemiecku. Sierżant poszedł gdzieś i wrócił z lampką, którą zapalił i postawił tuż za mną.

„Pułkownik” odszedł, stanął koło sierżanta, przy mnie został tylko „porucznik”, w którego nie przestawałem się wpatrywać. W jego wzroku malowało się coś dziwnego, jakby chciał mi coś powiedzieć, nie mógł, ale starał się w mojej twarzy wyczytać odpowiedź. Spojrzał w bok, gwałtownie, choć niezręcznie odwrócił się na pięcie i podszedł do pułkownika. Usłyszałem cichą rozmowę po niemiecku, potem sierżant wydał komendę.

Mężczyźni wstali i z niezrozumiałych dla mnie powodów ustawili się z obu stron ścieżki, twarzami do środka, bynajmniej nie na baczność, lecz tak jakby czekali na czyjeś przejście. Myślałem, że to mnie chcą stąd zabrać. Ale moich dwóch strażników zawlekło mnie także na skraj ścieżki. Na środku został tylko sierżant i dwóch oficerów. Lampka otaczała mnie kręgiem światła. Zrozumiałem, że ma odegrać jakąś rolę w dramacie.

Nastąpiła pełna napięcia cisza. Zatem byłem obsadzony w roli obserwatora, a nie protagonisty. Wreszcie znów usłyszałem kroki. Ale tym razem pojawiła się zupełnie inna postać. Przez sekundę myślałem, że człowiek ten jest pijany. Ale zobaczyłem, że ma związane z tyłu ręce; tak jak ja był więźniem. Ciemne spodnie, nagi tors. Za nim szło dwóch żołnierzy. Jeden z nich popchnął go i człowiek jęknął. Kiedy się zbliżył, zobaczyłem, że jest bosy, że maskarada wymknęła się spod kontroli. Człowiek ten naprawdę zataczał się, utykał, nie było to udane.

Stanął tuż przede mną. Był to Grek, młody, dość niski. Miał zmasakrowaną, zapuchniętą twarz, pod prawym okiem widniała rana, z której sączyła się krew. Widać było, że z wycieńczenia ledwie trzyma się na nogach. Zauważył mnie w ostatniej chwili i obrzucił dzikim wzrokiem. W panice pomyślałem, że może jest to wiejski chłopak, którego złapali i zbili, że nie odgrywa roli więźnia, lecz jest nim naprawdę. Żołnierz bez ostrzeżenia dźgnął go w plecy. Chłopak zachwiał się i wyrwał mu się autentyczny — a przynajmniej tak to zabrzmiało — okrzyk bólu. Utykając przebył następne parę jardów. Wówczas pułkownik plunął jakimś krótkim słowem. Strażnicy brutalnie

zatrzymali chłopca. Trzech mężczyzn stało na ścieżce patrząc w dół. Pułkownik stał tuż przede mną, obok niego porucznik, obaj odwróceny do mnie plecami.

Znów cisza, słychać było tylko ciężki oddech rannego. I nagle pojawił się drugi człowiek ze związanymi z tyłu rękami. Zrozumiałem, gdzie jestem. Był rok 1943 i patrzyłem na schwytanych partyzantów.

Drugi mężczyzna, był to wyraźnie *kapetan* – dowódca, był mocno zbudowany, miał blisko sześć stóp wzrostu, zbliżał się do czterdziestki. Jedna naga ręka wisiała na temblaku ze sznura, ramię było obandażowane, spod prymitywnego bandaża sączyła się krew. Podeszedł do mnie, wspaniała twarz *klepht*, sumiaste czarne wąsy, orli nos. Parokrotnie zdarzyło mi się widzieć takie twarze na Peloponezie, ale widziałem, skąd pochodzi, bo na jego czole widniała czarna ozdobiona frędzlami opaska górali z Krety. Wyglądał jak z dziewiętnastowiecznego sztychu. Wyobrażałem go sobie w ludowym stroju, z jataganem o srebrnej rękojeści i pistoletami za pasem, szlachetny rozbójnik prosto z Byrona. Ubrany był w spodnie angielskiego munduru polowego i koszulę khaki. On także był boso. Ale nie potykał się. Nie został, może ze względu na ranne ramię, aż tak zmasakrowany jak tamten chłopak.

Zatrzymał się i zza pułkownika i porucznika spojrział mi prosto w twarz. Zrozumiałem, że ma mnie rozpoznać, że już mnie spotkał. W jego wzroku malowała się gwałtowna odraza. I pogarda. I rozpacz. Przez chwilę milczał. Potem szepnął, a brzmiało to jak syk.

– *Prodotis!*

Zdrajca.

Powiedział to z takim przekonaniem, tak całkowicie wszedł w swoją rolę, że ja, nawet sobie tego w pełni nie uświadomiwszy, zachowałem się także, jak aktor i pokornym milczeniem skwitowałem jego spojrzenie i nienawiść. Przez chwilę byłem zdrajcą.

Partyzant kopnięty, ruszył, ale przedtem odwrócił się jeszcze raz i obrzucił mnie piętnującym spojrzeniem. I znów to słowo, jakby obawiał się, że go nie dosłyszałem.

– *Prodotis!*

Równocześnie rozległ się krzyk. Pułkownik zakomenderował: *Nicht schiessen!* Moi strażnicy mocniej chwycili mnie za ramiona. Chłopak uciekł. Schronił się w zaroślach tamaryszków. Za nim rzucili się jego strażnicy i paru żołnierzy stojących

wzdłuż ścieżki. Udało mu się przebiec co najwyżej dziesięć jardów. Znów krzyk, kilka słów po niemiecku i przesywający jęk, jeden, drugi. Odgłosy kopniaków.

Stojący przede mną porucznik odwrócił się i spojrzał w noc. Jakby chciał mi dać do zrozumienia, że brutalność wywołuje w nim odrazę. Pułkownik zauważył to. Spojrzał na porucznika, spojrzał na strażników i oświadczył – po francusku – żeby nie zrozumieli go żołnierze, żebym zrozumiał go ja.

– *Mon lieutenant, voilà pour moi la plus belle musique dans le monde.*

Mówił po francusku z silnym akcentem, a przy słowie *musique* skrzywił się ironicznie. Oto wyjaśnienie sytuacji. Miałem do czynienia z typowym niemieckim sadystą, a porucznik miał być typowym „porządnym” Niemcem.

Porucznik chciał coś odpowiedzieć, ale w tej chwili noc rozdarł straszny krzyk. Krzyczał drugi mężczyzna, szlachetny rozbójnik, i okrzyk ten z samego dna jego płuc musiała usłyszeć cała wyspa. Jedno tylko słowo, najbardziej greckie ze wszystkich słów.

Wiedziałem, że mam do czynienia z aktorstwem, ale było to wspaniałe aktorstwo. Krzyk wyrwał się prosto z trzewi, zabrzmiał jak diabelski skowyt.

Pułkownika jakby dźgnęła ostroga. Jak sprężyna odwrócił się w miejscu. Trzema krokami podbiegł do Kreteńczyka i wyrzwał go z całej siły w twarz. Głowa uderzonego poleciała w bok, ale zaraz się wyprostował. Gdybym to ja sam został spoliczkowany, nie odniósłbym większego szoku. Ściekająca z ramienia krew, zmasakrowana twarz, wszystko to mogło być charakterystyczną, ale to uderzenie było autentyczne.

Poniżej nas żołnierze wyciągnęli chłopca z krzaków. Nie mógł ustać na nogach, wlekli go za ręce. Rzucili go na ścieżkę i leżał tam jęcząc. Sierżant podszedł, wziął od któregoś z żołnierzy manierkę i wylał na twarz leżącego trochę wody. Mężczyzna spróbował wstać. Sierżant powiedział coś i żołnierze pomogli mu dźwignąć się na nogi.

Pułkownik wydał jakiś rozkaz.

Żołnierze podzielili się na dwie grupy, wzięli do środka jeńców i ruszyli. Po minucie ostatni znikł mi z oczu. Zostałem sam z moimi dwoma strażnikami, z pułkownikiem i porucznikiem.

Podszedł do mnie pułkownik. Spojrzał zimnym wzrokiem bazyliuszka. I powiedział po angielsku podkreślając z cudzoziemską każde słowo.

– To. Nie. Koniec.

Na jego twarzy pojawił się ślad okrutnego uśmiechu wyrażającego groźbę. Jak gdyby chciał powiedzieć nie tylko to, że owa scena będzie miała ciąg dalszy, ale że kiedyś odrodzi się cały ten hitlerowski *Weltanschauung*. Wyglądał imponująco; robił wrażenie człowieka z żelaza. Po tych słowach odwrócił się i poszedł ścieżką w ślad za żołnierzami. Porucznik ruszył za nim. Zawołałem:

— Nie koniec czego?

Ale nie otrzymałem odpowiedzi. Dwie ciemne postacie, z których jedna, lekko utykała, nikły między bladymi, miękkimi ścianami tamaryszków. Zwróciłem się do moich strażników.

— A co teraz?

Potrząsnęli mną i zmusili, bym usiadł. Chwilę zmagaliśmy się, ale zwycięstwo przyszło im śmiesznie łatwo. Związali mi nogi w kostkach i posadzili tak, że mogłem oprzeć się o głaz. Młodszy żołnierz sięgnął do kieszeni i rzucił mi trzy papierosy. Przyjrzałem się im w świetle zapalki. Zwykle, tanie papierosy. Między maleńkimi czarnymi swastykami na bibułce widniały czerwone słowa *Leipzig dank euch*. Zapalony przeze mnie papieros był zwietrzały, miał co najmniej z dziesięć lat, czyżby byli aż tak pedantyczni i sięgnęli do puszki zachowanej z czasów wojny? W 1943 roku papieros ten smakowałby na pewno inaczej.

Próbowałem nawiązać z nimi rozmowę. Po angielsku, po francusku, grecku; wydobyłem nawet z pamięci parę znanych mi niemieckich słów. Ale oni z nieruchomymi twarzami siedzieli naprzeciw mnie po drugiej stronie ścieżki. Przez cały ten czas zamienili między sobą najwyżej dziesięć słów, wyraźnie mieli rozkaz nie rozmawiać ze mną.

Kiedy mnie związali po raz pierwszy, spojrzałem na zegarek. Była dwunasta trzydzieści pięć. Teraz dochodziło pół do drugiej. Z północnego wybrzeża wyspy, o parę mil na zachód od szkoły, dobiegł mnie cichy warkot motoru. Brzmiał raczej jak motor przybrzeżnej motorówki niż jachtu. Aktorów zabrano z wyspy. Moich dwóch strażników wyczekiwało widać tego sygnału. Wstali, starszy pokazał mi kuchenny nóż i rzucił go tam, gdzie poprzednio siedzieli. Potem bez słowa odeszli, ale w inną stronę. Zaczęli wdrapywać się ścieżką na grzbiet, a potem schodzić ku Bourani.

Kiedy upewniłem się, że są już daleko, przyczołgałem się po kamieniach do noża. Nóż był tępy, sznur mocny, dwadzieścia minut zabrało mi uwolnienie się z więzów. Wdrapałem się z powrotem na grzbiet i spojrzałem w stronę południowego wybrzeża. Spokój, cisza, gwiazdzistość krajobrazu, typowa egejska wyspa pogrążona w

klasycznej nocy. Na morzu bujał się na kotwicy jacht. Słyszałem z tyłu warkot łodzi zdążającej do Nauplii. Przyszło mi na myśl, żeby pobiec do Bourani, wtargnąć tam jak nawałnica, obudzić dziewczęta, wytoczyć sprawę Conchisowi, żądać wyjaśnień. Byłem jednak potwornie zmordowany, wierzyłem w niewinność dziewcząt i wcale nie byłem pewien, czy zostaną dopuszczony do willi... mogli przewidzieć taką moją reakcję, a przeciwnicy byli liczniejsi. I niezależnie od gniewu znów ogarnęło mnie coś w rodzaju nabożnej, nie pozbawionej lęku czci dla poczynań Conchisa. Znów poczułem się częścią mitu, którego nie potrafiłem zrozumieć, ale byłem świadom, że po to, by nastąpiło zrozumienie, mit musi trwać, choćby miało mnie to narazić na najprzykrzejsze perypetie.

## 50

Lekcje zaczynały się o siódmej rano, spałem zatem niespełna pięć godzin. Pogoda była znów uciążliwa, nieruchomy upał. Słońce wypaliło już ziemię, reszeczki zieleni wyglądały zupełnie bezradnie. Wędrownie gąsienice zaatakowały pinie, kwiaty oleandrów brązowiały w oczach. Żyło jeszcze tylko morze i udało mi się zebrać myśli dopiero podczas południowej przerwy, gdy zanurzyłem się w wodzie i unosiłem się na jej błękitnej powierzchni.

Rano przyszło mi do głowy tylko jedno. Poza głównymi aktorami wszyscy „niemieccy żołnierze” wyglądali bardzo młodo, na osiemnasto-dziewiętnastolatków. Był to początek lipca, na niemieckich i greckich uniwersytetach rozpoczęły się już pewnie wakacje. Jeśli Conchis miał naprawdę coś wspólnego z produkcją filmów, mógł dość łatwo sprowadzić niemieckich studentów, aby popracowali dla niego kilka dni i spędzili resztę wakacji w Grecji. Nie wierzyłem jednak, że sprowadził ich tylko na ten jeden występ. Tak jak ostrzegł mnie pułkownik, należało oczekiwać następnych sadystycznych scen.

Leżałem na plecach, rozłożywszy ręce, zamknięwszy czy, ukrzyżowany na wodzie. Uspokoilem się już dostatecznie, by wiedzieć, że nie napiszę tego sarkastycznego listu, który układałem sobie w głowie schodząc z grzbietu wzgórz. Niezależnie od wszystkiego wydawało się, że tego właśnie spodziewa się po mnie starszy pan, w szkole zauważyłem, że Demetriades baczenie mi się przygląda, za najlepsze posunięcie uznałem więc niespełnienie oczekiwań Conchisa. I po

zastanowieniu doszedłem do wniosku, że siostronom nic nie grozi; póki Conchis uważa, iż je wprowadził w błąd, są bezpieczne, a w każdym razie równie bezpieczne jak dotychczas. Jeśli miałem pomóc im w ucieczce, należało czekać, aż je spotkam, nie robić nic, co by ostrzegło Conchisa o mych zamiarach. I tak miał nade inną ogromną przewagę: to on był organizatorem „programu rozrywkowego” — i to jakiego programu! Niemądrze byłoby gniewać się na szczególny sposób, w jaki ten program realizowano, skoro ważne było, że w ogóle istniał!

Poranny statek przyniósł pocztę, listy rozdano nam w czasie lunchu. Otrzymałem trzy. Jeden od wuja z Rodezji, drugi z Pritish Council w Atenach zawierał biuletyn informacyjny, a trzeci... Poznałem pismo, okrągłe, lekko koślawe, duże litery. Przeciąłem kopertę. Wypadł z niej mój list od Alison. List ten nie został otwarty. I nic więcej. W parę minut później spaliłem go w swoim pokoju w popielniczce.

Nazajutrz był piątek. Podczas lunchu znów otrzymałem list. Przyniósł go posłaniec, poznałem pismo. Otworzyłem go dopiero po wyjściu z jadalni — chwała Bogu, bo po przeczytaniu głośno zakląłem. Gdybym został spoliczkowany, byłoby to dla mnie czymś równie niespodziewanym i brutalnym. List pozbawiony był nagłówka, daty, miejsca i wszelkich uprzejmościowych formułek.

*Jest Pan proszony o nieskładanie dalszych wizyt w Bourani. Przyczyny są chyba jasne. Bardzo się na Panu zawiodłem.*

*Maurice Conchis*

Ogłuszył mnie gniew i rozczarowanie. Jakim prawem przemawia tak arbitralnym tonem? Było to zupełnie niezrozumiałe, pozostawało w sprzeczności ze wszystkim, czego się dowiedziałem od Julie; choć po namyśle pojąłem, że mogło być konsekwencją późniejszych wydarzeń. Oskarżenie o zdradę nabrało nowego znaczenia. Z przerażeniem zdałem sobie sprawę, że scena z okupacji mogła stanowić finał, że Conchis odprawił mnie. Ale co z dziewczętami? Co im powiedział? Jaka historijkę mógł wymyślić, skoro wiedziały od dawna, że są okłamywane?

Przez cały dzień podświadomie oczekiwałem, że dziewczęta pojawią się w szkole. Musiały przecież go przejrzeć. Przyszło mi na myśl, żeby zwrócić się do policji, zaalarmować brytyjską ambasadę w Atenach. Ale powoli ochłonałem. Przypomniałem

sobie *Burzę* i próbę, na którą Prospero wystawił w swoich włościach młodego uzurpatora. Przypomniałem sobie, ile razy Conchis mówił co innego, niż myślał, a przede wszystkim przypomniałem sobie Julie... nie tylko jej nagie ciało w morzu, ale zaufanie, jakim intuicyjnie darzyła naszego Prospera. Kiedy kładłem się spać, byłem już przekonany, że muszę potraktować ten list jako ostatni ponury żart z jego strony, coś w rodzaju tej historii z kośćmi i samobójczą pigułką. Nie mogłem pogodzić się z myślą, że naprawdę zamierza ukryć przede mną Julie, ukryć prawdę. Nie może nie wiedzieć, że nazajutrz i tak wybiorę się do Bourani. Może udać, że tego nie pochwala, ale będzie tam. I będzie tam także jego druga marionetka i pomoże mi go zdemaskować.

W sobotę, parę minut po drugiej, byłem już w drodze. O trzeciej znalazłem się w gęszczu tamaryszków. W rozżarzoną upałę — utrzymywała się bezwietrzna duszna pogoda — trudno było uwierzyć, że to, co widziałem tamtej nocy, zdarzyło się naprawdę. Ale zobaczyłem parę złamanych gałęzi i kilka przewróconych, powalanych ziemią kamyków. Nieco wyżej podniosłem z pół tuzina niedopałków. Jeden był dość długi i odcyfrowałem początek tego samego zdania: *Leipzig do...*

Stałem na skale spoglądając na południową część wyspy. Jachtu nie było, ale i tak nie utraciłem nadziei.

Doszedłem do bramy i ruszyłem prosto w stronę domu. I dom, i chata były zamknięte, puste. Załomotałem okiennicami drzwi balkonowych, potem drugich. Nie ustąpiły. Cały czas rozglądałem się, nie dlatego, bym przypuszczał, iż ktoś mnie śledzi, lecz dlatego, że sądziłem, iż powinno mi się tak wydawać. Musieli mnie przecież obserwować; może siedzieli po prostu w domu i uśmiechali się kpiąco w ciemnościach, nie dalej niż parę stóp ode mnie. Poszedłem rzucić okiem na plażę. Oblane słońcem molo, pompa, zaciemniony otwór małej groty, ale nie było motorówki. Wspiąłem się pod posąg Posejdona. Milczący bóg, milczące drzewa. Zbiegłem na brzeg, na którym poprzedniej niedzieli siedzieliśmy z Julie.

Tutaj lekki zefirek i przepływające ławice sardynek burzyły gdzieś gładką powierzchnię martwego morza.

Poszedłem wzdłuż brzegu w stronę zatoki, nad którą stały trzy chaty. Zobaczyłem wschodni kraniec wyspy i w tym momencie zagroziły mi drogę druty otaczające Bourani. Tak jak wszędzie były zardzewiałe, stanowiły raczej symboliczną



niż prawdziwą przeszkodę. Trochę dalej nadmorska skała opadała stromo w dół. Przebiegłem pod drutami i poszedłem w głąb posiadłości. W paru miejscach mógłbym zejść w dół, ale tam rozpościerała się nieprzebyta dżungla ciernistych krzaków i pnączy. Doszedłem do miejsca, gdzie ogrodzenie skręcało na zachód, w stronę bramy. Nigdzie nie widziałem przewróconych kamieni ani dziur w ogrodzeniu. Wreszcie trafiłem na ledwie widoczną ścieżkę, którą szedłem po mojej pierwszej wizycie w chatach.

Po chwili znalazłem się już w otaczającym je oliwnym gaju. Zamajaczyły mi trzy pobielone domki. Dziwne, nie widziałem kur ani osiołków. Ani nawet psa. Wtedy powitało mnie szczekanie kilku psów.

Dwie chaty stały tuż koło siebie. Frontowe drzwi były zaryglowane, zamknięte na kłódki. Drzwi trzeciej wyglądały bardziej zachęcająco, ale gdy je popchnąłem, stawily opór. Były zaryglowane od wewnątrz. Obszedłem chatę. Na tylnych drzwiach wisiała kłódka. Ale na bocznej ścianie, nad kurnikiem, zobaczyłem obluzowane okiennice. Zajrzałem przez brudne szyby. Stare mosiężne łóżko, na środku sześciu złożonej pościeli. Ściana zawieszona świętymi obrazkami i fotografiami rodzinnymi. Dwa drewniane wyplatane trzciną krzesła, pod oknem dziecinne łóżeczko, stary kufer. Tuż przede mną na parapecie stała brązowa świeca zatknięta w butelkę po retsinie, leżał rozerwany wianek z nieśmiertelników, zardzewiałe zębate koło i gruba warstwa miesięcznego kurzu. Zamknąłem okiennice.

W drugiej chacie tylne drzwi były zamknięte na rygiel, ale zamiast założyć kłódkę, związano go linką od wędki. Zapaliłem zapalniczkę. W pół minuty później byłem już w chacie. Znowu sypialnia. Nic w tym ciemnym pokoju nie obudziło moich podejrzeń. Zajrzałem do kuchni i do pokoju od frontu. Stąd drzwi prowadziły prosto do sąsiedniej chaty; znowu kuchnia, a za nią zatechła sypialnia. Otworzyłem parę szuflad, zajrzałem do szafy. Nie było wątpliwości, chaty te naprawdę należały do ubogich mieszkańców wyspy. Tylko dlaczego świeciły pustką?

Wyszedłem i okręciłem rygiel kawałkiem drutu. O jakieś pięćdziesiąt jardów zobaczyłem wśród oliwnych drzew pobielony wychodek. Poszedłem tam. Nad otworem szamba pajęczyna. Na zardzewiałym gwoździu parę ćwiartek pozółkłych już greckich gazet.

Niewypał.

Podszedłem do cysterny obok chat, podniosłem drewniane wieko i spuściłem na linie stare wiadro. Z otworu wypłynął, jak uwięziony wąż, strumień chłodnego

powietrza. Przysiadłem na ocembrowaniu i wypilem chciwie parę łyków. Woda miała kamienistą świeżość wody ze studni, o ileż miłszą od pozbawionej smaku wody z kranu.

Błyszczący czarnoczerwony pająk zdążył ku mnie przemierzając na ukos cembrowinę studni. Zagroziłem mu drogę ręką, wskoczył na nią i przyglądając mu się z bliska zobaczyłem jego małe czarne oczka wyglądające jak latarenki łodzi. Pająk przekrzywił swą masywną kwadratową głowę z boku na bok, parodia badawczości Conchisa. I znów, tak jak wtedy z sową, nawiedziło mnie dość niesamowite uczucie realności czarów, prześladowczej wszechobecności Conchisa.

Prawdziwą klęską było dla mnie uświadomienie sobie, że nie jestem nieodzowny. Zżyłem się z myślą, iż moja obecność niezbędna jest do „eksperymentu” Conchisa: widocznie myliłem się, musiałem należeć do bocznego wątku i kiedy zachciało mi się odegrać ważniejszą rolę, postanowiono mnie w ogóle odsunąć. Najbardziej drażniło mnie, że zostałem – i to bez wyraźnego powodu – zepchnięty do tej samej kategorii co Mitford. Równocześnie ogarnął mnie strach, paranoiczny strach. Choć Conchis mógł oczywiście wymyślić jakieś przekonywujące kłamstwo, by wyjaśnić dziewczętom, dlaczego nie pojawię się podczas weekendu, trudno było wykluczyć możliwość, że cała trójka uknuła przeciwko mnie spisek. Ale te pocałunki, pieszczoty, ta nocna przygoda w morzu... żadna dziewczyna nie potrafiłaby tego udać, chyba że byłaby prostytutką. Nie, to było nie do pomyślenia. Klucz do zagadki musiał znajdować się gdzie indziej. Może udzielono mi metafizycznej lekcji na temat miejsca człowieka w życiu, pokazano granicę egocentrycznego punktu widzenia. Choć przypominało to bardziej bezinteresowne okrucieństwo, znęcanie się nad nierozumnym zwierzęciem, niż naukę. Tonąłem w morzu nieufności, nie tylko wobec pozorów, ale i głębszej motywacji. Przez wiele tygodni miałem uczucie, że jestem rozbierany na części, oddzielony od mojego poprzedniego ja, od powiązanych struktur myślowych i świadomych odczuć, które tworzą owo ja, a teraz było tak, jakby te części leżały na warsztacie, ale mechanik znikł. I wcale nie byłem pewien, czy sam potrafię sprostać zadaniu konstrukcyjnemu.

Ze zdziwieniem spostrzegłem, że myślę o Alison, po raz pierwszy nie tyle z poczuciem winy ile z żalem. Niemal pragnąłem, żeby znalazła się koło mnie. Żebym mógł z nią pogadać, tak jak pogadałbym z przyjacielem; nie, nie chodziło mi o nic więcej. Od chwili, kiedy mój list wrócił nie otwarty, ani razu o niej nie pomyślałem. Należała do przeszłości. Ale teraz przypomniałem sobie chwile na Parnasie, szmer

wodospadu, palące w plecy słońce, jej zamknięte oczy, jej ciało wygięte tak, abym mógł w nią jak najgłębiej wejść... tę dziwną pewność, że zawsze będę wiedział, kiedy skłamię, dlaczego skłamię, że w gruncie rzeczy nie potrafi mnie okłamać. Oczywiście, na co dzień odbierało jej to atrakcyjność, skoro mogłem przejrzeć ją na wskroś, przewidzieć, jak postąpi. W dziewczynach pociągała mnie zawsze ich tajemniczość, bawiło mnie poznawanie ich sekretów, ściąganie z nich szatek było metaforycznym dotarciem do ich prawdziwego ja. Z Alison było to zawsze zbyt łatwe. A zresztą... Wstałem i aby przegnać ten nastrój, zapaliłem papierosa. Myślenie o Alison równało się myśleniu o rozlanym mleku. Zresztą dziesięciokrotnie silniej pragnąłem Julie.

Resztę popołudnia spędziłem przeszukując wybrzeże na wschód od trzech chat, potem wróciłem do Bourani w porze, kiedy pod arkadami czekał mnie zwykle podwieczorek. Ale dom świecił pustką. Przez dobrą godzinę szukałem jeszcze raz listu, szukałem jakiegoś znaku, trochę tak jak w poszukiwaniu zaginionego przedmiotu zagląda się po raz setny do tej samej szuflady.

O szóstej ruszyłem z powrotem do szkoły, zawiedziony i wściekły. Na Conchisa, na Julie, na cały świat.

Z drugiej strony wsi był drugi port, do którego zawijali wyłącznie miejscowi rybacy. Nikt ze szkoły, nikt z notabli wsi nigdy tam nie zaglądał. Wiele domów rozlatywało się, a te, które jeszcze stały, miały dachy ponaprawiane blachą, a dziury w murach załatane cementem. Znajdowały się tam trzy tawerny, ale tylko jedna była jako tako obszerna. Przed drzwiami stało kilka źle oheblowanych drewnianych stołów.

Już raz, wracając z jednego z moich samotnych zimowych spacerów wstąpiłem tam, by się czegoś napić. Przypomniałem sobie, że oberżysta był gadatliwy i że stosunkowo łatwo udawało mi się go zrozumieć. Może dlatego, że pochodził z Anatolii był w porównaniu do innych wyspiarzy bardzo rozmowny. Nazywał się Georgiou, miał twarz lisa, a kosmyk posiwiałych czarnych włosów i niewielki wąsik nadawały mu raczej komiczne podobieństwo do Hitlera. W niedzielę rano usiadłem pod katalpą i zaraz podbiegł służalczo, zachwycony widokiem bogatego klienta. Tak, odparł, będzie zaszczycony mogąc wypić ze mną szklaneczkę *ouzo*. Jednemu ze swych dzieci kazał podać najlepsze *ouzo* i najwspanialsze oliwki. Czy zadowolony jestem z pracy w szkole? Jak podoba mi się Grecja?... Odpowiedziałem grzecznie na wszystkie rytualne pytania. Potem przystąpiłem do ataku. Na błękitnej wodzie unosiło się paręnaście

stateczków, spłowiła czerwień lub zieleń. Wskazałem na nie.

— Szkoda, że nie ma tu zagranicznych turystów. Mogliby przyplýwać jachtami.

— Ech. — Wypluł pestkę oliwki. — Nikt nie przyplýwa na Phraxos.

— Słyszałem, że Conchis z Bourani ma jacht.

— Och, on! — Od razu zrozumiałem, że Georgiou należy do wioskowych wrogów Conchisa. — Zna go pan?

Odpowiedziałem, że nie znam, ale że zamierzam złożyć mu wizytę. Ma jacht?

Tak, ale ten jacht nigdy nie pojawia się z tej strony wyspy.

Czy spotkał kiedyś Conchisa?

— *Ochi*. Nie.

— Czy Conchis ma domy we wsi?

Tylko jeden, ten, w którym mieszka Hermes. Blisko kościoła, zwanego kościołem Św. Eliasza, na tyłach wsi. Udając, że zmieniam temat, zapytałem o te trzy chaty koło Bourani. Gdzie podziiali się ich mieszkańcy?

Wskazał ręką na południe. — Przenieśli się na ląd. Na lato. — Wyjaśnił, że część rybaków wyspy prowadziła życie nomadów. Zimą wypływali na połowy na spokojnych wodach koło Phraxos, latem zabierali rodziny i opływali wokół Peloponez, czasem dopływali aż na Kretę szukając obfitszych połowów. Potem zaczął mówić o chatach.

Wskazał w tamtą stronę i zrobił gest, jakby pił. — Te cysterny są do niczego. Latem woda nie nadaje się do picia.

— Naprawdę? Nie do picia?

— Tak.

— To skandal.

— To jego wina. Tego z Bourani. Mógłby zrobić nowe cysterny. Ale to skąpiec.

— To on jest właścicielem tych chat?

— *Vevaios*. Oczywiście. Cała tamta strona wyspy należy do niego.

— Cała?

Zaczął wyliczać na palcach: Korbi, Stremi, Bourani, Moutsa, Pigadi, Zastena... nazwy wszystkich przylądków i zatoczek koło Bourani. I to był niewątpliwie drugi powód niechęci miejscowych do Conchisa. Wielu Ateńczyków, bogatych Ateńczyków, chętnie pobudowałoby tam wille. Ale Conchis nie chciał sprzedać ani jarda ziemi, pozbawił wyspiarzy tak bardzo potrzebnych pieniędzy. Ta wiadomość dowodziła, że Demetriades był człowiekiem Conchisa. Nie wspomniał o czymś, o czym musiała wiedzieć cała wieś.

— Ale goście Conchisa zachodzą chyba do wsi?

Zaprzeczył obojętnym ruchem głowy, nic go nie obchodziło, czy Conchis miewa gości, czy nie. Nalegałem. Czyż nie wie, że mieszka tam teraz kilku cudzoziemców?

Wzruszył ramionami. — *Isos*. Może. On nic o tym nie wie.

Miałem szczęście. Z bocznej uliczki wyszedł drobny staruszek i pojawił się za plecami Georgiou; zmięta marynarska czapka, błękitne płócienne ubranie tak sprane, że niemal białe. Georgiou zauważył go, gdy mijał nasz stolik, i zawołał:

— *Eh, Barba Dimitraki!* Ela. Chodź tu. Chodź porozmawiać z naszym angielskim profesorem.

Staruszek zatrzymał się. Musiał mieć około osiemdziesiątki; był nie ogolony, trzęsły mu się ręce i broda, ale oczka patrzyły zupełnie przytomnie. Georgiou zwrócił się do mnie.

— Przed wojną pracował w Bourani. Tak jak teraz Hermes. Nosił pocztę.

Zaprosiłem staruszka, żeby usiadł, zamówiłem jeszcze *ouzo* i następne *mezé*.

— Dobrze pan zna Bourani?

Machnął ręką, ruch ten mówił, no pewnie, jeszcze jak. Powiedział coś, czego nie zrozumiałem. Georgiou, który umiał się uciec do mowy gestów, zaczął składać jak cegły nasze pudełka zapalek i paczki papierosów. Budowa domu.

— Rozumiem. Było to w 1929 roku?

Staruszek skinął potakująco.

— Czy u pana Conchisa bywało przed wojną wielu gości?

— Wielu. Wielu. — To zdziwiło Georgiou, powtórzył nawet - moje pytanie i otrzymał tę samą odpowiedź. — Cudzoziemcy?

— Wielu cudzoziemców. Francuzi, Anglicy.

— A nauczyciele angielskiego ze szkoły? Chodzili tam?

— *Ne, ne. Oloi*. Tak, wszyscy.

— Pamięta pan ich nazwiska? — Uśmiechnął się, takie mu się to pytanie wydało śmieszne. Nie pamięta nawet, jak wyglądali, Pamięta jednego. Był bardzo wysoki:

— Spotykał ich pan we wsi?

— Czasem.

— Co oni przed wojną robili w Bourani?

— To byli cudzoziemcy.

Georgiou zniecierpliwiał się tym przykładem wiejskiej logiki. — *Ne, Barba*.

*Xenoi. Ma ti ekanon?*

— Grali. Śpiewali. Tańczyli. — Georgiou znów nie uwierzył; mrugnął na mnie, jakby chcąc się ze mną podzielić swoim przekonaniem, że staruszek sam już nie wie, co mówi. Ale ja wiedziałem, że mówi prawdę; Georgiou zamieszkał na wyspie dopiero w 1946 roku.

— Co śpiewali? Jak wyglądały tańce?

Nie wiedział, jego załzawione oczy starały się bezskutecznie spojrzeć w przeszłość. Ale powiedział: — I jeszcze coś. Grali w sztukach.

Georgiou roześmiał się głośno, ale staruszek wzruszył tylko ramionami i oświadczył: — Mówię prawdę.

Georgiou nachylił się z szyderczym uśmiechem. — A ty, Barba Dimitraki, kogo grałeś? Karayozisa? — Chodziło mu o komicznego bohatera greckiego teatru marionetek.

Postarałem się przekonać staruszka, że mu wierzę. — Jakie to były sztuki?

Z wyrazu jego twarzy odczytałem, że nie wie.

— W ogrodzie stał teatr...

— Gdzie?

— Za domem. Prawdziwy teatr. Miał kurtynę.

— Zna pan Marię?

Okazało się, że przed wojną była w Bourani gospodynią inna kobieta, Soula, która obecnie nie żyje.

— Kiedy był pan tam po raz ostatni?

— Dawno temu. Jeszcze przed wojną.

— Lubi pan pana Conchisa?

Staruszek skinął głową, ale bez przekonania. Wtrącił się Georgiou.

— Jego najstarszy syn zginął podczas egzekucji.

— Strasznie mi przykro.

Staruszek wzruszył ramionami. Przeznaczenie. Powiedział: — On nie jest złym człowiekiem.

— Czy w czasie okupacji kolaborował z Niemcami?

Staruszek stanowczo zaprzeczył. Georgiou powątpiewająco chrząknął. Zaczęli się kłócić, ale mówili tak szybko, że nie rozumiałem. Usłyszałem jedno. Staruszek powiedział: — Ja tu byłem. Ty nie.

Georgiou znów do mnie mrugnął. — On dał mu dom. I co rok przysyła mu

pieniądze. Dimitraki nie śmie powiedzieć tego, co myśli.

— Czy postąpił tak w stosunku do wszystkich rodzin rozstrzelanych?

— Hm, tak. W stosunku do kilku. Pomaga starcom. Czemu nie? Ma przecież grube miliony. Wykonał gest, dając do zrozumienia, że jest to okup.

Nagle staruszek zwrócił się wprost do mnie. — *Mia phora...* kiedyś było tam wielkie *paneyiri*, światła, muzyka, ognie sztuczne. Wiele ogni sztucznych, wielu gości.

Przed oczyma pojawiła mi się absurdalna wizja garden party. Setki eleganckich kobiet i mężczyzn w żakietach.

— Kiedy to było?

— Cztery, pięć lat przed wojną.

— Z jakiej okazji?

Nie wiedział.

— Był tam pan?

— Byłem razem z synem. Wypłynęliśmy na połów. Zobaczyliśmy w Bourani światła. Usłyszeliśmy gwar. *Kai ta pyrotechnimata*, widzieliśmy sztuczne ognie.

Georgiou zabrał głos: — Byłeś pijany, Barba.

— Nie. Nie byłem pijany.

Mimo usilnych prób nie udało mi się nic więcej ze staruszka wyciągnąć. Więc uścisnąłem im ręce, zapłaciłem rachunek, obdarzyłem Georgiou dużym napiwkiem i pomaszerowałem do szkoły.

Jedno było pewne. W Bourani bywaliśmy nie tylko my, Leverrier, Mitford i ja, ale w latach trzydziestych wielu, wielu innych, których nazwisk nie znałem. Znów więc ogarnęła mnie nadzieja i postanowiłem odważnie stawić czoło temu, co przygotowuje się dla mnie w tym pozbawionym obecnie kurtyny teatrze po drugiej stronie wyspy.

Wieczorem znów wybrałem się do wsi i wspiąłem się wybrukowaną wąską uliczką prowadzącą na tyły zabudowań, szedłem wzdłuż wybielonych ścian, mijając chłopskie podwórka, przechodząc przez niewielkie wysadzone migdałowcami placyki. Wielkie amarantowe kwiaty *bougainvillei* płonęły w słońcu, żarzyły się w bladym zmierzchu. Była to ta część wsi, którą można by określić mianem kazby, bardzo pięknej kazby, bo tu i ówdzie widać było grafitowobłękitne morze w dole, a nad głową złotozielone wzgórza. Siedzący przed chatami ludzie pozdrawiali mnie i po chwili

towarzyszył mi, jak legendarnemu kobziarzowi, cały orszak dzieci, które tylko chichotały, kiedy ja starałem się je przeganiać. Doszedłszy do kościoła postanowiłem do niego wejść, aby w ten sposób usprawiedliwić moje pojawienie się w tej części wyspy. Panował tu ponury półmrok, unosił się gęsty aromat kadzideł, wiszące rzędem ikony spoglądały na mnie ze złocistych ram, jakby wiedziały, że jestem kimś obcym w ich bizantyńskim świecie.

Po pięciu minutach wyszedłem. Dzieci szczęśliwie znikły i mogłem skrócić w ulicę na prawo od kościoła. Z jednej strony miałem okrągłe bębny kościelnych absyd, z drugiej mur wysoki na jakichś osiem stóp. Uliczka zakręciła, mur także. Ale zobaczyłem zwieńczoną łukiem bramę: na zworniku widniała data 1823 rok, wyżej puste miejsce, na którym musiał kiedyś być umieszczony herb. Domyśliłem się, że dom w głębi ogrodu zbudował pewnie jeden z samozwańczych admirałów wojny o niepodległość. Z prawej strony bramy były drzwi, w nich szczelina na listy. A nad nią na kawałku blachy białe litery: Hermes Ambelas. Z lewej strony grunt lekko opadał ku kościołowi. Nie było sposobu, żeby zajrzeć za mur. Podszedłem do drzwi i lekko je popchnąłem. Były zamknięte. Wyspiarze znani byli z uczciwości, kradzieże nie zdarzały się, nigdy dotąd na Phraxos nie widziałem zamkniętej bramy. Skalisty grunt opadał nagle między dwiema chatami. Dach drugiej znajdował się poniżej progu pierwszej. Zszedłem i poprzeczną uliczką dotarłem z drugiej strony do otoczonej murem posiadłości. Tu grunt opadał jeszcze niżej i przede mną wznosiła się licząca co najmniej dziesięć stóp stroma skała, a na niej dopiero mur. Zobaczyłem dom, nie był wielki, ale według standardów wioski niewątpliwie zbyt wspaniały dla zwykłego poganiacza osłów. Dwa okna na parterze, trzy na piętrze, wszystkie przysłonięte okiennicami. Musiał być z nich cudowny widok na wioskę i cieśninę. Czy Julie często go oglądała? Czułem się jak Blondel pod oknem Ryszarda Lwie Serce. Niestety, nie mogłem liczyć, że mój śpiew dotrze do uszu osoby, którą chciałbym zaalarmować. Na małym, położonym nieco niżej placu zobaczyłem dwie przyglądające mi się bacznie kobiety. Skinąłem im ręką i ruszyłem z wolna, tak jakbym znalazł się tu przypadkowo i zerkał w górę z pustej ciekawości. Doszedłem do następnej przecznicy i zacząłem się wspinać, aż znalazłem się w punkcie wyjścia, koło Agios Elias.

Obejrzałem się dopiero koło hotelu „Philadelphia”. Ponad dachami zobaczyłem kościół, a na prawo od niego dom ze wszystkimi pięcioma oknami.

Patrzyły wyzywająco tym swoim ślepym wzrokiem.



Poniedziałek był ciężkim dniem. Syzyfowa praca polegała na poprawianiu zadań, które stale gromadziły się na moim biurku, były to prace egzaminacyjne końca roku. Trzeba było się skupić i nie dopuszczać myśli o Julie.

Wiedziałem, że nie ma sensu pytać Demetriadesa o nazwiska przedwojennych nauczycieli angielskiego. Nawet jeśli je zna, to mi ich nie poda, a zresztą pewnie rzeczywiście ich nie zna. Poszedłem do kancelarii, ale i tam nikt nie mógł mi pomóc, wszystkie dokumenty przedwojenne znikły w 1940 roku. We wtorek wybrałem się do nauczyciela, który zajmował się szkolną biblioteką. Podszedł do półki i wyciągnął z niej oprawny tom programów Dnia Święta Szkoły. Programy były wspaniale wydane – miały olśnić rodziców i każdy z nich zawierał na końcu spis uczniów i spis „profesorów”. W ciągu dziesięciu minut wynotowałem nazwiska sześciu nauczycieli angielskiego, którzy pracowali tu między 1930 a 1939 rokiem. Ale dalej nie znałem ich adresów.

Tydzień mijał powoli. Codziennie podczas lunchu przyglądałem się, jak wiejski listonosz wręcza listy dyżurnemu prefektowi, a ten powoli obchodzi wszystkie stoły. Do mnie listów nie było. Nie liczyłem na ułaskawienie przez Conchisa, trudno było jednak wybaczyć Julie.

Najbardziej prawdopodobne wydawało mi się, że dziewczęta odleciały do Anglii, ale w takim razie dlaczego do mnie od razu nie napisała, przynajmniej po to, aby mnie o tym powiadomić. Istniała inna możliwość – musiała zgodzić się na wyjazd z wyspy podczas weekendu – ale i w tym wypadku napisałaby, żeby mi wyjaśnić powody, żeby mnie pocieszyć. Trzecią możliwością było, że została uwięziona, a w każdym razie znajdowała się w takich warunkach, że nie mogła wysłać listu. W to trudno było mi uwierzyć, niemniej chwilami gotów byłem alarmować policję.

Dni wlokły się, miałem tylko jeden jasny moment, kiedy przypadkiem natrafiłem na interesującą mnie informację. Przeglądając angielskie książki w bibliotece, aby wybrać jakiś „nieznany” tekst do dyktanda na egzamin, wyjąłem powieść Conrada. Była podpisana. D. P. R. Nevinson. Był on jednym z przedwojennych nauczycieli angielskiego. A pod jego nazwiskiem zobaczyłem: „Balliol College 1930”. Zacząłem kartkować inne książki. Nevinson pozostawił całą kolekcję, ale żadnego innego adresu. Na dwóch tomikach poetyckich znalazłem

nazwisko innego nauczyciela, W. A. Hughesa, ale bez dodatkowych informacji.

W czwartek zjadłem lunch nieco wcześniej i poprosiłem jednego z uczniów, żeby mi przyniósł listy, jeżeli oczywiście będą do mnie jakieś listy. Właściwie przestałem już ich oczekiwać. Ale w dziesięć minut później, kiedy szykując się do sjesty włożyłem piżamę, uczeń zapukał do drzwi. Dwa listy. Jeden z Londynu, adres napisany na maszynie, pewnie jakiś katalog wydawniczy. Ale drugi...

Grecki znaczek. Stempel pocztowy nie do odcyfrowania. Wyraźne, niemal drukowane pismo. List był po angielsku.

*Poniedziałek, Siphnos*

*Mój najmilszy Nicholas,*

*Wiem, jak Ci musiało być przykro podczas weekendu, ale mam nadzieję, że czujesz się już lepiej. Maurice dał mi twój list. Strasznie mi Ciebie żal. Ja też zarażałam się, każdym choróbskiem, jakie te małe potwory przywlekały do szkoły. Nie mogłam napisać do Ciebie wcześniej, byliśmy na morzu i dopiero dziś zobaczyłam pierwszą skrzynkę pocztową. Muszę się spieszyć – dowiedziałam się, że statek, który zabiera pocztę do Aten, odchodzi za pół godziny. Piszę ten list w portowej kawiarence.*

*Maurice zachował się jak anioł (bardzo milczący anioł). Nie chce nic powiedzieć, nalega, żebyśmy poczekały do weekendu, kiedy Ty także będziesz z nami, o ile oczywiście wyzdrowiejesz. (Proszę Cię, wyzdrowiej! Nie tylko dlatego, żeby móc wysłuchać Maur'ice'a). M. odgrywa rolę skrzywdzonego, bo my – niemądre dziewczyny – nie chcemy mu obiecać, że będziemy uczestniczyć w jego nowych przedsięwzięciach, póki nie dowiemy się, na czym mają polegać. Chwilowo zrezygnowaliśmy z prób przekonania go, żeby się nam zwierzył, byłaby to strata czasu, a zresztą on tak uwielbia zachowywać się tajemniczo i zagadkowo.*

*Przypomniało mi się, byłabym zapomniała, wymknęło mu się, że zamierza opowiedzieć Ci „ostatni rozdział” (jego słowa) swego życia i że Ty tego niewątpliwie oczekujesz... powiedział to uśmiechając się dziwnie: czy zaszło coś, o czym my nic nie wiemy? On jest okropny, stale coś musi odgrywać. Mam nadzieję, że wiesz, o co mu chodzi.*

*Najlepsze na koniec. Przysiągł, że już nas nigdy nie będzie wywoził, że jeśli chcemy, możemy zamieszkać w jego domu we wsi... ale czy Ty nie przestaniesz mnie lubić widując mnie co dzień? Tak mówi June, ale ona się wścieka, bo teraz i ja także*

*jestem już zupełnie nieźle opalona.*

*Za dwa, najwyżej trzy dni, dostaniesz ten list. Może on jeszcze zechce coś udawać, więc proszę Cię, nie zdradź się, że słyszałeś o tym ostatnim rozdziale, pozwól mu się jeszcze podroczyć, skoro tak mu na tym zależy. Myślę, że jest w tym odrobina zazdrości. Stale powtarza, jaki z Ciebie jest szczęściarz... i nie słucha, kiedy ja mówię – wiesz, co mówię.*

*Nicholas.*

*To morze nocą. Byłeś cudowny.*

*Muszę kończyć.*

*Kocham Cię.*

*Twoja Julie*

Przeczytałem list po raz drugi. Potem po raz trzeci. A zatem stary demon znów zaczął swoje diabelskie sztuczki. Julie nigdy nie widziała mego pisma, zresztą łatwo byłoby je podrobić, Demetriades bez trudu mógł zdobyć próbki. Dlaczego Conchis stara się odłożyć chwilę wyjaśnień, dlaczego te nowe przeszkody? Ale jej list, te ostatnie cztery słowa, myśl o tym, że będę ją miał we wsi, wszystko to sprawiło, że przestałem się przejmować zagadkami. Wróciła mi pogoda ducha, czułem, że potrafię wszystkiemu stawić czoło, ona była w Grecji, czekała na mnie, pragnęła mnie.

O czwartej obudził mnie dzwonek zwiastujący koniec sjesty, dzwonił jak zwykle prefekt pod naszymi drzwiami wychodzącymi na szeroki korytarz o kamiennej posadzce. Moi koledzy zaczęli gniewnie protestować. Oparłem się na łokciu i jeszcze raz przeczytałem list Julie. Potem przypomniałem sobie o drugim liście, który zostawiłem na biurku i ziewając poszedłem go otworzyć.

Wewnątrz była napisana na maszynie kartka, i otwarta lotnicza koperta, ale przede wszystkim rzuciły mi się w oczy dwa wycinki z prasy. Zacząłem je czytać.

*Już dwa pierwsze słowa.*

*Te dwa słowa.*

Już raz to przeżyłem. Znałem to uczucie, że coś będąc prawdą nie może nią jednak być, potworny szok, pozorny spokój. Wszedłem z college'u Randolph i wraz z paroma osobami zdążyłem w stronę Carfax, po drodze ktoś sprzedawał „Evening News”. Jedna z dziewczyn zawołała: „Spójrzcie na Nicholasa, udaje, że umie czytać.” A ja wpatrywałem się w wiadomość o katastrofie lotniczej pod Karaczi, na mojej

twarzy malowała się śmierć moich rodziców i powiedziałem głośno: „Moja matka, mój ojciec”, tak jakbym po raz pierwszy uświadomił sobie ich istnienie.

Pierwszy wycinek był z którejś z londyńskich gazet.

#### *Samobójstwo stewardesy*

*Dwudziestoczteroletnią Australijkę Alison Kelly znaleziono wczoraj nieprzytomną na łóżku w jej mieszkanku na Russell Square, które dzieliła ze swoją przyjaciółką Ann Taylor, pochodzącą także z Australii. Ann Taylor wróciwszy z weekendu w Stratford-on-Avon znalazła samobójczynię, którą natychmiast przewieziono do szpitala Middlesex, gdzie lekarze skonstatowali zgon. Panna Taylor znajduje się w stanie szoku. Rozprawa sądowa odbędzie się w przyszłym tygodniu.*

Następny wycinek głosił:

#### *Nieszczęśliwa miłość doprowadziła do śmierci*

*Posterunkowy Henry Davis zeznał, że w sobotę 29 czerwca zobaczył leżącą na łóżku młodą kobietę, a koło niej stała pusta buteleczka po proszkach nasennych. Przybył na wezwanie współmieszkanki zmarłej, Australijki Ann Taylor, wykwalifikowanej pielęgniarki, która wróciwszy z weekendu w Stratford-on-Avon znalazła zwłoki dwudziestoczteroletniej stewardesy Alison Kelly.*

*Sędzia wydał werdykt samobójstwa.*

*Panna Taylor oświadczyła, że choć jej przyjaciółka łatwo popadała w depresję i ostatnio skarżyła się na bezsenność, nie miała powodu podejrzewać jej o samobójcze zamiary. W odpowiedzi na pytania panna Taylor zeznała, co następuje: „Moją przyjaciółką była ostatnio przygnębiona z powodu nieszczęśliwej miłości, ale sądziłam, że po trochu zaczyna już przychodzić do siebie.”*

*Jak zeznała dr Behrens, lekarka zmarłej, panna Kelly skarżyła się, że ze względu na rodzaj pracy zaczęła cierpieć na bezsenność. Dr Behrens zapytana przez sędziego, czy często przepisuje środki nasenne w tak wielkiej ilości, odpowiedziała, że brała pod uwagę trudności, jakie mogła mieć zmarła w zaopatrzeniu się w następną porcję leków. Nie miała żadnych podstaw, żeby podejrzewać zmarłą o samobójcze zamiary.*

*Sędzia uznał, że znalezione przez policję dwa listy nie rzucają światła na*

*prawdziwe powody tej tragicznej śmierci.*

Napisany na maszynie list pochodził od Ann Taylor.

*Drogi Nicholas Urfe,*

*Załączone wycinki wyjaśniają, dlaczego piszę. Bardzo mi przykro, będzie to dla pana wielki szok, ale nie wiedziałam, jak inaczej powiadomić pana o nieszczęściu. Alison wróciła z Aten przybita, ale nie chciała o tym mówić, nie wiem zatem, które z was zawiniło. Dawniej często mówiła o samobójstwie, ale myśmy traktowały to zawsze jako żart. Zostawiła dla pana tę kopertę. Policja otworzyła ją. W środku nie było ani słowa. Do mnie Alison napisała list, ale były to tylko przeprosiny.*

*Wszyscy jesteśmy zrozpaczeni. Mam do siebie wielki żal. Teraz, kiedy jej już nie ma, uświadomiliśmy sobie, jaka była cudowna. Nie rozumiem, jak jakikolwiek mężczyzna mógł nie zdać sobie sprawy, że Alison jest kimś wyjątkowym, według mnie każdy powinien chcieć się z nią ożenić. Cóż, pewnie nie znam dobrze mężczyzn.*

*Pańska zrozpaczona*

*Ann Taylor*

*PS. Może zechciałby pan napisać do jej matki. Urnę z popiołami wysłano do Australii. Adres: Pani Mary Kelly, 19 Liverpool Avenue, Goulborn, N.S.W.*

Spojrzałem na kopertę lotniczą. Wypisane na niej było pismem Alison moje imię. Wysypałem zawartość na biurko. Było tam kilka źle zasuszonych kwiatków: dwa czy trzy fiołki, parę polnych goździków. Dwa z nich były jeszcze z sobą splecione.

To było trzy tygodnie temu.

Ku własnej zgrozie rozplakałem się.

Moje łzy nie trwały długo. Po chwili rozległ się dzwonek na rozpoczęcie lekcji, a do moich drzwi załomotał Demetriades. Wytarłem oczy wierzchem ręki i otworzyłem. Byłem w pizamie.

— Co ty wyprawiasz. Spóźnimy się.

— Źle się czuję.

— Dziwnie wyglądasz, drogi przyjacielu. — Spojrzał na mnie niespokojnie i badawczo. Odwróciłem się.

- Powiedz, żeby pierwsza grupa powtarzała materiał do egzaminu. I druga też.
- Ale...
- Czy mógłbyś dać mi święty spokój?
- Co mam powiedzieć?
- Co tylko chcesz! — I wypchnąłem go za drzwi.

Kiedy tylko umilkły kroki i głosy, i pewien byłem, że wszyscy są w klasach, naciągnąłem ubranie i wyszedłem. Najchętniej uciekłbym od szkoły, od wsi, od Bourani, od wszystkiego. Poszedłem na północne wybrzeże, usiadłem na kamieniu nad pustą zatoczką, wyciągnąłem wycinki i jeszcze raz je przeczytałem. 29 czerwca. Jedną z ostatnich rzeczy, którą zrobiła, musiało być odesłanie bez przeczytania mego listu. Może ostatnią. Przez chwilę byłem wściekły na Ann Taylor. Ale potem przypomniałem sobie jej płaską, nieładną twarz, dobre, poczciwe oczy. Pisała pompatycznie, ale była osobą, na którą można było liczyć w nieszczęściu. Na takie dziewczyny zawsze można liczyć. A ja najlepiej znałem dwoistość Alison, jej pozorną praktyczność i twardość, które pozwalały przypuszczać, że ta dziewczyna potrafi sobie ze wszystkim poradzić i tę drugą Alison, dość teatralną, której nigdy nie traktowałem poważnie. Te dwa aspekty jej osobowości nałożyły się na siebie w tragiczny sposób: nie dla Alison były nieudane próby samobójstwa, ona nigdy nie zażyłaby paru pastylek wiedząc, że ktoś pojawi się za godzinę. Miała cały weekend, żeby spokojnie umrzeć.

Czułem się winny, czułem się winny nie tylko dlatego, że wyrzuciłem ją za burtę. Wiedziałem, była to ta zagadkowa wiedza, którą rozporządzamy czasem w stosunku do jakiejś osoby, że, samobójstwo Alison miało bezpośredni związek z moją próbą zabicia się, o której jej opowiedziałem. Opowiedziałem jej o tym niby to niechętnie, skąpyimi słowami, pod którymi miały się kryć pozorne głębie, i Alison po raz ostatni przywołała mnie do porządku. *Nie wydaje mi się, żebyś ty w ogóle wiedział, co to jest smutek.*

Przypomniałem sobie tę histeryczną scenę w hotelu w Pireusie, ten jej „samobójczy list”, który — jak wówczas sądziłem — napisała tuż przed moim wyjazdem z Londynu po to, by mnie szantażować. Widziałem ją taką, jaka była na Parnasie, jaka była na Russell Square, przypominałem sobie, co mówiła, co robiła, jaka była. I ogarnęła mnie czarna chmura poczucia winy; uświadomiłem sobie swój potworny egoizm. Od samego początku nie szczędziła mi jakże prawdziwych przycinków... ale mimo to kochała mnie, była tak niemądra, że mnie kochała.

Pewnego dnia oświadczyła: kiedy mnie kochasz (a nie chciała przez to powiedzieć: kiedy ze mną śpisz), jest tak, jakby Pan Bóg wybaczył mi wszystkie moje kręctwa; a ja uznałem to za jeszcze jeden uczuciowy szantaż, uznałem, że chce przerzucić na mnie odpowiedzialność za samą siebie. Na swój sposób śmierć jej była także aktem szantażu, ale przecież szantażowany powinien mieć poczucie niewinności, a ja uginałem się pod brzemieniem winy. Tak, jakbym w momencie, w którym chciałem być ponad wszystko czysty, zagłębił się w potwornym brudzie; byłem wolny, jeśli chodzi o przyszłość, a równocześnie przykuty do przeszłości.

Julie. Teraz Julie stała mi się jeszcze bardziej niezbędna.

Nie tylko czułem, że muszę się z nią ożenić, czułem, że muszę się przed nią wypowiedzieć. Gdyby w tej chwili była przy mnie, wyznałbym jej wszystko, żeby móc zacząć życie od nowa. Odczuwałem rozpaczliwą potrzebę, żeby zdać się na jej łaskę, marzyłem o wybaczeniu. Teraz tylko jej wybaczenie mogło mnie troszeczkę usprawiedliwić. Byłem śmiertelnie znużony, miałem dość kłamstwa, dość tego, że jestem okłamywany, i tego, że okłamuję innych, męczyło mnie poczucie, że najgorzej postępuję wówczas, kiedy teoretycznie chcę najlepiej. Te kwiatki, te kwiatki były czymś nie do zniesienia. Moja zbrodnia była zbrodnią Adama, najdawniejszą i najohydniejszą formą męskiego egoizmu: narzuciłem Alison rolę, jaką chciałem, żeby odgrywała, rolę niezgodną z jej prawdziwym ja. Było to gorsze do *lèse-majesté*. Była to *lèse-humanité*. Co ona powiedziała o tym mulniku? *Polubiłam go na dwie paczki*.

A mnie na jedną śmierć.

Kiedy wieczorem wróciłem, napisałem dwa listy, jeden do Ann Taylor, drugi do matki Alison. Podziękowałem Ann, zgodnie z nowo powziętym postanowieniem obwiniając za wszystko siebie. A do matki (Goulburn N. S. W. — Pamiętałem, jak Alison krzywiła się: Goulburn\*, tak, wampirem to to miasto jest, a spalenie słusznie by mu się należało) list z kondolencjami, bardzo trudny, bo nie wiedziałem, co Alison pisała o mnie do domu. - Przed pójściem do łóżka otworzyłem *Helikon* Anglii. Wyszukałem wiersz Marlowe'a.

Pójdź ze mną, będziesz mi miłością

Razem zaznamy tych radości,

Których dostarczą nam gaiki,  
Wzgórza, doliny i strumyki.

Ze skał będziemy sobie patrzeć,  
Jak swoje stada pasie pasterz,  
Gdzie rzeki płynie nurt ospały,  
Ptaszki śpiewają madrygały.

Ja z róż uścielę ci posłanie,  
Uwiję z wonnych wierszy wianek,  
Czepeczek z kwiatów, a spódniczkę  
Wyhaftowaną w mirtu liście.

## 52

W sobotę rano nadszedł do mnie z Anglii jeszcze jeden list. Na odwrocie koperty widniał mały czarny orzełek: Barclay's Bank.

*Szanowny Panie.*

*Otrzymaliśmy pański list, w którym odwołuje się pan do rekomendacji pań Holmes. Z prawdziwą radością załączamy kwestionariusz, z prośbą o odesłanie nam po wypełnieniu, oraz nasz prospekt, gdzie znajdzie pan wszystkie rodzaje usług, jakie możemy wyświadczyć naszym zamorskim klientom.*

*Z poważaniem*

*P. J. Fearn*

*Dyrektor*

Przeczytawszy ten list podniosłem oczy i obdarzyłem siedzącego naprzeciw ucznia uśmiechem, jaki wymyka się złemu graczowi w pokera, gdy widzi, że ma kartę.

W pół godziny później wspinałem się przez duszny las na grzbiet wyspy. Upał sprawił, że góry wydawały się blade i przejrzyste, a wyspy na wschodzie przybliżały się i drżały migocząc, przedziwne złudzenie optyczne. Z grzbietu spojrzałem w dół i

---

\* *Ghoul* – wampir, *burn* – spalić.



skoczyło mi radośnie serce. Jacht stał na kotwicy. Schroniłem się w cień i patrząc na Bourani siedziałem nieruchomo pół godziny; gnębiła mnie jeszcze czarna myśl o śmierci Alison, lecz kusiała nadzieja na Julie. Julie, która na pewno nie była nikim innym niż Julie, czekała w słońcu. Przez te dwa dni nie tyle pogodziłem się ze śmiercią Alison, ile zacząłem ją przeżywać już nie na płaszczyźnie moralnej, lecz estetycznej; w ten sposób stała się łatwiejsza do zniesienia.

To ponure złudzenie, wiara, że spowodowane przez nas cierpienie powinno nas uszlachetnić, a przynajmniej sprawić, że odtąd nigdy już nie zachowamy się podle, doprowadzały do samousprawiedliwienia; przekonanie, że cierpienie w jakiś sposób uszlachetnia życie, zatem zadawanie bólu, według tej postawionej na głowie algebry równałoby się uszlachetnieniu, a w każdym razie wzbogaceniu życia. Dzięki tej charakterystycznej dla dwudziestego wieku ucieczce od treści do formy, od istoty sprawy do jej pozorów, od etyki do estetyki, od *aqua* do *unda*, udało mi się stąpić ostrze oskarżycielskiego bólu. Równocześnie postanowiłem nic o tym w Bourani nie wspominać. Owszem, wyznam to Julie, ale w odpowiednim momencie, wówczas gdy będę pewien, że moje zwierzenia wywołają jej żywe współczucie.

Zanim wstałem, wyjąłem z kieszeni list z banku i ponownie go przeczytałem. I ruszyłem w drogę nastawiony wobec Conchisa bardziej pojednawczo, niż zamierzałem. Teraz mogłem się już pogodzić z myślą, że będzie mnie zwodził, sam zamierzałem go zwodzić.

Czułem się tak jak w czasie pierwszej tu wizyty. Nie byłem zaproszony, szedłem niepewnie, minąłem bramę, zobaczyłem cichy dom w słonecznym blasku, znalazłem się pod arkadami i tam, tak samo jak wtedy, stał nakryty do podwieczorku stół, okryty gazą. Żywej duszy. Za kolumnadą morze i upał, wykładana kamiennymi płytkami posadzka, cisza, oczekiwanie.

Moje zdenerwowanie wpływało tym razem z innych powodów, ale byłem tak samo zdenerwowany jak wówczas. Położyłem na trzciniowej kozetce moją torbę i wszedłem do sali muzycznej. Zza klawesynu podniósł się Conchis, tak jakby na mnie czekał. Obaj milczeliśmy.

— Oczekiwał mnie pan?

— Tak.

— Mimo pańskiego listu?

Spojrzał na mnie, potem na moją rękę — zranioną przed dziesięciu dniami w czasie sceny z hitlerowcami. Zaczęła się już zablźniać, była jeszcze fioletowa od

gencjany, którą nasmarowała mnie pielęgniarzka szkolna.

— Musisz uważać. W takich wypadkach istnieje zawsze groźba tęcza.

Uśmiechnąłem się dość ponuro.

— Tak, zamierzam uważać.

Żadnych przeprosin, wyjaśnień. Było jasne, że mimo składanych dziewczętom obietnic, nadal zamierza wodzić mnie za nos. Zobaczyłem przez okno idącą z tacą Marię. I jeszcze coś. Z szafki z pornograficznymi wykopaliskami znikła fotografia Lily. Położyłem torbę na podłodze, założyłem ręce i krzywo się uśmiechnąłem.

— Parę dni temu pogadałem sobie z Barba Dimitraki.

— Tak?

— Okazuje się, że więcej moich kolegów było pańskimi ofiarami, niż dotychczas sądziłem.

— Ofiarami?

— A jak pan nazwie ludzi, którym każe się cierpieć, nie pozostawiając im żadnego wyboru?

— Bardzo trafna definicja człowieka w ogóle.

— Mnie bardziej interesuje definicja kogoś, kto się uważa za Boga.

Uśmiechnął się tak, jakby to sarkastyczne zdanie uznał za komplement. Potem podszedł do mnie, okrążywszy klawesyn.

— Pokaż mi rękę.

Podniosłem ją z lekkim zniecierpliwieniem. Odarte ze skóry kłykcie już się zaczęły goić. Przyjrzał się im, spytał, czy rana się nie ślimaczyła. Potem spojrział mi w oczy. — Może zechcesz uwierzyć w jedno. To było niezamierzone.

— Teraz, panie Conchis, nie zamierzam już wierzyć w nic. Poza prawdą.

— Może się okazać, że byłbyś szczęśliwszy, nie znając jej.

— Zaryzykuję.

Poszedłem za nim pod arkady. Zaczął nalewać herbatę, niecierpliwym ruchem wskazał mi stojące naprzeciw krzesło. Usiadłem. Wskazał na zastawiony stół. — Proszę. — Wziąłem kanapkę, ale nim zacząłem jeść, powiedziałem:

— Sądziłem, że dziewczęta mają wraz ze mną usłyszeć nareszcie prawdę.

— Już ją znają. — Usiadł.

— Łącznie z faktem, że sfalszował pan mój list do Julie.

— To jej listy do ciebie były fałszerstwem.

Uderzyła mnie liczba mnoga. Odgadł zatem, że do mnie pisała, ale pomylił się

co do liczby listów. Uśmiechnąłem się. — Przykro mi bardzo. Ale zostałem ukąszony o jeden raz za wiele.

Spojrzał w dół i wygładził obrus, zrobił to tak, jakby chciał pokryć zakłopotanie, widać nie wiedział dokładnie, jak wyglądają sprawy między Julie i mną. I znów ten jego poważny wzrok.

— A co ja według ciebie robię?

— Pozwala pan sobie na zbyt wiele.

— Czy ktoś cię zmuszał, żebyś tu wrócił? Żebyś tu się w ogóle pojawił?

— Niech pan nie udaje. Świetnie pan wie, że nikt by się nie oparł. — Podniosłem do góry pokiereszowaną rękę. — Mimo to jestem daleki od robienia panu wyrzutów. Ale pierwsze stadium eksperymentu czy też maskarady, jak pan to woli nazwać, dobiegło końca. — Uśmiechnąłem się. — Pańskie białe myszki pokapowały się. — Zobaczyłem, że nie rozumie. — Zrozumiały, że są białymi myszkami, ale więcej nie dadzą się nabrać.

Znów poszukał mojego wzroku. Przypomniałem sobie słowa June: „My także mamy być dla niego zagadką”. Ale stało się jasne, że tylko do pewnego stopnia; kiedy uczony buduje labirynt, choćby największy, musi mieć możliwość śledzenia z zewnątrz każdego ruchu. Wydawało się, że podjął decyzję.

— Dowiedziałeś się od Barba Dimitraki, że miałem tu przed wojną mały teatrzyk.

— Tak.

Rozparł się wygodnie na krześle. — W czasie wojny, kiedy miałem dużo czasu do rozmyślań i nie mogłem szukać rozrywek w gronie przyjaciół, przyszedł mi na myśl nowy gatunek teatru. W którym przestałby istnieć podział na aktorów i widzów. Znikłaby scena i znikła widownia. Nie istniałaby ciągłość ani czasu, ani miejsca. Akcja byłaby płynna, określony byłby tylko punkt wyjścia i finał.

Wszystko poza tym zależałoby od uczestników. — Utkwił we mnie ten swój hipnotyzujący wzrok. — Artaud, Pirandello i Brecht, każdy na swój sposób, mieli dość podobne pomysły. Ale nie mieli ani odpowiednio silnej woli, ani dostatecznej ilości pieniędzy, a pewnie także i czasu, żeby dojść równie daleko. Nie potrafili zrezygnować z widzów. Nie ukrywałem sceptycyzmu. Wyjaśnienie to wyglądało nieco bardziej prawdopodobnie niż poprzednie, ale Conchis najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że zrobił wszystko, abym mu nie wierzył, tę nową opowiastką wygłosił ze zwykłym zadufaniem, jakby był pewien, że ją przełknę.

– Rozumiem.

– Wszyscy tu jesteśmy aktorami. Nikt z nas nie jest sobą. Wszyscy często kłamiemy, niektórzy z nas kłamią cały czas.

– Z wyjątkiem mnie.

– Musisz się jeszcze wiele nauczyć. Nie znasz samego siebie, nie jesteś sobą w tym samym stopniu co egipska maska, którą włożył kiedyś nasz amerykański przyjaciel, nie była jego prawdziwą twarzą.

W moim wzroku pojawiło się wyzwanie. – To nie jest mój przyjaciel.

– Nie powiedziałbyś tak, gdybyś go zobaczył w roli Otella. To znakomity aktor.

– Niewątpliwie. Byłem przekonany, że jest niemową.

– Czyli dowiódł swego talentu.

– Czy go aby w ten sposób nie marnuje? – Znów spojrzał na mnie tak, jakby coś go rozbawiło. – Ucierpiało na tym niewątpliwie pana konto w banku.

– Tragedią kogoś naprawdę bogatego jest to, że jego konto bankowe nie może ucierpieć. Ale przyznaję chętnie, że nasze obecne przedsięwzięcie miało być najbardziej ambitnym z dotychczasowych. – I dorzucił: – Bo nie jest wcale pewne, czy w przyszłym roku uda mi się zorganizować następne.

– Serce?

– Tak, moje serce.

Był tak opalony, wyglądał tak sprawnie, że robił wrażenie nieśmiertelnego, a zresztą nie należał do osób, którym można by wyrazić współczucie.

– Dlaczego pan powiedział: „miało być”.

– Bo dowiodłeś, że nie nadajesz się do swojej roli.

Uśmiechnąłem się, wszystko to stawało się absurdalne.

– Szkoda, że nie wiedziałem, na czym ma ona polegać.

– Otrzymałeś wiele wskazówek.

– Panie Conchis, wiem, co powiedział pan Julie na temat reszty lata. Nie przyszedłem tu po to, żeby się z panem kłócić. Więc skończmy z tymi śmiesznymi pretensjami, że pana zawiodłem. Albo pan chciał, żebym zawiódł, albo nie zawiodłem. Nie ma innej alternatywy.

– Oświadczam ci jako reżyser, że nie nadajesz się do roli w naszej sztuce. Mogę cię tylko pocieszyć, że nawet gdybyś się nadawał, to i tak nie uzyskałbyś tego, o czym marzysz... to znaczy tej dziewczyny, którą uważasz za tak niezwykle pociągającą. Bo taki miał być finał naszej tegorocznej sztuki.

– Chciałbym to usłyszeć z jej ust.

– Nie powinieneś już chcieć jej zobaczyć. Przedstawienie skończone.

– Ale ja zamierzam odprowadzić aktorkę do domu.

– Nie wątpię, że ci to obiecała.

– I to w sposób znacznie bardziej przekonujący od pańskich słów.

– Obietnice jej niewiele są warte. Wszystko, co się tutaj działo, było teatralną fikcją. Ona też grała, a właściwie igrała z tobą. Tak jak Olivia z Malvoliem.

– Może zechce pan twierdzić, że nie nazywa się Julie Holmes?

– Naprawdę ma na imię Lily.

Roześmiałem się i znów musiałem podziwiać jego umiejętność zachowania powagi, spuściłem oczy.

– Gdzie one są? Czy mogę się z nimi zobaczyć?

– Są w Atenach. Nigdy już nie zobaczysz ani Lily, ani Rose.

– Rose? — Powtórzyłem z ironicznym niedowierzaniem, a Conchis jedynie skinął głową. — Stracił pan kontakt z życiem. Nikt już nie nadaje dziewczętom takich imion.

– Więcej ich już nie zobaczysz.

– Owszem. Zobaczę. Po pierwsze, ponieważ pan chce, żebym je zobaczył. Po drugie, nawet jeśli z jakiegoś powodu nie chce pan tego i zręcznym kłamstwem skłonił je pan do pozostania na weekend w Atenach, nic nie powstrzyma mnie przed odszukaniem Julie. A po trzecie, nie ma pan prawa wtrącać się w nasze sprawy i nasze wzajemne uczucia.

– Byłoby to prawdą. Gdyby uczucie było naprawdę wzajemne.

Postanowiłem spuścić z tonu.

– Jest pan zresztą zbyt mądrym człowiekiem, aby sądzić, że może pan rozkazywać ludzkim uczuciom.

– Jest to znacznie prostsze, niż sądzisz. Zrozumiesz to, gdy poznasz intrygę.

– Początkowy pomysł nie wypalił. Myślę o *Trzech sercach*. Wie pan o tym lepiej ode mnie. — Jeszcze raz spróbowałem odwołać się do jego dobrej woli. — Słyszałem, że przyznał się pan do tego dziewczętom, więc dlaczego próbuje mnie pan teraz przekonać, że nie? — Nie odpowiedział. Przybrałem swój najbardziej przekonujący ton głosu. — Panie Conchis, przecież my nie chcemy się panu przeciwstawiać. Chętnie przyznajemy, że jesteśmy pod pana wielkim wpływem. I w pewnych granicach chętnie podporządkujemy się pańskiemu planom.

— W metateatrze nie ma miejsca na granice.

— Zatem nie powinien pan wciągać do niego zwykłych ludzi.

To jakby trafiło. Spuścił oczy i przez chwilę zdawało mi się, że zwyciężyłem. Ale znów spojrział na mnie i zrozumiałem, że nie.

— Posłuchaj mojej rady. Wróć do Anglii i pogódź się z tą dziewczyną, o której mi opowiadałeś. Ożeń się z nią, załóż rodzinę i naucz się być tym, kim jesteś. — Odwróciłem wzrok. Miałem ochotę krzyknąć, że Alison nie żyje, że umarła z jego winy, że to on wprowadził w moje życie Julie. Chciałem krzyknąć, że mam już dosyć kłamstw, zawodów, dwuznaczników, dosyć tego zawracania głowy... zachowałem jednak spokój. Wiedziałem, że zacznie mnie przesłuchiwać, a jak wiadomo nie miałem czystego sumienia.

— To w ten sposób człowiek się dowiaduje, kim jest? Żeniąc się i zakładając rodzinę?

— Dlaczego nie?

— Stała praca i domek na przedmieściu?

— Tak żyje większość ludzi.

— Wolałbym umrzeć.

Z ubolewaniem potrząsnął głową, ale tak jakby go już mało obchodziło, co zrobię i co myślę. Nagle wstał:

— Zobaczymy się przy kolacji.

— Chciałbym zwiedzić pański jacht.

— To nie jest możliwe.

— Chcę porozmawiać z dziewczętami.

— Już ci mówiłem. Są w Atenach. — I dodał: — Dziś wieczór zamierzam opowiedzieć ci coś, co nadaje się wyłącznie dla męskich uszu.

Ostatni rozdział; dawno odgadłem, o czym w nim będzie mowa.

— Pańskie przeżycia w czasie wojny?

— Moje przeżycia w czasie wojny. — Pożegnał mnie lekkim skinieniem głowy.

— Do kolacji.

Odwrócił się i wszedł do domu. Byłem na niego wściekły, ale był to gniew wynikający nie tyle ze strachu, ile z niecierpliwości. Prawdopodobnie Julie i ja popsuliśmy mu zabawę, zbyt wcześnie przejrzelismy i stąd to wręcz dziecinne rozdrażnienie starszego pana. Wiedziałem, że dziewczęta są na jachcie, że jeśli nawet nie zobaczę ich tego wieczora, spotkamy się nazajutrz. Zacząłem z namysłem zjadać

ciastko. Niezależnie od wszystkiego logika mówiła mi, że nikt nie robi tak kosztownych i drobiazgowych przygotowań do rozrywek letnich po to, aby odwołać spektakl w chwili, kiedy zaczął stawać się interesujący. Nie, na pewno wszystko potoczy się dalej, w spotkałem się z bluffem, typowym dla początkowego stadium partii pokera. Prawdziwa zabawa dopiero się rozpocznie.

Przypomniałem sobie lunch sprzed dwóch tygodni i wyjrzałem poza arkady. Może siostry oczekują mnie pod piniami, a on w ten przewrotny sposób daje mi do zrozumienia, że mam ich szukać... Zniosłem na górę rzeczy, przeszukałem mój pokój, zajrzałem pod poduszkę, do szafy, mając nadzieję, że Julie zostawiła mi jakąś wiadomość. Ale niczego nie znalazłem. Wyszedłem.

Obszedłem dookoła całą posiadłość: było duszno. Zatrzymywałem się we wszystkich miejscach, w których widywałem się z Julie. Rozglądałem się, nadśluchiwałem. Ale wszędzie panowała cisza, śladu żywego ducha. Także i jacht wyglądał jak wymarły, choć zobaczyłem, że motorówka została spuszczone na wodę. Teatr wydawał się rzeczywiście pusty, a puste teatry mają w sobie zwykle coś przerażającego.

Zjedliśmy kolację pod arkadami, a nie jak zwykle na górze. Nakryty na dwie osoby stół ustawiono z lewej strony, tak że widać było w dole drzewa i Moutse. Koło schodów stał drugi stolik, a na nim sherry, *ouzo*, dzban z wodą i oliwki w miseczce. Starszy pan pojawił się, gdy kończyłem już drugą szklaneczkę. Zmierzch przechodził w noc. Śladu wiatru, ciężkie martwe powietrze.

Czekając doszedłem do wniosku, że powinienem zachowywać się bardziej dyplomatycznie. Podejrzewałem, że Conchis potajemnie bawi się moim gniewem. Pogodziłem się z nieobecnością dziewcząt i miałem zamiar udawać, iż wziąłem jego wyjaśnienie za dobrą monetę. Podeszedł do mnie cichutko, a ja się uśmiechnąłem.

— Mogę panu coś nalać?

— Odrobinę sherry. Dziękuję.

Nalałem pół kieliszka i podałem mu.

— Bardzo mi przykro, jeśli pokrzyżowaliśmy pańskie plany.

— Moje plany obejmują wszystko, co może się zdarzyć. — Podniósł w moją stronę kieliszek. — Nie możecie tego pokrzyżować.

— Ale przecież musiał pan wiedzieć, że szybko przejrzymy nawzajem swoje role.

Spojrzał na morze. — Po to właśnie istnieje metateatr. Żeby aktorzy rozszyfrowali swoje pierwsze role. Ale to tylko katastrofa.

— Przepraszam, nie rozumiem.

— Katastrofa w klasycznej tragedii poprzedza koniec, czyli katastrofę. — I dorzucił: — Zresztą w komedii także.

— A od czego zależy, czy jest to tragedia, czy komedia?

— Od tego, czy potrafimy zrozumieć, jaką rolę odgrywamy w normalnym życiu.

Moje następne pytanie miało go zaskoczyć, tak jak on zaskakiwał mnie wielokrotnie.

— Do jakiego stopnia pańska niechęć do mnie należy do pańskiej roli?

Wcale go to nie zbiło z tropu. — Sympatia czy jej brak nie mają żadnego znaczenia. Między mężczyznami.

W głowie szumiało mi *ouzo*. — Ale pan mnie nie lubi, prawda?

Spojrzał mi prosto w oczy. — Mam odpowiedzieć? — Skinąłem głową. — Zatem tak. Nie lubię cię. Ale lubię bardzo niewiele osób. A wśród nich nie ma prawie nikogo w twoim wieku i twojej płci. Okłamujemy się, wmawiając sobie, że lubimy ludzi; jest to iluzja umożliwiająca nam życie w społeczeństwie. Od dawna się jej wyżyłem, tu zresztą nie jest mi potrzebna. Ty chcesz, aby cię lubiano. A ja chcę tylko istnieć. Być może zrozumiesz kiedyś, co chcę przez to powiedzieć. I uśmiechniesz się. Nie będzie to uśmiech kpiny. Będzie to uśmiech zgody.

Chwilę milczałem. — Przemawia pan jak chirurg. Chirurg, którego bardziej interesuje sama operacja niż pacjent.

— Nie chciałbym się znaleźć w rękach chirurga, który by sądził inaczej.

— Zatem pański... metateatr jest związany z medycyną?

Za jego plecami pojawił się cień Marii, przyniosła wazę z zupą i postawiła na srebrnobiałym stole, w kręgu światła lampy.

— Możesz to tak nazwać. Ja wolę nazywać go metafizycznym.

Maria oświadczyła, że możemy zasiąść do stołu. Conchis pokwitował jej słowa skinieniem głowy, ale nie ruszył się z miejsca. — A przede wszystkim ma być próbą wyjścia poza tego typu kategorie.

— Chodzi więc nie o naukę, ale o sztukę?

— Wszelka godna tej nazwy nauka jest sztuką. A sztuka nauką.



Wygłosiwszy tę ładnie brzmiącą, ale pustą maksymę, postawił szklanę i ruszył w stronę stołu. Idąc za nim zauważyłem:

— Zatem z pańskiego punktu widzenia prawdziwym schizofrenikiem jestem ja. Odpowiedział dopiero zatrzymawszy się przy swoim krześle.

— Prawdziwi schizofrenicy nie mają wyboru.

Stałem naprzeciw niego. — Zatem jestem nieprawdziwym schizofrenikiem?

Na chwilę się odprężył, jakbym powiedział coś dziecinnego, lecz zabawnego. Pokręcił głową.

— Nie ma to już większego znaczenia. Jedzmy.

Ledwie zaczęliśmy jeść, usłyszałem z tyłu na żwirze kroki paru osób. Obejrzałem się sponad cytrynowej zupy, ale stół, niewątpliwie umyślnie ustawiono tak, że nic nie mogłem zobaczyć.

— Dziś wieczorem zamierzam opatrzyć moją opowieść, ilustracjami.

— Wydawało mi się, że już pan to zrobił. Były to nawet żywe obrazy.

— Tym razem mam na myśli prawdziwe dokumenty.

Zaprosił mnie ruchem, żebym jadł, chwilowo nie zamierzał powiedzieć mi nic więcej. Usłyszałem kroki nad głową, ktoś chodził po tarasie przed jego sypialnią. Dobiegł mnie cichy pisk, chrobot żelaza. Skończyłem zupę, czekaliśmy na pojawienie się Marii, a ja znów próbowałem go ułagodzić.

— Bardzo żałuję, że nie dowiem się nic więcej o pańskim życiu sprzed wojny.

— Dowiedziałeś się już wszystkiego, co najważniejsze.

— Jeśli dobrze zrozumiałem opowieść o Norwegii, to rozczarował się pan tam do nauki. A jednak nadal zajmował się pan psychiatrią?

Wzruszył lekko ramionami. — Całkiem po dyletancku.

— Pańskie artykuły świadczyłyby o czymś innym.

— To nie były moje artykuły. Strony tytułowe zostały sfalszowane.

Musiałem się znów uśmiechnąć; ton odprawy, którym wygłosił to zdanie, był niemal pewnym znakiem, że znów kłamie. Rzecz jasna nie odpowiedział mi uśmiechem, uznał nawet za stosowne przypomnieć mi, że należy go traktować z powagą.

— W tym, co ci opowiedziałem, tkwiło sporo prawdy. Zatem twoje pytanie jest do pewnego stopnia usprawiedliwione. — Przerwał, ale po chwili zastanowienia postanowił mówić dalej. — Zawsze istniał we mnie pewien konflikt. Między pociąganiem do tego, co tajemnicze, i do tego, co da się objąć myślą. Z początku przeważało to

ostatnie. Wielbiłem to jako lekarz. Jako racjonalista i jako socjalista. Ale stwierdziłem, że próba unaukowania rzeczywistości, określenia jej, dokonywania na niej wiwisekcji jest tym samym, co zabieranie z atmosfery powietrza. Wytwarzając próżnię eksperymentator umiera, bo sam znajduje się wewnątrz tej próżni.

— Czy zdobył pan fortunę w podobny sposób jak w historyjce o de Deukansie?

— Nie. Urodziłem się milionerem. I to nie w Anglii. — Zatem opowieść o pierwszej wojnie światowej?

— Czysty wymysł.

Przełknąłem ślinę; tym razem Conchis starał się uniknąć mego wzroku.

— Musiał się pan jednak gdzieś urodzić?

— Już dawno przestałem myśleć o sobie w tych kategoriach.

— Ale musiał pan przynajmniej jakiś czas mieszkać w Anglii?

Podniósł oczy, patrzył na mnie badawczo, bez uśmiechu, w jego wzroku kryła się ironia. — Czy twój głód inwencji nie ma końca?

— Jedno wiem na pewno: ma pan dom w Grecji.

Spojrzał przeze mnie w noc. — Zawsze zależało mi na posiadaniu własnego terytorium. W sensie czysto ornitologicznym. Chodziło mi o pewien określony obszar, gdzie żaden okaz mojego gatunku nie może się bez mego przyzwolenia pojawić.

— Ale bywa pan tu przecież bardzo rzadko.

Zawahał się, jakby znudzony wypytywaniem. — Życie istot ludzkich jest bardziej skomplikowane niż życie ptaków. A granice fizyczne w bardzo małym stopniu określają ludzkie terytorium.

Maria przyniosła półmisek z potrawką z koźlęcia i zabrała talerze po zupie. Nastąpiła chwila milczenia. Ale kiedy szła, Conchis nieoczekiwanie znów na mnie spojrzał. Zatem miał mi jeszcze coś do powiedzenia.

— Bogactwo jest czymś potwornym. Wystarczy miesiąc, żeby nauczyć się obracać pieniędzmi. Ale trzeba wielu lat, żeby nauczyć się nie podporządkowywać nimi psychicznie. Przez wiele lat prowadziłem żywot egoisty. Korzystałem z wszystkich przyjemności, jakich mogły mi dostarczyć pieniądze. Dużo podróżowałem. Wydałem małą fortunę na teatr, dużą fortunę wygrałem na giełdzie. Zdobyłem wielu przyjaciół, niektórzy z nich są obecnie bardzo sławni. Ale nigdy nie byłem naprawdę szczęśliwy. Jednak na koniec udało mi się odkryć coś, co dla większości bogaczy pozostaje na zawsze tajemnicą: że każdy człowiek ma z góry określoną zdolność do

szczęścia. I do nieszczęścia. I że warunki materialne nie mają na to większego wpływu.

— Kiedy założył pan tu teatr?

— Przyjeżdżali tu moi przyjaciele. Nudzili się. Często nudzili także mnie. Ktoś zabawny w Londynie czy w Paryżu na egejskiej wyspie może się okazać dość nieznośny. Zbudowałem teatrzyk. Tam, gdzie dziś stoi Priap. *Et voilà*.

— Czy utrzymuje pan nadal kontakt z którymś z moich poprzedników?

Nałożył sobie niewielką porcję potrawy. — Przed wojną nie było tak jak teraz. Graliśmy sztuki już istniejące. Albo ich przeróbki. Nie nasze własne.

— Barba Dimitraiki opowiadał mi o nocy sztucznych ogni. Przyglądał im się z łodzi.

Skinął głową. — Zatem nie zdając sobie z tego sprawy był świadkiem jednej z najważniejszych nocy mojego życia.

— Nie pamiętał, kiedy to było.

— W 1938 roku. — Chwilę trzymał mnie w zawieszeniu. — Podpaliłem mój teatr. Myślę o budynku. Ognie sztuczne miały to wydarzenie uczcić.

Przyszła mi na myśl jego opowieść o spaleniu wszystkich posiadanych powieści, chciałem mu o tym przypomnieć, ale on nagle podniósł do góry nóż.

— Wystarczy. Teraz będziemy jeść.

Sam zjadł bardzo niewiele tej smakowitej potrawy i wstał od stołu, kiedy ja miałem jeszcze pełny talerz.

— Jedz spokojnie. Zaraz wrócę.

Zniknął w domu. Po chwili usłyszałem na górze cichą rozmowę po grecku. Maria przyniosła deser, potem kawę, czekałem paląc papierosa. Wiedziałem, że to beznadziejne, ale wciąż jeszcze spodziewałem się pojawienia się Julie i jej siostry; bardzo mi było trzeba ich ciepła, ich normalności, ich angielskości wreszcie. W ciągu całej kolacji Conchis dużo mówił, jednak nie mogłem się oprzeć wrażeniu, iż zamknął się w sobie; jakby uważał, że przedstawienie dobiegło końca, ale byłem pewien, że nie wyrzekł się go całkowicie, w każdym razie nie tej części, która dotyczyła mojej roli. W jakiś sposób przekonany, że nie użyje siły, by przeszkodzić mojemu spotkaniu z dziewczętami, równocześnie wiedziałem, jak wspaniale umie kłamać... Niepokoiliem się, że wie o moim spotkaniu w Atenach z Alison i udowodni dziewczętom, iż ja także jestem kłamcą, i to w dodatku kłamcą pospolitym.

Nagle pokazał mi się w otwartych drzwiach sali muzycznej, w ręku trzymał cienką tekturową teczkę.

— Chciałbym, żebyśmy usiedli tutaj. — Wskazał na stolik, z którego Maria zabrała już alkohole i szklanki. — Może zechcesz przynieść tu dwa krzesła. I lampę.

Przyniosłem krzesła. Kiedy zabierałem lampę, ktoś pojawił się w rogu kolumnady. Na sekundę stanęło mi serce, pomyślałem, że to jednak Julie, że to na nią czekaliśmy. Ale był to ubrany na czarno Murzyn. Niósł coś, zszedł na wyźwirowany placyk i o parę jardów przed nami ustawił na statywie niewielki biały ekran. Ktoś zawołał z góry.

— *Entaxi*. W porządku. — Nieznany grecki głos.

Murzyn wycofał się, nawet na nas nie spojrzawszy. Conchis przykręcił lampę, potem poprosił, bym usiadł koło niego, naprzeciwko ekranu. Dłuższą chwilę milczał.

— To, co ci teraz opowiem, pomoże ci zrozumieć, dlaczego nie życzę sobie twoich dalszych wizyt. I tym razem opowiem ci prawdę. — Nie odpowiedziałem, choć on zamilkł, jakby oczekując protestu. — Chciałbym, żebyś zauważył, iż to, co się zdarzyło, mogło się zdarzyć tylko w świecie, w którym mężczyzna uważa się za coś lepszego od kobiety. W jak to mówią Amerykanie, świecie mężczyzn. To znaczy w świecie, gdzie rządzi brutalna siła, pozbawiona poczucia humoru buta, żłudny prestiż i prymitywna głupota. — Spojrzał na ekran. — Mężczyźni uwielbiają wojnę, ponieważ podczas wojny mogą udawać ludzi serio. Nie muszą się bać, że zostaną wyśmiani przez kobiety. I mogą sprowadzić kobiety do roli przedmiotu. Na tym polega podstawowa różnica między płciami. Mężczyźni widzą przedmioty, kobiety ich wzajemne relacje. Kobiety wiedzą, czy przedmioty potrzebują się nawzajem, kochają, pasują do siebie. Kobiety widzą wszystko w innym niż mężczyźni wymiarze i dla każdej prawdziwej kobiety wojna jest czymś odrażającym i absurdalnym.

Powiem ci, czym naprawdę jest wojna. Psychozą spowodowaną nieumiejętnością zrozumienia wzajemnych zależności. Nieumiejętnością ustosunkowania się do naszych bliźnich. Do naszej ekonomicznej i historycznej sytuacji. A przede wszystkim do nicości. Do śmierci.

Zrobił pauzę. Jego twarz wyglądała jak maska, był całkowicie wpatrzony w swoje myśli. Po chwili oświadczył: — Zaczynam.

— Kiedy w 1940 roku rozpoczęła się włoska inwazja na Grecję, byłem z góry zdecydowany, że nie ucieknę. Nie potrafię ci wyjaśnić powodów. Może była to zwykła ciekawość, może poczucie winy, może obojętność. Zresztą pozostanie na małej wysepce, położonej z dala od wszystkiego, nie wymagało specjalnej odwagi. Szóstego kwietnia 1941 roku Niemcy zajęli miejsce Włochów. Już dwudziestego siódmego byli w Atenach. W czerwcu rozpoczęli inwazję na Kretę i znaleźliśmy się w ogniu walki. Całymi dniami przelatywały nad nami samoloty, niemieckie łodzie desantowe były we wszystkich zatokach. Ale wkrótce na wyspie znów zapanował spokój. Nie miała strategicznego znaczenia ani dla Osi, ani dla partyzantów. Garnizon wojskowy na wyspie był nieliczny. Czterdziestu Austriaków — hitlerowcy przydzielali Austriakom i Włochom najłatwiejsze placówki — pod dowództwem porucznika, który został ranny w czasie wojny z Francją.

— Już podczas ataku na Kretę wysiedlono mnie z Bourani. Bourani awansowało do roli posterunku obserwacyjnego, a utrzymanie tego posterunku było prawdziwym powodem zostawienia tu garnizonu. Na szczęście miałem także dom we wsi. Niemcy zachowali się poprawnie. Sami przenieśli moje rzeczy z Bourani, a nawet płacili mi nominalny czynsz. Sprawy zaczęły się układać, kiedy *proedros*, ówczesny wójt wioski umarł na zawał. W dwa dni później wezwał mnie nowo przybyły komendant wyspy. Kwaterował wraz ze swymi ludźmi w szkole, którą zamknięto w czasie świąt Bożego Narodzenia.

— Sądziłem, że spotkam kogoś w rodzaju awansowanego kwatermistrza. Tymczasem powitał mnie przystojny młody człowiek w wieku dwudziestu siedmiu, dwudziestu ośmiu lat, który zwrócił się do mnie po francusku i oświadczył, że o ile wie, dobrze znam ten język. Był niezwykle uprzejmy, starał się wyraźnie usprawiedliwić i, o ile było to w tych okolicznościach możliwe, przypadliśmy sobie do gustu. Szybko doszedł do sedna sprawy. Chciał, abym został wójtem. Odmówiłem, nie chciałem mieć nic wspólnego ze sprawami wojny. Posłał po kilku najznacześniejszych mieszkańców wsi. Kiedy się pojawili, zostawił mnie z nimi sam na sam i odkryłem, że to oni wysunęli moją kandydaturę. Chodziło rzecz prosta o to, że żaden z nich nie chciał piastować tego stanowiska, dźwigać odium kolaboracji i z ich punktu widzenia byłem idealnym *bouc émissaire*. Sprawę przedstawili oczywiście w sposób niezwykle dla mnie pochlebny, odwoływali się także do wszelkich imponderabiliów, ale jeszcze

raz odmówiłem. Wtedy zdobyli się na szczerłość, obiecali mi ciche poparcie... krótko mówiąc, w końcu się zgodziłem.

— Ten dość wątpliwy zaszczyt, którego dostąpiłem, sprawił, że zacząłem dość często widywać porucznika Klubera. W pięć czy sześć tygodni po naszym pierwszym spotkaniu poprosił, żebym — kiedy będziemy sami — mówił do niego po imieniu: Anton. Możesz się domyślić, że często spotykaliśmy się sam na sam i nasza wzajemna sympatia pogłębiła się. Łączyła nas wspólna pasja: muzyka. Anton miał piękny głos. Jak wielu utalentowanych amatorów śpiewał Schuberta i Wolfa lepiej — z większym wyczuciem — niż większość zawodowych śpiewaków. Przynajmniej dla mnie. Podczas pierwszej wizyty u mnie zauważył klawesyn. A ja, dosyć złośliwie, zagrałem mu *Wariacje* Golberga. Nie ma pewniejszego sposobu, by wrażliwego Niemca doprowadzić do łez. Nie chciałbym dawać do zrozumienia, że trudno było zdobyć Antona. Już i tak trochę wstydził się swojej roli i skłonny był podziwiać pierwszego spotkanego antyfaszystę. Kiedy następnym razem pojawiłem się w szkole, poprosił, żebym akompaniował mu na pianinie, które kazał przenieść z auli szkolnej do swojej prywatnej kwatery. Z kolei ja się wzruszyłem. Oczywiście, nie do łez. Ale on naprawdę pięknie śpiewał. I zawsze miałem słabość do Schuberta.

— Jednym z pierwszych pytań, jakie zadałem Antonowi, było pytanie dlaczego znając tak wyśmienicie francuski nie jest w okupowanej Francji. Okazało się, że „pewni rodacy” uznali, że jego stosunek do Francuzów nie jest dostatecznie niemiecki. Pewnie zbyt często w kasynie oficerskim występował w obronie kultury galijskiej. No i zesłano go tutaj, na stojącą wodę. Zapomniałem powiedzieć, że podczas inwazji 1940 roku został ranny w kolano i utykał, nie nadawał się zatem do czynnej służby. Nie był Austriakiem, był Niemcem. Pochodził z bogatej rodziny i przed wojną przez rok studiował na Sorbonie. Wreszcie postanowił zostać architektem. Ale dalsze studia przerwała wojna.

Zamilkł, podkreślił płomyk lampy; potem otworzył teczkę, wyjął z niej plany architektoniczne, dwa czy trzy szkice w perspektywie, rysunki elewacji, szkło, pobłyskujący beton.

— Ostro skrytykował moją willę. Obiecał, że po wojnie przyjedzie i zbuduje mi nowy dom. Zgodnie z najlepszymi zasadami Bauhausu.

Wszystkie podpisy były po francusku, nigdzie niemieckiego słowa. Plan podpisany był *Anton Kluber, 7 czerwca 4 roku Wielkiego Szaleństwa*. Conchis pozwolił mi dokładnie obejrzeć rysunki, potem znów przykręcił knot.

— Pierwszy rok okupacji był znośny. Brakowało nam żywności, ale Anton i jego ludzie przymykali oczy na drobne wykroczenia. Absurdem jest wyobrażać sobie okupację jako nieustające starcia między bezwzględnymi oddziałami szturmowymi a zrozpaczonymi tubylcami. Większość austriackich żołnierzy byli to ludzie po czterdziestce, ojcowie rodzin, stanowili łatwy łup dla rybackich dzieci. Któregoś letniego dnia o świcie, było to w 1942 roku, aliancki samolot zbombardował niemiecką łódź z zaopatrzeniem, która w drodze na Krete zawinęła do naszej zatoki. Łódź zatонуła. Na powierzchnię wypłynęły setki skrzyń z żywnością. Mieszkańcy wyspy już od roku jadali wyłącznie ryby i czerstwy chleb. Widok mięsa, mleka, ryżu i innych luksusowych towarów okazał się ponad ich siły. Czym się dało, wypłynęli na morze. Ktoś dał mi znać, co się dzieje, i pobiegłem nad zatokę. Na przylądku stał karabin maszynowy i ostrzeliwał aliancki samolot, z przerażeniem wyobraziłem sobie, że zaraz nastąpi masakra. Ale kiedy dobiegłem do zatoki, zobaczyłem, że mieszkańcy wyspy spokojnie wylawiają skrzynie o sto jardów od karabinu maszynowego. Obok posterunku stał Anton i pluton porządkowy. Nikt nie strzelał.

— W parę godzin później Anton wezwał mnie do siebie. Oczywiście, obsypałem go podziękowaniami. Oznajmił, że zamierza podać w raporcie, iż część załogi ocalała dzięki rybakom, którzy natychmiast wypłynęli na pomoc. Ale musi odzyskać parę skrzyń, jako „wynik akcji ratunkowej wieśniaków”. Powinienem się tym natychmiast zająć. Reszta ładunku zatонуła. Tego dnia znikły resztki wrogości, którą z początku mieszkańcy wsi okazywali jemu i jego ludziom.

— Pamiętam dobrze pewien wieczór w jakiś miesiąc później, kiedy grupka lekko pijanych austriackich żołnierzy zaczęła śpiewać nad zatoką. I nagle zaczęli śpiewać także i rybacy. Kolejno. Najpierw Austriacy, potem mieszkańcy wyspy. Po niemiecku i po grecku. Piosenki tyrolskie. Potem *kalamatiano*. Było to dość niezwykle. Pod koniec i rybacy, i żołnierze śpiewali już nawzajem swoje pieśni.

— Ale był to już zenit naszego krótkotrwałego złotego wieku. Wśród austriackich żołnierzy musiał być szpieg. W tydzień później przysłano do garnizonu oddział Niemców, aby „podnieść morale”, Anton przyszedł do mnie któregoś dnia jak rozgniewane dziecko i powiedział; „Oświadczone mi, że przynoszę ujmę Wehrmachtowi. Że muszę nauczyć się zachowywać jak żołnierz.” Jego oddziałom zabroniono dzielić się żywnością z rybakami i od tej pory rzadko widywaliśmy we wsi austriackich żołnierzy. W listopadzie, po sprawie Gorgopotamas, wytworzyło się nowe napięcie. Na szczęście wieśniacy obdarzali mnie niezasłużoną wdzięcznością za

dotychczasowe „lekkie życie” i bez szemrania podporządkowali się surowszemu reżymowi. Conchis przerwał i dwukrotnie klasnął w ręce.

— Chcę, żebyś zobaczył Antona.

— Wydaje mi się, że go już widziałem.

— Nie. Anton nie żyje. Widziałeś aktora, który jest do niego podobny. A oto prawdziwy Anton. Kiedy wojna się zaczęła, miałem małą kamerę filmową i nakręciłem dwie rolki filmu. Przechowałem je do 1944 roku i oddałem do wywołania. Jakość pozostawia, niestety, wiele do życzenia.

Usłyszałem cichy warkot aparatu projekcyjnego. Z góry padł snop światła, chwilę błędził, trafił na ekran.

Zobaczyłem młodego człowieka, mniej więcej w moim wieku. Nie był to ten młody człowiek, którego spotkałem przed tygodniem, ale miał takie same gęste czarne brwi. Był niewątpliwie oficerem z okresu wojny. Przypominał mi trochę pilotów z Bitwy o Anglię, żadnej miękkości, raczej stylizowana beztroska. Szedł ścieżką wzdłuż wysokiego muru, może był to mur wokół domu Hermesa Ambelasa. Uśmiechał się. Stał w postawie bohaterskiego tenora, roześmiał się trochę sztucznie i na tym skończyła się dziesięciosekundowa sekwencja. W następnej pił kawę bawiąc się z kotem, spod oka spoglądał na kamerę, nieśmiało i poważnie, tak jakby ktoś zabronił mu się śmiać. Film był niewyraźny, amatorski. Następna sekwencja. Rząd ludzi maszerujących nad zatoką, zdjęto ich z góry, widać z okna któregoś domu.

— Ostatni to Anton.

Lekko utykał. Za żołnierzami widać było nadbrzeże, na którym po wojnie zbudowano wartownię dla celników i straży przybrzeżnej. Nadbrzeże było puste. Zatem widziałem niekłamane autentyczny dokument.

Snop światła zgasł.

— Tak. Sfilmowałem jeszcze kilka scen, ale druga rolka prześwieciła się. Udało mi się ocalić tylko jedną. — Na chwilę zamilkł, potem dalej ciągnął opowieść. — Oficerem odpowiedzialnym za morale w tej części Grecji był pułkownik SS nazwiskiem Wimmel. Dietrich Wimmel. W opisywanych przeze mnie latach zrodził się w Grecji ruch oporu. Partyzantka działała wszędzie tam, gdzie były sprzyjające warunki terenowe. Ze wszystkich wysp jedynie Kreta umożliwiała operacje *maquis*. Ale na północy i na Peloponezie rozpoczęła działalność ELAS, a także inne organizacje. Broń zrzucono im z samolotów. Zrzucono także wyspecjalizowanych sabotażystów. Pod koniec 1942 roku Niemcy sprowadzili z Polski Wimmla, który wykazał się tam



ogromnymi osiągnięciami. Teraz zajmował się południowo-zachodnią częścią Grecji, podlegała mu także nasza wyspa. Jego metody były proste. Ustalił cennik. Za każdego rannego Niemca rozstrzelowano dziesięciu zakładników. Za każdego zabitego — dwudziestu. Możesz sobie wyobrazić, że system ten nieźle funkcjonował.

— Miał pod sobą kompanię starannie dobranych potworów germańskich, którzy prowadzili przesłuchania, torturowali i zabijali. Nazywano ich — ze względu na noszone na czapkach czarne orły — *die Raben*. Krukami.

— Poznałem go, nim jeszcze jego nazwisko stało się synonimem zbrodni. Któregoś zimowego ranka dowiedziałem się, że na wyspę przybył nieoczekiwanie jakiś wyższy oficer niemiecki. W parę godzin potem wezwał mnie Anton. Wszedłem do jego gabinetu i przedstawił mnie szczupłemu, niewysokiemu mężczyźnie. Był on mniej więcej w moim wieku, tego samego wzrostu co ja. Niezwykle schludny. Skrupulatnie uprzejmy. Wstał, żeby się ze mną przywitać. Mówił trochę po angielsku, dostatecznie dobrze, aby wiedzieć, że mówię lepiej. I kiedy wyznałem, że jestem bardzo związany z kulturą angielską i że studiowałem w Anglii, oznajmił: „Wielką tragedią naszych czasów jest konflikt między Anglią a Niemcami.” Zabrał głos Anton. Opowiedział już pułkownikowi o naszych muzycznych wieczorach i pułkownik wyraził nadzieję, że zjem z nimi lunch, a potem będę akompaniował Antonowi do kilku pieśni. Oczywiście, *à titre d'office* musiałem przyjąć zaproszenie.

— Pułkownik bardzo mi się nie spodobał. Miał oczy jak żyletki. Nigdy przedtem ani potem nie widziałem równie nieprzyjemnych oczu. Śladu sympatii dla niczego w otaczającym świecie. Jedyne ocena i zimna kalkulacja. Wolałbym już oczy wszetecznika lub bydlaka. A tymczasem były to oczy maszyny.

— Maszyny wykształconej. Pułkownik przywiózł z sobą parę butelek białego reńskiego wina, i już od wielu miesięcy nie jadłem takiego lunchu. Przez chwilę rozmawialiśmy o wojnie takim tonem, jakby chodziło o pogodę. To pułkownik zmienił temat, zaczął mówić o literaturze. Był człowiekiem odczytanym. Znał dobrze Szekspira, świetnie Schillera i Goethego. Przeprowadził parę interesujących paraleli między literaturą angielską a niemiecką, nie zawsze na korzyść tej ostatniej. Zauważyłem, że pije znacznie mniej niż my. A Anton zapomniał o ostrożności. Obaj zresztą znajdowaliśmy się pod obserwacją. Zdałem sobie z tego sprawę już w połowie lunchu, a pułkownik to spostrzegł. Wkrótce to my — dwaj starsi mężczyźni — nadaliśmy ton rozmowie. Anton znalazł się niejako poza nawiasem. Dla przeciętnego greckiego

oficjała pułkownik mógł żywić tylko pogardę i powinno mi schlebiać, że traktuje mnie jak równego sobie. Ale nie dałem się wyprowadzić w pole.

— Po lunchu odbył się krótki koncert i pułkownik obsypał nas komplementami. Potem oznajmił, że chce przeprowadzić inspekcję posterunku obserwacyjnego z drugiej strony wyspy, i zaproponował, abym mu towarzyszył, miejsce to pozbawione było militarnego znaczenia. Popłynęliśmy więc motorówką na Moutse i stamtąd wdrapaliśmy się do mego domu. Wszędzie pełno było rekwizytów wojskowych, zasięki z drutów, kilka bunkrów. Ale z radością stwierdziłem, że sam dom nie ucierpiał. Żołnierze przedefilowali przed pułkownikiem, który wygłosił do nich w mojej obecności parę słów, oczywiście po niemiecku. Mówił o mnie „ten džentelmen” i nawoływał do poszanowania mojej własności. Kiedy już wychodziliśmy, zatrzymał się, aby zrugać wartownika, który miał przekrzywiony pas. Pokazał go Antonowi, mówiąc: „*Schlamperei, Herr Leutnant. Sehen Sie?*” — *Schlamperei*, to mniej więcej tyle co niechlujstwo. Prusacy chętnie mówią tak o Bawarczykach. I o Austriakach. Pułkownik nawiązywał wyraźnie do poprzedniej rozmowy. Ale to dostarczyło mi klucza do jego charakteru.

— Znikł nam z oczu na dziewięć miesięcy. Do jesieni 1943 roku. — Było to w końcu września. Któregoś pięknego popołudnia siedziałem w domu, kiedy nagle pojawił się Anton. Zorientowałem się, że musiało się stać coś strasznego. Anton przybiegł prosto z Bourani. Stacjonowało tam wówczas dwunastu żołnierzy. Tego ranka czterech, nie będących akurat na służbie, zeszło się wykąpać na Moutse. Nieprzezornie, było to znów *Schlamperei*, ponieważ wszyscy na raz weszli do morza. A potem położyli się na plaży. Zza drzew z tyłu pojawiło się trzech mężczyzn. Jeden z nich miał karabin maszynowy. Niemcy nie mieli żadnej szansy. Dowodzący *Unteroffizier* usłyszał w domu strzały, zawiadomił drogą radiową Antona, a potem zszedł na brzeg zobaczyć, co się stało. Znalazł trzy trupy; nie, dwa; jeden żołnierz żył jeszcze i zdążył opowiedzieć, co zaszło. Partyzanci zniknęli wraz z karabinami żołnierzy. Anton natychmiast opłynął wyspę motorówką.

— Biedny Anton. Obowiązek nakazywał mu zawiadomić natychmiast tego strasznego pułkownika Wimmela, usiłował jednak ten moment opóźnić. Oczywiście, musiał to zrobić, ale zrobił dopiero wieczorem, po zobaczeniu się ze mną. Jak mi oświadczył, doszedł do wniosku, że musieli to być *andarte* z lądu, którzy przypłynęli tu nocą i przed nocą nie będą mogli uciec. Obszedł więc całą wyspę szukając ukrytej łodzi. I znalazł ją między drzewami na brzegu na-przeciwko Petrocaravi. Partyzanci

musieli widzieć jego poszukiwania. Nie miał wyjścia. Rozkazy *Kommandantur* były wyraźne. Należało odciąć wrogowi możliwość odwrotu. Podpalili łódź. Myszy znalazły się w pułapce.

— Anton zjawiał się u mnie, by mi to wszystko wyjaśnić. Cennik Wimmla był już szeroko znany. Byliśmy mu winni osiemdziesięciu ludzi. Anton uważał jednak, że istnieje dla nas pewna szansa. Ująć partyzantów, zanim na wyspie pojawi się nazajutrz Wimmel — a było niemal pewne, że się pojawi. W ten sposób udowodnimy mu, że zamachowcami byli nie mieszkańcy wyspy, lecz *agents provocateurs*. Wiedzieliśmy, że muszą to być komuniści z ELAS, ponieważ często polityka ich polegała na wywoływaniu represji niemieckich, żeby wzmocnić ducha oporu Greków. Tą samą taktyką posługiwali się osiemnastowieczni *klephts*, aby poderwać biernych wieśniaków przeciwko Turkom.

— O ósmej wieczorem zwołałem wioskowych notabli i wyjaśniłem im sytuację. Było za późno, żeby coś przedsięwziąć jeszcze tej nocy. Naszą jedyną nadzieją była pomoc oddziałom Antona w przeszukaniu wyspy następnego dnia. Wszyscy byli wściekli, że ich spokój — i życie — zostały narażone na tak straszne niebezpieczeństwo. Obiecali, że całą noc będą pilnować łodzi i cystern, a o świcie wyruszą na poszukiwanie partyzantów.

— O północy obudził mnie odgłos kroków i walenie do bramy. Był to znów Anton. Przyszedł powiedzieć mi, że jest już za późno. Otrzymał rozkazy. Nie wolno mu rozpocząć samemu żadnej akcji. Przed południem przyplynie Wimmel z oddziałem *die Raben*. Mam zostać natychmiast aresztowany. Wszyscy mężczyźni od lat czternastu do siedemdziesięciu pięciu mają zostać o świcie spędzeni na plac. Anton opowiedział mi to wszystko w sypialni. Biegał w kółko, ze łzami w oczach, a ja siedziałem w łóżku i słuchałem, jak to on się wstydzi, że jest Niemcem, wstydzi się, że się w ogóle urodził. Że popełniłby natychmiast samobójstwo, gdyby nie uważał za swój obowiązek próbować nazajutrz interwencji u pułkownika. Rozmawialiśmy długo. Opowiadał mi o Wimmlu. Byliśmy tak odcięci od świata, że wiele rzeczy usłyszałem po raz pierwszy. Na koniec Anton oświadczył, że ta wojna dała mu tylko jedno. Możliwość poznania mnie. Uścisnęliśmy sobie ręce.

— Poszedłem z nim do szkoły, gdzie przespałem noc pod strażą. Kiedy następnego dnia o dziewiątej rano zaprowadzono mnie do portu, byli tam już, zgromadzeni wszyscy mężczyźni i większość kobiet wsi. Oddziały Antona strzegły wszystkich wyjść. Ludzie byli w czarnej rozpacz. Ale nic nie mogli zrobić.

— O dziesiątej przyplłynęli *die Raben*. Na pierwszy rzut oka widać było wielką różnicę między nimi a Austriakami. Byli lepiej wymusztrowani, bardziej zdyscyplinowani, bardziej wyprani z wszelkich ludzkich uczuć. I byli młodzi, to mnie najbardziej w nich przeraziło — fanatyzm młodości. W dziesięć minut później lądował hydroplan. Jeszcze widzę cień jego skrzydeł na pobielonych zabudowaniach portowych. Jak czarna kosa. Stojący koło mnie młody rybak zerwał czerwony kwiat hibiskusa i przyłożył go do serca. Wszyscy wiedzieliśmy, co chce przez to powiedzieć.

— Pojawił się Wimmel. Przede wszystkim kazał sprowadzić na nadbrzeże wszystkich mężczyzn i wtedy mieszkańcy wyspy po raz pierwszy dowiedzieli się, co to znaczy być kopanym i bitym przez okupanta. Kobiety wypchnięto na pobliskie uliczki. Wimmel wraz z Antonem znikli w tawernie. Wkrótce potem wezwano mnie. Rybacy przeżegnali się, a mnie zabrało dwóch żołnierzy. Pułkownik nie wstał, by mnie powitać, i przemówił do mnie jak do kogoś zupełnie obcego. I nie po angielsku. Przywiózł z sobą greckiego tłumacza, kolaboracjonistę. Widziałem, że Anton stracił zupełnie głowę. Że nie wie, co robić.

— Wimmel przedstawił swoje warunki. Wybierze osiemdziesięciu zakładników. Reszta mężczyzn przeszuka wyspę, odnajdzie partyzantów i przyprowadzi ich tu żywcem wraz z posiadaną przez nich bronią. Nie wolno ich zabić. Jeśli w ciągu dwudziestu czterech godzin partyzanci zostaną ujęci, zakładników wyśle się do obozu. W przeciwnym razie — rozstrzela.

— Spytałem go, w jaki sposób możemy ująć trzech uzbrojonych, gotowych na wszystko ludzi. W odpowiedzi spojrział tylko na zegarek i oświadczył po niemiecku: — Jest jedenasta. Macie czas do jutra, do południa.

— Kazano mi powtórzyć na nadbrzeżu to, co przed chwilą usłyszałem. Mężczyźni zaczęli się przekrzykiwać, skarżąc się, żądając broni, proponując inne rozwiązania. Wreszcie pułkownik wypalił w powietrze z rewolweru i zapanowała cisza. Kolejno zaczęto wywoływać mieszkańców wsi. Sam Wimmel wybierał zakładników. Zauważyłem, że wybiera ludzi najsprawniejszych fizycznie, między dwudziestym a czterdziestym rokiem życia, tak jakby z myślą o obozie. Ale obecnie sędzę, że chodziło mu o wybranie najwspanialszych okazów w ofierze śmierci. Wskazał tak kolejno na siedemdziesięciu dziewięciu mężczyzn, a potem na mnie. Osiemdziesiątym zakładnikiem zostałem ja.

— Poprowadzono nas do szkoły i umieszczono pod strażą. Wpakowano nas wszystkich do jednej klasy, bez wody, bez jedzenia, bez możliwości korzystania z

ubikacji, a co gorsza bez żadnych wiadomości. Pilnowali nas *die Raben*. Dopiero dużo później dowiedziałem się, co wówczas zaszło.

— Pozostali mężczyźni pobiegli do domu po noże, kosy, pałki, chwycili, co się dało, i spotkali się na wzgórzu nad wsią. Starcy, którzy już ledwo chodzili, dziesięcio- i dwunastoletni chłopcy. Kilka kobiet usiłowało się do nich przyłączyć, ale zostały brutalnie zatrzymane. Ich obecność miała gwarantować powrót mężczyzn.

— Ten żalosny regiment zaczął dyskutować, jak to zwykle Grecy. Postanowili coś i znów zmienili plany. Na koniec ktoś objął dowództwo i wyznaczył każdemu teren do przeszukania. Wyruszyli — było ich stu dwudziestu. Nie wiedzieli, że nie mają już czego szukać. Ale nawet gdyby partyzanci ukrywali się w lesie, nie sądzę, aby ich znaleźli — nie mówiąc już o pojmaniu. Za dużo drzew, za dużo skał, za dużo rozpadlin.

— Całą noc pozostali na wzgórzach utworzywszy kordon; mieli nadzieję, że partyzanci będą usiłowali dostać się do wsi. Następnego ranka znów zaczęli rozpaczliwie szukać. O dziesiątej spotkali się i zastanawiali, czy nie zaatakować Niemców we wsi. Ale najroztropniejsi zdawali sobie sprawę, że sprowadziłoby to jeszcze większą tragedię. Przed dwoma miesiącami we wsi na Mani Niemcy wybili całą ludność, łącznie z dziećmi, za znacznie bardziej błahe przewinienie.

— W południe zeszli do wsi niosąc krzyż i święte obrazy. Czekał na nich Wimmel. Ich rzecznik, stary marynarz, spróbował rozpaczliwego kłamstwa. Że widzieli, jak partyzanci uciekają na małej łódeczce. Wimmel uśmiechnął się, pokręcił głową i kazał starca zamknąć jako osiemdziesiątego pierwszego zakładnika. Sprawa była prosta. Niemcy sami dawno już pojмали partyzantów. We wsi. Ale przyjrzyjmy się Wimmelowi.

Conchis znów klasnęła w ręce.

— Oto on. W Atenach. Sfilmowali go chłopcy z jednej organizacji, żeby zapamiętać tę twarz.

Ekran znów nappełnił się światłem. Miejska ulica. Po ocienionej stronie stanął niemiecki samochód podobny do dżipa. Wysiadło z niego trzech oficerów, przeszli na ukos ulicę, idąc wprost na kamerę, umieszczoną widać w parterowym oknie domu, sąsiadującego z tym, do którego zmierzali. Na chwilę zasłoniła widok głowa jakiegoś przechodnia. Pierwszy szedł niski, elegancki mężczyzna. Bił od niego autorytet, tamci dwaj istnieli tylko w jego cieniu. I znów coś, może okiennica, zakryło widok. Ciemność. I zdjęcie mężczyzny w cywilnym ubraniu.

— To jedyne jego zdjęcie sprzed wojny, jakie udało się odszukać.

Dosyć pospolita twarz, zacięte usta. Nieruchomy wzrok, zupełnie inny i znacznie bardziej nieprzyjemny niż wzrok Conchisa. Istniało pewne podobieństwo między tym człowiekiem a „pułkownikiem” z grzbietu wyspy, ale byli to inni ludzie.

— A oto wyjątki z kronik nakreślonych w Polsce.

Obraz znów zaczął się ruszać, a Conchis udzielał wyjaśnień: „To on, tam za generałem, albo: „Wimmel stoi z lewej strony.” — Choć wiedziałem, że film jest prawdziwy, wydawał mi się nierzeczywisty, działo się tak zawsze, gdy oglądałem filmy o hitlerowcach; uważałem, że ogromny dystans dzieli Europę, która była w stanie wydać podobne potwory, od Anglii, w której to nie było możliwe. A równocześnie czułem, że Conchis usiłuje schwytać mnie w pajęczą sieć, wywołać we mnie kompleks niedojrzałości i naiwności. Ale kiedy spojrzałem na jego twarz, widoczną teraz w blasku ekranu, zobaczyłem, że jest całkowicie, bardziej niż ja, pochłonięty tym, co widzi, że bardziej niż ja żyje tą przeszłością.

— Oto co musieli zrobić partyzanci. Kiedy zorientowali się, że ich łódź spłonęła, szybko przekradli się do wsi. Pewnie byli już tam, kiedy u mnie pojawił się Anton. Nie wiedzieliśmy, że jeden z nich ma krewnych w chacie na skraju wsi, rodzinę nazwiskiem Tsatsos. Składała się ona z ojca, dwóch córek, osiemnastoletniej i dwudziestoletniej, i syna. Dwa dni temu mężczyźni popłynęli do Pireusu wioząc oliwę, mieli niewielką łódź, a Niemcy pozwalali na przybrzeżną żeglugę. Jeden z partyzantów, spokrewniony z tą rodziną, kochał się w starszej kuzynce.

— Partyzanci nie zauważeni dotarli do chaty, nim jeszcze wieś dowiedziała się o nieszczęściu. Prawdopodobnie liczyli na łódź. Ale łodzi nie było. Wkrótce potem zapłakana sąsiadka przybiegła opowiedzieć siostrze o zamachu i powtórzyć to, co powiedziałem wiejskim notablom. Partyzanci byli już wówczas dobrze ukryci. Nie wiemy, gdzie spędzili noc. Pewnie w jednej z pustych cystern. Bo pośpiesznie utworzone patrole wieśniaków przeszukały wszystkie wille i chaty, i zamieszkane, i puste, łącznie z chatą Tsatsosów, i nikogo nie znalazły. Nigdy nie dowiemy się, czy dziewczyny były po prostu przerażone, czy też działały z pobudek patriotycznych. We wsi nie miały krewnych, a nieobecnemu ojcu i bratu nie groziło niebezpieczeństwo.

— Partyzanci postanowili prawdopodobnie, że następnego dnia spróbują uciec każdy na własną rękę. Siostry zabrały się do pieczenia chleba. Zauważyła to wścibska sąsiadka i przypomniała sobie, że piekły chleb zaledwie przed dwoma dniami. Przed podróżą ojca i brata. Sąsiadka widać nie od razu nabrała podejrzeń, bo dopiero o

piątej po południu przysłała do szkoły i powiadomiła Niemców. Wśród zakładników było trzech członków jej najbliższej rodziny.

— W chacie pojawił się patrol *die Raben*. Był tam już tylko kuzyn. Schował się w szafie. Usłyszał krzyk katowanych dziewcząt. Wiedział, że to już koniec, wyskoczył więc z szafy z rewolwerem w ręku i strzelił, nim Niemcy zdążyli się połapać. Ale rewolwer się zaciął.

— Zabrano całą trójkę do szkoły i rozpoczęto przesłuchanie. Dziewczęta poddano torturom i kuzyn dość szybko zaczął zeznawać. W dwie godziny później, zaraz po zapadnięciu nocy, poprowadził Niemców do nadbrzeżnej pustej willi, puknął w okiennicę i szepnął, że siostronom udało się zdobyć łódź. Kiedy dwóch jego kolegów wyszło przed bramę, rzucili się na nich Niemcy. Przywódca został ranny w ramię, poza tym nic się nikomu nie stało.

Przerwałem: — Naprawdę był Kreteńczykiem?

— Tak. Podobny do mężczyzny, którego widziałeś. Może trochę niższy i bardziej krępy. Przez cały ten czas my, zakładnicy, siedzieliśmy w klasie. Okna tej klasy wychodziły na las piniowy, zatem nie mogliśmy nic zobaczyć ani usłyszeć. Ale koło dziewiątej dobiegły nas dwa straszne jaęki, a potem krzyk. Jedno słowo: *eleutheria*.

— Można by przypuścić, że odpowiedzieliśmy tym samym krzykiem, ale nie. Zaczęliśmy mieć nadzieję, że partyzanci zostali schwytani. Wkrótce potem usłyszeliśmy dwa strzały. A w chwilę później otworzyły się drzwi do klasy. Wywołano mnie i jeszcze drugiego mężczyznę, miejscowego rzeźnika.

— Zaprowadzono nas na dół, potem obeszliliśmy wokół szkołę i znaleźliśmy się przed zachodnim skrzydłem, tam gdzie — o ile wiem — mieszkają obecnie nauczyciele. W drzwiach stał Wimmel z jednym z adiutantów.

— Na schodach z tyłu siedział tłumacz-kolaborcjonista z twarzą ukrytą w dłoniach. Był blady jak trup, znajdował się w stanie szoku. O jakieś dwadzieścia jardów stamtąd leżały pod murem dwa kobiece ciała. Kiedy zbliżaliśmy się, żołnierze kładli je właśnie na nosze. Adiutant skinął na rzeźnika i kazał mu za sobą pójść.

— Wimmel odwrócił się i wszedł do budynku. Popchnięto mnie za nim. Wimmel stał na końcu mrocznego korytarza i czekał na mnie. Z otwartych drzwi padało światło. Kiedy znalazłem się koło niego, kazał mi wejść.

— Myślę, że każdy, kto nie był lekarzem — zemdlałby. Wolałbym zemdleć. Pokój był pusty. Na środku stał stół. Do stołu przywiązany był młody człowiek. Kuzyn.

Miał na sobie tylko krótką pokrwawioną koszulkę, wokół ust i oczu widniały rany oparzeń. Ale ja widziałem tylko jedno. Tam gdzie powinny się znajdować genitalia, była czarnoczerwona dziura. Obcięto mu penis i jądra. Nożycami do przecinania drutu.

— W rogu pokoju leżał na podłodze drugi nagi mężczyzna. Twarzą do ziemi. Nie wiedziałem, co z nim zrobili, ale wyglądał na nieprzytomnego. Nigdy nie zapomnę ciszy panującej w tym pokoju. Znajdowało się w nim kilku żołnierzy. Żołnierzy? Raczej oprawców, sadystycznych psychopatów! Jeden z nich miał w ręku długi żelazny pręt. Paliła się elektryczna maszynka. Trzech katów miało na sobie skórzane fartuchy, takie jak fartuchy kowali, żeby nie powalać mundurów.

— W kącie był przywiązany do krzesła trzeci mężczyzna. Miał w ustach knebel. Wielki, potężny chłop. Był ranny w ramię, lekko pokiereszowany, ale najwyraźniej jeszcze nie torturowany. Wimmel zaczął od tych, których łatwiej było złamać.

— Widziałem filmy — choćby film Rosseliniego — o tym, jaka powinna być reakcja przyzwoitego człowieka na podobny widok. Człowiek patrzy na hitlerowskich potworów i wygłasza z oburzeniem parę zwięzłych, lecz wspaniałych słów potępienia. Mówi w imieniu ludzkości i historii i upokarza bestie. Wyznaję, że mnie ogarnął tylko potworny strach. Widzisz, Nicholas, przypuszczałem, a Wimmel pozwolił mi się zastanawiać nad tym dłuższą chwilę, że to mnie z kolei chcą poddać torturom. Po co? Nie wiedziałem. Ale czułem, że światem przestał kierować rozsądek. Skoro człowiek może coś podobnego wyrządzić drugiemu człowiekowi...

— Odwróciłem się i spojrzałem na Wimmła. Niezwykłe było to, że wydał mi się jeszcze najbardziej ludzkim z wszystkich znajdujących się w tym pokoju osób. Wyglądał na zmęczonego. Był poirytowany i jakby z lekka zde gustowany. Jakby się wstydził za swych podwładnych, za tę rzeźnię.

— Powiedział po angielsku: „Tym ludziom sprawia to przyjemność. Mnie nie. Chciałbym, żeby był pan uprzejmy z nim porozmawiać, nim zabiorą się do tego mordercy.”

— Spytałem: „Co mam mu powiedzieć?” „Muszę znać nazwiska jego kolegów. I ludzi, którzy im pomagają. Adresy melin i składów broni. Jeśli mi je poda, ręcę słowem, że zostanie rozstrzelany jak żołnierz.”

— Znów spytałem: „Czy oni nie powiedzieli panu dosyć?”

— „Powiedzieli wszystko, co wiedzieli. Ale on wie więcej. Dawno chciałem się z nim spotkać. Jego przyjaciółom nie udało się go namówić, by zaczął zeznawać. Może



panu się uda. Ma pan powiedzieć prawdę. Że pan nie lubi nas, Niemców. Ale chce pan przerwać tę... procedurę. Poradzi mu pan, żeby powiedział, co wie. Wy tłumaczy, że teraz, kiedy został pojmany, nie będzie to zbrodnią! Rozumie pan? Proszę za mną.”

— Weszliśmy do sąsiedniego pustego pokoju. W parę minut później przywleczono tam rannego na krzesło, które ustawiono na środku pokoju. Posadzono mnie na drugim krzesle, naprzeciwko. Pułkownik usiadł z tyłu i ruchem ręki wyprosił oprawców za drzwi. Zacząłem mówić.

— Powiedziałem wszystko to, co kazał mi powiedzieć pułkownik. Błagałem partyzanta, żeby zaczął zeznawać. Powiesz może, że było to z mojej strony podłe, pomyślisz o losie ludzi, których by zdradził... Ale dla mnie tej nocy rzeczywistość zamykała się w tych dwóch pokojach. Reszta świata nie istniała. Uważałem za swój obowiązek nie dopuścić do dalszej degradacji człowieka — istoty rozumnej. A obsesyjny upór Kreteńczyka wydawał się tak bezpośrednio przyczyniać do tej degradacji, że niemal stawał się jej częścią.

— Powiedziałem mu, że nie jestem kolaborantem; jestem lekarzem i moim wrogiem jest cierpienie. W imieniu Grecji oświadczyłem, że Bóg mu na pewno wybaczy, że powinien zacząć mówić, że jego przyjaciele dosyć się już nacierpieli. Że nie można od nikogo wymagać, by narażał się na tak straszny ból, którego i tak nie zniesie. Używałem wszystkich możliwych argumentów.

— Wyraz jego twarzy nie zmienił się, pozostawał wciąż tak samo wrogi. We wzroku malowała się nienawiść. Wątpię, czy mnie w ogóle słuchał. Pewnie przyjął z góry, że jestem kolaborantem i wszystko, co powiem, będzie kłamstwem.

— Wreszcie zamilkłem i spojrzałem na pułkownika. Nie mogłem ukryć faktu, że moje próby spełzyły na niczym. Pułkownik musiał wezwać strażników, bo jeden z nich podszedł do Kreteńczyka i wyjął mu z ust knebel. I od razu z gardła więźnia wydarł się ten sam krzyk. To samo słowo: *eleutheria*. Nie brzmiało bynajmniej wzniośle. Rzucił nim w nas jak puszką zapalanej benzyny. Strażnik brutalnie wepchnął mu z powrotem knebel do ust. Słowo to przestało oznaczać dla niego ideał czy cel. Stało się bronią, posługiwał się nim jak bronią.

— Pułkownik powiedział: „Zabrać go i czekać na rozkazy.” — Partyzanta zawleczono z powrotem do tamtego ponurego pokoju. Pułkownik podszedł do zamkniętego okna, otworzył je, wyjrzał w ciemność, stał tak przez chwilę, potem odwrócił się w moją stronę. Powiedział: „Teraz pan rozumie, dlaczego muszę uciekać się do takich metod.”

— „Przestałem już cokolwiek rozumieć.” A Wimmel odpowiedział: „Zatem dobrze panu zrobi przyjrzenie się dialogowi między moimi ludźmi a tym bydlakiem.” „Błagam, nie!” Zapytał mnie, czy sądzę, że jego bawią podobne sceny. Nie odpowiedziałem. Wówczas oznajmił: „Byłbym najszcześniejszy, gdybym mógł spokojnie siedzieć w biurze, podpisywać dokumenty i rozkoszować się widokiem zabytków. Pan mi nie wierzy. Uważa mnie pan za sadystę. Nie jestem sadystą. Jestem realistą.”

— Nadal siedziałem milcząc. Stał przedemną i oznajmił: „Zostanie pan zamknięty pod strażą w osobnym pokoju. Każę przynieść panu coś do zjedzenia i do wypicia. Jesteśmy obaj ludźmi cywilizowanymi; muszę panu wyznać, że bardzo mi przykro z powodu tego, co zaszło. I nie jest pan, rzecz prosta, zakładnikiem.”

— Spojrzałem na niego, a w moim wzroku malowało się prawdopodobnie coś w rodzaju przerażonej wdzięczności. „Proszę pamiętać, że jako niemiecki oficer mam w życiu tylko jeden cel, chcę pomóc w spełnieniu historycznego zadania Niemiec, zaprowadzić porządek w Europie. Dopiero kiedy to nastąpi, nastanie czas śpiewania pieśni.”

— Nie potrafię ci powiedzieć dlaczego, ale wiedziałem, że kłamie. Jednym z wielkich urojeń naszych czasów było to, że hitlerowcy doszli do władzy, bo potrafili zaprowadzać porządek. Prawdą jest coś wręcz przeciwnego: doszli do władzy, bo wprowadzili chaos. Odrzucali przykazania, odrzucali istnienie superego. Powiadali: „Masz prześladować mniejszości, masz zabijać, masz torturować, masz rozmnażać się bez miłości.” Wystawili ludzkość na największe pokusy. Nic nie jest prawdą. Wszystko jest dozwolone.

— Myślę, że w przeciwieństwie do większości Niemców, Wimmel dobrze o tym wiedział. Wiedział, kim jest. I co robi. I że igra ze mną jak kot z myszą. Z początku nie było to jeszcze takie jasne. Spojrzał na mnie po raz drugi i wyszedł, usłyszałem, jak mówi coś do jednego z wartowników, którzy mnie tu przyprowadzili. Zabrano mnie do jakiegoś pokoju na innym piętrze, przyniesiono coś do zjedzenia i flaszkę niemieckiego piwa. Miotła mną wiele uczuć, ale dominowało jedno: nadzieja, że będę żył. Że będę oglądał blask słońca. Będę oddychał, jadł chleb, dotykał klawiatury.

— Minęła noc. Rano dostałem kawy, pozwolono mi się umyć. O pół do jedenastej wyprowadzono mnie. Zobaczyłem oczekujących zakładników. Ich ani nie nakarmiono, ani nie napojono. Zabroniono mi z nimi rozmawiać. Nigdzie nie mogłem dostrzec Wimmla i Antona.

— Poprowadzono nas do portu, zagnano tam całą wieś; czterysta, może pięćset osób stało stłoczonych na molo, pilnowali ich ustawieni szeregiem *die Raben*. Byli tam księża, kobiety, dzieci, nawet małe dzieci. Kiedy zobaczyli nas, wydarł im się z piersi bezsilny krzyk.

— Prowadzono nas gdzieś dalej. Naprzeciwko portu stał duży budynek z kolumnami — znasz go? — w tamtych czasach na parterze znajdowała się tawerna. Na balkonie stał Wimmel, za nim Anton, z obu stron żołnierze z karabinami maszynowymi. Kazano mi opuścić kolumnę zakładników i ustawiono pod balkonem, między stolikami i krzesłami. Zakładników poprowadzono dalej, zniknęli nam z oczu.

— Było upalnie. Cudowny błękitny dzień. Wieśniaków sprowadzono z mola na taras przed tawerną. Stali stłoczeni. Smagłe, uniesione do góry twarze, na wietrze powiewały czarne chusty kobiet. Nie mogłem dojrzeć balkonu, ale wiedziałem, że stoi tam pułkownik; jego obecność, jego milczenie napełniało zgrozą zebrany tłum. Po chwili zapanowała całkowita cisza, ściana wyczekujących twarzy. Po niebie szybowwały jaskółki jak dzieci, które nie przestają się bawić, choć w domu zdarzyło się nieszczęście. To było dziwne, widzieć tyłu Greków naraz — i nie słyszeć ani słowa. Tylko spokojny świergot ptaszków.

— Wimmel rozpoczął przemówienie. Tłumaczył je Grek-kolaboracjonista.

„Zaraz zobaczycie, co spotyka tych... tych którzy są wrogami Niemiec... i tych, którzy wspomagają wrogów Niemiec... z rozkazu sądu wojkowego Głównej Komendy Niemieckiej odbyła się egzekucja trzech bandytów... a dwóch zostanie rozstrzelanych za chwilę.”

— Wszystkie brunatne ręce podniosły się do czoła w znaku krzyża. Wimmel umilkł. Niemiecki pasuje do śmierci tak jak łacina do rytuału kościelnego.

„Następnie osiemdziesięciu zakładników zatrzymanych zgodnie z prawem okupacyjnym za brutalne morderstwo czterech niewinnych żołnierzy niemieckich... — i znów zrobił pauzę — ... zostanie rozstrzelanych.”

— Kiedy tłumacz przełożył na grecki to ostatnie zdanie, rozległ się skowyt wydobywający się z głębi trzewi czterystu osób. Większość kobiet i część mężczyzn rzuciło się na kolana, wyciągając błagalnie ręce. Ludzkość szukająca po omacku litości *dei vindicantis*. Wimmel musiał widać opuścić balkon, bo błagania zamieniły się w lament.

— Oderwano mnie od muru i poprowadzono w ślad za zakładnikami. Żołnierze — Austriacy — stali przy wszystkich wejściach do portu i nie wpuszczali ludności.

Ogarnęła mnie zgroza, że mogą pomagać *die Raben*, że słuchają rozkazów Wimmla, że stoją z twarzami bez wyrazu i odpychają brutalnie ludzi, do których jeszcze parę dni temu nie czuli nienawiści.

— Ulica skręcała między domami na skwerek przed wiejską szkółką. Stanowił on naturalną estradę lekko nachyloną ku północy, z widocznym ponad niskimi dachami morzem i lądem. Od południa zamykała placyk szkoła, od wschodu i zachodu wysokie mury. Nie wiem, czy zauważyłeś, że w ogrodzie domu z prawej strony rośnie ogromny platan. Gałęzie sięgają poza mur. Pierwsza rzecz, jaką zobaczyłem wchodząc na placyk, to trzy ciała zwisające z tych gałęzi, równie potworne jak na akwafortach Goyi. Nagie ciało kuzyna z tą straszną raną. I również nagie ciała dwóch dziewczyn. Wypatroszone. Brzuchy były rozcięte i zwisały z nich wnętrzości. Ciała kołyszące się lekko w południowym wietrzyku.

— Potem zobaczyłem zakładników. Zamknięto ich jak bydło w ogrodzeniu z kolczastego drutu tuż przed szkółką. Część z nich znajdowała się w cieniu ściany, reszta w pełnym słońcu. Na mój widok zaczęli krzyczeć. Były to obelgi i prośby... a ja wiedziałem, że nie istnieją słowa, które mogłyby wzruszyć pułkownika. Stał na środku placyku z Antonem i dwudziestoma *die Raben*. Od wschodu do placyku przylega długi mur z bramą w środku. Bramą z żelaznych krat. Do tych krat byli przywiązani dwaj partyzanci. Nie powrozem, kolczastym drutem.

— Zatrzymano mnie za podwójnym szeregiem żołnierzy o jakieś dwadzieścia jardów od miejsca, gdzie stał Wimmel. Wimmel na chwilę się odwrócił, ale Anton nawet nie spojrzał w moją stronę. Anton wpatrywał się przed siebie, jakby starając się sobie wmówić, że nic z tego, co widzi — nie istnieje. Że on sam nie istnieje. Pułkownik skinieniem przywołał tłumacza. Przypuszczam, że chciał się dowiedzieć, co wołają zakładnicy. Przez chwilę jakby się zastanawiał, po czym do nich podszedł. Zamilkli. Nie wiedzieli, że wyrok na nich już zapadł. Powiedział coś, co zostało im natychmiast przetłumaczone. Nie usłyszałem co, ale wieśniacy zamilkli. Zatem nie był to wyrok śmierci. Pułkownik podszedł do mnie.

— Powiedział: „Zrobiłem temu chłopstwu pewną ofertę.” Spojrzałem mu w twarz. Nie było na niej śladu zdenerwowania, podniecenia. Wyglądał na człowieka całkowicie opanowanego. Wyjaśnił: „Powiedziałem, że daruję im życie. Zostaną wysłani do obozu. Pod jednym warunkiem. Że pan jako wójt wsi osobiście dokona egzekucji na tych dwóch mordercach. Tu, na ich oczach.” „Nie jestem katem” — odpowiedziałem.

– Wieśniacy wołali coś do mnie zapamiętałe. Pułkownik spojrzął na zegarek. „Ma pan trzydzieści sekund do namysłu.”

– Oczywiście, w takich sytuacjach nie sposób myśleć. Trudno logicznie rozumować. Nie zapomnij o tym. Od tej chwili moje zachowanie nie miało nic wspólnego z rozsądkiem. Było poza nim. Odpowiedziałem: „Nie mam wyboru.”

– Podszedł do żołnierza stojącego na końcu szeregu. Zdjął mu z ramienia karabin, zajrzał tak, jakby chciał sprawdzić, czy jest naładowany, a potem wrócił do mnie i oburącz mi go podał. Tak jakby wręczał mi wygraną nagrodę. Zakładnicy zawołali hurra, przeżegnali się. I zamilkli. Pułkownik bacznie mnie obserwował. Przyszedł mi na myśl szaleńczy pomysł: wyceluję karabin w niego. Ale wówczas nieuchronnie nastąpi masakra całej wsi.

– Podszedłem do mężczyzn przywiązanych do żelaznej bramy. Wiedziałem, jakie są powody decyzji Wimmla. Wydarzenie to opiszą obszernie kolaborujące gazety. Nikt nie wspomni, w jaki sposób mnie do tego zmuszono, zostanę przedstawiony jako Grek pracujący na rzecz niemieckiego porządku. Będzie to ostrzeżeniem dla innych wójtów. Przykładem dla przerażonych obywateli. Ale czy miałem prawo skazać na śmierć tych osiemdziesięciu ludzi?

– Znalazłem się o piętnaście stóp od partyzantów. Podszedłem tak blisko, gdyż już od wielu lat nie miałem w ręku broni palnej. Do tego momentu unikałem spojrzenia tym ludziom w twarz. Patrzyłem na wysoki, kryty łupkiem mur, na ozdobne, niegustowne urny na słupach i bramy, na strzępiaste liście rosnącego za murem pieprzowca. Ale teraz musiałem spojrzeć na nich. Młodszy partyzant był już półtrupem. Głowa opadła mu na piersi. Coś zrobiono z jego rękami, nie wiem co, ale palce pokryte były skorupą zaschniętej krwi. Żył jednak. Słyszałem, jak jęczy. Mamrotał coś pod nosem. Był przytomny.

– I drugi. Musiał dostać kopniaka w usta. Miał obrzękłe, czerwone wargi. Kiedy podniosłem karabin, to, co zostało z warg rozchyliło się. Wybito mu zęby. Jama ustna wyglądała jak szerniały srom. Tak rozpaczliwie chciałem, żeby się to jak najprędzej skończyło, że nie zdałem sobie sprawy z prawdziwych powodów tej rany. On także miał zmiążdżone palce, pewnie wyrwano mu paznokcie, na całym ciele widniały ślady oparzeń. Ale Niemcy popełnili poważny błąd. Nie wylupili mu oczu.

– Podniosłem karabin i nacisnąłem cyngiel. Nic. Jeszcze raz. Znowu nic. — Obejrzałem się. Wimmel i moi dwaj strażnicy stali o jakieś trzydzieści stóp i bacznie mnie obserwowali. Zakładnicy nagle zaczęli krzyczeć. Myśleli, że nie mogą się

zdecydować na strzał. Odwróciłem się i jeszcze raz spróbowałem. Znów nic. Pokazałem pułkownikowi karabin, dając do zrozumienia, że jest nie naładowany. Było mi słabo z upału. Zbierało mi się na mdłości. Ale nie mogłem zemdleć.

— Pułkownik spytał: „Coś nie w porządku?” Odpowiedziałem: „Ten karabin nie chce wystrzelić.” „To Schmeisser... Wspaniała broń.” „Próbowałem trzy razy.” „Nie wystrzeli, bo nie jest naładowany. Istnieje surowy zakaz dostarczania cywilom broni palnej.”

— Spojrzałem na niego, potem na karabin. Ciągle jeszcze nie rozumiałem. Zakładnicy znów umilkli.

— Bezradnie spytałem: „To jak mam ich zabić?” Uśmiechnął się. Uśmiech był jak cięcie szablą. I powiedział: „Czekam.”

— Wtedy zrozumiałem. Miałem zatłuc ich kolbą. Zrozumiałem wiele rzeczy. Kim on jest. O co mu chodzi. I równocześnie zdałem sobie sprawę, że to szaleniec, a zatem jest niewinny, tak jak są niewinni wszyscy szaleńcy, nawet ci najbardziej okrutni. Był żywym wcieleniem zła, najdalej posuniętą propozycją zła. I może właśnie dlatego miał taki autorytet. Jak bóstwo nocy. Było coś nadludzkiego w magii, którą roztaczał. I dlatego znacznie potwor-niejsi, prawdziwie zbrodniczy wydawali się inni Niemcy, ci już nie szaleni porucznicy, i kaprale, i szeregowcy, którzy w służbistej postawie przysłuchiwali się jego słowom.

— Podeszedłem do niego. Strażnicy pomyśleli pewnie, że zamierzam go zaatakować, podnieśli bowiem karabiny. Ale on coś powiedział i zastygli w bezruchu. Zatrzymałem się o jakieś dwa kroki od niego. Spojrzeliśmy sobie w oczy.

— „Błagam pana w imieniu cywilizacji europejskiej, żeby skończył pan z tym barbarzyństwem.” „A ja rozkazuję panu wymierzyć mordercom sprawiedliwą karę.” I dorzucił, wciąż patrząc mi w oczy: „Odmowa wykonania rozkazu pociągnie za sobą odpowiednie konsekwencje. Zostanie pan natychmiast rozstrzelany.”

— Wróciłem do bramy powłócząc nogami w kurzu. Stałem przed tymi dwoma ludźmi. Zamierzałem powiedzieć temu, który był jeszcze w stanie rozumieć, że nie mam wyboru, że muszę popełnić tę zbrodnię. Ale popełniłem błąd i przedtem na niego spojrzałem. I zrozumiałem patrząc na niego z bliska, co stało się z jego ustami. To nie był kopniak czy cios. Jego usta zostały wypalone. Przypomniałem sobie oprawcę z żelaznym prętem, przypomniałem sobie piecyk elektryczny. Wyłamali mu zęby i rozpalonym do czerwoności żelazem wypalili mu język aż do głębi gardła. Nie mogli znieść słowa, które wykrzykiwał. I w ciągu owych zdumiewających pięciu

sekund, najdonioślejszych w moim życiu, zrozumiałem tego partyzanta. Prawdopodobnie lepiej niż on sam zrozumiałem, kim jest. Pomógł mi. Udało mu się zwrócić w moją stronę głowę i wypowiedzieć słowo, którego powiedzieć nie był już w stanie. Niemal nie wydał dźwięku, ale widać było, jak jego gardło się kurczy, jak pięciokrotnie krztusi się chcąc, by dotarło do mnie to pięciosylabowe słowo. Bo było to niewątpliwie po raz ostatni to samo co przedtem słowo. To słowo krzychało z jego oczu, wołał je całym sobą. Co powiedział na krzyżu Chrystus? Czemuś mnie opuścił? Słowa tego człowieka były mniej ludzkie, mniej żałosne, ale chyba głębsze. Przemawiał ze świata, który był mi całkowicie obcy. W moim świecie życie nie miało ceny. Było bezcenne. W jego świecie tylko jedna rzecz była bezcenna. *Eleutheria* — wolność. Jego nieugiętość nie miała nic wspólnego z rozumem, z logiką, nie mieściła się w ramach cywilizacji, historii. Nie był Bogiem, bo nie istnieje Bóg poznawalny. Ale był dowodem istnienia Boga, którego nie jesteśmy w stanie poznać. Udowadniał prawo do negacji. Wolności wyboru. On i to wszystko, co przez niego przemawiało, w tym także i szaleństwo Wimmla, i podłość niemieckich i austriackich żołnierzy. Był wcieloną wolnością, w najlepszym i w najgorszym znaczeniu tego słowa. Wolnością, która umożliwiała ucieczkę z pola bitwy pod Neuve Chapelle. Wolnością umożliwiającą spojrzenie w twarz prymitywnemu Bogu w Seideyarre. Wolnością pozwalającą na patroszenie dziewczyn i kastrowanie nożycami chłopaków. Znajdował się poza moralnością, ale przez niego przemawiała sama istota rzeczy — że można wszystko zrozumieć, że można wszystko zrobić, z wyjątkiem tego, czego zrobić nie wolno.

— Strasznie ci to długo wyjaśniam. A nie wspomniałem jeszcze, że ta nieugiętość, ten opór stawiany wymaganiom zdrowego rozsądku wydały mi się czymś bardzo greckim. I to w owej chwili poczułem się Grekiem. Wszystko to, co ci tak długo opowiadam, zrozumiałem w ciągu sekundy. I zrozumiałem, że jedyną osobą na tym placu, która ma jeszcze możliwość wyboru, wolność wyboru, jestem ja i że obrona tej wolności jest ważniejsza niż rozsądek, logika, niż moje życie, niż życie tych osiemdziesięciu zakładników. Odtąd co noc niemal słyszę oskarżenia tych osiemdziesięciu mężczyzn, Ale pamiętaj, byłem pewien, że i ja także zginę. Rozum stale powtarza mi, że postąpiłem niesłusznie. Ale całym sobą wiem, że trzeba było tak postąpić,

— Stałem tak może piętnaście sekund — nie wiem, w takich chwilach traci się, poczucie czasu — a potem rzuciłem karabin i stanąłem obok partyzantów. Pułkownik

wpatrywał się we mnie i to do niego, a także do szczątków zwisającego koło mnie człowieka wypowiedziałem słowo, które należało powiedzieć.

— Zobaczyłem jeszcze, że Anton idzie szybko w stronę Wimmla. Ale było już za późno. Pułkownik wydał rozkaz, karabiny wypaliły i zamknąłem oczy dokładnie w tym momencie, kiedy trafiła mnie pierwsza kula.

## 54

Po długiej chwili milczenia Conchis nachylił się, podkręcił knot lampy i spojrzał na mnie. Przez sekundę wydawało mi się, że w jego wzroku widzę wzruszenie, ale zaraz była w nim już tylko zwykła ironiczna oschłość.

— Złą stroną tego nowego dramatu jest dla ciebie to, że nie wiesz, w co masz wierzyć, a w co nie. A w tej wsi nie ma ani jednej osoby, która by się wówczas znajdowała na placyku. Za to wiele osób może potwierdzić całą resztę mojej opowieści. Pomyślałem o scenie na grzbiecie wyspy, nie było o niej teraz mowy, potwierdzała jednak w jakiś sposób słowa Conchisa. Zresztą i tak wierzyłem mu, czułem, że słyszę prawdziwą wersję prawdziwych wydarzeń.

— I co było potem?

— Kule trafiły mnie, upadłem i straciłem przytomność. Wydaje mi się, że nim ogarnęła mnie ciemność, słyszałem rozpaczliwy krzyk zakładników, wśród których powstał tumult. I to mnie prawdopodobnie ocaliło. Odwróciło uwagę celujących do mnie żołnierzy. Padł następny rozkaz rozstrzelania zakładników. Opowiedziano mi, że kiedy pół godziny później dopuszczono resztę mieszkańców wsi, by opłakiwali swoich zmarłych, leżałem u stóp partyzantów w kałuży krwi. Odnalazła mnie moja gospodyni, Soula — pracowała u mnie przed Marią — i Hermes. Kiedy podnieśli mnie, zobaczyli, że jeszcze żyję. Zanieśli mnie do domu i ukryli w izdebce Souli. Sprowadzili Patarescu, który opatrzył moje rany.

— Patarescu?

— Tak. Patarescu. — Przyjrzałem się mu bacznie i zrozumiałem, powiedziało mi to jego spojrzenie, że przyznaje się do winy, ale nie uważa tego za winę i jeśli przyprę go do muru, potrafi mi to udowodnić.

— A pułkownik?



— Po wojnie poszukiwano go jako zbrodniarza wojennego. Wiele jego zbrodni cechowało to samo okrucieństwo. W ostatniej chwili pozorne ułaskawienie, które tylko przedłużało agonię zakładników. Komisja do Spraw Zbrodni Wojennych zrobiła, co mogła. Ale on ukrywa się w Południowej Ameryce. A może w Kairze.

— A Anton?

— Anton sądził, że zginąłem. Moi służący dopuścili do tajemnicy jedynie Patarescu. Zostałem pogrzebany. Czy też raczej pochowano pustą trumnę. Wimmel tego samego popołudnia opuścił wyspę zostawiając Antona, żeby sobie sam radził z konsekwencjami tej rzezi. Chyba całą noc spędził opisując szczegółowo, co zaszło. Sam przepisał to w siedmiu egzemplarzach na maszynie. Wspomina o tym w swym raporcie. Niczego nie ukrył i niczego nie usprawiedliwiał, najmniej siebie. Zaraz ci ten raport pokażę.

Na placyku pojawił się Murzyn i zaczął zdejmować ekran. Na górze słyszałem czyjeś kroki.

— Co się z nim stało?

— W dwa dni później znaleziono jego ciało pod murem wiejskiej szkółki na ziemi, ciągle jeszcze pokrytej skorupą krwi. Śmierć ta miała być aktem skruchy, chciał, żeby wiedzieli o tym wieśniacy. Niemcy wyciszyli sprawę. Wkrótce potem przysłano na wyspę inny garnizon. Raport to wyjaśnia.

— Co stało się z tymi wszystkimi egzemplarzami?

— Jeden z nich Anton sam wręczył Hermesowi, prosząc go, by po wojnie przekazał go pierwszemu z moich zagranicznych przyjaciół, który pojawi się wypytując o moje losy. Drugi wręczył z tą samą prośbą jednemu z księży. Jeden zostawił na biurku. Chciał pewnie, żeby przeczytali go jego ludzie, no i *Kommandantur*. Trzy egzemplarze znikły. Wysłał je pewnie do rodziny lub przyjaciół w Niemczech. Możliwe, że zostały skonfiskowane na poczcie. Nigdy się już tego nie dowiemy. A ostatni egzemplarz został po wojnie nadesłany do jednej z gazet ateńskich. Z niewielką sumą pieniędzy na cele dobroczynne. List został wysłany z Wiednia. Anton musiał go powierzyć jednemu ze swoich żołnierzy.

— Został opublikowany?

— Tak. Częściowo.

— Antona pochowano na wyspie?

— Nie. Na cmentarzyku w jego rodzinnym mieście, koło Lipska.

Aha, papierosy.

– I, wieśniacy nigdy nie dowiedzieli się, że miał pan możliwość wyboru?

– Czytali ten raport. Jedni uwierzyli, inni nie. Rzecz jasna wspomagałem i wspomagałem finansowo rodziny rozstrzelanych.

– A partyzanci, czy czegoś się pan o nich dowiedział?

– Tak, znamy nazwiska kuzyna i tego drugiego chłopca.

Na cmentarzu wioski wystawiono im pomnik. A przywódca... Udało mi się odnaleźć jego ślady. Przed wojną spędził w więzieniu sześć lat. Raz za zabójstwo, *crime passionnel*. Dwa razy za grabież. Na Krecie uważano powszechnie, że był zamieszany w cztery inne morderstwa. Jedno wyjątkowo okrutne. W momencie inwazji niemieckiej ukrywał się. Na południu Peloponezu dokonał wkrótce kilku zamachów. Wszystko wskazuje na to, że nie był członkiem żadnej organizacji, że zabijał i rabował na własną rękę co najmniej w dwóch udowodnionych, wypadkach nie Niemców, lecz Greków. Udało mi się dotrzeć do wielu ludzi z jego oddziału. Niektórzy mówili, że zawsze się go bali, inni podziwiali jego odwagę, ale tylko odwagę. Odszukałem starego chłopca na Mani, u którego się często ukrywał. A on powiedział *Kakourgos, ma Ellenas*. Zły człowiek, ale Grek. Uważam to za jego epitafium.

Zapadła cisza.

– Te lata musiały nadwerężyć pańską filozofię uśmiechu.

– Przeciwnie. Dopiero to doświadczenie uzmysłowiło mi w pełni, na czym polega humor. Jest manifestacją wolności. Tam, gdzie jest wolność, pojawia się uśmiech. Nie istnieje on tylko w totalitarnym świecie. Na koniec człowiekowi udaje się uciec, tylko gdy staje się ofiarą – czyli, kiedy odkrywa, że wymykając się można się wymknąć. Przestaje się istnieć, przestaje się być wolnym. Oto czego nie rozumie większość naszych bliźnich. Ludzkość będzie to musiała stale na nowo odkrywać. – Wziął teczkę. – Chciałbym ci na koniec pokazać ów raport Antona.

Zobaczyłem cienką zszywkę. Tytuł: *Bericht über die von deutschen Besatzungstruppen unmenschliche Grausamkeiten...*

– Dalej jest angielski przekład.

Przeczytałem:

*Raport dotyczący nieludzkich okrucieństw popełnianych przez niemieckie oddziały pod dowództwem pułkownika Wimmla na wyspie Phraxos w dniach od 30 września do 2 października 1943 roku.*

Przewróciłem stronę.

*Rano 29 września 1943 roku czterech żołnierzy z punktu obserwacyjnego nr 10, na przylądku zwanym Bourani, znajdującym się w południowej części wyspy Phraxos otrzymało pozwolenie na kąpiel w morzu. O 12,45...*

Przerwał mi Conchis: — Przeczytaj ostatni akapit.

*Przysięgam na Boga i wszystko, co święte, że powyższe wydarzenia opisałem zgodnie z prawdą. Wszystko to widziałem na własne oczy i nie sprzeciwiałem się. Za to skazuję samego siebie na śmierć.*

Podniosłem wzrok znad kartki. — Dobry Niemiec?

— Nie. Chyba, że uważasz samobójstwo za rzecz słuszną. Nie jest tak. Rozpacz jest takim samym złem jak zboczenie Wimmla.

Nagle przypomniałem sobie Blake'a... - jak to właściwie brzmiało... „Lepiej zamordować niemowlę w kolebce niż nienasycone pożądania w sercu utaić”. Często posługiwałem się tym tekstem w celach uwodzicielskich. Uwodziłem nim także i siebie. Conchis ciągnął:

— Musisz się, Nicholas, zdecydować. Albo bierzesz stronę *kapetana*, tego mordercy, który znał tylko jedno słowo, ale słowo najważniejsze, albo stronę Antona. To znaczy przyjmujesz postawę obserwatora, a potem wpadasz w rozpacz. Czy też wpadasz w rozpacz i zaczynasz obserwować. W pierwszym wypadku zabijasz się, w drugim popełniasz samobójstwo moralne.

— Mogę się przecież nad nim litować.

— Możesz. Ale czy powinieneś?

Pomyślałem o Alison i zrozumiałem, że nie mam wyboru. Współczułem jej tak samo jak temu nieznanemu Niemcowi, którego twarz wyjrzała ku mnie z ekranu. I podziwiałem ją — podziwem będącym zazdrością wobec tych, którzy krocząc tą samą drogą co my, zaszli jednak dalej; oboje byli zanadto zrozpaczeni, żeby móc nadal obserwować. A moim udziałem było samobójstwo moralne.

Powiedziałem: — Tak. Nie miał innego wyjścia.

— Zatem też jesteś chory. Żyjesz śmiercią. Nie życiem.

— To zależy od punktu widzenia.

— Nie. To sprawa przekonań. Bo wydarzenie, które ci opowiedziałem, jest alegorią losów Europy. Tym właśnie jest Europa: pułkownikiem Wimmlem i bezimiennym buntownikiem. I rozdartym między nimi Anionem, który zabija się, kiedy jest już po wszystkim. Jak dziecko.

— Może nie mam wyboru.

Spojrzał na mnie, ale nic nie powiedział. Poczułem, jak strasznie niecierpliwi go moja głupota, moja melancholia, mój egoizm. Nienawidził nie tylko mnie, ale wszystkiego, co jego zdaniem reprezentowałem: angielskiej bierności, angielskiego dystansu. Zachowywał się jak człowiek, który chciał zmienić świat, nie udało mu się, więc pali go własna niemoc i ma tylko mnie, nieskończenie małą cząsteczkę mikrokosmosu, którą może próbować nawrócić lub zniechęcić.

Wreszcie spuściłem oczy. — Zatem uważa mnie pan za drugiego Antona. Czy to właśnie chciał mi pan dać do zrozumienia?

— Jesteś kimś, kto nie wie, na czym polega wolność. Im lepiej się wie, co to wolność, tym mniej jest się wolnym.

Próbowałem odcyfrować paradoks. — Jest pan niezadowolony z tego, co pan we mnie zobaczył?

— Przestałeś mi być potrzebny. — Wziął do ręki aktówkę. — Proponuję pójść spać.

— Nie może pan tak traktować ludzi. Jakbyśmy wszyscy byli wieśniakami, których należy rozstrzelać po to, żeby pan mógł udowodnić jakąś abstrakcyjną teorię wolności.

Wstał i spojrzał na mnie. — Dopóki będziesz wierny swej obecnej teorii wolności, dopóty będziesz miał w ręku karabin kata.

Pomyślałem znów o Alison i zaraz stłumiłem tę myśl.

— Skąd ta pewność, że wie pan, jaki naprawdę jestem?

— Tego nie mówiłem. Ale moja decyzja oparta jest na pewnej sumie wiedzy o tobie, której ty sam nie posiadasz.

— Pan naprawdę uważa się za Boga, tak?

Nie odpowiedział, trudne to było do uwierzenia, ale jego oczy mówiły, że — owszem — mogę tak sobie myśleć. Prychnąłem niecierpliwie, żeby wiedział, co myślę i ciągnąłem: — Zatem czego pan sobie życzy? Mam zabrać rzeczy i wracać do szkoły?

To go jakby zaskoczyło. Chwilę się wahał, dało mi to wiele do myślenia.

— Jak chcesz. Na jutro rano przewidziałem małą pożegnalną uroczystość. Ale nie ma to żadnego znaczenia.

— Aha. Dobrze. Za nic na świecie nie chciałbym jej stracić.

Przyjrzał się memu pozbawionemu wesołości uśmiechowi i skinął głową.

— Życzę ci dobrej nocy. — Odwróciłem się, słyszałem, jak odchodzi. Zatrzymał się przy drzwiach do sali muzycznej. — Uprzedzam cię jeszcze raz. Nikt tu nie przyjdzie.

Nie odpowiedziałem i wszedł do domu. Wierzyłem mu, że nikt nie przyjdzie, ale i tak musiałem się do siebie uśmiechnąć. Bo zrozumiałem, że groźba natychmiastowego odejścia zaniepokoiła go, szybko wyciągnął z zanadru nową marchewkę, żeby mnie skusić do pozostania. Wszystko to musiało być następnym testem, któremu poddaje mnie przed dopuszczeniem do kręgu wtajemniczonych... Byłem zupełnie pewny, że dziewczęta znajdują się na jachcie. Zostałem doprowadzony przed pluton egzekucyjny, ale tym razem miało nastąpić ulaskawienie. Im dłużej odmawiał mi Julie, tym bardziej zbliżał się do filozofii Wimmela, ale wiedziałem, że jest człowiekiem zupełnie innego pokroju. Jeśli był okrutny, miało to według jego kryteriów służyć okazaniu dobroci.

Wypaliłem jeden po drugim dwa papierosy. Nieruchome przygniatająco parne powietrze, cisza. Księżyc w trzeciej kwadrze wisiał nad planetą zwaną Ziemią, martwy przedmiot nad przedmiotem zamierającym. Wstałem i poszedłem ścieżką schodzącą na brzeg. Zatrzymałem się przy ławce.

Nie oczekiwałam takiego finału; Kamienny posąg w operetkowych drzwiach. Nie mógł wiedzieć, jakie ma to dla mnie ukryte znaczenie. Zgadł tylko, że wolność oznacza dla firmy swobodę zaspokojenia osobistych pragnień i ambicji. Przeciwstawiał jej wolność pełną poczucia odpowiedzialności za swoje czyny; była to stara koncepcja wolności, znacznie dawniejsza od egzystencjalistycznej, podejrzewałem, że chodzi tu o imperatyw moralny, o teorię zbliżoną do teorii chrześcijańskiej, a nie o koncepcję polityczną. Zastanowiłem się nad ostatnimi latami mojego życia, było ono nieustanną pogonią za indywidualizmem, której uległo całe moje pokolenie po ograniczeniach i konieczności dostosowania się w latach wojny, była to nasza ucieczka przed społeczeństwem w głąb samych siebie. Wiedziałem, że nie mogę odpowiedzieć na jego oskarżenie i że nie uda mi się obronić pretendując do roli ofiary historii, która zmusiła mnie do zajęcia egoistycznej postawy. Tak jakby

ugodził mnie *bandillera* czy też wsadził na plecy demona — obarczył mnie wiedzą, której bynajmniej nie pragnąłem.

W szarym milczeniu nocy moje myśli jeszcze raz poszybowały w stronę nie Julie, lecz Alison. Wpatrując się w morze zmusiłem się, żeby przestać myśleć o niej jako o kimś istniejącym, choćby tylko w pamięci, o kimś, kto żyje, oddycha, rusza się, ale jak o garści rozsypanych już prochów, jak o pekniętym ogniwie, jak o czymś nierzeczywistym.

O czymś zbyt nieważnym, żeby przywdziewać żałobę, już samo to słowo brzmiało archaicznie, przypominało czasy Browne'a czy Herveya; jednakże Donne miał rację, jej śmierć wpłynęła także na skurczenie się mego własnego życia. Każda śmierć obciąża żywych potwornym uczuciem współwiny, każda śmierć jest wyzbyta wielkoduszności, nakłada ciężar odpowiedzialności, smutek jest nieśmiertelny, jak bransoletka z jasnych włosów nałożona na nagą kość.

Nie modliłem się za Alison, bo cóż by jej przyszło z modlitwy; nie opłakiwałem, bo tylko ekstrawertycy płaczą dwukrotnie, siedziałem wśród ciszy nocy, pełnej nieskończonej wrogości do człowieka, do wszelkiej trwałości, do miłości i myślałem o niej, myślałem o niej.

## 55

Dziesiąta. Obudziłem się i wyskoczyłem z łóżka czując, że zasnęłam. Pośpiesznie się ogoliłem. Ktoś na dole stukał młotkiem, usłyszałem męski głos, potem głos, który zabrzmiał jak głos Marii. Ale kiedy zszedłem na dół, pod kolumnadą nie było żywego ducha. Pod ścianą stały cztery drewniane skrzynie. Widać było, że w trzech zapakowano obrazy. Zajrzałem do sali muzycznej. Zniknął Modigliani, a także maleńkie rzeźby Rodina i Giacomettiego. W drugiej skrzyni były pewno Bonnardy z góry mój optymizm z poprzedniej nocy znikł wobec tych dowodów, że „teatr” rozbiera się na części. Ogarnęło mnie złowrogie przecucie, że Conchis powiedział prawdę.

Pojawiła się Maria z kawą. Wskazałem na skrzynie.

— Co to?

— *Phygoume*. Wyjeżdżamy.

— *O kyrios Conchis?*

— *Tha elthei*.

Zaraz przyjdzie. Dałem jej spokój, wypilem filiżankę kawy, potem drugą. Wiał rześki wiatr, dzień był prosto z Dufy'ego, ruch, ostro zaznaczone żywe kolory. Poszedłem na kraniec placyku. Jacht żył. Po pokładzie krzątało się kilka osób, ale nie wyglądały na kobiety. Obejrzałem się. Pod kolumnadą stał Conchis, jakby czekając na mój powrót.

Miał na sobie ubranie tak do niego nie pasujące, że wyglądało jak kostium na maskaradę. Tak ubierają się businessmeni z pretensjami do intelektualizmu, czarna skórzana teczka, granatowy letni garnitur, kremowa koszula, muszka w dyskretne groszki. Strój odpowiedni na Ateny, tu na Phraxos wydawał się wręcz śmieszny... i niepotrzebny, skoro podróż jachtem musiała trwać co najmniej sześć godzin i miałby czas się przebrać. Może chciał mi udowodnić, że wezwał go już inny świat. Nie uśmiechnął się, gdy do niego podszedłem.

— Wkrótce wyjeżdżam. — Spojrzał na zegarek, nigdy dotąd nie widziałem na jego ręce zegarka. — Jutro o tej porze będę już w Paryżu.

Wiatr szumiał w błyszczących jak szkło, postrzępionych liściach palmy. Ostatni akt miał zatem zostać zagrany w tempie *presto*.

— I zapadnie kurtyna.

— Żadna prawdziwa sztuka nie kończy się z zapadnięciem kurtyny. Trwa dalej.

— A dziewczęta?

— Jadą ze mną do Paryża. — Zaczerpnąłem głęboki oddech i skrzywiłem się sceptycznie. Powiedział: — Jesteś ogromnie naiwny.

— Dlaczego?

— Bo, sądzisz, że bogacze łatwo rozstają się ze swymi zabawkami.

— Julie i June nie są pańskimi zabawkami. — Uśmiechnął się szyderczo, a ja gniewnie oświadczyłem: — Na to się nie dam nabrać.

— Uważasz, że nie można kupić czyjejs inteligencji i dobrego smaku, że już nie wspomnę o urodzie. Mylisz się.

— Zatem ma pan bardzo niewierne kochanki.

Dalej patrzył na mnie z rozbawieniem. — Kiedy będziesz starszy, zrozumiesz, że tego rodzaju niewierność nie ma najmniejszego znaczenia. Opłacam ich obecność, rozmowę, wygląd. Nie ich ciała. W moim wieku łatwo zaspokoić potrzeby ciała.

— Czy pan naprawdę oczekuje, że ja..

Przerwał mi. — Wiem, co myślisz. Zamknąłem je w kajucie. Siłą. Uważasz to za logiczny wniosek tych wszystkich bzdur, którymi cię karmiliśmy. — Potrząsnął głową.

— W zeszłym tygodniu nie spotkaliśmy się z tobą z nader prostego powodu. Żeby Lily mogła zastanowić się, co woli: życie z ubogim i, jak przypuszczam, nie bardzo utalentowanym nauczycielem... czy też egzystencję w znacznie bardziej interesującym świecie.

— Gdyby była taka, jak pan mówi, nie musiałyby się zastanawiać.

Założył ręce. — Jeśli ma to stanowić pociechę dla twojej miłości własnej, to mogę ci powiedzieć, że się zastanawiała. Ale doszła do rozsądnego wniosku, że zapłaciłaby zbyt wielką cenę za zaspokojenie przelotnego pociągu, decydując się na długą, nudną i łatwo dającą się przewidzieć przyszłość.

Chwilę milczałem, potem odstawiłem filizankę. — Lily? I jak pan powiedział? Rose?

— Tak, przecież już wczoraj to mówiłem.

Spojrzałem na niego, potem wyjąłem portfel, wyciągnąłem z niego list z banku Barclay's i podałem mu. Wziął go do ręki, ale zaledwie rzucił na niego okiem.

— Bardzo mi przykro, ale ten list został sfalszowany.

Wyrwałem mu list. — Panie Conchis. Chcę zobaczyć się z dziewczętami. Uprzedzam pana, że wiem, w jaki sposób je pan tu sprowadził. Z pewnością zainteresuje to policję.

— Zatem musi pan pojechać i zainteresować ją w Atenach. Bo tam znajdują się Lily i Rose i wyśmieją pańskie oskarżenie.

— Nie wierzę panu. Dziewczeta są na jachcie.

— Może pan zaraz pojechać ze mną na jacht. Skoro pan tak nalega. Może pan go przeszukać. Wypytać załogę. Odeślemy pana motorówką przed wypłynięciem na morze.

Wiedziałem, że może to być bluff, ale nie wydawał mi się prawdopodobny — zresztą jeśli naprawdę je gdzieś przemocą zamknął, nie wybrałby jachtu, na który łatwo mogłem dotrzeć.

— W porządku. Chętnie wierzę, że wymyślił pan coś sprytniejszego. I natychmiast po powrocie do wsi zawiadomię o wszystkim ambasadę brytyjską.

— Nie sądzę, aby ambasada dobrze to przyjęła. Skoro dowie się, że jej pomocy szuka zawiedziony kochanek. — I zaraz dodał, jakby nie chcąc przykładać wagi do owej groźby: — No, dobrze. Dwoje moich aktorów chce się z tobą pożegnać.. — Podszedł do rogu domu. —Catherine! — Wymówił to imię z francuska. I zwrócił się do mnie: — Maria, rzecz jasna, nie jest grecką wieśniaczką.



Ale nie udało mu się odciągnąć mojej uwagi. Znów ruszyłem do ataku.

— Niezależnie od wszystkiego Julie... nawet gdyby była taka, jak pan twierdzi... miałyby odwagą sama mi o tym powiedzieć.

— Takie sceny należą w teatrze do przeszłości. Nie znajdziesz ich w nowoczesnych sztukach.

— Nie ma to nic wspólnego z jej osobą.

— Może ją jeszcze kiedyś spotkasz. Wtedy możesz próbować zaspokoić swoje masochistyczne skłonności.

Od dalszej dyskusji wybawiło nas pojawienie się Marii. Nadal była starszą kobietą o pomarszczonej twarzy, ale miała na sobie świetnie skrojony czarny kostium, w klapę żakietu wpięła staroświecką złotą broszkę z granatami. Pończochy, pantofle na obcasach, upudrowana, umalowane usta... sześćdziesięcioletnia pani ze sfer mieszczańskich, pełno takich pań spotyka się na eleganckich ulicach Aten. Stała z lekkim uśmiechem na ustach. Conchis przyglądał mi się ironicznie.

— Oto pani Catherine Athanasoulis, która wyspecjalizowała się w rolach wieśniaczek. Wielokrotnie już ze mną współpracowała.

Wyciągnął rękę, uprzejmym gestem zachęcając ją, by podeszła bliżej. Zbliżyła się z uśmiechem, jakby czuła się lekko zażenowana, że tak kompletnie udało jej się wprowadzić mnie w błąd. Spojrzałem na nią chłodno, nie doczeka się ode mnie komplementów. Wyciągnęła rękę. Zignorowałem to. Po chwili skinęła szyderczo głową.

Conchis spytał: — *Les valises?*

— *Tout est prêt.* — Znów zwróciła się do mnie: — *Eh bien, monsieur. Adieu.*

Wycofała się tak samo, jak weszła, spokojnie, z godnością. Zacząłem odczuwać coś zbliżonego do rozpaczyny... czy szoku. Wiedziałem, że Conchis kłamie, ale podawał tyle szczegółów, tyle rzeczy brzmiało prawdopodobnie... nie miałem czasu zebrać myśli, bo oto spojrzał w dół.

— Wspaniale. Joe już jest. Nazywamy to *désintoxication*.

Na ścieżce pojawił się Murzyn w eleganckim brunatnym garniturze, różowa koszula, krawat, ciemne okulary. Widząc, że na niego patrzymy, pokiwał nam swobodnie ręką i wszedł na placyk. Uśmiechnął się do Conchisa, mnie obdarzył grymasem.

— Oto Joe Harrison.

— Hej.

Nic nie odpowiedziałem. Spojrzał spod oka na Conchisa i wyciągnął do mnie ręką. — Bracie, bez dąsów. Bardzo mi przykro, musiałem robić, co mi kazano.

Był Amerykaninem. Tym razem także zignorowałem jego rękę.

— Robił to pan z ogromnym przekonaniem.

— Aha, no cóż, my negrzy jesteśmy jak wiadomo bliskimi kuzynami małp. Więc można nas bezkarnie nazywać eunuchami, skąd możemy znać takie słowo? — Powiedział to lekkim tonem, jakby obecnie nie miało to już znaczenia.

— Nie chciałem pana obrazić.

— W porządku.

Spojrzeliliśmy na siebie podejrzliwie, po czym on odwrócił się do Conchisa. — Idą po rzeczy.

— Mam jeszcze coś na górze.

I Conchis zostawił nas sam na sam. Na ścieżce pojawiło się kilku marynarzy w granatowych podkoszulkach i białych spodniach. Czterech wyglądało na Greków, ale jeden, jasny blondyn robił wrażenie Skandynawa lub Niemca. Dziewczyny wspominając o załodze powiedziały: „sami greccy marynarze”. Znow ukąsiła mnie zazdrość i straciłem pewność siebie — zacząłem wierzyć, że zostałem porzucony, poczułem się jak głupiec. Wszyscy obecni wiedzieli, że jestem głupcem. Przyglądałem się Joemu, który stał niedbale oparty o kolumnę. Niewiele miałem szans, że coś z niego wyciągną, nie było jednak innej możliwości.

— Gdzie są dziewczęta?

Ciemne okulary zwróciły się w moją stronę. — W Atenach. — Ale potem spojrzał szybko na drzwi, w których zniknął starszy pan. I uśmiechnął się do mnie lekko skruszonym uśmiechem. Potrząsnął przecząco głową.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — Wzruszył ramionami: nie, nic więcej nie miał mi do powiedzenia. Spytałem: — Na pewno?

Szepnął: — Chyba tak.

Marynarze minęli nas i podeszli do skrzyń. Potem pojawił się koło domu Hermes, niosąc walizki. Parę kroków za nim szła Maria. Joe oderwał się od kolumny i poczęstował mnie amerykańskimi papierosami. Zawahałem się, ale wziąłem jednego i nachyliłem się nad podawanym mi ogniem. Wtedy szepnął.

— Prosiła, żeby pana przeprosić. — Zajrzałem mu w oczy. — Nie zalewam. Prosiła. — Dalej się w niego wpatrywałem. Jeszcze raz spojrzał ukradkiem w stronę drzwi, jakby bał się, że zostanie przychwycony na poufnej rozmowie ze mną. —

Człowieku, przecież ty masz ledwie jedną parszywą parę przeciwko fullowi w ręku przeciwnika. Żadnych szans na wygraną. *Compris?*

Nie wiem dlaczego, jego słowa przekonały mnie bardziej niż długie wywody starszego pana. Miałem ochotę prosić Joego, żeby w moim imieniu przekazał Julie jakąś pełną goryczy maksymę, ale nim mi się udało ją sformułować, w drzwiach stanął Conchis z niewielką walizką w ręku. Powiedział coś po grecku do jednego z marynarzy. Joe, jakby powodowany nagłym współczuciem, dotknął lekko mego ramienia i podszedł do Conchisa, aby wziąć jego walizkę. Kiedy wracając przechodził koło mnie, wykrzywił się znacząco.

— Zna pan ten kawał o ciężących na białych ludziach obowiązkach cywilizacyjnych? To my musimy je nosić!

Podniósł rękę pożegnającym gestem i ruszył za Hermesem i Marią. Marynarze zabrali skrzynie i znów znalazłem się sam na sam z Conchisem. Bez uśmiechu, niemal wyzywająco rozłożył ręce: lepiej będzie, jeśli mu nareszcie uwierzę.

Powiedziałem: — Jeszcze pan o mnie usłyszysz.

— Na twoim miejscu uważałbym. W tym kraju królem jest pieniądz.

— I, jak się okazuje, sadyzm.

Po raz ostatni bacznie mi się przyjrzał. — Hermes wróci za chwilę zamknąć dom. — Nie odpowiedziałem. — Miałeś swoją szansę. Radzę ci się zastanowić, dlaczego nie odniosłeś sukcesu.

— Niech pana diabli wezmą!

Nie odpowiedział, patrzył mi w oczy, jakby chciał hipnozą zmusić mnie do odwołania tych słów.

Powiedziałem: — Ja tak naprawdę myślę.

Po chwili pokręcił z wolną głową. — Sam jeszcze nie wiesz, co myślisz. Ani co ja myślę.

Musiał wiedzieć, że nie uścisknę mu ręki, bo przeszedł koło mnie. Ale przy schodach zatrzymał się i odwrócił.

— Byłbym zapomniał. Mój sadyzm nie dotyczy twego żołądka. Został dla ciebie przygotowany lunch. Hermes wręczy ci paczkę.

Był już na środku placyku, kiedy udało mi się wymyślić ripostę. Wrzasnąłem więc tylko:

— Kanapki z cyjankiem?

Ale on udał, że nie słyszy. Miałem ochotę biec za nim, złapać go za ramię, zatrzymać siłą. Wiedziałem jednak, że jestem bezradny. Do Conchisa zbliżył się wracający z brzegu Hermes. Usłyszałem warkot motorówki odpływającej w stronę jachtu. Conchis i Hermes przystanęli, wymienili parę słów, uścisnęli sobie ręce i po chwili Conchis znikł, a Hermes stanął przed schodami, spojrzał na mnie ponuro i potrząsnął kluczami. Spytałem go po grecku:

— Czy te dwie panny są na jachcie?

Wydał usta: skąd może wiedzieć. — Widziałeś je dzisiaj?

Podniósł do góry brodę, dając do zrozumienia, że nie.

Odwróciłem się niechętnie. Hermes poszedł za mną, zatrzymał się dopiero przed drzwiami mojej sypialni i zniknął, by zamknąć w reszcie pomieszczeń okna i okiennice... nawet nie zauważyłem jego zniknięcia, bo ledwie wszedłem do pokoju, stwierdziłem, że zostawiono mi pożegnalny upominek. Na poduszce leżała koperta wypchana greckimi banknotami. Policzyłem je: dwadzieścia milionów *drachmai*. Nawet przy ówczesnej inflacji oznaczało to ponad dwieście funtów, czyli więcej niż jedną trzecią moich rocznych zarobków. Zrozumiałem, dlaczego starszy pan przed odjazdem wszedł jeszcze na górę. Rozwścieczyła mnie ta pośrednia sugestia, że mnie także można kupić, jeszcze jedno upokorzenie. Niemniej była to kupa forsy. Przez chwilę chciałem biec na molo i rzucić mu ją w twarz, zdążyłbym, motorówka musiała dopiero wrócić po niego z jachtu, ale pozostało to w sferze zamiarów. Usłyszałem kroki Hermesa i pośpiesznie wepchnąłem pieniądze do torby. Kiedy pakowałem resztę rzeczy, Hermes stał w drzwiach, po czym zszedł za mną na dół, jakby kazano mu mnie pilnować.

Po raz ostatni rozejrzałem się po sali muzycznej, na nagiej ścianie zobaczyłem ślad po zdjętym Modiglianem, w dwie minuty później stałem już pod kolumnadą, przysłuchując się, jak Hermes zamyka drzwi. Usłyszałem powracającą motorówkę, znów miałem ochotę tam biec..., ale równocześnie czułem, że nie ma po co wykonywać symbolicznych gestów, że powinienem zrobić coś bardziej konkretnego. Może uda mi się przekonać sierżanta policji we wsi, żeby umożliwił mi dostęp do nadajnika radiowego. Przestało mnie obchodzić, czy zrobię z siebie głupca. Miałem jeszcze cień nadziei: kto wie, czy Conchis po to, by nie zabrać bliźniaczek z powrotem na wyspę, nie wymyślił jakiejś nowej historyjki. Mógł na przykład opowiedzieć im o mnie to, co mnie opowiedział o nich. Mógł je przekonać, że byłem jego płatnym pracownikiem, że cały czas okłamywałem Julie... Musiałem zobaczyć bliźniaczki, choćbym miał się od

nich dowiedzieć, że Conchis mówi prawdę. Ale póki od nich nie usłyszę — nie uwierzę. Ze wszystkich sił przywoływałem obraz Julie w morzu, Julie w tych wszystkich chwilach, kiedy musiała być szczerą; pocieszała mnie myśl o jej angielskości, o jej pochodzeniu z tej samej warstwy społecznej co ja, o łączących nas wspomnieniach uniwersyteckich. Ktoś, kto sprzedałby siebie — nawet Conchisowi — musiałby być pozbawiony poczucia humoru, obiektywnego spojrzenia na świat, byłby kimś powierzchownym, nie zdającym sobie sprawy, co traci, wymieniając zasady przyzwoitości na luksus, rezygnując ze spraw ducha dla zadowolenia ciała... Nie, nie należało się tym pocieszać. Choć mój angielski naiwny sceptycyzm nie dopuszczał myśli o takiej europejskiej sprzedajności, to i tak zagadka pozostawała nie rozwiązana. Dlaczego te dwie czarujące dziewczyny godziły się z nieobecnością wielbicieli, akceptowały pobyt w tym „klasztorze” Conchisa? Julie była niewątpliwie pod jego wielkim intelektualnym wpływem, a poza tym to jego bogactwo... obie dziewczyny były wyraźnie przyzwyczajone do luksusu, choć się do tego nie przyznawały. Dałem za wygraną.

Usłyszałem, że Hermes wychodzi przez rzadko używane drzwi pod boczną kolumnadą i zabiera się do ich zamykania. Im szybciej przystąpię do działania, tym lepiej. Odwróciłem się i ruszyłem w stronę bramy, zeskoczyłem na placyk. Hermes zawołał:

— Lunch, *kyrios*.

Nie zatrzymując się machnąłem ręką: do diabła z lunchem. Przy chacie stał jego osiołek z przytroczonymi już workami. Wieśniak, jakby się bał nie wypełnić co do joty rozkazów Conchisa, pobiegł w stronę osła. Poszedłem dalej nie zwracając na niego uwagi, choć widziałem, że schyla się po coś, co leży pod drzwiami chaty. Potem usłyszałem, że mnie goni. Odwróciłem się z gniewem, aby kazać mu odejść, i zamarłem.

Miał w ręku koszyk z sitowia. Ten sam, który towarzyszył Julie podczas naszej wspólnej niedzieli. Przyjrzawszy mu się zajrzałem Hermesowi w oczy. Podał mi go przymilnie. I powiedział po grecku: musisz go wziąć. Po raz pierwszy, odkąd go znałem, na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

Dalej się wahałem. Potem postawiłem torbę, wziąłem koszyk i otworzyłem go: dwa jabłka, dwie pomarańcze, dwie paczuski w białym papierze i schowana w głębi butelka francuskiego szampana. Odsunąłem jedną paczuszkę, by zobaczyć markę: Krug. Spojrzałem ze zdumieniem. Hermes wypowiedział jedno słowo:

— *Perimeni*. Pani czeka.

I wskazał na skały za prywatną plażą. Spojrzałem, myśląc, że zobaczę sylwetkę Julie. Wśród ciszy słyszałem warkot motorówki. Hermes potworzył to samo słowo.

*Kiedyś to zrozumiesz.*

Żeby zachować pozór godności, doszedłem do wąwozu statecznym krokiem. Potem zacząłem biec. Tym razem posąg Posejdona w słonecznym blasku wyglądał mniej majestatycznie. Z ręki Posejdona zwisała kartka papieru, trzepocząc na wietrze jak zapomniana sztuka bielizny na sznurze. Na kartce narysowana była ręka wskazująca kierunek skał. Przedarłem się przez krzaki w stronę pinii.

## 56

Drzewa rosły rzadko, zobaczyłem ją niemal od razu. Stała na brzegu skał, miała na sobie jasnobłękitne spodnie, ciemnogramatową bluzkę, różowy kapelusz od słońca i patrzyła w moją stronę. Pomachałem ręką, odpowiedziała mi, ale ku mojemu zdumieniu zamiast wyjść mi naprzeciw, zaczęła schodzić stromym zboczem i zniknęła. Byłem zbyt podniecony, żeby się nad tym zastanawiać; może chciała zasygnalizować jachtowi, że wszystko się udało. Zacząłem biec. Nie więcej niż dwadzieścia pięć sekund upłynęło od chwili, gdy ją zobaczyłem, do momentu, kiedy znalazłem się tam, gdzie ona poprzednio stała. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Strome, może dwudziestojardowe zbocze kończyło się urwistym stokiem. Nie widziałem, gdzie by się tu można ukryć, niewielkie głazy i kamienie, trochę niewysokich zarośli — a Julie znikła... Jej ubranie rzuciłoby mi się w oczy, gdyby... postawiłem koszyk i torbę i ruszyłem w kierunku, w którym poszła. Nic to nie dało. Nigdzie nie było skał, ukrytego wąwozu. Znalazłem się na urwistym brzegu; nie, tędy mógłby zejść tylko alpinista, i to z pomocą liny.

Sprzeciwiało się to wszelkim prawom fizyki. Julie rozplynęła się w powietrzu. Spojrzałem na jacht, wciągano właśnie na pokład motorówkę, stało tam z dziesięć

osób, załoga i pasażerowie, jacht ruszył z wolna w moim kierunku, jeszcze raz zostałem wykpiiony...

Nagle tuż za sobą usłyszałem teatralnie brzmiący kaszel. Odwróciłem się... co za niezwykle widok... W połowie zbocza zobaczyłem wystające z ziemi głowę i ramiona Julie. Opierała się łokciami o skałę. Za nią jak ponura czarna aureola widniało jakieś koło. Ale ona śmiała się łobuzersko.

— Czy coś zgubiłeś? Może ci pomóc szukać?

— Chryste Panie!

Podszedłem do niej i zatrzymałem się o jakieś sześć stóp. Ona wciąż się śmiała. Jej skóra stała się brunatna, dorównywała już niemal opalenizną siostrze. Koło okazało się podniesioną do góry żelazną pokrywą: Julie stała w żelaznej szerokiej, zagłębionej pionowo w ziemi rurze. Zagryzła usta i skinęła na mnie palcem.

— Wejść do mego salonu, poprosił pan pajak.

Cytata była dobrze wybrana. Na wyspie królował prawdziwy pajak zastawiający wszędzie swe pułapki. Nagle zmienił się jej wyraz twarzy i ton głosu.

— O mój biedaku, co ci się stało w rękę?

— Nie mówił ci? — Pokręciła przecząco głową, robiła wrażenie zatroskanej. — Nieważne... Było, przeszło.

— Okropnie to wygląda.

Wyszła z tej dziury. Staliśmy chwilę nieruchomo, potem wzięła tę moją pokiereszowaną rękę, przyjrzała się jej, zajrzała mi czule w oczy.

— To drobiazg. Poczekaj, aż usłyszysz, co on ze mną wyprawiał w ciągu ostatniej doby.

— Bałam się tego. — Znow przyjrzała się mojej ręce. — Ale wszystko w porządku?

— Za chwilę ochłonę z szoku. — Wskazałem na dziurę. — Co to właściwie jest?

— Niemcy. W czasie wojny.

— Jezu, powinienem się był domyślić.

Posterunek obserwacyjny. Conchis zakamuflował wejście. Podeszliśmy jeszcze bliżej. Zobaczyłem w dziurze drabinę, a niżej betonową podłogę. Julie pchnęła pokrywę. Pokrywa opadła, kamyki, którymi była inkrustowana, dopasowały się do otoczenia jak kawałki układanki. Ktoś niewtajemniczony nigdy by tej kryjówki nie odkrył.

— Trudno mi w to wszystko uwierzyć.

— Chyba nie przypuszczałeś, że ja... — przerwała.

— Przed godziną oznajmił mi, że jesteś jego kochanką. I że cię więcej nie zobaczę.

— Jego kochanką!

— I ty, i June.

Z kolei ona była zaszokowana. Patrzyła na mnie tak, jakbym ją wystawiał na próbę, potem parsknęła z oburzeniem.

— Chyba mu nie uwierzyłeś! — Po raz pierwszy spojrzała na mnie z powagą. — Jeśli mu chociaż na chwilę uwierzyłeś, nie chcę cię więcej widzieć!

W sekundę później trzymałem ją w ramionach, nasze usta się spotkały. Przekonało mnie to lepiej niż słowa. Odsunęła głowę.

— Wydaje mi się, że jesteśmy obserwowani.

— Gdzie jest June?

— Zgadnij.

— Nie mam siły zgadywać.

— Odbyłam dziś długi spacer. Piękny spacer.

— We wsi? W domu Hermesa?

— Jesteśmy tam od piątku. Tak blisko ciebie. To było straszne.

— Maurice?...

— Wypożyczył nam ten dom na całe lato. — Znów się uśmiechnęła: — Wiem. Sama mam ochotę się uszczypnąć.

— Wielki Boże! A co z jego planami?

— Wyrzekł się ich. Któregoś wieczoru oznajmił nam, że nie ma już na to czasu. Wspomniał coś o przyszłym roku, ale... — leciutko wzruszyła ramionami. Miała to być cena za nasze szczęście.

Zajrzałem jej w oczy.

— Nadal chcesz zostać?

Po chwili skinęła głową. — Jeśli sądzisz, że wytrzymamy ze sobą jako zwykli ludzie. Bez podniecających przygód.

— Nie mów bzdur.

Uśmiechnęła się. — Zatem wygląda na to, że się już ode mnie nie odczepisz.

Zabrzmiała syrena jachtu. Odwróciliśmy się, trzymając za ręce. Jacht znajdował się o jakieś trzysta jardów od nas. Julie zaczęła machać ręką, po chwili poszedłem w jej ślady. Na pokładzie zobaczyłem Conchisa i Joego, między nimi



czarną postać Marii. I oni podnieśli ręce. Conchis zawołał coś do marynarza stojącego na dziobie jachtu. Do góry uniosło się pióro dymu. Potem huk i na tle lazuru zaczęła spadać deszcz gwiazd. Drugi, trzeci. Ognie sztuczne, by uczcić koniec przedstawienia. Wycie syreny, podniesione ramiona. Julie zaczęła posyłać pocałunki. Ja wymachiwałem ręką. Długi biały kadłub jachtu po trochu oddalał się od brzegu.

— On naprawdę powiedział, że jestem jego utrzymanką?

Powtórzyłem jej wszystko *verbatim*. Spojrzała na jacht.

— Co za bezczelność.

— Wiedziałem, że to wymysł. Ale ta jego pokerowa twarz.

— Chętnie bym jej wymierzyła policzek. June będzie wściekła. — Uśmiechnęła się jednak do mnie: — Cóż... — pociągnęła mnie za rękę. — Ten spacer. Konam z głodu.

— Chcę zobaczyć, gdzieście mieszkali.

— Potem. Najpierw coś zjemy.

Wróciliśmy do miejsca, gdzie zostawiłem koszyk, i rozłożyliśmy się pod pinią. Julie rozpakowała kanapki. Ja otworzyłem szampana, trochę się wylało, był zbyt ciepły. Wznieśliśmy toast, pocałowaliśmy się i zabraliśmy się do jedzenia. Julie wypytywała o wydarzenia poprzedniego dnia, opowiedziałem jej, a potem całą resztę, nocne manewry, mój rzekomy list do niej tydzień temu, wcale nie byłem chory...

— Dostałeś mój list z Siphnos?

— Tak.

— Przez chwilę podejrzewałyśmy, że to jeszcze jeden fortel. Ale był dla nas taki miły.

Zapytałem, co robiły na Krecie, co robiły podczas rejsu? Skrzywiła się. — Leżałyśmy na słońcu i nudziłyśmy się jak mopsy.

— Nie rozumiem, po co mu była ta zwłoka?

Julie zawahała się. — W zeszłym tygodniu próbował nas jeszcze namówić, żeby... no wiesz, żeby podsunąć ci June. Jakoś nie mógł się wyrzec tego pomysłu.

— Spójrz na to — sięgnąłem do torby i pokazałem jej kopertę z pieniędzmi, powiedziałem, ile ich jest i co miałbym ochotę z nimi zrobić. Zaprotestowała.

— Nie. Musisz to przyjąć. Zapracowałeś sobie na to. A on ma kupę forsy. — Uśmiechnęła się. — I wkrótce będziesz musiał płacić za moje utrzymanie. Straciłam posadę,

— Nie próbował kusić was pieniędzmi?

— Próbował. Albo domek we wsi i ty, albo reszta sumy przypadającej nam na zasadzie kontraktu.

— Niezbyt to przyjemne dla June.

Julie prychnęła: — June nie miała prawa głosu.

— Strasznie mi się podoba ten kapelusz.

Był miękki, dziecinny, z niewielkim rondem. Zdjęła go i obejrzała z naiwną ciekawością, jakby nigdy dotąd nie słyszała komplementu. Nachyliłem się i pocałowałem ją w policzek, potem objąłem ramieniem i przyciągnąłem do siebie. Jacht oddalił się już o parę mil, zniknął na wschodzie.

— Nie domyślcie się, na czym ma polegać ta jego wielka tajemnica?

— Nie mamy pojęcia. Błagałyśmy go niemal na klęczkach, żeby wyznał nam prawdę. Jest to jednak cena, jaką musimy zapłacić. Albo wszystko zostanie po staremu, albo nigdy się nie dowiemy.

— Dużo dałbym, żeby wiedzieć, co tu się działo w zeszłym roku, a także dwa lata temu.

— Nie otrzymałeś od nich odpowiedzi?

— Ani słówka. — I dorzuciłem: — Muszę się do czegoś przyznać. — Opowiedziałem jej, jak próbowałem znaleźć potwierdzenie jej słów i pokazałem list z londyńskiego banku.

— To bardzo brzydko z twojej strony, Nicholas. Dlaczego nam nie ufałeś? — zagryzła wargi. — Niemal równie brzydko zachowała się June dzwoniąc w Atenach do British Council i sprawdzając, czy jesteś tym, za kogo się podajesz. — Uśmiechnąłem się.

— Zarobiłam na tym dziesięć szylingów.

— Tylko tyle jestem wart?

— Ona jest tyle warta.

Spojrzałem na wschód. Jacht znikł, morze było puste, łagodny wiatr poruszał gałęziami i kosmykami jej włosów. Siedziałem oparty o pień pinii, Julie przysunęła się do mnie. Czułem się jak gwiazdy sztucznych ogni, jak szampan. Podniosłem ku sobie jej twarz, pocałowaliśmy się, a potem leżeliśmy całując się w pocętkowanym słońcem cieniu. Pragnąłem jej, ale teraz kiedy mieliśmy przed sobą całe lato, moje pożądanie straciło swą gwałtowność. Zadowolilem się wsunięciem ręki pod jej bluzkę, poszukałem jej ust. A ona położyła się opierając o mnie, z ustami na moim policzku. Leżeliśmy milcząc.

Szepnąłem: — Było ci mnie brak?

— Bardziej, niż powinieneś wiedzieć.

— Chciałbym tak leżeć co noc. Przez całe życie.

— Ja nie. Niezbyt mi wygodnie.

— Nie bądź taka dosłowna. — Przytuliłem ją mocniej. — Powiedz, że tak będzie.

Począwszy od dzisiejszego wieczoru.

Wsunęła rękę pod moją koszulę.

— Jaka ona była w łóżku? Ta twoja australijska przyjaciółka.

Poczułem nieprzyjemny chłód, przez chwilę wpatrywałem się w niebo, miałem ochotę opowiedzieć jej... nie, nie był to właściwy moment.

— Kiedyś ci wszystko opowiem.

Uszczypnęła mnie: — Sądziłam, że już opowiedziałeś.

— A dlaczego pytasz?

— Dlatego.

— Dlatego że?

— Bo ja pewnie nie będę... no, wiesz.

Pocałowałem ją we włosy. — Już udowodniłaś, że jesteś znacznie lepsza.

Chwilę milczała, jakby jeszcze niepewna.

— Nigdy dotąd nie byłam zakochana. Myślę o stronie czysto fizycznej.

— To nie choroba.

— Ale wielka niewiadoma.

— Przysięgam, że ci się to spodoba.

Znów milczenie. — Chciałabym, żeby istniał twój bliźniak. Dla June.

— June chce zostać?

— Na jakiś czas. — I szepnęła: — Na tym polega kłopot z bliźniaczkami. Mamy podobne gusty.

— Sądziłem, że nie dotyczą one mężczyzn.

Pocałowała mnie w szyję. — W tym wypadku tak.

— Ona ci tylko dokucza.

— Założę się, że miałbyś ochotę, żebyśmy odegrali *Trzy serca*.

— Zgrzytam zębami z rozczarowania.

Znów mnie uszczypnęła, tym razem mocno.

— Mówię poważnie.

— Zachowujesz się czasem jak mała dziewczynka.

- Bo tak się czuję. Moja zabawka.
- Którą dziś wieczorem weźmiesz sobie do łóżeczka.
- To wąskie łóżko.
- Zatem nie starczy miejsca na piżamy.
- Tu i tak nie wkładam piżamy.
- Doprowadzasz mnie do szaleństwa.
- Siebie doprowadzam do szaleństwa. Leżąc nago i myśląc o tobie.
- A co ja wtedy robię?
- Tysiące frywolnych rzeczy.
- Wymień je.
- Wyobrażam je sobie nie słowami.
- Jestem czuły czy brutalny?
- Jesteś.
- Na przykład?

Zawahała się, a potem szepnęła: — Ja uciekam, a ty mnie gonisz. I łapiesz.

— I co wtedy? — Nie odpowiedziała. Zsunąłem rękę po jej plecach w dół. —  
Kładę cię na kolanie i daję nauczkę?

- Czasem trzeba mnie uwodzić bardzo powolutku...
- Bo nie jesteś przyzwyczajona do kochania się?
- Hm...
- Chciałbym cię zaraz rozebrać.
- To będziesz mnie musiał odnieść do wsi.
- Chętnie.

Julie oparła się na łokciu, potem nachyliła się i pocałowała mnie.

- Dziś wieczorem. Obiecuję ci. Teraz czeka na nas June.
- Pokaż mi najpierw waszą kryjówkę.
- Tam jest ohydnie. Jak w grobowcu.
- Rzucę tylko okiem.

Julie spojrzała na mnie tak, jakby z jakichś powodów chciała się temu sprzeciwić, potem uśmiechnęła się, wstała i wyciągnęła do mnie rękę. Wróciliśmy na nadmorskie strome zbocze. Julie schyliła się i pociągnęła za kamień. Inkrustowana pokrywa podniosła się, rozwarła się przed nami czarna jama. Julie przykłęka, poszukała nogą pierwszego stopnia i zaczęła schodzić. Kiedy znalazła się już na dole, podniosła głowę.

— Uważaj. Niektóre szczeble są powyłamywane.

Zabrałem się do schodzenia. W rurze ogarnęło mnie nieprzyjemne uczucie klaustrofobii. Ale na dole zobaczyłem kwadratową izbę o powierzchni piętnaście na piętnaście stóp. W słabym świetle dojrzałem z obu stron drzwi.

W izbie stał stół, trzy drewniane krzesła, niewielka szafa. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny, smród ciszy.

— Masz zapalną?

Pokazała mi lampkę, zapaliłem ją. Na ścianie z lewej strony widniał niezdarne freski, jakaś piwiarnia, kufle z pianą, piersiste dziewczęta o zalotnych oczach. Kolory wyblakły, pozostały tylko , czarne krechy. Malowidło to wydawało się czymś równie odległym jak freski etruskie, świadectwem wymarłej cywilizacji. Na ścianie z prawej strony narysowana została znacznie sprawniej perspektywa uliczna jakiegoś miasta, wydało mi się, że austriackiego... może Wiednia. Podejrzywałem, że rysował to Anton. Drzwi wyglądały jak drzwi kabin na statku. Wisiały na nich masywne kłódki.

Julie wskazała w prawo: — Tam był nasz pokój. W drugim mieszkał Joe.

— Co za okropne miejsce. W dodatku cuchnie.

— Nazwaliśmy tę norę *Ziemią*. Czy kiedyś czułeś zapach ziemi z lisiej jamy?

— Dlaczego zamknięto te drzwi na kłódkę?

— Nie wiem. Nigdy dotąd nie widziałam tu kłódek. Pewnie, żeby się nie dostał żaden z mieszkańców wsi. Widocznie ludzie wiedzą o tym bunkrze. — Skrzywiła się. — Niedużo tracisz. Są tam tylko nasze kostiumy. Łóżka. No i te potworne malowidła.

— Dzielna z ciebie dziewczyna. Żeby tu wytrzymać!

— Nienawidziłyśmy tego miejsca. Siedzieli tu nieszczęśliwi, zgorzkniali mężczyźni. Odcięci od tego wspaniałego słońca na górze.

Dotknąłem jej ręki.

— W porządku. Już dosyć widziałem.

— Wobec tego zgaś lampę.

Zgasilem, a Julie zaczęła wdrapywać się po drabinie. Szczupłe błękitne nogi w oślepiającym blasku słońca. Odczekałem chwilę i ruszyłem w ślad za nią. Górna połowa jej ciała znikła.

Usłyszałem krzyk: — Nicholas!

Ktoś, a może dwóch ktosiów wyskoczyło z tyłu i chwyciło ją za rękę. W mgnieniu oka podnieśli ją do góry, wymachiwała lewą nogą, jakby chcąc się zaczepić o druty. Jeszcze raz wykrzyknęła moje imię, usłyszałem szamotanie się na kamieniach.

Przylgnąłem do pozostałych szczebli. Przez sekundę w otworze pojawiła się jakaś twarz. Młody jasnowłosy człowiek ostrzyżony na jeża, ten właśnie marynarz, który rano zwrócił moją uwagę. Zobaczył, że mam jeszcze dwa szczeble do przebycia, i szybko zatrzasnął wieko. Absolutna ciemność. Wydałem rozpaczliwy krzyk.

— Hej! Na litość boską! Chwileczkę!

Z całej siły próbowałem pchnąć pokrywę. Udało mi się ją tylko uchylić, tak jakby ktoś stał na niej lub siedział. Rura była zbyt wąska, nie pozwalała na swobodę ruchów. Jeszcze raz spróbowałem. Bezskutecznie. Zacząłem nadśluchować. Cisza. Spróbowałem po raz ostatni i zszedłem po drabinie na dół. Zapaliłem zapalniczkę, odszukałem lampę. Drzwi były masywne, nie udało mi się ich wyważyć. Otworzyłem szafę. Była pusta. Nie posiadając się ze złości przypomniałem sobie odjazd Conchisa, który zachował się jak ojciec chrzestny z bajki, ognie sztuczne, butelka Kruga. Festyn dobiegł końca. Prospero oszalał, z maniacką desperacją usiłował nie dopuścić do odejścia Mirandy.

Wrząc z gniewu stałem u stóp drabiny i usiłowałem zrozumieć powody dwulicowości tego sadystycznego starszego pana. Nie tłumaczył tego pomysł „teatru bez widzów”. Aktorom musi zależeć na widzach, jakże aktor mógłby się obejść bez widza? Choć niewykluczone, że na jego postępowanie wpłynęły częściowo te dziwaczne teorie teatralne. Sam powiedział: „maskarada jest tylko metaforą”. A zatem? Jakiś niezrozumiały nowy prąd filozoficzny: metaforyzm? Może widział się w roli profesora wydziału wieloznaczności, uważał za Empsona prawdopodobieństw. Rozmyślałem i rozmyślałem, i nie doszedłem do żadnych wniosków, wzrosły tylko wszystkie moje wątpliwości. Także na temat Julie i June. Przypomniałem sobie historyjkę o schizofrenii. A zatem to, co się stało, zaplanowano już na samym początku. Nigdy nie miałem zdobyć Julie, na każdym kroku miały mnie spotykać męki Tantala, kpiny. Ale czyż jakakolwiek dziewczyna mogłaby się zachować tak jak ona — czuję jeszcze jej pocałunki, słyszę szept zainicjowanej przez nią, przesyconej erotyzmem rozmowy — gdyby nic do mnie nie czuła? Chyba, że była nienormalna i zdawała sobie sprawę, że nigdy nie będzie musiała dotrzymać swoich obietnic.

Ale czy człowiek, który twierdzi, że jest lekarzem, mógłby do czegoś podobnego dopuścić? Nie, to było nie do pomyślenia.

Pół godziny później, po wielu próbach, jeszcze raz pchnąłem wieko, które tym razem natychmiast się podniosło. W trzy sekundy byłem na słońcu. Morze było puste, pusty las. Wdrapałem się do punktu, z którego miałem lepszy widok na całą wyspę,

ale nie zobaczyłem nic. Wiatr powiewał gałęziami pinii, obojętny, nieludzki wiatr z innej planety. Z pięćdziesiąt jardów ode mnie w gałęzie krzaków zaplątał się biały papier, pozostałość po naszym lunchu. Kosz i torba stały tam, gdzie je zostawiłem, różowy kapelusz leżał w tym samym miejscu, gdzie cisnęła go Julie.

Po paru minutach stałem już przed domem. Wyglądał tak samo jak przedtem, wszystkie okiennice były zamknięte. Poszedłem w stronę bramy. I tam, tak jak podczas mojej pierwszej wizyty w Bourani, natknąłem się na ślad.

## 57

A raczej na dwa.

Zwisały z gałęzi pinii rosnącej tuż koło bramy, o jakieś sześć stóp nad ścieżką, kołysząc się leniwie na wietrze. Były to: lalka i ludzka czaszka.

Czaszka wisiała na czarnym sznurze, lalka na białym. Wisiała w podwójnym sensie. Sznur miała okręcony wokół szyi. Była niezdarnie wyciosana z drzewa, pomalowana na czarno. Usta uśmiechały się, oczy były białe. Wokół nóg zwisały dwie białe szmatki, miały jej wystarczyć za cały ubiór. Lalką była Julie, czarna, czyli zła pod pozorami białej niewinności.

Popchnąłem czaszkę i zaczęła wirować. Oczodoły wypełniły się cieniem, usta ponuro uśmiechnęły.

*Niestety, biedny Yoryku.*

Poćwiartowane ciała?

A może raczej Frazer... *Złota gałąź?* Próbowałem sobie przypomnieć... czy w świętych lasach nie wieszano przypadkiem lalek?

Rozejrzałem się. Drzewa i drzewa. Ale czułem na sobie czyjś wzrok. Nic się jednak nie ruszyło. Drzewa w słońcu, zarośla w pozbawionym życia cieniu. Znów ogarnął mnie strach, strach niewiedzy. Wątła sieć rzeczywistości, drzewa, słońce. Byłem nieskończenie daleko od domu. Najistotniejszych odległości nie mierzy się kilometrami.

Światło między drzewami. A pod spodem ciemność.

*Czymkolwiek to jest, nie ma nazwy.*

Czaszka i lalka poruszyły się na wietrze. Szybko odszedłem pozostawiając je ich tajemniczemu porozumieniu.

Hipotezy opadły mnie i spętały tak jak Guliwera spętały niezliczone nici Liliputów. Wiedziałem jedno: boleśnie brak mi Julie. Szalałem za nią, bez niej nie istniał dla mnie świat, szedłem więc w stronę szkoły jak pałający zemstą kasztelan z islandzkich sag, nie straciwszy jednak całkiem nadziei, że Julie tam na mnie czeka. Ale kiedy otworzyłem drzwi mego pokoju, okazał się pusty. Miałem ochotę pobiec do Demetriadesa i próbować wycisnąć z niego prawdę, zmusić go, by poszedł ze mną do nauczyciela prowadzącego pracownię elektrotechniczną. Potem postanowiłem pojechać do Aten i nawet ściągnąłem już z szafy walizkę. Ale zmieniłem zdanie. Bo kto wie, czy jedynym ważnym faktem nie było to, że do końca roku szkolnego pozostały jeszcze całe dwa tygodnie; dwa tygodnie, podczas których można się będzie nad nami... nade mną znęcać.

W końcu wybrałem się po prostu do wisi, do domu za kościołem. Brama była otwarta, ogród pełen zieleni pomarańczowych i cytrynowych drzewek, brukowana kamieniami alejka prowadziła do drzwi domu. Dom nie był duży, ale nie pozbawiony wdzięku, portyk z kolumnami, okna z przyczołkami. Wybielona wapnem fasada znajdowała się już w cieniu i wydawała się bladobłękitna na tle ciemniejszego nieco błękitu wieczornego nieba. Idąc między chłodnymi, ciemnymi ścianami drzew zobaczyłem wychodzącego z domu Hermesa. Spojrzał na mnie, a potem - rozejrzał się, jakby zdziwiony, że jestem sam.

Zapytałem po grecku: — Czy jest tu ta młoda dama? — Rozłożył ręce. Przerwałem mu niecierpliwie. — Ta druga młoda dama. Siostra.

Podniósł głowę. Nie.

— Gdzie jest?

— Na jachcie. Po lunchu pojechała na jacht.

— Skąd wiesz? Przecież cię tu nie było.

Powiedziała mu żona.

— Pojechała z panem Conchisem? Do Aten?

— *Nai*. Tak.

Jacht, zniknąwszy nam z oczu, mógł zawinąć do jednego z portów wsi i June, jeśli powiedziano jej, że jesteśmy na jachcie, mogła się tam udać bez kłopotu. Ale kto wie, czy nie została to z góry zaplanowane. Chwilę przyglądałem się Hermesowi, po czym wyminąłem go i wszedłem do domu.



Przewiewny hall, chłodny i pusty, na ścianie piękny turecki dywan, a na drugiej herb wyglądający trochę jak angielska żałobna tablica herbowa. Przez otwarte drzwi widziałem skrzynie z obrazami z Bourani. W drzwiach stało jedno z dzieci Hermesa, mały chłopczyk. Ojciec coś do niego powiedział i chłopczyk obdarzywszy mnie uroczystym brunatnym spojrzeniem zaraz zniknął.

Zza moich pleców usłyszałem głos Hermesa.

— Czego pan szuka?

— W którym pokoju mieszkały dziewczęta?

Zawahał się, ale wskazał na schody. Odniosłem wrażenie, że jest zupełnie zбитy z tropu. Wszedłem na górę.

Wzdłuż budynku, w lewo i w prawo, biegł korytarz. Obejrzałem się na idącego za mną Hermesa. Znow się zawahał, ale wskazał na drzwi z prawej strony. Wszedłem do typowej sypialni tutejszych domów. Łóżko okryte tkanym na krosnach kilimem, dobrze zapastowana podłoga z desek, komoda, piękny *cassone*, na ścianach zupełnie przyjemne akwarele przedstawiające domy wsi. Były to typowe rysunki architekta i choć nie były podpisane wiedziałem, że znow oglądam prace Antona. Wychodzące na zachód okna przysłonięte były okiennicami. Na parapecie otwartego okna stał mokry *kanati*, porowaty dzban z wodą, który Grecy ustawiają na oknach, by ochłodzić zarówno powietrze, jak i wodę. Na *cassone* znajdowała się niewielka czara z jaśminem. Miły zachęcający widok.

Wszedłem i otworzyłem jedną z okiennic. Hermes stał w drzwiach i przyglądał mi się z wyraźną rozterką. Jeszcze raz spytał, czego sobie właściwie życzę. Zauważyłem, że nie pyta, gdzie jest Julie. Nie odpowiedziałem mu. Miałem chyba podświadomie ochotę, żeby starał się mnie zatrzymać, odczuwałem potrzebę walki. Ale nie ruszył się, a ja podszedłem do komody. W jednej szufladce były przybory toaletowe i kosmetyki, poza tym wyłącznie ubranie. Rozejrzałem się po pokoju. W kącie przybito drążek i zawieszono zasłonę. Odsunąłem ją i zobaczyłem rząd sukienek i spódnic, letni płaszcz. Rozpoznałem różową sukienkę, którą Julie miała na sobie tej niedzieli, gdy dowiedziałem się „prawdy” czy też raczej czegoś, co miało uchodzić za prawdę. Na podłodze stały pantofle, za nimi walizka. Wyciągnąłem ją, położyłem na łóżku i bez przekonania spróbowałem otworzyć. I ku mojemu zdziwieniu otworzyła się.

W walizce było także ubranie, parę wełnianych swetrów, tweedowa spódnica, rzeczy zupełnie zbędne w słonecznej Grecji, dwie nowe skórzane greckie torby na pa-

sku, z przyczepionymi jeszcze cenami, wyraźnie zakupione na prezenty. Pod spodem leżało parę książek. Przedwojenny przewodnik po Grecji, w środku kilka pocztówek, przedstawiających zabytki. Pocztówki były czyste. Jakaś powieść Greene'a. Amerykańskie kieszonkowe wydanie książki o czarnoksiężnikach, w środku jako zakładka list. Wyjąłem z koperty zadrukowany kartonik. Było to zaproszenie na zakończenie roku w szkole londyńskiej, w której Julie, jak twierdziła, pracowała po skończeniu studiów. Koperta była przed miesiącem preadresowana do Bourani z Cerne Abbas w Dorset, gdzie mieszkała matka dziewcząt. Antologia Palatyńska. Otworzyłem ją. Na tytułowej karcie podpis: *Julie Holmes, Girton*. Obok niektórych wierszy zobaczyłem krótkie notatki, angielskie przekłady pisane przez Julie.

Hermes powtórzył: — Czego pan szuka?

Mruknałem pod nosem: — Niczego. — Byłem już niemal pewny, że Conchis działa na zasadzie szpiegowskiej komórki — podwładnym mówi się tylko tyle, ile muszą koniecznie wiedzieć... Hermes wyraźnie wiedział niewiele, pewnie powiadomiono go tylko, że się tu pojawię, że będę zły, że należy mnie ułagodzić. Dałem spokój walizce i spojrzałem na niego.

— Gdzie pokój drugiej młodej damy?

— Nie ma tam nic. Zabrała wszystkie rzeczy.

Kazałem sobie jednak ten pokój pokazać. Znajdował się tuż obok, był podobnie umeblowany. Ale nic nie wskazywało, że ktoś tu ostatnio mieszkał, nawet kosz na śmieci obok stołu był zupełnie pusty. Znów spojrzałem na Hermesa.

— Dlaczego panienka nie zabrała z sobą rzeczy siostry?

Wzruszył ramionami, jakbym zadał głupie pytanie. — Pan powiedział, że panienka tu wróci. Razem z panem.

Zeszliśmy na dół i zmusiłem Hermesa, żeby przyprowadził żonę. Była to typowa tutejsza wieśniaczka około pięćdziesiątki, o żółtej cerze, ubrana w czarną suknię, dużo jednak przystępniejsza i rozmowniejsza od męża. Tak, marynarze przynieśli skrzynie, przyszedł z nimi pan. Koło drugiej. Panienka wyjechała z nim. Czy była smutna? O nie. Śmiała się. Bardzo ładna panienka. Czy ją kiedyś już widziała na wyspie? Nie, nigdy. I dorzuciła, jakbym tego nie wiedział, że panienka jest cudzoziemką. Czy mówiła, dokąd jedzie? Tak, do Aten. Czy, nie mówiła, że wróci? Kobieta rozłożyła ręce. Nie wiedziała. Powiedziała jednak: *Isos*. Być może. Zadałem jeszcze wiele pytań, ale odpowiedzi brzmiały podobnie. Dziwne było tylko jedno: ani

kobieta, ani Hermes nie zadawali mi pytań; byłem pewny, że są zwykłymi pionkami, a zresztą nawet gdyby wiedzieli, o co chodzi, nigdy by mi tego nie powiedzieli.

*Eyele.* Śmiała się. Myślę, że to słowo powstrzymało mnie od udania się na policję. Mogłem sobie wyobrazić, że Conchis jakimś fortelem skłonił June, żeby z nim pojechała, ale musiałyby coś jednak podejrzewać, nie mogłaby się śmiać. Potwierdzało to moje najgorsze przypuszczenia. Ale znowu te pozostawione rzeczy Julie... to by nie pasowało, to było pocieszające. Kuszono mnie, odsuwano i znów kuszono. Nie, to jeszcze nie koniec. Byłem pewien, że choć chwilowo spotkało mnie rozczarowanie i zawód, mogę jeszcze oczekiwać dalszego ciągu.

W poniedziałek podczas lunchu otrzymałem list. Od pani Holmes. Wysłany we wtorek w Cerne Abbas.

*Szanowny Panie!*

*Miło mi było otrzymać Pański list. Przekazałam go panu Vulliamy, kierownikowi naszej podstawówki, to bardzo sympatyczny człowiek, pomysł mu się spodobał, wydaje mi się, że wszystkim przejadło się już szukanie korespondencyjnych przyjaciół najmniejszą drogą oporu we Francji i w Ameryce. Jestem pewna, że pan Vulliamy wkrótce się do Pana odezwie. Rada jestem, że poznał Pan Julie i June, że mają na wyspie bratnią angielską duszę. Zdaje się, że na wyspie jest cudownie. Bardzo proszę niech im Pan przypomni, żeby do mnie napisały. Pod tym względem są okropne.*

*Łączę wyrazy poważania,*

*Constance Holmes*

Wieczorem miałem dyżur; ale kiedy chłopcy poszli spać, wyśliznąłem się z domu i poszedłem pod dom Hermesa. W oknach na piętrze było ciemno.

Nadszedł wtorek. Nie mogłem sobie znaleźć miejsca, niezdolny byłem do podjęcia decyzji. Późnym popołudniem poszedłem wybrzeżem na placyk, gdzie odbyła się egzekucja. Na ścianie wiejskiej szkoły wmurowano pamiątkową tablicę. Z prawej strony rósł nadal orzech, ale z lewej drewniane wrota zastąpiły żelazną bramę. Pod wysokim murem paru chłopczyków bawiło się piłką. Przypomniało mi to pokój tortur; w sobotę wieczorem wróciwszy ze wsi poszedłem go zobaczyć, był zamknięty, ale

zajrzałem przez okno. Służył obecnie za skład, pełno tam było zapasowych tablic; ławek i innych sprzętów. Powinni go byli zostawić takim jak wówczas; plamy krwi, elektryczny piecyk i na środku jeden straszny stół.

W ciągu tych dni bardziej niż zwykle doskwierało mi szkolne życie. Zaczęły się egzaminy, a prospekt szkoły obiecywał, że „każdy uczeń zostanie przeegzaminowany z angielskiego przez profesora będącego rodowitym Anglikiem”. Oznaczało to, że miałem do poprawienia około dwustu prac. Choć miało to i dobrą stronę. Nie miałem czasu myśleć.

Zauważyłem w sobie pewną zmianę. Przestałem ufać dziewczętom — moja łatwowierność została wystawiona na próbę o jeden raz za dużo. Kiedy teraz o tym myślałem, jakże fałszywie brzmiały słowa Julie, gdy tuż przed „porwaniem” oskarżała mnie, że interesuję się June. Gdybym nie był tak nią oczarowany, zauważyłbym to już wtedy. Wszystko wskazywało na to, że dziewczyny wciąż jeszcze robią to, czego życzy sobie Conchis, czyli wiedzą, od początku wiedziały, co się za tym wszystkim kryje. Ale do tej racjonalnej przesłanki musiałem dodać drugą: Julie była mną naprawdę zainteresowana. Zatem należało przyjąć, że w jakimś sensie grała podwójną rolę, okłamywała mnie według instrukcji starszego pana, ale ze względu na mnie okłamywała także i jego. Czyli musiała wiedzieć, że kiedyś będzie mogła przestać mnie zwodzić. Żałowałem, że mając do tego okazję nie opowiedziałem jej o Alison, bo jeśli naprawdę coś do mnie czuła, skończyłaby wówczas z tą nedorzeczną zabawą w chowanego. Ale dzięki temu milczeniu mogłem się wyżyć jednej nękającej mnie uprzednio obawy. Nie mogła znać prawdy i brała nadal udział w maskaradzie.

W środę było duszno, słońce kryła mgła, bardzo nie egejski dzień nasuwający myśl o końcu świata. Wieczorem zasiadłem do poprawiania prac egzaminacyjnych. Czekala mnie długa noc harówki. W czwartek mijał ostatni termin oddania prac zastępcy dyrektora. Powietrze było ciężkie, około pół do jedenastej usłyszałem w oddali dudnienie grzmotów. Łaskawie nadciągał deszcz. W godzinę później, kiedy sterta arkuszy zmniejszyła się już o jedną trzecią, usłyszałem pukanie do drzwi. Wrzasnąłem. Myślałem, że to któryś z kolegów, ewentualnie jeden z kończących szkołę szóstoklasistów. Że przychodzi błagać, bym go powiadomił o wynikach.

W drzwiach stanął Barba Vassili, odźwierny. Uśmiechał się pod białym wąsem morsa i już przy pierwszych jego słowach zerwałem się od biurka.

— *Sygnomi, kyrie, ma mia thespoinis...*

## 58

— Pan wybaczy, ale jakaś panienka...

— Gdzie ona jest?

Wskazał w stronę bramy. Pośpiesznie nałożyłem płaszcz. — Piękna młoda panienka. Cudzoziemka...

Ale już go minąłem i biegłem korytarzem. Zawołałem „*To phos!*”, żeby zgasił światło, zbiegłem ze schodów, wypadłem z budynku i pobiegłem w stronę bramy. Nad oknem Barby Vassiliego paliła się naga żarówka, sadzawka białego światła. Myślałem, że ją tam zobaczę. Nie zobaczyłem. Bramę wieczorem zamykano, wszyscy nauczyciele mieli klucze. Poszukałem w kieszeni i przypomniałem sobie, że moje klucze zostawiłem w kieszeni starej marynarki, którą miałem na sobie podczas lekcji. Wyjrzałem przez sztachety. Żywej duszy. Ani na drodze, ani na porośniętym osiami spłachetku ziemi, który oddzielał nas od morza, ani nad wodą. Zawołałem.

Ale naikt się nie ukazał. Odwróciłem się z wściekłością. Barba Vassili kuśtykał z wolna między drzewami.

— Nie ma jej tu?

Całe wieki trwało, nim otworzył furtkę. Wyszliśmy na drogę. Stary wskazał na prawo, w przeciwnym kierunku niż wieś.

— Tam?

— Tak mi się widzi.

Znów zacząłem podejrzewać podstęp. Uśmiech starego Barby, wisząca w powietrzu burza, pusta droga, czułem, że coś się w tym kryje, ale było mi obojętne, co się stanie, byleby się tylko stało.

— Barba, daj mi twoje klucze.

Ale on nie chciał dać mi kluczy trzymanyh w rękę. Wrócił do swej izdebki i poszukał zapasowej pary. Chyba umyślnie mnie tak przetrzymywał; kiedy wreszcie się pojawił, wyrwałem mu klucze z ręki.

Szybkim krokiem poszedłem drogą. Na wschodzie pokazały się błyskawice. Po jakichś siedemdziesięciu jardach mur szkolny cofał się pod kątem prostym w głąb łądu. Miałem nadzieję, że tam czeka na mnie Julie. Nie, droga kończyła się o jakieś

pół mili dalej, za murem zakręcała oddalając się od morza, nad wyschlým strumykiem był mały mostek. Zaraz za nim cyprysowa aleja prowadziła od drogi do jednej z niezliczonych kapliczek. Gęsty welon wysokiej chmury przysłonił księżyc, pejzaż stąpany był w szarym palmerowskim świetle. Wszedłem na mostek i zawahałem się, nie wiedziałem, czy pójść tą drogą dalej, czy biegiem zawrócić do wsi. I usłyszałem wołanie.

Głos dobiegał z cyprysowej alei. W sekundę już tam byłem. W pół drogi do kapliczki usłyszałem, że na lewo ode mnie coś się rusza. Stała o jakieś dziesięć stóp ode mnie, niewidoczna z drogi, ukryta między dwoma najgrubszymi drzewami Ciemny letni prochowiec, na głowie chustka, spodnie, elegancka czarna bluzka i blady owal twarzy. Zawołałem: „Julie!”, ale właściwie już wtedy wiedziałem; poznałem ją po rękach w kieszeniach, po sposobie trzymania głowy.

— To ja, June. Dzięki Bogu, że jesteś. Podszedłem do niej. — Gdzie Julie?

Przyglądała mi się chwilę i spuściła głowę.

— Myślałam, że nareszcie zrozumiałeś.

— Co?

— Co się dzieje. — Spojrzała mi w oczy. — Między nią a Maurice'em.

Milczałem i June spuściła oczy.

— Za kogo wy mnie właściwie uważacie!

June nie odpowiedziała.

— Chyba zapomniałaś, że już poczęstowano mnie historyjką o metresach milionera!

June pokręciła głową. — Tego nie chciałam powiedzieć. Julie z nim nie śpi. Ale robi wszystko, co on jej każe..

Stała ze spuszczoną głową, był to moment, w którym mogłem jeszcze dokonać wyboru. Powinienem był odwrócić się na pięcie i wrócić do szkoły, do mego pokoju, biurka i stosu prac egzaminacyjnych; miałem bowiem pełną świadomość, że cofamy się do punktu wyjścia, że od nowa rozpocznie się maskarada. Jeśli chodzi o fakty, to nie wiedziałem o tej dziewczynie więcej niż tamtej nocy, kiedy w stroju Ewy przebiegła pod tarasem w Bourani. Równocześnie wiedziałem, że tak jak kamień nie może wrócić do ręki, która go przed chwilą rzuciła, tak ja już nie mogę odejść.

— A co ty tu robisz?

— Uważam, że oni przekroczyli granice przyzwoitości.

— W jaki sposób?

Spojrzała na mnie. — Wszystko to zostało zaplanowane. Jej porwanie. Cały czas o tym wiedziała.

— A twój przyjazd nie jest zaplanowany?

Z rezygnacją wpatrzyła się w noc.

— Nie mogę ci mieć za złe, że tak sądzisz.

— Nie powiedziałaś mi jeszcze, gdzie jest Julie.

— W Atenach. Z Maurice'em.

— I ty przyjechałaś prosto stamtąd? Czemu o takiej dziwnej porze?

— Na wyspę dotarłam dopiero o zmierzchu.

Baczenie przyjrzałem się jej twarzy. Udawała obrażoną niewinność, jakże krzywdziłem ją swymi podejrzeniami! Wyraźnie grała rolę.

— Czemu nie czekałaś przy bramie?

— Wpadłam w panikę. Odźwierny nie wracał i nie wracał.

Znów błyskawice. W powietrzu pojawił się zapach nadchodzącego deszczu, ze wschodu dobiegał nieustanny turkot grzmotów.

— Skąd ta panika?

— Ależ Nicholas, ja uciekłam. Musieli się domyślić, dokąd.

— Dlaczego nie posłałaś ma policję? Albo do ambasady.

— Przecież to nie kryminalne przestępstwo. Doprowadzić kogoś do zakochania się, pod fałszywymi pozorami. A zresztą ona jest moją siostrą. — I dorzuciła: — Nie chodzi mi o to, co robi Maurice. Chodzi mi o Julie.

Między zdaniem trąbiła krótkie przerwy, jakby musiała każde z nich przełknąć, nim uda jej się wypowiedzieć następne. Nie spuszczałem z niej oczu. W ciemności do złudzenia przypominała siostrę.

— Przyjechałam tylko w jednym celu. Żeby cię ostrzec — powiedziała.

— I pocieszyć?

Od wypowiedzi wybawił ją ruch na drodze. Wyjrzelśmy spoza cyprysów. Trzech mężczyzn szło z wolna w stronę mostku, rozmawiając po grecku. Często wieczorem i nauczyciele, i wieśniacy przychodzili tu ma spacer szukając powiewów wiatru. June spojrzała na mnie z rzekomym przerażeniem. Nie było ono przekonywujące.

— Przyjechałaś południowym statkiem?

Uniknęła pułapki. — Nie, łądem. Przez Kranidión.

Od czasu do czasu obawiający się morza rodzice jechali przez Kranidión, skąd brali taksówkę na brzeg i przeprawiali się na wyspę łodzią. Była to całodzienna wyprawa, dość skomplikowana dla kogoś, kto nie znał greckiego.

— Czemu?

— Bo tu we wsi Maurice ma wszędzie szpiegów.

— W to chętnie wierzę.

Spojrzałem w stronę drogi. Trzech mężczyzn minęło już naszą aleję, szli odwrócenymi do nas plecami; widać było szare pasmo drogi, czarne zarośla, ciemne morze. Ci trzej najwyraźniej nikogo nie udawali.

— Słuchaj. Mam już tego po uszy. Maskarada to maskarada. Ale nie należy igrać z uczuciami ludzi — powiedziałem.

— Skąd wiesz, czy i ja tak nie uważam?

— Przepraszam cię. Ale zbyt wiele razy zostałem wyprowadzony w pole, żebym ci mógł zaufać.

June szepnęła: — Ty jej naprawdę uwierzyłeś, tak?

— Była znacznie bardziej przekonująca niż ty. Ta rozmowa już także miała miejsce. Więc przestań. Gdzie ona teraz jest?

— Teraz? Pewnie w łóżku ze swoim prawdziwym kochankiem.

Powstrzymałem oddech. — Maurice'em?

— Z mężczyzną, którego znasz jako Joego.

Roześmiałem się, tego było już za wiele. Ona powiedziała: — W porządku. Nie musisz mi wierzyć.

— A ty musisz wymyślić coś bardziej prawdopodobnego. Inaczej wracam do szkoły. — Nie odpowiedziała. — To dlatego Joe przyglądał się tak spokojnie naszym miłosnym igraszkom?

— Jeśli co noc jesteś z kimś w łóżku i wiesz, że ten drugi mężczyzna jest oszukiwany, to...

June zbyt szybko przy tym upierała; temu samemu klientowi nie sprzedaje się dwa razy z rzędu kota w worku.

— To już obłąd. Mam dosyć.

Odwrociłem się, ale uchwyciła mnie za ramię.

— Nicholas, proszę cię... niezależnie od wszystkiego nie wiem, gdzie spędzić noc. Nie mogę pójść do domu Hermesa.

— Spróbuj pójść do hotelu.



Przełknęła odmowę i spróbowała jeszcze raz: — Oni na pewno się tu jutro zjawią i chciałabym, żebyś był obecny, kiedy zaczną padać oskarżenia pod moim adresem. Żebyś mnie poparł. Tylko o to mi chodzi. Daję ci słowo.

Teraz ton jej zabrzmiał bardziej przekonywająco, uśmiechnęła się, w uśmiechu tym zawarta była skrucha i prośba o pomoc. Odezwałem się łagodniej:

— Nie powinniście były opowiadać mi historii *Trzech serc*.

— Czyż jest aż tak nieprawdopodobna?

— Świetnie wiesz, że nieprawdopodobieństwo polega na naginaniu rzeczywistości tak, żeby pasowała do fikcji.

— Nie wiem, czemu uważasz, że nasze spotkanie byłoby czymś aż tak nieprawdopodobnym... — unikając mojego wzroku potrząsnęła głową.

— Mamy razem spędzić noc? Tak?

— Myślałam tylko, że kiedy dowiesz się prawdy o Julie, to może... — i znów pokręciła głową.

— Na co zatem mamy czekać?

— Bo... Wiem, że jeszcze mi nie wierzysz...

— Wiedziałem, że znajdziesz jakieś ale...

Mówiłem coraz bardziej sarkastycznym tonem. June zajrzała mi w oczy. Patrzyła na mnie zdziwionym wzrokiem dziecka.

— Podejmuję wyzwanie. Zgoda. Jeżeli tylko to może cię przekonać.

— Im więcej się o was dowiaduję, tym trudniej mi wam wierzyć.

— Dlatego że obu nam się podobasz? I że mi ciebie żal? Zresztą, jeśli chcesz wiedzieć, to żal mi także samej siebie.

Spojrzałem na nią, czułem pokusę, żeby wystawić ją na próbę. Ale wiedziałem, że to ja zostałem poddany następnemu testowi.

— Julie mówiła ci, że napisałem do waszej matki?

— Tak.

— Przed paroma dniami otrzymałem odpowiedź. Zastanawiam się teraz, co ona sobie pomyśli, gdy napiszę do niej, czym zabawiają się jej córki.

— Nic nie pomyśli. Bo nie istnieje.

— Ach tak, trzymacie w Cerne Abbas jakąś podstawioną osobę, która przesyła wam listy i występuje jako wasza matka.

— Nigdy w życiu nie byłam w Dorset. I nie nazywam się Holmes. Ani nie mam na imię June.

— Rozumiem. Wracamy do punktu wyjścia. Rose i Lily.

— Tak. Tyle że wszyscy nazywają mnie Rosie.

— Bzdury.

Przyjrzała mi się uważnie i znów spuściła oczy. — Może nie dosłownie, ale list naszej matki brzmiał mniej więcej tak: Szanowny Panie. Pański list przekazałam panu Vulliamy, kierownikowi naszej podstawowej szkoły. A potem, że już się wszystkim przejadło korespondować z kolegami z Francji i Ameryki. I że jej córki zbyt rzadko piszą. Tak?

Znów, jak już tylokrotnie przedtem, twardy grunt pod nogami zamienił się w grzęzawisko.

A ona powiedziała: — Bardzo mi przykro. Ale przecież wiesz, że łatwo można sobie sprawić stempel. List został napisany tutaj, wystarczyło nakleić angielski znaczek i... — zrobiła gest stemplowania. — Teraz mi wierzysz?

Staralem się skoncentrować: jeśli otwierali wszystkie listy, które wysyłałem to...

— Czy przejmujecie także nadchodzącą do mnie korespondencję?

— Bardzo mi przykro, ale tak.

— Wiecie zatem...

— O czym?

— O mojej australijskiej przyjaciółce.

Wzruszyła ramionami, jasne, że wiedzą. Ale intuicja podszeptała mi, że chyba nie, i zastawiłem szybko pułapkę.

— Co o niej wiesz?

— Że mieliście romans.

— I? — Pokręciła głową. — Skoro czytaliście moje listy, to musisz wiedzieć wszystko.

— Wiem.

— Także i o tym, że spotkaliśmy się w Atenach?

Schwytalem ją w pułapkę. Nie wiedziała, na czym polega bluff. Zawahała się, uśmiechnęła i nic nie odpowiedziała. List jej matki zostawiłem na biurku — każdy, na przykład Demetriades, mógł wejść i go przeczytać. Ale list Ann Taylor schowałem do zamkniętej na klucz walizki.

— Uwierz mi, Nicholas: wiemy wszystko.

— Udowodnij to. Spotkałem się z nią w Atenach czy nie?

— Nie udawaj. Wiesz równie dobrze jak ja, że nie.

Wymierzyłem jej policzek. Lekki, nie mógł jej zboleć, ale był to szok. Powoli podniosła rękę do twarzy.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Jeśli zaraz nie powiesz mi prawdy, uderzę cię jeszcze mocniej. Czy otwieraliście wszystkie moje listy?

Zawahała się, nie odrywając ręki od policzka.

— Tylko wówczas kiedy wyglądało na to, że list nas dotyczy.

— Błąd. Mści się brak dokładności. — Nie odpowiedziała. — Gdybyście otwierali wszystkie listy, wiedzielibyście, że spotkałem się z tą nieszczęsną dziewczyną.

— Nie rozumiem, co to ma...

— Powiedziałem jej, że nie ma dla niej miejsca w moim życiu. Z powodu twojej siostry. — June robiła teraz wrażenie przestraszonej, nie wiedziała, do czego zmierzam. — W parę tygodni później Alison doszła do wniosku, że w ogóle nie ma dla niej miejsca w życiu. Popelniła samobójstwo. — Chwilę milczałem. — Teraz widzisz, do czego doprowadziły wasze gry i zabawy.

Wpatrzyła się we mnie i przez chwilę wydawało się, że mi wierzy, zaraz jednak się odwróciła.

— Nie udawaj Maurice'a.

Chwyciłem ją za ramiona i potrząsnąłem. — Ty idiotko, ja niczego nie udaję! Ona się zabiła!

June zaczynała wierzyć, ale się jeszcze broniła. — Ale dlaczego... dlaczego nam nic nie powiedziałaś?

Puściłem ją. — Bo nie chciałem o tym myśleć. I czułem się winny.

— Przecież nikt nie zabija się tylko dlatego, że...

— Niektórzy ludzie traktują życie poważniej, niż wy potraficie sobie wyobrazić. Nastąpiło milczenie. I June spytała nieśmiało i naiwnie.

— Ona cię kochała?

Zawahałem się. — Próbowałem postąpić uczciwie. Może w rezultacie zbyt uczciwie.

— Gdybyście nie wyjechały na weekend, wyjaśniłbym jej sytuację listownie. Więc kiedy się spotkaliśmy, uznałem za swój obowiązek powiedzieć jej... — wzruszyłem ramionami.

— Powiedziałaś jej o Julie?

W jej głosie zabrzmiał autentyczny popłoch.

— Nie macie się czego obawiać. Prochy nic nikomu nie powtórzą.

— Nie chodzi mi o to... — Znów spuściła wzrok — Bardzo się tym przejęła?

— Pozornie nie. Gdybym mógł przypuścić... Próbowałem zachować się uczciwie. Nie chciałem, żeby na mnie czekała.

Znów milczenie, a potem June powiedziała cicho: — Jeśli to prawda, to nie rozumiem, jak mogłeś... pozwolić nam brnąć dalej...

— Bo byłem nieprzytomnie zakochany w twojej siostrze.

— Przecież Maurice ostrzegał cię...

— Czyż on kiedykolwiek mówił prawdę?

Znów milczała zastanawiając się. Jej zachowanie uległo zmianie, przestała udawać, że przeszła na moją stronę. Spojrzała mi w oczy.

— Nicholas, to bardzo ważne. Mówisz prawdę?

— Mogę ci tego dowieść. Chcesz?

— Proszę cię — powiedziała przeproszającym tonem.

— W porządku. Za dwie minuty czekam na ciebie przy bramie. Przyjdziesz, dobrze, nie przyjdiesz, jeszcze lepiej. Jeśli chodzi o mnie, to możecie wszyscy iść do diabła.

Odwrociłem się i odszedłem, zanim zdążyła odpowiedzieć. Umyślnie nie oglądałem się czy za mną idzie. Ale kiedy otwierałem furtkę, zobaczyłem ją o jakieś sto jardów ode mnie w świetle błyskawicy.

Kiedy w dwie minuty później wróciłem z listem Ann Taylor i wycinkami z prasy, zobaczyłem, że jeszcze stoi z drugiej strony drogi, naprzeciw bramy. W oświetlonych drzwiach pojawił się Barba Vassili, ale udałem, że go nie widzę. June podeszła do mnie i wzięła kopertę, którą milcząco wcisnąłem jej do ręki. Nie umiała ukryć zdenerwowania, wydając z koperty list upuściła go i musiała się po niego schylić. Potem odwróciła się, by padające z portierni światło umożliwiło jej czytanie. Najpierw przeczytała list Ann Taylor, przez chwilę patrzyła w ciemność, potem rzuciła okiem na wycinki. Nagle zamknęła oczy i schyliła głowę, jakby się modliła. Bardzo powoli włożyła wszystko z powrotem do koperty i podała mi ją. Wciąż miała schyloną głowę.

— Strasznie mi przykro. Sama nie wiem, co powiedzieć.

— Nareszcie.

— Przysięgam, że nie wiedzieliśmy.

— Teraz wiecie.

— Powinieneś był nam powiedzieć.

— Żeby Maurice poinformował mnie, że to właśnie jest komedia życia.

To ją zabiło. — Gdybyś wiedział... Nie, Nicholas, to nie było fair.

— Gdybym wiedział co?

Spojrzała na mnie poważnym wzrokiem i spuściła oczy. — Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. To musiało być...

— Niewłaściwy czas.

— Tak, ja... strasznie mi przykro.

— Nie ty tu jesteś winna.

Potrząsnęła przecząc głową. — Owszem. W pewien sposób ja.

Ale nie wyjaśniła, dlaczego. Przez chwilę staliśmy jak dwoje obcych sobie ludzi nad czymś grobem. Znów się błysnęło i to jakby pomogło jej w podjęciu decyzji. Na jej twarzy pojawił się cień współczującego uśmiechu i dotknęła mego rękawa.

— Poczekaj chwilę.

Odwróciła się, weszła furtką i podeszła do Barby Vassiliego, który leniwie nam się przyglądał stojąc w drzwiach.

— Barba Vassili... — usłyszałem, że mówi coś po grecku, bardzo szybko, dużo płynniej ode mnie. Zresztą po pierwszych paru słowach mówiła zbyt cicho, żebym mógł zrozumieć. Zobaczyłem, że stary kiwa głową raz, potem drugi, tak jakby słuchał instrukcji. Potem June wróciła do bramy, zatrzymała się o jakieś sześć stóp ode mnie i spojrzała na mnie skruszonym wzrokiem.

— Chodź.

— Dokąd?

— Do domu. Czeka na ciebie Julie.

— To co u diabła znaczyło to wszystko...

— Nieważne. — Spojrzała na chmury. — Mecz został przerwany.

— Jakoś szybko nauczyłaś się po grecku.

— Spędzam tu trzecie lato.

Uśmiechnęła się łagodnie, żeby rozbroić mój gniew, potem podeszła do mnie i wzięła mnie za rękę tak, żebym musiał spojrzeć jej w oczy.

— Proszę cię, zapomnij o wszystkim, co ci dziś naopowiadałam. Nazywam się June Holmes. A ona ma na imię Julie. I mamy zwariowaną na naszym punkcie matkę,

choć nie mieszka ona w Cerne Abbas. — Nie poddawałem się. A ona mówiła dalej: — Matka pisze takie właśnie listy. Ale ten wymyśliłyśmy my.

— A co z Joem?

— Julie... bardzo go lubi. — Oczy jej nabrały oschłości. — Ale mogę cię zapewnić, że z nim nie sypia. — Zaczęła się niecierpliwić, nie wiedziała, jak mnie ułagodzić i przekonać. Podniosła błagalnie rękę. — Nicholas. Błagam cię, zaufaj mi. Na tych parę minut, aż znajdziemy się w domu. Przysięgam ci na Boga, że nic nie wiedzieliśmy o twojej przyjaciółce. Gdybyśmy wiedziały, natychmiast przestałybyśmy cię dręczyć. Musisz w to uwierzyć. — Mówiła z przekonaniem, wydawała się inną osobą. — Jeśli po minucie spędzonej z Julie nie będziesz zupełnie pewny, że nie masz powodów do zazdrości, możesz mnie utopić w najbliższej cysternie.

Nadal nie ruszałem się z miejsca.

— Coś mu naopowiadała?

— Mamy kod, którym posługujemy się w nagłych wypadkach. Przerwać doświadczenie.

— Doświadczenie?

— Czy starszy pan jest na wyspie?

— Tak, w Bourani. Zostanie zawiadomiony drogą radiową.

Z tyłu Barba Vassili zamykał furtkę. Zobaczyłem, że idzie ścieżką w stronę skrzydła zamieszkanego przez nauczycieli. June wzięła mnie za rękę i pociągnęła za sobą.

— Ruszamy.

Wciąż wahałem się, ale zwyciężyła jej determinacja. Prowadziła mnie jak więźnia.

— Co za doświadczenie?

Uścisnęła mi dłoń, ale parę kroków przeszła w milczeniu.

— Maurice będzie wściekły.

— Dlaczego?

— Bo dużą część życia poświęcił staraniom, żeby nikt nie robił tego, co właśnie zrobiła twoja przyjaciółka.

— Kim on naprawdę jest?

Zawahała się, ale zdecydowała na szczerść: — W których momencie powiedział ci prawdę. — Jeszcze raz uścisnęła mi zachęcająco dłoń i wypuściła ją ze swojej. — We Francji nazwano by go profesorem psychiatrii na emeryturze. Jeszcze

dwa lata temu był jednym z filarów medycyny na Sorbonie. — Spojrzała na mnie spod oka. — A ja nie byłam w Cambridge, studiowałam na uniwersytecie londyńskim. Potem pojechałam do Paryża robić doktorat u Maurice'a. Tak samo jak Joe, który przyjechał ze Stanów. I jak kilka innych osób, ale ich jeszcze nie znasz... To mi przypomina... zostałeś wielokrotnie wyprowadzony w pole, musisz jednak wybaczyć Joemu to, co zaszło tamtego wieczoru. To bardzo inteligentny... bardzo dobry chłopak. — Spojrzałam na nią: na jej twarzy widniał nieśmiały uśmiezek, skinieniem głowy potwierdziła moje przypuszczenie. — Tak, to nie Julie darzy Joego swymi względami.

— Już się w tym wszystkim pogubiłem.

— Nie martw się. Niedługo wszystko zrozumiesz. Jeszcze jedno. Julie nie skłamała mówiąc, że jest tu po raz pierwszy. Mówiła prawdę. I w pewnym sensie jest twoją koleżanką w niedoli.

— Ale wie, o co chodzi?

— Tak... niemniej ona także musi szukać drogi w labiryncie. Wszyscy przeszliśmy przez to. Joe. Ja. Wszyscy. Wiemy, jak się wtedy człowiek czuje. Nic nie rozumie. Wścieka się, że jest wyrzucony poza nawias. I wszyscy wiemy obecnie, że warto było przez to przejść.

Błyskało się właściwie bez przerwy. Na wschodzie pokazywały się i znikwały oddalone o paręnaście mil wyspy. W powietrzu unosił się ciężki zapach deszczu. Szliśmy szybko przez wieś. Od czasu do czasu słychać było trzask zamykanej okiennicy, ale nie spotkaliśmy nikogo.

— Na czym polega eksperyment?

Nieoczekiwanie zatrzymała się i zmusiła mnie, żebym się odwrócił i spojrzał jej w twarz.

— Nicholas, po pierwsze musisz wiedzieć, że jesteś naszym najbardziej interesującym przypadkiem. A po drugie, że wszystkie twoje najtajniejsze doznania, przypuszczenia, reakcje... to wszystko, czego nie wyznałeś nawet Julie, jest dla nas niezwykle ważne. Chcemy ci zadać setki pytań. Gdybyśmy ci przedtem wyjaśnili, o co chodzi, odpowiedzi nie byłyby już spontaniczne. Więc proszę cię uzbrój jeszcze w cierpliwość. Na krótko. . .

— Moja cierpliwość już się wyczerpała.

— Wiem. Rozumiem. Ale bylibyśmy ci ogromnie wdzięczni.

Nie wyraziłem zgody, ale przestałem protestować. Ruszyliśmy. Musiała wyczuć mój opór. Po paru krokach postanowiła rzucić mi ochłap.

— Ułatwię ci. Maurice całe życie poświęcił studiom nad symptomami urojeń ludzi psychicznie chorych. — Włożyła ręce do kieszeni. — Psychiatria coraz bardziej zaczyna się interesować odwrotną stroną medalu. Dlaczego ludzie zdrowi są zdrowi, dlaczego nigdy nie myślą swych urojeń, przywidzeń, fantazji z rzeczywistością. Trudno, żeby eksperyment miał sens, jeśli powiedziałoby się z góry zdrowemu królikowi doświadczalnemu, że wszystko, co usłyszy, będzie próbą zwodzenia go. — Nie odpowiedziałem, a ona ciągnęła dalej. — Pewnie uważasz, że jeśli chodzi o etykę lekarską, to kroczymy po linii nad przepaścią. Mamy jedno usprawiedliwienie, nasze zdrowe ofiary, takie jak ty, pomogą kiedyś w uzdrowieniu bardzo chorych i nieszczęśliwych ludzi. I to znacznie bardziej, niż możesz sobie wyobrazić.

Parę kroków przeszliśmy w milczeniu.

— Co było zaplanowane na dziś wieczór?

— Przekonanie cię, że tylko ja jestem twoim prawdziwym przyjacielem. — I szybko dodała: — To zresztą nie jest kłamstwem. W tym, co dotyczy moich uczuć.

— Nie dałbym się na to nabrać.

— Nie oczekiwaliśmy tego. — Znów uśmiechnęła się. — Wyobraź sobie, że grasz w szachy nie po to, by wygrać, ale po to, żeby obserwować grę przeciwnika.

— A te bzdury o Lily i Rose?

— Te imiona to coś w rodzaju żartu. Wśród kart do taroka jest karta maga. Czarodzieja, magika. Ma on dwa emblematy. Różę i lilię.

Minęliśmy hotel i weszliśmy na mały placzyk za głównym portem. Fasady domów w świetle błyskawicy wyglądały jak teatralna dekoracja... a to, co mówiła, przypominało także błyskawicę, sekunda jasności i znów ciemność powątpiewania.

— Dlaczego Julie jest tu po raz pierwszy?

— Bo te jej uczuciowe komplikacje... pewnie ci opowiadała.

— Była w Cambridge?

— Tak. Ta jej historia z Andrew to była prawdziwa klęska. Wiedziała, że się z tego nie wygrzebała. I sądziłam, że pobyt tutaj postawi ją na nogi. A Maurice'a pociągały możliwości, jakie przedstawiały bliźniacze siostry.

— Zostało przewidziane, że się w niej zakocham?

Zawahała się. — W naszych doświadczeniach nie ma takich „przewidywań”. Można narzucić człowiekowi wiele uczuć, ale nie pociąg fizyczny. Czy odrazę.



Spojrzała na kamyki. — Widzisz, Nicholas, wszystko polega na improwizacji, nie na robieniu planów. Można by powiedzieć, że szczur ma tyleż możliwości, co człowiek prowadzący doświadczenie. I sam może dyktować, któredy prowadzą ścieżki labiryntu. Tobie to się także zdarzyło, choć może sobie tego w pełni nie uświadomiłeś.

Po paru krokach znów się odezwała, tym razem lżejszym tonem. — Zdradzę ci jeszcze jeden sekret. Julie nie bardzo miała ochotę na to, co zdarzyło się w niedzielę. Na to porwanie. Wcale nie byliśmy pewni, czy w ostatniej chwili jednak się nie wyłamie.

Przypomniałem sobie, że Julie nie chciała pokazać mi kryjówki przed naszym piknikiem, a i potem niemal ją do tego zmusiłem.

— Czy mogę liczyć na siostrzane poparcie w prawdziwym życiu?

— Szkoda, że nie widziałeś tego faceta, który pojawił się jako odpowiedź na modlitwę dziewicy. — Szybko się wycofała. — Jestem złośliwa. Andrew był bardzo inteligentny. I wrażliwy. Ale był biseksualny. Tacy ludzie mają straszliwe problemy. Julie potrzeba kogoś... — Uśmiechnęła się. — Znalazła tego kogoś, a przynajmniej takie jest moje zdanie, bezstronna opinia psychiatry.

Wspinaliśmy się stromą alejką na skwerek, na którym odbyła się egzekucja.

— Czy wszystko, co starszy pan opowiedział mi o swojej przeszłości było wymysłem?

— Wolelibyśmy najpierw dowiedzieć się, do jakich wniosków sam doszedłeś.

— Ale czy ty znasz prawdę?

Zawahała się: — Sądzę, że znam większą część prawdy. Wiem tyle, ile powiedział nam Maurice.

Wskazałem na ścianę, w którą wmurowano pamiątkową tablicę. — A to?

— Spytaj kogokolwiek we wsi. — Wiem, że tam był. Ale czy wszystko odbyło się tak, jak on twierdzi?

Chwilę milczała. — Dlaczego przypuszczasz, że mogło wyglądać inaczej?

— Bardzo piękna jest ta wizja kwintesencji wolności. Ale cena osiemdziesięciu istnień ludzkich wydaje się dosyć wysoka. I nie pasuje do tej jego — jak utrzymujesz — nienawiści do samobójstwa.

— Może zatem popełnił po prostu straszny błąd w rozumowaniu.

Na chwilę zatkało mnie. — Tak to właśnie odebrałem.

— Powiedziałaś mu?

— Nie dosłownie.

Zobaczyłem, że się uśmiecha. — Na tym prawdopodobnie polegał twój błąd w rozumowaniu. — I zanim zdążyłem odpowiedzieć, dodała: — Kiedy ja znajdowałam się w takiej samej pozycji jak ty teraz, Maurice przez cały wieczór niszczył moje zaufanie do własnej inteligencji, moją dumę z własnej pracy, a wszystko to w okolicznościach, które sprawiły, że musiałam mu uwierzyć... na koniec załamalam się. I zaczęłam powtarzać w kółko: „To nieprawda, to nieprawda, nie jestem taka”. Kiedy podniosłam oczy, zobaczyłam, że się uśmiecha. I powiedział: „No, nareszcie”.

— Wolałbym, żeby nie wyglądało na to, iż podobne okazje dostarczają mu mnóstwo sadystycznej radości.

— Ależ właśnie dlatego wzbudza wiarę. Czy, jakby on sam powiedział, to właśnie jest powodem, że człowiek się nie broni. — Spojrzała na mnie oschle. — Pozornie sadystyczną konspirację przeciwko jednostce nazywamy ewolucją, Albo życiem. Albo historią.

— Tak, zrozumiałem, że na tym polega metateatr.

— Słynny był jego odczyt o sztuce jako zinstytucjonalizowanym złudzeniu. — Skrzywiła się. — Potwornie się baliśmy, że ktoś taki jak ty mógł się gdzieś z nim zapoznać. I nigdy nie mogliśmy ryzykować współpracy z jakimś Francuzem.

— On jest Francuzem?

— Nie, Grekiem. Ale urodził się w Aleksandrii. A wychował we Francji. Jego ojciec był bardzo bogaty. I był kosmopolitą, a przynajmniej tak mi się wydaje. Maurice zbuntował się przeciwko narzuconemu mu trybowi życia. Twierdzi, że po raz pierwszy zjawił się w Anglii uciekając przed rodzicami. I rozpoczął studia medyczne.

— Widzę, że go podziwiasz.

Skinęła głową i po chwili dodała: — Uważam go za najwspanialszego nauczyciela na świecie. Nie, źle się wyraziłam. Wiem, że jest najwspanialszym nauczycielem.

— Jak tu było w zeszłym roku?

— Boże! Ten potwór. Musieliśmy poszukać kogoś innego. Nie, nie w szkole. W Atenach.

— A Leverrier?

Uśmiechnęła się, niewątpliwie było to miłe wspomnienie. — John? — Dotknęła mego ramienia. — To zupełnie inna historia. Poznasz ją pewnie jutro. Teraz twoja kolej... Powiedz mi coś więcej... no, wiesz o czym.

Więc opowiedziałem jej o Alison. Nie, w Atenach rzecz prosta w niczym nie wprowadziłem jej w błąd. Tylko że zupełnie nie zdałem sobie sprawy, co ona naprawdę czuje.

– Nigdy przedtem nie próbowała popełnić samobójstwa?

– Nie. Zawsze robiła wrażenie kogoś, kto potrafi sobie ze wszystkim poradzić.

– Nie miała depresji?

– Nie.

– U kobiet to się zdarza. Czasem zupełnie nieoczekiwanie. Tragedia polega na tym, że zwykle wcale tego naprawdę nie chcą.

– Ona chciała.

– Zatem musiało ją to od dawna nurtować. Choć zwykle daje się to zauważyć. I zwykle istnieją poważniejsze powody niż koniec romansu.

– Staralem się to sobie wytłumaczyć.

– Masz przynajmniej pociechę, że jej nie okłamywałeś. – Uścisnęła mi rękę. – Musisz się przestać obwiniać.

Doszliśmy do domu, był już najwyższy czas, bo zaczęło padać. Pojedyncze ciężkie krople. Burza zbliżała się do wyspy. June otworzyła bramę i poszedłem za nią ścieżką. Wyjęła klucz i otworzyła frontowe drzwi. W hallu paliło się światło, choć od wyładowań elektrycznych w atmosferze co chwila migotały żarówki. June odwróciła się i szybko, niemal nieśmiało, pocałowała mnie w policzek.

– Poczekaj tutaj. Ona pewnie śpi. Zaraz wrócę.

Patrzyłem, jak wbiega po schodach. Usłyszałem pukanie, cichym głosem zawołała: Julie! Drzwi otworzyły się i zamknęły. Potem cisza. Za oknem błyskawica i grzmot, deszcz zaciął o szyby, wpadł skądś chłodny powiew wiatru. Minęły dwie minuty. Na górze otworzyły się niewidoczne drzwi.

Na schodach pojawiła się Julie, boso, w czarnym kimonie na białej nocnej koszuli. Zatrzymała się na chwilę, zakłopotana, potem zbiegła.

– Och, Nicholas!

Padła mi w ramiona. Nie pocałowaliśmy się. U szczytu schodów stała June uśmiechając się pobłaźliwie. Julie odsunęła się szukając mego wzroku.

– Dlaczego mnie nie uprzedziłaś?

– Nie wiem.

Przytuliła się do mnie tak, jakby to jej potrzeba było pociechy. Poklepałem ją po plecach. June przesłała nam ze schodów pocałunek, było to błogosławieństwo, i znikła. — June ci powiedziała?

— Tak.

— Wszystko?

— W każdym razie sporo.

Przyłgnęła do mnie całym ciałem. — Tak się cieszę, że już po wszystkim.

— Nie wybaczyłem ci jeszcze tamtej niedzieli.

Spojrzała na mnie; jej twarz przybrała wyraz powagi, choć ja wypowiedziałem swe oskarżenie dość lekkim tonem. W jej oczach widziałem prośbę.

— Nie chciałam tego, Nicholas. Bliska byłam wycofania się. Daję ci słowo. To było straszne, ta świadomość, co się za chwilę stanie.

— Udało ci się to wspaniale ukryć.

— Tylko dlatego, że wiedziałam, że wkrótce będzie już po wszystkim.

— Słyszałem, że ty także przeżywasz to po raz pierwszy.

— I ostatni. Nie potrafiłabym zrobić tego po raz wtóry... Szczególnie teraz... — znów spojrzała na mnie błagalnie, oczekując zrozumienia i wybaczenia. — June zawsze zachowywała się strasznie tajemniczo. Musiałam zobaczyć, co jest grane.

— No dobrze.

Znów się do mnie przysunęła.

— Nie wszystko było kłamstwem.

— Ciekaw jestem, co nie.

Uszczypnęła mnie w rękę. I szepnęła. — Tak czy owak, nie możesz w taki deszcz wrócić do szkoły. — I dorzuciła: — A ja bałabym się zostać sama wśród burzy i piorunów.

— Ja też.

To, co mieliśmy jeszcze do powiedzenia, wyraziliśmy już nie słowami, potem wzięła mnie za rękę i zaprowadziła na górę. Znaleźliśmy się pod drzwiami pokoju, który przeszukałem przed trzema dniami. Znów zawahała się i spojrzała na mnie nieśmiało.

— Pamiętasz, co ci powiedziałam w niedzielę?

— Sprawiaś, że już dawno zapomniałem o wszystkich dziewczynach, z którymi... .

Spuściła oczy. — W tym momencie moje czary przestają działać.

— Zawsze wołałem myśleć o nas jako o Mirandzie i Ferdynandzie.

Uśmiechnęła się, jakbym jej przypomniał coś, o czym zapomniała; spojrzała na mnie uważnie, chciała coś jeszcze powiedzieć, zmieniła zdanie. Otworzyła drzwi i weszliśmy do pokoju. Koło łóżka stała zapalona lampka, okiennice były zamknięte. Z rozesłanego łóżka narzuta spadła na ziemię, poduszka była zmięta, obok lampki leżał otwarty tom wierszy, widziałem nierówne linijki. Za popielniczkę służyła muszla. Staliśmy chwilę zakłopotani, jak ludzie, którzy już od nazbyt dawna, czekali na taką chwilę. Julie miała rozpuszczone włosy, koszula sięgała jej aż po kostki. Rozejrzała się po pokoju, jakby chciała go zobaczyć moimi oczyma, jakby nie była pewna, czy nie wzgardzę jego prostotą, skrzywiła się. Uśmiechnąłem się, ale jej nieśmiałość była zaraźliwa, no, i ta nagła zmiana, to, co nazwała „końcem czarów”, czyli skończyły się ucieczki, skończyło się zwodzenie mnie. Przez parę sekund cała ta przeszłość wydawała mi się czymś paradoksalnie niewinnym; Adam i Ewa sprzed pierwotnego grzechu.

Na szczęście przyszedł nam z pomocy świat zewnętrzny. Oślepiająca błyskawica. Lampa zamigotała i zgasła. Ogarnęła nas czarna jak smoła ciemność. Niemal natychmiastowy huk pioruna. Zanim jeszcze umilkł, Julie znalazła się w moich ramionach i zaczęliśmy się łapczywie całować. Znow błyskawica i piorun uderzył. Julie przylgnęła do mnie jak dziecko. Ucałowałem jej włosy i poklepałem po plecach szepcząc: — Rozbiorę cię, położę do łóżka i będę mocno trzymał, dobrze?

— Jestem taka zdenerwowana. Usiądę ci na chwilę na kolanach.

Zaprowadziła mnie po ciemku do krzesła stojącego obok łóżka. Usiadła mi na kolanach i znow zaczęliśmy się całować. Oparła się o mnie wygodnie, wzięła mnie za rękę i nasze palce się splotły.

— Opowiedz mi o swojej przyjaciółce. Co się naprawdę stało?

Opowiedziałem jej to samo co przed paroma minutami jej siostrze. — Zdecydowałem się zupełnie nagle. Byłem wściekły na Maurice'a. Na ciebie. Nie mogłem znieść myśli o samotnym weekendzie na wyspie.

— Powiedziałeś jej o mnie?

— Powiedziałem tylko, że kogoś poznałem.

— Przejęła się?

— Gdyby to okazała! Gdyby się tak świetnie nie maskowała!

Uścisnęła moją dłoń. — I ani przez chwilę jej nie pragnąłeś?

— Było mi jej żal. Ale ona nawet się specjalnie nie zdziwiła.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Uśmiechnąłem się w ciemnościach, więc aż tak nie potrafi ukryć, iż jej czysto kobieca ciekawość walczy ze współczuciem.

– Cały czas myślałem, o ile bardziej wolałbym być z tobą.

– Biedaczka. Mogę sobie wyobrazić, co czuła.

– Była zupełnie inna niż ty. Niczego nie traktowała serio. A już najmniej mężczyzn.

– Ale ciebie, na końcu, potraktowała poważnie.

To zdanie nie zaskoczyło mnie. – Widzisz, Julie, wydaje mi się, że stałem się dla niej pewnego rodzaju symbolem. Symbolem wszystkich jej niepowodzeń. To było przysłowiowe ostatnie żdźbło.

– Coście robili w Atenach?

– Trochę zwiedzania. Obiad. Kolacja. Rozmowy. I za dużo wypiliśmy. Ale wszystko odbywało się w bardzo cywilizowany sposób. A przynajmniej tak mi się wtedy wydawało.

Wbiła mi w rękę paznokcie. – Założę się, że się, z nią przespałeś.

– Byłabyś o to zła?

Pokręciła głową. – Nie. Zasłużyłam na to. I zrozumiałabym. – Wzięła mnie za rękę i ucałowała ją. – Chciałabym, żebyś wyznał mi prawdę.

– Dlaczego jesteś taka ciekawa?

– Bo tylu rzeczy o tobie nie wiem.

Zaczerpnąłem głęboki oddech.

– Może powinienem był się z nią przespać. Może by jeszcze żyła.

Nastąpiło krótkie milczenie, potem Julie pocałowała mnie w policzek. – Staram się tylko wy badać, czy spędzam noc z gruboskórnym łajdakiem, czy ze zranionym aniołem.

– Możesz się tego dowiedzieć tylko w jeden jedyny sposób.

– Tak sądzisz?

Jeszcze jeden leciutki pocałunek, potem wyswobodziła się z moich ramion i odsunęła. W pokoju było ciemno, nic nie widziałem. Ale przez szpary w okiennicach przedostał się blask błyskawic.

I przez sekundę widziałem, jak stojąc obok *cassone* zdejmuje przez głowę koszulę. Potem usłyszałem, jak po omacku do mnie wraca, potem grzmot, jej przerażone westchnienie. Wyciągnąłem rękę i przyciągnąłem ją znów do siebie.

Nasze usta spotkały się i wyruszyłem w podróż po jej ciele: piersi, gładki brzuch, kępka włosów, uda. Chciałbym mieć tuzin rąk... żeby nareszcie mi się poddała, uległa, była moja. Odsunęła się, wstała, usiadła mi okrakiem na kolanach i zaczęła rozpinąć moją koszulę. Znow błyskawica pozwoliła mi zobaczyć wyraz jej twarzy, pełna napięcia powaga jak u dziewczynki, która rozbiera lalkę. Zdjęła ze mnie kurtkę i koszulę. Potem splotła ręce na moim karku, tak jak wtedy w morzu, i odchyliła się w tył.

— Jesteś najpiękniejsza.

— Przecież mnie nie widzisz.

— Ale czuję.

Nachyliłem się, ucałowałem jej piersi, potem znow przytuliłem ją do siebie i poszukałem ust. Pachniała dziwnymi perfumami, piżmo, coś z pomarańczy, coś z pierwiosnka, pasowały i do jej niewinności, i do zmysłowości; poddawała się biernie pasji i równocześnie starała się być taka, jaką według niej chciałbym ją widzieć — rozgorączkowana, napięta, poważna. Jakby wyczerpana oderwała usta od moich ust. I szepnęła:

— Otwórzmy okiennice. Kocham zapach deszczu.

Wysunęła się z moich ramion i poszła otworzyć okno. Szybko zrzuciłem resztę ubrania i gdy odwracała się od okna, chwyciłem ją w ramiona, obróciłem w stronę okna i stanęliśmy zwrócenii twarzą do odległej o trzy stopy chłodnej i ciemnej ściany deszczu. We wsi nie było widać światła, musiała się popsuć prądnicą. Błyskawica przecięła niebo i na parę sekund niesamowite bladofioletowe światło skąpało domy, mury i dachy, a nawet morze. Ale dopiero po dłuższym czasie usłyszeliśmy grzmoty, centrum burzy odsunęło się...

Julie wsparła się o mnie, oddając swe ciało nocy i moim rękóm. Gładziłem jej brzuch, bawiłem się włosami łona. Zwróciła w moją stronę głowę, a potem podniosła prawą nogę i postawiła ją na stojącym pod oknem stołku, by ułatwić ręce pieszczotę. Moją drugą dłoń położyła sobie na piersiach i stała nieruchomo pozwalając mi się pieścić i zachowując się tak, jakby jej prawdziwym kochankiem był deszcz i noc, jakby oczekiwała, że teraz ja zrobię dla niej to, co ona dla mnie w morzu. Deszcz rozpryskiwał się na mojej ręce i skórze jej brzucha, ale ona zdawała się tego nie czuć.

— Chciałbym być z tobą na dworze — szepnąłem.

Pocałunkiem wyraziła zgodę, ale znow wzięła moje ręce i skierowała je tam, gdzie przedtem. A więc tego teraz chciała: być pieszczona, uwodziona... dalej waliły

pioruny, ale zdawały się dochodzić z innego świata, jedynym realnym światem było jej ciało... moje ciało. Wypukłości pośladków, ciepło, jedwabista skóra piersi, ich naprężone koniuszki, przyzwolenie na upragnioną pieszczotę. Było trochę tak, jak to sobie wyobrażałem na początku, w fazie Lily Montgomery: delikatna, nieuchwytna istota ulegająca nagle swym zwierzęcym instynktom, ale ciągle jeszcze niedorośła, zachowująca się z niewinną perwer-syjnością małej dziewczynki bawiącej się w tatę i mamą z małymi chłopcami.

Nagle chwyciła mnie za rękę i uwięziła je na swoim , brzuchu.

— Co się stało?

— Jesteś zepsuty.

— Tego przecież chciałaś.

Odwróciła się i ukryła twarz na moim ramieniu.

— Powiedz mi, co ci sprawiało największą przyjemność z nią?

Przypomniałem sobie starą maksymę Urfe: u dziewcząt takt w sprawach seksu jest odwrotnie proporcjonalny do poziomu wykształcenia. Ale w tym wypadku rysowała się perspektywa rozkosznego pouczenia jej.

— Dlaczego chcesz to wiedzieć?

— Bo chcę to właśnie zrobić.

Przytuliłem ją. — Zachwycasz mnie taka, jaka jesteś.

Szepnęła: — Jaki ty jesteś wielki.

Wsunęła między nas rękę. Odsunęliśmy się od siebie. Ciągle jeszcze było w niej coś dziewiczego, ale chętnego zepsuciu. Znów szepnęła:

— Masz to, co trzeba?

— W kieszeni marynarki.

— Nałożyć ci?

Przyniosłem prezerwatywę, a Julie przez ten czas podeszła do łóżka. Noc pojaśniała, widziałem sylwetkę Julie. Wzięła kondom, posadziła mnie na brzegu łóżka, uklękła na dywaniku, nachyliła się i wraz z pocałunkiem nałożyła gumową osłonę. Potem przysiadła na piętach z jękami skrzyżowanymi na łonie. Widziałem jej uśmiech. — Kłamczyni. Wcale nie jesteś nieśmiała.

— Spędziłam pięć lat w klasztornej sypialni. Niewiele rzeczy pozostawiono mojej wyobraźni.



Deszcz ustał, ale jego świeżość, zapach cysterny i kamiennej wody napełniały pokój. Widziałem strugi spływające po ściankach setek cystern, widziałem podniecenie piskorzy na dnie.

— To czemu udajesz, że chcesz uciec..

Uśmiech pogłębił się, ale nie odpowiedziała mi ani słowem. Wyciągnąłem rękę, pozwoliła się przyciągnąć, położyła się na mnie. Milczeliśmy, rozmawiały z sobą tylko nasze ciała. Udawała, że mnie posiada, wymykała się i pocieszała mnie pocałunkami. Potem przestała się ruszać, jakby chciała się we mnie wtopić, i poczułem, że na mnie czeka. Oderwałem się od niej, przewróciła się na plecy i leżała na szorstkim kilimie z głową na poduszce. Uklęknąłem i całowałem jej ciało, kończąc na stopach; znalazłszy się w nogach łóżka przez chwilę się jej przyglądałem. Leżała lekko przekręcona na jedną stronę, z jednym ramieniem wyprostowanym, głową przechyloną na bok. Ale kiedy znów się do niej zbliżyłem, położyła się na plecach. W sekundę później byłem już w niej. Nigdy jeszcze nie przeżyłem aż tak pierwszego momentu zespolenia, były to nie tylko zmysły, przeszłość przestała istnieć, chwila nabrzmiała przyszłością, poczucie całkowitego zespolenia. Wiedziałem, że zdobyłem nie tylko jej ciało. Pochyliłem się nad nią wsparty na rękach. Patrzyła w ciemność.

— Uwielbiam cię — powiedziałem.

— Chcę, żebyś mnie uwielbiał.

— Zawsze?

— Zawsze.

Znów powoli zanurzałem się w niej, ale nagle zdarzyło się coś dziwnego. Lampka koło łóżka zapaliła się. Widać we wsi naprawiono prądnicę. Zastygłem, przez chwilę czuliśmy się jak dwoje przerażonych obcych ludzi, było to tak komiczne, że musieliśmy się uśmiechnąć. Spojrzałem na nasze złączone ciała, potem na jej twarz. W jej wzroku malowało się zażenowanie, odwróciła głowę na bok. Jeśli ja tego chcę...

Znów zacząłem. Skrzyżowała ręce pod głową, bezbronna, podwójnie obnażona, zdana całkowicie na moją łaskę, rozkosznie niewolniczo uległa. Trzeszczały rytmicznie sprężyny łóżka. Wydawała się taka maleńka, krucha, wyzwalała we mnie brutalność, której potajemnie pragnęła. Zacisnęła pięści, tak jakbym jej naprawdę sprawiał ból. Rozkosz, może przedwczesna, bałem się, że dla niej przedwczesna, ale w momencie kiedy zamarłem, ona podniosła ręce i biodra, wychodząc mi naprzeciw. I przyciągnęła mnie do siebie szukając moich ust.

Przez chwilę leżeliśmy złączeni w głębokiej ciszy domu, potem rozdzieliliśmy się i położyłem się obok niej. Sięgnęła do wyłącznika i znów otoczyła nas ciemność. Przewróciła się na brzuch, odwracając twarz. Gładziłem ją po plecach, pieściłem okrągłości pośladków. I wbrew utartym pojęciom wpadłem w euforię. Nie oczekiwałem, że będzie to aż tak cudownym, wspólnym przeżyciem, aż tak wiele obiecującym, że ona będzie aż tak ciepła i tak chętna. Pomyślałem, że mogłem się być tego spodziewać, June wyglądała na dziewczynę lubiącą „te rzeczy”, więc i w jej mniej ekstrawertycznej siostrze musiała drzemać zmysłowość. Nasze ciała porozumiały się, wiedziałem, że może być jeszcze cudowniej. Ta przypominająca jabłko pupa, te włosy w moich ustach. Oddalający się werbel grzmotów. Rozjaśniło się, zza chmur wysunął się pewnie księżyc. Burze odeszły, leżeliśmy w ciszy odzyskanego raj.

Minęło pięć minut. Leżeliśmy w całkowitym milczeniu, słowa przestały być potrzebne. Nagle Julie usiadła, nachyliła się nade mną, potem szybko mnie pocałowała. Jej twarz otoczona chmurą włosów, lekki uśmiech, patrzyła mi w oczy.

— Nicholas, proszę cię, zapamiętaj sobie jedno.

— Co? — uśmiechnąłem się.

— Że istnieje nie tylko dlaczego, ale jak.

Dalej się uśmiechałem: — *Jak* było piękne.

— Chciałam, żeby było.

Przez sekundę wahała się, tak jakby oczekiwała, że powtórzę tę maksymę. I nagle uklękła, odwróciła się i wyszła z łóżka. Sięgnęła po swoje kimono. Powinienem zareagować szybciej, powinna mnie była zaalarmować nagłość jej ruchu, jeśli już nie zwróciłem uwagi, że w jej głosie i wyrazie twarzy pojawiła się dziwna powaga. Oparłem się na łokciu.

— Dokąd idziesz?

Przez chwilę nie odpowiadała, potem zawiązując szarfę kimona odwróciła się i spojrzała na mnie. Wydało mi się, że widzę na jej twarzy cień uśmiechu.

— Na proces.

— Na co?

Wszystko działo się nieprawdopodobnie szybko. Była już przy drzwiach, gdy zdałem sobie sprawę ze zmiany w jej zachowaniu, zmiany tonu.

— Julie.

Odwróciła się od drzwi, zrobiła króciutką aktorską pauzę przed wygłoszeniem wyjściowej kwestii.

— Nie mam na imię Julie. I mogę cię tylko przeprosić za brak przepisowych płomieni.

Zaskoczony usiadłem — płomieni, jakich płomieni? — ale nim zdążyłem spytać, otworzyła drzwi i wyszła. Do pokoju wpadło światło.

Kaskada ludzi.

## 59

Zobaczyłem trzech mężczyzn w ciemnych spodniach i czarnych koszulkach polo — weszli tak szybko, że zaledwie zdążyłem instynktownie naciągnąć na siebie narzutę. Prowadził Joe, Murzyn. Rzucił się na mnie, zanim zdążyłem, krzyknąć. Brutalnie zatkał mi usta, opadłem na posłanie. Któryś z pozostałych mężczyzn musiał zapalić nocną lampkę. Zobaczyłem znaną twarz, widziałem ją na grzbiecie gór, wtedy człowiek ten miał na sobie niemiecki mundur, grał rolę Antona. Trzecim był jasnowłosy marynarz, którego poprzedniej niedzieli dwukrotnie widziałem w Bourani. Szamocząc się z Joem usiłowałem dojrzeć Julie, nie mogłem uwierzyć, że nie jest to jakiś senny koszmar, jakby omyłkowo oprawiono razem powieść Lawrence'a i Kafki. Ale zobaczyłem już tylko plecy Julie, ktoś objął ją ramieniem i zabrał jak rozbitka ocalałego cudem z lotniczej katastrofy.

Walczyłem zażarcie, ale oni musieli to przewidzieć, przynieśli ze sobą sznur. W pół minuty zostałem związany, położony twarzą w dół. Nie wiem, czy obsypywałem ich głośnymi wyzwiskami, czy też je tylko myślałem. Potem zakneblowano mi usta. Ktoś okrył mnie narzutą. Udało mi się wykręcić głowę i spojrzeć w stronę drzwi.

Wszedł Conchis. Tak jak tamci był ubrany na czarno. Płomienie, diabły, piekło. Wszedł, stanął nade mną i z obojętnym wyrazem twarzy spojrzał w moje rozwścieczone oczy. Usiłowałem wykrzyknąć całą nienawiść, nie udawało mi się wydać zrozumiałego dźwięku. Przypomniało mi się tamto wydarzenie z okupacji, pokój na końcu korytarza, leżący na plecach wykastrowany mężczyzna. Do oczu napłynęły mi łzy poniżenia i wściekłości. Na koniec dotarło do mnie, co malowało się we wzroku wychodzącej Julie. Patrzyła jak chirurg, który przed chwilą dokonał trudnej operacji, a teraz zdejmuje gumowe rękawiczki, przygląda się szwom. Proces, płomienie... to szaleńcy, nie ma innego wytłumaczenia, a ona jest bezwstydną, zepsutą, zdegenerowaną...

„Anton” podał Conchisowi małą otwartą walizeczkę. Ten wyjął z niej strzykawkę, sprawdził, czy została prawidłowo napełniona, schylił się nade mną i pokazał ją.

— Nie chcemy cię więcej przerażać, młody człowieku. Ale chcemy, żebyś zasnął. W ten sposób wszystko odbędzie się bezboleśnie. Nie wyrywaj się.

Przed oczyma pojawiło się absurdalne wspomnienie: stos nie poprawionych prac egzaminacyjnych. Joe z kolegą przewrócili mnie na plecy, Joe w żelaznym uścisku przytrzymał moje lewe ramię. Przez parę sekund stawiałem opór, ale zaraz się poddałem. Dotknięcie mokrej watki. Ukłucie igły. Czuję, jak wpływa w moje żyły morfina, a może inny narkotyk. Conchis odsunął się, chwilę mi się przyglądał, potem odwrócił się i włożył strzykawkę do czarnej walizeczki lekarskiej.

Znalazłem się w świecie ludzi nie przestrzegających żadnych praw, nie mających żadnych zasad.

Satyr ze strzałą w sercu.

Mirabelle. *Mechaniczna kochanka*, plugawa maszyna, która przyoblekła się w jeszcze bardziej plugawe ciało.

Minęły może trzy minuty. W drzwiach stanęła June. Nie spojrzała na mnie. Była tak samo jak mężczyźni ubrana w czarną koszulkę i czarne spodnie, znów zawrzałem przypomniawszy sobie, że tak samo ubrana była wieczorem, gdy przyszła po mnie do szkoły, że już wtedy wiedziała, co się stanie, a to wszystko stało się przecież już potem, kiedy opowiedziałem im o Alison! Przeszła przez pokój, miała włosy związane czarnym szyfonowym szalikiem, i spokojnie zabrała się do pakowania rzeczy z szafy do walizki. Zaczęło mi się kręcić w głowie. Wirowały twarze i przedmioty, i sufit; rzeczywistość cofała się, zagłębiałem się w czarnym szybie szoku, niezrozumienia i chęci zemsty.

Straciłem poczucie czasu, jak się potem okazało, trwało to pięć dni. Kiedy pierwszy raz się obudziłem, nie wiedziałem, czy jest to jeszcze ten sam dzień, czy już następny, chciało mi się potwornie pić i pewnie dlatego się obudziłem. Niewyraźnie przypominam sobie parę rzeczy. Zdziwienie, że mam na sobie własną piżamę, ale nie znajduję się w moim pokoiku w szkole, leżę na koi w kajucie jachtu. Nie miałem siły

wyrwać się ze snu, zacząć myśleć, chciałem jednego: spać dalej. Młody marynarz z obciętymi na jeża włosami, który wyraźnie czekał na moje przebudzenie, podał mi szklankę wody. Tak bardzo chciało mi się pić, że wychyliłem ją duszkiem, choć była podejrzenie mętna. I znów zapadłem w sen.

Ten sam mężczyzna zaprowadził mnie później do toalety na dziobie statku, pamiętam, że musiał mnie podtrzymywać jak pijanego, usiadłem na sedesie i zasnąłem. W toalecie były bulaje, ale zabite na glucho blachą. Zadałem memu opiekunowi parę pytań, on nie odpowiedział, było to jednak dla mnie zupełnie bez znaczenia.

Wszystko to powtarzało się parokrotnie. Potem obudziłem się w jakimś pokoju, na prawdziwym łóżku. Ciągłe panowała noc, jeśli było światło, to elektryczne, czasem jakiś cień człowieka, cień głosu i znów ciemność.

Ale któregoś poranka — wydawało mi się, że jest to poranek, choć równie dobrze mogła być północ, mój zegarek dawno stanął — obudził mnie mój marynarz-pielęgniarz, kazał usiąść, ubrać się, wstać i przejść ze dwadzieścia razy po pokoju. Koło drzwi stał inny, nigdy dotąd nie widziany przeze mnie mężczyzna.

Zdałem sobie sprawę, że coś, co mgliście uważałem za obraz senny, jest jak najbardziej rzeczywiste: na białej ścianie naprzeciw łóżka widniał fresk. Ogromna ponadnaturalnej wielkości czarna postać, buchenwaldzki horror, leżąca na łące, może zresztą nie była to trawa, tylko płomień. Wychudzona ręka wskazywała na wiszące na ścianie lustro, zachęcając mnie, jak przypuszczałem, żebym na siebie spojrział, pomyślał o śmierci. Na twarzy szkieletu malowało się takie napięcie, że przykro było na nią patrzeć, tak jak przykro było myśleć, co dzieje się w głowie człowieka, który to narysował. A rysunek był wyraźnie świeży.

Ktoś zapukał do drzwi. Wszedł trzeci mężczyzna. Niósł tacę z dzbankiem kawy. Cudowny zapach, prawdziwa kawa, a nie ten turecki proszek, który zwykle zaparzano w Grecji. Na tacy leżały także bułeczki, masło i dżem z pigwy, stał talerz z sadzonymi na szynce jajkami. Zostawiono mnie samego. Mimo niesprzyjających okoliczności było to jedno z najsmaczniejszych śniadań w moim życiu. Każdy smak miał wręcz proustowską intensywność, tak jak po zażyciu meskaliny. Byłem wygłodzony, zjadłem wszystko do ostatniej kruszyny, wypilem kawę i gotów byłem zaczynać od początku. Zobaczyłem, że na tacy leży także paczka amerykańskich papierosów i zapalki.

Dokonałem przeglądu. Miałem na sobie własny sweter i wełniane spodnie, których nie nosiłem od zimy. Wysoki, wypukło sklepiony pułap był pułapem

znajdującej się pod domem cysterny, pozbawione okien ściany były suche, ale były to ściany piwnicy. Palilo się elektryczne światło. W kącie stała walizeczka, moja własna. Obok na gwoździu wisiała na ramiączku moja marynarka.

Stół stał pod ścianą z cegieł, wyraźnie świeżo zbudowaną. Były w niej ciężkie drewniane drzwi. Pozbawione klamki, dziurki od klucza, a nawet judasza i zawiasów. Popchnąłem je, ale musiały być zaryglowane z zewnątrz. W kącie stał drugi, trójkątny stolik, na nim staroświecka miska, a pod nią wiadro. Zajrzałem do walizki: koszula, zmiana bielizny, letnie spodnie. Zobaczyłem brzytwę i pomyślałem, że mój zarost może odegrać rolę chronometru. Spojrzałem do lusterka; tak, ta szczecina miała co najmniej dwa dni. Własna twarz wydała mi się obca, była strasznie sponiewierana, ale równocześnie malowała się na niej obojętność. Spojrzałem na śmierć na ścianie. Wizerunek śmierci, cела śmierci, tradycyjne ostatnie śniadanie, czekała mnie jeszcze ostatnia zniewaga — parodia egzekucji.

Za tym wszystkim kryła się niewybaczalna, podła zdrada Julie, która zdradziła nie tylko mnie, ale wszystkie wyższe uczucia, Julie, Lily, czy jak się tam nazywała. Znów zacząłem o niej myśleć jako o Lily, może dlatego, że jej pierwsze wcielenie wydało mi się teraz prawdziwsze, bo bardziej upozowane niż następne. Próbowałem sobie wyobrazić, kim ona naprawdę jest — bez wątpienia była wyborną aktorką i całkowicie amoralną osobą. Tylko prostytutka mogła się zachowywać tak jak ona. Cóż to za para dziwek, byłem bowiem pewien, że jej siostra, June, czy też Rose, nie zawahałaby się także przed tym ohydnyim czynem. Pragnęłaby prawdopodobnie upokorzyć mnie w dwójnasób.

Wszystkie ich opowieści były kłamstwem lub służyły jako przynęta. Listy zostały sfalszowane, nigdy by nie dopuścili, żebym je tak łatwo zidentyfikował. Zaświtała mi ponura prawda: oni czytali wszystkie wysyłane przeze mnie i wszystkie nadchodzące do mnie listy. I uświadomiłem sobie, że przez cały czas musieli znać prawdę o Alison. Conchis, radząc mi, żebym wracał do Anglii i się z nią ożenił, musiał już wiedzieć o jej śmierci, musiała o niej wiedzieć Lily. Kręciło mi się w głowie, tak jakbym szedł samą krawędzią świata. Widziałem sfalszowane wycinki prasowe o siostrach Holmes, zatem wycinki takie można było fałszować... Zajrzałem do kieszeni marynarki, gdzie włożyłem list Ann Taylor, gdy „June” skończyła go czytać przed szkołą. Oglądałem go na wszystkie strony, przyglądałem się wycinkom, czy nie zobaczę czegoś, co wskazywałoby na fałszerstwo. Na próżno. Przypomniałem sobie tę drugą kopertę, którą zostawiłem w pokoju, na niej moje imię charakterem pisma

Alison, a wewnątrz żalony bukiet zasuszonych kwiatków. Tę kopertę mogliby otrzymać tylko od Alison.

Alison.

Spojrzałem sobie w oczy w lustrze. Nagle uczciwość Alison, jej niezawodność, jej autentyczna śmierć, wydały mi się ostatnią kotwicą. Gdyby ona także... jeśli ona... Straciłem grunt pod nogami. Cały świat konspirował przeciwko mnie. Z wysiłkiem przedzierałem się przez pokłady czasu, próbując odnaleźć prawdziwy wizerunek Alison, nie zniekształcony jej miłością i nienawiścią, nie podlegający ich korupcji. Przez chwilę pozwoliłem moim myślom ześlizgnąć się na dno szaleństwa. A jeśli całe moje życie w ciągu ostatniego roku, w przeciwieństwie do tego, co bez przerwy powtarzał Conchis — może po to, żeby mnie jeszcze bardziej wywieść w pole — nie miało nic wspólnego z przypadkiem? Mieszkanie na Russell Square — ale przecież znalazłem je z ogłoszenia w „New Statesman”. Poznanie Alison... mogłem wcale nie pójść na to przyjęcie — i była tam też Margaret, Ann Taylor, tłum gości... nie, ta hipoteza nie wyglądała prawdopodobnie.

Wpatrywałem się we własne odbicie w lustrze. Starają się doprowadzić mnie do szaleństwa, podlegam jakiemuś potwornemu praniu mózgu. Ale uczepliłem się rzeczywistości. Uczepliłem się tego czegoś w Alison, co wydawało mi się kryształową niemożnością zdrady. Było światełkiem rozświetlającym czarną noc. Jej wrodzona niemożność okrucieństwa. I łzy, które napłynęły mi do oczu, były czymś w rodzaju gorzkiej gwarancji, że ona naprawdę umarła.

Były to nie tylko łzy żalu po niej, ale także łzy wściekłości na Conchisa i Lily. Wiedzieli, że ona nie żyje, i próbowali mnie dręczyć, wzbudzając wątpliwości. Z niezrozumiałych powodów nowa okrutna wiwisekcja mego mózgu.

Jakby chcieli mnie za coś ukarać, nie przestawali karać. Bezprawnie. Bez powodu.

Siedziałem opierając czoło na zaciśniętych pięściach.

Po głowie krążyły mi strzępy ich słów, doszukiwałem się w nich podwójnego znaczenia, ironii. Niemal wszystko, co mówili Conchis i Lily, było przesyczone ironią, tak jak ten ostatni dialog z „June”.

Ten pusty weekend: odwołali moją wizytę, żebym zdążył otrzymać list z banku; powstrzymywali mnie na chwilę, żebym potem szybciej staczał się po pochyłości.

Znów wyłonił się z mej pamięci obraz Lily, a potem Lily jako Julie; chwile namiętności, jej powolne ciało, a potem te wszystkie momenty zwierzeń, szczerości,

czułości, jakże spontaniczne; nie, nie mogły być wynikiem prób, co najwyżej całkowitej identyfikacji z odgrywaną rolą. Przez chwilę wróciłem nawet do mojej wcześniejszej teorii, że cały czas działała pod wpływem hipnozy. Ale trudno było to sobie wyobrazić.

Zapaliłem następnego morrisa. Staralem się myśleć o terażniejszości. Ale nie mogłem się uwolnić od gniewu, od poczucia upokorzenia. Jedno tylko mogłoby mi przynieść ulgę. Upokorzenie Lily. Byłem wściekły, że nie traktowałem jej ostrzej. To była ostateczna zniewaga: wykorzystano przeciwko mnie mój niewielki, zasób przyzwoitości.

Usłyszałem hałas, otworzyły się drzwi. Wszedł ostrzyżony na jeża marynarz, a za nim jeden z tamtych mężczyzn w czarnych spodniach, w czarnej koszuli, w czarnych gimnastycznych pantoflach. A potem Anton. Był w białym, lekarskim fartuchu. W kieszonce wieczne pióro. Inteligentny głos, niemiecki akcent, człowiek ten zachowywał się tak, jakby robił obchód. Teraz już nie utykał.

— Jak się pan czuje?

Spojrzałem na niego i opanowałem się.

— Znakomicie. Rozkoszuję się każdą spędzoną tu minutą.

Zerknął na tacę. — Może by się pan napił jeszcze kawy?

Skinąłem głową. Dał znak tamtemu mężczyźnie, a on zabrał tacę. Anton usiadł przy stole, a młody marynarz oparł się niedbale o drzwi. Widać było długi korytarz, na końcu schody prowadzące na światło dzienne. Cysterna była zbyt wielka, aby mogła się zmieścić pod prywatnym domem. Anton obserwował mnie. Nie miałem zamiaru się odzywać i przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

— Jestem lekarzem. Przyszedłem pana zbadać. — Nie spuszczał ze mnie oczu.

— Nie czuje się pan... zbyt źle?

Oparłem się o ścianę i patrzyłem na niego.

Pogroził mi palcem. — Proszę odpowiadać.

— Uwielbiam upokorzenia. Uwielbiam patrzeć, jak kochana przeze mnie dziewczyna depcze wszelkie zasady przyzwoitości. Za każdym razem kiedy ten przekłety stary kretyn okłamuje mnie, czuję, jak po plecach przebiega mi dreszcz rozkoszy. — I wrzasnąłem: — Gdzie ja właściwie jestem, do cholery?

Sprawił wrażenie człowieka zupełnie nie zainteresowanego moimi słowami, obserwował tylko moje reakcje.

— W porządku. Obudził się pan — powiedział z wolna i usiadł zakładając nogę



na nogę i odchylając się do tyłu, znakomita imitacja lekarza w gabinecie lekarskim.

— Gdzie jest ta mała kurwa? — Zachował się tak, jakby nie rozumiał. — No Lily czy Julie, czy jak jej właściwie na imię.

Uśmiechnął się. — Kurwa to kobieta nierządna, tak?

Zamknąłem oczy. Zaczęła mnie boleć głowa. Należało zachować spokój. Mężczyzna w drzwiach odwrócił się, na schodach pojawił się tamten drugi, wszedł z tacą i postawił ją na stole. Anton nalał kawy mnie, a potem sobie. Marynarz podał mi moją filiżankę. Anton szybko wypił.

— Nie, mój drogi, myli się pan. To dobra dziewczyna. Bardzo inteligentna. Bardzo dzielna. Ależ tak — powtórzył widząc mój szyderczy wzrok. — Bardzo, bardzo dzielna.

— Mogę panu powiedzieć tylko jedno: jak się stąd wydostanę rozpętam taką burzę, że gorzko pożałujecie...

Podniósł uspokajająco rękę. — Nie potrafi pan jeszcze prawidłowo myśleć. Brał pan przez te dni zbyt wiele narkotyków.

Zaczerpnąłem powietrza.

— Przez ile dni?

— Dziś jest niedziela.

Trzy dni, które nie pozostawiły w mej pamięci żadnego śladu. Przypomniałem sobie o tych nieszczęsnych pracach egzaminacyjnych. Uczniowie, nauczyciele... przecież cała szkoła nie mogła należeć do spisku Conchisa. Oszło mi na potworność całego przedsięwzięcia, zupełny brak poszanowania dla prawa, dla mojej pracy, dla śmierci, dla wszystkiego, co sprawia, że świat nadaje się do życia. Wszystko, co się stało, było nie tylko zaprzeczeniem mojego świata, ale także świata, który Conchis przedstawiał jako swój. Patrzyłem na Antona.

— Dla was, Niemców, to pewnie zwykły, miły żarcik.

— Jestem Szwajcarem. A moja matka była Żydówką.

Miał gęste brwi, czarne jak węgiel i krzaczaste, jego oczy uśmiechały się. Resztką kawy chlusnąłem mu w twarz. Poplamilem jego biały fartuch. Wyciągnął chusteczkę, wytarł twarz i powiedział coś do stojącego obok mężczyzny. Nie rozgniewał się, wzruszył tylko ramionami i spojrzał na zegarek.

— Jest dziesiąta trzydzieści. Dziś odbędzie się proces i musi pan być przytomny. No, chwała Bogu — dotknął swego fartucha. — Wszystko wskazuje na to, że już pan oprzytomniał.

Wstał.

— Proces?

— Wkrótce już tam pójdziemy i będzie pan naszym sędzią.

— Waszym sędzią!

— Tak. Pan myśli, że to więzienie. Bynajmniej. To... pokój sędziego. Może chciałby pan... — dotknął ręką brody.

— Chryste Panie!

— Będzie tam dużo osób. — Przyglądałem mu się niedowierzająco. — Lepiej się pan zaprezentuje... — Urwał. — No dobrze. Adam — wskazał na blondyna akcentując drugą sylabę imienia — wróci za dwadzieścia minut, żeby pana przygotować.

— Przygotować?

— Drobiazg. Stosujemy pewien ceremoniał. Dla pana to mało ważne. Dla nas tak.

— Dla jakich nas?

— Wkrótce zrozumie pan wszystko.

Żałowałem, że nie mam już kawy, teraz należało w niego chlusnąć.

Uśmiechnął się, uklonił i wyszedł. Tamta dwójka zamknęła i zarygłowała drzwi. Wpatrywałem się w szkielet na ścianie. Na swój nekrofilski sposób zdawał się powtarzać mi to samo: wkrótce zrozumiesz. Zrozumiesz wszystko.

## 61

Nakręciłem zegarek i dokładnie po dwudziestu minutach do celi weszło tamtych dwóch mężczyzn. Czarny strój sprawiał, że wyglądali brutalniej, bardziej po faszystowsku, niż na to wskazywały ich twarze. Jasnowłosey Adam stanął naprzeciw mnie, w rękę trzymał niepozorną torbę.

— Proszę się nie wyrywać.

Postawił torbę na stole i wyjął z niej kajdanki. Pogardliwie wyciągnąłem ręce i pozwoliłem, żeby skuli je ze swoimi rękami. Potem wyjął dziwną czarną gumową maskę na usta, była wklęsła, wklęsłość przechodziła w występ, który należało wziąć między zęby.

— Proszę to włożyć. Nie będzie bolało.

Obaj wahaliśmy się przez chwilę. Byłem zdecydowany, że nie będę walczyć, że

zachowam spokój i poczekam, aż będę miał okazję dać w pysk komuś, komu naprawdę mam ochotę sprawić ból. Podał mi ostrożnie ten gumowy knebel i wrzuciłem ramionami. Wziąłem między zęby czarny język, poczułem smak środków odkażających. Adam zręcznie zapiął maskę z tyłu. Potem podszedł do torby, wyjął z niej szeroki czarny plaster i przykleił nim brzegi knebla do mojej skóry. Zacząłem żałować, że się nie ogoliłem.

Czekało mnie następne zaskoczenie. Adam uklęknął, podciągnął aż za kolano moją prawą nogawkę i przymocował ją elastyczną podwiązką. Potem kazał mi wstać. Gestem pokazał, że nie powinienem się niepokoić, i ściągnął mi przez głowę sweter, tak że zwisał tylko na rękawach. Rozpiął mi koszulę i obnażył lewe ramię. Potem wyjął z torby dwie białe wstążki szerokości cala, do każdej z nich przyczepiona była czerwona rozetka. Jedną zawiązał na mojej nagiej łydce, drugą na ramieniu. Potem wziął czarne kółko, którego średnica mogła mieć jakieś dwa cale, i plastrem przykleił mi je na czole. Wreszcie nałożył mi na głowę luźny czarny worek. Miałem ochotę się wyrwać, ale nie był to już stosowny moment. Ruszyliśmy. Każdy z nich trzymał mnie za ramię.

Zatrzymali mnie na końcu korytarza i Adam powiedział: — Powolutku, idziemy na górę. — Zastanowiłem się, czy ma to oznaczać, że wejdziemy do domu, tylko on nie bardzo potrafi wyrazić to po angielsku.

Wchodziłem ostrożnie po schodach i wkrótce znaleźliśmy się w słońcu. Prażyło moją nagą skórę, choć czarny worek nie przepuszczał blasku. Przeszliśmy jakieś dwieście, może trzysta jardów. Wydawało mi się, że czuję zapach morza, ale nie byłem tego pewny. Podświadomie oczekiwałem, że zostanę postawiony pod murem, że naprzeciwko mnie stanie pluton egzekucyjny. Ale oni znów kazali mi przystanąć i usłyszałem głos: — Teraz w dół. — Dali mi mnóstwo czasu na pokonanie schodów, stopni było znacznie więcej niż na schodach prowadzących z mojej celi, powietrze stało się chłodne. Zakręciliśmy, znów zeszliśmy w dół, a kiedy ruszyliśmy po równej powierzchni, rezonans naszych kroków wskazywał, że znajdujemy się w dużej sali. Poczulem tajemniczy, złowieszczy zapach palonego drewna i gryzącego dziegciu. Zatrzymano mnie, ktoś ściągnął mi z głowy worek.

Oczekiwałem, że zobaczę wiele osób. Ale byliśmy sami, ja i moich dwóch strażników. Staliśmy na końcu ogromnej podziemnej sali, wyglądała na gigantyczną cysternę wielkości niedużego kościoła. Takie cysterny można znaleźć pod starymi wenecko-tureckimi zamkami, które rozsiane po całym Peloponezie z wolna rozpadają

się w gruzy. Jeden taki zamek oglądałem zimą w Pylos. Spojrzałem w górę i zobaczyłem dwa charakterystyczne otwory, przypominające kominy, były to pewno zatłkane szyjki cystern wystające na powierzchnię ziemi.

Na przeciwległym krańcu sali znajdowało się niewielkie podium, na podium stał tron. Naprzeciwko tronu stół, a raczej ustawione w podkowę trzy stoły, okryte czarnym sukniem. Za stołami widać było dwanaście czarnych krzeseł, a na samym środku puste trzynaste miejsce.

Ściany do wysokości jakichś piętnastu stóp pobielane były wapnem, nad tronem namalowano koło o ośmiu szprychach. Między stołem i tronem pod ścianą z prawej strony stał rząd odgrodzonych ławek, przypominający ławę przysięgłych.

W tej dziwacznej sali sądowej raziło jedno. Oświetlona była wprawdzie zawieszonymi na bocznych ścianach pochodniami, ale w obu kątach za tronem stały reflektory skierowane na stół. Nie paliły się, ale kable i soczewki dodawały ponurości sali tortur, panującej tu atmosferze Ku-Klux-Klanu. Nie wyglądało to na pałac sprawiedliwości, lecz niesprawiedliwości, na Trybunał Samowoli Królewskiej, na trybunał inkwizycji.

Zmuszono mnie do pójścia dalej. Minęliśmy stół, doszliśmy do tronu. Nagle zdałem sobie sprawę, że chcą mnie na nim posadzić. Zatrzymali się, żeby pozwolić mi wejść na podium. Prowadziło na nie cztery, może pięć stopni. Podium było z grubo ciosanego drewna, tron także nie był prawdziwy, był to tron teatralny, pomalowany na czarno, z wysokim oparciem i kolumnami z obu stron poręczy. Na środku czarnego oparcia widniało białe oko, podobne do tych, które śródziemnomorscy rybacy malują na dziobach swych łodzi, żeby odpędzić złe duchy. Płaska purpurowa poduszka; zmuszono mnie, abym na niej zasiadł.

Ledwie to zrobiłem, moi strażnicy otworzyli kajdanki i dla odmiany przykuli mnie do poręczy tronu. Spojrzałem w dół. Tron był solidnie przymocowany do podium. Usiłowałem coś wymamrotać, ale Adam potrząsnął przecząco głową. Miałem obserwować, nie mówić. Dwóch strażników stanęło z tyłu na stopniach. Adam, niby szalony lokaj z koszmarne snu, sprawdził, czy kajdanki są mocno zamknięte, i ściągnął mi z ramienia rękaw koszuli, który próbowałem opuścić, po czym zszedł z podium. Odwrócił się i lekko się skłonił, tak jak w kościele przed ołtarzem, obszedł wokoło stół i wyszedł. Zostawiono mnie siedzącego na tronie, za mną stało tych dwóch milczących strażników, słychać było trzask płonących pochodni.

Rozejrzałem się po sali, starając się patrzeć bezstronnie. Znajdowało się tu parę

kabalistycznych emblematów. Na ścianie z prawej strony wisiał czarny krzyż, ale nie był to krzyż chrześcijański, u góry rozdymał się na kształt odwróconej gruszki, z lewej zaś naprzeciwko krzyża czerwona róża, jedyny kolorowy akcent w białoczarnej sali. Na drugim końcu nad szerokimi drzwiami namalowana była obcięta w nadgarstku ogromna lewa dłoń, palec wskazujący i mały były wyprostowane, środkowe skulone wokół kciuka. Wszystko wskazywało na przynależność do jakiegoś rytuału, a ja nigdy nie znosiłem rytuałów. Powtarzałem sobie w kółko: musisz zachować się z godnością, musisz zachować się z godnością. Wiedziałem, jak śmiesznie muszę wyglądać z tym czarnym okiem cyklopa na czole, obwiązany białymi wstążeczkami i rozetkami. Ale mimo to należało za wszelką cenę nie wydać się śmiesznym.

Nagle podskoczyło mi serce.

Co za przerażająca postać.

W drzwiach stanął cicho Herne Łowca. Neolityczny bóg, duch ciemności i lasów północy z czasów, kiedy nie było jeszcze królów, czarny i mroźny jak dotknięcie stali. Mężczyzna z głową jelenia wypełniał framugę sklepionych łukiem drzwi, stał potężny i przerażający na tle słabo oświetlonej białej ściany korytarza. Rogi były ogromne, czarne jak gałęzie migdałowca, rozgałęzione. Mężczyznę od stóp do głów spowijała czerń, tylko oczy i nozdrza miał pomalowane na białą. Stał tak chwilę, abym mógł mu się dobrze przyjrzeć, potem wolno podszedł do stołu, zatrzymał się na sekundę przyjąwszy królewską pozę, po czym usiadł na lewym końcu. Dojrzałem czarne rękawice, czarne buty pod wąską czarną suknią skrojoną jak sutanna i zrozumiałem, że musi poruszać się wolno, żeby nie ześlizgnęła mu się z głowy zbyt wielka maska.

Znów ten sam strach, nie przed nim, ale przed zagadką, która kryła się za jego pojawieniem. Nie przerażała mnie jego maska, w naszym stuleciu oswoiliśmy się z wymysłami *science-fiction* i zbyt byliśmy pewni naukowej rzeczywistości, żeby ulegać panice przed czymś, co wyglądało na nadprzyrodzone. Przerażało mnie to, co ukrywało się za maską. Odwieczne źródło wszelkich strachów, wszelkiego zła — człowiek.

Ukazała się następna postać i, tak jak później wszystkie, zatrzymała się na chwilę w drzwiach.

Tym razem była to kobieta. Ubrana w tradycyjny strój angielskiej czarownicy, spiczasty czarny kapelusz z dużym rondem, długie białe włosy, czerwony fartuch, czarna peleryna, maska z zakrzywionym nosem, złośliwy uśmiezek. Pochylona,

zgarbiona, dokuszykała do prawego końca stołu i posadziła na nim trzymanego w ręku kota. Był to wypchany kot. Jego szklane oczy patrzyły prosto na mnie. I jej białoczarne oczy. I oczy rogakza.

Następna przerażająca postać: mężczyzna z głową krokodyla — dziwaczna negroidalna maska z okrutnymi białymi zębiskami i wyłupiastymi oczyma. On niemal od razu szybkim krokiem podszedł do rogakza i zajął miejsce koło niego; wyglądało na to, że źle się czuje w swoim kostiumie, nie jest przyzwyczajony do takich scen.

Następnie pojawił się jakiś niższy mężczyzna: nieproporcjonalnie szeroka głowa, białe wilcze zęby w uśmiechu od ucha do ucha. Głębokie ciemne oczodoły. Wokół czubka głowy wielka kreza iguany. Mężczyzna miał na sobie czarne poncho i wyglądał na Azteka. Usiadł koło czarownicy.

Pojawiła się kolejna postać kobieca. Byłem pewien, że to Lily. Skrzydlaty wampir, obrośnięta czarną sierścią głowa nietoperza ze spiczastymi uszkami, dwa długie białe kły. Czarna spódnica, czarne pończochy, czarne pantofle. Szczupłe nogi. Szybko zajęła miejsce obok krokodyla, lekko wydęte, szponiaste skrzydła sterczały sztywno, wyglądało to w świetle pochodni zupełnie niesamowicie, wielki migoczący cień przyćmiewający krzyż i różę.

Potem pojawił się Afrykanin, karykatura afrykańskich bożków, kłębek czarnych łachmanów, które zwisały aż do ziemi. Nawet maska zrobiona była z tych łachmanów, na czubku głowy zatknięto trzy białe pióra, namalowano dwoje wielkich jak spodki oczu. Stwór ten nie miał rąk ani nóg, był nieokreślonej płci — straszna zjawa z dziecinnych snów. To coś powlokło się na swoje miejsce obok wampira i tak jak wszyscy wlepiło we mnie oczy.

Z kolei ukazał się przysadzisty demon z boschowskim ryjem.

Następny mężczyzna był dla odmiany niemal całkowicie biały, makabryczny szkielet pierrota — negatyw postaci namalowanej na ścianie mojej celi. Za maskę służyła mu czaszka. Wyolbrzymiona miednica; szkielet kroczył sztywnym, równym krokiem.

Potem jeszcze dziwniejsza postać. Była to kobieta i zacząłem mieć wątpliwości, czy naprawdę Lily była wampirem. Sztywną spódnicę upięto na kształt rybiego ogona, który pęczniał w brzemienny brzuch, a nad piersiami zamieniał się w spiczasty łebek ptaka. Postać kroczyła powoli, lewą ręką podtrzymywała ciężarny brzuch, prawa spoczywała między piersiami. Biała dziobata główka o oczach w kształcie migdałów spoglądała na sufit; Ten kobieto-rybo-ptak był piękny, była w nim

dziwna miękkość, jakże odbiegająca od chorobliwie groźnego wyglądu reszty postaci. Na wyciągniętej w górę szyi zobaczyłem dwa niewielkie otwory, pewnie na oczy ukrywającej się w tym przebraniu osoby.

Zostały jeszcze cztery puste miejsca.

Następna postać robiła wrażenie starego przyjaciela. Anubis z łbem szakala, czujny i występny. Lekkim krokiem Murzyna podszedł do swego krzesła.

Potem pokazał się mężczyzna w czarnej pelerynie upstrzonej białymi astrologicznymi i kabalistycznymi symbolami. Na głowie miał spiczasty, chyba na jard wysoki kapelusz z szerokim rondem, z tyłu zwisała na szyję czarna płachta. Czarne rękawiczki, długa biała laska zakończona kołem, wąż z ogonem w paszczy. Twarz okryta zwykłą czarną maseczką. Wiedziałem, kto to jest. Widziałem błyszczące oczy, zacięte usta.

Jeszcze dwa miejsca w środku. Nastąpiła przerwa. Nieruchome twarze za stołem wpatrywały się we mnie w całkowitej ciszy. Obejrzałem się na moich strażników, którzy patrzyli przed siebie jak żołnierze na warcie, i lekko wzruszyłem ramionami. Żałowałem, że nie mogę ziewnąć, zobaczyliby, co o nich myślę, pomogłoby mi to w zachowaniu należytnej postawy.

Na białym korytarzu pojawiło się czterech mężczyzn. Nieśli czarną lektykę tak wąską, że wyglądała jak postawiona na sztorc trumna. Zasłony były spuszczone. Na tej z przodu namalowano ten sam emblemat co na ścianie za mną — koło o ośmiu szprychach. Na dach lektyki założono coś w rodzaju czarnego diademu z półksiężyców, cały rząd księżyców na nowiu.

Czterech tragarzy miało czarne kombinezony i groteskowe maski — białoczarne twarze czarowników. Z każdej głowy wyrastały ogromne czarne krzyże. Wierzchołek każdego, a także oba ramiona kończyły się czarnym wiechciem szmat lub rafii, co wyglądało jak czarne płomienie. Nie podeszli od razu do środka stołu, ale obnieśli tę lektyko-trumnę wokół sali, przeszli przed moim tronem i wtedy dojrzałem widniejące na bokach lektyki białe półksiężyce, emblemat Artemidy-Diany; wrócili prawą stroną i dopiero wtedy zbliżyli się do stołu. I zdjąwszy drążki ustawili pudło na głównym, pustym dotychczas miejscu. Czarni tragarze odeszli i stanęli pod pochodniami, trzy pochodnie już niemal zgasły. Światło było przyćmione.

Wtedy pojawiła się trzynasta postać. Miała na sobie długi biały chałat, a może była to sięgająca ziemi alba, ozdobiona czarnymi taśmami wokół luźnych rękawów. Czerwone rękawiczki, w ręku czarna laska. Głowa była łbem czarnego kozła,

prawdziwym łbem prawdziwego kozła, którego czarna broda zasłaniała twarz przebranego człowieka. Duże, wygięte do tyłu rogi w naturalnym kolorze, bursztynowe szklane ślepią, między rogami zatknięto grubą, czerwoną jak krew, zapaloną świeczkę. Dałbym wiele, żeby móc wrzasnąć jakieś wyzwisko, demaskując tę maskaradę, coś szczeniackiego, naiwnego i angielskiego, na przykład: „Sądzę, że mam do czynienia z doktorem Crowley.” Ale mogłem tylko założyć nogę na nogę i przybrać pozę człowieka, na którym to wszystko nie robi najmniejszego wrażenia, choć nie było to prawdą.

Kozioł z całym majestatem szatana i arcydiabelską godnością podszedł do stołu, wewnątrznie przygotowałem się na następny horror; oczekiwałem, że rozpocznie się czarna msza. Ten stół posłuży jako ołtarz. Zdałem sobie sprawę, że ostatnia postać stanowi karykaturę tradycyjnego wizerunku Chrystusa; laska zamiast pastorału, czarna kozła bródka zamiast jasnej brody Zbawiciela, czerwona świeczka miała być bluźnierczą kpina z aureoli. Człowiek ów zajął swoje miejsce, długi rząd czarnych marionetek patrzył na mnie pustym wzrokiem. Kolejno im się przyjrzałem: diabeł rogaty, diabeł-krokodyl, wampir, demon, kobieta-ptak, czarownik, trumno-lektyka, diabeł-koziół, diabeł-szakał, pierrot-szkielec, diabeł murzyński, Aztek, czarownica. Przełknąłem śliną, obejrzałem się na swoich strażników. Zaczął mi dokuczać knebel. Spuściłem wzrok, wygodniej było wpatrywać się w podest.

Minęła najwyżej minuta. Zgasła następna pochodnia. Kozioł podniósł laskę, trzymał ją chwilę w górze, potem chciał położyć na stole, musiał o coś zaczepić, niepowodzenie to przysporzyło mi dużo radości. Kiedy mu się wreszcie udało, podniósł do góry obie ręce, parodia kapłańskiego błogosławieństwa, ale palce ustawił w diabelskie rogi, którymi wskazał w dwa znajdujące się za mną kąty sali. Moi strażnicy podeszli do reflektorów. I nagle salę napełniło światło, napełnił ruch.

Jak aktorzy po zejściu ze sceny siedzące naprzeciwko mnie postacie zaczęły zdejmować maski i kostiumy. Stojący pod ścianami mężczyźni z krzyżami na głowach zdjęli pochodnie i ruszyli ku drzwiom. Ale i tam musieli poczekać, gdyż wchodziła właśnie gromada młodzieży, chyba ze dwadzieścia osób. Niedbale ubrani szli niedbałym krokiem. Niektórzy mieli w ręku książki i skrypty. Milczeli i szybko zajęli miejsca w ławach po mojej prawej stronie. Mężczyźni z pochodniami znikli. Przyjrzałem się nowo przybyłym — germańskie lub skandynawskie inteligentne twarze, chyba studenci, było między nimi zaledwie parę osób starszych i trzy dziewczyny, ale przeciętny wiek wynosił dwadzieścia lat. Dwóch mężczyzn



rozpoznałem, widziałem ich na przełęczy.

Tymczasem postacie za stołem nadal się rozbierały. Pomagał im Adam i moich dwóch strażników. Adam przed każdym z siedzących położył tekturowe teczki, opatrzone białymi nalepkami. Zabrano wypchanego kota, laski i inne rekwizyty. Wszystko to zrobiono szybko, musieli mieć wprawę. Kolejno obserwowałem wynurzających się z przebrania ludzi.

Ostatni przybysz, koźli łeb, okazał się starcem z przystrzyżoną równiutko siwą bródką, miał ciemne szaroniebieskie oczy, przypominał Smutsa. Tak samo jak inni starannie unikał spojrzenia w moją stronę, ale widziałem, że uśmiecha się do siedzącego przy nim Conchisa, astrologa-czarodzieja. Obok Conchisa spod ptasiej głowy i brzemiennego brzucha pojawiła się szczupła kobieta w średnim wieku. Miała na sobie ciemnoszary kostium, wyglądała na dyrektorkę szkoły lub na kobietę interesów. Szakali łeb, Joe, miał na sobie granatowy garnitur. Ku mojemu zdziwieniu pierrot-szkielet okazał się Antonem. Demonem z Boscha był jakiś starszy człowiek w binoklach o łagodnej twarzy. Spod przebrania murzyńskiego bożka wyłoniła się Maria. Aztekiem był niemiecki pułkownik, pseudo-Wimmel z przełęczy. Wampirem okazała się nie Lily, lecz jej siostra, na przegubie ręki nie było blizny. Biała bluzka, czarna spódniczka. Krokodyl to jakiś mężczyzna przed trzydziestką. Miał rzadką brodę artysty, Grek może Włoch. I on ubrany był w garnitur. Rogaczem okazał się jakiś inny nie znany mi mężczyzna, wysoki, czterdziestoletni intelektualista wyglądający na Żyda, mocno opalony, z początkami łysiny.

Pozostała jeszcze czarownica z prawego końca stołu. Była to Lily w białej wełnianej sukni z długimi rękawami, z golfowym kołnierzem. Patrzyłem, jak poprawia upięte w surowy kok włosy i nakłada okulary. Nachyliła się, by usłyszeć, co szepcze siedzący obok „pułkownik”. Skinęła głową i otworzyła leżące na stole akta.

Tylko jedna osoba nie ujawniła się: ta, która ukrywała się w lektyko-trumnie.

Siedziałem patrząc na długi stół, za którym zasiadali ludzie pochyleni nad aktami, wyglądający jak najnormalniej. Zaczęli mi się przyglądać. Na ich twarzach widać było zainteresowanie i brak sympatii. Wpatrzyłem się w June-Rose, ale ona spoglądała na mnie jak na figurę woskową. Czekałem, żeby spojrzała na mnie Lily, ale kiedy to się stało, w jej wzroku malowała się całkowita obojętność. Zachowywała się jak podrzędny członek komisji egzaminacyjnej, co potwierdzało także jej miejsce na samym końcu stołu.

Wreszcie starzec z białą bródką wstał i audytorium, które zaczęło już szeptać,

zamilkło. Reszta członków „komisji” spojrzała w jego stronę. Część „studentów”, ale nie wszyscy, trzymała na kolanach otwarte notatniki, w ręku pióra. Stary pan z białą bródką spojrział na mnie przez okulary w złotej oprawie, uśmiechnął się i uklonił.

— Panie Urfe, już dawno musiał pan dojść do wniosku, że trafił pan w ręce szaleńców. A w dodatku szaleńców-sadystów. Za swój pierwszy obowiązek uważam przedstawienie panu tych obłąkanych sadystów.

Część osób uśmiechnęła się. Starzec mówił po angielsku świetnie, choć z lekkim niemieckim akcentem. — Ale jeszcze przedtem musimy także i panu przywrócić normalny wygląd. — Dał znak moim strażnikom, którzy z powrotem stali za moimi plecami. Zręcznie rozwiązali wstążki z rozetkami, doprowadzili do porządku ubranie, zdjęli z czoła czarny plaster, założyli mi sweter, przyczesali włosy, nie wyjęli mi jednak z ust knebla.

— W porządku. Teraz, jeśli pan pozwoli, przedstawię przede wszystkim samego siebie. Nazywam się doktor Friedrich Kretschmer, poprzednio wykładałem na uniwersytecie w Stuttgarcie, obecnie jestem dyrektorem Instytutu Doświadczalnej Psychologii przy uniwersytecie w Idaho, w Ameryce. Po mojej prawej ręce siedzi znany panu doktor Maurice Conchis z Sorbony. — Conchis wstał i uklonił się. Wlepiałem w niego wzrok. — Dalej ma pan naszą czarującą i utalentowaną projektantkę kostiumów pannę Margaret Maxwell. — „Rose” obdarzyła mnie nieszczerym uśmiechem. — Po prawej ręce panny Maxwell siedzi pan Yanni Kottopoulos. Był naszym inspicjentem. — Mężczyzna z brodą uklonił się i z kolei wstał wysoki Żyd. — A teraz kłania się panu Arne Halberstedt z Królewskiego Teatru ze Sztokholmu, nasz dramaturg i reżyser, któremu tak samo jak pannie Maxwell i panu Kotto-poulosowi, my, zwykli amatorscy adepci naszego teatru, zawdzięczamy pomyślny przebieg i sceniczną urodę naszego... przedsięwzięcia. — Pierwszy zaczął klaskać Conchis, potem reszta „komisji”, wreszcie studenci. Dołączyli się także i stojący za mną strażnicy.

Stary pan odwrócił się. — Po mojej lewej ręce widzi pan pustą -skrzynię. Ale my wyobrażamy sobie, że w środku znajduje się bogini. Bogini dziewica, której nikt z nas nigdy nie widział i nigdy nie zobaczy. Nazywamy ją niewidzialną Astarte. Pańska znajomość literatury pozwoli panu, jestem o to spokojny, zrozumieć co jej obecność oznacza. I co my, zwykli naukowcy, chcemy przez to wyrazić. — Chrząknął. — Za skrzynią widzi pan doktora Josepha Harrisa z mojego Instytutu w Idaho, o którego wspaniałej pracy o newrozach Murzynów zamieszkujących miasta musiał pan chyba

słyszeć. Książka ta nazywa się *Czarne i białe umysły*. — Joe wstał i niedbale skinął mi ręką. Następny siedział „Anton”. — Obok niego widzi pan doktora Heinricha Mayera, ostatnio wyklada w Wiedniu. Za nim panią Conchis, którą wielu z nas miało okazję poznać jako utalentowaną badaczkę skutków urazów wojennych u dzieci z krajów okupowanych. Mówię o doktor Annette Kazanian z Instytutu w Chicago. — Udało mi się nie okazać zdumienia w przeciwieństwie do części „audytorium”, ludzie zaczęli szeptać i wychylać się, żeby spojrzeć na „Marię”. — Za panią Conchis siedzi docent Thorvald Jorgensen z uniwersytetu w Aalborgu. „Pułkownik” wstał i skłonił się. — Wreszcie pani doktor Vanessa Maxwell. — Lily spojrzała na mnie przez okulary, nie zmieniając wyrazu twarzy. Znów wpatrzyłem się w tego starego pana, on zaś zwrócił się w stronę kolegów. — Jak sądzę, wszyscy zdajemy sobie sprawę, że sukces medyczny naszego tegorocznego eksperymentu zawdzięczamy przede wszystkim doktor Maxwell. Kiedy doktor Maxwell przyjechała do nas, do Idaho, doktor Marcus poleciła nam ją w najgorętszych słowach jako swoją najzdolniejszą uczennicę. Ale jej praca przeszła nasze najśmielsze oczekiwania. Spotykałem się wielokrotnie z zarzutami, że przeceniam rolę kobiet w naszym zawodzie. Oświadczam uroczyście, że praca doktor Maxwell, mojej czarującej młodziutkiej koleżanki Vanessy, potwierdziła to, w co zawsze wierzyłem: któregoś dnia praktyka psychiatryczna, w przeciwieństwie do teorii, znajdzie się w rękach kobiet. — Rozległy się oklaski. Lily wpatrywała się w stół, a gdy oklaski umilkły spojrzała na staruszkę i szepnęła: — Dziękuję. — A on zwrócił się w moją stronę.

— Studenci, których pan tu widzi, to austriacy i duńscy studenci z wydziału doktora Mayera i z Aalborga. Mam nadzieję, że wszyscy mówią po angielsku? — Parę głosów odpowiedziało: tak! Uśmiechnął się do nich dobrotliwie i wypił łyk wody.

— Cóż, panie Urfe, poznał pan obecnie nasz sekret. Stanowimy międzynarodową grupę psychologów, której mam zaszczyt, na zasadzie starszeństwa, przewodniczyć. — Parę osób pokręciło przecząco głowami. — Z wielu powodów interesująca nas dziedzina psychologii wymaga badań nad osobami, które nie mogą wiedzieć, że są naszymi królikami doświadczalnymi. Nasze teorie różnią się, ale zgadzamy się, że nasze eksperymenty z samej swej natury wymagają, aby nawet po ich zakończeniu człowiek, na którym były dokonywane nie otrzymywał informacji o ich celu. Choć jestem pewien, że po spokojnym zastanowieniu się, sam pan wydedukuje przynajmniej w części, o co nam naprawdę chodziło. — Wszyscy się uśmiechnęli. — No tak. W ciągu ostatnich trzech dni znajdował się pan pod

działaniem narkozy, zdobyty przez nas materiał jest wręcz bezcenny i chcę panu przede wszystkim wyrazić nasze uznanie za inteligencję i normalność, jakie przejawiał pan szukając drogi w ustawianych przez nas labiryntach.

Wszyscy wstali i zaczęli, mnie oklaskiwać. Nie mogłem się już dłużej opanować. Widziałem klaszczącą Lily, klaszczącego Conchisa, klaszczących studentów. Wykręciłem ręce i skierowałem w ich stronę palce, nadając im kształt V. Stary pan musiał tego nie zrozumieć, bo nachylił się w stronę Conchisa pytając, co to znaczy. Oklaski umilkły. Conchis zwrócił się do kobiety, którą przedstawiono jako panią doktor z Edynburga. Przemówiła silnym, brzmiącym z amerykańską głosem.

— W języku gestów oznacza to mniej więcej tyle co: „A gówno!” albo „Ja to pieprzę”.

Starzec bardzo się tym zainteresował. Powtórzył mój gest przyglądając się własnej ręce. — Ale przecież pan Churchill...

Przerwała mu Lily: — Churchill podnosił do góry nieruchomą rękę i wtedy był to znak zwycięstwa. W tym wypadku ręka poderwała się i wskazała palcami na nas. Wspominałam o tym znaku w moim artykule o *Erotyczno-analnych metaforach w literaturze klasycznej*.

— Aha. Tak. Przypominam sobie. *Jawohl*.

Zabrał głos Conchis, zwracając się przede wszystkim do Lily — *Pedicabo ego vos et irrumabo, Aureli patheci et cinaedi Furi?*

Lily: — No właśnie.

Nad stołem nachylił się Wimmel-Jorgensen, mówił z silnym akcentem. — Czy ma to jakiś związek z ruchem oznaczającym rogasza? — Wystawił zza głowy dwa palce.

— Pisałam — oświadczyła Lily — że w ruchu tym można się dopatrzeć motywu kastracji, pragnienia zdegradowania i upokorzenia rywala, pragnienie to łatwo zidentyfikować z odpowiednim stadium obsesji dziecięcej i towarzyszących jej fobii.

Rozluźniłem mięśnie, potarłem nogę o nogę, starałem się za wszelką cenę zachować normalność, zrozumieć, jaka metoda rządzi tym szaleństwem. Nie wierzyłem, nie mogłem uwierzyć, że są naprawdę psychologami, nie zaryzykowałiby podania mi swoich nazwisk.

Z drugiej strony opanowali wspaniale odpowiedni żargon, nie mogli przecież przewidzieć mojego gestu. A może mogli? Szybko starałem się zebrać myśli. Gest ten był im potrzebny, a nie wykonałem go już od wielu, wielu lat. Przypomniałem sobie,

że w trakcie hipnozy można pacjentowi zasugerować, aby w odpowiedniej chwili wykonał odpowiedni ruch. Zupełnie proste. Kiedy zaczęli mnie okłaskiwać, odczułem niezwalczoną ochotę wykonania tego ruchu. Muszę bardzo uważać, nie dawać się sprowokować.

Starzec przerwał dyskusję. — Panie Urfe, pański jakże wymowny gest przypomniał mi o powodach naszego dzisiejszego spotkania. Zdajemy sobie sprawę, że przynajmniej niektórzy spośród nas muszą wzbudzać w panu uczucie nienawiści i wściekłości. Choć muszę nadmienić, że dotarliśmy do pewnych tłumionych warstw pańskiej podświadomości, które wskazywałyby na coś innego. Ale, jak powiedziałby mój kolega doktor Harrison: „Obchodzą nas przede wszystkim nasze własne wyobrażenia o życiu”. Dlatego właśnie zebraliśmy się dziś tutaj, by dać panu okazję osądzenia z kolei nas. I dlatego posadziliśmy pana w sędziowskim fotelu. Zmusiliśmy pana do milczenia, bowiem sprawiedliwość powinna milczeć, dopóki nie przyjdzie pora na wydanie wyroku. Ale nim usłyszymy pański wyrok, pragniemy dostarczyć panu dalszych argumentów przeciwko nam. Usprawiedliwia nas jedynie chęć pogłębienia wiedzy o człowieku, ale wszyscy zgodziliśmy się, że nam, jako lekarzom, nie wolno się na ten argument powoływać. Poproszę obecnie panią doktor Marcus o przeczytanie tej części sprawozdania o panu, która nie dotyczy naszego eksperymentu, a przedstawia pański portret charakterologiczny.

Wstała kobieta z Edynburga. Miała około pięćdziesiątki, krótko przycięte siwiejące włosy, nie była umalowana; ostra, inteligenta *quasi* lesbijska twarz, brak wyrozumiałości dla głupoty. Zaczęła czytać wojowniczym, a zarazem monotonnym głosem.

*Osobnik, który w 1953 roku stanowił obiekt naszego eksperymentu, należy do znanej kategorii pseudo-intelektualnych introwertyków. Jego osobowość, idealnie nadająca się do naszych celów, pozbawiona jest poza tym wszelkich interesujących aspektów. Jej najbardziej uderzającą cechą jest cecha negatywna: brak społecznego kontekstu.*

*Motywacje postawy wynikają z częściowo rozwiązanego kompleksu Edypa. Charakterystyczne symptomy strachu przed autorytetami, zmieszanego z szacunkiem, szczególnie dla autorytetu męczyzn, typowy syndrom ambiwalentnego stosunku do kobiet, stanowiący jednocześnie przedmiot*

pożądania i potencjalne zagrożenie zdradą, za co należy im się kara — oczywiście również zdrada.

Nie mieliśmy czasu przeanalizować urazów pochodzących z czasów niemowlęstwa — oddzielenie od łona i od piersi, lecz wytworzone mechanizmy obronne, jakże częste u tak zwanych intelektualistów, pozwoliły nam stwierdzić, że odłączenie od piersi odbyło się przedwcześnie, prawdopodobnie z uwagi na zawód ojca, zatem ojciec, mężczyzna, został wcześniej zidentyfikowany jako wróg, agresor; rola ta w naszym eksperymencie przypadła doktorowi Conchisowi. Pacjent do dziś dnia nie jest w stanie pogodzić się z początkową utratą satysfakcji oralnych i macierzyńskiej opieki i temu właśnie należy przypisać jego autoerotyczny stosunek do problemów uczuciowych i życia w ogóle. Pacjent zdradza także wszystkie objawy przypisywane przez Adlera osobnikom pozbawionym rodzeństwa.

Pacjent zerował emocjonalnie i seksualnie na kilku młodych kobietach. Według doktor Maxwell jego metoda polegała na podkreślaniu swego osamotnienia i smutku, jednym słowem odgrywał rolę chłopczyka poszukującego utraconej matki. W ten sposób wyzwalal w swych ofiarach przytłumione uczucia macierzyńskie, a potem eksploatował je z wrodzoną dla tego typu psychicznego bezwzględnością.

Pacjent odrzucając możliwość istnienia Boga, identyfikuje go równocześnie z obrazem ojca.

Szuka izolacji. Rozwiązuje swoje kompleksy, ustawiając się w pozycji buntownika i outsidera. Nie uświadamia sobie, że szuka izolacji po to, by usprawiedliwić swój stosunek do kobiet, a także po to, by odseparować się od każdej społeczności, która nie pozwala mu na zaspokojenie ambicji.

Rodzina, klasa społeczna i narodowość raczej przeszkodziły, niż pomogły pacjentowi w rozwiązaniu nękających go problemów. Pochodzi z rodziny wojskowej, w której istniało bardzo wiele tabu narzuconych przez autorytet ojca. Jest to typowe dla takich właśnie środowisk mieszczańskich, nazwanych przez Zwiemanna „technoburżuazją”. Kiedyś pacjent oświadczył w rozmowie z doktor Maxwell: „Przez cały okres dojrzewania byłem zmuszony do prowadzenia podwójnego życia”. Bardzo dobra laicka definicja wywołanej otoczeniem, a na koniec świadomie sobie narzuconej, paraszizofrenii. Przypomina się tu słynne zdanie Karen Horney „oblęd spełniający funkcję spoidła”.

Opuściwszy uniwersytet pacjent sam wybrał nienawistne sobie środowisko; ekskluzywną szkołę prywatną, społeczny nadajnik wszystkich wrogich mu pojęć

paternalizmu i autorytatywności. Jak łatwo było przewidzieć, wkrótce poczuł się zmuszony do ucieczki i z tej szkoły, i ze swego kraju, zdecydował się na status wygnańca, zabezpieczając się jednak przed ewentualnym przystosowaniem wybierając środowisko — szkołę na Phraxos — które musiało wzbudzić w nim, łagodnie mówiąc, niechęć. Jeśli chodzi o jego pracę zawodową, wyniki były zaledwie zadowalające, natomiast ani nie potrafił, ani nie chciał nawiązać kontaktu z resztą nauczycieli czy z uczniami.

Sumując, pacjent jest ofiarą wyparcia-kompulsji, których nie potrafi sobie uświadomić. W każdym środowisku szuka elementów umożliwiających mu izolację, pozwalających usprawiedliwić we własnych oczach ucieczkę przed odpowiedzialnością, niechęć do zajęcia miejsca w społeczeństwie i wynikającą z tego regresję do dziecięcego stanu sfrustrowanych poszukiwań samozadowolenia. Obecnie ta autystyczna regresja przybiera wzmiankowaną wyżej formę romansów z młodymi kobietami. Choć poprzednie próby znalezienia ujścia dla swoich problemów w sztuce speszły na niczym, śmiało możemy przewidzieć, że pacjent do nich powróci i wszystko odbędzie się wedle typowego wzorca: płaszczenie się przed obrazobórczą awangardową sztuką, pogarda dla tradycji, sympatia dla popadających w konflikty współbuntowników i nonkonformistów, częste depresje i uleganie manii prześladowczej tak w życiu prywatnym, jak i zawodowym. Jak zauważył doktor Conchis w swoich Kłopotach półwiecza: „przeznaczeniem buntownika pozbawionego talentu do buntu jest zostanie trutniem i nawet ta metafora jest zbyt pochlebna, gdyż truteń ma przynajmniej jakąś szansę na zapłodnienie królowej, której pozbawiony jest jego ludzki odpowiednik. I wreszcie musi sobie zdać sprawę z własnej sterylności i z braku nie tylko życiowego sukcesu będącego udziałem królowych, ale nawet skromnych satysfakcji zwykłych robotników ludzkiego ula. Tego typu osobowość odbiera tylko impulsy, a taki stan jest zaprzeczeniem pierwotnego popędu skłaniającego do buntu. Nic więc dziwnego, że wielu spośród tych nieudanych buntowników, którzy będąc w średnim wieku uświadamiają sobie, że są trutniami, przybiera maską cynizmu, pod którą jednak nie potrafią ukryć swego mniej lub bardziej paranoicznego rozczarowania życiem.”

Kiedy pani doktor przemawiała, każdy słuchał jej na swój sposób, jedni nie spuszczała z niej oczu, inni kontemplowali stół. Lily należała do najuważniejszych słuchaczy. „Studentci” notowali. Ja przez cały czas wpatrywałem się w czytającą

kobietę, która nie spojrzała na mnie ani razu. Byłem wściekły, nienawidziłem ich. W tym, co mówiła, tkwiła cząstka prawdy. Ale nic nie usprawiedliwiało tej publicznej analizy, nawet gdyby była najprawdziwsza, tak jak nic nie mogło usprawiedliwić postępowania Lily, bowiem większość materiału, na którym oparto analizę, musiała pochodzić od niej. Spojrzałem na nią, ale ona nie podniosła oczu. Wiedziałem, kto napisał ten referat. Rozpoznawałem sformułowania Conchisa. Nie dałem się wprowadzić w błąd nowej masce. Nadal był mistrzem ceremonii, to on poruszał nitkami, to on czyhał w środku pajęczyny.

Amerykanka wypila łyk wody. Panowała cisza, referat nie dobiegł widać do końca. Znów zaczęła mówić.

– Mamy tu jeszcze dwa dopiski. Jeden z nich jest pióra profesora Ciardi:

*„Nie zgadzam się z poglądami, że sam przedmiot naszego eksperymentu jest pozbawiony znaczenia. Uważam, że należy przewidywać, iż za jakieś dwadzieścia lat nastąpi na Zachodzie okres trudnego dziś do wyobrażenia dobrobytu. Od dawna już utrzymuję, że groźba katastrofy nuklearnej wpłynie zbawczo na Europę Zachodnią i Amerykę. Po pierwsze wywoła wzmożenie produkcji, po drugie zapewni trwałą pokój, po trzecie dostarczy nieustannego poczucia zagrożenia, którego, według mego zdania, brakowało Europie przed ostatnią wojną, co przyczyniło się do wybuchu tej wojny. Choć groźba wojny do pewnego stopnia osłabi dominującą rolę, jaką z natury rzeczy odgrywa płęć żeńska w pokojowym, oddanym poszukiwaniu przyjemności społeczeństwie, przewiduję jednak, że tacy mężczyźni z fiksacją fazy oralnej – których przedstawicielem jest przedmiot naszego eksperymentu – będą w tym okresie stanowili większość. Wchodzimy w amoralną erę, w której wszystko będzie dozwolone, w której samozadowolenie w formie wysokich zarobków i szerokiego asortymentu towarów konsumpcyjnych stanie się udziałem, jeśli nie wszystkich, to przeważającej większości. W takiej epoce typowa osobowość jednostki musi nabrać cech autoerotyzmu, stać się, mówiąc językiem medycznym, auto-psychotyczna. Jednostka taka dzięki ogólnym warunkom ekonomicznym znajdzie się w podobnej sytuacji co przedmiot naszego eksperymentu – nie będzie bezpośrednio narażona na nękające człowieka plagi; głód, nędzę, złe warunki mieszkaniowe itd. Zachodni homo sapiens stanie się homo solitarius. Choć nie czuję osobistej sympatii dla naszego pacjenta, jest on dla mnie, jako dla socjopsychologa, bardzo interesującym przypadkiem. Potwierdził bowiem*



*moje przewidywania: jego osobowość wygląda tak właśnie, jak może w naszym stuleciu wyglądać osobowość człowieka o dość dużej inteligencji, pozbawionej umiejętności analitycznych, człowieka, który jest ignorantem w sprawach nauki. Jego przypadek udowadnia, że współczesny system ocen nie uznających trwałych wartości nie jest w stanie wyposażyć człowieka tak, aby mógł wypełnić swoją rolę w procesie ewolucji.”*

Kobieta położyła arkusik papieru i wzięła następny.

— Drugi dopisek jest pióra doktor Maxwell, która jak wiadomo utrzymywała z pacjentem najbliższy kontakt.

*„Osobiście uważam, że egoizm i społeczna nieadekwatność pacjenta wynikają z jego przeszłości i diagnoza, jaką mu zakomunikujemy, winna podkreślać fakt, iż za te jego braki charakterologiczne należy obwiniać okoliczności, na które nie miał wpływu. Inaczej pacjent mógłby nie zrozumieć, że chodzi nam o medyczną diagnozę, nie o potępienie moralne. Możemy co najwyżej litować się nad osobowością, która musi ukrywać swoje ujemne cechy za pomocą tak wielu świadomych i nieświadomych kłamstw. Musimy pamiętać, że pacjenta nikt nie nauczył autoanalizy, nie wyposażył go w rynsztunek myślowy umożliwiający poznanie samego siebie i że odebrane przez niego wykształcenie raczej mu w tym przeszkodziło, niż pomogło. Mówiąc alegorycznie urodził się jako krótkowidz, a jego środowisko odebrało mu do końca wzrok. Nie można się dziwić, że nie potrafi znaleźć swojego miejsca.”*

Amerykanka usiadła. Starzec z białą brodą skinął głową, jakby zgadzał się z werdyktem. Spojrzał na mnie, potem na Lily.

— Uważam, pani doktor Maxwell, że pacjentowi należy się, aby mu pani powtórzyła to, co mi pani oświadczyła wczoraj wieczorem.

Lily skinęła głową, potem wstała i zwróciła się w stronę „kolegów”. Spojrzała na mnie przelotnie jak na wykres na tablicy. — Podczas moich kontaktów z pacjentem uległam odwrotnemu przeniesieniu. Przeanalizowałam to z pomocą doktor Marcus i doszłyśmy wspólnie do wniosku, że to uczuciowe zaangażowanie należy rozbić na dwa składniki. Po pierwsze na pociąg fizyczny, sztucznie rozdmuchany na skutek odgrywanej przeze mnie roli. Druga komponenta jest już ze swej natury empatyczna.

Pacjent aż tak się nad sobą lituje, że zaraża tym swoje otoczenie. Wydaje mi się, że zasługuje to na uwagę w świetle komentarza profesora Ciardi.

Starzec skinął głową. — Dziękuję pani. — Lily usiadła. A on spojrzał na mnie. — Wszystko to może wydawać się panu zbędnym okrucieństwem. Ale nie chcemy niczego przed panem ukrywać. — Spojrzał na Lily. — Jeśli chodzi o pierwszą komponentę pani uczuciowego zaangażowania, czyli o pociąg fizyczny, czy może pani poinformować nas i pacjenta, jak się ta sprawa przedstawia obecnie?

— Uważam, że pacjent tylko jako seksualny partner zdałby egzamin na męża. — Powiedziała to lodowatym tonem, spojrzała na mnie i potem znów na starca. Przeszło mnie wspomnienie: Lily oparta o mnie, noc, deszcz, niespieszne pieszczoty.

Wtrąciła się doktor Marcus. — Popędy pacjenta działają destrukcyjnie?

— Tak.

— To znaczy?

— Niewierność. Egoizm. Bezwzględność w sprawach codziennych. Nie wykluczam skłonności homoseksualnych.

Starzec: — Czy sytuacja zmieniłaby się, gdyby pacjenta poddano psychoanalizie?

— Sądzę, że nie.

Starzec odwrócił się: — Maurice, jak uważasz?

Conchis patrząc na mnie zabrał głos. — O ile wiem, wszyscy zgodziliśmy się, że pacjent był idealnym obiektem naszego eksperymentu, ale ma wiele cech masochistycznych i omawianie jego braków może mu dostarczyć przyjemności. Uważam, że okazywanie mu dalszego zainteresowania mija się z celem, a jemu może wyrządzić trwałą szkodę.

Starzec spojrzał na mnie: — Kiedy był pan pod narkozą, ujawniło się, że jest pan nadal pod urokiem doktor Maxwell. Część naszych kolegów obawia się, jak przeżyje pan utratę tej mitycznej postaci znanej panu jako Julie, skoro nastąpi tak szybko po utracie pańskiej australijskiej przyjaciółki, za której śmierć, muszę panu powiedzieć, czuje się pan w swej podświadomości odpowiedzialny. Mam na myśli możliwość samobójstwa. Ale doszliśmy do wniosku, że pańskie przywiązanie do własnej osoby jest zbyt silne, by groziło panu coś więcej niż ewentualna historyczna próba samobójstwa. I radzimy, żeby się pan przed tym strzegł.

Skłoniłem głowę ironicznym dziękczynnym gestem. Godność, za wszelką cenę należy zachować resztkę godności.

— No tak... czy ktoś pragnie jeszcze zabrać głos? — rozejrzał się wokoło. Wszyscy pokręcili przecząco głowami. — W porządku. Nasz eksperyment dobiegł końca. — Wezwał „komisję”, by się podniosła. „Studenci” siedzieli nadal. — Nie ukrywaliśmy naszej opinii o panu, ale jest to proces, a my byliśmy świadkami obciążającymi samych siebie. Przypominam panu, że to pan jest sędzią i że nadeszła pora wydania wyroku. Przede wszystkim wybraliśmy naszego *pharmakos*. Naszego ofiarnego kozła.

Spojrzał w lewo. Lily zdjęła okulary, obeszła dokoła stół i pochyliwszy głowę stanęła naprzeciwko mnie tuż przed podestem; biała suknia, pokutnica. Nawet jeszcze wówczas byłem na tyle głupi, iż zacząłem przewidywać jakiś fantastyczny happy end... może pseudoślub... i zawzięcie wyobrażałem sobie, co zrobię, jeśli oni ośmielą się coś takiego mi zaproponować.

— Ona jest pańskim więźniem, ale nie może pan postąpić wobec niej według swego widzimisie, bowiem obowiązujący nas kodeks sprawiedliwości medycznej wyznacza rodzaj kary za przestępstwo polegające na pozbawieniu obiektu naszego eksperymentu zdolności wybaczenia. — Zwrócił się do stojącego blisko wejścia Adama — Proszę o aparaturę.

Adam coś zawołał. Siedzący za stołem ludzie wstali i zwartą grupą, na której czele znajdował się starzec, stanęli naprzeciwko „studentów”. Weszło czterech umundurowanych na czarno mężczyzn. Szybko zabrali lektyko-trumnę i dwa stoły, środek sali opustoszał. Trzeci stół ustawiono tuż przede mną, koło Lily. Potem dwóch mężczyzn wyszło i wróciło niosąc ciężką drewnianą ramę, przypominającą framugę drzwi, na składanych nóżkach. Z dwóch stron od wewnątrz, dość wysoko przybito żelazne kółka. Ustawili tę framugę na środku sali, Lily odwróciła się i podeszła do niej. Stała naprzeciwko podnosząc do góry ręce. Adam przykuł ją do kółek, stała jak ukrzyżowana, zwrócona do mnie plecami. Na jej głowę nałożono skórzany hełm zasłaniający także szyję.

Była to rama do chłosty.

Adam wyszedł, ale po dwóch sekundach wrócił.

Z początku nie widziałem, co niesie. Kiedy się zbliżył, zrozumiałem, na czym ma polegać ostatni okrutny żart.

Trzymał w ręku czarny kij, do którego była przywiązana długa grzywa skórzanych, powiązanych w supły rzemieni. Adam rozplatał dwa lub trzy, po czym położył kij przede mną na stole. Wrócił do Lily — ta sekwencja została starannie

wyreżyserowana — i jednym ruchem otworzył aż po pas zamek błyskawiczny na jej plecach. Potem rozpiął biustonosz i starannie rozsunął suknię, tak że zobaczyliśmy obnażone plecy. Widziałem na jej skórze różowy ślad po zapięciu biustonosza.

To ja miałem wystąpić w roli eumenid, bezlitosnych erynii.

Spocily mi się ręce. Znow straciłem grunt pod nogami. Tak było cały czas. Mając do czynienia z Conchisem człowiek co chwila myślał, że już znajduje się na dnie, a potem następowała kolejna przykra niespodzianka.

Podobny do Smutsa starzec podszedł i stanął naprzeciwko mnie.

— Oto pański kozioł ofiarny. Tu leży narzędzie kary. Jest pan w tej chwili zarazem sędzią i katem. My, wszyscy tu obecni, jesteśmy wrogami bólu, musi pan o tym pamiętać, kiedy w przyszłości będzie pan o tym dniu rozmyślał. Ale wszyscy zgodziliśmy się, że w czasie naszego eksperymentu musi nastąpić moment, kiedy pan, obiekt naszego eksperymentu, będzie miał całkowicie wolny wybór, czy chce nam pan zadać ból, ból, do którego wszyscy czujemy odrazę. Wybraliśmy doktor Maxwell, bo ona najlepiej symbolizuje to, czym dla pana jesteśmy. Poprosimy pana, aby tak jak rzymski cesarz podniósł pan lub opuścił prawy kciuk. Jeśli pan go opuści, zostanie pan uwolniony z więzów i będzie pan mógł wymierzyć winowajczyni najsurowszą karę, ograniczoną jednak do dziesięciu uderzeń. Wystarczy to, by wyla się w mękach i została trwale oszpecona. Jeśli podniesie pan kciuk ruchem łaski, po krótkim okresie dezintoksykacji zostanie pan uwolniony i nigdy już nas pan nie zobaczy. Zwolnimy pana także i wówczas, jeśli wybierze pan karę, wówczas dezintoksykacja będzie zbędna. Ostatnia prośba: niech się pan dobrze zastanowi przed podjęciem decyzji.

Na jakiś niewidoczny sygnał studenci wstali. Wszyscy obecni utkwili we mnie wzrok. Uświadomiłem sobie, że chcę dokonać wyboru, który wyda im się słuszny, który sprawi, że dobrze mnie zapamiętają, udowodni im, że nie mieli racji. Wiedziałem, że jestem sędzią tylko z nazwy. Tak jak wszyscy sędziowie zostaną ostatecznie osądzony, osądzony na podstawie wydanego przeze mnie wyroku.

Nietrudno było zrozumieć, że absurdem była rzekoma wolność wyboru. Wszystko zostało zainscenizowane tak, że nie mogłem ukarać Lily. Pragnąłem, żeby płakała błagając o wybaczenie, nie z bólu. Uważałem zresztą, że nawet jeśli opuszczę kciuk, potrafią mi przeszkodzić w wykonaniu wyroku. Cała ta sytuacja wraz z sadystycznym podtekstem miała w sobie coś fałszywego. I nawet wówczas, mimo że wrzałem z gniewu i urazy, moim głównym uczuciem było tak często już przedtem odczuwane zdziwienie, iż wszystko to zostało zmontowane na moją cześć.

Nie bez wahania, zastanawiając się, czy naprawdę mam wolność wyboru, opuściłem kciuk.

Starzec przez chwilę mi się przyglądał, potem dał znak strażnikom i wrócił do swojej grupy. Uwolniono moje ręce. Wstałem i roztarłem przeguby, potem zerwałem knebel. Odrywanie plastra od zarostu było nieprzyjemne i przez chwilę mrugałem oczami z bólu. Strażnicy nawet nie drgnęli. Zacząłem masować skórę i rozejrzałem się wokoło.

Milczenie. Myśleli pewnie, że coś powiem, nie odezwałem się więc ani słowem.

Zszedłem po drewnianych schodkach i wziąłem do ręki bicz. Podświadomie oczekiwałem, że okaże się teatralnym rekwizytem. Ale był zadziwiająco ciężki. Rękojeść, splecione rzemienie, gałka. Rzemienie były zużyte, supły twarde jak metal. Prawdziwy antyk z Marynarki Królewskiej z czasów wojen napoleońskich. Bawiąc się biczem rozmyślałem. Tak, oni teraz najprawdopodobniej zgaszą światło i rozpocznie się szamotanina. Przy drzwiach stoi tych czterech mężczyzn i Adam, o ucieczce nie ma mowy.

Nagle chwyciłem bat i zamachnąłem się nim nad stołem. Syk przecinanego powietrza; odgłos uderzających o stół rzemieni zabrzmiał jak strzały. Kilku studentów podskoczyło. Jakaś dziewczyna spuściła oczy. Ale nikt nie podszedł. Zacząłem iść w stronę Lily. Nie oczekiwałem, że mi na to pozwolą.

Pozwolili. Nadal nikt się nie ruszał, ja mógłbym ją już uderzyć, a najbliższa osoba znajdowała się o trzydzieści stóp. Stałem tak, jakbym się zamierzał, z lewą nogą wysuniętą naprzód. Potrząsałem nawet dyscypliną i rzemienie musnęły plecy Lily. Jej twarz ukryta była w skórzanej osłonie. Przerzuciłem dyscyplinę na ramię, jakbym chciał się zamachnąć i z całej siły uderzyć w białe plecy. Spodziewałem się krzyku protestu, spodziewałem się, że ktoś się na mnie rzuci. Ale nikt nie drgnął, zresztą musieli wiedzieć równie dobrze jak ja, że nie zdążyliby. Tylko strzał mógłby mnie jeszcze powstrzymać. Rozejrzałem się, czy ktoś nie ma rewolweru. Ale wszyscy, jedenastu naukowców, strażnicy, „studenci” stali bez ruchu.

Spojrzałem znów na Lily. Wstąpił we mnie demon, duch występnego markiza, chciałem uderzyć, zobaczyć na białej skórze czerwone wilgotne rany. Może zresztą nie tyle chciałem ją zranić, co przerazić, uświadomić im wszystkim okropieństwo tego, co robią, okropieństwo narażania jej na podobne ryzyko. To „Anton” powiedział: *Ona jest bardzo dzielna*. Jakże musieli być pewni mojej przyzwoitości, idiotycznej angielskiej przyzwoitości; mimo wszystkich *bandiller*, które zraniły moją miłość

własną, byli jednak zupełnie pewni, że nawet gdyby ta próba miała trwać sto tysięcy lat, nie spuszczę dyscypliny na plecy Lily. Spuściłem, ale bardzo powoli, jakbym jeszcze raz chciał sprawdzić odległość i znów podniosłem ją do góry. Chciałem się przekonać, czy to nie Conchis pod hipnozą zabronił mi wykonania tego czynu. I zrozumiałem, że nie. Że mam naprawdę wolność wyboru. Że jeśli zechcę, mogę ją uderzyć.

I nagle przejrzałem.

Nie stałem w podziemnej cysternie trzymając w raku dyscyplinę, tylko na rozslonecznionym skwerku przed dziesięcioma laty z niemieckim karabinem w dłoni. I to nie Conchis grał obecnie rolę Wimmla. Wimmel tkwił we mnie, w mojej podniesionej ręce, w całej mojej przeszłości, a przede wszystkim w tym, co wyrządziłem Alison.

*Im lepiej zrozumiesz, na czym polega wolność, tym mniej będziesz z wolności korzystał.*

Tak, moja wolność polegała na tym, żeby nie uderzyć, choćby miało mnie to nie wiem ile kosztować, choćby miało to zabić we mnie osiemdziesiąt aspektów mojej osobowości, cokolwiek mieliby o mnie pomyśleć obserwujący mnie ludzie, choćby miało to potwierdzić ich przewidywania, choćby mieli uznać to za wybaczenie, uważać, że wystrychnęli mnie na dudka. Opadła mi ręka, do oczu napłynęły łzy gniewu i zawodu.

Tak, ku temu zmierzały wszystkie manewry Conchisa, wszystkie te szarady psychologiczne, teatralne, metapsychiczne, erotyczne. Oto stałem tak jak on stał przed partyzantem, i zaczynałem rozumieć, że czasem w najdziwniejszych momentach trzeba spłacać stare długi, że bardzo dziwną cenę płaci się za to, co się zrobiło.

Grupa jedenastu stała pod ścianą wokół lektyki, tak jakby jej przede mną pilnowali. Spojrzałem na June, unikała mojego wzroku. Poczułem, że się boi, że nie jest mnie pewna.

Białe plecy.

Podszedłem do tych jedenastu ludzi, do Conchisa. Stojący obok niego „Anton” zrobił pół kroku naprzód. Widziałem, że spręży się do skoku. Joe także przyglądał mi się jastrzębim okiem. Stanąłem przed Conchisem i podałem mu dyscyplinę rękojeścią naprzód. Wziął ją nie odrywając oczu od moich oczu. Długośmy na siebie patrzyli, to samo co zawsze małpie, baczne spojrzenie.

Oczekiwał, że się odezwę, że coś powiem. Ale nie chciałem. I nie mogłem.

Przebiegłem wzrokiem po twarzach tych jedenastu osób. Wiedziałem, że są to aktorzy i aktorki, ale nawet najwybitniejsi przedstawiciele tego zawodu nie potrafiliby nie mówiąc ani słowa udać ludzi inteligentnych, doświadczonych i intelektualnie uczciwych. Nie braliby też udziału w takim przedstawieniu tylko dla pieniędzy, choćby Conchis wypłacał im nie wiem jak wysokie gaże. Połączyło nas dziwne porozumienie, jakbyśmy wzajemnie poczuli do siebie szacunek. Może z ich strony była to tylko ulga, że jestem taki, za jakiego mnie w gruncie rzeczy uważali, choć poniżali mnie i upokarzali, a ja niewyraźnie czułem, że znalazłem się w znacznie głębszym, mądrzejszym, bardziej ezoterycznym towarzystwie, w którym nie powinienem się odzywać bez narażenia się na niebezpieczeństwo. Stojąc tak naprzeciwko ich milczenia, ich twarzy pozbawionych wrogości, ale niezdolnych do pobłażania, obojętnych na mój gniew, równie nieprzeniknionych co twarze na flamandzkich obrazach poczułem, że się niemal fizycznie kurczę. Ogarnęło mnie poczucie własnej małości tak jak wobec pewnych dzieł sztuki, pewnych odwiecznych prawd.

Potwierdzenie tego dojrzałem w oczach Conchisa: coś jeszcze, prócz *eleutheria*, zostało udowodnione w trakcie tego eksperymentu. I byłem jedyną osobą na sali, która nie wiedziała, o co chodziło. Zaglądałem Conchisowi w oczy, ale z równym skutkiem mógłbym się wpatrywać w ciemność nocy. Przez umysł przeleciało sto myśli, sto słów zadrżało na wargach i zamarło.

Nikt nie udzielił mi odpowiedzi, nikt się nie poruszył.

Szybko wróciłem na swój „tron”.

Patrzyłem, jak wychodzą studenci, jak rozwiązuje się ręce Lily i June pomaga jej się ubrać. Potem wyszły za innymi. Zabrano także ramę. Pozostała już tylko grupa dwunastu. Kolejno skłaniali się i wychodzili, prawdziwy chór z Sofoklesa.

Mężczyźni przepuścili kobiety, pierwsza zniknęła Lily. Ale kiedy ostatni z mężczyzn opuścił salę, wróciła na chwilę, stanęła w sklepionym przejściu, spojrzała na mnie wzrokiem pozbawionym wyrazu i mogłem się tylko domyślać, dlaczego chciała, żebym jeszcze raz na nią spojrział, czy też dlaczego sama chciała spojrzeć na mnie po raz ostatni.

Zostałem sam z trzema strażnikami, którzy mnie tu przyprowadzili. Adam poczęstował mnie papierosem. Zapaliłem: czułem zarazem gniew, ulgę i rozterkę. Dręczyło mnie uczucie, że powinienem był ostro na nich natrzeć, denuncjując ich nieczne praktyki, a równocześnie wiedziałem, że tylko postąpiwszy tak, jak postąpiłem, ocaliłem resztkę godności. Kończyłem już papierosa, kiedy Adam spojrział na zegarek, a potem na mnie.

— Pora...

Wskazał na kajdanki zwisające z poręczy fotela.

— Koniec z tym. Nie zrozumiałeś? — Wstałem, ale oni chwycili mnie za ręce. Głęboko odetchnąłem. Adam wzruszył ramionami.

— *Bitte*.

Dałem się przykuć do tamtych dwóch mężczyzn. Adam przyniósł knebel. Tego było już za wiele. Zacząłem się wrywać, ale oni przytrzymali mnie mocno. Znów byłem bezbronny, znów nie miałem wyboru. Adam nałożył mi knebel, tyle że tym razem nie przyklepił go plastrem. Wyszliśmy łukowym przejściem, ale zaraz za nim skęciliśmy w prawo, nie w lewo, zatem nie wracaliśmy tą drogą, którą przyszlismy. Dwadzieścia, może trzydzieści kroków, potem pięć stopni w dół i weszliśmy do innej dużej sali czy też cysterny.

Popchnięto, mnie w tył, coś dłubano przy kajdankach. Nagle moje lewe ramię zostało uniesione do góry, rozległ się szcęk i uświadomiłem sobie ze zgrozą, co zaszło. Przykuwano mnie do ramy. Zacząłem naprawdę walczyć. Atakowałem kopiąc mężczyznę, do którego byłem jeszcze przykuty. Gdyby chcieli, mogliby mnie zmasakrować. Było ich trzech, ja nic nie widziałem, opór był śmieszny. Ale musiano im wydać rozkaz, żeby traktowali mnie łagodnie. Więc tylko przykuli do drugiego kółka moją drugą rękę, i zdjęli mi maskę.

Pokój był długi i wąski, też cysterna, ale dużo niższa, długa na jakieś osiemdziesiąt stóp, szeroka na dwadzieścia. W połowie jej długości ustawiono biały ekran filmowy taki sam jak w Bourani. O parę stóp za nim wisiała czarna kurtyna. Zza niej wyglądał szczyt obdrapanego muru. Kopia tamtej kapliczki z ikonostasem z Moutsy, tyle że dużo większa. Byłem przykuty do pręgierza, ale stałem twarzą do pokoju, tuż pod ścianą. Przede mną, trochę z prawej strony, stał aparat do wyświetlania filmów z szesnastomilimetrową taśmą. Światło padało tylko z widocznych z lewej strony drzwi.



Moje trio czarnych koszul nie marnowało czasu. Podeszli do projektora, sprawdzili, czy na szpulce jest film, i uruchomili aparaturę. Na białym ekranie pokazało się czarne koło, jakby był to znak firmowy tej filmowej spółki. Jeden z mężczyzn naregulował ostrość obrazu. Adam stanął przede mną, dostatecznie daleko, żebym nie mógł mu wymierzyć kopniaka, i oznajmił. — Ostateczna dezintoksykacja.

Zrozumiałem, że zmuszano mnie do „wybaczenia”, abym doznał teraz ostatecznego upokorzenia, chłosty nie fizycznej, lecz moralnej.

Zatem ciągle jeszcze nie sięgnąłem dna. Zostałem sam z warkoczającym aparatem i z tym, co kryło się za czarną kurtyną. Koło znikło, na ekranie pojawił się napis.

*Polymus Films*

*Przedstawia*

Ekran przez chwilę był pusty. A potem:

*Sromotna prawda*

Znów czarne koło. I...

*W roli głównej  
słynna ladacznica ,*

*Jo*

Biały ekran.

*Którą znacie także jako*

*Izydę*

*Astarte*

*Kali*

Długa przerwa.

*I jako czarującą*

*Lily Montgomery*

Króciutka sekwencja. Lily klęczy za jakimś mężczyzną. Obraz zniknął już z ekranu, kiedy zdałem sobie sprawę, że tym mężczyzną jestem ja. Ktoś, pewnie Conchis, sfilmował nas przez teleobiektyw tego dnia, kiedy Lily wyrecytowała mi fragment *Burzy*. Przypomniałem sobie, że wspomniała nawet o jego kamerze.

*I jako niezapomnianą i ponętą*

*Julie Holmes*

Znów krótkie ujęcie: stoję i całuję Julie pod posągami Posejdona.

*i wreszcie jako uczoną i dzielną*

*Vanesse, Maxwell*

Tym razem była to fotografia. Lily siedziała za usłanym papierami biurkiem. Probówki. Mikroskop. Imitacja pani Curie-Skłodowskiej.

*Obecnie obejrzyjecie ją w jej najśłynniejszej roli*

Znów pokazało się koło.

*Zagra*

*samą siebie*

Biały ekran.

Potem niewyraźny obraz Joego, jak w tej swojej masce szakala biegnie w stronę domu w Bourani, diabeł w słonecznym blasku; biegnie w stronę kamery i wreszcie ją sobą zasłania. Czerń.

*Wraz*

*z potworem z Missisipi*

Biel.

*Joe Harrisonem*

Znów to czarne koło.

*Który także*

*zagra samego siebie.*

Potem pokazały się; słowa w ozdobnej ramce

*Lady Jane, zdeprawowana*

*młoda arystokratka,*

*w swym hotelowym pokoju.*

Zatem miał to być film pornograficzny.

Zaczął się: zalotna sypialnia w stylu edwardiańskim. Wchodzi Lily w peniuarze, z rozpuszczonymi włosami. Peniuar rozchyła się ukazując czarny gorset. Lily zatrzymuje się, by poprawić pończoszkę, wyświechtany sposób pokazania nóżki, ale tym razem także i blizny na nadgarstku. Nagle patrzy w stronę drzwi i coś mówi. Wchodzi pikolak z listem na tacy. Lily bierze list, chłopiec wychodzi. Lily otwiera kopertę, śmieje się szyderczo i rzuca ją na ziemię. Kamera odnajduje na ziemi list.

Jakość techniczna filmu była fatalna, był źle zsynchronizowany, obraz drżał, przypominało to pierwsze filmy nieme. Pokazał się następny podpis w ramce

*„...teraz kiedy znam prawdę o twoim  
rozwiązłym życiu, wszystko między nami*

*skończone. Twój, już nie na długo, zde gustowany mąż.*

*Lord de Vere”.*

Następna sekwencja. Lily leży na łóżku, kamera filmuje ją z góry. Zniknął peniuar. Gorset, siatkowe pończoszki. Bardzo wymalowana twarz, stosownie wydeptane wargi i wygląd *femme fatale*, ale wizualny efekt nie odbiega od słownego, pornografia zahacza często o śmieszność, tym razem było to chyba umyślne.

Potem wszystko ma się zakończyć żartem, żartem w bardzo złym guście, ale jednak żartem.

*Dysząc z żądzy czeka na  
swego czarnego jak węgiel  
kochanka, aby wpaść w objęcia  
grzechu.*

To samo ujęcie co przedtem. Nagle Lily siada na tym swoim łóżku z francuskiego burdelu i uśmiecha się lubieżnie. Ktoś wchodzi.

*Pojawia się Czarny Byk,  
śpiewak z wodewilu.*

Otwarte drzwi. Stoi w nich Joe w absurdalnie obcisłych spodniach i białej bluzie z szerokimi rękawami. Wygląda raczej na czarnego toreadora niż czarnego byka. Zamyka drzwi, ognisty wzrok. Film robi się plugawy. Ujęcia Lily biegnącej na jego spotkanie. On podchodzi, chwytą ją w ramiona i zaczyna namiętnie całować. Popycha ją na łóżko, oboje leżą w poprzek. Potem Lily kładzie się na nim i okrywa jego twarz i szyję pocałunkami.

*Czarny samiec i biała kobieta.*

Lily w czarnej bieliźnie stoi pod ścianą, wyciągając ręce. Klęczy przed nią obnażony do pasa Joe, wsuwa ręce pod gorset. Ona przytula do siebie jego głowę.

*To dlatego porzuciła kochającego  
męża, dzieci, rodzinę; wyrzekła  
się religii, wyrzekła się wszystkiego.*

Pięć sekund interludium poświęconego fetyszyzmowi. Joe leży na podłodze. Zbliżenie nagiej nogi w czarnym pantofelku na wysokim obcasie. Pantofelek opiera się o jego brzuch. On go pieści. Aha. Ta noga może być przecież nogą zupełnie innej białej kobiety, ten brzuch i ręce brzuchem i rękami każdego Murzyna.

*Namiętność wzrasta.*

Oboje stoją przy ścianie, ona obejmuje go i całuje. On rozpina jej gorset. Długie nagie białe plecy otoczone czarnymi ramionami. Kamera zjeżdża niżej. Sugestywny ruch czarnej ręki. Joe jest chyba nagi, ale częściowo zasłania go jej białe ciało. Widziałem jego twarz, ale zdjęcia były tak niedobre, że nie miałem żadnej pewności, iż to naprawdę Joe. Jej twarz w ciągu całej sekwencji ani razu się nie ukazała.

*Bezwstyd.*

Byłem bardziej ogarnięty wątpliwościami niż zaszokowany. Seria krótkich ujęć. Nagie białe piersi, nagie czarne uda, dwie nagie sylwetki na łóżku. Sfilmowane z tak daleka, że nie można ich było zidentyfikować. Jasne włosy kobiety wydawały się zbyt jasne i zbyt błyszczące, robiły wrażenie peruki.

*Zwykli ludzie żyją sobie zwyczajnie*

*A tu odbywa się bestialska orgia.*

Jakaś ulica w nie znanym mi mieście, które robi wrażenie amerykańskiego. Zatłoczone chodniki, godzina szczytu. Dużo wyższa jakość zdjęć, prawdopodobnie sekwencję tę wycięto z jakiegoś istniejącego filmu; przy niej sekwencje porno wydają się jeszcze bardziej staroświeckie i wywołujące klaustrofobię.

*Sprośne pieścizoty.*

Anonimowa biała ręka głaszcze anonimowy phallus w jednej z najzwyklejszych miłosnych pieścizot. Jej sprośność polega na tym, że owa para ludzi pozwala się w takim momencie filmować. Ale na nadgarstku prawej ręki nie było śladu blizny i choć ta ręka poruszała się tak, jakby grała na flecie, założyłbym się teraz, że nie jest to Lily.

*Zaprosiny.*

Pornograficzne zdjęcie leżącej na łóżku nagiej dziewczyny. Znów nie było widać twarzy. Z rozłożonymi nogami czekała na Murzyna, jego plecy niemal przysłaniały kamerę.

*Tymczasem...*

Zupełna zmiana. Inna kamera w innych okolicznościach. Dwie osoby w zatłoczonej restauracji. Szok, gniew, byłem to ja z Alison tego pierwszego wieczoru w Pireusie. Znów biały ekran i po chwili następne ujęcie. Przez chwilę nie wiedziałem, gdzie to mogło być. Alison idzie stromą wiejską uliczką, ja o parę kroków za nią. Oboje wyglądamy na zmęczonych i chociaż nie widać naszych twarzy, czuje się, że jesteśmy nieszczęśliwi. Ach tak, powrót do Arachowej. Operator musiał się ukrywać w chacie, filmować zza okiennicy. Przypomniała mi się wojenna sekwencja o Wimmlu. A równocześnie zrozumiałem, że przez cały czas byliśmy śledzeni i filmowani. Nie, na

nagich zboczach Parnasu było to niemożliwe, ale wśród drzew... przypomniałem sobie jezioro, słońce na moich nagich plecach, pode mną Alison. To by było zbyt okropne, bluźniercze, gdyby także tamta chwila miała stać się własnością publiczną.

Czułem się jak odarty ze skóry; a zatem oni przez cały czas wiedzieli...

Biały ekran. I następny podpis.

*Akt kopulacji.*

Nagle pokazało się kilka kolejnych cyfr – koniec rolki. Biel ekranu. Ktoś wbiegł i zatrzymał aparat projekcyjny. Chrząknąłem z pogardą. Byłem pewien, że zabraknie im odwagi, by ten pornograficzny film doprowadzić do końca. Ale ten mężczyzna, który wbiegł – we wpadającym przez drzwi świetle udało mi się odróżnić rysy Adama – podszedł do ekranu i odstawił go na bok. Znowu zostałem sam. Przez jakieś pół minuty panowały pełne ciemności. Potem za kurtyną pojawiło się światło.

Kurtyna się rozsunęła. Nie do końca. Światło padało spod zawieszzonego tuż pod sklepieniem abażura. Wąski stożek oświetlał tylko drobny wycinek z przestrzeni tuż pod lampą.

Stała tam niska kanapa okryta złotorudawą narzutą wyglądająca na kilim afgański. Na kanapie leżała naga Lily. Nie widziałem blizny, ale wiedziałem, że to Lily. Nie była aż tak opalona jak jej siostra. Opierała się o stos poduszek, złotych, bursztynowych, różowych i kasztanowych spiętrzonych na ozdobnym rzeźbionym połączonym oparciu, leżała lekko zwrócona w moją stronę przybrawszy pozę *Mai Goyi*. Ręce splecione pod głową, wyzywająca nagość. Nie popisywanie się nagością, nagość jako boski i nieśmiertelny fakt. Obnażona pacha równie prowokująca jak lędźwie. Sutki koloru krwawnika, na tle miodowozłocistej skóry wyglądały jak pogryzione, poranione. Okrągłości, uda, kostki nóg, maleńkie nagie stopki. I nieruchome oczy wpatrzone ze spokojną arogancją w ciemność, gdzie stałem przykuty do pręgierza.

Za nią, na ścianie namalowana była kolumnada; smukłe, czarne kolumny. Z początku myślałem, że ma to być Bourani, ale były cieńsze i zakończone mauretańskimi ostrołukami. Goya... Alhambra? Zauważyłem, że sofa ma jednak nogi, tylko że na tamtym końcu pokoju podłoga obniża się jak w rzymskiej łaźni. Kurtyna zasłaniała schodzące w dół stopnie.

Wiotka sylwetka leżała bez ruchu w zielonkawobrunatnym jeziorze światła, wzrok Lily mógłby być równie dobrze wzrokiem kobiety namalowanej na płótnie.

Trwało to tak długo, że zacząłem przypuszczać, że to już finał: ten żywy obraz, naga zagadka, nieosiągalne piękno.

Płynęły minuty. Piękne ciało otoczone tajemnicą. Wydawało mi się, mogłem się jednak mylić, że widzę jak piersi Lily unoszą się w oddechu. A potem znów patrzyłem na nią jak na wspaniałą woskową lalkę. I wtedy się poruszyła.

Zobaczyłem jej profil, prawa ręka uniosła się zapraszająco w stronę tego, kto zapalił światło i rozsunął kurtynę. Był to Joe.

Miał na sobie biały płaszcz podbity złotogłowie, trudno by mi było powiedzieć z jakiej epoki. Stanął za sofą. Rzym? Imperatorowa i jej niewolnik? Przez chwilę patrzył w moją stronę i zorientowałem się, że nie może być niewolnikiem. Był zbyt majestatyczny, zbyt wspaniały. To on był władcą tej komnaty, sceny, kobiety. Spojrzał na nią, odpowiedziała mu spojrzeniem pełnym oddania, wyciągając szyję jak łabędź. Ujął jej wyciągniętą dłoń.

Nagle zrozumiałem, kim są, kim ja jestem i jak świetnie przygotowano tę scenę. Mnie także przydzielono nową rolę. Usiłowałem pozbyć się knebla, gryzłem, ziewałem, ocierałem twarz o ramiona. Nic nie pomogło.

Murzyn, Maur, uklęknął koło sofy, ucałował nagie ramię. Smukłe białe ramię objęło jego głowę. Długa chwila. Dziewczyna opadła na poduszki. On, wolno, przyglądając jej się bacznie, przesunął ręką po jej szyi, piersiach, brzuchu. Jakby dotykał sztuki jedwabiu. Pewien jej oddania. Potem wstał i rozpiął sprzączkę podtrzymującą na ramieniu jego togę. Zamknąłem oczy.

*Nic nie jest prawdą; wszystko jest dozwolone.*

*Conchis: Jego rola na tym się jeszcze nie kończy.*

Znów otworzyłem oczy.

Nie było w tym nic z perwersji, wcale nie próbowano niczego mi sugerować, zwyczajnie patrzyłem na dwoje zakochanych, którzy oddają się miłości, tak jakbym obserwował dwóch bokserów na ringu lub parę akrobatów na arenie. A oni zachowywali się tak, jakby chcieli udowodnić, że rzeczywistość jest całkowitą antytezą nedorzecznego obleśności filmu.

Zamknąłem oczy, nie chcąc tego widzieć. Ale coś zmusiło mnie, żebym po chwili znów podniósł głowę, *voyeur* w piekle. Zdrętwiały mi ramiona i to było dodatkową torturą. Dwie postacie na łożu koloru sierści lwa, jedna świetliście jasna, druga ciemna trzymały się w ramionach, zapomniawszy o mnie, zapomniawszy o całym świecie.

To, co robili, samo w sobie pozbawione było wszelkiej rozwiązłości: biologiczny rytuał, który co noc odbywa się w stu milionach łóżek. Ale starałem się zrozumieć, co skłoniło ich, żeby robili to na moich oczach, jakich to nieprawdopodobnych argumentów użył Conchis, by ich do tego skłonić, jakimi argumentami przekonali samych siebie. Lily wydawała mi się równie odległa w czasie, jak wówczas gdy ją pierwszy raz zobaczyłem, tylko wtedy była to przeszłość, a teraz przyszłość; w jaki sposób nauczyła się kłamać całą sobą, potrafiła kłamać swym ciałem lepiej niż inni słowami? Może zależało jej na całkowitej emancypacji seksualnej i ta demonstracja miała jej udowodnić, że ją zdobyła, było to bardziej potrzebne jej niż mnie, gdyż jako „dezintoksykacja” było to już całkowicie zbędne.

Cała moja dotychczasowa wiedza o kobietach prysła, rozplynęła się, zamieniła się w zagadkę.

Czarny łuk jego pleców, złączone lędźwie. Białe rozsunięte kolana. Ten ruch, którym ją wreszcie całkowicie posiadał. Coś nakazało mi pomyśleć o tamtej nocnej inscenizacji, kiedy ona grała Artemidę, przypomniałem sobie nienaturalną biel skóry Apolla. Złocisty wieniec. Ciało atlety z żywego marmuru. Tak, ten sam człowiek grał rolę i Apolla, i Anubisa. Tamtej nocy zniknęła po to, by... a następnego dnia na plaży pojawiła się niewinna dziewczica. Ta scena w kapliczce. Czarna lalka zaczęła huścić się w moich myślach, czaszka wyszczerzyła złośliwe zęby. Artemida, Astarte, odwieczna kłamczyni. Joe w milczeniu celebrował swój orgazm. Dwa ciała leżały absolutnie nieruchomo na ołtarzu łóżka. Nie widziałem jego odwróconej głowy, zasłaniały ją jej włosy. Patrzyłem, jak jej ręce pieszczą jego ramiona i plecy. Próbowałem oderwać od przęgiera moje obolałe ramiona, próbowałem go wywrócić. Ale przytwierdzono go do ściany.

Po trudnej do zniesienia przerwie Joe wstał z łóżka, a potem uklęknął, ucałował jej ramię, był to niemal ceremonialny gest i zaraz, wzięwszy swą togę, zniknął w cieniu kulis. Ona przez chwilę leżała bez ruchu. A potem wsparła się na łokciu i przybrała tę samą pozę co na początku. Wpatrywała się we mnie. Bez urazy i bez żalu, bez triumfu i bez złośliwości. Patrzyła tak jak kiedyś Desdemona na Wenecję.

Na zawiedziony gniew Wenecji, na jej brak zrozumienia. Dotychczas uważałem się za Jagona, którego w nie napisanym szóstym akcie czekała zasłużona kara. Ale byłem także i Wenecją, miastem, które się opuszcza, z którego wyjeżdża się w daleką podróż.

Powoli zasunięto kurtynę. Pozostawiono mnie, tak jak na początku, w ciemnościach. Znikło nawet to słabe światło z tyłu. Na chwilę ogarnęły mnie wątpliwości, czy to wszystko zdarzyło się naprawdę. Czy nie było halucynacją. Proces i wszystko, co po tym procesie nastąpiło. Ale potworny ból ramion przywrócił mi poczucie rzeczywistości.

I ten ból, te czysto fizyczne tortury sprawiły, że zacząłem rozumieć. Byłem Jagonem, ale byłem także człowiekiem ukrzyżowanym. Ukrzyżowanym Jagonem. Ukrzyżowanym przez ... wszystkie metamorfozy Lily przemknęły mi przez głowę niczym menady polujące na moje zaślepienie. Nagle wiedziałem, kim ona naprawdę jest, kto ukrywa się za tymi wszystkimi maskami. Dlaczego wybrano wątek Otella. Dlaczego Jago. Tak, dowiedziałem się jej prawdziwego imienia. Ale nie wybaczyłem, poczułem jedynie jeszcze większą wściekłość.

Wiedziałem jednak, kim ona jest.

Ktoś stanął w drzwiach. Był to Conchis. Stanął naprzeciwko mnie. Zamknąłem oczy. Ból w ramionach zagłuszył wszystkie inne uczucia.

Spod knebla wydarł mi się rodzaj jęku. Nie wiem, co nim chciałem wyrazić: ból czy też chęć rozdarcia Conchisa na strzępy.

— Przeszedłem ci powiedzieć, że należysz do wybranych.

Gwałtownie potrząsnąłem przecząco głową.

— Nie masz tu nic do powiedzenia.

Dalej kręciłem głową, ale już słabiej.

Patrzył na mnie tymi swoimi oczyma, które wydawały się starsze niż oczy najstarszego człowieka, pojawił się w nich błysk współczucia.

— Naucz się uśmiechać, Nicholas. Naucz się uśmiechać.

Przyszło mi na myśl, że przez uśmiech rozumie zupełnie coś innego niż ja, że ironia, bezlitosność, które zawsze w jego uśmiechu wyczuwałem, stanowiły istotę tego uśmiechu. Że dla niego uśmiech był czymś zasadniczo okrutnym, ponieważ okrutna jest także wolność, ponieważ to swoboda wyboru sprawia, że przynajmniej częściowo jesteśmy odpowiedzialni za to, co jest w nas okrutnego. Zatem uśmiech jest nie tyle postawą wobec życia, co wcieleniem okrucieństwa życia, okrucieństwa, którego nie możemy uniknąć, bo na nim polega ludzka egzystencja. Zatem jego „naucz się



uśmiechać” nie miało nic wspólnego ze „znoś to z uśmiechem” Smileasa. Znaczyło raczej „Naucz się być okrutnym, naucz się być oschłym, naucz się sztuki życia”.

Bo nie mamy wyboru. Nie możemy wybierać ani sztuki, ani roli. Gramy zawsze *Otella*. I niezmiennie jesteśmy Jagonem.

Uklonił się leciutko, z ironią — uprzejmość oznaczająca wzgardę i wyszedł.

Natychmiast pojawił się Anton, a za nim Adam i tamte dwie czarne koszule. Otworzyli kajdanki i opuścili moje ręce. Przynieśli nosze. Kazali mi się położyć i przykuli mnie, tym razem do noszy. Nie mogłem z nimi walczyć, nie mogłem błagać, by przestali. Leżałem zatem nieruchomo z zamkniętymi oczyma, chcąc przynajmniej na nich nie patrzeć. Poczulem zapach eteru, ukłucie igły i tym razem marzyłem, żeby jak najprędzej nadeszło zapomnienie.

## 63

Patrzyłem na rozpadający się mur. Kilka plam tynku na chropowatych gładziach. Wiele kamieni wypadło już i leżało na ziemi wśród pokruszonej zaprawy murarskiej. Nagle usłyszałem słabe dzwoneczki kóz. Przez chwilę leżałem zbyt oszołomiony narkotykami, żeby próbować odkryć, skąd pochodzi światło, które pozwala mi dojrzeć mur. Dzwoniły dzwonki, szumiał wiatr, skrzeczały jerzyki. Ale ja przyzwyczyłem się do roli więźnia. Wreszcie poruszyłem rękoma. Mogłem nimi swobodnie poruszać. Odwróciłem się i rozejrzałem.

Przez dziury w dachu wpadały promyki światła. Piętnaście stóp ode mnie były połamane drzwi, a za nimi oślepiający blask słońca. Leżałem na nadmuchiwanym materacu okryty brunatnym zgrzebnym kocem. Obok leżała moja walizka, a na niej termos, owinięta w brązowy papier paczka, papierosy, zapalki, czarne pudełeczko wyglądające jak jubilerski futerał, koperta.

Usiadłem i potrząsałem głową. Zrzuciłem koc i chwiejnie podszedłem do drzwi. Znajdowałem się na szczycie wzgórza. Na jego zboczu ruiny i ruiny. Niektóre zamieniły się w szare stosy kamieni, inne zachowały jeszcze ślad podobieństwa do ludzkich domostw, ściany, okna, przez które widać było tylko niebo, czarne wgłębienia odrzwi, resztki dachów. Niezwykle było to, że całe to wymarłe miasto zdawało się unosić w powietrzu o tysiąc stóp nad morzem. Spojrzałem na zegarek. Szedł, dochodziła piąta. Wlazłem na mur i rozejrzałem się. Tam, gdzie świeciło słońce

zmierzchu, zobaczyłem górzysty łąd, rozciągający się na północ i na południe. Stałem na szczycie gigantycznego przylądka, całkowicie samotny, ostatni człowiek na ziemi, zawieszony między niebem i morzem w jakiejś średniowiecznej Hiroszimie. I przez chwilę nie wiedziałem, czy podczas mojego letargicznego snu minęło parę godzin czy parę cywilizacji.

Powiał ostry północny wiatr.

Wróciłem do izby, wyniosłem na słońce swoją walizkę i resztę rzeczy. Najpierw zajrzałem do koperty. Znajdował się w niej mój paszport, parę greckich banknotów wartości około dziesięciu funtów i arkusik papieru, a na nim trzy napisane na maszynie zdania. „Dziś o 11.30 wieczorem odchodzi statek do Phraxos. Znajduje się pan w starym mieście Monemvasia. Musi pan zejść na południowy wschód.” Ani daty, ani podpisu. Otworzyłem termos: kawa. Nalałem sobie pełną zakrętkę, potem następną. W paczce były kanapki. Zacząłem jeść z tym samym uczuciem rozkoszy co rano. Zachwycał mnie smak kawy, chleba, zimnej baraniny zapeklowanej w soku cytryny zaprawionym lebiodką.

Ale dołączyło się do tego uczucie wyzwolenia, radość, że udało mi się wyjść cało z opresji, nawiedziła mnie pogoda ducha, do której przyczynił się także pejzaż wypełniony cudownym powietrzem. Niezwykłość przeżytego doświadczenia, jego wyjątkowość sprawiła, że i ja także poczułem się kimś wyjątkowym, było to czymś w rodzaju poznania wielkiej tajemnicy, podróży na Marsa, wygranej na loterii. Spojrzałem świeżym okiem na własne zachowanie, już w chwili przebudzenia zobaczyłem się w lepszym świetle; proces i dezintoksykacja były przykrymi fantasmagoriami mającymi wystawić na próbę moją moralność, która jednak odniosła triumf. To oni zostali ostatecznie upokorzeni — nagle zrozumiałem, że to ostatnie przedstawienie miało być prawdopodobnie upokorzeniem dla obu stron. Kiedy trwało, wydawało mi się złośliwym wbijaniem sztyletu w i tak już nazbyt bolesną ranę, teraz widziałem je jako rodzaj rewanżu za ich szpiegostwo, ich podglądactwo.

Oto co mi przypadło w udziale: czułem się niejasno zwycięski. I z powrotem wolny, ale była to inna wolność... jakby oczyszczona.

Tak jakby oni się przeliczyli.

Uczucie to rosło, radością był dotyk ciepłej skały, na której siedziałem; szum *meltemi*, zapach greckiego powietrza, radością samotne przebywanie na tym dziwnym wzgórzu. Później dopiero nadejdzie pora na analizę, notatki, zemstę, tak

samo jak na tłumaczenie się w szkole, na decyzję, czy chcę pozostać w niej przez następny rok. Teraz najważniejsze było, że udało mi się wyjść cało, przeżyć.

Dopiero dużo później zdałem sobie sprawę, że było coś nienaturalnego w tej radości, w tym, że tak łatwo prześlizgnąłem się nad ich niecnymi postępkami, ohydny wykorzystywaniem śmierci Alison, niedopuszczalnym targnięciem się na moją wolność osobistą, i uważam obecnie, że uczucie to zostało mi zasugerowane przez Conchisa, gdy znajdowałem się w stanie hipnozy. Miało być osłodą sytuacji, tak jak kawa i kanapki.

Otworzyłem czarne pudełko. Wewnątrz na wyściółce z zielonego rypsu leżał nowiutki rewolwer Smith&Wesson. Wziąłem go do ręki i zarepetowałem. Zobaczyłem sześć kul, miedzianych obrączek z szarymi ołowianymi oczyma. Wyrażna zachęta. Wyjąłem jeden nabój. Nie była to ślepa kula. Wycelowałem w stronę morza i nacisnąłem na cyngiel. Zahuczało mi w uszach, a ogromne białobrzazowe jerzyki, które nad moją głową przecinały błękit nieba, gwałtownie zmieniły kierunek lotu.

Ostatni żarcik Conchisa.

Wdrapałem się na szczyt wzgórza, od którego dzieliło mnie jakieś sto jardów. Tuż obok sterczały ruiny muru obronnego, resztki fortyfikacji weneckich lub otomańskich. Stamtąd widać było kilkanaście mil morskiego brzegu ciągnącego się w kierunku północnym. Długa biała plaża, odległa o dwanaście mil wioska, parę rozrzuconych pobielanych domków, może kapliczek, a dalej potężny masyw górski, wiedziałem, że musi to być góra Paron, której w pogodne dni przyglądałem się z Bourani. Phraxos znajdowała się o jakieś trzydzieści mil na północny wschód. Spojrzałem w dół. Płaskowyż opadał stromym zboczem, siedemset, może osiemset stóp, wąski pas nadmorskich kamyków, jaspisowa wstążka tam, gdzie gniewne morze dotykało lądu, potem biała piana i głęboki błękit. Stojąc na starym bastionie wystrzeliłem pięć kul w stronę morza. Nie celowałem. Był to *feu de joie*, powiedziałem śmierci: nie. Kiedy zagrzmiał piąty strzał, wziąłem rewolwer za kolbę i cisnąłem nim w niebo. Zawirował i zatoczywszy łuk zaczął z wolna spadać w powietrzną przepaść; leżąc płasko na samym brzegu muru dojrzałem, jak rozbija się o nadbrzeżne skały.

Ruszyłem w drogę. Po chwili natrafiłem na dużo wygodniejszą ścieżkę, która prowadziła obok drzwi, schodki za drzwiami biegły w głąb wielkich zasypanych śmieciami cystern. Minąwszy skałę zobaczyłem poniżej stare, obudowane murami miasteczko na spłachetku lądu, który stromo opadał spod skał na brzeg morza. Dużo ruin, ale parę domków z dachami i osiem, dziewięć, dziesięć, całe stadko kościołów.

Ścieżka prowadziła między ruinami aż do drzwi. Długi tunel dochodził aż po następne odrzwia, zasłonięte palisadą, tłumaczyło to nieobecność kóz. One także mogły iść tylko jedną drogą. Przelazłem nad palikami i znalazłem się w słońcu. Ścieżka z płyt szaroczarne bazaltu ułożonych tu przed wieloma wiekami kręto zbiegała w dół po nadmorskiej skale w stronę czerwonopomarańcowych dachów zamkniętego za murami miasta.

Poszedłem między wybielonymi domkami. W drzwiach jednego z nich stała stara chłopka z misą pełną odpadków dla kur. Musiałem sprawiać dziwaczne wrażenie, nie ogolony cudzoziemiec z walizką w ręku.

— *Kal'espera.*

— *Pois eisai?* — spytała. — *Pou pas?* — odwieczne homerowskie pytanie greckich chłopów: Kim jesteś? Dokąd idziesz?

Odparłem, że jestem Anglikiem, członkiem filmowej ekipy, *epono.*

— Jaki film?

Kiwnąłem ręką, mówiąc że to nieważne, i zignorowawszy jej oburzone indagacje doszedłem do zapuszczonej głównej ulicy, miała najwyżej sześć stóp szerokości, domy stały stłoczone, większość była pusta, ale na jednym widniał szyld, więc wszedłem do środka. Z szarej czeluści wyłonił się wąsaty staruszek prowadzący tę winiarnię.

Nad niebieskim metalowym kubkiem *retsiny* i miseczką oliwek, którymi się podzieliliśmy, dowiedziałem się wszystkiego, czego się można było dowiedzieć. Po pierwsze znów straciłem dzień. Proces odbył się nie rano, jak myślałem, lecz poprzedniego dnia, dziś był poniedziałek, nie niedziela. Zatem przez dwadzieścia cztery godziny znajdowałem się pod wpływem narkotyków i teraz zastanawiałem się, co się jeszcze ze mną działo. Pewnie znów grzebano się w najbardziej ukrytych zakątkach mego umysłu. W Monemvasii nikt nie widział żadnej ekipy filmowej, żadnej grupy turystów, od dziesięciu dni nie pojawiali się żadni cudzoziemcy, tak, to dziesięć dni temu był tu ten francuski profesor z żoną. Jak wyglądał profesor? Bardzo tłusty, nie mówił po grecku... Nie, nikt ani wczoraj, ani dzisiaj nie wdrapywał się na górę. Niestety, turyści nie przyjeżdżają do Monemvasii. Czy znajdują się tu jakieś duże cysterny z malowidłami na ścianach? Nie. Tu są same ruiny. Potem, wychodząc z bramy starego miasta zobaczyłem kilka nadwerężonych pomostów, do których mógł jednak przybić statek i wysadzić na ląd czterech mężczyzn z noszami. Nie musieli przechodzić koło tych kilku zamieszkałych domków, a zresztą mogli przypląć nocą.

Na Peloponezie pełno jest starych zamków. Korone, Methone, Pylos, Koryphasion, Passava. We wszystkich są ogromne cysterny, żaden z nich nie jest dalej niż o dzień drogi z Monemvasii.

Doszedłem do wioski, gdzie miał przybić parowiec. W tawernie zjadłem niesmaczny posiłek i ogoliłem się w kuchni — tak, jestem turystą — i wypytałem dokładnie kucharza. Nie wiedział więcej niż tamten staruszek.

O północy nadpłynął rozkołysany statek, opóźniony przez *meltemi*; wyglądał jak dalekomorski potwór, wystrojony w puszyste, wstęgi perlistego światła. Mnie i jeszcze dwóch pasażerów dowieziono łodzią. Parę godzin przesiedziałem w opustoszałym salonie walcząc z morską chorobą i pytaniami ateńskiego handlarza warzywami, który przyjechał do Monemvasii po pomidory, a teraz usilnie starał się nawiązać rozmowę. Utyskiwał na ceny. W Grecji każda rozmowa obraca się wokół pieniędzy, nie polityki; jeśli już wspomina się o polityce to tylko dlatego, że ma związek z pieniędzmi. Wreszcie nudności ustąpiły i pojawiła się sympatia dla handlarza. On i sarta owiniętych w gazetę pakunków byli czymś rzeczywistym i łatwym do zlokalizowania, należeli bez reszty do świata, do którego powróciłem; nabrałem do niego zaufania, choć później przez wiele jeszcze dni przyglądałem się podejrzliwie każdemu obcemu człowiekowi, jaki stanął na mojej drodze.

Kiedy zbliżyliśmy się do wyspy, wyszedłem na pokład. Z wietrznych ciemności wyłonił się czarny wieloryb. Widziałem przyładek Bourani, nie mogłem jednak dojrzeć domu, nie zobaczyłem też, rzecz prosta, żadnych świateł. Stałem na przednim pokładzie, kuliło się tu paręnaście postaci, biedni chłopci podróżujący trzecią klasą. Tajemnica innych istnień ludzkich: znów zacząłem obliczać, ile musiała kosztować maskarada Conchisa, co najmniej pięćdziesiąt razy tyle, ile każdy z tych biedaków zarabiał w ciągu roku ciężką pracą. A więc kosztowała całe ich życie.

De Deukans. Obraz Milleta. Okopywanie buraków.

Tuż obok mnie znajdowała się cała rodzina, mężczyzna leżał odwrócony tyłem, z głową opartą o worek, między nim i jego żoną chowali się przed zimnem dwaj mali chłopcy, okryci cienkim kocem. Kobieta miała na głowie białą chustkę, związaną tak jak w średniowieczu, pod brodą. Jedna ręka kobiety spoczywała na ramieniu synka. Józef i Maria. Sięgnąłem do kieszeni, zostało mi jeszcze blisko osiem funtów z ofiarowanych mi pieniędzy. Rozejrzałem się wokoło, potem szybko schyliłem się i

wsunąłem plik banknotów pod pled tuż koło głowy kobiety i zaraz uciekłem, jakbym popełnił coś hańbiącego.

Za kwadrans trzecia wchodziłem już cichutko po schodach w nauczycielskim skrzydle. W moim pokoju panował wzorowy porządek. Znikła tylko sterta egzaminacyjnych prac. Na tym samym miejscu leżało kilka listów.

Nie mogłem zgadnąć, kto pisze do mnie z Włoch, ten więc list otworzyłem jako pierwszy.

*14 lipca*

*Klasztor Sacro Speco  
pod Subiaco*

*Szanowny Panie Urfe!*

*Przesłano mi Pański list. Z początku nie zamierzałem nań odpowiedzieć, ale po namyśle doszedłem do wniosku, że słuszniej będzie powiadomić Pana, iż nie chcę poruszać tematu, na którym Panu zależy. Moja decyzja w tej sprawie jest nieodwołalna.*

*Będę Panu bardzo wdzięczny, jeśli nie ponowi Pan w żadnej formie swojej prośby.*

*Z szacunkiem  
John Leverrier*

Charakter pisma był bardzo wyraźny i czytelny, choć na środku strony litery tłoczyły się jedna na drugą; wyobraziłem sobie — jeżeli oczywiście list nie został sfalszowany — schludnego, opryskliwego człowiczka. Pewnie odbywał we Włoszech jakieś rekolekcje, musiał to być jeden z tych wychudłych katolików, których za moich uniwersyteckich czasów pełno kręciło się po Oksfordzie i nie przestawało rozprawiać o prałacie Knoxie i Farm Street.

Następny list został wysłany w Londynie przez kogoś, kto podawał się za dyrektorkę szkoły, papier był autentyczny, z nadrukiem.

*Panna Julie Holmes*

*Panna Holmes pracowała u nas przez rok, uczyła łaciny i greki, a w niższych klasach także angielskiego i religii. Zapowiadała się na dobrą nauczycielkę, rzetelnie wypełniała swoje obowiązki, była sumienna i lubiana przez uczennice.*

*Słyszałam, że zamierza się poświęcić karierze scenicznej i jestem bardzo rada, że wraca do nauczania.*

*Powinnam dodać, że świetnie wyreżyserowała nasze doroczne przedstawienie i brała czynny udział w pracach naszego szkolnego stowarzyszenia „Młodych Chrześcijan”.*

*Gorąco popieram kandydaturę panny Holmes.*

Bardzo śmieszne.

Otworzyłem następną kopertę. Wewnątrz znajdował się mój własny list do Tavistock Repertory Company. Ktoś wypełnił moją prośbę i niebieskim ołówkiem nabazgrał na liście nazwisko agenta June i Julie Holmes.

List z Australii. Zadrukowany kartonik z czarną obwódką i wolnym miejscem na nazwisko wysyłającego, wypełnionym niewprawnym dzieciennym pismem.

*Pani Mary Kelly  
serdecznie dziękuję za złożone jej  
kondolencje.*

Ostatni lisi był od Ann Taylor, wewnątrz pocztówka i zdjęcia.

*Znaleźliśmy zdjęcia. Zrobiliśmy dla Pana odbitki. Klisze wysłałam do pani Kelly. Tak, wszyscy na swój sposób czujemy się winni. Ale jestem pewna, że Allie nie chciałaby, żebyśmy się tym zbytnio przejmowali teraz, kiedy i tak jest za późno. Ciągle trudno mi w to uwierzyć. Musiałam spakować jej rzeczy, może pan sobie wyobrazić, czym to dla mnie było. Znow płakałam. Cóż, musimy wszyscy starać się jakoś o tym zapomnieć. W przyszłym tygodniu jadę do domu i zaraz zobaczę się z panią Kelly. Pozdrowienia.*

*Ann*

Osiem marnych odbitek. Na pięciu z nich pejzaże i ja, tylko na trzech Alison. Klęczy koło dziewczynki z czyrakiem, stoi na rozstajach Edypa i wreszcie na Parnasie, z mulnikiem. Najlepiej wypadło zdjęcie na rozstajach, ten jej niemal chłopięcy uśmiech, w którym malowała się cała jej uczciwość... jak to ona o sobie powiedziała? Że jest wulgarna. Była przejrzysta jak kryształ soli. Przypomniałem sobie, jak

wsiedliśmy do auta, jak opowiadałem jej o ojcu, nawet wówczas mogłem z nią rozmawiać tak, jak rozmawiałem, tylko dzięki tej jej uczciwości; wiedziałem że jest lustrem, które nigdy nie skłamie, wiedziałem, że naprawdę interesuje ją to, co mówię, że naprawdę mnie kocha. Jej największą zaletą była ta jej rzetelność, rzeczywistość.

Usiadłem przy biurku i wpatrzyłem się w jej twarz, w kosmyk włosów na czole, w tamtą chwilę, nadal obecną, choć na zawsze już minioną.

Znów ogarnął mnie smutek. Nie mogłem zasnąć. Schowałem do szuflady listy i zdjęcia i wyszedłem na spacer morskim brzegiem. Na północy, za wodą paliły się zarośla. Czerwona jak rubin linia przecinała zbocze góry, mnie także palił żywy ogień.

Bo czymże byłem? To, co za sprawą Conchisa o sobie usłyszałem, było bliskie prawdy. Odrzuciwszy freudowski żargon procesu musiałem przyznać, że przez całe życie obracałem rzeczywistość w fikcję, uciekałem od rzeczywistości, zachowywałem się zawsze tak, jakby ktoś trzeci był obecny i stawiał mi stopnie za dobre lub złe zachowanie — bóg podobny do powieściopisarza, do którego zwracałem się jak wymyślona przez niego postać, która chce się spodobać, nie lubi być lekceważona, stara się dostosować do tego, czego — jak przypuszcza — bóg-pisarz oczekuje. Tę pijawkową odmianę superego wyhodowałem sobie sam, kultywowałem ją starannie i to ona odbierała mi wszelką swobodę ruchów. Była moim despotycznym władcą, nie obrońcą. I kiedy to nareszcie zrozumiałem, było już za późno o całą śmierć.

Usiadłem na brzegu i czekałem, by nad szarym morzem wzeszedł świt.

Trudne do zniesienia uczucie samotności.

## 64

Czy leżało to w naturze mojej natury, czy też miało coś wspólnego z optymizmem à la Coué, którym Conchis naładował mnie w czasie mego długiego snu, ale w miarę jak się rozjaśniało, stawałem się coraz bardziej ponury. Wiedziałem, że nie mogę dochodzić prawdy, nie mam dowodów ani świadków, a taki wyznawca logistyki jak Conchis na pewno wspaniale przygotował swój odwrót. Musiał liczyć się z ryzykiem, że przede wszystkim polecę na policję, zatem jasne było, co zrobił. Byłem pewien, że on i jego „zespół” opuścili już dawno Grecję. Kogóż zatem można by przesłuchać? Hermesa, który był prawdopodobnie jeszcze bardziej niewinny, niż przypuszczałem, i Patarescu, który się do niczego nie przyzna.



Jedynym możliwym świadkiem był Demetriades. Nigdy nie udało mi się wydusić z niego wyznania, ale dobrze pamiętałem jego początkową pozorną naiwność; zanim po raz pierwszy wybrałem się do Bourani, musieli polegać głównie na jego informacjach. Wiedziałem z rozmów o uczniach, że nie jest pozbawiony bystrości, umiał świetnie rozróżnić uczniów pracowitych od inteligentnych próżniaków. Na samą myśl o tym, jak musiał wyglądać szczegółowy raport na mój temat, ogarnęła mnie wściekłość. Zaprağnałem zemsty. I chciałem, żeby cała szkoła dowiedziała się o moim gniewie.

Nie poszedłem na pierwszą lekcję, chcąc, żeby moje pojawienie się w szkole wypadło efektownie podczas śniadania. Kiedy się pokazałem, nastąpiła nagła cisza, jak po wrzuceniu kamienia do stawu pełnego rechoczących żab, i dopiero po chwili zapanował zwykły gwar. Kilku chłopców uśmiechało się. Nauczyciele patrzyli na mnie, jakbym popełnił zbrodnię. Demetriades siedział w drugim końcu sali. Podszedłem prosto do niego, zbyt szybko, żeby zdążył zareagować. Na wpół się podniósł, potem musiał zrozumieć, co się szykuje, i z powrotem usiadł niczym przerażony Peter Lorre. Stałem nad nim.

— Wstawaj, draniu!

Spróbował się uśmiechnąć. Powtórzyłem to głośno po grecku, dodając greckie przekleństwo.

— Wstawaj, mendo.

Znów nastąpiła całkowita cisza. Demetriades zaczerwienił się i wpatrzył w stół.

Stał przed nim talerz polanej miodem papki chleba z mlekiem, jego ulubione śniadanie. Chlusnąłem mu tą papką w twarz. Spłynęła na koszulę i kosztowny garnitur. Zerwał się i zaczął się wycierać. Kiedy rozwścieczony jak dziecko podniósł wzrok, wyrznąłem go tak jak chciałem, prosto w prawe oko.

Wszyscy poderwali się z miejsc. Prefekci wzywali do zachowania porządku. Nauczyciel gimnastyki podbiegł do mnie z tyłu i chwycił mnie za ramię, warknąłem, że może się nie wysilać, ja już skończyłem. Demetriades stał jak karykatura Edypa zasłaniając rękami oczy. Nagle rzucił się na mnie kopiąc i drapiąc jak kobieta. Nauczyciel gimnastyki, który szczerze nim pogardzał, wysunął się przede mnie i bez wysiłku unieruchomił jego ręce.

Odróciłem się i wyszedłem. Demetriades zaczął wrzeszczeć, pewnie mnie przeklinał, ale nie rozumiałem ani słowa. W drzwiach stał słuźący, kazałem mu przynieść kawę do pokoju. Usiadłem i czekałem.

Zaraz po rozpoczęciu lekcji zostałem wezwany do gabinetu dyrektora. Oprócz niego byli tam: jego zastępca, najstarszy z profesorów i nauczyciel gimnastyki, tego ostatniego sprowadzono pewnie na wypadek, gdybym miał znowu wpaść w szal. Najstarszy profesor, Androutsos, mówił biegle po francusku, na tym posiedzeniu trybunału wojskowego potrzebny był tłumacz. Kiedy usiadłem, wręczono mi list. Zobaczyłem nadruk *Komisja Nadzorcza Szkoły w Atenach*. List był po francusku, przedwczorajsza data.

*Po przestudiowaniu sprawozdania nadesłanego przez dyrektora Zarząd Szkoły im. lorda Byrona zawiadamia z żalem, że jest zmuszony rozwiązać zawartą z panem umowę na podstawie paragrafu siódmego wyżej wymienionej umowy: niewywiązywanie się z zadań nauczyciela.*

*Zgodnie z tym paragrafem otrzyma pan pensję do końca września oraz zwrot kosztów powrotnej podróży.*

Zatem nie było procesu, tylko wyrok. Podniosłem wzrok na cztery twarze, malowało się na nich zakłopotanie, a na twarzy Androutsosa dostrzegłem nawet cień żalu.

Oznajmiłem: — Nie wiedziałem, że dyrektor jest na żołdzie Conchisa.

Androutsos wyraźnie nie zrozumiał: — *A la solde de qui?* — Powtórzyłem, a on tę moją gniewną wypowiedź przetłumaczył i dyrektor także zrobił zdziwioną minę. Prawdę mówiąc wyglądał zbyt dystygowanie, za bardzo przypominał prezydenta amerykańskiego college'u niż zwykłego dyrektora, żeby można było przypuścić, że da się nieuczciwymi środkami skłonić do udzielenia komuś niesłusznej dymisji. Demetriades zatem jeszcze bardziej, niż przypuszczałem, zasługiwał na podbicie oka. Demetriades, Conchis, ktoś wpływowy w komisji ateńskiej. Tajny raport...

Między dyrektorem i jego zastępcą nastąpiła krótka wymiana zdań. Dwukrotnie usłyszałem nazwisko Conchisa, ale nie mogłem odgadnąć kontekstu. Poproszono Androutsosa, żeby przetłumaczył.

— Dyrektor nie rozumiał, o co panu chodzi.

— Nie?

Uśmiechnąłem się groźnie, ale byłem już niemal przekonany, że dyrektor nie udaje.

Na znak wicedyrektora Androutsos wziął arkusik papieru i przeczytał: — Oto zarzuty przeciwko panu. Po pierwsze: nie uczestniczył pan w życiu szkoły, w ciągu ostatniego semestru wyjeżdżał pan na wszystkie weekendy. — Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. — Po drugie: dwukrotnie przekupił pan prefektów, żeby zastąpili pana podczas dyżuru. — Było to prawdą, choć przekupstwo polegało tylko na zwolnieniu ich z wypracowań domowych. Podsunął mi to Demetriades i tylko on mógł mnie zadenuncjować. — Po trzecie: nie poprawił pan prac egzaminacyjnych, karygodne niewywiązanie się z podstawowych obowiązków nauczyciela. Po czwarte...

Ale miałem już dosyć farsy. Wstałem. Dyrektor zabrał głos, miał poważny wyraz twarzy, usta wykrzywione niesmakiem.

— Dyrektor mówi — tłumaczył Androutsos — że dzisiejszy pański niepoczytalny atak na kolegę podważył szacunek, jakim dotychczas otaczał kraj Byrona i Szekspira.

— O Jezu! — zaśmiałem się głośno i pogroziłem Androutsosowi palcem. Nauczyciel gimnastyki zerwał się, gotów na mnie skoczyć. — Niech pan słucha. Proszę mu powtórzyć, że zaraz jadę do Aten. Prosto do Ambasady Brytyjskiej i do Ministerstwa Oświaty. I zaalarmuję prasę. Nie pozbieracie się...

Nie skończyłem. Obrzuciłem ich spojrzeniem pełnym wzdargi i wyszedłem. Wróciwszy do pokoju zabrałem się do pakowania, ale nie upłynęło pięć minut i ktoś zapukał. Uśmiechnąłem się ponuro i otworzyłem gwałtownie drzwi. Na progu stał najmniej spodziewany gość, wicedyrektor.

Nazywał się Mavromichalis. Zajmował się administracją szkoły, a także sprawami dyscyplinarnymi: był to szczupły, łysiejący mężczyzna pod pięćdziesiątkę, na jego twarzy malowało się zawsze napięcie, trzymał się zwykle na uboczu. Mało z nim miałem do czynienia. Wykładał grecki i był, zgodnie z historyczną tradycją, fanatycznym miłośnikiem swego kraju. W czasie okupacji wydawał w Atenach najsłynniejszą podziemną gazetkę i przyłgnął do niego używany wówczas pseudonim „Bouplix”, kolec na woły. Choć publicznie odwoływał się zawsze do zdania dyrektora, było wiadomo, że to on naprawdę rządzi szkołą; nienawidził tkwiącej w greckiej duszy bizantyjskiej apatii znacznie bardziej, niż byłby w stanie nienawidzić cudzoziemiec.

Stał obserwując mnie bacznie i coś w jego oczach kazało mi zapomnieć o gniewie. Udało mu się zasugerować, że gdyby sytuacja na to pozwalała, to by się uśmiechnął. Oznajmił spokojnie.

— *Je veux vous parler, Monsieur Urfe.*

Znów się zdziwiłem, bo dotychczas odzywał się do mnie wyłącznie po grecku i sądziłem, że nie zna żadnego obcego języka. Pozwoliłem mu wejść. Obrzucił przelotnym wzrokiem otwarte na łóżku walizki i zaprosił mnie gestem, bym usiadł za biurkiem. Sam usiadł przy oknie i założył ręce: przenikliwe, badawcze oczy. Z całym rozmysłem milczał. Zrozumiałem. Dla dyrektora byłem po prostu złym nauczycielem, dla tego człowieka czymś więcej.

— *Eh bien?* — spytałem chłodnym tonem.

— Bardzo mi przykro, że rozmawiamy w takiej sytuacji.

— Czy przyszedł pan po to, żeby mi to oznajmić? Nie spuszczał ze mnie oczu. — Czy uważa pan, że nasza szkoła jest dobrą szkołą?

— Drogi panie Mavromichalis, czy wyobraża pan sobie...

Uspokajająco podniósł rękę. — Przyszedłem tu jako pański kolega. I pytam serio. — Widać było, że dawno nie mówił po francusku, ale zna ten język dobrze.

— Jako kolega czy jako emisariusz?

Spojrzał na mnie tak, jakby chciał mnie zasztyletować wzrokiem. Uczniowie żartowali, że na jego widok nawet cykady milkną.

— Proszę mi odpowiedzieć. To dobra szkoła?

Wzruszyłem niecierpliwie ramionami. — Jeśli chodzi o poziom naukowy... Tak. Oczywiście.

Chwilę mnie obserwował i przeszedł do sedna sprawy. — Ze względu na dobro szkoły nie życzę sobie skandalu.

Odnutowałem w myśli, że mówi w pierwszej osobie.

— Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej.

Znów milczenie. Wreszcie oznajmił: — Istnieje stara ludowa piosenka grecka, która powiada: „Ten, kto kradnie dla chleba, jest niewinny, ten kto kradnie dla złota, jest zbrodniarzem”. — Przyglądał mi się, czy dobrze zrozumiałem. — Jeśli zechce pan złożyć rezygnację, to jestem pewien, że *Monsieur le Directeur* ją przyjmie. I tamten list uznamy za niebyły.

— Który *Monsieur le Directeur*?

Uśmiechnął się słabo, ale nic nie powiedział, zresztą wiedziałem, że mi nie odpowie. Może dlatego, że siedziałem za biurkiem, poczułem się jak sędzia śledczy. Przede mną siedział dzielny patriota. Po chwili spojrzał w okno i pozornie bez związku zauważył: — Mamy w szkole wspaniałe laboratorium.

Wiedziałem o tym, wiedziałem także, że zostało ono wyekwipowane przez nieznanego ofiarodawcę, kiedy po wojnie z powrotem otwierano szkoły; fama głosiła, że wyciągnięto forszę od jakiegoś bogatego kolaborcjonisty.

— Rozumiem.

— Przyszedłem, żeby zaproponować panu złożenie rezygnacji.

— Tak jak moim poprzednikom?

Nie odpowiedział. Pokręciłem przecząco głową. Zmienił metodę.

— Nie wiem, co się panu przytrafiło. I nie proszę, żeby pan to wybaczył. Proszę o względy dla... — tu ruchem ręki dał do zrozumienia, że chodzi mu o szkołę.

— Podobno uważa mnie pan za złego nauczyciela.

— Otrzyma pan dobre rekomendacje.

— To nie odpowiedź.

Wzruszył ramionami. — Skoro pan nalega...

— Jestem aż tak niedobry?

— W naszej szkole jest miejsce tylko dla najlepszych.

Spuściłem wzrok. Na łóżku czekały walizki. Chciałem uciec. Do Aten, gdziekolwiek, gdzie stanę się kimś anonimowym, pozbędę wszelkich uwikłań. Wiedziałem, że nie jestem dobrym nauczycielem. Ale byłem zbyt obolały, żeby się do tego przyznać.

— Zbyt wiele pan ode mnie wymaga. — Czekał w milczeniu, nieubłaganie. — Dobrze, nie zrobię w Atenach skandalu. Pod jednym warunkiem. Że on się tam ze mną spotka.

— *Pas possible.*

Milczenie. Zastanawiałem się, jak godzi to zakrawające na manię oddanie szkole z jakimikolwiek zobowiązaniami wobec Conchisa. W oknie zabrzączał groźnie szerszeń i odleciał; tak samo nagle opuścił mnie gniew, pragnąłem tylko jak najprędzej z tym wszystkim skończyć.

Spytałem: — Dlaczego pan?...

Uśmiechnął się leciutko: — *Avant la guerre.*

Wiedziałem, że nie uczył wówczas w szkole, musiał zatem bywać w Bourani. Spojrzałem na biurko. — Chcę odjechać zaraz. Jeszcze dzisiaj.

— Zgoda. Ale już żadnych skandali? — miał na myśli to, co zdarzyło się podczas śniadania.

— Zobaczę. Zresztą tak. Ze względu na... — teraz ja z kolei zrobiłem odpowiedni gest.

— *Bien* — powiedział to niemal ciepło i obszedł wokół biurko, żeby uścisnąć mi rękę, poklepał mnie nawet tak jak Conchis po ramieniu, jakby chciał powiedzieć, że na mnie liczy.

I szybko wyszedł.

Zatem zostałem wyrzucony. Zaraz po jego wyjściu poczułem znów wściekłość, że po raz wtóry nie zdobyłem się na użycie bata. Nie było mi żal opuszczać szkołę; przetrwać jeszcze jeden rok udając przed samym sobą, że Bourani nie istnieje, snując smętne rozważania o przeszłości... nie, to było nie do pomyślenia. Ale rozstanie się z wyspą, ze światłem, z morzem. Wpatrywałem się w gaj oliwny. Nagle wyjazd wydał mi się stratą równą postradaniu ręki lub nogi. Cokolwiek się zdarzy, nigdy już nie będzie mi dane mieszkać na Phraxos.

Po chwili zmusiłem się do zapakowania rzeczy. Przyszedł urzędnik z kancelarii przynosząc mi czek i adres biura podróży w Atenach, gdzie mam odebrać powrotny bilet. Minęło już południe, gdy po raz ostatni wyszedłem szkolną bramą.

Poszedłem prosto do domu Patarescu. Drzwi otworzyła wieśniaczka, doktor na miesiąc pojechał na Rodos. Potem wybrałem się do domu na wzgórzu. Załomotałem do bramy. Nikt się nie pojawił, brama była zamknięta. Poszedłem przez wieś do starego portu, do tawerny, gdzie poznałem Barbę Dimitraki. Tak jak przypuszczałem, Georgiou znalazł mi pokój w jednej z sąsiednich chat. Posłałem do szkoły chłopca z wózkiem po mój bagaż, potem zjadłem porcję chleba z oliwkami.

O drugiej, w rozżarzonego południowego słońca, zacząłem wdrapywać się między koleczastymi krzakami na grzbiet wyspy. Niosłem lampkę, łom i piłę do metalu. Obiecałem nie wywoływać skandalu, nie wyrzekłem się śledztwa.

Do Bourani dotarłem o pół do czwartej. Dziurę obok bramy naprawiono, a *Salle d'attente* znikła pod greckim napisem: „Posiadłość prywatna, wstęp surowo wzbroniony”. Jednakże bez trudu przelazłem przez druty. I od razu usłyszałem

dobiegający z Moutsy głos. Ukrywszy pod krzakiem lampkę i narzędzia wdrapałem się z powrotem na ścieżkę.

Zszedłem nią ostrożnie jak skradający się kot aż do punktu, z którego mogłem zobaczyć brzeg. Stała tam przycumowana łódź. Koło niej kilka osób — nie wyspiarzy — w różnokolorowych kostiumach kąpielowych. Dwóch mężczyzn chwyciło dziewczynę — ta zaczęła wrzeszczeć — i wrzuciło ją do morza. Grzmiało tranzystorowe radyjko. Ukrywając się wśród drzew podszedłem parę kroków, z nadzieją, że ich rozpoznam. Ale nie, dziewczyna, niewysoka i czarna, była niewątpliwie Greczynką, oprócz niej znajdowały się tam jeszcze dwie tłuste kobiety, dwóch starszych mężczyzn i jeden około trzydziestki. Nikogo z nich nigdy nie widziałem.

Usłyszałem z tyłu szelest. Bosy rybak w obszarpanych szarych spodniach wyszedł z kapliczki, musiał to być właściciel łodzi. Zapytałem go, kim są ci ludzie. Okazało się, że jest to pan Sotiriades z Aten, który co roku przyjeżdża wraz z rodziną na wyspę.

Czy wielu Ateńczyków pojawia się tu w sierpniu? O, wielu, bardzo wielu, odpowiedział. Wskazał na brzeg; za dwa tygodnie będzie tu dziesięć, piętnaście łodzi, będzie tylu ludzi, że zasłonią morze.

Bourani przestało być Bourani — przysł ostatni powód, który mógłby zatrzymać mnie na wyspie.

Dom był zamknięty na głucho, tak jak wtedy, gdy go widziałem po raz ostatni. Wybrałem się przez parów do *Ziemi*. Jeszcze raz przyjrzałem się z podziwem zakamuflowanemu wejściu i podniosłem pokrywę. Zajrzał mi w oczy czarny szyb. Zszedłem po drabinie i zapaliłem lampkę, po czym wróciłem po narzędzia. Przepiłowałem kłódkę wiszącą na drzwiach bocznego pokoju. Wziąłem lampkę, odsunąłem rygiel, pchnąłem masywne drzwi i wszedłem do środka. Prostokątna izba. Szeroka ścienna szafa. Dwa łóżka, jedno podwójne, drugie pojedyncze. Krzesła. Stoły. Trzy fotele. Na podłodze, na warstwie filcu, prymitywny kilim. Trzy ściany były pobielone i izba ta, choć również pozbawiona okien, robiła mniej ponure wrażenie niż główny pokój. Na zachodniej ścianie nad łóżkiem duży fresk przedstawiający taniec Tyrolczyków; *Lederhosen* i dziewczynę w podkaszanej spódnicy, spod której widać uda, tam gdzie kończą się pończochy. Kolory wytrzymały czas, a może zostały odświeżone.

W szafie wisiał chyba z tuzin kostiumów dla Lily i chyba z osiem kopii dla jej siostry. Wielu z tych sukien nigdy dotąd nie widziałem. W szufladzie leżały staromodne rękawiczki, torebki, pończochy, kapelusze, a nawet staroświecki lniany kostium kąpielowy z odpowiednim czepeczkiem.

Na materacach ułożono starannie złożone koce. Powąchałem poduszkę, ale nie odnalazłem zapachu tych szczególnych perfum Lily. Nad stołem, między starymi otworami na karabiny wisiała półka na książki. Wziąłem jedną z nich do ręki. *Wzorowa pani domu. Krótki traktat o regułach etykiety przestrzeganych w najlepszym towarzystwie. Londyn 1901 r.* Z tuzin edwardiańskich powieści. Na stronach tytułowych notatki ołówkiem. *Dialogi mogą się przydać. Albo: pożyteczne zwroty str. 98 i 164. Zajrzyj na stronę 203. „Czy chcesz, żebym popętniła pocałunek?” – zaśmiała się Fanny.*

Pusta komoda. W całym pokoju ani jednego przedmiotu o charakterze osobistym. Wróciłem do głównego pomieszczenia i przepiłowałem drugą kłódkę. Podobnie umeblowana izba, tym razem fresk przedstawiał pokryte śniegiem góry. W szafie znalazłem róg „Apollina”, kostium Roberta Foulkesa, fartuch i czepek kucharza, ubiór lapoński, kapitański mundur z czasów pierwszej wojny z naszywkami brygady strzelców.

Wróciłem do półki z książkami. Zirytowany zdjąłem wszystkie i z jednej z nich, z oprawnego rocznika „Puncha” z 1914 roku (w którym wiele ilustracji zakreślono czerwonym ołówkiem), wypadł plik papierów: w pierwszej chwili myślałem, że to listy. Ale nie były to listy. Kartki maszynopisu zawierające coś w rodzaju instrukcji. Żadna nie była opatrzona datą.

1. *Utopiony włoski lotnik.*

Postanowiliśmy pominąć ten epizod.

2. *Norwegia.*

Postanowiliśmy pominąć.

3. *Jaskółka.*

Sprawa jeszcze drażliwa. Wspominać o niej z najwyższą ostrożnością.

4. *Jeśli pacjent odkryje Ziemię.*



Na następny weekend należy już być przygotowanym na tę ewentualność. Lily uważa za bardzo prawdopodobne, że pacjent wymusi na niej pokazanie *Ziemi*.

Aha, więc jednak Lily.

#### 5. *Jaskółka.*

Odtąd w rozmowach z pacjentem proszę więcej o tym nie wspominać.

#### 6. *Ostatnia faza.*

Poza samym „jądrem” wszyscy będą już z końcem lipca wolni.

#### 7. *Stan pacjenta.*

Maurice uważa, że pacjent zgodzi się obecnie na wszystko. Jest już w tym stadium, że stało mu się obojętne, co się dzieje, byle tylko się działo. Często zmieniaj nastroje, wycofuj się.

Na ósmej kartce przepisano na maszynie fragment *Burzy*, który wyrecytowała mi kiedyś Lily. Wreszcie na zupełnie innym papierze znalazłem parę słów nabazgranych ołówkiem.

*Powiedz Bo, żeby nie zapomniał o ineksprimablach i o książkach. I błagam o serwetki.*

Na odwrocie tych kartek wiersze Lily (a może miałem tak tylko myśleć), dużo poprawek, skreśleń. W każdym razie był to jej charakter pisma.

#### *1. Co to Jest?*

*Jeśli ci powiedzą;*

*Nie zrozumiesz.*

*Dlaczego właśnie to?*

*Gdyby ci wyznać przyczyny,*

*Nie zrozumiesz.*

*To istnieje?*

*Nawet tego nie możesz być pewien.*

*Głuche kroki w całkiem pustej izbie.*

*2. Miłość to przebieg doświadczenia.  
Do kresu wyobrażeń.  
Miłość to twoja męskość w mych sadach,  
Twoja ciemna twarz, gdy to czytasz.  
Twoja czarna, twoja dobra twarz i race.  
Czyż Desdemona*

Ten wiersz został nie ukończony.

*3 Wybór  
Oszczędzaj go, nim umrze.  
Męcz go, póki żyje, męcz.*

*4 Ominus dominus  
Nicholas  
Homullus est  
ridiculus*

*igitur meus  
parvus pediculus  
multo vult dare  
sine morari*

*in culus illius  
ridiculus  
Nicholas  
colassicus ciculus*

*5 Baron von Masoch na szpilce siadł,  
Z rozkoszą wbił ją głębiej w zad.*

*„Nie masz to — zawołał Platon,  
Jak idea placuszków z jabłuszek.”*

*Ale inni zawołali na to,  
Że wolą placuszki w brzuszku.*

*Powiedział ktoś do pani de Sade  
„Masz chyba często stracha, przyznaj!”  
„Och, nie tyle stracha, ile  
Mam całą pupę w bliznach.”*

*Podaj mi sweterek,  
Zmienię się w heterę*

Musiał to być poetycki turniej między siostrami, każda strofka była napisana innym charakterem pisma.

*6 Tajemnica południa wystarczy.  
Na ścieżkach wyludnionych,  
Nad morzem zbyt zaludnionym  
Labirynt i maskarada.*

*Po co szukać księżycy  
Tu na tej sterczącej skale,  
Tu w świetle oszalałym  
Tkwi zagadka.*

Na ostatnich trzech kartkach bajka.

### *Księżę i czarodziej*

*Dawno, dawno temu żył sobie młody księżę, który nie wierzył w trzy tylko rzeczy. Nie wierzył w księżniczki, nie wierzył w wyspy, nie wierzył w Boga. Bo tak go nauczył jego ojciec, stary król. A że we włościach ojca nie było ani księżniczek, ani wysp, ani Boga, młody księżę łatwo w to uwierzył.*

*Ale któregoś dnia uciekł z pałacu. Wybrał się do sąsiedniego kraju. I tam, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, zobaczył z brzegu morza wyspy, a na nich jakieś*

*dziwne, niepokojące istoty, których nawet w myśli nie ośmielił się nazwać. Kiedy szukał łodzi, podszedł do niego jakiś mężczyzna w wieczorowym stroju.*

*— Czy to naprawdę są wyspy? — spytał ksiązę.*

*— Oczywiście, że wyspy — odparł mężczyzna we fraku.*

*— A te dziwne, niepokojące istoty?*

*— Są to najprawdziwsze, autentyczne księżniczki.*

*— Czyżby zatem miał istnieć także i Bóg! — zawołał ksiązę.*

*— Jestem Bogiem — odparł z ukłonem mężczyzna we fraku.*

*Młody ksiązę, jak mógł najszybciej, powrócił do domu.*

*— Zatem wróciłeś — powiedział jego ojciec, król.*

*— Widziałem wyspy, widziałem księżniczki, widziałem Boga — oświadczył ksiązę tonem pełnym wymówki.*

*Na królu nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.*

*— Nie istnieją wyspy ani księżniczki, ani Bóg.*

*— Widziałem na własne oczy.*

*— Jak wyglądał Bóg?*

*— Bóg miał na sobie frak.*

*— Z podwiniętymi rękawami?*

*Ksiązę przypomniał sobie, że istotnie — rękawy były podwinięte. Król uśmiechnął się.*

*— Jest to strój czarodzieja. Zostałeś wystrychnięty na dudka.*

*Słyszac to ksiązę szybko udał się do sąsiedniego kraju i poszedł na brzeg, gdzie znów spotkał tego mężczyznę w wieczorowym stroju.*

*— Ojciec mój, król, powiedział mi, kim jesteś — zawołał z oburzeniem ksiązę.*

*— Oszukałeś mnie, ale już mnie więcej nie oszukasz. Teraz wiem, że nie są to prawdziwe wyspy ani prawdziwe księżniczki, bowiem ty jesteś tylko czarodziejem.*

*Mężczyzna uśmiechnął się.*

*— To nie ja cię oszukałem, mój chłopcze. W królestwie twego ojca wiele jest wysp i wiele księżniczek, ale ojciec rzucił na ciebie czar i nie jesteś w stanie ich dojrzeć.*

*Zamyślony ksiązę wrócił do domu. Kiedy zobaczył ojca, spojrzał mu prosto w oczy.*

*— Ojcze, czy to prawda, że nie jesteś prawdziwym królem, tylko czarodziejem?*

*Król uśmiechnął się i zwinął rękawy.*

*– Tak, synu. Jestem tylko czarodziejem.*

*– Zatem ten mężczyzna na brzegu jest Bogiem?*

*– Nie, synu, on także jest czarodziejem.*

*– Muszę znać prawdę, muszę wiedzieć, co jest prawdą, a co czarami.*

*– Nie ma prawdy poza czarami – oświadczył król.*

*Księcia ogarnął smutek.*

*– Zabiję się! – powiedział.*

*Król za pomocą czarów przywołał śmierć. Śmierć stanęła w drzwiach i skinęła na księcia. Księcia przeszedł dreszcz. Przypomnił sobie nierzeczywiste, lecz piękne wyspy, nierzeczywiste, lecz piękne księżniczki.*

*– W porządku – powiedział. – Jakoś to zniosę.*

*– Widzisz, mój synu – uśmiechnął się król – teraz ty także stajesz się czarodziejem.*

„Instrukcje” wyglądały dość podejrzanie, tak jakby ktoś wystukał je na maszynie tego samego dnia, wiersze także robiły wrażenie napisanych *ad hoc*, za jednym zamachem. Nie uwierzyłem w instrukcje. Zastanawiałem się, co to za Jaskółka... „sprawa jeszcze drażliwa”, nie należy o niej mówić, może jakaś niespodzianka, która mnie ominęła... Łatwiej, było zrozumieć wiersze i bajkę, jasne było, do czego się odnosiły. Nie mogli być pewni, że wedrą się do *Ziemi*. Kto wie, czy na całym terytorium Bourani nie ukryto takich „dokumentów” przyjmując z góry, że zapoznam się tylko z ich częścią. I że cokolwiek znajdę, przyjmę to za dobrą monetę, choć wprowadzi mnie to tak samo w błąd, jak wszystkie poprzednie poszlaki.

Marnowałem w Bourani czas, wszystko, co odkryję, powiększy jeszcze panujący w moich myślach zamęt.

O tym właśnie mówiła bajka. Że zapalczywie szukając, traktowałem wydarzenia lata jak kryminalną powieść, a podchodzenie do życia jak do kryminalnej powieści, gdzie wszystko da się wydedukować, wszystko ma logiczne przesłanki, jest równie mało realistyczne (i bynajmniej nie poetyckie) jak uważanie kryminalnej powieści za najważniejszy gatunek literacki, podczas kiedy naprawdę jest ona jednym z najpośledniejszych.

Zobaczywszy na Moutsie grupę ludzi, poczułem wbrew wszystkiemu radosne podniecenie, a kiedy zdałem sobie sprawę, że to tylko turyści, byłem jednak

rozczarowany. To właśnie miałem chyba Conchisowi najbardziej za złe. Nie, że zrobił to, co zrobił, ale że komedia się skończyła. Zamierzałem włamać się także do domu i dać tam upust zemście. Ale nagle poczułem, że byłoby to czymś małostkowym i podłym, a w dodatku niewystarczającym, zemsta powinna być poważniejsza. I dopiero w tej chwili przyszło mi na myśl, jak ma ona wyglądać. Mogłem otrzymać dymisję ze szkoły. Ale nic nie będzie mi w stanie przeszkodzić w powrocie na wyspę następnego lata. I wtedy zobaczymy, kto będzie śmiał się ostatni.

Wstałem, wyszedłem z *Ziemi* i poszedłem pod willę, ostatni spacer pod kolumnadą. Znikły krzesła, zniknął dzwon. W ogródku warzywnym pożółkły i uschły liście ogórków. Zabrano Priapa.

Pełen byłem smutku, z powodu przeszłości, z powodu teraźniejszości, z powodu przyszłości. Nawet jeszcze teraz zwlekałem z pożegnaniem, bo miałem nadzieję, że ukaże się któraś ze znanych mi postaci. Nie wiedziałem, co bym zrobił, gdyby się ukazała, tak samo jak nie wiedziałem, co zrobię po przyjeździe do Aten. Nie wiedziałem, czy chcę zamieszkać znów w Anglii, ani na co właściwie mam ochotę. Tak samo jak po wyjściu z Oksfordu. Wiedziałem tylko, czego nie chcę, za nic na świecie nie chcę być dłużej nauczycielem. Wolałbym już raczej wywozić śmieci. Widziałem przed sobą uczuciową pustkę, nigdy już nie potrafię się zakochać, składała się na to zarówno symboliczna śmierć Lily, co rzeczywista śmierć Alison. Zostałem wyleczony z Lily, ale moje rozczarowanie, że nie udało mi się jej zdobyć, zamieniło się w rozczarowanie samym sobą; przykre nieuniknione przecucie, że jej wspomnienie wypaczy każde spotkanie z inną kobietą, będzie mnie nawiedzać przy każdej tego typu okazji, będzie się pojawiać jak duch. Tylko Alison mogłaby mnie od tego wspomnienia uwolnić. Nie zapomniałem uczucia ulgi, które nawiedziło mnie w Monemvasii i na statku, którym wracałem na Phraxos, kiedy najzwyczajsze rzeczy wydawały mi się piękne i godne miłości – tkwiła w nich urzekająca codzienność. To właśnie mógłbym znaleźć w Alison. Jej wyjątkowość, jej geniusz polegały na tym, że była naturalna, rzeczywista, że można było przewidzieć, jak postąpi. Kryształowe jądro rzetelności uniemożliwiające zdradę. Szacunek dla tego wszystkiego, co Lily było obce.

Byłem rozbitkiem, pozbawiono mnie skrzydeł, kończyny ciążyły mi jak napełnione ołowiem, jakby uniosło mnie, a potem znów upuściło na ziemię stado jakichś dziwnych skrzydlatych istot, wyzwolonych, tajemniczych, które odleciały tak, jak odlatują śpiewające ptaki zostawiając ciszę wyczerpaną głosami.

Teraz znad zatoki dobiegały słabiutkie głosy aż nazbyt zwykłe, piski, kwiki. Niewybredne igraszki. Teraźniejszość wymazywała przeszłość. Ukośne promienie słońca przedostawały się między gałęziami pinii, a ja po raz ostatni wybrałem się pod posąg.

Posejdon – pełny majestat, płynący z doskonałego opanowania, doskonałego spokoju, doskonałego przystosowania się – stał nachylony nad swoim boskim morzem; Grecja, ten wieczny, niezgłębiony, najdzielniejszy, bo najczystszy kraj, gdzie nawet w południowej godzinie wyczuwało się tajemnicę. Może to właśnie ten posąg stanowił istotę Bourani, jego *omphalos* – nie dom, *Ziemia*, Conchis czy Lily, ale ta milcząca postać, łaskawa, wszechmocna, choć pozbawiona możliwości działania, która po prostu była i obecnością swoją nadawała wszystkiemu kształt.

## 66

Natychmiast po przybyciu do Aten zadzwoniłem na lotnisko. Połączono mnie z odpowiednim działem. Usłyszałem męski głos.

Nie znał wymienionego przeze mnie nazwiska. Przeliterowałem je. Spytał o moje. I powiedział: – Proszę minutę zaczekać.

Trwało to rzeczywiście co najmniej minutę, ale wreszcie usłyszałem kobiecy głos, grecko-amerykański akcent. Przypominał głos dziewczyny, z którą rozmawiałem w dzień spotkania z Alison.

– Kto mówi?

– Jej przyjaciel.

– Mieszka pan tutaj?

– Tak.

Sekunda milczenia. Zrozumiałem. Przez wiele godzin łudziłem się gorączkową nadzieją. Spuściłem oczy: wytarty zielony dywan.

– Nic pan nie słyszał?

– O czym?

– Ona nie żyje.

– Nie żyje?

W moim głosie nie było zdziwienia.

– Umarła miesiąc temu. W Londynie. Myślałam, że wszyscy wiedzą. Zażyła za dużo środ...

Odłożyłem słuchawkę. Wyciągnąłem się na łóżku i wpatrzyłem w sufit. Długo trwało, nim udało mi się zmusić do wstania, zszedłem na dół i zacząłem pić.

Następnego ranka wybrałem się do British Council. Oznajmiłem odpowiedniemu urzędnikowi, że złożyłem rezygnację z powodów osobistych, ale udało mi się – nie łamiąc złożonej Mavromichalisowi obietnicy – zasugerować, że British Council nie powinno posyłać ludzi na tego typu odizolowane od świata placówki. Urzędnik natychmiast wyciągnął z tego zupełnie fałszywe wnioski.

– Nie, nie molestowałem uczniów. To nie o to chodzi.

– Ależ, panie kolego, bynajmniej nie miałem tego na myśli – zmieszany poczęstował mnie papierosem.

Zaczęliśmy rozmawiać o izolacji, o Morzu Egejskim, o tym jak piekielnie trudno jest przekonać ambasadę, że Council nie jest jej aneksem. Pod koniec zapytałem go obojętnym tonem, czy nie słyszał gdzieś o Conchisie.

– Kto to taki?

– Facet, którego poznałem na wyspie. Robił wrażenie, że nie nosi nas w sercu.

– To ich nowe narodowe hobby. Wygrywają przeciwko nam Jankesów. – Zamknął zrećznie temat. – Wielkie dzięki, Urfe. Bardzo pożyteczna pogawędka. Przykro mi, że tak to wypadło. Niech się pan nie kłopotuje. Nie zapomnimy o tym, co nam pan opowiedział.

Chyba rzeczywiście wzbudziłem jego litość, bo już przy drzwiach zaprosił mnie na obiad.

Przechodząc przez plac Kolonaki, przy którym mieścił się instytut, zastanawiałem się, dlaczego przyjąłem zaproszenie. Nigdy jeszcze nie była mi tak obca ta typowo angielska dławiąca atmosfera, a ku własnej zgrozie usiłowałem się do niej przystosować, szukałem aprobaty. Jak to oni powiedzieli podczas procesu? Szuka sytuacji, które zmuszą go do buntu. Nie, nie chciałem być ofiarą repetytywnej kompulsji, ale wobec tego należało znaleźć odwagę, by odrzucić całą swoją przeszłość, wyrzec się środowiska, z którego pochodziłem. Powinienem być gotów wywozić śmieci nie tylko po to, by nie uczyć, ale po to, by w ogóle uniknąć kontaktów i pracy w mieszczańskim środowisku angielskim.

Ci ludzie w British Council byli dla mnie obcymi cudzoziemcami, moi ziomkowie to otaczający mnie na ulicy tłum anonimowych Greków.



Rezerwując pokój w „Grande Bretagne” spytałem, czy nie mieszkały tu ostatnio dwie Angielki, jasnowłose, dwudziestoletnie bliźniaczki. Ale recepcjonista był pewien, że nie, tego zresztą oczekiwałem i przestałem nalegać.

Wyszędłszy z British Council wybrałem się do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Pod pretekstem pracy nad książką o Grecji trafiłem do departamentu, gdzie złożone były akta dotyczące zbrodni wojennych, i już po kwadransie miałem w rękę angielski przekład raportu napisanego przez autentycznego Antona. Usiadłem i przeczytałem go, poza paroma nieważnymi szczegółami potwierdzał w całej rozciągłości opowieść Conchisa.

Spytałem urzędnika, czy Conchis żyje. Zajrzał do akt, z których wyjął raport. Odnalazł tam tylko adres na Phraxos. Nic więcej nie wiedział. Nigdy nie słyszał o Conchisie, dopiero od niedawna pracował w tym departamencie.

Następną wizytę złożyłem we francuskiej ambasadzie. Udało mi się ściągnąć na dół attache kulturalnego. Wyjaśniłem, kim jestem i że bardzo zależy mi na przeczytaniu pracy słynnego francuskiego psychologa o instytucjonalizacji złudzeń... Zainteresowało go to, ale kiedy wspomniałem o Sorbonie zaczęły się kłopoty. Bardzo żałuje, ale to chyba jakieś nieporozumienie: na Sorbonie nie ma wydziału medycznego. Niemniej zaprowadził mnie do biblioteki. Wkrótce odkryłem, że Conchis nigdy, w żadnym charakterze nie pracował na Sorbonie (ani zresztą na żadnym francuskim uniwersytecie), nie był we Francji zarejestrowany jako lekarz, nigdy nie opublikował nic po francusku. Odnalazł profesora Maurice'a Henri de Conches-Vironvay z Tuluzy, który napisał kilka rozpraw o chorobach wina, ale nędzna to była namiastka. Na koniec uciekłem z poczuciem, że przynajmniej w miarę swych skromnych sił przyczyniłem się do anglo-francuskiego porozumienia; nie naraziłem na szwank ufego galijskiego przekonania, iż większość Anglików to obłąkani ignoranci.

Kiedy w południe wracałem do hotelu, panował parny upał. Recepcjonista wraz z kluczem podał mi list. Na kopercie widniało tylko moje nazwisko z dopiskiem: Pilne. Rozerwałem kopertę. Wewnątrz była kartka papieru, a na niej słowa: *184 Syngrou.*

- Kto przyniósł ten list?
- Jakiś chłopak. Goniec.
- Skąd?

Rozłożył bezradnie ręce. Nie wiedział.

Znałem Syngrou, był to szeroki bulwar, którym z Aten jechało się do Pireusu. Nie zwlekając wyszedłem z hotelu i wskoczyłem do taksówki. Minęliśmy trzy kolumny świątyni Zeusa Olimpijskiego i pomknęliśmy w stronę Pireusu. Po minucie taksówka zatrzymała się przed domem stojącym w głębi sporego ogrodu. Na obtłuczonej emaliowanej tabliczce widniał numer 184.

Ogród był zapuszczony, okna zabite na głucho. Sprzedawca biletów na loterię, który siedział pod pobliskim pieprzowcem, spytał, kogo szukam. Nie odpowiedziałem, podszedłem do drzwi domu, potem obszedłem go wokoło. Z domu pozostała tylko zewnętrzna skorupa. Przed paroma laty musiał tu być pożar, płaski dach zapadł się. Zajrzałem do ogródka na tyłach domu, był tak samo zapuszczony. Kuchenne drzwi stały otworem. Na podłodze leżały krokwie dachu, widać było, że ktoś tu biwakował, włóczędzy lub Cyganie, na starym palenisku ktoś niedawno rozniecał ogień. Czekałem chwilę, ale coś mówiło mi, że nie mam tu czego szukać. Fałszywy trop.

Wróciłem do oczekującej mnie żółtej taksówki. Z wyschłej ziemi unosił się kurz i osiadał na i tak już zszarzałych liściach mizernych oleandrów. Jeźdźnią pędziły samochody, szeleściły gałęzie stojącej przy bramie palmy. Uliczny handlarz rozmawiał z moim taksówkarzem. Kiedy podszedłem, odwrócił się.

— *Zitas kanenan?* Szukasz kogoś?

— Czyj to dom?

Handlarz był nie ogolony, miał na sobie zniszczone szare ubranie, brudną białą koszulę bez krawata, w rękę trzymał bursztynowe paciorki. Podniósł je do góry, dając do zrozumienia, że nie wie.

— Nie wiem. Niczyj.

Spojrzałem na niego przez ciemne przeciwsłoneczne okulary. I wypowiedziałem jedno słowo.

— Conchisa?

Natychmiast rozjaśniła mu się twarz, jakby nagle wszystko zrozumiał. — Aha. Szuka pan o *kyrios* Conchisa?

— Tak.

Rozłożył ręce. — On nie żyje.

— Od kiedy?

— Od czterech, nie, od pięciu lat. — Podniósł do góry cztery palce, potem przejechał jednym po gardle i powiedział: *kaput*. Spojrzałem na leżący za nim na krześle długi kij, na którym powiewały bilety.

Uśmiechnąłem się kwaśno i spytałem po angielsku: — Skąd pan jest? Z Teatru Narodowego? — Ale on potrząsnął głową, dając znak, że nie rozumie.

— Bardzo bogaty człowiek. — Spojrzał na taksówkarza, jakby liczył, że jeśli nawet ja nie zrozumie, to zrozumie on. — Pochowano go na Świętym Jerzym. Piękny cmentarz. — Był tak typowo grecki w tym swoim uśmiechu, w chętnym obrzucaniu rozmówcy zbędnymi informacjami, że zacząłem wierzyć, że jest tym, za kogo się podaje.

— To wszystko?

— *Ne, ne*. Niech pan pojedzie obejrzyć jego grób. Piękny grób.

Wsiadłem do taksówki. Sprzedawca chwycił za kij z biletami i wsunął go przez okno.

— Niech pan kupi szczęśliwy los. Anglicy zawsze mają szczęście. — Wybrał jeden z biletów i podał mi. I nagle zaczął mówić po angielsku. — Jeden mały bilecik!

Kazałem taksówkarzowi ruszyć. Zawrócił, po jakichś pięćdziesięciu jardach zatrzymałem go przed kawiarnią. Przywołałem kelnera.

Czy nie wie, do kogo należy tamten dom?

Wie. Do wdowy nazwiskiem Raili, która mieszka na Korfu.

Wyjrzałem przez tylne okno. Handlarz uliczny oddalał się szybkim, o wiele zbyt szybkim krokiem, zauważył pewnie, że go obserwuję, i skręcił w boczną uliczkę.

O czwartej po południu, kiedy zrobiło się nieco chłodniej, wsiadłem w autobus jadący w stronę cmentarza. Cmentarz był o parę mil od Aten, na pokrytym lasem zboczu Mount Egeleos. Zapytałem starego odźwiernego przy bramie, gdzie leży Conchis, ale byłem pewny, że nie otrzymam odpowiedzi. Tymczasem pokuszyłem do dozorcówki, przejrzał rejestr i powiedział, że muszę pójść główną aleją i skręcić w piątą przecnicę. Szedłem wzdłuż rzędu maleńkich jońskich świątyń, ustawionych na kolumnach popiersi i ozdobnych stel — cały las helleńskiego złego smaku, było jednak cieniście i zielono.

Piąta w lewo. I tam między dwoma cyprysami, w cieniu żalobnego krzewu wyglądającego jak aspidistra widniała prosta marmurowa płyta, a na niej, pod wrytym krzyżem, słowa

## ΜΟΡΙΣ ΚΟΡΧΙΣ

1896 – 1949

Umarł zatem przed czterema laty.

Tuż przed płytą stał niewielki zielony wazonik, spośród niepozornych białych kwiatków wysuwała się lilia i czerwona róża. Uklęknąłem i wyjąłem je. Były świeże, ścięto je pewnie dopiero dziś rano, woda była czysta i chłodna. Zrozumiałem, on na swój sposób dawał mi znać o tym, o czym już wiedziałem, moje detektywistyczne poszukiwania niedaleko mnie zaprowadzą — do sfabrykowanego grobu, do uśmiechu, który rozplynie się w powietrzu.

Włożyłem kwiaty z powrotem do wody. Jeden ze skromnych kwiatków stanowiących tło upadł, podniosłem go i powąchałem; słodki miodowy zapach. Może i ten kwiatek miał jakieś znaczenie, skoro wraz z nim była róża i lilia. Włożyłem go do butonierki i natychmiast o nim zapomniałem.

Przy bramie spytałem starego odźwiernego, czy zna krewnych zmarłego Maurice'a Conchlsa. Znów zajrzał do swej księgi, ale nie znalazł w niej odpowiedzi. Czy wie, kto przyniósł dziś kwiaty na grób Conchisa? Wiele osób było tu dziś z kwiatami. Powiew wiatru rozwiął kosmyki włosów nad pooranym zmarszczkami czołem. Był to stary zmęczony człowiek.

Niebo było jaskrawo błękitne. Samolot zniżał się do lądowania na lotnisku z drugiej strony attyckiej równiny. Nadeszli inni żałobnicy i stary odźwierny pokuszywał im naprzeciw.

Obiad tego wieczoru był czymś potwornym, kwintesencją angielskiej tępoty. Przed wyjściem z hotelu wyobrażałem sobie, że opowiem im o Bourani, widziałem, jak cały stół zamienia się w słuch. Ale po pierwszych pięciu minutach rozmowy zmieniłem zdanie. Było nas osiem osób, pięć z British Council, sekretarz ambasady i niziutki krytyk w średnim wieku, który przyjechał z odczytami, pedzio. Rozpoczęły się literackie ploteczki. Pedzio jak sęp czyhał na nazwiska.

— Czy ktoś czytał ostatniego Henry Grena? — spytał facet z ambasady.

— Nie mogłem skończyć.

— Mnie się podobało.

Pedzio dotknął fontazia, który służył mu za krawat. — Wiecie pewnie wszyscy, co ten kochany Henry powiedział, gdy...

Kiedy powtórzył swój numer po raz dziesiąty, rozejrzałem się po twarzach współbiedniaków. Miałem nadzieję, że ktoś na mnie porozumiewawczo mrugnie, że zobaczą w czyimś wzroku chęć protestu. W końcu książki pisze się po to, by je czytano, a nie opowiadano anegdotki o prywatnym życiu ich autorów. Ale na żadnej twarzy nic się nie malowało, wszystkie wyglądały tak samo, każdy umysł zamknął się w takiej samej dziwacznej zbroi, te twarze przypominały wierzchołki lodowych skał. Przez cały wieczór słyszałem, jak podzwaniały okruchy sopli lodu, gdy ludzie nieśmiało i bez rezultatu usiłowali przebić się przez płot stęchłych słów, brzęk, szczęk i wycofywanie się na poprzednie pozycje.

Nikt nie wypowiedział słowa, które naprawdę chciałby wypowiedzieć, nikt nie mówił tego, co myślał. Nikt nie zachowywał się naturalnie, nie okazywał ciepła, pod koniec stało się to żalosne. Widziałem, że mój gospodarz i jego żona naprawdę kochają Grecję, ale słowa zachwyty więzy im w gardle. Krytyk wygłosił zręczną rozprawkę o Leavisie, ale na koniec wszystko popsuł wpadając w tanią złośliwość. Wszyscy byliśmy tacy sami; niemal się nie odzywałem, ale to nie uwalniało mnie od winy, byłem tak samo uformowany i uwarunkowany jak reszta współbiedniaków. Uroczyste posągi Starego Kraju, Królowej, Ekskluzywnej Szkoły, Oxbridge'u, Właściwego Akcentu, Ludzi Takich Jak My otaczały stół niczym agenci tajnej policji, gotowe zmiążyć każdą próbę zachowania się jak inteligentny- Europejczyk-humanista.

Charakterystyczne było to ciągle odwoływanie się do słówka „się”. Miało się przyjaciół, miało się służbę, miało się ulubionych autorów, podróżowało się po Grecji, owo „się” — mściwe, pozbawione twarzy bożyszcze brytyjskiego mieszczucha — sterczało nad nami cały wieczór jak poczerniony sadzą obelisk.

Wracałem do hotelu z krytykiem rozmyślając z rozpaczą o wypełnionej światłem samotności na Phraxos, o stracie, jaką poniosłem.

— Straszni nudziarze z tych facetów z Council — zauważył krytyk. — Ale trzeba żyć. — Nie wszedł do hotelu. Powiedział, że pójdzie się przejść na Akropol. Ruszył jednak w stronę Zappeionu, parku gdzie najbardziej zdesperowani, wygłodzeni wiejscy chłopcy szukający szczęścia w Atenach sprzedają swoje wychudzone ciała za cenę jednego posiłku.

Poszedłem na ulicę Panepistemiou, zjrzałem do Zonara, usiadłem przy barze i zamówiłem duży koniak. Czułem się przybity, nie wiedziałem, jak zniósę powrót do Anglii. Byłem wygnańcem, i będę nim już zawsze, bez względu na to, gdzie zamieszkać. Mogłem się pogodzić z myślą o wygnaniu, ale samotność była czymś nie do zniesienia.

Kiedy wróciłem do pokoju, było już blisko pół do pierwszej. Panowała w nim zwykła duchota ateńskiej letniej nocy. Zrzuciłem ubranie i zamierzałem wejść pod prysznic, gdy zadzwonił stojący koło łóżka telefon. Podeszedłem do niego tak jak stałem, nago. Przemknęła mi przez głowę ponura myśl, że to krytyk, któremu nie powiodło się w Zappeionie szuka kogoś, przed kim mógłby wydeklamować następną litanię imion.

— Hallo.

— *Meester Ouf?* — Był to głos nocnego portiera. — Do pana telefon.

Usłyszałem trzaski.

— Hallo?

— Och. Czy to pan Urfe? — męski głos, którego nie znałem. Grek, ale mówiący niemal bez akcentu.

— Jestem przy telefonie. Z kim mówię?

— Proszę wyjrzeć przez okno.

Trzaski. Cisza. Stuknąłem parokrotnie w widełki, bez rezultatu. Tamten mężczyzna odwiesił słuchawkę. Chwyciłem z łóżka szlafrok, zgasłem światło i podbiegłem do okna.

Mieszkałem na trzecim piętrze, moje okno wychodziło na boczną uliczkę.

Przy przeciwnym chodniku stała zwrócona do mnie tyłem taksówka. Nic w tym nie było dziwnego. To tu zajeżdżały taksówki czekające na hotelowych gości. Taksówkę minął mężczyzna w białej koszuli. I tuż pod moim oknem przeszedł przez jezdnię. Wszystko wyglądało najnormalniej w świecie. Puste chodniki, zapalone latarnie, zamknięte sklepy, ciemne okna biur, taksówka. Mężczyzna zniknął. I wtedy się zaczęło.

Naprzeciwko mojego okna, nieco niżej, paliła się latarnia nad wejściem do arkad sklepowych. Arkady skręcały, nie widziałem ich początku.

Wyszła z nich dziewczyna.

Dobiegał warkot silnika taksówki.

Dziewczyna wiedziała, gdzie jestem. Podeszła na brzeg chodnika, maleńka, nie zmieniona, a zupełnie inna, i spojrzała prosto w moje okno. Światło padało na jej brązowe ramiona, ale twarz pozostawała w cieniu. Czarna sukienka, czarne pantofle, w lewej ręce miała czarna torebka wieczorowa. Dziewczyna wyszła z cieni, tak jak mogłaby się z nich wyłonić prostytutka, jak wyłonił się Robert Foulkes. Twarz bez wyrazu, tylko ten wlepiony we mnie wzrok. Wszystko to nie trwało piętnastu sekund. Taksówka podjechała do niej. Ktoś otworzył drzwiczki i ona szybko wsiadła. Taksówka natychmiast ruszyła. Pisk opon na końcu ulicy.

Kryształ leżał w okruchach.

Nie było ucieczki od zdrady.

## 67

W ostatniej chwili zawołałem ją gniewnie po imieniu. Z początku pomyślałem, że znaleźli sobowtór, ale nikt nie potrafiłby podrobić jej chodu. Ani stać w takiej pozycji.

Jednym skokiem znalazłem się przy telefonie, odezwał się nocny portier.

— Tamten telefon... Czy może pan sprawdzić, skąd do mnie dzwoniło? — Nie zrozumiał. — Kto telefonował?

Nie wie.

Czy w ciągu ostatniej godziny był w hotelowym hallu ktoś obcy? Czy ktoś tu czekał?

— Nie, *meester Ouf*, nikogo nie było.

Zakręciłem prysznic, narzuciłem ubranie i wybiegłem na Plac Konstytucji. Obszedłem wszystkie kawiarnie, zaglądałem do taksówek, wszedłem z powrotem do baru Zonara, do Toma, do Zaporitiego, obszedłem wszystkie modne lokale, niezdolny byłem zebrać myśli, powtarzałem tylko w kółko jej imię.

Alison, Alison, Alison.

Zrozumiałem, a jakże, zrozumiałem. Po pierwsze musiałem się pogodzić z tym niewiarygodnym faktem, że oni skaptowali sobie Alison. Jak mogła? I dlaczego? Dlaczego? dlaczego?

Wróciłem do hotelu.

Conchis musiał się dowiedzieć o naszej kłótni, może nawet ją podsłuchał; jeśli posługiwał się ukrytymi kamerami, równie dobrze mógł używać aparatów podsłuchowych. Skontaktował się z nią jeszcze tej nocy albo nazajutrz, wcześniej rano... te instrukcje w *Ziemi: Jaskółka*. Tamci ludzie na korytarzu hotelu w Pireusie, którzy obserwowali, jak próbuję ją skłonić, żeby mnie wpuściła do pokoju. Kiedy o niej wspomniałem, Conchis musiał dobrze nadstawiać uszu; gdy dowiedział się, że przyjeżdża do Aten, musiał się przerazić, że pokrzyżuje to jego plany. Kazał nas śledzić od momentu spotkania, a potem przekonał ją, użył tego swojego czaru, na początku wprowadził ją pewnie w błąd... Dziwne uczucie zazdrości, pozbawionej seksualnego tła, wizja, jak on jej mówi: chcę udzielić temu twojemu samolubnemu chłopakowi lekcji, której nigdy nie zapomni. Przypomniałem sobie nasze dawne utarczki z Alison na temat współczesnych malarzy i pisarzy, to tylko pozornie nie miało związku ze sprawą. Lubilem wytykać im wszelkie wady, ona usiłowała podkreślać zalety, a ja czułem się tym osobiście dotknięty, czego zresztą nie omieszkała mi nigdy wytknąć.

A może od początku pracowała dla Conchisa? Czyż nie zmusił mnie niemal do zobaczenia się z nią odwołując zaproszenie na weekend? I ofiarowywał mi swój dom na wsi, jeśli zechcę sprowadzić ją na wyspę. Ale nagle przypomniałem sobie coś, co June powiedziała tamtej nocy — że improwizowali, że „szczur” także uczestniczył w wytyczaniu ścieżek labiryntu. W to gotów byłem uwierzyć. A zatem chyba po tym ataku hysterii Alison w Pireusie musieli znaleźć sposób, żeby ją sobie zdobyć — tą ich obłąkaną logiką, szaleństwem, kłamstwami, pieniędzmi... może podzielili się z nią ową wielką tajemnicą, której nie dane mi było poznać: dlaczego w ogóle wybrali sobie na królika właśnie mnie. Przypomniałem sobie także, ile im nakłamałem na temat Alison, a oni znali już wówczas całą prawdę. Przypominając to sobie, głośno jąknąłem.

Po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że dziwnie mało wykorzystano w maskaradzie osobę „June”. W *Ziemi* wisiały jej kostiumy. Zapewne miała odegrać znacznie poważniejszą rolę, przeszkodziło temu pojawienie się Alison. Nasze pierwsze spotkanie twarzą w twarz, a właściwie usta w usta, zawarte w tym szyderstwo z mojej rzekomej niestałości, ciągle odwoływanie się do tej niedorzecznej historyjki *Trzech serc* — wszystko to wskazywało, jak miały się potoczyć sprawy. Potem ta niedziela na plaży, to popisywanie się nagością... pewnie Conchis nie był jeszcze po pierwszym spotkaniu pewien Alison i trzymał „June” w odwodzie. Potem udało mu się przekonać Alison i wycofał „June” z akcji. I dlatego także charakter Lily uległ tak raptownej zmianie i zaczęła odgrywać rolę Circe.



Ta lektyko-trumna. Na pewno nie była pusta, na pewno chcieli, żeby Alison była świadkiem sukcesu ich metod. Wiłem się na myśl o tym bezlitosnym okrucieństwie, tym nie kończącym się stawianiu mnie pod pręgierz. Proces: moje „żerowanie na młodych kobietach” — to ona musiała im o tym donieść. I o tym, że przed moim wyjazdem z Londynu była w samobójczym nastroju. To dzięki niej znali wszystkie szczegóły mego życia.

Szalałem z gniewu. Myślałem o tym przeraźliwym autentycznym smutku, który ogarnął mnie, gdy dowiedziałem się o śmierci Alison. A ona tymczasem była w Atenach, może nawet mieszkała w domu we wsi lub w Bourani. Może mi się nawet przyglądała. Grając rolę niewidzialnej Marii wobec Olivii-Lily i mnie jako Malvolia — stale te echa szekspirowskich sytuacji.

Biegałem po pokoju, wyobrażając sobie, że Alison znajduje się na mojej łasce. Biłem ją i katowałem, rozplýwała się we łzach przeprosin.

I znów wróciłem myślą do Conchisa, na czym polegała 'ta jego tajemnicza władza nad dziewczynami tak inteligentnymi jak Lily, tak niezależnymi jak Alison. Jakby odkrywał przed nimi jakiś sekret, dzięki któremu zyskiwał nad nimi władzę; znów znajdowałem się w ciemnościach, byłem człowiekiem wyrzuconym poza nawias, przedmiotem kpin.

Nie byłem Hamletem oplakującym Ofelię, byłem Malvoliem.

Nie mogłem spać, miałem ochotę pojechać na lotnisko Ellenikon i skrócić kark dziewczynie z informacji. Teraz przypomniałem sobie, że i mężczyzna, który odebrał telefon, i potem ta dziewczyna zbytnio interesowali się, kim jestem; ktoś, pewnie sama Alison, namówił ich, żeby wzięli udział w mistyfikacji. Ale wiedziałem, że niczego tam nie zdziałam. Najprawdopodobniej pokażą mi te same sfalszowane wycinki z gazet.

Musiałem jednak coś zrobić. Zszedłem do hallu i odszukałem nocnego portiera.

— Chcę zadzwonić do Londynu. Pod ten numer — napisałem numer na karteczce. W parę minut później wskazał mi kabinę telefoniczną.

Stałem słuchając bzykania telefonu w moim dawnym mieszkanku na Russell Square. Trwało to bardzo długo. Wreszcie ktoś podniósł słuchawkę.

— Na litość boską... kto mówi?

Telefonistka powiedziała: — Telefon z Aten.

— Skąd?

Powiedziałem do telefonistki. — W porządku. Hallo?

— Kto mówi?

Była to chyba miła dziewczyna, ale na wpół nieprzytomna ze snu. Ta rozmowa kosztowała mnie cztery funty, ale była tego warta. Dowiedziałem się, że Ann Taylor naprawdę wróciła do Australii, ale stało się to już sześć tygodni temu. Nikt nie popełnił samobójstwa. Mieszkanko Ann objęła dziewczyna, której moja rozmówczyni nie знаła, ale „jest to chyba jakaś przyjaciółka Ann”, nie widziała jej już od wielu tygodni. Tak, blondynka, ale ona widziała ją wszystkiego dwa razy, tak chyba Australijka. Ale kim pan u diabła...

Wróciwszy do pokoju przypomniałem sobie o kwiatku w butonierce. Zwiędł, ale mimo to wsadziłem go do szklanki z wodą.

Obudziłem się późno, spałem w końcu lepiej, niż tego oczekiwałem. Chwilę leżałem w łóżku przysłuchując się dobiegającym z dołu ulicznym hałasom i rozmyślając o Alison. Próbowałem przypomnieć sobie, czy na jej twarzy malowało się rozbawienie, współczucie, czy w ogóle coś wyrażała. Jasne było, dlaczego właśnie w tej chwili kazano jej zmartwychwstać. Dowiedziałbym się o tym i tak zaraz po powrocie do Londynu, więc musiało się to stać w Atenach.

Żebym zaraz zabrał się do jej szukania.

Chciałem ją zobaczyć, wiedziałem, że rozpaczliwie pragnę się z nią zobaczyć, wydusić z niej prawdę, wytłumaczyć jej, jak podła była jej zdrada. Powiadomić ją, że nie potrafię jej wybaczyć, choćby czołgała się na klęczkach wzdłuż całego równika. Że z nią skończyłem, że jestem na nią oburzony. Że wyleczyłem się z niej tak samo jak z Lily. Myślałem sobie, Chryste, żeby mi się tak udało jej dopaść. Ale nie zamierzałem jej szukać.

Wystarczy poczekać. Przyprawdzą mi ją. I tym razem użyję bicia.

W południe zszedłem na śniadanie i okazało się od razu, że nie będę musiał czekać. Przyniesiono mi następny list. Tym razem tylko jedno słowo: Londyn. Przypomniałem sobie instrukcje w *Ziemi*: Pod koniec lipca koniec dla wszystkich poza „jądrem”. Jądrem, niewidzialną Astarte była Alison.

Poszedłem do biura podróży, dostałem bilet na wieczorny samolot i czekając na wypisanie go przyjrzałem się wiszącej na ścianie mapie Włoch. Znalazłem Subiaco i

postanowiłem zaryzykować. Dla odmiany marionetka każe swoim panom poczekać dzień lub dwa.

Wyszedszy z biura podróży udałem się do największej księgarni w Atenach i poprosiłem o podręcznik botaniki umożliwiający identyfikację kwiatów. Nie udało mi się ożywić tamtego kwiatka i musiałem go wyrzucić. Ekspedient nie miał nic po angielsku, ale zaproponował mi francuski podręcznik, który podawał nazwy kwiatów w kilku językach. Udałem, że zachwycam się rycinami, po czym zajrzałem do skorowidza. Alyssum str. 69.

I na stronie 69 zobaczyłem ten kwiat: cienkie zielone listki, małe białe kwiatuszki, *Allyson maritime... parfum de miel...* nazwa pochodzi z greckiego, *a* – bez, *lyssa* – obłąd. Po włosku nazywa się tak, a po niemiecku tak.

A po angielsku: *Słodka Alison*.

## Część III

Le triomphe de la philosophie serait de jeter du jour sur l'obscurité des voies dont la providence se sert pour parvenir aux fins qu'elle se propose sur l'homme, et de tracer d'après cela quelque plan de conduite qui pût faire connaître à ce malheureux individu bipède, perpétuellement ballotté par les caprices de cet être — qui dit-on le dirige aussi despotiquement, la manière dont il faut qu'il interprète les décrets de cette providence sur lui.

De Sade, *Les infortunes de la vertu*

Byłoby wielkim triumfem filozofii, gdyby udało jej się rzucić światło na ciemne drogi, którymi kroczy opatrność, by narzucić człowiekowi los, jaki mu przypada w udziale; wówczas filozofia potrafiłaby może wytyczyć plan działania, który umożliwiłby nieszczęsnej dwunożnej istocie miotanej kapryсами tego, co ponoć nią despotycznie rządzi, znalezienie sposobu interpretacji owych wyroków opatrności.

De Sade, *Niedole cnoty*

Rzym.

Miałem wrażenie, że Grecja oddaliła się ode mnie o wiele tygodni, nie o parę godzin. Słońce świeciło równie mocno, ludzie byli znacznie bardziej elegancy, architektura i sztuka bogatsze, ale było tak, jakby Włosi na wzór swoich rzymskich przodków założyli maskę zbytku, jakby makijaż aż nadto zaspokojonych zmysłów stanął między światłem i prawdą a ich prawdziwymi ja. Trudno mi się było pogodzić z utratą wspaniałej nagości, wspaniałego człowieczeństwa Grecji i trudno mi było znieść widok bogatych zezwierzęconych Rzymian, tak jak trudno jest czasem znieść widok własnej twarzy w lustrze.

Wczesnym rankiem, zaraz po przyjeździe, wsiadłem w dojazdową kolejkę do Tivoli. Potem nastąpiła dłuższa podróż autobusem, w południe zjadłem lunch w Subiaco i poszedłem w górę tuż nad zieloną przepaścią. Droga prowadziła w stronę pustej doliny. Słyszałem z dołu szmer strumyków i śpiew ptaków. Droga skończyła się, w górę przez chłodny gaj wspinała się ścieżka, a potem zwiężała się w wąziutkie schodki kręto obiegające skalną ścianę. Pokazał się klasztor, tak samo jak greckie prawosławne klasztory tulił się do skały niczym gniazdo jaskółki. Znad zielonej przepaści wyglądała gotycka loggia, pod nią wąski ślimaczek uprawnych tarasów. Na wewnętrznym murze cudowne freski; chłód, spokój.

Za drzwiami prowadzącymi do wewnętrznej galerii siedział stary mnich w czarnym habicie. Zapytałem, czy mogę się zobaczyć z Johnem Leverrierem. To Anglik, dodałem, przybył tu na rekolekcje. Na szczęście miałem przy sobie jego list. Starzec uważnie odcyfrował podpis, po czym — ku mojemu wielkiemu zdumieniu, bo już byłem wewnętrznie przekonany, że naraziłem się, na całkowicie zbędny trud — skinął głową i znikł w czeluściach klasztoru. Wszedłem do przedsionka. Cały rząd niesamowitych fresków; śmierć, która wbija włócznię w serce młodego sokolnika, średniowieczny komiks — widzimy krygującą się przed lustrem dziewczynę, potem widzimy ją w trumnie, potem przez skórę zaczynają się przebijać kości, wreszcie pozostaje tylko szkielet. Usłyszałem śmiech, stary zakonnik z rozbawionym wyrazem

twarży strofował po francusku młodego. Przeszli przez sień tuż za mną: *Oh, si tu penses que le football est un digne sujet de meditation...*\*

Nagle pojawił się następny zakonnik, odniosłem szok, był to Leverrier.

Był wysoki, miał krótko ostrzyżone włosy, pociągłą opaloną twarz i okulary w ubezpieczalnianej oprawie, typowy Anglik. Gestem spytał, czy to ja go szukałem.

— Jestem Nicholas Urfe. Z Phraxos.

Na jego twarzy odbiło się równocześnie zaskoczenie, nieśmiałość i przykrość. Po długiej chwili wahania wyciągnął do mnie rękę. Jego dłoń była chłodna i sucha, moja rozgrzana i spocona po wspinaczce. Był ode mnie o jakieś cztery cale wyższy i o tyleż lat starszy, mówił ostrym tonem, który często przybierają młodzi pracownicy naukowci.

— Przyjechał pan taki szmat drogi?

— Zdecydowałem się lecieć przez Rzym.

— Wydawało mi się, że jasno dałem panu do...

— Tak, owszem, ale...

Żaden z nas nie skończył zdania i obaj uśmiechnęliśmy się blado. Spojrzał mi w oczy potwierdzając poprzednią decyzję.

— Bardzo mi przykro, ale pańska wizyta niczego nie zmienia.

— Naprawdę nie wiedziałem, że pan jest... — wskazałem na jego habit. — Myślałem, że zakonnicy kończą listy...

— Twój brat w Chrystusie? — skrzywił się w uśmiechu. — Cóż, nawet tutaj człowiek nie przestaje bać się jak ognia pretensjonalności.

Spuścił oczy, staliśmy w kłopotliwym milczeniu. Widocznie postanowił to przerwać, okazać mi życzliwość.

— Cóż, skoro pan tu jest, oprowadzę pana po klasztorze.

Chciałem oświadczyć, że nie przyjechałem tu jako turysta, ale on już ruszył w stronę wewnętrznego dziedzińca. Pokazał mi tradycyjne relikwie, Święty Krzak Cierniowy, który zakwitł różami, kiedy upadł nań święty Benedykt — jak zwykle w takich wypadkach mój zbyt dosłowny umysł nie zachwycał się świętością samoudręczenia zafascynowany raczej wizją nagiego człowieka, który biegnie po twardej ziemi i skacze w ciernie. Jednak łatwiej mi było darzyć respektem Perugina.

Niczego, ale to absolutnie niczego nie mogłem się dowiedzieć o lecie 1951 roku, dowiedziałem się jednak paru rzeczy o samym Leverrierze. Dopiero od paru tygodni

---

\* — Och, Jeśli uważasz piłkę za odpowiedni temat medytacji...

przebywał w Sacro Speco, po odbyciu nowicjatu w Szwajcarii. Studiował w Cambridge historię, mówił płynnie po włosku i był „zupełnie niesłusznie” uważany za jednego z najlepszych specjalistów od zakonów w Anglii przed Reformacją; to dlatego przyjechał do Sacro Speco, żeby zapoznać się z dokumentami na ten temat w słynnej tutejszej bibliotece. Nie, nie był już później w Grecji. Pozostał typowym angielskim intelektualistą, nieśmiały, świadom tego, że musi wyglądać tak, jakby odgrywał rolę mnicha, jakby się po prostu przebrał, i nawet był trochę z tego dumny.

Wreszcie wyprowadził mnie przed klasztor. Zachwycąłem się uprzejmie tarasami z warzywami i winoroślą. Zaprowadził mnie do drewnianej ławki stojącej pod figowcem. Usiedliśmy. Unikał mego wzroku.

— Wiem, że czuje się pan zawiedziony. Ale ostrzegąłem.

— I tak to ulga spotkać kolegę w nieszczęściu. Nawet jeśli jest niemową.

Wpatrzył się w błękitny żar wypalanej słońcem przepaści. Słyszałem szum wody płynącej w dole.

— Kolegę tak. Ale nie w nieszczęściu.

— Chciałem tylko porównać nasze wrażenia...

Milczał chwilę, a potem oświadczył: — Istota jego... metody polega chyba na tym, żeby człowiek nauczył się... „nie porównywać wrażeń”. — Słowa te wygłosił tonem, który mówił, że uważa je za niemądre. Nie powiedział tego, ale wyraźnie czekał, bym się pożegnał. Spróbowałem mu spojrzeć w oczy.

— Czy byłby tu pan dziś, gdyby...

— Jeśli ktoś podwozi pana pod koniec długiej wędrówki, szybciej dociera pan do celu. Cel się nie zmienia.

— Nasze doświadczenia musiały być bardzo różne.

— Czemu miałyby być podobne? Czy jest pan katolikiem? — Pokręciłem przecząco głową. — A w ogóle chrześcijaninem? — Znów zaprzeczyłem. Wzruszył ramionami. Miał podkrążone oczy, wyglądał na zmęczonego.

— Ale wierzę w... nazwijmy to miłosierdzie.

— Drogi kolego, nie szuka pan u mnie miłosierdzia. Pragnie pan zwierzeń, a ja nie mam zamiaru iść panu na rękę. Z mego punktu widzenia okazuję panu miłosierdzie milcząc. Gdyby znajdował się pan na moim miejscu, zrozumiałby pan. —  
Dodał: — Wierzę zresztą, że i tak pan zrozumie.

Mówił chłodnym tonem. Po chwili milczenia dorzucił:

— Bardzo mi przykro. Zmusił mnie pan do brutalności.

— Cóż, będę się zbierał.

Skorzystał z okazji i wstał.

— Nie chciałem pana obrazić.

— Ależ rozumiem.

— Odprowadzę pana do bramy.

Poszliśmy z powrotem. Przez pobielone wrota w skale, potem korytarzem; drzwi na tym korytarzu przypominały drzwi do cel więziennych, znów znaleźliśmy się w sieni z freskami o śmierci, ponure zwierciadło wieczności.

Powiedział: — Zapomniałem pana wypytać o szkołę. Był tam jeden bardzo zdolny uczeń. Apendakis. Udzielałem mu dodatkowych lekcji.

Chwilę staliśmy w loggii obok obrazów Perugina i wymienialiśmy uwagi o szkole. Widziałem, że go to wcale nie interesuje, że stara się być uprzejmy, chcąc ukarać swoją pychę. Ale nawet i teraz nie wyzbył się skrępowania.

Uścisnęliśmy sobie ręce.

Powiedział: — Jest to jedna z najważniejszych europejskich świątyń. I mówiono nam, że goście, niezależnie od swoich wierzeń, powinni opuszczać ją... jak to brzmiały te słowa: „podniesieni na duchu” — zamilkł, jakby oczekiwał ode mnie protestu lub szyderstwa, ale ja nie powiedziałem nic. — Muszę pana jeszcze raz prosić, żeby był pan tak dobitny uwierzyć, że milczę zarówno ze względu na pana, jak i na siebie.

— Spróbuję w to uwierzyć.

Skłonił się uroczyście, bardziej po włosku niż po angielsku, a ja zacząłem schodzić po skalnych stopniach.

Aż do wieczora czekałem w Subiaco na powrotny autobus. Jechałem wzdłuż zielonych dolin, na szczytach wzgórz znajdowały się wioski, osiki żółkły już jesienią. Niebo z błękitnego stało się różowobursztynowe. Na progach domów siedzieli starzy chłopcy, niektórzy z nich mieli greckie twarze, nieprzeniknione, szlachetne, spokojne. Może dlatego, że czekając na autobus wypłem butelkę Verdicchio czułem, że należę i zawsze będę należał do innej, starszej cywilizacji niż Leverrier. Nie podobał mi się ani on, ani jego religia. I ta niechęć stała się miłością do starożytnego, niezmiennego grecko-lacińskiego świata. Byłem poganinem, w najlepszym razie stoikiem, w najgorszym zwykłym zmysłowym ateistą i takim już na zawsze pozostanę.

Czekając na pociąg znów zacząłem pić. Jakiemuś mężczyźnie w barze udało się wytłumaczyć mi, że na wierzchołku tego wzgórza koloru indygo pod



zielonkawocytrynowym niebem miał swoją farmę poeta Horacy. Wzniosłem zdrowie wzgórza Sabiny, jeden Horacy wart jest dziesięciu świętych Benedyktów, lepszy jeden wiersz niż dziesięć tysięcy kazań. Dużo później zdałem sobie sprawę, że akurat w tym wypadku Leverrier byłby skłonny się ze mną zgodzić; bo on także wybrał wygnanie, bo bywają chwile, kiedy i milczenie jest wierszem.

## 69

Jeśli Rzym, miasto wulgarnego zbytku, robił po Grecji wrażenie dość przygnębiające, to co dopiero Londyn, miasto monotonnej szarzyzny. Zapomniałem już, jaki jest brzydki, zatłoczony jak mrowisko, dolegało mi to po pustych przestrzeniach Egejskiego Morza. Błoto po diamentach, wilgotne poszycie lasu po słonecznych marmurach. Kiedy autokar z lotniska włókł się przez nie kończące się przedmieścia między Northolt i Kensington, zastanawiałem się, jak to się dzieje, że ktoś, z własnej i nieprzymuszonej woli wraca do takiego pejzażu, takiego społeczeństwa, klimatu. Nadęte białe chmury sunęły po szarawym niebie i niemal słyszałem, jak ludzie wymieniają radosne uwagi o pogodnym dniu. Ale te wszystkie zmęczone zielenie, szarości, brązy... wydawało się, że cały Londyn przywdział jeden i ten sam uniform. W Grecji tak do tego przywykłem, że nie zauważałem już indywidualnego zróżnicowania wszystkich twarzy. Żaden Grek nie przypomina drugiego Greka, a wszystkie angielskie twarze wydawały mi się tego dnia jednakowe.

Okolo czwartej wynająłem pokój w hotelu obok dworca lotniczego i zacząłem się zastanawiać, co robić. Po dziesięciu minutach nakręciłem numer Ann Taylor. Nie odpowiadał. W pół godziny później spróbowałem po raz drugi, bez skutku. Zmusiłem się i przez godzinę czytałem jakieś ilustrowane pismo, trzecia próba telefoniczna także spełzła na niczym. Znalazłem taksówkę i pojechałem na Russell Square. Czułem rosnące podniecenie. Alison czeka na mnie, a jeśli nie, to znajdę tam jakąś wiadomość. Coś się zdarzy. Bezmyślnie wszedłem do pubu, zamówiłem whisky i przeczekałem tak jeszcze kwadrans.

Wreszcie poszedłem do domu. Wychodzące na ulicę drzwi były jak zwykle zamknięte. Koło dzwonka na trzecie piętro nie było wizytówki. Wszedłem po schodach, stanąłem pod drzwiami i czekałem nad słuchując. Nic nie usłyszałem i zapukałem. Cisza. Zapukałem po raz drugi i trzeci. Słyszałem muzykę, ale dochodziła z góry. Po raz ostatni zapukałem do mieszkania Ann Taylor, potem wszedłem na górę.

Przypomniałem sobie tamten wieczór, kiedy prowadziłem tymi schodami Alison, żeby się mogła wykapać. Ileż to światów znikło od tamtej chwili. Alison jednak była tu nadal, była blisko. Pomyślałem, że naprawdę jest blisko, że musi być w mieszkaniu na górze. Nie wiedziałem, co się stanie. Emocja nie pozwalała mi skupić myśli.

Zamknąłem oczy, policzyłem do dziesięciu i zapukałem.

Kroki.

Otworzyła mi drzwi dziewczyna, może dziewiętnastoletnia, w okularach, dość tłusta, zbyt umalowana. Za nią zobaczyłem pokój. Jakiś młody człowiek i druga dziewczyna przystanęli w tańcu; jazz, pokój pełen zachodzącego słońca, trzy znieruchomiałe postacie, współczesny Vermeer. Nie potrafiłem ukryć rozczarowania. Dziewczyna w drzwiach uśmiechnęła się zachęcająco.

Cofnąłem się.

— Przepraszam. Pomyliłem piętra. — Zacząłem schodzić. Dziewczyna zapytała, kogo szukam, odparłem, że wszystko w porządku, chodziło mi o mieszkanie na drugim piętrze. Zniknąłem, zanim mogła skojarzyć moją ucieczkę i opaleniznę z tamtym niezrozumiałym dla niej telefonem z Aten.

Wróciłem do pubu, a wieczorem wybrałem się do włoskiej knajpki, w której lubiliśmy jadać, w której lubiła jadać Alison. Restauracyjka wyglądała tak samo jak dawniej, pełno w niej było uboższych studentów i artystów z Bloomsbury: młodzi naukowcy, bezrobotni aktorzy, pracownicy wydawnictw, w większości byli to ludzie w moim wieku, ludzie mojego pokroju. Klientela się nie zmieniła, ale zmieniłem się ja. Przysłuchiwałem się rozmowom i odpychała mnie ich wyspiarskość, ich nagle dostrzeżona naiwność. Rozejrzałem się, czy nie zobaczę kogoś, kogo miałbym ochotę lepiej poznać, z kim miałbym się ochotę zaprzyjaźnić, ale nikogo takiego tu nie było, Stanowiło to dodatkowe, zresztą zbędne potwierdzenie, że utraciłem moją angielskość; to chyba tych właśnie uczuć — zakłopotania pomieszanego z irytacją — musiała wobec Anglików doznawać często Alison; niby to mówi się tym samym językiem, ma się wspólną przeszłość, ma się, oczywiście, wiele wspólnego, a jednak czuje się obcość. To gorsze niż uczucie wykorzenia, to brak przynależności do jakiegokolwiek gatunku.

Jeszcze raz poszedłem rzucić okiem na Russell Square, ale okna trzeciego piętra były ciemne. Wróciłem więc do hotelu z uczuciem klęski. Czułem się bardzo, bardzo stary.

Następnego dnia rano wybrałem się do agencji mieszkaniowej, która trudniła się wynajmem mieszkań w domu przy Russell Square. Zajmowała ona kilka ponurych, pomalowanych na zielono pokoiów nad sklepem przy Southampton Row. Za biurkiem siedział ten sam zakatarzony urzędnik, z którym miałem do czynienia w zeszłym roku, pamiętał mnie i wkrótce wyciągnąłem z niego wszystko, co wiedział. Mieszkanie zostało przepisane na Alison na początku lipca, czyli w jakieś dwa tygodnie po Parnasie. Nie wiedział, czy Alison dalej tam mieszka. Spojrzał na kopię umowy wynajęcia. Alison wynajmując to mieszkanie mieszkała w nim.

— Pewnie początkowo mieszkały razem — zauważył urzędnik.

No i tyle.

Co mnie to właściwie obchodziło? Dlaczego miałbym jej szukać?

Mimo to cały wieczór spędziłem w oczekiwaniu, miałem nadzieję, że otrzymam jakąś wiadomość. Następnego dnia przeprowadziłem się do hoteliku na Russell Square, aby móc przez plac obserwować, czy w czarnych oknach trzeciego piętra nie pojawi się światło. Minęły cztery dni, światło się nie zapaliło, nie otrzymałem listu, nikt nie zadzwonił.

Zacząłem się niecierpliwić, byłem zawiedziony i sparaliżowany tą niewytłumaczoną pauzą. Zacząłem się bać, że może nie wiedzą, gdzie jestem, potem rozgniewał mnie ten mój własny niepokój.

Ale wszystko było mało ważne wobec potrzeby zobaczenia Alison. Musiałem ją zobaczyć. Wyciągnąć z niej tajemnicę. Minął tydzień, spędziłem go w kinach, w teatrach, a głównie patrząc w sufit z hotelowego łóżka, czekając, by odezwał się ten bezlitośnie milczący telefon. Byłem już bliski wysłania do Bourani telegramu z moim adresem, w ostatniej chwili powstrzymała mnie duma.

Wreszcie dałem za wygraną. Nie mogłem znieść dłużej tego hotelu, tego widoku Russell Square i pustego mieszkania. W oknie trafiki zobaczyłem ogłoszenie o mieszkaniu do wynajęcia. Była to niska mansarda nad dwupiętrową szwalnią na końcu Charlotte Street, z drugiej strony Tottenham Court Road. Czynsz był dość wysoki, ale mieszkanie miało telefon i choć właścicielka mieszkała w suterenie, na pierwszy rzut oka było widać, że jest to weteranka cyganerii lat trzydziestych: niechlujna, zniszczona, paląca papierosa za papierosem. W ciągu pierwszych pięciu

minut udało jej się powiadomić mnie, że jestem w domu, do którego „bliskich przyjaciół” zaliczał się niegdyś Dylan Thomas. „Chryste Panie, ileż to razy musiałam tego biednego drania kłaść do łóżka.” Nie uwierzyłem jej, na Charlotte Street przechwałka „tu sypiał (albo odsypiał swoje) Dylan” rozbrzmiewała równie często, co w wiejskich oberżach podobne zdanko o królowej Elżbiecie. Ale poczułem do niej sympatię. „Mam na imię Joan, ale wszyscy mówią do mnie Kemp.” Jej intelekt, tak samo jak jej porcelana i obrazy, nie był wiele wart, ale — jak to się mówi — miała serce na właściwym miejscu.

— W porządku — powiedziała w drzwiach, gdy wynająłem mieszkanie. — Płaci pan i robi, co chce. Może pan tu przyprowadzać, kogo chce i kiedy pan chce. Chłopak, który tu ostatnio mieszkał, był alfonsiem. Sam wdzięk. W zeszłym tygodniu, dopadli go ci przekłeci faszyci.

— O Boże!

Wskazała ręką: — O, ci. — Rozejrzałem się i zobaczyłem stojących na rogu ulicy dwóch młodych policjantów.

Kupiłem starego M. G. Maska była pokierszowana, przeciekał dach, ale motor miał Jeszcze rok, dwa lata życia. Zabrałem Kemp na inauguracyjną przejażdżkę do Jack Straw's Castle. Piła jak żołdak, kłęła jak dorożkarz, ale poza tym była dla mnie wymarzonym towarzyszem: serdeczna, bez ustanku opowiadała o sobie, bez pytań przyjęła do wiadomości, że chwilowo nie pracuję. Ta jej szorstka serdeczność pogodziła mnie do pewnego stopnia z Londynem i moją własną angielskością, i, chwilowo przynajmniej, przestałem się czuć aż tak opuszczony i samotny.

## 70

Minął długi sierpień, chwilami wpadałem w depresję, chwilami ogarniała mnie apatia. Czuję się jak ryba w stęchłej wodzie, dławila mnie szarzyzna Anglii. Kiedy oglądałem się wstecz, jak Adam po wygnaniu z raj, na świetliste pejzaże pachnącej solą morską i tymiankiem Phraxos, kiedy wspominałem tak nieprawdopodobne, a przecież rzeczywiste wydarzenia w Bourani, któregoś zmęczonego, londyńskiego popołudnia odkryłem, że choć nie jestem zdolny wybaczyć Conchisowi, iż przydzielił mi taką, a nie inną rolę, to równocześnie bynajmniej nie żałuję tego, co się zdarzyło. Powolutku zdałem sobie sprawę z natury mojego dylematu: *de facto* wybaczyłem już

to, co mi wyrządzono, choć dalej byłem tak obolały, iż nie mogłem o tym myśleć inaczej niż jak o wyrządzonej mi krzywdzie.

Podobny był mój stosunek do Lily. Któregoś dnia omal nie rozbiłem auta nacisnąwszy z całej siły na hamulce na widok szczupłej dziewczyny o długich jasnych włosach, idącej boczną ulicą. Wziąłem ostro zakręt i dogoniłem ją. Zanim jeszcze zobaczyłem twarz, wiedziałem, że to nie Lily. Gonilem ją zresztą nie dlatego, że do niej tęskniłem, chciałem z nią tylko porozmawiać, wypytać, próbować zrozumieć to wszystko, czego zrozumieć nie byłem w stanie. Mógłbym oczywiście tęsknić do niektórych jej cech, do niektórych „faz”, ale właśnie z powodu istnienia owych faz nie można jej było kochać. Niemalże mogłem już myśleć o niej tak, jak z czułością wspomina się poetyckie momenty swego życia, nienawidząc równocześnie jej prawdziwego, jej czarnego ja.

Ale czekając i wchłaniając jakby za pomocą osmozy ten miniony eksperyment, musiałem równocześnie czymś się zająć. Więc przez drugą połowę sierpnia starałem się odnaleźć w Anglii ślady Conchisa i Lily, żeby przez nich dotrzeć do Alison.

I w ten sposób zastępczo brałem nadal udział w maskaradzie, pomagała mi to stępić ostrze męki, jaką stała się tęsknota do Alison. Męki, bowiem rosło we mnie nowe uczucie, którego nie potrafiłem zwalczyć, choć próbowałem tego ze wszystkich sił, częściowo dlatego, że wiedziałem, że zaszczepił je we mnie Conchis, że wzmaga się ono na skutek pustki, jaką mnie otoczył; uczucie to nękało mnie dniem i nocą, starałem mu się nie poddawać, odrzucić je, a ono rosło jak embrión w łonie niechętnej matki, przyprawiając ją o wściekłość, choć chwilami serce jej roztopiało się z... nie, nie mogłem wypowiedzieć tego słowa.

I przez jakiś czas udawało mi się je zagrzebać pod stertą listów, dociekań, domysłów. Postanowiłem nie zastanawiać się, co z opowieści Conchisa i dziewcząt jest prawdą, a co kłamstwem. Chciałem tylko odkryć jakiś ich ślad: przyłapać ich na jakimś błędzie.

*Wycinek o Alison.* Inna czcionka niż w „Holborn Gazette”, gdzie rzekomo ukazało się sprawozdanie ze śledztwa.

*Broszura Foulkesa.* Wymieniona w katalogu British Muzeum.

*Historia wojny.* List od majora Arthura Lee-Jonesa.

*Drogi panie Urfe,*

*Bardzo mi przykro, ale pański list, jak to zresztą sam Pan stwierdza, żąda niemożliwości. Oddziały biorące udział w bitwie pod Neuve Chapelle były oddziałami regularnej armii. Nie wydaje mi się, żeby ochotnicy z Kensingtonskiego Pułku Księżniczki Luizy mogli w tej bitwie uczestniczyć, nawet w wymienionych przez Pana okolicznościach. Ale panował wówczas chaos i pozostało niewiele dokumentów.*

*Nie mogę odnaleźć nigdzie nazwiska kapitana Montague. A jeśli chodzi o oficerów, rozporządzamy pełnymi spisami. Chyba, że został tylko chwilowo odkomenderowany na front.*

*De Deukans.* Nazwiska tego nie znalazłem w Almanachu Gotajskim, ani w innych dostępnych mi źródłach. Nawet na najbardziej szczegółowych mapach Francji nie udało mi się odszukać miejscowości Givray-le-Duc. Nie istnieje pająk *Theridion deukansii*, aczkolwiek znany jest rodzaj *Theridion*.

*Seidevarre.* List od Johanna Fredriksena.

*Szanowny Panie!*

*Burmistrz Kirkenes dał mi pański list, żebym odpowiedział, bo jestem nauczyciel. W Pasvikdalu jest Seidevarre, tam mieszkała rodzina Nygaard, było to dużo lat przedtem. Bardzo mi przykro, nie wiem, co się z nią stać.*

*Miło mi panu pomóc.*

Mnie jego pomoc była jeszcze bardziej miła. Zatem Conchis był tam kiedyś, coś tam zaszło. Nie wszystkie jego opowieści były fikcją.

*Matka Lily.* Pojechałem do Cerne Abbas, choć wcale nie oczekiwałem, że znajdę tam Ansty Cottage, że w ogóle znajdę tam jakiś ślad. I nie znalazłem. Jedząc lunch w tamtejszej oberży powiedziałem właścicielce, że poznałem kiedyś dwie dziewczyny z Cerne Abbas, bliźniaczki, bardzo ładne i, niestety, zapomniałem, jak się nazywają. To ją zdenerwowało, bo nie wiedziała, o kogo by mogło chodzić, choć dobrze znała wszystkich mieszkańców wsi. Kierownik podstawowej szkółki okazał się kierowniczką. Nie było żadnych wątpliwości, listy zostały napisane na Phraxos.

*Charles-Victor Bruneau.* Poszedłem do Królewskiego Konserwatorium, ale nikt o nim nie słyszał, tak samo rzecz prosta jak o Conchisie.

Kostium Conchisa podczas „procesu”. Wracając z Cerne Abbas zatrzymałem się na obiad w Hungerford, obok oberży znajdował się antykwariat. W oknie stało pięć starych kart taroka. Jedna z nich przedstawiała człowieka ubranego dokładnie tak jak Conchis, nawet na płaszczu wyszyte były te same emblematy. Podpis głosił *Le Sorcier* – czarodziej. Sklep był zamknięty, ale zanotowałem sobie adres i w rezultacie przysłali mi tę kartę pocztą: „autentyk z osiemnastego stulecia”.

Kiedy zobaczyłem tę kartę na wystawie, odniosłem szok. Rozejrzałem się dookoła, miałem uczucie, że jestem śledzony, że kartę umieszczono tu umyślnie.

„*Psychologowie*” na procesie. Zgłosiłem się do kliniki Tavistock i do amerykańskiej ambasady. Nikt nie znał tych nazwisk, choć część instytutów, na które się powoływali, istniała. Wypytywałem o Conchisa – nici.

*Nevinson*. Ten przedwojenny nauczyciel angielskiego. Nazwę college'u, który kończył, odnalazłem w książce z biblioteki szkolnej. Kancelaria Balliol przysłała mi adres w Japonii. Napisałem do niego. Po dwóch tygodniach otrzymałem odpowiedź.

Drogi panie Urfe,

Dzięki Panu za list. Był to w jakimś sensie list z odległej przeszłości i w pierwszej chwili ogromnie się zdziwiłem. Bardzo się cieszę, że szkoła przetrwała wojnę, i mam nadzieję, że pobyt tam był dla Pana równie wielką przyjemnością, jak kiedyś dla mnie.

Zdażyłem już zapomnieć o Bourani, ale – owszem – przypomniałem je sobie, a także (choć dosyć mgliście) jego właściciela. Wydaje mi się, nie jestem pewien, że kiedyś bardzo się z nim pokłóciłem na temat Racine'a i predestynacji. Od tego czasu przepłynęło już pod mostami wiele wody!

O innych „ofiarach” sprzed wojny nie potrafię panu nic powiedzieć. Nigdy nie spotkałem mego poprzednika. Znałem

Geoffreya Sugdena, który przyjechał tam po mnie na trzy lata. Ale nie przypominam sobie, żeby kiedyś wspominał o Bourani.

Jeśli znajdzie się Pan kiedyś w tej części świata, będzie mi bardzo miło pogadać z Panem o starych czasach nad szklaneczką już nie *ouzo*, lecz *sake pou na pinete*,

Łączę wyrazy poważania

Douglas Nevinston

Wimmel. Pod koniec sierpnia szczęśliwy traf. Zaczął mnie boleć ząb i Kemp posłała mnie do swego dentysty. W poczekalni zacząłem przeglądać stary numer jakiegoś filmowego pisma jeszcze ze stycznia. I nagle zobaczyłem zdjęcie Wimmela w hitlerowskim mundurze. Podpis głosił:

*Ignacy Pruszyński, demoniczny pułkownik niemiecki w słynnym polskim filmie o ruchu oporu Czarna próba, w życiu odgrywał zupełnie inną rolę. Przez całą okupację był dowódcą partyzanckiego oddziału i za odwagę został odznaczony orderem stanowiącym odpowiednik naszego Victoria Cross.*

*Hipnotyzm.* Przeczytałem na ten temat parę książek. Conchis był niewątpliwie profesjonalistą. Instrukcje otrzymane w trakcie hipnozy pacjent wypełnia po wyjściu z transu na ustalony, także w czasie hipnozy, sygnał wywoławczy. „Było to często demonstrowane.” Zacząłem rozmyślać; w żadnym momencie nie zachowywałem się inaczej, niż leżało to w moim charakterze. Podczas hipnozy zostałem niewątpliwie „wypompowany”. Ale poza ewentualnymi drobiazgami chyba mną nie manipulowano, moje zachowanie płynęło z własnej nieprzymuszonej woli.

*Ramiona wyciągnięte nad głową.* Conchis zaczerpnął to ze starożytnego Egiptu. Był to znak Ka; wtajemniczeni posługiwali się nim, by „opanować tajemnicę sił kosmicznych”. Spotyka się go często na malowidłach w grobowcach. Oznaczał dokładnie: *Jestem panem magii. Posiadam siłę. Siłą obdzielam.* Także z Egiptu pochodził krzyż zakończony kołem, który widniał na ścianach sali sądowej. Był to egipski „klucz życia”.

*Symbol koła.* „Mandala, czyli koło ze szprychami jest symbolem wszelkiej egzystencji.”

*Wstążka na tyłce, obnażone ramię.* Wzięte z obrzędów masońskich, ogólnie uważa się, że symbole te zaczerpnięto z misterii eleuzyńskich. Oznaczają inicjację.

*Maria.* Prawdopodobnie była jednak zwykłą chłopką, acz wyjątkowo inteligentną. Po francusku odezwała się do mnie tylko raz, parę słów, podczas procesu milczała, wyraźnie, nawet zbyt wyraźnie była tam nie na miejscu. W przeciwieństwie do innych mogła być osobą, na którą wyglądała na początku.

*Bank Lily.* Napisałem jeszcze jeden list i otrzymałem odpowiedź, tym razem od autentycznego dyrektora tego oddziału Banku Barclaya. Nie nazywał się P. J. Fearn, papier z nadrukiem firmowym wyglądał zupełnie inaczej.



*Szkoła Lily.* Nikt nie słyszał tu o Julie Holmes.

*Mitford.* Wysłałem kartkę na adres w Northumberland, który podał mi w zeszłym roku, odpowiedziała mi jego matka. Alexander pracuje obecnie w Hiszpanii jako przewodnik. Skontaktowałem się z biurem podróży, które go zatrudniało, dowiedziałem się, że wróci dopiero we wrześniu. Zostawiłem dla niego list.

*Obrazy w Bourani.* Zacząłem od Bonnardów. W pierwszym z rzędu albumie znalazłem reprodukcję dziewczyny wycierającej się przy oknie. Zajrzałem do indeksu. Obraz ten znajdował się w Muzeum w Los Angeles. Album był wydany w 1950 roku. Później odkryłem, że drugi Bonnard wisi w muzeum bostońskim. Zatem w Bourani oglądałem kopie. Nigdzie nie udało mi się odnaleźć Modiglianiego, ale te oczy tak dziwnie podobne do oczu Conchisa... to chyba nie była nawet kopia.

„*Evening Standard*” z 8 stycznia 1952. Ani śladu zdjęcia Lily i Rose.

*Astrea.* Czy Conchis zapamiętał sobie, że uważałem się za skuzynowanego z d'Urfe? *Astrea* dałoby się streścić w następujący sposób: o pasterzu Celadonie krążą złe słuchy i pasterka *Astrea* nie chce go więcej widzieć. Rozpoczyna się wojna, *Astrea* zostaje uwięziona. Celadonowi udaje się ją wyswobodzić, ale ona nie chce mu wybaczyć. Otrzymuje jej rękę dopiero wówczas, gdy udaje mu się przemienić w kamień lwa i jednoroźca pożerające niewiernych kochanków.

*Szaliapin.* W czerwcu 1914 roku występował w *Księżciu Igorze* w Covent Garden.

*Chyba należysz do wybrańców.* Mówiąc to podczas naszego dziwnego pierwszego spotkania miał na myśli ni mniej, ni więcej tylko: postanowiłem się tobą posłużyć. I tylko w ten sposób na koniec zaliczył mnie do wybrańców. Chciał powiedzieć: „Posłużyliśmy się tobą.”

*Lily i Rose.* Dwie bliźniaczki, śliczne, utalentowane (choć zwątpiłem w filologiczne wykształcenie Lily), musiałyby w Oksfordzie lub w Cambridge wzbudzać sensację, uważano by je za coś w rodzaju podwójnej Zulejki Dobson. Nie studiowały w Oksfordzie, bo musiałyby zacząć studia podczas mojego tam pobytu, postanowiłem więc spróbować szczęścia w Cambridge. Przejrzałem wszystkie studenckie gazetki, poszukałem zdjęć ze wszystkich przedstawień uniwersyteckiego teatryku, ośmieliłem się nawet zakłócić spokój kancelarii kilku college'ów — wszystko na próżno. W Girton, które nazywała swoim college'em, nie natrafiłem na ich ślady. Tak zresztą jak na uniwersytecie londyńskim.

Próbowałem też szczęścia w paru londyńskich agencjach teatralnych. Trzykrotnie pokazano mi fotografie bliźniaczek i trzykrotnie spotkało mnie rozczarowanie. Tavistock Repertory nigdy nie wystawiał *Lizystraty*. W RADA nie mogli mi służyć żadną pomocą. Z całego tego przedsięwzięcia — umiałem wypytując wymyślać adekwatne powody — pozostał mi tylko niechętny podziw dla talentu improwizacyjnego dziewcząt.

Postać Julie Holmes była pomyślana bardzo sprytnie. Mamy tendencję wierzyć ludziom, których doświadczenia przypominają nasze. A jej Cambridge odpowiadał mojemu Oksfordowi, a potem ta szkoła...

*Otello* Akt I, scena III

Wydarto mi ją, podle uwiedziono,  
Hańbą okryto za pomocą czarów  
I szarlatańskich środków; bo dziewczyna  
Przy zdrowych zmysłach, nie upośledzona  
Ani na wzroku, ani na umyśle,  
Nie mogła popaść w tak krzyczący obłąd,  
Bez czarodziejskiej w tym sprawy.

Dziewczyna tak skromna,  
Cicha, spokojna i tak pełna wstydu,  
Że ją wzruszenie każde rumieniło,  
Byłażby zdolna, pytam, wbrew naturze,  
Wiekowi swemu, niepomna ojczyzny,  
Rodu, imienia, wszystkiego na świecie,  
Rozmiłowywać się w czymś, co ją samym  
Widokiem swoim musiało przestraszyć?\*

*Słynna ladaczniczka Io. Lemprière: ... w starożytnym gockim Io i Gio oznaczają „ziemię”, tak jak Isi czy też Isa to „lód” lub woda w jej pierwotnym stanie, były to równocześnie tytuły bogini, która uosabiała twórcze i odżywcze siły ziemi.* Indyjska Kai, syryjska Astarte (Asztoroth), egipska Izyda i grecka Io uważane są za jedno i to samo bóstwo. Reprezentowały je trzy kolory (stąd trzy kolory sali sądowej): biały, czerwony i czarny, tak jak trzy są kwadry księżyca i trzy fazy życia kobiety: dziewica, matka i przekwitła staruszka. Lily reprezentowała tę boginię w białej dziewiczej fazie i

---

\* Przekład Józefa Paszkowskiego.

pewnie także w czarnej. Czerwona przypadłaby Rose, gdyby nie to, że pojawiła się Alison.

*Polymus Films.* Późno, niewybaczalnie późno dostrzegłem zmianę jednej litery.

*Tartar.* Im więcej czytałem, tym bardziej byłem skłonny identyfikować Bourani – czy też raczej końcową sytuację Bourani – z Tartarem. Tartarem rządził król Hades (czyli Conchis), królową była Persefona, zwiastunka zguby (Lily), która sześć miesięcy pozostawała z Hadesem w piekielnych czeluściach, a resztę roku ze swą matką Demeter na powierzchni ziemi. W Tartarze znajdował się także najwyższy sędzia – Minos (ten brodaty starzec, który przewodniczył sądowi), no i oczywiście Anubis-Cerber, czarny pies z trzema łbami (trzy role?). To w Tartarze znajdowała się poszukiwana przez Orfeusza Eurydyka.

Uświadomiłem sobie, że znów odgrywam rolę, której postanowiłem nie odgrywać: detektywa, myśliwego; toteż wielokrotnie przerywałem poszukiwania. Ale nagle coś, po czym sobie wiele nie obiecywałem, doprowadziło do spektakularnego odkrycia.

## 71

Któregoś poniedziałku przyszło mi na myśl, że może jednak Conchis mieszkał w Londynie jako chłopiec i że istniała w John's Wood prawdziwa Lily Montgomery. Wybrałem się do biblioteki i poprosiłem o spis nieruchomości w latach 1912–1914. Oczywiście nie oczekiwałem, że znajdę tam nazwisko Conchisa. Szukałem nazwiska Montgomery. Acacia Road, Henstridge Place, Queen's Grove... mając pod ręką plan Londynu studiowałem wszystkie prawdopodobne ulice na wschód od Wellington Road. Nagle ogarnęło mnie podniecenie. *Montgomery, Fredk, Allitsen Road 20.*

Nazwiska sąsiadów brzmiały Smith i Manningham, ten ostatni wyprowadził się w 1914 roku i pojawiło się nazwisko Huckstepp. Zapisałem adres i szukałem dalej. Niemal od razu zobaczyłem znów nazwisko Montgomery, tym razem na Elm Tree Road. Ale natychmiast nastąpiło rozczarowanie, ponieważ pełne nazwisko brzmiało

sir Charles Penn Montgomery, wybitny, sądząc z następującego po nazwisku długiego szeregu literek, chirurg, a zatem nie mógł to być opisany przez Conchisa człowiek. Jego sąsiadami byli Hamilton-Dukes i Charlesworth.

Szukałem dalej, dwukrotnie czytając każdą stronę, ale nie znalazłem już żadnego Montgomery'ego.

W następnych rocznikach sprawdziłem, co stało się z tymi dwoma, których odszukałem. Montgomery z Allitsen Road zniknął w 1922 roku. Na Elm Tree Road nazwisko Montgomery widniało aż do 1938 roku, bo choć sir Charles zmarł w 1922 roku, następnym właścicielem została lady Florence Montgomery.

Po lunchu pojechałem na Allitsen Road. Od razu wiedziałem, że to nie tu. Domki były niewielkie, w niczym nie przypominały opisanych przez Conchisa dworców.

W pięć minut później byłem już na Elm Tree Road. To wyglądało już bardziej prawdopodobnie: ładny łuk sporych domów, między którymi mieściły się wiktoriańskie stajnie i przybudówki. Miało się wrażenie, że od dawna nic nie uległo tu żadnej zmianie. Jeden z największych domów miał numer 46. Zaparkowałem wóz i podszedłem alejką między rabatami hortensji do masywnych drzwi wejściowych. Zadzwoiłem.

Ale dom był pusty, i do końca sierpnia świecił pustką. Ktokolwiek w nim mieszkał, bawił na wakacjach. W tegorocznym spisie nieruchomości odkryłem, że jest to pan Simon Marks. W starym *Who is Who* przeczytałem, że słynny sir Charles Penn Montgomery miał trzy córki. Mógłbym pewnie bez trudu dowiedzieć się ich imion, ale w tym momencie starałem się moje poszukiwania przedłużyć, tak jak dziecko stara się mieć jak najdłużej ostatnie parę cukierków. Zatem niemal z rozczarowaniem zobaczyłem na początku września pod tamtym domem auto, obawiałem się, że kolejna nadzieja pryśnie. Na dzwonek pojawił się Włoch w białym fartuchu.

— Chciałbym się zobaczyć z właścicielem tego domu. Albo z jego małżonką.

— Czy jest pan umówiony?

— Nie.

— Czy chce pan coś sprzedać?

Wyratował mnie przenikliwy głos.

— Kto to przyszedł, Ercole?

Pojawiła się sześćdziesięcioletnia pani, Żydówka, kosztownie ubrana, o inteligentnym wyrazie twarzy.

— Jestem historykiem i staram się znaleźć ślady rodziny nazwiskiem Montgomery.

— Sir Charlesa Penna? Tego chirurga?

— Jeżeli się nie mylę, mieszkał tu kiedyś.

— Tak, mieszkał. — Służący czekał, odprawiła go gestem wielkiej damy.

— Szczerze mówiąc... za długo by to tłumaczyć,.. Właściwie to szukam panny Lily Montgomery.

— Tak. Znam ją. — Wyraźnie nie spodobał jej się mój zaskoczony uśmiech. — Chce się pan z nią zobaczyć?

— Piszę biografię sławnego greckiego pisarza, to znaczy sławnego w Grecji, o ile wiem, panna Montgomery znalazła go przed laty, za czasów jego pobytu w Anglii.

— Jak się nazywa?

— Maurice Conchis. — To nazwisko wyraźnie nic jej nie mówiło.

Ale jej nieufność znikła i powiedziała: — Proszę, niech pan wejdzie. Zaraz znajdę adres.

Czekałem we wspaniałym hallu. Marmur, złocenia, lustra, obraz wyglądający na Fragonarda. Zastygły przepych. Po chwili wróciła z wizytówką w ręku. Przeczytałem: *Lily de Seitas, Dinsford House, Much Hadham, Herts.*

— Nie widziałam jej od wielu lat — oznajmiła dama.

— Bardzo dziękuję. — Zacząłem się wycofywać w stronę drzwi.

— Nie napiłby się pan herbaty? A może czegoś mocniejszego?

W oczach jej pojawił się żarłoczny błysk, szukając adresu doszła widać do wniosku, że miło byłoby mnie wypytać, że dałoby się coś ze mnie wyssać. Modliszka w kobiecej skórce. Z ulgą uciekłem.

Odjeżdżając przyjrzałem się sąsiednim domom. W jednym z nich Conchis spędził prawdopodobnie swe chłopięce lata. Obok numeru 46 stał budynek wyglądający jak fabryka, ale z planu wiedziałem, że to tyły trybun boiska do krykieta. Wysoki mur nie pozwalał zajrzeć do ogrodów, ale jasne było, że sad ze wspomnień Conchisa musiał się skurczyć. Te trybuny powstały na pewno już po pierwszej wojnie.

Następnego dnia już o jedenastej rano znalazłem się w Much Hadham. Był piękny dzień, bezchmurne wrześnie niebo, dałoby się je porównać z greckim. Dinsford House znajdował się na skraju wsi, choć nie był to — jak można by sądzić z

nazwy — pałacyk, nie była to jednak jakaś zwykła buda. Stylowy dom z pięcioma wykuszami, harmonijna pełna wdzięku budowla, czerwona cegła i biały tynk, w środku dobrze utrzymanego ogrodu zajmującego przynajmniej akr ziemi. Tym razem drzwi otworzyła młoda Skandynawka *au pair*. Tak, pani de Seitas jest w domu — może obejść dookoła dom, powinna w tej chwili być w stajni.

Poszedłem wyźwirowaną alejką, przeszedłem pod ceglanymi arkadami i zobaczyłem, a także poczułem stajnię. W bramie stajni pojawił się chłopczyk z wiadrem w ręku. Zobaczył mnie i zawołał: „Mamo, przyszedł jakiś pan!” — Pojawiła się szczupła kobieta w bryczesach, na głowie czerwona chustka, czerwona kraciasta koszula. Kobieta około czterdziestki, ładna, opalona, trzymająca się prosto.

— Czym mogę służyć?

Wyobraziłem sobie, że będzie to siwa staruszka w wieku Conchisa. Podszedłszy bliżej zobaczyłem wokół jej oczu kurze łapki i lekko obwisły podbródek, jej kasztanowe gęste włosy zawdzięczały pewnie wiele farbie, musiała zbliżać się do pięćdziesiątki, ale i tak była o dziesięć lat za młoda.

— Pani Lily de Seitas?

— Tak.

— Otrzymałem pani adres od pani Simon Marks. — Jej wyraz twarzy uległ zmianie, zrozumiałem, że nie jest to najlepsza rekomendacja. — Chciałem się dowiedzieć, czy nie zgodziłaby się pani mi pomóc. Zbieram materiały do pewnej literackiej biografii.

— Ja?

— Tak. To pani była przecież panną Lily Montgomery.

— Ale mój ojciec...

— Nie chodzi mi o pani ojca. — W stajni zarżał kucyk. Chłopiec przyglądał mi się podejrzliwie, matka kazała mu odejść i napić kuca. Przywołałem na pomoc moje oksfordzkie maniery.

— Nie chciałbym przeszkadzać. Może woli pani, żebym przyszedł kiedy indziej?

— Ach nie, zwykle porządki. — Oparła o ścianę trzymaną w ręku miotłę. — O kogo panu chodzi?

— Piszę esej o Maurice Conchisie.

Przyglądałem się jej jastrzębim okiem, nic, żadnego wrażenia.

— O Maurice... jak pan powiedział?

— Conchis — przeliterowałem nazwisko. — To słynny grecki pisarz. Za młodu mieszkał w Anglii.

Odsunęła dość niezręcznie kosmyk z czoła; na pierwszy rzut oka było jasne, że jest to jedna z tych przepastnie naiwnych Angielek, których nie obchodzi nic prócz koni, domów i dzieci. — Strasznie mi przykro, to jakieś nieporozumienie.

— Może знаła go pani pod innym nazwiskiem. Charlesworth? Albo Hamilton-Dukes. Dawno temu. Podczas pierwszej wojny.

— Ależ mój drogi.., przepraszam, drogi panie, och... — urwała i nie było to pozbawione wdzięku. Przez całe życie popełniała pewnie gafę za gafą, ale jej błękitne jasne oczy, opalona skóra i wspaniałe jeszcze ciało sprawiały, że łatwo jej było wszystko wybaczyć. Zapytała:

— Przepraszam, jak pan się nazywa?

Powiedziałem.

— Panie Urfe, jak pan przypuszcza, ile ja mogłam mieć lat w 1914 roku?

— Jasne, że niewiele. — Uśmiechnęła się, ale tak jakby poczuła się skrzępowana komplementem, uznała go za nieangielski.

— Miałam dziesięć lat — spojrzała na synka nabierającego wody do wiadra. — Byłam w wieku Benjiego. — Tamte nazwiska też pani nic nie mówią?

— Dobry Boże, owszem, ale... czy ten Maurice, znów zapomniałam nazwiska, u nich mieszkał?

Pokręciłem przecząco głową. Jeszcze raz się ośmieszyłem z winy Conchisa. Prawdopodobnie wybrał nazwisko na chybił trafił z jakiejś starej książki adresowej i dowiedział się o imiona córek. Ciągnąłem:

— Conchis był synem jednego z państwa sąsiadów. Był chyba jedynakiem. Był bardzo muzykalny.

— Przykro mi, ale to jakieś nieporozumienie. Charlesworthowie nie mieli dzieci, a młody Hamilton-Dukes... — zawahała się jakby coś sobie przypominając — zginął na wojnie.

— Widzę, że pani coś sobie przypomniała.

— Nie... to znaczy, owszem. Sama nie wiem. Wspomnił pan o muzykalności.  
— Spojrzała na mnie z niedowierzaniem. — Czyżby pan miał na myśli pana Szczura?  
— Roześmiała się i wsadziła kciuki do kieszeni bryczesów. — *Wiatr wśród wierzb*. Był Włochem i próbował uczyć nas gry na fortepianie. Moją siostrę i mnie.

— Był to młody człowiek?

Wzruszyła ramionami: — Mniej więcej.

— Nie mogłaby mi pani o nim opowiedzieć?

Spuściła oczy. — Nazywał się Gambellino, Gambardello... coś w tym rodzaju. Czyba Gambardello? — Wymówiła to nazwisko tak, jakby to był dobry żart.

— A jak miał na imię? Jak mogła to pamiętać! — A dlaczego pan Szczur?

— Bo miał takie brązowe nieruchome oczy. Strasznie mu dokuczałyśmy. — Spojrzała zawstydzona na syna, który wrócił i zaczął ją ciągnąć za rękę, jakby to jemu dokuczano. Więc nie zauważyła błysku w moich oczach. Upewniłem się, że Conchis nie wybrał jej nazwiska przypadkiem.

— Był niski? Niższy ode mnie?

Wzięła się za głowę, próbując sobie przypomnieć, potem spojrzała na mnie z pewnym zakłopotaniem. — Czy sądzi pan... nie, to niemożliwe...

— Czy będzie pani tak strasznie dobra - i poświęci mi dziesięć minut?

Zawahała się. Byłem nieugięty. Dziesięć minut. Zwróciła się w stronę syna. — Benjie, leć i poproś Gunhildę, żeby zrobiła nam kawy. I niech ją przyniesie do ogrodu. Spojrzał w stronę stajni: — Ale Lazy...

— Lazy chwilę poczeka.

Benjie pobiegł wyżwirowaną ścieżką, a ja poszedłem za panią de Seitas; zdjęła rękawiczki, chustkę, szła lekkim krokiem, minęliśmy mur z cegieł i weszliśmy bramą do pięknego starego ogrodu, jezioro jesiennych liści, z drugiej strony domu duży trawnik, a na nim samotny cedr. Zaprowadziła mnie do altanki. Zawieszona pod dachem huśtająca się ławka, eleganckie, pomalowane na biało żelazne krzesła. Wywnioskowałem z tego, że sir Charles Penn Montgomery musiał mieć złoty skalpel. Usiadła na huśtawce i wskazała mi krzesło. Szepnąłem coś o ogrodzie.

— Rozkoszny, prawda? Mój mąż zrobił tu wszystko sam, a teraz, biedak, tak rzadko go ogląda. — Uśmiechnęła się. — Jest ekonomistą. I utknął w Strasburgu. — Odbiła się od ziemi, zachowywała się nieco zbyt zalotnie, świadoma swojej zgrabnej sylwetki, reakcja na wiejskie nudy. — No, słucham. Niech mi pan opowie o tym słynnym pisarzu, o którym nigdy nie słyszałam. Zna go pan?

— Umarł podczas okupacji.

— Biedak. W jaki sposób?

— Rak. — Spiesznie ciągnąłem dalej. — Starannie ukrywał swą przeszłość, próbujemy więc wydedukować to i owo z jego utworów. Wiemy, że był Grekiem, ale



niewykluczone, że w pewnym okresie chciał uchodzić za Włocha. — Zerwałem się i podałem jej ogień.

— Nie mogę uwierzyć, że chodzi o pana Szczura. Był z niego strasznie śmieszny człowieczek.

— Może pani pamięta, czy grał także na klawesynie?

— Klawesyn ma taki blaszany dźwięk? — Skinąłem głową, a ona nie odpowiedziała, tylko spytała: — Przecież pan mówił o pisarzu?

— Najpierw zajmował się muzyką. Widzi pani, w jego wczesnych wierszach, a także w powieści, mowa jest o nieszczęśliwej miłości, jaką za młodu przeżył w Anglii. Oczywiście nie wiemy, ile w tym prawdy, a ile fantazji.

— Czyżby wymienił moje imię?

— Mamy wiele poszlak wskazujących na to, że dziewczyna nosiła imię, będące nazwą kwiatu. I że mieszkał w jej sąsiedztwie. I łączyła ich miłość do muzyki.

Usiadła prosto jakby nagle zafascynowana.

— Jak, jak udało się panu do nas dotrzeć?

— Miałem wiele poszlak. Myślę: literackich. Wiedziałem, że wszystko działo się blisko boisk krykieta. I w którymś... fragmencie wspomniał, że dziewczyna nosiła słynne angielskie nazwisko. I miała ojca lekarza. Więc zajrzałem do ksiąg adresowych.

— Co za niezwykła historia.

— Szczęśliwy traf. Natknąłem się na setki ślepych uliczek. I wreszcie udało się.

Pani de Seitas spojrzała z uśmiechem w stronę domu. — O, Gunhild. — Kilka minut zajęła ceremonia nalewania kawy i uprzejmości na temat Norwegii: dowiedziałem się, że Gunhild nigdy nie była na północy dalej niż w Trondheim. Benjie na polecenie matki zniknął i znów znalazłem się z nią sam na sam.

Wyjąłem notes.

— Czy mogę zadać pani kilka pytań?

— Nareszcie sława! — Wyraźnie zadowolona, roześmiała się dość niemądrze, rżącym śmiechem.

— Myślałem, że on mieszkał w sąsiedztwie. Pomyliłem się. Zatem gdzie mieszkał?

— Nie mam zielonego pojęcia. Nie interesowałam się tym. Sam pan wie, jak to jest z dziećmi.

— Nic pani nie wie o jego rodzicach? — Pokręciła przecząco głową. — Może pani siostry zapamiętały coś więcej.

Jej twarz spoważniała.

— Moja najstarsza siostra mieszka w Chile. Jest ode mnie starsza o dziesięć lat.

A Rose...

— Rose!

Uśmiechnęła się. — Tak, Rose.

— Cudownie. Wszystko się zgadza. Istnieje dość zagadkowy wiersz w dotyczącym pani cyklu. Bardzo niezrozumiały, ale teraz kiedy wiemy, że ma pani siostrę...

— Miałam. Rose umarła właśnie w tamtych czasach. W 1916 roku.

— Na tyfus?

Zaskoczyła ją pewność mego tonu, ale zaraz uśmiechnęła się. — Nie. Na zdarzające się niezwykle rzadko komplikacje po żółtaczce. — Na chwilę wpatrzyła się w ogród. — Była to wielka tragedia mego dzieciństwa.

— Czy nie zauważyła pani, że on darzył specjalnymi względami panią albo może pani siostry?

Coś sobie przypomniała i uśmiechnęła się. — Zawsze uważaliśmy, że on potajemnie kocha się w May — w mojej najstarszej siostrze. Była zaręczona, ale często asystowała przy naszych lekcjach. I on... Boże jakie to dziwne, jak wszystko nagle wraca, pamiętam, że on zawsze się popisывał, kiedy ona była w pokoju. Grał najtrudniejsze kawałki. Ona bardzo lubiła ten utwór Beethovena: *Dla Elizy*. Kiedy chcieliśmy mu dokuczyć, nuciłyśmy to pod nosem.

— Pani siostra Rose była starsza?

— O dwa lata.

— Zatem można powiedzieć, że dwie małe dziewczynki dokuczały cały czas swemu cudzoziemskiemu nauczycielowi muzyki.

Zaczęła się huśtać. — Wie pan, nie bardzo pamiętam. To znaczy tak, dokuczałyśmy. Jestem pewna, że były z nas dwa małe potwory. Ale zaraz zaczęła się wojna i on zniknął nam- z oczu.

— Gdzie się podział?

— Nie potrafię panu powiedzieć. Nie mam pojęcia. Pamiętam, że na jego miejsce przyszedł jakiś ohydny stary babsztyl. Nienawidziłyśmy jej. Więc chyba wtedy żalowałyśmy go. Musiały być z nas ohydne małe snobki. Takie to już zresztą były czasy.

— Jak długo on panie uczył?

— Dwa lata? — powiedziała pytającym tonem, jakby to ode mnie oczekiwała potwierdzenia.

— Czy nie przypomina pani sobie czegoś, co wskazywałoby, że on żywi do pani jakieś szczególne uczucia?

Zastanowiła się i potrząsnęła przecząco głową. — Chce pan powiedzieć... podejrzewa pan go o...

— Nie, nie. Ale czy zdarzało się, że była z nim pani sam na sam?

Udała oburzenie. — Nigdy. Zawsze była obecna albo nasza guwernantka, albo matka, albo siostra.

— Nic pani nie potrafi mi powiedzieć o jego charakterze?

— Sądzę, że gdybym go dziś spotkała, uważałabym, że jest słodki.

— Czy pani albo pani siostra grałyście na flecie albo na rekorderze?

— Co za pomysł! — Najwyraźniej ją to rozbawiło.

— Pozwoli pani na niedyskretne pytanie. Czy była pani uderzająco ładną dziewczynką... Jestem pewien, że była pani śliczna, ale czy czuła pani, że jest w pani coś wyjątkowego?

Spojrzała na swego papierosa. — Ze względu, och, jak mam to sformułować, ze względu na pańskie studia mogę dziś jako sterana życiem matka odpowiedzieć, że... owszem. Istnieje mój portret. Dosyć sławny. Clou wystawy Akademii w 1913 roku. Wisi w domu, zaraz go panu pokażę.

Zajrzałem do notesu. — I naprawdę nie potrafi pani sobie przypomnieć, co się stało z nauczycielem po wybuchu wojny?

Przycisnęła dłonie do oczu. — Sam pan rozumie... nie, uczciwie mówiąc nie wiem... przypuszczam, że został internowany...

— Może pani siostra pamięta? Czy mógłbym do niej napisać?

— Oczywiście. Dać panu adres? — Podała mi, a ja starannie zapisałem.

Pojawił się Benjie, przystanął o dwadzieścia jardów od nas pod stojącym na kamiennym postumencie astrolabium, cała jego dziecinna postać krzyczała, że stracił już resztkę cierpliwości. Pani de Seitas przywołała go gestem i pogładziła po niesfornych kędziorkach.

— Twoja biedna stara matka przeżyła szok. Dowiedziała się, że jest muzą. — Zwróciła się do mnie. — Czy może użyłam nieodpowiedniego słowa

— Co to jest muza?

— Dama, o której dżentelmeni pisują wiersze.

— On pisze wiersze?

Roześmiała się i odwróciła do mnie: — Więc pan Szczur stał się sławny?

— Wierzą, że się stanie.

— Chciałabym przeczytać te wiersze.

— Jeszcze nie zostały przetłumaczone. Ale będą.

— Przez pana?

— Cóż... — pozwoliłem jej się domyślić, że mam ten zamiar...

Powiedziała: — Słowo daję, że chyba już nic więcej nie potrafię panu opowiedzieć. — Benjie coś szepnął. Roześmiała się, wstała i wzięła go za rączkę. — Pokażemy, jeszcze panu Orfe portret i wracamy do roboty.

— Moje nazwisko brzmi Urfe.

Zawstydzona zasłoniła ręką twarz. — O, Boże. Znów gafa. — Chłopiec pociągnął ją za drugą rękę, tak jakby się wstydził jej zachowania.

Weszliśmy do domu, przeszliśmy przez salon i przez obszerny hali. Pokój obok hallu był jadalnią, zobaczyłem długi stół, srebrne świeczniki. Między oknami wisiał portret. Benjie podbiegł i zapalił umieszczoną nad portretem lampkę. Zobaczyłem podobną do *Alicji w kramie czarów* dziewczynkę, z długimi włosami, w marynarskiej sukience, wyglądała zza drzwi, tak jakby z ukrycia przyglądała się komuś, kto jej szuka. Miała ożywioną, figlarną i zarazem niewinną buzię. Na czarnej plakietce pod obrazem złoty napis: *Psoznico, sir William Blunt, R. A.*

— Urocze.

Benjie zmusił matkę, żeby się nachyliła, i szepnął jej coś do ucha.

— Chce panu powiedzieć, jak ten obraz nazywa się w rodzime.

Skinęła mu przyzwalająco głową, a on wrzasnął: — Jak można się tak wygłupiać! — Pociągnęła go za włosy, a on nie przestawał się zaśmiewać.

Następny czarujący obrazek.

Przeprosiła, że nie zatrzymuje mnie na lunch, ale ma „występ” w Stowarzyszeniu Kobiet w Herford, a ja obiecałem, że gdy tylko wiersze Conchisa zostaną przetłumaczone, przyślę jej egzemplarz.

Przysłuchując się jej słowom, miałem cały czas uczucie, że nadal jestem ofiarą igraszek starszego pana; aż do tej chwili wierzyłem w jego ostatnią opowieść, według której miał za sobą bogatą kosmopolityczną przeszłość, co potwierdzała June. Teraz przypomniałem sobie, że według poprzednich wersji w jego życiu nastąpiła radykalna zmiana gdzieś koło 1920 roku. I przyszła mi na myśl nowa hipoteza. Może był

utalentowanym dzieckiem ubogiej greckiej rodziny pochodzącej z Korfu czy z Wysp Jońskich, wstydził się swego greckiego nazwiska i przybrał włoskie próbując dostosować się do tego obcego edwardiańskiego światka Londynu, chcąc odciąć się od własnego środowiska i przeszłości... prowadząc już wtedy podwójne życie... A potem my wszyscy, którzy kolejno przechodziliśmy przez Bourani, służyliśmy mu za kozły ofiarne, mógł się na nas odegrać za wszystkie upokorzenia i przykrości, które spotkały go w tamtych odległych latach w domu Montgomerych i w domach podobnych im ludzi. Uśmiechałem się do siebie nad kierownicą, częściowo na myśl o tej jakże naturalnej urazie kryjącej się za pięknie brzmiącymi teoriami, a częściowo z radości, że zdobyłem nowy ślad.

Wyjechałem na główną ulicę Much Hadham. Było pół do pierwszej i pomyślałem sobie, że dobrze będzie coś przegryźć. Zatrzymałem się przed małym, do połowy wyłożonym drewnem pubem. W barze byłem sam.

— Pan tu przejazdem? — spytał oberżysta, nalewając mi z beczki kufel piwa. — Nie. Byłem w Dinsford House.

— Piękna posiadłość.

— Zna ich pan?

Miał zamiast krawatu muszkę, mówił nieokreślonym akcentem.

— Ze słyszenia. Zaraz będą kanapki. — Zabrzęczał pieniędzmi w szufladzie. — Dawniej dzieci często bywały we wsi.

— Miałem tam do załatwienia pewną sprawę.

— Tak.

Zza drzwi wyjrzała utleniona kobieca głowa. Potem ręka z talerzem pełnym kanapek. Wręczając mi drobne, spytał:

— Ona była śpiewaczką w operze, prawda? — Nic mi o tym nie wiadomo.

— Tak mówią ludzie we wsi.

Czekałem, że powie coś jeszcze, ale temat ten nie bardzo go interesował. Zjadłem pół kanapki. I nagle przyszło mi coś do głowy.

— Co robi jej mąż?

— Mąż nie istnieje. — Podchwycił moje zdziwione spojrzenie. — W każdym razie myśmy nigdy o żadnym mężu nie słyszeli, a mieszkamy tu już od dwóch lat. Ale mówiono mi, że nie brak... hm... przyjaciół domu. — Mrugnął na mnie porozumiewawczo.

— Rozumiem.

— Oni są z Londynu. Tak jak ja. — Nastąpiło krótkie milczenie. Wziął mój kufel. — Bardzo przystojna kobieta. A widział pan jej córki? — Potrząsnąłem przecząco głową. — Wystrzałowe babki! — Milczenie.

— Ile mają lat?

— A bo ja wiem. Nie potrafię już dziś rozróżnić, czy ktoś ma dwadzieścia czy trzydzieści. Najstarsze córki są — wie pan — bliźniaczkami. — Gdyby nie był tak zajęty wycieraniem kufła, zauważyłby, że moja twarz skamieniała. — Identyczne. Wie pan, jednojajowe. Bywają też różne. — Spojrzał pod światło na szkło. — Ludzie mówią, że ich własna matka rozróżnia je tylko dlatego, że jedna ma bliźnię na...

Nie zdążył skończyć, bo ja w mgnieniu oka znalazłem się za drzwiami.

## 72

Z początku nie byłem nawet zły; jechałem bardzo szybko i o mały włos byłbym przejechał rowerzystę, ale prawie cały czas uśmiechałem się pod wąsem. Tym razem nie zaparkowałem wozu grzecznie pod bramą. Wyżwirowaną alejką podjechałem pod czarne drzwi i zacząłem walić kołatką w kształcie głowy lwa, tej kołatce nie zdarzyło się to pewnie w ciągu dwustu lat egzystencji.

Drzwi otworzyła sama pani de Seitas; przebrała się, to znaczy zamiast bryczesów miała na sobie spodnie. Spojrzała na moje auto, jakby to ono miało jej wyjaśnić, czemu wróciłem. Uśmiechnąłem się.

— Widzę, że jednak nie wyszła pani na lunch.

— Tak, okazało się, że pomyliłam dni. — Poprawiła kołnierz bluzki. — Zapomniał pan czegoś?

— Tak.

— Och. — Nic nie powiedziałem, a ona spytała żywo, ale o sekundę za późno: — A czegoż to?

— Zapomniałem się spytać o pani bliźniaczki.

Jej wyraz twarzy uległ zmianie; nie, nie była zmieszana, nie zamierzała niczemu przeczyć, uśmiechnęła się. Dziwiłem się, jak mogłem od razu nie dostrzec podobieństwa w oczach, ustach. Widocznie utkwilo mi w głowie tamto pokazane przez Lily zdjęcie. Pulchna kobietka z puszystymi włosami. Pani de Seitas cofnęła się zapraszając mnie do wejścia.

— Tak. Zapomniał pan.

W drzwiach hallu pojawił się Benjie. Zamykając za mną drzwi powiedziała do niego spokojnym tonem:

— Uciekaj. Zjedz lunch.

Podszedłem do niego szybko i nachyliłem się nad nim. — Benjie, jak mają na imię twoje siostry?

Spojrzał na mnie podejrzliwie i z lekką obawą, jak dziecko przyłapane w swojej kryjówce. Potem spojrzał na matkę. Musiała skinąć głową.

— Lily i Rosę. .

— Dziękuję ci.

Jeszcze raz przyjrzał mi się nieufnie i zniknął. Zwróciłem się w stronę Lily de Seitas.

Idąc swobodnym krokiem do salonu oznajmiła: — Nazwaliśmy je tak, żeby ułagodzić moją matkę. Groźna to była pani. — Wraz ze zmianą ubioru- zmienił się jej sposób bycia, przestała razić różnica między jej słownictwem a wyglądem. Teraz łatwo mi było uwierzyć, że ma pięćdziesiąt lat, a trudno, że mogłem uznać ją za osobę nieinteligentną. Wszedłem za nią do salonu.

— Przeszkodziłem pani w lunchu.

Obejrzała się i powiedziała oschle: — Już od paru tygodni czekam, że mi pan w czymś przeszkodzi.

Usiadła na fotelu i zaprosiła mnie gestem, bym zajął miejsce na ogromnej kanapie stojącej na środku pokoju, ale ja potrząsnąłem przecząco głową. W jej zachowaniu nie było śladu nerwowości, uśmiechała się.

— Słucham.

— Zacznijmy od faktu, że ma pani dwie bardzo przedsiębiorcze córki. *I* to ja chętnie posłucham, co pani zechce wymyślić.

— Niestety, zużyłam już cały zasób mojej wyobraźni. Mogę już tylko mówić prawdę. — Nie przestawała się uśmiechać, jakby bawiła ją moja powaga. — Maurice jest ojcem chrzestnym bliźniaczek.

— Wie pani, kim jestem? — zadziwiał mnie jej spokój, nie mogłem uwierzyć, że wie, co zdarzyło się w Bourani.

— Tak, panie Urfe, wiem jak najdokładniej, kim pan jest. — W jej oczach widniało ostrzeżenie i to mnie rozzłościło. — I wiem o wszystkim.

Spojrzała na swoje ręce, potem znów na mnie. — Mój mąż zginął w 1943 roku. Na Bliskim Wschodzie. Nigdy nie widział Benjiego. — Zobaczyła moje zniecierpliwienie i szybko dodała. — Mój mąż był pierwszym nauczycielem angielskiego w szkole Byrona.

— Nie, nie był. Przejrzałem wszystkie stare prospekty szkolne.

— Zatem spotkał się pan z nazwiskiem Hughes.

— Tak.

Założyła nogę na nogę. Siedziała bardzo prosto w starym fotelu obitym bladozłotym brokatem. Jej „ziemiańska” rubaszność znikła bez śladu.

— Nie zechciałby pan usiąść?

— Nie.

Skwitowała moją nieuprzejmość lekkim wzruszeniem ramion i spojrzała mi w oczy; był to przenikliwy, dość wyniosły wzrok. Potem zaczęła mówić.

— Mój ojciec zmarł, kiedy miałam osiemnaście lat. Bez sensu — głównie po to, żeby uciec z domu, wyszłam za mąż i fatalnie się to skończyło. W 1928 roku poznałam mego drugiego męża. W rok później mój pierwszy mąż się ze mną rozwiódł. Pobraliśmy się. Chcieliśmy na jakiś czas wyjechać z Anglii, a nie mieliśmy pieniędzy. Mój mąż zaczął się starać o pracę nauczyciela w Grecji. Był filologiem klasycznym... kochał Grecję. Poznaliśmy Maurice'a. Lily i Rose zostały poczęte na Phraxos. W domu, który wypożyczył nam Maurice.

— Nie wierzę w ani jedno słowo. Ale proszę mówić dalej.

— Miałam pietra przed rodzeniem bliźniaczek w Grecji i wróciliśmy do Anglii. — Wzięła papierosa ze srebrnego pudełka stojącego na trójkątnym stoliku. Zachowywała pełny spokój, była u siebie. — Panieńskie nazwisko mojej matki brzmiało de Seitas. Może pan to sprawdzić w Somerset House. Miała brata, starego kawalera, bardzo zamożnego; traktował mnie, szczególnie po śmierci ojca, jak własną córkę w granicach dozwolonych przez moją matkę. Była to niezwykle apodyktyczna niewiasta.

Przypomniałem sobie datę odkrycia przez Conchisa Bourani: mówił, że stało się to w kwietniu 1928 roku.

— Twierdzi więc pani teraz, że po raz pierwszy zobaczyła pani... Maurice'a w 1929 roku?

Uśmiechnęła się. — Twierdzą. Ale dostarczyłam mu wielu szczegółów do odpowiedniego rozdziału jego opowieści.



— A siostra imieniem Rose?

— Proszę sprawdzić w Somerset House.

— Zrobię to.

Wpatrzyła się w czubek swego papierosa, każąc mi czekać na ciąg dalszy.

— Urodziły się bliźniaczki. W rok później umarł wuj. Okazało się, że zostawił mi niemal całą swoją fortunę pod warunkiem, że Bill zmieni nazwisko na Seitas. Nawet nie Hughes-de Seitas, ale de Seitas. Musiała w tym maczać palce moja matka. I mój mąż zmienił nazwisko. Na japońską modłę. To także może pan sprawdzić. — I dorzuciła. — To by było wszystko.

— Ładnie wszystko! Święty Boże!

— Wiem o panu tyle, że chętnie mówiłabym panu po imieniu. Mogę?

— Nie.

Spuściła wzrok, z tym mogącym doprowadzić do wściekłości uśmiechem, który pojawiał się natrętnie na ich twarzach, jej córek, Conchisa, a nawet Antona i Marii, tak jak gdyby ich wszystkich ktoś nauczył tego zagadkowego, pełnego wyższości uśmiechu. Pewnie nauczył. I zacząłem podejrzewać, że to właśnie ta kobieta.

— Niech pan nie myśli, że jest pan pierwszym młodym człowiekiem, który się tu pojawia rozgoryczony i wściekły na Maurice'a. Na nas wszystkich, którzy pomagamy Mau-rice'owi. Ale jest pan pierwszym, który odrzuca moją życzliwość.

— Mam do zadania parę nieprzyjemnych pytań.

— Proszę.

— Najpierw zadam inne. Dlaczego we wsi uważają panią za operową śpiewaczkę?

— Parę razy śpiewałam na miejscowych koncertach. Uczyłam się śpiewu.

— Aha, „Klawesyn ma taki blaszany dźwięk, tak?”

— A czyż nie ma?

Odwrociłem się do niej plecami, do niej, do jej uprzejmości wielkiej damy, uprzejmości, która była bronią.

— Moja droga pani de Seitas, ani pani wdzięk, ani inteligencja, ani te igraszki słowne nic pani nie pomogą.

Milczała dłuższy czas.

— To pan sam stwarza sytuację, w jakiej się pan znajduje. Chyba pan o tym wie. Przychodzi pan tu i okłamuje mnie. Przychodzi pan z najbardziej niewłaściwych

pobudek. I dziwi się pan, że odpowiadam panu kłamstwami. Że odpowiadam tym samym.

— Czy pani córki tu są?

— Nie.

Odwróciłem się.

— A Alison?

— Alison zaprzyjaźniła się ze mną.

— Gdzie ona jest?

Pokręciła głową i nie odpowiedziała...

— Żądam odpowiedzi.

— W moim domu nikt nie ma prawa niczego żądać. — Jej głos brzmiał łagodnie, ale patrzyła na mnie baczny wzrokiem, jakim gracz w szachy śledzi rozgrywaną partię.

— W porządku. Zobaczymy, co na to powie policja.

— Mogę panu z góry powiedzieć. Uznają, że pan zwariował.

Znów się od niej odwróciłem, mając nadzieję, że w ten sposób coś z niej jeszcze wyciągnę. Ale ona siedziała spokojnie i czułem tylko na plecach jej wzrok. Wiedziałem, że siedzi na tym swoim złocistym jak zboże fotelu, wyglądając jak Demeter, jak Ceres, jak bogini na tronie, a nie jak zwykła, choć mądra, pięćdziesięcioletnia kobieta w 1953 roku, w salonie, do którego dochodzi buczenie traktora z pól; że odgrywa rolę, że rola ta jest tak głęboko związana z wiernością niezrozumiałym dla mnie koncepcjom i ludziom, którym nie potrafię wybaczyć, że już niemal przestała być rolą.

Wstała, podeszła do stojącego w rogu salonu biureczka i wróciła niosąc kilka zdjęć, które położyła na stolyczku obok kanapy. Usiadła z powrotem na fotelu i zaprosiła mnie gestem, bym przejrzał zdjęcia. Na jednym była ona, siedziała na zawieszanej na linach ławeczce przed altanką. Z drugiej strony siedział Conchis, między nimi Benjie. Na drugim zobaczyłem Lily i Rose. Lily uśmiechała się, za nią widoczny był profil roześmianej Rose. W tle altanka. Następna odbitka była stara. Rozpoznałem Bourani. Na stopniach przed domem stało pięć osób. W środku Conchis, ładną kobietą u jego boku była Lily de Seitas. Obejmował ją ramieniem jakiś wysoki mężczyzna. Zajrzałem na odwrotną stronę: Bourani 1935.

— Kim są tamci dwaj?

— Jeden z naszych przyjaciół. I pański poprzednik ze szkoły.

— Geoffrey Sugden? — skinęła głową, wydawała się zdziwiona. Położyłem zdjęcie, uznałem, że przyszła chwila na mały rewanż. — Udało mi się odszukać jednego z przedwojennych nauczycieli. Opowiedział mi to i owo.

— Tak? — W jej spokojnym głosie wyczułem lekki niepokój.

— Więc starajmy się nie mijać z prawdą.

Spojrzała na mnie pytająco. — Co on powiedział?

— Dostatecznie dużo, żeby...

Wstała i znów podeszła do biurka. Wyjęła z niego list, zajrzała na ostatnią stronicę i podała mi ją. Była to kopia listu Nevinsona. Na górze kartki nabazgrał: „Mam nadzieję, że nie wyrządzi to odbiorcy trwałej szkody.” Ona szukała czegoś na stojącej za biurkiem półce z książkami, wróciła, w milczeniu odebrała ode mnie list i podała trzy książki. Chciałem powiedzieć coś ironicznego, ale przełknąłem ślinę i zajrzałem do pierwszej książki. Był to oprawiony w niebieskie płótno podręcznik. *Antologia poezji greckiej dla szkół średnich, wybór i komentarz Williama Hughesa, 1932 r.*

— To zrobił dla pieniędzy. Ale tamte dwie z upodobania.

Następny tomik zawierał tłumaczenia Longusa wydane w 1936 roku.

— 1936 rok? I ciągle Hughes?

— Autor może posługiwać się dowolnym nazwiskiem.

Holmes, Hughes; przypomniałem sobie pewien szczegół z opowiadania jej córki.

— Czy wykładał w Winchester?

Uśmiechnęła się. — Tak. Tuż przed naszym małżeństwem.

Następna książeczka zawierała przekłady wierszy Palamasa, Solomosa i innych greckich poetów; było tam nawet kilka wierszy Seferisa.

— Maurice Conchis, słynny poeta — spojrzałem na nią z goryczą. — Nieźle trafiłem.

Wzięła książki i położyła je na stole. — Cały czas zachwycałam się, jak pan to inteligentnie wymyślił.

— Mimo że jestem głupcem.

— Można być równocześnie inteligentnym i... bardzo niemądrym. Szczególnie jeśli jest się w pańskim wieku. I pańskiej płci.

Znów usiadła w fotelu i uśmiechnęła się na widok mojej poważnej twarzy; był to ciepły, przyjazny uśmiech mądrej, zrównoważonej kobiety. Ale przecież nie była

zrównoważona. Podeszedłem do okna. Słońce dotknęło moich rąk. Zobaczyłem Benjiego i Norweżkę bawiących się w berka koło altanki. Często dobiegały nas ich radosne okrzyki.

– A gdybym uwierzył w historyjkę o panu Szczurze?

– Przypomniałabym sobie jakiś interesujący szczegół.

– I?

– Przyjechałby pan przecież jeszcze raz?

– A jeśli bym w ogóle pani nie odnalazł?

– W swoim czasie pani Hughes zaprosiłaby pana na lunch.

– Tak ni stąd, ni zowąd?

– Jasne, że nie. Napisałaby list. „Szanowny Panie! British Council podało mi pańskie nazwisko. Niedawno zmarł mój mąż, który był pierwszym nauczycielem angielskiego w Szkole im. lorda Byrona, i przeglądając jego papiery natrafiłam na opis nie znanego mi dotychczas, dość niezwykłego eksperymentu...” – pytająco podniosła brwi.

– I kiedy by to nastąpiło? Jak długo musiałbym jeszcze czekać?

– Tego panu nie potrafię powiedzieć.

– Nie chce pani.

– Nie. To by nie ode mnie zależało.

– No, wie pani, tu powinna decydować jedna jedyna osoba. Gdyby ona...

– No właśnie.

Wyciągnęła rękę i zdjęła z kominka ukrytą za jakąś figurką fotografię.

– Nie jest to bardzo dobre zdjęcie. Zrobił je Benjie.

Trzy kobiety na koniach. Lily de Seitas, Gunhild, a w środku Alison. Wyglądała dość niepewnie, ale uśmiechała się.

– Czy poznała... pani córki?

– Jeśli pan chce, może pan to zdjęcie zatrzymać.

Próbowałem przeprowadzić swoją wolę.

– Gdzie ona jest?

– Może pan przeszukać dom.

Obserwowała mnie podparwszy brodę ręką, spokojna, władcza. Trudno mi powiedzieć, na czym ta jej władczość polegała, ale była władcza. Czuję się jak szczeniak, który goni starego cwanego zająca, za każdym skokiem chwytam w zęby

powietrze. Spojrzałem na zdjęcie Alison, podarłem je i wrzuciłem do popielniczki na konsoli pod oknem. Dłuższą chwilę trwało milczenie, wreszcie ona je przerwała.

— Mój biedaku, niech się pan nie gniewa, że coś panu powiem. Miłość polega często na umiejętności kochania, a nie na tym, że ta druga osoba jest miłości szczególnie godna. Według mnie Alison ma w wysokim stopniu rozwiniętą tę umiejętność oddania się. W większym stopniu, niż ja miałam kiedykolwiek. Uważam to za niezwykle cenne. I starałam się przekonać ją, że nie powinna tego swojego daru lekceważyć, nie doceniać tego, co ma do ofiarowania, jak to przez całe życie robiła.

— Jak to ładnie z pani strony.

Westchnęła: — Znów ta ironia.

— A czego pani oczekiwała? Łez skruchy?

— Ironia jest czymś tak brzydkim. I demaskującym.

Znów cisza. Po chwili ciągnęła dalej.

— Ma pan wyjątkowe szczęście i jest pan wyjątkowo zaślepiony. Ma pan szczęście, bo już się pan urodził wyposażony we wdzięk, na który reagują kobiety, choć upiera się pan, żeby mi się z tej strony nie pokazać. I ślepy, bo nie zauważył pan skarbu kobiecości, który sam pchał się panu w rękę. Czy nie widzi pan, że Alison ma do zaofiarowania to, co najcenniejsze? To, wobec czego wykształcenie, pochodzenie i tak dalej stają się bardzo mało ważne? A pan pozwolił, żeby się to panu wymknęło.

— Z pomocą pani czarujących córek.

— Moje córki były tylko żywą personifikacją pańskiego egoizmu. Wzrastał we mnie ślepy gniew.

— Zapomina pani, że, przyznaję, bardzo niemądrze, zakochałem się w jednej z pani córek.

— Tak jak, pozbawiony skrupułów zbieracz zakochuje się w obrazie. I robi wszystko, żeby go zdobyć.

— Tylko że to nie był obraz. Dziewczyna tak wyzbyta wszelkich skrupułów moralnych jak wyaranżowana kurwa z placu Pigalle.

Chwilę milczała, elegancka salonowa wymówka, potem powiedziała spokojnie.

— Używa pan mocnych słów.

Gwałtownie się ku niej obróciłem. — Zaczynam się zastanawiać, czy pani naprawdę wszystko wie. Po pierwsze, pani córka, której daleko do dziewicy...

— Wiem dokładnie, co zrobiła. — Siedziała spokojnie, tyle że się jeszcze wyprostowała. — I znam jej pobudki Ale gdybym je panu wymieniła, zdradziłabym sekret.

— Czy mam tu zawołać tę Norweżkę i pani synka? Opowiedzieć mu, co jego siostra wyczyniała — czy odpowiada pani ten eufemizm — raz ze mną, a raz z tym Murzynem?

Znów milczała, jakby tym milczeniem chciała podkreślić to, co powiedziałem, trochę tak jak nie odpowiada się na zadane sobie pytanie, żeby dać po nosie rozmówcy.

— Czy fakt, że Joe jest Murzynem, pogarsza sprawę?

— Także nie polepsza.

— To bardzo inteligentny, uroczy człowiek. Już od dłuższego czasu sypiają z sobą.

— A pani to pochwała?

— Nikt nie prosił mnie o aprobatę, która byłaby zresztą zbędna. Lily jest dorosła.

— Teraz rozumiem, czemu zasadziła tu pani tyle kwiatów. Żeby zabić zapach siarki.

Wstała. Stała oparta o kominek i przyglądała się, jak biegam po pokoju. Dalej spokojna, ale czujna, bawiąc się mną jak latawcem. Mógł wzbijać się i powiewać kitą, ale to ona trzymała sznurek.

— Czy zechce mnie pan wysłuchać i nie przerywać? Wzruszyłem ramionami.

— Przede wszystkim skończmy z tą sprawą, Co jest właściwe, a co nie w dziedzinie seksu. — Mówiła beznamiętnym tonem jednej z tych lekarek, które uważają, że na sali operacyjnej płęć jest nieważna. — Czy pan sądzi, że ponieważ mieszkam w domu z czasów królowej Anny, to podobnie jak większość mieszkańców tego kraju kieruję się zasadami moralności tamtych czasów?

— Jestem od tego jak najdalszy.

— Prosiłam, żeby zechciał pan nie przerywać.

Odszedłem i stanąłem przy oknie odwrócony do niej plecami. Czuję, że nareszcie została przyparta do muru. — Jak mam to panu wytłumaczyć? Gdyby był tu Maurice, to by jasno powiedział, że seks nie różni się niczym od innych radości życia. Że stanowi tylko część — i to nie najważniejszą — tego, co nazywamy miłością. Najważniejszą jest zaufanie, które żywi do siebie nawzajem dwoje ludzi. Ich

porozumienie. Może tu chodzi o ich umysły lub ich dusze. Jak pan woli. Prawdziwą niewiernością jest ta, która ukrywa przed partnerem niewierność czysto fizyczną. Bo jedyną rzeczą, która nie powinna zaistnieć między dwojgiem ludzi związanych miłością, jest kłamstwo.

Wpatrzyłem się w trawnik. Wiedziałem, że wszystko, co mówi, zostało z góry przygotowane, że prawdopodobnie nauczyła się tego przemówienia na pamięć.

— Zdaje się, że ma pani czelność wygłaszać do mnie kazanie.

— A pan ma czelność utrzymywać, że na nie nie zasługuje?

— Wie pani...

— Będzie pan tak dobry mnie wysłuchać. — Gdyby jej głos brzmiał ostro lub rozkazująco, pewnie bym tego nie zrobił. Ale był łagodny, niemal błagalny. — Próbuję panu wyjaśnić, jacy jesteśmy. Maurice przekonał nas — było to ponad dwadzieścia lat temu — że powinniśmy wykluczyć z naszego życia wszystkie seksualne tabu. Nie dlatego, że moralność była dla nas mniej ważna niż dla innych ludzi. Dlatego że była ważniejsza. Wypróbowaliśmy to we własnym życiu. Ja próbowałam w ten właśnie sposób wychować dzieci. I chciałabym, żeby pan zrozumiał, że seks jest dla nas wszystkich, którzy pomagamy Maurice'owi, czymś nieważnym. A w każdym razie czymś innym niż w życiu większości ludzi. My uważamy za ważniejsze wiele innych spraw.

Nie, nie odwrócę się i nie spojrzę na nią.

— Przed wojną dwukrotnie odgrywałam rolę podobną do tej, którą wobec pana odegrała Lily. Tyle że ona jest gotowa na więcej niż ja. Ja miałam więcej hamulców. No i miałam męża, którego kochałam także zmysłowo. Ale skoro tak głęboko weszliśmy w pana życie, należy się panu informacja, że nawet jeszcze za życia męża, za jego pełną wiedzą i zgodą czasami oddawałam się Maurice'owi. A podczas wojny mąż mój miał z kolei kochankę w Indiach, także za moją wiedzą i zgodą. Mimo to uważam, że nasze małżeństwo było prawdziwym małżeństwem, małżeństwem szczęśliwym, zawsze bowiem przestrzegaliśmy dwóch najważniejszych zasad. Nigdy żadne z nas nie skłamało. I... nie, to powiem panu dopiero, kiedy pana lepiej poznam. Odwróciłem się i spojrzałem na nią z pogardą. Jej spokój wyprowadzał mnie z równowagi, pod nim kryło się przecież szaleństwo. Usiadła.

— Oczywiście, jeśli chce pan pozostać w świecie konwencjonalnych poglądów, przestrzegać konwencjonalnych reguł, to nasze zachowanie, zachowanie mojej córki może się wydać czymś odrażającym. Dobrze. Ale proszę pamiętać, że istnieje także

inne wytłumaczenie. Że ona mogła wykazać niezwykłą dzielność. Ani ja, ani moje dzieci nie udajemy, że jesteśmy zwykłymi ludźmi. Moje dzieci nie zostały wychowane na przeciętnych ludzi. Jesteśmy bogaci, jesteśmy inteligentni i chcemy prowadzić bogate, mądre życie.

— Szczęściarze.

— Tak. Szczęściarze. Ale przyjmujemy odpowiedzialność, którą nakłada na nas nasze szczęście.

— Odpowiedzialność! — Znów się ku niej odwróciłem.

— Czy pan naprawdę sądzi, że zrobiliśmy to wszystko panu na złość? Czy pan sądzi, że my nie... wytyczyliśmy z góry naszej drogi? — I spokojnym tonem dodała. — Wszystko, co zrobiliśmy, było dla nas koniecznością. — Chciała przez to powiedzieć, że nie było w tym nic z folgowania swoim instynktom.

— Cóż za dziwna konieczność niczym nie usprawiedliwionej sprośności.

— Konieczność skomplikowanego eksperymentu.

— Wolę doświadczenia proste i zwyczajne.

— Minął już czas prostych doświadczeń.

Zapadło milczenie. Nadal byłem wściekły i zrodził się we mnie niejasny strach na myśl, że Alison znajduje się w rękach tej kobiety; było to uczucie podobne temu, jakie nawiedza nas, gdy słyszymy, że jakiś ulubiony zakątek trafił w ręce firmy budowlanej. A równocześnie poczułem się odsunięty poza nawias, opuszczony. Nie należałem do tego świata innej planety.

— Znam młodych ludzi, którzy by panu zazdrościli.

— Nie wówczas, gdyby usłyszeli tę historię z moich ust.

— Tak, wtedy litowaliby się nad ciasnotą pańskich poglądów.

Podeszła do mnie, położyła mi na ramieniu rękę i zmusiła, żebym się odwrócił.

— Czy wyglądam na złą kobietę? Czy wyglądają tak moje córki?

— Chodzi o czyny, nie o wygląd. — Mój głos zabrzmiał brutalnie, miałem ochotę wyrwać się jej i uciec.

— Czy jest pan zupełnie pewny, że to, co zrobiliśmy, było złe?

Spuściłem oczy. Nie miałem zamiaru jej odpowiadać. Cofnęła rękę, ale wciąż stała tu koło mnie.

— Czy nie mógłby mi pan zaufać, na króciutko?

Nie odpowiedziałem, a ona ciągnęła dalej. — Może pan do mnie dzwonić, kiedy pan zechce. Jeśli pan sobie życzy może pan obserwować dom. Ale uprzedzam, że nie



zobaczy pan tu nikogo z osób, które chciałby pan zobaczyć, Tylko Benjiego i Gunhild, no a w przyszłym tygodniu wróci z Paryża dwoje moich średnich dzieci. W tej chwili tylko jedna osoba chce, żeby pan jeszcze czekał.

— Powinna mi to sama powiedzieć.

Wyjrzała przez okno, potem spojrzała z ukosa na mnie. — Tak bym chciała panu pomóc.

— Potrzebna mi jest Alison, nie pomoc.

— Czy teraz już pozwoli mi pan mówić do siebie po imieniu? — Odwróciłem się od niej, podszedłem do stojącego koło kanapy stolika i zacząłem się przyglądać leżącym tam zdjęciom. — W porządku. Więcej pana o to nie poproszę,

— Mogę pójść do jakiejś redakcji i sprzedać im całą tę historię. Zrujnowałbym tę waszą przekłętą...

— Mógł pan także wychłostać moją córkę.

— Więc w tej lektyce siedziała pani?

— Nie.

— Alison?

— Powiedziano panu przecież, że lektyka jest pusta. — Zobaczyła mój niedowierzający wzrok. — Przysięgam panu, że nie siedziałam tam ja. Ani Alison. — Uśmiechnęła się Widząc, że nadal patrzę na nią podejrzliwie. — Hm. Może rzeczywiście ktoś tam jednak był.

— Kto?

— Ktoś sławny. Ktoś, kogo mógłby pan rozpoznać.

Czułem się tak, jakby mackom jej sympatii udało się przedrzeć przez mój gniew, jakby mnie zaczęły oplatać. Odwróciłem się i ruszyłem w stronę drzwi. Ona poszła za mną wzięwszy po drodze kartkę papieru z biurka.

— Proszę, niech pan to weźmie.

Zobaczyłem spis nazwisk, daty urodzenia; zmiana nazwiska Hughes 22 lutego 1933 roku, wreszcie numer telefonu.

— To żaden dowód.

— Owszem. Proszę sprawdzić w Somerset House.

Wzruszyłem ramionami, wepchnąłem kartkę do kieszeni i wyszedłem nawet na nią nie spojrzawszy. Otworzyłem frontowe drzwi, wyszedłem na schody. Ona szła za mną, ale zatrzymała się przed drzwiami. Otworzyłem drzwiczki samochodu i spojrzałem na nią z nienawiścią.

– Wolałbym zobaczyć Alison w piekle niż tu kiedykolwiek wrócić.

Otworzyła usta chcąc mi odpowiedzieć, ale zmieniła zdanie. Na jej twarzy malował się łagodny wyrzut, zaraz jednak spojrzała na mnie wyrozumiale jak na rozkapryśzone dziecko. To mnie rozwścieczyło. Wsiadłem do wozu i zapuściłem motor. Wyjeżdżając z bramy zobaczyłem ją w lusterku. Stała z takim wyrazem twarzy, jakby było jej przykro, że odjeżdżam.

### 73

Ale nawet w tym momencie wiedziałem, że w dużej mierze udaję gniew; ona usiłowała mnie rozbroić swoim spokojem, a ja próbowałem wytrącić ją z równowagi swoją złością. Nie żałowałem jednak swej nieuprzejmości ani tego, że odtrąciłem wszystkie jej awanse, a to, co powiedziałem o Alison, nie było zupełnym kłamstwem.

Zagadka bowiem polegała obecnie na tym, dlaczego nie pozwalano mi zobaczyć się z Alison. Czegoś ode mnie wyraźnie oczekiwano, jakiegoś wyczynu godnego Orfeusza, wtedy może uzyskałbym dostęp do podziemnego świata, gdzie ją ukryto, czy gdzie ukryła się sama. Znów zostałem wystawiony na próbę. Nikt nie dał mi jednak wskazówek, czego się po mnie oczekuje. Znalazłem wejście do Tartaru. Ale dzięki temu wcale nie znalazłem się bliżej Eurydyki.

Podobnie jak nic z tego, co powiedziała mi Lily de Seitas, nie przybliżyło mnie do tajemnicy: wytyczenie drogi, jakiej drogi?

Gniew pomógł mi przetrwać następny dzień, ale potem wybrałem się do Somerset House i stwierdziłem, że wszystkie podane przez Lily de Seitas fakty są prawdziwe, i gniew zmienił się w przygnębienie. Wieczorem zadzwoniłem do Much Hadham. Telefon odebrała Norweżka.

– Tu Dinsford House. Słucham. — Nie odezwałem się. Ktoś musiał o coś zapytać, bo dziewczyna zawołała: — Nikt się nie odzywa.

Usłyszałem głos pani de Seitas.

– Hallo. Hallo.

Odłożyłem słuchawkę. Zatem była tam jeszcze. Ale nic nie mogłoby mnie skłonić, żebym się do niej odezwał.

Następnego dnia, był to trzeci dzień po wizycie w Much Hadham, upiłem się i napisałem przepelniony goryczą list do Alison, do Australii. Bo doszedłem do

wniosku, że wyjechała do Australii. W liście powiedziałem wszystko, co miałem jej do powiedzenia, przeczytałem go ze dwadzieścia razy, jakby to mogło pomóc w nadaniu mu wagi obiektywnego dokumentu świadczącego o mojej niewinności, i o jej knowaniach. Ale ciągle odkładałem wrzucenie go do skrzynki i spędził noc na kominku.

Miałem zwyczaj schodzić rano na dół i jeść śniadanie z Kemp, ale przez te ostatnie trzy dni, kiedy nienawidziłem całej ludzkości, unikałem także Kemp. Kemp nie marnowała czasu na gotowanie, ale parzyła dobrą kawę i czwartego ranka poczułem, że muszę się tej kawy napić.

Kiedy wszedłem, odłożyła „Daily Worker” — czytywała „Workera”, „żeby dowiedzieć się prawdy”, i pewną inną gazetę, bo bawiło ją, że aż tak „pieprzą” — i siedziała paląc papierosa. Jej usta bez papierosa wyglądały jak jacht bez masztu, zwiastowało to katastrofę. Wymieniliśmy parę zdań. Potem zamilkła. W ciągu następnych kilku minut zdałem sobie sprawę, że spod welonu dymu litościwie przysyłającego jej podobną Gorgonie pooraną twarz, bacznie mnie obserwuje. Udawałem, że czytam, ale nie oszukałem jej.

— Co się z tobą dzieje, Nick?

— Ze mną?

— Nie masz przyjaciół, nie masz dziewczyn, siedzisz sam jak palec.

— Błagam cię, nie o tej porze.

Siedziała rozwalona, zniszczony czerwony szlafrok, potargane włosy, stara jak czas.

— Wcale nie szukasz pracy. To wszystko zawracanie głowy.

— Jak sobie chcesz.

— Chcę ci pomóc.

— Wiem, Kemp.

Spojrzałem na jej twarz. Nalana, gąbczasta, oczy zmrużone, żeby nie łzawiły od dymu, przypominająca maskę z teatru Nō, o dziwo pasowało to do jej akcentu *cockney* i do przybranej pozy twardości. Ale nagle, a był to u niej niezwykle gest serdeczności, poklepała mnie po ręce. Wiedziałem, że jest o pięć lat młodsza od Lily de Seitas, ale wyglądała o dziesięć lat starzej. Według obowiązujących norm była plugawą staruchą, typową przedstawicielką tego, czego mój ojciec nienawidził

najbardziej, bardziej jeszcze niż „tych przeklętych socjalistów” i „tych bęcwałów — pedałów z White Hall”, czyli „długowłosych lekkoduchów”. Oczyma duszy zobaczyłem ojca w drzwiach pokoju, krzaczaste pułkownikowskie wąsy, agresywne spojrzenie błękitnych oczu; patrzy na niezasłany tapczan, śmierdzący zardzewiały piecyk, bałagan na stole, krzykliwe, abstrakcyjne, choć nie pozbawione seksualnych aluzji obrazy, stos wyszczerbionych talerzy, starych ubrań, starych gazet... Ale w tym ruchu Kemp i spojrzeniu, jakim mnie obrzuciła, było więcej ciepła, niż kiedykolwiek doznałem w rodzinnym domu. Niemniej nie potrafiłem się wyzwolić spod władzy tego domu, tamtych lat, nie umiałem odpowiedzieć na jej serdeczność. Nasz wzrok spotkał się w próżni, której nie umiałem wypełnić. Ona ofiarowała mi matczyną troskę, ja wycofałem się na pozycje osamotnionego syna. Cofnęła rękę. Powiedziałem: — To bardzo skomplikowana historia.

— Mam czas.

Nagle jej twarz za mgiełką błękitnego dymu wydała się tak groźna i nieprzenikniona jak twarz sędziego śledczego. Lubilem ją, naprawdę ją lubilem, ale jej ciekawość oplotła mnie jak sieć. Byłem podobny dziwacznym pasożytom, które mogą egzystować tylko w pewnych specjalnych sytuacjach; Nie, nie mieli w czasie procesu racji. Nie żerowałem na dziewczętach, byłem ofiarą faktu, że nawiązać kontakt z człowieczeństwem, otworzyć serce mogłem tylko przez dziewczęta. I w tym sensie byłem naprawdę ofiarą.

Była tylko jedna osoba na świecie, z którą chciałem rozmawiać. I póki to nie nastąpiło, nie potrafiłem zrobić kroku naprzód, nie potrafiłem snuć żadnych planów, nie potrafiłem stać się lepszym człowiekiem. Moja tajemnica otaczała mnie jak zbroja, jedynym moim towarzyszem mogła być tylko ona.

— Kiedyś ci wszystko opowiem, Kemp. Ale nie dzisiaj.

Wzruszyła ramionami, spojrzała na mnie kamiennym wzrokiem Sybilli, tak jakby przewidywała najgorsze.

Stara kobieta, która raz na tydzień zamiatała schody, zawołała mnie. Dzwonił mój telefon. W wyścigowym tempie wbiegłem na górę i w ostatnim momencie podniosłem słuchawkę.

— Hallo. Nicholas Urfe.

— Dzień dobry, Urfe. Mówi Sandy Mitford.

— Wrócił pan!

— Mój wywłok — chrząknął. — Dostałem pański liścik. Miałby pan dziś czas zjeść ze mną śniadanko?

Po minucie, kiedy ustaliliśmy godzinę i miejsce spotkania, zabrałem się do ponownego odczytania listu do Alison. Z każdej linijki wycierał urażony Malvolio. Po kolejnej minucie list już nie istniał, pozostał po nim, tak jak po wszystkich ważnych sprawach mego życia, jedynie strup popiołów. To dziwaczne porównanie oddaje najdokładniej to, co czułem.

Mitford nie zmienił się, przysięgłbym nawet, że ma na sobie to samo ubranie, ten sam granatowy blezer, te same ciemnoszare flanelowe spodnie, klubowy krawat. Wszystko było z lekka podniszczone, a on zachowywał się już nie tak swobodnie, choć po paru dinach odzyskał częściowo swą partyzancką zawadiackość. Spędził lato „obwożąc po Hiszpanii tę amerykańską hołotę”; nie, nie otrzymał ode mnie listu z Phraxos. Musieli go zniszczyć, Pewnie bali się informacji, których mógłby mi udzielić.

Zajadając kanapki rozmawialiśmy o szkole. Ani razu nie padło słowo Bourani. Mitford powtarzał, że mnie ostrzegał, a ja mówiłem, tak, ostrzegał mnie. Czekałem na odpowiednią okazję, żeby poruszyć jedyny interesujący mnie temat. Nie traciłem zresztą nadziei, że sam go poruszy, i tak się też stało.

— No co, trafił pan do poczekalni? — Spytał niedbałym tonem, ale wiedziałem, że udaje, bo naprawdę jest i ciekawy, i trochę przerażony; obaj dążyliśmy do spotkania z tego samego powodu.

— Właśnie chciałem pana spytać. Kiedy rozstawaliśmy się, zawołał pan...

— Tak. — Miał się na ostrożności. — Czy trafił pan nad zatoczkę, zwaną Moutsą? Fajna plaża, na południowym krańcu wyspy.

— Oczywiście. Często tam bywałem.

— Zauważył pan willę na przylądku?

— Mówiono mi, że jest pusta.

— Aha. To interesujące. Bardzo interesujące. — Chwilę milczał, wypróbując moją cierpliwość. Obserwowałem, jak okrągłym ruchem podnosi do ust papierosa, udaje konesera tytoniu Virginia, wypuszcza dym nosem. — Cóż, stary, właściwie nie ma o czym mówić.

— Ale dlaczego miałem się wystrzegać poczekalni?

— Drobiazg. Nieważne.

- Więc może mi pan opowiedzieć.
- W gruncie rzeczy opowiedziałem.
- Opowiedział pan?
- Nie pamięta pan? O tej awanturze z kolaboracjonistą.
- Ach, tak.
- To był właśnie właściciel tej willi.
- Ale... – pstryknąłem palcami – zaraz, jak on się nazywał?
- Conchis – uśmiechnął się tak, jakby wiedział, co zamierzam powiedzieć.

Musnął palcem wąsiki, bardzo dbał o ich wygląd.

- Słyszałem, że on się w czasie okupacji bardzo pięknie zachował.
- Bzdury. Paktował ze szkopami. I osobiście zorganizował egzekucję osiemdziesięciu wieśniaków. Tyle że namówił swoich germańskich przyjaciół, żeby też go ustawili pod murkiem. Rozumie pan? Żeby mógł potem strugać bohatera.

- Przecież został ciężko ranny.

Mitford wypuścił nosem dym, okazując pogardę dla mojej naiwności. – Nie, stary, z niemieckich egzekucji nie wychodziło się żywym. Po prostu temu pasibrzuchowi udało się wystrychnąć wszystkich na dudka. Zachował się jak zdrajca, a zdobył laury bohatera. I w dodatku sfalszował rzekomo niemieckie sprawozdanie z tego wydarzenia. Jeden z najbardziej udanych wojennych szwindli.

Spojrzałem na niego ostro. Nabrałem nowych podejrzeń. W labiryncie pojawiła się jeszcze jedna ścieżka.

- I nikt na to nie wpadł?

Mitford potarł kciukiem o wskazujący palec: klasyczny grecki gest oznaczający przekupstwo.

- Wciąż mi pan nie wytłumaczył, o co chodziło z tą poczekalnią.
- Tak nazwał swoją willę. Bo ja wiem, na co czekał? Może na śmierć. Przybił do drzewa tabliczkę z napisem w języku żabojadów. *Salle d'attente*.

- A co między wami zaszło?

- Nic.

– Ejże – uśmiechnąłem się zapraszająco. – Teraz, kiedy znam wyspę, bardzo mnie to ciekawi.

Przypomniałem sobie, jak kiedyś, będąc jeszcze małym chłopcem siedziałem na wierzbie nad potokiem w Hampshire i przyglądałem się ojcu próbującemu złowić pstrąga. Zarzucił wędkę, sucha muszka usiadła na wodzie leciutko jak puszek ostu.

Widziałem pstrąga, którego ojciec starał się skusić. I pamiętam moment, kiedy ryba podpłynęła pod powierzchnię wody i wahająco krążyła wokół przynęty, moment ten zdawał się trwać wiecznie, bo serce przystanęło mi z podniecenia, nagle pstrąg uderzył ogonem, a ojciec błyskawicznie wyciągnął wędkę.

— Nie ma co opowiadać, stary. Słowo daję.

— No, wie pan. Co tam zaszło?

— Bzdurna historia. — Ryba chwyciła przynętę. — Poszedłem kiedyś na spacer. W maju, a może był to już czerwiec, nie pamiętam. Miałem po uszy szkoły. Wybrałem się na Moutse popływać, potem poszedłem między drzewami w stronę willi, zna pan tę drogę, i nagle zobaczyłem dwie dziewczyny. Prawie nagie. Szybki refleks. Podeszedłem do nich, elegancja, szarmancja i powiedziałem coś po grecku, a tu one, żebym tak zdrów był, zasuważą po angielsku. Były to Angielki. Boskie. Bliźniaczki.

— O Boże. Napije się pan jeszcze ginu?

Czekając przy barze, żeby mi podano drinki, zobaczyłem swe odbicie w lustrze i mrugnąłem porozumiewawczo sam do siebie.

— *Sygeia*. Może pan sobie wyobrazić, że nie zasypiałem gruszek w popiele. Ruszyłem do ataku. Dowiedziałem się, że są chrzestnymi córkami tego faceta z willi. Dziewczyny z najlepszych sfer, ukończyły szkołę w Szwajcarii. Sam cymes. Powiedziały, że przyjechały tu na wakacje, że starszy pan na pewno chętnie mnie pozna, zaprosiły na herbatę... No i poszliśmy. Poznałem tego starego. Podano herbatę.

Tak samo jak w zeszłym roku wyciągał szyję, jakby go uciskał kołnierzyk, w ten sposób pozował na człowieka światowego.

— Ten, jak on się nazywa? mówił po angielsku?

— Wspaniale. Całe życie podróżował po Europie, obracał się w najlepszych towarzystwach. Jedna z bliźniaczek była sztuczna i sentymentalna. Nie mój typ. Za to ta druga. Starszy pan i ta smutna bliźniaczka po herbacie znikli, a ta druga, było jej na imię June, oprowadziła mnie po posiadłości.

— Nieźle się zaczęło.

— Nie doszło do żadnych figli-migli, ale czułem, że nie byłaby od tego. Wie pan, jak tam jest na tej wyspie. Człowiek cały naładowany, a zwierzyny brak.

— Tak.

Przesunął ręką po włosach. — No tak. Odmaszerowałem do szkoły. Czułe pożegnanie. Zaproszenie na kolację podczas następnego weekendu. Minał tydzień. Stawilem się w odświętnych szatach. I miałem z sobą, co trzeba. Wypiliśmy,

dziewczyny wyglądały szalowo. No i... — zrobił znaczącą pauzę — ta druga dziewczyna, nie June, dostała kota!

— Chryste Panie!

— Już w poprzednim tygodniu ją przejrzałem. Jedna z tych cholernych intelektualistek. Udają twarde, a po paru ginach tracą głowę. No i w czasie kolacji rozpętała się dzika awantura. Bardzo nieprzyjemnie. Musiałem się tej Julie nie spodobać. Z początku nie zwróciłem na to uwagi. Myślałem, że się zwyczajnie wstawiła. Ale zaczęła się ze mnie wyśmiewać w zupełnie idiotyczny sposób.

— Jak?

— Zaczęła parodiować mój głos. Mój sposób mówienia. Trzeba przyznać zřęcznie. Ale było to cholernie obraźliwe.

— Co mówiła?

— Och, te wszystkie modne bzdury na temat bomby. Pacyfistka! Zna pan ten typ. Ale to nie ze mną.

— A tamci?

— Siedzieli bez słowa. Pewnie się czuli zakłopotani. No i nagle zaczęła krzyżeć i mnie lżyć. Straciła panowanie nad sobą. Zrobiło się piekło. June zerwała się i podbiegła do niej. Starszy pan wymachiwał rękami jak ranna wrona. No i ta cała Julie wybiegła. Za nią jej siostra. Zostałem sam z tym starym. Zaczął coś truć, że to sieroty.. Takie tam bzdury. Pewnie, żeby ją usprawiedliwić.

— Na czym polegały jej obelgi?

— Żebym to ja pamiętał. Dziewczyna była zalana w trupa — poszukał w pamięci — a tak, wymyślała mi od hitlerowców.

— Hitlerowców!

— Bo między innymi awantura poszła o Mosleya.

— Pan chyba nie jest...

— Jasne, że nie, stary — roześmiał się i spojrział na mnie spod oka. — Ale spójrzymy prawdzie w oczy; nie wszystko, co głosił Mosley, to głupoty. Bałagan to w tym kraju jest — wyciągnął szyję — przydałoby się trochę dyscypliny. Duma narodowa...

— No tak, ale Mosley?

— Stary, niech mnie pan dobrze zrozumie. Przecież, u diabła, brałem udział w tej wojnie. Tylko... no, weźmy na przykład Hiszpanię. Niech pan zobaczy, ile Franco zrobił dla Hiszpanii.



— O ile wiem, to głównie budował kazamaty.

— Był pan w Hiszpanii?

— Nie.

— Na pana miejscu nie zabierałbym na ten temat głosu. Policzyłem w myśli do pięciu.

— Przepraszam. Nie chciałem panu przerwać.

— Tak się zdarzyło, że wpadły mi kiedyś do ręki książki Mosleya i wiele rzeczy brzmi całkiem sensownie.

— Rozumiem.

Zrobił taką minę, jakby czyścił swoje nastroszone piórka dziobem.

— Moja bliźniaczka wróciła, stary zostawił nas samych i była słodka. Ja odgrywałem skrzywdzoną ofiarę, dałem do zrozumienia, że dobrze by mi zrobił na morale maleńki spacer przy księżycu. A wtedy ona: spacer? A może byśmy popływali? I słowo daję, stary, gdyby ją pan słyszał, też byłby pan pewny, że się na pływaniu nie skończy. Umówiliśmy się o północy, przy bramie. W porządku, o jedenastej powiedzieliśmy sobie dobranoc i siedziałem czekając na godzinę zero. Bez kłopotów wymknąłem się z domu. Podszedłem pod bramę. Zjawiała się po pięciu minutach. I, stary, niejedno przeżyłem, ale ta dziewczyna to była bomba. Już myślałem, że z pływania nici. A ona mówi, że chciałaby się odświeżyć.

— Chwała Bogu, że mi pan tego nie opowiedział przed moim wyjazdem. Nie przeżyłbym rozczarowania.

Uśmiechnął się protekcjonalnie. — Zeszliśmy na brzeg. I ona mówi: nie mam kostiumu, idź pierwszy. Pomyślałem sobie: cóż, wstydliva, a może chce się przygotować. Dobra. Ona schowała się między drzewa, a Charley zrobił to, co mu kazano, rozebrał się, wypłynął w morze, czeka dwie minuty, trzy, cztery, mija dziesięć minut, zaczyna mu być zimno. A dziewczyny nie ma.

— I nie ma ubrania.

— Trafił pan w dziesiątkę. Stoję golusieńki jak mnie Pan Bóg stworzył i wołam tę June. — Roześmiałem się, ale on się tylko skrzywił. — No tak. Pyszny dowcip. Wreszcie to do mnie dotarło. Może pan sobie wyobrazić, jaki byłem wściekły. Czekałem pół godziny. Wszędzie jej szukałem. Nic z tego. Wróciłem do domu. Poraniłem sobie nogi. Zerwałem gałąź pinii, żeby w razie czego przysłonić goliznę.

— Co za nieprawdopodobna historia!

Wiedziałem, że oczekuje, bym podzielił jego oburzenie, ale z trudem powstrzymałem śmiech.

— Podchodzę do domu i jak pan myśli, co tam widzę? Przed drzwiami wisi człowiek.

— Pan żartuje.

— O nie. To oni sobie zażartowali. Okazało się, że to manekin. Taki jak manekin do ćwiczeń z bagnetami. Wypchany słomą. Pętla na szyi. W moim ubraniu. I z twarzą Hitlera.

— Wielki Boże, co pan zrobił?

— Co mogłem zrobić? Ściągnąłem to paskudztwo i zdjąłem moje ubranie.

— I co potem?

— Nic. Oni znikli. Dali nogę.

— Znikli?

— Odjechali motorówką. Słyszałem ją z Moutsy. Myślałem, że to jakiś rybak. Zostawili moją torbę. Nic nie zginęło. Co było robić, podrażowałem z powrotem do szkoły.

— Musiał pan być wściekły.

— Diabli mnie brali. Fakt.

— Ale odwdzieczył się pan za to?

Uśmiechnął się do siebie.

— Tak. Napisałem raportcik. Po, pierwsze o tej historii w czasie okupacji. I dodałem parę faktów o obecnych sympatiach politycznych naszego przyjaciela Conchisa. I wysłałem do odpowiednich władz.

— Napisał pan, że jest komunistą?

Od 1950 roku, do chwili zakończenia wojny domowej, komuniści w Grecji byli bezlitośnie ścigani.

— Znałem paru komunistów na Krecie. Napisałem, że zobaczyłem ich na Phraxos i poszedłem za nimi do willi Conchisa. To powinno im było wystarczyć. Teraz pan wie, dlaczego nie miał pan przyjemności go poznać.

Bawiłem się nóżką mego kieliszka myśląc, że wręcz przeciwnie, dzięki siedzącemu naprzeciw mnie bałwanowi „miałem przyjemność”. W poprzednim roku, jak to przyznała June, przeliczyli się i wycofali: lis był tak pozbawiony sprytu, że przerwali polowanie na samym początku. Jak to powiedział Conchis: mój udział w

maskaradzie został wywołany przypadkiem. No, ale ze mnie mieli dosyć uciechy. Uśmiechnąłem się do Mitforda.

— No to na koniec był pan górą.

— Mam ten zwyczaj, stary. Nie do twarzy mi z przegraną.

— Ale po co im to wszystko było? Rozumiem, pan im się nie spodobał... ale przecież mogli pana w ogóle nie zapraszać.

— Te wszystkie bzdury, że dziewczyny są chrześniaczkami starego. Głodne kawałki. To były kurwy klasy ekstra. Słownictwo Julie nie zostawiało najmniejszej wątpliwości. A patrzyły na mnie, no, mało powiedzieć, prowokująco... Człowiek nad Morzem Śródziemnym często się na coś takiego natyka. Szczególnie na wschodzie. Już się z tym przedtem zetknąłem.

— Chce pan powiedzieć...

— Mówiąc bez ogródek, stary, ten bogaty Conchis sam już pewnie nie był zdolny do tych rzeczy, ale nie był od tego, żeby sobie popatrzeć.

Znów mi to dało do myślenia, znów zagubiłem się w labiryncie ech. Czyżby on?

— Ale czy dawali coś takiego do zrozumienia?

— Dawali, dawali. Tylko, że dopiero potem na to wpadłem.

Przyniósł następne dwa giny.

— Mógł mnie pan ostrzec.

— Ostrzegłem.

— No, niezbyt wyraźnie.

— Wie pan, co Xan, Xan Fielding, robił, jak na Levka Ore zrzucano naszych skoczków? Kazał im się od razu zabierać do roboty. Żadnych kazań, żadnych ostrzeżeń. Mówił tylko: „Dobrze wytrzeszczajcie oczy.” Rozumie pan?

Mitford mierzył mnie, bo był ordynarny i nikczemny, ale jeszcze bardziej dlatego, że widziałem w nim karykaturalne odbicie pewnych moich cech. Podejrzewałem przez chwilę, że i on został podstawiony, że jest to jeszcze jedna próba albo nauczka, było w tym człowieku jednak coś tak niewypowiedziane „nieprzemakalne”, iż nie mogłem uwierzyć w aż tak świetne aktorstwo. Pomyślałem o Lily de Seitas: musiała na mnie patrzeć tak jak ja na Mitforda. Widzieć we mnie barbarzyńcę.

Wyszliśmy z Mandrake na chodnik.

— W przyszłym miesiącu jadę do Grecji — powiedział Mitford.

— Tak?

— Moja firma organizuje tam na przyszły rok wycieczki.

— Och nie...

— Dobrze to tym Grekom zrobi. Będzie ruch.

Spojrzałem na zatłoczoną ulicę Soho. — Mam nadzieję, że Zeus razi pana gromem w chwili, gdy stanie pan na greckiej ziemi.

Potraktował to jako dowcip.

— To stulecie prostego człowieka, stary. Przyszedł czas na zwykłych ludzi.

Wyciągnął rękę. Dałbym wiele, żeby znać chwyt, którym mógłbym przerzucić go sobie przez ramię. Zobaczyłem oddalające się granatowe plecy, szedł w kierunku Shaftes-bury Avenue, wieczny zwycięzca w wojnie, w której zwyciężają przegrani.

W wiele lat później odkryłem przypadkiem, że owego dnia rzeczywiście odgrywał rolę, acz inną, niż się obawiałem. Zobaczyłem jego nazwisko w gazecie. Został aresztowany w Torquay, wystawiał czeki bez pokrycia. Nie po raz pierwszy, grasował po całej Anglii jako kapitan Alexander Mitford D.S.O., M.C.\*

— Tymczasem fakty mówią — stwierdził prokurator — że choć oskarżony po klęsce niemieckiej przybył z angielskimi oddziałami do Grecji, nie brał przedtem żadnego udziału w greckim ruchu oporu. — A dalej: — Wkrótce po zdemobilizowaniu Mitford wrócił do Grecji, gdzie na podstawie sfałszowanych certyfikatów uzyskał stanowisko nauczyciela, które wkrótce utracił.

Tego dnia pod wieczór zadzwoniłem do Much Hadham. Długo trwało, nim ktoś odebrał telefon. Usłyszałem głos Lily de Seitas. Była zdyszana.

— Dinsford House.

— Mówi Nicholas Urfe.

— O, hallo — powiedziała obojętnym tonem. — Przepraszam, że musiał pan długo czekać. Byłam w ogrodzie.

— Chciałbym się z panią zobaczyć.

Krótką pauza. — Nie mam żadnych wiadomości.

— Mimo to chciałbym się z panią zobaczyć.

Milczenie, czułem, że się uśmiecha.

— Kiedy?

## 74

Następnego dnia rano nie było mnie w domu. Kiedy koło drugiej wróciłem, znalazłem kartkę, którą Kemp wsunęła mi pod drzwi. „Był u ciebie jakiś Jankes. Mówił, że ma pilną sprawę. Wróci o czwartej.” Zszedłem na dół do Kemp. Nakładała kciukiem wielkie zielone robaki na zapaćkaną już umbrą mroczną czerni. Nie lubiła, żeby jej przeszkadzać, gdy „tworzy”.

— Kto to był?

— Mówił, że się musi z tobą zobaczyć.

— Po co?

— Jedzie do Grecji. — Odsunęła się od sztalug i z ogryzkiem w ustach kontemplowała to swoje чудо. — Na twoją poprzednią posadę czy coś w tym guście.

— Skąd się dowiedział, gdzie ja mieszkam?

— A bo ja wiem.

Wpatrzyłem się w kartkę. — Jak wyglądał? — Chryste Panie, nie możesz paru godzin poczekać! — odwróciła się ode mnie. — Zjeżdżaj stąd!

Przyszedł za pięć czwarta, wysoki, chudy mężczyzna z ostrzyżonymi po amerykańsku włosami. Nosił okulary, był ode mnie rok lub dwa młodszy, miał przyjemną twarz, przyjemny uśmiech, wyglądał zdrowo. Wyciągnął do mnie rękę.

— Jestem John Briggs.

— Hej.

— Pan Nicholas Urfe? Czy dobrze wymawiam pańskie nazwisko? Ta pani...

Zaprosiłem go, by wszedł. — Nie jest tu zbyt elegancko, ale...

— Ależ bardzo tu miło — rozejrzał się w poszukiwaniu odpowiedniejszego słowa. — Ta atmosfera. — Zaczęliśmy się wdrapywać po schodach.

— Nie spodziewałem się, że Amerykanin...

— Cóż. To pewnie ze względu na sytuację na Cyprze.

— Aha.

---

\* Distinguished Service Order, Military Cross — angielskie odznaczenia wojskowe.

— Przez ostatni rok studiowałem na londyńskim uniwersytecie. I przez cały czas zastanawiałem się, co zrobić, żeby przed powrotem do domu pojechać do Grecji. Nie ma pan pojęcia, jaki jestem szczęśliwy. — Zatrzymaliśmy się na podeście. Przez uchylone drzwi zobaczyłem dziewczyny schylone nad maszynami do szycia. Dwie zagwizdały. Pomachał im ręką. — Jak tu miło. Przypomina mi się Thomas Hood.

— Skąd pan się dowiedział o tej posiadzie?

— Z „Dodatku Oświatowego Timesa”. — Wypowiedział to pytającym tonem, jakby pierwszy raz słyszał o tej popularnej angielskiej instytucji.

Weszliśmy do mojego mieszkania. Zamknąłem drzwi.

— Sądziłem, że British Council przestało się zajmować szukaniem kandydatów.

— Naprawdę? Pewnie komitet szkolny uważał, że skoro pan Conchis i tak tu jest, to może sam wybrać nauczyciela. — Wszedł do pokoju i wyjrzał przez okno na ponurą starą Charlotte Street. — Wspaniały widok. Wie pan, uwielbiam to miasto. — Wskazałem mu najmniej wysmarowany fotel.

— To... pan Conchis dał panu mój adres.

— Jasne. A nie powinien?

— Ależ wszystko w porządku. — Przysiadłem na parapecie okna. — Czy mówił panu coś o mnie?

Podniósł rękę, jakby pragnąc mnie uspokoić. — Cóż, tak, on... wiem, że... to znaczy ostrzegł mnie, że powinienem się strzec intryg. O ile zrozumiałem, miał pan pecha... — zrezygnował z dalszych tłumaczeń. — Żal panu?

Wzruszyłem ramionami: — Grecja jest Grecją.

— Założę się, że już zacierają ręce, że wpadł im w łapy prawdziwy żywy Amerykanin.

— Bardzo prawdopodobne. — Potrząsnął głową, jakby sama myśl o tym, że ktoś mógłby wciągnąć prawdziwego żywego Amerykanina w jakieś tam lewentyńskie szkolne intrygi, była wręcz śmieszna. Spytałem: — Kiedy widział pan pana Conchisa?

— Kiedy tu był. Trzy tygodnie temu. Skontaktowałem się z panem wcześniej, ale on zgubił adres. Obiecał przysłać mi z Grecji i dziś rano go dostałem.

— Dopiero dziś rano?

— Tak. Przyszedł telegram... Też się zdziwiłem. Myślałem, że zapomniał. Czy pan... zna go pan dobrze?

— Cóż... parę razy go spotkałem. Nie wiedziałem, że jest w zarządzie szkoły.

— Z tego, co mi mówił, oficjalnie nie należy do zarządu. Ale im pomaga. Wspaniale mówi po angielsku, co?

—Tak.

Przyglądaliśmy się sobie nawzajem. Miał bezpośredni sposób bycia, który jednak robił wrażenie wyuczonego z książek typu *Jak zdobyć przyjaciół*. Czuło się, że jego życie biegło gładko, nie mniej jego entuzjazm, śmiałość, energia były dość ujmujące i nie dało się ich skwitować zwykłą zawiścią.

Przeanalizowałem sytuację. Trudno było przypuścić, iż przypadkiem pojawił się u mnie nazajutrz po moim telefonie do Much Hadham; przemawiało to niemal za jego niewinnością. Za to pani de Seitas mogła z mego telefonu wywnioskować, że moje nastawienie uległo zmianie, więc należało to sprawdzić. To, że Briggs wspomniał o telegramie, dowodziło nieświadomości ich machinacji i choć wedle tego, co mi mówiono, obiekt eksperymentu był dotychczas dziełem przypadku, mógł zaistnieć jakiś nowy powód, może nawet w wyniku czegoś, co zdarzyło się tego lata, i Conchis zdecydował się osobiście wybrać następnego królika doświadczalnego. Patrząc na naiwnego, pełnego powagi Briggsa czułem pewnie to samo, co wobec mnie czuł Mitford: złośliwe rozbawienie, do którego w moim wypadku dołączyła się radość Europejczyka, że prostackiej Ameryce znów się dostanie, choć równocześnie, mimo że nigdy bym się do tego Conchisowi ani Lily de Seitas nie przyznał, naprawdę nie chciałem popsuć Briggsowi oczekujących go przeżyć.

Musieli się liczyć z tym (jeżeli rzeczywiście Briggs nie był z nimi związany), że mu wszystko opowiem, wiedzieli jednak, że ja zdaję sobie sprawę, ile by mnie to kosztowało. Oznaczałoby to, że niczego nie zaakceptowałem, zatem nic mi się nie należy. Wiedziałem, że zdecydowali się na duże ryzyko, czułem się rozdarty między pokusą ukarania ich, a podziwem dla ich odwagi. Znów stałem z biczem w rękę, niezdolny do uderzenia.

Briggs wyciągnął z teczki notes.

— Czy mogę zadać panu parę pytań? Przygotowałem sobie całą listę.

Zbieg okoliczności? Zachowywał się zupełnie tak samo jak ja przed paroma dniami w Dinsford House. Patrzył na mnie z wyczekującym uśmiechem.

— Proszę.

Był przerażająco dokładny. Metody nauczania, podręczniki, ubranie, klimat, możliwości uprawiania sportu, leki, które należy zabrać, co się jada, jak wygląda biblioteka, co należy w Grecji obejrzeć, jacy są inni nauczyciele — żądał informacji na

temat wszystkich możliwych aspektów życia na Phraxos. Wreszcie podniósł głowę znad obszernych notatek i wypił piwo, które mu nalałem.

— Wielkie dzięki. Cudownie. Teraz wiem już wszystko.

— Z wyjątkiem tego, jak się tam pan będzie czuł.

Skinął głową. — Pan Conchis ostrzegł mnie.

— Mówi pan po grecku?

— Trochę po łacinie, trochę po grecku.

— Szybko się pan nauczy.

— Już biorę lekcje.

— No i brak kobiet.

Znów skinął głową. — Przykre. Ale ja jestem zaręczony, więc... — Wyjął portfel, a z niego zdjęcie. Czarnowłosa dziewczyna uśmiechała się do mnie nieco wymuszonym uśmiechem. Miała za małe usta, wydało mi się, że w ich wyrazie widzę ślad rodzących się ambicji.

Oddałem zdjęcie. — Wygląda na Angielkę.

— Jest Walijką. Studiuje tu, w Londynie.

— Ach tak.

— Od razu pomyślałem, że na przyszłe lato będzie mogła przyjechać na Phraxos. Jeżeli mnie przedtem nie wywałą.

— Rozmawiał pan o tym z panem Conchisem?

— Tak. Bardzo się miło zachował. Zaproponował nawet, żeby zamieszkała w jego domu. Ciekaw jestem, w którym. Bo ma dwa.

— Chyba mówił coś o wsi — skrzywił się filuternie. — Oznajmił, że mi to każe odpracować.

— Tak?

— Chce, żebym mu pomógł w tych jego... — zrobił ruch oznaczający: sam pan wie.

— W jego?

— To pan nie... — musiał zorientować się, że rzeczywiście nie. — No, tak... !

— Na Boga, może mi pan przecież powiedzieć.

Zawahał się. — Bo on... mówił coś, że pragnie, aby to pozostało tajemnicą. Myślałem, że pan o tym słyszał, ale skoro rzadko go pan widywał... chodzi o te sensacyjne odkrycia w jego posiadłości.

— Odkrycia?



— Zna pan jego dom? Z drugiej strony wyspy?

— Tak, wiem, że ma tam dom.

— Podobno część nadmorskiej skały usunęła się tego lata i znalazł tam fundamenty, które jak przypuszcza są fundamentami mykeńskiego pałacu.

— Tego mu się nie uda ukryć.

— Jasne. Ale sądzi, że może to jakiś czas utrzymać w tajemnicy. Przykrył to piachem. I wiosną chce się zabrać do kopania. Nie chciałby, żeby się ludzie zwiedzieli i zaczęli tam już teraz chodzić.

— Jasna sprawa.

— Więc nie sądzę, żebym się tam miał nudzić.

Zobaczyłem Lily w stroju bogini-węża z Knossos, potem jako Elektrę, jako Klitemnestrę: doktor Vanessa Maxwell, zdolny młody archeolog.

— Tak, na to nie wygląda.

Wychylił do dna piwo i spojrział na zegarek.

— Jezu, muszę lecieć. Umówiłem się na piątą z Amandą. — Uścisnął mi dłoń. — Nie wiem, jak panu dziękować. Napiszę i dam panu znać, co tam słyhać.

— Proszę nie zapomnieć. Bardzo będę ciekaw.

Zszedłem za nim po schodach, obserwując jego ostrzyżoną na języka głowę. Zacząłem się domyślać, dlaczego Conchis go wybrał. Gdyby wziąć milion amerykańskich absolwentów i poddać procesowi destylacji, w rezultacie pojawiłby się właśnie Briggs. Nie cieszyła mnie myśl, że ci i tak już wszechobecni Amerykanie wkroczą w najintymniejsze sprawy Europy. Ale nie mogłem nie przyznać, że jego nazwisko brzmi znacznie bardziej z angielska niż moje własne. A zresztą i tak był już Joe i ta pani prokurator, doktor Marcus...

Wyszliśmy przed dom.

— Jakież ostatnie zalecenia?

— Nie, nic mi nie przychodzi do głowy. Życzę panu wszystkiego najlepszego.

— Dziękuję.

Jeszcze raz uścisnęliśmy sobie ręce.

— Będzie miał pan udany pobyt.

— Tak pan sądzi?

— Choć wiele rzeczy pana zadziwi.

— O tak, na pewno. Jestem na to przygotowany. W dużej mierze dzięki panu.

Uśmiechnąłem się przeciągle; chciałem, żeby zapamiętał, iż jest to uśmiech znaczący. Podniósł rękę pożegnalnym gestem i ruszył. Po paru krokach spojrzął na zegarek i zaczął biec, a ja zapaliłem w myślach świeczkę Leverrierowi.

## 75

Spóźniła się o pięć minut, szła szybko z uprzejmie przeproszającym wyrazem twarzy zmierzając prosto do kontuaru z pocztówkami, przy którym stałem.

— Strasznie przepraszam. Taksówka strasznie się wlokła.

Uścisnąłem wyciągniętą dłoń. Jak na kobietę liczącą pół wieku była uderzająco przystojna i tak ubrana, że większość zwiedzających Muzeum Wiktorii i Alberta wyglądało jeszcze bardziej szaro. Wbrew konwenansom nie nosiła kapelusza, miała na sobie chanelowski kostiumik, którego biel podkreślała jej opaleniznę i błękit oczu.

— Idiotyczny wybór miejsca. Bardzo ma mi pan to za złe?

— Ależ skąd.

— Niedawno kupiłam osiemnastowieczny talerz. Tu są wspaniali eksperci. Długo to nie potrwa.

Znała świetnie muzeum, zaprowadziła mnie do windy. Musieliśmy poczekać. Uśmiechnęła się do mnie, takim rodzinnym uśmiechem, będącym, jak podejrzewałem, prośbą o to, czego jeszcze wcale nie byłem gotów dać. Naszykowałem sobie kilka przemówionek, które powinny mi pozwolić uzyskać jej aprobatę i nie stracić godności, ale wszystkie wydały mi się nie na miejscu, gdy zobaczywszy ją zrozumiałem, że jej dzień jest wypełniony i z trudem znalazła dla mnie czas.

Oznajmiłem: — Widziałem się we wtorek z Johnem Briggsem.

— Ach tak? Ja go jeszcze nie znam. — Powiedziała takim tonem, jakby była mowa o nowym wikarym. Nadszedła winda i weszliśmy do środka.

— Powiedziałem mu wszystko, co wiedziałem o Bourani i o tym, czego może oczekiwać.

— Liczyliśmy na to. Dlatego przysłaliśmy go do pana.

Uśmiechnęliśmy się do siebie, nastąpiło krępujące milczenie.

— Przecież mogłem powiedzieć.

— Tak. — Winda zatrzymała się. Weszliśmy do galerii ze starymi meblami. — Tak. Mógł pan.

- Czy to była próba?
- Nie, próba była zbędna.
- Jesteście bardzo pewni siebie.

Spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami tak jak wówczas, kiedy wręczała mi list Nevinsona. Na końcu galerii były drzwi z tabliczką: „Dział Porcelany”. Nacisnęła dzwonek.

- Zdaje mi się, że zaczęliśmy od niewłaściwego końca — zauważyłem.
- Tak. Za chwilę zaczniemy od nowa. Zaczeka pan?

Drzwi otworzyły się i weszła. Wszystko działo się zbyt prędko, nie mogłem się skupić. Ale wchodząc spojrzała na mnie przeprasząco i błagalnie, jakby się bała, że ucieknę.

Wróciła po dwóch minutach.

- Udało się?
- Owszem, tak jak przypuszczałam, jest to Bow.
- Zatem nie we wszystkim ufa pani swojej intuicji. Spojrzała na mnie z rozbawieniem. — Gdyby istniał tu Dział Młodych Ludzi, to może...

- Ustawiłaby mnie pani potem na półeczce z odpowiednią etykietką?

Znów się uśmiechnęła i spojrzała przez moje ramię na hall. — Nie przepadam za muzeami. Szczególnie za takimi jak to, które rozkoszują się dawnymi obyczajami. — Ruszyła z miejsca. — Powiedzieli mi, że mają tu podobny talerz.

Weszliśmy do długiej pustej galerii z porcelaną. Zacząłem podejrzewać, że scena ta została wyreżyserowana, bo pewnym krokiem podeszła do jednej z gablotek. Wyjęła z koszyka talerz i trzymając go w ręku porównała z niemal identycznym białoniebieskim talerzem wystawionym za szkłem. Podeszedłem do niej.

- To ten.

Jeszcze przez chwilę porównywała, potem zawinęła swój talerz w bibułkę i zaskoczyła mnie, wręczając mi go.

- To dla pana.
- Ależ...

— Bardzo proszę — spokojnie wytrzymała mój oburzony wzrok. — Kupiłam go z Alison. — Poprawiła się: — Alison była ze mną, kiedy go kupowałam.

Miękkim, ale energicznym ruchem wsunęła mi go do rąk. Z zakłopotaniem odwinąłem talerz i wpatrzyłem się w naiwnie narysowanego Chińczyka, jego żonę,

dwoje dzieci. Sam nie wiem, czemu przyszła mi na myśl tamta noc, wieśniacy podróżujący na pokładzie, wzburzone morze, wiatr.

— Powinien się pan nauczyć obchodzić z kruchymi przedmiotami. Także z tymi, które są znacznie wartościowsze od starych talerzy.

Wciąż patrzyłem na granatowe postacie.

— Właśnie dlatego chciałem się z panią zobaczyć. Nasze oczy spotkały się i po raz pierwszy nie czułem się tak, jakby jej wzrok próbował mnie oszacować.

— Pójdziemy na herbatę?

— Więc dlaczego właściwie chciał się pan ze mną spotkać? — spytała.

— Alison.

— Powiedziałaś już panu — podniosła imbryczek. — To zależy tylko od niej.

— I od pani.

— Nie. Nawet w najmniejszym stopniu nie zależy ode mnie.

— Czy ona jest w Londynie?

— Obiecałam jej, że nie powiem panu, gdzie jest.

— Proszę pani, uważam... — ale przełknąłem to, co chciałem powiedzieć. Obserwowałem, jak nalewa mi herbatę; nie, nie chciała mi pomóc w rozmowie. — Czegóż ona ode mnie chce? Co mam zrobić?

— Czy ta herbata nie jest zbyt mocna? — Niecierpliwie potrząsnąłem głową biorąc podaną mi filiżankę. Nalała mleka do własnej, wskazała mi dzbanuszek. Uśmiechnęła się. — Nigdy nie zniechęca mnie czyjś gniew.

Miałem ochotę ostro odpowiedzieć, tak jak przed tygodniem miałem ochotę strącić z ramienia jej rękę, ale wiedziałem, że pod tą pozorną protekcjonalnością kryje się po prostu jakże autentyczne stwierdzenie, że nasze postawy wobec życia są diametralnie różne. W jej zachowaniu było coś matczynego, jakby chciała mi przypomnieć, że buntując się przeciw jej sądowi, buntuję się przeciwko własnej niedojrzałości, a buntując się przeciwko jej ogłądzie zdradzam mój własny brak *savoir-vivre'u*. Spuściłem oczy.

— Chodzi tylko o to, że już nie jestem w stanie dłużej czekać.

— W takim razie wyjdzie jej to tylko na korzyść, jeśli zniknie pan z jej życia.

Zacząłem pić herbatę. Ona spokojnie smarowała swój *toast* miodem.

— Mam na imię Nicholas. — Na chwilę znieruchomiała i znów zaczęła smarować *toast*. — Czy uzna to pani za wystarczające przeprosiny.

— Jeśli są szczerze.

— Równie szczerze jak pani oferta pomocy.

— Był pan w Somerset House?

— Tak.

Odłożyła nóż i spojrzała na mnie.

— Radzę panu czekać tak długo, jak zechce Alison. Nie przypuszczam, żeby się to miało zbyt długo przeciągnąć. Ale ja nie mogę jej panu przyprowadzić. Teraz wszystko zależy od was dwojga. Mam szczerą nadzieję, że ona panu wybaczy. Nie wolno panu jednak na to liczyć. Musi pan ją z powrotem zdobyć.

— To dotyczy obydwu stron.

— Być może. Tylko wy dwoje macie coś na ten temat do powiedzenia. — Chwilę przyglądała się trzymanemu w rękę trójkącikowi *toastu* i podniosła z uśmiechem oczy. — Koniec zabawy w boga.

— Czego?

— Zabawy w boga. Boga nie ma i nie była to zabawa.

Zacząła jeść *toast*, a ja przyglądałem się tej tłocznej, banalnej herbaciarni. Dyskretny szcęk kładzionych na talerzykach łyżeczek, szmer kulturalnych głosów, dźwięki równie oklepane jak ćwierkanie wróbli.

— Tak to nazwaliście?

— Tak, taki rodzaj kryptonimu.

— Gdybym miał odrobinę dumy, powinienem wstać i wyjść.

— Liczę na pana w sprawie taksówki. Muszę zaopatrzyć dziś Benjiego w przybory szkolne.

— Demeter w domu towarowym?

— Hm. Myślę, żeby jej się tam spodobało. Nawet płaszcze gabardynowe i pantofle gimnastyczne.

— A podobają jej się pytania?

— Zależy jakie?

— Czy dowiem się kiedykolwiek, co wy robicie?

— Wielokrotnie to panu mówiliśmy.

— Kłamstwo po kłamstwie.

— Może to właśnie jest nasz sposób mówienia prawdy. — I jakby wiedziała, że zbyt często się uśmiecha, spuściła oczy i szybko dodała. — Maurice powiedział mi kiedyś, gdy zadałam mu podobne pytanie, że każda odpowiedź jest zawsze formą śmierci.

Wyraz jej twarzy uległ zmianie, przestała być nieprzejednana, stała się w jakiś sposób nieprzenikniona.

— A ja uważam pytania za formę życia.

Nie odpowiedziała, choć na chwilę umilkłem.

— Przyznaję. Zachowałem się wobec Alison podle. Jestem łajdakiem, bydlęciem, może to pani nazwać, jak pani chce. Ale po co montować aż tak gigantyczną imprezę, żeby udowodnić jednemu nieszczęsnemu bankrutowi moralnemu, kim jest.

— Czy nigdy nie zastanawiał się pan, dlaczego ewolucja wytworzyła tyle różnych gatunków i rodzajów? Czy to także wydaje się panu zbędną imprezą?

— To już słyszałem od Maurice'a. Rozumiem, o co pani chodzi w sensie metafizycznym, jednak...

— Chciałabym się upewnić, że pan zrozumiał. Proszę mi powiedzieć.

— Że istnieje pewna celowość w tym, że nie wszyscy jesteśmy doskonali, nie wszyscy jednakowi.

— A jaki miałby być tego cel?

Wzruszyłem ramionami. — Daje to takim jak ja bęćwałom możliwość leciutkiego udoskonalenia się.

— Czy zdawał pan sobie z tego sprawę przed latem?

— Wiedziałem, że daleko mi do doskonałości.

— A starał się pan choć odrobinę zmienić?

— Nie bardzo. Nie, właściwie to nie.

— Dlaczego?

— Bo to... — wciągnąłem głęboko powietrze i spuściłem wzrok. — Nie, nie chcę się usprawiedliwiać.

— I nadal nie chce pan zaakceptować siebie takim, jakim mógłby się pan stać?

— Nie chodzi mi o nauzkę. Chodzi mi o sposób, w jaki została udzielona.

Zawahała się, znów poczułem na sobie ten jej szacujący wzrok. Ale jej głos zabrzmiał już nie tak stanowczo.

— Wiem, Nicholas, że podczas tej parodii procesu usłyszał pan o sobie parę przykrych opinii. Ale to pan był sędzią. I gdyby te opinie stanowiły całą prawdę o panu, wyrok wydany przez pana brzmiałby inaczej. Wszyscy o tym wiemy. A przede wszystkim moje córki.

— Dlaczego ona pozwoliła mi się z sobą przespać?

— To była jej własna decyzja. Tak chciała.

— To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

— A więc chyba po to, by pana nauczyć, że fizyczna rozkosz i moralna odpowiedzialność to dwie zupełnie inne rzeczy. — Przypomniałem sobie ostatnie słowa Lily w łóżku i pomyślałem, że i ja także mam swój mały sekret. Ta noc była czymś bardziej złożonym, nie była to tylko z góry zaplanowana nauczka, a w każdym razie była nauczka nie tylko dla mnie. Matka Lily ciągnęła: — Nicholas, kiedy ktoś próbuje, choćby częściowo, odtworzyć sztucznie tę tajemniczą celowość rządzącą naszym życiem, musi wykroczyć poza konwencje wymyślone przez ludzi po to, żeby tę celowość odwrócić. Nie oznacza to, byśmy uważali, że w normalnym życiu należy tych konwencji nie przestrzegać. Bynajmniej. Są one fikcją, jednak fikcją pożyteczną. Ale w zabawie w boga wychodzimy z założenia, że w rzeczywistości wszystko jest fikcją, żadna fikcja nie jest niezbędna. — Uśmiechnęła się. — No, zapuściłam się na głębokie wody, a tak sobie obiecywałam, że nie dam się na to wyciągnąć.

Odpowiedziałem jej uśmiechem. — Nie rozumiem jednak, dlaczego. Chodzi mi o to, czemu wybrano właśnie mnie.

— Życie polega na przypadku. Maurice twierdzi, że obecnie nie podlega to już dyskusji. Dowiodła tego fizyka atomowa. Choć oczywiście wszyscy ludzimy się, że jest inaczej.

— Ale na przyszły rok zdecydowaliście dopomóc przypadkowi?

— W niewielkim stopniu. Któż może przewidzieć, jak ten człowiek zareaguje?

— Co by się stało, gdybym sprowadził Alison na wyspę? W którymś momencie padła przecież taka propozycja.

— Mogę cię zapewnić o jednym. Maurice od razu zorientowałby się, że jej uczuciowej uczciwości nie ma powodu wypróbować.

Spuściłem oczy. — Czy ona wie o...?

— Rozumie, o co nam chodziło. Nie, szczegółów nie zna.

— Czy od razu się zgodziła?

— W każdym razie na koniec się zgodziła, a przynajmniej zgodziła się na upozorowanie samobójstwa, pod warunkiem że wkrótce dowiesz się prawdy.

Chwilę umyślnie milczałem.

— Czy powiedziała jej pani, że chcę ją zobaczyć?

— Wie, jak się na to zapatruję.

— Że nie jestem wart, żeby o mnie jeszcze myślała?

— Tak uważam tylko wówczas, kiedy mówisz podobne rzeczy.

Rysowałem widelcem po obrusie, chcąc zrobić wrażenie opanowanego i nieprzekonanego.

— A pani, co pani przeżyła wtedy, tego pierwszego roku na wyspie?

— Nabrałam chęci pomagania Maurice'owi w przyszłości... Zaczęło się to pewnego weekendu, a właściwie pewnej długiej nocy spędzonej na rozmowie o poczuciu winy. Kiedy mój wuj zmarł, okazało się, że Bill i ja staliśmy się dość bogaci. I było to dla nas doświadczenie, które dziś nazwałoby się traumatycznym. Zaczęliśmy na ten temat dyskusje z Maurice'em. Podczas rozmowy dokonaliśmy wielkiego skoku. Wypełniliśmy wiele luk. Wydaje mi się — tobie chyba też? że w ten sposób dochodzi do wielkich nowych odkryć. Nagle. Ale całkowicie. I wówczas człowiek czuje się w obowiązku, żeby iść w tym kierunku jeszcze dalej.

— A ofiary tych odkryć?

— Nicholas, my nigdy nie jesteśmy pewni sukcesu. Poznałeś nasz sekret. I teraz jesteś czymś w rodzaju radioaktywnej substancji. Mamy nadzieję, że utrzymasz równowagę. Ale nie jesteśmy tego pewni. — Spuściła oczy. — Ktoś, kto... znajdował się kiedyś w podobnej sytuacji powiedział mi, że przypominam jezioro. Że ma ochotę rzucić w nie kamień. Proszę mi wierzyć, że nie jestem tak spokojna, jakby na to wyglądało.

— Uważam, że wspaniale pani sobie z tymi sytuacjami radzi.

— *Touchée*. — Skłoniła lekko głowę. Potem powiedziała. — W przyszłym tygodniu wyjeżdżam, jak zwykle jesienią, kiedy dzieci jadą do szkół. Nie oznacza to, że zamierzam się ukryć, po prostu zrobię to, co zawsze we wrześniu.

— Będzie pani z nim?

— Tak.

W powietrzu drżały przeprosiny, musiała wyczuć moją zazdrość i uznać ją za usprawiedliwioną, tak, moje podejrzania były prawdą, istniało nie przeczuwane przeze mnie dotąd bogactwo porozumienia związku dwojga ludzi.



Spojrzała na zegarek. — Strasznie mi przykro. Ale Gunhild i Benjie mają się ze mną spotkać na King's Cross. Szkoda tych pysznych ciasteczek.

Leżały nie tknięte, różnokolorowa odrażająca wspaniałość.

— Warto zapłacić za przyjemność niezjedzenia ich.

Potaknęła mi uśmiechem i zawołałem kelnerkę. Kiedy czekaliśmy na rachunek, powiedziała: — Jeszcze jedno. Maurice miał w ciągu ostatnich trzech lat dwa poważne ataki serca. I wcale nie jest takie pewne, że... że przyszły rok nadejdzie.

— Tak. Mówił mi.

— I nie uwierzyłeś?

— Nie.

— A mnie wierzysz?

Odpowiedziałem wymijająco: — Z tego, co mi pani opowiadała, wcale nie wynika, że jeśliby umarł, to nie nastąpiłby... przyszły rok.

Zdjęła rękawiczki. — Dlaczego to powiedziałeś?

Uśmiechnąłem się tak, jak przedtem ona uśmiechnęła się do mnie.

Chciała coś powiedzieć, ale wybrała milczenie. Przypomniałem sobie, co kiedyś pomyślałem o Lily: wypadła z roli. W oczach matki widziałem Lily; labirynt, przywileje, którymi się obdarowuje, przywileje, które się odrzuca. Rozejm.

W minutę później zśliśmy korytarzem w stronę wyjścia. Z przeciwnej strony zmierzało w naszym kierunku dwóch mężczyzn. Kiedy ich mijaliśmy, jeden z nich zatrzymał się, jakby mu nagle zabrakło tchu. Lily de Seitas zatrzymała się także; i ona była zaskoczona. Mężczyzna ubrany w granatowy garnitur i muszkę, miał grzywę przedwcześnie osiwiałych włosów, ruchliwe, wydatne usta, rumianą twarz. Pani de Seitas szybko powiedziała do mnie:

— Nicholas, bardzo cię przepraszam, czy mógłbyś sprowadzić mi taksówkę?

Twarz mężczyzny, który robił wrażenie kogoś wybitnego, stała się nagle twarzą chłopca. Udałem, że przepuszczam uprzejmie grupę ludzi śpieszących do herbaciarni i to pozwoliło mi przez chwilę zostać w pobliżu. On trzymał ją za rękę, a ona uśmiechała się, tym swoim dziwnym uśmiechem Ceres powracającej na jałową ziemię. Musiałem odejść, ale na końcu korytarza zatrzymałem się. Widziałem jego czuły wzrok, a ona wciąż uśmiechała się przyjmując hołd.

Nie było widać taksówek, czekałem stojąc na brzegu chodnika. Zastanawiałem się, czy ów człowiek nie jest tym kimś „dziś już sławnym”, ale nie rozpoznałem go. Zauważyłem tylko, że był nadal zafascynowany panią de Seitas. Patrzył na nią tak, jakby wszystkie jego ważne sprawy przestały nagle istnieć.

W parę minut później wyszła spieszonym krokiem.

— Czy mogę cię podwieźć?

Nie zamierzała niczego tłumaczyć i coś w jej wyrazie twarzy dawało do zrozumienia, że wszelka ciekawość byłaby nie na miejscu, byłaby czymś wulgarnym. Nie, nie miała dobrych manier, ale umiała zachować się tak, że bym musiał spełnić wszystko, czego sobie życzyła.

— Nie, dziękuję. Wybieram się do Chelsea. — Nie wybierałem się, ale chciałem się z nią jak najprędzej rozstać.

Przez chwilę obserwowałem ją ukradkiem, a potem powiedziałem: — Często podczas spotkań z pani córką przychodziła mi na myśl pewna anegdota, ale jeszcze bardziej pasuje ona do pani. O Marii Antoninie i rzeźniku. Rzeźnik wtargnął do pałacu wersalskiego na czele tłumu. Miał w ręku tasak i wołał, że poderżnie Marii Antoninie gardło. Tłum rozszarpał strażników, a rzeźnik wyłamał drzwi prowadzące do królewskiego apartamentu. Wpadł do sypialni. Maria Antonina była tam sama. Stała przy oknie. Byli tylko we dwoje. Rzeźnik z tasakiem w ręku i królowa.

— I co się stało?

Zobaczyłem jadącą w drugą stronę taksówkę i zacząłem wymachiwać ręką, żeby zawróciła.

— Padł na kolana i wybuchnął płaczem.

Chwilę milczała.

— Biedny rzeźnik.

— O ile wiem, tak właśnie powiedziała Maria Antonina.

Obserwowała zakręcającą taksówkę.

— Czy wszystko nie zależy od tego, czemu rzeźnik się rozpłakał?

— Nie, nie sądzę.

Taksówka przystanęła przy chodniku i otworzyłem drzwiczki. Ona przez chwilę przyglądała mi się, potem dała za wygraną, czy też raczej przypomniała sobie o czymś.

— Twój talerz, Nicholas. — Wyjęła go z koszyczka.

— Spróbuję go nie uszkodzić.

— Symbol moich najlepszych życzeń. — Wyciągnęła do mnie rękę. — Za to Alison nie jest prezentem. Za nią będziesz musiał zapłacić.

— Już wzięła na mnie odwet.

Zatrzymała moją dłoń w swojej.

— Nicholas, nie powiedziałam ci jeszcze, jakiego drugiego przykazania przestrzegaliśmy ściśle, ja i mój mąż.

Powiedziała mi, tym razem patrząc na mnie bez uśmiechu. Patrzyła długo, potem wsiadła do taksówki. Wpatrywałem i się w tę taksówkę, aż do chwili gdy znikła za Brampton Oratory; nie płakałem, ale jak przypuszczam, mój wzrok nie różnił się od wzroku, jaki biedny rzeźnik wlepił w kobierzec Aubusson.

## 76

Zatem czekałem.

Pustynia dni, wydawało mi się to sadyzmem. Tak, jakby Conchis zapewniwszy sobie współnictwo Alison zaaplikował mi dietę przestarzałej moralności wiktoriańskiej — delikwent nie otrzyma dżemu, zostanie pozbawiony słodczy życia, nim nie spożyje porcji suchego chleba, porcji jałowego czasu. Ale już nie miałem siły filozofować. Następne tygodnie były nieustanną walką między moją rosnącą — bynajmniej nie malejącą — niecierpliwością, a trybem życia, który sobie narzuciłem, żeby stępić jej ostrze. Niemal co wieczór zaglądałem na Russel Square, tak jak żony marynarzy i portowe dziewczki bardziej chyba z nudy niż z nadziei wychodzą co dzień do portu. Ale nigdy nie zobaczyłem światła mego okrętu. Parokrotnie wybrałem się wieczorem do Much Hadham, ale okna Dinsford House były równie czarne jak okna na Russel Square.

Całymi godzinami przesiadywałem w kinie, czytałem książki, szmiry, bo w tym okresie książka potrzebna mi była tylko jako narkotyk usypiający mózg. Nocami jeździłem do rozmaitych miejscowości, których wcale nie chciałem oglądać, do Oksfordu, do Brighton, do Bath. Te długie przejażdżki uspokajały mnie, tak jakby pęd auta nocą miał w sobie coś konstruktywnego, śmigalem przez uśpione miasteczka, nad ranem wracałem wyczerpany do Londynu i spałem do czwartej, piątej po południu.

Musiałem uspokoić nie tylko zniecierpliwienie, już przed spotkaniem z Lily de Seitas zacząłem mieć także inne kłopoty.

Wiele godzin spędzałem w Soho i Chelsea, a nie są to dzielnice, gdzie wybiera się wierny narzeczony, chyba że chce wystawić swoją wierność na próbę. W lesie nie brakowało smoków, począwszy od umalowanych babusów w bramach Greek Street, a kończąc na równie chętnych i znacznie bardziej zachęcających „modelkach” i rozpustnych panienkach z dobrych rodzin na King's Road. Często zdarzało mi się zobaczyć dziewczynę, która działała mi na zmysły. Z początku nie przyznawałem się do tego sam przed sobą, potem musiałem. Stanowczo jednak wycofywałem się z najbardziej obiecujących sytuacji, choć moje pobudki nie należały do najszlachetniejszych. Chciałem pokazać im – jeśli śledzili mnie, a wcale nie byłem pewny, czy tak nie jest – że mogę obyć się bez romansów; to samo, choć mniej świadomie, chciałem udowodnić samemu sobie. Chciałem także móc tego użyć jako broni przeciwko Alison, jako dodatkowego rzemienia dyscypliny, jeśli zdecyduję się nią posłużyć.

Prawdę mówiąc, mój nawrót uczucia do Alison miał niewiele wspólnego z seksem. Może miało to coś wspólnego z tym, że nagle Anglia i Anglicy wydali mi się obcy, że poczułem się wygnańcem, byłem jednak głęboko przekonany, że choćbym co dzień spał z inną dziewczyną, nadal tęskniłbym do Alison. Teraz chciałem od niej czegoś innego, czegoś, co mogła mi dać tylko ona. Tak, to na tym polegało. Seksu mogłem szukać gdziekolwiek. Ale tylko ona mogła dać mi... nie, nie mogłem tego nazwać miłością, ponieważ czułem, że przedtem muszę wystawić ją na próbę, że musi okazać skruchę, wypowiedzieć się, przekonać mnie, że mnie kocha, że jej zdrada była wywołana miłością. Bo ta zabawa w boga fascynowała mnie, ale i odstręczała zarazem, tak jak jakaś mądra religia; wiedziałem, że „coś w tym musi być”, wiedziałem jednak równocześnie, że nie należę do osób religijnych. Zresztą logika mówiła, że jeśli tak wyraźnie odgranicza się miłość od seksu, nie może to być zaproszeniem do wierności. W tym sensie pani de Seitas starała się niepotrzebnie nawrócić kogoś już i tak przekonanego, że to, co dzieje się w jego lędźwiach, nie ma nic wspólnego z tym, co dzieje się w sercu.

Jednocześnie jednak coś się we mnie buntowało. Przełknąłem opowieść pani de Seitas, ale nie mogłem jej strawić. Było w niej coś, co stanowiło obelgę dla uczuć głębszych, niż konwencjonalna moralność, niż utarte pojęcia na ten temat. Stanowiło obelgę dla mojego przekonania, że Alison powinna stać się dla mnie wszystkim, a jeśli

mi się to nie powiedzie, będzie to wynikiem czegoś, czego nie potrafiłbym zdefiniować, zarazem metafizycznego i biologicznego, czegoś, co ma związek z wyobraźnią i ze śmiercią, a nie z moralnością i seksem. Prawdopodobnie Lily de Seitas wyznawała taką moralność seksualną, która, jak przypuszczała, zapanuje w dwudziestym pierwszym wieku, ale ja wyczuwałem w tym jakiś zasadniczy brak i podejrzewałem, że dwudziesty drugi wiek wróci na moje pozycje.

Łatwo było powiedzieć, ale trudniej tak żyć w trwającym jeszcze wieku dwudziestym. Nasze instynkty rozbudziły się, ulegamy emocjom szybciej niż kiedykolwiek przedtem. Młody wiktorianin w moim wieku uważałby za rzecz naturalną czekać na swoją ukochaną choćby pięćdziesiąt miesięcy, a nie pięćdziesiąt dni i nie pozwoliliby, żeby nieczyste myśli zbrukały jego umysł, nie mówiąc już o czynie brukającym jego ciało. Udawało mi się naśladować młodego wiktorianina, ale kiedy w południe znalazłem się w księgarni obok młodej dziewczyny, modliłem się do Boga, w którego nie wierzyłem, żeby się tylko do mnie nie uśmiechnęła.

Któregoś wieczoru w Bayswater dziewczyna uśmiechnęła się. Stało się to w barku kawowym, siedziała naprzeciwko i nie mogłem oderwać oczu od jej nagich ramion, prowokujących piersi. Wyglądała na Włoszkę, czarnowłosa, gołębioka. Przyjaciółka, z którą była, wyszła, a dziewczyna usiadła z powrotem i uśmiechnęła się do mnie. Nie, to nie była dziwka, po prostu dawała mi do zrozumienia, że chętnie ze mną pogada.

Wstałem niezdarnie i spędziłem parą kłopotliwych minut przy wyjściu czekając na kelnerkę, by zapłacić. Moja ucieczka miała wszelkie cechy paranoi. Dziewczyny weszły już po mnie i usiadły tak, że musiałem je obserwować. To zaczynało być obłędem. Wydawało mi się, że każda dziewczyna, która pojawia się na mojej drodze, została nasłana po to, by mnie dręczyć i poddawać próbie. Przed wejściem do baru lub restauracji zaglądałem przez okno, czy jest tam jakiś kącik, w którym mógłbym się ukryć przed tymi przerażającymi istotami. Zachowywałem się coraz to bardziej po błazeńsku i byłem coraz bardziej wściekły na okoliczności, które mnie do tego doprowadziły. Wówczas pojawiła się Jojo. Stało się to pod koniec września, w dwa tygodnie po moim drugim spotkaniu z Lily de Seitas. Śmiertelnie znudzony samym sobą, wybrałem się po południu na stary film Rene Claira. Koło mnie siedziała jakaś skulona postać, ale nie zwróciłem na nią uwagi zajęty filmem, nieśmiertelnym *Słomkowym kapeluszem*. Słyszac pociąganie nosem wywnioskowałem, że ta beckettowska postać siedząca obok mnie należy do płci żeńskiej. Po pół godzinie

poprosiła mnie o ogień. Zobaczyłem okrągłą, nie umalowaną buzię, brązową grzywkę (włosy z tyłu splecione w mizerny warkoczyk), krzaczaste brwi i bardzo brudne paznokcie palców, w których trzymała niedopałek. Kiedy zapaliło się światło i czekaliśmy na następny film, próbowała mnie poderwać, robiła to wręcz żałośnie, po amatorsku. Miała na sobie dzinsy, wyświechtany szary sweter, bardzo stary męski płaszcz, nie była jednak pozbawiona aseksualnego wdzięku, na który składały się trzy rzeczy: szeroki zabawny uśmiech, szkocki akcent i wygląd zabłąkanej sierotki. Uznałem ją za bratnią duszę i doszedłem do wniosku, że warto zachować się wobec niej jak współczesny Mayhew. Jej uśmiech wyglądał tak, jakby pojawiał się na jej twarzy za pociągnięciem sznurka. Siedziała zwinięta w kłębek jak szczeniak, wyglądała jak tłusty chłopczyk i próbowała wyciągnąć ze mnie, kim jestem i gdzie mieszkam. Po chwili, może na skutek tego jej żabiego uśmiechu, a może tylko dlatego, że nie groziło mi to żadnym niebezpieczeństwem, najwyraźniej nie była podstawiona po to, by mnie wystawić na próbę, zapytałem czy nie ma ochoty na kawę.

Weszliśmy do baru. Byłem głodny, oznajmiłem, że zjem spaghetti. Z początku odmówiła, potem przyznała, że wydała resztkę forsy na bilet do kina, a potem rzuciła się na jedzenie jak wilk. Czułem się przepelniony litością dla biednych niemych zwierząt.

Potem poszliśmy do pubu. Okazało się, że przed dwoma miesiącami przyjechała z Glasgow, aby uczyć się malarstwa. W Glasgow należała do jakiejś dziwacznej bohemy, a teraz spędzała cały czas w kawiarniach i kinach: „trozku mi pomagają przyjaciele”. Zapomniała o malarstwie, typowy włóczęga z prowincji.

Byłem coraz pewniejszy, że nie narazi na szwank mojej czystości, i może dlatego szybko ją polubiłem. Dobrze się z nią czułem, była zabawna z tym swoim zachrypniętym głosem i aż groteskowym brakiem kobiecości. Nie rozczulała się nad sobą i to właśnie było rozczulające. Odwiozłem ją na Notting Hill, gdzie mieszkała w jakimś podrzędnym pensjonacie. Wyraźnie oczekiwała, że z nią zostanie. Szybko wyprowadziłem ją z błędu.

— To się już nie zobaczymy?

— Czemu nie. — Spojrzałem bacznie na jej przysadzistą sylwetkę. — Ile masz lat?

— Dwadzieścia jeden.

— Nie zalewaj.

— Dwadzieścia.

— Osiemnaście?

— Coś ty! Dwadzieścia ukończone.

— Mam dla ciebie pracę. — Prychnęła. — Chciałem powiedzieć, że chcę ci coś zaproponować. Oczekuję kogoś... dziewczyny, która ma wrócić z Australii. I chciałbym na okres dwóch, trzech tygodni znaleźć sobie towarzystwo. — Uśmiechnęła się od ucha do ucha. — Proponuję ci posadę. W Londynie jest pełno agencji, które się tym zajmują. Dostarczają panów i panie do towarzystwa.

Dalej się uśmiechała: — No to chodź ze mną.

— Nie. Szukam tylko towarzystwa. Ty się włączysz i ja się chwilowo włączę. Więc róbmy to razem... na mój koszt. Nie chodzi o seks. Tylko o towarzystwo.

Potarła jednym nadgarstkiem o drugi, znów się uśmiechnęła i wzruszyła ramionami, jakby już żadne szaleństwo nie mogło jej zadziwić.

Tak więc zaprzyjaźniłem się z nią. Jeśli oni mnie obserwowali, powinni zmanifestować swą obecność. Miałem nadzieję, że w ten sposób przyspieszam bieg wydarzeń.

Jojo była dziwną istotą, łagodną jak deszcz — deszcz londyński, rzadko bowiem zdarzało się, by była czysta — całkowicie wyzbytą ambicji i wszelkiej małostkowości. Łatwo dopasowała się do roli, którą jej wyznaczyłem. Łaziliśmy po kinach, pubach, wystawach. Czasem cały dzień siedzieliśmy u mnie. Ale wieczorem odsyłałem ją zawsze do jej komóreczki. Zdarzało się, że całymi godzinami siedzieliśmy przy tym samym stole czytając pisma i gazety i nie zamieniając ani słowa. Po siedmiu dniach czułem się tak, jakbym ją znał siedem lat. Dawałem jej cztery funty tygodniowo i zaproponowałem, że kupię jej coś do ubrania i zapłacę za hotelik. Przyjęła tylko granatowy dżersejowy sweterek od Marksa i Spencera, ale nic więcej. Świetnie spełniała swoje zadanie, odstraszała każdą dziewczynę, która na mnie spojrzała, a ja odwdzięczałem się jej obłąkaną wiernością.

Zawsze pogodna, wdzięczna była jak kundel za każdą rzucaną jej kostkę; cierpliwa, wyrozumiała, nie krępująca. Nie chciałem mówić o Alison i prawdopodobnie Jojo przestała wierzyć w jej istnienie, ale z właściwym sobie spokojem przyjęła do wiadomości, że muszę mieć „kuku na muniu”.

Któregoś październikowego wieczoru, kiedy czułem, że nie będę mógł zasnąć, zapytałem, czy nie ma ochoty gdzieś pojechać. Chwilę się zastanawiała i wymieniła, diabli wiedzą dlaczego, Stonehenge. Pojechaliśmy zatem do Stonehenge i o trzeciej nad ranem blakaliśmy się wokół majaczących menhirów w lodowatym wietrze, a z

płynących nad naszymi głowami poszarpanych, zalanych księżycem chmur dobiegało nawoływanie sów. Potem usiedliśmy w aucie i jedliśmy czekoladę. Widziałem twarz Jojo, ciemne szparki oczu i szczeniący naiwny uśmiech.

— Czemu się śmiejesz, Jojo?

— Bo jestem szczęśliwa.

— Nie zmęczyłaś się?

— Nie.

Nachyliłem się i pocałowałem ją w skroń. Zrobiłem to po raz pierwszy i natychmiast włączyłem motor. Po chwili zasnęła, jej głowa opadła na moje ramię. We śnie wyglądała jeszcze młodziej, na piętnaście, najwyżej szesnaście lat. Czuję zapach jej nader rzadko mytych włosów. Moje uczucia do niej nie różniły się od uczuć do Kemp; wielka serdeczność i ani śladu pożądania.

Wkrótce potem wybraliśmy się wieczorem do kina. Kemp uważała wprawdzie, że musiałem zwariować, skoro poderwałem tak brzydką dziewczynę — a ja nie starałem się wyprowadzić jej z błędu — ale była rada, że nareszcie zachowuję się „normalnie”, i wybrała się z nami, a potem wróciliśmy do jej „pracowni” i siedzieliśmy tam popijając kakao i smętne resztki rumu. Około pierwszej w nocy Kemp wyrzuciła nas, chciało jej się spać, mnie zresztą także zachciało się spać. Wyszedłem z Jojo przed dom. Po raz pierwszy tej jesieni zrobiło się zimno, w dodatku padał deszcz. Zatrzymaliśmy się w drzwiach wyjściowych.

— Prześpię się u ciebie w fotelu, Nick.

— Nie. Poczekaj. Pójdę po wóz i odwiozę cię. — Parkowałem samochód w sąsiedniej uliczce. Wsiadłem do niego, ale niedaleko ujechałem. Przednie koło spłaszczyło się jak naleśnik. Wsiadłem i obejrzałem je, wyrwało mi się głośne przekleństwo, otworzyłem bagażnik, by wyjąć pompkę. Ale pompki nie było. Nie używałem jej już chyba od tygodnia, ktoś musiał ją świsnąć nie wiadomo kiedy. Zatrzasnąłem bagażnik i wróciłem pędem.

— Kicha nawaliła!

— Fajno.

— Bardzo dziękuję.

— Nie wygłupiaj się. Prześpię się w twoim fotelu.



Przez chwilę miałem ochotę obudzić Kemp, ale wyobraziłem sobie obelgi, którymi nas obsypie. Wdrapaliśmy się po schodach do mojego mieszkania.

— Słuchaj, idź do łóżka, a ja się tu prześpię.

Wytarła nos wierzchem dłoni i skinęła głową, poszła do łazienki, a potem posłusznie pomaszerowała do sypialni, położyła się na łóżku i przykryła tym swoim nieszczęsnym płaszczem. W głębi serca byłem na nią zły, bo czułem się zmęczony, zsunąłem dwa fotele i wyciągnąłem się na nich. Minęło pięć minut. Jojo pojawiła się w drzwiach.

— Nick?

— Mm.

— Chodź tu.

— Gdzie?

— Przecież wiesz.

— Nie.

Stała chwilę w drzwiach zastanawiając się. Zawsze musiała się długo zastanawiać nad każdym posunięciem.

— Chcę, żebyś przyszedł. — Uderzyło mnie, że po raz pierwszy użyła słowa chcieć w pierwszej osobie.

— Jojo, jesteśmy kumplami. Nie pójdziemy do łóżka.

— Raz możemy pokimać. To nic nie znaczy.

— Nie.

— Jeden raz.

— Nie.

Stała w drzwiach w tym swoim granatowym swetrze i džinsach, ciemna, milcząco oskarżająca plama. Światło z zewnątrz dziwacznie oświetlało jej twarz, wyglądała jak litografia Muncha. Zazdrość, a może Pożądanie, a może po prostu Niewinność.

— Strasznie mi zimno.

— To wleż pod koce.

Chwilę jeszcze czekała, potem usłyszałem, że wraca do łóżka. Minęło pięć minut. Czułem, jak mi sztywnieje kark.

— Jestem w łóżku, Nick. Mógłbyś się położyć obok, na wierzchu. — Zaczerpnąłem powietrza. — Słyszysz mnie?

— Tak.

Cisza.

— Myślałem, że może już śpisz.

Padał deszcz, chlupotał w rynnach, wilgotne londyńskie nocne powietrze wtargnęło do pokoju. Samotność. Zima.

— Czy mogę wejść i zapalić gaz?

— Na Boga!

— Wejdę cichutko. Nie obudzę cię.

— Dziękuję.

Wczłapała się do pokoju, usłyszałem, jak zapala zapałkę. Gaz pyknął i zaczął syczeć. Różowy odblask padł na pokój. Ona nie ruszała się, po chwili poddałem się i usiadłem.

— Nie patrz na mnie. Jestem nie ubrana.

Spojrzałem. Stała koło ognia obciągając za duży męski podkoszulek. Zobaczyłem, a był to przykry szok, że jest niemal ładna, w każdym razie bardzo kobieca. Odwróciłem się do niej plecami i sięgnąłem po papierosa.

— Posłuchaj mnie, Jojo, z tego będą nici. Nie zamierzam z tobą spać.

— Ja tylko nie chciałam włązić w ubranie do twojego czystego łóżka.

— Ogrzej się i wracaj do łóżka.

Zanim się znów odezwała, zdążyłem wypalić pół papierosa.

— Ty byłeś dla mnie taki strasznie fajny. — Nie odpowiedziałem. — Więc ja też chciałabym...

— Dług wdzięczności? Nie masz żadnego długu wdzięczności.

Obejrzałem się. Siedziała na podłodze, odwrócona do mnie pulchnymi plecami, obejmowała rękami kolana i wpatrywała się w ogień. Znów chwila ciszy.

— Wiem, dlaczego nie chcesz.

— Więc powiedz.

— Myślisz, że złapałam w Londynie jakieś choróbsko.

— Jojo.

— Może i złapałam. Człowiek nie musi być chory, żeby mieć w sobie pełno mikrobów.

— Uspokój się.

— Mówię tylko to, co ty myślisz.

— Nawet mi to na myśl nie przyszło!

— Nie mam ci tego za złe. Naprawdę nie.

— Jojo, zamknij się, dobrze? Cisza.

— Dbasz o czystość tych swoich wspaniałych anglosaskich jaj!

Usłyszałem stąpanie bosych stóp, zatrzasnęły się drzwi od sypialni — i zaraz otworzyły się z powrotem. Po chwili dobiegł mnie żaloszny szloch. Przeklinałem własną głupotę, jak mogłem nie przykładac wagi do pewnych niepokojacych oznak — umyla włosy, związała je w koński ogon, i parę razy w ciągu wieczora dziwnie na mnie spojrzala. Pojawila mi się potworna wizja stojacej w drzwiach Alison. A równocześnie byłem wstrząsnięty. Jojo nigdy nie przeklinała i wyrażala się zawsze delikatniej niż najbardziej szanujące się dziewczyny. Jej ostatnie zdanie dotknęło mnie do żywego.

Po chwili wstałem i poszedłem do sypialni. Ciepłe światło gazu weszło tam razem ze mną. Naciągnąłem na jej ramiona pościel.

— Jojo. Ty niemądry błazenu.

Pogladziłem ją po głowie, drugą ręką przytrzymując mocno koce, żeby nie mogła rzucić mi się na szyję. Zaczęła pociągać nosem. Podalem jej chusteczkę.

— Czy mogę ci coś powiedzieć?

— Wszystko, co chcesz.

— Nigdy dotąd tego nie robiłam. Nigdy jeszcze nie poszłam z nikim do łóżka.

— Jezu!

— Jestem tak czysta jak w dniu urodzin.

— Dzięki Bogu.

Przewróciła się na plecy i spojrzala na mnie.

— Teraz mnie zechcesz?

To ostatnie zdanie przyćmiło poprzednie. Dotknąłem jej policzka i potrząsnąłem przecząco głową.

— Kocham cię, Nick.

— Jojo, nie kochasz. Tak ci się tylko wydaje.

Ku mojej rozpaczyc zaczęła znów płakać.

— Słuchaj, ty to zaplanowałaś? Ta opona to ty? To twój pomysł? — Przypomniałem sobie, że gdy Kemp gotowała kakao, Jojo wymknęła się na chwilę mówiac, że idzie na górę.

— Nie mogłam dłużej wytrzymać. Tej nocy, kiedy wracaliśmy z Stonehenge, nie mogłam zmrużyć oka. Tylko udawałam, że śpię.

— Jojo. Opowiem ci pewną długą historię, której nikomu dotąd nie opowiadałem. Pozwolisz?

Otarłem jej oczy chusteczką i zacząłem opowieść siedząc tyłem do niej na brzegu łóżka. Opowiedziałem jej o Alison, o tym, jak ją porzuciłem, i nie oszczędzałem przy tym siebie. Opowiedziałem o Lily, nie, nie fakty, ale to, co czułem. Potem o Parnasie, o wszystkich moich przewinach. A potem całą resztę, aż po dzień dzisiejszy i powody, dla których zaprzyjaźniłem się z nią, z Jojo. Trudno było znaleźć dziwniejszego księdza dla mojej spowiedzi, ale okazał się nie najgorszy. Jojo udzieliła mi rozgrzeszenia.

Szkoda tylko, że nie opowiedziałem jej tego wcześniej, nie zachowywałaby się tak głupio.

— Przepraszam cię. To ja zachowałem się jak idiota.

— Nie mogłam się powstrzymać.

— Przepraszam cię. Strasznie mi przykro.

— Och! Przecież jestem tylko nieletnią kretynką z Glasgow. — Spojrzała na mnie uroczystym wzrokiem. — Nabujałam cię, Nick. Mam siedemnaście lat.

— Czy jeśli kupię ci bilet, to...

Ale ona zaczęła energicznie kręcić głową.

Nastąpiły długie minuty ciszy, rozmyślałem o jedynej ważnej prawdzie, o jedynym ważnym nakazie moralnym, o jedynym grzechu, o jedynej zbrodni. Kiedy Lily de Seitas wyjawiała mi swoje poglądy przy wyjściu z muzeum, uznałem je za komentarz do mojego postępowania w przeszłości, za komentarz do anegdoty o rzeźniku. Teraz zrozumiałem, że była to przestroga na przyszłość.

Dziesięć biblijnych przykazań wyparła z naszego życia historia, zresztą dla mnie oznaczały one tylko nakaz przystosowania się, do konwencji. Ale teraz, siedząc w tej sypialni i wpatrując się we wpadający przez uchylone drzwi odbłask ognia poczułem, że zaczyna oddziaływać na mnie siła tego superprzykazania, zawierającego w sobie wszystkie; wiedziałem, że muszę je uznać za własne, i choćby zdarzyło mi się go nie dochować, co dzień od nowa winienem obiecywać sobie, że będę go przestrzegał. Conchis mówił o punkcie zwrotnym, o chwilach, w których widzi się własną przyszłość. Wiedziałem, że przykazanie to związane jest ściśle z Alison, będę musiał wybierać ją co dzień od nowa. Dojrzałość była podobna górze, stałem u stóp lodowatej skały, na którą tak trudno było się wspiąć. *Nie będziesz niepotrzebnie zadawał nikomu bólu.*

— Masz fajkę, Nick?

Poszedłem i przyniosłem jej papierosa. Leżała paląc i patrzyła na mnie, co chwila oblewając się rumieńcem. Wziąłem ją za rękę.

— O czym myślisz, Jojo?

— A jeśli ona...

— Jeśli nie wróci?

— Tak.

— To się z tobą ożenię.

— Bujasz.

— I będziesz co rok rodziła tłuste dziecko z tłustą buzią i uśmiechem sprytniej małpki.

— Potwór!

Patrzyła na mnie; cisza, ciemność, zawiedziona czułość. Przypomniałem sobie, jak rok temu w październiku siedziałem tak samo z Alison w pokoiku przy Baker Street. I zrozumiałem, jak bardzo się zmieniłem.

— Wyjdiesz za mąż za kogoś dużo fajniejszego ode mnie.

— Czy ona jest do mnie podobna?

— Tak.

— Głupie gadanie.

— Tak, obie jesteście... niepodobne do nikogo na świecie.

— Nikt nie jest do nikogo podobny.

Wyszedłem i wrzuciłem szylinga do licznika gazowego, potem stanąłem znów w drzwiach. — Powinnaś mieszkać pod miastem, Jojo. Albo pracować w fabryce. Albo pójść do średniej szkoły z internatem. Albo jadać kolacje w ambasadach.

Zagwizdał pociąg. Odwróciła się i zgasła papierosa.

— Chciałabym być ładna.

Naciągnęła prześcieradło aż pod brodę, jakby pragnąc ukryć swoją brzydotę.

— Uroda jest dodatkiem. Tak jak papier, w który opakowuje się upominek, nie jest upominkiem.

Długie milczenie. Pobożne kłamstwa. Miękki materac, który podkłada się komuś, kto spada z bardzo wysoka.

— Zapomnisz o mnie.

— Nie, nie zapomnę. Będę cię zawsze pamiętał.

— Nie zawsze. Ale czasem może o mnie pomyślisz. — Ziewnęła. — Ja będę o tobie pamiętać. — I w parę minut później dodała tak, jakby terażniejszość przestała istnieć, była już tylko sennym marzeniem dziecka. — W tej śmierdzącej starej Anglii...

Zasnąłem dopiero o szóstej i budziłem się wielokrotnie. O jedenastej postanowiłem stawić czoło dniu. Podeszedłem do drzwi sypialni. Ani śladu Jojo. Zajrzałem do kuchni, która była równocześnie łazienką. Na lustrze narysowane były mydłem trzy X, do widzenia i podpis. Przypadkowo pojawiła się w moim życiu i tak samo z niego zniknęła. Na kuchennym stole leżała moja pompka.

Z piętra niżej dolatywał szum maszyn do szycia, kobiece głosy, nieciekawa muzyczka z radia. Byłem samotnym mężczyzną na górze.

To czekanie. Stale to czekanie.

Oparty o stary zmywak wypilem neskę i zjadłem parę zwilgotniałych herbatników. Jak zwykle zapomniałem kupić chleb. Patrzyłem na pusty karton po płatkach owsianych. Namalowano na nim „typową” szczęśliwą rodzinę przy śniadaniu, rześki opalony ojciec, czarująco dziewczęca matka, synek, córeczka, raj. W myśli splunąłem. A przecież musiało się za tym kryć coś rzeczywistego, jakaś potrzeba porządku, harmonii, nie tylko tchórzliwe pragnienie bycia takim jak wszyscy, nie tylko samolubna chęć, żeby ktoś dbał o bieliznę, przyszywał guziki, gotował smaczne posiłki, był zawsze w pobliżu i zapewnił przetrwanie nazwiska.

Zrobiłem sobie drugą filiżankę kawy przeklinając w myśli Alison, tę cholerną dziwkę. Dlaczego musiałem na nią czekać? Dlaczego właśnie w Londynie, w mieście, które jak żadne w Europie, roi się od chętnych dziewczyn, ładnych i jeszcze ładniejszych, przyjeżdżających tu tylko po to, żeby któregoś ranka obudzić się w łóżku jakiegoś nieznanego.

No i teraz Jojo, ostatnia osoba na świecie, której chciałem zrobić przykrość. Czuję się tak, jakbym kopnął wygłodzonego, wychudłego kundla.

Nastąpiła nagła reakcja zrodzona z obrzydzenia do samego siebie i urazy do nich. Przez całe życie twardo opierałem się wszelkim sugestiom. A teraz zrobił się ze mnie mięczak, a w dodatku czuję się mniej wolny niż kiedykolwiek przedtem. Podnieciła mnie myśl, że mógłbym rozpocząć nowe życie bez Alison, wyruszyć gdzieś

w nieznanie... samotny, lecz swobodny. Byłoby to nawet szlachetnie, skoro i tak skazany byłem, niezależnie od tego, jak będę postępował, na zadawanie innym cierpień. Może wyruszyć do Ameryki, do Ameryki Łacińskiej...

Nagle poczułem, że powinienem się zdać na przypadek. .Wyrwać się z tej poczekalni, w której utknąłem.

Biegałem po moich nie dających natchnienia pokoikach. Nad kominkiem wisiał talerz Bow. Znów rodzina, ład, porządek, zaangażowanie. A na dworze deszcz, szare płynące z wiatrem niebo. Spojrzałem w dół na Charlotte Street i postanowiłem wyprowadzić się od Kemp, zaraz, tego samego dnia. Żeby udowodnić sobie, iż jestem zdolny do takiego posunięcia, że mam swobodę ruchów, jestem wolny.

300

301Zszedłem do Kemp. Chłodno przyjęła do wiadomości moje oświadczenie. Zastanawiałem się, czy wie o Jojo, bo widziałem w jej oczach kamienny blask pogardy, kiedy wzruszeniem ramion zbywała moją wymówką. — Mam zamiar wynająć domek na wsi i zacząć pisać.

— Zabierasz Jojo?

— Nie. Skończyliśmy ze sobą.

— Ty z nią skończyłeś. Wiedziała o Jojo.

— Niech będzie. Ja z nią skończyłem.

— Znudziło ci się życie artysty na poddaszu. Wiedziałam z góry.

— Nie.

— Podrywasz, diabli wiedzą czemu, to nieszczęsne brzydactwo, a kiedy jesteś już pewien, że się w tobie po uszy zakochała, zachowujesz się jak prawdziwy dżentelmen i każesz jej spieprzać.

— Słuchaj...

— Mnie nie nabierzesz, chłopcze. — Siedziała solidna i nieubłagana. — No, zbieraj się. Wracaj do domu.

— Wiesz, że nie mam domu.

— Owszem, masz. Nazywa się burżuazja.

— Tego mogłabyś mii oszczędzić.

— Sto razy to widziałam. Że taki facet jak ty odkrywa nagle, że takie jak my to także ludzie. No i zesrywa się ze strachu. — I dodała tonem bezapelacyjnej odprawy:

— To nie twoja wina. Jesteś ofiarą dialektycznych procesów.

— A ty jesteś potworną starą...

— Ech! — odwróciła się, jakby ją to guzik obchodziło, jakby jej życie, podobnie jak pracownia, pełne było nieporządku, bałaganu i nie mogła marnować energii zbyt potrzebnej do przeżycia. Skwaszona Mutter Courage podeszła do stołu z farbami i zaczęła tam czegoś szukać.

Wyszedłem. Ale ledwie znalazłem się na parterze, wrzasnęła do mnie.

— Jedno ci powiem, ty zadowolony z siebie gnojku! Wiesz, co się teraz stanie z tym nieszczęsnym dzieciakiem?

Pójdzie na ulicę. I kto będzie temu winien? — Wyciągnęła oskarżającą rękę: — Pan Nicholas Urfe, święty szlachcic. — To ostatnie słowo wymówiła takim tonem, jakby było najohydniejszym wyzwiskiem. Przeszła mnie wzrokiem, wróciła do siebie i zatrzasnęła drzwi. I tak zostałem skazany na utonięcie między Scyllą Lily de Seitas i Charybdą Kemp.

Zacząłem się pakować z zimną wściekłością, dyskutując w myśli z Kemp i, oczywiście, miażdżąc ją argumentami. Zdjąłem z gwoździa talerz Bow, wysliznął mi się z rąk, uderzył o kominek i po chwili wpatrywałem się bezmyślnie w dwie leżące na palenisku skorupy.

Uklęknąłem. Byłem tak bliski łez, że musiałem zagryźć usta. Klęczałem trzymając w ręku te skorupy. Nie ruszyłem się, nawet słysząc na schodach kroki Kemp. Weszła, a ja nadal klęczałem. Nie wiem, co chciała mi powiedzieć, bo gdy zobaczyła mój wyraz twarzy, zamilkła.

Podniosłem skorupy, by pokazać jej, co się stało. Moje życie, przeszłość, przyszłość. Nie wszystkie konie króla, ale wszyscy ludzie króla.

Długą chwilę milczała patrząc: na wpuł zapakowana walizka, na stole stos książek i papierów/ a zadowolony z siebie gnojek, pokonany rzeźnik klęczy przed kominkiem.

Powiedziała: — Chryste Panie! W twoim wieku!

I tak zostałem u Kemp.

'78

Ziarenko nadziei, sam fakt istnienia wystarczają, by zapewnić przyszłość antybohatera; zostawcie go, mówi nasze stulecie, zostawcie go na skrzyżowaniu dróg historii, zostawcie go jego dylematom, ma wszystko do stracenia, a zyskać może tylko to, co traci; pozwólcie mu zostać przy życiu, ale niczego mu nie obiecujcie; my też tylko czekamy w naszych samotnych pokoikach, w których nigdy nie



**303** dzwoni telefon, czekamy na jakąś dziewczynę, na jakąś prawdę, czekamy, aby powróciła rzeczywistość, którą utraciliśmy snując próżne sny, czekamy, by powiedzieć, że ten powrót jest kłamstwem.

W labiryncie nie ma środka. Koniec jest tylko końcem zdania, arbitralnym cięciem nożyc: Benedickowi udało się na koniec pocałować Beatrice, ale co stało się w dziesięć lat później? I co następnej wiosny zdarzyło się w Elsyno-rze? A więc dziesięć kolejnych dni. Ale to, co zdarzy się w następnych latach, jest milczeniem, jeszcze jedną tajemnicą.

Minęło jeszcze dziesięć dni, podczas których ani razu nie zadzwonił telefon.

Za to ostatniego października, w wigilię Wszystkich Świętych, Kemp zabrała mnie po południu na przechadzkę. Ta niezwykła propozycja powinna była wzbudzić moją podejrzliwość, ale tłumaczył ją wyjątkowo piękny dzień, niebo błękitne jak kwiaty ostróżki wyglądało jak z innego świata, drzewa były bursztynowe, i rdzawe, i żółte, powietrze miękkie jak we śnie.

Zresztą Kemp zaczęła mi ostatnio „matkować”. Musiała to sobie rekompensować ostentacyjnymi wyzwiskami, pozornie więc nasze stosunki wyglądały jak najgorzej, choć były najlepsze. Ale miała rację, wszystko popsułoby się, gdybyśmy przestali udawać, to udawanie stanowiło integralną część serdeczności. Brak deklaracji wzajemnej sympatii wynikał z tego, że chcieliśmy być wobec siebie delikatni, co najlepiej dowodziło naszych prawdziwych uczuć. W ciągu tych dziesięciu dni czułem się nieco mniej nieszczęśliwy, może dzięki Kemp, może dzięki wspomnieniu Jojo, którą trudno było nazwać aniołem, ale którą los zesłał mi z innego, lepszego świata, a może po prostu zrozumiałem, że potrafię czekać. Zmieniłem się, wciąż byłem ofiarą wydarzeń, ale już w innym sensie; dojrzały we mnie prawdy Conehisa, szczególnie ta, która objawiła mi się pod postacią Lily. Powoli uczyłem się uśmiechu, tego uśmiechu, którego żądał Conchis. Można przyjmować coś do wia-

domości nie wybacząc, można podejmować decyzję i nie wprowadzać jej w czyn.

Poszliśmy na północ, minęliśmy Euston Road, weszliśmy do Regens Park. Kemp miała na sobie czarne spodnie, brudnawy stary sweter, a w ustach zgaszonego papierosa; miał on ostrzegać świeże powietrze, że tylko na krótką chwilkę wolno mu wtargnąć do jej płuc. Park pełen był zieleni trawy, wszędzie kręciły się grupki ludzi, kochankowie, rodziny, samotnicy z psami, niezauważalna jesienna mgiełka zmiękczała kolory.

Spacerowaliśmy, obserwując z czułością kaczkę, a z pogardą graczy w hokeja.

— Słuchaj, Nick — powiedziała Kemp — muszę się wzmocnić filizanką naszego narodowego napoju.

To także powinno mi dać do myślenia, jej *manes* pijały zawsze kawę.

Weszliśmy więc do herbaciarni, stanęliśmy w ogonku, znaleźliśmy pół wolnego stolika. Kemp poszła do toalety. Wyciągnąłem z kieszeni książkę. Siedząca z drugiej strony stolika para wyszła. Hałas, bałagan, tanie danki, kolejka do lady. Pomyślałem, że Kerap też pewnie czeka przed toaletą. I pogrążyłem się w lekturze.

Po drugiej stronie stolika, po przekątnej...

Tak zwyczajnie, tak prosto.

Nie patrzyła na mnie, patrzyła w stół. Poderwałem się szukając wzrokiem Kemp. Ale wiedziałem, że Kemp maszeruje w stronę domu.

Cały czas oczekiwałem, że pojawi się efektowni\*; zostaną gdzieś tajemniczo wezwani, będą musiał metaforycznie, a może nawet dosłownie zejść do Tartaru. Ale teraz, kiedy wpatrywałem się w nią niezdolny się odezwać, a ona unikała mojego wzroku, zrozumiałem, że powrót musiał się odbyć w ten właśnie sposób, musiała pojawić się w jak najbardziej banalnej londyńskiej scenerii, stać się częścią nudnego powszedniego dnia. Przydzielono jej rolę Rzeczywistości, miała więc być samą sobą, tyle że w innych” wymiarach, unosiła się wokół niej aura innego świata; wyłoniła się z tłumu, ale nie była częścią tłum.

**304**

**20 — Mag t\* II**

**SOS**Miała na sobie kostiumik z cudownie tkanego tweedu, jesień upstrzona zimą, ciemnozieloną chustkę zawiązaną po chłopsku pod brodą. Siedziała złożywszy grzecznie na po-dółku ręce; spełniła swój obowiązek, była tu. Następny ruch należał do mnie. Ale teraz, kiedy ta chwila wreszcie nadeszła, poczułem się sparaliżowany, nie mogłem ani się ruszyć, ani odezwać, ani myśleć. Wyobrażałem sobie najróżniejsze okoliczności naszego spotkania, ale nie przewidziałem tej sytuacji. Na koniec spuściłem oczy na książkę, tak jakbym nie chciał jej widzieć, a potem spojrzałem gniewnie na jakąś kretyńsko zaciekawioną rodzinę, która zza pleców Alison przyglądała się nam oczekując sceny. Alison nareszcie spojrzała na mnie, jej wzrok przeszył mnie jak lancet, patrzyła na mnie tylko sekundę, ale podchwyciła mój wyraz twarzy przeznaczony dla tamtych ludzi.

W mgnieniu oka wstała i odeszła. Patrzyłem, jak przemyka się między stolikami, drobniotka, krucha, to ta właśnie kruchość stanowiła jej zmysłowy powab. Widziałem, jak oczy innych mężczyzn odprowadzają ją w stronę drzwi.

Minęło parę sekund, nim oszołomiony rzuciłem się za nią, rozpychając stojących na mojej drodze ludzi. Szła wolno po trawie. Zrównałem się z nią, spojrzała na moje buty. Dalej milczeliśmy. Byłem zaskoczony, nie przygotowany. Nawet to moje ubranie... Przestałem się interesować, jak wyglądam... przyjąłem barwy ochronne świata Kemp i Jo-jo. Teraz robiłem przy Alison wrażenie łachmaniarza; nie, ona nie miała prawa pojawiać się w roli eleganckiej, pewnej siebie kobiety. Niemal jakby chciała podkreślić, że wymieniliśmy się rolami. Rozejrzałem się. Tłumy ludzi, ale wszyscy byli zbyt daleko, żeby móc się przyjrzeć ich twarzom. Regenfs Park. To tu odbyło się spotkanie młodego dezertera z ukochaną, zapach bzów i bezdenna ciemność.

— Gdzie są oni?

Leciutko wzruszyła ramionami. — Jestem sama.

— Akurat!

Parę kroków szliśmy w milczeniu. Ruchem głowy wskazała mi gusta ławkę na ścieżce pod drzewami. Była tak

obca, jakby rzeczywiście wyszła z Tartaru, chłodna, opanowana.

Poszedłem za nią. Usiadła na końcu ławki, ja na środku i zwrócony w jej stronę zacząłem się w nią wpatrywać. Byłem bliski wściekłości, że ona na mnie nie patrzy, nie przeprasza mnie, milczy.

Powiedziałem: — Czekam. Tak jak czekałem przez ostatnie trzy i pół miesiąca.

Zdjęła chustkę, jej włosy się rozsypały. Zapuściła je znowu, wyglądały tak jak wówczas, gdy ją poznałem, była złościście opalona. Od pierwszej chwili uświadomiłem sobie, i powiększyło to jeszcze moją irytację, że wyidealizowany w wyobraźni wizerunek zawsze cudownie wyglądającej Lily zniekształcił w mej pamięci obraz Alison, w myślach widywałem ją taką, jaka bywała tylko w najmniej korzystnych momentach. Pod kostiumem miała jasnobrązową bluzkę, kostium był wspaniale skrojony, musiała dostać od Conchisa forszę. Była śliczna i ponętna; nawet bez... Przypomniałem sobie Parnas, wszystkie jej inne wcielenia. Wpatrywała się w czubki pantofli na niskim obcasie.

— Chciałbym, żeby od początku jedno było jasne. — Nie odpowiedziała. — Wybaczyłem ci, że mnie tak podle okpiłaś tego lata. Wybaczyłem ci, że z jakiejś tam małosłownej babskiej zemsty kazałaś mi tyle miesięcy czekać.

Wzruszyła ramionami i po chwili milczenia powiedziała: — Ale?

— Ale chciałbym się dowiedzieć, co tamtego dnia zdarzyło się w Atenach. I co to wszystko do cholery znaczy. O co przez ten cały czas chodziło.

— I?

— Wtedy zobaczymy.

Wyjęła z torebki papierosa, zapaliła go i podała mi paczkę ruchem, który trudno by nazwać przyjacielskim. Powiedziałem: — Nie, dziękuję.

Wpatrzyła się w przestrzeń, w rząd arystokratycznych domów Cumberland Terrace wychodzących na park. Kremowe sztukaterie, nad gzymsami białe posągi, spłówiały błękit nieba, ' . .

306

**307**Podbiegł do nas pudel. Zacząłem się opędząć, ale ona poklepała go po łbie. Jakaś pani zawołała: „Tina! Złotko, do nogi!” W dawnych czasach wymienilibyśmy zde gustowane uśmiechy. A teraz Alison spojrzała z powrotem w stronę tamtych domów. Rozejrzałem się. O parę kroków stały następne ławki, Siedzieli na nich potencjalni obserwatorzy. Nagle cały park wydał mi się sceną, cały pejzaż zapełnił się przebierańcami, szpiegami. Zapaliłem własnego papierosa, usiłowałem zmusić ją wzrokiem, żeby na mnie spojrzała, ale nic z tego.

— Alison.

Obrzuciła mnie przelotnym spojrzeniem i zaraz spuściła oczy. Siedziała z papierosem w ręku tak, jakby nic nie było w stanie zmusić jej do odezwania się. Spadający liść musnął jej spódniczkę. Schyliła się, podniosła go i rozprostowała. Na drugim końcu ławki usiadł Hindus. Wytarty czarny płaszcz, biały szalik, wychudzona twarz. Drobny, nieszczęśliwy, przerażony cudzoziemiec, pewnie kelner, niewolnik którejś z tych tanich jadłodajni wydających curry. Przysunąłem się do niej, zniżyłem głos, starając się, żeby brzmiał równie chłodno jak jej głos.

— A-co mi masz do powiedzenia o Kemp?

— Nicko, błagam cię, nie wpytuj mnie. Błagam. Leciutki' postęp, wymieniła moje imię. Ale dalej siedziała nieprzystępna i milcząca.

— Czy oni tu gdzieś są? Obserwują nas? .Westchnęła niecierpliwie. — Są?

— Nie. — Ale od razu się poprawiła: — Nie wiem. ! — Czyli wiesz, że tak.

Wciąż na mnie nie patrzyła. I niemal znudzonym tonem szepnęła:

— Ich to już nie dotyczy.

Długa pauza.

Powiedziałem: — Wiesz przecież, że nie potrafisz mi skłamać prosto w oczy. •

Dotknęła włosów: te jej włosy, ręka... wykonując ten gest unosiła zawsze lekko głowę. Mignęło mi jej ucho.

308

Poczułem się znieważony, zupełnie tak, jakby ktoś usiłował nie dopuścić mnie do^ mojej własnej posiadłości.

— Uważałem cię zawsze za jedyną osobę na świecie, która mnie nigdy nie okłamie. Czy ty sobie w ogóle potrafisz wyobrazić, jak się czułem tego lata? Kiedy przyszedł ten list, kwiatki...

A ona: — Jeśli mamy mówić o przeszłości...

Sprawiała wrażenie, że myśli o czymś innym, że wszystko, co mówię, wydaje jej się nieodpowiednie. Wsadziłem rękę do kieszeni i dotknąłem mego talizmanu, był to gładki okrągły kasztan. Któregoś wieczoru w kinie wręczyła mi go dla żartu Jojo w papierku od cukierka. Pomyślałem o Jo-jo, była pewnie nie dalej niż o milę, dzieliła nas przestrzeń wypełniona cegłą i ulicznym ruchem, siedziała pewnie z innym poderwanym przez siebie chłopcem, dryfując w stronę kobiecości, sięgając pulchną ręką w ciemność. I ogarnęła mnie przemożna chęć, żeby wziąć za rękę Alison.

Znów wypowiedziałem głośno jej imię.

Ale ona coś tam w sobie rozważywszy, postanowiła widać zachować dystans. Rzuciła na ziemię żółty listek.

— Przyjechałam do Londynu, żeby odstąpić mieszkanie. I wracam do Australii.

— Taka podróż dla podobnego drobiazgu!

— Przyjechałam także po to, żeby cię zobaczyć.

— Zobaczyć?

— Zobaczyć, czy jeszcze... — urwała.

— Czy jeszcze?

— Nie chciałam przyjeżdżać.

— To dlaczego jesteś tu wbrew swojej woli?

Nie odpowiedziała. Zachowywała się tajemniczo, jak inna kobieta, trzeba było się cofnąć i zacząć od nowa. Tak jakby coś, co było w niej łatwo dostępne, po co można było sięgnąć jak po sól na stole, zostało zamknięte w zapieczętowanej

butelecze, stało się nietykalne. Znałem ją jednak. Wiedziałem, że choć zachowuje zawsze wewnętrzną niezależność, to łatwo przyjmuje sposób bycia kochanych przez siebie, czy choćby lubianych osób. I wiedziałem,

309skąd wzięła się ta jej uprzejma niedostępność. Siedziałem z kapłanką ze świątyni Demeter.

Spróbowałem rzeczowego tonu: — Gdzie byłaś przez ten cały czas? W domu?

— Może.

Wciągnąłem głęboko powietrze: — Czy w ogóle zdarzyło ci się o mnie myśleć?

— Czasami.

— Czy jest w twoim życiu ktoś inny? Zawahała się i powiedziała: — Nie.

— Mówisz takim tonem, jakbyś nie była pewna.

— Zawsze może być ktoś, jeśli się człowiek dobrze rozejrzy.

— Rozglądałaś się?

— Nie ma nikogo.

— Włączasz w to mnie?

— Sam się włączyłeś. Tamtego dnia.

Ponura twarz odwrócona do mnie profilem, wpatrzony w przestrzeń wzrok. Dobrze wiedziała, że nie spuszcza z niej oczu, i przyglądała się jakiemuś przechodniowi, jakby uważała go za znacznie bardziej interesującego ode mnie.

— Co powinienem zrobić? Wziąć cię w ramiona? Upaść na kolana? Czego oni sobie życzą?

— Nie rozumiem, o czym mówisz.

— Owszem, doskonale rozumiesz.

Spojrzała na mnie kącikiem oka i zaraz spuściła wzrok. Powiedziała: — Tamtego dnia przejrzałam cię na wylot. I to wszystko. Tego nic nie zmieni.

— Tamtego dnia kochałem cię. Tego też nic nigdy nie zmieni.

Westchnęła tak, jakby nie mogła powstrzymać nagromadzonej pogardy, czekałem, że coś powie, niechby tę pogardę wyraziła, starałem się opanować rosnący gniew, zachować spokój.

— Na Parnasie była taka chwila, kiedy cię kochałem. I wiem, że o tym wiesz. Znam cię zbyt dobrze, żeby nie być

pewnym, iż musiałaś to dostrzec. I zapamiętać. — Dorzuciłem. — Nie mówię o seksie. Znów odczekała chwilę, zanim odpowiedziała.

— Dlaczegoż miałabym pamiętać? Czy nie powinnam zrobić wszystkiego, aby zapomnieć?

— Na to także znasz odpowiedź?

— Znam? . -Powiedziałem: — Alison...

— Nie zbliżaj się. Proszę cię, nie zbliżaj się do mnie.

Nie chciała na mnie spojrzeć. Ale jej głos powiedział mi to, co chciałem wiedzieć. Wszystko we mnie drgnęło, było to uczucie zbyt głębokie, żeby je okazać, tak jakby zadrżały mi komórki mózgu. Wtedy odezwała się, ciągle jednak odwracając ode mnie głowę. — Zgoda, wiem, co to znaczy. — Wzięła papierosa i zapaliła. — A właściwie, co znaczyło. Wtedy, kiedy cię kochałam. Wszystko, co mówiłeś, wszystko, co robiłeś miało znaczenie. Głębokie znaczenie. Wszystko wzruszało mnie, podniecało. Albo przygnębiało, sprawiało, że... — zaczerpnęła oddech. — Tak jak teraz kiedy po tym wszystkim, co zaszło, ty mogłeś siedzieć w tej herbaciarni i patrzeć na mnie tak, jakbym była prostytutką albo czymś w tym rodzaju i...

— Chryste Panie! Czy ty nie rozumiesz, że twoje pojawienie się było dla mnie szokiem?

I wtedy dotknąłem jej, położyłem jej na ramieniu rękę, ale ona ją strąciła. Musiałem się przysunąć, żeby usłyszeć, co szepcze: — Być z tobą to tak jakby pójść do kogoś i powiedzieć mu: znęcaj się nade mną, lżyj mnie, poniewieraj mną. Możesz, bo...

— Alison.

— Och, tak, teraz jesteś miły. Jesteś. Cholernie miły. -J tak będzie tydzień, miesiąc. A potem znów się zaczniesz.

Nie płakała; nachyliłem się i sprawdziłem. Czuję, że odgrywa jakąś narzuconą sobie rolę, ale równocześnie w nią wierzy. Pewnie z góry przygotowała sobie to przemówienie...

— Skoro tak czy owak masz zamiar wrócić do Australii... Powiedziałem to lekkim, acz bynajmniej., nie ironicznym

310

311tonem, a ona spojrzała na mnie, jakbym popełnił jakieś grube chamstwo. Zrobiłem błąd uśmiechając się, próbując ją wziąć za rękę. Nagle zerwała się. Przeszła przez ścieżkę i weszła na trawnik za drzewami. Po paru krokach przystanąła.

Można by to było uznać za naturalną reakcję, gdyby nie ten dziwny kierunek ucieczki, to nagle zatrzymanie się. Uderzyła mnie dziwaczność jej postawy... i

nawiedziło mnie nagle olśnienie. Przed nią był sięgający końca parku trawnik. A zaraz za nim pełne okien fasady eleganckich domów Cumberland Terrace.

Ściana okien, rząd posągów greckich bogów. Spoglądały na park jak z teatralnego balkonu. Alison należała do spisku, wyprowadziła mnie z herbaciarni, wybrała odpowiednią ławkę, a teraz czekając, bym ją dogonił, stanęła tak, żeby nas było dobrze widać. Tego było już za wiele: wstałem i stanąłem przed nią, tyłem do tamtych domów. Spuściła oczy. Łatwa rola, skrzywiona, bliska łez buzia.

— Posłuchaj mnie, Alison. Wiem, kto nas obserwuje, i wiem skąd, wiem, czemu mnie tu przyprowadziłaś. Oto co mam ci do powiedzenia. Po pierwsze jestem bliski bankructwa. Nie mam pracy i nigdy już nie będę miał pracy, która mogłaby mi zapewnić przyszłość. Jestem zatem jedną z najgorszych partii w Londynie. Po drugie. Gdyby teraz na ścieżce pojawiła się Lily i skinęła na mnie... sam nie wiem, jak bym postąpił. Chcę, żebyś to sobie zapamiętała: nie wiem i pewnie nigdy nie będę wiedział. Mówiąc Lily używam symbolu. — Zrobiłem pauzę. — A po trzecie: Jak mi to już uprzejmie zakomunikowałaś w Atenach, nie ma ze mnie wielkiej pociechy w łóżku,

— Tęga nie powiedziała!

Wpatrzyłem się w czubek jej głowy i czułem na plecach wzrok okien i posągów Cumberland Terrace. — Po czwarte. On mi kiedyś powiedział jedną mądrą rzecz. Na temat kobiet i mężczyzn. Że my widzimy przedmioty, a wy ich wzajemne uwarunkowanie. I dobrze. Ty zawsze widziałaś to... jakkolwiek by to nazwać... co między nami istnia-

312 \* .

ło. Co nas łączyło. Ja nie. I mogę ci ofiarować tylko jedno. Chyba zacząłem to widzieć.

— Czy mogę coś powiedzieć?

— Nie. Musisz dokonać wyboru. I to szybko. Wybrać albo mnie, albo ich. Ale zdecydowanie.

— Nie masz prawa...

— Mam takie samo prawo jak ty wówczas w tym hotelu w Grecji. To znaczy pełne prawo. — I dorzuciłem. — Z tych samych powodów co ty wówczas.

— To nie to samo.

— To samo. Teraz tobie przypadła moja ówczesna rola. — Wskazałem na Cumberland Terrace. — Oni mogą ci zaofiarować wszystko. A ja, tak jak ty wtedy, tylko jedno. I nie będę cię mógł winić, jeśli popełnisz ten sam błąd co ja, uznasz, że to



wszystko jest czymś ważniejszym niż nasza' wspólna przyszłość. Ale musisz się zdecydować. Tak, żeby to widzieli. Teraz.

Spojrzała na te domy i ja- także odwróciłem się na moment. Błyszczały w zbliżającym-się ku zachodowi słońcu, olimpijski eliksir podobnego dobrotliwego światła, jakie czasem widuje się w letnich obłokach.

Powiedziała takim tonem, jakby wyrzekała się i ich, i mnie.

— Wracam do Australii.

Poczułem, że przepaść między nami była nieskończenie głęboka, ale równocześnie śmiesznie wąska, że wystarczyłoby zrobić krok. Wpatrywałem się w Alison, widziałem to jej psychiczne okaleczenie stawiające tak bezwzględny opór. Poczułem zapach dymu. O jakieś sto jardów od nas szedł ślepiec, pewnym, szybkim krokiem, zupełnie jak nie ślepiec, na jego ślepotę wskazywała tylko biała laska.

Zacząłem iść ścieżką prowadzącą do południowej bramy. Dwa kroki, trzy, sześć. Dziesięć.

— Nicko!

Zabrzmiało to dziwnie stanowczo i ostro, bynajmniej nie pojednawczo. Na chwilę przystanąłem, obejrzałem się, ale zmusiłem się, by pójść dalej. Usłyszałem, że biegnie, odwróciłem się jednak dopiero wówczas, kiedy była już o parę

313kroków ode mnie. Zatrzymała się, lekko zadyszana. Nie udawała, zamierzała wrócić do Australii, może do Australii wyimaginowanej, by spędzić tam beze mnie resztę życia. Nie potrafiła jednak pozwolić mi odejść w ten sposób. W jej oczach malował się ból, rozgoryczenie. Byłem jeszcze bardziej nieznośny niż zwykle. Podszedłem do niej gniewnie podnosząc palec.

— Jeszcze się niczego nie nauczyłaś. Nadal grasz według ich scenariusza.

Odpowiedziała mi spojrzeniem równie pełnym żółci jak moje.

— Wróciłam, bo myślałam, że się zmieniłeś.

Nie wiem, czemu zrobiłem to, co zrobiłem. Ani tego nie zamierzałem, ani też nie dałem się ponieść instynktom, nie zrobiłem tego z zimną krwią, ale nie był to nagły przypływ gniewu i kiedy to zrobiłem poczułem, że było to konieczne. Moje ramię podniosło się i spoliczkowałem ją z całej siły. Uderzenie zaskoczyło ją, omal nie straciła równowagi, zmrużyła z przerażeniem oczy i bardzo powoli podniosła rękę do policzka. Długą chwilę patrzyliśmy na siebie oszalałym, przerażonym wzrokiem: świat znikł, spadaliśmy w otchłań przestrzeni. Przepaść była wąska, lecz bezdenna. Za Alison zatrzymało się na ścieżce parę osób. Ktoś zerwał się z ławki. Hindus śledził nas

bez ruchu. Alison nie odrywała dłoni od policzka, oczy jej zwilgotniały, częściowo z bólu, a częściowo z niedowierzania.

Kiedy tak staliśmy drżąc między naszą przeszłością i przyszłością, objawiła się mi ostateczna prawda.

Nikt nas nie” obserwował. Okna były puste. Teatr był pusty. Nie, to nie był teatr. Może powiedzieli jej, że będzie miała widownię, i uwierzyła im, a ja uwierzyłem jej. Może o to właśnie chodziło, o udzielenie mi ostatniej lekcji, poddanie ostatniej próbie... żebym tak jak w *Astrei* zaklął lwy i jednorożce, i magów, i inne mityczne stwory w kamienne posągi. Oderwałem wzrok od Alison, spojrzałem na te odległe okna, na tę fasadę, uwieńczoną pompatycznymi posągami. Logiczna kulminacja zabawy w boga. Oni zbiegli i zostawili nas samych. Byłem tego pewien... ale czy po tym wszystkim mogłem być pewny czegokolwiek? Czyżby mogli być aż tak obojętni, aż tak nieludscy, aż tak mało ciekawi? Kto widział, by sfalszowawszy gości wycofywać się z gry?

Spojrzałem z powrotem na ścieżkę. Widzowie odchodzili, jakby ta banalna scena męskiej brutalności przestała ich interesować. Alison nie ruszyła się, stała z przyciśniętą do policzka ręką, opuściła tylko głowę. Oddychała ciężko, jakby usiłując powstrzymać się od płaczu, a potem usłyszałem jej głos, ledwie dosłyszalny, rozpaczliwy, zdziwiony szept.

— Nienawidzę cię. *Nienawidzą* cię.

Nic nie powiedziałem, nie próbowałem jej dotknąć. Po chwili podniosła oczy, jej wzrok mówił to samo co głos: nienawiść, ból, zawarte w nim były wszelkie kobiece żale od zarania czasu. Ale ja uczepliłem się czegoś, czego nigdy dotąd nie widziałem, może dlatego, że się bałem zobaczyć, czegoś w wyrazie tych pełnych napięcia szarych oczu, ważniejszego niż ból i nienawiść. Stłuczony kryształ, który czeka na nowe życie. Jakby chcąc zabić w sobie to, co widziałem, powtórzyła:

— Nienawidzę.

— To dlaczego nie pozwoliłaś mi odejść? Potrząsnęła spuszczonej głową, jakby to moje pytanie było czymś nie fair.

— Sam wiesz, dlaczego.

— Nie. *j* .; ;

— Zrozumiałam to w sekundę po zobaczeniu ciebie. — Podszedłem bliżej. Zasłoniła twarz drugą ręką, jakby bała się, że ją znów uderzę.

— Teraz wiem już, Alison, co to słowo znaczy. To twoje słowo. — Dalej czekała z twarzą ukrytą w rękach jak ktoś, komu mówi się o niepowetowanej stracie. — Nie potrafisz nienawidzić kogoś, kto przed tobą klęczy. Kto bez ciebie nie będzie nigdy pełnym człowiekiem.

Schylona głowa, zakryta twarz.

Milczy, nigdy się nie odezwie, nigdy nie wybaczy, nie wyciągnie ręki, nie opuści tego zastygłego czasu teraźniejszego. Wszystko czeka w zawieszeniu razem z mną. Je- J sienne drzewa, jesienne niebo, bezimienni -ludzie. Wśród i; wierzb nad jeziorem pogwizduje głupi kos, choć to nie Jf jego pora roku. Nad domami lecą gołębie, strzępy wolności i przypadku, ucieleśniony anagram. I otacza nas kęsający dym palonych liści.

' cras amet qui numquam amavit quique amavit cras amet \*